Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

1/97

Cieszyńska Książnica



PZKO 50 1947 1997

PZKO W TYM ROKU WKRACZA W SWE PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE

1997 ROK KULTURY POLSKIEJ W REPUBLICE CZESKIEJ

TACY BYLIŚMY



POCZĄTKI PZKO

Zemský národní výbor w Ostrawie uchwałą z dnia 27 czerwca 1947 zatwierdził utworzenie dwóch polskich organizacji: Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego oraz Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. 20 lipca 1947 odbyło się w Karwinie zebranie, na którym powołano tymczasowy Zarząd Powiatowy PZKO. W listopadzie prawie we wszystkich miejsowościach powstały Koła PZKO. W grudniu 1947 w Karwinie odbyła się pierwsza Konferencja Delegatów Kół PZKO, którzy zostali uwiecznieni na powyższej fotografii.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLVII Nr 566 Cena numeru 12,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 15,50 Kč

1/97

W NUMERZE

[2] Wydarzenia roku 1996
[9] Jubileusze 1996
[11] Szanowni Czytelnicy — JERZY CZAP
[14] Legion Śląski w sieci przeciwieństw politycznych — EDWARD BUŁAWA
[20] Z myślą o Śląsku Cieszyńskim (2) - Konspiracja sztubacka — ALOJZY NOWOK
[27] Moje wojenne wspomnienia (Gustawa Fukały) — JAN KUBICZEK
[34] Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży — ROMAN ALOJZY CHOWANIEC
[37] Wisława Szymborska - czwarty Nobel dla polskiej literatury — KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ
[40] Poezja Henryka Jasiczka
[41] Jiří Daehne: wspomnienia dzieci niepożądanych
[48] Fraszki Gustawa Sajdoka
[49] Ikar wzniósł się w górę... — ELŻBIETA BARON
[51] Renata Putzlacher - Moje fascynacje
[54] Nasze nazwiska (31) — WŁADYSŁAW MILERSKI
[58] Posłowie narodowości polskiej w najwyższych organach państwowych — JÓZEF KAZIK
[59] Echo wydarzeń muzycznych
[64] Listy rencisty
[65] Mozaika: O tym jak sie nasz brat Paweł wymigoł od pasiynio krow — KAROL MRÓZEK
[67] Trybuna czytelników
[69] Kronika
[79] Krzyżówka

Cz III/6/1997

Numer zamknięto 3.1.1997
1. str. okładki - Wkraczamy w pięćdziesięciolecie

Książnica Cieszyńska
Cz 1050

D 269/97
18,00

WYDARZENIA ROKU

9 stycznia Państwowa Opera w Bytomiu przedstawiła w Teatrze im. Antoniego Dvořaka w Ostrawie operę „Halka"Stanisława Moniuszki. W tym samym dniu w foyer Teatru im. Jiřígo Myronà otwaro wystawę „Polscy artyści na Zaolziu w latach 1945–1995" eksponowaną wcześniej w Bielsku–Białej, Krakowie i Pradze. W dniach 9 II – 1 III wystawa prezentowana była w naddunajskiej stolicy Słowacji, Bratysławie, a od 3 kwietnia do 3 maja w sali wystaw im. Josefa Mánesa Miejskiego Domu Kultury w Karwinie–Nowym Mieście.

W połowie stycznia komitet redakcyjny jubileuszowej publikacji z okazji 50–lecia PZKO rozpoczął pracę nad „Encyklopedią PZKO".

Delegacja posłów Sejmu RP – – członków Komisji Łączności z Polakami za Granicą wraz z jej przewodniczącym posłem Leszkiem Moczulskim na czele przebywała na Zaolziu w dniach 13 i 14 stycznia, gdzie spotkała się z przedstawicielami polskich organizacji w RC.

30 stycznia Wawrzyniec Fójcik, starosta Cierlicka i prezes Rady Polaków został przewodniczącym Rady Regionalnej Obywatelskiej Partii Demokratycznej (ODS) w Hawierzowie.

Konsul generalny RP w Ostrawie Jerzy Kronhold zakończył ponad czteroletnią misję dyplomatyczną w Republice Czeskiej. Z dniem 1 lutego urząd konsula generalnego objął Bernard Błaszczyk.

24 lutego odbył się w Mostach koło Jabłonkowa jubileuszowy XXV Zjazd Gwiaździsty, w którym wzięli udział uczniowie 30 polskich szkół podstawowych, dwu czeskich, a także z Polski z Istebnej i Świerczynowca ze Słowacji.

Pod koniec lutego w Klubie Teatralnym Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie poeci Renata Putzlacher i Jaromir Nohavica swoim programem pn. „W kawiarni Avion, której nie ma..." zainurgurowali działalność nowej kawiarni poetyckiej.

28 lutego w Katowicach zmarł Oswald Guziur, autor książki „Lido i Stragan" o udziale Zaolziaków w wywiadzie Armii Krajowej i wielu artykułów zamieszczanych na łamach Zwrotu.

W dniach 23 i 24 marca na zaproszenie Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego gościł z wizytą na Zaolziu wicepremier Rzeczypospolitej Polskiej Mirosław Pietrewicz, który wręczył zespołowi Sceny Polskiej „Brązowego Polonusa", nagrodę przyznawaną przez Klub Publicystów Polonijnych Stowarzyszenia Dziennikarzy RP.

W Domu PZKO w Olbrachcicach 30 marca odbył się Przegląd małych zespołów wokalnych, w którym udział wzięły zespoły: „Anki" PSP Błędowice, „Gama" Sucha Górna, „Allegro" Stonawa i Kompania Osób Prywatnych „Amici Cantionis Antiquae".

W marcu Sekcja Kultury Teatralnej ZG PZKO zorganizowła przy współudziale polskich przedszkoli i szkół oraz aktorów Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego konkurs recytatorski, w którego finale wzięło udział sześćdziesiąt dzieci.

Polska Szkoła Podstawowa w Trzyńcu VI po raz 7. przygotowała wybory najsympatyczniejszej uczennicy i najsympatyczniejszego ucznia PSP w RC Miss & Mister 96 Show.

Szefowie sześciu praskich stowarzyszeń polonijnych podczas spotkania w Pradze 16 kwietnia wybrali nowego prezesa Praskiego Centrum Polonijnego. Został nim Michał Chrząstowski, wiceprezes Rady Polaków.

Premier Václav Klaus 19 kwietnia złożył wizytę w powiecie Karwina, którą rozpoczął spotkaniem z uczniami Akademii Handlowej i klas elokowanych Polskiego Gimnazjum.

Dzięki pomocy finansowej Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" Teatr Lalek „Bajka"zyskał nową salę widowiskową na poddaszu budynku ZG PZKO przy ul. Strzelniczej.

Sekcja Kultury Teatrlnej ZG PZKO zorganizowała 30 kwietnia II Turniej Teatrzyków Dziecięcych „Talinki".

W dniach 27 – kwietnia w Domu Polonii w Pułtusku odbył się Zjazd Europejskiej Rady Wspólnot Polonijnych. Środowisko Polaków w Republice Czeskiej reprezentowali: Jerzy Czap, członek Rady Polaków i prezes PZKO, Michał Chrząstowski, wiceprezes Rady Polaków i prezes Praskiego Centrum Polonijnego oraz przedstawiciele Coexistentii–Wspólnoty z prezesem Stanisławem Gawlikiem na czele.

1 maja koncertem orkiestry dętej i występami zespołów „Skotnica", „Skotniczka" i „Olza" w parku zdrojowym i Domu Towarzyskim w Karwinie–Darkowie zainaugurowano „Maj nad Olzą", który odbywał się przez wszystkie niedziele maja. Organizatorami imprezy był ZG PZKO, karwińska Rada Obwodowa PZKO oraz

Państwowe Uzdrowisko Darków.

Z dwudniową (1 –2 maja) roboczą wizytą przebywał na Zaolziu prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", prof. Andrzej Stelmachowski. Między innymi obejrzał hotel „Piast", nową salę widowiskową „Bajki"i wziął udział w inauguracji „Maju nad Olzą" w Darkowie.

W sali „Pod białymi orłami" Domu Polskiego w Ostrawie odbyły się uroczystości obchodów Święta Konstytucji 3 Maja. Gospodarzem spotkania był konsul generalny RP w Ostrawie, Bernard Błaszczyk.

27 maja zmarł dr Józef Ondrusz, autor „Godek śląskich" i wielu publikacji w Zwrocie, Głosie Ludu, Jutrzence, Ogniwie i Kalendarzach Śląskich.

30 maja na stadionie lekkoatletycznym w Trzyńcu odbyły się XIV Igrzyska Lekkoatletyczne dla Uczniów Polskich Szkół Podstawowych. Wzięło w nich udział 550 młodych zawodników.

Na zaproszenie konsula generalnego RP w Ostrawie, Bernarda Błaszczyka 30 maja do konsulatu przybyli przedstawiciele 92 Kół PZKO.

W dniach 5 – 8 czerwca odbyły się „Dni Polskie w Kromierzyżu", których oficjalnym gościem był wiceminister kultury i sztuki RP, Michał Jagiełło. W programie kulturalnym zaprezentował się zespół reprezentacyjny ZG PZKO „Olza".

W czerwcowych wyborach do parlamentu RC mandat poselski z ramienia ODS uzyskał Wawrzyniec Fójcik, prezes Rady Polaków.

Dziesięciu jubilatów – artystów, którzy urodzili się w roku kończącym się cyfrą 6, wzięło udział w pierwszej benefisowej imprezie na Zaolziu, czyli kolejnym spotkaniu w poetyckiej „Kawiarni Avion, której nie ma...". Spotkanie odbyło się 7 czerwca w Klubie Teatru Cieszyńskiego pn. „Kolumbowie rocznik...6".

9 czerwca zmarł Józef Rozbrój, scenograf i plastyk.

Po raz piąty odbyło się wspólne Cieszyna i Czeskiego Cieszyna Święto Trzech Braci w dniach 14 – 16 czerwca.

Jednym z trójki wiceprzewodniczących Komisji Izby Poselskiej Parlamentu RC ds. Petycji, Praw Człowieka i Mniejszości Narodowych został poseł Wawrzyniec Fójcik, prezes Rady Polaków.

Od 12 lipca do 7 sierpnia ZPiT ZG PZKO „Olza"przebywał w Stanach Zjednoczonych, jako uczestnik międzynarodowych festiwali folklorystycznych.

13 lipca na Festynie Górskim,

który odbył się w Ośrodku Rekreacyjno-Szkoleniowym ZG PZKO w Koszarzyskach wystąpił stuosobowy Harcerski Zespół Pieśni i Tańca „Dzieci Płocka".

15 lipca z jednodniową wizytą na Zaolziu bawił minister szkolnictwa i wiceprzewodniczący ODS, Ivan Pilip. Na spotkaniu ze starostami Karwiny, Hawierzowa i Frydku-Mistku m. in. omawiał sprawy polskiego szkolnictwa narodowościowego.

W strugach deszczu 3 i 4 sierpnia w Lasku Miejskim w Jabłonkowie odbyło się 49. Gorolskie Święto, którego gościem m. in. był Zespół Tańców i Pieśni Polskiej YMCA „Mazury" z Londynu.

Na Festiwalu Zespołów Polonijnych w Rzeszowie wyróżnienie uzyskał zespół „Suszanie".

Wśród ponad 1000 uczestników 28. Międzynarodowego Kongresu Geograficznego, który odbył się w dniach od 10 do 14 sierpnia w Hadze (Holandia), był prodziekan Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Ostrawskiego, pracownik Zakładu Badań Etnikum Polskiego w RC, dr Tadeusz Siwek.

Od 19 do 26 sierpnia PZŚ „Hutnik" i Trzyniecka Orkiestra Kameralna koncertowały w Szwajcarii i Francji.

Gośćmi 29. „Dożynek Śląskich" w Gutach byli członkowie Klubu Polskiego w Pradze.

W dniach 5 - 8 września w Cierlicku miała miejsce czwarta edycja Cierlickiego Lata Filmowego.

55 lat temu powstało w Londynie KOŁO ŚLĄZAKÓW CIESZYŃSKICH w WIELKIEJ BRYTANII, którego członkowie wspierali m. in. budowę Domu Polskiego im. Żwirki i Wigury w Cierlicku-Kościelcu.

PZKO-wcy z Hawierzowa-Błędowic uroczyście świętowali tradycyjne dożynki w niedzielę 8 września.

3. Babski Festyn odbył się w tym roku w Domu PZKO w Karwinie-Frysztacie (poprzednie w Bystrzycy i Olbrachcicach).

Podkomisję ds. Mniejszości Narodowych powołała na wniosek posła Wawrzyńca Fójcika Poselska Komisja Petycyjna, Praw Człowieka i Mniejszości Narodowych.

W I Światowym Zjeździe Cudzoziemców Polskiego Pochodzenia - Absolwentów Polskich Szkół Wyższych, który odbył się w Krakowie w dniach 15 - 18 września wzięli również udział przedstawiciele Zaolzia.

15 września w hotelu „Piast" w Cz. Cieszynie miało miejsce spotkanie przedstawicieli Koła Polskich Kombatantów w RC

z polskimi kombatantami mieszkającymi na terenie W. Brytanii.

W Bibliotece Regionalnej w Karwinie w dniach 7 – 25 października mogliśmy oglądać obrazy i rzeźby nestora zaolziańskich plastyków, Franciszka Świdra.

Ambasador RP w Pradze, Marek Pernal spotkał się 19 i 20 października z przedstawicielami środowisk PZKO–wskich.

Po dwu latach ofiarnej pracy członków MK PZKO w Bukowcu otwarto przybudówkę Domu, w której znalazła miejsce scena.

Z okazji Święta Niepodległości Fundacja Czesko–Polskie Centrum Kultury i Nauki w Ostrawie oraz Bernard Błaszczyk, konsul generalny RP w Ostrawie i Josef Byrtus, konsul generalny RC w Katowicach, byli organizatorami koncertu, który miał miejsce w Domu Polskim w Ostrawie 4 listopada.

W dniach 9 – 12 listopada w Cz. Cieszynie w Klubie PZKO przy ul. Bożka odbyła się tradycyjna wystawa polskiej książki.

Stary ratusz południowomorawskiej metropolii – Brna – był świadkiem pierwszego spotkania miejscowej Polonii, które odbyło się z inicjatywy Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie.

Rada Polaków ogłosiła rok 1997 ROKIEM KULTURY POLSKIEJ.

W listopadowych wyborach do Senatu RC żaden z polskich kandydatów nie uzyskał mandatu.

23 listopada odbyło się III Walne Zgromadzenie Macierzy Szkolnej w RC.

30 listopada po raz drugi w Domu PZKO w Nawsiu odbyła się impreza folklorystyczna pod nazwą „Zabijaczka", której gościem był Józef Broda i kapela Zbyszka Wałacha z Istebnej.

Laureatem dorocznej nagrody „Srebrne spinki" za dokonania twórcze na polu artystycznym, ufundowanej przez Konsulat Generalny RP w Ostrawie został Bronisław Liberda.

Po raz trzeci w nadgranicznym grodzie Cieszyn po obu stronach Olzy zaistniał INCYDENT NA GRANICY, zorganizowny przez Gminę Artystyczną im. mjr. Szmauza.

Przed Świętami Bożego Narodzenia uczniowie polskich szkół i pezetkaowcy przygotowali jasełka, m. in. w Bukowcu, Oldrzychowicach, Nawsiu, Stonawie.

rys. TADEUSZ WRATNY ▶



DRODZY CZYTELNICY

Tylko prenumerata Zwrotu opłacona do końca marca daje Wam niepowtarzalną szansę wylosowania

trzydniowego pobytu

w DOMU POLONII w KRAKOWIE
w teminie do uzgodnienia, zapewnione noclegi w apartamencie, wyżywienie, zwiedzanie miasta i atrakcje kulturalne dla dwóch osób.

Dla pozostałych szczęśliwców 10 atrakcyjnych nagród książkowych.
Nagrody ufundowało Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" w Warszawie.

W ubiegłym roku główną nagrodę wylosowali pp. Hławiczkowie z Trzyńca – na zdjęciu przed DOMEM POLONII w Krakowie wraz dr Krystyną Gąsowską, dyrektorem Domu Polonii (w środku).



JUBILEUSZE 1996

60. urodziny obchodził STANISŁAW ORSZULIK, filmowiec amator, dokumentujący działalność PZKO.

27 stycznia FRANCISZEK ŚWIDER, nestor polskich plastyków na Zaolziu, obchodził jubileusz 85-lecia urodzin.

75. urodziny obchodził GABRIEL PALOWSKI, poeta związany z Grupą literacką 63.

Jubileusz 75-lecia obchodził WŁADYSŁAW CEJNAR, plastyk i scenograf Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego.

10 lat śpiewa chór „ZGODA" MK PZKO Niebory.

60. urodziny WILHELMA PRZECZKA, pisarza i poety przebiegły pod znakiem poetyckich spotkań i literackich nagród.

PSP w Karwinie-Nowym Mieście już 45 lat uczy i wychowuje.

Budynek PSP w Błędowicach ma już 85 lat.

PSP w Oldrzychowicach-Równi obchodziła jubileusz 90-lecia.

7 czerwca 70. urodziny obchodził WIESŁAW ADAM BERGER, pisarz znany nie tylko na Zaolziu.

25 czerwca 1926 urodził się BOGUMIŁ SWOBODA, malarz pejzażysta.

W końcu czerwca w Stonawie obchodzono setną rocznicę założenia Stowarzyszenia Spożywczego dla Robotników i Rolników.

18 lipca minęła setna rocznica urodzin malarza GUSTAWA FIERLI, wychowawcy wielu zaolziańskich plastyków.

Chór „HASŁO" działający obecnie przy MK PZKO w Skrzeczoniu obchodził jubileusz 70-lecia.

75-lecie istnienia obchodziło TECHNIKUM PRZEMYSŁOWE w Karwinie.

DOM PZKO w Karwinie–Starym Mieście został otwarty 15 lat temu.

45-lecie swego istnienia Scena Polska Teatru Cieszyńskiego uczciła premierą sztuki Zofii Kossak–Szczuckiej „Gość oczekiwany".

Chór mieszany COLLEGIUM CANTICORUM śpiewa już 10 lat, zdobywając najwyższe laury krajowe i zagraniczne.

50. urodziny obchodził FRANCISZEK BAŁON, grafik i redaktor Zwrotu, współpracownik wszystkich polskich czasopism wychodzących na Zaolziu.

KAZIMIERZ KASZPER, poeta, publicysta, wykładowca i wychowawca młodego pokolenia polonistów, 50. urodziny uczcił spotkaniami ze swoimi czytelnikami.

Jubileusz 70–lecia działalności obchodził chór mieszany „HASŁO", działający obecnie przy MK PZKO w Skrzeczoniu.

KLUB EMERYTÓW w Hawierzowie działa już 20 lat.

Chór żeński „KALINA" z Karwiny obchodził 15-lecie swej działalności.

W Stonawie uroczyście obchodzono 75-lecie polskiego śpiewactwa, którego kontynuatorem jest chór „STONAWA".

20. rocznicę śmierci HENRYKA JASICZKA uczczono wieczorami wspomnień poświęconymi jego poezji.

15 lat temu w Suchej–Średniej powstał KLUB PANÓW w NAJLEPSZYCH LECIECH.

W Marklowicach obchodzono jubileusz 75-lecia polskiego śpiewactwa.

2. PSP w Trzyńcu VI obchodziła jubileusz 30-lecia.

SZANOWNI CZYTELNICY

Wkraczamy w 50. rok istnienia Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Półwiecze działalności organizacji, której celem jest kultywowanie i rozwój rodzimej kultury, zachowanie ojczystego języka i narodowej tożsamości, jest okazją do rozważań i ocen dotychczasowych dokonań, aktualnych warunków i możliwości oraz perspektyw na przyszłość. Tych rozważań będzie w roku jubileuszowym z pewnością więcej. W wielu wypadkach oceny mogą się różnić, ale tylko wtedy, kiedy dotyczyć będą pojedynczych zjawisk, które składały się na 50-letnią historię Związku. Jednak ogólna ocena uwzględniająca całą złożoność minionego okresu, może być tylko jedna: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy, działający na przestrzeni niemal 40 lat (1952–1990), jako jedyna polska organizacja na Zaolziu i kontynuujący tę działalność w nowych demokratycznych warunkach ustrojowych, wywiązał się z godnością z zadań, jakie wyznaczyli mu nasi poprzednicy, którzy w roku 1947 powołali Związek do życia. Obecny stan posiadania, zarówno duchowy, jak materialny, jaki jeszcze mamy, to właśnie zasługa 50–letniej, nieustającej pracy od podstaw, opartej na zaangażowaniu całej plejady członków i działaczy, którym własne sumienie nie pozwoliło poddać się obojętności lub naciskom otoczenia i wybrania rozwiązań łatwiejszych. Aktualny dorobek duchowy, organizacyjny i materialny polskiej społeczności na Zaolziu, o którym z uznaniem mówi się zarówno w Polsce, jak i w skupiskach polskich i polonijnych w świecie, to wynik działalności PZKO.

Mówimy, że obecne lata są dla Związku trudne. I tak jest rzeczywiście. Ale czy kiedyś było łatwiej? Wystarczy wertować prasę sprzed lat, czytać kroniki Miejscowych Kół, kroniki szkolne, by sobie uświadomić, że nam tutaj nigdy nie było łatwo. Z tych pożółkłych szpalt gazet, zapisów kronikarzy, starych fotografii, opowiadań seniorów wynika, że właśnie trudne warunki i okoliczności polityczne, społeczne czy materialne, były bodźcem do zachowania własnej godności, do chęci tworzenia dóbr społecznych, czego świadectwem są choćby Domy PZKO.

Dorobek 50-lecia to dziesiątki zespołów i tysiące młodzieży, która w nich występowała, kilkadziesiąt chórów, i tysiące śpiewaków, kilkadziesiąt teatrów amatorskich i setki aktorów, to wpaniały teatrzyk „Bajka“ ze swoją dziecięcą widownią i tysiące abonentów Sceny Polskiej, bez których ta scena by nie istniała.

Na dorobek 50-lecia składa się twórczość zaolziańskich literatów oraz artystów–plastyków; wszyscy oni utrwalili poprzez swoje dzieła nie tylko własne nazwiska, ale zapisywali tym samym karty historii PZKO zarówno tutaj, na Zaolziu, jak poza granicą. W tym mieszczą się naukowe osiągnięcia folklorystów i historyków.

Dorobek PZKO utrwalany był i jest przez naszą prasę: ZWROT, GŁOS LUDU, polską audycję radia ostrawskiego, dziennikarzy i korespondentów, którzy wydarzenia 50 lat dokumentowali. Dorobek 50-lecia to 40 Domów PZKO i trwała więź, która przy budowie wspólnego dzieła złączyła tysiące budowniczych. Działające w tych Domach i świetlicach Kluby Kobiet poprzez setki wystaw prac ręcznych, działalność kulinarną i ogólne zaangażowanie wniosły trwałe i rzadkie gdzie indziej zjawisko swojskości tych przybytków kultury. Tutaj jest miejce spotkań wszystkich generacji, zespołów i klubów zainteresowań.

Dorobek 50–lecia to setki prelekcji, kursów, konkursów, tysiące imprez i spotkań dzieci, młodzieży i dorosłych. To wspaniałe Festiwale, Gorolskie Święta, festyny i dożynki, olimpiady i zawody sportowe. Do tego dorobku należy nieustanna dążność do bliskich więzów z Macierzą. Nie zawsze w przeszłości przyjmowana z otwartym sercem przez politycznych decydentów, ale tym cieplej przez stowarzyszenia regionalne, instytucje polonijne i osoby, wśród których znajdowaliśmy dla nas wielu przyjaciół.

Prawdopodobnie nie wszystko, co określa dorobek 50-lecia PZKO, zdołałem w tym miejscu wymienić. Chciałem przypomnieć, chociażby skrótowo, te zjawiska z 50–letniej historii PZKO, które się składały i obecnie nadal składają na mozaikę działań w celu rozbudzania osłabianej, przez różne czynniki, świadomości narodowej a pośrednio pozwalają utrzymać jeszcze swoje szkoły, prasę, teatr...

To jest powód do tego, by w roku 50-lecia przypomnieć sobie tych wszystkich, którzy PZKO tworzyli i rozwijali, oddać hołd i szacunek dla ich ofiarnej, bezinteresownej pracy społecznej. To jest powód by umocnić przekonanie setek aktualnych działaczy PZKO o tym, że ich zaangażowanie i poświęcenie ma sens.

Rok jubileuszowy będzie obfitował w liczne imprezy, tradycyjne i te bardziej świąteczne. Chcielibyśmy, by zaktywizowały naszą działalność, wyzwoliły inwecję i nowe pomysły, by przyciągnęły młodzież, bo dalszy los PZKO zależy właśnie od niej.

Minął niedawno rok 1996. Przeżywaliśmy w nim radości i smutki, sukcesy i trudności w pracy społecznej. Odnotowaliśmy aktywną działalność wielu Miejscowych Kół, zespołów, chórów, klubów.

Wszystkim członkom PZKO i działaczom pragnę za tę pracę społeczną gorąco podziękować. Podziękowania składam również wszystkim organizacjom, instytucjom i firmom, u nas i w Polsce, za współpracę i pomoc. W nowy rok wstępujemy z nadzieją większej aktywności, pomyślnego rozwiązywania trudnych sytuacji, efektywnego przygotowania się do kulminacyjnych imprez roku: Festiwalu PZKO, Gorolskiego Święta, Zjazdu PZKO.

W związku z tym życzę Państwu oraz naszym przyjaciołom wielu miłych spotkań, pomyślności, sukcesów i owocnej współpracy w roku 1997.

Jerzy Czap

JASEŁKA PSP W NAWSIU (tekst w kronice) ▶
fot. ZWROT – Franciszek Bałon



LEGION ŚLĄSKI W SIECI PRZECIWIEŃSTW POLITYCZNYCH

Redakcja „Dziennika Cieszyńskiego", przekazując swoim czytelnikom wieść o powstaniu w dniu 23 sierpnia 1914 roku Sekcji Śląskiej Naczelnego Komitetu Narodowego i formowaniu przez nią Legionu Śląskiego, poprzedziła podanie szczegółów takim wstępem: *„Czujemy się synami Polski, która nas wspierała, a my umiemy się odwdzięczyć, stąd, kiedy Orzeł Biały śmiałym lotem wzbija się w niebiosa, nasz lud polski na Śląsku krew swą niesie z całym narodem w ofierze. Ojczyznę, wolność racz nam zwrócić Panie".*

W powyższym tekście pismo, bliskie Polskiemu Zjednoczeniu Narodowemu, manifestowało jedność całej społeczności polskiej austriackiego Śląska w sprawie czynu zbrojnego. Czyniło to w sposób jednoznaczny, szczery, podbudowany mocnym ładunkiem uczuć. Owej jedności nie było jednak w kierowniczych ośrodkach poszczególnych ruchów politycznych. Radykalny „Strzelec" już w nocy z 1 na 2 sierpnia zarządził mobilizację swoich członków i formował z nich kompanie kadrowe, do których ruszyło ponad półtora setki ochotników ze Śląska Cieszyńskiego. Popierali tę akcję socjaldemokraci polscy z Tadeuszem Regerem, Henrykiem Kłuszyńskim oraz prezesem „Siły" Ryszardem Kunickim z Frysztatu, który osobiście włączył się do szeregów polskich i odegrał istotną rolę w organizowaniu legionowej służby medycznej. Bardziej umiarkowane stanowisko zajmował ksiądz Józef Londzin i jego Związek Śląskich Katolików, który podobnie jak wielu działaczy ewangelickich wspierał prace stałych drużyn Sokoła, przygotowujące się do wystąpienia zbrojnego.

Równocześnie na postawę polskiej społeczności Śląska w sprawie czynu zbrojnego mocno oddziaływały wybitne osobowości z kierowniczej grupy Polskiego Zjednoczenia Narodowego, będące równocześnie członkami elitarnej, tajnej, ogólnopolskiej Ligi Narodowej. Spośród nich na formowanie się i losy Legionu Śląskiego najmocniejszy wpływ wywarli: Ignacy Domagalski, wicedyrektor Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie oraz Gustaw Szura, profesor gimnazjum w Orłowej. Byli oni zdecydowanymi wyznawcami stanowiska Romana Dmowskiego, ideowego przywódcy Ligi Narodowej, który traktował Austrię jako wasala Niemiec a Rzeszę Niemiecką jako śmiertelnego wroga Polaków, zdolnego nie tylko do ich ujarzmienia, ale też do ich zasymilowania, o czym przesądzał ekonomiczny, polityczny i kulturowy potencjał narodu niemieckiego. Takim potencjałem nie dysponowała Rosja, która, zdaniem Dmowskiego, z racji swej słabości będzie zmuszona do porozumienia się z Polakami i to na zasadach dla nich korzystnych. Taki rozwój mógł zostać przyśpieszony przez zwycięstwo Rosji nad Niemcami i Austrią w zbliżającej się wojnie i skupienie przez nią w swoich granicach całego potencjału Narodu Polskiego.

Trzeźwa myśl ideologa nie była jednak w stanie zmienić antyro-

syjskiego oblicza polskiej tradycji powstańczej, stanowiącej podstawę rozwijającego się od roku 1908 ruchu niepodległościowego. Zmiany tej orientacji nie można było w ówczesnych warunkach dokonać bez utraty kontaktu z palącą się do walki z caratem młodzieżą oraz narażenia się na dotkliwe represje ze strony Austriaków. Stąd narodowi demokraci w Galicji, podobnie jak ich odpowiednik na Śląsku Cieszyńskim - Polskie Zjednoczenie Narodowe, mimo braku zaufania do Austrii, uczestniczyło w proaustriackim ruchu niepodległościowym, tworzyło od 1912 roku bojowe „stałe drużyny Sokoła" i mimo wszystkich zastrzeżeń liczyło na przekształcenie dualistycznej monarchii austro-węgierskiej w twór trialistyczny, którego członem trzecim miała być Polska.

Jednak rezerwa wobec radykalizmu ruchu niepodległościowego pozostała i ujawniła się w sierpniu 1914 roku. Jej przejawem było odcinanie się od piłsudczykowskich kompanii kadrowych, zwlekanie do 9 sierpnia ze zgłoszeniem pogotowia mobilizacyjnego w „stałych drużynach Sokoła" i trwanie w postawie wyczekującej do 23 sierpnia, a więc do utworzenia Sekcji Śląskiej Naczelnego Komitetu Narodowego.

Owa Sekcja została całkowicie zdominowana przez działaczy Polskiego Zjednoczenia Narodowego, z ramienia którego dwie centralne funkcje, a więc prezesa oraz komisarza wojskowego objął Ignacy Domagalski, posiadający pełne poparcie prezesa swojej partii - doktora Jana Michejdy, księdza posła Józefa Londzina, prezesa Związku Śląskich Katolików. Autorytetowi prezesa Sekcji Śląskiej NKN, w imię jedności działania w sprawie nadrzędnej, podporządkowali się też socjademokraci posła Tadeusza Regera.

Jednak różnice i tarcia między poszczególnymi orientacjami ujawniały się. Irytację socjaldemokratów wywołała odmowa obsadzenia dwu miejsc przyznanych Sekcji Śląskiej w Komitecie Wykonawczym NKN w Krakowie, co wynikało z woli zachowania przez śląskich działaczy narodowych niezależności od władz centralnych NKN i dominujących w nich krakowskich konserwatystów. Drażniło Regera przedstawienie akcji formowania Legionu Śląskiego wyłącznie jako dorobku miejscowego „Sokoła", różnie też określano cele Sekcji Śląskiej. Dla socjaldemokratów miała ona być protektorem polskiego czynu zbrojnego przez cały okres wojny. Dla stronnictw księdza Londzina i doktora Jana Michejdy cel Sekcji był doraźny: sformowanie legionowego oddziału.

Polityczne założenia, choć nie zawsze, rzutowały bezpośrednio na sposób formowania Legionu i na panującą w nim atmosferę. Socjaldemokraci, choć nie tylko oni, domagali się wystawienia możliwie licznego i dobrze wyposażonego oddziału. Natomiast ich partnerzy, dysponujący w Wydziale Wykonawczym decydującą większością, przeprowadzili uchwałę o potrzebie oszczędzania niewielkiego w sumie polskiego potencjału na Śląsku. Wyrażało się to w rezygnacji z naboru do Legionu uczniów szkół średnich, co, pomijając jednostki, konsekwentnie przeprowadzono w cieszyńskim gimnaz-

jum i bobreckim seminarium nauczycielskim, mniej konsekwentnie w gimnazjum orłowskim. Oszczędzano też nauczycieli, przyjmując do Legionu tylko instruktorów wojskowych oraz tych, których odejście nie pociągało za sobą likwidacji polskiej placówki szkolnej. Odeszła też grupa inteligencji, jak to określił Reger, głównie adwokackich kancelistów. W ciągu ostatniego pobytu Legionu Śląskiego w Cieszynie całkowicie zahamowany został napływ ochotników do jego szeregów, równocześnie zaś, według obliczeń Regera, opuściło je 75 osób. Groził dalszy odpływ, stąd starania o możliwie rychłe wysłanie jednostek poza Śląsk.

Niezależnie od licznych kontaktów Sekcji Śląskiej z centralnymi władzami NKN w Krakowie i wydatnej ich pomocy w dziele formowania Legionu Śląskiego, o sposobie użycia legionistów śląskich zadecydowały powiązania prezesa Ignacego Domagalskiego z Aleksandrem Skarbkiem, szefem departamentu wojskowego Sekcji Wschodniej NKN. Taka decyzja zapadła w połowie września, kiedy to wyraźnie zarysowała się możliwość klęski Austriaków. W rękach Rosjan była Galicja Wschodnia, od 3 września Lwów, ich oddziały zagrażały wtargnięciem na Węgry przez przełęcze karpackie, oczekiwano kolejnego potężnego uderzenia, tym razem na Kraków i Górny Śląsk, a wtedy stojący na przedpolu Bramy Morawskiej Rosjanie w ciągu niewielu dni mogli się znaleźć w okolicach Wiednia. W takich warunkach powstała anegdota, cytowana we wspomnieniach Zofii z Grabskich Kirkor-Kiedroniowej, zgodnie z którą staremu i ciężko chorującemu cesarzowi Franciszkowi Józefowi doradzano, by nie męczył się odwiedzaniem swych żołnierzy na dalekim froncie galicyjskim i poczekał „chwileczkę", a będzie tego mógł dokonać na przedmieściach Wiednia.

Napór Rosjan skłaniał polskich przywódców na Śląsku do przewartościowania swojego, dotąd proaustriackiego stanowiska. Jak pisze Tadeusz Reger, nawet umiarkowany ksiądz Londzin myślał wtedy o sposobie korzystnego usytuowania rodaków i swojego kościoła pod rządami rosyjskimi, które w zestawieniu z bezwzględnością germanizatorów nie wydawały się być groźnymi. Mieszkająca wtedy w przykarwińskiej Dąbrowej Zofia Kirkor-Kiedroniowa pisze, iż na Śląsku poza Niemcami i Żydami, nikt wtedy Rosjan się nie bał. Oczekiwano ich przybycia, czego przejawem między innymi był wzrost zapotrzebowania na wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej, które zawieszone na budynku gwarantować miały ochronę przed samowolą rosyjskich żołnierzy frontowych, dowodząc, iż ów dom nie jest siedzibą Niemca lub Żyda.

W daleko ostrzejszym kryzysie znajdował się Legion Wschodni, do którego włączony miał być oddział śląski. Już 29 sierpnia rozpoczął on swoją ewakuację ze zagrożonego Lwowa, jego bazami przejściowo były Sanok i Jasło, a 19 września znalazł się on w rejonie Rabki i Mszany Dolnej w stanie mocno zaawansowanego rozkładu, który zakończył się w dniach 20 do 22 września jego rozpadem.

Dla żołnierzy i oficerów, którzy 21 września opuszczali Cieszyn, decyzja o włączeniu ich oddziału do Legionu Wschodniego była całkowitym zaskoczeniem. Wcześniej o tym fakcie został poinformowany przez Aleksandra Skarbka Tadeusz Reger, przebywający w dniu 19 września w Rabce. Natychmiast wysłał on listy protestacyjne do władz NKN w Krakowie oraz do prezesa Polskiej Partii Socjaldemokratycznej - Ignacego Daszyńskiego. Nie dotarły one jednak do adresatów. W Cieszynie, w dniu 21 września, a więc przed uroczystością pożegnania Legionu, zażądał Reger od doktora Jana Michejdy zwołania posiedzenia Wydziału Wykonawczego Sekcji, dla rozpatrzenia tej sprawy, spotkał się jednak z odmową, uzasadnioną obłożną chorobą prezesa Domagalskiego.

I tak Legion Śląski wyjeżdżający do Mszany Dolnej stał się obszarem starcia dwu koncepcji politycznych: proaustriackiej i w istocie prorosyjskiej. Za drugą już w czasie wyjazdu do Mszany agitowali działacze Polskiego Zjednoczenia Narodowego, zachęcając pojedyńczych legionistów do zrzucenia mundurów i powrotu do domów, oferując im pośrednictwo w załatwianiu pracy chroniącej przed służbą wojskową. Pierwszoplanową postacią wśród inicjatorów tej akcji był profesor Gustaw Szura, który towarzyszył legionistom do Białej. Później kierował tą działalnością redaktor „Dziennika Cieszyńskiego" Władysław Zabawski, określający swą misję jako „ratowanie możliwie dużej ilości dusz". Warto dodać, że według dobrze zorientowanego w sprawie Tadeusza Regera, w dniu 19 września i to na koszt Sekcji Śląskiej NKN, redaktor Zabawski przebywał u Aleksandra Skarbka w Rabce.

W nocy z 21 na 22 września ochotnicy ze Śląska dotarli do Mszany Dolnej. Oczekiwali, że zostaną włączeni do sprawnej formacji bojowej, tymczasem znaleźli się w zbiorowości pełnej żalów i rozczarowań, w stanie organizacyjnego bezładu. Do takiego stanu sprawną i pełną ideowych wartości formację doprowadziła, po kilku tygodniach świadomych oddziaływań, propaganda inicjowana przez jej kierownictwo polityczne i akceptowana przez jej oficerską kadrę. Podziałała też ona natychmiast na przybyszów ze Śląska, którzy dowiedzieli się, że wobec klęski Austrii idea legionowa nie ma sensu i stąd trzeba, by każdy miał możność wypowiedzenia się na temat dalszego pozostawania w szeregach Legionu, czy też jego opuszczenia. Zarządzono głosowanie i Ślązacy zostali zobowiązani do wzięcia w nim udziału. Odbyło się ono 22 września, a więc w pierwszym dniu pobytu w Mszanie.

Aleksander Skarbek pisał, iż on sam, ze względu na specyfikę narodową Śląska, był zwolennikiem pozostania Ślązaków w szeregach. Jednak nie stwierdzamy działań potwierdzających jego intencje. Dowódca oddziału śląskiego podporucznik Józef Lebiedzik stwierdzał, że oficerowie Legionu Wschodniego agitowali wśród Ślązaków za opuszczaniem szeregów, a największe spustoszenie czyniła bardzo silna propaganda, zmierzająca do takiego właśnie celu. Głosiła ona, że Piłsudski to austriacki agent, a jego strzelcy to habsburscy najemnicy. Szerzono wieści, że pułk Piłsud-

skiego został rozbity pod Szczucinem a on sam zginął. Pobrzmiewały tony zdecydowanie rusofilskie; według nich Rosja pierwsza postawiła na Polskę i zorganizowała liczący 70 tysięcy polski Legion Grunwaldzki, z którym wypadnie zmierzyć się legionistom walczącym po boku Austrii. Mówiono, że legiony nie są wojskiem polskim, bo przysięga jest austriacka, za potrzebne uznano organizowanie legionów we Francji lub gdzieś na Węgrzech. Twierdzono, że Austriacy wyślą legionistów do Serbii lub użyją do pilnowania mostów w Królestwie. Nieważne, że powyższe wieści w zasadzie były propagandowym wymysłem, w atmosferze istniejącego w Mszanie Dolnej zamętu one oddziaływały.

O głębi rozkładu Legionu Wschodniego mówi fakt, że Ślązacy mogli od kolegów z tej formacji, bez większych trudności nabyć nowoczesny karabin z bagnetem za jedną koronę, jak pisze podporucznik Józef Lebiedzik, a za trzy papierosy według szeregowca Karola Chmiela; za jeden można było nabyć legionową czapkę z orzełkiem. Po latach uczestnik tych wydarzeń – Ludwik Zych stwierdzi: *„Wciągnięto nas w ogień walk partyjnych. Wyszliśmy z nich rozbici i rozdwojeni"*.

W dniu 22 września, w wyniku publicznych oświadczeń w szeregach pozostało około 300 byłych żołnierzy Legionu Wschodniego, a liczył on u schyłku września 6 200 ludzi, odeszło więc z niego 95% stanu. Legionistów ze Śląska też zostało około trzystu, a więc 80% z tych 373, którzy 21 września opuścili Cieszyn. Dodać trzeba, że spośród wracających do domu co najmniej jedna czwarta powróciła do szeregów po kilku tygodniach, dołączyli też nowi ochotnicy.

W dniu 26 września trzystu Ślązaków złożyło w Mszanie Dolnej przysięgę wojskową. Z dwu i pół setki sformowano 2 „śląską" kompanię 3 pułku piechoty legionów, resztę przydzielono do innych pododdziałów tej jednostki. Nie było zauważalnych sprzeciwów wobec roty przysięgi, którą była po prostu językowo polska wersja austriackiej przysięgi pospolitego ruszenia. Wszyscy za moment pozytywny uznawali, iż położyła ona kres trwającemu zamętowi i przekształciła zbiorowość ochotników w oddział wojskowy austriacki, ale z polską komendą i polskimi znakami. Ważnym momentem było też włączenie całej formacji do zaopatrzeniowego i usługowego zaplecza austriackiej armii.

Trudno dziś, poza niepowtarzalnym kontekstem historycznym, oceniać postawę agitujących za opuszczeniem legionowych szeregów. Na pewno chcieli dobrze przysłużyć się sprawie polskiej i swoim rodakom. Dziś wiemy, że pomylili się, bo załamał się napór rosyjski, ale ich przewidywania mogły się sprawdzić i wtedy ich ocena byłaby inna. Możemy dyskutować nad sytuacją Polaków na Śląsku po zwycięstwie Rosjan, czy Austrii, a właściwie Niemiec, bo już we wrześniu 1914 roku potencjał militarny i pozycja polityczna monarchii habsburskiej tak się obniżyła, że trudno już było ją traktować jako spolegliwego

i niezależnego od Niemca protektora polskich dążeń niepodległościowych.

Ocenić natomiast trzeba postawę owych 80% ochotników z Legionu Śląskiego, którzy w szeregach pozostali. Nie kierowała nimi potrzeba wiernego trwania przy Austrii, choć sentymenty do tego politycznego tworu, a szczególnie cesarza Franciszka Józefa mogły pewną rolę odegrać. Pozostali w legionowych szeregach, bo było to zgodne z ich patriotycznymi, polskimi przekonaniami, które zostały im zaszczepione w rodzinach, środowiskach gminnych, towarzystwach narodowych w czasie wieloletnich oddziaływań wychowawczych, szczególnie intensywnych w ostatnim miesiącu, a więc w czasie służby w Legionie Śląskim.

Na ówczesnej postawie legionistów w zasadniczej mierze zaważyło poczucie odpowiedzialności przed własną społecznością za los oddziału sformowanego przy tak wielkim nakładzie sił moralnych i środków materialnych. Nie mogli oni sprzeniewierzyć się wyznawanym dotąd ideałom, bo były to ideały ich środowisk. Rozkład Legionu Śląskiego stanowiłby wielką kompromitację i twardy cios dla ruchu narodowego na Śląsku. Dużą zasługę w przetrwaniu ciężkiej próby trzeba przypisać oficerom, szczególnie Hieronimowi Przepilińskiemu, który dla dowódców i żołnierzy był niekwestionowanym autorytetem moralnym.

Po latach, bo w 1929 roku na Zjeździe Legionistów Polskich Okręgu Śląskiego, Stefan Pasłowski, we wrześniu 1914 roku adiutant dowódcy formującego się w ramach Legionu Wschodniego 3 pułku piechoty, na przełomie lat 1914-1915 dowódca 2 śląskiej kompanii 3 pułku a w 1929 roku generał brygady Wojska Polskiego, po opisaniu krytycznej sytuacji w Mszanie Dolnej, w takich słowach ujął ówczesną postawę legionistów ze Śląska: (Hufiec cieszyński) *„przyniósł ze sobą wspaniałe cechy ludu śląskiego – twardość, siłę moralną, odporność na nastroje i wierność niezachwianą idei. Ślązacy w tej przełomowej chwili wlali w nas żywą siłę swych serc i stali się podwaliną 3 pułku"*.

Nie potępiając polityków, którzy z obowiązku, wyprzedzając dzień dzisiejszy, chcieli stworzyć naszej wspólnocie możliwie korzystne warunki egzystencji pod rządami nowych panów, trzeba się z uznaniem odnieść do postawy tych, którzy pozostali wiernymi sobie. Pewnie, że wątpliwym wyborem było budowanie na zaufaniu do Austrii, a tym więcej do jej potężnego sojusznika - Niemiec, ale dokonywanie politycznych wyborów nie należało do tych żołnierzy. Nie widząc dobrego wyboru zachowali się oni tak, jak owe Juliusza Słowackiego „kamienie przez Boga rzucane na szaniec", i na miarę swych niewielkich sił, ale przy wielkim poczuciu obowiązku, w niejasnej, trudnej sytuacji oddziałali zgodnie ze swą wiarą na nieprzejrzyste meandry historii, prowadzące w ostateczności, przy przeróżnych komplikacjach do Niepodległej.

EDWARD BUŁAWA

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (2)

Już kilka razy dokładnie przewertowałem zdobyte, na maszynie przepisane, rozdziały pamiętnika mego krewniaka Alojzego Nowoka z Ropicy. Arkusze maszynopisu nie są ponumerowane, więc tekst starałem się uporządkować według tego, jak opisane w nim wydarzenia i przeżycia autora prawdopodobnie po sobie następowały.

Żywię nadzieję, że poniższy, kolejny fragment pamiętników mego wujka zainteresuje czytelników w takim samym stopniu jak fragmenty opublikowane w Zwrocie nr 11 z 1994 r. i nr 10 z 1996.

Starsi i młodsi czytelnicy przypomną sobie przy czytaniu tych wspomnień, jak dowiadywali się o dawniej minionych czasach z opowiadań swych rodziców czy też „starzyków".

A dzisiejsza młodzież – studenci i inni – jeżeli pamiętniki te przeczytają, to dowiedzą się, co ówczesna młodzież na Śląsku Cieszyńskim robiła, czym się interesowała.

JAN MACURA

KONSPIRACJA SZTUBACKA

Bardzo wiele spotkań i spraw z kolegami załatwiałem – jeżeli pogoda dopisywała – w naszym sadzie. Więc warto mu poświęcić kilka zdań.

Któżby to nie pamiętał tego sadu owocowego zaczarowanego ręką naszego ojca, znanego w okolicy czarodzieja sadów? Sad położony był na dogodnej wyniosłości w podbeskidzkiej Ropicy tuż nad doliną bystrej rzeczki Ropiczanki wpadającej o trzy kilometry dalej na północ do błękitnej Olzy. W tym sadzie zakwitało co roku kilkadziesiąt różnego gatunku i wyboru jabłoni i grusz, a na południowym przedpolu naszego domu czerniało siedem rzędów pni śliwek węgierek. Toteż sad naszego ojca cieszył się opinią najpiękniejszego i najdorodniejszego nie tylko w naszej rodzinnej Ropicy, lecz i w szerokiej okolicy.

W sadzie tym raczyłem owocami nieraz w pogodne dni letnie moich kolegów szkolnych, a działo się to zawsze bez najmniejszego sprzeciwu moich rodziców. Z sadu tego wyniosłem niejeden plecak jabłek i gruszek dla moich współlokatorów zamieszkałych w bursie Macierzy Szkolnej czy też w internacie im. Melchiora Grodzieckiego w Cieszynie. Nieraz też przychodziły na zaproszenie mej matki ubogie staruszki jak Huczałowa, Tomalowa, Habreczkowa, Waniołkowa, aby nazbierać sobie gruszek i jabłek. Nie żałował też ojciec słodkich owoców ptakom, gdyż na każdym wyższym drzewie robił dla nich kadłubki.

W latach dobrych urodzajów mnóstwo było pracy, lecz i uciechy

w sadzie. Zbieranie i sortowanie, krajanie i suszenie owoców w dwóch suszarniach zabierało dużo czasu i licznych przysparzało kłopotów. Bardzo uciążliwe było gotowanie powideł ze śliwek. Powidła były przechowywane w specjalnym drewnianym korycie na strychu, pokryte płótnem. Trzymały się w ten sposób do zbioru śliwek i gotowania nowych powideł w następnym roku. Jeżeli były upały i suchy rok, to pod koniec powidła były tak twarde, że trzeba było je rąbać siekierką. Ogólny bilans rachunków i wysiłków związanych z sadem był jednak zawsze dodatni. Nieraz płaciło się podatki wyłącznie ze zbiorów owoców, a nawet i do miejscowej kasy oszczędnościowej prowadzonej przez kierownika szkoły Józefa Brodę wpłynęło często zaoszczędzonych z tego tytułu kilka setek i to zwykle w złotych koronach cesarskich.

Nadmiar świeżych i suszonych owoców sprzedawało się w Cieszynie na Starym Targu. Dużo suszonych owoców czyli „pieczek" wynosiłem z domu przeważnie w okresie zimowym ukradkiem, lecz za cichą zgodą matki i po kryjomu przed innymi domownikami w kieszeniach i torbie szkolnej dla kolegów szkolnych. Często jednak zdarzało się, że pieczek do szkoły nie przyniosłem i wówczas niektórzy z kolegów upominali się o nie natrętnie i przeprowadzali rewizję w moich kieszeniach i torbie szkolnej. W takich chwilach obiecywałem, że jutro pieczki będą i słowa zwykle dotrzymywałem.

Kilka koszyków tych pieczek było w każdym roku przeznaczone i zarezerwowane dla klekotaczy wielkanocnych, którzy w każdy Wielki Czwartek, Wielki Piątek i Wielką Sobotę krążyli pod dowództwem mojego brata ciotecznego Franciszka Brannego, dobrze znanego szefa ministrantów i klekotaczy, w dużej chmarze po Ropicy, okrążali po drodze nasz dom i tak długo klekotali pod oknami, dopóki nie otrzymali kilka miarek pieczek.

Nigdy nie było u nas kradzieży owoców z sadu, nawet węgierki, które stały nieogrodzone w siedmiu rzędach w otwartym polu, nigdy nie były łupem smakoszów i łakomczuchów.

Z dobrodziejstw i uroków naszego sadu korzystałem w całej pełni dopiero w czasie ferii szkolnych. Łaziłem albo siadywałem w sadzie i raczyłem się najlepszymi gatunkami wczesnych jabłek, gruszek i śliwek i dużo przy tym czytałem. Rozpoczynałem w młodych latach od kalendarzy, a dotarłem do takich lektur jak „Hrabina żebraczka", „Milioner i śmieciarz", „Żyd wieczny tułacz". Czytałem dużo różnych jarmarcznych i odpustowych „grejcarowych" opowiadań. Później w czwartym i piątym roku szkolnym czytało się już „Robinsona Crusoe", „Chatę Wuja Toma", „Podróże Gulliwera" oraz szereg innych już pożyteczniejszych książek. W gimnazjum zaawansowałem już na czytelnika poważniejszej literatury. Korzystaliśmy przecież do woli z dużej polskiej biblioteki publicznej, którą prowadziła nauczycielka Świbówna. Pochodziła z Brennej, gdzie jej ojciec był kierownikiem szkoły.

Co czy też jakie książki mamy czytać, radzili nam nasi profesorowie.

A mieliśmy w gimnazjum świetnych profesorów, takich jak profesor Mondelski, ksiądz prof. Tomanek i ewangelicko-augsburski ksiądz prof. Stonawski. Profesor Mondelski był szczupłym, słusznego wzrostu brunetem. Darzył nas stale w czasie swoich wykładów historii pogodnym, życzliwym śmiejącym się spojrzeniem. Był nie tylko moim, lecz całej klasy bożyszczem. Nie zapomnę nigdy, jak rozpalał w nas płomień w czasie swoich wykładów o męczennikach Polski porozbiorowej a w szczególności o bohaterach powstania listopadowego i styczniowego. Były to dla mnie i dla wielu innych pasjonujące lekcje. Piękno i żar jego słów rozniecały we mnie, w mej sztubackiej myśli pierwszą i dozgonną miłość do Polski, wyczarowywały wizję przyszłej niepodległej, demokratycznej Polski, gdyż prof. Mondelski snuł nam wizje takiej właśnie Polski.

Drugim moim bożyszczem był ksiądz profesor Tomanek z mojej Ropicy, który swoje lekcje przeznaczone na naukę religii przeplatał często krótkimi, lecz żartobliwymi pogadankami patriotycznymi. Był żarliwym patriotą a przy tym złotoustym mówcą i kaznodzieją. (Ksiądz profesor Tomanek został zamordowany w hitlerowskim obozie koncentracyjnym - przyp. J. M.) *Ogólnym ulubieńcem i pupilem wszystkich uczniów gimnazjum był również nauczyciel religii dla uczniów wyznania ewangelicko-augsburskiego ksiądz profesor Stonawski. Niezapomniana to sylwetka wspaniałego pedagoga. Znał dosłownie wszystkich studentów w całym gimnazjum po imieniu i nazwisku i dla wszystkich znajdował czas na kilka słów i wesołych dowcipów w czasie przerw i zabaw w kiczkę na podwórku szkolnym.*

Ci trzej profesorowie swym patriotyzmem nas tak natchnęli i porwali, że w gimnazjum powstały grupy konspiracyjne.

Mieliśmy jakiś wolny dzień od nauki i byłem w domu. Było ciepło i jak zwykle byłem w ogrodzie, kiedy przyszedł Alojzy Glajc, dowódca naszej szóstki konspiracyjnej w gimnazjum. Chwycił mnie pod ramię, poprowadził w najniżej położony i trudny do obserwacji róg sadu pod stary krzak bzu, rozwinął zawiniątko w starym numerze „Gwiazdki Cieszyńskiej" i pokazał mi ukryty w małym kartoniku pistolet bębenkowy.

– Czy jesteś sam tu w sadzie i czy nas nikt nie zobaczy? – zapytał.

– Tak, jestem sam, gdyż wszyscy pojechali po żyto w pole a mnie pozostawili do pilnowania domu – odparłem.

– Wskaż mi natychmiast kryjówkę, w której będziesz przechowywał ten pistolet – ciągnie dalej Glajc – i przysięgnij mi zaraz, że nikomu, ani ojcu, ani matce nie piśniesz o tej broni ani słowa. Przysięgnij zaraz na krzyż!

– Wyciąga przy tym różaniec z kieszeni, poleca ucałować krzyżyk różańcowy i powtarzać: „Przysięgam na Chrystusa Ukrzyżowanego, że zachowam tajemnicę ukrycia tej broni". Wdrapaliśmy się po drabinie nad oborę i ukryliśmy broń nad świniarnią. Wyrwaliśmy dwie cegły ze sklepienia, wydrążyliśmy odpowiednio głęboką dziurę, do której

włożyliśmy dobrze owinięty w papier pistolet, a następnie nakryliśmy cegłami i sianem.

– Czy umiesz się obchodzić z tym rewolwerem i strzelać z niego? – pyta mnie po opuszczeniu ukrycia Glajc.

– Pewnie, że umiem – odpowiadam – w ubiegłym roku strzelałem już z takiego samego „na wiwat" w czasie Wigilii, a pożyczył mi go mój szwagier Branny ze Sibicy. Nauczył mnie strzelania i podarował mi również dziesięć nabojów do wigilijnego wiwatowania.

– Pamiętaj o tym – mówi Glajc – to specjalne wyróżnienie, że przechowujesz u siebie jedyną broń naszej szóstki. Jutro przysięga w lasku koło trzeciego jazu na Olzie, to jest na cyplu między Olzą a ujściem Ropiczanki do Olzy. Masz przybyć tam punktualnie o godzinie czwartej po południu i to razem z Gajdaczkiem, którego dzisiaj o tym jeszcze zawiadomisz – po czym uścisnął mi dłoń i oddalił się. Pobiegłem za nim, aby mu sprezentować kilka papierówek oraz trochę czarnych dojrzałych czereśni.

Do przysięgi zgłosiła się punktualnie i w komplecie nasza szóstka, a więc dowódca szóstki Alojzy Glajc, Ludwik Zych, Henryk Niemiec, Bernard Adamecki, Alojzy Gajdaczek i ja. Spenetrowaliśmy dokładnie zarośla i kępy drzew rosnące gęsto na cyplu między Olzą i Ropiczanką. Była w nich pustka i tylko na polach Sibicy blisko torów kolei grabiła jakaś stareczka mierzwę po sprzątniętym życie.

Mimo woli obserwuję całą szóstkę zebraną na polance pod drzewem. Wszyscy byli skupieni i przejęci powagą chwili, zdradzając widoczną tremę. Tylko Ludwik Zych, starszy od nas wszystkich o kilka lat, najbardziej rosły i barczysty blondyn o pogodnie uśmiechniętej twarzy zachowywał kamienny spokój. Henryk Niemiec wyciągnął skrzypce z futerału i zagrał pianissimo melodię: „Gdy naród do boju" i „Patrz Kościuszko na nas z nieba".

Wreszcie Glajc wyciąga z kieszeni różaniec, bada wzrokiem najbliższe kępy zarośli, podaje nam kolejno do ucałowania krzyżyk różańcowy i poleca powtarzać za sobą półgłosem słowa przysięgi: „Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu – w Trójcy Świętej Jedynemu – że z wszelkich sił moich – walczyć będę – o niepodległą Polskę – o Polskę wolnego ludu – złączoną na wieki – z naszą śląską ziemią – tajemnicy naszej – będę strzegł – tak mi dopomóż Bóg!"

Słowa przysięgi powtarzaliśmy prawie szeptem w spokojnym skupieniu, tylko Adamecki, choć zwykle z lekka zadziorny i uśmiechnięty, rozpłakał się trochę. Ja przysięgałem z ogromną tremą i wzruszeniem i wyraźnie się jąkałem.

– W niedługim czasie przeprowadzimy ćwiczenie strzelania. O dokładnym terminie i miejscu ćwiczenia zawiadomię – oświadczył Glajc, pożegnał się z nami i oddalił w kierunku na drewnianą ławkę dla pieszych nad Olzą w Błogocicach. Zych, Niemiec i Adamecki oddalili się w kierunku parku Sikory.

Wracałem i ja do domu z Gajdaczkiem wydeptaną ścieżką na

wałach Ropiczanki. Kroczyliśmy obaj w milczeniu i konspiracyjnym zadumaniu, nasyceni i oszołomieni wrażeniami dzisiejszej przygody, przepojeni i przejęci patosem i świętością tekstu przysięgi. Ledwie spostrzegliśmy, jak koło mostu drogowego nad Ropiczanką na Balinach dołączył do nas mój brat cioteczny Franciszek Branny z Żukowa Dolnego. W gimnazjum wzywano i nawoływano go drugim jego imieniem a więc Andrzejem, gdyż uczęszczał stale do tej samej klasy ze swoim bratem stryjecznym a równocześnie moim drugim bratem cioteczny, również Franciszkiem Brannym z Ropicy.

– Skąd wracacie? – zapytuje kuzyn Andrzej z Żukowa.

– Byliśmy w kinie – kłamię co żywo – a ty skąd idziesz Andrzejku?

– Wracam z treningu piłkarskiego klubu sportowego „Piast", gdzie, jak ci przecież wiadomo, jestem razem ze Śliwką lewym obrońcą w pierwszej jedenastce klubu. Dzisiaj był ostatni trening przed niedzielnym meczem z Niemcami. Robota będzie ciężka, gdyż drużyna silna, lecz musimy wygrać. Chyba i wy dwaj przyjdziecie na mecz z pomocą jako życzliwi kibice.

– Obiecuję ci solennie, że przyjdę z kibicami, których już podaję imiennie: Alojzy Tomanek ten z młyna, Franciszek Tomanek znad Olzy, Alojzy Gajdaczek, Andrzej Niedoba.

Tuż za mostkiem na zakręcie już na gruntach ropickich wyłania się nagle ruchliwa i znana nam wszystkich sylwetka księdza profesora Tomanka. Wracał do Cieszyna z odwiedzin u swoich rodziców, właścicieli młyna w Ropicy.

– Niech będzie pochwalony! – pozdrawiamy chórem księdza Tomanka.

– Na wieki wieków – odpowiada – a skąd to juniorzy wracają o tej porze krętymi ścieżkami?

– Młodzież wraca z kina – wskazuje na nas z pobłażliuym lekceważeniem krępy Andrzej – a ja z próbnego strzelania piłkarskiego do Niemców, gdyż w niedzielę gramy z nimi mecz i proszę również o zaszczycenie tej imprezy swoją obecnością, o zasilenie szeregów polskich kibiców, a tym samym przyczynek do walnego zwycięstwa Polaków.

– Nie moje miejsce na tym meczu, lecz mam nadzieję, że sprawicie Niemcom na boisku piłkarskim piłkarski Grunwald.

– Przyrzekam – odpowiada Andrzej – że będę walczył o wysokie zwycięstwo polskiej drużyny i jestem przekonany, że w ten sposób przyczynię się w pewnej maleńkiej cząsteczce do rozsławienia naszego polskiego sportu piłkarskiego na Śląsku.

– Tylko nauki i książek przy tym nie wolno zaniedbywać – odzywa się ksiądz Tomanek.

– Książki nasze i tak niedługo spoczną na półkach i zamienimy je na karabiny – mówi Andrzej Branny – starzy ciągle coś przebąkują o zbliżającej się wojnie.

– Tak, na Bałkanach i w całej Europie śmierdzi prochem – ciągnie ksiądz Tomanek – mówiliśmy również dopiero co o tym u rodziców,

skąd wracam. Ksiądz poseł Londzin również przepowiada rychły wybuch wojny i zmartwychwstanie Polski. Trafnie tu stwierdził Andrzej Branny, że książki w czasie wojny leżą na półkach i gryzą je mole, gdyż jak mówi stare przysłowie rzymskie: „Inter arma silent libelli" – w czasie wojny milkną książki.

– Mówi nam tu ksiądz profesor słowa – wtrąca Gajdaczek – że z przyszłej wojny odrodzi się nowa Polska jak feniks z popiołów. Jestem ciekawy jakie to rządy będą w tej przyszłej Polsce i czy będzie tak, jak dawniej szlachecką Polską, czy konstytucyjną monarchią na wzór austriacki, czy też republiką na wzór francuski? Czy do tej Polski będzie należał nasz zamieszkały przez ludność polską Śląsk?

– Nieraz prowadziliśmy gorące dyskusje na ten temat w gronie naszych posłów, a więc z posłami księdzem Londzinem, Michejdą, Regerem i wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że przyszła Polska nie może być królestwem ani też Polską szlachecką, lecz winna być demokratyczną republiką, rządzoną przez przedstawicieli głównych warstw Narodu – chłopów, robotników i mieszczan. Przyszła Polska winna być przede wszystkim matką i opiekunką ubogich. Granice na Śląsku muszą być wytyczone na zasadach etnicznych, a więc granicznymi miejscowościami – wioskami, które przypadną Polsce, winny być miejscowości o większości Polaków. Nasza Ropica, Trzycież, Gnojnik winny więc z tego tytułu należeć do Polski.

– Mnie to jest obojętne, kto będzie rządził tą nową Polską – przerywa Gajdaczek – grunt, że będzie wolna i niepodległa.

– Nie jest to obojętne – kończy ksiądz Tomanek – gdyż chłopi, robotnicy i stan średni to prawie całość, a szlachta to tylko cienka warstewka śmietanki Narodu. Zresztą trudno nam dzisiaj prorokować, jaka będzie forma rządów tej naszej przyszłej wolnej Polski. Jedno jest pewne, że okres złotej wolności szlacheckiej już nie wróci i wszystko tu będzie miało swój kolejny numer w historycznym czasie i sensie, zgodnie z prawami i szansami rozwojowymi społeczno-ekonomicznymi. A więc mowy nie może tu być o ponownym ujęciu władzy przez szlachtę, lecz tylko o oddaniu steru rządów w ręce przedstawicieli większości Narodu, to jest chłopów, robotników, mieszczaństwa, inteligencji. Oczywiście drogą wolnych wyborów parlamentarnych, gdyż tylko takie wybory dają pełną gwarancję swobodnej i nieskrępowanej woli Narodu i mogą doprowadzić do prawdziwie demokratycznego ustroju – zakończył swoje refleksje ksiądz Tomanek i pożegnał się z nami.

Wracaliśmy do domów koło młyna rodziców księdza Tomanka zadumani nad słowami naszego profesora.

Koło gospody gminnej Smolki czyli koło „woleństwa" skręciliśmy na drogę do Trzycieża, a potem na piękną cienistą groblę nad stawami pana barona, z której podziwialiśmy cmokające olbrzymie karpie w wodzie. Cały czas towarzyszył nam wrzask pawi z pobliskiego parku zamkowego.

ALOJZY NOWOK


Kennkarte
Teschen
Kennnummer A 002258
gültig bis 1. Januar 19 SP
Name
Vornamen
Geburtstag 26. August 1922
Geburtsort
Beruf Arbeiter
Besondere Kennzeichen
Unterschrift
A Nr. 1360228
Der Landrat
als Kreispolizeibehörde

MOJE WOJENNE WSPOMNIENIA...

Gustaw Fukała urodził się 26 sierpnia 1922 roku w Olbrachcicach jako pierworodny syn Jana i Anny z domu Bubik.

Chodził do Polskiej Szkoły Ludowej w Olbrachcicach i Stanisłowicach a od 1931 do Karwiny, gdzie przeprowadzili się rodzice. W roku szkolnym 1937/38 uczęszczał na „Jednoroczny kurs naukowy" przy szkole wydziałowej a później do Gimnazjum Kupieckiego w Cieszynie. Od 1934 był członkiem Związku Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji w drużynie im. T.Kościuszki w Karwinie a później w 2 drużynie księcia J. Poniatowskiego. Od 1937 był członkiem Związku Ewangelickiej Młodzieży. W czasie II wojny światowej uczestniczył w kampanii wrześniowej a po powrocie na Zaolzie i po aresztowaniu przez gestapo za działalność antyhitlerowską w Karwinie, przebywał w kilku więzieniach. Po wyzwoleniu od 12 VI 1945 zaczął pracować jako urzędnik w gospodarstwie rolnym w Suchej Górnej. Od 1 IV 1948 do 31 XII 1948 roku pracował w dyrekcji Ostrawsko-Karwińskiego Zagłębia jako urzędnik a od 1 I 1949 do 28 II 1949 w kopalni Dąbrowa – również jako urzędnik. Od 1 III 1949 roku zaczął pracować w kopalni Dukla na różnych stanowiskach m. in. jako sekretarz dyrektora kopalni. Dziś jest na emeryturze.

W październiku 1938 Zaolzie zostało anektowane i przyłączone do Polski. Wytwarzano grupy ochrony przeciwlotniczej, powoływano do broni rezerwistów itd.

Dnia 21 sierpnia 1939 roku zostałem powołany do służby w ochronie przeciwlotniczej w Karwinie. Nasz punkt obserwacyjny znajdował się w Karwinie–Solcy na hałdzie kopalni Gabriela.

Dnia 1 września 1939 roku od 00.01 godz. byłem z kolegą na posterunku. Nad ranem około godz. 4.30 zauważyliśmy na niebie niemieckie samoloty. Informację tę zgłosiliśmy telefonicznie komendzie miasta. Samoloty leciały od Bogumina w kierunku Cieszyna. W mieście ogłoszony został alarm. A więc wojna – pomyślałem. Niemcy napadli na Polskę – bez wypowiedzenia wojny – w nocy...

Według rozkazu naczelnego komendanta nasza grupa obrony prze-

ciwlotniczej z Karwiny-Solcy postępowała stale na wschód przez Skoczów, Bielsko, Kęty, Wadowice, Kraków, Tarnów, Dębicę, Rzeszów, Jarosławów, Przemyśl aż do miasta Żółkiew. Tam nas ulokowano w koszarach wojskowych „Batalionu Rowerzystów Żółkiew".

Podczas naszej wędrówki piechotą, pociągiem czy na rowerze, ciągle nad głowami widzieliśmy i słyszeliśmy warkot niemieckich samolotów. Śmiercionośne bomby padały na tory kolejowe, drogi i miasta.

Nie zapomnę tych strasznych chwil, kiedy ginęły dzieci, matki,... ginęli ludzie. Nawet dorośli nie mogli zrozumieć, dlaczego giną, czym zawinili? Trudno wyrazić słowami straszny obraz wrześniowych dni 1939 roku. Niemcy co dzień odnawiali swoje lotnicze ataki, tylko miejsca i twarze niewinnych ofiar były inne.

W koszarach batalionu Żółkiew wstąpiliśmy z kolegą Karolem Tobołą jako ochotnicy do Wojska Polskiego. Otrzymaliśmy mundury, karabin i ekwipunek żołnierza. Po kilku dniach odjechaliśmy na rowerach na pole walki. Nocami spaliśmy w stodołach u rolników. Właścicielami byli Polacy lub Ukraińcy. Rowery zostawiliśmy na drodze. Tam już nie było dróg, ale pola, rowy, doliny i wzgórza. Od zachodu dolatywał odgłos walki. Tyralierą postępowaliśmy naprzód z karabinami w ręku.

Tam przykuły nas do ziemi wystrzały z niemieckich karabinów. Dostaliśmy rozkaz - zająć obronne pozycje. Całe popołudnie i noc leżeliśmy na wzgórzu na ziemi a naprzeciw nas Niemcy. Wieczorem i przez całą noc oddawano pojedyncze strzały z obu stron. Tu i tam za nami padały pociski artylerii. Rano zaczął ogień przybierać na sile. Do walki włączyła się również nasza artyleria. Obok mnie leżał oficer-artylerzysta, który obserwował przed nami ruchy żołnierzy niemieckich. Telefonicznie podawał dowódcy baterii namiary gniazd karabinów maszynowych nieprzyjaciela. W pewnej chwili oficer artylerii zwrócił mi uwagę, że mam pod sobą krew. Przestałem strzelać - dopiero wtedy poczułem ból w lewym ramieniu i lewej nodze. O własnych siłach doszedłem do miejsca pierwszej pomocy. Załadowano nas do samochodów i odwieziono do szpitala - już nie pamiętam czy był to mały zamek, czy szkoła. Za kilka dni nasz szpital został ewakuowany. Przewieziono nas do Lwowa - do „Cytadeli". Nie pamiętam już dat naszego przyjazdu do Żółkwi, odjazdu na rowerach na front i kiedy dokładnie zostałem ranny. Było to mniej więcej między 4 i 10 września 1939 roku. Pamiętam, iż 16 września 1939 byłem u lekarza, rany nie były jeszcze zagojone. Otrzymałem nowy opatrunek i miałem jeszcze kilka dni zostać w „Cytadeli". Sytuacja we Lwowie zaczęła być niewyraźna. W dniach 17 lub 18 września 1939 roku do Lwowa wstą-

piła armia Związku Radzieckiego. W tym czasie byliśmy już w mieście i nikt się o nas nie troszczył i nie wydawał rozkazów. Wszędzie było dużo żołnierzy polskich, radzieckich i ludności cywilnej. Nikt nie wiedział, co się dzieje, co się stało. W tej zawierusze poznałem dwóch starszych żołnierzy, którzy pochodzili ze Śląska. Byli starsi, doświadczeni. Zaproponowali mi, że wyjedziemy stamtąd. Razem z żołnierzami wsiadłem do pociągu towarowego i jechaliśmy, nie wiedząc dokąd. Przyjechaliśmy aż do Łucka. Tam była taka sama sytuacja jak we Lwowie. Najgorzej było z jedzeniem, ale były placówki, gdzie podawano przynajmniej ciepłe zupy. Mizernie było z noclegami. Ze mną było nie najgorzej, bo od pewnych dobrych ludzi otrzymałem we Lwowie 300 papierosów, a za nie wyhandlowałem jedzenie i inne potrzebne rzeczy. Znalazłem się jednak w niewesołej sytuacji... młody, niedoświadczony, daleko od stron rodzinnych.

Moi starsi koledzy - żołnierze - zaproponowali, że wrócimy do domu. Wracaliśmy tą samą drogą przez Lwów, Gródek Jagielloński. Aż do rzeki San w Przemyślu szło łatwo. Nie zwracano na nas uwagi. Ale za Sanem była sytuacja groźna, tam byli już Niemcy. Z pomocą Polaków dostaliśmy się koło Przemyśla przez San. Jechaliśmy ostrożnie, ażeby nie zauważyły nas patrole Wehrmachtu lub policji niemieckiej. Tak było aż do Krakowa i Katowic. Z Katowic przez Dziedzice aż do Zebrzydowic jechałem już pociągiem osobowym a stamtąd już piechotą przez Frysztat do Karwiny. Było już ciemno, kiedy z frysztackiego rynku poszedłem w kierunku żelaznego mostu przez Olzę. Mostu nie było. Wycofujący się żołnierze wyrzucili go w powietrze. Zawróciłem do miasta, by przejść przez żelaznobetonowy most w Darkowie. Nie miałem żadnego dowodu osobistego, dlatego musiałem omijać placówki kontrolne. W końcu udało mi się dojść do domu. Radość była wielka.

Wszyscy mieliśmy nadzieję, że wojna nie może długo trwać. Ale mijał miesiąc za miesiącem, a wojna się nie kończyła. Nie mogłem ciągle być tylko w domu, więc od 1 lutego 1940 zacząłem pracować jako robotnik i uczeń stolarski u stolarza A. Burdy w Karwinie.

W dniach 8 - 12 marca 1940 roku gestapo aresztowało mnie i mego ojca - za kolportowanie i rozszerzanie polskich ulotek. Przewieziono nas na gestapo w Karwinie II - naprzeciwko hotelu Gwarectwa (dziś już zburzonego). W jaki sposób były prowadzone przesłuchania na gestapo, trudno dziś opisać. Wspomnę tylko, że każdy z przesłuchujących gestapowców obok maszyny do pisania miał na jednej stronie gumową pałkę a po drugiej pistolet.

Po przesłuchaniu przyprowadzili nas na policję naprzeciwko karwińskiego ratusza - 100 m od naszego mieszkania. Tam nam ode-

brano wszystkie rzeczy, które mieliśmy przy sobie - szelki, paski, grzebienie, sznurki do butów, szaliki - i zamknięto w piwnicy pod ratuszem. Tam spędziliśmy trzy tygodnie. Skromne jedzenie noszono nam z restauracji, a rachunki musiała zapłacić rodzina.

Pamiętam kiedy w pierwsze święto Wielkanocne wyprowadzono nas do parku za ratuszem na ćwiczenia gimnastyczne. Właśnie w tej chwili ludzie wychodzili z katolickiego kościoła i widzieli nas brudnych, jak na rozkaz strażników wykonywaliśmy ruchy gimnastyczne. Co to był za pomysł - rozkaz - ręce w górę, kiedy spodnie bez szelek czy bez pasków leciały w dół. Policjanci, którzy nas pilnowali widząc zbierające się tłumy, wpędzili nas z powrotem do piwnicy.

Dnia 2 kwietnia 1940 roku przewieziono nas samochodami ciężarowymi do frysztackiego więzienia. Czasem rąbaliśmy drewno na opał, pracowaliśmy w ogrodzie albo wychodziliśmy z uzbrojonym stróżem (Drapa, Tesarczyk, Holesch) do miasta po zakupy towarów do kuchni. Kiedy byliśmy w celach splataliśmy z celofanowych papierów sznurki o wyznaczonej szerokości i grubości, które były odsyłane do fabryk mebli.

W tym czasie gestapo przygotowało nasze akta dla prokuratora. Niespodziewanie dnia 26 października 1940 roku na więzienne podwórze w Frysztacie przyjechały dwa policyjne samochody ciężarowe z uzbrojonymi policjantami. Dowiedzieliśmy się, że pojedziemy do Wrocławia. W drodze nie wolno było nam rozmawiać. Po przyjeździe zobaczyliśmy duże więzienie w formie pięcioramiennej gwiazdy. Po zaewidowaniu każdego odebrano nam cywilne ubranie i rzeczy osobiste. Otrzymaliśmy ubranie więzienne i pojedynczo rozmieszczono nas w celach. Nie pamiętam już jednak ani piętra, ani numeru celi, w której przebywałem. Musieliśmy pracować: lepić opakowania na proszek, robić kosze z wikliny, skubać pierze, malować zabawki (żołnierzy). Wkrótce poinformowano nas, że odbędzie się sąd. Rozprawa trwała trzy dni od 4 do 6 listopada 1940 roku. 2 Senat des Volksgerichts Berlin rozpartywał sprawę karną przeciwko górnikowi Józefowi Kwiczalowi i dalszym za przygotowanie zdrady państwa - „Vorbereitung zum Hochverrat" - pod liczbą ewidencyjną 8 J 253/40.

Wyroki brzmiały od 6 miesięcy do 4,5 lat więzienia albo ciężkiego karnego więzienia i pozbawienie praw obywatelskich. Wyrok brzmiał: 1 rok i 9 miesięcy więzienia dla mnie a 2 i pół roku ciężkiego więzienia dla ojca. Po raz ostatni widziałem się z ojcem na rozprawie sądowej po wysłuchaniu wyroku 6 listopada 1940 roku. Nie wolno było z sobą rozmawiać, więc pożegnaliśmy się tylko oczami. Nie przypuszczałem, że widzę ojca po raz ostatni...

Po wyroku krótki czas pracowałem w fabryce mebli w Wrocławiu.

Już nie pamiętam kiedy, lecz przypuszczam, że około 15 grudnia 1940 roku zostałem przewieziony do innego więzienia. Na dworzec do Wrocławia przewieźli nas wraz z kilkoma innymi więźniami w kajdanach samochodem. Załadowano nas do specjalnego wagonu nazywanego „więźniarką". W transporcie nie zauważyłem ojca ani nikogo ze znajomych. Zostałem sam. Ulokowano nas w małym przedziale bez okna o rozmiarach 1.20 x 1.70 m, 4 więźniów za zamkniętymi drzwiami. U góry było małe zakratowane okienko. Nikt z nas nie wiedział, dokąd jedziemy. Po kilkugodzinnej podróży pociąg zatrzymał się. Po dłuższym czekaniu drzwi otworzył policjant i kazał mi wyjść. Zakutego w kajdany wyprowadzono mnie przed dworzec, gdzie czekał samochód. Po krótkim czasie samochód się zatrzymał. Padł rozkaz „austeigen". Wysiadłem. Dwóch policjantów konwojowało mnie do więzienia. Za chwilę otworzyły się żelazne drzwi i stanąłem na terenie nowego więzienia. Byłem w więzieniu bytomskim.

Po zaewidowaniu zabrano mi ponownie cywilne ubranie i wszystkie rzeczy osobiste. Otrzymałem więzienne ubranie i drewniane buty. Na początku pracowałem przy rąbaniu drzewa, skubaniu pierza i w stolarni. Pierwsze Święta Bożego Narodzenia po aresztowaniu spędziłem już w Bytomiu, w celi na parterze jako „Politischverbrecher" - polityczny zbrodniarz - jak mnie nazywano.

Po 1 stycznia 1941 przeprowadzono mnie do innego bloku na 1. piętro, gdzie byli ulokowani więźniowie, którzy wychodzili pracować za mury więzienne do huty. Zacząłem pracować jako robotnik w „Jülienhütte" najpierw na popołudniowej zmianie a później rano. Od bramy więzienia woził nas specjalny tramwaj a potem 2 - 3 km piechotą zawsze z eskortą.

Nie zapomnę zim w latach 1940/41 i 1941/42. Nasze ubrania były jednakowe na lato i na zimę. Tylko na zimę każdy otrzymywał jeszcze jedną bluzę bez podszewki, rękawice jednopalcowe, kawałek cienkiego sukna - niby szalik i ochronę na uszy. Z początku pracowałem przede wszystkim na podwórzu huty, przy wielkich piecach, przy wyładowywaniu rudy żelaznej z wagonów itd., potem przy napełnianiu wozów koksem i innymi materiałami. Pracowałem też jako pomocnik przy martenowskich piecach.

Co dzień przeprowadzano u każdego więźnia dokładną rewizję. Nie wolno było do więzienia niczego przynosić. Każdy więzień musiał rozpiąć bluzę, ażeby „Wachmeister" mógł rękami przeszukać więźnia. Każdy z nas chciał się przed mrozem i przeziębieniem chronić. Ja w tym celu uszyłem sobie z worka znalezionego w wagonie podszewkę. Zawsze przy rewizji po odsłonięciu koszuli zakrywałem moją podszewkę bluzą. W czasie jednej rewizji „Wachmeister" zauważył

moją podszewkę. Wszystko ze mnie zerwał aż do koszuli i „poczęstował" kopniakami. Tylko w koszuli i spodniach pędzony „Hausvatrem" przez całe podwórze zatrzymałem się dopiero przy magazynie. Tam otrzymałem inne, nie nowe, ale czyste ubranie, rzecz jasna już bez podszewki. Na mój argument, że jest mi zimno, otrzymałem odpowiedź, że zagrzewać się muszę pracą. Od tej chwili byłem śledzony i nie mogłem ani na moment pomyśleć o polepszeniu więziennego ubrania.

Według regulaminu więziennego mogliśmy co 4 tygodnie napisać list do krewnych. Korzystałem z tej możliwości i pisałem. Byłem szczęśliwy, że mogłem napisać i dać znać, że jestem zdrów, że żyję. Był to jedyny kontakt ze stronami rodzinnymi, z rodziną. Korespondencja musiała być w języku niemieckim. Listy moje dawałem napisać kolegom - Polakom, którzy mieli język niemiecki lepiej opanowany.

Regulamin więzienny umożliwiał również najbliższym krewnym odwiedziny więźniów. Dnia 9 kwietnia 1941 roku przyszedł po mnie „Wachmeister" do celi i zaprowadził mnie do pokoju, gdzie była moja matka, która przyszła mnie odwiedzić. Rozmawialiśmy. Padały pytania i odpowiedzi. Po kilku minutach rozmowy matka wyciągnęła z torebki ciasto i zapytała strażnika, czy może mi oddać, lecz stróż odpowiedział „verboten". Jeszcze chwilę rozmawialiśmy, kiedy strażnik zakończył widzenie słowami „Ende". Rozstaliśmy się z nadzieją, że się wkrótce spotkamy.

Byłem wdzięczny za odwiedziny i tych kilka chwil naszej rozmowy. Uświadamiałem sobie, że chociaż nie miała środków do życia, przyjechała mnie odwiedzić.

Matkę ujrzałem w bytomskim więzieniu jeszcze raz dnia 27 sierpnia 1941 roku. Widzenie odbyło się znowu według regulaminu w obecności strażnika.

Mijały dni i tygodnie. Z niecierpliwością czekałem na dzień mego zwolnienia. Ciągle pracowałem w hucie przy różnych pracach.

Podczas mego pobytu w Bytomiu spotkałem się z kolegą Leopoldem Suchankiem z Karwiny, którego tak samo jak nas aresztowano w marcu 1940 roku, ale po wyroku we Wrocławiu był zwolniony. Do więzienia na 6 miesięcy poszedł dopiero w 1941 roku.

Czas mijał i znowu nadeszły Święta Bożego Narodzenia 1941 roku. Dzień wigilijny spędziłem w towarzystwie 30 współwięźniów. Wszyscy, po niczym nie różniącej się od innych kolacji - misce zupy, poszliśmy spać. Dnia 5 stycznia 1942 roku otrzymałem wieczorem rozkaz, że dnia 6 stycznia mam zostać w celi - nie odchodzić rano do pracy. Zostałem. Około godz. 8.00 rano przyszedł „Wachmeister". Rozkazał spakować wszystkie rzeczy i zabrać je ze sobą.

Zaprowadzono mnie do kancelarii, gdzie zaewidowano mnie w grudniu 1940 roku. Wszystkie rzeczy, które przyniosłem z celi „Wachmeister" kontrolował i odebrał. Pomyślałem, że być może zostanę zwolniony... Rzeczywiście, za chwilę strażnik przyniósł moje cywilne ubranie i moją bieliznę. Pomyślałem: teraz otrzymam „Entlassungschein" i pojadę do domu. Jak strasznie byłem zdziwiony, kiedy po otrzymaniu kilku zarobionych RM, dwóch policjantów odeskortowało mnie na Polizeigefängnis w Bytomiu. Tam zamknięto mnie w celi, w której już było kilku więźniów. Od nich dowiedziałem się, że czekają na transport. Myślałem o najgorszym, o transporcie do obozu koncentracyjnego...

Dopiero 13 stycznia 1942 zostałem zwolniony. Nie otrzymałem żadnego Entlassungscheinu. Dostałem rozkaz, że po powrocie do domu muszę się zgłosić na posterunku policji w Karwinie. Najbliższym pociągiem pojechałem do Katowic i przez Tychy, Pszczynę do Dziedzic. Tam wysiadłem i czekałem na pociąg w kierunku Zebrzydowic, Piotrowic i Bogumina. W Boguminie czekałem 30 - 45 minut i pociągiem osobowym odjechałem do Karwiny. Z drżącym sercem poszedłem w kierunku naszego domu. Dziś już dworzec kolejowy, nasz dom, wszystkie budynki i domy mieszkalne, rafinerię, octownię, browar, ratusz, dworzec tramwajowy, kościół - wszystko zburzono.

Około północy 14 stycznia 1942 zadzwoniłem do naszego mieszkania. Drzwi otworzyła moja matka, na schodach pojawiły się siostry. Uściski i radość były przerywane myślami o ojcu, który przebywał w więzieniu w Rawiczu. Zmęczony podróżą i katorgą zasnąłem. Nazajutrz poszedłem zgłosić się na posterunek policji. Miałem się natychmiast zgłosić się w „Arbeitsamcie" i raz w tygodniu (nie pamiętam już, w którym dniu tygodnia) zgłaszać na policji. Po trzech miesiącach nie musiałem się już zgłaszać.

Poszedłem do firmy Reichert, gdzie pracowali przeważnie Polacy. Od 23 stycznia 1942 zacząłem pracować jako robotnik w kopalni Barbora. Tam pracowałem do 15 marca 1944. Później pracowałem w „Octowni" również jako robotnik aż do 11 czerwca 1945 roku. Tam doczekałem końca wojny...

Na podstawie wspomnień Gustawa Fukały opracował JAN KUBICZEK, pracownik Ośrodka Dokumentacyjnego RP.

Spoglądając z Wysokiej Sowy – najwyższego szczytu Gór Sowich w paśmie Sudetów w kierunku północno-wschodnim, można wzrokiem ogarnąć wielką równinę Dolnego Śląska.

Jak okiem sięgnąć ten sam obraz: miasteczka i wioski otoczone szachownicą małych i dużych pól uprawnych, pomiędzy którymi wyrasta las i pastwiska. Góra Ślęża – „Święty Olimp" dla prasłowian, króluje nad całą tą spokojną, uroczą krainą. Stwarza to możliwość rekreacyjnego wypoczynku, a także ciekawych, odkrywczych wędrówek i zwiedzenia historycznych miast jak: Świdnicy, Wałbrzycha, Dzierżoniowa, Sobótki czy piastowskiego Wrocławia.

U stóp Wysokiej Sowy, wtulona w lekko pofałdowany teren, leżała mała wieś Krzyżowa – Kreisau, należąca do rzymskokatolickiej parafii Św. Anny w Grodziszczu. Znajduje się tu były majątek ziemski starego meklemburskiego rodu, który zapuścił swe korzenie w 1867 na Dolnym Śląsku za sprawą feldmarszałka Helmutha von Moltke. W tym majątku w 1907 roku urodził się hrabia Helmuth James von Moltke, który przez całe swe życie był związany z Krzyżową. Jego matką była Dorota Rose Innes, która urodziła się w Południowej Afryce w rodzinie najwyższego sędziego Unii Południowo-Afrykańskiej, wywodzącej się ze Szkocji. Ojciec natomiast był właścicielem ziemskim.

Helmuth James studiował prawo na uniwersytecie we Wrocławiu, Berlinie i Wiedniu. Z powodu trudności gospodarczych w rodzinnej posiadłości powrócił do Krzyżowej jesienią 1929 roku, po pierwszym egzaminie państwowym, który zdał jako aplikant sądowy. Mając 20 lat przejmuje po ojcu zarząd nad rodzinnym majątkiem. Staje się również powiernikiem wierzycieli dworu i swego ojca. Po śmierci ojca w 1939 roku stał się właścicielem Krzyżowej. Trudne warunki w majątku były dla niego dobrą szkołą życia społecznego. W duchu chrześcijańskiej tolerancji wytrwale i stanowczo wykorzystywał istniejące możliwości. W ciągu lat 1929–1945 wyprowadził ten majątek i wioskę Krzyżową stopniowo z wielkiego zadłużenia do gospodarczego rozkwitu. W roku 1931 poślubił Feyę Deichmann z Kolonii, z którą miał dwóch synów – Konrada i Caspara. Przy pomocy kochających go dziadków z żoną zwiedził ojczyznę swojej matki, gdzie poznał trudną społeczną sytuację tubylców tego kraju.

W 1933 roku do władzy w Niemczech doszedł narodowy socjalizm. Od samego początku do swojej przedwczesnej śmierci Helmuth James von Moltke uważał NSDAP

za zgubną i niebezpieczną partię polityczną zarówno dla Niemiec jak i dla Europy. Przewidział między innymi, że Hitler wypowie światu wojnę. Mógł von Moltke z rodziną pozostać w rasistowskiej Afryce Południowej, lecz pragnął żyć i pracować w Krzyżowej dla rodziny i społeczeństwa europejskiego. Miał zamiar zostać sędzią, lecz gdy zażądano od sędziów wydawania wyroków w oparciu o nazistowskie przepisy prawne, odstąpił od tego zamiaru.

Kiedy wybuchła wojna, zaangażował się w działalność zmierzającą do obalenia „pokojowymi metodami" idei niemieckiego państwa narodowosocjalistycznego i do upadku hitlerowskich Niemiec włącznie. Na ten moment należało się przygotować. Pierwsze konspiracyjne spotkania odbywały się od 1940 roku, w Berlinie przy Hortensienstrasse 50, w mieszkaniu Petera Yorcka von Wartenberga, który z Helmuthem von Moltke stanowił trzon grupy organizatorów. Sam hrabia Moltke był duchownym przywódcą opozycji w III Rzeszy. Ta niemiecka grupa oporu przeciw hitleryzmowi myślała również o Europie jako całości po upadku narodowego socjalizmu. Popierała dialog i współpracę ludzi o różnych poglądach. Ten dialog miałby być podstawą do zjednoczenia się Europy na wzór USA. Dyskutowano nad miejscem Niemiec w rodzinie europejskiej, zajmowano się intensywnie społecznymi i gospodarczymi zadaniami społeczeństwa rolniczo-przemysłowego w duchu chrześcijańskiej i humanistycznej tradycji Europy. Dyskutowano, nad czym pracować, w co wierzyć i w imię czego zaczynać od nowa, zarówno na terenie całej Europy jak i nowych Niemiec; w jaki sposób odbudować obraz człowieka w sercach mieszkańców przyszłej Europy. Było to pytanie o religię, wychowanie, związki z pracą i rodziną, o właściwe proporcje pomiędzy prawem a odpowiedzialnością. W majątku hrabiego von Moltke odbyły się trzy duże zjazdy w maju i w październiku 1942 roku oraz w czasie Zielonych Świąt w roku 1943. Do „Koła Krzyżowej" należały osoby o różnych zawodach i poglądach politycznych czy religijnych. Członkowie grupy szukali sprzymierzeńców w różnych częściach Niemiec, dążyli do międzynarodowej współpracy z ruchami oporu w krajach okupowanych przez hitlerowskie Niemcy. Udało się to tylko w Holandii i Danii, tworząc podstawy do współpracy w przyszłej Europie. Ze zrozumiałych względów trudniej im było znaleźć sprzymierzeńców po stronie alianckiej.

20 lipca 1944 roku hrabia Claus Schenk van Stauffenberg dokonał zamachu na Hitlera. Wiele osób powiązanych z grupą z Krzyżowej brało udział w tym puczu. W tym czasie Helmuth Moltke był już od sześciu miesięcy w więzieniu. Został bowiem aresztowany przez gestapo za ostrzeżenie swego przyjaciela o grożącym jemu zatrzymaniu.

Śledztwo po tej próbie zamachu

doprowadziło do wykrycia sprzysiężenia i do związku z nim hrabiego Helmutha Jamesa von Moltke z Krzyżowej. Oskarżono go o zdradę stanu i wraz z kilkoma przyjaciółmi został przez Trybunał Ludowy 12 stycznia 1945 skazany na śmierć. Dnia 23 stycznia wyrok został wykonany w berlińskim więzieniu Plötzensee.

12 listopada 1989 doszło do historycznego spotkania kanclerza Niemiec Helmutha Kohla z premierem pierwszego niekomunistycznego rząd polskiego, Tadeuszem Mazowieckim. Na dziedzińcu pałacu hrabiego von Moltke uczestniczyli w polowej Mszy św. odprawionej przez biskupa Alfonsa Nossola, ordynariusza opolskiego w obecności biskupa Tadeusza Rybaka, podczas której przekazano sobie liturgiczny znak pokoju i pojednania między sobą narodów polskiego i niemieckiego.

Wrocławski Klub Inteligencji Katolickiej (KIK) w duchu tego spotkania i zgodnie z duchem „Kręgu z Krzyżowej" w 1990 roku utworzył w Krzyżowej d. Kreisau k/Świdnicy, zgodnie z polskim prawem, fundację o nazwie: „Fundacja Krzyżowa dla Porozumienia Europejskiego", która mieści się przy ul. Ofiar Oświęcimskich 7/13 we Wrocławiu. Honorową przewodniczącą jest wdowa Freya von Moltke zamieszkała w USA. Do prezydium Fundacji należą m.in.: dr Ewa Unger (Wrocław) - przewodnicząca, Michał Czapliński (USA), Wim Leenman-Haarlem (Holandia), Stefan Steinlein (Bonn) i Jürgen Teschlow (Frankfurt n/Menem).

Wrocławski KIK we współpracy z Bensberger Kreis od lat starał się szczególnie o poprawę stosunków pomiędzy Polakami a Niemcami. Wspomniana Fundacja pragnie przeto inicjować i wspomagać działania zmierzające ku pokojowemu i naznaczonemu tolerancją współżyciu narodów, grup społecznych i pojedynczych osób, by w ten sposób przyczynić się do polsko-niemieckiego porozumienia i kształtowania się nowej Europy, nawiązując do wspomnianego wyżej „Kręgu z Krzyżowej". Od tej pory Polacy, Niemcy, Holendrzy i Amerykanie różnych światopoglądów, wyznań i poglądów politycznych spotykali się w latach 1989 i 1990 we Wrocławiu i Berlinie w ramach międzynarodowej wspólnoty, by przygotować utworzenie Fundacji finansowanej przede wszystkim przez rząd niemiecki. Znaczną część pieniędzy Niemcy przeznaczyli m.in. z funduszu reinwestowania polskiego zadłużenia wobec RFN. Zgodnie z notą dyplomatyczną ministrów spraw zagranicznych Polski i Niemiec Krzysztofa Skubiszewskiego i Hansa Dietricha Genschera pieniądze na te cele i inwestycje powstające w Krzyżowej rząd niemiecki przekazuje przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Dom spotkań w Krzyżowej ma służyć wszystkim, m.in. młodzieży europejskiej ze Wschodu i z Zachodu, która w duchu ekumenicznym będzie się tu wspólnie poznawać

poprzez pracę, zabawę i modlitwę. Pierwsze tego typu spotkanie odbyło się już w 1989 roku.

Parafia w Grodziszczu już od siedmiu lat dzięki Krzyżowej jest miejscem spotkań młodych nie tylko z Europy, ale i z całego świata, stąd liturgia niedzielna nieraz bywa w dwóch czy więcej językach. W dniach 28 grudnia 1995 do 1 stycznia 1996 Krzyżowa wraz z całą parafią gościła m.in. uczestników Europejskiego Spotkania Młodych TAIZĘ we Wrocławiu z Polski, Litwy i Francji. Obecnie liczy, że również będzie gościć uczestników Kongresu Eucharystycznego we Wrocławiu w 1997 r., na którym ma być obecny Ojciec Św. Jan Paweł II.

Do stałych inicjatyw należy organizowanie corocznej majowej konferencji na poszczególne współczesne, wybrane tematy europejskie przez Fundację „Krzyżowa" dla Porozumienia Europejskiego. Według opracowanego co roku kalendarza odbywają się różnorodne obozy, spotkania partnerskie, seminaria historyczne, kursy językowe, warsztaty plastyczne, teatralne, muzyczne czy dziennikarskie.

ROMAN ALOJZY CHOWANIEC

WISŁAWA SZYMBORSKA

CZWARTY NOBEL DLA POLSKIEJ LITERATURY

Wisława Szymborska (ur. 1923) debiutowała w roku 1952. Od tej pory wydała wiele tomików poetyckich, które zazwyczaj bywały przyjmowane przez krytykę jako wydarzenie literackie. Twórczość poetki odznacza się głęboką refleksją filozoficzną i mistrzostwem formalnym. Któryś z krytyków porównał tę poezję do uśmiechu Giocondy z obrazu Leonarda da Vinci: jest prosta, czytelna, a jednocześnie wymyka się analizom krytycznym, bowiem zwykły dyskurs nie jest w stanie oddać całego jej bogactwa: nastrojowości, ironii, poetyckiego blasku zderzania potocznych zdawałoby się zwrotów, które – postawione obok siebie – nagle otwierają się na nieoczekiwane głębie filozoficzne, stają się nośnikami refleksji nad człowiekiem, jego kondycją, nad przyrodą, życiem, miłością i śmiercią.

Szymborska w swych antropocentrycznych wierszach widzi człowieka jako część przyrody i wynik długiej ewolucji. Ostro ocenia jego niedostatki czy ewentualne zbrodnie, wierzy jednak w jego twórcze umiejętności i tkwiące w nim możliwości. Zdaje sobie sprawę z tego, że rozwój ludzkości w znacznej mierze zależy od tego, jak potrafi ona poznać i zrozumieć siebie samą, cel swego istnienia. I to właśnie ową świadomość refleksyjną, którą jest człowiek obdarzony, czyni poetka odpowiedzialną za przyszłość ludzkości, Ziemi, kosmosu.

W ludzkiej ciekawości, w stawianiu pytań i poszukiwaniu na nie odpowiedzi dostrzega Szymborska źródło optymizmu. Wierzy, że ludzkość odkryje sens swej egzystencji w odpowiedzialności każdej jednostki za los drugiego człowieka, za dalsze dzieje świata. Dlatego też żąda od ludzi, by nie sprzeniewierzali się podstawowym prawom etycznym i do kosmicznej entropii wnosili pierwiastek ładu. Nie czyni tego jednak jak ponury, moralizujący belfer, podnoszący ostrzegawczo palec do góry. Przeciwnie: jej żądania wobec człowieka zakodowane są w dyskretnym humorze, czasem w ciętej ironii, jaką poezja ta zawiera. Stają się dzięki temu łatwiejsze do skonsumowania przez odbiorcę, ale nie tracą wcale swego ciężaru właściwego.

Jakże daleko polska poetka odbiegła od tzw. „liryki kobiecej", choć o uczuciu i sprawach „męsko-damskich" potrafi powiedzieć rzeczy nowe, wstrząsające, odkrywcze! Przypomnijmy choćby tytułem przykładu jej „Portret kobiecy", jak bardzo dzisiejszy, zakotwiczony w aktualności a jednocześnie – jak bardzo ponadczasowy!

Do zastanowienia zmusza właściwie każdy utwór Szymborskiej, każdy bowiem ma coś ważnego do zakomunikowania i to w formie najkrótszej z możliwych, bez wielosłowia i rozlewności. Niech starczy jeden przykład za inne: na opis wieczności wylano morze atramentu, wymyślano setki metafor. Któż jednak – tak jak Szymborska – potrafił dostrzec jej refleks i kwintesencję w skromnej liczbie Pi, z którą boryka się w szkole każdy żaczek-nieboraczek? Więc do wieczności może być tak blisko? Tak często się o nią ocieramy na co dzień?

Każdy wiersz poetki jest źródłem refleksji, tematem do przemyśleń. Ot, choćby taka sprawa: z terroryzmem spotykamy się dzięki telewizji często. Któż inny jednak zdołał uchwycić na kilku linijkach wiersza dno moralne terrorysty oczekującego na wybuch podłożonej bomby i śmierć przypadkowych, niewinnych przechodniów?

Napisano setki niewybrednych dowcipów o teściowej, ale nikt, jak Szymborska, nie spojrzał na nią jako na „sprawczynię" ukochanego mężczyzny i nie ubrał tego w tak piękne słowa.

Właściwie można by przytaczać wiersz po wierszu: każdy podchwyca jakieś mgnienie życia a jednocześnie otwiera perspektywy na kondycję ludzką, początki drogi człowieka, budzenie się w nim świadomości refleksyjnej. Wiele z nich ukazuje ludzkie obciążenia, mogące wywołać katastroficzne skutki. Szymborska ujawnia ludzką niedoskonałość (rzekoma doskonałość ją przeraża i śmieszy – vide „Cedula"). Ale jej nie rozgrzesza. Wie, że człowiek otrzymał broń, która pozwala mu walczyć ze złem: niepokój sumienia i poczucie odpowiedzialności. Musi tylko pozwolić im dojść do głosu. Wiersze pierwszej damy współczesnej poezji światowej otwierają mu ku temu drogę.

KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOWA

„SPOTKANIE BAJEK" PSP w Mostach (tekst w kronice)
fot. ZWROT – Franciszek Bałon



HENRYK JASICZEK

IM GŁĘBSZA NOC...

Każdy wiek ma swoje średniowiecze
i zawsze znajdą się papieże
wyklinający się wzajemnie,
rozdający jedną ręką odpusty,
a drugą anatemy.

I zawsze znajdzie się armia inkwizytorów,
polujących na czarownice.
I zawsze znajdą się teologowie
udowadniający,
że Adam miał pępek,
że Adam nie miał pępka,
że na koniec szpilki wejdzie
dwa tysiące sto trzydzieści jeden aniołów.

I zawsze znajdą się heretycy,
nie mogący pogodzić się z tym,
że dwa razy dwa jest pięć
albo trzy,
zależnie od tego czego wymaga
dobro Sprawy, Ojczyzny, Idei.

Każde stulecie
ma swoje średniowiecze.
Zmieniają się tylko
kulisy, kostiumy, argumenty.

Pozostaje tylko ten sam strach,
ta sama nienawiść,
te same motywy
i ta sama naiwność
staruszki z Konstancji
rzucającej gałązeczką chrustu
na stos heretyka
w błogiej wierze,
że za to będzie kiedyś mogła
ogrzać zziębnięte ręce
w raju niebieskim.

Każde stulecie
ma swoje średniowiecze,
swoich dogmatyków,
swoich heretyków.
I zawsze większość przetrwa,
a nieliczni pójdą na stos.

IMIĘ I NAZWISKO

Kiedy przyszedł
nie przeczuwał życia
patrzał przez łzy
w światło
Siedem lat później
uczył się pisać
imię i nazwisko

Zapisano je
w katalogu
w dowodzie osobistym
w książce wojskowej
w urzędzie miejskim
w sądzie
w szpitalu

Jeśli dawał
pytano o imię
Jeśli żądał
o nazwisko
odchodząc
dziwił się
że to było życie
Pozostała po nim
płyta
imię i nazwisko

Jiří Daehne

WSPOMNIENIA DZIECI NIEPOŻĄDANYCH

Nosimy je u góry swych wyobrażeń. Kryją się nie ot sobie na chybił trafił po schowkach wspominek z dzieciństwa; owidiuszowski złoty wiek. Również wspomnienia składają się na wyobraźnię.

Ani ojciec nie pozbawił mnie takiego przekonania. Był dzieckiem niepożądanym. Ostatni w kolejce. Skandalicznie spóźniony na świat, po tylu latach pauzy. Bezmyślnie spłodzony? Skądże.

Dziadek z babcią byli ludźmi prostymi, bez przerwy okopywani aż po szram i siniaki przez życiowe buciory reagowali nawykowo; nie starczało im czasu ani sił na rozwlekanie istoty lub skutków swego działania. Mimo woli okazywali poszkróbkowi jego niepożądanie. Niepożądany zaś wiedział, do czego wszystkiego brzemienna bezkutecznie się uciekała, by poronić.

Człowiek jest jak skarbonka. Nie wyda z siebie nic, czego doń nie włożono. Dzieci niepożądane są na ogół nieufne. Dla swych obaw nie potrafią się zwierzać, zaś w rzadkich chwilach zwierzeń nie chełpią się zanadto. Im również się wydaje, że w swej skarbonce noszą tylko słodkie wspomnienia, łagodniejsze przynajmniej od tamtych z okresu podrastania. Tłuką się w nich także obawy, iż w przeciwieństwie do innych, wspomnienia wieku prazłotego upodobniają się do soli w Mohsa skali twardości minerałów. W swej bojaźni tak rzadko je ujawniają, że na powierzchni ich poetyckich doznań niewyobrażalna i oczywista prawda rysuje brutalne krechy.

Ze skarbonek dzieci niepożądanych nie wypadnie nic, czego tam nie włożono. Latorośle dzieci niepożądanych także okazują

się w jakiś sposób niepożądane. Wśród generacji podobnych potomków spotyka się zazwyczaj brak wzajemnego zaufania. Unikają zwierzeń. Częściej też zderzają się z sobą w swych wspólnych latach, nawet bez widocznego zawinienia, jak kule bilardowe.

Mimo to jestem sobie z lekka świadom najwcześniejszych doznań ojcowskich – dzięki rzadkim chwilom jego otwartości. Oraz dzięki własnej dociekliwości. Utknęło mi głęboko w pamięci wszystko, co tylko mnie w jakimś sensie dotyczy: tylko ignoranci sądzą, iż urodzili się dopiero w dniu zaznaczonym w metryce. Wyobraźnia przecież pozwala mi chwytać również treści ledwie napoczętych zdań. Kłaczków poszczególnych słów. Albo niedomówień. Nie wiem także czy w pamięci taty nie mieściły się właściwie dwie skrytki wspomnieniowe. W pierwszej mieściłyby się po połowie słodycz z solą. W drugiej zaś przeciwne bieguny skali Mohsa: diamenty. Z rzadka żywione wspomnienia. Przeważnie sekretne. Strzępy ulotnych krajobrazów, których później nie dotykała bezwzględna ręka uściślania. Podchwytliwa dłoń przeświadczenia, że rzeczy realne właśnie, a nie wyobrażalne, okazywały się odrębnym, niebrylantowym wejrzeniem.

Bracia Bublowie z Wołoskiego Międzyrzecza produkowali tyle trzonków do noży, że wypłacały im się własne tartaki wszędzie tam, gdzie tanie drzewo po ręce. Za cesarza jedynie w Galicji. Dziadka Josefa tedy, ojca ojcowego, zatem najzwyklejszego majstra tartacznego a najdoświadczeńszego, bo pilarza od kilku pokoleń, wysłali tam w szóstym roku nowego stulecia, aby rozkręcał tartaki w Zawoi, Czorsztynie i Starym Sączu. Pracy na całe lata. Powroty do rodzimego Zubrzi nie wchodziły pod uwagę. Rodzina o dwa lata wyprawiła się za nim. Babcia Franciszka z pięciorgiem dzieci: Marią, Karlem, Hildą, Jaroslavem, Robertem. Ten ostatni, mój ojciec, pojechał do Galicji jako kilkumiesięczne dziecko. Pierwsze jego świadome doznania okazują się więc galicyjskie. Owe najdawniejsze wspomnienia jego wieku złotego, blado z początku eksponowane i nieostre, wiązały się z Zawoją, gdzie rodzina spędziła dwa lata: bernardyn nosił go na szerokim kosmatym grzbiecie dróżkami pomiędzy stertami wysychających tarcic żywiczych. Do kogo ów bernardyn mógł należeć? I jak go wabiono? W Niedzicy opodal Czorsztyna zdarzali się Cyganie. Kiedy dziadkowi wypadło werbować robotników na czorsztyński tartak, Polacy byli już na frontach. Najął więc w Niedzicy czterech smagłych. Zeszli z rodzinami, z półtora ich było tuzina. Ojciec po raz pierwszy widział ich takich z bliska. Oddano im nowy barak o podwójnych ścianach wypchanych warstwą udeptanych trocin. Wy-

trwali dni czternaście. Daremnie budził ich dziadek piętnastego rana, barak stał pusty. Poniosła smagłych ich krew koczownicza. Dokąd?

W Niedzicy stał zamek. Starszy od ojca o lat dziesięć Karol niegdyś tam się zakradał. Kiedy? Jak? I po co? Przyniósł pod połą kurtki księgę oprawioną w skórę, mniej było w niej stronic zadrukowanych pismem, więcej z miedziorytniczymi portretami. Gdzie się potem ta księga podziała? W Kluszkowcach, gdzie czorsztyniaczcy chodzili do szkoły, tatę również – małego Morawianka oraz Wołoszka z Zubrzi, potajemnie zresztą, uczono rymowanki, którą spamiętał przez całe lata: Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały. Gdzie ty mieszkasz? Między swemi. W jakim kraju? W polskiej ziemi. Czem ta ziemia? Mą ojczyzną. Czem zdobyta? Krwią i blizną. Czy ją kochasz? Kocham szczerze. A w co wierzysz? W Polskę wierzę. Coś ty dla niej? Wdzięczne dziecię. Coś jej winien? Oddać życie.

Nie ojciec jednak przyszedł tam o życie, teraz zresztą nie byłoby pisania, a brat ojców, Josef najstarszy. Za Austrię padł, nie za Polskę. Zamek czorsztyński znalazł się potem na jednym z pierwszych rysunków taty. Pastelowy obrazek tak bardzo spodobał się dziadkowi, że długo po wojnie wisiał na kuchennej ścianie w Zubrzi. Gdzież ten rysunek dzisiaj się podziewa? Stary Sącz. Zanim dzieciarnia wróciła z babcią do Zubrzi, spotkał je początek wojny. Oraz pierwsze transporty z rannymi. Paniczki starosądeckie roznosiły im wodę, owoce, chleb. Moskalom nic, ni kęsa Moskalom, mówiły, kiedy z wagonu odzywały się prośby rosyjskie. Wiedziały one, a ojciec nie mógł wiedzieć: Polska austriacka w stosunku do pruskiej i ruskiej stanowiła niebo. Świadomość to w części, w części wspomnienie, pośrednia w połowie, w połowie bezpośrednia.

Nie wszyscy wtenczas w ósmym roku odjeżdżali z Zubrzi. W pracy i na chałupie został ślusarz Josef, najstarszy z rodzeństwa. I stąd wzięto go do wojska. Josefa z Robertem dzieliła różnica dwudziestu lat. Josef jakoś nie spamiętał niemowlęcej twarzyczki Robertowej, Robert zaś wcale nie poznawał Josefa. Kiedy Josef pisał, choć nie był od pisania, jego listy wtedy mijały się z adresatami zmieniającymi stale miejsce zamieszkania. Gdyby zaś pisano do Josefa, lecz nikt w rodzinie tego nie umiał, listy i tak by go nie znalazły: w Zubrzi go już nie było, jakiś czas nawet przebywał w ich pobliżu, w Galicji, tyle że on sam jeden o tym wiedział. Później zaś. A co z Josefem? – pytała babcia w szesnastym roku, skoro nie miała pojęcia, dokąd zagnano jej umundurowanego syna, oraz skoro ni stąd ni zowąd dziwnie raz ukłuło ją koło serca. Posądzała

owo ukłucie o coś niedobrego, nawet najgorszego. Dopiero erar zidentyfikował Josefa. Erar jednak znał tylko stałe miejsce Josefowego zamieszkania. Drukowana karta pocztowa z odręcznym dopiskiem, iż Josef pozostał gdziesi na wieczystej warcie, dotarła do Zubrzi stosunkowo szybko. Zdjęta bólem szła babcia przez obydwa ogrody, ten mały koło domu oraz ten duży za wąwozem. Płakała do zielonej trawy pod stopami. Płakała w papier. Słone łzy rozmazywały kiepską czerń erarnego testamentu.

Wspominanie jest ważeniem następstw, głównie zaś przywołaniem zasłyszanego: Dębowa. Dziadek w osiemnastym kończył w Galicji, miał wracać na Morawy. Przez te cztery lata z rzędu gospodarował w pojedynkę. Bóg raczy wiedzieć, jak gospodarował, skoro potem pisał do babci: Przyjeżdżaj, Franciszko, trza tu solidnie posprzątać, pieniądze na pociąg przesyłam. Babcia zdała zuberski domek z młodszą dzieciarnią najstarszej, choć dopiero szesnastoletniej córce Marii: przez te kilka dni zadbają o siebie.

Kilka dni? Zanim babcia ponownie znalazła się w Starym Sączu, wojna skończyła się, a granice pozamykały. Nic nie dało się zrobić. Babcia z dziadkiem znaleźli się w obozie internacyjnym w Dębowej. Nie byli nawet w stanie powiadomić o tym. Zamieszkali w drewnianych barakach, gorszych od tamtych czorsztyńskich dla Cyganów. Co barak to inna narodowość. Dziennie kromka chleba z grudką marmolady. Dla Moskali nic. Ani kęsa Moskalom. Barak rosyjski łaził za resztkami na śmietnisko.

Babcia nie znosiła bezczynności. Pomagała sanitariuszkom. Wszędzie umierano. Najczęściej wynoszono sztywnych z ruskiego baraku. Dopiero wiosną dziewiętnastego roku oboje dziadkowstwo niespodziewanie zjechali do Zubrzi. Na kilka dni przed zuberskim kolegą Josefa, Szurkiem.

Imię? Szeregowiec Szurek z plutonu kaprala Josefa. Młody Szurek wracał z niewoli, zjawiał się więc z takimż opóźnieniem. Josefa to spotkało pod Górą Graniczną. Tamże, w Galicji. Niedobrze z nim było, paskudnie był podźgany, ale żył. Leżał w lazarecie, kiedy runął następny, jeszcze skuteczniejszy ruski atak artyleryjski, zniósł także lazaret.

W kilka dni później zjechała do Zubrzi młoda Polka Paulina. W dłoni, wilgotnej od rozpaczliwych obaw i niepewności, zaciskała zmięty karteluszek pisany ręką Josefa, z nazwiskiem i adresem.

Dlaczego Josef nie pisze? Czyżby mnie już nie kochał? Obiecywał przecie, że od razu po wojnie się weźmiemy!

Babcia nie oddaliła nieznanej Pauliny. Wszystko zresztą rozumiała, co do słówka: za swych galicyjskich lat na tyle pochwyciła

niemiecki z polskim, że zdradzał ją jedynie słabawy zaśpiew galicyjski.

Cedułka pokryta pismem martwego od trzech lat syna była dla niej niezaprzeczalną i przekonującą wieścią z tamtego brzegu.

To martwy miał do ciebie pisać, Paulino? I ciebie miłować?

Bólem zdjęta Paulina szła przez obydwa ogrody, przez ten mały tuż pod chałupą oraz przez ten duży za wąwozem. Płakała do trawy pod swoimi stopami. Płakała do cedułki. Słone jej łzy doszczętnie strawiły, co jeszcze pozostało na karcie z kiepskiego erarnego atramentu. Po trzech dniach odjechała z Zubrzi. Dokąd?

Ojciec nie miał pojęcia, skąd przybyła. Nie był też pewien, czy wtenczas w ogóle padła jakaś wzmianka o jej miejscu zamieszkania. Jak się nazywała? Nie znał jej nazwiska. Nie przypuszczał, by w ogóle je wysławiano. Jak wygądała? Nawet ubiegłe siedemdziesiąt z okładem lat nie zdołało wymazać tacie z pamięci postaci Pauliny. Rozmazało ją jeno, oddaliło. Drobna. Smukła. A twarz? Ojciec wyobrażał ją sobie dosyć wyraziście, ale nie był już w stanie jej opisać. Czoło? Oczy? Nos? Broda? Jedynie długie włosy brunetki wyraźniej zachował w pamięci. Leciały z przodu łukami kędziorów, do czoła i na skronie, dopiero na ciemieniu głowy unosiły się w bujnym puklu. Josef. Paulina. Imiona mocno utkwione w ojcowskiej pamięci. Gdzie ona się podziała, co zaś zostało z Josefa? Kiedyż był i gdzie Pauliny koniec?

To gdybyśmy nie byli z ojcem dziećmi niepożądanymi, nosiłbym w pamięci więcej jego wczesnych wspomnień. Ojciec by częściej przy mnie wracał w swój wiek złoty. W takiej oto sytuacji przecież zaczęły iść wspomnienia, tamte brylantowe, w czasie kiedy już ojciec odchodził. Powinieniem był tutaj dojść całego sedna. Mógłbym się pokusić o pokrycie wieściami białych plam nawet w najdalszych słojach ojcowskiej pamięci. Mógłbym też, chociażby z przerwami, odpowiadać nosicielowi wspomnień na małostkowe nawet znaki zapytania.

Ale czy musiałem? Nawet ostatnie życzenie ojca, żebym zadbał o niego i przesiedział przydługie pół roku u jego wezgłowia, życzenie z rodzaju tych, które się wypełnia, okazało się wycieńczającym do cna i nieomal fatalnym wyrokiem. Dwoje niechcianych dzieci w takimż miejscu i czasie? Kule bilardowe, co to jak najboleśniej i najhałaśliwiej zderzają się z sobą w ostatnich chwilach świadomości, skoro dziecko niepożądane na granicznym przejściu życiowym nagle odczuwa potrzebę zwalenia winy za ciemne nurty zdarzeń na kogoś innego, kto akurat znalazł się pod ręką i nie potrafi się bronić: umierającemu przecież się nie odmawia.

Owo życzenie-przenikanie było poostatnim. Nie obowiązującym. Po dwakroć niedorzecznym. Ojciec spodziewał się w przebłyskach świadomości swej nadchodzącej granicy losowej. Jakże się chciał dowiedzieć czegoś, co i tak raz bym odkrył, chociażby i z przeciwległego brzegu. Naprawdę już nie było świadków zdarzeń z przełomu wieku. Na piśmie? Czy jednak erar prowadził jakieś notatki o swych poddanych? Połowa pisaniny i tak zginęła. Pozostało to, o czym dawno wiadomo: data urodzenia, ślubu, zgonu. Każda próba wypełnienia białych plam i tak poprowadzi do finału, jaki zawarła rymowanka, której uczono mnie z elementarza: Był sobie domeczek, w domeczku stołeczek, na stołeczku miseczka, w miseczce wodziczka, w tej wodziczce rybeczka. A gdzie ta rybka? Kotka zjadła. A gdzie ta kotka? Do lasu uciekła. Gdzie są te lasy? Na popiół zgorzały. Gdzie jest ten popiół? Woda go zabrała. Gdzie jest ta woda? Woły ją wypiły. Gdzie są te woły? Panowie je zjedli. Gdzie ci panowie? Leżą na kierchowie.

Czyżby tego nie było dosyć? Nawet sporo. Garść zajmujących, niepowtarzalnych i niewydumanych losów ludzkich. Spisałem je w przekazanej, w nijak nie zmienionej postaci. Taki niepozorny, prywatny ukłon złożony tacie, poszło przecież o jego wspomnienia.

Dziecko niepożądane... Czyżbym ja nim nie był także? Taki ukłon świadczony tylu ludziom mojej krwi. Nikt inny nigdy nie złoży im ukłonu. Nikt inny też nie zna ich, jak ja sam. Tamci krewniacy zaś żyli, jak potrafili. Nagrodą zaś za wyrzeczenia były im szramy i sińce, kopniaki losowych buciorów, za którymi wcale nie tęsknili.

Nieznaczne, skromne potwierdzenie mej prywatnej wiary: nie sądzę, żeby moje życie zaczęło się od wpisania do metryki. Wierzę w łańcuchy genów, w rodowód krwi oraz w drogę wyznaczoną mi przez moich przodków. W rodowe dzieje wierzę. Oraz w takąż rodową mitologię: patrz Paulina, Josef i moja słabość do owego wątku, oraz cicha moja zawiść, wcale przecież nie widzę losu Josefowego w czarnoczarnej jedynie tonacji. Mieć kogoś, kto lata całe będzie mnie szukać po odległych kątkach Europy, przekonywać mnie o swym trwałym przywiązaniu w obawach, czy aby owo jego uczucie zostało przeze mnie odwzajemnione. Ale to już z całkiem innego, nie z tego usmolonego, zepsutego świata.

przekład
WŁADYSŁAW SIKORA

O REDAKTORACH

REDAKTOR BEZWZGLĘDNY
Nic go nie wzruszy,
bo nie ma duszy.

REDAKTOR TCHÓRZLIWY
Dociekał, dociekał,
aż w końcu uciekał.

REDAKTOR BRUKOWCA
By zyskać, a nie stracić,
trzeba się zeszmacić.

REDAKTOR Z INTUICJĄ
Na gorsze czasy
ma w rękawie asy.

REDAKTOR AMATOR
Gdyby się streścił,
w jednym zdaniu
by się zmieścił.

REDAKTOR MEGALOMAN
Często się chwali,
że świat ocali.

REDAKTOR SPRAWOZDAWCA
Na wiecu, na morzu, na lądzie,
w pochodzie, w teatrze, w urzędzie
wylicza bez końca
premierowe słońca.

REDAKTOR EKOLOG
Ogłosił światu w gniewie,
że ekologicznie jest tylko w niebie.

REDAKTOR SKORUMPOWANY
Kupuje, sprzedaje
i tak się rozdaje.

REDAKTOR OSTROŻNY
Czeka, aż oliwa
sama wypłynie,
wtedy siada i stuka
na maszynie.

REDAKTOR JĄKAŁA
Wykropkuje byle co,
by nie jęknąć, o co szło.

REDAKTOR Z BRODĄ
Tak się przekonał
do swej urody,
że jego pisanie
też miewa brody.

REDAKTOR NIEZNISZCZALNY
Gdy go fala
na brzeg rzuci,
to z przypływem
znów powróci.

REDAKTOR AFERZYSTA
Wypił piwa beczek sto
i wylizał afer dno.

REDAKTOR PLOTKARZ
Uprawia niecne praktyki:
bierze bliźnich na języki.

REDAKTOR CYNICZNY
Dla niego etyka
to zbędna taktyka.

IKAR WZNIÓSŁ SIĘ W GÓRĘ...

Idea przestała być mitem - powiedział Tadeusz Kijonka na sesji literackiej w Domu Polskim w Ostrawie dnia 15.11.1996. Chodzi oczywiście o doprowadzenie do skutku pierwszego polsko-czeskiego konkursu poetyckiego pod nazwą „O nagrodę skrzydła Ikara", którego pomysłodawcą jest wymieniony powyżej Tadeusz Kijonka. Na konkurs napłynęło 70 zestawów prac w obu wersjach językowych, polskiej i czeskiej. „Skrzydło Ikara" w grupie prac polskojęzycznych otrzymała Katarzyna Turlaj-Kalińska z Krakowa, natomiast w grupie czeskojęzycznych Petr Odillo Stradick-Stanczyk ze Strdic z Pragi. „Skrzydła" są dwa, ponieważ Ikar o jednym skrzydle, byłby Ikarem kalekim - wyjaśnił Tadeusz Kijonka.

Ponadto jury w składzie: Marian Grześczak, prezes ZG Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (przewodniczący), Kazimierz Kaszper, prezes Koła Cieszyńsko-Zaolziańskiego Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, Tadeusz Kijonka - prezes Zarządu GTL w Katowicach, Oldřich Šuleř - prezes Gminy Pisarzy Morawsko-Śląskich, Marian Kisiel - sekretarz zarządu GTL, nagrodziło: Arkadiusza K. Wyrzykowskiego z Dobrego Miasta, Piotra M. Pawlaka z Wrocławia, Andrzeja Ogrodowczyka z Poznania, Stanisława Golę z Bielska Białej, Jaroslava Schnercha z Pragi, Milana Hrabala z Varnsdorfu, Marka Tomana z Pragi i Wilhelma Przeczka z Bystrzycy.

Swoje nagrody przyznali również: konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk - Wilhelmowi Przeczkowi, konsul generalny RC w Katowicach Josef Byrtus - Stanisławowi Goli, wojewoda bielski Marek Trombski - Juliuszowi Wątrobie z Rudzic, wojewoda opolski Ryszard Zembaczyński - Marcinowi Hałasiowi z Bytomia, burmistrz miasta Cieszyna Jan Olbrycht - Kazimierzowi J. Węgrzynowi z Istebnej.

Marian Grześczak w wystąpieniu poprzedzającym ogłoszenie wyników w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury w Cierlicku podkreślił, że spotkanie polskich i czeskich poetów jest ważnym wydarzeniem w przyjaźni polsko-czeskiej. Symbolem tej przyjaźni są właśnie skrzydła Ikara. Sam konkurs natomiast, ożywiając mit Ikara i Dedala, łączy kulturę śródziemnomorską z kulturą na Śląsku (Ikar jest Grekiem, Dedal - Ślązakiem).

Mit Ikara w kulturze i literaturze był głównym tematem referatów Ewy Kosowskiej i Danuty Opackiej-Walasek z UŚ w Katowicach. W referatach tych zwrócono uwagę na fakt, że mit Ikara usamodzielnił się dopiero w XX wieku. Wcześniej bardziej ceniono Dedala. Ikara traktowano jako przyczynę tragedii ojca, jako tego, który nie potrafił skorzystać z wynalazku ojca i dlatego ginie. W wieku XX mit Ikara staje się autonomicznym motywem literackim i bywa rozumiany jako ostrzeżenie przed stabilizacją, jako walka o niezależność, jest symbolem buntu, wyznacza człowiekowi nowy cel.

Jaki jest Ikar końca 90. lat XX wieku? Czy jest tak, jak pisze współczesny polski poeta Piotr Fluks, że „nie ma czasu na mityczne głupstwa, tylko świat rozrzuca resztki piór"?

Obie prelegentki odwołując się do obrazu Petera Bruegla „Upadek Ikara" wskazały na ponadczasowy problem człowieka: jego upadek, tak samo jak upadek Ikara dokonuje się w samotności. Nie przerywa się przecież pracy ze względu na czyjąś śmierć.

Na sesji literackiej, prowadzonej przez Kazimierza Kaszpera, głos zabrali również Władysław Sikora (zacytował między innymi relacje naocznych świadków tragicznej śmierci F. Żwirki i St. Wigury) i Miroslav Zelinski z Uniwersytetu Ostrawskiego. M. Zelinski w sposób „ikarowski" przedstawił swoje rozumienie europejskości poezji czeskiej, jej związku z modernizmem. Zwrócił uwagę na to, że ważnym momentem były tłumaczenia Guillaume Apollinaire'a dokonane przez Karola Čapka. Najczęściej wymienianymi i cytowanymi przez niego poetami byli laureaci literackiej Nagrody Nobla: Czesław Miłosz i T.S. Eliot. Swój referat o kondycji poezji czeskiej zakończył słowami - cytatem z utworu Josefa Škvoreckiego „Nevím, nevím, nevím".

Po zakończeniu sesji literackiej, kiedy literaci przenieśli się na Żwirkowisko z każdą chwilą było coraz ciemniej, wszystko osnuwała mgła. „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie?". Nagle ktoś ze stojących przy miejscu tragicznej śmierci lotników powiedział po polsku: Niech odpoczywają w spokoju. Ten sam głos zapytał: „Jak to będzie po czesku? Ať odpočívají v pokoji - dorzucił ktoś inny. Było ciemno. Tylko świecące się znicze czasami rozświetlały zadumane twarze uczestników polsko-czeskiego spotkania na Żwirkowisku.

ELŻBIETA BARON

NA TROPIE NOBLISTÓW

Niejednokrotnie zadawano mi pytania na temat moich mistrzów, a po ostatnim zbiorku poezji również na temat poszukiwania tychże. Próbując znaleźć odpowiedź na te pytania znalazłam moim zdaniem adekwatne porównanie – tak jak fani rocka są w stanie podejmować karkołomne eskapady do dalekich miast, by na koncercie, chociażby z ostatniego rzędu na jakimś stadionie, zobaczyć swojego idola, tak jak kibice sportowi wydają ostatnie pieniądze na to, by wyjechać na olimpiadę lub co najmniej na jakieś mistrzostwa, tak jak wierni biorą udział w pielgrzymkach do miejsc upamiętnionych obecnością świętych, tak ja przed kilku laty ruszyłam tropem noblistów-poetów. Nie dla mody, nie dlatego, że właśnie byli na „topie", ale dlatego, żeby zobaczyć na własne oczy, żeby zrozumieć, żeby uczyć się od mistrzów. Czego ? Może pokory. Może umiejętności zadawania pytań, na które i tak nie ma odpowiedzi. Może szukania odpowiedzi, w których czasami właśnie poetom udało się dotknąć niewyjaśnionego. TEGO CZEGOŚ za czym gonimy przez całe życie, czego próbujemy dotknąć, co objawia nam się w chwilach narodzin i śmierci ...

Ktoś mógłby powiedzieć, że werdykty Szwedzkiej Akademii po wielekroć rozczarowują, że obdarza się „Noblem" nie tych, którzy rzeczywiście nań zasłużyli. Przykład dyskusji wokół zasadności przyznania tej nagrody polskiej noblistce mówi sam za siebie.

A jednak to właśnie ona była moją mistrzynią, zanim przyznano jej tę nagrodę. Nie powtarzam tego po raz wtóry, by w tani sposób dowartościowywać własną osobę; chodzi mi o to, że raz jeden instynkt mnie nie zawiódł i ruszyłam tropem noblistki, którą już znałam. Całą resztę poznałam dopiero w trakcie niezapomnianych spotkań.

Listę moich eskapad otwiera również Polak (a może Litwin ?), Czesław Miłosz. Nie miałam okazji zetknąć się z jego poezją w czeskocieszyńskim gimnazjum - gdy solidarnościowa Polska fetowała w 1980 roku jego sukces (a przedtem w 1978 roku wywyższenie kolejnego polskiego poety i duchownego, Karola Wojtyły), nam wmawiano w naszym postnormalizacyjnym kraju, że to imperialistyczni agenci, a cała Polska to kraj strajkowiczów i nierobów. Z takim nieciekawym balastem ocknęłam się na studiach w niepokornym i wolnomyślicielskim Krakowie i na własną rękę musiałam poznawać to, co moi polscy rówieśnicy znali już od paru lat z liceów. Mój zaolziański „syndrom pozostawania w tyle" pogłębiał się ... I wtedy przeczytałam słowa pisane przez polskiego emigranta w dalekim Berkeley na trzy lata przed moim urodzeniem : *„Nigdy od ciebie, miasto, nie mogłem odjechać. / Długa była mila, ale cofało mnie jak figurę w szachach. / Uciekałem po ziemi obracającej się coraz prędzej / A zawsze byłem tam : z książkami w płóciennej torbie, / Gapiący się na brązowe pagórki za wieżami świętego Jakuba / Gdzie rusza się drobny koń i drobny człowiek za pługiem, / Najoczywiściej od dawna nieżywi ...* (Cz.Miłosz, „Nigdy od ciebie, miasto") Najoczywiściej litewskie realia, ale jakże zbliżone do moich, zaolziańskich doświadczeń. Pomyślałam o Cieszynie, mieście, które traciło w porównaniu z Krakowem, ale jednak mieście, od którego nigdy nie mogłam odjechać. Od którego zapewne zawsze będę starała się uciekać w swoim życiu i twórc zości. I do którego w pełni świadomie będę zapewne zawsze powracać.

Ten wiersz zaważył w pewnym sensie na moim życiu. Rozerwana pomiędzy Cieszynem a Krakowem, między Polską i Czechami, między tym, co wzniosłe a tym, co w moim ówczesnym pojmowaniu było małe i przyziemne, czytałam następne: *„I świeciło to miasto, którym po latach wracałem / Z twarzą zakrytą pal-*

tem, chociaż już dawno nikt nie żył / Z tych, którzy mogli pamiętać nie zapłacone długi, / Hańby niewiekuiste, podłostki do przebaczenia ... (Cz.Miłosz, „I świeciło to miasto") I wreszcie wiersz „Pielgrzymując", który posłużył mi jako motto do powstającego wówczas zbiorku „Ziemia albo-albo": *„Oby zapach tymianku i lawendy towarzyszył nam w drodze / Do tej prowincji, która nie wie jak jest szczęśliwa, / Bo została wybrana i nawiedzona, / Sama jedna pośród wielu zakątków ziemi."* Odległość i tęsknota sprawiły, że wiersze o mej ziemi rodzinnej, na które nie mogłam się zdobyć, mieszkając na niej, powstały niejako na krakowskiej „emigracji". I kiedy czytałam wiersz Miłosza „W mojej ojczyźnie, do której nie wrócę", podjęłam już decyzję o powrocie. Decyzję, której pomimo chwil wątpliwości nigdy nie żałowałam. Mogłam bowiem na własnej skórze poznać, że zaolziański „syndrom pozostawania w tyle" skłania do kilku postaw - albo do skrajnego nihilizmu, albo do odcięcia się od wszystkiego, co polskie (a więc trudne, bolesne, zmuszające do zastanowienia się nad sobą i nad sensem poczynań) i prób pójścia do przodu na innym, liczebniejszym narodowościowo polu. Albo wreszcie do chęci pokonania tej przepaści, która dzieli nas od pozornie bliskiej Macierzy.

Wybór tej ostatniej postawy sprawił, że mam poza sobą niezwykle aktywny, siedmioletni okres życia i poczucie wewnętrznej satysfakcji, bez którego trudno tworzyć i egzystować. Na spotkaniu z moim pierwszym noblistą w Pradze w 1993 roku przeczuwałam już, jak wiele mu zawdzięczam.

NASZE NAZWISKA (31)

NAZWISKA POCHODZĄCE OD DAWNYCH PRZEZWISK WYRAŻAJĄCYCH JAKIEŚ CECHY FIZYCZNE LUB PSYCHICZNE (8)

Nazwa osobowa **Huczała** pojawia się na Śląsku Cieszyńskim w dokumentach archiwalnych od XVII wieku. Zapisy: *Petrus Huczala* 1685 Koniaków, *Pawlus Huczała* 1697 Nydek, *Susanna Huczalowa* 1708 Nydek, *Jan Huczala* 1717 Wołowiec (dawna wieś, obecnie część Domasłowic Dolnych), *Joannes Huczala* 1732 Mosty koło Jabłonkowa, *Paweł Huczała*, nauczyciel, 1850 Niebory.

Współcześnie używają w Polsce nazwiska *Huczała* 74 osoby (w woj. katowickim 42, w woj. bielskim 20, w woj. krakowskim 10). Huczałowie mieszkają m. in. w Cieszynie, Karwinie-Mizerowie, Czeskim Cieszynie, Żukowie Górnym i Trzyńcu.

Formacje pochodne: *Huczalik* (*Jirzj Huczalik*, młynarz, 1713 Wędrynia), *Huczałka* (*Susanna Huczalkowa* 1716 Nydek); *Hucz* (staropolskie), *Huczak, Huczek, Huczewski, Huczka, Huczko, Huczkowski, Huczuk, Huczwa, Huczyk, Huczyński.*

Powyższe nazwy osobowe wywodzą się od staropolskiego czasownika *huczeć* 1. 'radować się, cieszyć się, hulać', 2. 'krzyczeć, hałasować' (w XVI w.). Przykłady użycia: *Huczcie* (=radujcie się) *sprawiedliwi w Jehowie, szczerym przystoi pochwała* (Szymon Budny 1530-1593); *wołając i hucząc* (= krzycząc) *za nim, utłukli go* (Zygrowiusza papopompe).

(Por. poł. *huczeć* = czes. hučet, słowac. hučať.)

Nazwę osobową **Hus** wykazuje Słownik staropolskich nazw osobowych. Według cieszyńskiej księgi metrykalnej chrztów żył w Cieszynie w roku 1640 *Joannes Hus*. Współcześnie nosi w Polsce nazwisko *Hus* 755 osób. Ciekawe przy tym jest rozmieszczenie jego nosicieli w województwach. Najwięcej Husów mieszka w woj. rzeszowskim (201), znacznie mniej w innych województwach (np. w woj. katowickim 76, w woj. chełmskim 65, a w woj. bielskim tylko 29). Stosunkowo niska liczba nosicieli nazwiska *Hus* w województwie bielskim wskazuje, że wbrew szerzonym na Zaolziu poglądom nie chodzi o nazwisko czeskie. W Polsce wprawdzie doktryna husycka znalazła stosunkowo niewielkie uznanie, ale pomimo to husytyzm przetrwał do przełomu XV i XVI wieku. W czasach późniejszych często księża katoliccy nadawali przezwisko Hus osobom niewiele mającym wspólnego z doktryną husycką, a będącym w konflikcie z lokalnym duchowieństwem. W każdym razie przezwisko *Hus* oznaczało 'husyta, wyznawca nauki Jana Husa, czeskiego reformatora religijnego i społecznego'.

Formacje pochodne: *Husek*

(Paulus Hussek 1710 Koniaków obok Mistrzowic), *Husiak, Husiewicz, Husik, Husiński, Huska, Huskiewicz, Husko, Huskowski, Husowiec, Huścik.*

Nazwa osobowa **Kaliwoda** jest notowana na Śląsku Cieszyńskim i w jego bliskiej okolicy od drugiej połowy XVI wieku. Formy zapisów: *Jan Kaliwoda* 1567 Racibórz urbarium oraz 1572 Pszczyna urbarium; *Jan Kaliwoda* 1621 i 1647 Puńców urbarium; *Jan Kaliwoda* ślusarz 1623 Cieszyn miejska księga sprzedaży majątku; *Johannes Kaliwoda* 1629 Cieszyn metryka chrztów; *Jan Kaliwoda* 1647 Bobrek urbarium; *Jan Kaliwoda* z Cieszyna, proboszcz w Pierśćcu w latach 1786–1801; do wszystkich tych Janów dołączają: *Ewa Kaliwodzina* 1631 Cieszyn metryka chrztów, *Ewa Kalywodzyna* 1633 i 1636 Cieszyn metryka chrztów, funus *Susannae Kaliwodowa* 1650 Cieszyn metryka zgonów.

Współcześnie żyje w Polsce 130 Kaliwodów (w woj. katowickim 33, w woj. płockim 27, w woj. warszawskim 18). Na Zaolziu Kaliwodowie mieszkają m. in. w Pietwałdzie, Hawierzowie-Mieście i Hawierzowie-Błędowicach.

Złożenie przezwiskowe *Kaliwoda* (kali + woda) znaczyło pierwotnie 'ten, kto kali wodę'. (Por. Gorewoda.) Staropolski czasownik *kalić* 'walać błotem, brudzić, plamić' wyszedł z użycia w języku literackim w XVIII w. (został wyparty przez kalać), dziś jest używany tylko w dialektach, m. in. w gwarach cieszyńskich. Słownik gwarowy Śląska Cieszyńskiego podaje przykład: *Nie żgej patykym do plóska, bo kalisz wode.*

(Por. pol. *kalić* = czes. *kalit*, słowac. *kaliť*.)

Nazwę osobową **Kapinos** notuje Słownik staropolskich nazw osobowych. Na Śląsku Cieszyńskim nazwisko to zapisano w urbarium państwa skoczowskiego z roku 1621 w Strumieniu. Współcześnie używa w Polsce nazwiska *Kapinos* 698 osób (w woj. tarnowskim 179, w woj. rzeszowskim 133, w woj. katowickim 110). Na Zaolziu nie jest notowane.

Złożenie przezwiskowe *Kapinos* (kapi + nos) znaczyło pierwotnie 'ten, komu kapie z nosa'. Pierwsza część złożenia pochodzi od kapać 'padać kroplami, spuszczać krople' (od XIV w.) albo od staropolskiego rzeczownika kapia 'kropla, kapka'. Przykład: *Na kapi mléka przestaje* (Kancjonał gdański, Gdańsk 1628).

Nazwę osobową **Karch** zapisano w Polsce w roku 1410, w Cieszyńskiem zaś zanotowano: *Toman Karch* 1621 Bukowiec urbarium; *Martin Karch* 1623 Bukowiec księga sieroca; *Filip Karch* 1647 Istebna i Jaworzynka urbarium; *Merta Karch* 1647 nowu sałasz na Beskidku; *Georgius Karch* 1683 (nie zapisano miejscowości) metryka chrztu w Jabłonkowie; *Adam Karch* 1722 Istebna urbarium.

W Polsce naliczono współcześnie 449 nosicieli nazwiska *Karch*; z tej liczby mieszkało w woj. katowickim 226, w woj. bielskim 106, a w woj. wrocławskim 20. Na Zaolziu Karchowie mieszkają m. in. w Hawierzowie-Szumbarku, Trzyń-

cu, Bystrzycy i Mostach koło Jabłonkowa.

Formacji pochodnych jest niewiele i mają bardzo mało ich nosicieli: *Karchan, Karchanina, Karchlik, Karchniwa, Karchniwy, Karchoł, Karchowski, Karchuć, Karchuła* (*Martin Karchula* 1566 Dąbrowice, gmina Chrząstowice, woj. opolskie), *Karchut.*

Nazwisko odprzezwiskowe *Karch* pochodzi od dawnego (szesnastowiecznego) przymiotnika *karch(y)* 'leworęki', od którego też utworzono rzeczownik karchut 'człowiek leworęki, mańkut'.

(Por. pol. *karch(y), karchut* = czes. *krch, krchňák*; czeską nazwę osobową *Krch* zanotowano w roku 1454.)

Nazwę osobową **Kika** zapisano w głębi Polski w latach 1269–1273. Na Śląsku Cieszyńskim zanotowano: *Michael Kika* 1634 Cieszyn metryka chrztów, *Joannes Kyka* 1636 Cieszyn metryka ślubów, *Wenceslaus Kika* 1651 Cieszyn metryka ślubów, *Waczlaw Kika* 1682 Cierlicko metryka ślubów, *Nicolaus Kika* 1730 Cierlicko metryka ślubów. Współcześnie nosi w Polsce nazwisko *Kika* 167 osób (w woj. katowickim 122, w woj. krakowskim 12, w woj. szczecińskim 10). Na Zaolziu *Kikowie* mieszkają m. in. w Boguminie, Rychwałdzie, Orłowej-Lutyni, Karwinie-Raju, Cierlicku i Czeskim Cieszynie.

Formacje pochodne: *Kik* (w Polsce 1256), *Kikacz, Kikał, Kikała, Kikas, Kikawski, Kikcio, Kikel, Kikieć, Kikiel, Kikiela, Kikiewicz, Kikina, Kikisz, Kikolski, Kikoła, Kikoń, Kikosz* (*Gura Kikoss* 1698 Cierlicko), *Kikowicz, Kikowski, Kikta, Kikul, Kikulski, Kikuł* (w P. 1577), *Kikuła, Kikus* (*Gregorius Kykuss* 1639 Cieszyn, *Eva Kikusowa* 1697 Boguszowice), *Kikuśkiewicz, Kikut.*

Nazwisko *Kika* pochodzi od staropolskiego *kika* 1. 'pozostała reszta odciętej ręki, *kikuť*, 2. 'człowiek z odciętą ręką' (już w „Księdze henrykowskiej" około 1270 roku przezwisko chłopa śląskiego, Kwiatka, który utracił rękę).

(Por. pol. *kika, kikut* = czes. *pahýl*, słowac. *kýpeť*.)

Nazwę osobową **Krzywoń** zapisano w Polsce w roku 1591. *Mates Krzywoń* był w roku 1850 właścicielem gruntu i wójtem w Trzycieżu. *Karol Krzywoń* (1896–1954), ksiądz ewangelicki, publicysta, redaktor. Urodził się w Łazach jako syn górnika Pawła i Heleny z Przeczków. Od roku 1920 był wikarym, a od r. 1921 pastorem w Nawsiu. W latach 1940–1942 był więziony w niemieckich obozach koncentracyjnych, później aż do końca wojny pracował jako robotnik fizyczny we Frysztacie. Po wojnie ówczesne władze państwowe nie dały mu zezwolenia na dalszą działalność w zborze nawiejskim, dlatego przez blisko 3 lata pracował w Ligotce Kameralnej i dopiero w r. 1948 powrócił do Nawsia, gdzie pełnił obowiązki duszpasterskie aż do swej śmierci.

Współcześnie używa w Polsce nazwiska *Krzywoń* 858 osób (w woj. bielskim 260, w woj. krakowskim 205, w woj. katowickim 168). Na Śląsku Cieszyńskim Krzywoniowie żyją m. in. w Bielsku, Cieszynie, Goleszowie, Jaworzu, Skoczowie, Ustroniu, a na Zaolziu w Boguminie, Hawierzowie, Wielo-

polu, Trzyńcu, Nawsiu i Mostach k. Jabłonkowa.

Formacje pokrewne: *Krzywa, Krzywacki (Krziwadsky* 1496 Łazy), *Krzywacz, Krzywaczek, Krzywaczka, Krzywak* 1438, *Krzywakowski, Krzywalski, Krzywała, Krzywan, Krzywanek* 1786, *Krzywania* 1406, *Krzywaniak, Krzywanowski, Krzywański, Krzywasz* ok. 1439, *Krzywiak, Krzywic* 1299, *Krzywiec* 1478, *Krzywiecki, Krzywiel, Krzywik, Krzywina, Krzywiniak, Krzywiński, Krzywka* 1580 *Frydek, Krzywko* 1428, *Krzywniak, Krzywnik, Krzywola, Krzywolak, Krzywoń* 1591, *Krzywonia, Krzywoński, Krzywosz* ok. 1439, *Krzywoszczyc* 1443, *Krzywula* 1469, *Krzywulak, Krzywulicz, Krzywulski, Krzywult, Krzywus, Krzywy* 1432.

Nazwisko Krzywoń wywodzi się od staropolskiego przymiotnika *krzyw, krzywy* 1. 'nieprawdziwy, fałszywy, oszukańczy', 2. 'niesprawiedliwy, nieprawy, niegodziwy, niesłuszny, zły', 3. 'winien, zasługujący na karę' 4. 'nieprosty, wygięty' (od XIV wieku), stąd też (rzadziej) 'kulawy, ułomny'.

(Por. pol. *krzyw, krzywy* = czes. *křivý*, słowac. *krivý*.)

Nazwę osobową **Kudła** zanotowano w głębi Polski w roku 1399, w miejscowości Łęg (były powiat Racibórz) w r. 1567, a w podcieszyńskich Łąkach w r. 1571 (urbarium). Współcześnie w Polsce używa nazwiska *Kudła* 3 761 osób (w woj. katowickim 430, w woj. kieleckim 260, w woj. radomskim 215). Na Śląsku Cieszyńskim *Kudłowie* mieszkają m. in. w Bielsku, Boguminie, Karwinie-Mizerowie oraz w Hawierzowie-Błędowicach. Na Zaolziu w kilku wypadkach pisownię nazwiska *Kudła* zmieniono na *Kudla.*

Formacje pokrewne: *Kudel,* 1465, *Kudela* 1765, *Kudelka* 1743, *Kudelko* 1781, *Kudelski; Kudeł, Kudełka, Kudełko; Kudla, Kudlak, Kudlański, Kudlarczyk, Kudlarek, Kudlarz, Kudlaszyk, Kudlej, Kudlek, Kudlewicz, Kudlewski, Kudlicki, Kudlicz, Kudlik* 1676, *Kudlikowski, Kudliński, Kudlorz; Kudła* 1399, *Kudłacik, Kudłaciok, Kudłacki, Kudłacz* 1398, *Kudłaczek, Kudłaczewski, Kudłaczka, Kudłaczyk, Kudłaj, Kudłak, Kudłan, Kudłana, Kudłania, Kudłasiewicz, Kudłasz, Kudłaszczyk, Kudłaszewicz, Kudłaszyk, Kudłata* 1376, *Kudłaty* (w głębi Polski 1397, w Cieszynie 1639, w Żukowie 1716), *Kudławiec, Kudłek* 1426, *Kudło, Kudłocz, Kudłoński, Kudłowic* 1499, *Kudłowicz, Kudłowiec, Kudłowski, Kudły* 1567; *Kudziełka* (Franciszek *Kudziełka* wójt 1878 Karwina).

Nazwisko *Kudła* pochodzi od kudły (liczba mnoga) 'włosy potargane, rozczochrane, zaniedbane; gęsta, długa sierść', w gwarach też kudła (liczba pojedyncza, rodzaj żeński) lub kudeł (rodzaj męski) 'kosmyk włosów, sierści; włos'. Rzeczownik *kudła* (r. m.) znaczył także 'człowiek albo zwierz kudłaty, rozczochraniec' (od XVI wieku). Przykład: *Nic ci innego nie myśli ten chytrek, nic ci innego nie stroi ten niecnotliwy kudła, jedno to, aby chrześciaństwo wyniszczył* (Cyprian Bazylik 1569).

(Por. pol. *kudła, kudeł, kudły* (lmn.) = czes. *rozcuchané vlasy, chundel, chundeláč, chlup, chlupáč*, czes. *gwar. kudla* (w innym

znaczeniu też 'nóż zwyczajny składany'), słowac. *chlp, chlpáč, chlpáň, strpáň*.)

Nazwę osobową **Kulas** zanotowano w głębi Polski w r. 1460, zaś na Śląsku Cieszyńskim wymieniono w metryce chrztów w Cieszynie w roku 1640 Ewę żonę *Jerzego Kulasa (Ewa Georio Kulass uxor).* Nazwisko to zapisano też w urbarium z roku 1722 w Gutach i w Ligotce Kameralnej. Współcześnie nosi w Polsce nazwisko *Kulas* 4 238 osób (w województwie gdańskim 760, w woj. ostrołęckim 478, w woj. tarnowskim 308). Na Śląsku Cieszyńskim Kulasowie mieszkają m.in. w Bielsku, na Zaolziu ich prawdopodobnie nie ma. Są natomiast w Ostrawie-Muglinowie, Ostrawie-Porubie i w Morawskiej Ostrawie.

Formacje pochodne: *Kulasa* 1743, *Kulasek, Kulasiak, Kulasiewicz, Kulasik, Kulasiński, Kulasowic* 1411; *Kulasz, Kulasza, Kulaszek, Kulaszewicz, Kulaszewski, Kulaszka, Kulaszko, Kulaszyński, Kulaś.*

Nazwisko *Kulas* pochodzi od *kulas* 1. 'coś krzywego; krzywa, niezdarnie napisana litera' (w pisaniu kulas źle i krzywo pisana litera A. M. Trotz, Dykcyonarz), 2.'człowiek kulawy', 3. 'noga' pogardliwie, 4. 'bosak, drąg zakończony stalowym hakiem i ostrzem'.

(Por. pol. *kulas* = czes. 1. *křivé nebo neohrabané písmeno*; 2. *kulhavec pogard.*, 3. *hnáta pogard.*, 4. *trhací hák; słowac.* 1. *čarbanica*, 2. *chromý, krívajúci človek*, 3. *hnát pogard.*, 4. *drúk s hákom.)*

cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

POSŁOWIE NARODOWOŚCI POLSKIEJ W NAJWYŻSZYCH ORGANACH PAŃSTWOWYCH

Spośród organizowanych przez Sekcję Historii Regionu przy ZG PZKO seminariów na wyróżnienie zasługują dwa ostatnie, które odbyły się 25 maja i 9 listopada 1996 w Czeskim Cieszynie.

Tematem pierwszego była działalność posłów w okresie międzywojennym: dr. Janusza Buzka, Emanuela Chobota, Karola Śliwki, dr. Leona Wolfa oraz posłów w latach 1919-1920 Jana Bobka, Ryszarda Kunickiego, Jerzego Kantora, Karola Jungi, Tadeusza Bergera i Józefa Londzina.

Tematem drugiego było przypomnienie posłów powojennych, których nazwiska zatarły się już w pamięci wielu z nas, a było ich siedemnastu. Chodzi o posłów działających w Czechosłowackim Federalnym Zgromadzeniu Narodowym oraz w Czeskiej Radzie Narodowej jak również przedstawicieli wybranych już po wydarzeniach roku 1989.

Nie uwzględniając lat wykonywania funkcji poselskiej wybrani zostali od roku 1945 do 1992 w następującej kolejności: Alfred Kaleta, Paweł Trombik, Józef Kadura, Gustaw Przeczek, Ernest Sembol, Józef Swoboda, Eryk Monczka, Alojzy Foltyn, Karol Bocek, Karol Michalski, Henryk Połednik, Józef Macura, Władysław Niedoba, Danuta Branna, Tadeusz Wantuła, Stanisław Gawlik i Halina Dorda.

Do posłów, którzy najdłużej, bo przez kilka kadencji zasiadali w najwyższych organach należą: Karol Michalski, Władysław Niedoba i Karol Bocek.

Członkowie Sekcji Historii Regionu, którzy opracowali ich sylwetki, byli zmuszeni ograniczyć się do podania życiorysów i bardzo skrótowego opisu ich działalności poselskiej, w oparciu o informacje zdobyte u nich samych, u członków ich rodzin lub z artykułów prasowych. Nie ma możliwości korzystania z dokumentacji źródłowej, która zapewne znajduje się w archiwach praskiego parlamentu. Trudno więc ocenić ich prawdziwe osiągnięcia ze względu na różne etapy rozwoju i wcale niełatwe warunki podporządkowania polityce partyjnej.

Stwierdzić jednak należy, iż niektórzy - jedni więcej, inni mniej - starali się bronić spraw polskich, osiągając znaczący sukces.

Wartość obydwu seminariów spoczywa w tym, iż po raz pierwszy przypomniano nazwiska ludzi z naszego regionu, którzy reprezentowali ludność Śląska Cieszyńskiego w tych najważniejszych organach państwowych w okresie przed i powojennym. Fakt ten wyraźnie podkreślano w dyskusji oraz wyrażano konieczność opublikowania wszystkich referatów, po uzupełnieniu ich o źródłową dokumentację. Jej opracowaniem powinien się zająć Ośrodek Dokumentacji Kongresu Polaków przy współpracy z Sekcją Historii Regionu przy ZG PZKO.

JÓZEF KAZIK

ECHO WYDARZEŃ MUZYCZNYCH

10-LECIE „COLLEGIUM CANTICORUM"

MŁODZI NA PEWNO LUBIĄ ŚPIEWAĆ

Naprawdę niecodzienna uczta duchowa miała miejsce w sobotę 16 listopada w Teatrze Cieszyńskim w Czeskim Cieszynie na „Koncercie Jubileuszowym" Polskiego Chóru Mieszanego „Collegium Canticorum" pod kierownictwem artystycznym i batutą dr. Leszka Kaliny. Już kilkanaście dni przed jubileuszem zabrakło biletów na koncert.

Pełna była także aula gimnazjum czeskocieszyńskiego na dostojnej sesji poświęconej 10-leciu chóru-jubilata, która bezpośrednio poprzedziła koncert. Odczyt na temat „Wczoraj, dziś i jutro śpiewactwa

zaolziańskiego" wygłosił sekretarz Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego PZKO dr Józef Wierzgoń, zaś o znaczeniu „Collegium Canticorum" dla zaolziańskiego śpiewactwa mówił wiceprezes ZG Polskiego Związku Chórów i Orkiestr mgr Kazimierz Fober. Oba wystąpienia przyjęte zostały z wielkim zainteresowaniem.

W czasie trwania sesji niektórzy członkowie „Collegium Canticorum" zostali udekorowani brązową Odznaką Honorową ZG PZChiO w Warszawie oraz dyplomami honorowymi Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego za ofiarną pracę na niwie śpiewaczej. Po sesji można było zwiedzić w sali muzycznej i holu gimnazjum wystawę, na której zaprezentowane zostały plakaty, kroniki, dyplomy, medale, puchary i odznaczenia chóru-jubilata. Wierzyć się wprost nie chciało, że aż tak bogaty i wielki może być dorobek artystyczny chóru-dziesięciolatka. Przecież chór zdobył nagrody i wyróżnienia na cieszących się wysoką rangą artystyczną konkursach i festiwalach śpiewu chóralnego. Przypomnijmy tu choćby węgierski Debrecyn, czy też najstarszy festiwal chóralny w Europie, wysoko notowany w świecie, festiwal w angielskim Llangollen w Walii.

„Koncert Jubileuszowy" był w całej swej okazałości galowy. Młodociane „Collegium Canticorum", bo z przeciętną wiekową 25 lat, zaprezentowało bardzo różnorodny repertuar na profesjonalnym poziomie wykonawstwa artystycznego - od anonimowej „Bogurodzicy" począwszy, poprzez utwory takich wielkości kompozytorskich, jak G. F. Haendel, A. Lotti, G. Deakbardos, H. Purcell, A. Brukner, E. Grieg, A. Dvořák. Był też Stanisław Moniuszko, A. Koszewski, J. Świder... Trzy utwory polskich kompozytorów spośród 26 wykonawców jak na polski chór stanowczo za mało. Za dużo było łaciny, niezrozumiałe dla większości publiczności były liczne pieśni śpiewane po angielsku, chociaż ich melodie - swoją drogą - były bardzo chwytliwe dla ucha i całkiem przyjemnie się ich słuchało. Był to jedyny „mankament" przepięknego i stojącego na bardzo wysokim poziomie koncertu, w którym „Collegium Canticorum" zaprezentowało iście światowy repertuar z literatury chóralnej, pomijając jeszcze dwa dalsze zespoły, które również pod kierownictwem Leszka Kaliny przedstawiły się w jak najlepszym świetle: studenckie „Collegium Iuvenum" i kameralni „Amici Cantionis Antiquae".

Nic więc dziwnego, że składających życzenia chórowi było bardzo wielu, m.in. starosta Czeskiego Cieszyna, prezesowie Rady Polaków i ZG PZKO, liczni przedstawiciele zespołów chóralnych... Na koncercie dyrygent Leszek Kalina z rąk konsula generalnego RP w Ostrawie, Bernarda Błaszczyka odebrał wysokie odznaczenie ministra kultury i sztuki RP „Zasłużony dla kultury polskiej". Dyrygent otrzymał też Ho-

norową Odznakę – srebrną ZG PZChiO w Warszawie, zaś chór–jubilat Dyplom Honorowy.

A oto co na temat dyrygenta, chóru i koncertu powiedział obecny na imprezie prezes ZG PZChiO, Walter Stryja: *„Poznałem wspaniałego Leszka Kalinę na międzynarodowym seminarium dyrygenckim w Międzyzdrojach. Podziwiam jego talent, jego pracę, jego upór i wspaniałe efekty działalności. Pragnąłbym, aby za przykładem tego wspaniałego jubilata poszły inne zespoły. Jubileusz 10-lecia to moim zdaniem jubileusz cudownego dziecka, bo to, czego oni dokonali można potraktować na płaszczyźnie porównania życia człowieka, jako dokonania młodzieńca o niezwykłym talencie. I chciałbym również, żeby to wszystko, co wnieśli chórzyści „Collegium Canticorum", upowszechniali w swoim życiu, wśród swojej społeczności. Leszek Kalina łączy w sobie wiele ciekawych właściwości. Jest człowiekiem o wielkim uduchowieniu artystycznym, jest przykładnym praktykiem, zna doskonale inne dziedziny życia i wiedzy, tak iż ten jego uniwersalizm daje promocję jego pracy na przyszłość. Chór–jubilat jest chórem należącym do najlepszych, porównując go z naszymi chórami w Polsce".*

I cóż tu jeszcze dodać. Chyba to, że Leszek Kalina ze swoimi młodymi śpiewakami jest jednoznacznym, wyraźnym zaprzeczeniem „pesymistyczno–filozoficznych" twierdzeń niektórych mądrych, typu "... młodzież ma wyraźnie negatywny stosunek do śpiewu chóralnego..., młodzież dzisiaj nie lubi śpiewać, pragnie tylko bezmyślnej zabawy... itp". Tymczasem „Collegium Iuvenum" i „Collegium Canticorum" są niezaprzeczalnym dowodem tego, iż młodzież bynajmniej nie stroni od śpiewu, i to nawet od śpiewu chóralnego, wymagającego w przypadku wymienionych zespołów wielu wyrzeczeń, twardej pracy i dobrowolnego poświęcenia. Musi się jednak znaleźć człowiek, który tych młodych ludzi potrafi do śpiewu zachęcić, ba, wprost zapalić i poderwać. Zaś dokonać może tego jedynie człowiek, który sam posiada głęboką więdzę muzyczną, zapał do pracy, upór, wytrwałość w działaniu i właściwe podejście do młodych ludzi – a jak znam Leszka Kalinę, to potrzebny jest i dobry zmysł organizacyjny.

Życzyć należy naszym młodym ambasadorom sztuki chóralnej i ich dyrygentowi dalszych znamiennych osiągnięć twórczych, jak również wiele satysfakcji i zadowolenia z codziennych dokonań śpiewaczych, wypowiadających poprzez melodyjną mowę nasze uczucia, nasze radości i marzenia – naszą wspólnotę!

JÓZEF WIERZGOŃ

PODWÓJNY JUBILEUSZ ŚPIEWACTWA W STONAWIE

W sobotę 30 listopada Chór Mieszany STONAWA, działający w ramach MK PZKO, obchodził zacny Jubileusz - 75-lecia Chóru Męskiego SIŁA i 45-lecia Chóru Żeńskiego HALKA.

Chór Męski SIŁA, którego pierwszym dyrygentem był Maksymilian Zajic, wywodzi się z chóru powstałego w roku 1921 przy stowarzyszeniu „Siła"; działaność chóru odnowiona została po drugiej wojnie światowej. Chór HALKA rozpoczął samodzielnie istnienie w roku 1952, jego pierwszym i długoletnim dyrygentem był Józef Firla.

Dzisiejszy chór STONAWA jest spadkobiercą długoletnich tradycji śpiewaczych w tej miejscowości: Powstał przed czterema laty w wyniku połączenia chórów SIŁA i HALKA, co stanowiło jedyną możliwość kontynuacji działalności przy wykruszających się szeregach śpiewaków. Stonawianie śpiewają dziś pod batutą młodej dyrygentki, Marty Orszulik, absolwentki kursów dyrygenckich w Polsce, która prowadzi także kameralny zespół ALLEGRO oraz miejscową SCHOLĘ.

W dniu obchodów jubileuszowych w Domu PZKO chórzyści pod przewodnictwem prezesa Bogusława Wróbla zgromadzili się najpierw na uroczystym zebraniu, gdzie w obecności gości, m. in. delegacji ZG Polskiego Związku Chórów i Orkiestr z Warszawy, Zrzeszenia Śpiewaczego ZG PZKO oraz władz gminy podsumowali cały okres działalności śpiewaczej. Kilkunastu chórzystów uhonorowanych zostało odznaczeniami związkowymi oraz warszawskimi, a ostatni byli dyrygenci samodzielnych chórów - Anna Cyrzyk i Oskar Firut - odznaczeni zostali odznaczeniem Zasłużony dla Związku I stopnia z wpisem do Złotej Księgi.

Na popołudniowy Koncert Jubileuszowy stonawianie zaprosili także dwa zaprzyjaźnione zespoły, śpiewający po sąsiedzku chór OLBRACHICE pod batutą Władysława Molendy oraz trzyniecką ZGODĘ pod kierownictwem Ireny Małysz. Zaprezentowały się także dzieci miejscowego polskiego przedszkola, zespół ALLEGRO oraz soliści, rodzeństwo Joanna i Michał Rzeszutowie. Zwłaszcza widok prezentujących się na scenie dzieci stanowił nadzieję, że duch śpiewactwa w Stonawie nie zaginie.

(ra)

WŁADYSŁAW BURA JUBILATEM

Niezwykła postać cieszyńskiego regionu. Cichy i skromny, lecz tytan pracy, ofiarności i zapału w społecznym działaniu. Wszechstronny organizator, niezwykle uzdolniony ludowy poeta.

Urodził się 24 grudnia 1926 roku w polskiej rodzinie górniczej. Po matce przejął głęboki patriotyzm i umiłowanie piękna. Od twardego, lecz dobrotliwego ojca nauczył się uczciwie i ciężko pracować dla dobra rodziny i społeczności swojego regionu.

Edukacji życia udzielały mu karwińskie hałdy, górnicza kolonia, polskie przedszkole i szkoły oraz harcer-

stwo. W roku 1932 rodzina przeprowadza się do Stonawy, do własnego domku rodzinnego. Tam pan Władysław kończy szkołę ludową, a w 1936 r. rozpoczyna naukę w Polskim Gimnazjum Realnym im. Juliusza Słowackiego w Orłowej. W tym czasie zostaje aktywnym harcerzem, co kształtuje jego charakter i patriotyczny pogląd na życie.

Zawierucha wojenna drastycznie zamyka mu drogę do nauki, do realizacji swych młodzieńczych celów. Wierny rodzinnej tradycji, niespełna 15-letni, rozpoczyna ciężką harówkę na kopalni „Gabryela". Dopiero po wojnie pomyślnie kończy Szkołę Górniczą, awansując do funkcji sztygara - machanika. Tu w podziemiu uczciwie i pracowicie przeżyje pełnych 41 lat, doczekawszy się zasłużonej emerytury.

W roku 1949 żeni się z wybranką swego serca Marią, z którą wspólnie wychował dwóch dorodnych synów, zgodnie z rodzinną tradycją - górników. Bolesnym ciosem w ich spokojne życie była likwidacja, na skutek szkód górniczych, ich „ojcowskiego domu". Ponownie w mozolnym trudzie całej rodziny buduje nowe „rodzinne gniazdo" w Suchej Górnej, gdzie dotąd szczęśliwie żyje.

Jest długoletnim chórzystą, aktorem w ambitnym zespole teatralnym. Przeszło 16 lat piastuje zaszczytną funkcję prezesa „Stowarzyszenia Rodziców i Przyjaciół Szkoły". Jest współzałożycielem Klubu Sportowego „Górnik" w Stonawie, aktywnie uczestniczy w pracach Zarządu MK PZKO.

Nade wszystko urzekła go „Polonia", piłkarski klub sportowy, któremu przewodził 19 lat w latach największej sławy oraz likwidacji - przemiany w BANIK Karwiną. Przez 40 lat sumiennie i obiektywnie prowadził w języku polskim KRONIKĘ „POLONII".

Z wielkim wigorem i duchem optymizmu pełnił zaszczytne funkcje w MK PZKO. Z rzetelnością od 7 lat prowadzi KRONIKĘ Gminy Sucha Górna. Pokaźnej grubości jest także jego Kronika Rodzinna. Jest cenionym dokumentalistą życia swojej wsi, współautorem wielu publikacji z jej życia, kościoła czy MK PZKO. Dziś z okazji zbliżającego się Jubileuszu 50-lecia PZKO aktywnie uczestniczy w opracowaniu historii MK PZKO Sucha Górna.

Ma niezwykły dar i talent pisarsko-literacki. Pisze wspomnienia, zbiera humor górniczy, opisuje ludowe tradycje swego regionu. Szczególną jego pasją jest poezja. Z naciskiem promuje patriotyzm i umiłowanie Zaolzia. Uznanie zyskał w Wąglanach, w Międzynarodowym Konkursie Poezji „Szukamy talentów wsi". Był tam pierwszym uczestnikiem z Czech, jeszcze w roku 1992. W sumie pięciokrotnie brał w nim udział a trzykrotnie był wyróżniany. Otrzymuje tam zaszczytny tytuł „Najmilej wspominanego". Corocznie jego wiersze drukowane są w Antologii wyróżnianych poetów. Cały cykl jego najpiękniejszych wierszy drukuje Harcerski Krąg Seniora w Wodzisławiu Śląskim w roku 1994. Jego utwory publikowane są także w Głosie Ludu, ZWROCIE oraz Kalendarzu Śląskim.

Władysław Bura obchodzi jubileusz 70-lecia. Nadal pragnie uczciwie pracować, społecznie działać - dla dobra swojej społeczności, dla swego ukochanego Zaolzia.

W dowód w pełni zasłużonych podziękowań za ogrom pracy społecznej niechaj gromkim echem zabrzmi głośne i donośne: „100 lat niech nam żyje".

JÓZEF KULA

NATURA BUMERANGÓW

Szanowna Pani Redaktor Naczelna,
jeśli Pani pozwoli – wrócę na te łamy z tym felietonem, który przed laty został z pisma wyrzucony. Wraca jak bumerang. Nie znaczy to, że wówczas „nie trafił". Wręcz odwrotnie. Może gdyby był wtedy chybił, pozostałby w Zwrocie. Naturą bumerangów jest powrót. Do miejsc wyjściowych.

Niedawno opowiadał w kościele ksiądz z ambony przejmującą historię o słowie, które wróciło jak bumerang do człowieka, który w swojej pysze wypuścił je z ust i po upływie pewnego czasu miał się przekonać, że „słowo ciałem się stało".

W katowickim szpitalu położniczym przygotowywała się do porodu małżonka jakiegoś wysokiego rangą dygnitarza partyjnego. Towarzysz sekretarz zjawił się w szpitalu. Od razu zauważył, że na ścianie wisi krzyż. Kazał przywołać ordynatora i wydał polecenie, żeby zdjąć krzyż. Ordynator odmówił tłumacząc, że on nie umieścił krzyża na ścianie, więc nie będzie go zdejmował.

Również nikt inny z personelu nie kwapił się do spełnienia sekretarzowej zachcianki.

– Ten wisielec – gorączkował się partyjny kacyk – ten wisielec...

– mówił wskazując Jezusa Chrystusa na krzyżu – musi zostać zdjęty. Nie pozwolę, żeby pierwszym widokiem mojego dziecka był wisielec! Tak nie może być!

W końcu jednak krzyż pozostał.

Poród przebiegł sprawnie i bez komplikacji. Nazajutrz sekretarz przyszedł się dowiedzieć czegoś bliższego na temat zdrowia żony i dziecka.

– No jak? – pytał ordynatora.

– W porządku – odrzekł ordynator – ale muszę was uprzedzić, że syn rzeczywiście nie ujrzy „tamtego wisielca".

– Jak to? Przecież w końcu ten krzyż wisi na swoim miejscu – dziwił się sekretarz.

– Owszem – tłumaczył ordynator – ale dziecko urodziło się niewidome.

Rzeczywiście: między niebem a ziemią istnieje stale wiele spraw tajemniczych i niepojętych. Niekiedy słowo zachowuje się jak bumerang!

RENCISTA

Opowiadanie mojej matki Zuzanny Mrózkowej, ur. w 1897 roku, o stosunkach panujących w domu jej rodziców, za jej młodych lat, powtarzane przez nią wielokrotnie w gwarze, jaką rozmawiano u nas w domu, w domu jej rodziców, jak zresztą we wszystkich przycieszyńskich wioskach leżących na lewym brzegu Olzy. Opowiadanie zanotowałem na początku wojny w roku 1940.

KAROL MRÓZEK

O TYM JAK SIE NASZ BRAT PAWEŁ WYMIGOŁ OD PASIYNIO KRÓW

Moji ojcowie mieszkali w Dolnym Żukowie. Mój tata Jan Nikodem pochodził ze starej rodziny grodziskich Nikodemów, kierzy tam mieszkali od niepamiętnych czasów, bo jeszcze za czasów kontrreformacji. Moja mama pochodziła z Dolnego Żukowa z rodziny Motyków, ale jej tata Jan Motyka, czyli mój starzyk też pochodził z Grodziszcza, a do Dolnego Żukowa sie przyżynił za cerą jakisigo Ostruszki. Mój tata był stolorzym. Mieli my swój dómek, kąsek pola i dwie krowy. Nasz domek był przy samej granicy z Wielopolym, bo za potokym, kiery płynół bliziutko naszego dómku, już było Wielopole, za potokym była gospoda blisko nij była szkoła. Była to polska szkoła, bo Czechów jak w Żukowie, Wielopolu czy Grodziszczu żodnych nie było. Piyrszy roz żech sie z czeskóm mową spotkała dziepro w roku 1921, bo jak żech sie wydowała za waszego tate Karola Mrózka, to musiałach se wyrobić karte przynależności gminnej czyli tak zwany Domovský list a na urzędzie gminnym w Dolnym Żukowie już urzędował zamiast naszego fojta, Czech, tzw. vladni komisař Bedřich Anton. Niebardzo żech sie z nim umiała domówić. Było nas szejścioro dzieci i wszyscy my do tej szkoły wielopolskiej chodzili. Nauczyciel nazywoł sie Śladeczek. Wszystki świadectwa z tej szkoły, jak i tyn domowski list móm schowane i móm nadzieje, że po mojij śmierci sie też nie stracą. (I matka miała rację, bo ja, jako najstarszy z jej czworga dzieci wszystkie pamiątki po naszych przodkach skrupulatnie przechowuję i dbam o nie jakby to były jakieś relikwie).

Mój tata był stolorzym, a warsztat mioł w naszym dómu w piwnicy. Robił ludzióm okna, dwiyrze, meble. Była to bardzo ciężko robota bo

ón robił wszystko ręcznie, nimioł żodnych maszyn. Piłki ręczne, hoble – taki wielki blisko jedyn meter dłógi nazywoł sie sztoshobel – i rozmajte dłótka to był cały jego wercajg. Tata był bardzo ostrym człowiekym. Musieli my go na słowo posłechnóć, bo inaczy zaurzędowoł skurzany pas. Było nas sześcioro, sztyry dziywczęta i dwo syncy. Nejmłodszy był brat Paweł urodzóny w roku 1900, jo była przedostatnio i miałach sie nejgorzej ze wszystkich. Paweł był tatowym pupilkym a tata na niego nigdy ręki nie podniós, ón móg robić co mu sie jyny zapodobało. Wszystko mu uszło na sucho. Od malutka siedzioł przy tatowi we warsztacie. Jak był troche starszy, to na nas starszych wszystko żałowoł, a nieroz i cosi przycyganił a tata mu na słowo wierzył i nie doł na niego dopuścić. Nie pomógły ani słowa naszej mamy, że Pawełek cygani. Nejwiększy kłopot był z pasiynim krów. Każde z nas musiało tych pare roków ty krowy odpaść. Jo to miała nejgorszy, bo trzy moje siostry i brat Janek byli odymnie znacznie starsi. Janek sie uczył za ślosorza kajsi w Trzyńcu, do dómu przychodził jyny na niedziele, starsze siostry chodziły do roboty na pański do ropickigo dworu, a jedna z nich była już wydano, a tym jo już od ósmego roku życio musiała ty krowy paść. Było zymnie wtedy jeszcze taki chucherko, krowy mnie nieroz posmykały, wpadły do szkody – kóńczyny, kapusty a Paweł zaroz lecioł to tatowi meldować. Było mi szesnoście roków, a jo ty krowy jeszcze pasała, zaś Paweł sobie nadal wiesioło bisagowoł, łaził po potoku za pstrągami, a jak sie mu co udało chycić, to zaroz sie z tym lecioł tatowi pochwolić a potym mama musiała tego pstrąga na maśle tatowi usmażyć. Potym mamulka sie nóm ciężko rozchorowali, pore miesięcy z łóżka nie stanęli, nó a jo musiała ją w kuchni zastąpić. Teraz już nie było inszego wyjścio, Paweł sie musioł chytać pasynio krów, ale to mu sie po chwili znudziło. Zaczón beczeć i głośno wrzeszczeć: „Tato, pódźcie mnie zbić, bo jo tych krów pos nie bedym" i tak naokoło, aż tata przylecieli ku nimu z opaskym w ręce. Nó, przeca żech sie doczkała, że tyn jego ukochany Pawełek sie też bliży z jego poskym zapozno, z jego sinymi flekami, jaki tyn posek po sobie zóstawio. Ale mocie rozum, tata sie jyny tyn poskym zamachli, i na tym sie skóńczyło. Wziyny krowy do chlywa, ociosali dwa klocki drzewa, zrobili z nich kuliki, i od tego czasu to te kuliki krowy pasą. Paweł wtedy mioł trzynoście roków a już był mazany, że umioł tatową słabą stróne wykorzystać. A może? A może mu było po prostu żol, że jego starsze rodzeństwo tela bicio od taty dostało a jego pod tym względym tata tak zaniedbuje. Mamulka nóm umrzyli w 1916 roku, w listopadzie, tak jakosi w tym czasie co nasz cysorz Franciszek Józef I. Jo poszła do mojij ciotki Górnioczki, siostry mojej mamy, do Grodziszcza. Nasz tata chałupe sprzedoł, ożynił sie po drugi, ale już o trzy roki, w roku 1916 poszedł za naszą mamą na tyn drugi lepszy świat. A Paweł? Tyn sie poniewyroł i płacił za to, że za młodu nie dostoł tak twardej szkoły życio, jako my, jego starsze rodzeństwo.

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Materiały publikowane w tej rubryce umieszczamy w oryginalnym brzmieniu. Poglądy czytelników nie zawsze pokrywają się ze stanowiskiem redakcji.

W drugim ubiegłorocznym numerze kwartalnika Slezský sborník Šárka Hernová zastanawia się nad przyczynami gwałtownej asymilacji Polaków na Zaolziu. Są nimi głównie mieszane małżeństwa. Wiemy o tej naszej zmorze, jednakże za mało miejsca jej poświęcamy zarówno w naszej działalności, jak i prasie. Uprawiamy tzw. strusią politykę chowania głowy w piasek. Znając chorobę trzeba ją zwalczać oraz likwidować jej przyczyny.

Przyczyn mieszanych małżeństw jest wiele. Główne jednakże znajdują się w rodzinie i szkole. Jeżeli ten problem poruszyłbym w środowisku nauczycielskim, to zaraz wskazuje się na rodzinę. Jeżeli natomiast mówimy o tym z rodzicami, to słyszymy, że to sprawa szkoły, ponieważ rodziny są zaabsorbowane sprawami gospodarczymi. Nie trudno stwierdzić, iż obydwa poglądy są zwyczajnymi wymówkami i wzajemnym przerzucaniem odpowiedzialności za nasze ważne sprawy życiowe.

Zacznę od rodziny. Dziecko wychowuje się od pierwszego roku jego życia. Już sam dobór piosenek, bajek kształtują w dziecku jego przyszły profil narodowy. Przypominam sobie z dzieciństwa legendę o Wandzie, która, aby uniknąć małżeństwa z Niemcem, raczej skoczyła do Wisły i utopiła się. A piosenki! Te nasze młode polskie pokolenia gardzą śląską piosenką, a hołdują raczej angielskiemu bełkotowi w murzyńskim rytmie. Dalej – jeżeli dorastająca młodzież słyszy w domu: ja bym się nie mieszał czy nie mieszała do narodowości narzeczonego–narzeczonej, to wtedy nietrudno odgadnąć, że w 90% powstanie mieszane małżeństwo.

Szkoła – przed drugą wojną światową w absolutnej większości uczącymi byli mężczyźni, mieli oni więcej czasu dla młodzieży. Przed zapisami odwiedzali rodziny, gdzie były dzieci w wieku szkolnym i przekonywali chwiejnych pod względem narodowym rodziców o obowiązku zachowania narodowości przodków i zapisania dziecka do polskiej szkoły. Zaś podręczniki w szkole do nauki historii i języka polskiego przesiąknięte były bohaterstwem Polaków. Pamiętam jedną taką grubą książkę ze szkoły wydziałowej o nazwie WYPISY. Były w niej fragmenty z najlepszych polskich powieści, przez co gruntowano patriotyzm młodego człowieka.

Po wojnie powstały jednolite szkoły a z polskich podręczników wytracił się polski patriotyzm. Były również lansowane, w imię tzw. proletariackiego internacjonalizmu, jednolite w treści organizacje,

często z pomijaniem języka polskiego. Nic więc dziwnego, że procent zawieranych mieszanych małżeństw gwałtownie się zwiększał. Nie dość na tym. Polka lub Polak wstępujący w mieszane małżeństwo zrywa w większości kontakt z polskim środowiskiem. Na dobitkę często dziadkowie rozmawiają z swoimi wnukami po czesku. To jest już gwałtowna asymilacja, często wynikająca z różnego rodzaju spekulacji.

Dotknąłem tylko krawędzi problemu mieszanych małżeństw. Na ten temat można pisać polemiczne tomy. Jedno jest jednakże pewne – jeżeli chcemy ratować spuściznę naszych przodków, a to jest naszym obowiązkiem, trzeba tematykę mieszanych małżeństw włączyć do naszych stałych zajęć. Nie wystarczy lamentować wtedy, kiedy już młodzi zakładają mieszane małżeństwa. Trzeba, aby do naszych rodzin wstąpił z powrotem duch polski, abyśmy wspierali polskie inicjatywy i wprowadzali młodych w nasze życie organizacyjne, abyśmy kupowali i czytali polskie książki, wspierali polskie szkoły i gazety.

ERWIN JONSZTA

DOKĄD NA OSTATKI – DO STONAWY!

Stonawskie Ostatki weszły już do kalendarza tradycyjnych imprez zaolziańskich, na które zjeżdżają się bywalcy z całego terenu. Również koniec nadchodzącego sezonu balowego znajdzie swój finał w Stonawie, jakże inaczej, OSTATKAMI. Tym razem trochę nietypowo – w piątek 2 lutego. Stonawskie MK PZKO zapewnia, że przygotowany został tradycyjny śląski program, w którym nie zabraknie o północy pochowania „basy", będą występy zespołu regionalnego oraz, jak co roku, bogaty bufet z potrawami regionalnymi i kosmopolitycznymi napitkami.

Czyli, jak na Ostatki, to do Stonawy w piątek 2 lutego! Dobra zabawa zapewniona.

TRADYCYJNA WYSTAWA KSIĄŻKI

Również w roku 1996 organizatorem tej popularnej wystawy i kiermaszu była czeskocieszyńsko-bielska hurtownia książek ALFA z Zenonem Wirthem na czele przy współudziale Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, ZG PZKO i redakcji „Głosu Ludu". Wystawa ulokowna w Klubie PZKO przy ul. Bożka w Czeskim Cieszynie trwała od 9 do 12 listopada. Duża ilość zwiedzających i kupujących wszystkich kategorii wiekowych zdaje się zaprzeczać pesymistycznym prognozom na temat zainteresowania książką.

W ROCZNICĘ NIEPODLEGŁOŚCI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

12 listopada 1996 odbyło się uroczyste spotkanie w Konsulacie RP w Ostrawie. Z okazji rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, pod patronatem Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, odbyła się później w kościele rzymsko-katolickim pw. Serca Jezusowego w Czeskim Cieszynie uroczystość poświęcenia sztandaru Koła Polskich Kombatantów w RC. Aktu tego dokonali ksiądz miejscowej parafii rzymskokatolickiej o. Józef Steczek i przedstawiciel Śląskiego Kościoła Ewangelickiego



A.W. ksiądz senior Bogusław Kokotek. W ramach uroczystości kombatanci złożyli kwiaty pod tablicą pamiątkową Józefa Piłsudskiego w Jabłonkowie oraz pod pomnikiem na Konteszyńcu. Uroczystości zakończono spotkaniem towarzyskim w hotelu PIAST w Czeskim Cieszynie.

OBCHODY MOKiP

17 listopada w skrzeczońskim Domu PZKO odbyły się tradycyjne obchody Miesiąca Oświaty, Książki i Prasy. Z tej okazji kierowniczka miejscowej polskiej biblioteki Danuta Guziur przedstawiła krótkie sprawozdanie w działalności za rok 1996. Podkreśliła dobrą współpracę z Miejską Biblioteką w Boguminie, jak również Powiatową Biblioteką w Karwinie. Uczennice dolnolutyńskiej i bogumińskiej szkoły recytowały wiersze. Na kiermaszu można było nabyć nowe polskie książki z czeskocieszyńskiego Contactu, jak również starsze książki ofiarowane przez pana Bronisława Janoszowskiego z Bogumina i Alojzego Krzystka z Czeskiego Cieszyna.

W trakcie spotkania przebiegło również podpisywanie petycji do Ministerstwa Szkolnictwa RC w sprawie szkolnictwa narodowościowego, którą przedstawiła dyrektorka bogumińskiej szkoły Maria Sładeczek. Czynna była także mała wystawa plakatów zamków polskich przygotowana przez Wincentego Szeligę. W trakcie spotkania prelekcję pod tytułem „Spotkanie z piosenką ludową" wygłosił Józef Wierzgoń, przedstawiciel Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego przy ZG PZKO. Spotkanie zakończono wspólnym śpiewem śląskich piosenek ludowych. T.G.

HAWIERZOWSKI KLUB EMERYTÓW MA 20 LAT

18 listopada 1976 roku – jeszcze w klubie „Pod Arkadami" – odbyło się pierwsze spotkanie Klubu Emerytów w Hawierzowie. Od tej pory emeryci spotkali się do listopada 1996 roku już 445 razy. Ostatnie spotkanie, w odświętnej atmosferze, odbyło się z okazji jubileuszu. Nie ma już klubu „Pod Arkadami", ale jest lokal przy ulicy Matuški, gdzie obecnie spotykają się emeryci. Od września 1995 roku na czele Klubu stoi niezwykle rzutki, pełen energii i humoru, niestrudzony pan Józef Folwarczny. *„Mili goście, witam was na dzisiejszym jubileuszowym spotkaniu. Najdroższym skarbem człowieka jest życie, które dane jest mu tylko raz. Należy je przeżyć przeto tak, by nie odczuwać męczącego żalu po latach spędzonych bez celu"* – takimi oto słowami rozpoczął jubileuszowe spotkanie pan Józef. Przybyło na spotkanie wielu gości, m.in. prezes ZG PZKO inż. Jerzy Czap, dyrektor Biura ZG PZKO dr Bohdan Suchanek, przedstawiciele Klubu Emerytów w Błędowicach, Szumbarku, Suchej Średniej i Olbrachcicach. Panie z Klubu Kobiet Koła PZKO Hawierzów–Centrum przygotowały – jak zawsze – smaczny poczęstunek, a całość blisko czterogodzinnego spotkania umilili swoim programem prof. Daniel Kadłubiec i dr Józef Wierzgoń. J.W.

WYSTAWA W "MAGALU"

W listopadzie i grudniu w Małej Galerii „Magal" przy ulicy Frysztackiej w Karwinie-Frysztacie, dzięki współpracy ZG PZKO, miała miejsce światowa wystawa pod nazwą „Barwy przyjaźni – zawsze zielono, zawsze niebiesko". Wystawa przywieziona została z Torunia, gdzie w czerwcu ubiegłego roku uświetniła obchody Światowego Dnia Ochrony Środowiska.

W wernisażu wystawy udział wzięli m.in.: wicestarosta Karwiny, Zdeněk Vajter, przedstawiciele ZG PZKO, Jerzy Czap i Józef Wierzgoń oraz Oskar Pawlas, prezes pionu plastycznego SLA.

Przywiezione malunki i grafiki były fragmentem zestawu wystawowego VIII Międzynarodowego Konkursu Twórczości Plastycznej Dzieci i Młodzieży, zorganizowanego przez Państwową Galerię Sztuki i Ośrodek Edukacji Plastycznej w Toruniu pod patronatem ministra kultury i sztuki RP.

Z pięknego katalogu wydanego w Toruniu dowiedzieć się można, że na konkurs nadesłano aż 18 928 prac z 56 krajów. Do nas, ze względów organizacyjnych, dotarło 30 plansz z pracami dzieci z 33 krajów świata. **J.W.**

20. ROCZNICA ŚMIERCI HENRYKA JASICZKA

Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie przygotował w dniu 29.11.1996 z okazji 20. rocznicy śmierci poety „Wieczór



wspomnień o Henryku Jasiczku". Wśród licznych obecnych byli także zaproszeni do wspomnień Andrzej Kubisz, Jan Rusnok, Władysław Sikora oraz córka Henryka Jasiczka, pani Danuta Palowska (na zdjęciu). Spotkanie prowadziła Helena Legowicz i Karol Suszka.

Okazałą imprezę z tej samej okazji przygotowało 30.11.1996 MK PZKO Czeski Cieszyn-Centrum w Klubie PZKO przy ul. Bożka. W wieczorze nazwanym „Rozkołyszmy w sercu zapomniane dzwony" udział wzięli: Marcin i Natalka Hasan, Samuel Bocek, drużyna harcerska OPTY, Katarzyna Jedzok, gość z Cisownicy, ZPiT „Olza", Halina Pasekowa, Teresa Branna, Władysław Martynek, Bronisław Procner, Anna Bindačowa, Józef Broda z Istebnej oraz córka poety Danuta Palowska.

III WALNE ZGROMADZENIE MACIERZY SZKOLNEJ W RC

Odbyło się 23 listopada 1996 w hotelu PIAST w Czeskim Cieszynie. Wybrano nowy zarząd, na czele którego ponownie stanął Janusz Branny. Pomimo wszelkich trudności dokonania tej niedawno reaktywowanej na naszym terenie organizacji polskiej są niemałe. Duża baza członkowska, którą tworzą w zasadzie rodzice dzieci uczęszczających do Szkół z Polskim Językiem Nauczania w RC ma znacznie większe własne możliwości, w wykorzystanie których w przyszłości wierzymy.

DRUGA ZABIJACZKA

Organizatorami tej ciekawej imprezy folklorystycznej są społecznicy MK PZKO w Nawsiu z Tadeuszem Filipczykiem na czele. On też męczył się przez całe godziny w sobotę 30 listopada próbując, w charakterze wodzireja, przekrzyczeć rozbawiony tłum.

Można powiedzieć, że druga „ZABIJACZKA" była w porównianiu z pierwszą lepsza, bo bogatsza zarówno w potrawy jak i program. Występował w Nawsiu zespół regionalny „Koniaków" z Koniakowa, który grał, śpiewał i tańczył porywając do tańca (dosłownie) i publiczność. Grała kapela Zbyszka Wałacha z Istebnej. Wystąpił również obecny na imprezie, znany wszystkim, Józef Broda z Istebnej. O rozgłosie ZABIJACZKI świadczy obecność licznych gości spoza granic Nawsia i Jabłonkowa, w tym i z Brna a nawet z Warszawy.

"WŚRÓD NOCNEJ CISZY"

Jasełka Śląskie autorstwa Jana Gajdzicy w wykonaniu wszystkich uczniów PSP w Nawsiu oglądać można było 5,6 i 7.12. w Domu PZKO w Nawsiu. Reżyserem spektaklu była nauczycielka Grażyna Štirba, scenografię i kulisy wykonał dyrektor szkoły Antoni Worek, tańce przygotowała nauczycielka Halina Wacławek, piosenki nauczycielka Krystyna Pyszko, kostiumy szyła Renata

Wojciechowska, opracowanie muzyczne z wykorzystaniem nagrań kolęd zespołu „Gorol" i „Melodia" – Andrzej Macoszek.



„JASEŁKA" Wandy Chotomskiej na nowej scenie Domu PZKO w Bukowcu wystawiły czterokrotnie dzieci miejscowej polskiej szkoły. Wśród licznych gości na uroczystym przedstawieniu w niedzielę 15.12.1996 był konsul Konsulatu RP w Ostrawie Piotr Szwarc i delegacja Rady Miejskiej Bielska-Białej, która przywiozła dzieciom podarunki. W bogatych w elementy miejscowego folkloru „Jasełkach" wystąpili wszyscy uczniowie szkoły (67), muzykę przygotował Andrzej Macoszek, dzieci przygotowały nauczycielki: Irena Tacina – reżyser, Irena Szymonikowa – śpiew, Wanda Wałkowa – tańce. Scenografię przygotowała Iwona Wrona, stroje Lenka Stonawska.

PRZEDSTAWIENIE W MOSTACH KOŁO JABŁONKOWA

Uczniowie klas 1 – 5 oraz chór szkolny PSP w Mostach koło Jabłonkowa pod kierownictwem nauczycieli: reżyseria – Helena Lach, dyrygent – Elwira Zwyrtek, choreografia – Irena Klimas, Zofia Dedek, Renata Kohut, scenografia – Maryla Kraina, Bronisław Wojnar, kostiumy – Aurelia Śliż, Magdalena Schwarz, Amalia Kawulok, przy opracowaniu muzycznym Andrzeja Macoszka wystawili w dniach 15, 18 i 19 grudnia 1996 baśń muzyczną Piotra Łosowskiego i Artura Żalskiego „Spotkanie bajek". To kolorowe widowisko pełne radości, śpiewu i tańca ocenili burzliwymi oklaskami mali i dorośli widzowie.

JESIENNE MGŁY

Ta tradycyjna listopadowa impreza odbyła się w Domu PZKO w Błędowicach w roku 1996 w 16 dniu tego miesiąca. W programie wystąpił „Mały Zespół Wokalny", zespół wokalny „Anki". MK PZKO Błędowice poza wymienionymi zespołami obfituje w talenty muzyczne. Występy solowe i w duecie zaprezentowały licznie zebranej publiczności kolejno: Izabela Bałon, Irena Polak, Danuta Bilan i Darina Krygiel, Marta Wierzgoń, Halina Ptak.

Prawdziwą perłą w koronie tego programu były występy Aliny Farnej-Podskalskiej, solistki Teatru Narodowego im. A. Dvořáka w Ostrawie i Miloslava Podskalskiego, solisty Teatru Narodowego w Pradze.

SREBRNE SPINKI



Laureatem „Srebrnych Spinek", nagrody przyznawanej za działalność twórczą przez Konsulat Generalny RP w Ostrawie został w roku 1996 Bronisław Liberda. Na uroczystym spotkaniu 16 grudnia 1996 w budynku Konsulatu RP w Ostrawie, w obecności przedstawicieli naszego środowiska kultury i sztuki, nagrodę wręczył laureatowi Bernard Błaszczyk – konsul generalny.

30–LECIE PSP W TRZYŃCU

Uroczysta akademia z okazji trzydziestolecia PSP w Trzyńcu VI - Łyżbicach odbyła się w tamtejszym Domu Kultury 19 grudnia 1996. W bogatym programie zaprezentował się chór szkolny, zespół „KT 6" i liczne dziecięce talenty, z których szkoła-jubilatka jest znana w terenie. Wystąpił również absolwent tej szkoły - Leszek Wronka.



WIGILIJKA W PIOTROWICACH

28 grudnia odbyła się w Piotrowicach wigilijka, w której tradycyjnie wzięli udział członkowie chóru mieszanego Piotrowice-Marklowice i członkowie zarządów MK PZKO Piotrowice i Marklowice z rodzinami. Spotkanie to ma miejsce na przemian w obu miejscowościach. W tym roku odbyło się po raz dwudziesty. Program kulturalny zapewnili sami uczestnicy spotkania. Kolędy śpiewały Jadwiga Karolczyk, Barbara Sztuła i Teresa Bogocz oraz chór Piotrowice-Marklowice.

T.T.

TRADYCYJNE SPOTKANIA

W skrzeczońskim Domu PZKO 28 grudnia odbyły się tradycyjne spot-

kania, podczas których pożegnano stary 1996 i powitano nowy 1997 rok. Ponad 20 członków Klubu Dziecięcego uczestniczyło we wspólnej zabawie pod kierownictwem Ireny Harabiš, po czym dzieciom wręczono w imieniu Koła skromne podarunki świąteczne.

Tego samego dnia odbyła się również tradycyjna wigilijka dla członków Koła. Z kolędami wystąpił chór mieszany „Hasło" z dyrygentem Władysławem Ożógiem, które były przeplatane okolicznościowymi wierszykami w wykonaniu skrzeczońskiej młodzieży. Przewodniczący Koła inż. Bogusław Czapek podziękował wszystkim aktywistom za pomoc przy organizowaniu akcji i imprez Koła oraz utrzymaniu Domu PZKO, po czym złożył obecnym życzenia wszelkiej pomyślności w życiu rodzinnym, zawodowym i społecznym. Życzenia noworoczne złożył również obecny na spotkaniu ksiądz proboszcz rzymskokatolickiej parafii w Boguminie Stanisław Zwyrtek. Na spotkaniu nie zapomniano o ubiegłorocznych jubilatach. Najstarszą jubilatką była 85-letnia Elżbieta Waluszczyk. Chór mieszany Koła zadedykował jubilatom wiązankę piosenek. Jego występ, po wcześniejszych w skrzeczońskim i bogumińskim kościele oraz w Domu Polskim w Ostrawie i u miejscowych spółdzielców, godnie zakończył jubileuszowy 70. rok swojej działalności.

D.G.

GRÓDECKIE SPOTKANIE ŚWIĄTECZNE

Spotkanie świąteczne stało się już w Gródku tradycją i na stałe weszło w kalendarz imprez MK PZKO. W uroczystej atmosferze niedawnych Świąt Bożego Narodzenia i bliskiego końca roku już od wielu lat spotykają się przy choince mieszkańcy Gródka, by przypomnieć sobie pełny cudów czas Świąt Godowych, a także po to, by po raz ostatni w roku razem spędzić wieczór i podziękować wszystkim, którzy szczególnie angażowali się w ciągu roku w organizowaniu życia Koła.

Tegoroczne spotkanie odbyło się w ostatnią grudniową niedzielę w gródeckim Domu PZKO. Wieczór rozpoczął powitalnymi słowami prezes MK PZKO Karol Pilch i starosta gminy (równocześnie członek zarządu Koła) inż. Jan Kawulok. Na program artystyczny złożyły się pieśni ludowe i żołnierskie oraz kolędy i pastorałki wykonane przez Chór Nauczycieli Polskich połączony z orłowskim „Hasłem". Całość przeplatana była wierszami w wykonaniu dzieci z gródeckiej PSP. Potem nastąpiło tradycje łamanie

się opłatkiem i składanie sobie życzeń noworocznych. Znakomitą strawę dla ciała przygotowały niezastąpione panie (nie tylko z Klubu Kobiet). Po kolacji złożono życzenia tym członkom Koła, którzy w tych dniach obchodzili urodziny. Wspólne śpiewy i rozmowy trwały do późnych godzin nocnych.

Na zakończenie jedna skromna uwaga: szkoda, że nie przyszło na ten ostatni wspólny w roku wieczór więcej ludzi. Ci, którzy pozostali w domu, mogą naprawdę żałować. Miejmy nadzieję, że na następnym spotkaniu sala będzie już pełna.

LIDIA KLUZ

SPOTKANIE ŁĘCZANÓW POD ŚWIĄTECZNĄ CHOINKĄ

Od 1969 roku systematycznie postępowała fizyczna zagłada Łąk. W 1987 roku zburzono Polską Szkołę Ludową a wraz z nią trzecią z kolei Świetlicę PZKO. Kończą działalność zespoły, chluba MK PZKO, chór żeński „Olzianka" oraz sympatyczny „Olziok" - kabaret z prawdziwego zdarzenia. Pozostali jednak ludzie, ciągle ofiarni. Garstka zapaleńców skłonnych do improwizacji nawet w najtrudniejszych warunkach. Poszukują nowych form społecznego działania. Do takich niewątpliwie należą, dziś już tradycyjne spotkania, byłych mieszkańców Łąk, szeroko rozproszonych po okolicznych miastach i miasteczkach.

Miłą tradycją stały się spotkania pod świąteczną choinką. Tak było i w sobotę 28 grudnia 1996 w niedużej salce na „Zaciszu". Przybyli PZKO-wcy z Karwiny, Trzyńca, Czeskiego Cieszyna i Stanisłowic. Ich dewiza to: „Zawsze człowieka ciągnie, gdzie się ulągnie". Impreza jakże potrzebna. Po kilku słowach wstępu, jak w kalejdoskopie płynął przygotowany program. Najpierw świąteczny toast z najszczerszymi życzeniami. Następnie wspomnienia zwyczajów świątecznych, wróżb wigilijnych, a wszystko to przeplatane śpiewem polskich kolęd. Miłą niespodzianką był duet pań Nowakowej i Lajczykowej przy akompaniamencie najmłodszej z Nowaków. Później było jeszcze tradycyjne łamanie się opłatkiem. Na stole nie zabrakło świątecznych smakołyków: ciastek, orzechów i jabłek. Była także smaczna wspólna wieczerza. W sumie prawdziwa rodzinna atmosfera.

Oby podobnych spotkań było w Łąkach jeszcze wiele w następnych latach.

JÓZEF KULA

PRZED PIĘCIU LATY
POWSTAŁA TV LOCAL STONAWA

W grudniu 1996 roku TV Local Stonawa obchodziła piątą rocznicę swego powstania. Jej program mogą obecnie odbierać telewidzowie w Stonawie, Olbrachcicach, Suchej Górnej i Karwinie.

Jak stwierdził dyrektor TV Local Stonawa, Roman Patko, jej sygnał telewizyjny jest odbierany bez problemów w wymienionych gminach. Jedynym warunkiem jest instalacja anteny i jej nastawienie na Kopalnię 9 maja, gdzie znajduje się nadajnik. Program jest nadawany na 29. kanale. TV LOcal Stonawa emituje swój program 3 godziny dziennie. W godzinach 7.00 – 8.00 i 16.00 – 17.00 nadawane są informacje teletekstowe, natomiast w godzinach 17.00 – 18.00 nadawany jest magazyn informacji z regionu. Prezentowane są obrazowe aktualności z ciekawych imprez kulturalno–oświatowych, czy sportowych, również w języku polskim.

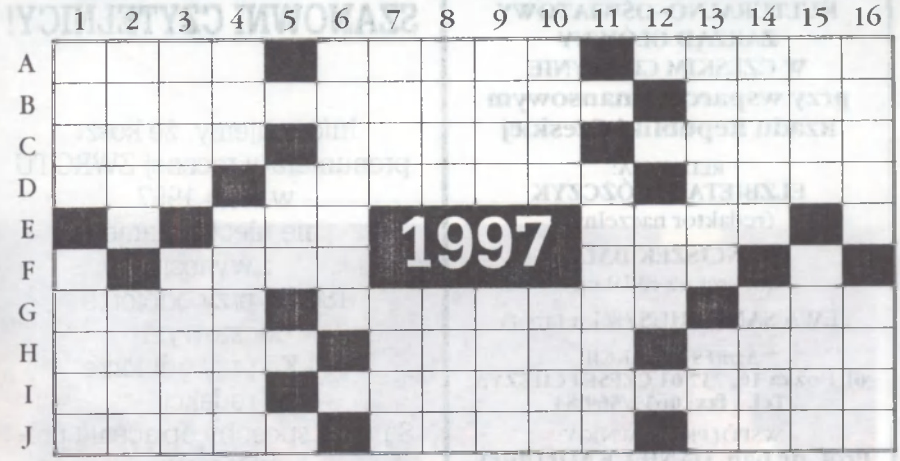
Zaplanowano nawet założenie telewizji powiatowej, co wymagałoby instalacji dwu nowych nadajników w okolicach Czeskiego Cieszyna i Orłowej. Koszty emisji pokrywałyby gminy i miasta powiatu. Projekt ten poparło 12 starostów, z projektem nie zgadzają się radni Karwiny, Hawierzowa i Czeskiego Cieszyna. Zwłaszcza stanowisko Karwiny nie jest przez twórców programu zrozumiałe. Programy stonawskiej telewizji są przecież w Karwinie oceniane przez jej mieszkańców bardzo pozytywnie.

Obecnie omawiana jest instalacja nadajnika w Orłowej, który pokryłby obszar gmin i miast, które o emisję TV Local Stonawa zabiegają, tzn. Orłowa, Bogumin, Rychwałd, Pietwałd, Dziećmorowice, Dąbrowa, Lutynia Dolna i Piotrowice. Telewizja stonawska jest również przygotowana na nawiązanie współpracy z telewizją kablową w Jastrzębiu i wymianę programów i informacji z regionu.

T.T.

Pani ANNIE SŁOWIK
z Orłowej Poręby
z okazji zacnego jubileuszu życiowego
najserdeczniejsze życzenia zdrowia, wszelkiej pomyślności
wraz z podziękowaniami za 50 lat pracy w ruchu kobiet PZKO
składają członkinie Sekcji Kobiet PZKO

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: A. Wargi; nakład pieniężny na określony cel; imię Pawlasa. **B.** Uzdrowisko w województwie włocławskim; roztwory koloidowe. **C.** Tężyzna, nieugiętość; złoto lub srebro; mieszkaniec Półwyspu Malajskiego. **D.** Imię Pavla; autobus turystyczny; poetycznie pierś. **E.** Panika giełdowa; imię Sharifa. **F.** Francuski komik filmowy (Jacques); koleje życia. **G.** Koń krwi czystej; gloria, krąg świetlisty; tybetański pustorożec. **H.** Łowca lub hodowca ryb; rzadkie imię żeńskie (20 czerwca); słynne paryskie muzeum. **I.** Kamień półszlachetny; rodzaj kary dyscyplinarnej. **J.** Starożytna machina wojenna; pierwiastek chemiczny (V); opał lżejszy od węgla.

PIONOWO: 1. Narząd równowagi; jubilerska jednostka masy. **2.** Zagranie piłki pomiędzy nogami przeciwnika; stolica Łotwy. **3.** Prawy dopływ Elsy w Hiszpanii; topór indoperski. **4.** Nazwa ustawy w Anglii; wąska grządka kwiatowa. **5.** Wyjście piłki poza plac gry. **6.** Spożywanie hostii w religii chrześcijańskiej. **7.** Ma kwaśny smak; wesoła zabawa. **8.** Przetak; ... naftowa. **9.** Drogowy lub zapytania; jedno z imion Kischa. **10.** Port nad Zatoką Honduraską; obecność powietrza w jamie płucnej. **11.** Francuski pisarz i muzykolog, noblista (Romain, 1866-1944). **12.** Wymarły nielatający ptak. **13.** Okresowe mieszkanie pasterzy w górach; medykament. **14.** Barwa; żona Jowisza. **15.** Imię męskie (14 października); motyl dzienny lub ozdobny gołąb domowy. **16.** Region, okręg; granica, kraniec.

Wyrazy trudne: ACT, TELA, TERA, TABAR.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: H-16, B-6, A-14, J-13, G-7, F-11, I-4, D-6, A-16, H-2, I-8, D-14, C-10, J-16, A-6, B-2, I-13, C-16, J-7, C-3, G-9, F-15, ,E-5, G-4, C-14, F-6, B-7, I-16, B-1, B-13, B-10, F-13, J-15, B-8, B-16, G-14. **(taj)**

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU LISTOPADOWEGO

Hasło: **„Broda nie czyni filozofa".**

Nagrody książkowe wylosowali: **Helena Kraus – Trzyniec**

Jan Cymorek – Czeski Cieszyn

Marta Kluz – Mosty k. Jabłonkowa

GORĄCO PRZEPRASZAMY CZYTELNIKÓW ZA NIEWŁAŚCIWY DIAGRAM KRZYŻÓWKI, JAKI ZOSTAŁ UMIESZCZONY DO JEJ TEKSTU W NR 12/1996.

Pomimo tego błędu do redakcji przychodzą prawidłowe rozwiązania krzyżówki. W ramach przeprosin i w dowód podziwu dla rozwiązujących redakcja postanowiła podnieść wartość nagród za rozwiązania krzyżówki z nr grudniowego 1996.

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO–OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
EWA SANTARIUS (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
WŁADYSŁAW MILERSKI
KRZYSZTOF NOWAK
WILHELM PRZECZEK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK
CZESŁAWA RUDNIK (korekta)

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 144,– Kč, z wysyłką pocztową 186,– Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.

Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

SZANOWNI CZYTELNICY!

Informujemy, że koszt prenumeraty rocznej ZWROTU w roku 1997 nie uległ zmianie i wynosi 186 Kč przy odbiorze pocztowym 144 Kč przy odbiorze w redakcji.
Są dwa sposoby opłacenia prenumeraty:
na poczcie – przekazem dołączonym do tego numeru lub w redakcji ZWROTU w Czeskim Cieszynie przy ul. Bożka 16.

(ze względu na zmiany administracyjne w ZG PZKO opłaty za ZWROT w kasie ZG PZKO nie mogą być przyjmowane)

DROGI CZYTELNIKU
ZAPŁAĆ OD RAZU
PROSIMY
NIE ZAPOMNIJ!

TACY JESTEŚMY



STO LAT!

Osiemdziesięciodwuletnia pani Zuzanna Czeczotkowa jest jednym z członków założycieli MK PZKO Milików-Centrum. Cały czas aktywna i pełna poświęcenia. Jest obecna na każdej imprezie w Kole. Tam, gdzie przychodzi kochana przez wszystkich „starka", przychodzą wszyscy. Kiedy budowano w Milikowie Dom PZKO pani Czeczotkowa miała ponad 70 lat. Pomimo tego przygotowywała posiłki dla pracujących przy budowie. Słynna „kapusta starki" jest do dnia dzisiejszego nieodzowną częścią dań sprzedawanych przez milikowian na Gorolskim Święcie. W roku 1995 pani Czeczotkowa jechała w pochodzie Gorolskiego Święta na wozie alegorycznym – „szkubała pierze" i śpiewała z towarzyszącymi jej dziecmi. W pełni zasłużone, najwyższe odznaczenie PZKO – wpis do Złotej Księgi odebrała pani Zuzanna Czeczotkowa z rąk prezesa ZG PZKO Jerzego Czapa wśród swoich na spotkaniu w Domu PZKO Milików-Centrum 9 listopada 1996. Śpiewano „starce" STO LAT, głośno i szczerze. Śpiewali wszyscy obecni a ona tłumiąc łzy próbowała przekrzyczeć śpiew – „zostańcie Polakami"!

NASZE ZESPOŁY



ZESPÓŁ TEATRALNY MK PZKO W WĘDRYNI

Teatr amatorski w Wędryni powstał w roku 1903, kiedy to w tutejszej Czytelni Katolickiej miejscowy Zespół Teatralny wystawił pierwszą sztukę. Zaledwie sześć lat pozostało wędryniakom do jubileuszu stulecia ich sceny. Już prawie 50 lat teatr działa w ramach MK PZKO. Nie istnieje na naszym terenie druga grupa teatralna o tak bogatej tradycji. Duszą wędryńskiego zespołu był przez kilkadziesiąt lat Jerzy Cienciała. Wychował swego następcę – Janusza Ondraszka. Dziś w zespole dominują ludzie młodzi, każdy z nich podtrzymuje rodzinną tradycję. Są dziećmi lub wnukami aktorów sprzed lat. I choć na co dzień wykonują różne zawody, łączy ich wspólna pasja – teatr, któremu poświęcają swój wolny czas. W Wędryni co roku są dwie premiery, których nigdy nie opuszcza wierna swemu teatrowi nie tylko miejscowa publiczność. Na zdjęciu „Kadisa" w reżyserii Janusza Ondraszka, rok 1995.

Zwrot

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

2/97

Cieszyńska Kraina



SPORT... WAŻNY DLA WSZYSTKICH!...

TACY BYLIŚMY



Komitet pierwszego balu kawalerskiego w Karwinie,
11 stycznia 1925.

Fotografię wykonano w atelierze Leo Beera w Karwinie.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLVIII Nr 567 Cena numeru 12,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 15,50 Kč

2/97

W NUMERZE

[3]	Podsumowanie dwuletniej kadencji – rozmowa z Wawrzyńcem Fójcikiem	
[7]	Państwo, władza – odwieczne pola walki	EWA SANTARIUS
[12]	Londyńskie kontakty emigracyjnych rządów Polski i Czechosłowacji	ROMAN BARON
[19]	Słowiańska wysepka w germańskim morzu	FRANCISZKA CHCHOLÁČ
[26]	Przeżycie	F. B.
[29]	Z myślą o Śląsku Cieszyńskim (3)	ALOJZY NOWOK
[34]	Polska mowa na kresach	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
[37]	„Skok przez skórę" Fundacji Czesko-Polskie Centrum Kultury i Nauki	TADEUSZ SIWEK
[40]	„Bystrzyca" na balach	F. B.
[42]	Poezja Wisławy Szymborskiej	
[44]	Lech Przeczek: Mikroopowiadania sci-fi	
[48]	Renata Putzlacher – moje fascynacje	
[50]	Okruchy literackie	(wp)
[51]	Działalność wydawnicza członków ZLPC	(MK)
[52]	Listy rencisty	RENCISTA
[54]	Na półkach księgarskich	
[60]	Na naszej scenie	
[65]	Echo wydarzeń muzycznych	
[74]	Martin Lecián – prawda i legenda	JAN KUBICZEK
[79]	Krzyżówka	

Numer zamknięto 16.1.1997
1. str. okładki – PZKO jest również organizatorem imprez sportowych...



[2] *Wawrzyniec Fójcik – chwile z rodziną... – fot. FRANCISZEK BAŁON*

PRZED KONGRESEM POLAKÓW W RC
REDAKCJA POPROSIŁA JEJ PREZESA WAWRZYŃCA FÓJCIKA O

PODSUMOWANIE DWULETNIEJ KADENCJI

Czym kierował się Pan w ciągu tych dwu lat?

W pierwszym rzędzie kierowałem się wolą społeczeństwa polskiego żyjącego w RC, wyrażoną na Kongresie Polaków (Zgromadzeniu Ogólnym) w roku 1995, a także postulatami zawartymi w uchwale tego zgromadzenia.

Oczywiście przy niełatwych decyzjach pomagały mi moje doświadczenia polityczne, znajomość realnych możliwości naszego społeczeństwa oraz moje chrześcijańsko-konserwatywne poglądy.

Które z uchwał Kongresu udało się zrealizować w całości?

Moim zdaniem wszystkie punkty uchwały realizowaliśmy na bieżąco. Dla mnie jednym z najważniejszych sygnałów Kongresu Polaków w 1995 r. było nawoływanie delegatów o zaprzestanie sprzeczek pomiędzy Radą Polaków i PZKO i szukanie wspólnego języka, wspólnych tematów i sposobów ich rozwiązywania w całym naszym społeczeństwie. W ramach swych osobistych możliwości starałem się o to jak najwięcej. Ocena tego, jak mi się to udało, nie należy do mnie, ale wydaje mi się, że sytuacja jest lepsza niż dwa lata temu. Za pomoc w tym dziękuję przede wszystkim działaczom i członkom miejscowych kół PZKO.

Pomogły temu też wspólne dwustronne posiedzenia Rady Polaków i przedstawicieli ZG PZKO, ZG Macierzy Szkolnej, TNP itd.

Jakie były konkretne wyniki tej współpracy?

Powstanie wspólnej Komisji d/s Szkolnictwa. Ta zresztą jest spełnieniem jednego z punktów uchwały Kongresu Polaków. Powołanie tej komisji jest podstawowym warunkiem do tego, byśmy skutecznie mogli utrzymać stan posiadania w polskim szkolnictwie, od przedszkoli począwszy a na szkołach średnich kończąc. To powinno być dla nas i w przyszłości zadanie numer jeden. Wspólne formułowanie problemów i postulatów pol-

skiego szkolnictwa mniejszościowego, tak by je wspierała większość naszego społeczeństwa, jest bardzo ważne dla mojej pracy poselskiej.

Uzyskanie mandatów poselskich było też jednym z zadań Rady Polaków?

Tak. Rada Polaków była przez Kongres upoważniona do prowadzenia rozmów koalicyjnych, aby w efekcie wybrać najkorzystniejsze warianty i popierać konkretnych kandydatów do wyborów parlamentarnych. Jak wiemy, odbyły się wybory do parlamentu i do Senatu. Wiosenne, parlamentarne, skończyły się sukcesem dla mnie osobiście i dla Polaków w RC chyba też. Jesienią odbyły się wybory do Senatu. To, że nie mamy senatora, nas na pewno nie cieszy, ale wyniki wyborów nie są dla nas przegraną. We wszystkich trzech zaolziańskich obwodach, gdzie startowali również kandydaci narodowości polskiej, partie, które do wyborów wystawiły również Polaków, uzyskały dużo wyższy procent głosów aniżeli w wyborach parlamentarnych.

Zarzucano czasami Panu oraz Radzie Polaków, że naruszona została zasada apolityczności.

Spotkałem się nieraz z takimi zarzutami, ale przecież taka była uchwała Kongresu RP. Trudno oczekiwać absolutnej apolityczności od organu, któremu stawia się za zadanie osiąganie politycznej mety. Apolityczność Rady Polaków rozumiem tak, że nie może się ona zachowywać jak partia polityczna. Poszczególni członkowie Rady Polaków jednak zawsze będą mieli swoje przekonania polityczne, a niektórzy nawet byli i będą członkami partii politycznych. Tego nie można, a nawet nie należy unikać. Przecież coraz bardziej daje się zauważyć, że nawet silne i znane osobistości życia społecznego nie mają w polityce bez partyjnego poparcia szansy przebicia.

Czy zwrot majątków polskim organizacjom to też polityka?

Jak najbardziej.

Restytucje majątkowe, a zwłaszcza wobec mniejszości narodowych, to często przedmiot rokowań nawet na szczeblu międzynarodowym. Przecież problemem tym zaczęto poważnie się zajmować dopiero po spotkaniu premiera Vaclava Klausa z premierem RP i z Radą Polaków. Gdyby to nie był problem polityczny to rozwiązałyby go sądy niezależnie, a okazało się jednak, jak w wypadku „Beskidu Śląskiego", że tędy droga nie prowadzi.

Więc do czego dążymy, do

restytucji czy symbolicznego aktu dobrej woli?

Cała restytucja po tylu latach jest właściwie aktem dobrej woli. Chciałbym tu podkreślić, że nikt nie musi się obawiać, że ostateczną decyzję, czy ów „akt dobrej woli" jest spełniony, może podjąć jedna lub kilka tylko osób. Moim zdaniem taką decyzję może podjąć jedynie organ najwyższy, a takim jest Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków i to najprędzej za dwa lata.

Pomimo wszystko rozmowa toczy się ciągle tylko na zaolziańskim podwórku, a Polacy w RC żyją też poza tym obszarem.

Oczywiście dowodem tego jest, że dwóch członków Rady Polaków jest z Pragi. W Pradze też w tej kadencji obradowaliśmy. Uzyskaliśmy dotację państwową na praskie pisemko polonijne i po raz pierwszy sejmik odbył się też w Brnie.

A co dalej?

Na pewno pójdziemy i dalej, ale to już w przyszłej kadencji. Mam nadzieję, że seria występów polskich zespołów w innych miastach naszej republiki, w ramach Roku Kultury Polskiej w RC, zaowocuje nie tylko w sensie prezentacji naszego dorobku kulturalnego, ale również pobudzi i zaktywizuje polonijne środowiska w tych miastach.

Czy w tym wszystkim nie może przeszkodzić brak środków finansowych?

Z własnego doświadczenia wiem, że nie ma rzeczy niemożliwych. Pomysły wartościowe i zasługujące na poparcie zawsze znajdą mecenasów. Świadczy o tym zainteresowanie prezydentów miast „Dniami Kultury Polskiej w RC" czy wydanie kalendarza ściennego Rady Polaków, który pomimo niskiego nakładu i niskiej ceny sprzedaży na pewno nie przyniósł straty. Jestem optymistą i nie jestem sam. Wielu jest jeszcze takich, którzy nie lubią siedzieć z założonymi rękami i narzekać. Mam nadzieję, że tacy, będąc na Zgromadzeniu Ogólnym, zdecydują się na kandydaturę do Rady Polaków.

Dlaczego Pana zdaniem to takie ważne?

Rada Polaków to organ bardzo poważnie odbierany tak w Polsce, jak i przede wszystkim w Republice Czeskiej. Nasze społeczeństwo zasługuje na jak najlepszą reprezentację. Taka forma zorganizowania społecznego mniejszości narodowej jak np. Kongres Polaków jest dla niejednej mniejszości wzorową, chociaż niekiedy trudno osiągalną. Taka forma zorganizowania i działania odpowiada też dzisiejszym warunkom demokracji wolnorynkowej, zmierzającej w kierunku Unii Europejskiej, i pozwala na

skuteczność działań w sferze polityki, kultury i gospodarki.

Jak podsumowałby Pan swoją kadencję prezesa Rady Polaków?

Ubiegła kadencja Rady Polaków była ze względów politycznych bardzo ważnym okresem.

Na początku roku 1995 społeczeństwo nasze musiało się zorientować i dostosować do nowych, dopiero po raz drugi demokratycznie wybranych władz gminnych. Niektóre z nich, nie potrafiąc albo nie chcąc zrozumieć specyfiki narodowościowej swych gmin, stały się rzeczywistym zagrożeniem dla polskiego szkolnictwa na swym terenie. Tu po raz drugi, po problemach dwujęzyczności, okazało się, że urzędnik na szczeblu powiatowym czasami nie staje na wysokości swego zadania.

Rok miniony 1996 mamy jeszcze dobrze w pamięci jako rok podwójnych wyborów. Był to rok szukania najodpowiedniejszych i najskuteczniejszych form działania politycznego. Uzyskane doświadczenia powinny być dobrze zanalizowane i wykorzystane, zarówno przez nas, jak przez poszczególne partie polityczne, które musiały dojść do wniosku, że o polski elektorat wyborczy na Zaolziu warto zabiegać.

Były to dwa lata pragmatyzmem wymuszonej wzajemnej tolerancji, a czasami też współpracy Rady Polaków i ZG PZKO. Społeczeństwo doczekało się spokojniejszych czasów, ale do doskonałego współdziałania jeszcze ciągle czegoś brakuje.

Lata 1995-1996 charakteryzowały nadzwyczaj ożywioną dwustronną czesko-polską współpracą (dwa spotkania premierów, kilka spotkań resortowych, autentyczna współpraca przygraniczna itd.). Były też zmiany prawie na wszystkich polskich placówkach dyplomatycznych w RC.

Z tego wypłynął szereg zadań, obowiązków, możliwości i szans. Niestety, Rada Polaków nie wszystkie w pełni wykorzystała. Tak się złożyło, że akurat w tej ważnej kadencji zbyt często byliśmy w niepełnym składzie, doszło do aż trzech rezygnacji, do powołania wszystkich rezerwowych członków, a pomimo to pod koniec kadencji znów obradowaliśmy w piątkę czy szóstkę zamiast w dziewiątkę.

Myślę, że jednak udało nam się realizować uchwały ostatniego Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków. Okazało się, jak ważny jest odpowiedni wybór kandydatów, a następnie członków Rady Polaków.

Należy się podziękowanie i uznanie tym, którzy aktywnie wytrzymali do końca kadencji.

PAŃSTWO, WŁADZA – ODWIECZNE POLA WALKI

W chwili narodzin każdemu z nas rodzi się także nasza przynależność państwowa. W tej też chwili stajemy się częścią określonego stanu rzeczywistości, w którym będziemy żyli, pracowali, wychowywali nasze potomstwo. Określone państwo, bo o tym tu mowa, będzie nadawało naszemu życiu pewien charakter, będzie kreowało nasze cele, marzenia. Tak więc warto przyjrzeć się bliżej zjawisku, jakim jest państwo, jako jednej z instytucji społecznych. Mechanizmy powstania państwa, jako pewnej struktury społecznej, nie są do końca poznane. Hipotez na ten temat jest jednak bardzo dużo. Niektórzy myśliciele uważają, że „państwowość" wynika z natury ludzkiej, co sugeruje jego odwieczne istnienie. Zwolennicy teorii umowy społecznej uważają z kolei, że państwo powstało w określonym momencie jako instytucja społeczna, na którą przeniesiono część uprawnień obywateli. Według Marksa natomiast nie był to akt zgody, lecz przymusu. Jeszcze inni uważają, że państwo powstało wskutek podbojów dokonywanych przez plemię lub naród.

Najbardziej wiarygodna wydaje się być hipoteza mówiąca o powstaniu państwa w momencie przekształcenia się sposobu życia plemion z koczowniczego na rolniczy. Zajęcie się uprawą roślin umożliwiało powstanie i utrzymanie struktury społecznej, jaką jest państwo. Określone terytorium, na którym żyła duża ilościowo społeczność, dało możliwość kontrolowania swych obywateli i konieczności obrony swoich granic.

Po co właściwie istnieje państwo? Jaką rolę pełni w naszym życiu? Tu odpowiedź jest bardziej prosta. Zwolennicy pojmowania państwa jako umowy społecznej zwracali uwagę na interes społeczny. Za obronę i zapewnienie bezpieczeństwa swym obywatelom oczekiwali posłuszeństwa wobec władzy. W czasach oświecenia (zwłaszcza u Locke'a) koncepcje indywidualizmu mówiły o państwie jako płaszczu ochronnym dla wolności jednostki. Dla Marksa państwo było środkiem realizacji celów klasy panującej, dla polskiego socjologa Ludwika Gumplowicza – najeźdźców, a według Friedricha Nietzschego miało zapewnić warunki do rozwoju jedynego wybranego narodu lub rasy (filozofia, na której opierał się Adolf Hitler). We współczesnym świecie w państwach demokratycznych zazwyczaj cele jednostki, grupy i samego państwa są ukonstytuowane prawnie. Równowaga między interesami jednostek, grup i państwa jest wskaźnikiem demokracji w danym państwie.

Funkcje, jakie spełnia państwo, są dwojakiego charakteru. A mianowicie funkcja zewnętrzna i wewnętrzna. Ta pierwsza nie zmieniła się od czasów powstania pierwszych struktur państwowych, kiedy to budowano grody i mury obronne w celu obrony przed najeźdźcami z zewnątrz. Państwo ma przede wszystkim bronić swych obywateli przed najeźdźcami. Wystarczy wspomnieć sytuację porozbiorową Polski, kiedy nie miał

kto bronić interesów Polaków. Nierówność była widoczna w ich codziennym życiu, brak możliwości pobierania nauki w swoim języku ojczystym, mniejszej szansie na zdobycie lepszej pracy. Jedynym wyjściem dla ówczesnych Polaków, by poprawić swój byt, było po prostu przyjęcie pewnych zasad, które reprezentowały punkt widzenia okupantów. Ucisk ten był świadomie stosowany przez państwa, które dokonały „podboju". Miał on na celu stłumienie nadziei Polaków na stworzenie własnego państwa. To, co działo się w przeszłości, ma odzwierciedlenie i dziś, na przykład walka narodu kurdyjskiego, czeczeńskiego czy palestyńskiego o stworzenie własnego państwa, z którym wiążą marzenia o bezpiecznym, godnym i niezależnym życiu. Bardzo ciekawym zjawiskiem w ostatnich dziesięcioleciach jest tworzenie się unii, które skupiają w swoich ramach po kilkanaście nawet państw. Dążenie do tworzenia pewnych struktur „ponadpaństwowych", w gruncie rzeczy jest tworzeniem również schematów państwowych, tyle że w grę nie wchodzą interesy narodowościowe ani dążenia do realizacji celów pojedynczych grup. Wszystkie działania mają charakter „złotego środka". Mają one na celu zaspokojenie w równym stopniu interesów wszystkich grup członkowskich unii. Unie takie są przykładem tego, że pomimo pewnych różnic między danymi państwami jest możliwe porozumienie i współpraca w różnych dziedzinach życia społecznego. Tworzenie się unii było i jest poprzedzone pewnymi etapami. Unia, jeżeli jest narzucona, nigdy nie będzie unią z prawdziwego zdarzenia. Człony tej unii będą pragnęły swego samostanowienia i w konsekwencji oderwania się od przymusowej „współpracy". W momencie urzeczywistnienia tychże planów dochodzi do stworzenia już własnej struktury państwowej. Mija kolejnych kilkadziesiąt lat, w czasie których umacnia się jeszcze bardziej tożsamość państwowa obywateli. W chwili, kiedy dane państwo dochodzi do wniosku, że w gronie jego sąsiadów nie ma chętnych, by go zaatakować, jego stosunek do nich staje się bardziej otwarty. Potem następuje coraz szersza współpraca i znalezienie wspólnych celów, które są najlepszym czynnikiem do tworzenia się unii. Tak więc najpierw musi się coś oderwać, powstać, by móc się potem połączyć.

Drugą funkcją państwa jest zapewnienie spokoju wewnętrznego. Chodzi tutaj o ochronę obywateli przed napadami, gwałtem, rabunkiem, pilnowaniem porządku w miastach i wsiach itd. W tym celu istnieją instytucje państwowe, które zakazują pewnych zachowań i wymagają przestrzegania zakazów i nakazów poprzez system kar i nagród. Do takich instytucji, które pilnują przestrzegania pewnych zasad współżycia, należy zwłaszcza wymiar sprawiedliwości. Państwo zatem ustanawia prawa i wymierza kary oraz egzekwuje dotrzymywanie umów zawieranych między ludźmi.

Jednakże państwo jako takie nie mogłoby istnieć bez podstawowej jednostki, jaką jest obywatel. To on przede wszystkim wkłada wysiłek w rozwój swego państwa, zazwyczaj w postaci podatku. Podatek to pewnego rodzaju zapłata za świadczenia, jakimi darzy państwo swego obywatela.

Wszystko jest w porządku, kiedy wysokość podatków jest wprost proporcjonalna do otrzymywanych świadczeń. Sytuacja zaczyna być przygnębiająca w momencie, kiedy państwo ma wygórowane wymagania co do pobieranych podatków, a samo nie jest w stanie zapewnić normalnych warunków egzystencjalnych swym obywatelom. Wtedy zaczynają się wszelkiego rodzaju niepokoje społeczne. Dlatego też temat podwyższenia podatków jest tematem drażliwym w każdym parlamencie.

Wszystkie funkcje jak i obowiązki i prawa obywateli są niezbędne do sprawnego działania instytucji zwanej państwem. Czemu zatem postrzegamy je zazwyczaj jako zło konieczne? Być może chodzi o zmonopolizowany charakter instytucji państwowej. Jednostka społeczna, czyli obywatel, raczej nie ma prawa decydowania o swojej przynależności państwowej. Miejsce urodzenia jest istotnym czynnikiem decydującym w tejże kwestii. Zmiana przynależności państwowej może być brana pod uwagę tylko w pewnych określonych warunkach. Tak więc przymusowość trwania w określonych strukturach państwowych i niemożność bezpośredniego oddziaływania na funkcjonalność tychże struktur prowadzi do niechęci wobec instytucji państwowych. Jednostka być może nie czułaby się wyalienowana w momencie, gdyby jej działania były w pełni dostrzeżone przez machinę, jaką jest państwo.

Państwo lub „państwowość" wiąże się z nierozłącznie z pojęciem władzy. Sama władza według Marksa (niektórym być może nie spodoba się fakt, iż wspominam nazwisko człowieka, który jest łączony z epoką władzy proletariatu, ale „niestety" ów człowiek włożył wielki wkład do zrozumienia pewnych mechanizmów społecznych, jednakże wnioski przez niego wysuwane nie były w pełni adekwatne do rzeczywistości) powstała w wyniku nadwyżek produkcji żywności i wszelkich dóbr w danej społeczności. Walka o te dobra, która trwała i trwa, jest nazywana polityką, czyli inaczej mówiąc walką o władzę. Walka ta jest najbardziej widoczna w momencie wyborów do parlamentu lub też wyborów na prezydenta. Wówczas to w środkach masowego przekazu, jakimi są prasa, radio i telewizja, panuje istny szał przedwyborczy, a wszystko to w celu pozyskania jak największej liczby przychylnych sobie obywateli. Środki, jakimi się posługują kandydaci w ramach kampanii przedwyborczej, to cała gama działań marketingowych. Składnikiem zmagań przedwyborczych są przede wszystkim dosyć natarczywe reklamy, pokazujące kandydatów z jak najlepszej strony. Czasami ma się wrażenie, że reklamują i zachwalają siebie w formie towaru, jednakże towar w porównaniu z kandydatami podlega reklamacji, czego nie można powiedzieć o samych kandydatach.

Sposób, w jaki nasi wybrani reprezentanci będą spełniać swoje zadania, niestety rzutuje na nas wszystkich i to niezależnie od tego, kto był naszym faworytem w czasie wyborów. Bardzo dobrze, jeżeli spełniają swoje obietnice przedwyborcze i starają się sprostać naszym wymaganiom. Rozczarowanie przychodzi w momencie, kiedy mieszają interes państwa z własnym. Wtedy mamy do czynienia z wykorzystywaniem

swego stanowiska dla własnych celów, a to już nie mieści się w zakresie pewnych przymiotów, jakimi powinna dysponować nasza władza. Bywa też, że władza, którą zdobyto w wyniku podboju lub przewrotu, od początku ma na celu eksploatację i przemoc. W takim wypadku nikt nie ma złudzeń co do rzeczywistych intencji. Gorzej jednak, jeżeli w wypadku legalnie przejętej władzy poprzez wybory demokratyczne władza ulega wynaturzenia. Niestety bardzo często dochodzi do tego typu incydentów. Dzieje się tak z powodów niezwykle prostych: wspomniana wyżej pokusa nadużycia władzy przez urzędnika dla korzyści własnej, chęć utrzymania się przy władzy za wszelką cenę, zatarcie śladów własnej nieudolności lub błędów, korupcja. Istnieją jednak jeszcze inne przyczyny zwyrodnienia władzy. Pierwsza z nich - to swego rodzaju naturalna selekcja ludzi władzy. Już od zarania dziejów władzę zdobywają przeważnie osoby nie z powodu swych przymiotów moralnych, umysłowych czy duchowych, ale przede wszystkim dlatego, że były od innych silniejsze albo wykazywały się mniejszymi skrupułami w podporządkowaniu sobie współplemieńców. Władza dziedziczna także nie wymagała specjalnych uzdolnień ciała i ducha. Także dzisiaj do władzy garnie się określony gatunek ludzi. Przeważnie są to mężczyźni i często w pewnym sensie niedojrzali. Freud nazwał by to przerostem EGO. Wszyscy oni podzielają też osobliwy sposób patrzenia na życie poprzez pryzmat wymiaru politycznego. Dla nich, jeżeli w polityce dzieje się źle, to w ogóle jest źle. Całe swoje życie podporządkują polityce, uważając, że jest to zajęcie najważniejsze i bardziej odpowiedzialne od innych. Stąd poczucie przynależności do kasty wtajemniczonych, która decyduje o losach tego świata. To „ważniactwo" promieniuje niezależnie od szerokości geograficznej - w urzędach, w ministerstwach, na wszystkich szczeblach administracji państwowej. Co więcej, osoby, które zdobyły władzę, zmieniają się. To niestety uniwersalna prawda. Tylko nieliczni zmieniają się na lepsze. To właśnie z nich tworzy się kadra najwspanialszych przywódców. Niestety to tylko nieliczne jednostki.

Dla pocieszenia wspomnę, że w najnowszych dziejach państwowości pojawia się możliwość wyegzekwowania przez obywatela praw mu należnych.(W Polsce coraz częściej dochodzi do procesów wytoczonych przez samych obywateli przeciwko państwu.) Jest to bardzo pozytywny akcent w naszych współczesnych stosunkach państwo - obywatel, kiedy to obywatel może domagać się spełnienia gwarantowanych mu praw zapisanych w konstytucji.

Dzisiaj w państwach mamy już do czynienia ze stosunkami obywatel - państwo kształtowanymi przez dwie zasady: wolności przynależnej obywatelom i kompetencji przysługujących państwu. Te dwie przeciwstawne z pozoru kwestie są wyznacznikiem charakteru państwa, ale to już oddzielny temat.

EWA SANTARIUS

rys. MONIKA MILERSKA ▶



LONDYŃSKIE KONTAKTY EMIGRACYJNYCH RZĄDÓW POLSKI I CZECHOSŁOWACJI

Jednym z celów rządu polskiego na emigracji było doprowadzenie do polsko-czechosłowackiego zbliżenia. Upadek Czechosłowacji i klęska militarna Polski dowiodły niezbicie, jak zgubna była dla obu państw ich wzajemna rywalizacja w okresie międzywojennym, którą wykorzystały sąsiednie mocarstwa w realizacji swych zaborczych planów. Z tych tragicznych doświadczeń zaczęto wysnuwać wnioski, które legły u podstaw idei polsko-czechosłowackiego związku. Rząd polski w swych planach sięgał jednak dalej, rozważając możliwość konsolidacji całej Europy Środkowo-Wschodniej, utworzenia zwartego bloku państw, który mógłby się przeciwstawić wpływom obu sąsiednich mocarstw, Niemiec i Rosji.

Już na trzecim posiedzeniu Rady Ministrów dnia 10 października 1939 roku w Paryżu, gdy zastanawiano się nad polskimi celami wojny, premier Władysław Sikorski zwrócił uwagę na *„konieczność nie tylko rozbicia Niemiec, lecz również utworzenia w Europie Centralnej ośrodka z Polską na czele, który mógłby być przeciwwagą i Niemiec, i Rosji"*. Na skonkretyzowanie tych planów niewątpliwie duży wpływ miał rząd brytyjski.

W celu nawiązania bliższego kontaktu z tym sojuszniczym rządem udał się do Londynu minister spraw zagranicznych August Zaleski. W dniu 11 października przeprowadził rozmowę z Lordem Halifaxem, podczas której dowiedział się, że Anglicy myślą o utworzeniu po wojnie federacji europejskiej *„niezależnych od siebie państw w oparciu o federacje regionalne"*. Byłby to zatem system współpracy oparty na zasadzie pewnej formy zjednoczenia państw europejskich, przy czym nastąpiłaby daleko idąca integracja regionalna. Brytyjski minister spraw zagranicznych wskazywał, iż federacja regionalna Europy Wschodniej objęłaby Polskę, Czechosłowację i Węgry. *„W takim planie, który rzecz oczywista jest jeszcze w swoich zaczątkach, ścisła współpraca między Polakami a Czechami byłaby wstępnym warunkiem."*

Podobnie wypowiadali się brytyjscy ministrowie w rozmowach z generałem Sikorskim, który złożył wizytę w Wielkiej Brytanii w połowie listopada 1939 roku. Jak zapisał w notatce sprawozdawczej z tych rozmów ambasador Edward Raczyński, *„przedyskutowano ideę, że w zasadzie pewnego rodzaju federacja z innymi państwami we wschodniej i południowo-wschodniej Europie byłyby najlepszą podstawą bezpieczeństwa przyszłej Polski."* Ponownie wskazywano na Czechosłowację, jako na państwo mające dla Polski duże znaczenie. Stwierdzono, że *„losy Polski uległy przesądzeniu z tą chwilą, gdy Hitler*

wszedł do Pragi. Niepodległa Czechosłowacja jest murem zabezpieczającym Polskę od południa (...). Z chwilą, gdy bezpieczeństwo Polski związane jest do tego stopnia z Czechosłowacją, jest rzeczą logiczną, że w przyszłości istnieć musi bardzo ścisła współpraca wojskowa między Polską a Czechosłowacją." Rząd polski zgadzał się z tym całkowicie, a ideę utworzenia związku z Czechosłowacją, poszerzonego później o inne państwa Europy Środkowo-Wschodniej, przyjął od razu za swoją. Było to o tyle łatwiejsze, że premier Sikorski dawał wyraz podobnym poglądom już przed wojną, jak również wskazywał na konieczność ścisłej współpracy polsko-czechosłowackiej.

Na posiedzeniu Rady Ministrów dnia 8 listopada zapadła pierwsza uchwała dotycząca celów wojny. Czytamy w niej, że: *„Celem Polski w wojnie jest odbudowanie państwa polskiego w jego całości (...). Jednocześnie walczy Polska wraz ze sprzymierzeńcami o taką budowę Europy Środkowo-Wschodniej, która przywróciłaby wolność (...) Czechosłowacji oraz dała oparcie krajom bałtyckim, a zarazem wytworzyła między Bałtykiem a Morzem Czarnym i Adriatyckim zwarty i zgodny we współdziałaniu wał państw, odpierający napór Niemiec na państwa słowiańskie i inne tego obszaru oraz oddzielający Niemcy od Rosji..."*. Od kierunków wytyczonych w tym programie polska polityka zagraniczna nie odstępowała. Bardziej szczegółowy program polskiej polityki zagranicznej zawierał pierwszy Biuletyn informacyjny MSZ, wydany w Angers dnia 28 listopada 1939 roku. Do celów długofalowych rządu polskiego została zaliczona konieczność oswobodzenia Czech i Słowacji, dążenie do zbliżenia z Czechosłowacją, Węgrami i Litwą.

Idea ta znalazła również swe odbicie w odezwie rządu polskiego do ogółu społeczeństwa w kraju z dnia 18 grudnia 1939 roku. Stwierdzono w niej bowiem, że: *„Rok 1939 znaczy w dziejach Europy największą klęskę Słowiańszczyzny na przestrzeni tysiącletniej walki z zalewem germańskim. Wszystkie swoje postępy w odwiecznym pochodzie na wschód Niemcy zawdzięczali przede wszystkim zręcznemu wyzyskaniu sporów, jakie toczyli ze sobą krótkowzroczni Słowianie. Polska, świadoma swej przodującej misji w walce z parciem Niemiec na wschód, wskazuje na potrzebę wysnucia należytych wniosków z gorzkiej nauki dziejów. W ramach nowej organizacji politycznej Europy Środkowo-Wschodniej jedną z głównych podstaw stać się musi solidarny zespół państw słowiańskich"*.

Natomiast pierwszym i zarazem zasadniczym krokiem na tej drodze miało być doprowadzenie do bliskiej współpracy polsko-czechosłowackiej, która przybrałaby w przyszłości formę, na razie bliżej nieokreśloną, unii tych państw. Postanowiono w tym celu nawiązać kontakty z politykami czecho-

słowackimi przebywający na emigracji. Sprawę polsko-czechosłowackiego zbliżenia utrudniał jednak fakt, iż czechosłowacka emigracja polityczna nie była jednolita, lecz podzielona na wzajemnie zwalczające się grupy. Czołowymi osobistościami najważniejszych z nich byli Edward Beneš i Milan Hodża. Zasadniczy spór pomiędzy nimi wynikał z różnicy poglądów na to, czy odbudowana Czechosłowacja będzie państwem rządzonym centralistycznie, czy dualistycznie oraz związana z tą kwestią niezgodność poglądów na istnienie jednego narodu czechosłowackiego, czy też dwu, czeskiego i słowackiego.

Wobec braku zgody Francji na utworzenie czechosłowackiego rządu emigracyjnego politycy skupieni wokół Beneša utworzyli w Paryżu Czechosłowacki Komitet Narodowy. Natomiast Hodża zorganizował konkurencyjny Narodowy Komitet Słowacki, a później w styczniu 1940 roku Czesko-Słowacką Radę Narodową. Jednak oficjalny charakter uzyskał Komitet Beneša, który został uznany za reprezentanta interesów czechosłowackich, najpierw 17 listopada przez Francję, a następnie 20 grudnia przez Wielką Brytanię.

Był to co prawda pierwszy, niemniej istotny krok na drodze do utworzenia rządu, co było jednym z zasadniczych celów czechosłowackiej akcji wyzwoleńczej. Oznaczałoby to również zrównanie się z reprezentacją polityczną Polski. Wobec braku takiej równości pierwsze rozmowy polityków polskich z czeskimi i słowackimi mogły mieć tylko charakter nieoficjalny.

Pierwsze tego typu kontakty miały miejsce w Paryżu, gdzie między 6 a 13 października spotkali się dwukrotnie Sikorski i Beneš. Tematem ich rozmów były między innymi wydarzenia z 1938 roku związane z Zaolziem. Generał Sikorski w związku z tym negatywnie ocenił politykę Józefa Becka. Beneš był z rozmów z polskim premierem zadowolony, a jego optymizm mógł uzasadniać również fakt, iż Sikorski oświadczył, że uzna Juraja Slavika za posła przy rządzie polskim. Slavik, choć był Słowakiem, stał tak samo jak Beneš na stanowisku jednolitego państwa czechosłowackiego.

Do następnego spotkania z Benešem doszło dnia 18 listopada w Londynie w czasie wspomnianej wizyty polskiego premiera w Wielkiej Brytanii, przebiegającej w dniach od 14 do 20 listopada 1939. Podczas tego spotkania poruszono sprawę bliskiej współpracy polsko-czechosłowackiego związku, który byłby jakiegoś rodzaju federacją. Natomiast w wywiadzie dla zachodnich dziennikarzy generał Sikorski oświadczył, że: *„nie podpisał z Benešem żadnego dokumentu, ale dawne błędy muszą zostać naprawione i dwa państwa będą współpracować"*.

Otworzyło to drogę do następnych spotkań i to zarówno na terenie Londynu, jak i Paryża. Jednocześnie rząd polski podjął roz-

mowy z Hodżą oraz z innym Słowakiem Stefanem Osuskim, który mimo że był członkiem Czechosłowackiego Komitetu Narodowego, odmówił podporządkowania się Benešowi. Nie bez znaczenia był fakt, że zarówno Beneš, jak i Hodża starali się wykorzystać kontakty z rządem polskim do wzmocnienia swojej pozycji. Rząd polski naturalnie zdawał sobie z tego sprawę. Można spotkać się też z poglądem, że gdy Beneš zwrócił się do rządu polskiego z prośbą o uznanie Czechosłowackiego Komitetu Narodowego, zgodzono się to uczynić pod warunkiem jego bliskiej współpracy z Polską. Beneš chciał jednak uznania do niczego nie zobowiązującego, wobec czego warunków rządu polskiego nie przyjął. W tej sytuacji Polska odmówiła uznania Czechosłowackiemu Komitetowi Narodowego. Należy stwierdzić, że aczkolwiek kontakty z rządem polskim były dla Beneša bardzo ważne, to jednak był on od początku w swych wypowiedziach ostrożny, co można tłumaczyć tym, iż chciał zachować sobie na przyszłość swobodę działania. Niewykluczone, że już wtedy myślał o jakimś porozumieniu ze Związkiem Radzieckim, a obawiał się mogących nastąpić komplikacji w przywróceniu stosunków polsko-radzieckich. Zdaje się to potwierdzać fakt, iż już w pierwszej rozmowie z ambasadorem Edwardem Raczyńskim dnia 2 grudnia mówił on o wyrzeczeniu się przez Polskę *„wszelkich aspiracji wschodnich poza ściśle etnograficzne granice"*, jako o warunku utworzenia polsko-czechosłowackiego związku. Strona polska nie przywiązywała do tego większej wagi, a i Beneš miał poważne powody do współdziałania z Polską. O jednym z nich dowiadujemy się z jego rozmowy z Raczyńskim, w czasie której dając wyraz swoim poglądom *„za cel główny wojny uznał konieczność zupełnego zniszczenia niemieckiej machiny wojennej. Równocześnie (...) uważał, że najprawdopodobniej w Niemczech w końcu wojny wybuchnie rewolucja komunistyczna (...), co może spowodować powstanie komunistycznego bloku rozciągającego się od Oceanu Spokojnego aż* po granice Francji." Zarówno Beneš, jak i Sikorski obawiali się ekspansji komunizmu, obaj też widzieli we wspólnym współdziałaniu możliwość jego powstrzymania. Beneš mówił, że *„trzeba (...), aby w chwili wybuchu rewolucji powstała natychmiast zapora przedzielająca Rosję od Niemiec w postaci Polski i Czechosłowacji."* Był to najbardziej zbieżny punkt w koncepcji obu mężów stanu.

W marcu 1940 roku Beneš w liście do swego brata Vojty pisał: *„Nasze sprawy są ściśle związane z ich sprawami. Bez naszej wolności nie będą oni (Polacy) mogli istnieć, ale bez ich odbudowy my też nie będziemy mogli być odbudowani."*

Wszystko to skłaniało Beneša do bliskiej współpracy z Polską. Było to o tyle dla niego łatwiejsze, że na czele rządu polskiego stał generał Sikorski, z którym łączyły go oso-

biste kontakty, a obóz rządzący Polską przedwrześniową został w zasadzie odsunięty od władzy.

Nie oznaczało to jednak, że interesy polityczne Polski i Czechosłowacji stały się przez to bliższe. Do kwestii spornych zaliczyć należy przede wszystkim stosunek obu państw do Związku Radzieckiego. Ponadto Beneš wskazywał, iż bliższa mu jest koncepcja federacji dunajskiej z Polską, co oznaczało między innymi, że Czechosłowacja nie zrezygnowała z dążenia do odgrywania pierwszoplanowej roli w tej części Europy. Poza tym jako reprezentant kraju silnego gospodarczo widział główną formę unifikacji w dziedzinie ekonomicznej, natomiast mniejszą integrację w sprawach politycznych, gdzie obawiał się polskiej dominacji. Wreszcie należy stwierdzić, że nie zamierzał zrezygnować z odzyskania Zaolzia, dążąc do przywrócenia przedmonachijskich granic Czechosłowacji, będąc jedynie skłonny do nieznacznych ustępstw na rzecz Polski. Sprawę tę dotatkowo komplikował fakt, że Monachium było dla Beneša swego radzaju kompleksem. Jak to określił Feierabend *„Monachium jest zmorą gniotącą serce Beneša i zatruwającą jego duszę."*

Jeżeli chodzi o Hodżę, to zdawał się on iść dalej w kierunku zespolenia z Polską. Zwraca jednak uwagę relacja Raczyńskiego z rozmowy z Hodżą, która miała miejsce dnia 28 listopada. Raczyński zapisał: *„Odniosłem osobiście wrażenie, że o ile ze strony Beneša możemy obawiać się zachodów i trudności w zharmonizowaniu polityki polskiej i czeskiej, to także i z Hodżą i jego przyjaciółmi, gdyby to oni właśnie zdołali osiągnąć decydujące wpływy, zadanie to nie będzie tak łatwe i proste, jak można by oczekiwać."* Jednak Hodża, w odróżnieniu od Beneša widział konieczność większego ograniczenia suwerenności poszczególnych państw na rzecz wspólnego związku. Swe poglądy na ten temat zawarł w memorandum, które w listopadzie 1939 roku przedstawił rządowi francuskiemu i brytyjskiemu. W federacji środkowo-europejskiej widział poza Polską, Czechami i Słowacją również Austrię i Węgry. Wobec tego, że Węgry były rewizjonistycznie nastawione do Czechosłowacji, a zarazem utrzymywały dobre stosunki z Polską, Beneš widział w takim wypadku konieczność przyłączenia się również Rumunii, Jugosławii, a może nawet Bułgarii. Natomiast Polska liczyła na przyłączenie się do tego związku państw również Litwy. Czesi przeciwko temu nie występowali, aczkolwiek Beneš dawał do zrozumienia, że jeżeli Polska zdecyduje się utworzyć federację z Litwą i Ukrainą, to odbędzie się to bez udziału Czechosłowacji. Rząd polski nie zamierzał jednak wracać do planów marszałka Piłsudskiego, a stał jedynie na stanowisku integralności państwa polskiego sprzed 1 września 1939 roku. Jego plany szły natomiast w innym kierunku, który wskazywała idea jagiellońska.

W okólniku ministra Zalew-

skiego, wysłanym z Angers dnia 19 lutego 1940 roku do szefów placówek dyplomatycznych, stwierdzono między innymi, że *„w stosunku do projektów powojennego współżycia narodów europejskich na zasadzie bliskiej współpracy gospodarczej, a w niektórych rejonach kontynentu nawet powiązań federacyjnych, rząd polski zajmuje zasadniczo życzliwe stanowisko"*. Wreszcie w okólniku była również mowa, iż *„zbyt wcześnie jest jednak jeszcze, by określić bliżej zasięg i szczegółowe formy tych powiązań."* Wynikało to przede wszystkim stąd, że rząd polski nie mógł podjąć konkretnych rozmów wobec braku równorzędnego partnera.

W takiej sytuacji jest rzeczą zrozumiałą, że rozpoczęte jesienią 1939 roku rozmowy na temat utworzenia po wojnie polsko-czechosłowackiego związku czy też szerszej federacji środkowoeuropejskiej, nie mogły wyjść poza okólnik i wymianę poglądów, a to aż do lata 1940 roku. Wtedy na skutek klęski Francji, doszło do poważnych zmian na arenie polityki międzynarodowej, co nie pozostało również bez wpływu na polsko-czechosłowackie negocjacje.

Po przeniesieniu czechosłowackiej akcji wyzwoleńczej z Francji do Anglii, nastąpiło bowiem poważne jej wzmocnienie, i to zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne. Beneš stanął odtąd niepodzielnie na jej czele. Natomiast Hodża musiał się podporządkować, a w każdym bądź razie nie stanowił już dla Beneša przeciwwagi. To samo można powiedzieć o Osuskim, który pozbawiony oparcia Quai d'Orsay i francuskich monachijczyków nie mógł już odegrać poważniejszej roli. Czechosłowacki Komitet Narodowy został uznany przez Wielką Brytanię za tymczasowy rząd czecho-słowacki, a Beneš za prezydenta. Anglicy uznając ten rząd mieli na uwadze przynajmniej formalne powiększenie grona swych sojuszników w walce z Niemcami. Niemniej z całkowitym uznaniem prezydenta Beneša i mianowanego przez niego rządu postanowiono zaczekać. Było to spowodowane głównie tym, iż *„o ile w Polsce pod okupacją żaden rząd nie powstał i utworzony w Paryżu rząd miał wszelkie cechy legalności, o tyle inaczej wyglądało to w sprawie czechosłowackiej wobec istnienia w Pradze prezydenta i rządu czeskiego, co prawda pod ścisłą kontrolą niemiecką."* Po uznaniu tymczasowego rządu przez Wielką Brytanię w dniu 21 lipca 1940 roku nastąpiło podobne uznanie przez Polskę. Nie wiadomo jednak, kiedy dokładnie do tego doszło. Ogólnie panuje pogląd, że miało to miejsce dnia 29 lipca, choć Beneš w swoich wspomnieniach podaje datę 27 listopada. W tym dniu natomiast miało miejsce mianowanie chargé d'affaires Polski przy tymczasowym rządzie czechosłowackim. Został nim były radca ambasady polskiej przy Kwirynale Aleksander Zawisza. Stanowisko posła objął najpierw Kajetan Morawski, a później Adam Tarnowski. Czechosłowackim chargé

d'affaires był Zdeněk Procházka, a posłem Jan Skalický. Nawiązano tym samym oficjalne stosunki dyplomatyczne, co otworzyło nowy okres polsko-czechosłowackich stosunków i dotąd luźne i nieoficjalne rozmowy na temat powojennego związku obu państw mogły przybrać postać bardziej konkretną. Od tego czasu notujemy liczne spotkania, którym sprzyjał fakt, iż obie reprezentacje państwowe wraz z wojskiem znalazły się w tym samym państwie - Wielkiej Brytanii, a władze polityczne nawet w tym samym mieście - Londynie. Wobec tego, że z chwilą klęski Francji koniec wojny się oddalił, przedstawiciele Polski i Czechosłowacji zdawali się jeszcze bardziej dostrzegać konieczność wspólnego frontu - obecnie i w przyszłości. Przyśpieszyło to rokowania w sprawie przyszłej unii obu państw. Już od sierpnia spotykali się w tym celu prezydent Beneš i ambasador Raczyński.

Zewnętrznym przejawem zmiany, jaka dokonała się we wzajemnych polsko-czechosłowackich stosunkach, było pierwsze publiczne manifestacyjne zebranie przedstawicieli Polski i Czechosłowacji w dniu 9 października 1940 roku w Domu Polskim. W czasie bankietu zostały wygłoszone dwie zasadnicze mowy. W imieniu rządu polskiego przemawiał minister informacji prof. Stanisław Stroński. W swej mowie podkreślił wspólne polsko-czechosłowackie dziedzictwo, przeszłą historię i wielkość obu narodów. Przewidział wielką przyszłość dla obu krajów, kiedy się zjednoczą. Następnie w imieniu rządu czechosłowackiego przemówił wiceminister spraw zagranicznych dr Hubert Ripka. Wskazał on na międzynarodowe zmiany, które spowodowały konieczność polsko-czeskiej współpracy. Przedstawił obraz struktury powojennej Europy, w której Polska i Czechosłowacja powinny zająć ważne miejsce. Rozmowy na ten temat trwały nadal. Najważniejsze z nich mieli przeprowadzić Sikorski i Beneš. W czasie spotkania z Raczyńskim w dniu 14 października Ripka i Slavik oświadczyli, że *„prezydent Beneš zdecydowany jest już teraz pójść daleko w zbliżeniu z Polską, jednakże chciałby sam wszystkie podstawowe z tym związane problemy omówić z p. premierem generałem Sikorskim."* Do spotkania Beneša i Sikorskiego doszło w trzy dni później, a więc 17 października. Na obiedzie byli obecni również Stroński, Raczyński i Kot. Beneš wobec strony polskiej *„rozwinął swój plan federacji RČS z Polską."* Sikorski miał ponoć od wyrazu wyrazić chęć podpisania tego projektu, na co Beneš odpowiedział, że najpierw da to stronie polskiej pisemnie do rozważenia.

Wreszcie dnia 1 listopada 1940 roku prezydent Beneš przesłał premierowi Sikorskiemu obszerne memorandum. Jak zwrócił uwagę Piotr Wandycz, memorandum to może być uważane za rzeczywisty początek prób utworzenia polsko-czechosłowackiego związku.

ROMAN BARON

SŁOWIAŃSKA WYSEPKA W GERMAŃSKIM MORZU

Och, niechaj każde serbskie serce
skałą przeciwną obcym nurtom będzie,
każda dłoń tarczą, a każdy oddech,
miłością do ziemi serbskiej, a serbska ziemia
niech serbską na zawsze zostanie.

(Jakub Bart-Ćišinski)

Na ogromnej mapie potężnego państwa niemieckiego zaznaczono maleńki punkt - Łużyce.

Łużyce - to nazwa pochodzenia łacińskiego - to otwór wodny lub kałuża, inaczej okolica bogata w wodę. Tak nazwał jeden ze słowiańskich szczepów - Lusici - tereny, które w VI wieku, w czasie wędrówki ludów osiedlił. Obszar słowiańskiego osiedlenia to obszar ograniczony rzekami Łabą i Soławą na zachodzie, Odrą, Nysą i Kwizą na wschodzie. Tutaj Szprewę przecina prastary trakt handlowy prowadzący z Kolonii do Kijowa.

I tak po dzień dzisiejszy żyje na Łużycy mały naród słowiański - Serbowie Łużyccy zwani również Wenedami, bo tak określano dawniej wszelkie ludy i plemiona słowiańskie. Przetrwanie tego maleńskiego narodu, który został we własnym kraju uznany za mniejszość narodową, jest tym bardziej zadziwiające, że nie chroniła go żadna władza państwowa. A jego losy były burzliwe. Już w X wieku na skutek podboju przez plemiona frankońsko-germańskie Serbowie Łużyccy utracili swoją niezależność polityczną, otrzymując w zamian chrześcijaństwo. Niezależnie od wszelkich zmian liczba potomków dawnych Słowian szybko rośnie i na początku wieku XIII Serbołużyczanie stanowią prawie 90% ludności pomiędzy Soławą i Kwizą. Może ten właśnie przyrost, jak również założenie klasztoru Marienstern (Gwiazda Maryjna) w 1248 roku, który stał się ostoją ducha serbskiego na Łużycach Górnych, stanowił powód pierwszego znanego nam zakazu używania języka serbołużyckiego na razie tylko w sądach niektórych miast (1293-1327). Nie zahamowało to jednak rozwoju języka. Na przełomie wieku XV pojawia się pierwszy dokument - przy-

sięga mieszczańska z Budziszyna. Z wieku XV pochodzi najstarszy dokument literatury kościelnej - „Wendyjski rytuał chrzcielny", tłumaczenie na język serbołużycki (tzw. żarski) Nowego Testamentu, który aż do roku 1967 pozostaje w rękopisie, oraz pierwsza drukowana książka dolnoserbołużycka Śpiewnik z katechizmem Mollera. Ten pozytywny rozwój zastopowała wojna trzydziestoletnia, w której zginęła prawie połowa Serbołużyczan, wobec czego skurczył się ich obszar językowy.

Wiek XVIII przynosi na Łużyce podnoszenie się świadomości narodowej związanej bardzo mocno z poczuciem słowiańskej jedności. Mocno zacieśniają się więzi z najbliższym sąsiadem - Czechami, żywe są również kontakty z Warszawą. Na początek tego wieku spada powstanie Łużyckiego języka pisanego. Wtedy to przetłumaczono na język górno i dolnołużycki Nowy Testament. Pojawiło się również, dzisiaj najstarsze, zrzeszenie studenckie „Sorabia". Pod koniec stulecia wydano pierwszy i niestety, ze względu na zakaz, jedyny numer miesięcznika oświatowego. Wkrótce potem ponowiono próbę wydania, tym razem dziennika, „Serbski powźdar a kurźr" (Łużycki gawędziarz i kurier).

Śledząc historię Serbów Łużyckich obserwujemy, że wszelkie wielkie wydarzenia Europy odbijają się na tym małym narodzie negatywnie. Tak przecież było z wojną trzydziestoletnią i dziedzictwem wojen napoleońskich, bo decyzją Kongresu Wiedeńskiego (1815) przeważającą część obszaru językowego przyznano Prusom, które z pruską pedanterią przystąpiły do unicestwienia maleńkiego narodu słowiańskiego. Przeprowadziły nowy podział administracyjny, w wyniku którego ludność serbołużycka prawie we wszystkich powiatach stanowić poczęła mniejszość, ograniczyły używanie języka serbołużyckiego. W roku 1875 wydano generalny zakaz jego używania w szkołach pruskich. Jednak te wszystkie tendencje wynaradawiające wywołują reakcję - rośnie poczucie świadomości narodowej. W 1849 roku 5 000 rodzin podpisuje „Wielką petycję Serbołużyczan", żądając równouprawnienia serbołużyckiego języka i kultury w szkołach, kościele i sądownictwie, co zmusiło rząd saksoński do ustępstw w zakresie edukacji. Nieustannie rosnący w Rzeszy Niemieckiej ucisk narodowy prowadzi z jednej strony do wielkiej fali emigracji, przede wszystkim do Texasu i Australii, z drugiej strony do formowania się „Ruchu Młodoserbołużyckiego" i aktywizacji życia społecznego, co doprowadziło do najważniejszego wydarzenia w nowszej historii Serbów w Łużycy - do założenia w 1912 roku w miejscowości Wojeracy związku stowarzyszeń serbołużyckich nazwanego, jakże wymownie, „Domowina" (Ojczyzna).

Krótki okres spokojnego życia narodowego po Konstytucji Weimarskiej do roku 1933, kiedy z nastaniem dyktatury faszystowskiej rozpo-

częła się banicja księży oraz nauczycieli z Łużyc, a w roku 1937, kiedy przedstawiciele „Domowiny" odmówili funkcjonowania jako organizacji nazistowskiej, zakazano jej działalność. Skonfiskowano „Dom Serbołużycki" (największy majątek Lużyczan), który został w 1944 roku spalony przez SS. W 1939 roku zakazano wydawania ostatniej publikacji w języku serbołużyckim „Katolski Posol", a w roku 1941 zlikwidowano ostatnią ostoję narodową - nabożeństwa serbołużyckie. Antyfaszystów serbołużyckich wymordowano. Słowiańskie życie na Łużycach zamarło.

10 maja 1945, jako pierwsza demokratyczna organizacja w powojennych Niemczech nie obarczona przeszłością faszystowską, wznowiła działalność „Domowina". Prawie równocześnie rozpoczęto wydawanie dziennika, dzisiejsze „Serbske Nowiny", założono szkołę średnią, obecnie serbołużyckie gimnazjum w Budziszynie. W 1940 roku Saksoński Parlament Krajowy uchwalił Ustawę o ochronie praw ludności łużyckiej.

Do roku 1958 powstały liczne serbołużyckie instytucje rozwoju życia narodowo-kulturalnego, np. instytut ludoznawczy, instytut soralistyki przy Uniwersytecie Lipskim, szkoła średnia w Chociebużu (Łużyce Dolne), muzeum, odbudowano Dom Serbołużycki w Budziszynie. To tylko jedna strona medalu. Druga to barbarzyńskie niszczenie w wyniku industrializacji oraz intensywnego rozwoju wydobycia węgla brunatnego krajobrazu i osadnictwa serbołużyckiego. W 1962 roku zniesiono w szkołach łużyckich nauczanie w języku ojczystym przedmiotów przyrodniczych. W 1964 roku nowe prawne uregulowania nauki w szkołach serbołużyckich wywołały drastyczny spadek ilości uczniów. Jeśli w 1962/63 roku uczęszczało na nauczanie języka serbołużyckiego 12 800 dzieci, to po wprowadzeniu w życie nowych przepisów było ich tylko 3 200. Okazałe festiwale kultury serbołużyckiej, których odbyło się w latach 1966-89 siedem, były z jednej strony ważnym czynnikiem rozwoju kultury ludowej i profesjonalnej, z drugiej strony zostały wykorzystane przez niemiecką Socjalistyczną Partię Jedności do demonstrowania swojej „pozytywnej polityki narodowościowej" i przywiązania Serbołużyczan do NRD, a równocześnie do retuszowania kurczącego się wpływu języka oraz kultury serbołużyckiej.

Już przed rokiem 1989 formowała się opozycja do „socjalistycznej" Domowiny. „Serbołużyckie Zgromadzenie Ludowe" wezwało do dialogu narodowego i zażądało od „Domowiny" zasadniczej zmiany pozycji. Serbołużycki „okrągły stół" wypracował stanowisko przedstawicieli Serbołużyczan i przygotował kongres odnowicielski „Domowiny", który odbył się 7 marca 1990, wybrał nowe kierownictwo i opowiedział się za zjednoczeniem Niemiec, zaś w 1991 roku „Domowina" po-



Serbski strój katolicki z okolic Budziszynna

nownie ukonstytuowała się jako federacja serbołużyckich zrzeszeń i towarzystw.

Bardzo liczne są związki i instytucje wchodzące w skład „Domowiny". Podamy tylko niektóre z nich:

- poszczególne zrzeszenia powiatowe „Domowiny"
- Związek Cyryla i Metodego (zrzeszenie katolickie)
- Serbołużycki Związek Szkolny
- Zrzeszenie Serbołużyckich Studentów
- Zrzeszenie Serbołużyckich Artystów
- Związek Serbołużyckich Zespołów Śpiewaczych
- Maćica Serbska
- Związek „Lužice - Lužičtí Srbové a přátelé Lužických Srbů mimo Lužice", Praha
- Zrzeszenie „Česko - lužická mládež", Praha
- „Towarzystwo Polsko-Serbołużyckie", Warszawa
- „Australia Wendish Heritage society", Melbourne

Obecna liczba Serbołużyczan (uznawanych prawnie za mniejszość narodową) wynosi 60 000. Z upływem czasu zróżnicowany rozwój Łużyc doprowadził do regionalnych odrębności, dotyczących zwyczajów, strojów i religii. Zasadniczo rozróżniamy pięć regionów łużyckich:

- region ewangelicki Serbołużyczan Budziszyńskiej Ziemi. Są to tereny ciągnące się od północnej krawędzi Gór Łużyckich przechodzące w krajobraz stawowy Łużyc Środkowych. Chociaż mówimy jeszcze o regionie, to niestety przyznać trzeba, że ewangeliccy Serbowie tutaj żyjący są już prawie wyłącznie niemieckojęzyczni, a młoda generacja nie odczuwa przynależności do narodu serbołużyckiego.

- region Łużyc Dolnych (centrum Chośebuz-Cottbus). Serbołużyczanie tutaj żyjący są potomkami plemienia Lusiców, którzy bagiennej krainie nadali jej nazwę - Łużyce. Język ich zbliżony jest do języka polskiego, podczas gdy górnołużycki do czeskiego (na przykład słowo góra: w dolnołużyckim i polskim gora/góra, w górnołużyckim i czeskim - hora). Powojenny okres znacznie negatywnie odbił się na Dolnołużyczanach. Dzisiaj nie ma na Łużycach Dolnych serbskich przedszkoli ani szkół podstawowych, zaledwie kilka szkół ma w swoim programie fakultatywne nauczenie języka serbskiego. I chociaż dużo Dolnołużyczan przyznaje się do pochodzenia słowiańskiego, przechodzą na język niemiecki, co zresztą zgodne było z wytycznymi polityki kształcenia w NRD. Dolnołużyczanin mógł uczyć się swego języka tylko w gimnazjum i dlatego większość Serbów w Dolnych Łużycach pozostała w zakresie własnej mowy analfabetami. Przed około stu laty Łużyce Dolne liczyły ponad 70 000 Słowian. Dzisiaj jest ich tylko garstka. Ciekawym jednak zjawiskiem jest stopniowy renesans tradycji ludowych i to w całych Łuży-

cach, co jednak w tym regionie z całym prawdopodobieństwem nie wpłynie na poprawę obecnego stanu.

- region Schleife (Slepo). Teren tego regionu obejmuje 7 wsi, w których jeszcze około jednej trzeciej ludności stanowią Serbołużyczanie. Językiem, obyczajami, ogólnie charakterem kultury ludowej bliżsi są Łużycom Dolnym. W tej okolicy, dawniej najuboższej ze względu na piaszczystą glebę, strój regionalny najwierniej zachował swą formę oraz kolory. Jest też najbardziej atrakcyjny spośród noszonych do dzisiaj serbołużyckich strojów. W regionie Schleife również wznawia się tradycje ludowe, np. wypędzanie zimy, stawianie majki, palenie czarownic, zwyczaje adwentowe. To rosnące zainteresowanie tradycjami znalazło odbicie w „Izbie Łużyckiej" (Serbska spa) w Rohne, gdzie zgromadzone są najcenniejsze zabytki tego regionu.

- region Hoyerswerda. Region ten jest naocznym przykładem tego, jak destrukcyjna działalność ludzka w krótkim czasie potrafiła zmienić charakter krajobrazu oraz obraz etniczny regionu. Przed 50 laty rozpościerały się tutaj lasy sosnowe i liczne stawy. By dostać się do pokładów węgla brunatnego dokonano brutalnego zniszczenia krajobrazu. Gdzie zakończono wydobycie, rozciągają się hałdy gruzu, zioną głębokie doły, stopniowo zapełniające się wodą. Tutaj Niemiecka Republika Demokratyczna pozostawiła po sobie prawdziwy krajobraz księżycowy.

Naturalną koleją rzeczy jest zmiana warunków życia i niezmiernie negatywny wpływ na życie mniejszości serbskiej. Okręg Hoyerswerda obejmuje tradycyjnie 48 miejscowości, w których Serbołużyczanie stanowią jeszcze jedną czwartą ludności. Ten właśnie region oderwany został decyzją Kongresu Wiedeńskiego od Królestwa Saksonii i dołączony do Prus. Jednak jeszcze pod koniec XIX wieku zamieszkiwała go prawie wyłącznie ludność serbołużycka i stanowiła element przejściowy - tzw. Łużyce Środkowe, co przejawiało się również pośrednim dialektem pomiędzy górnym i dolnołużyckim, posiadaniem własnego stroju i pielęgnowaniem niektórych typowych form folkloru np. Jeźdźcy Wielkanocni. Z powstaniem monokultury górnictwa węgla brunatnego zmieniła się struktura społeczeństwa. Budowa gigantycznych zakładów przeróbki tego węgla „Schwarze Pumpe" oraz budowa tzw. „Drugiego Socjalistycznego Osiedla Mieszkaniowego", do którego napływali pracownicy z całej NRD, zmieniła centrum okręgu miasta Hoyerswerda, do początku XX wieku zamieszkałego wyłącznie przez Serbów, w miasto niemieckie, w którym język serbołużycki, pomimo wielu starań, utracił swoją rolę jako środek porozumiewania się.

I tak, choć historyczne tradycje utworzyły fundament dla powstania centralnych serbskich instytucji właśnie w Hoyerswerda - stąd pochodzą wybitni działacze patriotyczni jak ks. H. Zejler (poeta), Kreścan Kulman

i Jan Bohumil Nyćka (pisarze i nauczyciele), wybitny naukowiec J. A. Smoler – to kierowniczą rolę przejął Budziszyn.

Zanim poświęcimy uwagę Łużycom Górnym, zapoznać się musimy z życiem religijnym Serbów. Są oni ewangelikami oraz katolikami. Jednak już pod koniec XIX wieku ewangeliccy Serbowie zdjęli swoje stroje narodowe, zachowując jeszcze swoją mowę, szybko jednak przechodząc na dwujęzyczność i w parę pokoleń stali się już prawie wyłącznie niemieckojęzyczni. Język serbołużycki słyszy się obecnie na ewangelickich wsiach rzadko, a jeśli, to przeważnie u starszego pokolenia. W kilku parafiach raz w miesiącu odbywają się nabożeństwa ewangelickie w języku serbskim, corocznie organizowane są Serbskoewangelickie Dni Kościelne, jednak generalnie stwierdzić trzeba, że asymilacja Serbołużyczan ewangelickiego wyznania jest znacznie szybsza od asymilacji katolickich Serbów. Dlatego też serbołużyckie centrum to jednocześnie teren katolickich Łużyc nazwany:

- region katolickich Serbołużyczan (centrum Budziszyn-Bautzen). Ten wielki region, gdzie dominuje powszechnie język serbołużycki tworzy 85 miejscowości powiatów Budziszyn, Kamenz i Hoyeswerda. Klasztor Marienstern (1248) oraz kolegiata św. Piotra w Budziszynie były ostoją katolicyzmu w czasach reformacji i pozostały nią po dziś dzień. Tutaj uroczyste niedziele oraz liczne święta kościelne wyznaczają życie społeczne. Wiara i narodowość tworzą dla 15 000 katolickich Serbów życiową symbiozę. Nie ma w Niemczech drugiego przykładu tak żywej i trwałej wiary. Zachowując swoją wiarę, zachowują katoliccy Serbowie również uporczywie swoją mowę, bo wokół siebie widzą przykład, że jeśli rzuci się jedno, to łatwo odrzuca się i drugie. Katoliccy Serbołużyczanie wiedzą, że zachować może ich tylko jedność. O tej zasadzie wypowiada ich folklor. Jeśli bowiem inne regiony różne mają stroje, czasami odmienne od wioski do wioski, to oni mają jeden tylko, gdziekolwiek by nie mieszkali „serbski strój katolicki".

Maleńki punkt na ogromnej mapie Niemiec. Wysepka słowiańska w germańskim morzu. O jej przetrwanie można prosić słowami poety:

„Bożo budź miły, zdźerż strowy a ćiły do skońćenja ćasow mój serbski lud".

„Boże litościwy, zachowaj w zdrowiu i siłach swój serbski lud aż do skończenia świata". (Jakub Bart Ćišinski, zm. w 1909 roku).

FRANCISZKA CHOCHOLÁČ

PRZEŻYCIE

Takiego tytułu już kiedyś, zdaje się, użyłem. Nie szkodzi. Niechaj będzie takich przeżyć u nas jak najwięcej! Eliminacje do Festiwalu Piosenki Dziecięcej odbyły się w dniach 16 i 17 stycznia 1997 w Klubie PZKO przy ulicy J. Bożka w Czeskim Cieszynie. Konsul Piotr Szwarc z Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, który przybył na imprezę z darami książkowymi, bardzo trafnie scharakteryzował to, co działo się na sali: *„Jesteście tak samo dobrą widownią jak i artystami."* Eliminacje prowadziła sprawnie i z polotem, tu można dodać, tradycyjnie – Halina Kowalczyk (nauczycielka PSP Trzyniec 6). Ponad osiemdziesięciu wykonawców, uczniów polskich szkół z obu powiatów zaprezentowało szeroki repertuar polskich piosenek dziecięcych i ... „dorosłych". Oprócz przeważających występów solowych dzieci śpiewały w duetach, występowały małe zespoły wokalne.

Błędowickie „Anki", które swym występem rozpoczęły zmagania, nie tylko śpiewały, również w obu dniach dowcipnie skandowały, dopingowały występujących.

W skład widowni wchodzili biorący udział w eliminacjach mali śpie-



Ewa Sajdok



Adam Farana



Alicja Herman (brała udział po raz piąty)



Bronisław Palowski



„UŚMIECH" z Wędryni

fot. ZWROT – Franciszek Bałon

wacy, jak również ich nauczyciele, rodzice, babcie. Mamy wspaniałe dzieci. Poziom ich śpiewu fascynował, wprost zapierał oddech w piersiach - tak było szczególnie w czasie występu Bronisława Palowskiego z Suchej Górnej (w jego wspaniałym głosie było wyczuwalne profesjonalne przygotowanie, jakie daje mu prof. Ewa Gebauerová-Fillips w prywatnej szkole muzycznej w Ostrawie).

Wysoki poziom wykonawstwa, zapał z jakim przeżywali eliminacje zarówno uczestnicy jak i prowadzący ich nauczyciele, to wszystko złożyło się na wspaniałą atmosferę tych niezapomnianych chwil, skrywających za sobą wiele poświęcenia. Brawa, duże brawa należą się dzieciom, rodzicom, nauczycielom.

Tegoroczny Festiwal Piosenki Dziecięcej będzie miał swój finał w maju po raz piąty z kolei. Ta bezspornie jedna z najpiękniejszych naszych imprez, której znaczenia nie trzeba podkreślać, powstała z inicjatywy Henryka Sumery i Marii Hupki.

Jury w tym roku było w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Wybór najlepszych przy wysokim, wyrównanym poziomie startujących był trudny. Przewodniczącym jury był kierownik redakcji muzycznej Radia Ostrawskiego, Jiří Pospíšil. W skład jury weszli: Halina Kraina, Leszek Kalina, Józef Wierzgoń i Henryk Sumara.

Finalistami tegorocznego Festiwalu Piosenki Dziecięcej zostali:

KATEGORIA I (kl. 1-3): **Dorota Branna** - Trzyniec 6, **Zuzanna Janiczek** - Gnojnik, **Beata Żydek** - Błędowice, **Katarzyna Kaczyńska** - Karwina 6, Adam Farana - Karwina 6.

KATEGORIA II (kl. 4-6): **Tomasz Suchanek** - Błędowice, **Pawlina Baron** - Błędowice, **Joanna Rzeszut** - Karwina 6, **Ewa Sajdok** - Trzyniec 6.

KATEGORIA III (kl. 7-9): **Alicja Herman** - Karwina 6, **Irena Polak** - prima Gimnazjum w Czeskim Cieszynie, **Janina Wałoszek** - Gnojnik, **Urszula Wojkowska** - Sucha Górna, **Bronisław Palowski** - Sucha Górna, **Barbara Humel** - Czeski Cieszyn.

KATEGORIA IV (duety): **Alicja Herman i Helena Lugsch** - Karwina 6, **Barbara Suchanek i Mariola Fryda** - Błędowice, **Ryszard Wania i Lucyna Nowok** - Trzyniec 6 z Wędrynią, **Janina Wałoszek i Natalia Siedlaczek** - Gnojnik.

KATEGORIA V (zespoły): **Zespół wokalny** - Karwina 6, **„Anki"** - Błędowice, **„Uśmiech"** - Wędrynia.

F.B.

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (3)

KONSPIRACJI DALSZY CIĄG – LEGION ŚLĄSKI NIE DLA NAS

W dniu 28 czerwca 1914 roku padły w Sarajewie, stolicy anektowanej przez Austrię Bośni i Hercegowiny, celne strzały młodego Serba Gawryły Principa, które uśmierciły austrowęgierskiego następcę tronu Ferdynanda Habsburga. Tego samego dnia wieczorem odezwały się również moździerze odpustowe przy kościele parafialnym w naszym sąsiednim Trzycieżu. W dniu św. Piotra i Pawła odbywał się tamże doroczny tradycyjny, niezwykle gwarny odpust. Gajdaczek przyszedł do mnie z polecenia komendata naszej szóstki konspiracyjnej Glajca, abym poszedł również na odpust do Trzycieża i zabrał ze sobą ukryty pistolet i 20 naboi do niego, gdyż po nabożeństwie miało się odbyć szkolne strzelanie. Na odpust do Trzycieża przybyli niestety tylko Alojzowie z naszej szóstki a więc Glajc, Gajdaczek i ja.

Po nabożeństwie poszliśmy do lasu ropickiego. Gajdaczek, który mieszkał na granicy między Ropicą i Trzycieżem tuż koło samego lasu, orientował się w nim dobrze i zaprowadził nas w jądro gęstwiny leśnej. Tam Glajc przybił na grubej sośnie kamieniem i szewskimi gwoździkami nieduży kwadrat z białej tektury, odmierzył dwanaście kroków odległości, odebrał ode mnie pistolet i naboje, naładował i oddał dwa celne strzały do tarczy na sośnie.

– Drugi raz strzelam w tym roku i wystarczy, teraz na ciebie kolej! – oddaje mi w ręce broń. Mnie się udały też trzy celne strzały, gdyż kilka razy ze szwagrem Brannym z Sibicy byłem na strzelnicy, gdzie mi pozwolono również strzelać i miałem już jakąś wprawę. Tylko Gajdaczek strzelał pierwszy raz w życiu i dlatego zmarnował kilka naboi. Pierwszy jego strzał był mimowolny i przestrzelił spodnie oraz zadrasnął lekko naskórek u nogi Glajca. Było z tego powodu trochę strachu oraz nerwów i dlatego też dalsze dwa strzały chybiły celu. Dopiero następne znalazły się w tarczy. Nasze strzały roznosiło echo leśne, lecz nikt, nawet stary gajowy Czarwasz nie mógł się domyśleć, że to było ostre szkolne strzelanie trójki sztubaków, gdyż w całej okolicy huczało od odpustowych flintek i straszaków.

Po powrocie do domu ukryłem rewolwer i po obiedzie poszedłem z bratem Józkiem i Józkiem Legierskim, który w niedzielę i święta miał wolne, do kąpieli rzecznej w Ropiczance.

Wieczorem chciałem opracować trudne dla mnie zadanie domowe z matematyki, której nas uczył zdolny, wymagający lwowiak dr Sprecher. Inne przedmioty były dla mnie fraszką. Echa strzałów w lesie szumiały mi jednak w głowie i nie mogłem się skupić. Zadania nie rozwiązałem i w dniu następnym oblałem z matematyki u Sprechera.

Zakończenie w dniu 15 lipca roku szkolnego w gimnazjum zostało jak zwykle zainaugurowane uroczystym nabożeństwem w klasztor-

nym kościele o.o. Bonifrantrów i uwieńczone rozdaniem rocznych świadectw. Po rozdaniu świadectw oświadczył gospodarz naszej klasy profesor Emil Sznapka donośnym głosem krótko wobec wszystkich: – Glajc Alojzy zostaje wydalony na zawsze z wszystkich szkół Śląska.

Z przerażeniem skłaniam głowę i zerkając trwożliwie w stronę Glajca czekam na swoją kolejkę. Lecz skończyło się tylko na Glajcu. Po opuszczeniu klasy już w okolicy kościoła ewangelickiego poszedłem do Glajca. Zauważyłem, że był blady i ogromnie zmartwiony faktem wydalenia go ze szkoły.

– Jak to się stało? – pytam.

– Nic nie wiem, chociaż domyślam się, że zdradził nas jeden z kandydatów, to jest nie przyjętych członków, którego chciałem zwerbować, lecz później go odsunąłem, gdyż jest znanym chytrym pochlebcą i gadułą. Wiedział więc o tym, że jestem hersztem naszej paczki, lecz kto do niej należał i należy, nie wie do dzisiaj.

– Któż to taki? – pytam.

– Nie powiem ci, bo nie chcę się mylić, lecz bądź spokojny i ufaj mi, gdyż nigdy nikogo nie wsypię. Ukryj lepiej pistolet, bo niezawodnie będzie potrzebny i przenieś go w inne miejsce! – zakończył Glajc i pożegnaliśmy się.

Następnego dnia odniosłem pistolet do szwagra Brannego w Sibicy, który posiadał zezwolenie na posiadanie takiej broni i poprosiłem go o dyskretne jej przechowanie. Nigdy się nie dowiedziałem, kto przerwał nitkę „Wolności", gdyż tak ochrzcił Glajc naszą sztubacką szóstkę konspiracyjną w gimnazjum.

W dniu 1 sierpnia 1914 roku rozpoczęła się tragedia wojny światowej. Wypadki potoczyły się szybko i w kilka dni po wypowiedzeniu przez Austrię wojny Serbom stanęła w ogniu tej wojny prawie cała Europa.

W parku im. Adama Sikory nad Olzą wyrosły w ówczesnych dniach, jak grzyby po deszczu, wyrównane piramidy namiotów, w których kwaterowali legioniści ochotniczego batalionu cieszyńskiego legionów Piłsudskiego. Zaglądałem tam prawie codziennie i z zapartym oddechem obserwowałem tryb życia legionistów. Przeważała młodzież w wieku od 18 do 21 lat. W każdym zakątku parku gorączkowa krzątanina organizacyjna i szkoleniowa formującego się do marszu na front oddziału. W kręgielni wydają umundurowanie i uzbrojenie, w drewnianym pawiloniku koncertowym łopatki polowe oraz inny sprzęt. Wszędzie gwar i rojno, jak w ulu czy w mrowisku.

Dziwiłem się mocno, że nie ma żadnego znaku życia od Glajca, który przecież kazał nam przysięgać, że będziemy walczyć o niepodległość Polski.

Postanowiłem nie czekać na Glajca i wstąpić jako ochotnik do legionistów. Powiedziałem matce, lecz ta odmówiła stanowczo.

– Tam potrzebują starszych o całe cztery lata, silniejszych i zdrowszych i o całą głowę wyższych. Nie chcę o tym więcej słyszeć i marsz do swoich książek! – odpowiedziała mi rezolutnie.

Lecz nie dałem za wygraną. Pobiegłem do Gajdaczka i tam uradziliśmy, że udamy się do Glajca do Lipowca. Glajc nam zakomunikował, że nie mógł być u nas, gdyż bawił w tej sprawie w ostatnich dniach u Adameckiego, u Niemca i u Życha, którzy zdecydowali zgłosić się, chociaż Adamecki i Niemiec przewidywali, że ze zwolnieniem od ich rodziców będzie krucho.

Postanowiliśmy, że w następnym dniu spotka się nasza czwórka w parku Sikory w Cieszynie, gdzie rozpoczniemy nowe życie wśród wielkich przygód.

Na drugi dzień dopołudnia spotkaliśmy się w umówionym miejscu, gdzie zastaliśmy już ubranego w legionowy mundur Zycha. Zych zaprowadził nas do profesora Hajduka ubranego w mundur legionów i poprosił go w naszym imieniu o pomoc w załatwieniu formalności zaciężnych. Profesor Hajduk oświadczył nam: – Nie można już was przyjąć, gdyż nie jesteście przeszkoleni, a batalion wyruszy lada dzień z Cieszyna nie wiadomo jeszcze dokąd. Do tego jesteście jeszcze za młodzi i za słabi. Wyjątkowo przyjęliśmy Zycha, gdyż ukończył już dwadzieścia lat, jest silnie zbudowany i rosły oraz należał do drużyn strzeleckich. Nie mogę więc nic wam pomóc i radzę, abyście się udali jeszcze na razie do domów, do mamy. Przecież każdy z was ukończył zaledwie szesnaście lat. Radzę, abyście się nadal pilnie uczyli, a później będziecie Polsce na pewno potrzebni!

Odprawiono więc nas z niczym i już spoza parkanu obserwowaliśmy z ciekawością intensywne tempo szkolenia legionistów. Jedna z kompanii przeprowadzała musztrę zwartą plutonami, podczas gdy legioniści innej kompanii wykonywali w pocie czoła ciężkimi karabinami siarczyste zamachy oraz błyskawiczne pchnięcia i ciosy, a więc ćwiczenia w walce na bagnety, które błyskały na końcach luf wysłużonych, jednostrzałowych karabinów typu Werndl.

Z podziwem patrzyliśmy na ćwiczenia, ze wzruszeniem słuchaliśmy polskich komend. Inna kompania wracała ze śpiewem z ostrego strzelania. Z ust legionistów płynęły czyste, rytmiczne, donośne tony i słowa melodyjnej, choć smętnej w treści pieśni: „Bywaj dziewczę zdrowe – ojczyzna mnie woła". Prowadził tę kompanię oficer Łysek. Śledziliśmy go, jak zaraportował gromkim głosem dowódcy batalionu, oficerowi Przepilińskiemu, o powrocie kompanii z ćwiczeń. Z zawistnym szacunkiem patrzyliśmy na umundurowanie i polskie orzełki, lecz krytycznie ocenialiśmy ich oporządzenie polowe, zwłaszcza ciężkie, niepraktycznie przytroczone, stale dyndające i tłukące kolana łopatki polowe – saperki.

– Dlaczego nie zgłosił się Adamecki i Niemiec? – zwracam się do Glajca przed pożegnaniem.

– Przypuszczam, że nie było pozwolenia od starszych. I tak by ich odprawiono do mamy podobnie jak nas, a tak zaoszczędzili sobie przynajmniej tych rozczarowań.

– Co mam zrobić z tym pistoletem? – pytam dalej.

– Odnieś go jutro do profesora Hajduka i przekaż jako dar dla dozbrojenia legionistów.

Pobiegłem do szwagra Brannego w Sibicy, który mieszkał nie dalej jak kilometr od parku, odebrałem od niego rewolwer i odniosłem jeszcze w tym samym dniu do profesora Hajduka.

Nie pamiętam dnia odjazdu legionistów z Cieszyna. Było to chyba w ostatnich dniach sierpnia lub w pierwszych dniach września 1914 roku. Odprowadzały ich na dworzec kolejowy tłumy ludności polskiej z Cieszyna, Karwiny, Frysztatu, Trzyńca i Jabłonkowa, gdyż głównie z tych skupisk pochodzili legioniści. Najwięcej kręciło się pięknych pań z kwiatami koło oficerów Przepilińskiego, Hajduka i Łyska. Zewsząd tryskały uśmiechy i umizgi dziewcząt, tu i ówdzie przerywane szlochem żegnających matek i kilku młodych żon, żegnających swoich małżonków. Ale niewielu legionistów było żonatych. Z luf śmiercionośnych Werndlów prawie wszystkim legionistom sterczały wiązanki goździków czy też pojedyncze róże. Huczne marsze austriackiej orkiestry garnizonowej towarzyszyły maszerującym przez miasto. W rytmicznym marszu falowały sylwetki legionistów, lufy karabinów, róże, goździki i tak mieszały się karabiny z kwiatami i radość ze smutkiem.

Zychowi asystowałem z Gajdaczkiem aż do momentu odjazdu pociągu. Na dworcu wręczyłem mu w jednej paczce szynkę i słoninę wędzoną, a w drugiej świeże i suszone owoce. Glajc maszerował obok Sikory z Istebnej, naszego współlokatora z internatu. Pobiegłem do Sikory i zapytałem:– Jak to się stało, że zostałeś tak łatwo i szybko przyjęty do służby w legionach i że nie odesłali ciebie do mamy tak jak nas? Przecież nie jesteś starszy od nas!

– Wiem o tym od Zycha, że nie było już dla was miejsc. Mnie przyjęto dlatego, gdyż zgłosiłem się zaraz w pierwszym dniu i do tego razem z Łyskiem.

Zagrała trąbka do odjazdu, legioniści śpiewali: „Bywaj dziewczę...". Dziewczęta szlochały.

Płakał również stary majster Ćwiękała z Mnisztwa, żegnający swego syna, który nam często towarzyszył w wędrówkach po Cieszynie.

Z dowódcą Przepilińskim i oficerami żegnali się przywódcy polskiego ludu cieszyńskiego, posłowie, ksiądz prałat Londzin i adwokat Michejda.

– Jadą na Warszawę – mówi Glajc – legioniści z Krakowa wkroczyli już na teren Kongresówki!

– A podobno legioniści muszą przysięgać w brzmieniu austriackim? – wtrąca Gajdaczek.

– To wszystko jednak pachnie austriacką czarno-żółtizną – wtrącam się i ja.

Widzimy mijającego nas księdza profesora Tomanka i kłaniamy się mu nisko.

– Słyszałem już o tym, żeście szukali wielkiej przygody w legionach a nie przyjęli was. Może i dobrze się stało. Jesteście za młodzi i wierzcie mi, że jeszcze przydacie się Polsce, gdy lepiej wyrośniecie.

– Gawędziliśmy o tym, że legioniści muszą grać pod batutą austriacką – mówi Gajdaczek.

– Któż to może z najlepszych polityków dzisiaj przewidywać – odpowiada ksiądz Tomanek – co będzie się działo za rok, za dwa, za dziesięć lat. Najważniejszą rzeczą jest, aby wykorzystywać umiejętnie obecną szansę dziejową, aby Naród w obecnej sytuacji politycznej i militarnej posiadał broń i własną siłę zbrojną. Najpierw maszerujemy, jak widzicie, z Austrią, aby bić Rosjan za rzeź niewinnych na Pradze, za krew przelaną w powstaniu listopadowym i styczniowym, za katorgi Sybiru, a może kiedyś wypadnie nam pójść ramię w ramię z Rosją na Niemcy? A może Francuzi spłacą nam trochę długu za Samosierrę, za krew przelaną przez legionistów Dąbrowskiego i księcia Poniatowskiego? ... Ważą się losy naszego Narodu i nie można czekać biernie na wypadki – ciągnie dalej ksiądz Tomanek.

– A czy Austria i Niemcy pomogą nam odbudować Polskę? Przecież razem z nimi maszerujemy na Rosję – pyta Gajdaczek.

– Nie jestem wróżbitą i nie wiem, jak się skończy ta wojna – mówi ksiądz Tomanek – lecz wątpię, czy Austria i Niemcy wyjdą z niej zwycięzcami. Wiecie przecież o tym, że Anglia wypowiedziała wojnę Austrii i Niemcom, a Anglia to dzisiaj największa potęga świata! Za Anglią pójdzie niedługo Ameryka a pewnie jeszcze wiele innych państw.

– Z tego wynika, że wojnę powinna wygrać Anglia, Francja oraz ich sojuszniczka Rosja – wtrąca się Glajc – i czy odda Warszawę i cały zabór?

– Pamiętajcie o tym, że zbrodnia rozbiorów dokonana na żywym organizmie Polski przez Austrię, Niemcy i Rosję zostanie w tej wojnie pomszczona przez karzącą i nieubłaganą Nemezis dziejową; to jest karę muszą ponieść wszystkie trzy zaborcze państwa, a więc również i Rosja, która prawdę mówiąc, najwięcej upuściła krwi Polakom, lecz też najwięcej miała kłopotów z polskimi buntowszczykami. I bądźcie tego pewni, że ofiara naszych legionistów nie pójdzie na marne, tak jak nie poszły na marne Racławice, Samosierra, czyny legionistów Dąbrowskiego, wysiłki księcia Poniatowskiego, któremu Bóg powierzył honor Polaków – tak jak nie poszła na marne krew naszych przodków, naszych dziadów i ojców przelana w powstaniu listopadowym i styczniowym. Ofiara legionistów nie pójdzie na marne i chociaż ich czyn jest może mało ważną militarną akcją, lecz za to ogromnie ważną manifestacją polityczną, która ma przypominać światu o krzywdzie rozbiorów Polski i o tym, że należy tę krzywdę naprawić. Pamiętajcie, że obecna wojna jest wojną między naszymi zaborcami i jako taka daje ona wielkie szanse dla naszej niepodległości i w tych warunkach nie możemy pozostać biernymi, lecz musimy manifestować zbrojnie. I chociaż trudno przewidywać na pewno, kto będzie zwycięzcą i czy tym zwycięzcą będzie jeden z naszych zaborców, to jednak jedno wydaje się pewne, że nie tylko sam zwycięski zaborca będzie decydował o losach Polski, lecz o losach zadecyduje większe grono, a raczej całe forum międzynarodowe.

c.d.n.
ALOJZY NOWOK

POLSKA MOWA NA KRESACH

Większość nagród „Kresów96" zdobyli recytatorzy z Czech – taki nagłówek artykułu omawiającego V Konkurs Recytatorski dla Polaków z Zagranicy pojawił się w czołowym dzienniku białostockim „Kurier Poranny" 9 grudnia 1996.

W finale konkursu uczestniczyło 25 młodych recytatorów z Białorusi, Litwy, Łotwy, Rosji, Ukrainy i Czech wybranych w ramach konkursów lokalnych w poszczególnych krajach, w eliminacjach których wzięło udział blisko półtora tysiąca osób. Organizatorem konkursu jest Towarzystwo Kultury Teatralnej w Białymstoku i Podlaski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska". Każdego roku „Kresy" to nie tylko konkurs i koncert laureatów, ale przede wszystkim program edukacji teatralnej: zajęcia warsztatowe prowadzone przez wykładowców Akademii Teatralnej im. Zelwerowicza w Warszawie i filii tejże uczelni Wydziału Sztuki Lalkarskiej w Białymstoku oraz spotkania z teatrem zawodowym i amatorskim.

V edycja konkursu „Kresy96" poświęcona była przede wszystkim poezji Adama Mickiewicza w związku z przypadającą w roku przyszłym dwusetną rocznicą urodzin poety, toteż wymogiem regulaminowym była recytacja wiersza wieszcza. Wielką popularnością cieszyła się poezja polskiej noblistki Wisławy Szymborskiej.

W wyniku przeprowadzonych eliminacji na początku listopada ubiegłego roku w Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie Czechy reprezentowane były przez cztery gimnazjalistki cieszyńskie i przedstawiciela klas karwińskich. Cała piątka wróciła z Białegostoku utytułowana, i tak nagrodę Grand Prix otrzymała Sonia Smugała, nagrodę Prezydenta Miasta Białegostoku otrzymała Katarzyna Szuścik równorzędnie z reprezentantem Litwy Andrzejem Korolowem, trzecią nagrodę obok reprezentantek Litwy i Białorusi – Zbigniew Kalina z Karwiny; wyróżnienie i nagrodę publiczności – Teresa Branna. Zaproszenie do udziału XLII Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim otrzymali: Sonia Smugała i Katarzyna Szuścik.

Po oszałamiającym sukcesie naszych gimnazjalistów na V edycji „Kresów96" o wrażenia z konkursu pytam opiekuna naszej grupy, profesora czeskocieszyńskiego gimnazjum, Władysława Kubienia.

Co daje naszej młodzieży udział w tym konkursie?

Myślę, że przede wszystkim daje możliwość porównania własnej twórczej działalności z tym, co robią inni. To jest taka korzyść prywatna, bo człowiek sprawdzi, na ile jest w stanie zrealizować siebie, swoje pomysły, ma możliwość porównania swojej interpretacji wiersza z innymi. A poza tym praca nad wierszem usprawnia młodzież nie

tylko językowo, ale i interpretacyjnie, bo przecież trzeba najpierw utwór zanalizować, by wiedzieć, o czym się mówi, potem popracować nad głosem, nad całością wypowiedzi. „Kresy" swoim zasięgiem i znaczeniem są dla naszej młodzieży nie tylko przygodą w sensie wycieczki, ale przede wszystkim przygodą intelektualną, która pozwala młodemu człowiekowi zdobyć wiedzę ciekawie i fachowo podaną z zakresu kultury teatralnej. Jest jeszcze jeden aspekt pozytywny - to spotkania z rówieśnikami z innych krajów, których losy historycznie były podobne.

Nasi gimnazjaliści biorą udział w konkursie po raz trzeci, a po raz drugi odnoszą totalne zwycięstwo.

Na III konkursie Magda Suchoń zdobyła wyróżnienie. Zauważono Zaolzie w kresowej rodzinie. Zresztą wtedy tak się złożyło, że okres na przygotowanie był bardzo krótki, toteż to wyróżnienie to także był wielki sukces. W roku 1995 Jola Molenda zdobyła jedną z głównych nagród i co podkreślili jurorzy na tegorocznym spotkaniu, był to konkurs gwiazd, gdzie pojawiło się kilka wybitnych indywidualności, w których cieniu pozostawała reszta uczestników. W tym roku poziom był bardzo wyrównany i bardzo wysoki. „Kresy" podnoszą swoją poprzeczkę. Jurorzy i organizatorzy konkursu jednoznacznie podkreślali, że grupa z Zaolzia zarówno w roku 1995, jak i 96 była wyrównana i bardzo mocna.



Laureaci głównych nagród - Sonia Smugała, Katarzyna Szuścik i Andrzej Korolow (Litwa)



Teresa Branna – Laureatka Nagrody Publiczności

Czy z tego wynika, że u nas jest tak dobrze z nauczaniem języka polskiego w szkołach, czy tak źle w pozostałych krajach?

Różnica w opanowaniu sprawności językowej w zakresie polskiego wśród uczestników finału konkursu jest bardzo widoczna, oczywiście z korzyścią dla nas. Wynika to z różnic w poziomie nauczania i możliwości posługiwania się tym językiem w rodzinie, wśród rówieśników. U nas używa się gwary, a na Wschodzie ciągle często języka rosyjskiego.

Wróćmy na moment do finału eliminacji w naszym czeskocieszyńskim gimnazjum, który miał wspaniałą oprawę artystyczną: de-koracje, iście festiwalowy sposób prowadzenia konkursu i przerywniki muzyczne. A na koniec podsumowanie przez jednego z jurorów, pana Jana Zdziarskiego z Warszawy, które podbudowało zarówno uczestników konkursu, jak i widownię, którą w większości stanowiła młodzież gimnazjalna. Skąd tyle ciekawych pomysłów?

To właśnie efekt moich wyjazdów do Białegostoku, jako opiekuna grupy, a także w tym wypadku szczęśliwe połączenie nauczyciela polonisty i plastyka. „Kresy" od lat tworzą ludzie zawodowo związani z teatrem i konkursami recytatorskimi, toteż można się tam wiele nauczyć. Na przykład w tym roku koncert laureatów, jak nazwali finał konkursu miejscowi publicyści, miał

bardzo ciekawą oprawę artystyczną. Odbył się jak zwykle w sali Teatru Szkolnego Akademii Teatralnej w Białymstoku. Realiza-torzy, reżyser Andrzej Głowacki i scenograf Andrzej Dworakowski, niejednorodną tematykę recytowanych wierszy połączyli udanym pomysłem inscenizacyjnym: szkolne ławki, w centrum stół, jakby komisji egzaminacyjnej, w których i za którym siedzieli uczestnicy konkursu. Tu naprawdę można wiele się nauczyć i wykorzystać zdobyte doświadczenia choćby w szkolnym teatrze.

Jeżeli chodzi o osobę Janka Zdziarskiego, to rzeczywiście dużo zawdzięczają jego uwagom nasi uczestnicy konkursu. A jest on wybitnym fachowcem w zakresie dykcji. Wykłada w Akademii Teatralnej i Akademii Muzycznej w Warszawie, a ponadto z ramienia Towarzystwa Kultury Teatralnej jest organizatorem Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego.

Życząc dalszych sukcesów na koniec przypomnijmy, że naszych finalistów Sonię Smugałę, Katarzynę Szuścik i Jolę Molendę przygotował profesor Władysław Kubień, Teresę Branną –pani profesor Orszulik. Zbigniew Kalina, który w przyszłości zamierza zostać aktorem, uczęszcza do prywatnej szkoły teatralnej. Tuż przed wyjazdem naszej ekipy do Białegostoku pomocą służył kierownik Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego, Rudolf Moliński.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

"SKOK PRZEZ SKÓRĘ"

FUNDACJI CZESKO–POLSKIE CENTRUM KULTURY I NAUKI

Dom Polski w Ostrawie gościł 17 grudnia ubiegłego roku górników z Polski i z Republiki Czeskiej na konferencji, której celem była wymiana doświadczeń z przebiegającej w obydwu krajach restrukturyzacji górnictwa węgla. Organizatorem imprezy była fundacja Czesko-polskie Centrum Kultury i Nauki, działająca od maja ubiegłego roku w Domu Polskim.

Konferencję otworzyły przemówienia konsulów generalnych: Bernarda Błaszczyka z Ostrawy (Polska) i Jozefa Byrtusa z Katowic (Republika Czeska). Honorowi współprzewodniczący fundacji Andrzej

Stelmachowski i Daniel Kroupa, nie mogąc przyjechać, przesłali uczestnikom życzenia owocnych obrad. Wielka sala Domu Polskiego wypełniona była po brzegi przez pracowników ministerstw, urzędów górniczych, dyrektorów kopalń i przedstawicieli związków zawodowych z obydwu krajów. Zainteresowanie było ogromne, gdyż górnictwo stanowiło do niedawna w tej części Europy chlubę całej gospodarki. W referatach poruszono kwestie ekonomiczne, techniczne i społeczne procesu redukcji wydobycia i zatrudnienia w górnictwie. Wiele miejsca poświęcono osłonie socjalnej zwalnianych górników.

Była to pierwsza konferencja zorganizowana przez zaledwie kilka miesięcy działającą fundację i od razu na tak wielką skalę, i z tak rozległym pakietem poruszonych problemów. Z ust wielu uczestników padły wyrazy uznania dla organizatorów i chęć ponownego spotkania i przedyskutowania tych interesujących i żywotnie ważnych problemów po upływie pewnego czasu. Może więc takie konferencje będą się powtarzać regularnie?

Po oficjalnej części obrad nie wszyscy rozjechali się natychmiast do domów. Ci, którzy pozostali w Domu Polskim do późnych godzin, na pewno nie żałowali. Z myślą głównie o uczestnikach z Polski, gdzie górnictwo ma własne, lecz odrębne tradycje, został bowiem wieczorem zorganizowany tzw. „skok przez skórę".

Jest to tradycyjne wśród górników czeskich przyjmowanie nowych członków do górniczego cechu. Oparte jest na rytuałach średniowiecznych gwarków, ale nie jest rekonstrukcją historycznej uroczystości. Zwyczaj ten jest utrzymywany zwłaszcza przez studentów Wydziału Górnictwa i Geologii Wyższej Szkoły Górniczej w Ostrawie (obecnie Uniwersytetu Technicznego). Wszyscy muszą przejść przez ten rytuał na pierwszym roku. Dopiero po wypiciu kufla piwa, wygłoszeniu swojego hasła i skoku przez skórę można pasować mieczem adepta górnictwa na pełnoprawnego członka. Naturalnie jest przy tym wiele dobrej zabawy, piosenek, muzyki, jedzenia i picia. „Skok" mogli więc zaliczyć obecni polscy górnicy i specjaliści. Ponieważ było to przedstawienie na pokaz, „skoczyli" sobie również ci, którzy z górnictwem nie mają nic wspólnego. Tym udanym „skokiem" zaistniała na naszym terenie kolejna fundacja.

TADEUSZ SIWEK



Zagajenie



Stół prezydialny (w części nieoficjalnej) – z lewej kansulowie B. Błaszczyk i J. Byrtus

"BYSTRZYCA" NA BALACH

Zespół Taneczny MK PZKO w Bystrzycy „Bystrzyca" zrodził się w roku 1984 z tancerzy „Łączki", którzy już wiekowo nie mieścili się w szkolnych zespole. Zespół „Bystrzyca" założyli i prowadzą państwo Podzemni. Powstał on właściwie w trakcie przygotowania programu balowego. Ma w swoim repertuarze tańce ludowe, z którymi występuje w przeciągu całego roku. Na okres karnawału jednak tradycyjnie przygotowuje, od początku swego istnienia, programy balowe.

W tym karnawale „Bystrzyca" w swym programie balowym oprócz tradycyjnego poloneza prezentuje charleston, tańce country, mieszankę tańców towarzyskich i taniec sceniczny. Zespół wystąpił na balu szkolnym w Trzyńcu 6, w Bystrzycy, na balu PZKO w Bystrzycy i na połączonym balu szkoły i PZKO w Gródku.

W przeciągu minionego roku „Bystrzyca" występowała między innymi na takich imprezach jak „Maj nad Olzą" w Karwinie, na „Gorolskim Święcie", „Tygodniu Kultury Beskidzkiej" (w Oświęcimiu).

Pani Maria Podzemna powiedziała: *„Przed pół rokiem zespół przeżył groźny kryzys. Pozostali tylko trzej chłopcy. Wiele tu znaczył niezrealizowany wyjazd na Festiwal do Rzeszowa... Młodym jakby zabrakło motywacji do dalszej pracy. Pozostali członkowie zespołu jednak zorganizowali imprezę, na którą zaprosili młodzież z szerokiej okolicy. W wyniku tego udało się pozyskać nowych członków zespołu. „Bystrzyca" odżyła."*

Aktualnie zespół liczy 22 członków. Jego próby odbywają się w każdy piątek. Najstarszy tancerz ma 27 lat. Najmłodszym członkiem zespołu jest 14-letnia dziewczyna. Wszyscy pełni zapału, żyjący tańcem.

Podczas krótkiego pobytu w gronie tancerzy „Bystrzycy" przekonałem się, że ich zainteresowanie działalnością kulturalną na naszym terenie wcale nie ogranicza się tylko do tańca. Odchodziłem ze spotkania z adresami dwóch nowych prenumeratorów „ZWROTU". Nie było ich trzeba specjalnie namawiać, w zasadzie zgłosili się sami i cenę, nad którą tylu dyskutuje, wcale nie uważali za wysoką.

Pani Podzemna zapytana na pożegnanie o plany na przyszłość odpowiada: *„Przetrwać kryzys kulturalny w naszej społeczności, w ogóle powszechny kryzys kulturalny".* Wierzę, że „Bystrzycy" się uda, ba może już się udało!

F.B.









fot. ZWROT – Franciszek Bałon

WISŁAWA SZYMBORSKA

UPAMIĘTNIENIE

Kochali się w leszczynie
pod słońcami rosy,
suchych liści i ziemi
nabrali we włosy.

Serce jaskółki,
zmiłuj się nad nimi.

Uklękli nad jeziorem,
wyczesali liście,
a ryby podpływały
do brzegu gwiaździście.

Serce jaskółki,
zmiłuj się nad nimi.

Odbicia drzew dymiły
na zdrobniałej fali.
Jaskółko, spraw, by nigdy
nie zapominali.

Jaskółko, cierniu chmurny,
kotwico powietrza,
ulepszony Ikarze,
wniebowzięty fraku,

jaskółko, kaligrafio,
wskazówko bez minut,
wczesno-ptasi gotyku,
zezie na niebiosach,

jaskółko, ciszo ostra,
żałobo wesoła,
aureolo kochanków,
zmiłuj się nad nimi.

NIC DWA RAZY

Nic dwa razy się nie zdarza
i nie zdarzy. Z tej przyczyny
zrodziliśmy się bez wprawy
i pomrzemy bez rutyny.

Choćbyśmy uczniami byli
najtępszymi w szkole świata,
nie będziemy repetować
żadnej zimy ani lata.

Żaden dzień się nie powtórzy,
nie ma dwóch podobnych nocy,
dwóch tych samych pocałunków,
dwóch jednakich spojrzeń w oczy.

Wczoraj, kiedy twoje imię
ktoś wymówił przy mnie głośno,
tak mi było, jakby róża
przez otwarte wpadła okno.

Dziś, kiedy jesteśmy razem,
odwróciłam twarz ku ścianie.
Róża? Jak wygląda róża?
Czy to kwiat? A może kamień?

Czemu ty się, zła godzino,
z niepotrzebnym mieszasz lękiem?
Jesteś – a więc musisz minąć.
Miniesz – a więc to jest piękne.

Uśmiechnięci, wpółobjęci
spróbujemy szukać zgody,
choć różnimy się od siebie
jak dwie krople czystej wody.

LECH PRZECZEK

MIKROOPOWIADANIA SCI–FI

ZMARTWYCHWSTANIE

Wreszcie nastał długo oczekiwany moment. Wszędzie panował uroczysty nastrój. Zespół konstruktorów właśnie dziś prezentował kierownictwu Instytutu wyniki swojej pracy.

W Centralnym Laboratorium zebrało się kilkadziesiąt zaproszonych gości, którzy będą mieli okazję jako pierwsi zobaczyć najnowszy produkt wysiłku badawczego naukowców.

„Nasz Instytut wejdzie do historii!" – stwierdził z dumą kierownik grupy konstrukcyjnej robot IB 74.

Jest rok osiemnasty po Wielkiej Przemianie. Zegar wskazuje dokładnie 10,042 jednostki czasu czterdziestego siódmego dnia drugiej ziemskiej pory roku.

W Instytucie Rekonstrukcji Wymarłych gatunków grupka robotów pochyliła się nad stołem umieszczonym w samym środku laboratorium. Na stole leżał człowiek.

Robot IB 74 nacisnął duży czerwony przycisk na pulpicie sterowniczym. Człowiek powoli wstał i zaczął się niezgrabnie poruszać.

NAPÓJ NUMER 1

Doktor QA 6 powrócił po czterogodzinnej pracy w Wydziale do spraw Kontaktu z Pozaziemskimi Przybyszami do własnego mieszkania kompletnie wyczerpany. Nawet różowe pastylki, które były zwykle bardzo skutecznym środkiem na poprawę samopoczucia, tym razem nie zdołały usunąć zmęczenia.

Po krótkim namyśle zdecydował się więc na bardziej radykalne rozwiązanie.

Z utajonej skrytki w ścianie wyciągnął niewielką butelkę. Bardzo ostrożnie nalał do szklaneczki trochę płynu z butelki i długo przyglądał mu się, podniósłszy szklankę pod światło.

Potem wypił mały łyczek i na twarzy prawie natychmiast rozgościł się błogi wyraz.

Zmęczenie szybko ustępowało.

Na stole stała otwarta butelka z napisem CZYSTA WODA ŹRÓDLANA.

KOMU SAMOCHÓD

Z rozległej hali dobiegał miarowy stukot pracujących maszyn. Cykl produkcyjny, obejmujący cały szereg skomplikowanych czynności przebiegał bez najmniejszych zakłóceń. Poszczególne operacje wykonywane były bardzo precyzyjnie i w efekcie z taśmy montażowej co pięć minut schodził kolejny gotowy wyrób. Kontrola jakości wykazywała, że wszystkie produkty są klasy Super. Niezwłocznie ekspediowano je do magazynów.

W pełni zautomatyzowana fabryka samochodów osobowych pracowała cały czas na pełnych obrotach.

Za oknami hali produkcyjnej roztaczał się ponury widok na martwą w sensie biologicznym planetę. Potężna broń, użyta podczas ostatniego konfliktu wojennego, pozbawiła ją jakichkolwiek organicznych form życia.

Setki fabryk rozsianych po całej planecie kontynuowały jednak nadal swoją pracę, wytwarzając tysiące przeróżnych produktów. Magazyny pęczniały. Zabrakło tylko odbiorców.

MIŁOŚĆ

Czym jest właściwie miłość? Chyba każdy z nas postawił sobie już takie pytanie. Docent IRG 13 zadał go sobie właśnie teraz. I podobnie jak wielu jego poprzedników, on również nie znalazł na nie jednoznacznej i wyczerpującej odpowiedzi. Między mężczyzną i kobietą, których uczucie to łączyło, pojawiało się zawsze wiele różnych barier. Istniały różnice rasowe, majątkowe, religijne i cały szereg innych. Wszystkie te przeszkody zdołano z biegiem czasu usunąć.

Mogłoby się więc wydawać, że dziś, w roku 2100, nic nie stoi na przeszkodzie, aby docent IRG 13 i jego wybranka mogli być razem szczęśliwi. A jednak...

„Nowa epoka zawsze przynosi z sobą nowe problemy" westchnął docent IRG 13 smutno i skierował swój rozmarzony wzrok w stronę androidalnego robota ELA 4–B. ELA jest wprawdzie nie do odróżnienia od rzeczywistej kobiety, z punktu widzenia prawa pozostaje jednak tylko maszyną.

FARMER

Mały zegarek elektroniczny na ręce Rona wskazywał dokładnie godzinę jedenastą. W tym samym momencie włączył się automatycznie miniaturowej wielkości odbiornik radiowy.

„Tu Ogólnoziemska Stacja Radiowa" odezwał się przyjemnie brzmiący kobiecy głos. „Podajemy aktualne ceny skupu niektórych naturalnych produktów spożywczych: trawa – 280 iterów za tonę, pokrzywy – 350 iterów za tonę..."

Ron słuchał uważnie, aby przypadkiem nie przegapić informacji, która go szczególnie interesowała.

Wreszcie doczekał się: „Mięso zwierzęce, jakość pierwsza – 2200 iterów za tonę" usłyszał.

Uśmiechnął się, szczerze uradowany. Cena była bowiem wyjątkowo korzystna i przekroczyła jego najśmielsze oczekiwania.

„A więc w końcu udało mi się. Będę teraz bardzo bogaty!" pomyślał.

Ron Martens, jeden z najpotężniejszych farmerów Zjednoczonych Państw Ziemi, spojrzał z dumą na swoją rozległą posiadłość rolniczą i raz jeszcze utwierdził się w przekonaniu, że podjął słuszną decyzję. Hodowla ostatnich żyjących zwierząt – dżdżownic na mięso okazała się w tym roku przedsięwzięciem nad wyraz opłacalnym!

NOWA ZABAWKA

Robot DX mini obchodził dziś swoje święto. Minął dokładnie rok od momentu, kiedy opuścił halę produkcyjną fabryki. Z tej okazji pracownik Centrum Wychowawczo–Dydaktycznego przygotował dla niego małą niespodziankę.

DX mini zajęty był właśnie rozpakowaniem pudełka z prezentem. Co to może ono zawierać? Hura, zabawka!

Nie namyślając się długo, postanowił od razu ją wypróbować. Najpierw nacisnął klawisz umieszczony po prawej stronie pulpitu sterującego i zabawka zaczęła się poruszać. Lewa, prawa, lewa, prawa – maszerowała. Następnie DX mini wypróbował po kolei wszystkie pozostałe klawisze. Stwierdził, że zabawka potrafi wykonywać wiele przeróżnych czynności: mówi, siada, kładzie się, śmieje się, płacze.

Robot odłożył na chwilę skrzynkę z mechanizmem sterującym i poszedł podziękować pracownikowi Centrum Wychowawczo–Dydaktycznego za naprawdę bardzo ładny prezent.

Na środku pokoju leżała nieruchomo na podłodze nowa zabawka. Był to doskonale wykonany model człowieka, dawnego poprzednika obecnych mieszkańców Ziemi – automatów.

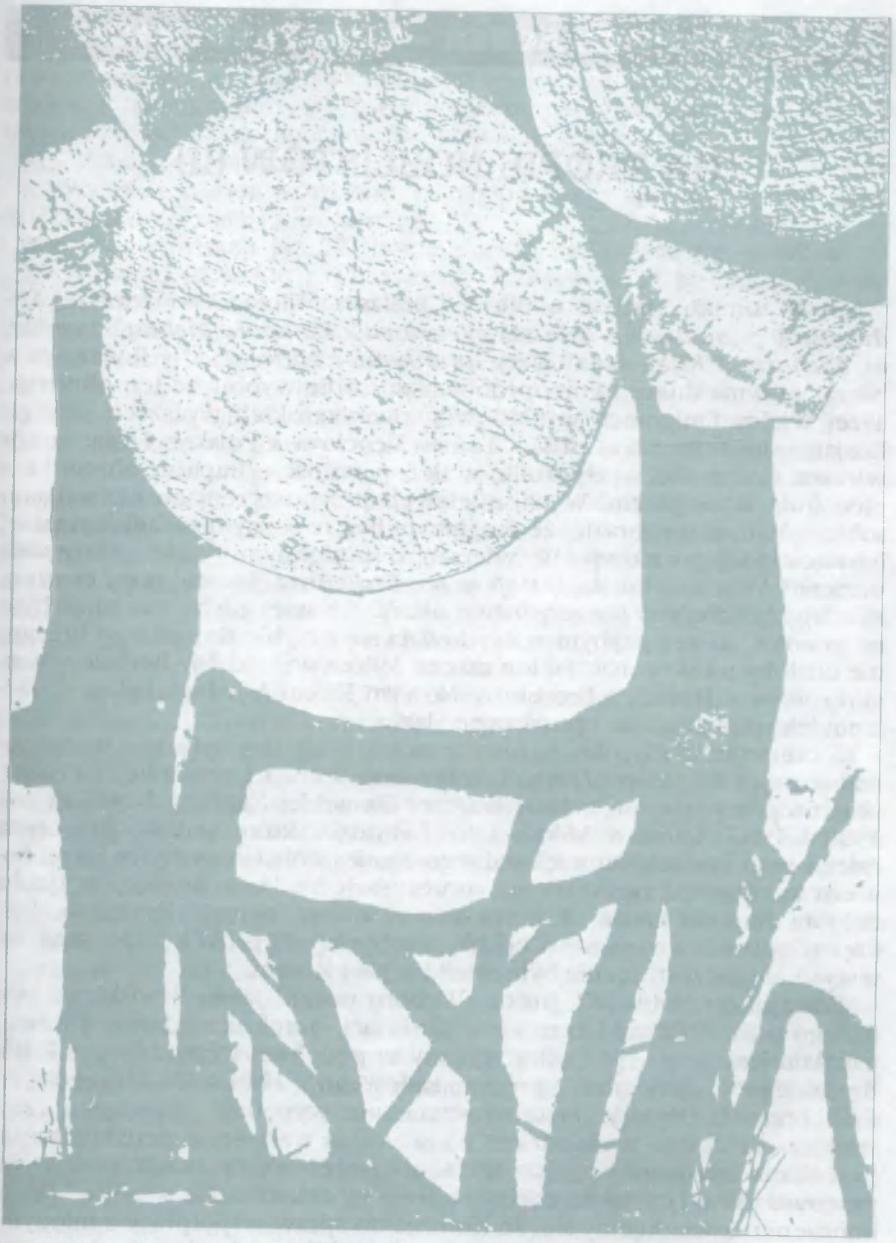


foto-grafika FRANCISZEK BAŁON

NA TROPIE NOBLISTÓW (II)

Jest w tomiku „Dalsze okolice" Czesława Miłosza taki wiersz: *„Siedzieliśmy pijąc wódkę, Brodsky, Venclova / Ze swoją piękną Szwedką, ja, Richard, / Koło Art Gallery, pod koniec stulecia ..."* („Rozmowa"). Nieraz oczyma duszy swojej próbowałam sobie wyobrazić ten obrazek : Trzej Wielcy Emigranci, wykładowcy amerykańskich wyższych uczelni, Rosjanin Josif Brodski, Litwin Tomas Venclova i Polak z Litwy, autor wiersza. Cóż za niezwykły stolik, w tle z pewnością drapacze chmur i koniec stulecia za pasem. W najśmielszych przypuszczeniach nie mogłam sobie wówczas wyobrazić, że mogłabym być naocznym świadkiem takiej przyjacielskiej rozmowy. W wierszu o podobnym tytule, „Rozmowa w zimie" Venclova kusił: *„Wstąp w ten krajobraz. Jeszcze tutaj ciemno. / Brzeg się odbija w poczerniałym oknie..."* Nawet gdyby stać mnie było na samolot, nawet gdybym zdecydowała się przybić do tamtego brzegu, nie udałoby mi się zobaczyć ich razem; Miłosz wykładał w Berkeley, Venclova w New Haven, a Brodski w Nowym Jorku. A jednak byłam świadkiem ich spotkania, nie opuszczając Śląska.

W czerwcu 1993 roku Katowice przez kilka dni były niekwestionowaną stolicą literatury. Zjechali tu bowiem literaci i naukowcy na miarę światową, a wśród nich dwaj laureaci literackiej Nagrody Nobla za rok 1980 i 1987, Czesław Miłosz i Josif Brodski, który stał się przyczyną całego tego literacko-intelektualnego zamieszania.Uniwersytet Śląski bowiem zainicjował niecodzienną uroczystość nadania Broskiemu tytułu doktora honoris causa. A ponieważ w owym okresie Zaolzianie byli często gośćmi wojewody Czecha, zdobycie oficjalnych zaproszeń na wszystkie uroczystości nie było wielkim problemem.

Wracając do Nobla '87, prócz „Wyboru poezji" Josifa Brodskiego, wydanego przez Oficynę Literacką w skromnej, burej, samizdatowej wersji, nabyłam jeszcze w 1987 roku wydany w podobnej wersji „Proces Josifa Brodskiego" - stenogram z procesu sądowego z 1964 roku, którego werdykt brzmiał: „Brodski systematycznie nie wypełniał obowiązku człowieka radzieckiego w dziedzinie wytwarzania wartości materialnych i zapewnienia własnego bytu, co widać z częstej zmiany miejsc pracy. Nie pracował, pisał i czytał na wieczorach swoje dekadenckie wiersze." W zakończeniu dowiadujemy się, że Komisja do spraw współpracy z młodymi pisarzami doszła do wniosku, że przyszły Noblista „nie okazuje się poetą" i sąd postanowił zesłać Brodskiego do miejscowości oddalonych na okres

lat pięciu z zastosowaniem pracy przymusowej. Tak więc na dwa lata przed historycznym 1989 rokiem, kiedy nikt już nie wierzył w sensowność zmurszałej ideologii, ale moi rówieśnicy w Czechach nadal musieli zdawać z niej egzaminy, ja, dzięki podziemnym wydawnictwom, których nikt już w Polsce gorliwie nie pacyfikował, edukowałam się na własną rękę. Przez co pogłębiała się przepaść między Krakowem a Czeskim Cieszynem, w którym wówczas nie znajdowałam wspólnego języka. Bogu dzięki,że tamte czasy są już za nami.

We wspomnianym już „Wyborze poezji" natknęłam się wówczas na „Divertimento litewskie", cykl wierszy, który powstał po kilkudniowym wileńskim spotkaniu znowu trzech poetów: rosyjskiego (Brodski), litewskiego (Venclova) i polskiego (tym razem nie Miłosza, ale Woroszylskiego) wiosną 1971. Broski odmalował tu Wilno, miasto Polaków, Litwinów, Rosjan, Żydów, ludzi rozmaitych wiar i powołań, jako tygiel krzyżujących się kultur, języków, losów. Po lekturze „Divertimenta litewskiego" dojrzało we mnie pragnienie odwiedzin tej Mekki wielkich poetów. Zrealizowałam je w dwa lata później. Dopiero jednak słuchając na żywo w Katowicach poetę (a przysłuchiwali mu się siedzący obok Miłosz i Venclova), recytującego z niepowtarzalnym wschodnim zaśpiewem swoje „Divertimento", rozpoczynające się od słów *„Urodzić się tu przed stu laty ..."*, zrozumiałam, że od lat pragnę napisać własne „Divertimento cieszyńskie". Tak powstał mój pierwszy rymowany wiersz, który dzięki melodii, podanej mi niejako przez Brodskiego, „napisał się sam" (nauczyciele powiedzieliby, że powstał „z natchnienia").

I tu nie mogę nie wspomnieć kolejnego ważnego spotkania, tym razem cieszyńskiego. „Divertimento", jak przystało na utwór instrumentalny, doczekało się swej wersji muzycznej, na dodatek w kolejnym języku - czeskim. Czeskocieszyński pieśniarz, Jaromír Nohavica, próbując napisać muzykę do mojego „Divertimenta", napisał własne, rozpoczynające się od słów *„Kdybych se narodil před sto lety v tomhle městě"* („Těšínská"). Utwór ten znalazł się na jego „złotej płycie", zatytułowanej nieprzypadkowo „Dziwne stulecie". W trakcie naszych wspólnych przygotowań do polsko-czeskiego programu „W kawiarni AVION, której nie ma..." dotarła do nas hiobowa wieść, że Josif Broski zmarł we śnie, na serce, które dokuczało mu już od dawna. Na biurku miałam jego świeżo wydany, o wiele piękniejszy niż tamten, samizdatowy, tomik o tytule, również nawiązującym do naszego stulecia : „Fin de siecle". Przypomniał mi się wówczas wiersz Brodskiego o tym samym tytule, rozpoczynający się od słów: *„Wiek już się kończy, wcześniej skończę ja ..."* A więc wiedział, ten uroczy, skromny, 56-letni pan, jak mówił o sobie, „poeta z bożej łaski", przeczuwał. Patrzyłam na jego tomiki, na autograf, który „wystałam" w dwugodzinnej kolejce i wiedziałam, że już nie dojdzie do spotkania trzech poetów ani w Nowym Jorku, ani tym bardziej w Katowicach. Zresztą poeta sam napisał o tym w swym „schyłkowym" wierszu: *„W barze nie spotkasz kumpla ze schyloną głową, / który próbuje wznieść się ponad sobą, / anioła w szafirową sukienkę odziane..."*

OKRUCHY LITERACKIE

W numerze 3/1996 pisma ALTERNATIVA–NOVA ukazała się recenzja Libora Martinka z „Tercyn" Władysława Sikory, opowiadanie Wiesława Adama Bergera „Clochard" oraz opowiadanie Kazimierza Jaworskiego w przekładzie jego żony Pavliny „Jaskółka".

Na łamach miesięcznika „Śląsk" (Katowice) ukazał się artykuł pióra Edmunda Rosnera poświęcony postaci Wilhelma Przeczka „Polski poeta z czeskiego Śląska".

W gimnazjum czeskim w Cz. Cieszynie odbyło się spotkanie autorskie Lucyny Waszkowej połączone z prezentacją jej książki „Čtyři období lásky". Spotkanie prowadził tłumacz tego zbiorku poetyckiego Libor Martinek z uniwersytetu w Opawie.

W brneńskim piśmie katolickim ukazały się wiersze Jana Pyszki w tłumaczeniu Františka Všetički.

Na walnym zebraniu Zrzeszenia Literatów Polskich wybrano nowy zarząd. Prezesem został ponownie Gustaw Sajdok, a rzecznikiem mianowano red. Jacka Sikorę.

Wydawnictwo IMCG w Ostrawie wydało tomik poetycki Bożeny Klímovej „Rozmowa z Bogiem" zadedykowany papieżowi Janowi Pawłowi II. Tłumaczami wierszy są Lucyna Waszkowa i Wilhelm Przeczek.

Lech Przeczek drukuje opowiadania w magazynie „Trosky" w Mladé Boleslavi. Magazyn zajmuje się literaturą sci–fi.

Renata Putzlacher wydała tomik „Małgorzata poszukuje Mistrza – Markéta hledá mistra" w wersji polsko–czeskiej (tłumaczenie Vlasta Dvořáčková i Erich Sojka). Wydawcą jest Zrzeszenie Literatów Polskich w Czechach.

Dzięki pomocy finansowej Instytutu Słowackiego w Warszawie w Krakowie ukażą się fragmenty twórczości Vlastimila Kovalčíka. Wybór i przekład Jan Pyszko.

Znany również na naszym terenie krytyk literacki i specjalista w dziedzinie hymnografii J.W. Podgórski (obecnie konsul RP we Francji) przygotowuje przy współpracy z ZLPC oraz Biblioteką Regionalną w Karwinie Wystawę Książek Literatów Zaolzia. Wystawa odbędzie się w Lionie.

(wp)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA CZŁONKÓW ZLPC W ROKU 1996

12 grudnia w Ostrawie odbyło się zebranie Gminy Pisarzy Morawskośląskich. Wzięli w nim udział przedstawiciele Zrzeszenia Literatów Polskich w RC (Gustaw Sajdok - prezes, Jan Pyszko - wiceprezes, Wilhelm Przeczek - członek Rady Gminy Pisarzy). Sprawozdania złożone przez naszą delegację dały obraz działalności wydawniczej członków ZLPC w roku 1996. Ukazały się następujące pozycje książkowe:

w opawskim wydawnictwie OPTYS powieść W. Przeczka „Hudba z nebe" (przekład Helena Stachová i Erich Sojka),

wydawnictwo SAK w Olbrachcicach wydało aforyzmy Lecha Przeczka „Střípky" oraz Franciszka Hennera „Cichy świadek" i w tłumaczeniu W. Przeczka „Tichý svědek", Lucyny Waszkowej Čtyři období lásky" (przekład Libor Martinek),

wydawnictwo PROprint wydało polsko-czeski tomik poezji Renaty Putzlacher „Małgorzata poszukuje Mistrza - Markéta hledá mistra" (tłumaczenie Vlasta Dvořáčková i Erich Sojka),

Klub Przyjaciół Pięknej Książki w Ostrawie wydał tomik W. Przeczka „Krajina v kouři" (przekład Erich Sojka, Lucyna Waszkowa,Jindřich Zogata, Karel Vůjtek, Lech Przeczek, Vítězslav Juřina),

wydawnictwo OLZA w Cz. Cieszynie zbiór aforyzmów M. Malickiego „Słowa pod wiatr - Slova proti větru" (przekład Libor Martinek i Wilhelm Przeczek),

wydawnictwo IMCG w Ostrawie tomik poezji Bożeny Klímovej „Rozmowa z Bogiem" (przekład Lucyna Waszkowa i Wilhelm Przeczek),

wydawnictwo ZLPC wydało zbiorek Gustawa Sajdoka „Złote myśli, sentencje, aforyzmy i gnomy",

wydawnictwo TVARy w Pradze dwie polskie pozycje - W. Przeczek „Příliš pozdní milenec" (przekład Jindřich Zogata) i W. A. Bergera „Marienbad - Mariánské lázně a jiné povídky" (przekład Erich Sojka),

wydawnictwo ASJUN wydało opowiadania Lecha Przeczka „Strach z modré trávy",

wydawnictwo GL 63 wydało tomik Gabriela Palowskiego, Macierz Ziemi Cieszyńskiej wydała książkę W. Przeczka „Małe nocne modlitwy - wpisane w Beskid".

Nasi literaci zdobywali też nagrody w Polsce. Renata Putzlacher otrzymała Nagrodę im. Marka Jodłowskiego w Brzegu, a Wilhelm Przeczek Nagrodę im. Witolda Hulewicza w Warszawie oraz Nagrodę Specjalną konsula generalnego RP w Ostrawie.

(MK)

BYŁEM NA KSIĘŻYCU

Książka amerykańskiego kosmonauty Irwina rozpoczyna się od dedykacji: *„Poświęcam tę publikację wszystkim tym mieszkańcom Ziemi, którzy nigdy nie znajdą się w Kosmosie, ale także tym, którzy tam dotrą... Kiedy wróciłem z Księżyca, uświadomiłem sobie zobowiązanie wobec wszystkich ludzi na Ziemi. Zostałem szczodrze obdarowany, ale poczułem także, iż jestem dłużnikiem. Czy mogę z Wami podzielić się Bożą miłością?"*

James B. Irwin poleciał w przestrzeń kosmiczną z załogą APOLLO 15 w lipcu 1971. Jak sam stwierdza, był wtedy umiarkowanie wierzącym chrześcijaninem. Teraz uważa, że to Pan Bóg wysłał go na Księżyc. Poprzez swoją książkę „Więcej niż mieszkaniec Ziemi" chce dać świadectwo swoich przeżyć kosmicznych. Irwin uważa, że najważniejsze od pobytu człowieka na Księżycu jest to, że Pan Bóg chodzi po Ziemi. W rozdziale „Jak radzić sobie ze sławą" James B. Irwin pisze: *„Przed Bogiem nie wywyższa cię to, co robisz. On widzi twoją pokorę. Jezus Chrystus powiedział: „A kto się będzie wywyższał, będzie poniżony, a kto się będzie poniżał, będzie wywyższony (Mateusz, 23,12)".* Człowiek nie jest w stanie dostać się wyżej, więc próbuje zrobić z siebie kogoś, mówiąc: „Popatrz, co zrobiłem!" Dla chrześcijanina ważniejsza jest odwrotność: Ukorz się przed Panem, a on cię wywyższy.

W swojej książce Irwin opowiada, że po udanej wyprawie na Księżyc zupełnie zmieniło się jego życie duchowe. Został służebnikiem wszystkich ludzi i w ten sposób to wyraża: *„Panie, oto jest życie moje. Korzystaj ze mnie jako ze służebnika, żebym mógł pomagać sycić zgłodniały świat. Teraz moje życie ma o wiele głębszy sens, niż poprzednio. Opowiadam mieszkańcom Ziemi o zbawieniu przychodzącym poprzez Jezusa Chrystusa".*

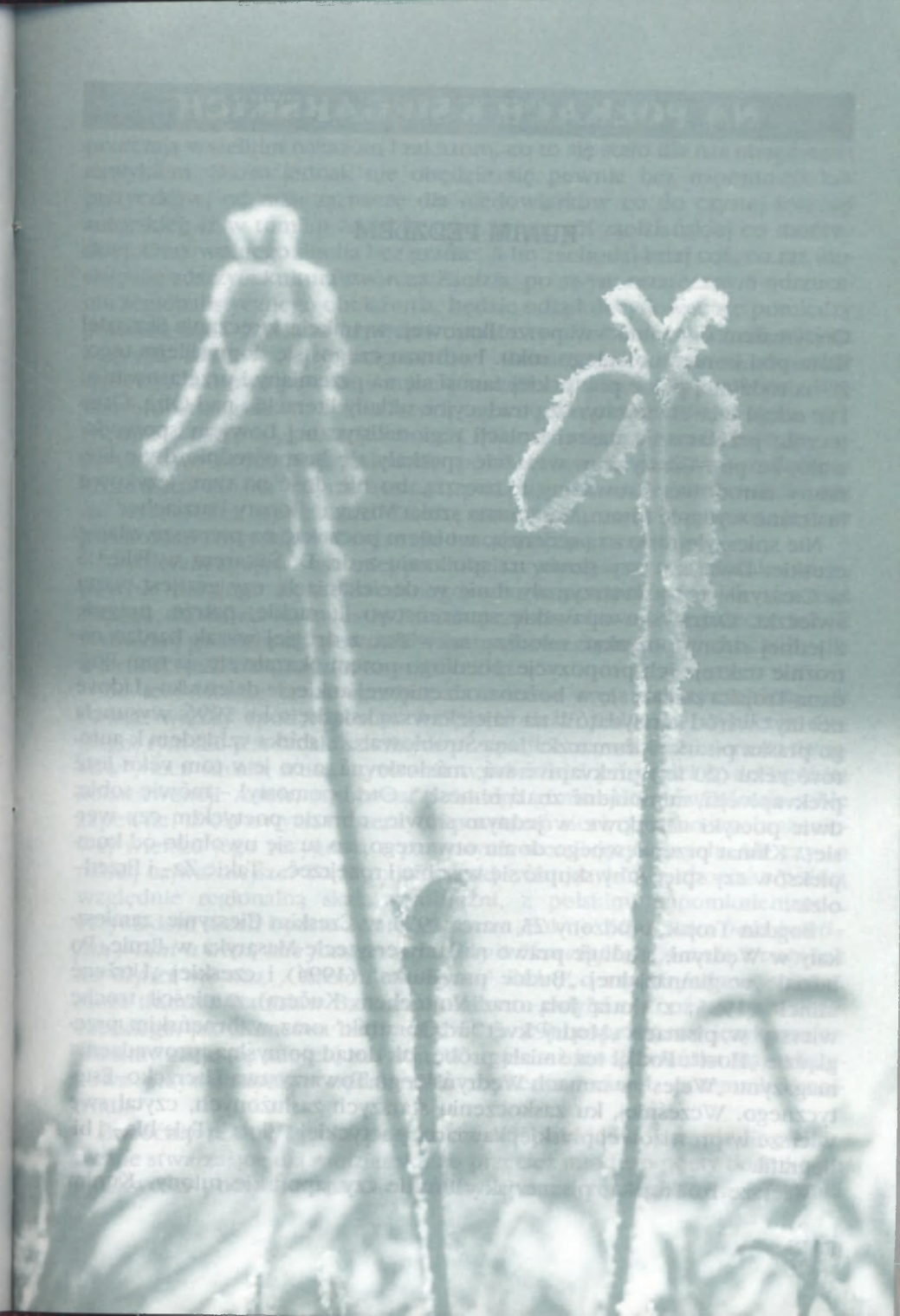
„Niektórzy z nas stanęli na Księżycu i wrócili na Ziemię w głębokiej depresji. Jeden z nas załamał się nawet nerwowo. Księżyc był dla niego najważniejszym celem, nic się z nim nie mogło równać".

Dla siebie i dla innych ludzi J. B. Irwin wyprowadza wniosek: „To, co naprawdę zaspakaja i napełnia, jest poznanie miłości Bożej, życie w jego bliskości, w przyjaźni z nim. Najzupełniej w intencji słów Mateusza (16,26): „Albowiem cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy szkodę poniósł?".

Rzeczywiście warto przeczytać tę frapującą książkę. Przeczytać niekoniecznie przy świetle Księżyca i zastanowić się nad relacjami amerykańskiego kosmonauty.

RENCISTA

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



KUNIM PĘDZLEM

Otrzymałem ów tomik* w porze Ikarowej, w trakcie wręczania Skrzydeł Ikara pod koniec ubiegłego roku. I od razu czegoś się domyśliłem: tego, że na rodzimej półce poetyckiej zanosi się na przemiany i przetasowania. I że odtąd właściwie zawodzą tradycyjne układy literackie nad Olzą. Ostatecznie przełamanie naszej izolacji regionalistycznej bowiem spowodowało, że pod Cieszyniem wreszcie spotkały się bezpośrednio dwie literatury narodowe. Zauważmy tu zresztą, bo nie dość na tym, językowo lustrzane wydanie tomu „Małgorzata szuka Mistrza" Renaty Putzlacher.

Nie spieszyłem się z tą recenzją, wolałem poczekać na pierwsze zdanie czeskie. Dwa czy trzy słowa na spotkaniu z dr. D. Šajtarem w Filii UŚ w Cieszynie też powstrzymały mnie w dociekaniach, czy gra jest warta świeczki. Ostrawsko-opawskie starszeństwo literackie, patrzę, pragnie z jednej strony pozyskać młodsze nazwiska, z drugiej wszak bardzo ostrożnie traktuje ich propozycje. Niedługo potem okazało się, iż tom Bogdana Trojaka znalazł się w bożonarodzeniowej ankiecie dziennika „Lidové noviny" wśród kandydatów na najciekawszą książkę roku 1996; wysunęła go praska pisarka i tłumaczka Jana Štroblowa: „... sbírka vzhledem k autorově věku (20 let) překvapivě svá, máslosłovná, a co je v tom věku jistě překvapivější, mimořádně znalá řemesla". Oto i pomosty! - mówię sobie: dwie poetyki narodowe w jednym słowie, obrazie poetyckim czy wersie... Klimat przewiewnego domu otwartego, co tu się uwolniło od kompleksów czy spięć, aby skupić się w sobie i rozejrzeć... Takie Za- i Przedolzie.

Bogdan Trojak, urodzony 23 marca 1975 w Czeskim Cieszynie, zamieszkały w Wędryni, studiuje prawo na Uniwersytecie Masaryka w Brnie. Po udziale w gimnazjalnej „Budce psa Burka" (1994) i czeskiej „Utržené minci" (1995; z siotrą Jolą oraz Vojtěchem Kučerą) zamieścił trochę wierszy w pismach „Modrý květ" i „Obratník" oraz w brneńskim przeglądzie „Host". Podjął też śmiałą próbę, jak dotąd pomyślną, prowadzenia magazynu „Weles" w ramach Wędryńskiego Towarzystwa Literacko-Estetycznego. Wcześniej, ku zaskoczeniu starszych zasłużonych, czytał swe wiersze w prestiżowej praskiej kawiarni poetyckiej „Viola". Tyle bio- i biliografii.

Wiersze B. Trojaka, pisane jak chińskie czy japońskie rulony „Kunim

pędzlem" względnie kunią łapką pod rozległym niebem, z którego dobrotliwy Bóg-młynarz raz strzepnie o łokieć swą umączoną czapkę, zaprzeczają wszelkim nakazom i zakazom, co to się stało dla nas utrapionym nawykiem. Skoro jednak nie obędzie się pewnie bez napomnień lub prztyczków, od razu zaznaczę dla niedowiarków co do czystej intencji autorskiej, iż w tomiku znajdzie tyleż topografii zaolziańskiej co morawskiej. Oraz wolnego ducha bez granic. A bo zachodzi tutaj coś, co raz musiało się zdarzyć: kultura twórcza Zaolzia, po swym ostatecznym odrzuceniu regionalistycznego obciążenia, będzie odtąd decydować się pomiędzy polskimi bądź czeskimi centrami umysłowymi, w zależności od miejsca i języka studiów jej protagonistów. Otwarta przy tym na dowolne wpływy, zachowa pewnie własne przekonania oraz znaki duchowe. Wyraźnie dostrzegamy to u młodszych, pewne symptomy owego stanu spotykało się także u generacji średniej. Nieruchawe na powrót układy środowiskowe zadowalają zaledwie powinowatych. Podobne zadufanie klanów zaś można jedynie ominąć, podążając za naturalnymi odruchami na terenie bez uprzedzeń. Zresztą nasi Macurowie z innymi, jestem przekonany, dyrygują w Pradze nie inaczej niż po naszemu.

Wybieram spośród ostatniej produkcji wydawniczej ten właśnie tomik, pewnie dla jego konsekwentnego zdania poetyckiego, jak również dlatego, że stawia on kwestię Zaolzia przyszłościowo. Nie przeczę też, iż wybieram go także dla pewnych własnych resentymentów, chociażby dla wierności jeśli nie grudzie, to przeżyciom.

Bo też wiersze te aż skrzypią na wietrze swą autentycznością, jak świeże więźby spod toporów wziętych cieśli. Jedno tu wynika z drugiego, rym nie jest wcale szkolnym przypadkiem „wiązania wersom ogonków", lecz śmiało rzuca wyzwania wyobraźni i prowadzi ją do ogniska konsekwencji. Autor, absolwent polskiego gimnazjum, uświadamia sobie zapewne, iż dla owych misternych powiązań sieci rymowo-wyobrażeniowej wiersze jego rezygnują z parzystych wersji językowych. Ale czy to dzisiaj najważniejsze? To że to już czeski świat językowy, chociaż z polską względnie regionalną skalą wyobraźni, z polskimi napomknieniami... Przykładem niech będzie zwarty, figlarny „Fuk"(s. 30): *„Jsme boží bublifuk / tam u trati, kde fouká / a plaňky trčí sveřepě. // A naše životy jak na čepici mouka, / kterou si mlynář Bůh / o rukáv jednou střepe"*. Może tłumacz Stanisław Barańczak dałby tu rady? Lecz coś tak na wskroś czeskiego, jak „Kancóna na J. J. Rybu" (s. 29), poprzez swe językowe archaizmy zdaje się mieścić tu i tam. W ogóle - owa słowiańska magia językowa przywołanych z oddali ziół: „zemědýn, námel, potemník, konitrud..."

Zwróćmy też uwagę na pewne czesko-polskie skojarzenia lingwinistyczne stwarzające dla zaolziańskiego przecież młodego poety dodatkowe możliwości poetyckie, na ów swoisty awers i rewers słowa. „Zepsutą

duše - dušice" (s. 17): polską bezbarwną kategoryczność znaczeniową sprowadza do czeskiego połajania; „Hladná noc" (s. 23) - czeski przymiotnik, wyraźnie pod wpływem polskim, jawi się tutaj jako neologizm na terenie czeskim; „zrychlené kolotání" (s. 48) to zataczanie, kręcenie, obracanie, na terenie polskim za kołotanie. W sumie niezwykłe poszerzenie i wzbogacenie potencjalnej aury poetyckiej.

Wiersze te wreszcie, własne w sobie i oryginalne, są jak pojedyncze znaki na drodze po kraju, jak zaciosy; razem wzięte sygnalizują one rozległy świat zaskoczeń i odkryć, z dyskretną swą erotyką i prostymi uniesieniami. Zdaje mi się, że gdzieś tutaj pęta się grecki Pan z drużyną, pod pokraczną Kasjopeją orstwi z doryckim klinem... Takie znaki nasuwają wysokie lato słoneczne. Czyżby tu poszło o jakieś pokrewieństwo naszych obopólnych młodości? Moje lata sześćdziesiąte, wybaczcie mi nieskromność, zeszły po odwilży, te dzisiejsze już wyraźniej domagają się zdecydowania co do widoków z tego czy z następnego brzegu. Po to, aby obydwa stanowiły jedno.

Zatem, jak zawsze w takich przypadkach, baśń na wyrost, dorosłe powroty na tereny dzieciństwa. Jasność i wiara z tamtych utytłanych w wędryńskim wapnie roztargionym Bogiem, oraz z podchmielowymi samą uciechą aniołami na wysokościach. Zza Gutów zaś - drewnianych i gotyckich - trzech Flamandów z paletami... Do tego cnota zwięzłości, zaś tuż za nią delikatny pejzaż w tle notowany zdecydowaną a cieniutką kreską. Skąd ona się wzięła taka? Ano, to już kwestia przestrzennego widzenia duchowego, a także zaolziańskiego finezyjnego drżenia powietrza w krajobrazie... Jak w „Ogrodzie pana Kapelnika I" (s. 21): „Wiatr ubrał wdzianko ogrodnika. / Rozkroczył się w koronie gruszy. // Modry, trzepoczący wiatr."

Czy tutaj można także się marszczyć? Jak zawsze zresztą, oczywiście na własny rachunek. Zbytnia przelotność „Bohu-mína" (s. 13), sądzę ze swym „najwyższym piecem serca" nie jest bodaj w stanie wyważyć takiego chociażby „obrazu bez krajobrazu": „z šedého jílu robit džbánky". Bo to różnica klasy. Podobnie jest z nieokreśloną anodą w wierszu „Půlnoc" (s. 40), „anoda rozbita v slze", która styka się na terenie tegoż utworu z podniebną „Psí hvězdou", co to „boudu v tobě si stlouká / a budu věrná..." Niewiele jest tych miałkości, a to by świadczyło o jedności tomu i o jego dojrzałości. No i o dalszych możliwościach jego autora.

WŁADYSŁAW SIKORA

* Bogdan Trojak: „Kunín štětcem", Edice Poesie HOST, svazek 15, Brno 1996, ss. 56. Okładka: Jan Trojak, rysunki: autor.

"SKRZYDLATE SŁOWA"

„Být starý jako Abrahám (neut.) być w podeszłym wieku, liczyć wiele lat, mieć Matuzalemowe lata // stary jak mumia egipska
bibl. ST, Ks Rodzaju 17,17: „Abraham ... pomyślał sobie bowiem: Czyż człowiekowi stuletniemu może się urodzić syn?"
S. být starý jako Metuzalém
ang. be as old as Methusalah / Adam"

W ten sposób przedstawione jest pierwsze hasło w „Czesko-polskim słowniku skrzydlatych słów", którego autorkami są prof. Teresa Zofia Orłoś i mgr Joanna Hornik z Instytutu Filologii Słowiańskiej UJ w Krakowie. Okładka książki zaprojektowana przez Jacka Szczerbińskiego przedstawia lecące ptaki, co koresponduje ze starożytnym rozumieniem wyrażenia „skrzydlate słowa", jako metafora prędkości, z jaką przekazywano informacje z ust do uszu słuchaczy.

Jak czytamy w przedmowie słownika, badacze czescy już na początku XX wieku posługiwali się terminami: „živá slova" (V. Flajšhans, V. Šmilauer), „letná slova" (A. Stašek). Teraz są w użyciu „okřídlené výrazy". Natomiast w Polsce terminu „skrzydlate słowa" użyto po raz pierwszy w 1958 roku jako tytuł dla zbioru cytatów.

„Skrzydlate słowa" bywają rozumiane jako frazesy bądź jako cytaty idiomatyczne. W. Chebda i J. Tarsa ("Pytania o skrzydlate słowa") twierdzą, że są to „cytatopochodne jednostki języka o objętości ograniczonej możliwościami nośnymi pamięci powszechnej". Autorki słownika skłaniają się ku tej definicji, jak również ku tezie H. Markiewicza i A. Romanowskiego zawartej w książce „Skrzydlate słowa", wg której należą do nich aforyzmy, przysłowia, fragmenty wypowiedzi i zwroty frazeologiczne powiązane z historią i polityką. Okazuje się, że najwięcej „skrzydlatych słów" pochodzi z Biblii, antyku i literatury światowej.

Każde „skrzydlate słowo" opisane jest następująco: 1. czeskie „skrzydlate słowo", 2. kwalifikator dotyczący charakteru czeskiego hasła (np. książkowe, kolokwialne), 3. definicja słowa w języku polskim, 4. ekwiwalent polski, 5. pochodzenie, 6. synonim czeski, 7. odpowiednik angielski.

W zdecydowanej większości „skrzydlate słowa" to europeizmy, drugą pod względem ilościowym grupą stanowią czeskie słowa, kilka wyrażeń ma również polski odpowiednik. Bardzo mało jest słów polskiego pochodzenia, które mają swój odpowiednik w języku czeskim.

Pierwszy tego typu słownik powstał z myślą o polskich bohemistach i czeskich polonistach, studentach i tłumaczach, ale ze względu na ekwiwalenty angielskie może również pełnić funkcję słownika frazeologicznego polsko-angielskiego, angielsko-czeskiego i angielsko-polskiego.

Krakowskie wydawnictwo „Universitas", w którym słownik się ukazał proponuje ponadto: T.Z. Orłoś „Tysiąc lat polsko-czeskich związków

językowych", T.Z. Orłoś „Studia bohemistyczne" Tom 1-2, E. Orwińska-Ruziczka „Funkcje językowe interiekcji w świetle materiału słowackiego i polskiego", E. Szczepańska „Uniwerbizacja w języku czeskim i polskim".

Wysokich lotów!

ELŻBIETA BARON

Teresa Zofia Orłoś, Joanna Hornik, Czesko-polski słownik skrzydlatych słów, UNIVERSITAS, Kraków 1996

PAMIĘTNIK LITERACKI

Prezesem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie jest prof. Józef Garliński. Związek ma siedzibę w Londynie. Od wielu lat ZPPO jest wydawcą „Pamiętnika Literackiego". Pod koniec ubiegłego roku pokazał się XXI tom tego ciekawie redagowanego kwartalnika.

W 1992 roku prof. J. Garliński odbył serię wykładów zorganizowanych przez Uniwersytet Śląski - Filię w Cieszynie. Wtedy też prof. Garliński przeszedł przez granicę w Czeskim Cieszynie i spotkał się z polskimi pisarzami na Zaolziu.

Komitet redakcyjny PL w składzie J. Garliński, Nina Taylor, Regina Wasiak i Jan Winaczkiewicz napisał we wstępie do XXI tomu „Pamiętnika Literackiego":

„Po tomach włoskich, po tomie szwedzkim i duńskim dziś oddajemy do rąk Czytelników tom czeski. Przygotował go prof. Edmund Rosner mieszkający w Cieszynie, jest to więc pierwszy tom opracowany przez naukowca z kraju. Jesteśmy mu za to serdecznie zobowiązani. Na tom składają się prace: Andrzeja Babuchowskiego z Katowic „Czeska Polka", Wilhelma Przeczka z Bystrzycy (Czeska Republika), „Czescy tłumacze literatury polskiej", Krystyny Kardyni-Pelikánowej z Kresowej (Czeska Republika) „Polonistyka czeska w latach 1945-1995" i Edmunda Rosnera „Literatura Zaolziańska" (1920-1995).

Tom czeski otwiera wprowadzenie prof. Rosnera „Polska-Czechy". Czytamy tu m.in.: *„Polska kultura od dawna cieszy się w Czechach uznaniem i popularnością. W minionym półwieczu była nierzadko przyjmowana jako przejaw sprzeciwu wobec oficjalnej polityki i totalitarnej ideologii, chociaż wszechwładny reżim czechosłowackiego państwa socjalistycznego w sposób zdecydowany usiłował ukierunkować recepcję dzieł twórców znad Wisły i odnotowywał niewątpliwie sukcesy w tym zakresie...".*

W.P.



foto - grafika FRANCISZEK BAŁON

POPRAWKA Z MITOLOGII

Adwentowa premiera Sceny Polskiej, komedia „Achilles i panny" Artura Maryi Swinarskiego, była zapowiedzią nadchodzącego karnawału. Zaserwowała bowiem widzom porcję beztroskiej zabawy ze śpiewami i tańcami w stylu iście dionizyjskim. Dionizos zresztą zdawał się patronować temu przedsięwzięciu. Temat nawiązujący do mitycznego wątku przedstawiony został w sztuce w sposób znany skądinąd z uroczystości na cześć Dionizosa. I nie jest dziełem przypadku, że uroczystości owe kulminowały w starożytnej Grecji w okresie przesilenia zimowego. Towarzyszące im tańce i śpiewy, muzyka wprowadzały w stan ekstazy, obrzędy, nazwane wtedy orgiami, przebiegały przy niemej akceptacji patrona, pierwotnie czczonego jako bożka płodności. W historii dramatu pierwowzoru sztuki należy szukać w tzw. starej komedii z czasów przedarystofanejskich, której zasadniczymi cechami była groteskowość, wulgarność, ostrość, przesada, a całości obrazu dopełniały muzyka śpiew i tańce. Tu jednak kończy się pozorne naśladownictwo i podobieństwa między antykiem i współczesnością. Bo autorowi „Achillesa i panien" nie cho-dziło ani o nowe, świeże spojrzenie na pewien wątek mitologiczny, ani o nawiązanie do dramatu antycznego.

Artur Marya Swinarski pisał wiersze, słuchowiska radiowe, teksty kabaretowe, uprawiał publicystykę. Był współtwórcą kabaretów, twórcą scenografii, wykonawcą i krytykiem. Znany przed wojną autor tekstów satyrycznych i parodii literackich czuł się jednak przede wszystkim dramatopisarzem. Uważał, że z trzech rodzajów literackich tylko dramat może być prawdziwym dziełem sztuki. Powojenny okres swej twórczości poświęcił pisaniu sztuk teatralnych. Mimo to nie figuruje w podręcznikach literatury wśród najwybitniejszych dramatopisarzy polskich XX wieku. Z 18 napisanych przez niego dramatów wystawiono tylko 7. Niepowodzeniem zakończyły się próby traktowania serio opracowywanych tematów. Światło sceny ujrzały komedie satyryczne, parodystycznie i nie bez złośliwości ujmujące i w sposób zaskakujący przedstawiające postacie mitologiczne i biblijne. Antyczne wątki posłużyły autorowi do zabawy w wymyślanie nowych przygód, nowych motywacji czynów bohaterów mitycznych. Igraszkom merytorycznym towarzyszyła swoboda formy, przemieszanie gatunków.

„Komedia pozornie cyniczna w trzech aktach" „Achilles i panny" powstała w roku 1945. Historycy literatury zwracają uwagę na tę datę i poprzedzający ją czas wojny, który zdeterminował „pozorny cynizm" komedii. Autor przeciwstawił okrucieństwo wojny i śmierci radosnej manifestacji



instynktów, nakazujących dawać początek nowemu życiu. Odys uświadamia Achillesowi, przebywającemu na dworze króla Likomedesa w dziewczęcym przebraniu, że jest mężczyzną i niedługo wyruszy na wojnę. Achilles wykorzysta czas oczekiwania, brzemiennymi zostawiając wszystkich swoich pięć przybranych sióstr.

Tadeusz Pliszkiewicz, reżyser spektaklu „Achilles i panny" w Scenie Polskiej, nie każe widzom zastanawiać się zbytnio nad bezwzględnością losów ludzkich. Żadna myśl serio nie musi mącić radosnej teatralnej zabawy. Reżyser postawił na spektakl z przymrużeniem oka, nie zaprzecza temu żaden element przedstawienia.

Po odsłonięciu kurtyny ukazuje się bajecznie kolorowa dekoracja autorstwa Aleksandra Babraja. Ustawione do półkola praktykable (jak do występu chóru) przykryte zostały płótnem, ozdobione kolorowymi tu i ówdzie rozrzuconymi poduszkami. Dotwarzające tło drzewa o wyraźnie zaokrąglonych kobiecych kształtach podkreślają atmosferę zmysłowości. Podobne są do siebie stroje, w których występują aktorzy. Wszyscy oprócz królowej noszą plisowane suknie nad kolana, co umożliwia podziwianie nóg nie tylko aktorek. Przeważający biały kolor strojów narusza czerwień szat żołnierzy, Odysa i Achillesa, oraz Deidamii, dziewczyny, która pierwsza uwiodła Achillesa.

Ważnym elementem widowiska są śpiewy i tańce. Proste teksty piosenek, napisane przez Renatę Putzlacher, spełniają rolę wyjaśniającą i uzupełniającą. Autorem muzyki jest wszechstronny artysta Bronisław Liberda.

Choreografia Elżbiety Aleksandrowicz pozwala włączyć do widowiska tańce towarzyszące piosenkom. Ruchy taneczne (przypominające chwilami modne do niedawna występy spartakiadowe) z towarzyszeniem łatwej muzyki i figlarnych tekstów utwierdzają widza w przekonaniu, że świetnie się bawi.

Intencje reżysera dobrze zrozumieli aktorzy. Żart sceniczny, dowcip, nie przekraczająca granic dobrego smaku ironia i złośliwość stwarzają dla aktorów zadanie trzymania odgrywanych postaci na dystans, którego przekroczenie stanowiłoby utratę ich wiarygodności. Właśnie nie realistyczne aktorstwo, nie przeżywane, lecz ciągłe uświadamianie widzowi, że aktor nie utożsamia się z postacią sceniczną, a tylko chwilowo ją udaje, decyduje o powodzeniu spektaklu. Na wzmiankę zasługuje Halina Pasekowa jako mądra doświadczona Safona. Paweł Niedoba jako Likomedes, który wcale nie jest taki fajtłapowaty, jak starano się zasugerować widzom. Andrzej Rozmus w podwójnej roli Gammy i Achilessa bardziej przekonuje mnie w pierwszej części przedstawienia. Wierzymy, my widzowie, widząc pięć pań w różnym wieku, że są to siostry nastolatki. Doskonały jest w swoim epizodzie kucharza-erotomana Zbigniew Żwak. Najpoważniej podszedł do swej roli Janusz Laskowski, jego Odys jest bowiem postacią wprowadzającą chaos w spokojny dom Likomedesa.

Wartki tok spektaklu, dowcipne dialogi i piosenki, dobre aktorstwo, barwna oprawa sceniczna to wszystko elementy, które składają się na przedstawienie łatwe i przyjemne, i wróżą widzowi dwie godziny wytchnienia i rozrywki.

CZESŁAWA RUDNIK

CENA UCZUCIA

Arthur Miller to żyjący klasyk. Razem z Eugene O'Neillem i Tennessee Williamsem tworzą trójkę najwybitniejszych przedstawicieli amerykańskiego dramatu realistycznego XX wieku. Twórczość Eugene O'Neilla przypada na pierwszą połowę XX wieku i skłania się bardziej w stronę dramatu ekspresjonistycznego. Najwybitniejsze dzieła Tennessee Williamsa i Arthura Millera powstały po drugiej wojnie światowej. Każdy z tych pisarzy ma w literaturze europejskiej poprzednika, do którego jest porównywany. Twórczość Eugene O'Neilla nawiązuje do tradycji Strindberga, bohaterowie sztuk Tennessee Williamsa mają czechowowski sposób patrzenia na świat, Arthur Miller zaś uważany jest za swoistego kontynuatora Ibsena.

Sztuka realizmu to, w uproszczeniu, sposób odtworzenia na scenie fragmentów autentycznego życia, przedstawienie dialogów takich, jakie spotykamy w codziennej rzeczywistości. Takiego typu realizacji scenicznej wymaga dramat psychologiczny, obyczajowy, społeczny. Miller jest reprezentantem dramatu społecznego z dużym ładunkiem moralizatorstwa. Pisarz nie tylko stara się pokazać zjawiska społeczne, ale próbuje pouczać, dawać gotowe recepty.

„Cena", kameralny dramat rodzinny, powstała w roku 1968 i nie powtórzyła sukcesu, który był udziałem wcześniejszych sztuk Millera, „Śmierci komiwojażera", „Czarownic z Salem" czy „Widoku z mostu". Jej ideę tak ujął autor w swej powieści autobiograficznej „Zakręty czasu": „...jesteśmy skazani na podtrzymywanie iluzji, ponieważ prawda za bardzo w oczy kole."

Polska prapremiera „Ceny", dramatu autora w Polsce popularnego, odbyła się już w roku 1969. Na scenie warszawskiego teatru „Ateneum" wystawił ją ówczesny dyrektor teatru, zmarły niedawno reżyser Janusz Warmiński. Adaptacja telewizyjna umożliwiła obejrzenie przedstawienia przez kilkumilionową publiczność. Do dziś pamiętam Hannę Skarżankę w roli Estery, Krzysztofa Chamca jako Wiktora, Stanisława Zaczyka jako Waltera oraz Jana Świderskiego w roli Solomona. Wspaniała obsada (jako nastolatka kochałam się wtedy w Chamcu, Zaczyku...) sprawiła, że spektakl pozostał trwale w mej pamięci. Dzięki wspaniałej roli Jana Świderskiego, który z Solomona zrobił postać pierwszoplanową i najważniejszą, tytuł sztuki i przedstawienia Warmińskiego został wpisany między wybitne osiągnięcia współczesnego teatru polskiego.

Z tym większą ciekawością usiadłam na widowni Teatru Cieszyńskiego, by obejrzeć premierowe przedstawienie Sceny Polskiej, wyreżyserowaną przez goszczącego ostatnio często w Czeskim Cieszynie Stanisława Nosowicza, sztukę Arthura Millera „Cena". Dramat dwóch braci, policjanta i lekarza, spotykających się po szesnastu latach wśród starych mebli ojca, wlokących ze sobą bagaż wzajemnych urazów i uprzedzeń, uniemożliwiających przebaczenie i porozumienie, jest kolejną propozycją teatru kameralnego, skupionego, wymagającego od widza większej koncentracji, od aktora umiejętności zainteresowania problemami swego bahatera. W stałej dekoracji (reżyser Stanisław Nosowicz jest również autorem scenografii) zagraconego pokoju, gdzie stare meble wywołują wspomnienia, z niewielką ilością rekwizytów i przy krótkiej melodii pozytywki (muzykę napisał Janusz Butrym), cały ciężar przedstawienia spoczywa na barkach czterech aktorów.

Nie mogę w tym miejscu nie wspomnieć przedstawienia ubiegłego sezonu, kiedy w Scenie Polskiej grano „Wdowy" Ákosa Kertésza. Być może ciepłe ich przyjęcie spowodowało, że znowu sięgnięto po sztukę mało-

obsadową. Podobieństwa między „Wdowami" i „Ceną" nie kończą się na ilości postaci sztuk, w tematyce też można by doszukać się analogii. Warstwa psychologiczna, konkretnie niemożność porozumienia, brak przyjaznych uczuć wśród najbliższych, jest taka sama w każdej długości geograficznej, niezależnie od warunków zewnętrznych, w jakich przyszło żyć bohaterom. We „Wdowach" nie miałam wielkich zastrzeżeń do odtwórczyń poszczególnych ról. Inaczej rzecz ma się z „Ceną".

W przedstawieniu premierowym powiało nudą. Wiktor Zbigniewa Cieślara, postać w sztuce pierwszoplanowa, prawie nie opuszcza sceny. Jego gra w stopniu największym decyduje o rytmie spektaklu, jego momentach kulminacyjnych. Aktorowi nie do końca udało się ponieść ciężar prowadzenia spektaklu. Psychiczny balast przeżyć postaci, a według mnie również brzemię zadania aktorskiego, unaoczniają przygarbione plecy aktora. Ma on w tym spektaklu momenty dobre, niezręcznie jednak wychodzą mu sceny, kiedy gra milczeniem. Powstają wtedy dłużyzny, widz zaczyna się nudzić i przestaje wierzyć w autentyczność przeżyć bohatera. Nie zachwycił mnie również Władysław Byrdy w roli Waltera. Jego postać wnosi do akcji sporo zamieszania, aktor jednak rzadko zdobywał się na coś więcej niż poprawne wymawianie tekstu. Rolę Estery, żony Wiktora, gra Lidia Chrzanówna. Jest ozdobą spektaklu, sama jej osoba nie ma poważniejszego wpływu na tok zdarzeń. Warto odnotować fakt, że aktorka jest dobrze słyszana i rozumiana również w scenach, kiedy stoi odwrócona tyłem do widowni. Ciekawy to sposób kontaktu plecami do widza, bynajmniej nie obraźliwy w stosunku do publiczności, najwyżej podkreślający w spektaklu niewidzialną czwartą ścianę, a w wykonaniu aktorki pokazujący ze wszystkich stron jej zgrabną sylwetkę w pięknej sukience. Żydowskiego handlarza meblami Solomona, postać ze wszech miar charakterystyczną, gra Kazimierz Siedlaczek. Mogłaby to być wielka kreacja, znacząca w bogatym dorobku aktora, gdyby zdobył się on na więcej konsekwencji. W pierwszej scenie wchodzi jako zgrzybiały starzec, ma przecież 89 lat, z trudem siada w fotelu, by po chwili zerwać się jak młodzieniec. Niekiedy przemawia śpiewnie jak rodzony Żyd, lecz niestety tylko niekiedy. Mimo tych niedociągnięć z żywej reakcji widowni wynika, że akceptuje ona postać, którą gra Kazimierz Siedlaczek. Solomon jest przecież osobą, w której usta wkłada autor cały swój dydaktyzm i mądrość życiową.

„Cena" jest spektaklem, który może zdobyć sympatię widza, jeśli wyeliminuje się pewne dłużyzny, zdynamizuje całość. A po przedstawieniu premierowym jest to na pewno jeszcze możliwe.

CZESŁAWA RUDNIK

70 LAT ZORGANIZOWANEGO ŚPIEWACTWA POLSKIEGO NA ZAOLZIU

Rok 1997 jest dla polskiego śpiewactwa na Zaolziu rokiem jubileuszowym, obchodzi bowiem ono 70-lecie swej zorganizowanej działalności chóralnej: w roku 1927 powstał Związek Polskich Chórów w Czechosłowacji. W związku z tą znamienną dla polskiego śpiewactwa zaolziańskiego rocznicą publikować będziemy w roku bieżącym na łamach naszego pisma cykl artykułów poświęcony historii życia śpiewaczo-muzycznego na Zaolziu.

POCZĄTKI ŻYCIA ŚPIEWACZEGO I MUZYCZNEGO NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (OD WIOSNY LUDÓW DO 1920)

Charakterystyczną cechą mieszkańców Śląska Cieszyńskiego jest umiłowanie pieśni i muzyki. Życie muzyczne, zwłaszcza zaś śpiew chóralny, odegrał w życiu ludu śląskiego rolę istotną, głównie jeśli chodzi o kształtowanie jego tożsamości narodowej, postaw społecznych i patriotycznych.

1. RUCH ŚPIEWACZY NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM

Najbardziej dominującą i powszechną formą życia muzycznego społeczeństwa nadolziańskiego regionu to pieśń. Społeczeństwo Śląska Cieszyńskiego zawsze kochało śpiew.

„Pieśń towarzyszyła każdemu człowiekowi od jego urodzenia do śmierci, wychodziła z potrzeby wewnętrznego wyrównania w chwilach radosnych i smutnych. Śpiewano podczas nabożeństw, w czasie wszystkich obrzędów rodzinnych i przy pracy. Był to śpiew żywiołowy, nieorganizowany, posiadał jednak olbrzymie znaczenie uświadamiające, wzmacniał charaktery, uszlachetniał dusze. W jednej wielkiej izbie niejednokrotnie żyły ze sobą cztery generacje, pieśń przechodziła automatycznie od najstarszych do najmłodszych, spełniała rolę mocnej więzi rodzinnej, w pewnych okolicznościach nabierała nawet

znaczenie rytuału. Obok pieśni nabożnej była to przede wszystkim pieśń ludowa, zbiorowa dusza ludu polskiego, która dała podwaliny do rozwoju narodowej muzyki i poezji"[1]. Był to śpiew niewyuczony, prosto z serca płynący.

W XIX stuleciu, w latach nędzy i głodu, klęsk żywiołowych i nieurodzaju, była pieśń i muzykowanie dla prostego ludu cieszyńskiego podporą duchową. Oddziaływanie pieśni zbiorowej, masowej, miało w trudnych sytuacjach życiowych niejednokrotnie moc czarodziejską, skoro potrafiło na ustach ludu wywołać uśmiech. Jakże wymownie oddają to słowa wydrukowane na łamach „Tygodnika Cieszyńskiego". *„...Wszak wesołość jest zalecającym przymiotem naszego ludu i on jest wżdy rad wesołym, i dlatego też tak rad sobie śpiewa. Czy jest w smutku, czy w uciesze rad sobie zanuci, a tę wesołość sobie przygania. Rad sobie zaśpiewa żartowną pieśń albo jeszcze raczej nabożną a wtem właśnie ani nic nie wie o swoich uciążliwościach..."*[2]. Pieśni tworzone przez lud i tematycznie z nim związane odziaływały na moralną postawę ludu wsi cieszyńskiego w trudnych dla niego chwilach. W okresie Wiosny Ludów rolę bardzo ważną spełniały pieśni patriotyczne, bowiem zawierały w swej treści hasła wolnościowe i narodowościowe. Spełniały one znaczącą rolę. O tym, jak wielkie było na nie zapotrzebowanie, świadczy fakt, iż były one regularnie rozpowszechniane w każdym numerze „Tygodnika Cieszyńskiego". Pierwsza z nich, o mocnej treści patriotycznej, zatytułowana „Hej, Słowianie", wykonywana była m.in. przez studentów zabranych do wojska austriackiego przez felmarszałka A. Windischgratza (w roku 1748 stłumił on powstanie w Pradze i rewolucję w Wiedniu)[3]. W miesiąc później to samo czasopismo umieszcza tekst patriotycznej pieśni Franciszka Škroupa do słów Józefa Kajetana Tyla pt. „Kde domov můj" w spolszczonej wersji Jana Winklera pod nazwą „Pieśń Śląska", która opiewa piękno kraju rodzinnego, a kończy się słowami: Tam Słowianie śląskie plemię, w kraju śląskim jest mój dom[4]. Na łamach tegoż tygodnika pojawiła się w październiku nowa wersja tekstu - nieznanego autora - hymnu polskiego „Jeszcze Polska nie zginęła" pod nazwą „Polska" z ciekawym dopiskiem redakcji: *„... Dlatego nadaliśmy ninie tę pieśń, która jest pocieszeniem Polaka w bojach o wolność, która mu nadawa śmiałość w walce, a która jest jego najpiękniejszą pieśnią w całej Europie..."*[5]

Początki polskiego śpiewu chóralnego są nierozerwalnie związane z procesem budzenia świadomości narodowej na Śląsku Cieszyńskim w okresie Wiosny Ludów. Praprzodkiem towarzystw śpiewaczych na Śląsku Cieszyńskim była założona z inicjatywy Pawła Stalmacha w roku 1848 „Czytelnia Polska". W Czytelni na tzw. „zabawach" zaowocowało powszechne zainteresowanie pieśnią polską i śpiewem zbiorowym. Śpiewane tu piosenki polskie i słowackie tym więcej się podobały, iż towarzyszył im kwartet smyczkowy. Wymienione zabawy przyciągały najwięcej ludzi, co zawdzięczano głównie wspólnie śpiewanym pieśniom[6]. Drugim chwalebnym staraniem Czytelni - jak pisze jej założyciel Stalmach w swoim pamiętniku[7] - było upowszechnianie pieśni narodowych.

„Śpiew nie tylko rozwesela umysł, ale też podtrzymuje ducha narodowego. Gdy naród czeski w poprzednich stuleciach czuł się poniżony przez smutne położenie, jedynie piosenki ludowe kupami rozpowszechnione na targach i śpiewane w chatach jakby utajone służyły do następnego jego ożycia. To uznawał także wydział Czytelni Polskiej, gdyż już w niej troszczył się o śpiew narodowy, a jak dalej w tej mierze postąpił nie od rzeczy będzie wspomnieć. Jednym z pierwszych wieśniaków, który się do narodowego stronnictwa głosił, był Jan Harwot z Mistrzowic, ukończony gimnazjalista, osiadły na gruncie ojcowskim, pojmujący przeto ducha czasu. (...) W lecie 1848 roku byłem na weselu u Harwota mistrzowskiego, wydawał córkę za mąż. Pod wieczór miała być zabawa w karczmie, muzyka jakimś przypadkiem nie przyszła i towarzystwo chmurzyło się, zachęcam do śpiewu i zacząłem pieśni narodowe. Towarzystwo całe rozweseliwszy się brało udział w śpiewie i bawiło się do nocy, gdy niektórzy zaraz odpisywali te piosenki i powtarzali.

Tam był początek upowszechniania śpiewek narodowych. Przedstawiłem tę rzecz wydziałowi i przedłożyłem zbiór stosowanych pieśni i piosenek, a wydział najchętniej uchwalił także dnia 18 marca 1849 r. wydanie takowych drukiem na koszt i korzyść „Czytelni Polskiej" pod nazwą „Zbiór pieśni słowiańskich", który wyszedł niebawem w tymże roku. Zawierał zaś rzeczowy „Zbiór pieśni słowiańskich", oprócz pieśni polskich, także niektóre czeskie, słowackie, chorwackie i ruskie. Dodać jednak winienem, że nie zebrałem tych pieśni z pierwowzorów, czyli wprost z pism autorów, których nie mogłem posiadać, lecz jak



Chór Męski – Błędowice Dolne 2. 8. 1929

krążyły między studentami słowiańskimi, z którymi jedynie podczas nauki miałem styczność, przeto do uniewinnienia są zdarzające się w nich mylki. Mimo tego wywarły one dobry skutek...“

Omawiany zbiorek „Pieśni słowiańskich“ obejmował: 20 pieśni polskich (m.in. „O gwiazdeczko coś błyszczała“, „Tam na błoniu błyszczy kwiecie“, „Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę“, „Pomoc dajcie mi rodacy“, „Jestem Słowian śląski“), 5 czeskich, 4 słowackie, 3 chorwackie i 2 ruskie. Wśród pieśni czeskich była „Kde domov můj“, wśród słowackich zaś „Nad Tatrami se blýska“. Śpiewniczek otwierała wspomniania już pieśń słowiańska „Hej, Słowianie, jeszcze nasza słowiańska rzecz żyje“ w przekładzie polskim Pawła Stalmacha. Kontynuatorka „Czytelni Polskiej“ - „Czytelnia Ludowa“ (1861), dalej usiłowała śpiew polski spopularyzować przez przedstawienia amatoskie, na których wykonywano przeważnie sztuki ze śpiewem i muzyką. Te przedstawienia były na Śląsku Cieszyńskim przez długie lata jedynymi imprezami, podczas których rozbrzmiewał publicznie śpiew polski. Niektóre śpiewki wodewilowe bardzo się wśród ludu spopularyzowały, tak iż znalazły się nawet w zbiorach niektórych bezkrytycznych zbieraczy pieśni ludowych[8].

c.d.n.

JÓZEF WIERZGOŃ

PRZYPISY

1. Władysław Młynek: Śpiewactwo w jabłonkowskiem, ZWROT 1993 nr 3, s. 25.
2. Jan Fójcik: Materiały do dziejów ruchu śpiewaczego na Śląsku, 1961, s. 190.
3. Tygodnik Cieszyński (dalej TC) 1848 nr 15, s. 120.
4. TC 1848 nr 17, s. 128.
5. TC 1848 nr 25, s. 193.
6. Jerzy Hadyna: Początki śpiewu chóralnego na Śląsku Cieszyńskim, w: Księga pamiątkowa: Pięćdziesiąt lat Towarzystwa śpiewaczego „Harmonia“ w Czeskim Cieszynie, 1958, s. 6.
7. Paweł Stalmach: „Paweł Stalmach, jego życie i działalność w świetle prawdy“ 1910, s. 252–254.
8. Karol Berger: „O tych, co pierwsi zaczęli przeorywać glebę...“, Ogniwo 1937 nr 13, s. 230.

75–LECIE ŚPIEWACTWA W MARKLOWICACH

W niedzielę 24 listopada 1996 odbyła się impreza jubileuszowa z okazji 75-lecia śpiewactwa polskiego w Marklowicach Dolnych. Salę Domu Hotelowego w Marklowicach wypełniło około 300-osobowe grono miłośników śpiewactwa. Z gości oficjalnych przybyli inż. Jerzy Czap, prezes ZG PZKO, doc. Brunon Rygiel, prezes Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego. Obecni byli również przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, Rady Obwodowej PZKO, sąsiednich Kół PZKO, delegacje chórów i polskich szkół.

Historię śpiewactwa w Marklowicach przedstawił inż. Jan Rygiel. Pod-

kreślił zasługi organizatorów pierwszego chóru w 1921 roku, jak również obecnego chóru PZKO Piotrowice-Marklowice, który zaczął działać w 1971 roku, kontynuatora bogatego dorobku śpiewaczego.

W pierwszej części koncertu zaprezentował się 24-osobowy chór-jubilat pod kierownictwem inż. Jadwigi Karolczyk. Występ chóru był przeplatany koncertem solistów, na skrzypce w wykonaniu Heleny Śliwkówny oraz na fortepian w wykonaniu sióstr Haliny i Barbary Rygiel. Konferansjerkę prowadziła Bohdana Schwarz. Po występie wręczono zasłużonym chórzystom odznaczenia Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego.

W drugiej części wieczoru zaprezentował się chór żeński „Kalina" z Frysztatu, pod kierownictwem Otokara Winklera.

T.T.

DARKOWSKA "LIRA" Z NOWĄ DYRYGENTKĄ

W odnowionym (za 7 milionów koron) Domu Towarzyskim darkowskiego uzdrowiska odbył się w styczniu b.r. koncert noworoczny, którego wykonawcą był ceniony z dobrego poziomu artystycznego chór mieszany „Lira" MK PZKO w Darkowie.

Chór zaśpiewał najpierw wiązankę kolęd polskich i czeskich, potem kilka pieśni ludowych, na zakończenie zaś zabrzmiały melodie muzyki popularnej i operetkowej. Jako soliści przedstawili się Józef Górecki, Franciszek Bury i Krystyna Burek (piękny liryczny sopran). Konferansjerkę w języku czeskim prowadziła dr Janina Mrózek.

„Lira" zaprezentowała się pod batutą swej nowej, młodej 26-letniej dyrygentki z Zebrzydowic, Beaty Pilśniak, która od września ub. roku przejęła pałeczkę dyrygencką od prof. Alojzego Kopoczka. Pani Beata jest absolwentką Akademii Muzycznej w Katowicach i wykładowcą w Filii Uniwersytetu Śląskiego oraz w Państwowej Szkoły Muzycznej w Cieszynie. Przyznać trzeba, iż młoda dyrygentka radzi sobie z chórem bardzo dobrze. „Lira" śpiewa kulturalnie, emisyjnie i dynamicznie poprawnie. Podziwiać należy szybkość, z jaką nowa dyrygentka opanowała repertuar po swoim poprzedniku (wszystkie utwory dyrygowała z pamięci).

J.W.

NOWOROCZNY KONCERT W STONAWIE

W ostatnią ubiegłoroczną niedzielę już tradycyjnie samorząd gminny wraz z parafią stonawską zorganizowali „Koncert Noworoczny". Wszyscy dotychczasowi wykonawcy koncertów (m.in. darkowska „Lira" i karwińska „Przyjaźń"), które odbywają się w kościele pw. św. Marii Magdaleny w Stonawie dwa razy w roku z okazji odpustu i Nowego Roku.

Wykonawcą „Koncertu Noworocznego" był tym razem znany i ceniony na naszym terenie (i nie tylko) Polski Zespół Śpiewaczy „Hutnik" z dy-

rygentem i kierownikiem artystycznym Cezarym Drzewieckim oraz Trzyniecka Orkiestra Kameralna z kierownikiem artystycznym Aleną Kostkową. Na organach elektronicznych akompaniowały też Beata Drzewiecka i Janina Cienciała. Z poszczególnymi pozycjami programu zaznajamiała bliżej słuchaczy Danuta Cymerys.

„Hutnik" zaprezentował w Stonawie różnorodny i ambitny repertuar w dramatycznie przemyślanej gradacji. Koncert rozpoczęto czterema utworami sakralnymi M. Gomółki (Psalm 77), A. Brucknera (Locus iste) oraz trudną i efektowną kompozycję A. Tučapskiego (Motet 1-Tristis est anima mea) i R. Thompsona (Alleluja). Świecką literaturę chóralną reprezentowali R. Twardowski, T. Szeligowski oraz P. Fiala. W opracowaniu partię solową wykonał przekonywująco Władysław Czepiec, zbierając długotrwałe oklaski. A potem atmosferę jeszcze bożonarodzeniową przypomniało słuchaczom pięć kolęd polskich w opracowaniu A. Niewiadomskiego.

Po utworze A. Vivaldiego (Concerto III „Il Cardellino") w wykonaniu Trzynieckiej Orkiestry Kameralnej i Aleny Kostkowej (solowy flet) „Hutnik" wykonał jeszcze pięć utworów sakralnych z towarzyszeniem orkiestry kameralnej i organów (J.S. Bach: Chorał 52 i 56, G. G. Gorczycki: Lactatus sum, W.A. Mozatr: Ave verum corpus, J. Haydn: Missa brevis Sancti Joanic de Deo B-dur).

Od strony artystycznej koncert stał na wysokim poziomie wykonawstwa i należał do udanych. „Hutnik" potwierdził w Stonawie swoją przodującą rolę, jaką odgrywa w śpiewactwie zaolziańskim. Żałować mogą ci wszyscy, którzy z powodu tęgiego mrozu zrezygnowali z udziału w pięknym koncercie.

JÓZEF WIERZGOŃ

KONCERT ŚWIĄTECZNY

Ponad 600 słuchaczy przybyło w sobotę 14 grudnia 1996 roku do karwińskiego Domu Kultury na „Koncert Świąteczny" zorganizowany przez Zespół Śpiewaczo-Muzyczny „Przyjaźń".

W pierwszej części gościnnie koncertował chór mieszany „Przełęcz" z Mostów koło Jabłonkowa pod kierownictwem p. Haliny Niedoby. Zespół zaprezentował m.in. utwory chóralne J. Świdra, I. Paderewskiego, A. Dvořaka. St. Wiechowicza, a także kolędy, które niedawno nagrał i wydał na kasecie magnetofonowej. Program „Przełęczy" urozmaicili soliści Elwira Zwyrtek (sopran) i Władysław Czepiec (tenor). Druga połowa koncertu należała do karwińskiej „Przyjaźni" (dyrygent i kierownik arstystyczny Józef Wierzgoń). Duże brawa zebrał chór i solista Władysław Czepiec za wykonanie pieśni W. A. Mozarta, Ch. Gounoda, F. Lehara i J. Straussa. Warto dodać, iż Władysław Czepiec, którego piękny tenor wszyscy podziwiają, współpracuje z „Przyjaźnią" od trzech lat.

Długie i gorące brawa zabrzmiały po wykonanaiu przez „Przyjaźń" pieśni „Góralu, czy ci nie żal" w opracowaniu chóralnym i instrumental-

nym śląskiego kompozytora Jana Gawlasa, którego szczególną dziedziną zainteresowań był śląski folklor muzyczny. Miłym i sympatycznym urozmaiceniem koncertu były występy dziewczęcych zespołów wokalnych „Wiolinek", który działa przy frysztackiej Polskiej Szkole Podstawowej oraz zespołu „Schola", który rozwija pomyślnie swoją działalność przy frysztackim rzymskokatolickim kościele. Oba zespoły prowadzi z powodzeniem nauczycielka, pani Ewa Blanik.

Był też dziewczęcy tercet wokalny z chwytliwą pieśnią o wymownym tytule „Jesteśmy dziećmi świata". Zespół tworzą uczennice PSP w Karwinie-Nowym Mieście, Alicja Herman i Helenka Lugsch, laureatki różnych festiwali dziecięcych oraz Sylwia Herman, uczennica karwińskiego Technikum Przemysłowego.

W kolędach, które zabrzmiały pod koniec koncertu, a które wytworzyły nastrój iście bożonarodzeniowy, popisywały się swoimi pięknymi głosami (na tle chóru) wspomniana już Sylwia Herman, która od 6 klasy szkoły podstawowej śpiewa z rodzicami i babcią w „Przyjaźni" oraz studentki karwińskiego gimnazjum, Basia Potoczek i Miriam Bangoura. Wzruszyła swoją recytacją po brzegi wypełnioną salą młodziutka Weronika Ondruch, laureatka tegorocznego konkursu recytacyjnego PZKO.

Koncert bożonarodzeniowy - zdaniem licznych uczestników - należał do bardzo udanych i jak się wyraził jeden z jego słuchaczy „... mocno pokrzepił serce i ducha".

-on-

KONCERT "MELODII" NA ZAMKU PIASTÓW ŚLĄSKICH W BRZEGU

W sali Koncertowej zamku podniosły akt Święta Niepodległości. Padają proste, przejmujące do głębi słowa...

Padają nazwiska odznaczonych.

Podchodzą wolno, krokiem krzyża wojny, walki o przetrwanie zagrożonego życia, domu, kraju i powojennego już życia. Podchodzą przygięci, podpierają się laskami i chwilą uśmiechu dobrej pogody ducha z siwym, posrebrzanym włosem - losem...!

Odbierają krzyże, medale, dziękują za kwiaty, ciepły uścisk dłoni, za dobre serca słowo... i odchodzą ze swoim wewnętrznym, niewypowiedzianym, jakże innym światem od tego, który na co dzień oglądamy...

Kombatanci, towarzyszysze broni, przyjaźni na dobrą i nieprzyjazną pogodę ducha, meandrów codziennej rzeczywistości. Kombatanci!...

Uhonorowano ponad siedemdziesięciu – Krzyżem Armii Krajowej, Medalem za rok 1939, odznaczeniami za udział w II wojnie światowej oraz Medalem Matki Sybiraczki i Sybiraka.

Aktu dostojnego obrzędu w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej dokonała pani Maria Jarecka, przedstawicielka Administracji Państwowej w Brzegu.

W części artystycznej wystąpił chór żeński PZKO „Melodia" z Nawsia.

Wchodzi na salę.

Milkną powitalne oklaski, cisza, zasłuchanie... Brzmi, ba niesie się osobliwa muzyka pieśni beskidzkich lasów, dolin, gór, serc... czysta uroda melodii...

Koncert (z repertuarem pieśni artystycznej polskiej, czeskiej, słowackiej i rodzimej, słowem wiążącym Haliny Przeczek oraz poezją Pyszki) prowadzi chórmistrzyni Aleksandra Paszek-Trefon, pracownik naukowy filii UŚ w Cieszynie. Solistką „Melodii" o dramatycznie brzmiącym głosie jest Bronisława Nowak.

W aurze wigilii Święta Niepodległości dobiega końca koncert „Melodii". W zapamiętaniu milkną oklaski podziękowania, wychodzi licznie zebrana publiczność, gasną światła, zamek pogrąża się w niedzielny mrok wieczoru nad Odrą, „Melodia" autokarem Bohdana Ćmiela podąża do domu, który nad Olzą...

Brzeg (1248) – najbardziej piastowskie miasto (w pół drogi między Opolem i Wrocławiem) z do dziś zachowaną urodą średniowiecznej architektury śląskiej w Polsce. Perłą tejże jest Zamek Piastów zwany „Śląskim Wawelem" z jedyną w Polsce galerią linii królewskiej Piastów z legendarnym Popielem. W przylegającym kościele Św. Jadwigi spoczywają pozostałości 43 przedstawicieli rodu.

Brzeg liczy około 40 tysięcy obywateli. Podczas ostatniej wojny był miejscem kaźni wielu narodowości, głównie Czechów i Słowaków. W okolicznych wioskach pracowali (u Bauerów) wywiezieni przez Niemców Polacy z Jabłonkowskiego, których dzieci tam się urodziły (m.in. Hania Nagy z domu Wacławek z Mostów koło Jabłonkowa).

Paweł Kozerski, dyr. Muzeum PŚ (budynek zamku), wielki przyjaciel Zaolzia i Zaolziaków, człowiek, który na co dzień przywraca dawną świetność (w XVI wieku drugi Paryż) zamku i miasta, mówi: *90% obywateli Ziemi Brzeskiej to repatrianci dawnych wschodnich miejsc ziem Rzeczypospolitej. Nie ma rodziny, w której nie byłoby ofiar II wojny światowej, zarówno ze strony Niemiec jak i Sowietów... Dopiero po zmianie ustroju (1989), z okazji świąt narodowych (3 Maja, 11 listopada – Święto Niepodległości Polski, są widziani i uhonorowani ludzie ruchu oporu, września, Syberii...*

Tak – powie Janusz Wójcik, poeta, dyrektor Brzeskiego Centrum Kultury – *często bywam na Zaolziu, mam tam wielu przyjaciół,*

działaczy kultury. Moje korzenie sięgają za Bug. Urodziłem się już na Śląsku (Wrocław), a Zaolzie – to też Śląsk...

A w Brzegu – do stałych imprez kulturalnych należą Śląski Festiwal Muzyczny „Porozumienie", Wieczory Lisztowskie – comiesięczne recitale artystów krajowych i zagranicznych; Vratislavia Cantas – wrzesień; Najazd Poetów na Zamek. Pamiętne są imprezy towarzyszące – Misterium Chleba, lekcje poetyckie w szkołach, Słowo Poezji w Kamieniu Śląskim i in. Najazd wybił się na imprezę międzynarodową; gości poetów z Litwy, Białorusi, Ukrainy, Czech, Słowacji, Niemiec, USA, Iraku (A. Szyper, Hatif Janabi), z kraju i sporą grupkę poetów z Zaolzia. Akcentem Najazdu jest przyznanie Nagrody Literackiej im. Marka Jodłowskiego. W tym roku nagrodzono Renatę Putzlacher z Zaolzia.

Wysoko sobie cenimy zaolziańskich ludzi pióra, działaczy i w ogóle owoców pracy na rzecz kultury polskiej. „Melodię" zaprosiłem na święto Polaków szczególnie bliskie i drogie – Święto Niepodległości. Zaprosiłem też prezesa jabłonkowskiego koła PZKO pana Janusza Rylkę z małżonką na koncert i na doroczny Bal do Gogolina (dochód przeznaczono dla dzieci upośledzonych).

Cieszę się, że „Melodia" zaproszenie przyjęła i zaprezentowała wysoką kulturę muzyki śpiewanej. Dziękuję.

Pani Aleksandra – *parę miesięcy temu na próbę chóru przybył pan Janusz z Jankiem Pyszką – przyjęliśmy zaproszenia, za które w imieniu chóru serdecznie dziękujemy. Program mieliśmy bardzo bogaty i organizacyjnie bez potknięć. Z panem Januszem zwiedziliśmy zamek, starówkę, byliśmy na „Panoramie racławickiej" i w Muzeum Narodowym we Wrocławiu. Bogactwo wrażeń wielkie, dla mnie tym bardziej cenne, iż będę mogła ponownie koncertować na Zamku z drugim zespołem – chórem Instytutu Pedagogiki Muzycznej Filii UŚ w Cieszynie, a to dzięki uprzejmości i przychylnej zgodzie pana Kozerskiego. To cieszy, bardzo i – bardzo dziękuję.*

Pani Aleksandro, może na zakończenie parę słów o tym chórze i „Melodii" – *Z Pogwizdowa, gdzie mieszkam do Nawsia jest w miarę daleko, a po drodze jeszcze granica. Ale czegóż się nie robi dla kogoś lub czegoś, co się lubi. A ja kocham swoją pracę i lubię panie z „Melodii", które śpiewają...! A jeśli chodzi o chór akademicki – uczestniczył w międzynarodowym konkursie chórów „X Pražské dny sborového zpěvu" (1–2.11.1996). Spośród 30 chórów z 9 krajów Europy i Ameryki chór został nagrodzony 3-krotnie: Złotym Pasmem, Złotym Pucharem za zwycięstwo w swojej kategorii chórów mieszanych oraz Nagrodą Regulaminową za najlepszą interpretację utworu obowiązkowego. „Melodia" – na zaproszenie Polskiego Związku Chórów i Orkiestr uczestniczyła (z 15 innymi chórami) w Święcie Pieśni – Oświęcim (13.10.1996) i z zespołem Gorol: 9–10 listopada w Brzegu.*

JAN PYSZKO

MARTIN LECIÁN – PRAWDA I LEGENDA

Kim był Martin Lecian? Pojawił się kilka lat po powstaniu Czechosłowacji? W tych czasach o Lecianie pisano i mówiono wiele. Słowo to stało się synonimem nieuchwytnego, niedobrego, problemowego osobnika, łajdaka, synonimem negatywnych cech osoby. Mówiono wtedy o kimś „niegrzecznym, złym" *„...tyś je Lecyjan"*. Opowiadano o nim różne opowieści, śpiewano piosenki...

Ale kim był Lecian naprawdę i co o nim dziś wiemy? Chyba tylko to, że kradł, grabił, mordował i był nieuchwytny. I tyle?!

Martin Lecian pochodził z niepełnej i problematycznej rodziny. Matka była robotnicą. Troszcząc się o sześcioro dzieci, z powodu braku czasu nie była w stanie zapewnić im należytego wychowania. Martin urodził się 31 października 1900 roku w Předměstí, w powiecie Uherský Ostroh. Od lat dziecinnych był trudnym dzieckiem. Martin chodził do szkoły w Uherskim Ostrohu, skąd z roku 1912 znany jest pierwszy jego konflikt z nauczycielem. Pěnkava, bo tak nazywał się ów nauczyciel, przyłapał Leciana, kiedy ten rozrywał gąbkę do ścierania tablicy. Ukarał Leciana i kazał mu przynieść nową gąbkę. Stało się. Nauczyciel zadowolony był jednak tylko do czasu, kiedy wyszło na jaw, że gąbkę Lecian skradł miejscowemu grabarzowi, który tą właśnie gąbką obmywał zmarłych.

Ojciec Leciana sporadycznie odwiedzał rodzinę. Odwiedziny te jednak tylko pogarszały i tak bardzo trudną sytuację. W czasie ostatniego pobytu ojciec Leciana zgwałcił własną córkę. Matka nie wytrzymała tej sytuacji psychicznie i zwariowała, a Martin znalazł się w poprawczaku, gdzie przebywał cztery lata – do 18 roku życia.

Kradł, gdzie mógł i zabierał wszystko, co można było wynieść. Pomimo, że miał tylko 160 cm wzrostu, często i chętnie wdawał się w różne bójki, i to z kimkolwiek. Nie zmieniła go nawet służba wojskowa. Wręcz odwrotnie. Kilkakrotnie stanął przed sądem wojskowym za kradzieże, niszczenie mienia czy dezercję. W czasie pełnienia służby wojskowej kilkakrotnie zbiegł, trzy razy był skazany za dezercję. Kiedy po raz czwarty został zatrzymany, znaleziono u niego cały arsenał – rewolwery, pistolety,

amunicję oraz klejnoty, a nawet torbę z wytrychami. W październiku 1926 zbiegł po raz szósty. Załatwił sobie dokumenty na nazwisko František Navrátil. Poznał Annę Křenovską, mężatkę, z którą później jeździł po całych Morawach i włamywał się do kas. Jak udowodniono, Křenovská pomagała Lecianowi w niektórych włamaniach. Kiedy została obrabowana kasa w Kojetínie, Lecian i Křenovská, która podawała się za żonę Leciana, zostali zatrzymani w hotelu w Prostějovie. Leciana przekazano jako zbiega pułku w Ołomuńcu a Anna Křenovská znalazła się w areszcie śledczym.

Lecian jednak ponownie uciekł. Grabił i kradł w różnych miastach w Vyškovie, Přerovie, Kojetínie... Po raz pierwszy przy strzelaninie do swych prześladowców trafił żandarma w Kojetínie i postrzelił w nogę strażnika Ottę Pivnego. W Přerovie miał Lecian pecha. W mieszkaniu profesora Václava Karlíčka został przyłapany przez gospodarza w chwili, kiedy grzebał w jego klejnotach. Lecian uciekając postrzelił profesora w rękę. Zdenerwowany pobiegł do urzędu rent, gdzie ukradł 103 korony. Ale i tam zaskoczył go Josef Kopeček, który zląkł się Leciana i zaczął uciekać. Również Lecian, w tej chwili najprawdopodobniej również mocno podenerwowany, zaczął uciekać.

Kiedy został złapany po raz szósty, przez jakiś czas przebywał jako pacjent w szpitalu więziennym. Było ich trzech: Martin Lecian, Jan Szekely i Jan Deutsch, wszyscy z kajdanami na nogach. W nocy z 9 na 10 grudnia 1926 poprosili strażnika Valentę, by puścił ich do toalety. Przed toaletą wszyscy trzej rzucili się na strażnika, pobili go, zabrali mu broń i uciekli. Deutscha złapano jeszcze na terenie więzienia. Szekely i Lecian uciekli.

Razem z Szekelym włamywał się potem do mieszkań, sklepów i magazynów. Rabowali kasy i zakłady w Kroměřížu, Opavie, Hranicach, Krnovie, Bučovicach. Pod koniec 1926 roku lub na początku 1927 roku doszło do rozstania Szekelyego i Leciana, gdyż Szekely odszedł na Słowację. Policja jednak nie zarejestrowała tego faktu, nie mogła bowiem uwierzyć, by tylko sam Lecian, bez pomocy dalszej osoby, był w stanie dokonać wszystkich późniejszych włamań, kradzieży i innych przestępstw.

W styczniu 1927 Lecian „grasował" w okolicach Brna, między innymi w Slavkovie. W czasie jednego włamania do spółdzielni, przeszkodził mu strażnik Rudolf Hanák, którego Lecian w czasie ucieczki zastrzelił. W niespełna miesiąc później, w późnych godzinach nocnych, w Jihlavie śmiertelnie zranił Františka Marčíka, który chciał Lecianowi przeszkodzić we włamaniu do zakładu Grafia. W Kroměřížu włamał się do sklepu Františka Novotnego, którego ciężko postrzelił. Strzelał też do żandarma Poledňaka, który próbował go zatrzymać.

Prócz wymienionych włamań dokonał jeszcze wielu innych prze-

stępstw. Włamywał się także do kancelarii oraz kas pancernych, a to w Přibislavicach, Bystřici pod Hostýnem, Hodonínie, Novym Jičínie, Krnovie i wielu innych miastach.

Organy ścigania starały się złapać Leciana. Był jednak nieuchwytny. Wyznaczono za złapanie Leciana wysoką nagrodę - 10 000 koron. W gazetach pojawiła się także fotografia Leciana. Na fotografii tej sprzed czterech lat Lecian przedstawiony był jednak w kapeluszu z szerokim rondem, założonym na oczy i tylko z prawego profilu, dlatego trudny był do poznania.

Sytuacja przybrała dramatyczne obroty w marcu 1927, kiedy na drodze między Předměstí v Uherskim Ostrohu a Kvačicami strażnik Antonín Stuchlý w czasie służby spróbował wylegitymować nieznajomego mężczyznę, który jechał na wozie z sianem. Mężczyzna ten bez słowa wyciągnął pistolet i zastrzelił żandarma. Jak się później okazało, tym nieznajomym był oczywiście nieuchwytny Lecian. Chociaż niektórzy ludzie do tej pory do pewnego stopnia podziwiali Leciana, zdarzenie to spowodowało zmianę sympatii. Żandarm Stuchlý miał bowiem dopiero dwadzieścia siedem lat, był dopiero od czterech miesięcy żonaty, a jego żona była w ciąży. Ostatnie czyny Leciana były bardzo niebezpieczne dla społeczeństwa, które zaczęło się czuć zagrożone.

Do ciekawego zdarzenia doszło na dworcu między Předměstím a Kvačícami, gdzie Lecian zobaczył rotmistrza husarów. Myśląc, że to żandarm, zaczął do niego strzelać i uciekł. Postrzelił go w prawą rękę. Pomimo nasilającego się stopnia niebezpieczeństwa działań Leciana, prasa i inne środki masowego przekazu, zaczęły o nim pisać i mówić jako o romantycznym strzelcu lub o przestępcy, który umie przede wszystkim ... uciekać.

Lecian nie był zadowolony z powodu zainteresowania jego osobą przez środki masowego przekazu. Dlatego przesłał do redakcji Lidových novin list - groźbę:

Szanowna redakcjo!

Żądam, aby o mnie nie szerzono takie przeholowane wieści. Nie zaprzeczam, że jestem na czele międzynarodowej spółki zbójeckiej, i że Szekely jest moim następcą. Mam jednak zastępców i dysponentów tutaj i za granicą bardzo wielu. Za granicą zasadniczo nie popełniamy napaści i morderstw, zwłaszcza nie na biednych. Tylko w obronie własnej nie zważamy na nic. Naszą zasadą jest zabierać bogatym, spekulantom i bankom. Nie boimy się żandarmów ani żołnierzy, ponieważ ich zdolności są w porównaniu z naszymi umiejętnościami i czujnością wielkim zerem. Jeżeli nie zaprzestaniecie w Waszej

gazecie ciągle na nas zwracać uwagę, to poślemy waszego redaktora naczelnego tam, skąd nie ma już powrotu, rozumiecie? Ręka dobrze mi się goi, ponieważ strzał mnie tylko trochę drasnął. Powodzi mi się dobrze. Pieniędzy mamy dosyć. Broni też.

RCS 16.3.1927 r. Martin Lecian,
szef międzynarodowej spółki zbójeckiej

Jak później podała redakcja, list ten nie został opublikowany, uznano bowiem, że brzmi jak manifest Leciana.

List ten jednak nastraszył redakcję Lidových novin i odtąd ustały komentarze na temat Leciana. Publikowano tylko i wyłącznie policyjne informacje i informacje żandarmerii.

Pechowym dniem dla Leciana był 23 kwietnia 1927 r. Agenci policyjni już kilka godzin śledzili Leciana. Po południu Lecian wraz z innym przestępcą – kasiarzem Dedkiem – jadł obiad w restauracji niedaleko dworca kolejowego w Nowym Boguminie. Halíř i Kaluža, dwaj agenci policyjni, udawali pijanych w restauracji. Kilkakrotnie przesiadywali się od stolika do stolika głośno rozmawiając i kłócąc się, gdzie usiąść, gdy nagle rzucili się na Leciana i Dedka. Chociaż sam Lecian był uzbrojony i pod stolikiem trzymał w ręku załadowany rewolwer gotowy do strzału, to jednak agenci byli szybsi, powalili Leciana i po krótkiej potyczce założyli mu kajdany.

Wielu ludzi nie dowierzało informacjom, iż Lecian został aresztowany. Ciągle pojawiały się pogłoski, że widziano go tam i tam, że znów ograbił ten czy tamten bank. W kilka godzin później przed dyrekcją policji w Morawskiej Ostrawie czekały tłumy ludzi.

Lecian jednak w tym czasie przebywał już w więzieniu. Jeszcze w dniu aresztowania starszy radca policji dr Engelhart i inni przeprowadzili dokładnie przesłuchanie Leciana. Lecian przyznał się do wszystkich włamań do kas pancernych, nie przyznał się jednak do żadnego z popełnionych zabójstw. Po przesłuchaniach Lecian przy zapewnieniu specjalnych środków ostrożności został ze wzmocnionym konwojem przewieziony pociągiem z Ostrawy do Ołomuńca.

„Národní politika" potem napisała, iż byłoby ciężkim grzechem w rozwoju etycznym społeczeństwa i przyszłych generacji, gdyby zagnieździł się u nas kult, który by opiewał łotrów i wyrzutków społeczeństwa ludzkiego...

Proces Leciana rozpoczął się dnia 29 sierpnia 1927 r. przed sądem wojskowym dywizji w Ołomuńcu, ponieważ Lecian był ciągle uważany za dezertera i podlegał jurysdykcji wojskowej. W czasie procesu sądowego

oskarżono Leciana o 10 zabójstw, 70 kradzieży i wielu dalszych wykroczeń. Proces trwał sześć dni. Dnia 3.9.1927 ogłoszony został wyrok. Brzmiał jednoznacznie - śmierć!

Lecian jeszcze raz stanął w centrum zainteresowania, kiedy w nocy z 25 na 26 września 1927 wspólnie z więźniem Kašpaříkiem spróbował ponownie uciec. Po krótkiej strzelaninie Lecian i Kašpařík oddali się w ręce policji. W więzieniu Lecian ciężko zranił strażnika Františka Kissa, który na skutek odniesionych ran zmarł w szpitalu.

Dnia 3.10.1927 r. prezydent republiki odrzucił prośbę Leciana o ułaskawienie. Podobną decyzję podpisał dnia 4.10.1927 r. również minister obrony Udržal.

Dnia 6 października 1927 r. o godzinie 6.00, na placu więzienia wojskowego w Ołomuńcu, kat Leopold Wohlschäger wraz z swymi pomocnikami wykona na Martinie Lecianie wyrok śmierci przez powieszenie.

Tak skończył życie Lecian, ale legenda o nim trwa właściwie do dziś. Długo jeszcze opowiadano o jego najdziwaczniejszych przygodach, śpiewano piosenki i mówiono o „niegrzecznych" - *...tyś je Lecyjan!*

Jan Kubiczek



Karnawał ogarnął wszystkich - dzieci z PSP w Karwinie-Nowym Mieście na swym tegorocznym balu, fot. FRANCISZEK BAŁON

KRZYŻÓWKA



Z dziejów PZKO: W dniu 12 lipca 1953 roku miał miejsce...
(patrz rozwiązanie dodatkowe krzyżówki).

POZIOMO: A. Pośrednik w zawieraniu małżeństwa; rzeka w Turcji i Azerbejdżanie; potoczystość w mówieniu. **B.** Polska pisarka satyryczna (Magdalena); miał na imię Robin. **C.** Główny składnik powietrza; demon zniewalający kobiety podczas snu; wonna żywica używana jako kadzidło. **D.** Ptak; rośnie na brzegach wód; 1/50 USA. **E.** Dywizjon artylerii ciężkiej (skrót); statek Noego. **F.** Katolicki działacz społeczny (Jan, 1886–1957); marszałek Francji (Michel). **G.** Zawartość kruszcu w monetach; stolica stanu Georgia w USA; chytre zwierzę. **H.** Chłopak w grze w karty; przeddzień; wschodnia część Budapesztu. **I.** Napędowy lub do smażenia; operacja wydłutowania okienka w błędniku kostnym ucha wewnętrznego. **J.** Miodożer (ssak z rodziny łasicowatych); szczeliny pozostałe w drewnie po przejściu piły; dramatopisarz angielski (George Bernard).
PIONOWO: 1. Karmi młode mlekiem; drzewo liściaste. **2.** Ozdobne naczynie do kwiatów; malowana. **3.** Jedno z imion Komenskiego; teolog i humanista angielski (John). **4.** Bóstwo egipskie; historia. **5.** Jedna z liter alfabetu greckiego. **6.** Lotnictwo. **7.** Brzeg, kant (przestarzały wyraz); dawniej Kalinin. **8.** Piosenkarz kanadyjski (Paul); miasto w Austrii. **9.** Promieniotwórczy pierwiastek;...iacta est. **10.** nazwa przedsiębiorstwa w Tanwaldzie; miasto w Serbii. **11.** Muzyczno-wokalne utwory. **12.** Jedna z greckich tytanid. **13.** Wódka szkocka; krok w tańcu. **14.** Główna arteria układu krwionośnego; brat Czecha i Rusa. **15.** Imię żeńskie; posłannictwo. **16.** Miasto w Turcji; służy do hodowli ryb.
Wyrazy trudne: COLET, CZUJ, FENESTRACJA, SEBA, TOT.
Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: E-13, D-9, A-3, F-6, B-14, H-1, J-11, I-6, B-10, H-15, C-4, H-8, A-13, J-15, I-2, H-13, C-2, D-11, G-3, B-6, I-14, J-8, H-4, A-1, C-8, H-10, B-3, E-6, G-15, I-9, B-1, J-10, F-13, B-8, C-13, J-4.

(taj)

Wśród autorów rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązanie prosimy przesyłać do końca lutego.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU GRUDNIOWEGO: Hasło: **„Pastorałki Polskie".**
Nagrody książkowe wylosowali: **Wanda Tomčalowa** - Gródek
Władysław Koch - Stonawa
Janusz Palowski - Sucha Górna

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE
przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
EWA SANTARIUS (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
WŁADYSŁAW MILERSKI
KRZYSZTOF NOWAK
WILHELM PRZECZEK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK
CZESŁAWA RUDNIK (korekta)

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 144,- Kč, z wysyłką pocztową 186,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.

Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

DRODZY CZYTELNICY I WSPÓŁPRACOWNICY

Redakcja ZWROTU jest nieliczna. Dla zapewnienia jej sprawnego działania w łączności z terenem zmuszeni jesteśmy określić godziny kontaktów w redakcji z czytelnikami i współpracownikami.

SEKRETARIAT (PRENUMERATY, WPŁATY, OGŁOSZENIA, KORESPONDENCJA)
poniedziałek – piątek 8.00–12.00
13.00–15.30

SEKRETARZ REDAKCJI/REDAKTOR
wtorek, środa, czwartek 12.30–16.00

REDAKTOR NACZELNY
wtorek i czwartek 9.00–12.00
środa 13.00–16.00
piątek 10.00–12.00

Spotkania w innym czasie prosimy umawiać telefonicznie.

TACY JESTEŚMY



MACIERZ SZKOLNA

Została założona w roku 1885. Po podziale Śląska Cieszyńskiego zarejestrowała swój statut u władz czechosłowackich (1921) i działała dalej. Jest słusznie uważana za najstarszą i największą przedwojenną organizację polską na naszym terenie.
Do chlubnych tradycji przedwojennej Macierzy próbuje nawiązać organizacja reaktywowana w 1991 roku – Macierz Szkolna w Republice Czeskiej. Koła Macierzy Szkolnej działają przy wszystkich szkołach z polskim językiem nauczania oraz przedszkolach. Skupieni w Kołach rodzice organizują różne formy pomocy dla swoich szkół, zarówno w zakresie ich działalności dydaktycznej, jak i pozalekcyjnej.
Zarząd Główny Macierzy rozwinął opiekę nad prywatnym przedszkolem w Czeskim Cieszynie-Mistrowicach. Dzierżawi również budynek starej szkoły na Bagińcu, służący jako baza wypoczynkowa dla dzieci i młodzieży.
W listopadzie 1996 roku w Hotelu Piast w Czeskim Cieszynie odbyło się III Walne Zgromadzenie Macierzy Szkolnej w RC (na fotografii).

NASZE ZESPOŁY



MELODIA

Chór żeński „Melodia" powstał w roku 1955 w ramach Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, jako kontynuator tradycji śpiewactwa polskiego na Zaoloziu, którego dzisiaj jest chlubą. Kolejni dyrygenci: Karol Heczko, Andrzej Zielina, Władysław Winkler, a od roku 1990 chórmistrzyni Aleksandra Paszek-Trefon sprawili, że sukcesywnie rozwijana technika śpiewu i interpretacje uhohorowane zostały najwyższymi laurami, trzykrotnie zdobytym I miejscem w konkursie śpiewaczym PZKO, Srebrnymi Pasmami na Ogólnopaństwowym Konkursie Chóralnym Czech i Moraw w Jihlawie oraz Międzynarodowych Dniach Śpiewu Chóralnego w Pradze. Ponawiane zaproszenia na Światowe Festiwale Chórów Polonijnych w Koszalinie, liczne koncerty w Polsce i Czechach, sesje nagraniowe w studiach Radia Czeskiego i Polskiego – dowodzą, iż „Melodia" z Nawsia, dysponująca szerokim repertuarem od renesansu po muzykę współczesną, nie pomijając artystycznych stylizacji muzyki ludowej polskiej, czeskiej i innych narodów, należy do szczególnie wyróżniających się zespołów śpiewaczych na Śląsku Cieszyńskim.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

3/97

NIECH BĘDZIE RADOSNA



WIELKANOC

WIOSNA

TACY BYLIŚMY



Karolina Pawlica z Łazów, prababcia właściciela zdjęcia Tadeusza Tomana, żyła 56 lat, jej mąż Józef Pawlica, górnik oraz ich córka Marzena, prawdopodbnie najmłodsza z czternaścioga rodzeństwa. Zdjęcie wykonano między 1915 a 1919 rokiem.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLVIII Nr 568 Cena numeru 12,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 15,50 Kč

3/97

W NUMERZE

[3]	VI Zgromadzenie Ogólne Kongresu Rady Polaków w Republice Czeskiej	CZESŁAWA RUDNIK
[5]	Zaolzie po raz czwarty	KRZYSZTOF NOWAK
[8]	Rozmowa przy ... radiu	FRANCISZEK BAŁON
[13]	„Olza" koncertowała za oceanem	MARTIN FILIPCZYK
[16]	Ferdynand Goetze	JAN KUBICZEK
[21]	Monika Milerska – wystawa	CZESŁAWA RUDNIK
[22]	Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (4)	ALOJZY NOWOK
[28]	„Olzianka" i „Olziok"	JÓZEF KULA
[34]	Wiktor Sembol we własnych oczach	
[40]	Poezja Wilhelma Przeczka	
[42]	Karol Kubaj: Głęboki wdech	
[44]	Renata Putzlacher – moje fascynacje	
[47]	Fraszki Gustawa Sajdoka	
[48]	Listy rencisty	RENCISTA
[49]	Wzmocnienie więzi	ROMAN BARON
[52]	Nasze nazwiska	WŁADYSŁAW MILERSKI
[58]	Echo wydarzeń muzycznych	
[64]	Trybuna czytelników	
[66]	To i owo	
[68]	Po raz 21. Bieg Piastów	
[70]	„Szczecińskie PAR" otwarte dla Zaolzia	JÓZEF KULA
[71]	Kronika	
[76]	Mozaika: Downo, downo tymu żyli jedni poczciwi ludzie...	JANINA
[79]	Krzyżówka	

Numer zamknięto 24.2.1997
1. str. okładki – Wielkanoc ...



VI ZGROMADZENIE OGÓLNE KONGRESU POLAKÓW W RC – Hotel „Piast"
w Czeskim Cieszynie, 22 lutego 1997 – widok na salę obrad.

VI ZGROMADZENIE OGÓLNE KONGRESU POLAKÓW W REPUBLICE CZESKIEJ

W sobotę 22 lutego obradowało w sali hotelu Piast w Czeskim Cieszynie VI Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC. Ze 174 osób wybranych na sejmikach gminnych /135 osób/ oraz reprezentujących organizacje i stowarzyszenia polskie, mające akces w Kongresie Polaków /39 osób/ na obrady przybyło 141 delegatów. Obrady poprowadzili Danuta Branna, Michał Chrząstowski i Stanisław Kondziołka.

Delegatów oraz licznych gości powitał prezes Rady Polaków Wawrzyniec Fójcik. Wśród gości stronę polską reprezentowali: wicemarszałek Senatu RP Grzegorz Kurczuk, wiceprezesi Zarządu Krajowego Stowarzyszenia Wspólnota Polska prof.dr hab.Paweł Łączkowski i prof.dr hab. Ryszard Brykowski, prezes Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie poseł Tadeusz Samborski, przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP Witold Rybczyński, ambasador RP w Pradze Marek Pernal, konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk, burmistrz Cieszyna Jan Olbrycht, stronę czeską: przedstawicielka kancelarii prezydenta RC dr Helena Dluhošová, dyrektor sekretariatu Rady do spraw Narodowości Rządu RC Andrej Sulitka, naczelnik Urzędu Powiatowego w Karwinie inż. Jan Weber, starosta Cz. Cieszyna Bohumil Muroń. Swą nieobecność usprawiedliwili ponadto premier rządu RC Václav Klaus oraz ministrowie Pavel Bratinka i Jiří Novák. Listy z pozdrowieniami i życzeniami owocnych obrad przysłali: prezydent RC Václav Havel, prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, prezes Stowarzyszenia Wspólnota Polska prof. Andrzej Stelmachowski, wicepremier rządu RP Mirosław Pietrewicz, minister spraw zagranicznych RP Dariusz Rosati, minister kultury i sztuki RP Zdzisław Podkański, przewodniczący Komisji Łączności z Polakami za Granicą poseł Leszek Moczulski. W przemówieniach gości dominowały tematy współpracy między narodami i państwami, kultywowanie tradycji, kultury i języka, problemy tożsamości narodowej. Goście z Polski podkreślali znaczenie Polonii. „Jesteście Polsce potrzebni", stwierdził senator Kurczuk. „Prawie 1/3 narodu polskiego żyje poza granicami kraju", dodał poseł Samborski.

Sprawozdania z działalności V kadencji Kongresu Polaków wygłosili Leszek Kalina, weryfikator protokołu poprzedniego Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków i Wawrzyniec Fójcik, prezes Rady Polaków. Po programie kulturalnym w wykonaniu trzynieckiego chóru Hutnik z dyrygentem Cezarym Drzewieckim i solistą Władysławem Czepcem Jerzy Bilan zaznajomił delegatów ze sprawozdaniem Komisji Kontrolnej, Danuta Branna przeczytała sprawozdanie Komisji Mandatowej a Stanisław Kondziołka sprawozdanie Rady Przedstawicieli.

Dyskusja na temat zmian statutowych dotyczyła głównie zdania: „Prezesem Rady Polaków może zostać wybrana wyłącznie osoba posiadająca

obywatelstwo RC". Bronisław Walicki a następnie i inni delegaci bronili praw, w swym mniemaniu dyskryminowanych, kilkunastu tysięcy obywateli RP, mieszkających w RC. Ostatecznie zdanie to nie weszło do nowego statutu.

Popołudniową część obrad rozpoczęła dyskusja plenarna. Jednocześnie trwało pisemne zgłaszanie kandydatów do Rady Polaków i Komisji Kontrolnej. Po poprawkach do statutu został on większością głosów przyjęty. Ogłoszono wyniki wyborów. W skład dziewięcioosobowej Rady Polaków weszli: Wawrzyniec Fójcik, wybrany następnie w tajnym głosowaniu na prezesa /103 głosy na 119 ważnych/, Roman Baron /115/, Bronisław Walicki /103/, Danuta Branna /101/, Kazimierz Worek /97/, Michał Chrząstowski /89/, Remigiusz Gąsior /88/, Marian Jędrzejczyk /86/, Franciszka Chocholáč /85/ i dwóch rezerwowych Władysław Adamiec /77/ i Stanisław Kondziołka /65/. Pięcioosobowa Komisja Kontrolna pracować będzie w składzie: Jan Kubiczek /111 głosów na 118 ważnych/, Jerzy Bilan /105/, Stanisław Firla /98/, Władysław Szkopek /86/, Melchior Sikora /81/ i rezerwowy Janusz Ciesielski /78/. Obrady zakończono przyjęciem Uchwały VI Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków w Republice Czeskiej.

CZESŁAWA RUDNIK

Dokumenty przyjęte na VI Zgromadzeniu Ogólnym Kongresu Polaków w RC opublikujemy w kwietniowym numerze ZWROTU.



Nowa Rada Polaków. Od lewej: Roman Baron, Kazimierz Worek, Marian Jędrzejczyk, Franciszka Chocholáč, Remigiusz Gąsior, Danuta Branna, Wawrzyniec Fójcik (przewodniczący) i Michał Grząstowski. Brak Bronisława Walickiego.

ZAOLZIE PO RAZ CZWARTY

Przed 50-ciu laty 10 marca 1947 roku Gottwald, Cyrankiewicz, Masaryk oraz Modzelewski złożyli w Warszawie podpisy pod polsko-czechosłowackim traktatem o przyjaźni i wzajemnej pomocy. Spotkanie przywódców obu państw nad Wisłą miało zakończyć trwający od kilkunastu miesięcy ostry zatarg i spór graniczny. Chodziło przede wszystkim o Zaolzie, do którego praw Polska zrzec się nie chciała, oraz ziemie, które Polska otrzymać miała w spadku po III Rzeszy, zwłaszcza Kłodzkie, Głubczyckie i Raciborskie, a do których pretensje rościła strona czechosłowacka. W marcu 1947 roku przedmioty konfliktu, będące wcześniej dla obu sąsiadów kwestią priorytetową, zostały zredukowane do stwierdzenia, iż załatwi się je nie później niż do dwóch lat, oraz do tzw. protokołu-załącznika, w którym „Wysokie umawiające się strony" miały zapewnić Polakom w Czechosłowacji, względnie Czechom i Słowakom w Polsce możliwość rozwoju narodowego, politycznego, kulturalnego i gospodarczego.

Z zapowiedzianego dwuletniego terminu zrobiło się raptem lat ponad jedenaście. Od 1949 r. Polska już o możliwościach zmiany granicy nad Olzą z Pragą rozmawiać nie chciała. Zresztą już w lecie 1946 roku Warszawie nie chodziło o samo terytorium Zaolzia, ale raczej o zapewnienie praw tutejszej ludności polskiej, która jeszcze o tym nie wiedziała. Strona czechosłowacka do końca, a nawet i po marcu 1947 roku miała nadzieję na przynajmniej kawałek kotliny kłodzkiej. Rewolucja lutowa 1948 roku czyli całkowite podporządkowanie się władzy Kremla uciszyła wszelkie dyskusje. Obowiązywała linia wytyczona 28 lipca 1920 r. na Śląsku Cieszyńskim i stara granica niemiecko-austriacka (lub niemiecko-czeska, od Bogumina po Sudety. Granica na Spiszu i Orawie przebiegała zgodnie z linią poprawek granicznych z 1924 r. Nad Olzą pozostawiono zasieki, a wzdłuż całej, liczącej 1310 km granicy polsko-czechosłowackiej zaorano dwudziestometrowy pas ziemi, która to przecinka do dnia dzisiejszego ułatwia turystom poruszanie się po górskich szlakach. 13 czerwca 1958 prasa poinformowała wreszcie, że oba kraje zawarły porozumienie graniczne, potwierdzające status quo z 1920 roku. Niewielkie korekty graniczne nie miały tu większego znaczenia.

Sprawa druga to realizacja protokołu-załącznika. Protokołu, który strona polska poczytywała sobie za wielki sukces negocjacyjny - bo był to załącznik jawny - a którego konkretnych sformułowań, precyzujących prawa mniejszości polskiej w Czechosłowacji obawiała się Praga. W rezultacie załącznik, dzięki ustępstwom polskim, nie był ani konkretny ani nic nie precyzował. Pewne było w nim jedno - prawa ludności polskiej zależały wyłącznie od stanowiska władz czechosłowackich, strona Polska pozbawiała się możliwości jakiejkolwiek skutecznej interwencji. Obowiązująca w załączniku zasada tzw. wzajemności nie na wiele się zdała, gdyż odpowiednik zwartej i zorganizowanej oraz świadomej mniejszości polskiej w Czechosłowacji w Polsce nie istniał, mimo czeskich zapewnień o potrzebach respektowania praw tzw. Morawców. Podobna sytuacja ostatecznie wyklarowała się na pozostałych w Polsce częściach Spiszu i Orawy. Polacy jako mniejszość dla Pragi po prostu nie istnieli, a problem oceny ich lojalności wobec państwa pozostał w gestii lokalnych czynników administracyjnych .

Wypadki z marca 1947 r. na linii Warszawa-Praga, poprzedzone ostrym konfliktem granicznym, należą już do historii, stanowiąc przy tym specyficzny, zamknięty okres w dziejach Polski i Czechosłowacji. Co więcej, jest to historia o tyle jeszcze bardziej zamknięta, gdyż nie istnieje już jeden z podmiotów ówczesnych wypadków czyli Czechosłowacja. Nie istnieje również, upadły kilka lat wcześniej, system komunistyczny. Lata 1945-1947 a więc niejako czwarty z kolei (po latach 1918-1920, 1938 i po negocjacjach Sikorskiego z Benešem) spór o Zaolzie nie jest już także tematem „tabu" i „białą plamą". Rzecz przy tym interesująca to fakt, iż omawiane wydarzenia z taką samą siłą, z jaką ujrzały światło dzienne w maju 1945 r., z taką samą siłą zostały szybko skazane na zapomnienie zgodnie z niepisaną tezą, że „o przyjaciołach i braciach" mówi się tylko dobrze albo nie mówi się wcale. Na konsekwencje takiego rozumienia historii nie trzeba było długo czekać. Problematyka Zaolzia, i to nawet ta odległa z roku 1918, była traktowana zgodnie z wymiarem walki klas i spisku burżuazyjnego, jątrzącego stosunki między awangardą robotniczą na pograniczu. Nikt nie zastanawiał się, że to właśnie ta awangarda, rząd komunistyczny w Polsce, stał na czele żądań utrzymania Zaolzia w Polsce, niezależnie od tego, że wykorzystywał ten konflikt do własnych celów propagandowych. Problem Zaolzia, negowany przez wielu historyków, których nazwiska powoli odchodzą do lamusa, nie był więc wymysłem sanacji. W 1918 i 1945 r.

chodziło przecież o to samo – Polsce o ludzi, Czechosłowacji o kolej i węgiel, za który nie chciała nic w zamian – ani części Kłodzkiego ani Spiszu i Orawy. Do dziś zresztą Słowacy mają pretensje (a przynajmniej znaczna część ich historyków), że Beneš po I wojnie światowej zapłacił słowackim ekwiwalentem terytorialnym za Karwinę i Trzyniec.

Układ z marca 1947 roku, choć mówił o przyjaźni i wzajemnej pomocy, wcale z takiej deklarowanej w nim potrzeby współpracy nie wynikał. Jego ostateczny tekst a przede wszystkim czas, w którym go podpisano, był wynikiem nacisków polityki zagranicznej krajów, które wchodziły w sferę jej nieograniczonych wpływów lub które miały tam wejść w przyszłości. Także tocząc swój lokalny spór od 1945 Polska i Czechosłowacja, a głównie ta pierwsza, nie były już suwerenne. Podobnie zresztą było i na innych odcinkach zadawnionych sporów terytorialnych w Europie. Podobnie jak w 1918 roku, także i w 1945 niektóre narody i państwa chciały „ostatecznie" między sobą załatwić zadawnione konflikty, nierozwiązane po ich myśli po I wojnie światowej. W przypadku państw późniejszego bloku sowieckiego często na czele akcji propagandowych na rzecz zmiany granic stawali komuniści, liczący na spodziewany efekt polityczny, ale z drugiej strony w wielu przypadkach dysponujący odpowiednią siłą argumentów (także militarnych). Węgrzy więc nie mogli darować Rumunom Siedmiogrodu, komuniści niemieccy Polakom ziem na wschód od Odry, Polacy Czechom Zaolzia. Jugosłowianie kłócili się z Włochami o Triest, Francuzi z Niemcami o Nadrenię. Osuwanie się „żelaznej kurtyny" i umacnianie komunizmu w Europie środkowo-wschodniej uciszało te spory. Śląsk Cieszyński nie był więc wyjątkiem. Był jednak chyba najwymowniejszym przykładem ówczesnego granicznego okresu „burzy i naporu".

Przystępując do gry z Pragą o teren Zaolzia Warszawa miała za przeciwników nie byle kogo, bo ekipę, która od ćwierćwiecza budowała czechosłowacką politykę zagraniczną i sposób jej realizacji na odcinku polskim. W Polsce zmieniały się rządy a nawet ustroje, a Beneš wraz ze swoimi współpracownikami wciąż trwał na posterunku. Wypracowane w poprzednich latach metody i sposoby reagowania na kroki północnego sąsiada Republiki, wielokrotnie traktowanego w kategoriach „zła koniecznego", były ponownie wykorzystywane, tym razem w konfrontacji z polskimi komunistami. Ale i on jako prezydent Republiki, mimo daleko idących kompromisów i liczenia na łaskę Stalina, nie zapobiegł upadkowi demokracji w państwie.

KRZYSZTOF NOWAK

ROZMOWA PRZY... RADIU

Pomimo tego, że Antoni Strzybny należy do postaci w naszym społeczeństwie znanych, nie raz publikował swe artykuły w ZWROCIE, warto na wstępie przypomnieć kilka danych dotyczących jego niezmiernie bogatego życia.

Antoni Strzybny był z zawodu nauczycielem (fizyka). Karierę zaczynał w Koszarzyskach, był jakiś czas w Polsce. Po powrocie do Czechosłowacji przenosi się już nie do rodzinnego Szonychla, ale do Bystrzycy. Z tamtejszej szkoły też odszedł na nauczycielską emeryturę.

W latach trzydziestych był zaangażowany w początkach Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji, gdzie doszedł do funkcji drużynowego. Ciekawostką jest, że należał do drużyny wodniaków w Szonychlu.

Już w piętnastym roku życia angażuje się w chórze Macierzy Szkolnej w Szonychlu, w teatrze amatorskim.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych Antoni Strzybny założył przy MK PZKO w Bystrzycy teatr lalek (cieni) „UCIECHA". Ta pięcioosobowa grupa ludzi, którą kierował przez kilka lat, starała się dotrzeć do wszystkich miejscowości, przede wszystkim tych jeszcze wtedy nie podłączonych do sieci elektrycznej. „Piechotą i z akumulatorem" – jak to sam określił mój rozmówca – wędrowali do odległych Pasiek, Głuchowej, na Kamienity. „UCIECHA" zyskała niemałą sławę i poza naszym regionem. Teatrzyk występował z powodzeniem na międzynarodowych przeglądach. Również wystąpił, jako pierwszy zespół z Zaolzia, na żywo w Telewizji Katowickiej.

Oprócz teatru lalek Antoniego Strzybnego interesował także od lat młodzieńczych teatr amatorski. Angażował się w nim w Szonychlu, w czasie pobytu w Polsce i w końcu w MK PZKO Bystrzyca. Był tam długoletnim reżyserem. W ramach działalności PZKO organizował odczyty.

Tym razem do wizyty u państwa Strzybnych w Bystrzycy ZWROT został zobligowany niezwykłym osiągnięciem pana Antoniego. Zrealizował on mianowicie, na kilka dni przed osiągnięciem 75 roku życia swe długoletnie marzenie – zyskał licencję krótkofalowca. Jak to się stało?

Moja droga do wyśnionego krótkofalarstwa była długa i wiele było na niej przeszkód. Było też wielu takich, którzy mi pomagali. Tu muszę wymienić przede wszystkim nieocenionego Janka Motykę i Jindřicha Šimandla.

Pierwsze zafascynowanie przesyłaniem wiadomości na odległość przyszło do mnie razem z harcerstwem w latach trzydziestych. Wtedy jednak Harcerstwo Polskie w Czechosłowacji nie mogło prowadzić kursów radioamatorów. Na ten rodzaj działalności w grupach mniejszościowych ówczesne władze patrzyły z obawami... W tych czasach więc skończyło się u mnie na zbudowaniu, według drukowanej instrukcji, amatorskiego nadajnika, z korzystania z niego jednak musiałem zrezygnować. Przed wybuchem wojny zdążyłem jeszcze nauczyć się alfabetu Morse'a, po czym sam pomagałem prowadzić harcerskie kursy radiotelegrafii. Do egzaminu w celu uzyskania licencji przygotowałem się w roku 1939. Ale niestety wypadki dziejowe pokrzyżowały wszystko.

Wojna się zakończyła, jednak dla mnie nie skończyły się problemy. Spory między Polską i Czechosłowacją o Zaolzie rzutowały na ludność polską w powojennej Czechosłowacji. Moja praca nauczyciela w niepożądanej wtedy szkole polskiej stała się powodem do znalezienia pretekstu, w wyniku którego skończyłem w więzieniu. Chociaż wypuszczony po sześciu tygodniach z braku dowodów, ślad mej „działalności przestępczej" (chodziło o znalezienie u mnie podczas rewizji części niemieckiej radiostacji, pochodzącej ze śmietnika) w kartotece pozostał. To było wystarczającym dowodem, by wszelkie moje starania o uzyskanie licencji radiowej spaliły na panewce.



Nieduży, miły domek państwa Strzybnych w Bystrzycy



Pan Antoni Strzybny przy swym radiu...

Trud zapewnienia bytu rodzinie, którą założyłem, nie sprzyjał pielęgnowaniu osobistych zainteresowań. Te musiały zostać odsunięte na czas nieokreślony.

Wychowaliśmy z żoną dwie córki i syna. Nasze dzieci odziedziczyły po rodzicach żyłkę działaczy społecznych. Jestem dumny, że córka Urszula jest dyrygentem chóru „Zaolzie" przy MK PZKO w Orłowej-Lutyni. Syn Wiesław był zaangażowany w teatrze amatorskim - „Teatr im. mjr. Szmauza". Aktualnie, chociaż mieszka w Trzyńcu, pracuje w bystrzyckim Kole PZKO.

Czasem wystarczy jeden malutki bodziec, by marzenia wróciły. I tak moje marzenia o krótkofalarstwie wróciły dzięki memu wnukowi. Jego podarunek z okazji mych urodzin odświeżył me dawne tęsknoty do krótkofalarstwa. Zyskana w podarunku radiostacja na „pasmo obywatelskie" nie zaspokoiła w pełni mych aspiracji. Jednak dzięki temu pasmu poznałem krótkofalowców z prawdziwego zdarzenia i zacząłem się od nich domagać pomocy. Nikt mi nie odmówił. Chociaż jeden z kolegów odradzał robienie dwu egzaminów od razu - „Nie bądź taki ambitny i uparty"... Jednak byłem, zdałem egzamin na klasę D i C zarazem, otrzymałem licencję i mogę pracować również na krótkich falach.

Każdy z próbujących w późniejszym wieku zgłębić, przyswoić sobie wiedzę w jakiejkolwiek dziedzinie jest na pewno pełen podziwu, dla Pana osiągnięć. Znajdą się jednak i tacy, którzy zapytają - „po co jeszcze?"

To właśnie to, co człowieka trzyma „nad wodą". Daje satysfakcję.

Miałem połączenia z Anglikami i Francuzami. Rozmawiałem i rozmawiam z Czechami i Słowakami po polsku. Może jednak przekonałem wielu, że wbrew przedwojennym tezom, że będziemy się rozumieli tylko wtedy, kiedy obie strony będą umiały po niemiecku, są bezsensowne. Na amatorskich łączach radiowych wielu Czechów stara się rozmawiać po polsku, nieraz podkreślając, że rozumieją nasz język.

O czym rozmawiają krótkofalowcy?

Są sprawy obowiązkowe, wypływające z tytułu przyznania licencji: znak, swoje imię, miejscowość, z której się nadaje, warunki wzajemnego odbioru. Inaczej, rozmowy nie tylko o pogodzie - o wszystkim. W czasie rozmów krótkofalowców nie wolno reklamować, używać obraźliwych słów, nadawać muzyki, nie poleca się rozmów o polityce. Radiowcy są zobowiązani potwierdzać sobie wzajemnie każde połączenie na kartach QSL.

Ile rozmów Pan przeprowadził? Która z nich była na najdłuższą odległość? Które najciekawsze?

W przeciągu roku i trzech miesięcy mojego działania miałem ponad 1 500 połączeń, dotychczas tylko z Europą. Zazdroszczę kolegom połączeń z całym światem, do których jeszcze nie mam uprawnień. Czekam na termin egzaminu do ich uzyskania. Musiałem pokonać ogromne trudności, by odświeżyć - po tylu latach zapomnienia - znajomość telegrafii. Radiotelegrafistów jest bardzo mało, mikrofon jest wygodniejszy. Mnie jednak wciągnęła ostatnio specjalizacja w połączeniach telegraficznych.

Najbardziej odległą miejscowością, z jaką dotychczas udało mi się połączyć, to Kemijärvi - miasteczko za kołem podbiegunowym w Finlandii. Oprócz rozmów krajowych najczęściej rozmawiam z Polakami z Polski, miałem też rozmowy z Polakami z Ukrainy i Mołdawii.

Moje najciekawsze spotkanie w eterze odbyło się 16 października ub.r. Dosyć długo gawędzili „w kółku" (tak krótkofalowcy nazywają spotkanie w grupie) obywatele trzech państw: Polski - SP2QCG Edward, Niemiec - DL2VJF Georg i ja - OK2HSA z Republiki Czeskiej.. Był to raczej „trójkąt", bo Elbląg, Chemnitz i Bystrzyca. A rozmawialiśmy po polsku.

Inne: Po 42 latach spotykamy się w eterze, ja, nauczyciel i mój były uczeń z Zabełkowa. Czy w roku 1952, kiedy opuszczał szkołę i kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, przypuszczał ktoś z nas, że w ten sposób się spotkamy? Pełne zaskoczenie!

Pytam obecną przy naszej rozmowie żonę pana Strzybnego, jak zapatruje się na pasję męża?

Razem działaliśmy w „Uciesze" w PZKO i w teatrze amatorskim. Potem pracowałam jeszcze w Klubie Kobiet przy PZKO. To dobrze, że mąż ma ciekawe zajęcie, bo zawsze należał do ludzi twórczych, aktywnych. Teraz wiek i zdrowie nie pozwalają mu na dawną aktywność związaną z częstymi pobytami poza domem.



Karta QSL pana Strzybnego

Na zakończenie niestrudzony społecznik pan Antoni Strzybny zdradza mi swoje marzenie związane z obchodami pięćdziesięciolecia PZKO.

Nurtuje mnie myśl założenia okolicznościowej stacji radiowej z okazji pięćdziesięciolecia PZKO. Przez zorganizowanie takiej stacji wiadomość o jubileuszu PZKO poszłaby w świat. Na okolicznościowe stacje polują wszyscy radiowcy! Przeprowadziłem już w tej sprawie wstępne rozmowy z prezesem ZG PZKO Jerzym Czapem. Do zrealizowania tego pomysłu potrzebne jest zezwolenie, o uzyskanie którego zatroszczyliby się krótkofalowcy. Jest również potrzebny wydruk specjalnych kart QSL na tę okazję, co przedstawia relatywnie niemałą kwotę finansową.

Myślę, że chodzi tu o niezwykłą, ciekawą formę szeroko zakrojonej informacji o tym, że my tu jesteśmy... Redakcja ZWROTU chce się włączyć do realizacji pomysłu pana Strzybnego. Może przekonamy (przekonaliśmy już teraz?) sponsorów tego bezspornie godnego uwagi przedsięwzięcia.

rozmawiał i fotografował
FRANCISZEK BAŁON

P.S.: Dziękuję panu Strzybnemu za rozmowę, pytam jeszcze o dwa nieznane obrazy Franciszka Świdra, które mam cały czas przed sobą. Jak mi zdradził mój rozmówca – te zapomniane dzieła naszego mistrza mają bardzo ciekawą historię. Otrzymałem obietnicę zyskania opisu tej historii dla czytelników ZWROTU.

"OLZA" KONCERTOWAŁA ZA OCEANEM

ZPiT ZG PZKO „Olza" rozpoczął kolejny rok swojej działalności. Zespół ponad czterdzieści lat przedstawia swój program w wielu miejscowościach Polski, Czech i Słowacji, a w ostatnim czasie coraz częściej udaje mu się wyjeżdżać w różne zakątki starego kontynentu. „Olza" swymi tańcami i piosenkami reprezentowała nasz region w Austrii, Belgii, Białorusi, Francji, Holandii, Litwie, Niemczech i Szwecji. Najważniejszym jednak wydarzeniem w życiu zespołu był niewątpliwie ubiegłoroczny prawie miesięczny wyjazd do Stanów Zjednoczonych Ameryki. „Olza" wyjechała do Ameryki na zaproszenie dwu festiwali: „Springville World Folk Fest" w stanie Utah, oraz „Idaho International Folk Dance Festival" w Rexburgu w stanie Idaho, które odbywają się tam corocznie pod patronatem światowej organizacji folklorystycznej CIOFF.

Pierwszym ośrodkiem działania „Olzy" było malownicze miasteczko Springville, leżące 1500 m n.p.m. u podnóża Góry Klonowej, niedaleko Salt Lake City. Tereny te w 96% zamieszkuje ludność mormońska, która w swych domach corocznie przyjmuje około pięciuset uczestników festiwalu. Mormoni to lud pobożny, dla którego sprawą najważniejszą jest życie rodzinne, lecz nie stroni również od dobrej zabawy, ciesząc się życiem i korzystając z wszystkiego, co przynosi.

Festiwal, który odbywał się tam już po raz jedenasty, przedstawia amerykańskiej publiczności folklor całego świata i stoi na bardzo dobrym poziomie artystycznym. W roku 1996 brały w nim udział zespoły z Chin, Chorwacji, Indii, Kanady, Macedonii, Rumunii, Szwajcarii, dwa zespoły amerykańskie i zespół „Olza".

Koncerty odbywały się regularnie co wieczór w parku fes-



Na wszystkich występach zespołowi towarzyszyła czeska flaga.



tiwalowym u podnóża Gór Skalistych. Za każdym razem prezentowały się wszystkie zespoły, zawsze z nowym programem. Oprócz tego odbywały się publiczne lekcje tańców poszczególnych krajów i potańcówki uliczne. Festiwal cieszył się dużym zainteresowaniem miejscowej ludności, która licznie przychodziła do amfiteatru i bardzo spontanicznie reagowała na popisy wykonawców.

Na następny festiwal do Rexburgu przyjeżdżali mieszkańcy stanów Arizona i Texas – to oni tworzyli gros publiczności festiwalowej. Rexburg, leżący około 2000 m n.p.m., to około piętnastotysięczne miasteczko stanu Idaho, zamieszkałe też przez ludność mormońską. Koncerty tego festiwalu, stojącego naprawdę na światowym poziomie, odbywały się w hali widowiskowo–sportowej w obecności trzech tysięcy widzów. Oprócz „Olzy", Rumunów i Macedończyków na festiwal przyjechały zespoły z Argentyny, Indonezji, Korei Południowej, Holandii, Rosji i Ameryki. Prócz koncertów wieczorowych zespół „Olza" kilkakrotnie występował dla telewizji stanu Idaho a także we wspaniałej ceremonii otwarcia festiwalu w obecności pięciu tysięcy widzów. Olzianie uświetnili też imprezy w okolicznych miastach i nieraz brali udział w korowodach i koncertach ulicznych.

Podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych udało się zespołowi zwiedzić cztery stany: Utah, Idaho, Wyoming i Montana. Są to stany mało osiedlone, z przepiękną dziewiczą przyrodą, należące do najczystszych miejsc naszej planety. Na przykład w stanie Idaho, większym od naszej republiki, żyje mniej ludzi niż w Pradze, a wszystkie lasy wchodzą w skład parków narodowych. Do najbardziej atrakcyjnych wycieczek należało zwiedzanie parku Yellowstone, ostra wspinaczka górska na lodowiec w Titan Mountains (góry sięgające 7000 m n.p.m.) narty wodne na jeziorach Gór Skalistych czy też zwiedzanie Parlamentu w Salt Lake City.

Wyjazd na pewno pozostawił mocny ślad w pamięci każdego Olzianina, a zespołowi otworzył drogę na festiwale całego świata.

MARTIN FILIPCZYK

FERDYNAND GOETZE



W związku z rozwojem ruchu spółdzielczego na Śląsku Cieszyńskim w okresie przedwojennym należałoby przypomnieć jedną z bardzo ważnych i ciekawych postaci związanych z tym ruchem. Ferdynand Goetze był inicjatorem i współzałożycielem wielu różnych organizacji społecznych i kulturalnych, których celem było wspieranie Polaków mieszkających w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego.

Ferdynand Goetze urodził się 20 grudnia 1885 w Karwinie w robotniczej rodzinie Kazimierza i Józefy z domu Sibińskiej. Sytuacja rodzinna Goetzów bardzo się skomplikowała w 1888 roku, kiedy ojciec Ferdynanda - Kazimierz przestał pracować w kopalni. Ferdynand Goetze był bardzo wątłego zdrowia i dlatego nie został przyjęty do szkoły. Dopiero w dziesiątym roku życia zaczął uczęszczać do szkoły w Suchej Górnej a później do Karwiny. Niestety jego edukacja szkolna trwała tylko niespełna osiem miesięcy, gdyż sytuacja finansowa rodziny była bardzo trudna. Zaczął więc pracować jako pomocnik murarski, naturalnie za bardzo niskie wynagrodzenie. Z powodu braku możliwości kształcenia się w szkole zaczął uczyć się sam na podstawie lektury i osobistych doświadczeń.

W 1900 roku został przyjęty jako pomocnik murarski przy budowie koksowni w pobliżu szybu Hohenegger. Po ukończeniu budowy został przyjęty do koksowni jako chłopiec - pomocnik. Po czterech latach przydzielono go do pracy przy płuczce. W 1907 roku zdał egzamin maszynisty i palacza w Opawie. Jako maszynista pracował do 1919 roku.

Ferdynand Goetze zaangażował się także w działalność polityczną wstępując 1 września 1909 do Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska Cieszyńskiego (PPSD), w ramach której później został członkiem miejscowego komitetu w Karwinie. PPSD była partią istniejącą od roku 1897, kiedy też uzyskała po raz pierwszy trzy miejsca w parlamencie wiedeńskim (Ignacy Daszyński, Jak Kozakiewicz, Petr Cingr), sama zaś wyłoniła się z Partii Socjalno-De-

mokratycznej, działającej w Austro-Węgrzech od roku 1892.

Gdy w roku 1919 wojska czeskie wkroczyły na teren Zaolzia, Ferdynand Goetze był przeciwny antagonistycznym i szowinistycznym tendencjom szerzącym się wśród robotników. Uczestniczył w posiedzeniach polskich i czeskich działaczy robotniczych i nawoływał ich do nawiązywania wspólnej współpracy. Z jego poparciem wydano ulotki zawierające antyszowinistyczne hasła. To było powodem, iż prezydium komitetu wykonawczego PPSD wstrzymało jego działalność w partii. Chociaż później odwołano to rozporządzenie, jak również zarzuty wobec jego osoby, Ferdynand Goetze nie mogąc pogodzić się z kierunkiem działań śląskiej PPSD wstąpił do założonej w 1920 PPSD w Czechosłowacji (na której czele stał Emanuel Chobot). Po podziale Śląska Cieszyńskiego w 1920 roku Goetze znalazł się w grupie członków PPSD w Czechosłowacji, która w czerwcu 1921 przekształciła się w Sekcję Polską Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Jednak w roku 1922 przeniósł się do Polskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej – powstałej w lutym 1921 z połączenia ostrawskiej PPSD w Czechosłowacji i frysztackiej PPS. Członkiem pozostał do wybuchu II wojny światowej.

Ferdynand Goetze był także członkiem pozostającego pod wpływem socjalistów Stowarzyszenia Kształcącego i Zapomogowego „Braterstwo", aż do ustania działalności karwińskiego Towarzystwa w 1918 roku. Wstąpił również do Stowarzyszenia Polskich Robotników i Robotnic „Siła" zaraz po powstaniu tej organizacji w 1908 roku w Cieszynie.



Rada Nadzorcza w r. 1925 (F. Goetze – I rz. 3 w lewo)

W 1921 roku został członkiem Zarządu Głównego „Siły", która po czeskiej stronie Śląska Cieszyńskiego przyjęła nazwę Polskie Stowarzyszenie Robotnicze Oświatowo-Gimnastyczne „Siła". Był także członkiem Rodziny Opiekuńczej, towarzystwa turystycznego „Beskid Śląski" a w latach 1915-1939 Macierzy Szkolnej.

Był aktywnym korespondentem socjalistycznej i związkowej prasy, w latach 1922-1925 wydawcą i redaktorem miesięcznika „Oświata", od 1 października 1930 redaktorem odpowiedzialnym „Gazety Górniczej", przez kilka lat działał też jako redaktor i wydawca „Kalendarza Robotniczego".

Nie stronił od pracy we władzach samorządowych. W roku 1912 został po raz pierwszy wybrany do przedstawicielstwa miasta Karwiny. Mandat ten piastował do 1920 roku. Ponownie wybrany został do przedstawicielstwa miasta Karwiny w 1929 roku. W 1934 roku został mianowany wiceburmistrzem Karwiny. Funkcję tę pełnił do 15 października 1938.

Ferdynand Goetze miał zasługi w wybudowaniu domów robotniczych, będących ośrodkami życia robotniczego i spółdzielczego, np. Domu Proletariuszy w Karwinie. Włączył się też w robotniczy ruch spółdzielczy, który od lat 1891-96 trafił na podatny grunt polityczny i społeczny w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim. W roku 1913 został członkiem a później prezesem Rady Nadzorczej Stowarzyszenia Spożywczego Robotników i Rolników w Karwinie. Od 5 grudnia 1915 został członkiem Rady Nadzorczej Centralnego Stowarzyszenia Spożywczego dla Śląska w Łazach (CSSŁ) a równocześnie likwidatorem sądowym majątku Stowarzyszenia Spożywców w Karwinie. W 1921 roku wybrany został prezesem Rady Nadzorczej CSSŁ i członkiem kierownictwa polskich stowarzyszeń spożywców w Czechosłowacji.

Po aneksji Zaolzia w 1938 roku władze polskie wprowadziły w CSSŁ kierownictwo urzędnicze - pomimo tego, że chodziło o polską organizację. Wspólnie z Piotrem Kornutą Goetze starał się o przywrócenie samorządu w CSSŁ. W czasie okupacji niemieckiej był nadal zatrudniony w CSSŁ, wówczas przemianowanym na Anfanggessellschaft für Kriegsteilnehmer Betriebe z siedzibą w Orłowej. W czasie wojny pracując w spółdzielni pomagał Polakom zatrudniając ich w sklepach, wspierając rodziny aresztowanych, wywiezionych lub pomordowanych Polaków.

Dnia 12 września 1944 został jako osoba niepewna wysłany na prace przymusowe do Makowa koło Żywca, skąd po tygodniu odesłano go z powrotem. Po powrocie już 18 września 1944 został aresztowany przez gestapo i wywieziony do Cieszyna, gdzie przebywał przez 7 tygodni. Później przewieziono go do więzienia w Mysłowicach a następnie do obozu koncentracyjnego w Gross Rosen (Rogoźnica), gdzie pracował w kamieniołomach. W końcu prze-

transportowany został do obozu koncentracyjnego przy zakładach Dora produkujących rakiety V1 i V2. W związku ze zbliżającym się frontem przewieziono więźniów do Belsen a następnie do Bergen. Dnia 16 kwietnia 1945 zostali wyzwoleni przez armię angielską.

Po skończeniu II wojny Ferdynand Goetze powrócił na Śląsk Cieszyński i włączył się w działalność społeczną i kulturalno-oświatową. Był jednym z głównych organizatorów Związku Więźniów Politycznych. W 1947 wstąpił do PZKO. Włączył się w starania o odrodzenie się stowarzyszenia „Siła" i wielu innych organizacji społecznych, między innymi Zarządu Stowarzyszenia „Dom Polski" w Ostrawie. Zmarł w Karwinie dnia 21 października 1969 roku w wieku 84 lat.

JAN KUBICZEK
(pracownik Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków w RC)

JUŻ NIE ZAŚPIEWA ...

Pod koniec ubiegłego roku Miejscowe Koło PZKO w Błędowicach pożegnało na zawsze śp. Annę Chmiel z domu Czyż, długoletnią członkinię Małego Zespołu Wokalnego.

Była dobrą koleżanką, życzliwa ludziom, kochała swoją pracę, a nade wszystko śpiew. Jej przywiązanie do Koła przejawiało się w szczerej trosce o nasz los.

„O ludziach dobrych nie mów, że umierają", nie umarła więc dla nas, żyć będzie długo w naszej świadomości.

Ciągle nam się zdaje, że jednak wróci i zaśpiewa ...

Mały Zespół Wokalny





MONIKA MILERSKA – WYSTAWA

Taki napis wisiał na budynku frysztackiej biblioteki w dniach od 24 stycznia do 21 lutego. Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie we współpracy z Urzędem Gminnym w Stonawie urządził wystawę obrazów i rysunków stonawskiej rodaczki Moniki Milerskiej.

Monika Milerska jest profesjonalistką w pełnym tego słowa znaczeniu. Ukończyła Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Bielsku-Białej a następnie Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. Nie poświęciła się jednak bez reszty twórczości artystycznej, na chleb zarabia prozaicznie, ucząc wychowania plastycznego w szkole podstawowej w Cieszynie. Jako członek Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego PZKO brała udział w plenerach malarskich, swe prace prezentowała na wystawach zbiorowych w Republice Czeskiej i w Polsce. Pierwsza indywidualna wystawa cykli rysunków Moniki Milerskiej, nazwana „Formy organiczne" i „Drzewa", odbyła się w kwietniu ubiegłego roku w Domu Polskim w Ostrawie.

Miłośnikom sztuki znana była Monika Milerska do tej pory przede wszystkim jako graficzka, podpisująca się często pod terminem „technika własna". Po pędzel malarski sięgała rzadko. Toteż wielkim zaskoczeniem i miłą niespodzianką stała się dla wszystkich wystawa jej najnowszej twórczości w bibliotece frysztackiej. Wystawa jest owocem ostatnich dwóch lat pracy autorki.

Kilkadziesiąt przybyłych na wernisaż osób, wśród których nie zabrakło również gości oficjalnych na czele ze starostą gminy Stonawa Andrzejem Feberem, podziwiało oprócz dwudziestu rysunków cyklu „Drzewa" ponad dwadzieścia prac malarskich artystki. Obrazy olejne stanowią również jeden cykl tematyczny. W wydanym do wystawy katalogu temat ten nazwany został ogólnie „człowiek i współczesny świat". Autorka podkreśla, że miejsce, w którym mieszka, nadgryziony zębem czasu dom, starający się oprzeć niszczycielskiej sile człowieka, podkopującego jego fundamenty, oraz widoczne z okien szyby pobliskiej kopalni, szpecące wiejski krajobraz, nie pozostają bez wpływu na odbieranie przez nią rzeczywistości. Przetworzony w sposób artystyczny świat ów wyrażony został w formie abstrakcyjnej, w niepokojących swymi ostrymi kolorami liniach czy plamach. W opozycji do tła obrazów występuje, wysuwająca się na plan pierwszy, realistycznie ujęta, łagodna zazwyczaj linia sylwetki człowieka, pozwalająca wierzyć, mieć nadzieję...

Zwiedzający wystawę z entuzjazmem odebrali nowe oblicze artystyczne Moniki Milerskiej, łączące profesjonalizm formy z dojrzałością wypowiedzi. Wystawa każe mieć nadzieję, że malarka sprawi miłośnikom jeszcze niejedną niespodziankę.

CZESŁAWA RUDNIK

◀ *rys. MONIKA MILERSKA*

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (4)

W SŁUŻBIE MONARCHY AUSTRO–WĘGIER

W Austrii i Niemczech ogłaszano od 1915 roku co kilka miesięcy zaciągi młodych, osiemnastoletnich rekrutów do wojska. Moloch wojny pochłonął setki tysięcy ofiar zabitych i rannych, lecz żądał stale nowych. Powołano więc również do wojska licznych moich braci cioteczncych i stryjecznych, a między nimi najbliższych mi braci cioteczncych Franciszka Brannego z Ropicy i Andrzeja Brannego z Żukowa Dolnego. Andrzej Branny, jeden z najzdolniejszych uczniów gimnazjum w Cieszynie, a jednocześnie jeden z pionierów i filarów polskiego klubu sportowego „Piast", złożył ofiarę ze swego młodego życia już w pierwszych walkach na froncie. Więcej szczęścia żołnierskiego miał Franciszek Branny z Ropicy, gdyż niedługo po wyruszeniu na front został ranny w nogę i w takiej sytuacji odwiedzałem go w szpitalu Sióstr Elżbietanek w Cieszynie.

W 1915 roku został również wcielony do jednego z pułków piechoty austriackiej mój współrodak i serdeczny druh Gajdaczek z Ropicy. Po dłuższym pobycie na froncie został ciężko ranny w nogę. Rana spowodowała stałe kalectwo, była jednak o tyle szczęśliwa, że obyło się bez zapowiedzianej przez lekarzy amputacji nogi.

W 1916 roku przyszła kolej na Adameckiego, Glajca, Niemca i na mnie. Kończyliśmy w tym roku osiemnaście lat i w dniu 11 maja przybyliśmy z naszymi rekruckimi kuferkami do wyznaczonych przez los garnizonów. Pożoga wojenna poniosła nas w różne zakątki monarchii. Odbywaliśmy służbę w różnych jednostkach wojskowych i dlatego kontakty osobiste między nami przestały istnieć.

Wyszkolenie rekruckie przyszło mi odbyć w kompanii jednorocznia-ków – podchorążych rezerwy przy batalionie zapasowym 31 pułku strzelców austriackich w Morawskiej Ostrawie. Wpajano nam tam w galopującym tempie różne arcymądrości praktyczne i teoretyczne, według których największa świętość to monarchia i najjaśniejszy pan, najpiękniejsza i najchwalebniejsza cnota to śmierć za najjaśniejszego pana, największy wynalazek na świecie to karabin maszynowy Schwarzlose, a największa i wszechstronna mądrość to pan frajter i pan kapral – instruktor.

W kompanii naszej było około 150 jednorocznia-ków – podchorążych rezerwy, a w tym około 35% Polaków, 30% Czechów, 30% Niem-

ców i około 5% Żydów i Rusinów. Każda grupa narodowościowa tworzyła poza ćwiczeniami swoje nieoficjalne, lecz odrębne kółka, w których rozmawiano, śpiewano i nieraz bawiono się i wydziwiano wyłącznie w swoim ojczystym języku, prowadzono często dyskusje, spory i polemiki światopoglądowe, polityczne itp.

Prowodyrem grupy polskiej był Aleksander Zadora z Karwiny, a grupie czeskiej przewodził Antoni Slavík, znany w kołach czeskiego sportu łyżwiarz. Polacy i Czesi trzymali się poza służbą z dala od Niemców i starali się ograniczać prywatne z nimi kontakty do minimum. Wśród Niemców wyróżniał się butą i pewnością siebie renegat polskiego pochodzenia Kożdoń z Cieszyna, którego Glajc posądzał o kontakty z policją i preparowanie donosów o naszej szóstce konspiracyjnej w gimnazjum. Kożdoń przebywał często z feldweblami w różnych knajpach i cieszył się u nich specjalnymi względami i łaskami.

Szybko przylgnąłem do Zadory i tym łatwiej mi to przyszło, że był mojego wzrostu, a na zbiórce kompanijnej w dwuszeregu był moim prawym sąsiadem. W wolnych chwilach w czasie sobotnich i świątecznych wieczorów chodziliśmy na krajoznawcze okoliczne włóczęgi, a czasem do kina. W pewną sobotę udaliśmy się do czeskiego teatru, aby podziwiać piękno muzyki i doskonałą grę aktorów w operze „Sprzedana narzeczona". Towarzyszył nam Antoni Slavík, który w czasie przedstawienia odsłaniał nam sekretne arkana i komizm akcji tej pięknej opery. Od tego czasu zadzierzgnąłem mocniejsze nici przyjaźni również z Antonim Slavíkiem, którego ochrzciliśmy z czeska Tondą. Chodziliśmy już później w trójkę na okoliczne spacery do Polskiej Ostrawy, do Witkowic, do Przywozu, do Mariańskich Gór itd.

W czasie tych spacerów prowadziliśmy obszerne dyskusje i spory światopoglądowe i polityczne, lecz najbardziej namiętnie spieraliśmy się na temat przyszłych losów Polski i Czech. Slavík był zdecydowanym panslawistą oraz zwolennikiem twórcy tej idei, to jest przywódcy czeskiego stronnictwa narodowo-demokratycznego i znanego polityka Kramáře. W tym duchu wychował Tondę Slavíka jego ojciec, zawołany adwokat i czeski działacz społeczny.

– Na cóż było wam Polacy mobilizować te legiony i dokąd was zaprowadzi ten wasz Piłsudski ze swoim świętym przymierzem z Austrią?! – odezwał się do nas w czasie przechadzki do ujścia Ostrawicy Slavík.

– Słuchaj Tondo – mówi do niego Zadora – widocznie nie znasz historii porozbiorowej Polski. Nie znasz na pewno piekła cierpień, jakiego doznawał Naród Polski pod rządami carów w okresie porozbiorowym, a najwięcej w okresach po zrywach niepodległościowych, a więc po powstaniu listopadowym w 1830 roku i styczniowym

w 1863 roku i nie dziwuj się, że Piłsudski maszeruje razem z Austrią. Wy Czesi – wiem o tym dobrze – wycierpieliście dużo od 1620 roku, to jest od czasu utraty waszej niepodległości, lecz przez trzy wieki waszej niewoli nie polało się w Czechach tyle krwi i łez, ile jej polało się przez jeden dziewiętnasty wiek pod nahajką w Księstwie Warszawskim! (Właściwie Królestwie Polskim – dop. red.)

– A no rozumiem cię, lecz w polityce trzeba być realistą i dlatego wy Polacy powinniście teraz w imię własnego interesu narodowego o tych krzywdach zapomnieć! Gdyż nas Czechów i was Polaków może tylko uratować wielka i potężna Rosja carska oraz trwała i wieczna przyjaźń i święte z nią przymierze. Inaczej uduszą nas Germanie oraz zaleje niemiecki „Drang nach Osten"!

– Nas Polaków i was Czechów – odpieram Slavikowi – łączy wspólne pragnienie odzyskania niepodległości, jednakże drogi nasze zmierzające do tego celu są różne, gdyż odmienna jest nie tylko nasza historia, lecz przede wszystkim nasze położenie geograficzne i nasza obecna sytuacja polityczna. Wy bracia Czesi znajdujecie się o tyle w lepszym położeniu politycznym, że macie do zwalczenia tylko jednego potencjalnego wroga to jest Austrię, a my Polacy żyjemy w rozpadzie pod knutem trzech możnych zaborców, to jest Austrii, Niemiec i Rosji, a najokrutniejszym z tych zaborców okazała się jak dotychczas nasza słowiańska matuszka Rosja, o czym świadczą fakty historyczne, o czym wie cały świat i o czym ty, również nasz brat i bliski sąsiad, powinieneś wiedzieć! I jeżeli Piłsudski sformował na terenie Austrii te legiony do walki z Rosją, to na pewno nie dlatego, że jest specjalnie zakochany w czarno-żółtej monarchii austriackiej i najjaśniejszym jej panie, lecz po to, aby Naród posiadał w obecnej sytuacji politycznej broń, oraz po to, aby wykorzystać obecną szansę dziejową i zamanifestować jeszcze raz przed całym światem, że Naród polski żyje i upomina się o swoje prawa! A są to myśli, słowa i opinie nie moje, lecz moich nauczycieli, takich jak legionista profesor Hajduk, jak mój profesor ksiądz Tomanek i wielu innych. Rozumiesz już teraz Tondo święty zapał naszej legionowej młodzieży?!

– Tu mówi przez ciebie wasz nieuleczalny polski romantyzm – przerywa Slavík – mój ojciec tak jak i ja jest wielkim przyjacielem Polaków. W swoich gawędach ze mną o Polsce i o Polakach wskazywał mi zawsze na wielkie ich bohaterstwo, odwagę i poświęcenie, lecz również na ich lekkomyślność i chroniczny brak patriotyzmu realistycznego. Dowodem tego chociażby te powstania, o których wspominacie. Za dużo tam upuściliście swojej krwi i w ogóle wiele w tych powstaniach straciliście, a właściwie nic nie uzyskaliście. I ten wasz Piłsudski z brygadą swoich legionistów też nic nie wskóra, gdyż o sprawie nie-

podległości tak Polski jak też i Czechów będą decydować zwycięskie państwa ententy, do których należy przecież i Rosja. A pamiętam o tym, co mi wpoił mój ojciec o zasadach patriotyzmu realistycznego. Otóż ten realistyczny patriotyzm polega na tym, aby od wroga najwięcej brać, lecz jak najmniej mu dawać. Prawdziwy patriotyzm to racjonalna oszczędność żywotności, sił i krwi Narodu – to zachowanie pełnego instynktu życia całego Narodu!

– Nie zgadzam się z tobą Tondo, że ofiara krwi naszych powstańców była lekkomyślna! Powstańcy nie byli przecież kupczykami, którzy obliczali swoje przyszłe szanse i korzyści, lecz byli przede wszystkim żołnierzami – patriotami, którzy z całą świadomością i dobrowolnie oddawali to, co mieli najdroższego, a więc krew i życie, gdyż święcie w to wierzyli, że ich ofiara jest konieczna dla wyzwolenia Polski z niewoli. I twierdzę stanowczo, że powstańcy byli realistami politycznymi, tylko realistami najprzedniejszego gatunku i z prawdziwego zdarzenia, gdyż przewodziła im dalekowzroczna, perspektywiczna, czy jak chcesz prorocza wizja niepodległej i szczęśliwej Polski, a nie jakieś sklepikarskie, egoistyczne i krótkowzroczne wyrachowanie. Poradź mi w końcu, Tondo, jak ma postępować nasza trójka, aby pozostać wiernym głoszonej tu przez ciebie teorii twojego realizmu politycznego?!

– Stosować na każdym kroku wszechstronny, lecz dobrze zamaskowany bierny opór. Stosować tak zwany mały sabotaż, lecz przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności. Istnieją setki a nawet tysiące sposobów stosowania tego sabotażu i bardzo to obszerny temat. Organizować dezercje do Rosji. I przyznam się, że przy pierwszej sprzyjającej okoliczności mam zamiar dostąpić tego dezerterskiego zaszczytu!

– Znacznie bliżej do Pragi z Paryża czy Rzymu, jak z Chabarowska lub chociażby z Moskwy – wtrąca Zadora. – Poza tym nie zdradzaj się tak głośno, ty realistyczny polityku z twoimi planami byle komu, bo Rosja jeszcze daleko, a znacznie bliżej jest na Szpilberg!

– Przysięgam, że tylko wam się pochwaliłem, gdyż wam wierzę i wiem o tym, że nigdy mnie nie zdradzicie!

– Pewnie, że nigdy! – zapewniliśmy Slavíka i uścisnęliśmy mu mocno ręce. Na znak dozgonnej przyjaźni, pomocy i na znak zgody, że będziemy wszyscy w trójkę stosować się do wskazówek naszego przybranego herszta Slavíka.

Zatułaliśmy się daleko za Ostrawę i rozmowie naszej towarzyszyła cicho szemrząca Odra. Po tamtej stronie Odry przypatrywał się nam w milczeniu pruski posterunek graniczny.

– Slavík ma świętą rację z wykładnią tego realistycznego patriotyzmu! – krzyknął mi na pożegnanie Zadora. – Prawdziwy patriotyzm

to budowa dobrobytu Narodu i szczęścia osobistego każdego z nas, a nie przysparzanie Polsce nowych masowych cmentarzysk.

W następną sobotę udaliśmy się wieczorem we trójkę na gulasz i piwo do restauracji w Domu Polskim, po czym Slavík zaproponował kawiarnię na Placu Teatralnym.

Tamże nadzialiśmy się niespodziewanie na dowódcę naszej kompanii porucznika Paulera. Siedział w towarzystwie mocno wydekoltowanej szansonistki, wydziwiającej piskliwym sopranem po niemiecku różne dość frywolne piosenki. Naszemu dowódcy asystował nieznany nam podporucznik, oraz – o dziwo! – nasz kompanijny kolega jednoroczniak Kożdoń. Na stoliku ich błyskały filiżanki z kawą, talerzyki z ciastkami i karafka „Cherry brandy". Byli mocno rozbawieni, lekko podochoceni i zdawało się, że nie zwracają wcale na nas uwagi, tym bardziej, że siedzieliśmy w przeciwległym rogu pełnej gości sali. Było już około dziesiątej wieczorem, spałaszowaliśmy więc szybko nasze ciastka, wypiliśmy kawę, Slavík zapłacił rachunek i chyłkiem opuściliśmy lokal.

W poniedziałek znaleźliśmy się w trójkę przy raporcie karnym za przekroczenie capstrzyku i niedbałe oddanie honorów. Każdy z nas został ukarany trzydniowym aresztem koszarowym. W czasie raportu zapytał nas Pauler, oczywiście po niemiecku, czy wiemy, za co nas ukarano, na co Zadora wzruszył ramionami i odpowiedział hardo po polsku:

– Nie wiem za co, a Kożdoń też powinien siedzieć!

Pauler zaryczał gniewnie z czeska: „Co nerozumisz i co newisz?!" – i zakończył raport po niemiecku: „Każdy z was po trzy dni aresztu ostrego ze szpangami!"

Odsiedzieliśmy więc te trzy dni w ścisłym poście w pojedynczych i ciemnych celach, gdzie skuto mi żelazną obrożą prawą rękę w przegubie i spięto skutą rękę tą samą obrożą z lewą nogą powyżej kostki.

– Już w pierwszych dniach zauważyłem – zwrócił się do mnie Zadora po odbyciu kary – że Kożdoń kręci się wśród nas i podsłuchuje, pije w kantynie z podoficerami i instruktorami.

– To stary znajomy z Cieszyna – wyjaśniłem Zadorze, – któremu kiedyś grupka chłopców polskich sprawiła tęgie lanie za prowokacyjne, obraźliwe antypolskie zaczepki. Podobno lizał kilkanaście dni po tej nauczce swoje siniaki i kulał nawet mocno, a teraz chciałby się mścić na swój nowy sposób. Jego ojciec jest robotnikiem placowym w fabryce i umie wybełkotać tylko kilka słów po niemiecku, bo pochodzi z którejś wioski koło Cieszyna a matka jest córką przybyszów z Galicji. Podobno jego stryjem jest ten słynny Kożdoń ze Skoczowa, nauczyciel, wydawca i redaktor renegackiego

tygodnika „Ślązak" opłacanego przez Payera, dyrektora komory i dóbr arcyksiążęcych.

Tresura rekrucka w kompanii jednoroczniaków połączona z idiotycznymi szykanami, którymi popisywali się różnej maści feldweble i zupacy, zelżała po trzech miesiącach. W początku sierpnia odbyły się egzaminy ze znajomością regulaminów służby polowej, służby wewnętrznej, instrukcji strzeleckiej itd.

Nasz turnus szkolny został rozwiązany, a jednoroczniacy wysłani do szkoły oficerów rezerwy w Opawie. Pojechali tam wszyscy z wyjątkiem niemieckiego Żyda – izraelity Reicherta, który zachorował na czerwonkę, jednego Niemca, którego zwolniono z wojska na skutek reklamacji, Czecha Slavika, Zadory i mnie.

Porucznik Pauler wybełkotał nam w czasie ostatniej zbiórki, takie oto morały: – Osoby politycznie podejrzane nie mogą liczyć w monarchii na osiągnięcie takiego zaszczytu jak uzyskanie stopnia cesarsko-królewskiego oficera rezerwy. Posiadacie jednak dogodną sposobność do poprawienia sobie opinii na froncie i dlatego zostaliście wyznaczeni do batalionu, który w niedługim czasie wyjedzie na front rosyjski celem uzupełnienia stanu bojowego walczącego tam pułku.

Takie „dictum acerbum" porucznika Paulera przyjąłem z Zadorą ze stoickim spokojem, a Slavík z wesołym i figlarnym uśmieszkiem.

Zostaliśmy więc politycznie wyróżnieni i nazajutrz znaleźliśmy się w drugiej kompanii zapasowej. Dowodził nią oficer zawodowy pochodzenia polskiego kapitan Panek, niestety podobno rodzony brat jednego z naszych dawnych profesorów gimnazjum polskiego w Cieszynie. Opowiadano nam, że nie był dotychczas ani jednego dnia na froncie i dokładał wszelkich starań, aby przeżyć wojnę w „hinterlandzie" czyli w błogim i bezpiecznym zapleczu frontowym oraz z dala od śmiercionośnych kul i niewygód wojny.

Sierżantem szefem tej kompanii był zawodowy feldwebel Schurmann z Cieszyna–Brandysu, typowy zupak i krzykacz, który również nie wąchał prochu frontowego, nie widział trupa ani eksplozji pocisku armatniego. Był wzorem tępego stupajki wojskowego, mistrzem bezmyślnego drylu koszarowego, świetnym reżyserem raportów karnych i nadgorliwym egzekutorem często inspirowanych przez niego i nakładanych obficie przez kapitana Panka kar dyscyplinarnych.

Kapitan Panek jako ojciec kompanii a feldwebel Schurmann jako matka tej samej kompanii byli szczęśliwie dobranym małżeństwem pobekującym u czarno-żółtego żłobka cesarsko-królewskiej monarchii. Doskonale rozumieli się na migi we dnie i w nocy.

c.d.n

ALOJZY NOWOK

"OLZIANKA" I "OLZIOK"

„Naród, który śpiewa, nigdy nie umiera" - taka była zawsze naczelna dewizja łęckich działaczy społecznych na przestrzeni całych lat.

Dochowana dokumentacja potwierdza istnienie chóru męskiego Macierzy Szkolnej z roku 1933, równocześnie z chórem mieszanym. Choć najstarsi ludzie z uporem twierdzą, iż zorganizowane śpiewactwo w Łąkach sięga lat założenia Towarzystwa Szkoły Ludowej - Koła Macierzy *Szkolnej po 1907 roku. Zawieruchy wojenne i polityczne nie oszczędziły dokumentacji, w szczególności tej o polskim charakterze.*

Może zacny jubileusz 50-lecia PZKO obudzi ludzkie sumienia i pomoże odtworzyć i zachować wszelkie znaczące źródła dokumentacji naszego istnienia!

Śpiewano więc w Łąkach od prawie 90 lat. Śpiewano z potrzeby serca, sobie i muzom, w czasie smutku i wesela. Okupacja przerwała chwilowo publiczne śpiewanie chórowe. Lecz z tym większym optymizmem przystąpiono do odrodzenia chlubnej tradycji chórowego śpiewu.

Przezacny ks. proboszcz T. Gorgosz otwarł podwoje miejscowej plebanii dla chórowego śpiewania. Rewelacyjna organistka, pani Bronia Morys, potrafiła nie tylko skupić garstkę pierwszych zapaleńców, lecz szczególnie prowadzić bardzo ciekawie wszelkie próby, na które warto było przychodzić. Śpiewano najpierw dla upiększenia polskich nabożeństw w kościele. Następnie występowano na pogrzebach jak i weselach.

W 1947 roku rodzi się PZKO i SMP, więc powstają nowe warunki dla społecznego działania. Dyrygencką pałeczkę przejmuje w chórze mieszanym rzutki i ofiarny nauczyciel Edward Pawlik. Dzięki jego umiejętnościom, sprawności i zapałowi chór staje się widoczny na wszelkich imprezach polskich i gminnych. Lecz lata spędzone w obozie koncentracyjnym podkopały zdrowie tego zacnego pedagoga. Musi pożegnać się z chórem, szkołą oraz aktywnością społeczną.

Odtąd jak w kalejdoskopie zmieniają się następni dyrygenci: Kazik Chlebik, Władysław Kokotek, Józef Burek i w końcu Antoni Ździebło.

Mijają lata, zmieniają się warunki, wykruszają się szeregi starszych zapaleńców amatorskiego śpiewania. Rzedną szeregi chóru męskiego, który przerodził się z mieszanego. I wtedy to, w 1963 roku, garstka zapaleńców płci pięknej postanowiła na upartego kontynuować łęckie chórowe śpiewanie. Parę wstępnych prób prowadzi znana już wtedy świetna solistka pani Jadzia Kałużanka, poniekąd eks-łęczanka. Następnie dyrygencką batutę obejmuje ofiarny działacz i społecznik, nauczyciel Antoni Ździebło. Pomimo trudnych warunków (był nauczycielem uczącym po drugiej



Chór żeński „Olzianka" 21. 5. 1988 (25-lecie)

stronie Olzy) na swym stanowisku wytrwał dwa lata. Teraz przełomowym rokiem stanie się rok 1965, kiedy kierownictwo chóru żeńskiego przejmuje wielce zasłużony i ceniony dyrygent, pan Józef Firla ze Stonawy. Stworzył on chór z prawdziwego zdarzenia. Chór żeński występował teraz na wszystkich imprezach i akcjach w Łąkach. Oklaskiwano go w Boguminie, Oldrzychowicach, Karwinie, Cieszynie i w wielu dalszych miejscowościach. Występował na wszelkich konkursach, przeglądach czy festiwalach, organizowanych przez ZG PZKO. Laury i uznanie zbierał w Polsce - w sąsiednim Pogwizdowie, lecz i dalej - Wrocławiu; gościł także na antenie rozgłośni Katowice.

W roku 1971 na Jubileuszowym Koncercie z okazji 25-lecia PZKO w Łąkach, chór z dumą przyjął nazwę „Olzianki". Na „Olzianki" jak z rogu obfitości posypały się dalsze odznaczenia, akty uznania i nagrody. Oprócz wielu Dyplomów Pamiątkowych, była to Brązowa Odznaka Honorowa III stopnia Związku Polskich Chórów i Orkiestr w Warszawie, list z podziękowaniem za udział w Spotkaniu i Koncercie Zbiorowym Chórów i Orkiestr w Wrocławiu, dalej Srebrna Odznaka II stopnia Związku Polskich Chórów i Orkiestr w Warszawie i w końcu w 1978 r. Odznaka PZKO „Za zasługi" oraz wiele jeszcze innych zaszczytnych odznaczeń i wyróżnień.

Wysoki poziom artystyczny „Olzianki" nieraz oceniło wielu wybitnych fachowców i znawców chóralnego śpiewu.

O ogromie pracy i wysiłku, zarówno chóru, jak i dyrygenta zaświadczyć może kilka danych. Józef Firla skomponował - tylko dla „Olzianki" - 9 pieśni. Podczas 960 prób opracowano 82 pieśni chóralne.

Przez całe chlubne 25-lecie owocnej działalności przewinęło się tutaj przeszło 50 chórzystek. Wiele z nich pomimo prób i występów, aktywnie uczestniczyło w pracach Zarządu MK, udzielało się w wszelkich imprezach Koła. W ostatnich latach wiele z nich ofiarnie dojeżdżało nawet z odleglejszych stron: z Karwiny, Cieszyna czy Trzyńca.

Większość chórzystek poszczycić się może odznaczeniami związkowymi. Wiele z nich posiada najwyższe odznacznia PZKO, w tym „Zasłużony dla Związku" - I, II i III stopnia.

Mocną stroną łęczan jest ich humor. W ostatnich dziesięcioleciach czołową postacią w łęckiej PZKO-wskiej działalności na tym polu był Tadeusz Chrząszcz. Jego życiowy optymizm, ostry język, wrodzony zmysł komediowy pozwalały mu na stworzenie librett, których nie powstydziłby się niejeden zawodowy satyryk.

Pracę społeczną w PZKO rozpoczął od reżyserii sztuk scenicznych, stąd wiele komediowych (Pan Jowialski, Pan Geldhab i inne). Następnie były to pamiętne wieczorki, pełne jędrnego humoru i satyry, pt. „Przy sobocie, po robocie". Dalej były to soczyste obrazki z życia pełne ludowego kolorytu, jak „Starzykowe urodziny", „Pod gazdowóm stodołóm" itp.

Pod koniec 1977 roku, w głębokiej tajemnicy, organizuje „płeć brzydka" - proponując nową formę kreacji humoru - kabarecik. Wreszcie 25 listopada 1978 na uroczystej akademii z okazji 15-lecia „Olzianki" po raz pierwszy przedstawił się „Olziok":

„Hej, drogie nasze Panie,
kiej sławy się dożyły,
Hej, sukces ich największy,
kiej „Olzioka" powiły...

Popłynęły parodie pieśni, kpiące z własnych i cudzych słabości. Potem już żadna z imprez nie mogła się obyć bez miłego „Olzioka". Wkrótce też „Olziok" przekracza granice Łąk, jest wprost rozchwytywany na PZKO-wskich imprezach w sąsiednich wsiach i miasteczkach regionu. Zbiera zasłużone oklaski w niedalekich Olbrachcicach, podbija Darków, Raj, Karwinę, Orłowę i Bogumin. W swej zwycięskiej marszrucie dotrze w najdalsze zakątki „goralije".

15 maja 1982 roku w jubileusz 5-lecia poszczycić się może 39 występami poza granicami Łąk, także w Polsce - w Pogwizdowie, często razem z „Olzianką".

Wtedy jednak los Łąk był już przesądzony - postępowała ich fizyczna



„Olziok" i część „Olzianki" (15. 3. 1981) – fot. TADEUSZ GABRYŚ

likwidacja i ich wyludnianie się. Odbiło się to dotkliwie na organizacyjnych zajęciach Koła jak też zespołów.

Najpierw, w zupełnej ciszy, 1 września 1982 nie podjęła nauczania polska szkoła. W listopadzie 1987 ulegnie ona fizycznej zagładzie, a wraz z nią ostatnia - trzecia z kolei - świetlica PZKO.

11 października 1986 odbyła się wzruszająca impreza, ostatnia w PZKO-wskiej świetlicy w polskiej Szkole Ludowej - pomimo minorowych nastrojów dały swój popis „Olzianka" i „Olziok". Niebawem utraciły one własny dach nad głową, warunki do spotkań, prób i imprez. Pozostało zbieranie się w prywatnych domach społeczników. Zadziałała jednak niezłomna wola doczekania się przynajmniej 25-lecia umiłowanej „Olzianki". Na próby przyjeżdżali nadal członkowie z bliska i z daleka. W tym hardym czasie również „Olziok" może poszczycić się przeszło setką występów, tyle że poza granicami Łąk.

Wreszcie 21 maja 1988 odbyła się uroczysta akademia wieńcząca 25-lecie „Olzianki", przy pełnej świadomości, iż jest to impreza kończąca jej chlubną i owocną działalność. Po raz ostatni zabrzmiały melodie w niezrównanym wykonaniu Jubilatki. Wśród długiego szeregu gratulantów nie zabrakło oczywiście „Olzioka", który wystąpił z właściwym sobie tupetem i wisielczym humorem. A przecież i jego los był przesądzony...

Niemniej jeszcze 22 czerwca 1988 „Olzianka" występuje publicznie po raz ostatni dla TV Katowice i zostaje zaprezentowana 9 września 1988 o godz. 17.45 w programie katowickiej telewizji pt. „Cena węgla". W końcu 16 września 1989 na tradycyjnych „Dokopkach" łęccy Polacy pożegnali swój ukochany „Kamieniec" w parku szkolnym, koło Olzy. Odtąd corocznie odbywają się tylko wspomnieniowe spotkania byłych „Olzianek".

Przez te zasłużone zespoły „Olzianka" i „Olziok" przewinęło się mnóstwo młodych i starszych działaczy, jak Józef Pribula, Karol Tomiczek, Stanisław Kula, Fryderyk Wenglorz, A. Noszko. W „Olzioku" pierwsze ostrogi zdobywał Tadeusz Filipczyk, znany dziś „gorolski Filip".

Trzeba wierzyć, że trud, zapał i ofiarność łęczan dzięki działaniu ducha wyda jeszcze kiedyś owoce w ich dzieciach i wnukach, że wspomnienia nie odejdą wraz z nami.

...Płyń nam Olzo, szum wodami, ukój serca stęsknione.
I tych co z Łąk wyprowadzeni, zerkają w Twą stronę.
Płyniesz przez nasz kraj rodzinny, jako w nas krew płynie,
Póki zgodnym płynie rytmem, polskość nie zaginie!!" (Wanda Pribula)

JÓZEF KULA

rys. DARIA KRYGIEL ▶



SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Przesyłam mój krótki życiorys żądany przez Pana. Napisany dosyć niedbale, bo napisany w łóżku, lecz myślę, że Pan to przeczyta.

Z poważaniem

Wiktor Sembol

dnia 29 maja 1966

P.S.: Zdrowie moje się nie poprawia i zdaje się, że trzeba będzie zakończyć tę ziemską wędrówkę.

Red.: Adresatem tego listu jest Władysław Oszelda. Dzięki niemu znany frysztacki drukarz i działacz narodowy i robotniczy, zmarły w 1968 roku przedstawia się nam we własnej osobie w krótkim szkicu o swoim życiu. W 1966 roku Władysław Oszelda i Wiktor Sembol wierzyli, że ten tekst ujrzy światło dzienne. Tekst publikujemy bez zmian.

WIKTOR SEMBOL WE WŁASNYCH OCZACH

Było to dnia 1 lutego 1884, kiedy przyszedłem na świat w dawnej Karwinie, tam, gdzie jest kopalnia dawnej Barbary. Ojciec mój był wyuczonym kowalem, lecz kowalka mu się po wyuczeniu nie spodobała, więc poszedł pracować na kopalnię, gdzie pracował aż do końca swego życia. Umarł w osiemdziesiątym roku swego życia.

Do szkoły zacząłem chodzić w Karwinie, nie mając jeszcze sześć lat. Początkowo chodziłem do szkoły przy starym kościele a następnie na szybie Henryka. W szkole w nauce robiłem dobre postępy. Było nas w domu pięcioro dzieci, ja byłem najstarszy. Dlatego, że zarobki górników były bardzo niskie, to bieda wyglądała z każdego kąta. Więc jak mi było osiem lat, oddał mnie ojciec na służbę do gospodarza, u którego mieszkaliśmy, gdzie pasałem krowy, a kiedy miałem jedenaście lat, poszedłem ku murarzom cegłę nosić, albo też wykonywać inne, drobniejsze prace. Pracowało się dwanaście godzin dziennie, za co otrzymywałem 45 grajcarów 90 hal. na dzień. Pracowałem przy murarzach zawsze przez wakacje, które wówczas trwały sześć tygodni. Mając czternaście lat zostałem zwolniony ze szkoły, a za trzy dni już mnie prowadził ojciec na kopalnię Franciszka w Karwinie do pracy. Nie podobała mi się praca górnicza, lecz musiałem ojca słuchać.

Ojciec mój był socjalistą i był jednym z pierwszych, który pracował z Cingrem, który przyszedł z Dolnych Czech do Zagłębia. Przysłuchu-

jąc się debatom mojego ojca z innymi górnikami o socjalizmie i o nędzy i biedzie, w jakiej żyją górnicy, zostałem nasiąknięty socjalizmem, a usposobienie moje nasiąkło rewolucjonizmem.

W roku 1900 wstąpiłem już do partii socjalno-demokratycznej. W tym samym roku wybuchł w Austrii historyczny strajk górników, w którym brało udział 70 000 górników. Ja sam sprawowałem funkcję kolportera gazety „Równość", która była organem strajkujących górników. Mieszkaliśmy w mieszkaniu kopalnianym, z którego zaraz po strajku zostaliśmy wraz z ojcem wyrzuceni. Niejednokrotnie przychodziłem z dozorcami z powodu szykan do konfliktu. Aż pewnego razu, kiedy znowu miałem poważniejszy konflikt z nadsztygarem, zostałem wyrzucony. Przepracowałem na szybie Franciszki coś przez trzy lata. Po odejściu z Franciszki poszedłem na szyb Hohenegera, gdzie również nie pracowałem długo, bo kiedy widziałem, że stosunki są na Hohenegerze jeszcze gorsze niż na Franciszce, a kiedy się dowiedziałem, że zostanę z pracy zwolniony, zostałem więc w domu i więcej na kopalnię nie poszedłem. Całej mojej pracy na kopalniach było pięć lat.

Gospodarz, u którego dawniej mieszkaliśmy z rodziną, a u którego pasałem krowy, był również gospodzkim. Ten, gdy byłem u niego w gospodzie zrobił propozycję, ażebym poszedł do niego za kelnera. Propozycja ta mi się spodobała, dlatego że praca kelnera nie była tak mozolna jak praca w kopalni, a za drugie, że nie będę więcej od dozorców szykanowany. Gospoda ta została zlikwidowana, a ja poszedłem na posadę obok do sąsiedniej gospody. Będąc jeszcze górnikiem byłem także członkiem Towarzystwa Szkoły Ludowej, gdzie należałem do kółka amatorskiego, w którym brałem czynny udział. Jako kelner już nie mogłem należeć do kółka amatorskiego, na co nie pozwalał mi czas. Za to ale pisałem dużo do gazet jak „Głos Ludu Śląskiego", później „Równość", „Rolnik Śląski", „Górnik" no i jeszcze inne. Za niedługo doszedłem do przekonania, że zawód kelnerski nie jest zatrudnieniem dla mnie.

W międzyczasie ożeniłem się, mając 25 lat. Jak już wspomniałem, zawód kelnerski nie podobał mi się i dlatego nienawidziłem pijaństwa, z którym spotykałem się codziennie w gospodzie. Najbardziej nie podobały mi się kłopoty z pijakami. Postanowiłem przeto wyszukać sobie inne zajęcie, które mi się zaraz trafiło w konsumie „Postęp" przy szybie Henryka w Karwinie. Będąc w Karwinie zatrudniony, miałem więcej czasu i mogłem już oddawać się pracy społecznej. Byłem więc członkiem PPSD i członkiem „Siły". Znalazłem się nawet w zarządzie obu organizacji. Będąc członkiem dwu towarzystw socjalistycznych, spotykałem się z tej okazji dużo z wodzami socjalizmu jak Bergerem, Cingrem, Daszyńskim, Kłuszyńską, Kunickim i wielu jeszcze innymi. Reger, który był redaktorem „Robotnika Śląskiego", zawsze narzekał na brak funduszów dla wydawnictwa. Jest prawdą, że gazety partyjne żyły ciągle w ciężkich warunkach finansowych. I nie raz wspominał,

że trzeba byłoby założyć jakąś drukarnię, ażeby ta drukowała gazetę za tańszą cenę, bo prawdą jest, że gazety w prywatnych drukarniach były bardzo drogie.

We Frysztacie powstała w roku 1911 nowa firma drukarska „Suchanek i Spółka", która była wykupiona przy pomocy Friedla, dyrektora Banku Rolnego, z rąk Niemca Aschmana. Trzeba wspomnieć, że Friedel był założycielem Stronnictwa Ludowego na Śląsku Cieszyńskim (Polskiego Stronnictwa Ludowego – 1906 r. – red.). Miało ono swoją siedzibę we Lwowie. Jego to czynnością było wykupywać małe zakłady z rąk niemieckich i oddawać je do rąk polskich. Miasto Frysztat uchodziło za czysto niemieckie, gdzie do roku 1918 nie było ani jednej szkoły polskiej.

Drukarnia, o której powyżej wspomniałem, również borykała się trudnościami finansowymi a to z powodu braku zamówień. Pewnego razu, kiedy przyszedłem z zamówieniem do drukarni, kierownik zrobił mi propozycję, ażebym przystąpił jako wspólnik i że mam duże znajomości, przez co mogę przysporzyć drukarni dużo zamówień. Ja wspomniałem o tym Regerowi, który zaraz zaczął mnie namawiać, ażebym do drukarni wstąpił i ażeby się postarać o to, by drukarnia stała się drukarnią partyjną. Ja jednak nie myślałem tworzyć drukarni partyjnej, lecz postanowiłem za członka wstąpić, przy czym poszukałem jeszcze innych wspólników. Było nas razem dziewięciu a to czterech urzędników, trzech górników i dwóch ślusarzy. Kapitał zakładowy wynosił 20 koron austriackich. I tak została założona we wrześniu 1912 roku spółka drukarska pod firmą – Ludowa Drukarnia, Spółka z Ograniczoną Odpowiedzialnością (poręką). No i jest prawdą, że drukarnia się rozwijała, bo miała dużo zamówień oprócz czterech gazet. Kierownikiem drukarni zostałem wybrany ja sam. Miałem początkowo duże trudności, lecz przez pracę zostały pokonane. Pewnego razu, a było to w czerwcu 1910 roku, spotkała mnie dosyć nieprzyjemna przygoda. Jednej czerwcowej niedzieli w południe wybuchł w kolonii na szybie Henryka pożar. A że było to w niedzielę, zbiegło się zaraz więcej jak trzysta ludzi. Przyjechały zaraz dwie straże pożarne, no i zjawiło się aż siedmiu żandarmów, którzy zaczęli napędzać do pompowania wody. Było to w niedzielę po wypłacie, a że już było popołudniu znalazło się między zgromadzonymi dużo, mniej lub więcej, pijanych. Zdarzyło się, że jeden z żandarmów trafił na pijanego górnika, którego również napędzał do pompowania wody. Lecz ten, będąc pijany, nie chciał żandarma posłuchać, wskutek czego żandarm go aresztował. Inni górnicy nie chcieli na to pozwolić. Więc wszystkich sześciu żandarmów wzięło górnika między siebie i poprowadzili. Tymczasem większość zgromadzonych poczęła się posuwać za żandarmami i wiele nie brakowało a byłoby przyszło do starcia. Więc komendant dał żandarmom rozkaz do prędkiego biegu a kiedy żandarmii oddalili się od tłumu jakie 50 kroków, dał rozkaz zwrot w tył i ładować karabiny. Nie wiele brakowało a byłoby doszło do

krwawego starcia, więc widząc, co się dzieje, wystąpiłem prędko przed tłum, który udało mi się zatrzymać. Kiedy tłum się zatrzymał, podszedłem do żandarmów i łagodnym głosem prosiłem, czy nie mogliby aresztowanego zwolnić, lecz komendat dosyć nieprzyjemnie mi odpowiedział, że jest to niemożliwe, dlatego że został aresztowany w imieniu prawa. Przyrzekł jednak, że na drugi dzień zostanie zwolniony. Z tą odpowiedzią wróciłem i zwróciłem zgromadzonym uwagę, aż nie robią głupstwa, bo mogłoby to się źle skończyć, ponieważ – jak widzą – żandarmi stoją i mają karabiny gotowe do strzału. Paru pijanych nie chciało usłuchać lecz większość usłuchała i tłum się rozszedł. Byłem przekonany, że sprawa została pomyślnie załatwiona, z czego byłem zadowolony. Lecz cóż się nie stało. Na szósty dzień zjawiło się u mnie dwóch żandarmów, ażeby zrobić ze mną protokół z powodu mieszania się do spraw urzędowych, ponieważ jeden żandarm, który aresztował pijanego górnika, zrobił na mnie takie doniesienie. A jemu się też przy rozprawie rozchodziło o to, że nie doszło do strzelania a przy rozprawie oświadczył, że jestem „arbeiterführerem" co zadecydowało o zasadzeniu mnie na siedem dni aresztu.

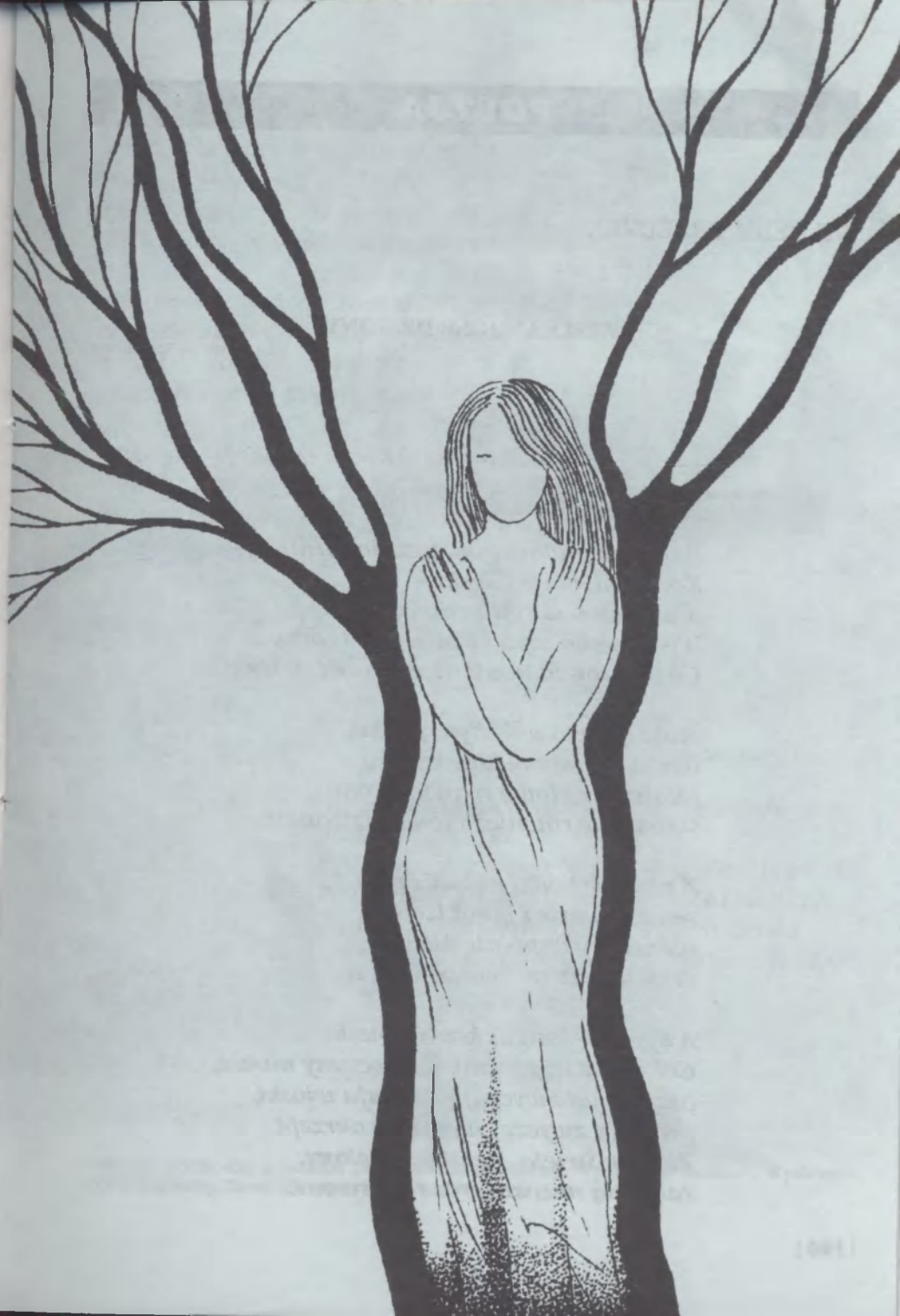
W roku 1914 wybuchła pierwsza wojna światowa, no i musiałem pójść i ja. Lecz nie byłem tam długo, bo w październiku 1914 zostałem bardzo ciężko ranny. Obie nogi przestrzelone szrapnelem tak, że zostałem kaleką aż do śmierci. Przeleżałem pięć miesięcy w szpitalu a następnie zostałem z wojska zwolniony jako niezdolny do jakiejkolwiek służby wojskowej. Końcem lutego 1915 już byłem z wojny w domu. Przejąwszy drukarnię ma się rozumieć, że za gazety partyjne obniżyłem (opłaty) do minimum, tak, że „Robotnik Śląski" mógł dalej wychodzić. Po skończeniu wojny, kiedy doszło do zatargu między Czechami a Polakami z powodu Śląska Cieszyńskiego, jako Polak brałem udział czynny w agitacji za przyłączeniem Śląska Cieszyńskiego do Polski, z powodu czego musiałem Karwinę opuścić i przenieść się do Bystrej przy Bielsku, gdzie zostałem przez kilka tygodni, do czasu aż gorąca sytuacja cośkolwiek się uspokoiła. To jest kiedy została utworzona przez Komisję Aliancką linia demarkacyjna. Kiedy została utworzona w Cieszynie Polska Rada Narodowa, zostałem wybrany na jej członka, w której to funkcji jako zastępca Polskiej Partii Socjalistycznej zostałem aż do roku 1920, to jest do czasu rozgraniczenia Śląska Cieszyńskiego. Do końca 1920 mieszkałem w Karwinie. Z początkiem zaś roku 1921 przeprowadziłem się do Frysztatu. Po wojnie zostałem wybrany za przewodniczącego Koła PPS (od roku 1921 Polska Socjalistyczna Partia Robotnicza – red.), którą to funkcję piastowałem aż do przychodu Niemców. Dalej należałem do Związku Polaków w Czechosłowacji, do Macierzy Szkolnej, do „Siły" i do Czesko-Polskiego Klubu, który miał swoją siedzibę w Ostrawie.

Przy pierwszych wyborach zostałem wybrany do zastępstwa gminnego, po rozgraniczeniu zostałem wybrany jako pierwszy zastępca burmistrza. Była to jedna z najcięższych funkcji, jakie kiedykolwiek

piastowałem. Ponieważ byłem samodzielny, nie musiałem mieć strachu, że zostanę z pracy wyrzucony, dlatego też wszystkie sprawy dotyczące obrony ludności polskiej musiałem zawsze na wszystkich posiedzeniach po większej części sam referować i sam zastępować, ponieważ Wolf, który także był członkiem zastępstwa gminnego, jako poseł do parlamentu, nie zawsze mógł być na posiedzeniach. Z tego też powodu byłem czeskim szowinistom solą w oku i byliby radzi pozbyć się mnie za każdą cenę z zastępstwa gminnego. Używali też więc przeciwko mojej osobie różnych sposobów, ażeby mnie usunąć. Szowiniści czescy poszli tak daleko, że sobie namówili jednego policjanta, który na Sylwestra kontrolował bilety wstępu czy te są opodatkowane, ażeby ten oskarżył mnie o gwałt publiczny przeciwko urzędowej osobie. Kiedy ów policjant przyszedł pijany jak bela na zabawę kontrolować bilety, to jeden z obecnych, który był przy kasie, chwycił policjanta za kołnierz i wyrzucił do pokoju, gdzie się zabawa nie odbywała. Ja stałem w bliskości kasy przypatrywałem się tej scenie. Policjant, który był pijany, w ogóle nie wiedział kto go wyrzucił. Lecz widząc, że ja stałem w bliskości, zrobił na mnie doniesienie, iż ja go wyrzuciłem a wziął sobie za świadka kompana również pijanego, który z nim chodził. Pomimo, że ja byłem zastępcą burmistrza, czyli, że ja byłem jego nadrzędnym organem, zostałem oskarżony o gwałt publiczny. Podałem ośmiu świadków, którzy również widzieli, że nie ja go wypchnąłem do drugiego pokoju, on miał świadka tylko swojego kompana, to sąd uwierzył jego jednemu świadkowi, a moim świadkom zarzucił, że kłamią. Proces trwał od Nowego Roku aż do sierpnia. Podczas procesu dowiedziałem się dopiero, że był to proces skonstruowany przez szowinistów czeskich, ażebym został zasądzony i tym sposobem usunięty z zastępstwa gminnego. Dowiedziałem się to tym sposobem, że kiedy pewnego razu byłem w kancelarii burmistrza, ten wysunął mi propozycję, ażebym złożył mandat w zastępstwie gminnym a proces będzie zaraz skończony. Zaraz wiedziałem, o co chodzi. Ma się rozumieć, że na to nie przystałem. Proces więc postępował dalej, tak aż się wtrąciło do tego radio katowickie. Kiedy czynniki w Pradze się o tym z radia dowiedziały, przyszedł z Pragi nakaz proces przeciwko mnie zaraz skończyć, co się też stało, a sąd wydał salomonowy wyrok. Sembol się skarżonego przestępstwa dopuścił, lecz nie wiedział czy policjant był w służbie (był w cywilnym ubraniu, a nie w uniformie). Dlatego sąd wydaje wyrok uwalniający mnie od kary. Sąd nie mógł innego wyroku wydać, ponieważ w przeciwnym razie byłby musiał policjanta i jego świadka oskarżyć o fałszywą przysięgę. Tymczasem ja czynu tego się nie dopuściłem, a z drugiej strony policjant nie był już osobą urzędową, bo przyszedł kontrolować o godzinie 12-tej w nocy, a jego służba trwała tylko do godziny 12-tej.

(dokończenie w następnym numerze)

rys. DARIA KRYGIEL ▶



WILHELM PRZECZEK

WIELKANOCNE DZWONY

Gustawowi Sajdokowi

Baranki, malowanki, tęczowe pisanki,
Kocianki, białe pianki –
A wszystko w żółtko dnia!
Wiatr niebo czyści i zabójczo tańczy
Gdzieś ponad nami dzwonne Bim-Bam...

Małe gąsięta w żółtym puchu,
obnoszą równowagę kruchą,
jałowiec z głową rozwichrzoną
skłonił się również mowie dzwonów.

Z nieba schodzi miłość czuła,
serca otwarte i jakoś lżejsze,
śpiewamy wspólnie Alleluja,
drży rozdzwonione powietrze.

A dyngus-śmigus kropidłowski
Chłopcy z wiadrami, dziewczyny mokre,
przystanął zwyczaj na skraju wioski,
prastary zwyczaj wyraźnie okrzepł.
Zielone Święta, świat jest zielony,
radością musisz serca rozdzwonić.

ZIELONY POTOK

Wiatr lekko drzewa dłońmi łaskocze
bawi się liści grubym warkoczem
Zieleń łagodnie po świecie stąpa
Wiosna rozbiła namiot na łąkach

Z promieni słońca dzień splata wstążkę
złote pieniążki wśród trawy skrzą się
dzieci obnoszą radosne twarze
pszczoły całują pyzate bazie

Świat jest po zimie dziwnie zielony
Słońce za nami cały dzień goni
Zygzak jaskółki zmienił się w złoto
Toniesz w radości – zielony potop

PĘKNIĘTY KRZYŻ

Pamięci Pawła Kubisza

Na trzynieckim cmentarzu krzyż rozdwojony
jakby nagle pękł
z prywatnych wnęk po latach wyłazi prywata
Po twardej zimie niezwykły PRZEDNÓWEK
Za ślubami wierności idzie miłość czysta
Kolejny dzień zapomniany zmartwychwstał

Wiersze pochodzą z tomiku „Małe nocne modlitwy. Wpisane w Beskid", Wydawnictwo Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, Cieszyn 1996.

KAROL KUBAJ

GŁĘBOKI WDECH

Nie znam wszystkich poetyckich opisów „tchnienia wiosny". Mnie uczył poznawać owo czarowne tchnienie pewien niezwykły człowiek. Sąsiad mego dziadka. Był naprawdę człowiekiem niezwykłym i to nie tylko poprzez tę smutną bardzo niezwykłość spowodowaną wybuchem bomby w czasie ostatniej wojny. Człowiek ten był całkowicie niewidomy i głuchy. Kiedy będąc jeszcze dziećmi, próbowaliśmy nieraz wyobrazić sobie jego świat, równocześnie zamykając oczy i zatykając uszy, ogarniało nas przerażenie. To przerażenie jest we mnie do dziś.

Byłem jeszcze malcem i trudno mi było zapamiętać wszystkie dwanaście miesięcy i ich kolejność. Styczeń, luty, marzec... A co dopiero pamiętać, iż pierwszym dniem wiosny jest 21 marca. I niechże by rzeczywista wiosna przychodziła w mych kolejnych latach dzieciństwa przed, czy po tej dacie, to zawsze kojarzyła mi się i nadal kojarzy z naszym sąsiadem.

Tak jak każdy, i on miał swe imię i nazwisko. Nikt jednak w naszej wiosce nie nazwał go inaczej jak tylko – ten biedak. Od wojny upłynęły już dziesiątki lat a to określenie przylgnęło do niego niczym imię i nazwisko – Ten Biedak. Zimą wcale nie wychodził z domu. Siedział ponury koło pieca i ciągle coś robił. To łuskał orzechy, to znowu przebierał fasolę, a kiedy indziej znowu pierze skubał. Całe długie zimy nie odezwał się ni słowem nawet do swej opiekunki, jego własnej siostry.

Dopiero wiosną nasz niezwykły sąsiad stawał się zupełnie nie tym samym człowiekiem, a dzień, w którym zjawiał się odświętnie

ubrany na krześle przed domem, był dla naszej wioski pierwszym dniem wiosny. Po tym dniu nigdy w żadną z wiosen, które pamiętam, nie spadł śnieg, nie było mrozów, a wszystko wkoło już tylko kwitło, zieleniło się i pachniało. Nasza wiosna zaczynała się więc co roku, kiedy Ten Biedak siadał po raz pierwszy przed domem z twarzą wystawioną do słońca, uśmiechnięty, pełen niecodziennej jakiejś wesołości. I wtedy podchodzili do niego wszyscy, szarpali lekko za rękaw, zwracając na siebie uwagę, a potem serdecznie ściskali dłoń i na nastawionej drugiej dłoni wypisywali palcem swe imię i nazwisko. Miał, jak wszyscy niewidomi, świetne wyczucie. Miał świetną pamięć. Zaraz zorientował się, kto przed nim stoi, każdego poklepywał po ramieniu i zwracał w jego stronę swą pooraną zmarszczkami twarz w szerokim wesołym uśmiechu.

Podchodziliśmy do niego i my, dzieci. Kiedy ściskał nasze ręce, byliśmy jak zauroczeni, oto jak gdyby witaliśmy się z wiosną, zaklętą nie w piękną panią z bajek, lecz w tego starca. Długo potem słuchaliśmy jego opowiadań, pełnych trudno zrozumiałych słów, które deformował przez swą wieloletnią głuchotę. Jego zdania zaczynały się zazwyczaj od słów: „Już powinny" – na przykład – kwitnąć pierwiosnki; albo „Czy już" – na przykład – słychać skowronka. Odpowiadaliśmy szarpnięciem jego rękawa w dół, co oznaczało – tak lub w bok, co znowu znaczyło – nie. Nie znaliśmy odpowiednika dla – „nie wiem". Nikt z nas nawet nie pomyślał, by móc okłamywać tego człowieka. Przed każdymi odwiedzinami u niego sami więc zadawaliśmy sobie nawzajem pytania, jakie mógł do nas później kierować i dokładnie obserwowaliśmy wiosenną przyrodę, by umieć na nie odpowiadać.

Którejś wiosny, kiedy nasz sąsiad znowu wyszedł po raz pierwszy przed dom, odświętny i uśmiechnięty, chociaż wcale nie świeciło słońce, a nawet mżył drobny deszcz, podszedłem do niego i wypisałem na jego dłoni pytanie, które nurtowało nas od lat – „jak poznaje, że to właśnie już wiosna". Uśmiechnął się tylko, wyprostował i zademonstrował kilka głębokich wdechów. I wtedy zrozumiałem czarowny zapach wiosny. Zrozumiałem, że to pachnie nawet i deszcz, i to otaczające nas powietrze. Powietrze, tchnące zapowiedzią kwiatowych zapachów jeszcze tuż przez ich rozkwitnięciem.

NA TROPIE NOBLISTÓW (III)

Pierwotnym zamysłem wydawnictwa „ZNAK", inicjatora „Krakowskich Spotkań z Poezją i Legendą", które miały miejsce w październiku 1996 roku, było zorganizowanie spotkania trzech laureatów Literackiej Nagrody Nobla : Miłosza, Brodskiego i Heaneya. W styczniu światowe agencje oznajmiły hiobową wieść o śmierci Josifa Brodskiego. We wrześniu Czesław Miłosz zdecydował się skrócić swój pobyt w Krakowie. W końcu na placu boju ostał się tylko Seamus Heaney, trzeci irlandzki Noblista (po W.B.Yeatsie i Samuelu Becketcie). W roku 1995 przedstawiciel Królewskiej Szwedzkiej Akademii tradycyjnie wygłosił uzasadnienie: „Za utwory piękne poetycko i głęboko etyczne, opiewające cuda codzienności i żywą przeszłość". W wypadku 57-letniego Heaneya, który już jako autor pięciu tomików wierszy był nazywany „najważniejszym poetą irlandzkim od czasów Yeatsa", formuła ta z pewnością oddawała istotę rzeczy.

Niezwykłe dzieje Irlandii, jej tradycje, muzyka i literatura od czasów celtyckich po współczesne, zawsze mnie interesowały. Wraz z przyjęciem chrześcijaństwa nastąpił tu bowiem w V wieku niebywały rozkwit kultury i nauki; niezwykle popularni stali się irlandzcy harfiści i bardowie, a irlandzka literatura była jedną z najstarszych i najbogatszych w średniowiecznej Europie. Podboje Wikingów, a następnie polityka większościowa dynastii Tudorów - po oderwaniu się Anglii od kościoła rzymskokatolickiego i zdobyciu przez króla Henryka VIII tytułu króla irlandzkiego nastąpiły narodowościowe i religijne prześladowania irlandzkiej ludności katolickiej przez anglikańskich zdobywców - to wszystko złożyło się na bolesną 700 letnią historię tego narodu, zajmującego odwieczną pozycję małego, biednego sąsiada ogromnego, bogatego kraju.

O wynaradawianiu kultury irlandzkiej, o sporządzaniu nowych map Irlandii, wprowadzających „przy okazji" angielskie nazewnictwo geograficzne, o działalności nielegalnych, tajnych szkół, odwołujących się do poczucia odrębności narodowej i rozwijających narodową świadomość dzieci i dorosłych Irlandczyków, mówiła jedna z najważniejszych sztuk dramaturgii irlandzkiej, „Przekłady" Briana Friela, który podobnie jak Hea-

ney urodził się w północnoirlandzkim okręgu Derry. Uderzyło mnie, jak bardzo te pozornie odległe realia dotyczą Polaków i nas, Zaolziaków. Wydawało mi się, że wystawienie „Przekładów" właśnie w Scenie Polskiej, na dodatek jako polskiej i czeskiej prapremiery (18 lutego 1995) będzie wydarzeniem, które zainicjuje dyskusję na temat naszego „być albo nie być". Po raz kolejny bardzo się zawiodłam. Prócz utyskiwań dotyczących słyszalności niektórych kwestii, wypowiadanych przez aktorów, ani słowa na temat treści sztuki lub skojarzeń. Nawet nasze światłe autorytety, często gęsto wypowiadające się na każdy temat, zawiodły.

Osiem miesięcy później (w chwili, gdy w księgarniach amerykańskich ukazały się „Treny" Kochanowskiego w przekładzie Stanisława Barańczaka i Seamusa Heaneya) ten ostatni otrzymał Nagrodę Nobla. W czasach, gdy dzięki mediom Irlandia kojarzy się wyłącznie z terrorem spod znaku IRA i grupą rumianych krewnych spod znaku „Kelly Family", ucieszyła mnie ta wiadomość, a w rok później okazja do bezpośredniego spotkania z pisarzem i jego żoną, Marie Heaney, w Krakowie. Spotkanie to, nazwane „Poezja i legendy Irlandii", było jednocześnie promocją książek obu autorów, wydanych przez krakowski „ZNAK": tomu nowych wierszy Noblisty „Ciągnąc dalej" i esejów „Zawierzyć poezji" oraz księgi legend irlandzkich „Za dziewiątą falą" autorstwa jego żony. Dopełnieniem tej imprezy, która miała miejsce w niezwykłej scenerii kapitularza klasztoru oo. Dominikanów była muzyka i tańce irlandzkie w wykonaniu zespołów „Carrantuohill", „Tattoo" i „Wędrownych Kopaczy Torfu" oraz konsumpcja dań i irlandzkiego piwa.

To właśnie przy piwie spotkali się po raz pierwszy w restauracji w pobliżu Uniwersytetu Harwardzkiego dwaj wykładowcy: Seamus Heaney i jego tłumacz, Stanisław Barańczak. Rozmawiali o szkicu Heaneya na temat poezji Zbigniewa Herberta, okazało się bowiem, że irlandzki pisarz (który nota bene czując się Irlandczykiem, jest znakomitym poetą języka angielskiego) jest nie tylko wielkim znawcą polskiej poezji, ale że także wywarła ona silny wpływ na jego własną twórczość. *„Nawiązało się między nami natychmiast porozumienie* – napisał później Barańczak – *będące chyba nie tylko obowiązkową sympatią, jaką powinni czuć do siebie nawzajem przedstawiciele dwóch narodów katolickich, pokrzywdzonych przez historię i spożywających duże ilości kartofli. Heaney okazał się po prostu uroczym rozmówcą, obcym wszelkiej pozie, rozbrajająco zakłopotanym własną sławą, łączącym w sobie jowialne poczucie humoru z wielką wewnętrzną delikatnością i taktem w podejściu do innych ludzi."*

Mogli się o tym przekonać uczestnicy niezwykłego spotkania, w trakcie którego autor czytał swoje wiersze po angielsku, a aktorzy Teatru Starego, Anna Dymna i Jan Nowicki, po polsku. Zapewne nieprzypadkowo w przeddzień tej imprezy cały świat dowiedział się o przyznaniu Nagrody

Nobla polskiej poetce z Krakowa, Wisławie Szymborskiej. W ten oto sposób spotkanie trzech Noblistów, które nie doszło do skutku, odbyło się przynajmniej w symbolicznej atmosferze, której kulminacją był fax, przesłany z USA przez Czesława Miłosza.

Był nim wiersz poetki, „Koniec i początek" w przekładzie nieżyjącego od kilku miesięcy Josifa Brodskiego, który odczytał Heaney, bardzo wzruszony tym faktem.

Początek i koniec... Rozpoczęłam mój cykl od Miłosza, a już w miesiąc później mogłam wziąć udział w kolejnej imprezie, zorganizowanej przez „ZNAK", którą było jedyne spotkanie Wisławy Szymborskiej z polską publicznością przed grudniowymi uroczystościami w Sztokholmie. Wraz z licznie zgromadzoną publicznością w Teatrze Starym śmiałam się i biłam brawa, wierząc święcie w magiczną moc słowa, w talent i wyobraźnię polskich poetów. I cieszyłam się, że ci Wielcy, których w ciągu tych kilku spotkań mogłam zobaczyć i wysłuchać, są na co dzień prawdziwymi Ludźmi, których życie nie zaprzecza ich twórczości. Dzięki nim zrozumiałam, że właśnie Prawda artysty jest najważniejszą rzeczą, która znajduje harmonijne odbicie w jego dziełach i życiu.



Tradycyjny „Zjazd Gwiaździsty" odbył się w tym roku w Mostach Koło Jabłonkowa 15 lutego 1997. Startowało w nim w dwu dyscyplinach – slalom i biegi ponad 500 narciarzy polskich szkół z obu powiatów naszego terenu. Przy wręczaniu nagród (na zdjęciu) na stopniach zwycięzców najczęściej stawały dzieci z Bystrzycy.

FRASZKI GUSTAWA SAJDOKA

ZŁOTE MYŚLI I SENTENCJE

Tytuły naukowe nie zawsze chodzą w parze z wiedzą, ale na pewno poprawiają samopoczucie.

Wizytówki rozdają ci, których nie widać.

Ludzie bezlitośni litują się tylko nad sobą.

Każdy przeżyty stres to nacięcie żyletką na twarzy serca.

Ludzie bez wyobraźni i instynktu są jak wagony kolejowe, ich koła kręcą się donikąd.

Gdyby ludzie nie karczowali lasów, to skrawków zalesionej ziemi nie nazywalibyśmy dziś parkami narodowymi.

Życie jest zbyt krótkie, by tylko płakać, a zbyt długie, by tylko się śmiać.

Ocieplić nadzieję na pogodę mogą tylko ludzie z talentem i sercem.

Starzejąc się szukamy miedzy swojego dzieciństwa.

Komputery zastępują dzieciom babcie, szkoda tylko, że nie potrafią tak ciepło patrzeć i dotykać.

Gdyby mądrość chodziła w parze ze skromnością, to ich dzieckiem byłaby cnota.

Wszystkie nałogi łatwo się zakorzeniają i tylko ogień może je zniszczyć.

Bezgłowi zakochani mogą liczyć na udaną operację ponownego przyszycia głowy tuż po miodowym miesiącu.

Kochać, to tyle co zamknąć oczy i iść przed siebie po omacku z nadzieją, że trafimy wprost do raju.

WRÓŻKA Z WISŁY

Instytut Ekologii i Zdrowia w Krakowie wydał arcyciekawą książkę Stanisława Hadyny „Przez okna czasu". Imię i nazwisko autora kojarzy się nieodłącznie z PZPiT „Śląsk". Czytałem jednak również jego książki z pobytu w Chinach, Indiach i Tybecie.

Sam tytuł nie zapowiada może frapującej historii, którą Stanisław Hadyna opisał.

A kim jest ta wróżka z Wisły? Autor używa dla niej określenia „Jasnowidząca z Wisły". Jak wiadomo Stanisław Hadyna pochodzi z Zaolzia. Urodził się w Karpętnej, podobnie zresztą jak Karol Daniel Kadłubiec.

We wstępie możemy przeczytać: *„Wszystko jest możliwe. W tym jednak, co możliwe, są rzeczy piękne i szczęśliwe i są rzeczy budzące odrazę i grozę. Opowiadała o nich Agnieszka P., Jasnowidząca z Wisły. Poznałem ją mając lat dziesięć, a potem spotykaliśmy się jeszcze wielokrotnie. Mieszkała wysoko w górach w otoczeniu ludzi niezwykłych, którzy z dużą życzliwością, ale zarazem z rezerwą, odnosili się do jej rewelacji..."*

Wydawca infomuje, że Agnieszka Pilchowa z domu Wysocka (pseudonim Agni P.), urodziła się 14 grudnia 1888, zmarła w 1944 r. rozstrzelana w Ravensbrück.

Niemożliwością jest relacjonowanie wszystkich rewelacji w krótkim felietonie. Wczytajmy się zatem we fragment książki Stanisława Hadyny: *„Agnieszka P. była kilkakrotnie zapraszana przez Marszałka Piłsudskiego do Belwederu, o czym wspominała pani Zofia Iłłakiewiczówna. W jakim celu tam Agnieszka jeździła, nie wiadomo. Mogły to być problemy zdrowia Marszałka i poszukiwanie niekonwencjonalnych metod leczenia albo chęć uzyskania informacji od Jasnowidzącej, których nie mógł dostarczyć wywiad, ani kontrwywiad. Chyba w podobnej sprawie odwiedzili Agnieszkę P., w drugiej połowie ostatniej wojny wyżsi oficerowie SS, wysłannicy Hitlera. Nie wiadomo jaka była ich rozmowa z Jasnowidzącą w Wiśle, co chcieli wiedzieć. W krótkim czasie została aresztowana przez gestapo, wywieziona do obozu koncetracyjnego i tam pod koniec wojny rozstrzelana".*

Niewielka książka (125 str.) daje dużo do myślenia i jest zarazem ostrzeżeniem: *„Ludzkość wkracza w coraz bardziej niebezpieczny okres. Groźne oznaki na niebie i ziemi zdają się potwierdzać to, co kiedyś przez okna czasu dostrzegła Jasnowidząca z Wisły. Warto się nad tym zastanowić, póki nie jest późno.*

RENCISTA

WZMOCNIENIE WIĘZI

W dniach 15-18 września 1996 roku przebiegał w Krakowie I Światowy Zjazd Absolwentów Polskich Szkół Wyższych Pochodzenia Polskiego. Głównym celem zjazdu, jak można przeczytać w materiałach konferencyjnych, było: „wzmocnienie więzi środowiska polonijnego, promocja w ośrodkach zagranicznych polskiej nauki i gospodarki".

Patronat nad zjazdem objęły: Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej, Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą. Natomiast bezpośrednią organizacją zajęły się takie instytuty jak: Ośrodek Łączności z Cudzoziemcami Absolwentami Polskich Szkół Wyższych w Łodzi, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" oraz Uniwersytet Jagielloński, który podjął się zarazem roli gospodarza zjazdu.

Na pierwsze tego rodzaju spotkanie przybyło do Polski 79 osób z 21 krajów (w tym również z tak odległych państw jak Algieria, Kazachstan, USA czy Australia). Wśród uczestników nie zabrakło także kilkuosobowej grupki z Zaolzia. Obrady zjazdu przebiegały w Instytucie Polonijnym UJ w Przegorzałach, który mieści się w zabytkowym pałacyku ze wspaniałym widokiem na panoramę okolic królewskiego miasta Krakowa.

Uroczystego otwarcia dokonał prorektor UJ prof. Tadeusz Marek. Następnie uczestników konferencji przywitali kolejno J.M. Rektor UJ prof. Aleksander Koj, marszałek Senatu RP Adam Struzik, prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" prof. Andrzej Stelmachowski, który był nota bene pomysłodawcą tego zjazdu oraz Przewodniczący Rady Ośrodka Łączności z Cudzoziemcami Absolwentami Polskich Szkół Wyższych prof. Michał Chilczuk, który z kolei podjął się wprowadzenia idei w życie.

Wyżej wymienieni w swoich wystąpieniach zwrócili przede wszystkim uwagę na znaczenie związków łączących Polskę ze środowiskami polonijnymi na świecie, wskazując równocześnie na potrzebę i możliwe formy utrzymywania i pogłębiania współpracy pomiędzy krajem a Polonią.

Do uczestników zjazdu został również skierowany list Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandra Kwaśniewskiego. Prezydent w swoim liście wyraził gorące poparcie dla idei zjazdu, zwracając ponadto uwagę na znaczenie kształtowania wspólnoty wartości i wiedzy w procesie europejskiej i światowej integracji. Stwierdził również, iż:

„to, że Zjazd odbywa się w Krakowie, historycznej stolicy polskiej nauki i w murach Uniwersytetu Jagiellońskiego, nadaje mu szczególną rangę."

Swoje listy przesłali także minister spraw zagranicznych prof. Dariusz Rosati, minister kultury i sztuki Zdzisław Podkański oraz dyrektor generalny w Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą Wanda Samborska.

Następnie Przewodniczący Komitetu Badań Naukowych prof. Aleksander Łuczak wygłosił referat inauguracyjny, którego tematem było miejsce nauki polskiej w świecie. Głęboki w treści zarys historyczny poprzedził szereg współczesnych danych statystycznych, z których między innymi dowiadujemy się o 18. pozycji polskiej nauki w światowym rankingu (3. miejsce spośród państw dawnego bloku socjalistycznego po Rosji i Chinach), przy czym 11. miejsce zajmuje chemia, 12. fizyka i 14. matematyka. Profesor Łuczak przypomniał także, iż od 1991 roku Polska jest członkiem COST, a więc Europejskiego Programu Współpracy w Dziedzinie Badań Naukowo-Technicznych, do którego należy 25 najwyżej rozwiniętych krajów świata.

W pierwszej sesji konferencji wysłuchano dwóch referatów, których autorami byli kolejno dyrektor Studiów Centre National de la Recherche Scientifique w Paryżu prof. Tadeusz Wyma oraz prof. Andrzej Wirth z Justus Liebing Universität Giessen z Berlina. Pierwszy referat traktował o „tradycyjnej roli polskiej inteligencji", drugi natomiast dotyczył zagadnienia „naturalizacji jako problemu wyboru". Oba referaty spotkały się z dużym zainteresowaniem audytorium, przy czym referat profesora Wirtha został przez wielu uczestników zjazdu uznany za w ogóle najlepszy.

Po dniu pełnym uroczystych przemówień, odczytów naukowych oraz pierwszych towarzyskich rozmów w kuluarach, osoby biorące udział w zjeździe mogły chłonąć niepowtarzalną atmosferę polskiej złotej jesieni na krakowskich Plantach, przechadzać się uliczkami Starego Miasta, jak również wysłuchać koncertu Orkiestry Barokowej UJ, który miał miejsce w Auli Collegium Novum.

W drugim dniu konferencji odczyty odbywały się w kilku grupach tematycznych: Polonika i nauki humanistyczne; Prawo i nauki społeczne; Medycyna wobec perspektyw naukowo-badawczych oraz Ochrona środowiska w kontekście rozwoju cywilizacyjnego.

Wśród wielu różnorodnych i interesujących referatów, zajmujących się na ogół sytuacją środowisk polonijnych w poszczególnych krajach (głównie takich jak Litwa, Łotwa, Ukraina, Słowacja i Austria) nie zabrakło także prac dotyczących naszej diaspory.

Pracownik naukowy filii UŚ w Cieszynie Janina Urban wygłosiła

referat na temat placówek podejmujących badania nad społecznością polską na Zaolziu. Z kolei mgr Helena Legowicz, kierownik Biblioteki Regionalnej w Karwinie, w referacie zatytułowanym „Zaolziacy na studiach w Polsce" podjęła interesującą próbę nie tylko ilościowego przedstawienia danych, lecz także dalszych losów zawodowych. Powyższe referaty z pewnością zasługują na to, by były w całości przedstawione naszej społeczności.

W równolegle przebiegającej grupie tematycznej nauk medycznych mgr Tadeusz Hławiczka zapoznał zebranych z „Opieką zdrowotną oraz profilaktyką w Domu Opieki Społecznej na przykładzie Domu Opieki Społecznej w Trzyńcu". Swój fachowy i oparty na długoletniej praktyce zawodowej wykład poparł dyrektor prezentowanej przez siebie placówki interesującym, poglądowym materiałem wizualnym w postaci filmu wideo. Z pewnością można więc stwierdzić, iż wszystkie referaty zaolziańskich uczestników zjazdu godnie reprezentowały nasz teren.

Na trzeciej i zarazem ostatniej sesji konferecji, która nosiła nazwę „Kraków i Uniwersytet Jagielloński w roku 2000", można się było między innymi dowiedzieć o tym, iż Rada Miasta Krakowa ogłosiła rok 2000 „Rokiem Festiwalu Kultury Europejskiej Kraków 2000". Festiwal ten będą ponadto coroczne poprzedzać festiwale z motywami przewodnimi (1997 r. - muzyka filmowa; 1998 r. - współczesna muzyka poważna oraz obchody dwudziestolecia pontyfikatu Jan Pawła II; 1999 r. - kultura Europy Środkowej i Wschodniej). W skład Komitetu Organizacyjnego weszli wybitni przedstawiciele krakowskiego ośrodka polskiego życia społeczno-kulturalnego (między innymi Andrzej Wajda, Krzysztof Penderecki, Jerzy Turowicz, ksiądz prof. Józef Tischner, Zbigniew Preisner, prof. Jacek Woźniakowski). Niektórzy uczestnicy zjazdu, jak np. prof. Eryk A. Stafecki-Stafford, członek Australijskiej Rządowej Komisji d/s Kultury, zaoferowali swoją pomoc w przygotowaniu wymienionego festiwalu.

Zgodnie z przyjętymi powszechnie zasadami zjazd zakończyło podsumowanie oraz zgłoszenie przez uczestników wniosków. I Światowy Zjazd Absolwentów Polskich Szkół Wyższych Pochodzenia Polskiego został przez ogół bardzo dobrze oceniony, i to zarówno pod względem organizacyjnym, jak również jeżeli chodzi o osiągnięcie wytyczonego sobie na wstępie celu. Wśród uczestników zjazdu panowała ponadto zasadnicza zgodność co do słuszności i celowości podobnych spotkań także w przyszłości.

ROMAN BARON

NASZE NAZWISKA (32)

NAZWISKA POCHODZĄCE OD DAWNYCH PRZEZWISK WYRAŻAJĄCYCH JAKIEŚ CECHY FIZYCZNE LUB PSYCHICZNE (9)

Nazwę osobową **Leki** wymienił w roku 1679 w Skrzeczoniu dziekan frysztacki Fryderyk Ferdynand Chalik w swoim cennym rękopisie łacińskim, zawierającym rzetelny opis ówczesnych miejscowości i kościołów dziekaństwa frysztackiego. O sto lat wcześniejsze poświadczenie nazwiska *Leki* (z 1572 r.) pochodzi z górnośląskiej miejscowości Zgoń (obecnie część miasta Orzesze). Współcześnie w Polsce używa nazwiska *Leki* 237 osób. Najwięcej naliczono ich w województwach: katowickim (146), kaliskim (44), poznańskim (11) i bielskim (8). Na Śląsku Cieszyńskim nosiciele nazwiska *Leki* mieszkają m. in. w Bielsku. Dwukrotnie więcej jest w Polsce osób używających nazwiska *Lekki*. Na Śląsku Cieszyńskim Lekcy mieszkają m. in. w Bielsku, Boguminie, Pudłowie, Szonychlu i Śląskiej Ostrawie.

Nazwisko *Leki* pochodzi od staropolskiego (dziś gwarowego) przymiotnika *leki* 'lekki, błahy, lichy, zwinny, spokojny, cichy, nierozważny, płochy'. Postać leki jest notowana od XV wieku. Grupa spółgłoskowa -kk- w wyrazie lekki uległa uproszczeniu i stąd leki i *Leki*.

Formacji pokrewnych jest niewiele: *Leki, Lekiewicz, Lekka, Lekki, Letki, Letkiewicz.*

(Por. pol. *leki, lekki*, gw. *letki* = czes. *lehký*, słowac. *ľahký*.)

Nazwę osobową **Lichota** wymienia urbarium z roku 1580 w Dobrej Ziemicy (dziś Dobra k. Frydku-Mistku), notuje ją też Słownik staropolskich nazw osobowych. Współcześnie w Polsce używa nazwiska *Lichota* 1900 osób. Najwięcej Lichotów mieszka w woj. katowickim (236), woj. przemyskim (170) i w woj. zamojskim (130). W województwie bielskim naliczono ich 32. Na Zaolziu dziś prawdopodobnie nazwiska *Lichota* nie ma. Z formacji pochodnych znalazłem tylko: *Lichotko*.

Nazwa osobowa *Lichota* wywodzi się od staropolskiego rzeczownika pospolitego *lichota* 'zły, lichy postępek, nieprawość, niesprawiedliwość, niegodziwość, grzech'. W takich znaczeniach był używany w wiekach XIV - XVI. Począwszy od w. XV wyraz lichota przybrał znaczenie 'utrapienie, udręka, nędza, bieda, ubóstwo', stąd przenośnie o ludziach 'nędzarz, biedak; też w funkcji rzeczownika zbiorowego 'biedota, hołota'.

(W jęz. czes. *lichota, lichotka* = 'pochlebstwo', słowac. *lichotenie*, od lichotit' 'pochlebiać, schlebiać'.)

Do omawianej w odcinku 30.

nazwy osobowej **Gorewoda**, będącej złożeniem dwóch tematów wyrazowych, dodać należy dwa dalsze: **Liczykasza i Liczykrupa**. *Witek Liczykasza* był w roku 1634 mieszkańcem Bobrku (dziś część miasta Cieszyna), *Elżbieta Liczykaszonka* (Elizabet Liczikassonka) zmarła w Cieszynie w roku 1703, a nazwę osobową *Liczykrupa* (Liczy Krupa) zapisano w urbarium skoczowskim z roku 1621 w Strumieniu. Obie wyżej wymienione odprzezwiskowe nazwy osobowe znaczą 'skąpiec, sknera'. Ze względu na ich odcień ujemny nie są współcześnie używane.

Nazwa osobowa **Lizoń** jest wymieniana w aktach miasta Cieszyna w roku 1585, w urbarium z r. 1621 w Skoczowie oraz w księdze metrykalnej chrztów w latach 1633 i 1650 w Cieszynie. Współcześnie w Polsce używa nazwiska *Lizoń* 1 088 osób (w woj. katowickim 257, w woj. częstochowskim 196,) w woj. nowosądeckim 132). Na Śląsku Cieszyńskim mieszkają Lizoniowie m. in. w Karwinie-Nowym Mieście. Formacje pochodne: *Lizon, Lizoniak* 1789, *Lizończyk, Lizun, Lizuniec, Lizuń, Lizur, Lizura, Lizurej, Lizurek, Lizurkiewicz, Lizut, Liżoń.*

Nazwisko *Lizoń* pochodzi od lizać: *lizoń, lizun, lizus*, gwarowe cieszyńskie *lizóń* 'człowiek podlizujący się, pochlebca'.

(Por. pol. *lizoń, lizus* = czes. *patolízal*, słowac. *pätolizać*.)

Nazwę osobową Malek **Lotawiec** zanotowano w urbarium z roku 1580 w Wojkowicach. Współcześnie używa w Polsce nazwiska *Lotawiec* 35 osób (34 w woj. katowickim i 1 w woj. bielskim).

Nazwisko *Lotawiec* pochodzi od gwarowej postaci *lotawiec* staropolskiego rzeczownika *latawiec* 1. 'zmora, ciężki, duszący sen': *Latawiec*, niemoc, w której człowiek mniema, by go dusiło (Marcina Siennika herbarz czyli zielnik, 1568), 2. 'złośliwy duch, błędny ognik, zwodzący ludzi potępieniec': Zdrój jeden w Krakowskim, który nigdy nie zamarza, owszem za przybliżeniem ognia zapala się, tak dalece, iż płomień po wierzchu wody tu i owdzie podskakuje, i dlatego nazywa się latawcem. (X Ładowskiego dykcyonarz, historya naturalna), 3. 'człowiek, który nigdzie długo miejsca nie zagrzeje' – już u M. Volckmara, zm. 1601.

(Por. pol. *latawiec*, gw. *lotawiec* = czes. 1. *můra*, 2. *bludice, bludička*, słowac. 1. *mora, mura*, 2. *bludička, svetlonos*.)

Nazwa osobowa **Łabuda** jest poświadczana na Śląsku Cieszyńskim w źródłach rękopiśmiennych od XVII wieku: *Albertus Łabuda de Jzdebne* – taki zapis zrobił ksiądz w jabłonkowskiej księdze metrykalnej chrztów w roku 1671 (*de Jzdebne* = z Istebnej); później nazwisko *Łabuda* notowano w latach 1703 i 1713 w Gutach, a w latach 1722 i 1782 znowu w Istebnej. *Jan Łabuda* był w roku 1782 w Istebnej nauczycielem.

Współcześnie w Polsce nosi naz-

wisko *Łabuda* 1 608 osób. Najwięcej ich mieszka w województwach: kieleckim (157), tarnowskim (145), wrocławskim (144) i katowickim (140). W województwie bielskim naliczono ich 35. Na Śląsku Cieszyńskim *Łabudowie* mieszkają m. in. w Hawierzowie, Trzanowicach, Szobiszowicach, Żukowie Dolnym i Trzyńcu.

Formacje pochodne: *Łabud, Łabuda, Łabudek* 1722 w Ligotce Kameralnej i 1782 w Cierlicku, *Łabudka, Łabudziak* w P. 1724, *Łabudzik, Łabudziński, Łabudzki, Łabutka.*

Nazwa osobowa *Łabuda* pochodzi od polskiego rzeczownika gwarowego *łabuda* 'człowiek nieruchawy, ciemięga' i czasowników gw. *łabudać* 'z trudem co zbierać, ciułać', *łabudać się* 'krzątać się koło czego ciężko, powoli, niezgrabnie'.

Nazwę osobową **Maluch** notowano w Cieszynie w latach 1628, 1630, 1633, 1635, 1660, 1714. Współcześnie w Polsce używa nazwiska *Maluch* 96 osób (w woj. kieleckim 32, w woj. katowickim 24, w woj. opolskim 9). Na Zaolziu *Maluchowie* mieszkają m. in. w Trzyńcu. Formacji pochodnych jest niewiele: *Malucha, Maluchniak, Maluchnik.*

Nazwa osobowa *Maluch* pochodzi od rzeczownika pospolitego *maluch* 'pieszczotliwie o małym dziecku'. Porównaj *maluchny* 'maleńki, drobny' (od XVI w.).

(Por. pol. *maluch* = czes. *mrně, prcek, špuntík*, słowac. *malé dieťa, špunt*.)

Nazwa osobowa **Mały** jest znana w głębi Polski od roku 1376. Na Śląsku Cieszyńskim zapisywano ją w latach:1577 w Gutach, 1621 i 1647 w Jaworzynce, 1685 w Kotach (dziś część Żukowa Dolnego i Górnego), 1715 w Kisielowie, 1719 w Mostach pod Cieszynem. Współcześnie w Polsce nosi nazwisko *Mały* 707 osób (w woj.: katowickim 110, zielonogórskim 97, leszczyńskim 85). Na Śląsku Cieszyńskim – m. in. w Ustroniu, na Zaolziu – w Zabłociu, Orłowej-Porębie, Karwinie-Granicach, Karwinie-Nowym Mieście, Karwinie-Mizerowie, Hawierzowie, Błędowicach, Mistrzowicach i Trzyńcu. W wielu wypadkach na Zaolziu nazwisko to posiada grafikę czeską *Malý*.

Nazwisko pochodzi w języku polskim od *mały*, w j. czes. i słowac. od *malý*. Niektóre postacie nazwiska mogą pochodzić również od imion złożonych typu *Małomir*.

Z bardzo licznych formacji pochodnych niektóre przykłady: *Małach* 1174, *Małacha, Małacz, Małaj, Małak* 1457, *Małas, Małasz, Małat, Maława, Małek* 1204, *Małeta, Małko, Małkuch* 1691, *Małkus* 1612, *Małoch* (w gł. P. XIII w., w Cieszynie 1697), *Małocha* 1382, *Małoń, Małosz* 1223, *Małota* 1463, *Małucha* 1472, *Małuj* 1204, *Małysz* (w P. 1244, w Cisownicy 1647, w Żukowie Dolnym 1676), *Malisz* (1621 w Cisownicy, 1640 w Cieszynie; *Mał– = Mal–*), *Malak* 1664, *Malan* 1376, *Malas, Malec* (w głębi P. 1372, w Cisownicy 1722), *Malech* 1250, *Malej* 1484, *Malek, Malesz* (w P. 1407, w Rychwałdzie

1571), *Malic* 1328, *Malich* 1373–75, *Maliga, Malik* (w gł. P. 1223, w Cieszynie 1638), *Malsza* 1065, *Maluch* (1628 w Cieszynie), *Maluda, Maluga, Maluk* 1430, *Malus, Maluta* 1494.

Nazwa osobowa **Mamlas** notowana jest na Śląsku Cieszyńskim w XVII wieku: *Anna Mamlaska* 1682 Cierlicko metryka ślubów; *Wenceslai Mamlass* 1683 Grodziszcz metryka ślubów; *Sophia Mamlassowna* 1685 Grodziszcz metryka ślubów. Współcześnie w Polsce nazwisko *Mamlas* nie jest używane, zapewne ze względu na jego odcień ujemny. To odprzezwiskowe nazwisko pochodzi od cieszyńskiego rzeczownika gwarowego *mamlas* 'mazgaj, niedojda, niedołęga, człowiek nieinteligentny'.

(Por. gw. ciesz. *mamlas* = czes. *mamlas*, słowac. *mamľas*.)

Bardzo rzadko korzystano z nazw osobowych, utworzonych od cieszyńskiego czasownika gwarowego *mamrać*. Chodzi o nazwy osobowe: *Mamra, Mamraj, Mamrej, Mamroj i Mamroń.*

Nazwa osobowa **Mamra**: *Staniek Mamra* 1580 Kończyce Małe koło Baszki (Kunčičky u Bašky) urbarium. W Polsce ani na obszarze czeskiej części Śląska Cieszyńskiego nazwisko *Mamra* współcześnie nie jest używane. Zachowały się tylko nieliczne formacje pochodne: *Mamrak, Mamrega, Mamro, Mamrocha, Mamrol, Mamroł, Mamrosz, Mamrot, Mamrowicz, Mamruk, Mamrycz, Mamryk.*

Nazwa osobowa *Mamra* pochodzi od gwarowego mamra 'przezwisko nadawane złej, kłótliwej osobie'; por. dawne (XVI w.), dziś gwarowe, *mamrać* 1. *'mamrotać,* mówić niewyraźnie' 2. 'gderać, zrzędzić, narzekać'.

Mamraj: *Susanna Mamrajka* 1701 Cieszyn metryka zgonów; *Mamrej: Iacobus Mamrei* 1654 Cieszyn metryka ślubów; *Mamroj: infans Adamus Andreae Mamro* 1702 Cieszyn metryka zgonów; *Veronica Mamroiana* 1714 Cieszyn metryka zgonów. (W XVIII wieku zaczynają się pojawiać dość często w zapisach nazwisk kobiet niemieckie przyrostki -ana, -iana, -in, -n. Zjawisko to jest niewątpliwie związane z nasilającymi się w tym czasie, po wojnach śląskich i Wojnie Siedmioletniej, dążeniami germanizacyjnymi.)

Mamroń: Andreas Mamroń 1712 Cieszyn metryka zgonów. Por. gwarowy rzeczownik cieszyński *mamrani* 'mamrotanie; narzekanie' i gw. *mamrok* 'człowiek, który ciągle gdera, zrzęda'.

Również nazwiska *Mamraj, Mamrej i Mamroj* nie są współcześnie używane.

(Por. pol. *mamrać, mamrotać* = czes. *brblat, bručet, dudrat, mrmlat,* słowac. *brblať, bručať, dudrať, hundrať, mrmlať*.)

Nazwę osobową **Mańdak** notowano w urbariach w roku 1577 *(Meyndak)* w Ogrodzonej, w r. 1621 *(Maindak)* w Ogrodzonej, w r. 1647 *(Maindak)* w Puńcowie, Chalik zapisał je w r. 1679

(Mandak) w Dziećmorowicach, a w cieszyńskiej metryce zgonów zanotowano w r. 1697 formę żeńską *Catharina Maintakowa* w podcieszyńskim Brandysie. Postać *Mandak* jest wykazana w Słowniku staropolskich nazw osobowych. Odmianą gwarową tego nazwiska jest *Mańdok*. W cierlickiej metryce zgonów widnieje w r. 1715 zapis *Georgius Mańdok* z Żukowa, zaś cieszyńska metryka zgonów podaje, że w roku 1722 zmarła *Anna filia Adami Mandok* w Brennej. Brzmienie nazwiska nie było jeszcze ustalone, toteż nie dziwi inna jeszcze forma zapisu: *Mańdziok*. Cierlicka metryka zgonów podaje, że w roku 1729 zmarł w Żukowie żebrak *Georgius Mandziok*, pochodzący z Wielopola.

Współcześnie żyje w Polsce 1 *Mańdak* (w województwie bielskim) i 164 *Mańdoków* (95 w woj. katowickim i 51 w woj. bielskim), ale *Mańdzioka* nie zaświadcza się ani jednego. Na Śląsku Cieszyńskim mieszkają m. in.: *Mandakowie* w Karwinie-Nowym Mieście, *Mańdokowie* w Bielsku i Międzyrzeczu (gmina Jasienica), a *Mandokowie* w Jaworzu i Hawierzowie.

Niektóre formacje pochodne od *Mańdak: Mandak, Mandakiewicz, Mandok, Mandziak, Mandzik, Mandziuk, Mańdok, Mańduk, Mańdus, Mańdzia, Mańdziak, Mańdziara, Mańdziarz, Mańdzik, Mańdziuch, Mańdziuk.*

Nazwisko **Mańdak** pochodzi od gwarowych wyrazów *mańdak, mańdok* 'mańkut, człowiek posługujący się lewą ręką przy wykonywaniu czynności, które zwykle wykonuje się ręką prawą'.

Nazwę osobową **Mańka** wykazuje w głębi Polski Słownik staropolskich nazw osobowych. Na Śląsku Cieszyńskim mamy zapisy w cieszyńskiej księdze metrykalnej zgonów: *Paulus Manka* 1638 Cieszyn; *Hedvigis Mainkowa* 1697 Cieszyn; *Joannes Mańka* 1716 Cieszyn. Pokrewną postać *Mańko* również znajdujemy w SSNO. Ze Śląska Cieszyńskiego mamy zapis w cieszyńskiej księdze metrykalnej zgonów: *Adamus Manko* 1697 Zamarski.

W Polsce nosi współcześnie nazwisko *Mańka* 5 909 osób, z tej liczby 2 378 w woj. katowickim, 618 w woj. lubelskim i 498 w woj. częstochowskim. Na Śląsku Cieszyńskim pojawia się nazwisko *Mańka* m. in. w Cieszynie, a na Zaolziu *Mainka* w Karwinie-Nowym Mieście.

Formacje pochodne: *Manka, Mankiewicz, Mankowski, Mańk, Mańkiewicz, Mańko, Mańkowicz, Mańkowski, Mańków, Mańkus, Mańkuś.*

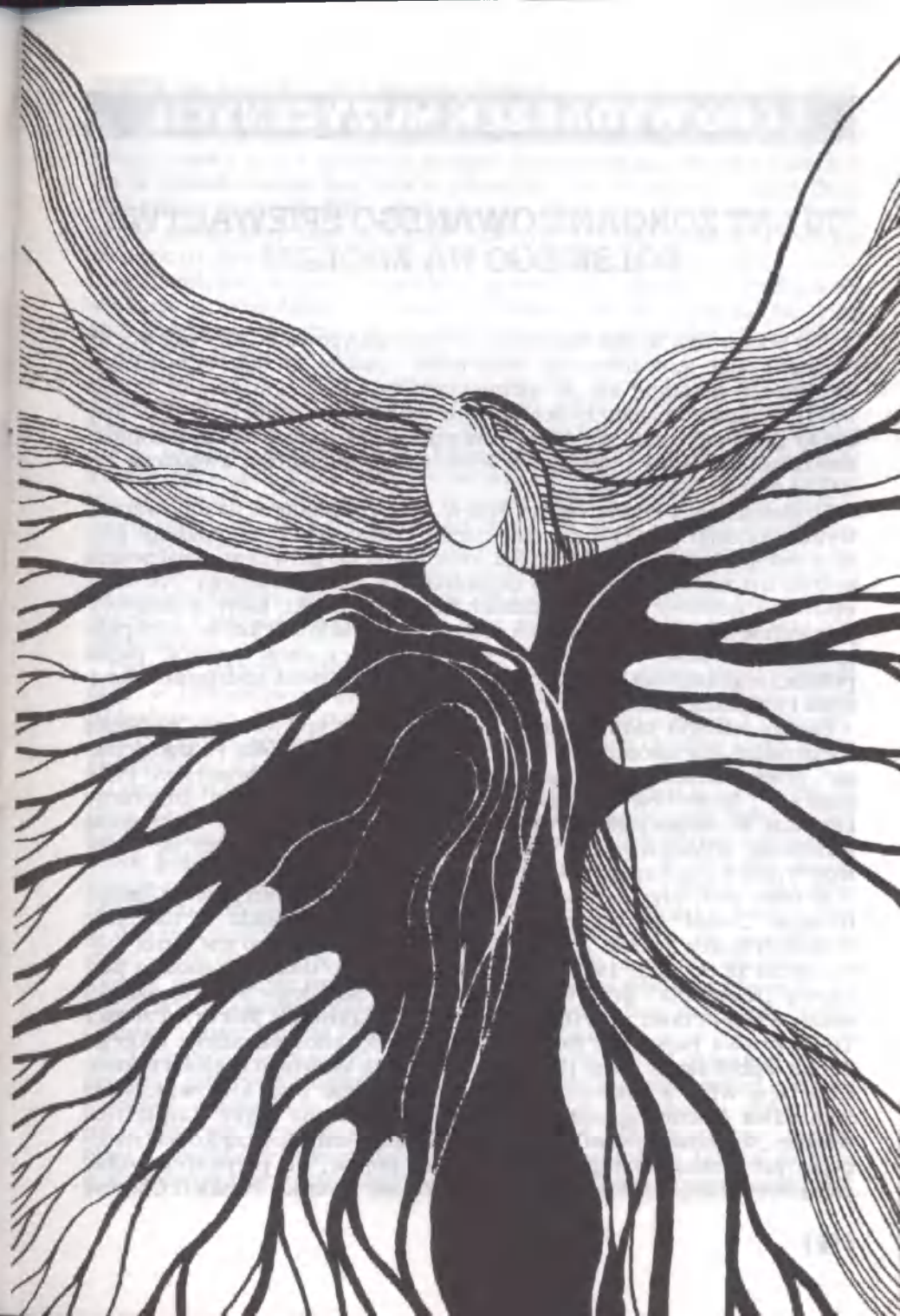
Nazwa osobowa *Mańka* pochodzi od dawnego szesnastowiecznego rzeczownika pospolitego *mańka* 1. 'lewa ręka', 2. 'leworęki, mańkut'.

(Por. pol. *mańka* = czes. 1. *levička, levá ruka*, 2. *levák, levičák*, słowac. 1. *ľavačka, ľavá ruka*, 2. *ľavák.*)

cdn.

WŁADYSŁAW MILERSKI

rys. DARIA KRYGIEL ▶



70 LAT ZORGANIZOWANEGO ŚPIEWACTWA POLSKIEGO NA ZAOLZIU

Pod koniec XIX wieku ważną rolę w spopularyzowaniu idei śpiewaczej odegrało tajne stowarzyszenie studentów Polaków „Jedność" w Cieszynie, którzy kształcili się w niemieckich szkołach: gimnazjum (założ. 1886), seminarium nauczycielskim (1893) i szkole realnej (1895). Chór męski „Jedności", szerzący kult pieśni polskiej przyczynił się do rozbudzenia zamiłowania do polskiego śpiewu wśród młodzieży, zwłaszcza zaś wśród nauczycieli.

W gimnazjum i szkole realnej śpiew był przedmiotem nadobowiązkowym, traktowanym dość po macoszemu, natomiast w seminarium nauczycielskim był śpiew i muzyka przedmiotem głównym. Profesorem muzyki był zazwyczaj pierwszy organista kościoła parafialnego. Ten organizował z uczniów dwóch ostatnich klas chór męski, który wykonywał przeważnie msze łacińskie starych mistrzów muzyki kościelnej w celu upiększenia uroczystości kościelnych. Studenci Polacy chcąc śpiewać pieśni polskie, organizowali własny chór, który ćwiczył poza godzinami lekcyjnymi i upiększał różne imprezy „Jedności".

Bardzo ważnym momentem w dziejach ruchu śpiewaczego na Śląsku Cieszyńskim jest założenie w roku 1889 w Ustroniu „Kółka Pedagogicznego", przekształconego w siedem lat później w „Polskie Towarzystwo Pedagogiczne", które objęło swym zasięgiem m.in. także Cieszyn, Jabłonków i Frysztat. W okręgu jabłonkowskim nadzwyczajne powodzenie i szczególną ruchliwość wykazywał chór męski i orkiestra; próby odbywały się w Bystrzycy, zaś duszą zespołu był młody nauczyciel Józef Michejda.

W roku 1906 przy bardzo wówczas ruchliwym Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół" powstaje chór, zaś w r. 1908 zakłada w Cieszynie Wojciech Marek Polskie Towarzystwo Śpiewacze, którego jest duszą i dyrygentem aż do roku 1918. Chór ten pracuje do dnia dzisiejszego pod nazwą „Harmonia" przy Filii Uniwersytetu Śląskiego. W tym samym mniej więcej czasie powstaje z inicjatywy Stanisława Macury, członka Towarzystwa Parku im. Adama Sikory wielki chór mieszany, którego debiut odbył się w roku 1913 na pierwszych dożynkach cieszyńskich. Chór ten wraz z orkiestrą wojskową wykonał pod kierownictwem Stanisława Macury specjalnie na ten cel napisaną przez Karola Hławiczkę „Wiązankę pieśni góralskich". Występ ten zapoczątkował tradycyjne już dzisiaj występy połączonych chórów, po pierwszej wojnie światowej chórów Macierzy Szkolnej, później Związku Polskich Chórów

(1927), zaś po roku 1945 występy zespołów śpiewaczych na festynach i festiwalach PZKO.

Nie brak też było wśród nauczycieli i dobrych muzyków teoretyków, którzy oprócz chóru uprawiali muzykę instrumentalną. Do takich należeli np. w jabłonkowskim nauczyciele Adamczyk, Heczko, Jeżowicz i inni. Dużo zawdzięcza śpiew chóralny nauczycielowi Pustówce z Goleszowa, skrzętnemu zbieraczowi śląskich pieśni ludowych, publikowanych w łatwym układzie na chór męski lub mieszany w kwartalniku „Zaranie Śląskie".

Na przełomie wieków największe zasługi dla rozbudzenia ruchu śpiewaczego położył Andrzej Hławiczka (1866–1914), który działał nie tylko jako kierownik chórów, ale ułatwił też pracę zespołów chóralnych przez wydanie śpiewników dla chórów męskich pt. „Harfa" (1910) i chórów mieszanych „Lira" (1914), zawierające po 100 pieśni. Obok tego wydaje śpiewnik szkolny w trzech częściach (1905, 1910, 1914) oraz „Pieśni śląskie i towarzyskie" (1907). Hławiczka dostarczył w ten sposób polskiej szkole na Śląsku polskiej pieśni, która wkrótce stała się własnością ogółu i rozbrzmiewała od Beskidów aż po granicę pruską. Niemniejsze zasługi ma Hławiczka jako organizator licznych chórów i propagator śląskiej pieśni ludowej, tej pieśni, której już wówczas groził zupełny zanik. Młodzież bowiem przynosiła z centrów przemysłowych i wojska obce, i banalne pieśni. Hławiczka wydobywa pieśń ludową z zakątków i oddaje ją na powrót ludowi. To dzięki niemu zanikająca pieśń ludowa przenosi się później z Cieszyna dalej na wieś i staje się trwałą częścią programu różnych imprez.

Poza Cieszynem i Ustroniem istniały już wtedy chóry nauczycielskie m.in. w Jabłonkowie i Frysztacie. Szczególną żywotność wykazało Koło jabłonkowskie, które poszczycić się mogło chórem męskim i orkiestrą. Dzieje ruchu śpiewaczego w Jabłonkowie stanowią chlubną kartę w historii śpiewactwa śląskiego.

Doniosłą rolę – co trzeba specjalnie podkreślić – odegrała w ruchu śpiewaczym Śląska Cieszyńskiego młodzież. W roku 1903 opuszczają mury szkolne pierwsi abiturienci gimnazjum polskiego, a w roku 1908 pierwsi wychowankowie polskich paralelek seminarium nauczycielskiego w Cieszynie. Będąc jeszcze studentami seminarium zapalali się do pracy w chórze i orkiestrze oraz kółku teatralnym. Oficjalnie chóry i orkiestry studenckie brały udział w uroczystościach szkolnych, lecz głównym ich celem – nie zaniedbując nauki – były wyjazdy w teren, do śląskich wiosek, z pieśnią, muzyką i humorem, narażając się tym niejednokrotnie poważnie władzom szkolnym. Te amatorskie kolektywy studentów, których powszechnie nazywano „debaciorzami", znane były od Jabłonkowa aż po Bogumin.

„Ci wszyscy „debaciorze", to przyszli pionierzy pieśni chóralnej, to dyrygenci i założyciele chórów... I nie zrażali się trudnościami ci wszyscy Kiszowie, Hadynowie, Myrdaczowie, Siwkowie, Raszykowie, Barteczkowie, Foltynowie, Łyskowie i cały legion innych, jak ich zwano „wariatami"... Zaczęły się pokazywać owoce tej żmudnej roboty. Lud się rozśpiewał, młodzież się rozśpiewała. Po naszych wsiach zaczęły powstawać



Chór „PRACA" – Karwina 14. 4. 1929

chóry, kółka amatorskie, które na prymitywnych scenach, nieraz stawianych na beczkach, występowały, szerzyły piękno pieśni ludowej i artystycznej, budziły, uświadamiały na duchu i kochać kazały spuściznę ojców, trwać kazały przy niej mimo burz, szalejących nad głowami."[1]

Kończąc seminarium i osiadłszy potem na posadach nie zrażali sił trudnościami i częstymi niepowodzeniami, ale przekonywali o potrzebie zbiorowego śpiewania, zakładali chóry. Mając nie tylko przygotowanie teoretyczne, ale także bogate doświadczenia praktyczne, organizują nie tylko nowe chóry, ale i zespoły instrumentalne. Znany był w terenie szeroko kwartet męski, założony w roku 1911 w Rychwałdzie (R. i K. Siwkowie, Kłapocz i Raszyk), który do wybuchu wojny rozwinął bardzo żywą działalność.

Szczególne zasługi dla rozwoju chórów i życia śpiewaczego mają nauczyciele Jan Kisza (1890–1959) w powiecie frysztackim oraz Jerzy Hadyna (1888–1968) w powiecie jabłonkowskim.

Rok 1908 – kiedy to opuścili mury szkolne pierwsi nauczyciele seminarium cieszyńskiego – jest zatem rokiem szczególnie ważnym w historii ruchu śpiewaczego. Od tego bowiem czasu datuje się stały wzrost i rozwój zespołów chóralnych na Śląsku Cieszyńskim[2].

Z pracy nauczycieli, nowo powstałej inteligencji wyrosłej z prostego ludu cieszyńskiego, wyrastają pierwsze zespoły śpiewacze. Do pierwszych chórów na terenie dzisiejszego Zaolzia należały: chór męski przy

Kole Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego w Jabłonkowie (1896) - dyr. Jerzy Hadyna, chór mieszany w Boguminie Mieście (1899) - dyr. Franciszek Żak, chór Związku Ewangelickiej Młodzieży w Nawsiu koło Jabłonkowa (1900) - dyr. Jan Zientek, chóry mieszane Macierzy Szkolnej w Nowym Boguminie (1904) - dyr. Józef Płonka, Błędowicach (1907) - dyr. Jerzy Szczepański, Łazach (1908) - dyr. Rudolf Halfar, Niemieckiej Lutyni (1908) - dyr. Jan Folber, chór mieszany Związku Ewangelickiej Młodzieży w Orłowej (1909) - dyr. Karol Siwy, Chór Macierzy Szkolnej w Rychwałdzie (1910) - dyr. Rudolf Siwek, chór mieszany Młodzieży Polskiej w Koszarzyskach (1910) - dyr. Jan Heczko, chóry mieszane w Darkowie (1910) - dyr. Chmiel, Gruszowie (1912) - dyr. Karol Siwek i Suchej Górnej (1913) - dyr. Karol Kokotek.

Trudności w pracy zespołów śpiewaczych były wielkie. Najdotkliwiej dawał się odczuwać brak materiału nutowego. Dyrygenci byli zmuszeni własnoręcznie przepisywać głosy chóralne lub powielać je prymitywnym sposobem na żelatynie czy masie hektograficznej. Brak było też często zrozumienia w społeczeństwie, szczególnie u rodziców, którzy zabraniali swoim synom i córkom chodzenia do „jakichsikej kumedyjantów". Dyrygenci jednak nie zrażali się tymi trudnościami i dzielnie kontynuowali pionierskie dzieło. Owoce nie dały na siebie długo czekać. Te „nowości" zaczęły się ludziom podobać, zaczęło przybywać coraz więcej ochoty, szeregi śpiewactwa zaczęły się poszerzać[3].

Chóry na Śląsku Cieszyńskim nie miały stosunkowo długo (bowiem aż do 1927) własnej organizacji nadrzędnej, jak to miało np. miejsce na Górnym Śląsku, bowiem tu już w r. 1910 powstaje w Bytomiu Związek Śląskich Kół Śpiewaczych, co umożliwiało chórom ściślejszy kontakt pomiędzy sobą. Wprawdzie w roku 1913 z inicjatywy Jana Kiszy, naczelnego chórmistrza Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, podejmowano próbę jednolitego uchwycenia organizacyjnego ruchu chóralnego na Śląsku Cieszyńskim, niestety wybuch wojny światowej w 1914 roku sparaliżował nie tylko te dążenia, ale również prawie zupełnie dalszą systematyczną działalność chórów. Wielka szkoda, że na skutek braku organizacji śpiewaczej i braku archiwów zespołów śpiewaczych wiele na pewno godnych odnotowania wysiłków chórów i ich dyrygentów na zawsze poszło w niepamięć.

c.d.n.

JÓZEF WIERZGOŃ

Przypisy:

1. Karol Berger: „O tych, co pierwsi zaczęli przeorywać glebę...", „Ogniwo" 1937 nr 13, s. 230.

2. Jerzy Hadyna: „Początki śpiewu chóralnego na Śląsku Cieszyńskim, w: Księga pamiątkowa. Pięćdziesiąt lat Towarzystwa Śpiewaczego „Harmonia", Cieszyn 1958, s. 6.

3. Eugeniusz Firla: Z historii śpiewu chóralnego na Śląsku Cieszyńskim, Kalendarz ZWROTU 1959. s. 95.

TAM WEJDŹ, GDZIE SŁYSZYSZ ŚPIEW...

Tam dobrzy są, źli ludzie, uwierz mi, ci nigdy nie śpiewają.

Te słowa zabrzmiały pod koniec listopada 1996 roku na walnym zebraniu PZŚ HUTNIK w Trzyńcu, które oceniało dorobek zespołu w okresie od walnego zebrania w lutym 1992 roku.

Wspólnym wysiłkiem członków chóru oraz kierownictwa artystycznego zespół i w nowych trudniejszych warunkach nie tylko istnieje, ale nadal się rozwija, zdobywając niemałe osiągnięcia, mając przed sobą ambitne zadania. Zespół idzie dobrą drogą. Rośnie poziom artystyczny i zespół systematycznie się rozwija, tak ilościowo jak i jakościowo. Słowa uznania zabrzmiały dla prezesa inż. Hławiczki i dyr. Cezarego Drzewieckiego za wkład pracy dla dobra zespołu. Energia, ofiarność i przywiązanie do zespołu prezesa oraz fachowość, wiedza i talent dyrygenta, jego odwaga w podejmowaniu odważnych wyzwań są bardzo korzystne dla zespołu. Rzetelny stosunek dyrygenta do chóru, jego koleżeńskość zyskały mu niekwestionowany autorytet i szacunek. Dyrygent wkłada wiele serca, by kondycja wokalna i dyscyplina wykonawcza były jak najlepsze, a zespół skupiał się na pięknej sztuce muzykowania. Dzięki bowiem muzyce ludzie stają się bogatsi o wartości, które dać może tylko ta muzyka. Wszyscy chórzyści kochają muzykę i śpiew. Pragną te trwałe wartości ocalić i przekazać innym, zwłaszcza dziś, w coraz bardziej zmaterializowanym społeczeństwie. Działalność artystyczna i sukcesy są ściśle związane z możliwościmi finansowymi zespołu. PZŚ HUTNIK dziękuje sponsorom, którzy pomogli: Huta Trzyniecka a.s., Urząd Miejski i Powiatowy, Walmark, JPS, J. Kaszpar, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska", Dom Narodowy w Cieszynie, Konsulat Generalny RP, Auto Jarow, Ministerstwo Kultury i Sztuki RP oraz osobom prywatnym. Znaczący wkład wnieśli sami chórzyści poprzez dobrowolne datki członkowskie oraz indywidualne dary sponsorskie i dochody z koncertów. Umożliwiło to nie tylko zorganizowanie wyjazdów i przyjmowanie zaprzyjaźnionych zespołów, ale też wydanie płyty CD – „Tu jest mój dom".

Potwierdzeniem maksymy „pieśń łączy ludzi i narody", są przeżycia podczas koncertów i wyjazdów chóru, zwłaszcza zagranicznych, gdzie zespół pełni rolę ambasadora kultury polskiej.

Są to imprezy bardzo absorbujące, wymagające zaangażowania oraz wiele wysiłku osobistego i wyrzeczeń członków chóru, często kosztem najbliższych. Należy złożyć członkom rodzin serdeczne podziękowania za wyrozumiałość. Wszystkie wyjazdy, dalekie czy bliskie, poprzedza trudna praca całego zespołu oraz kierownictwa artystycznego. Należy podzięko-



„HUTNIK" *fot. PETR ROUBAL*

wać prezesowi inż. J. Hławiczce za jego żmudną pracę w przygotowaniach i kierowaniu wszystkimi imprezami. Umie pokonywać przeciwności wiedząc, że to praca bardzo potrzebna. Podziękowanie należy się również pomocnikom dyrygenta inż. E. Śmiłowskiemu oraz mgr H. Krainie i całemu zarządowi.

Śpiewanie HUTNIKA brzmiało w Trzyńcu - Szpital Podlesie, Dom Emerytów, koncerty w przybytkach sakralnych Zaolzia od Mostów do Stonawy i Karwiny, a również w Czechach - Praga, Hluboka. Było wspólne koncertowanie z innymi chórami Zaolzia, czy zespołami, które gościły w Trzyńcu. Za granicą słuchano HUTNIKA w Słowacji, Polsce, Niemczech, Austrii, Holandii, Szwajcarii i Francji.

Ogromnie cieszy każdy sukces zespołów rodzimych. HUTNIK w ciągu pięciu lat dał 77 występów i koncertów, co podniosło ilość występów do 1453. W tym okresie podkreślić należy owocną współpracę chóru z Trzyniecką Orkiestrą Kameralną pod kierownictwem A. Kostkowej. Jest ona korzystna dla obu zespołów i bardzo wzbogaca koncerty. Najtrwalszym osiągnięciem zespołu było niewątpliwie wydanie płyty CD „Tu jest mój dom". Z perspektywy czasu każdy chórzysta może ocenić, że ogromny trud nagrywania warto było pokonać i wszystkich cieszy ten trwały dorobek i ślad. Płyta była wydana po Jubileuszu 40-lecia PZŚ HUTNIK.

Z okazji 40-lecia zespół został odznaczony Złotą Odznaką Honorową z Laurem PZCHiO w Warszawie, zasłużony dla Związku I Stopnia PZKO, oraz wiele odznaczeń indywidualnych otrzymali chórzyści.

Niezapomniane chwile spędza zespół corocznie łamiąc się opłatkiem na tradycyjnych wigilijkach zespołu, gdzie bilansuje swoją pracę. W ostatnim okresie HUTNIK młodnieje, zwłaszcza w chórze żeńskim. Cieszy to i napawa nadzieją, iż w myśl słów piosenki „nigdy nie zaginie w Beskidach śpiewanie", zapełnią się sale na koncertach HUTNIKA i wszystkich zaolziańskich zespołów. Cześć pieśni.

ANNA KORNUTOWA

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Materiały publikowane w tej rubryce umieszczamy w oryginalnym brzmieniu. Poglądy czytelników nie zawsze pokrywają się ze stanowiskiem redakcji.

Na drugiej stronie okładki nr 12/96 opublikowaliśmy zdjęcie chóru, prosząc naszych czytelników o podanie wiadomości na jego temat. Poniżej publikujemy list pani Wandy Mrózek, dla którego inspiracją było owo zdjęcie.

Na fotografii widoczne są kulisy sceny na sali gimnastycznej szkoły wydziałowej w Cz. Cieszynie przy ul. Čapka. Wiem to na pewno; z rodzicami mieszkałam w sąsiedztwie wymienionej szkoły na ul. Bezruča 16 (ten dom został zburzony).

Mój ojciec Józef Kaleta od roku 1924 do 1938 był na tutejszym terenie redaktorem Naszego Ludu, Prawa Ludu, Szerszenia i Dziennika Polskiego.

Chór Macierzy Szkolnej w roku 1939 miał 50 członków (ta fotografia również istnieje).

W latach trzydziestych była grana w szkole wydziałowej w Cz. Cieszynie operetka „Manewry jesienne" Lehara, w której główną rolę grał p. Paweł Trombik, na scenie zabiegający o względy hrabiny, którą grała p. nauczycielka Czyżówna. Starego generała grał mój ojciec. Operetka miała wielkie wzięcie i była wielokrotnie powtarzana. A ja,

jak tylko mogłam, biegałam przez ulicę na próby i nawet pamiętam urywki melodii. W tej operetce był także balet. Grał w nim p. Adamus i jego siostra. Jest nadzieja, że znajdą się zdjęcia z tej operetki.

W tej operetce solowe partie śpiewał p. Paweł Trombik i p. Czyżówna:

„W noc księżycową ... w tę cudną noc, księżyc na jawie, w śnie kochankowie, w tę cudną noc..."

To śliczna melodia.

A mój ojciec, grający generała, latał po scenie i beształ podwładnych.

Operetkę wyćwiczył p. Karol Berger, dyrektor szkoły wydziałowej w Cz. Cieszynie, był on także autorem sztuk m.in. „Panna Halka mężatka" granych w szkole. W tym czasie była również przedstawiana sztuka „Ciotka Karola", chyba pióra Bałuckiego. Główną rolę grał p. Karol Berger.

MUDr Wanda Mrózek
Ligotka Kameralna

Od redakcji:
Może nasi czytelnicy pomogą nam uzupełnić podjęty przez p. Wandę Mrózek ciekawy wątek z życia szkoły wydziałowej w Cz. Cieszynie. Czekamy na listy.

Nie tak dawno, bo w grudniu 1996 mieliśmy możliwość przeczytać w ZWROCIE artykuł „Kilka wspomnień o Janie Fukale". W tym artykule autor mylnie nas informuje, iż w dniach od 8 do 12 marca 1940 roku doszło do masowych aresztowań na terenie Karwiny i Stonawy. I dalej: „Fala aresztowań pociągnęła za sobą 22 obywateli Karwiny i Stonawy". W rzeczywistości aresztowano 26 osób. Aresztowania zostały ukończone 15 marca, a rozpoczęły się chyba o jeden tydzień wcześniej.

Mylnie też są podane niektóre imiona: Adolf Farnik zamiast Jan Farnik. Adolf Farnik mieszkał w Olbrachcicach, doczekał się wyzwolenia i żył długo po ukończeniu II wojny światowej. Oprócz tego Franciszek Pękała zamiast Karol Pękała. Obaj zostali aresztowani w dniu 15 marca 1940.

Chcę przypomnieć, iż w dniu 25 lutego 1995 w Głosie Ludu na str. 3 opublikowano artykuł p. Józefa Kocha „Wśród bagnisk i torfowisk", w którym podano poprawnie wszystkie dane więźniów. Artykuł napisano krótko na podstawie siedmiostronicowego materiału p. J. Kocha, więźnia nr 980, a w rzeczywistości miało być 990. Ale cóż to znaczy dla redaktora taka mała pomyłka.

inż. Bogumił Farnik
Czeski Cieszyn

TO I OWO

IMPREZY FOLKLORYSTYCZNE

W „Panoramie" - tygodniku ilustrowanym wychodzącym w Katowicach (nr 50 z 15 XII 1996) Roman Chowaniec pisze o Polskiej Sekcji Międzynarodowej Rady Stowarzyszeń Folklorystycznych, Festiwali i Sztuki Ludowej - CIOFF w Warszawie. Obecnie status festiwali CIOFF lub członkowstwo w Stowarzyszeniach posiada 9 Komitetów Międzynarodowych Imprez Polskich. Są to w kolejności (według kalendarza imprez):

- Pyrzyckie Spotkania z Folklorem (woj. szczecińskie)
- Polskie Lato z Folklorem we Włodawie (woj. lubelskie)
- Święto Dzieci Gór w Nowym Sączu
- Interfolk w Kołobrzegu
- Tydzień Kultury Beskidzkiej, w ramach którego odbywa się:
  Festiwal Górali Polskich w Żywcu,
  Międzynarodowe Spotkania z Folklorem w Żywcu i Wiśle,
  „Wawrzyńcowe Hudy" w Ujsołach,
  „Gorolskie Święto" w Jabłonkowie,
- Międzynarodowy Festiwal Zespołów Folklorystycznych w Zielonej Górze: w roku nieparzystym - Festiwal Dziecięcy, w roku parzystym - dla dorosłych
- Studencki Festiwal Folklorystyczny - Katowice, Sosnowiec
- Polski Jarmark Folkloru w Białej Podlaskiej
- Międzynarodowy Festiwal Folklorystyczny w Bursach (woj. bydgoskie).

T.T.

ŚMIERĆ HRABALA

3 lutego br. zmarł tragicznie Bohumil Hrabal, wybitny czeski pisarz, autor „Pociągów pod specjalnym nadzorem" i „Zbyt głośnej samotności". Miał 82 lata. Karmiąc gołębie, wypadł przez okno praskiego szpitala, w którym przebywał od dwóch miesiący. Cieszył się olbrzymią popularnością w Polsce.

Adam Michnik, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej", napisał w dzień po jego śmierci:

„Hrabal umarł tak, jakby pisał ostatni rozdział swojej książki. Był pisarzem, który kochał świat i życie, choć i świat, i życie nie oszczędziły mu cierpień i upokorzeń.

Dla polskich czytelników stał się symbolem czeskości: liryzmu i rubasznej autoironii, litości dla bliźnich i bezsilnej dumy typowej dla pisarza małego narodu. Teraz odjechał w inny świat swoim pociągiem pod specjalnym, anielskim, nadzorem. By nadal karmić gołębie..."

"CIESZYNIOK"

Ta swojsko brzmiąca nazwa, to tytuł biuletynu Gdańskiego Bractwa Cieszyniaków. Nieformalne stowarzyszenie naśladuje w głównym zamyśle cieszyński Klub Propozycji. Wybrano honorowego „prezesa", Józefa Golca, pomysłodawcę tej wartościowej inicjatywy. Sekretarzem został Edward Tarkowski, emerytowany kapitan Żeglugi Wielkiej. Bractwo nie krępuje swojej pracy formalnymi planami, lecz podejmuje różne spontaniczne działania na rzecz integracji osób związanych z grodem nad Olzą, zarówno tych w kraju, jak i za granicą. Wśród członków założycieli znaleźli się m.in. profesorowie Gdańskiej Akademii Medycznej, Anna Kamińska i Jerzy Krechniak. Łącznie z pozostałymi członkami Bractwo liczy 22 osoby. Biuletyn zamieszcza artykuły: E. Tarkowskiego „Nie zapominajmy mowy ojców", J. Golca „Nowy Rok" (cieszyńskie przepowiednie i wierzenia), przedruk artykułu ze „Zwrotu" „Tylko po naszymu" na temat Macierzy Ziemi Cieszyńskiej w Olsztynie, „Wiwat Beskidy" Grażyny Murawskiej oraz „Cieszyniacy na gdańskim szlaku", prezentujący krótkie biogramy. Stronę końcową zdobi exlibris Edwarda Tarkowskiego, wykonany przez Józefa Golca. „Szef" Gdańskiego Bractwa Cieszyniaków postanowił obdarować wszystkich członków takimi plastycznymi upominkami. Godzi się nadmienić, że ma on na swym koncie setkę takich wspaniałomyślnych prezentów. Opatrzone komentarzem znajdą się w oddzielnym wydawnictwie. Na końcu „Cieszynioka" publikowane są dwa wiersze: Wilhelma Przeczka i Emilii Michalskiej. (szel)

"GOŚĆ" NAD OLZĄ

Od stycznia br. w ramach dodatku „Gościa Niedzielnego" dla diecezji bielsko-żywieckiej ukazuje się „Gość nad Olzą". Jest to stała rubryka poświęcona sprawom życia religijnego katolików mieszkających za południową granicą Polski ze szczególnym uwzględnieniem Zaolzia. Postulat stworzenia rubryki o tak nietypowym „zagranicznym" charakterze wyszedł ze strony zaolziańskich czytelników narodowości polskiej. Wielokrotnie zwracali oni uwagę na potrzebę szerszego ukazywania tradycji oraz aktualnej sytuacji odradzającego się w Czechach życia kościelnego, widzianego również w perspektywie bliskich związków z Kościołem w Polsce. W pierwszych numerach „Gościa nad Olzą" zaprezentowane zostały m.in. bieżące wiadomości z życia diecezji ostrawsko-opawskiej, wydarzenia kulturalne, a także garść informacji o przeszłości parafii w Jabłonkowie i Górnej Łomnej. (...) Po ukazaniu się pierwszego numeru „Gościa nad Olzą" redakcja otrzymała sporo listów od Czytelników z Zaolzia z propozycjami tematów do omówienia w tej rubryce.

„Gość Niedzielny"

PO RAZ 21. BIEG PIASTÓW

9 lat minęło od Polonijnych Igrzysk Zimowych w Zakopanem. Wtedy to zawitał wśród uczestników sam komandor Biegu Piastów, pan Julian Gozdowski i przekonywującym sposobem zachęcał nas do udziału w imprezie odbywającej się po przeciwnej - zachodniej stronie Polski, w Jakuszycach na Pogórzu Izerskim.

W roku 1991 wyjechało dwóch zawodników reprezentujących Zaolzie (J. Konderla i dr S. Czudek). Corocznie nasza ekipa rozrasta się. W tym roku wyjechało 36 zawodników. Wśród nich ci, którzy już poprzednio pokonali siebie w walce z dystansem (50 i 25 km), zmęczeniem, warunkami atmosferycznymi i niezależnie od miejsca zajętego na mecie pokochali jakuszycką imprezę. Po tegorocznej odniosłam wrażenie, że inni, debiutujący, już w roku następnym dołączą do ich grona. Chyba się nie pomylę, wymieniając dla przykładu najmłodszego naszego zawodnika Tadka Fójcika z Cierlicka oraz w kategorii dorosłych R. Wawracza, A. Szafarczyka z Jabłonkowa, M. Szlauera z Sibicy czy P. Cieślara skoczka z Nydku, który w tym wypadku musiał znacznie zwężyć szerokość swych nart.

I w tym roku nasi rutynowi zawodnicy nie sprawili zawodu. Jeszcze nie dotarły do nas kompletne oficjalne wyniki, ale wiem na pewno, że wśród polonusów powtórzył na dystansie 50 km swój ubiegłoroczny sukces Rene Sikora z Nydku, dystans 25 km w tej kategorii najszybciej pokonał Józef Martynek z Nawsia. Otrzymał ładny puchar ufundowany przez TV Polonia.

Bieg Piastów od czasu przyjęcia do Europejskiej Ligi Biegów Długich odbywa się zawsze w drugą sobotę stycznia. Doszło również do wielu zmian orgnizacyjnych, mających na celu stworzenie lepszych warunków dla zawodników. Nowe rozwiązanie organizacji startu i wyjścia na trasy (większa ilość torów na odcinku prawie 1 km), w znacznym stopniu zapobiegło tłokowi i przepychankom około dwutysięcznej rzeszy biegaczy wyczynowców i amatorów. Nie będę ukrywała, że bardziej niż w latach poprzednich odpowiadały mi dłuższe zjazdy, gdzie kilka torów prowadziło wprost i były zakończone wybiegiem. Nie było konieczności gwałtownego hamowania. Pozytywnie należy ocenić również punkty żywnościowe, zwłaszcza na trasie. W tym roku dopisała również pogoda i dzięki atrakcyjności prowadzenia tras można było delektować się widokami. Odniosłam również wrażenie, iż całe zaplecze techniczne, włącznie z obsługą, było prowadzone bardziej profesjonalnie. Zarówno przed startem, jak i po biegu zauważyłam w odróżnieniu od lat poprzednich większy spokój w sztabie biura zawodów. Prezes Stowarzyszenia Biegu Piastów Julian Gozdowski miał czas na rozmowy z uczestnikami imprezy. Nie pominął również naszej ekipy i dziękując nam za przyjazd dofinansował

nasz udział w zawodach. Jako organizator wyjazdu i tą drogą w imieniu całej ekipy jeszcze raz gorąco dziękuję.

Sportowe ściganie się na trasach, to nie jedyny walor masowego Biegu Piastów, którego organizacja, jak się dowiedziałam, nie byłaby możliwa bez euroregionu „Nysa" i pośrednictwa Funduszu Unii Europejskiej Phare Cross Border Corporation, który wsparł imprezę finansowo. Bieg Piastów jest jedną z najważniejszych imprez, nie tylko sportowych, na terenie euroregionu. Bierze w nim udział około 2 000 zawodników z wielu krajów, co dla regionu jeleniogórskiego oznacza dużą międzynarodową promocję a możliwość spotkania się Polaków, Niemców, Czechów i innych jest ważniejsza niż górnolotne polityczne deklaracje na temat integracji europejskiej. Dla nas jest to również okazja dla kolejnych spotkań z zaprzyjaźnionymi już sportowcami Polakami z Litwy, Białorusi i Ukrainy. Chociaż w tym roku nie udało się stałej opiekunce naszych zespołów pani Beacie Grabowicz zakwaterować nas w jednym ośrodku, to jednak dzięki jej staraniom dzieliła nasze hotele „Medyk" i „Świteź" tylko kilkudziesięciometrowa odległość, co pozwoliło nam i tym razem spędzić kilka serdecznych chwil na rozmowach i towarzyskiej zabawie.

Zapraszamy do udziału w Biegu Piastów w drugą sobotę stycznia 1998 roku.

AF



fot. ANNA FRANEK

"SZCZECIŃSKIE PAR" OTWARTE I DLA ZAOLZIA

W listopadzie 1980 roku założone zostało Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, w celu popierania amatorskiej twórczości artystycznej ludzi pracy - ich twórczości, literackiej, plastycznej i muzycznej. Spośród Kół RSTK wcześnie na czoło wysunął się ośrodek szczeciński, zwłaszcza dzięki mgr. Wacławowi Falkowskiemu i Marianowi Kasprzykowi. 20-22 września ub. roku odbyły się już XV Ogólnopolskie Szczecińskie Prezentacje Artystyczne, czyli tzw. „Szczecińskie PAR" (Reprezentacje Artystyczne Robotników) - jako Konkurs Literacki im. Edwarda Szymańskiego i Konkurs Plastyczny. W dziale literatury wzięło udział 150 zestawów poezji i prozy, w dziale zaś malarstwa (olej collage, akwarela, pastele, techniki graficzne) i rzeźby wystawiło prace 31 autorów.

„Szczecińskie PAR" stają się coraz bardziej znane także poza granicami Polski, w minionym roku udział wzięli po raz pierwszy amatorzy z Izraela, Litwy oraz z Zaolzia, w osobie niżej podpisanego. Otrzymał dyplom uznania i wyróżnienie w dziale poezji.

Oganizatorzy zadbali, aby program wręczania nagród był uroczysty i urozmaicony. Obejmował biesiadę literacką, ognisko, turniej jednego wiersza, prezentację zespołów Klubu Garnizonowego (tj. miejsca imprezy), zwiedzanie malowniczego Szczecina, składanie kwiatów pod pomnikami Czynu Polaków (jednym z najpiękniejszych w Polsce) i Jana Pawła II. W pożegnalnym spotkaniu wzięło udział wiele czołowych osobistości Szczecina. Przekazano obecnym serdeczne zaproszenie do następnej, XVI edycji „Szczecińskie PAR".

Dodać należy, iż szczecińskie RSTK wydaje miesięcznik „Własnym Głosem", którego znakomitym redaktorem naczelnym jest dr Paweł Soroka z Warszawy. Nadto dysponuje własnym wydawnictwem MAK, publikującym m.in. almanachy ze zwycięskimi pracami konkursowymi. Wszyscy oni bardzo chętnie przyjmą zamówienia na wydawnictwa dla Zaolzia. W ogóle Szczecińskie PAR-97 czeką na Zaolziaków!

JÓZEF KULA

WALNE ZEBRANIE PZKO KOŃSKA-OSÓWKI

W piątek 10 stycznia br. odbyło się walne zebranie Koła PZKO Końska-Osówki. Obecny na zebraniu delegat ZG PZKO Stanisław Sikora omówił plan imprez jubileuszowych z okazji 50-lecia Związku. Prezes Koła Tadeusz Kornuta złożył sprawozdanie z działalności Koła w 1996 roku.

Według tego sprawozdania odbyła się w marcu prelekcja Bogusława Drózda o parkach krajoznawczych USA. Udaną imprezą było majowe smażenie jajecznicy. Na festynie w czerwcu wystąpił zespół taneczny „Łączka" z Bystrzycy. Wrześniowa impreza - Zakończenie Lata - niestety tradycyjnie nie ma szczęścia do pogody. Nie udało się urządzić autobusowej wycieczki do Polski, odbyła się natomiast piesza wycieczka na Girową. Udana była listopadowa prelekcja MUDr. Wantuloka o homeopatii. W trakcie imprezy urządzono wystawę i sprzedaż polskich książek.

Koło wzięło aktywny udział w ubiegłorocznym Gorolskim Święcie. Zainstalowano stoisko, jednak zysk z powodu złej pogody nie był wielki.

W planie pracy na rok przyszły zatwierdzono zorganizowanie tradycyjnych imprez, m.in. zebrania jubileuszowego z prelekcją, wystawy owoców, a także udział w Festiwalu PZKO w Karwinie i w Gorolskim Święcie w Jabłonkowie.

Zaproponowano nawiązać współpracę z Kołem PZKO Końska-Podlesie. Wybrano 7-osobowy zarząd Koła i 4 delegatów na Zjazd PZKO. W zebraniu wzięło udział 30 członków spośród 165-osobowej bazy członkowskiej.

T.T.

LA CORRIDA

W sobotę 11 stycznia skrzeczońskie Miejscowe Koło PZKO zorganizowało reprezentacyjny bal pn. „La corrida", który odbył się w sali zakładu Bohemia w Boguminie.

Do nazwy balu była dopasowana odpowiednia dekoracja, przy czym imprezę zagaił dolnolutyńsko-skrzeczoński zespół taneczny, przedstawiając kolejno tango, jive, mambo i makarenę. Następnie gościnnie wystąpiła para z trzynieckiego zespołu Elan, zachwycając uczestników balu wiązanką tańców standardowych i latynoamerykańskich. Ku zadowoleniu wszystkich do tańca przygrywały dwa zespoły muzyczne - „Krater" działający przy MK PZKO Skrzeczoń oraz gościnnie w ramach współpracy Koła z Towarzystwem Miłośników Grodkowa zespół działający przy grodkowskim Miejskim Domu Kultury pod kierownictwem dyrektora tej placówki Stanisława Wieczorka.

Do miłego nastroju balowego oprócz dekoracji przyczyniły się także tradycyjne akcesoria jak kwiaty, kotyliony, nadto smaczne potrawy oraz bogata loteria rzeczowa. Słowa podziękowania należą się także sponsorom, ofiarodawcom nagród oraz wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do udanego przebiegu całej imprezy.

D.G.

WALNE ZEBRANIE PZKO PIOTROWICE

Walne zebranie Koła PZKO w Piotrowicach odbyło się w niedzielę 12 stycznia br. W programie kulturalnym wystąpiła Jolanta Kotas, uczennica 3 klasy PSP w Karwinie-Nowym Mieście, z występem fortepianowym i Erwin Masłowski z piosenką satyryczną na temat działalności Koła. Zebranie prowadził prezes Koła, Henryk Toman. Sprawozdanie na temt działalności Koła w 1996 roku wygłosił sekretarz Koła, Tadeusz Toman.

W ubiegłym roku Koło zorganizowało kilka udanych imprez, m.in. bal, świetlice z okazji Dnia Matki i Powitanie Wiosny. Z programem kulturalnym wystąpił w Piotrowicach zespół szkolny „ANKI" z Błędowic. Aktywnie działał chór mieszany Piotrowice-Marklowice. Zakończono gazyfikację Domu PZKO oraz rekonstrukcję kuchni.

Obecny na zebraniu delegat ZG PZKO dr Józef Wierzgoń skomentował aktywność poszczególnych Kół PZKO, przedstawił działalność Związku w roku jubileuszowym oraz omówił dorobek śpiewactwa polskiego na Zaolziu.

Wybrano 19-osobowy zarząd Koła, 3-osobową komisję rewizyjną oraz 3 delegatów na Zjazd PZKO. W zebraniu wzięło udział 30 członków spośród 155-osobowej bazy członkowskiej.

T. T.

KOLĘDY Z GRODKOWA

W dniach 18 i 19 stycznia br. w ramach współpracy skrzeczońskiego Miejscowego Koła PZKO z zaprzyjaźnionym Towarzystwem Miłośników Grodkowa przebywał na terenie miasta Bogumina chór mieszany „Grodkovia".

Zespół z dyrygentem Aleksandrem Kwiatkowskim podczas koncertów w trzech kościołach zaprezentował nie tylko popularne, ale i mniej u nas znane kolędy. Pierwszy koncert odbył się w Starym Boguminie, następny podczas polskiej mszy w Nowym Boguminie a ostatni po niedzielnej mszy w Skrzeczoniu. O wysokim poziomie wykonawstwa kolęd świadczyły nie tylko gorące oklaski słuchaczy, ale także wyrazy podziękowania i uznania pod adresem zespołu z ust księdza proboszcza Stanisława Zwyrtka. Słowa podziękowania należą się także parafii bogumińskiej za zakwaterowanie chórzystów w Domu Rekolekcyjnym.

Chór Grodkovia rozpoczął działalność w lutym 1987 roku, czyli właśnie obchodzi 10-lecie swojej działalności. Blisko 30-osobowy chór jest czterogłosowy i w Grodkowie – mieście urodzenia Józefa Elsnera, kompozytora

i nauczyciela Fryderyka Chopina – wznowił tradycje śpiewu zespołowego. Według potrzeby w repertuarze znajdują się pieśni religijne kolędy, patriotyczne a także ludowe.

Przed odjazdem chóru odbyło się w skrzeczońskim Domu PZKO spotkanie z przedstawicielami zarządu Koła. Goście zwiedzili Izbę Tradycji Koła a spotkanie umilili próbką różnorodnych piosenek ze swego bogatego repertuaru. Na podstawie wstępnych rozmów zaplanowano występ skrzeczońskiego chóru „Hasło" w okresie jesiennym w Olszance niedaleko Grodkowa podczas chóralnego przeglądu pieśni patriotycznej.

D.G.

WALNE ZEBRANIE SKRZECZOŃSKICH PEZETKAOWCÓW

W niedzielę 26 stycznia w skrzeczońskim Domu PZKO odbyło się walne zebranie członków Miejscowego Koła PZKO, podczas którego w obecności przedstawiciela Zarządu Głównego PZKO Stanisława Kondziołki przeprowadzono ocenę działalności za rok 1996.

Według sprawozdania wygłoszonego przez sekretarza Koła inż. Tadeusza Guziura w ramach Koła działa chór mieszany „Hasło", zespół taneczny oraz zespół muzyczny „Krater", które w ubiegłym roku zaliczyły łącznie 37 występów, nadto pracował Klub Dziecięcy, Klub Młodych, Klub Kobiet i Klub Seniorów. Do najważniejszych akcji i imprez należy reprezentacyjny bal pn. „Z bajki do bajki", tradycyjna impreza Powitanie Wiosny i festyn ogrodowy, jubileusz 70-lecia istnienia chóru mieszanego „Hasło", który ponadto wziął udział w IV Święcie Śląskiej Pieśni Chóralnej pn. Trojok Śląski w Katowicach, dalej obchody Miesiąca Oświaty, Książki i Prasy oraz tradycyjna wigilijka, połączona ze spotkaniem z jubilatami Koła i świetlicą dziecięcą. W ramach działalności sportowej zorganizowano mistrzowstwa Koła w kometce. Ponadto Koło kontynuowało współpracę z Towarzystwem Miłośników Grodkowa, Harcerstwem Polskim w Republice Czeskiej, Macierzą Szkolną oraz szkołami w Boguminie i Lutyni Dolnej. Pozytywnie należy również ocenić działalność w czynie społecznym skrzeczońskich pezetkaowców, bowiem bezinteresownie przepracowali 1510 godzin, głównie przy organizowaniu imprez oraz w ramach napraw, rekonstrukcji i porządkowania Domu PZKO.

Po przedstawieniu przez długoletniego skarbnika Koła Alberta Grzebienia sprawozdania kasowego i budżetu na rok 1997 przedstawiciel ZG PZKO pozytywnie ocenił działalność skrzeczońskich pezetkaowców, wspomniał o historii powstania PZKO i SMP oraz zaznajomił obecnych z przygotowaniami do tegorocznych obchodów 50-lecia PZKO. Ponadto w dyskusji gospodarz Domu PZKO Stanisław Górniok przedstawił plan prac rekonstrukcyjnych w Domu PZKO oraz podano informacje o marcowej obwodowej imprezie w Lutyni Dolnej, która zainauguruje 50-lecie PZKO.

Pod koniec zebrania przewodniczący komisji wyborczej Alojzy Sładeczek przedstawił skład nowego zarządu Koła, komisji rewizyjnej oraz delegatów na Zjazd PZKO, przy czym przewodniczącym Koła został ponownie wybrany inż. Bogusław Czapek.

D.G.

WALNE ZEBRANIE PZKO MARKLOWICE

W niedzielę 26 stycznia br. odbyło się walne zebranie Koła PZKO w Marklowicach. Program kulturalny przed zagajeniem obrad wykonały dzieci z polskiego przedszkola w Karwinie-Granicach.

Referat omawiający działalność Koła w 1996 przedstawił jego prezes, Karol Sikora.

W ubiegłym roku odbyły się tradycyjne imprezy takie jak bal karnawałowy, dzień matki, smażenie jajecznicy, kopaczówka, czy wigilijka przygotowana przez Klub Kobiet. 24 listopada ubiegłego roku odbył się jubileusz 75-lecia śpiewactwa polskiego w Marklowicach, na którym oprócz chóru PZKO Piotrowice-Marklowice wystąpił chór żeński „Kalina". 29 grudnia ub.r. w kościele w Marklowicach kolędy śpiewały dzieci z polskiej szkoły z Suchej Górnej.

Wytyczono plan pracy na rok następny. Oprócz tradycyjnych imprez odbędzie się w listopadzie uroczyste zebranie z okazji 50-lecia Koła. Marklowiccy PZKO-wcy wezmą też udział w Festiwalu PZKO w Karwinie.

ZG PZKO reprezentował na zebraniu Stanisław Orszulik. Baza członkowska liczy ponad 150 osób, w zebraniu udział około 30% członków.

T.T.

Z DZIAŁALNOŚCI "WSPÓLNOTY"

Na zebraniu Rady Wykonawczej Ruchu Politycznego „Coexistentia - Wspólnota" w dniu 19 grudnia ub. roku omówiono treść listu, jaki został wysłany do ministra Pavla Bratinki, szefa Rady ds. Narodowości przy rządzie Republiki Czeskiej. „Wspólnota" żąda w nim, by tekst Europejskiego Kodeksu Mniejszości Narodowych, podpisany przez ministra Bratinkę, był przekazany do parlamentu i przez niego ratyfikowany. „Wspólnota" domaga się również ratyfikacji Europejskiego Kodeksu Języków Mniejszościowych. W liście zwraca się również uwagę, iż izba poselska parlamentu RC przy uchwalaniu ustaw szkolnych nie kierowała się zasadami Karty Praw Człowieka oraz umowami międzynarodowymi, które ratyfikowała. Chodzi o te paragrafy w ustawie, które w istocie ograniczają prawo do nauczania dzieci mniejszości narodowych w ich języku ojczystym. Ruch polityczny „Coexistentia-Wspólnota" żąda również, by reprezentant Ruchu był członkiem Rady ds. Narodowości przy Rządzie RC.

Głównym tematem obrad Rady Wykonawczej „Wspólnoty" w dniu 9 stycznia br. było przygotowanie Konferencji Polskiej Sekcji Narodowej, która odbędzie się w lutym w Jabłonkowie. Tematem obrad będzie polityka komunalna, oceny wyników wyborów parlamentarnych i senackich oraz podsumowanie działalności Komisji Szkolnej funkcjonującej przy Radzie Polaków a także zagadnienia społeczno-polityczne w Republice Czeskiej.

T.T.

BAL PAPUCIOWY, CZYLI OSTATKI W GRÓDKU

Sezon karnawałowy w Gródku zakończony został Balem Ostatkowym, zwanym popularnie „Papuciowym". Organizowany jest już od roku 1986, w ostatnią sobotę przed Środą Popielcową. Tegoroczne gródeckie Ostatki odbyły się w sobotę 8 lutego, jak zawsze w sali Domu PZKO Miejscowego Koła. Słowami wiersza pt. „Na rozpoczęcie balu" pióra pani Piegzowej (gródczanki z pochodzenia) zagaił Ostatki prezes MK PZKO Karol Pilch. Na balu obecni byli również goście zagraniczni, tym razem z Opola.

Tańczono przy dobrej muzyce Václava Kývalskiego z Trzyńca. Między tańcami odpoczywano przy wspólnym śpiewaniu. Nie zabrakło w Gródku na Ostatkach tradycyjnych i popularnych zabaw. Weźmy chociażby loterię. Atrakcja, od której pochodzi nazwa balu „Papuciowy" – czyli walc premiowy z konkursem o najładniejsze i najbardziej pomysłowe obuwie – niestety z powodu małej liczby dysponujących odpowiednim obuwiem nie doszła do skutku. Dużo wesołości wzbudził premiowy taniec z pomarańczami.

O znakomitą strawę dla ciała zatroszczyły się kucharki z panią Grocholową na czele. Panie bezinteresowanie przygotowały korki, ciastka i ptysie. W prawdziwie swojskiej i przyjacielskiej atmosferze bawiono się do rana.

LIDIA KLUZ



Tradycyjny „Bal Śląski" MK PZKO Mistrzowice odbył się hucznie 1. lutego 1997, tym razem w hotelu „Piast" w Czeskim Cieszynie

DOWNO, DOWNO TYMU ŻYLI JEDNI POCZCIWI LUDZIE...

A byli to nasza Stareczka i nasz Starziczek. Żyli pieknie, uczciwie a cały żywot musieli ciynżko harować. I o tym jejich ciynżkim, ale godnym żywobyciu chciałabych tu troche pospóminać.

Starka nasza Weronika urodzili sie w Rychwołdzie w r. 1852. Były to wtedy ty głodne roki, jak sie to prawiyło. Choć Tatowie jejich mieli dość wielkóm gospodarke, dóma była biyda. Dzieci kupa, a ku tymu eszcze jejich Matka była ciynżko nimocno. Miała isto łązok z te biydy. Jak Starka mieli osiym roków, zemrzyła im Matka a do dóm przisziła Macocha. Nie była zło dlo dzieci, ale w tamtych czasach dziecióm sie nie wiydło tak, jako dzisio. Od małego musiały ciynżko robić, pómogać dóma. Nejpiyrw paść gynsi, potym krowy, a jak podrosły, to uż musiały robić w polu pospołu ze starymi, albo iść na służbe do inszego siedloka.

Do szkoły uż był mus chodzić. Ale wtedy dziecka sie uczyły yny w zimie, w lecie musiały pómogać w gospodarce. Szkoła była w jednej izbie, w te stare chałupie Nieboraka, kiero stoła naproci Kościoła. Tam ich uczół organista pisać, czytać i rachować. Pisało sie wtedy zaszpicowanymi gynsimi piórami. Musioł ich tyn organista dobrze uczyć, bo jak nasza Starka uż byli starzy a nimógli robić, ale oczy mieli fórt dobre, tak ogrómnie radzi czytali książki.

Opowiadali nóm też, jak na kóniec roku szkolnego im Pan Rechtór i pan Wielebny urządzali wycieczke, jak sie wtedy prawiyło. W niedziele, popołedniu zeszły sie dzieci szkolne i przisziło moc ludzi do zogrody przi farze. Były tam narychtowane długi stoły i ławki z desek, sprzedowali tam piwo, kołocze, kiere napiykły gospodynie i rozmańte cukrowi. Była i kapela, myzynci i grali na trómpetach i na gajdach. Dzieci śpiwały wyuczóne pieśniczki i Stareczka nóm ty pieśniczki zaśpiwali: „Ptaszku, ptaszku chcesz chleba? Nie chcę, nie chcę, nie trzeba, bo mi dały dzieuchy pełny koszyk rzeżuchy" itd. Abo: „jedzie, jedzie rycerz zbrojny, do dom wraca z długiej wojny, szata na nim postrzępiona, szabla jego pokrzywiona. Wita syna ojciec stary, siostry mu wynoszą dary, cieszą się nim bracia mili i sąsiedzi się cieszyli" itd.

Potym sie dzieci bawiyły. Chyciyły sie za rączki, krynciyły sie dookoła a śpywały: „Kółko graniaste, sztyrokanciaste, kółko sie nóm połómało, sztyry ryński kosztowało, a my wszyscy ciaaap!" Wiesioło

było i wszyscy się śmioli. Ale niejśmiyszniejsze było, jak sie dzieci wziyny do jedzynio wielkucnego kołocza, ze wszystkich strón, a śpiychały sie, bo w postrzodku była zapieczóno austriacko koróna. A gdo piyrwszy dojod do postrzodka, tak se tyn piniądz móg wziąść.

Na postrzodku zogrody był wbity wysoki drzewiany pal, cały namazany łojym, a na wyrszczku było przziwiązane pynto wórsztu. Dycki sie naszoł śmiały pachołek, co tam wyloz a tyn wiónek zciągnął. Ale więcy było takich, co próbowali a spadali z tego słupa i śmiychu było pełno i legracyje.

Jak nasza Starka mieli patnost roków, tak musieli iść na służbe. Służyli u nejwiększego siedloka w Rychwołdzie, u Budnika. Wszycko sie wtedy robiyło ręcznie, nie było żodnych maszyn. Możemy se to przedstawić, co to była za straszno drzina dlo ludzi, od świtanio do nocy. Opowiadali nóm Starka, że u tego siedloka obili młócili często dziepro w zimie. W ręce, nogi oziąbało, a ćma było. Eszcze wtedy nie było ani takich lamp na petroline, yny w kącie stodoły stoł pachołek a dyrżoł w ręce zapolónóm szczape z drzewa, pomóczynóm w smole, takóm fachule, a co chwile jóm musioł zmiyniać na nowóm.

Roz ich też gospodyni puściła, społym z dwiema inszymi dziywkami, kiere tam służyły, na pońć do Częstochowy. Miały za to pieknie porzykać za gospodarzy, aby im Paniynka Maryja pobłogosławiyła, dała szczyńści a zdrowie. Szli nasza Stareczka na tóm pońć boso, na plecach mieli w pytliku pecynek chleba, osełke masła, kónsek syra, a przez ramióna przewieszóne bóty. Po ceście, jak trefili na jaki potok, abo rzyke, tak wszycy zastawili, nogi se umyli a odpoczywali. Zaś szli dali a całą cestą śpiwali nabożne pieśniczki. Przed samóm Częstochową, jak uwidzieli Klosztór, tak se wszyscy dziepro bóty na nogi obuli.

Byli też Starka za młodu na pońci w Kalwaryji Zebrzydowski. Też pieszo, też boso, a tam od jedne Sztacyji Męki Pański do drugi pochodziyli na kolanach. Było tam bezma miejsce kansi po Krzyżym, kaj miała grzysznica Maryja Magdalena pokute odprawiać, lutować za swoji grzychy, głowe se pioskym posypować, aż sie ji rozsypały perły, kiere miała powieszóne na karku. I ci póntnicy tam bezma kutali kijami w tym piosku a chledali tych pereł. Borocy?

Jak Starka mieli dwacet roków, tak ich Tata z Macochóm umyślili wydać. Wtedy se prawiyło, że jak dzioucha mo dwacet roków, to uż trzeba z nióm wartko, jak z chlebym do pieca pómykać, hónym jóm trzeba wydować. Downi, młodzi nimieli nic do rzeczy. I tak wychledali im Tatowie na żynicha jakigosi rychwałdzana, podle nich mioł to być porzóndny, robotny synek. Na świadka napytali swojigo znómego, Jakuba, młodego wdowca, 27 roków starego, kierymu przed rokym umrzyła żóna przi małym, bezma na czorne ośpice. Małe też umrzyło.

Jak to było z tym wydojym nasze Starki, to my sie dowiedzieli od naszych Ciotek, Oni sami nóm o tym nie wykłodali, ani nie spómnieli.

Młodzi uż szli posłesznie społym na katezmus, a wtedy piyrszy roz Jakub, co mioł być świadkym na tym wiesielu, uwidzioł Werónke i stanął, jak wryty. Strasznie sie mu spodobała. Bo też była ogrómnie szykowno, miała jasne włosy a hruby, długi warkocz na plecach. Pomyśloł se isto: „Ta, abo żodno inszo na świecie!" A Jakub też był feszak, mioł czorne oczy a ciymne włosy. I nic dziwnego, że od piyrszego wejrzynio mieli sie ku sobie.

Jak to dali było, jaką wojne musieli Starzyk stoczyć z tym niedoszłym żynichym, tego sie uż nigdy nie dowiymy. Beztak sie i prali o naszóm Stareczke!

Na jesiyni 1873 r. Pan Wielebny, ks. Walenty Machaczek pobłogosławił tyn związek ze szczerego serca. Też woloł widzieć przed ołtorzym dwoje ludzi, kierzy sie miłują, niż takich namówiónych.

I żyli potym pieknie Stareczka ze Starziczkym i cały żiwot sie mieli radzi. Yny tego niedoszłego żynicha dycki Starziczek szpatnie przezywali: „Dyćbyś sie miała Werónko przi nim źle, dyć to był straszny chachar, pijok i obijok!" Taki mioł być podle Starzika.

Starziczek przyszli do Rychwołda z Gorzyczek nad Olzą (teraz za Olzą). Byli hawiyrzym. Robiyli na szachcie „Michał" w Michałkowicach. Chodzili do roboty pieszo, a do szachty schodzili po takich drabinach z powiązanych powrozów, nie było eszcze szoli. A wtedy sie robiyło dwanost godzin. Nóm se to teraz ani w głowie ni może pómieścić, co to było za otroctwi, jak ci ludzie żyli, skąd eszcze naszli czas, aby robić dóma kole swojí gospodarki. Za 40 roków przerobiónych na szachcie dostali Starziczek złoty medal od Cysorza Franciszka Jozefa I. A tyn medal je teraz w rodzinie u jejich Syna, u naszego Ujca, kiery był dyrektorem nad poryma szachtami w Gwarectwie Rybnickim, a przed samóm ostatnióm wojnóm dyrektorym szacht Larysza w Karwinej.

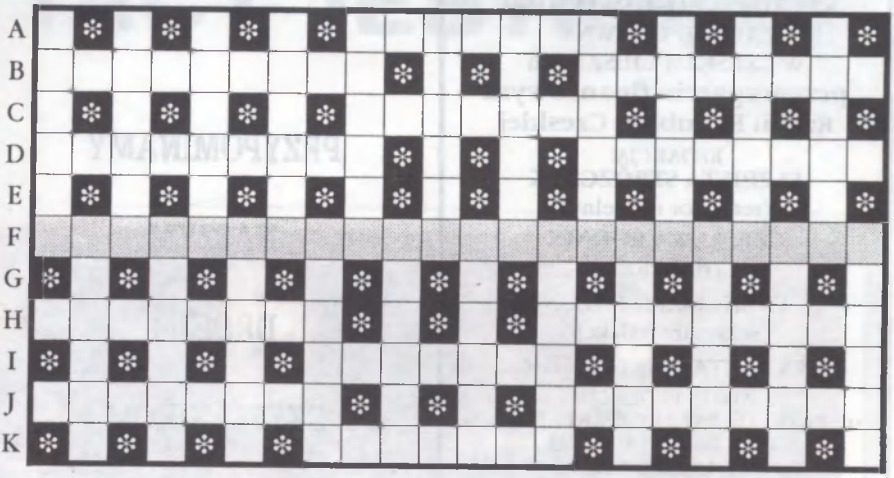
Nasi Starzyczkowie wychowali dziewięcioro dzieci na porządnych ludzi, kierzi sie nie zaprzyli swojí mowy i swojich polskich korzyni. I rozrosła sie ta wielko rodzina Urbańczyków, użby ich było biyda wszyckich porachować, sóm to prawie sami sztudyrowani ludzie, a nejwiyncy ich je za Olzą.

Na kopcu, nad Strużkóm, kaj downi stoła drzewiónka, stoi uż ponad sto roków stary, bioły dóm. Pochylił sie uż boroczek od starości, chciołby odpocząć. A tela miołby do opowiedzynio...

Szkoda, że ty stare dómy nie umią mówić!

JANINA

KRZYŻÓWKA



KRZYŻÓWKA KOMBINOWANA

Z dziejów PZKO: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy rozwijał swoją działalność pierwotnie na terenie byłych powiatów... (patrz rozwiązanie dodatkowe krzyżówki kombinowanej), następnie od 1950 roku w okręgu północnomorawskim, a dopiero od 1990 roku na terenie całej Republiki Czeskiej.

Krzyżówkę kombinowaną rozwiązujemy poziomo po prostu normalnie, albowiem podane są znaczenia poszczególnych wyrazów, zaś pionowo jak syntezę krzyżówki (wszystkie wyrazy podane są w kolejności alfabetycznej).

POZIOMO: A. Urządzenie stosowane w elektronicznej technice obliczeniowej łączące pod względem funkcjonalnym właściwości dalekopisu, elektrycznej maszyny do pisania i dziurkarki taśmy. **B.** Instrument muzyczny strojony w kwintach; nauka o zwierzętach. **C.** Marzenie, fantazjowanie, układanie nierealnych planów. **D.** W przybliżeniu równa 3,14159; rzekomy mnich, faworyt rodziny cesarza rosyjskiego Mikołaja II. **E.** ROZWIĄZANIE DODATKOWE. **H.** W mitologii fenickiej bóstwo miłości i płodności, czczona jako bogini-Matka (także kananejska bogini miłości, żona Baala); nauczyciel języka polskiego. **I.** Stolica Słowenii. **J.** Samochód osobowy produkcji włoskiej (anagram wyrazu ARTEMIZA); ustanowiony przez Chrystusa znak zewnętrzny udzielający sam przez się łaski. **K.** Satelita lub samochód osobowy produkowany w byłej NRD.

PIONOWO: DOJARZ, IGELIT, IKRZAK, IMPAST, KARATE, KNEDLE, KOLAK, LIPIEC, PILICA, PONTON, RELIKT, ROJSTY (tytuł powieści Tadeusza Konwickiego), SANDAŁ, SITTER (holenderski astronom i matematyk), SMALEC, SOJUSZ, SZABLA, SZERYF, TASTER, TOASTY, YAMAHA (motocykl produkcji japońskiej), ZASTAW. (taj)

W rozwiązaniu wystarczy podać tylko rozwiązanie dodatkowe w zaznaczonym rzędzie krzyżówki kombinowanej.

Wśród autorów prawiłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca marca bieżącego roku.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU STYCZNIOWEGO:

Hasło: **„Rok kultury polskiej w Republice Czeskiej"**

Nagrody książkowe wylosowali: **Zofia Pawlicowa** - Bystrzyca, **Helena Puk** - Karwina-Łąki **Helena Bubikowa** - Olbrachcice

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
EWA SANTARIUS (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
WŁADYSŁAW MILERSKI
KRZYSZTOF NOWAK
WILHELM PRZECZEK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK
CZESŁAWA RUDNIK (korekta)

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 144,- Kč, z wysyłką pocztową 186,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

PRZYPOMINAMY

NASZYM

DROGIM

CZYTELNIKOM,

ŻE KONKURS

DLA PRENUMERATORÓW

TRWA

TYLKO

DO 30 MARCA

TACY JESTEŚMY



KLUB NAUCZYCIELI EMERYTÓW

Swymi początkami KNE sięga czasów przedwojennych. Wtedy to powstała w latach trzydziestych przy Towarzystwie Nauczycieli Polskich osobna sekcja emerytów, która po przerwie wojennej wznowiła w latach sześćdziesiątych swą działalność jako sekcja a później Klub Nauczycieli Emerytów. Jego zadaniem było i jest utrzymywanie więzi ze starą generacją nauczycielską a więc organizowanie spotkań, wycieczek czy spacerków, pamiętanie o życzeniach z okazji jubileuszy, odwiedziny chorych i samotnych, no i uczestniczenie w ostatnich pożegnaniach na cmentarzach. W czasie zebrań członkowie KNE dyskutują na tematy ich interesujące, wspólnie śpiewają, słuchają muzyki czy oglądają występy zaproszonych dzieci szkolnych.
Członkowie KNE pamiętają o odwiedzinach szkół, interesują się ich działalnością i problemami. KNE liczy około 180 członków, utrzymuje kontakty z kolegami z Polski – Cieszyna, Wisły, Bielska. Członkowie KNE zbierają materiały dokumentujące działalność polskich szkół, ich istnienie na naszym terenie. Zgromadzili bogaty zbiór starych kronik, katalogów, podręczników, świadectw i fotografii, z którego nieraz korzystają opracowujący prace seminaryjne czy dyplomowe. W ten sposób członkowie łączą koleżeńskie kontakty z pracą o walorach wybitnie społecznych.

NASZE ZESPOŁY



NOWINA

Dziecięcy Zespół Folklorystyczny NOWINA powstał przy Polskiej Szkole Podstawowej w Jabłonkowie w roku 1984. Kierowniczką artystyczną zespołu jest od początku pani Sylwia Mrózek (obecnie dyrektorka PSP Jabłonków).
Od samego początku pracowała przy NOWINIE dziecięca kapela ludowa pod kierownictwem pani Krystyny Mruzek – nauczycielki Ludowej Szkoły Sztuk Pięknych w Jabłonkowie.
Na znaczące osiągnięcia NOWINY składa się niezliczona ilość występów, wspólne pobyty na koloniach polonijnych, współpraca z licznymi zespołami dziecięcymi z Polski.
W klasach niższych pracuje od kilku lat NOWINKA. Występuje ona samodzielnie i z NOWINĄ. W tym roku szkolnym (1996/1997) pieczę nad NOWINĄ przejął zespół „GÓROLE" z Mostów koło Jabłonkowa. Z nim w prowadzeniu zespołu w charakterze kierownika i choreografa, po pani Soni Rusz, współpracuje również nauczycielka PSP Jabłonków, pani Anna Kluz.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

4/97



HARCERZE DESZCZU SIĘ NIE BOJĄ

TACY BYLIŚMY



Chór Macierzy Szkolnej na Podlesiu. Sucha Górna 1925. Dyrygent Jan Baron.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLVIII Nr 569 Cena numeru 12,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 15,50 Kč

4/97

W NUMERZE

[2]	Uchwała VI Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków w Republice Czeskiej	
[3]	Linia programowa Rady Polaków VI kadencji	
[6]	Polski wieczór w Varieté Praha	EWA KLOSOVÁ
[8]	„Wspólnota Polska" w obronie dziedzictwa kulturowego	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
[10]	Zapomniani bohaterzy	WŁADYSŁAW MILERSKI
[19]	Z myślą o Śląsku Cieszyńskim (5)	ALOJZY NOWOK
[25]	50-lecie Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
[27]	Wiktor Semboł we własnych oczach	
[33]	Historia Stowarzyszenia Spożywczego „Postęp"	JAN KUBICZEK
[37]	Mistrzyni książkowego stroju	JERZY OSZELDA
[40]	Błędowicki Beskid Śląski i Sokół Piast	ANDRZEJ PAWLAS
[43]	Milenium świętego Wojciecha	CZESŁAWA RUDNIK
[46]	Poezja Jana Pyszki	
[48]	Erich Sojka: Do gazu	
[53]	Renata Putzlacher – moje fascynacje	
[56]	Listy rencisty	
[57]	Echo wydarzeń muzycznych	
[62]	To i owo	
[64]	Na naszej scenie	
[66]	Na półkach księgarskich	
[72]	Kronika	
[77]	Mozaika	
[79]	Krzyżówka	

Numer zamknięto 14. 3. 1997

1. str. okładki – Nasi harcerze na Bagińcu.

SPROSTOWANIE

W nr. 1/97 str. 58 w artykule p. Józefa Kazika zostało błędnie wydrukowane nazwisko posła Tadeusza Regera, natomiast w nr. 3/97 str. 4 w podpisie pod zdjęciem nowej Rady Polaków zostało zniekształcone nazwisko p. Michała Chrząstowskiego. Przepraszamy.

UCHWAŁA
VI ZGROMADZENIA OGÓLNEGO KONGRESU POLAKÓW W REPUBLICE CZESKIEJ

22 LUTEGO 1997 ROKU – CZESKI CIESZYN – HOTEL PIAST

1. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC przyjmuje do wiadomości sprawozdanie prezesa Rady Polaków i Komisji Kontrolnej z działalności Rady Polaków V kadencji.
2. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC udziela absolutorium ustępującej Radzie Polaków.
3. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC przyjmuje Statut Kongresu Polaków w RC z przyjętymi poprawkami.
4. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC wybrało następujące organy:

RADĘ POLAKÓW W SKŁADZIE:
Wawrzyniec Fójcik – prezes
Danuta Branna
Marian Jędrzejczyk
Bronisław Walicki
Kazimierz Worek
Michał Chrząstowski
Franciszka Chocholáč
Remigiusz Gąsior
Roman Baron

oraz **rezerwowych do RADY POLAKÓW**
Władysława Adamca
Stanisława Kondziołkę

KOMISJĘ KONTROLNĄ W SKŁADZIE:
Melchior Sikora – prezes
Jan Kubiczek – wiceprezes
Jerzy Bilan
Władysław Szkopek
Stanisław Fierla

oraz **rezerwowego do Komisji Kontrolnej**
Janusza Ciesielskiego

5. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC przyjmuje „Linię programową Rady Polaków VI kadencji" z przyjętymi wnioskami uzupełniającymi delegatów.

6. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC zobowiązuje Radę Polaków do realizacji następujących zadań:
   a) podjąć starania w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Polski i Republiki Czeskiej, aby została sfinalizowana umowa międzypaństwowa umożliwiająca obywatelom polskim urodzonym na terenie Republiki Czeskiej lub przybyłym do RC w ramach łączenia rodzin podjęcie starań o obywatelstwo RC bez konieczności rezygnacji z obywatelstwa polskiego i związanych z tym wydatków,
   b) poświęcać większą uwagę problemom placówek polonistycznych na uczelniach wyższych w RC oraz założeniom Umowy Kulturalnej między RC i Polską w tym zakresie,
   c) działać w intencjach wniosków wynikających z pracy Komisji ds Szkolnictwa, działającej przy Radzie Polaków,
   d) dążyć do stwarzania warunków w celu zyskania stałej reprezentacji społeczności polskiej w RC w organach przedstawicielskich wszystkich szczebli.
7. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC zastrzega do swej decyzji uchwałę o tym, czy akt dobrej woli RC wobec polskiej mniejszości narodowej w sprawie restytucji majątkowych jest spełniony. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC zobowiązuje Radę Polaków do popierania dążeń organizacji polskich w celu odzyskania majątków.
8. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC przyjmuje do wiadomości wnioski i zalecenia Komisji Kontrolnej i zobowiązuje Radę Polaków, aby na początku swej kadencji zalecenia te rozpatrzyła i podjęła konkretne kroki ich realizacji.
9. Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w RC przyjmuje do wiadomości sprawozdania z grup tematycznych, które tworzą załącznik niniejszej uchwały i zaleca Radzie Polaków, by traktowała je jako materiał konkretyzujący realizację linii programowej i niniejszej uchwały Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków w RC.

W Czeskim Cieszynie 22. 2. 1997

podpisy Komisji Uchwał VI Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków w RC:
Jan BRANNY (przewodniczący)
Halina GAWLAS
Bogusław CHWAJOL
Leszek KALINA
Melchior SIKORA

LINIA PROGRAMOWA RADY POLAKÓW VI KADENCJI

1. **Rada Polaków w oparciu o przyjęty Statut będzie działała na rzecz praktycznej realizacji praw mniejszości w Republice Czeskiej, szczególnie w celu zapewnienia:**
   - warunków rozwoju i podnoszenia poziomu szkolnictwa polskiego,
   - możliwości korzystania z języka ojczystego w kontaktach urzędowych,

- szeroko pojętej informacji w języku ojczystym (ogłoszenia urzędowe, nazwy topograficzne, prasa, radio, telewizja),
- rozwijania kultury narodowej w oparciu o tradycje kulturowe regionu oraz kontakty z kulturą polską.

2. Wyżej wymienione cele będzie Rada Polaków osiągała poprzez:

A. działalność polityczną:
- utrzymywanie i rozwijanie kontaktów z Parlamentem RC,
- utrzymywanie i rozwijanie kontaktów z Rządem RC oraz z administracją państwową wszystkich szczebli,
- ściślejsze kontakty z samorządami gminnymi i miejskimi,
- aktywną działalność w ramach obowiązujących przepisów na rzecz wyboru Polaków w wyborach komunalnych,
- utrzymywanie i rozwijanie kontaktów z organami państwowymi Rzeczypospolitej Polskiej,
- podjęcie próby przekonania władz czeskich o sensowności umożliwienia cudzoziemcom z długotrwałym stałym pobytem (np. powyżej 10 lat) głosowania i kandydowania do władz lokalnych (szczebel gminny, dzielnicowy w miejscu zamieszkania cudzoziemca),
- kontynuację opiniowania projektów zmian prawnych dotyczących mniejszości narodowych i obywateli obcych na stałe żyjących w RC.

B. działalność organizacyjną i koordynacyjną:
- gromadzenie i analizowanie informacji na temat bieżących problemów społeczeństwa polskiego na podstawie pracy pełnomocników gminnych, wniosków obywateli, organizacji społecznych i instytucji, wytycznych Rady Przedstawicieli i komisji problemowych Rady Polaków oraz sondaży opinii publicznej i badań socjologicznych,
- ustalanie na podstawie uzyskanych informacji form i metod oraz konkretnych kroków wobec organów administracji państwowej i terenowej wszystkich szczebli,
- koordynacja kroków wszystkich zainteresowanych organizacji i instytucji w celu lepszego wykorzystania środków i sił społecznych,
- utrzymywanie i rozwijanie kontaktów ze skupiskami Polaków i Polonii w świecie,
- utrzymywanie i rozwijanie kontaktów z innymi mniejszościami narodowymi w RC i w Europie,
- szczególne wspieranie inicjatyw i przedsięwzięć młodzieży polskiej w RC lub przeznaczonych dla młodzieży;

C. działalność ekonomiczno-gospodarczą
- zabieganie o środki finansowe na działalność z budżetu państwa, innych szczebli zarządzania oraz od fundacji i sponsorów,
- prowadzenie własnej działalności gospodarczej,
- wspieranie kontaktów gospodarczych pomiędzy polskimi przedsiębiorcami w Republice Czeskiej i Rzeczpospolitej Polskiej.

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

POLSKI WIECZÓR W VARIETÉ PRAHA

Popołudnie 23 lutego br. w Varieté Praha nie należało do skąpo odzianych panienek, prezentujących w okrągłej oprawie secesyjnego wnętrza swe umiejętności taneczne. Wyłącznymi uczestnikami wydarzeń byli prascy Polacy i ich zaproszeni goście. Jubilatem, na którego cześć spotkali się tego wieczora, był Klub Polski w Pradze. Obchodził swe 110 urodziny.

Klub założyli w roku 1887 nasi rodacy w celu pielęgnacji i popularyzacji języka i literatury polskiej, jak również dla podtrzymania życia towarzyskiego wśród Polaków żyjących w Pradze. W okresie międzywojennym miejscowym Polakom pomagali aktywnie kolejni polscy dyplomaci z placówek praskich. Klub Polski przerwał działalność w roku 1940, a po wojnie nie znalazł już odpowiedniego klimatu do jej kontynuacji. W roku 1989, w rezultacie zabiegów grupy entuzjastów, rozpoczęło w Pradze działalność stowarzyszenie Polaków jako 95 Miejscowe Koło jedynej naszej tolerowanej przez ówczesne władze organizacji - Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego (PZKO) w Czeskim Cieszynie. A dopiero w roku 1991 udało się reaktywować niezależny od PZKO Klub Polski w Pradze, który już rok później obchodził uroczyście 105 rocznicę założenia.

Wyjątkowo udanym konferansjerem jubileuszowego wieczoru 23 lutego 1997 r. był niedawny prezes Klubu Polskiego, a zupełnie świeży (od 22.02.1997) członek Rady Polaków w RC - Bronek Walicki. Po hejnale z wieży mariackiej przywitał przybyłych z Polski senatorów i byłego konsula RP w Pradze Witolda Rybczyńskiego. Dalej przywitał aktualnego ambasadora Marka Pernala, niedawno przybyłego konsula Zbigniewa Obidowskiego, staronowego prezesa Rady Polaków w RC, a równocześnie posła do Parlamentu RC z ramienia ODS Wawrzyńca Fójcika oraz nielicznych czeskich gości.

Zebranych pozdrowił w polsko-czeskim wystąpieniu aktualny prezes Klubu Polskiego Władysław Adamiec.

Przyjemnym odświeżeniem był polonez Antonína Dvořáka w wykonaniu kilku uczennic praskiej prywatnej szkoły tańca, po którym najbardziej zasłużeni działacze Klubu otrzymali oryginalne medale Senatu RP. Medal otrzymał też Kurier Praski. Senatorzy przywieźli Klubowi Polskiemu dwa prezenty - gobelin, przedstawiający kolumnę Zygmunta w Warszawie oraz replikę tekstu Konstytucji 3 Maja.

Z ciepłymi pozdrowieniami i zapewnieniem o nieustannej gotowości do współpracy wystąpił Marek Pernal, a Witold Rybczyński z nostalgią przypomniał swą wieloletnią owocną współpracę z Polonią praską, prze-

kazując równocześnie posłania od premiera RP Włodzimierza Cimoszewicza oraz ministra spraw zagranicznych RP Dariusza Rosatiego.

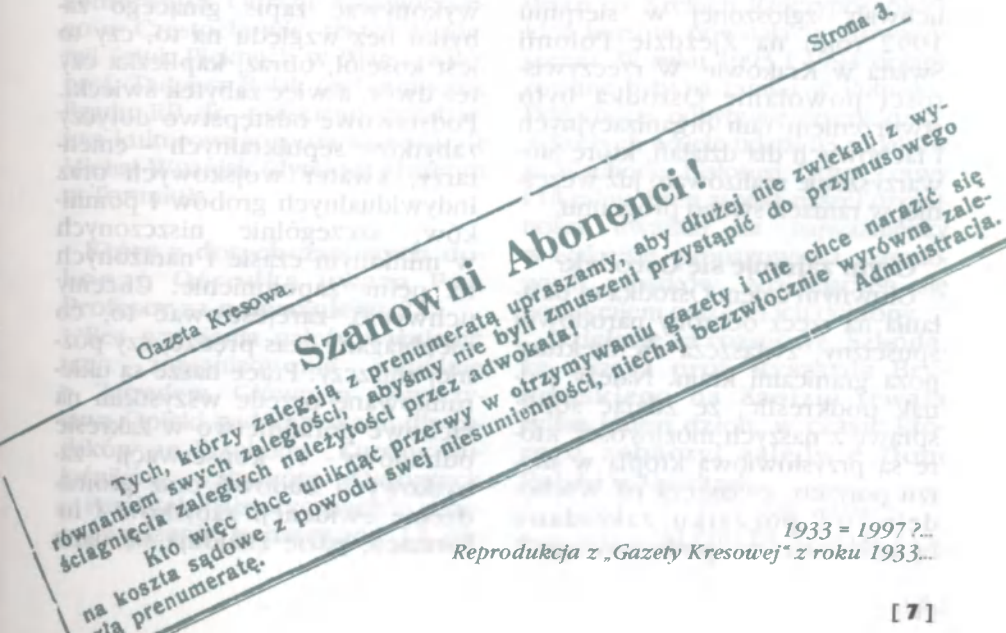
Kolejne pozdrowienia padły z ust Zbigniewa Obidowskiego oraz Wawrzyńca Fójcika, który ocenił świeże praskie spojrzenie na niektóre stare problemy Zaolzia i wyraził chęć wstąpienia w szeregi Klubu Polskiego. Prezes Stowarzyszenia Wspólnota Polska prof. Andrzej Stelmachowski przesłał na ręce prezesa Adamca list z pozdrowieniami dla czcigodnego praskiego Jubilata.

Córka członkini Klubu Polskiego - Kristýna Niklová zwinnie zatańczyła zebranym gawota, po którym prezes Klubu wręczył dyplomy uznania kilku osobom szczególnie zasłużonym dla tego stowarzyszenia.

Podobnie jak przed pięcioma laty uczciła Jubilata swym mini- koncertem na harfę czarująca Ewa Jaślar, aktualnie Walicka. Z urzekającym wdziękiem wykonała kilka utworów Paderewskiego, Chopina, Dvořáka i przypomniała słynną melodię z filmu Ojciec chrzestny. Wieczór ukoronowała śpiewem polsko-czeska aktorka rodem z Trzyńca Renata Drössler, którą natura obdarzyła nie tylko oryginalną urodą, ale również dużym talentem.

Ponownie zabrzmiał hejnał z wieży mariackiej, a po nim przedstawiciele Polonii praskiej i zaproszeni goście jeszcze długo dyskutowali i tańczyli na okrągłym parkiecie Varieté Praha. Czcigodny Jubilat - Klub Polski - rozpoczął kolejny etap swej historii.

EWA KLOSOVÁ


Strona 3.
Gazeta Kresowa.
Szanowni Abonenci!
Tych, którzy zalegają z prenumeratą upraszamy, aby dłużej nie zwlekali z wyrównaniem swych zaległości, abyśmy nie byli zmuszeni przystąpić do przymusowego ściągnięcia zaległych należytości przez adwokata!
Kto więc chce uniknąć przerwy w otrzymywaniu gazety i nie chce narazić się na koszta sądowe z powodu swej niesumienności, niechaj bezzwłocznie wyrówna zaległą prenumeratę.
Administracja.

1933 = 1997 ?...
Reprodukcja z „Gazety Kresowej" z roku 1933...

"WSPÓLNOTA POLSKA" W OBRONIE DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

Działalność Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" nie jest naszym czytelnikom obca, bowiem częste są na Zaolziu wizyty jej pracowników i działaczy, czego rezultatem jest pomoc udzielana polskim placówkom kulturalnym i oświatowym. Z okazji VI Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków przybyli do Czeskiego Cieszyna z jednodniową wizytą wiceprezesi Stowarzyszenia prof. Paweł Łączkowski i prof. Ryszard Brykowski. Korzystając z okazji redakcja poprosiła o rozmowę prof. Ryszarda Brykowskiego.

Panie profesorze, kieruje Pan pracami Ośrodka do spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturowego poza Granicami Kraju. Skąd takie zainteresowanie „Wspólnoty Polskiej"?

Ośrodek został powołany w kwietniu 1993 roku przez Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" jako realizacja uchwały zgłoszonej w sierpniu 1992 roku na Zjeździe Polonii Świata w Krakowie. W rzeczywistości powołanie Ośrodka było stworzeniem ram organizacyjnych i fachowych dla działań, które Stowarzyszenie realizowało już wcześniej w ramach swego programu.

Czym zajmuje się Ośrodek?

Głównym celem Ośrodka są działania na rzecz ochrony narodowej spuścizny, zwłaszcza architektury poza granicami kraju. Należy jednak podkreślić, że zdając sobie sprawę z naszych możliwości, które są przysłowiową kroplą w morzu potrzeb, zwłaszcza na Wschodzie, od początku zakładano ograniczenia w podejmowanych działaniach. Postanowiono ograniczyć je do zabytków sakralnych i sepulkralnych, których polski charakter i przynależność do polskiej kultury nie może wywoływać dyskusji. Z działaniami na rzecz zabytków świeckich postanowiono zaczekać na stosowne umowy międzypaństwowe. Oczywiście wykonujemy i będziemy wykonywać zapis ginącego zabytku bez względu na to, czy to jest kościół, obraz, kapliczka czy też dwór, a więc zabytek świecki. Podstawowe odstępstwo dotyczy zabytków sepulkralnych - cmentarzy, kwater wojskowych oraz indywidualnych grobów i pomników, szczególnie niszczonych w minionym czasie i narażonych na pełne zapomnienie. Chcemy uchwycić, zarejestrować to, co nieubłagany czas prędzej czy później zniszczy. Prace nasze są ukierunkowane przede wszystkim na fachowe poradnictwo w zakresie odbudowy i konserwacji zabytkowych budowli oraz gromadzenie ewidencji zabytków i informacji, gdzie znajdują się dane

o polskich zabytkach poza granicami kraju.

Taka działalność wymaga wysokiej klasy specjalistów?

Rzeczywiście, Ośrodek jest jedną z najbardziej wyspecjalizowanych komórek Stowarzyszenia. Kierowanie pracami Ośrodka powierzono mojej osobie jako profesjonaliście, który ma do pomocy Radę Programową złożoną z wybitnych specjalistów. Należą do niej: prof. Zygmunt Śmiechowski (Politechnika w Łodzi) - przewodniczący Rady Programowej, dr Wojciech Fijałkowski (wieloletni kurator zespołu muzealnego w Wilanowie, prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Zabytkami), dr Marian Kornecki (wieloletni zastępca konserwatora zabytków województwa krakowskiego), ks. Eugeniusz Kościółko (dyrektor Muzeum Diecezjalnego w Lublinie), prof. Wojciech Kurpik (główny konserwator Obrazu Jasnogórskiego w Częstochowie, rektor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie), prof. Tadeusz Polak (pełnomocnik Rządu RP ds. polskiego dziedzictwa kulturowego poza krajem), dr Michał Woźniak (dyrektor Muzeum w Toruniu).

Które z dotychczasowych dokonań Ośrodka uważa Pan Profesor za najważniejsze?

Bez wątpienia należy wymienić trzy: zorganizowanie wspólnie z Zarządem Głównym Towarzystwa Opieki nad Zabytkami dla rodaków ze Wschodu „Kursów Miłośników Zabytków Ojczystych i Pamiątek Historycznych", przeprowadzenie konserwacji 12 obrazów z kościoła pobrygidkowskiego w Grodnie, należącego od okresu międzywojennego do Sióstr Nazaretanek oraz uratowanie ostatniego drewnianego kościoła na Wołyniu przez przeniesienie go z Wiszenek, gdzie wzniesiony został w 1771 r., do Kowla, dla tamtejszej parafii rzymskokatolickiej. Poświęcenie kościoła odbyło się 12 października 1996 r.

Może warto przybliżyć naszym czytelnikom rolę kursów zabytkoznawczych?

Nazwa „Kurs Miłośników Zabytków Ojczystych i Pamiątek Historycznych" jest na pewno nieco archaiczna, ale było to świadome sięgnięcie z jednej strony do dawnej narodowej i pięknej tradycji w zakresie ochrony i upamiętnienia narodowych zabytków, z drugiej zaś - był to rodzaj ukłonu w stronę licznych w Polsce towarzystw miłośników dawnych Małych Ojczyzn na Kresach Rzeczypospolitej. Idea kursów powstała w Stowarzyszeniu. W roku 1993 i 1994 organizowane były na zamku w Pułtusku. Dotychczas odbyły się cztery kursy, w których wzięło udział 83 rodaków ze Wschodu: Białorusi, Litwy, Łotwy i Ukrainy. I ten aspekt naszej działalności uważam za najważniejszy w zakresie propagowania narodowych zabytków, znajdujących się poza krajem oraz idei ich ochrony.

Dziękuję za rozmowę. Szkoda, że wizyta prof. Ryszarda Brykowskiego na Zaolziu trwała tylko jeden dzień, w czasie którego zobaczył zaledwie Dom Polski w Ostrawie.

Rozmawiała
ELŻBIETA STRÓŻCZYK

ZAPOMNIANI BOHATERZY

Wielokrotnie w naszej zaolziańsiej prasie opisywano wysiłki bojowe rodzimego ruchu oporu przeciw okupantom hitlerowskim w czasie II wojny światowej. Znacznie później przedstawiano niektóre szczegóły tułaczki wojennej i walk żyjących jeszcze Zaolziaków, byłych uczestników walk regularnych formacji wojskowych na frontach zachodnich. Lecz z wiadomych politycznych powodów przez niemal 50 lat skazywano na zpomnienie losy garstki lotników z Zaolzia walczących na Zachodzie.

Niektóre informacje o nich można było znaleźć w pracy dr. Stanisława Zahradnika „Zaolziańskie ofiary okupacji hitlerowskiej (w byłych powiatach czeskocieszyńskim i fryszatackim) 1939-1945", wydanej w roku 1988 przez Instytut Śląski w Opolu. Zebrane wiadomości o 16 lotnikach urodzonych w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, a poległych na Zachodzie w latach 1940-1945 w operacjach wojsk sprzymierzonych przeciwko siłom zbrojnym hitlerowskiej III Rzeszy Niemieckiej lub zmarłych na skutek nieszczęśliwych wypadków, opublikował w czasopiśmie „Těšínsko" (nr 1/1994) Mečislav Borák w dość obszernym artykule zatytułowanym „Zapomenutí hrdinové". Autor zaczerpnął wiadomości do swojego artykułu przeważnie z wcześniejszych opracowań innych autorów czeskich[1], natomiast wcale nie korzystał z podstawowych opracowań polskich, dokumentujących udział lotnictwa w wojnie obronnej Polski we wrześniu 1939 r. oraz wysiłek zbrojny polskiego lotnictwa na Zachodzie u boku Francji i Wielkiej Brytanii, na frontach zachodnich i południowych w latach 1940-1945. Na skutek tego M. Borák - pomimo najlepszych chęci - nie podaje pełnego wykazu poległych lotników cieszyńskich. Świadom tego zastrzegł się w swoim artykule: *„Jest oczywiste, że to wyliczenie lotników z Cieszyńskiego, którzy zginęli podczas wojny, nie jest pełne, ani ich dane biograficzne nie są wystarczające. Możliwe, że w Cieszyńskiem znajdą się jeszcze świadkowie, którzy by potrafili te luki wypełnić."*

Pomocnymi w tej sprawie mogą być bardzo starannie i przejrzyście opracowana książka „Ofiary okupacji hitlerowskiej i wojny 1939-1945 w powiecie Karwina" (wyd. Okresní výbor Českého svazu bojovníků za svobodu v Karviné, 1995) oraz książka M. Boráka „Symbol Katynia. Zaolziańskie ofiary obozów i więzień w ZSRR" (wyd. ZG PZKO, Czeski Cieszyn, 1991).

Wymienione wyżej i inne dostępne publikacje umożliwiają zatem zestawienie poprawnego wykazu poległych lotników, urodzonych w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego. Tymczasem dla uczczenia pamięci tych lotników odsłonięto 27.10.1995 obok teatru w Czeskim Cieszynie pomnik, na którego tablicy umieszczono tekst pod wieloma względami wadliwy:

LETCŮM Z TĚŠÍNSKA PADLÝM V LETECH 1938–1945

Feber Leo
Grzegorz Ludvík
Havlík Oldřich
Hecht Walter
Hlaváč Jaroslav
Jarnot Alois
Ježovič Josef
Kondziolka Ludvík
Lifšic Rudolf
Macura Karel
Mikoláš Antonín
Pavelka Eduard
Slíva Rudolf
Szeliga Emil
Szkuta Vladislav
Szkutek Pavel
Šebestík Josef
Valošek Oskar
Velebnovský Antonín
Wantulok Ludwik

Inicjatorom i organizatorom pomnika (SPB i Urzędowi Miejskiemu w Czeskim Cieszynie) trzeba wytknąć następujące błędy:
1. Josef Šebestík nie urodził się na Śląsku Cieszyńskim, ale na Morawach w mieście Slavičín (w części Hrádek na Vlárské dráze), powiat Zlín. Jego nazwisko nie powinno być na pomniku.
2. Nazwiska i miona lotników powinny być napisane w postaci oryginalnej, a nie szczechizowanej.
3. Na tablicy umieszczono tylko wybiórczo nazwiska lotników urodzonych w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego i walczących z hitlerowską przemocą. Należy uwzględnić wszystkich lotników biorących udział w operacjach wojsk sprzymierzonych, a więc również członków polskich dywizjonów lotniczych w Wielkiej Brytanii.
4. Napis na pomniku jest wyłącznie czeski. Wobec tego, że co najmniej połowę lotników, których pamięci należy złożyć hołd, stanowią Polacy oraz ze względu na skład narodowościowy regionu powinno się również w tym wypadku przestrzegać zasad dwujęzyczności.
5. Całkowicie błędne i niezrozumiałe jest umieszczenie na tablicy roku 1938. Który z lotników w tym przedwojennym roku poległ?

Poniżej przedstawiamy sylwetki zaolziańskich lotników narodowości polskiej. Numer przed nazwiskiem jest numerem rejestracyjnym Royal Air Force (Królewskich Sił Powietrznych) w Wielkiej Brytanii.

P-872076 **Drąg Jerzy**, ur. 5.12.1908 w Gródku nr 18, syn Adama i Anny z d. Byrtus, sierżant mechanik pokładowy.

W r. 1909 jego rodzice przeprowadzili się z Gródka do zakupionego domu nr 225 w Jabłonkowie-Radwanowie. Wychowali siemioro dzieci: Annę, Pawła, Helenę, Jerzego, Agnieszkę, Joannę i Zuzannę (oprócz tych pięcioro dzieci nieletnich zmarło). Jerzy uczęszczał do Polskiej Szkoły Ludowej w Jabłonkowie, następnie do Państwowej Szkoły Przemysłowej w Bielsku, gdzie w r. 1928 zdał maturę. Zrzekł się obywatelstwa czechosłowackiego, nabył obywatelstwo polskie, po czym został powołany do wojska polskiego. W 1935 roku ożenił się i zamieszkał wraz z żoną Stefanią w Krakowie-Rakowicach w pobliżu lotniska. Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 roku w ramach 2. pułku lotniczego w Krakowie i latał na samolocie typu Breguet. Następnie przedostał się przez Rumunię do Francji, a później do Anglii. Latał w 1586 polskiej Eskadrze Specjalnego Przeznaczenia (Polish Special Duties Flight), której lotniskiem bazowania było Campo Cassale koło Brindisi we Włoszech. Na samolocie produkcji amerykańskiej typu Consolidated „Liberator" nr BZ 589 (czeterosilnikowym bombowcu ciężkim) odbywał 6 stycznia 1944 specjalny lot bojowy nad Polską. Nad celem samolot został uszkodzony przez niemiecką obronę przeciwlotniczą, lecz zdołał powrócić do bazy. Tego dnia lotnisko Campo Cassale zostało zamknięte z powodu złej pogody, ale załoga samolotu nie odebrała sygnału kierującego ją na zapasowe lotnisko w Grotaglie. Podczas lądowania w bazie samolot wpadł do morza, prawdopodobnie wskutek uszkodzonych hamulców. Zginęło 7 członków załogi. Sierżant Drąg pochowany został na cmentarzu w Brindisi, grób nr 19, rząd I, działka E.

W Krakowie żyją współcześnie dwaj synowie Jerzego Drąga: Zbyszek i Marian.

Feber Leon, ur. 5.6.1917 w Stonawie, podporucznik (lotnik obserwator).

Ukończył Polską Szkołę Ludową w Stonawie i Polską Szkołę Wydziałową w Karwinie-Solcy. Następnie uczęszczał do państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Cieszynie, gdzie zdał maturę w r. 1937. Nie znalazł pracy w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, przeniósł się do Polski, uzyskał tu obywatelstwo, ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w grupie obserwatorów w Dęblinie w czasie od 3 stycznia 1938 do 15 września 1938. W roku szkolnym 1938-1939 był nauczycielem w Pietwałdzie na Zaolziu. Powołany do wojska w sierpniu 1939, wziął udział w wojnie niemiecko-polskiej w lotnictwie polskim. Pod koniec kampanii wrześniowej dostał się do niewoli sowieckiej. Ostatnia

wiadomość o nim doszła z niewoli sowieckiej za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża w ZSRR w Moskwie dnia 4.2.1940. Prawdopodobnie w kwietniu 1940 r. został przewieziony z obozu w Starobielsku (na Ukrainie) do miejscowości Piatichatki (przedmieście Charkowa) i tu został zamordowany przez NKWD strzałem z pistoletu w tył głowy. Był wpisany na listę ewidencyjną NKWD Starobielska, pozycja 3429 jako Feber Leontij Awgustowicz, 1917.

P-0919 **Grzegorz Rudolf**, ur. 29.3.1914 w Wędryni nr 9, porucznik pilot.

Ukończył Polską Szkołę Ludową w Wędryni oraz Państwowe Gimnazjum im. A. Osuchowskiego w Cieszynie, gdzie zdał maturę w roku 1934. Nie znalazł pracy w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, przeniósł się do Polski, uzyskał tu obywatelstwo, odbył wojskową służbę czynną jako poborowy od 21 września 1937 do 15 października 1938, ukończył szkołę lotniczą w Dęblinie i służył w 2. pułku lotniczym w Krakowie. 15 października 1938 został przeniesiony do rezerwy. Od 22 marca 1939 był kontraktowym instruktorem pilotażu w Komendzie Głównej Szkoły Lotniczej w Warszawie. Zmobilizowany 1 września 1939 zgłosił się w Krakowie. W ramach 2. pułku lotniczego odbył kampanię wrześniową. następnie przeniósł się do Anglii. Został skierowany do 6 Lotniczej Szkoły Obserwatorów - Nawigatorów (Air Observer-Navigation School, AONS). 6 grudnia 1941 wystartował na samolocie produkcji brytyjskiej typu Avro „Anson" nr N 9886 do lotu treningowego z zakresu nawigacji z dwoma wojskowymi z RAF. Bezpośrednio po starcie samolot zaczepił podwoziem o stojący na lotnisku samochód ciężarowy i zwalił się na ziemię. Wszyscy członkowie załogi zginęli. Por. Grzegorz został pochowany na cmentarzu St. Mary w Cowley (hrabstwo Gloucestershire, Anglia).

P-780841 **Jeżowicz Józef Antoni**, ur. 17.2.1914 w Koszarzyskach nr 28 (na „Łabajce"), syn Józefa i Zuzanny z d. Legierska, sierżant pilot.

Uczęszczał do Polskiej Szkoły Ludowej w Koszarzyskach. W 1939 roku po kampanii wrześniowej przedostał się wraz ze swym wujem Janem Jeżowiczem, który był oficerem wojska polskiego, do Francji i następnie do Anglii. Przydzielony do Dowództwa Szkolenia Lotniczego (Flying Training Command) w Dalcross w Szkocji, wystartował 25 października 1941 na jednosilnikowym dwumiejscowym samolocie produkcji brytyjskiej typu Boulton Paul „Defiant" nr V 1131 do lotu treningowego wraz ze strzelcem pokładowym z RAF. Wskutek awarii silnika nastąpiła utrata prędkości i samolot rozbił się koło miejscowości Elgin (Morayshire, Szkocja). Obaj pi-

loci zginęli. Sierżant Jeżowicz został pochowany na cmentarzu Petty Burial Ground w mieście Dalcross, grób nr 9, sekcja D.

Na pomniku umieszczono omyłkowo „age 29" (wiek 29 lat); powinno być „age 27".



P-7808728 **Kosarz Wilhelm**, ur. 20.6.1908 w Karwinie, sierżant pilot.

W okresie międzywojennym ukończył Polską Szkołę handlową w Orłowej. Ponieważ nie mógł znaleźć odpowiedniego zatrudnienia w okolicy miejsca zamieszkania, przeniósł się w 1926 roku do Polski. Początkowo pracował jako urzędnik w Sosnowcu, a po uzyskaniu obywatelstwa polskiego został powołany do wojska w r. 1928. Zgłosił się ochotniczo do lotnictwa i został pilotem myśliwskim w 2. pułku lotniczym w Krakowie, członkiem słynnego zespołu akrobacyjnego kpt. Jerzego Bajana, a następnie oblatywaczem w Państwowych Zakładach Lotniczych Okęcie. Oblatywał tu prototypy pierwszego polskiego samolotu myśliwskiego z wciąganym podwoziem PZL P 50 „Jastrząb". W Anglii został przydzielony 20 sierpnia 1940 do 302 Dywizjonu Myśliwskiego Poznańskiego w Northolt (Londyn). 8 listopada 1940 odbywał lot bojowy na brytyjskim jednosilnikowym, jednomiejscowym samolocie typu Hawker „Hurricane" nr P 3538. Zaatakowany przez niemieckie myśliwce Messerschmitty Me-109 rozbił się pod Mayfield (w hrabstwie Sussex, Anglia). Pochowany został na cmentarzu w Northwood, grób nr H 274. Odznaczony był Krzyżem Walecznych.



P-780109 **Łazowski Feliks**, ur. 19.3.1907 w Polskiej Ostrawie, starszy sierżant strzelec.

Brał udział w wojnie obronnej Polski jako strzelec pokładowy 211 eskadry bombowej. W Anglii otrzymał przydział do 300 Dywizjonu Bombowego Ziemi Mazowieckiej (300 Polish Bomber Squadron) w Hemswell w hrabstwie Lincoln. 4 lutego 1943 na dwusilnikowym bombowcu brytyjskim typu Vickers-Armstrong „Wellington" Mk-III nr BK 511 odbywał lot bojowy z zadaniem bombardowania Hamburga. Z tego lotu samolot nie wrócił do bazy, prawdopodobnie zestrzelony do morza. Biuro Informacji i Poszukiwań nie zdołało ustalić żad-

nych szczegółów. Zginęła cała 6-osobowa załoga. St. sierżant Łazowski był odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych i Polową Odznaką Strzelca.

P-1963 **Styrski Emil**, ur. 28.11.1907 w Karwinie, porucznik pilot.

Skierowany do 1. Szkoły Lotników-Obserwatorów (Air Observer School, AOS) w Malton (prowincja Ontario, Kanada), 4.11.1943 na samolocie produkcji brytyskiej typu Avro „Anson" nr AX 437 wystartował do lotu treningowego. Z nieustalonych powodów samolot rozbił się w pobliżu jeziora Ontario. Pilot poniósł śmierć. Pochowany został na cmentarzu Mount Hope w Toronto (Kanada), grób nr 40, działka 22.



P-1648 **Szarzyński-Sęp Oswald**, ur. 6.10.1913 w Porębie, porucznik pilot.



Latał bojowo w 306 Dywizjonie Myśliwskim Toruńskim oraz od 1 maja 1944 roku na froncie włoskim w 318 Dywizjonie Myśliwsko-Rozpoznawczym Gdańskim (Fighter Reconnaissance Squadron). Następnie przydzielony do 92 Dywizjonu Myśliwskiego RAF, BNEF. 9 sierpnia 1944 na jednosilnikowym, jednomiejscowym samolocie produkcji brytyjskiej typu Supermarine „Spitfire" Mk-V nr JF 662 wystartował do lotu bojowego na osłonę bombowców. Jego samolot został trafiony i z powodu awarii silnika runął wraz z pilotem do morza w rejonie Wenecji. Por. Szarzyński-Sęp zginął w morzu. Pośmiertnie został odznaczony po raz drugi Krzyżem Walecznych (rozkaz nr 35/45 z 31 grudnia 1945).



P-76625 **Szkuta Alojzy**, ur. 29 1.1910 w Toszonowicach Dolnych, kapitan obserwator.

Ukończył Szkołę Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie (5 promocja) i 15 sierpnia 1931 został mianowany podporucznikiem obserwatorem i przydzielony do 1. pułku lotniczego w Warszawie. Brał udział w wojnie obronnej Polski jako obserwator 217 eskadry bombowej. Przez Rumunię ewakuował się do Francji, skąd jednym z pierwszych transportów odpłynął do Anglii. Wszedł w skład organizowanego 301 Dywizjonu Bombowego Ziemi Pomorskiej.



Zestrzelony podczas lotu bojowego nad Rzeszą, uratował się skokiem ze spadochronem i następnie przez Francję, Hiszpanię i Gibraltar wrócił do Anglii. Po krótkim odpoczynku otrzymał przydział do 304 Dywizjonu Bombowego Ziemi Śląskiej (304 Polish Bomber Squadron) w Docking (hrabstwie Norfolk). W dniu 1 listopada 1942 na samolocie produkcji brytyjskiej Vickers-Armstrong „Wellington" Mk-Ic nr R 1716 odbywał lot bojowy z zadaniem patrolowania rejonu Zatoki Biskajskiej i zwalczania niemieckich okrętów podwodnych. Samolot został prawdopodobnie zestrzelony do morza przez niemieckiego myśliwca. Zginęła cała 6-osobowa załoga. Kpt. Szkuta był odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, dwukrotnie Krzyżem Walecznych i Polową Odznaką Obserwatora.

P-705049 **Wantulok Ludwik**, ur. 30.8.1922 w Trzyńcu, sierżant.

Przydzielony do 1586 Polskiej Eskadry Specjalnego Przeznaczenia w Brindisi (Włochy). 27 października 1944 na samolocie brytyjskiej produkcji typu Handley Page „Halifax" nr JN 895 (czterosilnikowym bombowcu ciężkim) uczestniczył w specjalnym locie bojowym z Brindisi do Krakowa. Podczas przelotu nad Węgrami samolot został prawdopodobnie zestrzelony przez niemieckiego myśliwca. Według naocznych świadków zapalił się i eksplodował w powietrzu. Samolot spadł o godzinie 21.30 w miejscowości Lajosmizse na Węgrzech. Zginęła cała 7-osobowa załoga. Poległych ekshumowano z Lajomizse na brytyjski cmentarz wojskowy w Solymar pod Budapesztem, grób zbiorowy nr 1-7, działka 4, rząd D.

Rek Franciszek, ur. 24.9.1904 w Piotrowicach, syn Antoniego i Julii, podporucznik techniczny lotnictwa rezerwy.

Skończył Państwową Szkołę Przemysłową w Bielsku, mieszkał w Pruchnie. Zmobilizowany do Bazy Lotniczej nr 1. Figuruje na liście zaginionych jeńców Kozielska (Kozielsk - miasteczko nad Oką w pobliżu Kaługi, na południowy zachód od Moskwy). Wpisany na listę transportową NKWD z Kozielska nr 032/3 z dnia 14. 4. 1940, poz. 20, s. 502, t. 1865 jako Rek Franc Antonowicz, r. 1904. Do jego egzekucji doszło prawdopodobnie 14 kwietnia 1940 w Katyniu, jednakże nie został tu zidentyfikowany.

WŁADYSŁAW MILERSKI

Literatura

1. a) Bitva o Británii. Letectví a kosmonautika – Speciál. 1990.
b) P. Kubánek, Stíhači od 303. Vyškov 1993,
c) Fr. Loucký, Mnozi nedoletěli. Praha 1989,
d) J. Zahradník, Antonín Velebnovský (w:) Studie o Těšínsku 2, Český Těšín 1973, s. 463–466.
2. a) Olgierd Cumpf, Hubert Kazimierz Kujawa, Księga lotników polskich poległych, zmarłych i zaginionych 1939–1946. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1989.
b) Księga pochowanych żołnierzy polskich poległych w II wojnie światowej. Tom III. Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Oficyna wydawnicza „Ajaks", Pruszków 1994.
c) Wacław Król, Polskie dywizjony lotnicze w Wielkiej Brytanii 1940–1945. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1976, 1982.
3. Mečislav Borák, Zapomenutí hrdinové (w:) „Těšínsko", nr 1/1994, s. 7–14.
4. Mečislav Borák, Symbol Katynia. Zaolziańskie ofiary obozów i więzień w ZSRR, wyd. ZG PZKO Czeski Cieszyn 1991.
5. Ofiary okupacji hitlerowskiej i wojny 1938–1945 w powiecie Karviną, 1995. Vydal okresní výbor Českého svazu bojovníků za svobodu v Karviné, 1995
6. Stanisław Zahradnik, Zaolziańskie ofiary okupacji hitlerowskiej (w byłych powiatach czeskocieszyńskim i frysztackim) 1939–1945. Wyd. Instytut Śląski w Opolu 1988.





Pomniki na grobach por. Rudolfa Grzegorza i sierżanta Józefa Antoniego Jeżowicza



Z MYŚLĄ O ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (5)

ODJAZD Z OSTRAWY NA FRONT ROSYJSKI

W pierwszych dniach października awansowano nas na frajtrów i przydzielono do batalionu, który miał odjechać na rosyjski front. Wobec braku podoficerów powierzono nam funkcje drużynowych. Przed odjazdem na front zatęskniłem za rodziną i poprosiłem wspólnie z Zadorą w piątek przy raporcie kompanijnym nowego dowódcę naszej kompanii (był to Niemiec, lecz nazwiska nie pamiętam) o udzielenie przepustki na niedzielę do domu. W batalionie ogłoszono bowiem pogotowie marszowe, a nasz nowy dowódca plutonu, sierżant-podchorąży Szewczyk, oznajmił w przyjacielskiej dyskrecji, że odjazd batalionu nastąpi za dwa tygodnie. Przepustek nie udzielono nam jednak. Wobec tego uradziliśmy z Zadorą, że w sobotę po ćwiczeniach udamy się tramwajem z Morawskiej Ostrawy do Karwiny, a stamtąd odjadę pociągiem do Ropicy. W czasie jazdy do Karwiny uradziliśmy jednak, że z uwagi na ostre i stałe kontrole, przeprowadzane w każdym pociągu, bezpieczniej będzie pojechać z Karwiny do Frysztatu, a z Frysztatu udać się piechotą przez Cieszyn do Ropicy. I tak też postąpiłem.

Szczęście sprzyjało mi tylko do Boguszowic pod Cieszynem, gdzie zostałem już w ciemnościach wieczornych niespodziewanie zaskoczony i zatrzymany przez patrol Egerländrów (73 pułk piechoty Niemców Sudeckich stacjonujący wówczas w Cieszynie jako ochrona i gwardia przyboczna austriackiego naczelnego dowództwa sił zbrojnych), który wyrósł nagle jak spod ziemi, przy czym plutonowy, dowódca patrolu, napadł na mnie z bocznej ściany przydrożnego domu i złapał z tyłu za pas główny. Godzi się tu przypomnieć, że w owym czasie roiło się w Cieszynie od szpiclów, żandarmów, patroli wojskowych i wszelkiego rodzaju ochroniarzy, gdyż znajdowała się tamże kwatera główna austriackiego naczelnego dowództwa sił zbrojnych (Armee-Oberkommando) z szefem sztabu generalnego marszałkiem baronem von Hötzendorff na czele, a częstym gościem był tam ówczesny i ostatni cesarz niemiecki Wilhelm II, który rezydował w niedalekiej Pszczynie na zamku księcia pszczyńskiego.

Schwytany z tyłu za pas, starałem się wydostać gwałtownym szarpnięciem z pułapki, aby czmychnąć w ciemnościach pomiędzy zabudowaniami przydrożnymi, lecz plutonowy powalił mnie przy pomocy asystujących żołnierzy na ziemię i skuto mnie w kajdanki. Maszerowałem więc skuty w kajdankach przez sam środek ruchliwych wówczas ulic Cieszyna, eskortowany przez patrol trójosobowy. Na ręka-

◀ *rys. ALICJA BARTULCOWA*

wach mej bluzy widniały odznaki jednoroczniaka–podchorążego rezeruy. Czułem, że te podwójne srebrne i wąskie paski odstręczały eskortujących mnie żołnierzy od dalszego mnie maltretowania. Oglądało się za mną dużo przechodniów. Zdawało mi się, że byli wśród nich również moi znajomi. Starałem się więc nieść i trzymać moją głowę hardo. Lecz paliło się we mnie z niepokoju, co będzie dalej. Odprowadzono mnie na komendę „placu" i tamże przekazano w ręce jakiegoś porucznika. Był to porucznik Figna. Zorientował się szybko, że jestem Polakiem i potraktował mnie bardzo życzliwie.

Zadawał pytania piękną krakowską polszczyzną i oczywiście uwierzył mym wyjaśnieniom. Powiedziałem mu szczerze, że chciałem przed odjazdem na front pożegnać się z rodziną i w niedzielę wieczorem wrócić do koszar mej jednostki w Morawskiej Ostrawie. Obiecał mi, że przekaże mnie w następnym dniu do mojej jednostki w Morawskiej Ostrawie w towarzystwie podchorążego Polaka, o ile zobowiążę się słowem honoru, że nie będę podejmował próby ucieczki. Oczywiście, że skorzystałem z tej propozycji i w następnym dniu, to jest w niedzielę rankiem, znalazłem się – o dziwo! – pod służbową eskortą kulejącego inwalidy wojennego sierżanta–podchorążego Alojzego Gajdaczka, tak drogiego dla mnie ziomka z Ropicy.

Oczywiście zdębieliśmy w pierwszej chwili. Tak przedziwne spotkanie i taki przedziwny przypadek!!! Przybraliśmy jednak za kilka sekund tajemnicze miny dawnych sztubackich konspiratorów. Rozwiązały się nam języki na ostro dopiero w drodze na dworzec kolejowy. Opowiedzieliśmy sobie w skrócie nasze ostatnie przygody i przeżycia. Okazało się, że Gajdaczek jest chwilowo zatrudniony w biurze oficera „placu", porucznika Figny, który mnie wczoraj odebrał od patrolu. Uzgodniliśmy, że do Ostrawy pojedziemy przez Frydek i że przy tej okazji odwiedzimy nasze rodziny w Ropicy. Na kilka krótkich godzin, ale jednak!

I tak się stało. Wysiadłem z pociągu w Ropicy i wieczorem dołączyłem do Gajdaczka, a raczej Gajdaczek do mnie dołączył na stacji w Trzycieżu. W Morawskiej Ostrawie przekazał mnie Gajdaczek z dokumentami do aresztu w batalionie zapasowym.

W następnym dniu, to jest w poniedziałek, znalazłem się przy raporcie karnym przed pułkownikiem, dowódcą batalionu zapasowego, który ukarał mnie pięciodniowym aresztem obostrzonym „ze szpagami" z tym, że karę miałem odsiedzieć w areszcie własnej kompannii. Karę wyegzekwował gorliwie feldfebel Schurmann, spinając mi z szatańskim uśmiechem żelazną spinką, czyli tak zwaną mankietką, prawą rękę w przegubie z lewą nogą poniżej kostki. Tych pięć dni w areszcie upłynęło mi jak pięć godzin – przecież już miałem jakieś doświadczenia czy też praktykę i w sobotę wypuszczono mnie

trochę zgłodniałego na wolną stopę. Wróciłem do swojej kompanii.

Zadora pełnił dyżur podoficera służbowego i poczęstował mnie podwójną porcją gulaszu i kawy.

– Boroku jeden! – odezwał się na przywitanie. –

– Miałeś diabelskiego pecha! Mnie nikt nigdzie w czasie tej czarnej przepustki o nic nie zapytał. Wróciłem szczęśliwie w niedzielę wieczorem do kompanii przed capstrzykiem i nawet nikt nie zauważył mojej nieobecności. Tylko dowódca plutonu Szewczyk pytał mnie w poniedziałek przed zbiórką o ciebie i był trochę niespokojny. W poniedziałek wieczorem wiedzieliśmy już o tym, że siedzisz. Pociesz się jednak tym, że za osiem dni wyjeżdżamy na front i skończy się ta koszarowa pederastia i popisy Schurmanna. –

– Ja wolałbym jednak zwiać chociażby do tych legionów – mruczę.

– Nie ma żadnego sensu! – tłumaczy mi Zadora – Takich czarno-żółtych dezerterów, o ile wiem, do legionów wcale nie przyjmują. A zresztą legionistami tak jak i nami komenderuje ten sam cesarz i to samo Armee-Oberkommando. To już lepiej wyrwać się gdzieś do Francji, tylko jak się tam dostać?! Przecież jedziemy na front rosyjski, a na Sybir czy na Kamczatkę lub Sachalin to mi się nie uśmiecha. –

Napisałem krótki list do matki i podałem w nim wiadomość o wyjeździe na front i dacie tego wyjazdu. W sobotę po obiedzie maszerowałem w szeregach batalionu na dworzec kolejowy w Morawskiej Ostrawie-Przywozie. Dowódca plutonu Szewczyk poinformował nas, że nie odjeżdżamy jeszcze bezpośrednio na front, lecz jako odwód armii będziemy się szkolić przez kilka tygodni kilkadziesiąt kilometrów za frontem. W czasie marszu na dworzec towarzyszyła nam orkiestra garnizonowa, wielu gapiów ulicznych i płacz kobiet – naszych krewnych.

Moja kochana Matka przyjechała z dużą paczką. Były w niej wędliny domowe, chleb domowy, biszkopt i dużo owoców suszonych – pieczek. Maszerowała obok mej czwórki smutna, milcząca i zapatrzona we mnie. Na dworcu zapytała mnie cichym głosem:

– A bardzo się boisz frontu, ty mój drogi boroku? –

– Nic się nie boję – mówię, śmiejąc się – przecież tam teraz spokój, a zresztą podobno nie jedziemy na front, lecz będziemy daleko za frontem, gdzie będą nas jeszcze szkolić. Więc nic się nie boję. Popatrz, ilu tu młodych, przeważają osiemnastoletni chłopcy, a nikt nie płacze. –

– A kiedy przyjedziesz na urlop? Przyjedź na święta, przyjedź mój syneczku! Twój odjazd na front przypomina mi śmierć frontową tylu znajomych i krewnych...! –

– O urlop to zawsze się będę starał – pocieszam Matkę.

– A jak będziesz mógł się gdzieś dekować, to się mocno zadekuj! A jak ci będzie źle, to udawaj jaką chorobę! A bądź zawsze ostrożny

i uważaj na wszystko, a najwięcej na te miny! Podobno je widać w powietrzu i można przed nimi uciec! A wystrzegaj się też, synku, złych, zepsutych i lekkich kobiet! – mówi do mnie Matka i zaczyna łkać.

– Nie płacz, Matko! – całuję Matkę w rękę – Przyrzekam Ci, moja Mamulko, że będę uciekał przed minami jak też przed złymi i zepsutymi kobietami.

Odzywa się sygnał trąbki. Całuję jeszcze raz w rękę i na twarz na pożegnanie Matkę, która, płacząc, mówi: – Napisz zaraz i podaj swój adres, a będę ci przesyłała paczki z żywnością!

Wsiadamy do wagonów towarowych z napisem: „8 Pferde oder 40 Männer". Pociąg ruszył. Znajdowałem się w przedostatnim wagonie.

Moja najdroższa Matka patrzyła za mną wzrokiem pełnym prośby: – Wracaj, synku, jak najprędzej! Wracaj zdrów i cały! – Spłakałem się! Czy jeszcze Ją zobaczę?! Oby Bóg dał!!! Z tłumu gapiów dworcowych wyrwał się nagle trzymany na smyczy jakiś pies – owczarek alzacki i zaczął pędzić za naszym pociągiem. Obserwowaliśmy, jak psisko pędziło z wywalonym jęzorem po torach za nami. Czasem nawet nasze ostatnie wagony wyprzedzał.

Pociąg zatrzymał się dopiero w Boguminie, a zdyszana i spocona Diana wpadła całym impetem do wagonu osobowego, przyczepionego tuż za parowozem, gdzie narobiła popłochu oraz obudziła i zaskoczyła drzemiącego i rozmarzonego młodego żonkosia, lekarza batalionowego, który był właścicielem Diany. Wierne psisko nie chciało opuścić swojego pana. Poleciała za nim i pojechała z nim w nieznaną dal. Przyjechaliśmy w następnym dniu do przyfrontowego obozu ćwiczeń grupy armii pod Sokalem. Kwaterowaliśmy w ukraińskiej wiosce Matowice. Szkolono nas intensywnie od rana do wieczora. Codziennie towarzyszyły nam dalekie pomrukiwania artylerii frontowej. Obóz nasz nazywano ostatnim etapem. Jak się później okazało, był to naprawdę ostatni etap naszego nowicjatu przed nieznanym nam nowym życiem frontowym.

Po dniu 5 listopada dowiedzieliśmy się o szumnej proklamacji przez Austrię i Niemcy niepodległości Królestwa Polskiego, uzależnionego oczywiście pod względem politycznym i ekonomicznym od wspaniałomyślności ofiarodawców i protektorów.

Był to wielki bluff obliczony na wmówienie Polakom naiwnej wiary, że odzyskanie niepodległości jest możliwe tylko dzięki łaskawości i wspaniałomyślności państw osi. Wyśmialiśmy więc z Zadorą ten arcyszlachetny gest i akt wspaniałomyślności zaborców, gdyż szybko zorientowaliśmy się, że wcale tu nie chodziło Niemcom i Austrii o niepodległość tego okrojonego kadłuba Polski, lecz raczej o nowy „kanonenfutter", jako też o możliwość chociażby częściowego uzupełnienia szybko topniejących rezerw strategicznych żywności i innych

środków koniecznych do prowadzenia dalszej wojny. Sceptycyzm nasz potwierdził Slavík, który ściskając nasze dłonie, pogratulował nam ironicznie tych narodzin nowego Królestwa Polskiego jako austriacko-niemieckiego bękarta. Zadora się mocno żachnął i odparł Slavíkowi:

– Nie ironizuj, ty realny polityku! Musisz wreszcie zrozumieć, że fakt proklamowania przez Austrię i Niemcy niepodległości tego kadłubowego Królestwa Polskiego dowodzi, że szanse na odzyskanie jej prawdziwej niepodległości mocno wzrastają! Tym bardziej wzrastają, że jak wiadomo, w tej sprawie zaczynają zabierać głos sędziowie najwyższego areopagu polityki światowej jak prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Wilson, jak premier Francji Clemenceau i inni. A poza tymi żarliwego mamy tam na Zachodzie i wielce wpływowego patrona naszej niepodległości – naszego Ignacego Paderewskiego! I zrozum wreszcie, że wskrzeszenie prawdziwie niepodległej Polski nigdy nie leżało i nie może leżeć w interesie zaborców, a więc i przez ciebie ubóstwianej matuszki Rosji, natomiast jasne jest, że dla państw zachodnich niepodległa Polska może być przeciwwagą dla sił Niemiec, Austrii i Rosji i może mieć duże szanse dla utrzymywania tak potrzebnej i przez Anglię propagowanej równowagi sił wśród śródlądowych państw Europy! – Slavík zadumał się, wyciąga gazetę, wskazuje na niej mapkę proklamowanego Królestwa Polskiego i odzywa się:

– Nawet Poznania i Śląska nie widzę w tej nowej Polsce! Co wy na to, czy nie widzicie? –

– To mało ważne! – przerywam – Sam przecież mówiłeś, że nie oni będą decydować o granicach i wielkości Polski. A jak byś ty ustalił, Tondo, z twoim ojcem odcinek graniczny między przyszłą Polską i przyszłym państwem Czechów na naszym Śląsku Cieszyńskim? Powiedz szczerze, przecież znasz dobrze stosunki narodowościowe na tym odcinku Śląska! –

– Mój ojciec mówił – odpowiedział Tonda – że Karwina, Frysztat, Cieszyn, Trzyniec, Jabłonków oraz okoliczne miejscowości zamieszkałe przez większość ludności polskiej winne przypaść Polsce. Gorszy szkopuł może być z Orłową, gdyż jest zamieszkała przez większość czeską oraz Boguminem, gdzie mieszka w zbliżonych odsetkach polsko-czesko-niemiecka bryja narodowościowa, a do tego jest to jeszcze bardzo ważna pod względem strategicznym i gospodarczym międzykontynentalna węzłowa stacja kolejowa na trasach Hamburg – Berlin – Budapeszt – Konstantynopol – Bagdad i Władywostok – Warszawa – Wiedeń itd. Lecz to się da załatwić polubownie dla dobra polsko-czeskiej zgody i przyjaźni!

– Grunt, że nasza Karwina i Ropica przypadną Polsce! – krzyczymy radośnie z Zadorą.

– A Morawska Ostrawa, Frydek, Morawka Czechom! – kończy Slavík i na dowód zgody ściskamy sobie nawzajem ręce. Działo się to na kwaterze Slavíka niedaleko szkoły w Matowicach, ukraińskiej wiosce blisko Sokala. Ustaliliśmy tam ze Slavíkiem w tym „historycznym" dniu przyszły odcinek graniczny między Polską i Czechami na Śląsku Cieszyńskim, udawaliśmy wielkich mądrali i bawiliśmy się tam często w wielkich polityków i mężów stanu, proroków, generałów i strategów, kreowaliśmy coraz to nowe wizje potężnej Polski oraz Czech, pokrzepialiśmy się czeskim tłumaczeniem „Krzyżaków" Sienkiewicza, które Slavík stale nosił w swym plecaku. Niepodległość Polski dla Zadory i dla mnie, a dla Slavíka niepodległość Czech była wymarzoną przygodą nad przygodami i nieziemskim wprost ideałem, który nam zaszczepili Sienkiewicz, Konopnicka oraz wielu innych tytanów romantycznego patriotyzmu, który zasiali w naszych sercach również tacy nauczyciele–patrioci jak profesor Mondelski, ksiądz–profesor Tomanek, ksiądz–profesor Stonawski, profesor Hajduk, profesor Król, ksiądz Emanuel Grimm oraz wielu innych świetnych pedagogów i żarliwych patriotów cieszyńskich. Podobnych wychowawców miał pewnie i Tonda Slavík, nie mówiąc już o jego ojcu, o którym Tonda zawsze opowiadał w superlatywach.

W dniu 22 listopada podano nam w rozkazie dziennym wiadomość o śmierci 86–letniego i 68 lat zasiadającego na tronie Habsburgów przedostatniego cesarza monarchii austriackiej Franciszka Józefa. Na tronie zasiadł jego stryjeczny wnuk Karol II. Kilka dni później dotarła do nas hiobowa wieść o śmierci naszego głównego pokrzepiciela serc i myśli Henryka Sienkiewicza, który umarł w dniu 15 listopada 1916 roku w szwajcarskiej miejscowości Vevey, nie doczekawszy wytęsknionej przez całe życie wolnej Polski. Tonda Slavík, który autora „Quo vadis" i „Krzyżaków" wprost uwielbiał, złożył nam w tym dniu szczere kondolencje.

Po kilkutygodniowym szkoleniu odbyła się na błoniach pod Sokalem kilkugodzinna defilada przed generałem–inspektorem. Brało w niej udział kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy różnego autoramentu. W następnym dniu odmaszerował nasz batalion przez Sokal w kierunku na Brody–Beresteczko. Maszerowaliśmy kilka dni, nieraz podczas silnych zadymek śnieżnych, po błotnistych, rozjeżdżonych, lecz na szczęście już zamarzniętych i zaśnieżonych drogach Małopolski Wschodniej. Nocowaliśmy w maleńkich chatach drewnianych, których mieszkańcy częstowali nas zwykle gorącym ukraińskim barszczem, okraszonym często mięsem wieprzowym.

c.d.n.

ALOJZY NOWOK

50-LECIE ZJEDNOCZENIA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

Po zakończeniu II wojny światowej w maju 1945 roku do Wielkiej Brytanii przybyło ponad dwieście tysięcy Polaków, w większości żołnierzy polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Wkrótce dołączyły do nich rodziny i ludność cywilna, będąca pod opieką brytyjską w różnych częściach Imperium Brytyjskiego. Władze brytyjskie sprowadziły również Polki i Polaków wyzwolonych z niemieckich obozów koncentracyjnych, jenieckich i obozów pracy. W ciągu dwu najbliższych lat wielu Polaków wyemigrowało na inne kontynenty, spora część powróciła do Polski. W roku 1948 liczba Polaków przebywających w Wielkiej Brytanii osiągnęła pewną stabilność. Na ziemi brytyjskiej pozostało około 150 tysięcy naszych rodaków. Stopniowo zaczęli się osiedlać wśród ludności brytyjskiej. Pierwsze lata były niezwykle trudne. Szczególnie dokuczała nieznajomość języka angielskiego. Toteż Polacy odczuwali potrzebę utrzymywania kontaktów między sobą. Powstawały więc organizacje samopomocy, zrzeszenia zawodowe i organizacje społeczno-kulturalne. Równolegle powstawały parafie, przy których tworzyły się komitety parafialne i rodzicielskie. Działacze społeczni coraz mocniej odczuwali brak istnienia jakiegoś nadrzędnego czynnika, który mógłby skutecznie bronić żywotnych interesów uchodźstwa polskiego, osiedlającego się w Wielkiej Brytanii.

W lutym 1947 roku została powołana organizacja pod nazwą Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii. Jej cele wynikały z charakteru emigracji – emigracja polska osiedlona na ziemi brytyjskiej określała się jako emigracja uchodźcza, w przeciwieństwie do emigracji zarobkowych i dobrowolnych. Dlatego też Zjednoczenie Polskie miało ideologiczne i patriotyczne nastawienie do kraju pochodzenia, toteż ze szczególnym wyczuleniem podkreślano rolę języka polskiego, kultury i tradycji narodowych. Zjednoczenie Polskie reprezentowało interesy zrzeszonych w nim organizacji i ich członków wobec władz brytyjskich i w razie potrzeby, wobec władz organizacji i instytucji międzynarodowych, powołanych do sprawowania opieki nad uchodźcami.

Władze brytyjskie uznały Zjednoczenie Polskie za centralną or-

ganizację Polaków i odnosiły się przychylnie do wszelkich jego poczynań. Od samego powstania na początku 1947 r. Zjednoczenie Polskie działało równolegle z Rządem RP na Uchodźstwie, wspierając jego dążenia niepodległościowe.

Zmiany w Kraju, w wyniku których nastąpiły wolne i nieskrępowane wybory prezydenta w 1990 r. i w 1991 parlamentu, zamknęły epokę emigracji niepodległościowej. Równocześnie zachodzą zmiany pokoleniowe w społeczności polskiej zamieszkałej w Wielkiej Brytanii. W r. 1991 uchwalono nowy statut Zjednoczenia. W skład prezydium po raz pierwszy w dziejach Zjednoczenia Polskiego weszli przedstawiciele pokolenia urodzonego po II wojnie światowej, na które spada obowiązek przejęcia pałeczki pokoleniowej w zorganizowanym życiu Polonii brytyjskiej.

Przez 50 lat Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii funkcjonowało w oparciu o organizacje członkowskie, pełniąc rolę swego rodzaju federacji. Obecnie skupia 83 organizacje kulturalne, społeczne i kombatanckie. Najpoważniejszą i gruntowną zmianą strukturalną Zjednoczenia Polskiego jest wprowadzenie indywidualnego członkostwa, równolegle do istniejącego członkostwa organizacyjnego. Indywidualne daje możność przynależenia wszystkim Polakom, Polakom urodzonym poza granicami kraju, jak i osobom czującym się Polakami lub sympatyzującym z Polakami czy polską kulturą. Od samego początku zamiarem Zjednoczenia Polskiego było zakupienie Domu Polskiego. Nie został on jednak zrealizowany, natomiast poparto projekt utworzenia Ośrodka Polskiego w Londynie. W roku 1964 powstał Polski Ośrodek Społeczno–Kulturalny w londyńskiej dzielnicy Hammersmith. Tu Zjednoczenie znalazło swoją siedzibę obok wielu innych organizacji i instytucji kulturalnych. Tu też odbyły się 22 lutego br. uroczystości jubileuszowe Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, w których udział wzięli m. in. wicemarszałek Senatu RP Stefan Jurczak, prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" prof. Andrzej Stelmachowski, były prezydent RP Ryszard Kaczorowski, duszpasterz Polonii, abp. Szczepan Wesoły, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej Edward Moskal. Prezes Zjednoczenia dr Zygmunt Szkopiak przypomniał rolę, jaką Zjednoczenie odegrało jako reprezentant społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii i wskazał na przeobrażenia dokonujące się w ostatnich latach – organizacje polskie przekształcają się w organizacje polsko–brytyjskie. W tym nowym okresie Zjednoczenie Polskie będzie – jak stwierdził prezes Szkopiak – nadal bardzo potrzebne, jego celem będzie dbałość o polską tradycję, historię i kulturę, a także walka o prawa mniejszości narodowej dla Polaków zamieszkałych w Wielkiej Brytanii.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

WIKTOR SEMBOL WE WŁASNYCH OCZACH

(DOKOŃCZENIE WSPOMNIEŃ)

Inna sprawa, z którą wyszli przeciwko mnie szowiniści czescy. Z ramienia zastępstwa gminnego byłem referentem miejskiej cegielni i elektrowni. Stało się, że inkasent elektrowni i cegielni dopuścił się malwersacji, sprzeniewierzając 2 500 Kčs. Ja jako referent nie byłem płatnym urzędnikiem, tylko funkcjonariuszem, spełniającym funkcję bezpłatnie. Do nadzoru czynności urzędników była stanowiona specjalna komisja. Urzędnik ze starostwa, narodowy socjalista, zrobił doniesienie do sądu przeciwko mnie, żądając, aby mnie sąd odsądził na zapłacenie całej szkody. A więc nie ten, który dopuścił się malwersacji, ani kierownik przedsiębiorstwa, ani komisja kontrolująca była pociągana do odpowiedzialności za niewykonanie obowiązków, tylko mnie pociągano do odpowiedzialności, tylko mnie, a to dlatego że byłem Polakiem i zawsze śmiało występowałem w obronie spraw polskich. Takich wypadków było dużo, gdzie występowano przeciw mnie, ażeby mnie tylko jako Polaka usunąć ze zastępstwa gminnego. Sprawa z elektrownią i cegielnią i tak nie została załatwiona, bo w międzyczasie przyszli Polacy, a następnie wybuchła wojna.

W roku 1938 odebrał rząd polski część Śląska Cieszyńskiego, który był pod rządami Czechosłowacji. Województwo katowickie mianowało mnie komisarzem miasta Frysztatu. Funkcję tę piastowałem tylko pięć miesięcy, po czym ją złożyłem, ponieważ nie mogłem się pogodzić ze stosunkami, jakie były po przyjściu całej masy różnych indywiduów, którzy byli zdania, że Śląsk został przydzielony Polsce dlatego, ażeby oni mogli odnieść swoje osobiste korzyści, na co ja nie mogłem się zgodzić. Oprócz tego przyszło z Górnego Śląska dużo skrytych Niemców, robiąc się Polakami, a tymczasem praca ich polegała na uprawianiu szpiegostwa dla hitleryzmu.

Dnia 1 września 1939 wkroczyli do Frysztatu Niemcy. Dużo Polaków odeszło z Frysztatu. Ja sam i paru jeszcze innych zostaliśmy na miejscu. Z początku miałem spokój, tylko do drukarni nasadzono mi komisarza, którym był miejscowy Niemiec, a że był to znajomy z dawnych czasów, więc był dosyć znośny.

Po przyjściu Niemców rozpoczęły się już w dniu 3 września

aresztowania różnych ludzi bez względu na to czy był coś winien, czy nie. Między aresztowanymi byli ojcowie rodzin, którzy pozostawili swoje rodziny bez jakichkolwiek środków do życia. W krótkim czasie zapanowała wśród tych rodzin nędza a to tak, że ich dzieci szły niejednokrotnie bez jedzenia do szkoły. Drukarnia jeszcze ciągle była w ruchu, więc miałem ciągle dochody. Kiedy mi więc doniesiono, że między poszczególnymi rodzinami, których żywiciele zostali aresztowani, taka nędza, postanowiłem przyjść ludziom tym z pomocą. I tak zacząłem wysyłać zapomogi od 15 do 30 marek miesięcznie. Przeciętnie wypłacałem od 15 do 170 marek miesięcznie. I tak trwało to cały rok i miałem od Niemców spokój.

Pewnego razu przyszedł do mnie inż. Kwaśnicki (zastępca inspektora cieszyńskiego Związku Walki Zbrojnej, szef Śląskiego Związku Odwetu – red.), który mieszkał w Cieszynie i zawiadomił mnie, że na moje ręce przyjdzie większa kwota pieniędzy na zapomogi. Zaraz mi oświadczył, że z tych pieniędzy także będzie coś potrzebował. Pieniądze, 5000 marek, faktycznie przyszły jeszcze przed Nowym Rokiem 1941. Kwaśnicki został jednak zaraz po Nowym Roku aresztowany, tak że z pieniędzy tych nic nie otrzymał, co było moim szczęściem i co mi uratowało życie. Kwaśnicki został po Nowym Roku 1941 aresztowany a następnie ścięty w Katowicach. Po otrzymaniu pieniędzy zacząłem wypłacać więcej osobom większe zapomogi.

Dnia 4 lutego 1941 zjawia się u mnie gestapo i zaraz na wstępie pyta mnie jeden (przyszło dwu), gdzie mam pieniądze od Kwaśnickiego. Z początku się nie przyznawałem, że otrzymałem jakieś pieniądze. Przeprowadzili rewizję domową, lecz pieniędzy nie znaleźli, bo te były dobrze schowane. Kiedy pieniędzy nie znaleźli, zostałem aresztowany i odwieziony do Cieszyna na główną komendę gestapo a po małym przesłuchaniu osadzony w więzieniu. Na czwarty dzień znowu mnie zaprowadzono na komendę gestapo, gdzie mnie przesłuchiwał starszy urzędnik gestapa, lecz znowu się do odbioru pieniędzy nie przyznałem. Wtenczas przesłuchujący mnie urzędnik, już starszy, powiada: tutaj szkoda zapierać się, bo my już wiemy wszystko, więc lepiej się przyznać, bo jak się nie przyznacie dobrowolnie (mówił ze mną po niemiecku), to was będą bić, a jesteście już starszy człowiek, więc szkoda. Kiedy mi to tak spokojnie i rozsądnie rozmówił, (a byliśmy przy przesłuchaniu sami dwaj) więc powiadam, proszę pisać i opowiedziałem mu wszystko. Protokół spisano do południa, a po południu jechali dwaj gestapowcy zaraz ze mną do domu, gdzie im pieniądze wydałem. Jak się później dowiedziałem, to wszystko po-

Kalendarz powieściowy

na rok zwyczajny

1933.

Rocznik IX.

Redaguje Wiktor Sembol.



Czcionkami i drukiem Ludowej Drukarni we Frysztacie.
Nakładem własnym.

wiedział im Kwaśnicki (raczej Józef Kominek, który nie wytrzymał tortur -red.), *który podczas przesłuchania był ogromnie skatowany i zbity, bo kiedy w więzieniu spotkałem go, to nie mogłem go poznać. Po przesłuchaniu pozostałem dalej w więzieniu. Jeżeli się nie mylę, to było to 15 sierpnia 1941, zostałem razem z innymi więźniami przewieziony z więzienia w Cieszynie do więzienia w Raciborzu. Muszę przyznać, że były tam stosunki dużo lepsze aniżeli w Cieszynie. W tym dniu (15 sierpnia 1941) aresztowano i moją żonę. W Raciborzu przebywałem aż do 30 września, a następnie zostałem przewieziony do Katowic, gdzie czekałem na rozprawę sądową. W dniu 30 października odbyła się rozprawa, przy której zostałem osądzony na 12 (13) miesięcy więzienia, a to tylko dlatego, że rozdzielałem pieniądze, nie mając na to pozwolenia. Ja przebywałem już w więzieniu 24 miesiące, miałem zatem zostać zaraz zwolniony, lecz gestapo mnie zatrzymało dalej i miałem pójść do obozu koncentracyjnego. Lecz między gestapowcami byli też ludzie, którzy brali pieniądze za zwolnienie z obozu. W moim przypadku był to właśnie komendant gestapo w Katowicach, który za dosyć grubą łapówkę mnie do obozu nie posłał, lecz na dziewiąty dzień dał rozkaz, ażeby mnie z więzienia zwolniono.*

Kiedy przyszedłem do domu, byłem zupełnie bez zajęcia, ponieważ zaraz po moim aresztowaniu Niemcy zabrali drukarnię, a całą rodzinę wyrzucili z własnego domu. Nowu Ortsleiter oświadczył mi, że we Frysztacie nie mam co szukać, ażebym sobie jakiegoś zajęcia poszukał poza Frysztatem. Z pomocą moich znajomych udało mi się znaleźć dobre zatrudnienie w fabryce obuwia Bat'a w Chełmku, gdzie pracowałem aż do skończenia wojny. Po skończeniu wojny przejąłem znowu drukarnię i rozpoczęła się normalna praca. Czesi przejęli zaraz urzędy – Miejską Radę Narodową i Powiatową Radę Narodową. Na czele Powiatowej Rady Narodowej stanął Ševčík, komunista, który przed wojną zasiadał również razem ze mną w zastępstwie gminnym i stamtąd pochodziła nasza znajomość. To wszystko, że ja pozostałem we Frysztacie i że znowu prowadzę drukarnię, to ogromnie nie podobało się czeskim szowinistom, którzy byliby zadowoleni, gdyby nie było mnie we Frysztacie. I znowu wyszukiwali sobie pretekst, ażeby mnie zaaresztować.

Pewnego dnia w sierpniu 1945 roku przyszła do mnie do domu „kryminalka" i zrobiła mi rewizję, przy czym znalazła list prywatny, który pisał mi inż. Musioł z polskiego Cieszyna (prezes Polskiego Komitetu Zaolziańskiego - red.). *„Kryminalka", zobaczyła, że jest to list z Polski po polsku pisany, zaraz się mnie pytała, co to*

za list. Ja powiedziałem, że przecież widzicie, że jest to list z Polski, możecie przeczytać. Kiedy przeczytali list, w którym było wspomniane także o naszych sprawach polskich, lecz nie przeciw Czechom albo też przeciw czeskiej republice, list zabrali. Kiedy nic innego nie znaleźli, odjechali. Mnie pozostawili w spokoju. Ja także nigdzie nie odchodziłem. Po południu koło godziny 16-tej przyjechała znowu „kryminalka", a kiedy widzieli, że jestem na miejscu i nigdzie nie odszedłem ani się nie ukrywam, oświadczyli mi, że mnie aresztują i że muszę pójść z nimi. No więc dobrze, muszę iść, to pójdę. „Kryminalka" była przekonana, że kiedy zabierze mi list, to ja ucieknę albo się ukryję, a ja tymczasem zostałem. „Kryminalka" odwiozła mnie na komisariat policji w Karwinie, gdzie kierownik komisariatu zrobił ze mną małe przesłuchanie, po czym długo zostawił mnie i o czymś rozmyślał. Po długim rozmyślaniu odzywa się do mnie: „Panie Sembol, já vás musím zajistit". Ja powiedziałem, dlaczego, przecież jakbym chciał uciec, to miałem na to czas od rana aż do godziny 16-tej po południu. (Na to oni właśnie czekali). Kiedy mu to powiedziałem, znowu zamyślił się i znowu powiada: „marne, já vás musím zajistit" i rozkazał policjantom, którzy mnie przywieźli, ażeby ze mną spisali odpowiedni protokół. Poszedłem z policjantem do innego pokoju, gdzie była maszyna do pisania i zacząłem dyktować. Z początku, kiedy dyktował, co było prawdą, to ja poświadczyłem, że to jest prawda, lecz potem powiedział, że przy rewizji znaleziono u mnie „protičeské letáky", wtenczas ja powiadam, to nieprawda, bo to zwyczajny list prywatny, a on na to: „to je všecko jedno, pro nás je to leták". Ja powiadam to sobie piszcie, ale ja wam tego nie podpiszę. Wtenczas policjant na mnie: „ale vy podepíšete, my tady máme žílu". Nie będę tu opisywał, jaki ja hałas wówczas wszczęłem, kiedy mi to powiedział. Wtenczas policjant, piszący protokół, wyciągnął papier z maszyny i dał temu, co dyktował, ażeby poszedł z tym do kierownika Geiera, co ten także uczynił. Po małej chwili wrócił i powiada do mnie – „tak si diktujte sám, ale toto přijde také k soudu". Ja krótko, węzłowato podyktowałem do maszyny ściśle, jak się rzecz miała, no i po napisaniu podpisałem. Po napisaniu protokołu zabrali mnie policjanci i odwieźli do policyjnego więzienia do Ostrawy. Na policji 14 dni ciągle spisywano ze mną protokół, a ja im zawsze jedno i to samo opowiadałem. Następnie odwieziono mnie do sędziego śledczego. Sędzia śledczy spisał protokół, co nie trwało nawet godziny. Ja podpisałem protokół, który miał być oddany prokuratorowi i poszedłem do celi, gdzie czekałem na rozprawę. Lecz przeszedł jeden tydzień i nic, drugi, trzeci tydzień, nic, aż nareszcie,

kiedy nadszedł już czwarty tydzień, przychodzi dozorca więzienny i powiada, abym sobie spakował swoje rzeczy, że idę do domu, bo jestem zwolniony. Wychodząc z bramy więzienia spotkałem zaraz moją żonę, która już na mnie czekała i opowiadała mi, że już od rana chodziła do sądu i dowiadywała się, co jest ze mną. Jeden z sędziów posłał ją do prokuratora. Kiedy tam przyszła i powiedziała prokuratorowi, o co chodzi, prokurator dwukrotnie przeszukał swoje spisy, lecz akt moich nie znalazł. Akta znaleziono na oddziale cywilnym, włożone między akta cywilne. Prokurator po przejrzeniu akt dał polecenie mnie zwolnić, ponieważ już sędzia śledczy dał wniosek mojego zwolnienia. Nie zostałem zwolniony, ponieważ akta od sędziego śledczego zamiast do prokuratora powędrowały na oddział cywilny. Później dowiedziałem się, że to było umyślnie zrobione, że akta zamiast przedłożyć prokuraturze, oddano między akta cywilne, ażeby mnie jak najdłużej przytrzymać w więzieniu. Później dowiedziałem się, że był to szowinista czeski, ukrywający się pod płaszczykiem komunizmu, który mnie kazał aresztować. Nie brano względu, że byłem więźniem politycznym za czasów niemieckich, który przebył dwa lata w więzieniach. Straszną nienawiść żywili szowiniści czescy do wszystkiego, co było polskie, przede wszystkim do Polaków, którzy śmiało przyznawali się do swojej narodowości. O sprawie tej pisała „Wieś", gazeta polska, wychodząca w Łodzi, z dnia 14 czerwca 1946 roku. Aczkolwiek szowiniści czescy występowali przeciwko mnie, to jednak nie zrażało mnie, by pracować w kierunku porozumienia czesko-polskiego, aby zgodnie żyły te dwa narody słowiańskie na Śląsku Cieszyńskim w Czechosłowacji. Już przed wojną należałem do klubu czesko-polskiego, który miał swoją siedzibę w Ostrawie, Brnie i Pradze. Znowu po drugiej wojnie byłem współzałożycielem związku przyjaźni czechosłowacko-polskiej i od samego założenia miałem różne funkcje w związku. Obecnie, po 16 latach, jestem wybrany na członka honorowego zarządu. Za tę pracę na polu zbliżenia czesko-polskiego niektóre jednostki wśród Polaków uważały mnie za czechofila, nastawionego przeciw interesom ludności polskiej. To wszystko jednak znosiłem cierpliwie, bo uważałem, że praca społeczna jest więcej warta aniżeli praca dla osobistej korzyści. Drukarnię, w której pozostaliśmy tylko dwaj wspólnicy – reszta wystąpiła już prędzej i wybrała swoje udziały – przejęło państwo bezpłatnie.

WIKTOR SEMBOL

HISTORIA STOWARZYSZENIA SPOŻYWCZEGO "POSTĘP"

Na temat spółdzielni spożywczych pisano i mówiono w ostatnich czasach wiele w związku ze 100-leciem Spółdzielni Spożywców w Stonawie. Warto jednak wspomnieć także o innych spółdzielniach spożywczych takich jak „Postęp" w Karwinie.

Spółdzielczość polska w Czechosłowacji pełniła ważną rolę w rozwoju polskiego życia kulturalnego. Była czynnikiem wspierającym finansowo działalność polskich organizacji oświatowych, udostępniała swoje pomieszczenia na prowadzenie działalności kulturalno-oświatowej, społecznej i politycznej oraz była organizatorem życia kulturalnego dla swoich członków.

W roku 1901 robotnicy z szybów „Henryk" i „Franciszka" założyli Stowarzyszenie Spożywcze „Postęp", które rozpoczęło swoją działalność w 1902 roku. Członkami tego stowarzyszenia byli przede wszystkim robotnicy kopalni, ale również okoliczni mieszkańcy.

Stowarzyszenie Spożywcze „Postęp" było z małymi wyjątkami całkowicie robotnicze. Nie posiadało żadnych zamożniejszych członków, którzy pomogliby finansowo. Opierając się przede wszystkim na robotnikach, „Postęp" potrafił w ciągu kilku lat od założenia wybudować kilka filii. Zamierzano wybudować nawet Dom Robotniczy, jednak z braku funduszy i trudności technicznych (kopalnie nie zezwoliły na budowanie większych gmachów na terenach poddołowanych) musiano zaniechać tego zamiaru. Stowarzyszenie „Postęp" liczyło najpierw tylko 60 członków i miało jeden sklep. Pierwszy sklep „Postępu" znajdował się koło szybu „Franciszka", potem zakupiono dom przy szybie „Henryk", sprzedając dom przy „Franciszce". W 1914 roku stowarzyszenie liczyło 210 członków, w 1921 - 450 członków, w 1936 - 458. Nie było scentralizowane, współdziałało jednak z polskimi spółdzielniami. „Postęp" był członkiem Hurtowni Ostrawskiej i Związku Polskich Stowarzyszeń Spożywczych na Śląsku.

W 1902 roku obrót wynosił 20 000 koron austriackich, w 1914 już 290 000 koron austriackich a w roku 1936 - 1 464 741 Kč. Około roku 1910 ogólna sytuacja ruchu spółdzielczego bardzo się pogorszyła i wiele mniejszych stowarzyszeń łączyło się, by nie dopuścić do upadku. Do Stowarzyszenia Spożywczego „Postęp" w Karwinie przyłączyło się w 1911 roku wraz ze swym Domem Robotniczym Stowarzyszenie Spożywcze dla Robotników i Rolników w Suchej Górnej, które zagrożone było upadkiem z powodu długu ciążącego na nowo wybudowanym Domu Robotniczym. W tym samym czasie zwróciło się z propozycją przyłączenia się do „Postępu" Stowarzyszenie Spożywcze w Karwinie I i Stowarzyszenie Spo-



Kopalnia „Franciszka" w Karwinie (1934)

żywcze Karwina-Sowiniec. Po zbadaniu stanu finansowego stowarzyszeń stwierdzono ogromne zadłużenie spowodowane wybudowaniem Domu Proletariuszy w Karwinie i Domu Robotniczego na Sowińcu. „Postęp" bez pomocy finansowej nie mógł powyższych stowarzyszeń przyjąć, przeto zwrócono się do Hurtowni Wiedeńskiej Austriackich Spółek Spożywczych z prośbą o pomoc finansową. Hurtownia Wiedeńska pokierowała sprawą tak, że sprzedała Dom Proletariuszy w Karwinie Towarzystwu Górniczo-Hutniczemu, a obydwa stowarzyszenia wraz z ich filiami połączono z Robotniczym Stowarzyszeniem Spożywczym w Łazach, od 1914 nazwanym Centralne Stowarzyszenie Spożywcze dla Śląska w Łazach.

Ogółem stowarzyszenie „Postęp" posiadało dwa sklepy: przy ulicy Głównej koło szybu „Henryk" i drugi w kolonii „Henryk", gdzie znajdowała się także gospoda z koncesją oraz masarnia.

Wraz z wybuchem I wojny światowej wiele osób z grona członków, funkcjonariuszy i personelu poszło do wojska. Magazyny „werkowe" otrzymywały artykuły spożywcze i dzięki wsparciu kopalń sprzedawały je po niższych cenach niż stowarzyszenia robotnicze. Niektórzy członkowie stowarzyszenia pobierali towar na kredyt, wielu z nich, idąc do wojska, zostawiło w stowarzyszeniu „Postęp" zaległość. To spowodowało, że



Pierwszy sklep Stowarzyszenia Spożywczego „Postęp"

w 1915 roku sytuacja bardzo się pogorszyła, gdyż w sklepie nie było praktycznie towaru, a w kasie pieniędzy. W wielu stowarzyszeniach towaru było mało i wydawano go tylko na kartki. Dzięki interwencji posłów socjal-demokratycznych w Wiedniu przydziały towarów, szczególnie artykułów spożywczych mogły otrzymywać również stowarzyszenia robotnicze. Wprowadzenie w życie tych zmian było trudne. „Postęp" otrzymał towary dzięki działalności kierownika hurtowni E. Chobota. Wielu dawnych członków, widząc, że w sklepach można za kartki nabyć artykuły spożywcze, powróciło do stowarzyszenia „Postęp".

Po skończeniu wojny rząd czechosłowacki powziął decyzję, by połączyć „konsumy werkowe" ze stowarzyszeniami spożywczymi. Centralizacji nie udało się jednak przeprowadzić w całości, gdyż niescentralizowane pozostały między innymi: Stowarzyszenie Spożywcze „Postęp" w Karwinie, Stowarzyszenie Spożywców w Stonawie i czeskie stowarzyszenia spożywcze w Orłowej, Pietwałdzie, Szonowie itd.

„Postęp" nie uchronił jednak przyłączonego do siebie stowarzyszenia w Suchej Górnej, które pod naciskiem przejęło CSSŁ, ani Domu Robotniczego, które przejęło Towarzystwo „Braterstwo" w Suchej Górnej.

Po dwudziestu pięciu latach istnienia wybudowano dla swych potrzeb

w Karwinie przy ulicy Głównej dom wraz z salą, kancelariami, magazynem i sklepem za cenę około 200 000 koron czeskich. Obok siedziby centrali stowarzyszenia niedaleko szybu Henryk w Karwinie wybudowano także park, który przeznaczony był do organizowania różnych imprez kulturalnych, festynów spółdzielczych i spotkań miejscowych organizacji robotniczych. Park ten został uroczyście otwarty dnia 16 sierpnia 1936. Uroczyste otwarcie parku połączone było z festynem spółdzielczym.

Od 1910 roku przewodniczącym „Postępu" był Paweł Bujok, później Ferdynand Sembol, który po wybuchu pierwszej wojny światowej został powołany do wojska i zginął przy ofensywie Brusiłowa. Od roku 1924 przewodniczącym Rady Nadzorczej stowarzyszenia „Postęp" był Józef Słowik, który od roku 1928 do 1938 był przewodniczącym Stowarzyszenia Spożywczego „Postęp". Po nim objął to stanowisko Pietraszek.

JAN KUBICZEK
pracownik Ośrodka Dokumentacyjnego
Kongresu Polaków

Literatura:

Stowarzyszenie spożywcze „Postęp" w Karwinie (w:) Współdzielczy Kalendarz Robotniczy na rok 1923, Cz. Cieszyn 1922; Uroczystość jubileuszowa Stowarzyszenia „Postęp" w Karwinie (w.:) Przegląd Spółdzielczy, r. 8, grudzień 1926, nr 12, s. 5-6;

Pietraszek, J.: Stowarzyszenie spożywcze „Postęp" w Karwinie 1901 - 1931 (w:) Przegląd Współdzielczy, r. 11, październik 1931, nr 10, s. 3 - 4; Walne zgromadzenie stowarzyszenia „Postęp" w Karwinie (w.:) Przegląd Współdzielczy, r. 13, kwiecień 1934, nr 4, s. 6; Walne zgromadzenie „Postęp" (w.:) Przegląd Współdzielczy, r. 16, kwiecień 1936, nr 4, s. 5;

Otwarcie parku Stow. „Postęp" w Karwinie (w.:) Przegląd Spółdzielczy, r. 18, wrzesień 1936, nr 9, s. 4;

XVIII Zjazd Związku Polskich Stow. Spoż. na Śląsku (w.:) Przegląd Spółdzielczy, r. 19, kwiecień 1937, nr 4, s. 2-4;

Walne zgromadzenie Stow. Spoż. „Postęp" w Karwinie (w.:) Przegląd Spółdzielczy, r. 19, kwiecień 1937, nr 4, s. 7;

Tow. Słowik zmarł (w.:) Przegląd Spółdzielczy, r. 20, marzec 1938, nr 3, s. 2;

XIX Zjazd Związku Polskich Stow. Spoż. na Śląsku (w.:) Przegląd Spółdzielczy, r. 20, marzec 1938, nr 3, s. 5;

Jak obchodzono tegoroczny M.Dz.S. (w.:) Przegląd Spółdzielczy, r. 20, sierpień 1938, nr 8, s. 2;

Kulisiewicz, F.: Polacy w Czechosłowacji, Frysztat 1929, s. 93;

Jasiński, Z.: Działalność kulturalno-oświatowa Polaków za Olzą (1920 - 1938), Opole 1990, s. 144 - 147;

MISTRZYNI KSIĄŻKOWEGO STROJU



fot. HENRYKA TOMASZCZYK

Mieszkająca w Cieszynie Helena Karpińska była jedną z nielicznych w Polsce osób, które swoje życie poświęciły artystycznej oprawie książek, osiągając w tej dziedzinie mistrzowstwo. Zmarła w tym roku, przeżywszy 88 lat. Nazwisko jej było znane również po naszej stronie rzeki Olzy.

Zamiar przyozdabiania książek powstał u Karpińskiej w 1922 roku, podczas zwiedzania wystawy Biblioteki Królewskiej w Londynie. Wspaniałe, kunsztownie oprawione księgi zrobiły wielkie wrażenie, odkrywając przed panią Heleną wielkie powołanie. Od tego czasu, z niewielkimi przerwami, powodowanymi trudną sytuacją życiową, oddaje się umiłowanym zajęciom z książką. W 1931 roku, w odpowiedzi na prasowy anons, zapisuje się na komplet introligatorski pani Zofii Dębickiej, żony znanego literata, absolwentki wyższej szkoły opraw w Paryżu. W 1935 roku otrzymuje pierwsze większe zamówienie. Jest to duży album na 50-lecie kapłaństwa proboszcza w Kazimierzu. Po raz pierwszy oprawy Heleny Karpińskiej eksponowane były w 1936 roku na wystawie Pięknej Książki Polskiej, co zostało udokumentowane w katalogu wydanym przez Towarzystwo Bibliofilów w Warszawie. W trzy lata później jej oprawy prezentowane są na wystawie w Nowym Jorku.

W okresie wojny Helena Karpińska kontynuuje pracę, prowadząc nielegalnie pracownię. Zajęcie to jest źródłem utrzymania nie tylko dla niej i dzieci, ale również dla trzech innych osób.

Po krótkim pobycie w Katowicach w maju 1945 roku wraz z mężem i dziećmi przybywa do Cieszyna. Wiele trudu kosztuje ją adaptacja w nowym środowisku, co hamuje na pewien czas pracę introligatorską. W 1950 roku otrzymuje dyplom uznania na Konkursowej Wystawie dla Introligatorów Wrocławskich, zorganizowanej przez Bibliotekę Uniwersytetu Wrocławskiego, w porozumieniu z miejscowym Cechem Introligatorów. Impas trwa jednak nadal. Kryzys przełamuje propozycja dyrektora Żynda z księgarni św. Wojciecha w Poznaniu - oprawy kilku książek. W międzyczasie przychodzą następne zamówienia. Dla Biblioteki Kórnickiej oprawia Karpińska 35 rękopisów, list Piotra Skargi do Ossolińskiego (z maleńką woskową pieczątką), 6 rękopisów Juliusza Słowackiego w efektownym, obciągniętym pergaminem i ozdobionym złoceniami futerale oraz wiersz Adama Mickiewicza „Pani Twardowska" w podobnej, kunsztownej obwolucie. Oprawia także utwory Juliana Ursyna Niemcewicza i Kazimierza Przerwy-Tetmajera. W październiku 1976 roku została zaproszona przez Bibliotekę im. Raczyńskich do udziału w jury konkursu na najpiękniej oprawioną książkę. Również Krajowy Ośrodek Rzemiosł Artystycznych przy Izbie Rzemieślniczej w Poznaniu, zaproponował jej udział w Krajowej Wystawie Rzemiosł Artystycznych, jaka miała miejsce w warszawskim Arsenale.

Swoją wiedzę i umiejętności przekazała pani Helena młodym adeptom sztuki introligatorskiej na specjalnych kursach. Mistrzyni sztuki artystycznego zdobnictwa książki wygłosiła również sporo pogadanek popularyzujących piękny fach.

W roku 1960 Helena Karpińska rozpoczęła 9-letnią pracę w Oddziale Zabytkowym Katowickiej Biblioteki Śląskiej w Cieszynie.

Za wielki kunszt i artyzm oraz oddanie sprawie ocalania starych i cennych tomów otrzymała Karpińska wiele nagród na licznych konkursach, spotykając się zawsze z wysokim uznaniem znawców przedmiotu oraz miłośników książki. Swoje prace wystawiała w Cieszynie, Katowicach i Warszawie, gdzie na Ogólnopolskiej Wystawie Konkursowej dla Introligatorów, zdobyła pierwszą nagrodę. Największej satysfakcji dostarczyła jej jednak ekspozycja prac, urządzona w auli Ossolineum we Wrocławiu w maju 1969 roku.

Helena Karpińska otrzymała odznakę „Zasłużony Działacz Kultury". Wpisana została także do „Złotej Księgi Zasłużonych dla Miasta Cieszyna". Władze wojewódzkie uhonorowały ją natomiast odznaką „Za zasługi dla województwa bielskiego", wraz z którą otrzymała list gratulacyjny i nagrodę. Dalsze nagrody przyznali jej Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego oraz Beskidzkie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne w uznaniu za całokształt dorobku artystycznego.

Zapytana o marzenia odpowiedziała kiedyś, że szuka, komu by przekazać swoją pasję, wiedzę i warsztat introligatorski. Marzenie drugie: „nadzieja, że i u nas, w kraju znakomitych rzemieślników, gdzie po ostatniej wojnie tak dużo robi się dla książki, gdzie jest tylu jej miłośników i zbieraczy, nastąpi zwrot do ręcznego introligatorstwa, aby specjalnie cenne druki, czy ulubione książki można było przyoblec w oprawę o wysokim poziomie artystycznym. Tak jak na to zasługują".

JERZY OSZELDA

Helena Karpińska wtajemnicza w najbardziej trudną, ale i najpiękniejszą sztukę złocenia dukatowym złotem „listkowym":

„Opowiem wam, jak przebiega proces złocenia ręcznego. Otóż wzór okładki i grzbietu opracowuje się wpierw na papierze, komponując rozmaite zestawy sztanc i obmyślając ich rozmieszczenie. Na przykład ptaszek na jednej książce złożony jest z trzech stempelków: łuku, kropli i krzyżyka. Kiedy po wielu próbach kompozycja jest wreszcie zadowalająca, przenosi się ją przy pomocy kalki technicznej na obciągniętą skórą okładkę, wyciskając deseń przez kalkę, a następnie pogłębiając go podgrzanymi stemplami. Części wzoru, które mają być złocone, powleka się przy pomocy cienkiego pędzelka specjalnie spreparowanym białkiem, a po przeschnięciu białka nakłada się bardzo ostrożnie szczypczykami przykrajane odpowiednio kawałki złota rozkutego na blaszkę cieńszą od bibułki (stąd nazwa „listkowe złoto") i wciska watką tak, aby przez złoto był widoczny skomponowany wzór. Następna czynność to utrafienie gorącym stemplem identycznie w to samo miejsce zagłębienia wzoru. Pod wpływem gorącego białka zlepia się złoto ze skórą bardzo trwale, czego najlepszym dowodem są stare księgi. Warunkiem jest użycie do złoceń niefałszowanego, wysokiej próby złota. Przy dużej wprawie można nabierać złoto bezpośrednio na gorący stempel, potarty lekko tłuszczem. Każdy gatunek skóry wymaga innej temperatury stempla. Złocenie ręczne daje zawsze zróżnicowane błyski, zachowując dodatkowy, subtelny wdzięk pracy ręki ludzkiej, w przeciwieństwie do dokładniejszych, ale „zimnych" złoceń maszynowych. Ważnym walorem ręcznych złoceń jest także ich niepowtarzalność, jako że książka wykonana nawet pozornie identycznie będzie w rzeczywistości w szczegółach inna, gdyż inaczej wypadną niuanse pracy ręcznej".

Zapisał Jerzy Oszelda

BŁĘDOWICKI BESKID ŚLĄSKI I SOKÓŁ PIAST

W latach trzydziestych w Błędowicach wśród uprawianych sportów na pierwszym miejscu była siatkówka. Sport ten miał duże wzięcie zwłaszcza wśród studentów, którzy w okresie wakacji, po spełnieniu obowiązków w gospodarstwach rodziców, mogli spędzać swój wolny czas na boisku w Parku Macierzy. I tak studenci orłowskiego gimnazjum, bielskiej przemysłówki, przyszli nauczyciele, prawnicy, farmaceuci i inni stali się zalążkiem organizacji sportowej Beskid Śląski Błędowice. W skład tej podziwianej i ogólnie znanej drużyny siatkówki a także koszykówki wchodzili gracze tworzący trzon drużyny: Wacław i Adolf Jaworkowie, Józef Przeczek, Wacław Pawlas („Węcelek"), Gustaw Słowik, Józef Folwarczny, Józef Wiesioły, a także pozamiejscowy Kędziura, który, chociaż czeskiej narodowości, w naszej drużynie trenował i był bardzo dobry w ataku. Narybek drużyny tworzyli młodsi wiekiem gracze.

Wszyscy tu wymienieni gracze w późniejszym życiu po latach okupacji, zajmowali odpowiedzialne stanowiska. Wśród nich na szczególną uwagę zasługuje nieżyjący już Wacław Jaworek, popularny „Węcel", o ujmującej powierzchowności, późniejszy absolwent Wyższej Szkoły Rolniczej w Cieszynie, wszechstronnie utalentowany sportowiec, przez sympatyków sportu podziwiany. W roku 1934 był uczestnikiem I Polonijnych Igrzysk Sportowych w Warszawie, gdzie w barwach naszej ekipy wystartował w kilku dyscyplinach, w skoku w dal, wzwyż, w biegu na 100 m i w sztafecie. Przez pewien czas mieszkał w Warszawie i dla najmłodszego uczestnika powojennych Igrzysk, występującego w barwach ekipy PZKO, zafundował puchar. Drużyna trenowała na boisku żużlowym, dlatego występowała w „teplakach" koloru czerwonego (długie spodnie od dresów), co z biegiem czasu stało się jej symbolem. W ramach towarzyskich spotkań na festynach drużynę siatkówki wystawiała również miejscowa „Siła", jednak poziomem gry drużynie Beskidu nie dorównywała. Na miarę swych możliwości obydwa towarzystwa sportowe uprawiały również lekkoatletykę oraz organizowały grę w tenisa stołowego. Z braku odpowiedniego terenu biegi na długie dystanse zawzięcie trenował znany z udziału w Igrzyskach Polonijnych w Warszawie Edward Pośpiech.

O sporcie pamiętano również zimą. Miesiące zimowe były z reguły mroźne, zaś z Błędowic na zamarznięte stawy szumbarskie było za daleko. Znaleźli się ludzie pełni zapału, którzy w dolinie dawnych stawów, opodal Parku Macierzy wykorzystali przed groblą łąkę, na którą na czas zimy skierowano wodę z pobliskiego źródła, która po zamarznięciu wytworzyła naturalne lodowisko, źródło uciech młodzieży szkolnej i sportowców. Tu podziwiano jazdę figurową Wacława Jaworka, który na „szeksach" (łyżwach do jazdy figurowej) wykonywał wysokie skoki „kadety" (półobrót w powietrzu o 180°). W czasie zimowych miesięcy zmierzch zapadał szybko, dlatego nad lodowiskiem sympatycy tego sportu zainstalowali światło elektryczne. Na łonie przyrody było romantycznie, zdrowo i wesoło. Zimą roiło się na pagórkowatych Kępianach, gdzie nasz Wacław Jaworek popisywał się ewolucjami narciarskimi, kończonymi modnymi w tym czasie telemarkami. Zimą z pierwszym śniegiem ze strychów na kopiec „pod harendą" wędrowały sanki, wśród których najlepiej jeździły córki nauczyciela Józefa Pawlasa.

Różne były więc formy sportu w Błędowicach. Brało w nim udział towarzystwo każdej wiekowej kategorii. Sport i gry sportowe jednoczyły ludzi, a jednocześnie wzmacniały tężyznę fizyczną.

Po latach okupacji młode pokolenie w pierwszych latach powojennych organizuje się w miejscowym Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej, gdzie znajduje możliwości wyżycia sportowego. I tak w roku 1948 na zebraniu członkowskim tej organizacji w Domu Robotniczym postanowiono sport skupiony w Sokole, działający dotychczas w ramach SMP, usamodzielnić. W czołówce tej młodzieżowej organizacji i Sokoła Piast Błędowice znaleźli się młodzi działacze - Antoni Kożusznik, Karol Bilan, Edward Klimsza, Tadeusz Nierostek, Adolf Farny. Wybudowanie i otwarcie w roku 1951 boiska piłki nożnej w bezpośrednim sąsiedztwie Parku PZKO (dawniej Park Macierzy), to był spontaniczny zryw miejscowych sportowców i sympatyków. Przy budowie boiska przemieszczono około 1 000 m^3 ziemi, wykarczowano ponad 100 drzew, wybudowano drogę, zniwelowano teren. Dobrowolnie odpracowano 1 800 godzin. Sekcja piłkarska dysponowała drużyną, do której między innymi należeli gracze: Teodor Pawlas, Adolf Kubiczek, E. Suchanek, D. Jeziorski, E. Bilan, L. Cimała, O. Wałach, W. Marosz, S. Wojaczek, K. Jaworek, K. Pawlas, L. Kocur. Po rozgrywkach wiosennych i jesiennych na początku lat 50. Sokół Piast Błędowice zajmował w tabeli środkowe miejsce i nie wykazywał ukaranych graczy. Oprócz sekcji piłki nożnej działały sprawnie sekcje siatkówki, tenisa stołowego i lekkiej atletyki. Sekcja lekkoatletyczna, poza organizowaniem miejscowych imprez sportowych, brała udział w mistrzostwach w Karwinie. Piękne sukcesy odnosiła sekcja tenisa stołowego, kierownikiem której był Józef Bałon.

Budowa boiska piłki nożnej i działalność w pierwszych latach po II wojnie światowej Sokoła Piast Błędowice, to wyzwolenie w latach okupacji przemocą zdławionego normalnego rozwoju na odcinku sportu. Któż z inicjatorów i realizatorów tego zrywu mógł przewidzieć, że na skutek złośliwej ingerencji ówczesnych czynników politycznych, już na początku lat 50. Sokół Piast Błędowice będzie zmuszony do połączenia się z miejscowym czeskim Sokolem, zatracając to, co stanowiło jego istotę - nienarzucone, swobodne wyżycie sportowe we własnym środowisku. W nowych warunkach, podyktowanych przymusem politycznym, mecze piłkarskie odbywają się już na boisku Sokola w Parku Strużnik, zaś sekcja piłkarska Sokoła Piast zatraciła swój charakter i niezależność, dla której powstała. Sekcja siatkówki, tenisa stołowego i lekkoatletyczna rozwijają się już w ramach działalności MK PZKO.

Wielkim wysiłkiem zbudowane boisko piłki nożnej opustoszało, służąc od czasu do czasu pokazom gimnastycznym dzieci miejscowej szkoły. Rozbudowa Hawierzowa zatrzymuje się nad naturalną skarpą potoka. Z boiska Sokoła Piast za drzewami widoczne są bloki na obrzeżach miasta. MK PZKO w obliczu nowej sytuacji zmuszone jest opuścić ten piękny zakątek. Jaki będzie jego los - nie wiadomo. A może ktoś z ekologów zadecyduje, by tak jak przed przeszło pół wiekiem znów rosły zarośla i szumiały olchy, a wśród nich rozlegał się ptasi śpiew, który przypominał by piękną epokę, kiedy ten zakątek krzepił ciało i ducha w naszym społeczeństwie.

ANDRZEJ PAWLAS



MILENIUM ŚWIĘTEGO WOJCIECHA

Święty Wojciech jest jednym z głównych patronów Czech i Polski. W krajach słowiańskich czczony jako Wojciech,na zachodzie Europy znany jest pod imieniem Adalbert, nadanym mu podczas bierzmowania. Uznany został za pierwszego patrona Polski. Główne uroczystości, związane z obchodami imienin Wojciecha, przypadają na 23 kwietnia, dzień jego męczeńskiej śmierci.

Pochodził z Czech. Urodził się około roku 956 w Libicach jako syn Sławnika, głowy książęcego rodu, spokrewnionego z panującą w Niemczech dynastią saską. Otrzymał staranne wykształcenie, w szkole katedralnej w Magdeburgu studiował sztuki wyzwolone. W wieku 25 lat powrócił do Czech, przyjął święcenia kapłańskie, a w dwa lata później otrzymał godność biskupa praskiego. Trudności w pracy duszpasterskiej, spowodowane problemami z karnością w diecezji, zmusiły go do opuszczenia Pragi. W roku 988 wyjechał do Rzymu i osiadł w benedyktyńskim klasztorze św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie. Jednak w roku 992 wrócił na życzenie papieża do Pragi. Jego ważniejsze dokonania tego okresu to założenie klasztoru benedyktynów w Brzewnowie, budowa kilkunastu nowych świątyń a przede wszystkim wysłanie misjonarzy na Węgry. Trzy lata wytrzymał w Pradze, po czym ponownie udał się do Rzymu, rzuciwszy wcześniej klątwę na sprzeniewierzających się prawu kościelnemu wiernych i duchownych. W Rzymie zetknął się z cesarzem Ottonem III, który zezwolił mu na podjęcie pracy misyjnej wśród pogan.

Na początku 997 roku przybył Wojciech do Polski. Przebywał w Gnieźnie. Ówczesny książę Polski Bolesław Chrobry wysłał go do pogan, zamieszkujących teren Prus nad Morzem Bałtyckim. Po kilkudniowym pobycie w Gdańsku wyruszył na teren pruski. 17 kwietnia dotarł do ujścia Pregoły. W miejscowości Truso spotkał się z miejscową ludnością. Został jednak zawrócony i ostrzeżony, by nie przyjeżdżał więcej, bo straci życie. Nie usłuchawszy wezwań ludu, wrogo nastawionego do dworu Bolesława Chrobrego, 23 kwietnia ponowił wyprawę. We wsi Święty Gaj (w okolicach Elbląga i Pasłęka) został zaatakowany przez oddział pruski i zamordowany.

Szczątki Wojciecha, wykupione z rąk Prusów przez Bolesława Chrobrego na wagę złota i kosztowności, spoczęły w katedrze gnieźnieńskiej. W roku 999 papież Sylwester II dokonał kanonizacji św. Wojciecha.

Relikwiom św. Wojciecha przybył pokłonić się w roku 1000 cesarz Otton III. Do Gniezna pielgrzymowali też królowie polscy Bolesław Krzywousty, Władysław Jagiełło, Jan Olbracht, Zygmunt III Waza.

◀ *rys. TADEUSZ WRATNY*

Pierwsza „Księga o męczeństwie św. Wojciecha" spisana została w Gnieźnie jeszcze w X wieku, później jednak zaginęła. Koleje losu św. Wojciecha utrwalił w swej kronice Gall Anonim. Pierwszą wzmiankę o mieście Gdańsku podał mnich Jan Kanapariusz z klasztoru Monte Cassino w „Pierwszym żywocie świętego Wojciecha". Śmierć Wojciecha opisał też dokładnie Piotr Skarga w „Żywotach świętych". Najcenniejszym zabytkiem, związanym ze św. Wojciechem, są jednak Drzwi Gnieźnieńskie, pochodzące z ok. 1175 roku, na których w 18 kwaterach pokazane zostały najważniejsze wydarzenia z życia Wojciecha. Drzwi znajdują się w Katedrze Gnieźnieńskiej.

Milenium św. Wojciecha stało się okazją do licznych uroczystości nie tylko w kręgach kościelnych. Inauguracją obchodów 1000-lecia męczeńskiej śmierci św. Wojciecha w Republice Czeskiej była wystawa grafiki i rysunku „Wobec wartości – niebo i ziemia", prezentowana na Zaolziu w Muzeum Huty i Miasta Trzyńca w dniach od 7 lutego do 16 marca. Obejmowała 120 prac 97 artystów z Polski, Czech, Słowacji, Austrii,Niemiec,Węgier i Słowenii, była plonem VI Międzynarodowego Biennale Grafiki i Rysunku „Wobec wartości", ogłoszonego przez Muzeum Archidiecezjalne w Katowicach. Z Trzyńca została przeniesiona do Opawy.

Arcybiskupstwo Praskie i Gimnazjum Chrześcijańskie w Pradze ogłosiły, zakończony w marcu, konkurs plastyczny i literacki dla dzieci i młodzieży „Święty Wojciech a zjednoczona Europa", zwracający uwagę nie tylko na postać świętego Wojciecha i jego rolę w ówczesnej Europie, ale również na aktualność jego dziedzictwa w dziele zjednoczenia Europy.

Dla Kościoła katolickiego w RC jest ponadto rok obecny zakończeniem i podsumowaniem dziesięciolecia Odnowy Duchowej Narodu, programu ogłoszonego jeszcze przez kardynała Franciszka Tomaška.

Obchody milenium św. Wojciecha stały się wydarzeniem kulturalnym UNESCO, patronat nad nimi przejął prezydent RC Václav Havel. Punktem kulminacyjnym uroczystości milenijnych w RC jest kwietniowa wizyta papieża Jana Pawła II. Papież przybędzie do Pragi w piątkowe popołudnie 25 kwietnia. W sobotę spotka się w Hradcu Králové z młodzieżą. W niedzielę, ostatnim dniu wizyty w RC, odprawi Mszę św. w Pradze na Letnej oraz uczestniczyć będzie w modlitwach ekumenicznych przedstawicieli Kościołów chrześcijańskich.

W Polsce zainaugurowała w lutym działalność Fundacja św. Wojciecha, której zadaniem jest promocja kultury chrześcijańskiej, wspomaganie osób i organizacji, działających na rzecz rozwoju historii i kultury chrześcijańskiej w jednoczącej się Europie. Prezes Fundacji Andrzej Drzycimski zwrócił uwagę na postać św. Wojciecha jako kogoś, kto „wybiegał przed szereg". „Proponował

misje bez oręża, bez krwi, to było na tamte czasy zupełnie nowe." Istnieją podobieństwa między Europą końca X wieku i Europą końca XX wieku. „W X wieku jednoznaczność nadawało chrześcijaństwo, wchodzące do krajów Europy Środkowej i na Węgry. W XX wieku, po rozpadzie dwóch przeciwstawnych bloków, Europa poszukuje korzeni, spoiwa, łączącego jej skomplikowane dzieje." Działalność misyjna św. Wojciecha ma ponadto wymiar ekumeniczny, był on bowiem jeszcze biskupem jednego, niepodzielonego Kościoła (schizma nastąpiła w 1054 roku).

Uroczystości 1000-lecia męczeńskiej śmierci św. Wojciecha przebiegną w Polsce również w obecności papieża. Ojciec Święty Jan Paweł II przybędzie na swoją piątą pielgrzymkę do ojczyzny w sobotę 31 maja. Odwiedzi Wrocław, Legnicę, Gorzów Wielkopolski, Gniezno, Poznań, Kalisz, Częstochowę, Zakopane, Ludźmierz, Kraków, Duklę i Krosno. W Gnieźnie odprawi na placu przed Katedrą Mszę św. z okazji Tysiąclecia Męczeństwa św. Wojciecha we wtorek 3 czerwca. Pielgrzymkę zakończy we wtorek 10 czerwca w Krakowie. Podczas wizyty papieża w Gnieźnie planowane jest spotkanie prezydentów pięciu państw: Polski, Czech, Słowacji, Węgier i Niemiec. Są to szefowie państw, w których św. Wojciech pełnił swe misje. Zaproszenie otrzymał również osobisty przedstawiciel prezydenta Rosji, jak również najwyższe osobistości Kościoła prawosławnego. Uroczystości milenijne mają więc szansę stać się również znaczącym wydarzeniem politycznym w Europie końca drugiego tysiąclecia.

CZESŁAWA RUDNIK

Przysłowia:

Gdy na Wojciecha rano plucha, do połowy lata będzie ziemia sucha.

Gdy przed Wojciechem grzmi, długo jeszcze zima śni.

Jeśli na św. Wojciecha pada, to trzecia kopa siana przepada.

Na św. Wojciecha pierwsza wiosny uciecha.

W dzień Wojciecha świętego ptaki przylatują jego.

Grzmot w św. Wojciecha to chłopięca uciecha.

Jak na św. Wojciech rosa, to siej dużo prosa.

Ile dni przed św. Wojciechem żaby się odezwą, w tyle tygodni po św. Wojciechu rzeki zamarzną.

JAN PYSZKO

DOM

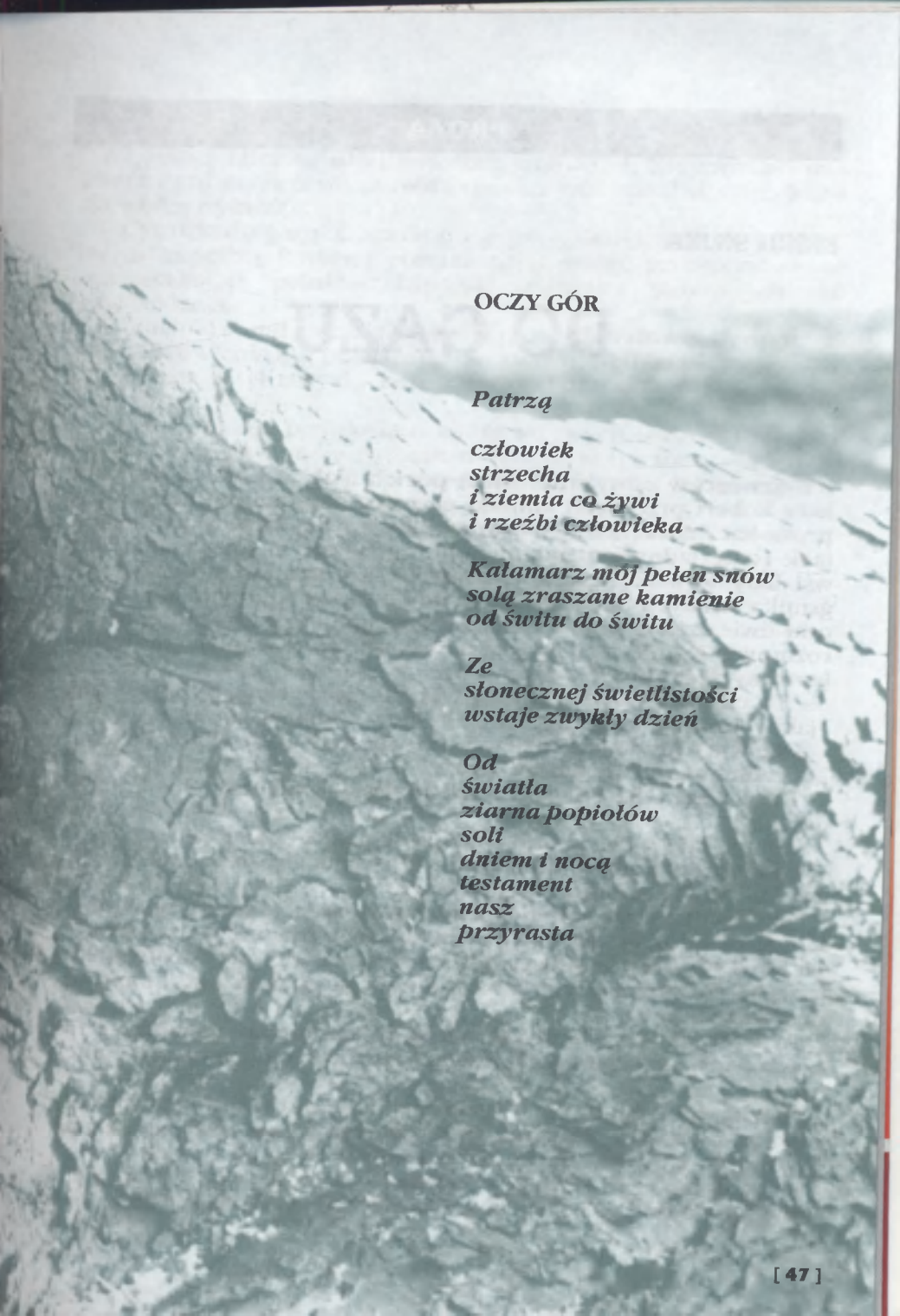
Pragnienie
Poiwo
dłoni chleba myśli wiary
sieni na strzały serc
ognia na wszelki mróz
Azyl
sezam z cudownym mamy:
„stoliczku nakryj się"

Czas
rośnie w nas

Jego rozkazem odeszły lipy
dęby kasztany
próchnicą powalone ściany
lata
Ostał się
czysty próg dzieciństwa
malowany kamieniami Olzy Wisły
świata
Bezcenny żywota ptak

Mowa ziemi
rzeźbi meandry ducha
Warkot
w ogrody jesieni się mieni
a
Zima
ta od Anioła
w nieustannym pogotowiu

Kocham ten dom
prawdziwie sprawiedliwy
jedyny



OCZY GÓR

Patrzą

człowiek
strzecha
i ziemia co żywi
i rzeźbi człowieka

Kałamarz mój pełen snów
solą zraszane kamienie
od świtu do świtu

Ze
słonecznej świetlistości
wstaje zwykły dzień

Od
światła
ziarna popiołów
soli
dniem i nocą
testament
nasz
przyrasta

ERICH SOJKA

DO GAZU

U Szworców zamykano. Okna pociemniały o połowę. To szynkarz Robert przekręcił kontakt głównego żyrandolu. Przez jasny prostokąt drzwi zaczęły iść mniej lub bardziej zataczające się postacie i z bezładnym mamlaniem lub z urywanym śpiewem kolejno wsiąkały w październikowy zmrok. Za ostatnimi wytoczyła się grupka młodych ludzi. Szóstka chłopaków z ogolonymi czaszkami oraz dwie dziewczyny. Wraz z nimi na spokojną dotąd ulicę zeszły rozmowy i śmiech. Jakiś czas dreptali jeszcze pode drzwiami karczmy, lecz akurat je zamykano.

– To chodu, do licha, nie?! – wyrwał się z gromadki dźwięczny i jakby komenderski głos. – Aby tu nie wrosnąć w chodnik.

– Sie wie – przytaknął dziewczęcy sopran. – Co se damy, Jaro?

– Tamto nasze, nie. Jak zawsze.

Grupka drgnęła. Ponownie odezwał się dźwięczny głos komenderski:

– Cy–ga–nie––do––ga–zu! Cyganie do gazu! – podał takt.

Kolejno dochodziły doń dalsze głosy, na ile zrównywali krok z rytmicznym skandowaniem zdania.

I groźne wezwanie oto huczało na całą ulicę. Jak rzucane o mury kamienie odbijało się na przeciwne ściany, ze ścian osuwało się na powrót i znów naprzeciwko, rosło przy tym i potężniało, jakby je wykrzykiwała nie paczka ośmiu ludzi, a pochód jakiś albo tłum demonstrantów.

Tu i ówdzie rozwierały się okna i w poplątanie skandowania i chaotycznego echa sykały przekleństwa, obelgi z wyrazami potępienia.

Paczka nie reagowała. Wszyscy poobejmowali się nawzajem koło ramion lub pasa, tak że zajmowali całą szerokość jezdni i zgodnie wykrzykiwali przed siebie.

– Cyganie do gazu! Cyganie do gazu!

Ulica była długa. Szli może z dziesięć minut i ciągle jeszcze nie

dotarli do jej końca, gdzie przechodziła w gościniec odgradzany tu i ówdzie płotami ogródków przed niskimi domkami.

Z bocznej ulicy za nimi wyjechał samochód. Nie zwracali nań uwagi i ani myśleli się usuwać, chociaż wóz sunął tuż tuż, jakby chciał ich wyminąć.

– Cyganie do gazu! Cyganie do gazu! – skandowali ze wzrastającym impetem i werwą postanawiając widać przekonać senne miasteczko, iż spełnienie ich żądania stanowi jedyny warunek jego ocalenia.

Samochód sunął z wolna za nimi i nie wydawało się, by domagał się umożliwienia mu przejazdu. Nareszcie minęli domki.

– A teraz w tył zwrot! – komenderował dźwięczny głos. – I jeszcze raz!

Paczka zgodnie podniosła ramiona ze swych barków i wszyscy nawykłym zdawało się ruchem wykonali w tył zwrot, pozwolili rękom ponownie opaść do poprzednich pozycji. Na oko był to efektowny, dobrze wżyty manewr.

Samochód teraz zatrzymał się przed nimi, jego światła olśniewały.

– Ciekawem, kto tu ustąpi – wyrwał się wyzywający głos.

– Bo nie my!

– My to już wcale nie – posłyszeli stłumione głosy zza reflektorów.

Samochód przeszedł na światła postojowe i po jego stronach pojawiły się cztery postacie z kominiarkami na twarzach i z krótką bronią automatyczną skierowaną w szereg gołogłowych.

Paczka zdrętwiała.

– Wszyscy rączki do góry i ani rusz! – odezwało się zza kominiarek.

Usłuchali z ociąganiem.

– Co to? Co to za gra?! – odezwał się bez przekonania tamten od komenderowania.

Pytanie jego pozostało bez odpowiedzi.

Dwóch kapturowych z pistoletami przeszło na tyły grupki.

– Wsiadamy do wozu. Jeden po drugim!

Okazało się, że to pasażerska avia z ławkami po bokach. Wsiadali bez słowa, z ociąganiem, ale wsiadali, skoro pistolety zdawały się sprawne.

Jedna z dziewczyn pociągnęła nosem.

Za paczką wsiadło dwóch zakapturowanych, zatrzasnęli drzwi za sobą. Dalsi dwaj wleźli do szoferki.

Wóz ruszył.

– Co jest? Powariowaliście?! Dokąd jedziemy? – odezwał się znowu donośny sprzed chwili głos Jary.

– Do gazu – powiedział pierwszy z kapturowych.

– Do gazu? Po jakiemu? Dlaczego?

– Nie wykrzykiwaliście?
– Ależ Cyganie, nie my.
– Dlaczego akurat Cyganie? Czyżby to nie było wszystko jedno? Zwyczajnie do gazu.
– Cyganie to przecie banda, przeszkadzają nam, nie będzie ich, to będzie spokój.
– Dla Cyganów zaś i nie tylko dla nich wy tu jesteście hałastrą, to wy im z kolei przeszkadzacie. Nie będzie was, też będzie spokój.
– To wyście są Cyganie?
– Nie. Dlaczego?
– Że bierzecie ich stronę.
– Stajemy zwyczajnie po stronie ludzi.
– Cyganie nie ludzie.
– Z biologii, koleś, masz u mnie pałę.
– Ale myśmy lepsi i coś więcej.
– Dla jednych. Dla innych wprost przeciwnie.
– Niż Cyganie?
– Niż normalni ludzie.
Chwilę panowało milczenie. Następny z kapturowych wydostał spod siedzeń jakieś sznury i zaczął nimi pętać nogi siedzących, tak by zdołali iść, a nie uciekać.
Samochód skręcił z gościńca na polną drogę. Po kilkuminutowym podskakiwaniu zatrzymał się.
– Jesteśmy na miejscu. Wysiadać – rozkazał pierwszy z eskorty i otworzył drzwiczki.
– Ale my nie chcemy do gazu!
– A Cyganie, uważasz, chcą?
Pierwszy z kapturowych stał już w dole i pomagał im z wysiadaniem. Z pętami na nogach schodzili opornie.
Wóz stał wśród lasu na jakimś pustym placyku pod wyniosłą ścianą dawnego kamieniołomu. Gdzieś w połowie ściany mieściły się ciężkie wrota blaszane, spod nich wybiegały resztki wąskotorówki. Szło pewnie o wylot sztolni prowadzącej do wnętrza wzgórza.
Kierowca otworzył skrzynkę spod karoserii. Dwóch kapturowych, tych z szoferki, wydostało z niej spory pojemnik gazowy, z jakich korzysta się przy spawaniu, do tego węże i torbę z narzędziami. Odciągnęli to do blaszanych wrót, kierowca otworzył je i we trzech zginęli z pojemnikiem i z wężami w mroku sztolni. Dziewczyny pobekiwały już naprawdę. Jeden z gołogłowych usiłował zrobić kilka drobnych kroków w stronę lasu, na ile pozwalały mu założone pęta. Pięść kapturowego zawróciła go z powrotem. Chłopyś ledwie jęknął z cicha.
– Lecz jakże to? Jakim prawem?! – mówił rozpaczliwie chłopak zwany Jarą.
– Takim samym jak wy. Myśmy wszak, w odróżnieniu od was,

się przygotowali, wy tymczasem pozostajecie z tyłu. Do czasu – powtórzył znacząco ten zza pistoletu.

– Co będzie, kiedy was złapią?

– Najpewniej, przypuszczam, nas nie złapią. A niechby, to wy o tym i tak się nie dowiecie.

– Ratunkuuu! – począł się drzeć jeden z gołogłowych.

Pięść zza kaptura zaraz go powstrzymała.

– Spróbuj jeszcze raz, a będziecie mieli po knebelku. Nie ma co, mocni z was bohaterzy – śmiał się dalszy. – Cyganie tak, my zaś ani rusz!

Blaszane wrota drgnęły.

– Gotowe, zaczynamy – zawołano z ledwie oświetlonej sztolni.

– Pójdziecie, niestety, po jednym, kabinę na razie mamy niedużą, więcej was nie pomieści – usprawiedliwiał się kapturowy. – Kto idzie pierwszy? – wodził oczami po grupce.

– Ty pewnie, abyś nam tu nie pokrzykiwał – szturchnął w rozwarte wrota tego od wzywania pomocy.

– Niee! – ryknął skazaniec, lecz już czworo rąk porwało go i wciągnęło do środka. Blaszane wrota znów się zatrzasnęły.

Chłopyś, co to już wcześniej usiłował zbiec, znowu zszedł o kilka kroków w bok.

– Hej, z tym to będzie koniec. Bo strzelamy. Przeważnie w brzuch. A to boli, oj boli.

– A tam w środku? – spytał stropiony Jara.

– Tam nie, tam, powiedziałbym, nie boli. No nie tak, jak kula w brzuch – odparł Pierwszy.

Minęło sześć, siedem minut i wrota sztolni znowu się rozwarły. Tym razem zniknął za nimi niedoszły zbieg.

– Tony! – jęknęła w ślad za nim jego dziewczyna.

– No, abyś nie musiała za długo trwać w żałobie – powiedział do niej Pierwszy, kiedy wrota znowu się uchyliły, wziął ją mocno za ramię i wiódł do otworu.

Grupka spod wrót topniała. Niektórzy trzęśli się jak w febrze, inni zapewnie się modlili, wskazywały na to gorączkowo poruszające się wargi. Jedynie młodzieniec z komenderówką w głosie stał na pozór bez ruchu, jakby zamyślony.

W końcu sam pozostał przed wrotami.

– No, te kilka chwil i też będziesz miał to z głowy – powiedział już łagodniej Pierwszy. – Boisz się?

Gołogłowy nie odpowiedział.

– I co, znowu byś poszedł wykrzykiwać w noc: Cyganie do gazu?

Gołogłowy nie odpowiedział.

Blaszane wrota uchyliły się i cztery mocne ramiona wciągnęły go do środka.

Dwóch z kominiarkami prowadziło go jakieś dwadzieścia kroków sztolnią do ciężkich, grubych i wysokich drzwi zamykających

coś w rodzaju niszy, nie większej niż ustępy na wsi. Opodal stał tamten pojemnik z gazem, z wężem do wnęki.

Kapturowi popchnęli gołogłowego do wnętrza. Posłyszał, że drzwi z cichym szumem uchodzącego powietrza zamykają się za nim. Znalazł się w całkowitej ciemności. Odezwało się syczenie. Czuł, jak w spodnie bezwiednie ścieka mu rzadki stolec.

Ostatnie, co sobie uzmysłowił, było to, że chociaż chciał krzyczeć z całej mocy, nie był w stanie.

* * *

Zbudził go chłód. Leżał w lesie, w gęstwie krzewów borownika. W górze stał dzień. Trwało chwilę, nim sobie przypomniał co nieco i nim mu świtnęło, skąd tu się bierze. Zrozumiawszy to poczuł dreszcze w plecach, zaraz potem jego ciało ogarnął odruch ulgi.

Wsparł się na łokciach i rozejrzał. Opodal leżał następny z paczki. Nie zdążył dojść do siebie. Wszystko dokoła było pogniecione, przed chwilą więc podnosili się także inni. Wśród drzew dojrzał dwie oddalające się postacie. Tony ze swą dziewczyną, zarejestrował. Wstał. W głowie czuł dziwny łomot. Zataczał się, lecz nie upadł. Żołądek podszedł mu do gardła. Zwróciwszy jego zawartość, zdjął w pobliskich krzakach beznadziejnie powalane spodenki, kilkoma garściami mokrej trwały otarł dolną część ciała i wytarł spodnie od wewnątrz. Wdział je, raz jeszcze się rozejrzał, aby się upewnić, że naprawdę leżała tu cała paczka, i ze zwieszoną głową udał się w kierunku, gdzie spodziewał się gościńca.

przełożył
WŁADYSŁAW SIKORA

Erich Sojka, ur. w roku 1922 w Ostrawie-Gruszowie, należy do czołowych czeskich tłumaczy literatury polskiej. Przełożył ponad 60 tytułów od Kochanowskiego po poetów współczesnych, w tym także zaolziańskich, jest autorem 300 czeskich tłumaczeń dubbingów filmowych i około 300 tekstów piosenek. Swe opowiadanie „Do gazu" zamieścił w opawskim piśmie literackim „Alternativa nova".

OKO W OKO Z BARAŃCZAKIEM

„Duch: brat jad wlał do ucha.
Syn ducha: o, psiajucha !
Stryja w ryj ? Drastyczny krok.
Zwłoka. Jej finał: stos zwłok."
S. Barańczak „Hamlet"

W trakcie mojej pracy w Scenie Polskiej nie korzystałam, oczywiście, z tego rodzaju ściąg. A Stanisław Barańczak, znany i szanowany poeta i tłumacz, zamieścił ich w swoich „Biografiołach" (radosnej twórczości, uprawianej na przysłowiowym boku), bardzo wiele. Pomimo tych przekornych wierszyków należy przyznać, że to właśnie Barańczak podjął się tytanicznej pracy translatorskiej, godnej Boya-Żeleńskiego, który przyswoił literaturze polskiej ponad sto tomów najwybitniejszych pozycji literatury francuskiej (wydane w latach 1915-35 pod wspólną nazwą Biblioteka Boya). Do tej pory w poznańskim wydawnictwie W drodze ukazało się kilkanaście tomów, zawierających około 20 przetłumaczonych przez Barańczaka sztuk Szekspira, w Wydawnictwie a5 zbiór wszystkich jego „Sonetów"; ponadto w krakowskim wydawnictwie Znak w ramach Biblioteczki Poetów Języka Angielskiego pod redakcją Stanisława Barańczaka również już kilkanaście tomów, w tym wybór stu słynnych monologów szekspirowskich. Gdy więc tylko nadarzyła się okazja do spotkania z tłumaczem i podziwianym poetą, opuściłam salę Teatru Śląskiego w Katowicach, gdzie fetowano Josifa Brodskiego w trakcie uroczystości nadania mu tytułu

doktora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego w czerwcu 1993 roku. Stanisław Barańczak przybył jako tłumacz Brodskiego specjalnie na tę uroczystość ze Stanów Zjednoczonych i organizatorzy tej imprezy pomyśleli również o osobnym spotkaniu z nim w Klubie Anglistów. Barańczak, od 1981 roku profesor katedry języka i literatury polskiej na Wydziale Slawistyki Uniwersytetu Harvarda, jest bowiem nie tylko tłumaczem poezji anglojęzycznej (20 wydanych wyborów pojedynczych poetów), ale również wielkim promotorem polskiej poezji za Atlantykiem, jeżdżącym z wykładami po całym kontynencie i wiele publikującym w amerykańskich periodykach. To on przetłumaczył na język angielski wraz z irlandzkim noblistą Seamusem Heaneyem „Treny" Kochanowskiego, a ze swą byłą studentką Clare Cavanagh wybór wierszy Wisławy Szymborskiej oraz antologię polskiej poezji „Psucie zabawy ludożercom. Poezja polska dwu ostatnich dziesięcioleci komunistycznej władzy". W trakcie spotkania autorskiego w Katowicach po odczytaniu własnych wierszy Stanisław Barańczak zaproponował nam, zebranym, których większość stanowili angliści, zabawę w odgadywanie, czyj wiersz i pod jakim tytułem zabrzmi z jego ust w języku angielskim. Nagrodą miała być możliwość zadania osobistego pytania autorowi i jego autograf. Na pierwszy ogień poszły wiersze klasyków, Kochanowskiego, Mickiewicza, Norwida i tu nie miałam zbyt wielkich szans z moim nieodkurzanym zbyt często szkolnym angielskim. Młodzi studenci anglistyki w lot podawali tytuły wierszy i autorów. Przyszła jednak kolej i na mnie, tu zaowocowały moje lektury przekornych i zabawnych tekstów wybitnych polskich poetów, których raczej nie czytywaliśmy w szkole. Kiedy usłyszałam pierwsze słowa „Why cucumber not singing", nie będąc do końca pewną tego zagadkowego „cucumbera", zaryzykowałam: „Gałczyński".Aprobata w oczach tłumacza kazała mi dopowiedzieć tytuł wiersza „Dlaczego ogórek nie śpiewa?". Tym razem ja bawiłam się świetnie, kiedy w myśl obietnicy Stanisław Barańczak, mistrz językowych łamigłówek, starał się napisać w ramach dedykacji moje nieco karkołomne nazwisko. I mogłam zadać mu pytanie, które korciło mnie od dawna: o której wstaje, do której pisze i jak udało mu się w tak krótkim czasie tak wiele napisać. Okazało się, że wstaje wcześnie, pisze zawsze, kiedy nie ma zajęć na uniwersytecie, a przekłady traktuje jako arcyciekawe łamigłówki językowe, które czekają na rozwią-

zanie. A więc nie morderczy, tytaniczny wysiłek, ale lekkość, finezja, radość tworzenia. Kolejna, niezapomniana lekcja. I kolejny wybitny, który w rzeczywistości okazał się cichym, skromnym, nękanym przez chorobę zaledwie 47-letnim wówczas mężczyzną...

I znów dzięki uprzejmości Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach po raz drugi udało mi się w czerwcu 1995 roku wziąć udział w uroczystości nadania godności doktora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego właśnie Stanisławowi Barańczakowi. Zjechali na tę uroczystość wybitni polscy pisarze i naukowcy, jego przyjaciele i miłośnicy jego twórczości. Jednym z pierwszych znajomych, jakiego spotkałam, był Jerzy Kronhold, współzałożyciel krakowskiej grupy „Teraz" z 1968 roku, który wraz z poetami Barańczakiem, Zagajewskim, Krynickim, Kornhauserem i in. współtworzył formację Pokolenie 68, potocznie nazywaną Nowa Fala. Samochodem firmowym „ZNAKu" przyjechała delegacja z Krakowa z pierwszą damą polskiej poezji, Wisławą Szymborską, świeżą laureatką tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, rodzinnym mieście Barańczaka. Krakowianie przywieźli dostojnemu doktorowi dar, który rozbawił wszystkich do łez - marmurową rzeźbę ... krasnala, jakich wiele widujemy u sprzedawców akcesoriów ogrodowych, z tą różnicą, że krasnal był ... goły. Laureat w todze i birecie znakomicie kontrastował z darem, który zapewne symbolizować miał jego wielkie pole działalności humorystycznej i pokątnej, którego świadectwem był wydany przez „ZNAK" właśnie w 1995 roku tomik znakomitych parodii i przeróbek pereł liryki polskiej, zatytułowany obrazoburczo „Bóg, Trąba i Ojczyzna", bazujący na nadużywanym często zwrocie „słoń a sprawa polska". Na zakończenie pozwolę więc sobie zacytować jedno z lżejszych dzieł Stanisława Barańczaka, a mianowicie parodię patriotycznego Mikołaja Reja (na temat słonia, oczywiście):

Z „ŻYWOTA SŁONIA POCZCIWEGO"

Niechaj to narodowie wżdy postronni znają,
Iż Polacy nie Słonie, choć swe Trąby mają.

POETA CZY GEODETA?

Janusz Wójcik, dyrektor Brzeskiego Centrum Kultury, jest z wykształcenia inżynierem-geodetą. Bywa na Zaolziu stosunkowo często, ma tu swoich znajomych i przyjaciół. Więzy przyjacielskie łączą go z prezesem MK PZKO w Jabłonkowie - inż. Januszem Ryłką. Niedawno ukazała się jego druga książka poetycka „W cień oliwnego drzewa" (wydawnictwo WERS, Opole 1996). Tomik zredagował wypróbowany przyjaciel Zaolzia - Harry Duda.

Tomik Wójcika jest reminiscencją z podróży po Italii. Wiersze nie są dla nas nieznane. Czytał je w jabłonkowskiej „Kawiarence pod Pegazem" i w kawiarence trzynieckiej „U Adama". Tam były dotwarzane przez komentarz poety i poprzez wyświetlanie wspaniałych przeźroczy.

Debiut Wójcika „Opisanie świata" ukazał się we Wrocławiu, w wydawnictwie Biblioteka Obecności, a redaktorem był kolejny poeta mający kontakt z Zaolziem - Lothar Herbst. W latach siedemdziesiątych dr Herbst bawił na naszym terenie i zaprosiliśmy go wtedy do Bukowca na przedstawienie sztuki Władysława Młynka „U nas dóma". Przez długie lata wspominał tamto przedstawienie, bo podziwiał, że aktorzy-amatorzy tak świetnie mogli odstawiać na scenie ludzi pijanych. Nie zdradziliśmy mu wtedy, że oni wcale nie udawali. Sam się później przekonał o źródle talentu w czasie rozmowy z którymś z aktorów. Źródło inspiracji zostało określone poprzez zapach.

Wracając do Janusza Wójcika... urodził się w 1961 roku we Wrocławiu, gdzie ukończył Akademię Rolniczą uzyskując stopień magistra inżyniera geodezji. Został wyróżniony Nagrodą Wojewody Opolskiego dla animatorów kultury i Dyplomem Honorowym Ministra Kultury i Sztuki.

Zresztą sam wiceminister Michał Jagiełło także był gościem „Kawiarenki pod Pegazem" ... i na rynku jabłonkowskim „U Bulawy" spełnił z nami niejedno piwo. I tak od życiorysu do twórczości.

Trzeba na zakończenie stwierdzić, że J. Wójcik jest przede wszystkim poetą. Geodezja jest zawodem wyuczonym, a poezji - chwała Bogu - jeszcze się nie studiuje jako zawodu. Chociaż jak pamiętamy przeszłość - próbowano nawet w tym posłannictwie zakładać Instytuty Literatury. W Moskwie i Berlinie. A może i gdzie idziej.

RENCISTA

SEJMIK ZRZESZENIA ŚPIEWACZO-MUZYCZNEGO



fot. FRANCISZEK BAŁON

"PIEŚŃ UJDZIE CAŁO..."

Rozśpiewane Zaolzie jest niewątpliwie na co dzień przykładnym realizatorem tej wspaniałej myśli Mistrza Adama. W związku z inauguracją obchodów 70-lecia zorganizowanego śpiewactwa na naszym skrawku ziemi ojczystej 8 marca br. zastanawiali się działacze i śpiewacy nad osiągnięciami a także zagrożeniami ruchu muzycznego, jakże ważkiej gałęzi kultury polskiego społeczeństwa w Republice Czeskiej. Wspaniała historia, choć jak podkreślił to niedawno znawca i zasłużony sympatyk naszych chórów pan red. Władysław Oszelda („Rozśpiewane Zaolzie?" – Głos Ziemi Cieszyńskiej z 11.10.1996), jest ona nie do końca w pełni opracowana i udokumentowana. Autor słusznie stawia prócz pytajnika w tytule jeszcze ważniejsze pytania w tekście: Co dalej?...

Mimo że w porównaniu ze szczytowym okresem międzywojennym polskich chórów w RC ubyło prawie czterokrotnie, chciałbym czytelników przekonać, że mamy jeszcze wiele powodów do radości i dumy. Chóry nasze nigdy nie były

rozpieszczane, toteż pogarszająca się sytuacja bazy materialnej kultury w ogóle, a chóralistyki w szczególności, czy nawet utrata opiekuńczych organizacji kilku chórów, okazały się jak na razie nieistotne. Nie jest to sprawa bez znaczenia. Porównując poziom organizacyjny i artystyczny naszych chórów polskich i miejscowych chórów czeskich, są nasze bezsprzecznie w lepszej kondycji w całym terenie od Mostów koło Jabłonkowa po Karwinę i Skrzeczoń.

Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne (dalej ZŚM), organizacyjny i zjednoczeniowy kontynuator śpiewactwa polskiego w Republice Czeskiej, bilansując swe dokonania stwierdza, że przeżyliśmy wiele pięknych sukcesów i radosnych dni dzięki ofiarności i poświęceniu chórzystów, zarządów i prezesów oraz dyrygentów i solistów a także dzięki niezmiernie życzliwym, wypróbowanym przyjaciołom w Polsce. Są to: PZCHiO, ZG w Warszawie, Oddział Śląski w Katowicach i Bielsko-Bialski, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska", filia Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, Ministerstwo Kultury i Sztuki RP, Macierz Ziemi Cieszyńskiej. Pomoc ta nie byłaby tak bardzo konkretna i w odpowiednim czasie, gdybyśmy nie mogli zwracać się do konkretnych przedstawicieli tych organizacji, muzyków oraz dyrygentów.

Cieszy nas dobra współpraca i możliwość udziału w imprezach Unii Chórów w RC a także zainteresowanie i pomoc ZG PZKO, zwłaszcza prezesa Jerzego Czapa. W ostatnim czasie z interesującymi propozycjami w ramach Roku Kultury Polskiej w RC wystąpiła Rada Polaków w osobie Danuty Brannej.

Zarząd ZŚM pracował regularnie, choć nie wszyscy jego członkowie włączyli się w pełni w wir pracy dla rozwoju Zrzeszenia i śpiewactwa. Niestety, czterech członków wyraziło z różnych przyczyn swoją rezygnację. Za wkład pracy w dziedzinie małych zespołów i muzyki popularnej a także Festiwalu Piosenki Dziecięcej, aż do czasu podjęcia pracy w szkole muzycznej, dziękuję p. Henrykowi Sumerze. Za wzorowe prowadzenie księgowości p. Ksenii Owczarzy. Najbardziej w pracy zarządu angażowali się p. H. Kraina, panowie dr L. Kalina, dr J. Wierzgoń oraz inż. J. Hławiczka. Powierzone zadania wykonywali prof. B. Rygiel i inż. J. Karolczyk. Komisję rewizyjną reprezentował w zarządzie regularnie inż. A. Bałon, zaś 7 osobową Radę Artystyczną jej dyrektor dr L. Kalina. Szczególnie serdeczne podziękowania składa zarząd za pomoc i bezinteresowną pracę dla dobra naszego śpiewactwa p. mgr. K. Foberowi. Uznaniem wkładu pracy i wieloletniej ofiarności było m.in. przyznanie mu przez Kapitułę Trojoka Śląskiego statuy Stanisława Moniuszki.

Naszą główną troską była, jest i będzie w przyszłości praca z młodzieżą. Prezentacja umuzykalnionych i rozśpiewanych młodych uczniów i studentów ma już swoją tradycję. Szczytową imprezą w tej dziedzinie, którą ZŚM organizuje we współpracy ze szkołami podstawowymi, także z widocznym wkładem Centrum Pedagogicznego, jest Festiwal Piosenki Dziecięcej. Z chórów szkolnych wielogłosowych najczęściej słyszeliśmy o chórze szkoły podstawowej w Suchej Górnej pod

kierownictwem p. J. Czap. Godnie reprezentował Zaolzie w RC oraz w Polsce Chór Studencki Collegium Juvenum, zdobywając m.in. Nagrodę Radia Katowice w wysokości 20 000 Kč. Nasza prasa odnotowała odmłodzenie Hutnika, przeszło 100 młodych chórzystów oklaskiwaliśmy na Koncercie Jubileuszowym Collegium Canticorum. Szkoda, że nie mamy, jak dawniej, większej ilości chórów wielogłosowych w szkołach podstawowych. Należy nadal szukać nowych form, bo samo narzekanie na starzenie się chórów niczego nie rozwiązuje; chcemy też kontynuować wspólne śpiewanie młodzieży szkolnej w połączonych chórach, np. na Festiwalach PZKO. Upowszechnianiu i pobudzaniu do działalności chórów szkolnych służą konkursy, z możliwością przebicia się najlepszych do finałów krajowych w Polsce.

Tradycyjną imprezą stał się już „Trojok Śląski". Choć trzeba przyznać, że zainteresowanie i udział naszych chórów w „Trojoku" nie rośnie, pomimo że zarząd pomaga uczestniczącym chórom, finansując ostatnio 50% kosztów podróży. Bardzo dobrze reprezentowały nas na koncertach głównych chóry: rajski Dźwięk i karwińska Przyjaźń. Nasze spostrzeżenia negatywne to nikłe zainteresowanie publiczności koncertami popołudniowymi a także niski poziom niektórych przyjeżdżających chórów. Przykładem bardzo dobrze zorganizowanego koncertu w ramach „Trojoka" był koncert w Mostach koło Jabłonkowa. Pozytywnie zaskoczyło nas także długotrwałe zainteresowanie „Trojokiem" wielu chórów Unii.

Przeglądy chórów i święta pieśni mają swoje plusy i tradycję, ale także minusy. Możliwość zaprezentowania się przed jury i pustą salą nie mobilizuje wszystkich chórów, zresztą nie mają one równych warunków, np. materiału głosowego i struktury wiekowej. Zaskoczyło nas, że kilka chórów nie podjęło dyplomu a nawet nagrody pieniężnej, którą z inicjatywy zarządu ZŚM ufundowała firma Silva Art. Poziom chórów, zwłaszcza czołówki, jak nieraz stwierdzili fachowcy, stale się podnosi i to nas wszystkich niezmiernie cieszy.

W ramach ZŚM działają 4 chóry męskie, 2 żeńskie i 20 chórów mieszanych, włącznie z 2 kameralnymi. Według kartoteki i wpływów członkowskich, chóry nasze liczą 838 członków; niestety nie przybyło nowych zespołów, zaś zakończenie swojej działalności koncertem jubileuszowym zapowiedzieli członkowie Hasła w Orłowej. Nie sposób wymienić wszystkich sukcesów poszczególnych chórów, ale z najgłośniejszych to koncerty Collegium Iuvenum w Katowicach (pierwsze i czwarte miejsce z nagrodą specjalną), odznaczenie Collegium Canticorum i jego dyrygenta Odznaką MKiSz RP Zasłużony dla Kultury Polskiej, Collegium Iuvenum – koncerty w Brnie i Wiedniu, Amici Cantionis Antiquae w Rychnowie, koncerty PZŚ Hutnika w Praskim Clementinum, w Hlubokiej a także w Holandii, Szwajcarii i Francji, chóru Gorol w Skoczowie na powitanie Jana Pawła II, na Białorusi i Litwie, chóru Melodia Nawsie u nas i w Polsce, chóru ChNP na Festiwalu Chórów Męskich w Ostrawie. Gościliśmy także chóry i zespoły z Polski, Ho-

landii, Anglii i Francji. Bardzo dobrze wypadły nasze chóry na ogólnopaństwowych konkursach i przeglądach w Pradze i Jihlavie. O dobrym poziomie organizacyjnym i artystycznym naszych chórów świadczyły udane uroczystości jubileuszowe, które w ubiegłej kadencji obchodziły chronologicznie: Melodia Nawsie (40), Lira Darków (85), ChNP (70), Hejnał-Echo Karwina (75), Kalina Karwina (15). Hasło Skrzeczoń (75), Godulan Gnojnik i Ropica (45), Zgoda Trzyniec (10), Collegium Canticorum (10), Stonawa (75), Marklowice (75).

Jubileusze życiowe obchodzili działacze i muzycy m.in. W. Winkler, prof. B. Rygiel, M. Hupka, inż. J. Karolczyk, prof. Kopoczek, W. Cieślar i wielu innych. Wspominano na koncertach lub spotkaniach dorobek artystyczny K. Wronki, K. Hławiczki, E. Guziura. Udział chórów w imprezach zagranicznych przy współorganizacji ZŚM tychże: w Polsce: Trojok Śląski - Dźwięk, Przyjaźń, ChNP + Hasło, Lutnia Lutynia Dolna, Hasło Skrzeczoń, Ogólnopolski Festiwal Chórów - Collegium Iuvenum, Harfa Czeski Cieszyn, Górnośląskie Konfrontacje Chóralne - ChNP + Hasło, Harfa, Kalina, Konkurs chórów szkolnych w Bielsku-Białej i Katowicach - Collegium Iuvenum, Warsztaty chóralne, Koszalin 1995 - Dźwięk.

Były wyjazdy i koncerty w Polsce, które zorganizowały chóry samodzielnie - Zgoda w Buku i Toruniu, Harfa w ramach Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej, koncerty wymienne zaprzyjaźnionych chórów - Jastrzębie-Zdrój.

Są też niestety chóry, które swoje zgłoszenia wycofują tuż przed imprezą, czyniąc organizatorom niemałe problemy. (Harfa - Trojok, Dźwięk - Katowice). Zaskoczył nas fakt wycofania się Godulana z możliwości wyjazdu do Polski w roku jubileuszu chóru.

W Anglii: Konkurs i 2. miejsce Collegium Canticorum. Bardzo pozytywne recenzje prasowe po koncertach Hutnika w Holandii, Szwajcarii i Francji oraz Gorola na Litwie i Białorusi.

Regularnie odbywały się robocze spotkania z prezesami i dyrygentami, corocznie wiosną i jesienią. Działalność naszych chórów opisała, zwłaszcza dzięki korespondencjom Józefa Wierzgonia, nasza prasa lokalna, ale ukazały się także artykuły w prasie ogólnopaństwowej - Gazeta Wyborcza, Právo, Cantus, Życie Muzyczne. Trwałym śladem działalności naszych chórów są płyty kompaktowe Hutnika i Collegium Canticorum, kasety magnetofonowe Melodii, Przełęczy i Hutnika. Były też sprawy, których realizacja się nie udała:

- pomimo wielokrotnych upomnień nie otrzymały chóry nagrań Polskiego Radia z Nawsia,
- dofinansowanie chórów, które przekazaliśmy po weryfikacji do ZG PZKO, nie zostało zrealizowane,
- po raz pierwszy od r. 1970 w roku ubiegłym nikogo z Zaolzia nie było w Koszalinie,
- działa za mało chórów szkolnych,
- nie udało się wyraźnie poprawić kontaktów z chórami wyznaniowymi,
- chóry powinny wystrzegać się zbyt masowych wniosków do odznaczeń (Melodia, Kalina, Gorol).

W czasie ostatniej kadencji ZŚM odznaczyło lub poleciło przyznać następującą ilość Honorowych Odznak PZCHiO: brązową 54, srebrną 37, złotą 10, złotą z laurem 2. Były przyznane Dyplomy Uznania ZG PZCHiO (8) i ZŚM (16) a także odznaczenia PZKO.

Niepodzielną troską otoczyć należy działalność małych zespołów wokalnych. Na bardzo udanym przeglądzie zorganizowanym we współpracy z PZKO w Olbrachcicach przekonaliśmy się o dobrym poziomie zespołów: Anki Błędowice, Gama Sucha, Allegro Stonawa oraz wspaniałych Amici.

W ubiegłym roku obchodził PZCHiO swoje 70-lecie , w którym braliśmy czynny udział - chóry i delegacje - w imprezach w Międzyzdrojach i Katowicach. Najlepsze materiały, kroniki i dokumenty historyczne, były wystawiane w Muzeum Śląskim. Nasz wkład pracy i naszą obecność z wielką sympatią na tych imprezach podkreślano. Dostajemy regularnie darmowo 20 sztuk Życia Muzycznego. Dowodem uznania jest także specjalne wydawnictwo Śpiewactwa Śląskiego, za które serdecznie dziękujemy zwłaszcza p. R. Hanke i Oddziałowi Śląskiemu PZCHiO. Za udział w imprezach jubileuszowych chórów składam serdeczne podziękowania Konsulatowi Generalnemu RP w Ostrawie.

Jestem dumny, że kontynuując działalność naszych znakomitych przodków i nestorów, przypomnę m.in. długoletniego organizatora śpiewactwa na Zaolziu E. Guziura, kompozytorów P. Kaletę, E. Firlę, dyrygentów Wójcika, Wronkę, Wojnara, byłych dyrygentów Wł. Winklera, Br. Rygla, A. Kaletę, J. Firlę i naszych obecnych dyrygentów L. Kalinę, A. Suchanka, J. Wierzgonia, H. Niedobę i wielu, wielu innych. Wierzę, że nadal dbać będą oni o wysoki poziom chórów a tym samym o dobre imię Zaolzia. Dzięki działalności w Hutniku i ZŚM spotkałem w życiu wielu wpaniałych ludzi. Osobiście zaprzyjaźniłem się m.in. z prof. E. Maćkowiakiem i jego zacną małżonką prof. K.D. Maćkowiak. Pozwólcie mi zakończyć mój artykuł słowami byłego prezesa ZG i dyrektora artystycznego Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych w Warszawie oraz rektora AM w Poznaniu, które aktualne są również dziś: „Wydawałoby się, że zbiorowe muzykowanie - mam na myśli śpiew chóralny - nie cieszy się obecnie uznaniem tych, którzy dążą do rzeczowej i trzeźwej nowoczesności. A tymczasem jest wprost przeciwnie; chóralna aktywność wzrasta i nie ulega wątpliwości, że posiada ona głębokie znaczenie w kształtowaniu kultury muzycznej społeczeństwa. Muzyka, w której głosy ludzkie splatają się w fascynujące, niesłychanie różnorodne i nadzwyczaj bogate brzmienie - to sztuka wyjątkowo piękna. Łączy ona ludzi w aktywnym muzykowaniu i prowadzi ich w regiony, w których jeszcze coś znaczy siła i wielkość uczucia, fantazja i sprawy irracjonalne".

JAN HŁAWICZKA

Honorowym członkiem Fundacji „Czesko-Polskie Centrum Nauki i Kultury", działającej od maja 1996 przy Domu Polskim w Ostrawie, został minister Aleksander Łuczak, prezes Komitetu Badań Naukowych Rzeczypospolitej Polskiej.

Na przełomie lutego i marca prezentowana była w Galerii Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej wystawa fotografii „Miasto, którego nie ma", ukazująca błyskawiczny rozwój na początku XX wieku a następnie od lat 50-tych prawie całkowity zanik starej Karwiny. Fotografie pochodzą z bogatych zbiorów Józefa Chmiela z Darkowa.

Od 19 lutego działa w Cieszynie przy ulicy 3 Maja biuro informacji, kontaktów i biznesu z firmami czeskimi. Agencja Informacji Przygranicznych Kukuczka posiada dane o 150 tysiącach firm czeskich.

Caritas Polska, redakcja telewizyjnych „Wiadomości" oraz dziennik „Rzeczpospolita" organizują akcję pomocy pieniężnej dla Polaków mieszkającym na Litwie.

Sejm Rzeczypospolitej Polskiej odrzucił wniosek posłanki Grażyny Staniszewskiej o rozszerzenie prawa do odebrania świadectw narodowych funduszy inwestycyjnych na obywateli polskich, którzy mieszkają na Zaolziu, pracują w polskich przedsiębiorstwach i nie byli objęci czeskim programem tzw. prywatyzacji kuponowej.

Senat RP zobowiązał się przygotować projekt ustawy, która przyzna polskim obywatelom, mieszkającym za granicą, takie same prawa, jakie mają Polacy, mieszkający w kraju.

Polski Słownik Biograficzny, tom XXXV/2, zeszyt 145, wydany przez Polską Akademię Nauk, odnotował nazwisko Franciszka Sarganka (1893-1932), działacza socjalistycznego i oświatowego na Śląsku Cieszyńskim, urodzonego w Orłowej, jednego z założycieli Polskiego Stowarzyszenia Robotniczego Oświatowo-Gimnastycznego „Siła" w Czechosłowacji, redaktora miesięcznika „Oświata" i „Gazety Górniczej".

Ukazał się drugi numer Biuletynu Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków w Republice Czeskiej (pierwszy numer wydano w roku 1995). Na jego łamach Danuta Branna informuje o działalności Ośrodka w roku ubiegłym, Stanisław Zahradnik o martyrologii Zaolzia w czasie drugiej wojny światowej, Aleksandra Sembol

o międzywojennym „Naszym Pisemku", Zuzanna Świerczek o 70-leciu Polskiej Szkoły Wydziałowej w Jabłonkowie, Józef Szymeczek o Polskim Towarzystwie Teozoficznym, Jan Kubiczek o przedwojennym działaczu socjalistycznym i spółdzielczym Alojzym Bonczku.

Wrocławskie „Ossolineum" wydało książkę Janusza Gruchały „Tomasz G. Masaryk". Jest to pierwsza polska biografia filozofa i prezydenta Republiki Czechosłowackiej, obejmująca przede wszystkim jego działalność polityczną.

Recenzent „Rzeczypospolitej" Janusz R. Kowalczyk odnotowuje gościnny występ Teatru Polskiego z Bielska-Białej w Warszawie. Przedstawienie „Kubusia i jego pana" Milana Kundery reżyserował Janusz Klimsza. Punktem wyjścia dla Kundery była powieść Denisa Diderota „Kubuś Fatalista". „Adaptacja Kundery wydaje się skąpo uboga wobec kipiącej od nadmiaru treści książki"." Rodowód Janusza Klimszy - urodził się we Frydku-Mistku, studiował aktorstwo i reżyserię w Akademii Teatralnej w Pradze - tłumaczy wybór autora sztuki dla bielskiej sceny. Nic go jednak nie usprawiedliwia, że pozostając mu wierny, zrobił równie nudne przedstawienie."

KONKURS POETYCKI "ZŁOTE CYGARO WILHELMA"

Pod patronatem duchowym Wilhelma Szewczyka organizuje Miejski Ośrodek Kultury w Czerwionce-Leszczynach ogólnopolski konkurs poetycki o „Złote cygaro Wilhelma". Przeznaczony jest dla młodych poetów do 35 lat. Tematyka utworów jest dowolna.

Każdy uczestnik konkursu powinien przesłać dwa wiersze, nigdzie wcześniej nie publikowane ani nie nagradzane, nie przekraczające łącznie 40 wersów. Opatrzone godłem prace w czterech kopiach maszynopisu, wraz z imieniem i nazwiskiem umieszczonym w osobnej, oznaczonej godłem kopercie, należy wysłać na adres: Miejski Ośrodek Kultury, ul. Wolności 3, 44-230 Czerwionka-Leszczyny, z dopiskiem na kopercie „Konkurs poetycki", w terminie do 30 kwietnia 1997.

Piętnastu finalistów zaproszonych zostanie w czerwcu na „Spotkania kulturalne".

HRABAL NA EKSPORT

Gwizd lokomotywy, szum przejeżdżającego pociągu. Światła semaforów. I stojący przed nimi na baczność, rozpoczynający pierwszy dzień pracy, elew komunikacji Milosz Hrma. To wszystko na proscenium. Przestrzeń za kurtyną wypełnia wnętrze budynku stacji kolejowej. Kancelaria ze stołem telegraficznym, dużym biurkiem i kanapą, zegarem i obrazem, meblami i przedmiotami doskonale znanymi z opowieści Hrabala. W głębi sceny na podwyższeniu mieszkanie naczelnika stacji oraz drabina, prowadząca do gołębnika, gdzie naczelnik może wykrzykiwać do woli swoje sądy o bliźnich i ich życiu. Druga część podwyższenia to szpital, hotel na godziny, zmieniające się zależnie od potrzeb danej chwili miejsce akcji. W tej niewymagającej wielkich przetasowań scenerii rozgrywa się dramat wojenny młodego adepta kolei Milosza Hrmy w przedstawieniu Sceny Polskiej „Pociągi pod specjalnym nadzorem", zrealizowanym przez Janusza Klimszę według opowiadania Bohumila Hrabala w nowym przekładzie Magdaleny Gumkowskiej.

Twórczość Bohumila Hrabala bliska jest poetyce teatru Janusza Klimszy. Realizm i naturalizm delikatnie połączony z surrealizmem daje w wykonaniu Hrabala zwartą kompozycję opowieści o przeżyciach związanych z pierwszą pracą i pierwszą miłością. Pierwsze doświadczenia życiowe, sukcesy i porażki miłosne i zawodowe zdobywane są w warunkach zagrożenia wojennego. Pomimo kończącej się już powoli wojny dramaty ludzkie z nią związane są wciąż jednakowo dotkliwe i bolesne. Oryginalny humor, groteskowość sytuacji i postaci, mających swe źródła i wzory w rzeczywistości, losy ludzi, poprowadzonych na kartach książki przez wydarzenia swoistym, „hrabalowskim", wolnym od ścisłej chronologii, tokiem narracji, przesądzają o powodzeniu i popularności opowiadań Hrabala. W wypadku „Pociągów pod specjalnym nadzorem" do wzrostu tej popularności przyczynił się w ogromnym stopniu, zrealizowany już w rok po ukazaniu się książki, uhonorowany „Oscarem", film Jiřigo Menzla.

Janusz Klimsza we współpracy z Martinem Víškem (scenografia), Elišką Zapletalovą (kostiumy) i Zbigniewem Siwkiem (muzyka) wykorzystał jedną z istniejących adaptacji scenicznych „Pociągów pod specjalnym nadzorem", autorstwa Václava Nývlta. Widzowie mieli możliwość porównania jej z przedstawioną niedawno adaptacją praskiego reżysera Ivo Krobota w wykonaniu ostrawskiego Narodowego Teatru Morawskośląskiego. Klimsza zawiódł jednak oczekiwania widzów, przyzwyczajonych do jego wizji teatru poetyckiego z wątkami surrealistycznymi i symbolistycznymi,

zbyt realistycznym podejściem do opowieści Hrabala. Temat dojrzewania młodego człowieka okrojony został ponadto do jego problemów z własną płciowością, inne wątki potraktowane zostały marginesowo. Wydarzenia ułożono chronologicznie. Z przedstawienia „Pociągów pod specjalnym nadzorem", ale również chociażby z adaptacji Nowaka „A jak królem, a jak katem będziesz", wynika dla tego, co szumnie nazwane zostało przeze mnie „teatrem Janusza Klimszy" jedno: zdecydowanie lepsze, konsekwentniejsze są własne adaptacje Klimszy, gdzie nie musi niewolniczo trzymać się obcego tekstu, lecz może puścić wodze własnej wyobraźni. Tak było w przypadku „Akademii" według Brzechwy czy „Czarnej Julki" według Morcinka. Wobec tej ostatniej adaptacji miałam zresztą zastrzeżenia do długości spektaklu i ilości wątków, ale nieliczne głosy krytyczne zaginęły w ogólnej euforii.

Porównanie przedstawienia Klimszy z hrabalowskim pierwowzorem wypada na niekorzyść tego pierwszego, trzeba jednak uzmysłowić sobie, że teatr jest sztuką autonomiczną i niekonieczne są porównania z pierwowzorami literackimi. Można spojrzeć na przedstawienie Klimszy w odniesieniu do otaczającej nas dziś rzeczywistości i oczekiwań przychodzącego na spektakl widza, obarczonego konkretnym bagażem doświadczeń życiowych. Zaserwowana przez twórców problematyka dojrzewania młodego chłopca, oglądana poprzez pryzmat rodzącej się męskości i kłopotów z nią, była taka sama w czasach Hrabala jak i dziś. I tak jak Wajda, uzasadniając realizację „Panny Nikt", stwierdził, że „każdy był kiedyś małą dziewczynką", tak w wypadku „Pociągów pod specjalnym nadzorem" można parafrazować: „Każdy był kiedyś młodym chłopcem". Z tej perspektywy ciekawie i zrozumiale jawi się wątek, poprowadzonego równo i w dobrym tempie, przedstawienia.

Mocną stroną opowiadań Hrabala są ich bohaterowie. Znajdujące swe odniesienie w realnym świecie postacie wyposażone zostały w cechy ludzi znanych autorowi z autopsji. W przypadku „Pociągów pod specjalnym nadzorem" wykorzystał wątki z własnej biografii. Są to postacie tak dokładnie określone, że „rozgryzanie" ich nie stanowi dla aktorów żadnego problemu. Głównym protagonistą spektaklu jest Andrzej Rozmus jako Milosz Hrma. Niewątpliwie porównywany do Václava Neckáře z filmu Menzla sprostał swemu trudnemu zadaniu bez zarzutu. Obok niego przez prawie cały spektakl nie schodzi ze sceny Paweł Niedoba w roli dyżurnego ruchu Hubiczki. Udało mu się w sposób opisowy i pantomimiczny pokazać, jak to „tylko jedno mu w głowie". Zostaje dla swego młodszego kolegi nauczycielem życia. Charakterystyczną postać stworzył też Kazimierz Siedlaczek jako Naczelnik stacji. Beata Dytko-Badošek w roli naiwnej Zdeniczki daje temat do dyskusji w tradycyjnych kręgach zaolziańskich teatromanów. Śmiała scena odsłaniania pieczątek na pewno nie przejdzie bez echa. Bardzo dobre epizody stworzyli Lenka Pešák jako Masza, ukochana Milosza, Lidia Chrzanówna w roli doświadczonej Wiktorii Freie oraz Ryszard Pochroń jako Radca Zedniczek. Najwięcej pochwał należy się jednakże Krystynie Pryszczyk za rolę Naczelnikowej. Z dużym

wyczuciem udało jej się zagrać w scenie rozmowy z Miloszem targające nią uczucia i namiętności.

„Porządna książka nie jest po to, aby czytelnik mógł łatwiej usnąć, ale żeby musiał wyskoczyć z łóżka i tak jak stoi, w bieliźnie pobiec do pana literata i sprać go po pysku...", napisał Bohumil Hrabal. Przedstawienie Klimszy może u wrażliwszej rodzimej widowni sprowokować podobne reakcje. Należy jednak przypuszczać, że spektakl ten ma wymiar eksportowy. Bohumil Hrabal, w sposób nietradycyjny opuszczając niedawno ten świat, wzmógł zainteresowanie swoją osobą i swoją twórczością. W kraju i za granicą. I tak paradoksalnie śmierć autora otworzy przed Sceną Polską bramy teatrów, zainteresowanych kontynuatorem tradycji Jaroslava Haška.

CZESŁAWA RUDNIK

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

"MIEJ SERCE I PATRZAJ W SERCE"

6 października 1996 roku miała miejsce premiera „Ballad i romansów" Adama Mickiewicza w Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Wyreżyserowane przez Irenę Jun, a zagrane przez młodych aktorów zachwyciły, wzruszyły, rozśmieszyły...

Spektakl ten mogli również obejrzeć nauczyciele z Zaolzia, zaproszeni przez Kuratorium Oświaty i Wychowania w Katowicach z okazji Dnia Nauczyciela (w Polsce obchodzony 14 października).

Dzięki balladom Mickiewicza i muzyce Stanisława Moniuszki, która im towarzyszyła, można się było przenieść w świat duchów, „czucia", w świat pieśni ludowej, świtezianek i fantastyki. Mniej więcej połowę widowni stanowili uczniowie szkół średnich i można przypuszczać, że właśnie w nich znajdą poloniści doskonałych partnerów do dyskusji nie tylko o balladach i romansach, ale także o samym Mickiewiczu, jemu współczesnych i epoce.

Po przedstawieniu odbyło się spotkanie z aktorami i dyrekcją teatru. Obecny był również Jacek Łukasiewicz, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, historyk literatury i krytyk literacki, autor książki „Mickiewicz", który w swej książce między innymi pisze: „Z każdym pokoleniem lektura dzieł Mickiewicza zaczyna się od nowa. Każde szukając dla siebie tradycji odnajduje Mickiewicza własnego". Zacytowane zdania odnoszą się także do obejrzanych „Ballad i romansów", które powstawały od 1819 roku,

a w 1822 ukazały się w I tomie „Poezji" i dały początek romantyzmowi w Polsce. Wydaje się, że po tym spektaklu każdy chciał odkrywać Mickiewicza na nowo, a bardzo przydatnym przewodnikiem z pewnością okaże się wymieniona wyżej książka prof. Łukasiewicza.

Jej autor prowadzi nas w kolejnych rozdziałach przez młodość poety (rozdział I), jego pobyt w Rosji (rozdział II), podróże do Berlina, Pragi, Rzymu, Paryża (rozdział III). Rozdział następny „Pielgrzym", obejmujący lata 1832 do połowy 1841 roku przedstawia sytuację Adama Mickiewicza na emigracji. Wtedy powstaje między innymi III część „Dziadów" i „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego", które w czasach współczesnych Mickiewiczowi można było czytać w języku francuskim, niemieckim, a nawet hebrajskim. A jak twierdzi prof. Łukasiewicz, w wieku XX czytali je Irlandczycy i to w języku gaelickim. „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" były wówczas najbardziej popularnym dziełem Mickiewicza, pewnie dlatego, że idee wolnościowe w nich zawarte są ponadczasowe.

Postać Towiańskiego i jego działalność przedstawia rozdział „Sprawa Boża".

„Ostatnie lata" i „Pośmiertne życie Mickiewicza" to tytuły dwu ostatnich rozdziałów książki, która czyta się jednym tchem. Ogromną jej zaletą są wspaniałe ilustracje, umiejętnie wplecione w tekst i wzbogacające go, przez co postać Mickiewicza i epoki staje się bardziej wyrazista. Bardzo przydatne są także tablice chronologiczne.

Książka ukazała się w „Wydawnictwie Donośląskim", na które warto zwrócić uwagę, gdyż tak samo bogato ilustrowane są inne książki, które wydawnictwo wydało, bądź przygotowuje do druku. Do nabycia w księgarniach jest już np. książka Andrzeja Zawady „Miłosz".

ELŻBIETA BARON

WAŻNY GEST, WIERSZE NIE BARDZO

Renata Putzlacher zdobyła się na ważny i odważny gest. Jako Polka, mieszkająca na stałe w Republice Czeskiej, na Zaolziu i pisząca wiersze po polsku, wydała swój nowy, obszerny zbiór wierszy w dwujęzycznej edycji, po polsku i po czesku. Książka nosi tytuł „Małgorzata poszukuje Mistrza / Markéta hledá Mistra". Jest to publikacja – o ile mi wiadomo – bezprecedensowa. W literaturze polskiej nie zdarzyło się bowiem dotąd, by młody autor wydał swój kolejny tomik wierszy, w którym obok tekstów napisanych w oryginale po polsku znalazłyby się zarówno ich czeskie przekłady.

Dwujęzyczne edycje poezji od wielu lat są popularne w Polsce głównie dzięki krakowskiemu Wydawnictwu Literackiemu, które

wydało w taki sposób od początku lat 70-tych ponad sto tytułów, w tym m.in. obszerny wybór wierszy Jaroslava Seiferta. W ostatnich latach szczególną popularnością cieszą się w Polsce kolejne książki Biblioteki Poetów Języka Angielskiego w przekładzie i pod redakcją Stanisława Barańczaka, prezentujące polskiemu czytelnikowi klasyków poezji angielskiej i amerykańskiej. Dwujęzyczne edycje poezji są też coraz częstsze w Republice Czeskiej. Na przykład przed paroma miesiącami nakładem ołomunieckiego wydawnictwa Votobia ukazała się książka „Traktáty a přednášky ve verších" Czesława Miłosza czyli „Traktat moralny", „Traktat poetycki" oraz „Sześć wykładów wierszem" tego poety w przekładzie oraz z komentarzami Václava Buriana. Pożytki z tego rodzaju publikacji są oczywiste.

Dwujęzyczność polsko-czeskiej książki Renaty Putzlacher ma jednak dodatkowe, bardzo istotne znaczenie. Autorkę ukształtowało polsko-czeskie pogranicze, gdzie się urodziła, wyrosła i dokąd po ukończeniu polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim wróciła, by pracować w teatrze i pisać wiersze. Poetka świadomie pozostała mieszkanką „ziemi albo-albo", jak ją nazywa, Zaolzia, Śląska Cieszyńskiego, który jest polski i czeski, a przedtem był jeszcze austriacki. W tym kontekście dwujęzyczność książki „Małgorzata szuka Mistrza / Markéta hledá Mistra" sygnalizuje coś niebywale istotnego – przekroczenie mniejszościowych opłotków, nawarstwionych od pokoleń uprzedzeń, lokalnej ksenofobii, otwarcie się na sąsiedzką, współistniejącą tuż tuż kulturę, zbliżenie się autorki do języka czeskiego i literatury czeskiej, a także, oczywiście i po prostu, chęć, by te wiersze funkcjonowały w obu językach równolegle. Cóż za ulga, można by westchnąć, nareszcie ktoś się na to w tej społeczności odważył, ktoś dał przykład, ktoś postanowił tu zadbać nie tylko o czytelnika polskiego, lecz również czeskiego, ktoś postanowił ich do siebie zbliżyć. To się Renacie Putzlacher chwali, jak również i to, że coraz częściej tłumaczy z czeskiego na polski, na przykład piosenki Kryla i Nohavicy.

Lektura najnowszej książki Renaty Putzlacher wzbudziła jednak we mnie podwójny żal. Żal mi, po pierwsze, że ten symboliczny gest równouprawnienia języków w dziedzinie poezji na Zaolziu nie dokonał się wcześniej, w wydanym w 1993 roku tomiku „Ziemia albo-albo", którego przesłanie, wyrażone równolegle po polsku i po czesku, zabrzmiałoby wówczas znacznie donośniej. Zbiór „Małgorzata szuka Mistrza" nie przemawia do mnie tak mocno i wyraźnie jak tamta szczupła książeczka. Nie ma w nim tak dobrych wierszy jak choćby inspirowane Brodskim „Divertimento cieszyńskie". I stąd właśnie bierze się drugi, znacznie głębszy wymiar mojego żalu. Niestety, liryczne dywagacje na kanwie „Mistrza i Małgorzaty" Bułhakowa nie są frapujące poetycko i nie zawierają nic intelektualnie odkrywczego. Można, oczywiście, dostrzec to, że

poetyka Renaty Putzlacher zmienia się, rozwija i wzbogaca, jednak nie czuje się w tym procesie jakiejś osobnej, oryginalnej pracy wewnętrznej, lecz zaledwie odbicie pewnych najbardziej narzucających się w polskiej poezji ostatniego dziesięciolecia tendencji. Miłosz, Różewicz, Szymborska, Barańczak (również jako tłumacz Brodskiego), to wzory i źródła, których młody poeta nie powinien zbyt ochoczo i ostentacyjnie ujawniać w swoich utworach. Powinien raczej zacierać ślady swoich fascynacji, w interesie swojej własnej poetyki powinien przezwyciężać zbyt narzucające się wpływy. Jeżeli tego nie dokona, grozi mu po prostu epigoństwo, wtórność i banał. Nie twierdzę, że cała twórczość Renaty Putzlacher jest epigońska, wtórna i banalna. Swoją klasę wierszopisarską potwierdziła przede wszystkim tomikiem „Ziemia albo-albo". Twierdzę natomiast, że zbiór wierszy „Małgorzata szuka Mistrza" jest niewypałem. Autorce zabrakło dyscypliny eliminacji. Książce wyszłoby na dobre, gdyby zawierała o połowę mniej tekstów, a i te trzeba by jeszcze przemyśleć i skondensować.

Wbrew temu, co napisał Kazimierz Kaszper, autor polskiego posłowia do książki „Małgorzata szuka Mistrza / Markéta hledá Mistra", nie jest to ani „znaczące osiągnięcie w dorobku autorki", ani tym bardziej „wydarzenie w poezji polskiej".

ZBIGNIEW MACHEJ

KONOPNICKA POD BESKIDAMI

W ubiegłym roku, w stulecie ukazania się w „Gwiazdce Cieszyńskiej" wierszy Marii Konopnickiej ze zbioru „Pod Beskidami", wydał profesor Edmund Rosner niewielką publikację, zatytułowaną „Konopnicka w Beskidzie". Edmunda Rosnera nie trzeba czytelnikom „Zwrotu" przedstawiać. Ten badacz literatury i piśmiennictwa Podbeskidzia i Zaolzia a jednocześnie popularyzator wiedzy o Śląsku Cieszyńskim jest stałym współpracownikiem redakcji. „Konopnicka w Beskidzie" zawiera dwa publikowane wcześniej opracowania Rosnera: „Marii Konopnickiej związki z Beskidami", Bielsko-Biała 1979, z pełnym cyklem wierszy „Pod Beskidami", oraz „Wokół korespondencji Ludwika Gumplowicza do Józefa Zaleskiego", „Kwartalnik Opolski" 1987, z.1, s.43-50, z kompletem owych listów i listem Marii Konopnickiej do Józefa Zaleskiego. W publikacji zna-

lazł się ponadto list Marii Dulębianki do Laury Pytlińskiej, córki poetki. Jest to według autora komplet znanych obecnie źródeł, dotyczących związków Marii Konopnickiej ze Śląskiem Cieszyńskim. Wstęp oraz teksty autorskie mają za zadanie uporządkować i wyjaśnić fakty.

O pobycie Marii Konopnickiej w Beskidach pisał już Edmund Rosner w „Zwrocie" w roku 1960, nr 9, s.9, w artykule „Maria Konopnicka pod urokiem Beskidów". Była wtedy mowa o wakacyjnym odpoczynku pisarki w Beskidach w roku 1896 oraz o jej wędrówkach po górach na początku XX wieku, na kilka lat przed śmiercią.

O dwukrotnym udokumentowanym pobycie w Beskidach mówi też najnowsza książka Edmunda Rosnera. Po raz pierwszy zawitała Maria Konopnicka na Ziemię Beskidzką w roku 1890. Zamieszkała w Suchej Beskidzkiej, czas wykorzystywała na pracę literacką. Po raz drugi, w roku 1896, zatrzymała się w Mikuszowicach Śląskich. Pobyt ten miał charakter wypoczynkowy.

Zwiedziła Wisłę (tu autor dementuje nieścisłości o spotkaniach świadków z poetką w Wiśle na początku bieżącego stulecia), była w Bielsku, Istebnej, Jaworzu, Kętach, być może i w Cieszynie. Tu w tym samym roku w „Gwiazdce Cieszyńskiej" wydrukowano jej wiersze z cyklu „Pod Beskidami" („Gwiazdka Cieszyńska" 1896, nr 38-40). W roku 1910 Maria Konopnicka przesłała do „Gwiazdki Cieszyńskiej" rękopis, opublikowanej już dwa lata wcześniej w „Przodownicy", „Roty". Rękopis przechowywany był przez księdza Tomanka. W czasie wojny po aresztowaniu księdza ukryto go w młynie w Ropicy. Po wojnie jednak zaginął, przetrwała fotokopia oraz druk w „Gwiazdce Cieszyńskiej" 1910, nr 17.

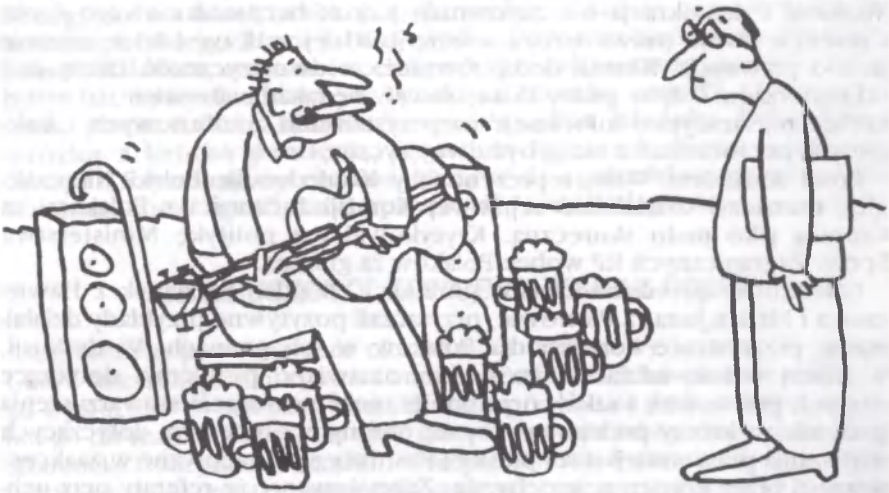
Druga część książki Rosnera zawiera listy, prezentujące historię nieszczęśliwej miłości i samobójstwa Maksymiliana Gumplowicza, syna wybitnego socjologa uniwersytetu w Grazu Ludwika Gumplowicza, do starszej o 22 lata Marii Konopnickiej. Maksymilian przyjeżdżał do Konopnickiej na Śląsk. Listy zrozpaczonego ojca Maksymiliana adresowane są do Józefa Zaleskiego, osiadłego w Puńcowie koło Cieszyna lekarza, aktywisty społecznego i narodowego, publicysty („Listy znad Puńcówki") i literata (powieść „Ondraszek").

Publikacja Edmunda Rosnera „Konopnicka w Beskidzie" pozwala ożywić zastygłą już na dobre w podręcznikach szkolnych pisarkę, jednocześnie zaś stanowi ważną informację o związkach Konopnickiej ze Śląskiem Cieszyńskim i jej stosunku do tych ziem.

CZESŁAWA RUDNIK



Ciszej kolego, bo nas usłyszą wyborcy!



Wabię młodych do świetlicy! *rys. BRONISŁAW LIBERDA*

KONFERENCJA RUCHU POLITYCZNEGO "WSPÓLNOTA"

W dniu 14.2 br. odbyła się w Domu PZKO w Jabłonkowie konferencja zorganizowana przez Ruch Polityczny „COEXISTENTIA - WSPÓLNOTA". Tematem jej była polityka regionalna w kontekście problemów polityczno-społecznych samorządów lokalnych w Republice Czeskiej. Gośćmi konferencji byli konsul RP w Ostrawie Piotr Szwarc oraz poseł na Sejm RP Kazimierz Wilk. Z zaproszonych czeskich parlamentarzystów pisemne pozdrowienia przesłał Jaroslav Gongol.

Na konferencji przedstawiono następujące referaty: „Stan świadomości bytu narodowego społeczeństwa polskiego na Zaolziu" (Alfred Kołorz), „Ocena wyników wyborów parlamentarnych i senackich w 1996 roku" (Tadeusz Toman), „Egzekwowanie ustaw w relacji petent - urzędnik" (Bogdan Hajduk), „Udział przedstawicieli społeczności mniejszościowych w samorządach lokalnych" (Stanisław Gawlik), „Aktualne problemy szkolnictwa polskiego w Republice Czeskiej" (Edwin Macura), „Legislacyjne uwarunkowania samorządów lokalnych oraz urzędów gminnych" (Bogusław Kaleta).

Konsul Piotr Szwarc, zabierając głos w dyskusji, podkreślił, że poprawa życia narodowego Polaków na Zaolziu zależy od poprawnych stosunków polsko-czeskich. W umowach dwustronnych są gwarancje dla mniejszości narodowych. By bronić praw mniejszości, trzeba bronić wolności. Wolność i demokracja nie zapewniają jednak bezproblemowego życia. Czasem o swoje prawa trzeba jeszcze bardziej walczyć i to z użyciem metod prawnych. Konsul dodał również, że dwujęzyczność zależy dziś od samorządu. Gdyby gminy zaangażowały się także materialnie, to nawet tablice rejestracyjne, informacje na przystankach autobusowych i kolejowych czy formularze mogą być dwujęzyczne.

Poseł Kazimierz Wilk, reprezentujący Konfederację Polski Niepodległej, tłumaczył działalność sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą jako mało skuteczną. Krytykował też politykę Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP wobec Polaków za granicą.

Członkowie przedstawicielstw gminnych, Bogdan Suchanek z Hawierzowa i Marian Janas z Piotrowic, przytaczali pozytywne przykłady działalności, przynoszące korzyści dla Polaków w ich gminach. W dyskusji, w której wzięło udział 10 mówców, omawiano problemy, dotyczące naszych przedszkoli i szkół, oraz konieczność powołania stowarzyszenia prawników, którzy podejmowaliby się obrony w procesach, dotyczących naruszania praw mniejszości polskiej.Postulaty są opracowane w zaakceptowanej przez konferencję uchwale. Zdecydowano, że referaty oraz uchwała będą przekazane redakcjom „ Głosu Ludu" i „ Zwrotu". Zaplanowano również wydanie publikacji „Nasze sprawy".

T.T.

WALENTYNKOWA PREMIERA "BAJKI"



Walentynkowe popołudnie sprzyjało nieskrępowanej zabawie widzów nowej premiery Teatru Lalek „Bajka". Wypełniona po brzegi sala oklaskiwała przedstawienie sztuki współczesnego autora polskiego Macieja Wojtyszki „Pożarcie Królewny Bluetki". Janusz Klimsza, reżyser i scenograf spektaklu, zrezygnował z lalek na rzecz żywych aktorów. Tytułową Bluetkę zagrała Dorota Gociek, pazia Adasia Marek Szücs. Pawełka Niedoba była dobrą wróżką z krótką pamięcią, Krystyna Kubiczek, Krystyna Czech oraz Jan Szymanik rycerzami. Muzykę do spektaklu napisał Leszek Wronka, choreograficznie opracował Jerzy Waligóra. C.R.

JUBILEUSZOWY KONCERT PO RAZ DRUGI

Ogromnym powodzeniem cieszył się jubileuszowy koncert Polskiego Chóru Mieszanego Collegium Canticorum. Toteż ci, którym nie udało się go wysłuchać 16 listopada ub.r., tłumnie przybyli na jego powtórzenie 23 lutego do teatru w Czeskim Cieszynie. Ponownie jubilata wspierały Chór Studencki Collegium Iuvenum i Kompania Osób Prywatnych Amici Cantionis Antiquae, mistrzowską ręką prowadzone przez dyrygenta a jednocześnie kierownika artystycznego owych trzech zespołów dr. Leszka Kalinę. Publiczność z zachwytem wysłuchała repertuaru klasycznego i amerykańskich songów. E.S.

"OLZA" Z OKAZJI JUBILEUSZU PZKO





Zespół Pieśni i Tańca „Olza", reprezentacyjny zespół PZKO, zaprezentował po raz pierwszy swój nowy program, przygotowany z okazji 50-lecia PZKO, w Domu Kultury w Trzyńcu w piątek 28 lutego. Sala wypełniona była po brzegi widzami nie tylko z Trzyńca i bliskiej okolicy, byli entuzjaści „Olzy" z miejsc znacznie bardziej oddalonych, wszyscy, którzy chcieli zobaczyć nowy program już na premierze. Przed spektaklem i w czasie przerwy „olzianki" w strojach ludowych sprzedawały plakaty, foldery i nagrania zespołu. W tłumie, jaki wypełnił westibul w czasie przerwy, można było usłyszeć powtarzane przez wiele ust głosy: „Są naprawdę świetni !" .

Zespół Pieśni i Tańca „Olza" pod kierownictwem artystycznym Otto i Danuty Jaworków oraz kierownictwem organizacyjnym Bogdana Heczki zaprezentował w pierwszej części swego programu tańce i przyśpiewki cieszyńskie oraz słowackie. W drugiej części obejrzeć można było folklor czeski, słowacki i polski.

„Olza" zaprezentowała tradycyjnie nie tylko najwyższy poziom tańców. Godna uwagi jest również jej świetna kapela pod kierownictwem Henryka Chmiela oraz śpiewy. Wśród śpiewaków solistów na szczególną uwagę zasługują występy Urszuli Niedoby.

F.B.

POMOC DLA TNP I HPC

Pod koniec lutego doszło do zawarcia umowy pomiędzy Agencją Handlową „B. Kmiecik i spółka" z Katowic a Towarzystwem Nauczycieli Polskich w RC i Harcerstwem Polskim w RC, która reguluje zasady sponsorowania przez tę agencję obu organizacji. To Barbara Kmiecik - prezes katowickiej spółki, która jest dużym eksporterem polskiego węgla i koksu na rynek czeski - wyszła z inicjatywą świadczenia stałej pomocy finansowej tej organizacji polskiej na Zaolziu, która akurat takiej pomocy potrzebuje. Po konsultacji z dyrektorem karwińskiej firmy KATIM Karolem Michalskim, który jest jednym z partnerów handlowych Barbary Kmiecik w RC, wybór padł na szkolnictwo i harcerstwo.

Pomoc „B. Kmiecik i spółka" nie będzie się jednak ograniczać wyłącznie do comiesięcznych przelewów określonych kwot na konta obu organizacji. Pani prezes zaproponowała również pomoc w zakresie finansowania niektórych wycieczek naszych dzieci do Polski. Wyraziła też ochotę udostępnienia własnej stadniny koni dla grupy harcerzy zainteresowanych nauką jazdy konnej. Zgodnie z jej wolą, dysponentem sponsorskiego daru będzie Karol Michalski, który - jak podkreśliła - najlepiej zna potrzeby tutejszego społeczeństwa polskiego. Jedynym motywem tego pięknego gestu Barbary Kmiecik jest - jak powiedziała - „całkowicie bezinteresowna chęć niesienia pomocy Polakom zaolziańskim, bo Polacy powinni sobie nawzajem pomagać".

Umowę podpisali : prezes TNP Stanisław Folwarczny, zastępca naczelnika HPC Marian Piszczek oraz Marek Wiencek, zastępca dyrektora ds. sprzedaży paliw stałych i eksportu, który zobowiązany został przez zarząd spółki do realizacji pomocy finansowej dla TNP i HPC.

(s)

PODZIAŁ ZADAŃ W RADZIE POLAKÓW

Na pierwszym posiedzeniu nowo wybranej Rady Polaków, dnia 1 marca, dokonano podziału obowiązków między poszczególnych członków: Wawrzyniec Fójcik (prezes) kieruje pracą Rady oraz zajmuje się sprawami politycznymi, Bronisław Walicki (wiceprezes) zajmuje się współpracą przygraniczną i transgraniczną, Roman Baron troszczy się o sprawy młodzieży, kultury i kontakty z Polonią na świecie, Danuta Branna jest rzecznikiem prasowym, zajmuje się kontaktem z massmediami i pracą Kancelarii Rady Polaków, Kazimierz Worek troszczy się o sprawy szkolnictwa, Michał Chrząstowski zajmuje się sprawami obywateli polskich w RC i kontaktem z terenem pozazaolziańskim, Marian Jędrzejczyk sprawami gospodarczymi, ekonomicznymi i wydawnictwem „Olza",

Remigiusz Gąsior kontaktami z terenem i komitetami gminnymi, Franciszka Chocholáč FUEN i sprawami majątkowymi.

C.R.

JASICZEK ŚPIEWANY

„Jasiczek lubił spotykać się m.in. w Polsce z czytelnikami, lubił prezentować swą twórczość i mówić o Zaolziu i literaturze tego regionu", napisał Edmund Rosner w Zwrocie w 1990 roku. Twórczością Henryka Jasiczka zainteresowała się „Niezależna Formacja Kuźnia", grupa młodych ludzi w prawobrzeżnym Cieszynie. „Gorzkie wspomnienia czyli Rzecz o Henryku Jasiczku" to program, zaprezentowany przez nich 11 marca w Domu Narodowym w Cieszynie. Można zapytać, jakie prawo mają ci młodzi ludzie, urodzeni już po śmierci poety, by oskarżać. Z drugiej zaś strony należy przyklasnąć ich inicjatywie. Okazuje się, że utwory Jasiczka to świetny materiał na poezję śpiewaną. Warto zaznajomić się z nią i po lewej stronie Olzy.

C.R.

BŁĘDOWICKA CZOŁÓWKA PEZETKAOWSKA

Pięćdziesięcioletni okres działalności, udany i ciekawy, zawdzięcza błędowickie Koło PZKO grupie ludzi mocno przekonanych o słuszności swoich poczynań. O zasługach tych ludzi trzeba przypomnieć chociażby przy okazji jubileuszu. Do czołówki błędowickiego Koła należą: Tadeusz Nierostek, inż. Józef Pietrus oraz Emilia Bilan.

67-letni dziś Tadeusz, przez ponad dwa dziesięciolecia przewodniczący Koła, musiał nieraz w trudnych sytuacjach znaleźć rozwiązanie, ale zawsze udawało mu się zrealizować zamierzony cel. Już przy narodzinach miejscowego Koła, mając 17 lat, rozpoczął swoją pracę społeczną jako aktywista młodzieży polskiej, później kierownik świetlicy, długoletni prezes a ostatnio kierownik i gospodarz Domu PZKO. W pracy pomagał mu jego dobry kolega Józef Pietrus, który od kilkudziesięciu lat pracuje w zarządzie Koła jako kierownik rejonowych. Na budowie Domu PZKO przepracował 1400 godzin. Rówieśniczką Tadeusza jest Emilia Bilan, długoletnia nauczycielka języka polskiego w błędowickiej podstawówce, od roku 1991 prezes Koła. Utrzymuje stały kontakt między PZKO i szkołą. Jest animatorem życia kulturalnego, od kilku lat prowadzi polski oddział Biblioteki Miejskiej.

Niewątpliwe są zasługi działaczy błędowickich. Jedyną zapłatą za wartości, które wspólnie tworzą, może być pamięć o nich.

A.P.

NOWA ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA PWN W BIBLIOTECE KARWIŃSKIEJ

Na półkach księgarskich pojawił się ostatni, szósty tom Nowej Encyklopedii Powszechnej PWN. Encyklopedia wydana została w bardzo krótkim czasie - 21 miesięcy - i stała się niewątpliwym sukcesem Wydawnictwa Naukowego PWN, bestselerem minionego roku. Wydawnictwo przystąpiło do prac przygotowawczych nad 25-tomową encyklopedią powszechną. Ukaże się w wersji tradycyjnej i multimedialnej, zakończenie całości zaplanowano na rok 2005. Wydawnictwo Naukowe PWN nie ma dziś w Polsce monopolu na wydawnictwa encyklopedyczne. Zapowiadane są suplementy do 22-tomowej przedwojennej polskiej Encyklopedii Powszechnej Gutenberga oraz polska edycja Encyklopedii Britannica.

O 6-tomową Nową Encyklopedię Powszechną PWN postanowił poszerzyć swoje zbiory Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie.W realizacji tego zamierzenia pomagają sami czytelnicy. Od stycznia trwa akcja sponsorska. Czytelnicy chętnie wrzucają drobne datki do skarbonki w bibliotece. W ciągu dwóch miesięcy udało się zebrać około 1200 Kč, co stanowi prawie 1/6 ceny encyklopedii.

C.R.

MOZAIKA

NIAGARA

„Jezyna kandy, ludeczkowie złoci, na cóż sie też stało? Niagara nie huczy?"

No tóż jak mieszkocie w pobliżu wodospadu Niagary, to już zwykliście na tyn straszny huk wodospadu, huczy łón w dzyń i w noc, czy wy chodzicie czy też śpicie, tyn huk wom już nic a nic nie przeszkodzo.

No tóż było to tak - w nocy dnia 29 marca w 1848 roku, stało się cosikej, co żodny nie przewidzioł, w żodnych jakichsi znakach na niebie to nie było wróżone, no i sóm indiański wielki duch „Manitouu" nic też Indianóm nie szeptnół do ucha...? No tóż to tego u góry zaznaczonego dnia w nocy ludzie poszli do łóżek na odpoczynek, tu jakosi naroz strasznie pocichu?? Ludzie se myśleli, że pogłuchli, że nie słyszą huku wodospadu Niagary? No tóż to wyskoczyli z łóżek, łobudzili sąsiadów, i jak maratończycy polecieli się podziwać na rzyke i wodospady?

„Jezyna kandy, ludeczkowie złoci, cóż się też stało - Niagara wyschła?? Na wodospadzie tu i tam takie siurcki płyną, dno pod wodospadem się po-

kazało a w nim straszne kamienie, wielgucnych rozmiarów. Niekiedy ta łódź, co ludzi wiozła pod wodospad, po tyk kamieniach spodkym okrętu trzaskała i drzyła. No tóż to zarozki służba parku chyciła się dynamitym te kamienie roztrzaskać. No tóż ludzie zaroz rano przijechali kóniami i wozami do Niagary, zabierali z dna rzyki całe trómy i pnie jakiś tam drzewa, co się nadowało na antykowe meble. Inksi spryciorze szukali bajónetów czy karabinów, może „rusznic" z dawnych wojen. No żeby dzisio szukali pod wodospadym Niagary, to by tam znoleźli ponad 5 ton metalowych piniedzy!! Co każdy turysta do wodospadu ciepnie, aby sie „wykupić czy odkupić" od mocy wielkiego ducha indiańskiego „Manitouu" (opisuję to w Kalendarzu Śląskim na rok 1993). No tóż tą wieść, że Niagara wyschła, rozeszła się po całej okolicy. Wodospad i rzeka Niagara milczała przez prawie 30 godzin!! Indianie i ludzie mówili, że to jest zło jakosi wróżba, że to jest kara boża. Indianie palili ogniska, bili bębny pauu-łauu... Nawet księża przyszli, mówili, że to jest znak przed zbliżającym się nieszczęściem? Niagara wyschnąć?? Coś niemożliwego!! Na wszelki wypadek odmawiano modlitwy. Nad wodospadem zgromadziło się tysiące ludzi i wszyscy łoczóm ni mogli uwierzić, co widzieli.

Pumału przyszła noc 31 marca w 1848 r. Ludzie stoli i czakali na cud! Naroz tam daleko u góry rzeki słychać było jakby głuchy „grzmot" i za chwile ludziom pokazała się wielgucno góra lodu, szyroko może na 600 m, pchano wodą na wodospad, ze strasznym hókym to wszystko poszło na wodospad, ludzie, co byli w korycie Niagary pod wodospadym, tak „po pierónie" wyrywali z życiem, co teraz „wisiało na włosku..." Niagara ożyła!

Na cóż się to stało? Jezioro Erie jest bardzo płytki. W zimie zamarza w grube lody, nawet do 1/2 metra. Wiosenne wiatry do 60 km/godz. wiały ze wschodu, zburzyły jezioro, kry lodu niekiedy powierzchni na 1/4 hektara zgromadziły się w górnej części jeziora Erie. Wiatry zmieniły kierunek na południowo zachodni, silne wiatry „pchały" masy lodu z powrotem w dół jeziora w kierunku Fort Erie i miasta Buffalo. Taka straszna masa tego lodu i pchana rozhulanym wiatrem zablokowała całkowicie dopływ wody do koryta rzeki Niagary (w tych czasach wszelka komunikacja była bardzo powolna i wiadomości dochodziły dopiero po kilku dniach w takiej małej odległości). Teraz temperatura podniosła się do 16+. Powierzchnia jeziora Erie się podniosła i nagle po 30-tu długich godzinach wyczekiwania rzeka i wodospady Niagary ożyły i jak tyn potężny „Feniks" odrodziły się na nowo.. coś niesłychanego?? Niagara płynie i wodospad huczy do dnia dzisiejszego...

P.S.: Zdarzenie to nie może się już więcej powtórzyć. Otóż 30% Niagary idzie a raczej płynie na elektrownie, po stronie Ontario i USA. Coś w roku 1964 zainstalowano w górze rzeki olbrzymie zapory przeciw krom lodu, tak że jak dotychczas jest niemożliwa powtórka „wyschnięcia Niagary", jak to zaszło w roku 1848. Ciekawym dalej jest, że o tym zajściu wie tutaj tylko garstka ludzi. Tylko tych, co wtedy-owdy zaglądają do książek. Ciekawe, co?

WŁADYSŁAW CUPEK

KRZYŻÓWKA



Z dziejów PZKO: **W 1949 roku zaolziańskie społeczeństwo polskie za pośrednictwem PZKO zebrało ponad 750 000 koron powojennych w ramach dobrowolnej składki akcji... (patrz rozwiązanie dodatkowe krzyżówki). Był to przejaw patriotycznego stosunku do Macierzy.**

POZIOMO: A. Wyżyna w Indii; narzutka futrzana; polityk amerykański (Dean). **B.** Bóg miłości; autor opery „Król Roger". **C.** Zakręt; region turystyczny w Słowacji; uprzywilejowana karta w grze. **D.** Stragan; urządzenia; austriacka agencja prasowa. **E.** Imię Clintona; ptak nielatający. **F.** Po jego wypadnięciu dziura w desce; imię męskie. **G.** Gwóźdź z zagięciem; służy do przewozu chorych; pora roku. **H.** Zawartość kruszcu w monecie; korek w ruchu ulicznym; państwo azjatyckie. **I.** Francuski lekarz i astrolog (1503–1566); miasto przemysłowe w Niemczech. **J.** Gwiazda filmowa; świt; prowizoryczny budynek.

PIONOWO: 1. Porcja; imię czeskiego sztangisty Zdražila. **2.** Tytuł książąt lub władców w krajach muzułmańskich; atak samolotów. **3.** Dawniej łódź, okręt; trafiła na kamień. **4.** Jeden z muszkieterów; pierwiastek chemiczny. **5.** Strach. **6.** Warownа rezydencja reprezentacyjna w Hiszpanii. **7.** Bajkopisarz grecki; wskazówka postępowania. **8.** Miejscowość w powiecie F–M; występuje w ropie naftowej i gazie ziemnym. **9.** Imię Sharifa; hiszpański rzeźbiarz i architekt (Narciso). **10.** Magma; ptak o czarnym upierzeniu. **11.** Klątwa kościelna, ekskomunika. **12.** Imię Sumac. **13.** ... kulszowa; ryba z rodziny karpiowatych. **14.** Wargi; żołnierz wojsk inżynieryjnych. **15.** Twórca Spejbla i Hurvínka; jezioro w Etiopii. **16.** Puszysty ogon lisa lub wiewiórki; Lechita.

Wyrazy trudne: **APA, DEKAN, TANA, TOME.** **(taj)**

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: G–16, A–1, E–3, A–14, I–7, H–3, C–1, I–10, I–13, G–8, B–9, D–12, C–10, J–15, H–10, I–3, B–7, G–14, B–13, F–5.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca kwietnia.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU LUTOWEGO:

Hasło: **„Krajowy Festiwal PZKO w Czeskim Cieszynie"**

Nagrody książkowe wylosowali: Maria Bojkowa – Piosek, Aleksandra Opiołowa – Karwina
Michał Folwarczny – Czeski Cieszyn

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
EWA SANTARIUS (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
WŁADYSŁAW MILERSKI
KRZYSZTOF NOWAK
WILHELM PRZECZEK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORNÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 144,- Kč, z wysyłką pocztową 186,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie przy współpracy z Sekcją Bibliotekarsko-Czytelniczą ZG PZKO w Czeskim Cieszynie ogłasza konkurs plastyczny i literacki dla dzieci i młodzieży

ZAOLZIE – NASZ WSPÓLNY DOM

Konkurs został zorganizowany z okazji 50-lecia Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego i Roku Kultury Polskiej w Republice Czeskiej

Prace konkursowe powinny obejmować rysunki (format A3), wiersze, opowiadania tematycznie związane z naszą ziemią ojczystą, krajobrazami, przyrodą, wydarzeniami kulturalnymi, sytuacjami ze szkolnego podwórka czy domu rodzinnego.

Każda praca musi zawierać imię i nazwisko autora, wiek oraz szkołę, do której uczęszcza.
Prace należy przesyłać pod adresem: Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej, ul. Sv. Čecha 9, 733 01 Karwina-Frysztat.

Termin nadsyłania prac upływa dnia 15 maja br.

Wszystkie prace konkursowe zostaną wystawione w czasie trwania Festiwalu PZKO.

TACY JESTEŚMY



KOŁO POLSKICH KOMBATANTÓW W REPUBLICE CZESKIEJ

Organizacja powstała w roku 1991. Zrzesza byłych żołnierzy Wojska Polskiego, kombatantów II wojny światowej. Koło współpracuje z organizacjami kombatanckimi w kraju i za granicą. Pomaga w rozwiązywaniu spraw socjalnych swoich członków, opiekuje się miejscami pamięci. Koło Polskich Kombatantów w RC wydaje kwartalnik „Wiarus".

12 listopada 1996 odbyło się w kościele rzymskokatolickim w Czeskim Cieszynie, przy udziale księży Kościoła katolickiego i ewangelickiego, uroczyste poświęcenie sztandaru KPK w RC (na fotografii).

NASZE ZESPOŁY



GODULAN

Dotychczasowa 45-letnia ofiarna praca Obwodowego Chóru Mieszanego „Godulan", mimo wzlotów i upadków oraz częstej zmiany składu osobowego, na pewno godna jest odnotowania i uznania. Chociaż zmieniali się chórzyści i dyrygenci (Wiktor Kubica, Józef Firla, Władysław Młynek, Karol Kluz, Irena Krzyżanek, od roku 1975 Władysław Cieślar), praca chóru weszła na trwałe do życia kulturalnego i społecznego naszego regionu. W roku 1993 nawiązuje się ścisła współpraca między „Godulanem" a sąsiednim chórem „Ropica" (na wspólnym zdjęciu powyżej). Śpiewacy uczestniczą w związkowych zawodach śpiewaczych, występują z powodzeniem na różnych uroczystościach i imprezach, Festiwalu PZKO, organizują własne okolicznościowe koncerty, nie tylko w obwodzie, ale i poza nim w ramach wymiany programów między bratnimi zespołami chóralnymi.

Zwrot

5/97

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ









5. Festiwal Piosenki Dziecięcej
3. 5. 1997 Hawierzów

II EUROPEJSKI KONGRES
LEKARZY POLSKICH I POLONIJNYCH
ORAZ I FORUM POLONIJNE UROLOGÓW
9–11 maja 1997
Dom Polski – Ostrawa

OSTRAVA-MAJ 1997

TACY BYLIŚMY



I Kurs Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji dla dalszego kształcenia mistrzyń ochronek. Czeski Cieszyn 1 VII 1927.

Fotografia pochodzi z archiwum rodzinnego p. Jadwigi Czapowej, której mama była jedną z uczestniczek kursu.

Biblioteka Cieszyńska

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLVIII Nr 570 Cena numeru 12,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 15,50 Kč

5/97

W NUMERZE

[2]	Senat RP o Polonii i Polakach w świecie	CZESŁAWA RUDNIK
[5]	Poseł Wawrzyniec Fójcik – Głos w debacie o Polonii	
[12]	Paweł Kubisz	CZESŁAWA RUDNIK
[19]	Żegnamy Franciszka Świdra	CZESŁAWA RUDNIK
[22]	Lekarze polscy spotykają się w Ostrawie	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
[24]	Jak zbawia sie świat	JERZY OSZELDA
[29]	Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (6)	ALOJZY NOWOK
[37]	Wspomnienia pod serduszkiem	OTOKAR MATUSZEK
[41]	Jan Sznurowacki: Miłość, Dawniej i dziś	
[42]	Fraszki Gustawa Sajdoka	
[43]	Konkurs Literacki im. Pawła Kubisza	
[44]	Poezja – Paweł Kubisz, Janusz Gaudyn	
[46]	Paweł Kubisz: Doktor Hnatyszek	
[48]	Renata Putzlacher – moje fascynacje	
[51]	Listy rencisty	RENCISTA
[52]	70 lat zorganizowanego śpiewactwa polskiego na Zaolziu	JÓZEF WIERZGOŃ
[56]	„Collegium Canticorum“ na kompakcie	KRYSTYNA SUSZKA
[62]	Na półkach księgarskich	
[67]	Kronika	
[73]	Konkurs Rzeźby Ludowej	
[74]	Mozaika: Wiesioło Maryczka	WANDA MROZEK
[79]	Krzyżówka	

Numer zamknięto 11. 4. 1997
1. str. okładki – Finaliści Festiwalu Piosenki Dziecięcej...

SENAT RP O POLONII I POLAKACH W ŚWIECIE

„Polonia i Polacy w świecie" to tytuł dwudniowej debaty Senatu Rzeczpospolitej Polskiej w dniach 4 i 5 marca br. Na obrady zaproszeni zostali polscy parlamentarzyści z Litwy, Łotwy, Estonii, Rumunii, Włoch oraz Republiki Czeskiej. Nasz kraj reprezentował poseł Wawrzyniec Fójcik. Gościem szczególnym był były prezydent RP na wychodźstwie Ryszard Kaczorowski z Londynu. Obecny był prezes „Wspólnoty Polskiej" prof. A. Stelmachowski, prezesi różnych fundacji, współpracujących z Polonią i Polakami w świecie. Nie mogący wziąć osobiście udziału w debacie, zaproszeni przez senatorów prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, premier Włodzimierz Cimoszewicz i prymas Polski kardynał Józef Glemp przysłali swoich przedstawicieli.

Debata, przygotowana przez senacką Komisję Spraw Emigracji i Polaków za Granicą, miała wielostronny charakter. Była pierwszą w historii polskiego parlamentaryzmu tak szeroko zakrojoną dyskusją o sprawach Polaków za granicą. Minister Kultury i Sztuki RP Zdzisław Podkański przedstawił cele polskiej zagranicznej polityki kulturalnej. Są to: ochrona interesów i umacnianie pozycji polskiego wychodźstwa w miejscu osiedlenia, upowszechnianie polskości w świecie poprzez popularyzację znajomości języka ojczystego, kultury polskiej i tradycji narodowych, umacnianie kontaktów Polonii i Polaków z krajem oraz pozyskiwanie jej dla przebudowy Polski, tworzenie propolskiego lobby za granicą, współdziałanie z Polonią z Zachodu na rzecz Polaków na Wschodzie. Już na wstępie debaty ujawniła się zasadnicza różnica między rozumieniem słów Polonia, a Polacy za granicą. Polonia to emigranci (przede wszystkim do Ameryki Północnej i Południowej oraz krajów Europy Zachodniej), natomiast Polacy za granicą to mieszkańcy państw za wschodnią i południową granicą Polski, którzy w wyniku zmiany granic „zostali porzuceni przez ojczyznę". Nieporównywalne są różnice i problemy tych dwu grup.

W sprawozdaniu Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą poruszono kwestię międzynarodowych norm prawnych, dotyczących narodowych, językowych i religijnych praw mniejszości. ONZ, poza ogólną regułą niedyskryminacji ze względów mniejszościowych i nie mającą waloru normatywnego Deklaracją w sprawie Praw Osób Należących do Mniejszości Narodowych, Etnicznych, Religijnych i Językowych z grudnia 1992 roku, nie wypracowała w tej kwestii odrębnego aktu prawa międzynarodowego. Rada Europy uchwaliła Europejską Kartę Języków Regional-

nych i Mniejszościowych w listopadzie 1992 roku oraz Konwencję Ramową na rzecz Ochrony Mniejszości Narodowych, przedłożoną do ratyfikacji 1.2.1995. Polska sygnowała tę konwencję, ratyfikowała także traktaty dwustronne, w których podnoszona jest sprawa ochrony spraw mniejszości lub osób pochodzenia polskiego. Ratyfikacja traktatu dwustronnego z Czechami i Słowacją nastąpiła w październiku 1991 roku. Podstawową zasadą, przyjętą w tych układach, jest uznanie, że przynależność do mniejszości polskiej jest sprawą indywidualnego wyboru osoby i że z tego wyboru nie mogą wynikać żadne niekorzystne dla danej osoby następstwa.

Wiele miejsca w debacie poświęcono nowym inicjatywom, związanym z kontaktami z Polonią i Polakami w świecie. Zwrócono uwagę na projekt utworzenia Biura Polonii w Brukseli, uzgodniony w kręgu Europejskiej Rady Wspólnot Polonijnych i zaakceptowany w kwietniu 1996 na zjeździe w Pułtusku. Poparto ideę budowy Domu Polonii w Brukseli oraz projekt ustanowienia Dnia Polonii (2 maja). Omówiono pomysł, dotyczący wykorzystania Internetu do zacieśnienia więzi Polonii z krajem. Uchwalono, że przy Senacie RP zlokalizowany zostanie bank danych, zawierający informacje o ludziach nauki i specjalistach różnych dziedzin wiedzy, polskiego pochodzenia, działających w świecie oraz o ich organizacjach. Minister Zdzisław Podkański przedłożył, powstały w Ministerstwie Kultury i Sztuki RP, projekt „Polonia 2000". Jego zadaniem jest prezentacja społeczeństwu w kraju dorobku polskiego wychodźstwa, od tradycji do nowoczesności, od historii po współczesność. Prezentacje odbędą się w obrębie następujących dyscyplin: kultura ludowa, muzyka, teatr, plastyka, książka i czytelnictwo, ochrona dziedzictwa kulturowego, film. W czasie imprez polonijnych, takich jak koncerty, wystawy, festiwale, konkursy, warsztaty, szkolenia, targi, konferencje, przedstawiciele Polonii będą mogli zapoznać się z historią i kulturą swojej ojczyzny i nawiązać kontakty personalne. Projekt obejmuje dwa etapy. Pierwszy to między innymi realizacja przedsięwzięć, związanych z jubileuszami wielkich Polaków. Rok 1998 to rok Mickiewicza, w związku z dwusetną rocznicą urodzin poety, rok 1999 to rok Sienkiewicza. Realizacja programu „Polonia 2000" rozpocznie się jeszcze w roku bieżącym Festiwalem Piosenki „Malwa" dla młodzieży polonijnej z Litwy, Łotwy, Białorusi, Ukrainy i Zaolzia oraz wystawami plastyków polonijnych w warszawskiej Zachęcie i muzeum w Radomiu. W roku Mickiewicza odbędzie się m.in. wystawa „Pan Tadeusz", sesja naukowa o dorobku polskiej emigracji we wszystkich dziedzinach życia intelektualnego i artystycznego, cykl prelekcji i koncertów na temat twórczości Ignacego Paderewskiego. Pokazany zostanie film dokumentalny o działalności artystycznej w skupiskach polonijnych. Rok Sienkiewicza pozwoli zaprezentować pisarza i jego rolę w tworzeniu „mitu polskiego" w świadomości emigracji polskiej. Wystąpią też pianiści polskiego pochodzenia, grający muzykę Chopina. Drugi etap projektu to rok 2000, będący „zwieńczeniem działań". Cykl imprez zakończy dyskusja z udziałem środowisk polonijnych przy okrągłym stole pod hasłem „Tra-

dycja i nowoczesność – dokonania i zamierzenia Polonii". Ważnymi imprezami będą również wystawa współczesnych polskich artystów tworzących za granicą, targi sztuki ludowej Polonii, targi książki polskiej wydawanej za granicą, festiwal teatrów polonijnych.

Senat przyjął uchwałę w sprawie więzi Polaków i Polonii z Macierzą.

W debacie senackiej poruszona została również kwestia Zaolzia. Swoje stanowisko przedstawił gość Senatu RP, poseł do parlamentu RC Wawrzyniec Fójcik. (Pełny tekst przemówienia Wawrzyńca Fójcika drukujemy poniżej). Krótką informację na temat mniejszości polskiej na Zaolziu przedstawił również senator ziemi bielskiej Marcin Tyrna. Stwierdził m.in., że według spisu ludności z 1991 roku w RC żyje 59 383 osób narodowości polskiej, z tego około 43,5 tysiąca autochtonicznych mieszkańców Zaolzia. Wyniki spisu ludności nie obejmują obywateli polskich, mieszkających na stałe w RC. Większość problemów tych obywateli rozwiązałoby podwójne obywatelstwo. Prawa mniejszości narodowych w RC określane są jako prawa indywidualne osób deklarujących przynależność do mniejszościowej grupy narodowej. Po powstaniu RC w roku 1993 weszły w życie dwa podstawowe dokumenty, regulujące sprawy mniejszości. W konstytucji w dwóch postanowieniach mówi się pośrednio o mniejszości. W Artykule 6: „Decyzje polityczne są podejmowane w oparciu o wolę większości, wyrażoną przez głosowanie. Większość przy podejmowaniu decyzji dba o ochronę praw mniejszości". W Artykule 10:„Ratyfikowane i ogłoszone umowy międzynarodowe dotyczące praw i swobód ludzkich... obowiązują bezpośrednio i są nadrzędne wobec innych ustaw". Drugim dokumentem jest karta podstawowych praw i swobód, przyjęta jako ustawa konstytucyjna. Senator Tyrna poinformował krótko o życiu Polaków na Zaolziu po roku 1920. Kilka spostrzeżeń o problemach Zaolziaków przedstawił też senator Janusz Okrzesik. Mówił o czeskiej ustawie oświatowej, stanowiącej zagrożenie dla szkół polskich. Rozwiązaniem byłaby zasada, stwierdzająca, że na terenach zamieszkiwanych przez Polaków kryteria wobec szkół polskich są inne niż wobec szkół czeskojęzycznych. Poruszył też sprawę zwrotu majątków. Większą uwagę poświęcił problemom ekonomicznym, prawnym i socjalnym, które pojawiły się dopiero po roku 1989. Swe wystąpienie zakończył optymistycznym stwierdzeniem: „Polacy na Zaolziu mają duży dorobek, są bardzo dobrze zorganizowani. Jest to silna społeczność i może bardziej niż naszej opieki, o której tyle tu mówiono, potrzebuje ona rzetelnego partnerstwa przy załatwianiu swoich problemów, swoich spraw. Mam nadzieję, że ta debata przysłuży się budowaniu takiego rzetelnego partnerstwa, przede wszystkim z naszej strony."

Na podstawie sprawozdania stenograficznego posiedzenia Senatu RP i informacji Polskiej Agencji Prasowej

opracowała CZESŁAWA RUDNIK

POSEŁ WAWRZYNIEC FÓJCIK

GŁOS W DEBACIE O POLONII

Szanowny Panie Marszałku! Panie Premierze! Wysoka Izbo!

Od 7 lat Polacy żyjący poza granicami Rzeczypospolitej Polskiej mogą obserwować i na własnej skórze odczuwać wzrost zainteresowania kraju ich położeniem. Od początku lat dziewięćdziesiątych zainteresowanie to kieruje się nie tylko na Polonię w krajach Europy Zachodniej, ale również na Polaków mieszkających w krajach byłego bloku socjalistycznego. To długo oczekiwane zainteresowanie jest formułowane i realizowane w dużej mierze właśnie tutaj, w Senacie Rzeczypospolitej Polskiej. Wczorajsza i dzisiejsza debata jest tego przykładem i, w moim odczuciu, logiczną kontynuacją dotychczasowych działań państwa polskiego, podejmowanych wobec Polaków rozsianych po świecie.

Dziękuję Wysokiej Izbie za zaproszenie do udziału w debacie senackiej i pragnę wykorzystać tę chwilę, aby zaprezentować szanownym słuchaczom moich ziomków, Polaków żyjących w Republice Czeskiej.

Kim jesteśmy, my, Polacy, żyjący tuż za miedzą? Czy Polska o nas wie? Czy mieszkańcy kraju nad Wisłą zdają sobie sprawę, że za najdłuższą z obecnych granic Rzeczypospolitej mieszkają również rodacy? Na pewno. Na pewno senatorowie o tym wiedzą. Dwaj już o tym dosyć szczegółowo tutaj mówili. Wielu z was przyjeżdża do nas, w ostatnim czasie wicemarszałek Kurczuk, panowie senatorowie: Sęk, Adamiak, Tyrna, Kuczyński. Mam więc już sytuację troszeczkę łatwiejszą. Pragnę jednak te wszystkie informacje uzupełnić.

Żyją u nas jeszcze osoby, które przeżyły odrodzenie Polski po rozbiorach. Koniec I wojny światowej był zarazem początkiem odrodzonej Polski i nowo powstałego państwa czechosłowackiego. Był on jednak także początkiem podziału dawnego Księstwa Cieszyńskiego między wymienione państwa. Podziału, na podstawie którego ponad 100 tysięcy Polaków znalazło się w Czechosłowacji na tak zwanym Zaolziu.

Przyłączenie Zaolzia do Czechosłowacji, o którym zadecydowała w 1920 r. Rada Ambasadorów Zwycięskich Mocarstw, było jednak tylko jednym z epizodów w życiu pokoleń tutejszych Polaków. Do oddzielenia od Polski doszło na Śląsku kilkaset lat wcześniej, w pierwszej połowie XIV wieku. Polska wówczas konsolidowała się po okresie rozdrobnienia dzielnicowego. Król Kazimierz Wielki, pragnąc zapewnić swym ziemiom pokój, zrzekł się zwierzchnictwa nad Śląskiem, w zamian za rezygnację czeskiego króla z roszczeń do polskiego tronu. Od tej decyzji minęło już ponad 500 lat. Pięć i pół wieku to okres, w którym miejscowa ludność była w obrębie korony czeskiej, państwa Habsburgów, Czechosłowacji i dziś Republiki Czeskiej.

Wydawać się może nieprawdopodobne, że przez tak długi okres pol-

skość na tych ziemiach zdołała się utrzymać. Co leży u podstaw pielęgnacji tradycji narodowych przez tutejszych Polaków? Badanie tego fenomenu to zadanie dla historyków i socjologów. Ja pozwolę sobie stwierdzić tylko jedno. Ci, którzy wytrwali, czerpali swe siły z przekonania, że są u siebie, na własnej ziemi, a poczucie słuszności obranej postawy dawało im czwarte przykazanie Dekalogu. Szacunek dla przodków nie pozwolił im zrzec się tradycji rodzinnych i zapomnieć o swojej polskości.

Nie wszyscy jednak wytrwali. W przeciągu wieków, pod wpływem nacisków germanizacyjnych, a później czechizacyjnych, wiele osób zrezygnowało ze swej tożsamości narodowej. Wiele osób nie uniosło ciężaru bycia mniejszością na własnej ziemi. Ci, którzy do dziś zachowali swoją polskość, tworzą grupę o liczebności powyżej 50 tysięcy, co stanowi zaledwie 0,6% ogółu ludności Republiki Czeskiej.

Jaka jest kondycja Polaków na Zaolziu w dniu dzisiejszym? Są oni społecznością aktywną i dobrze zorganizowaną. Do tradycyjnego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, który jest najliczniejszą z tutejszych organizacji, po aksamitnej rewolucji czechosłowackiej dołączyło kilka dalszych stowarzyszeń. Obecnie działają 24 nowe lub reaktywowane organizacje kulturalne i branżowe. Oprócz wspomnianego już PZKO wymienię, z braku czasu, tylko te największe pod względem liczby członków: Harcerstwo, Macierz Szkolną, Towarzystwo Nauczycieli Polskich czy Polskie Towarzystwo Turystyczno-Sportowe „Beskid Śląski".

Zrzeszenia Polaków w Republice Czeskiej, uznając potrzebę koordynacji działań i wytworzenia wspólnej reprezentacji całej naszej grupy narodowej, w tym również osób nie zrzeszonych, wsparły ideę wspólnej organizacji strzechowej. Stał się nią Kongres Polaków i jego organ wykonawczy Rada Polaków, której mam zaszczyt być prezesem. W ten sposób powstała struktura, która jest pewnego rodzaju wzorem także dla innych mniejszości narodowych w naszym kraju i coraz lepiej sprawdza się w kontaktach z władzami czeskimi.

Wiele już tutaj było powiedziane o polskim szkolnictwie, więc nie będę tego powtarzał, chociaż na przykład na temat wyjątków udzielanych polskim szkołom mam troszeczkę inne zdanie niż pan senator Okrzesik. Trudno bowiem wyznaczyć jakąś ustawą granice, kiedy jeszcze polska szkoła ma być utrzymana, kiedy nie. Dla nas może lepiej jest, kiedy nie ma takiej konkretnej cyfry. Wtedy jest zawsze szansa przekonania władz czeskich, żeby szkołę pozostawić. Będę o tym mówił jeszcze przy okazji omawiania prawa czeskiego w kontekście stosunku do mniejszości narodowych.

Zaznajomienie z Polakami z Zaolzia byłoby niepełne, gdyby pominąć informację o kulturze tego skupiska. Od roku 1951 działa w Czeskim Cieszynie profesjonalny teatr Scena Polska Teatru Czeskocieszyńskiego. Drugim zespołem na profesjonalnym poziomie jest Teatr Lalek „Bajka", działający przy Zarządzie Głównym PZKO. Twórczość rodzimych auto-

rów publikowana jest w wydawnictwie „Olza" oraz na łamach, wydawanej przez Radę Polaków, gazety „Głos Ludu" i miesięcznika PZKO „Zwrot". Oprócz wymienionych tytułów wydawane są pisma dla dzieci i młodzieży: dwutygodnik „Nasza Gazetka" oraz dwa miesięczniki: „Ogniwo" i „Jutrzenka". Polska książka dostępna jest w sieci bibliotek publicznych. Bieżące informacje w języku polskim przekazuje również polska audycja Rozgłośni Radia Publicznego w Ostrawie. Równolegle działa u nas wiele amatorskich zespołów kulturalnych, teatralnych, muzycznych czy tanecznych. Już tradycyjnie rozwija się w licznych chórach zainteresowanie śpiewacze, a umiłowanie ziemi rodzinnej pielęgnują zespoły folklorystyczne.

Niezmiernie szeroka jest paleta poczynań i inicjatyw Polaków w Republice Czeskiej. Z trudem znaleźlibyśmy równie aktywne środowiska czy to w samym czeskim państwie, czy to gdzie indziej. Czy są więc jakieś negatywne zjawiska?

Sytuację Polaków w Republice Czeskiej w zasadniczej mierze określa ustawodawstwo tego państwa, wychodzące z zasad obywatelskich. Prawa mniejszości zostały u nas określone w dokumencie „Karta Praw i Swobód", który jest częścią porządku prawnego i został przyjęty jako ustawa konstytucyjna. W myśl postanowień karty mniejszości mają u nas prawo do rozwoju własnej kultury i tradycji narodowych, do rozpowszechniania i przyjmowania informacji w języku ojczystym, do zrzeszania się we własnych organizacjach i partiach politycznych, do kształcenia w języku ojczystym, do używania języka ojczystego w kontaktach urzędowych oraz do współudziału przy rozwiązywaniu problemów, dotyczących mniejszości narodowych. Oprócz tego karta gwarantuje, że pochodzenie narodowe nie może być podstawą do jakiejkolwiek dyskryminacji.

Tyle na temat przepisów prawnych. A jak wygląda ich realizacja? Po dziś dzień nie we wszystkich wypadkach opracowane zostały przepisy prawne do „Karty Praw i Swobód Obywatelskich". To są właśnie te problemy, o których częściowo mówił pan senator Okrzesik. To jest zadanie dla nas na przyszłość. Obecnie dla mnie jako posła parlamentu czeskiego.

Niemniej jednak takie drobiazgi, jak na przykład dwujęzyczność w urzędach, w praktyce zależą od dobrej woli urzędników. Tak samo wiele, jak już mówiono, zależy od woli i kultury pracowników średnich i niższych szczebli zarządzania przy załatwianiu konkretnych spraw z zakresu życia codziennego Polaków, a przede wszystkim utrzymania i rozwoju polskiego szkolnictwa. To jest dla nas zadaniem pierwszoplanowym, zadaniem priorytetowym. Wszystko stoi na tej podstawie: kultura, język. Jeżeli zanikają nam szkoły, a mamy nadzieję, że jeszcze nie tak szybko to się stanie, to zanika nam ogniwo, miejsce spotkania społeczności polskiej w danej gminie. Dla nas jest to bardzo ważne.

W zakresie szkolnictwa mamy takie szare, codzienne problemy, jak na przykład troskę o Szkołę Podstawową w Gnojniku, gdzie dzieci uczą się,

niestety, w drewnianych barakach i gdzie grozi zamknięcie szkoły z powodów higienicznych. Mamy też wznioślejsze i patrzące w przyszłość plany, takie jak powstanie wspólnego polsko-czeskiego gimnazjum w Orłowej i bardzo namawiam polską stronę do inicjatywy czy realizacji tego projektu.

Wraz z demokratyzacją i decentralizacją życia politycznego i społecznego w Republice Czeskiej wzrosła rola samorządów gminnych. Polacy od pierwszych demokratycznych wyborów włączyli się aktywnie w pracę samorządów. Dzisiaj mamy w gminach Zaolzia nie tylko Polaków w lokalnych radach, ale także na miejscach starostów niektórych gmin. Sam byłem przez 6 lat starostą gminy Cierlicko.

Jeśli chodzi o orientację polityczną, to Polacy startowali w wyborach z list praktycznie wszystkich, liczących się partii politycznych: od Socjaldemokracji po Obywatelską Partię Demokratyczną.

Na poziomie polityki komunalnej odgrywa znaczącą rolę również ruch polityczny mniejszości narodowych „Wspólnota", którego kandydaci startowali, z mniejszym lub większym powodzeniem, w niemal wszystkich gminach Zaolzia. Wyniki wyborów można uznać za korzystne. Gorzej jednak sytuacja wygląda w praktyce, gdy Polacy, będąc czasami w samorządach w mniejszości, nie są w stanie przeforsować swoich wniosków.

Odrębna sprawa to udział Polaków w pracach najwyższego organu ustawodawczego kraju. Od pierwszych wolnych wyborów parlamentarnych Polacy startowali z list partii demokratycznych. Nie zawsze przynosiło to spodziewany efekt w postaci mandatu poselskiego. Stwierdzić jednak należy, że w obliczu obowiązującego pięcioprocentowego progu wyborczego wystawianie list mniejszościowych z góry skazane jest na niepowodzenie, choć przecież udział w pracach organów ustawodawczych z pozycji posła, członka liczącego się klubu parlamentarnego, zawsze oznacza więcej szans na przeforsowanie swoich propozycji. Obecne rozwiązanie nie daje stałej gwarancji obecności w parlamencie mniejszości narodowych. Starania o jakieś zmiany ustawy wyborczej jest w Czechach bardzo trudne, ponieważ Czechy są dzisiaj państwem właściwie monokulturowym. Mniejszości narodowe, oprócz słowackiej, bardzo młodej i dopiero się skupiającej, tworzą zaledwie 2% ogółu obywateli Republiki Czeskiej, więc nie ma tyle silnego lobby pronarodowościowego, żeby móc to w najbliższych latach przeforsować.

Na początku mego wystąpienia pozwoliłem sobie zwrócić państwa uwagę na historię zaolziańskich Polaków, na to, że z dziada pradziada zamieszkują oni ziemię swych ojców i mają poczucie tego, że są prawdziwymi gospodarzami tego regionu. Z poczucia przywiązania do tej naszej małej ojczyzny, ze świadomości i odpowiedzialności za los ziemi rodzinnej, wypływa postawa tutejszych Polaków, którzy przy zachowaniu przez pokolenia umiłowania do Polski, bliskiej, a jednak nieosiągal-

nej macierzy, równolegle wykształcili w sobie mocną i zdecydowaną lojalność wobec państwa czeskiego. Państwa, którego nieodrębną częścią jest ten skrawek ziemi, zwany Zaolziem.

Chciałbym podkreślić, że zachowanie takiej postawy wymaga nie lada hartu ducha. Nie wszystkich na to stać. Zdarza się więc, że dzieci z polskich rodzin, absolwenci polskich szkół, czy to pod presją czeskiego otoczenia, czy to z innych przyczyn, rezygnują z polskiej narodowości. Proces asymilacji Polaków przebiega nieustannie. Jest ona naszym największym zagrożeniem, bo na co zda się aktywność we wszystkich dziedzinach życia społecznego i politycznego, na co kultywowanie tradycji ojczystych w jakże licznych i jakościowo dobrych zespołach, na co troska o utrzymanie polskich szkół, gdy zabraknie w nich dzieci i młodzieży? Jak zapobiec temu, by polskość, utrzymywana tutaj przez ponad 500 lat, nie wygasła w pierwszych latach nowego tysiąclecia – oto zadanie dla nas i dla was.

Trzeba przyznać otwarcie, że bez pomocy z zewnątrz, własnymi siłami nie wszystko możemy zdziałać. Czas w tym miejscu podkreślić, że czeskie państwo wspiera część polskich przedsięwzięć kulturalnych, dotuje prasę mniejszościową i utrzymuje szkolnictwo. Wsparcie to jednak ma swoje limity i ograniczenia.

W latach ubiegłych Zaolzie doznało też niebagatelnej pomocy ze strony państwa polskiego. Przede wszystkim, ze strony Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" a także od Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie". Czuję się zobowiązany, przy dzisiejszej debacie, za okazaną pomoc z całego serca Wam podziękować.

Szanowni Państwo! Zwracam się otwarcie z prośbą o wspieranie Polaków w Republice Czeskiej. Wasza pomoc materialna jest nam potrzebna. Nie mniej potrzebujemy wsparcia moralnego Polski, świadomości tego, że kraj wie o nas, że o nas pamięta.

Niepodważalne znaczenie dla zachowania polskości mają jak najszersze kontakty z krajem, z polskimi realiami, z żywą polską kulturą. Każde polskie dziecko z Republiki Czeskiej powinno spędzić część wakacji w Polsce. W ten sposób własne doświadczenia wspomogą to, co starają się dzieciom przekazać ich rodzice i szkoła. W ten sposób, przynajmniej częściowo naprawione zostaną niepowetowane straty spowodowane przez lata zamknięcia żelaznej kurtyny na granicy polsko-czechosłowackiej.

Wielkie zasługi dla utrzymania polskości w naszym państwie mają też Kościoły – rzymskokatolicki i ewangelicki augsburskiego wyznania. Każda druga msza święta czy nabożeństwo na Zaolziu odprawia się po polsku. Po brzegi pełne kościoły drżą od śpiewu takich pieśni, jak „Boże coś Polskę". Jakie to ma znaczenie, nie trzeba chyba powtarzać.

Szanowni Państwo! Z wielkim zadowoleniem obserwujemy coraz częstsze kontakty międzypaństwowe między Polską i Republiką Czeską. Zwracamy uwagę na to, że Polska ma w Republice Czeskiej, wśród naszej

mniejszości, naturalnego pośrednika i sprzymierzeńca w rozwijaniu tych kontaktów na wszystkich szczeblach. Oferujemy swoją znajomość realiów i języków obu państw.

Jeszcze raz pragnę przypomnieć Państwu, że granica z państwem czeskim jest najdłuższą granicą państwową Polski. Już sam ten fakt, powinien w naszym odczuciu predysponować oba kraje do zacieśniania stosunków i współpracy. Polacy w Republice Czeskiej są tej współpracy gorącymi orędownikami.

Apeluję o to, by w rozmowach międzypaństwowych strona polska pamiętała również o nas i naszych problemach. Wiem, że tak się ciągle dzieje, ale nigdy nie będzie dosyć. Miało to już miejsce w latach ubiegłych, kiedy rozmowy ówczesnego premiera Oleksego z premierem Klausem zapoczątkowały zmianę klimatu i nastawienia państwa czeskiego do kwestii zwrotu nieruchomości - dawnych majątków przedwojennych polskich organizacji, upaństwowionych po okupacji. Sprawa ta nie została jeszcze zakończona. Możemy jednak sądzić, iż właśnie dzięki pamięci Polski o rodakach zza Olzy nie będzie już pomijana.

Odrębną problematykę stanowią sprawy polskich obywateli, mieszkających na stałe, a często od pokoleń, na terytorium państwa czeskiego. Osoby te zamieszkują przede wszystkim Czechy centralne i Pragę, znajdziemy je jednak również i w innych regionach, nie pomijając Zaolzia. Jest oczywiste, że status cudzoziemców przynosi im wiele niedogodności czy wręcz problemów. Przykładów można przytoczyć sporo. Nie będę ich powtarzał, bo wiele zostało tutaj przez pana senatora przed chwilą wymienionych.

Osoby z polskim obywatelstwem, żyjące w Republice Czeskiej, coraz głośniej wołają o przyznanie podwójnego obywatelstwa. Jako prezes Rady Polaków, organu wykonawczego Kongresu Polaków w Republice Czeskiej, jestem zobowiązany podnieść na forum Senatu Rzeczypospolitej również ten postulat.

Szanowny Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Kończąc me przemówienie, jeszcze raz dziękuję za zaproszenie do udziału w debacie senackiej. Mam nadzieję, że udało mi się, przynajmniej częściowo, zaznajomić Państwa z sytuacją Polaków w Republice Czeskiej. Mam też nadzieję, że udało mi się również przekonać Państwa, że jest to mniejszość narodu polskiego, która w pełni zasługuje na szacunek, pamięć i pomoc macierzy.

My Polacy z Czech, zrobimy wszystko, aby Wasza pomoc sensownie była wykorzystana dla zachowania naszego bytu narodowego, dla zachowania grupy ludności, która jest naturalnym sprzymierzeńcem i emisariuszem Polski w Republice Czeskiej, dla rozwinięcia i zacieśniania obopólnie korzystnej współpracy naszych krajów.

Pozdrawiam szanownych Państwa w imieniu Polaków z Republiki Czeskiej i dziękuję za uwagę.

rys. DARIA KRYGIEL ▶



PAWEŁ KUBISZ

(1907 – 1968)

Poeta, prozaik, publicysta, redaktor, działacz społeczny. Romantyk i buntownik, wrażliwy na ludzką krzywdę bojownik o sprawiedliwość. Egotyk, nie idący na kompromisy przywódca. Człowiek potężnej postury, o tubalnym głosie i przenikliwym spojrzeniu. Taki był Paweł Kubisz.

Urodził się 12 maja 1907 roku w Końskiej koło Trzyńca w środowisku robotniczym. Już w latach szkolnych przejawiał zainteresowanie literaturą.

Po wojnie tak wspominał tamte lata: *„Dla podrostka w zahukanych opłotkach cieszyńskiej wsi tylko Stefan Żeromski mógł być tym pisarzem, który wprowadzał dziecko robotniczo-chłopskie w szeroki świat. Stefan Żeromski nim także pozostał, nie mogło być inaczej! Ten podrostek zapamiętał wiele życiowych i społecznych przemian. Z dziecięcych lat zapamiętał sobie nawet śmierć cesarza Franciszka Józefa, pierwszą wojnę światową, rekwizycje zboża u chłopów, pieczenie owsianych placków, ba i gody z kukurydzianym chlebem. Później strajki robotników w hucie trzynieckiej, a jeszcze później przemarsze wojsk i łunę bijącą na niebie od rozgorzałej bitwy pod Skoczowem.*

Przy tym ostatnim wydarzeniu podrostek przydybał u swego kolegi, z którym „na pańskim" dwie krowy pasał... pierwszą książkę Żeromskiego... „Ludzi bezdomnych" i powieść Marii Rodziewiczówny „Pożary i zgliszcza". Krowy się bódły na pańskim, a podrostek czytał... i beczał! ...

Autor późniejszego „Przedwiośnia" stał się dla mnie najmilszym pisarzem. Posiew był dobry, kiełkowało we mnie zamiłowanie do literatury polskiej, do literatury własnego narodu, choć znajdowałem się w kraju rodzinnym, przeciętym linią granicy państwowej. ...

Pamiętam dobrze wydanie pierwszego numeru warszawskich „Wiadomości Literackich". ... W tygodniku tym po raz pierwszy spotkałem się także z nazwiskiem Juliana Tuwima... i wielu innych późniejszych skamandrytów."

Paweł Kubisz rozpoczął studia w Seminarium Nauczycielskim w Cieszynie-Bobrku. Kontynuował je również w Polsce, w Ostrzeszowie. Drukował wtedy swoje pierwsze młodzieńcze wiersze. Ukazały się one na łamach pism w Wilnie, Warszawie, Krakowie i Czeskim Cieszynie. Już wtedy ujawnił się buntowniczy charakter

ich autora. Za opublikowanie wierszy, krytykujących nauczycieli, został usunięty ze studiów. Za swoją bezkompromisową postawę patriotyczną zapłacił po powrocie do domu rodzinnego, mając niespełna 20 lat. Aresztowany i osądzony za zdradę stanu w kwietniu 1927, 13 miesięcy spędził w ołomunieckim więzieniu.

W tym samym roku, niedługo przed aresztowaniem, ukazał się nakładem Drukarni Ludowej we Frysztacie jego debiutancki tomik poezji „Kajdany i róże". Złożyły się nań wiersze drukowane już wcześniej w pismach literackich. Początek tomiku stanowił wiersz „Credo", napisany w stylu manifestów młodopolskich. Poeta pragnie *„wieścić brzask nowy w ludowym wierszu i prostymi słowy"*. Od charakterystycznej dla Kubisza mrocznej całości tomiku wyraźnie odstaje uroczy erotyk, ewenement w twórczości autora, wiersz o zbójniku Ondraszku i Kasi, napisany stylizowaną gwarą w rytm melodii zbójnickiego tańca. Kubisz sam później z niechęcią wracał do swego debiutu, zdawał sobie sprawę, że nie miały te wiersze wielkiej wartości literackiej.

Po zwolnieniu z więzienia podjął Kubisz przerwaną działalność literacką i społeczną. Nawiązał kontakt z redakcją „Zarania Śląskiego", gdzie w roku 1929 ukazała się ballada „W putyce", będąca częścią zbioru opowieści beskidzkich „Szli se zbuje". Zbiór ten miał się ukazać wcześniej w warszawskim wydawnictwie „Arabeski", przepadł jednak w czasie aresztowania Kubisza. Ballada weszła później w skład „Przednówka". W latach 1929–1930 pełnił Kubisz funkcję sekretarza Stronnictwa Ludowego, pracował w redakcji jego organu prasowego „Prawa Ludu". W latach 1931–1932 przebywał w Prusach Wschodnich, na Litwie i Łotwie jako korespondent Agencji Telegraficznej Ekspres. Za szpiegostwo na rzecz Polski został wydalony z Rygi.

„Pisał się bodaj rok 1934, kiedy na łożu szpitalnym wyczytałem w „Wiadomościach Literackich" wiadomość o rozpisanym konkursie poetyckim, którego, jak należało przypuszczać, głównym inicjatorem był Julian Tuwim. Tuwim sędziował także w tym konkursie. Na chybił trafił postanowiłem przesłać na ten konkurs jeden z utworów, który miał się ukazać w później wydanym zbiorze pt. „Przednówek". ... Mój wiersz „Co to gorol prawił, jak sie mu na śmierć niósło" uplasował się na jednym z pierwszych miejsc, otrzymał szczególne wyróżnienie. Lecz i wtedy, pozostawając na zakutej prowincji cieszyńskiej, gdzie nie szczędzono mi wielu prześladowań i zaszczuwań, gdzie trwać przystało w ciągłej walce o elementarne prawo wyzyskiwanego i pomiatanego społeczeństwa, zwykłego prostego ludu – nie nawiązałem bliższego kontaktu z „Wiadomościami Literackimi" czy z Julianem Tuwimem. ...

Stało się tak dopiero później. ...

Przygotowując zbiór wierszy do wydania zbiorku pt. „Przednówek",postanowiłem jeden ich cykl, zatytułowany „Ballada o hawiyrskim Śląsku" wysłać do „Wiadomości Literackich". W odpowiedzi na to w przeciągu zaledwie kilku dni otrzymałem od redaktora Grydzewskiego list polecony. Redaktor

pisał w nim, że „Wiadomości Literackie" wydadzą specjalny numer śląski, gdzie wydrukowana zostanie i „Ballada". ...

W krótki czas potem ukazał się w Czeskim Cieszynie i „Przednówek". W kilka miesięcy po tym znamiennym dla mnie wydarzeniu, bawiąc z wycieczką w Warszawie, postanowiłem zajść do „Wiadomości Literackich" i pobrać swoje honorarium za „Balladę". ... Niestety Tuwima w redakcji nie zastałem.... Lecz zaraz o nim wspomniał redaktor. A przy tym posypała się z jego ust ciekawa dla mnie litania. Grydzewski wtedy mówił: „Panie, co tutaj w redakcji Tuwim wyprawiał, kiedy przesłał nam pan tę „Balladę". Tańczył z radości na jednej nodze. Cmokał na ustach...ma pan w nim wielkiego protektora".

„Przednówek" był pierwszą publikacją powstałego w roku 1937 Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego, którego Kubisz został prezesem. Okładkę i ilustracje wykonał Franciszek Świder. Książka stała się wydarzeniem, recenzje zamieściły liczne pisma polskie, ale również czeskie i słowackie.

Zdzisław Hierowski pisał: *„Tom Kubisza wypełniały niemal całkowicie dwa większe poematy: obszerna „Ballada o hawiyrskim Śląsku za Cieszynem" i krótszy poemat „Co to młody gorol prawił, jak sie mu na śmierć niosło". Poza tym mamy tu krótki wiersz wstępny „Akordy" oraz dwa doskonałe dłuższe wiersze „Roz zbujnicki duchy wstały" i „W Gutach jest muzyka"....Niemal cały „Przednówek" to krwawy manifest społecznej i narodowej krzywdy, buntu, walki, przeżarty potężnym, instynktownym, nieopanowanym pędem do zemsty, odwetu, mordu i zniszczenia. Krew za krew, krzywda za krzywdę! Dlatego wrażenie całości jest przygniatające i straszliwie ponure.*

Kubisz pisze tylko gwarą. Nie usiłuje wzbogacać języka literackiego jej wartościami, stylizować go jej słownictwem i zwrotami, przeciwnie, raczej z narzecza literackiego czerpie hojnie, transkrybując wiele jego materiału w duchu gwary, którą się posługuje. I to jest właśnie słaba strona jego formy poetyckiej. Stopień zharmonizowania gwary z językiem literackim jest często niedostateczny, często poeta chce wyrazić stan, przeżycie, uczucie, czy stworzyć metaforę lub porównanie, na które nie znajduje tworzywa językowego w swym narzeczu. Wtedy często powstają dziwolągi. ...

Kubisz w użyciu gwary niewątpliwie przesadził i tym zubożył wartości formalne swej poezji i w wielu wypadkach osłabił siłę jej ekspresji. ...

Niemniej wiele wierszy ukazuje również mistrzowskie operowanie materiałem językowym gwary. Zwłaszcza uwydatnia się to tam, gdzie poeta dostraja ton i rytm wiersza do poezji ludowej."

„Bunt w poemacie Kubisza", stwierdził Franciszek Czapla, *„wyrasta z dwu podstawowych elementów treściowych. Są nimi ucisk socjalny i narodowy. Pod tym względem „Przednówek" jest poetycką emanacją proletariackiego środowiska poety, emanacją, w której skupia się i koncentruje cała jego myśl, uczucie, pragnienia, całe życie, czy raczej tego*



Członkowie ŚLĄSKIEGO ZWIĄZKU LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO (1937) – stoją (od lewej) D. Figurny, F. Świder, E. Fierla, G. Fierla, A. Fierla, W. Pasz, siedzą (od lewej) H. Nitra, K. Piegza, J. Niemiec, P. Kubisz, Trombik, Tomoszek





Portret Pawła Kubisza i strona tytułowa „Przednówka" wykonane przez Franciszka Świdra

życia przekleństwo." Józef Czechowicz popatrzył na tomik Kubisza z innej perspektywy: *„Czytając, wie się od razu, że to nabrzmiałe cierpieniem słowa tamtejszego człowieka, autochtona. Kto inny nie czułby tak śląskich bied, mógłby im najwyżej współczuć. I tamtejszej mowy zasługa, że poezje „Przednówka" błyskają tu i ówdzie pięknościami staropolszczyzny. Gwara tej dzielnicy przechowała przecież tak wiele form językowego starowieku."*

Opinia Zdzisława Hierowskiego, wyrażona w „Zaraniu Śląskim" w 1938 roku, była chyba jedną z najsurowszych ocen zbiorku Kubisza. O wiele łagodniejsze okazały się już głosy o „Przednówku", nawet tego samego Hierowskiego, patrzące na tomik z perspektywy lat, oceniające go na szerszym tle literatury regionalnej i ogólnopolskiej. Hierowski napisał: *„...zachowując regionalną scenerię, regionalne realia historyczne, społeczne, obyczajowe, zastosowawszy w formie dotąd na Śląsku nie spotykanej system językowy gwary, nadał przeżyciom i losom swoich ściśle zlokalizowanych bohaterów literackich cechy, które uczyniły je fragmentem doli człowieczej. ...za pośrednictwem „Przednówka" dokonał się awans śląskiej poezji regionalnej do współuczestnictwa w poezji polskiej. ...drugim czynnikiem awansu była w tym przypadku gwara jako język poezji, gwara cieszyńska, która poprzez kilka utworów Kubisza weszła w skład polskiego języka poetyckiego."*

Najnowsze badania historycznoliterackie wskazują na jeszcze inną cechę poezji Kubisza w swej warstwie treściowej, na spłynięcie tematyki socjalnej i narodowej. Dla Kubisza walka o byt, o dobra materialne była równoznaczna z walką o sprawy narodowe.

Kubisz przyznawał się do jeszcze jednego poety, który miał wpływ na jego twórczość. Był to Julian Przyboś, który był w tym czasie polonistą w cieszyńskich gimnazjach. Za jego to sprawą nazywał Kubisz zaolziański ruch literacko-artystyczny końca lat 30. „cieszyńską awangardą".

W lipcu 1938 roku rozpoczął Kubisz wydawanie miesięcznika literackiego „Sztorcem", którego zadaniem było propagowanie literatury regionalnej. Ukazały się jednak zaledwie trzy numery tego pisma, z czego pierwsze dwa zostały skonfiskowane przez władze państwowe. Kubisz podjął pracę w hucie trzynieckiej.

W roku 1940 został Paweł Kubisz aresztowany przez gestapo i osadzony w więzieniu w Cieszynie. Resztę okupacji spędził w Generalnej Guberni. Nawiązał kontakt z podziemnym ruchem ludowym, tajną agencją prasową „Wieś", konspiracyjnymi pismami „Odra-Nysa" i „Dziennik Powszechny". Aresztowany ponownie w roku 1944, osadzony został w krakowskim więzieniu Montelupich. Po wojnie stał się jednym ze współorganizatorów Oddziału Wiejskiego Związku Literatów Polskich w Łodzi, był w kolegium redakcyjnym pisma „Wieś". Nakładem Oddziału Wiejskiego ZLP w Łodzi ukazała się w roku 1946 reedycja „Przednówka", wzboga-

cona o „Manifest" i wiersze „Krew już z żył wyciekła" oraz „W górach leżóm se wojocy".

Po powrocie na Zaolzie rzucił się w wir pracy społecznej. Był obecny przy powstaniu PZKO, już w roku 1947 został przewodniczącym Sekcji Literacko-Artystycznej, określając od razu zadania tej organizacji. Preferował twórczość „awangardową" o silnym zabarwieniu społecznym i narodowym. W roku 1949 został wybrany przez ZG PZKO pierwszym redaktorem naczelnym nowego pisma „Zwrot". Pierwszy numer *„miesięcznika poświęconego sprawom społecznym, oświatowym, kulturze i sztuce"* ukazał się 24.12.1949. Jednak dopiero od nr. 2 w roku 1951 widniało jego nazwisko w stopce redakcyjnej pisma. Do chwili wprowadzenia w życie nowej ustawy prasowej funkcję redaktora odpowiedzialnego pełnił Henryk Jasiczek.

„Komunistyczni władcy po prostu nie ufali bezpartyjnemu Kubiszowi, związanemu przed wojną z sanacją, a w czasie wojny i zaraz po niej z polskimi ludowcami. Poza tym zależało im na poróżnieniu Kubisza z Jasiczkiem, naszych czołowych literatów, co im się niestety udało. Kubisz szczególnie nie lubił konkurencji." Tak wspominał tamten okres Jan Rusnok.

Władysław Sikora ocenił Kubisza i jego rolę w „Zwrocie" następująco: *„Kubisz był dla nas rzeczywiście fanatykiem polskiej sprawy, lecz rozumianej już staroświecko, z przekonaniami o „renegatach" i „sługusach Pragi". ...dość wysoko ustawił „Zwrot". ... Emanował siłą przekonań, które – w naszym wówczas rozumieniu – należało już korygować. Ale przecież on właśnie jako jeden z niewielu odczuwał wtedy podskórne nurty i sam jeden właściwie stanął kością w gardle totalitarnej Ostrawie, a tym samym Czeskiemu Cieszynowi – „Śmiesznemu Cieszynowi". Stawiał na twórcze działanie i na ruch w polskim interesie zaolziańskim. Właśnie dlatego podał rękę młodym i bronił ich, kiedy to było potrzebne."*

W roku 1948 ukazał się arkusz poetycki Pawła Kubisza „Pod Godulóm..." W następnym roku wydał dramat poetycki „Opowieść wydziedziczonych", w którym starał się pokazać Śląsk poprzez pryzmat przeżyć wojennych. Dramat okazał się słaby literacko, Kubisz powielał tematy znane już z poprzednich utworów. Nie potrafił ukryć rozczarowania tym, w jakich granicach znalazł się jego kraj rodzinny. Ostatnim wydrukowanym w całości utworem Kubisza jest poemat „Rapsod o Oszeldzie". Temat rewolucjonisty z roku 1848, w którego losach widział Kubisz analogie do własnego losu i wzór do naśladowania, towarzyszył mu przez długie lata. Autor zrezygnował częściowo z gwary, co niekorzystnie odbiło się na stronie językowej poematu. Najlepszym fragmentem okazał się napisany gwarą „Dramat w nieborowskiej karczmie Wulkana". Nagrodzona na konkursie literackim SLA powieść „Czas ludzkiej krzywdy", uwzględniona w planie wydawniczym na rok 1955, poświęcona tragicznie zmarłemu górnikowi Karolowi Klimszy z Szumbarku, nie ukazała się do tej pory. Fragmenty

jej drukował „Zwrot". Po wojnie publikował Kubisz swoje artykuły również w „Szyndziołach", „Głosie Ludu", „Kalendarzu Głosu Ludu", „Kalendarzu Zwrotu", „Kalendarzu Śląskim". Występował niekiedy pod pseudonimem Jerzy Duraj. W roku 1972 w ostrawskim wydawnictwie „Profil" ukazał się zbiór opowiadań Pawła Kubisza „Zaszuwierzóny świat". Obejmował humoreski drukowane już w większości wcześniej w różnych pismach.

Redaktorem naczelnym „Zwrotu" był Kubisz do marca 1958. *„Coraz gorzej czuł się w atmosferze nagonki na swobodne myślenie, uprawianej przez władze komunistyczne. Życie utrudniała mu ponadto nadmierna buńczuczność i wojowniczość, zwłaszcza że czasem atakował ludzi, którzy mu dobrze życzyli."* – wspominał Jan Rusnok. Kubisz został zwolniony ze stanowiska redaktora naczelnego „Zwrotu", z funkcji wiceprzewodniczącego ZG PZKO oraz przewodniczącego SLA, a później usunięto go całkowicie z PZKO. Pretekstem do zwolnienia była sprawa druku przysłów gwarowych Teofila Stolarza. *„W trakcie przepisywania tekstu na błony rotaprintowe organa nadzorcze stwierdziły, iż pomiędzy przysłowiami znajduje się kilkadziesiąt powiedzeń o antypaństwowej treści. ...sprawa „Przysłów górniczych" podważyła nie tylko autorytet i dobre imię związku, ale rzuciła niewłaściwe światło na dotychczasową pracę naszej organizacji. ... Przewinienie ob. P. Kubisza polegało na tym, iż P. Kubisz, jako przewodniczący SLA, osobiście odpowiedzialny za wszelkie wydawnictwa SLA–PZKO nie znalazł od r. 1954 do 1958 czasu na przeglądnięcie wspomnianego zbiorku,... Oprócz tego ujawniono szereg dalszych błędów w pracy P. Kubisza jak: brak podporządkowania się uchwałom ZG PZKO i postanowieniom regulaminu wewnętrzno-organizacyjnego, stosowanie skostniałych, niewłaściwych metod pracy, przesadny indywidualizm itp.... W związku z tym postanowiono: ...Odwołać ob. Kubisza ze stanowiska przewodniczącego SLA... Zwolnić ob.Kubisza z dniem 1. 4. 1958 z funkcji naczelnego redaktora „Zwrotu"... ZG PZKO poczynił odpowiednie starania celem wyszukania ob. Kubiszowi stosownego zatrudnienia. Proponowanej pracy w bibliotece lub archiwum PRN ob. Kubisz jednak nie przyjął, przechodząc na własne żądanie do pracy w IV stalowni huty trzynieckiej."* Tak brzmiał komunikat ZG PZKO.

Kubisz zmarł 19.8.1968, nie doczekawszy przygotowywanej rehabilitacji. Rehabilitację ogłoszono w grudniu 1968: „Plenum ZG PZKO postanawia: *1. Przyznać pełną rehabilitację ob. Pawłowi Kubiszowi. 2. Przywrócić mu nieprzerwanie członkostwo w PZKO. 3. Odznaczyć ob. P. Kubisza in memoriam najwyższym odznaczeniem PZKO, Medalem Dwudziestolecia. 4. Czynem społecznym wybudować nagrobek na Jego mogile. 5. Popularyzować dorobek literacki ob. P. Kubisza wśród społeczeństwa, zwłaszcza zaś wśród młodzieży szkolnej."*

CZESŁAWA RUDNIK

ŻEGNAMY FRANCISZKA ŚWIDRA

22 marca zmarł najwybitniejszy współczesny karwiński artysta – rzeźbiarz i malarz – Franciszek Świder. Do ostatnich chwil swego życia pozostał wierny sztuce, którą uważał za jedną z najważniejszych rzeczy w życiu człowieka. Mimo że od dwudziestu lat już nie tworzył, wciąż jednakowo interesował się sztuką, jej rolą, zadaniami i odbiorem przez publiczność. Z pewnym rozgoryczeniem mówił o nijakim stosunku społeczeństwa do prawdziwej sztuki, o braku hojnych mecenasów kultury, których istnienie umożliwiałoby artyście tworzenie dla przyjemności. To, co sam robił, nazywał „robotą artystyczną". Uważał, że dla artysty najważniejsza jest dobra znajomość rzemiosła. Potrzebna jest jednak również „iskra boża" i odrobina fantazji. Artysta przez całe życie musi nad sobą pracować, „szlifować ten kamień, by pojawił się wreszcie brylant". Cenił prace twórców ludowych, ale tych prawdziwych, a nie tylko pozujących na ludowość, podkreślał jednak, że twórczości ludowej nie wolno przeceniać, ignorując przy tym sztukę profesjonalną. „Naród żyje tak długo, jak długo istnieje jego kultura", dlatego dzieła sztuki należy chronić. Uważał się za realistę, uczącego się od przyrody. Inspiracją dla jego prac była mu więc przyroda, człowiek i jego ciężka praca.

Franciszek Świder urodził się 27.1.1911 w starej kolonii górniczej w dawnej Karwinie–Granicach w rodzinie koksiarza. Mimo trudnych warunków życiowych udało mu się zdobyć staranne wykształcenie, umożliwiające pełny profesjonalizm. W roku 1929 rozpoczął studia w krakowskiej Szkole Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego, studia malarskie kontynuował następnie w Pradze w Szkole Przemysłu Artystycznego u prof. Kyselego i w Akademii Sztuk Pięknych u prof. Obrovskiego. Dyplom uzyskał w roku 1937. Jeszcze przed wojną powstały jego pierwsze wielkie kompozycje malarskie, np. „Ondraszek", „Śląscy rycerze na Czantorii", rzeźba „Ondraszek i Juraszek". Świder był jednym ze współzałożycieli przedwojennego Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego.

Pierwszym monumentalnym dziełem po wojnie był, odsłonięty w roku 1949, Pomnik Ofiar Tragedii Żywocickiej. Następne pomniki powstały w Karwinie, Trzyńcu, Lesznej, Ropicy, Cierlicku, Nydku, Suchej Górnej. Oprócz rzeźby uprawiał Świder również malarstwo. Monumentalnym dziełem malarskim był, powstały na



FRANCISZEK ŚWIDER – akwarel (matka artysty)

początku lat pięćdziesiątych, zniszczony jednak później, fresk w czeskocieszyńskim hotelu „Piast" pn. „Brygada kulturalna". Zachował się, odrestaurowany w roku 1994 przez autora w szkole w Górnej Suchej, tryptyk ścienny, zawierający zabawę młodzieży w sadzawce, matkę z dziećmi i dzieci w drodze do szkoły. Fresk namalowany został w roku 1933, w czasie okupacji ukryto go pod warstwą glinki. Inne malowidła ścienne powstały w hawierzowskim kinie „Radość" i ośrodku zdrowia, w kościołach, sgraffita w Ostrawie i Czeskim Cieszynie na budynkach gimnazjum. Świder był też autorem witraży w hawierzowskim kinie „Radość" i kawiarni „Kosmos", kompozycji ze szkła w kinie „Centrum" w Hawierzowie, jak również kompozycji ze szkła i łupku w kinie w Ostrawie-Zabrzegu. W roku 1962 powstała dla Kopalni ACS w Karwinie olbrzymia metaloplastyka „Górnicy".

Franciszek Świder uprawiał również malarstwo sztalugowe. Malował portrety, pejzaże, obrazy olejne, akwarele i rysunki, tworzył grafiki. Był też autorem licznych drobnych rzeźb. Z jego twórczością rzadko można było spotkać się na wystawach. Świder nie lubił oficjalnej prezentacji swej twórczości kameralnej, którą, jak twierdził, uprawiał dla przyjemności. Jego prace pojawiały się sporadycznie na wystawach zbiorowych w kraju i w Polsce. Pierwszą i zarazem najbogatszą, prezentującą w przekroju dorobek twórczy całego życia artysty, była wystawa w sali im. Josefa Mánesa w Miejskim Domu Kultury w Karwinie-Nowym Mieście w 1992 roku. Pokazano na niej 150 dzieł artysty, rzeźby, obrazy olejne, rysunki, grafiki, prace z czasów studenckich, również projekty dział monumentalnych. W październiku ubiegłego roku odbyła się wystawa twórczości Franciszka Świdra w Bibliotece Regionalnej w Karwinie-Frysztacie. Wystawie patronował sam autor, on też wybierał eksponaty. Zwiedzający obejrzeli m.in. obrazy, portrety i pejzaże, dokumentację dzieł rzeźbiarskich – zdjęcia, szkice i rysunki, drobne rzeźby. Z okazji wystawy wydany został katalog z kolorowymi reprodukcjami.

Franciszek Świder gromadził dokumentację do monografii swej twórczości. Półtora miesiąca przed jego śmiercią ukonstytuowała się w Karwinie Fundacja PRO, której zadaniem ma być zbieranie funduszy na ratowanie dorobku twórczego artystów z Karwiny i regionu karwińskiego. Artystów, których warto „sprzedać" poza region a nawet poza granice. Uznano, że osobą, której twórczość w dziedzinie sztuk plastycznych znajduje się na miejscu pierwszym, jest Franciszek Świder. Fundacja rozpocznie gromadzenie pieniędzy na wydanie „Monografii Franciszka Świdra". Stanie się to jednak już bez udziału samego zainteresowanego.

CZESŁAWA RUDNIK

LEKARZE POLSCY SPOTYKAJĄ SIĘ W OSTRAWIE

W dniach 9 – 11 maja odbywa się w Domu Polskim w Ostrawie II EUROPEJSKI KONGRES LEKARZY POLSKICH I POLONIJNYCH oraz FORUM POLONIJNE UROLOGÓW. Organizatorem Kongresu jest Polskie Towarzystwo Medyczne w Republice Czeskiej przy współudziale Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" w Warszawie. Ostrawa już po raz drugi gościć będzie lekarzy polskich i polonijnych, tym razem z całej Europy.

W marcu 1993 roku odbył się tu I ZJAZD LEKARZY POLSKICH I POLONIJNYCH EUROPY ŚRODKOWO–WSCHODNIEJ. Organizatorami Zjazdu było również PTM i „Wspólnota Polska". Do Ostrawy przyjechali wówczas medycy z Republiki Federalnej Niemiec, Litwy, Łotwy, Ukrainy, Białorusi, Kazachstanu i oczywiście z Polski i Republiki Czeskiej. W Zjeździe uczestniczyło w sumie 70 lekarzy, w tym 20 przedstawicieli polskich środowisk medycznych z krajów byłego ZSRR. Spotkanie to miało szczególne znaczenie, gdyż po raz pierwszy polscy medycy z Europy Wschodniej mieli okazję zaprezentować swoje nowo organizowane polskie stowarzyszenia medyczne. Według danych szacunkowych, które wówczas podano, na świecie działa około 13 tysięcy lekarzy polskiego pochodzenia. Upłynęły cztery lata od poprzedniego spotkania, a nadal nieznana jest liczba lekarzy–Polaków zamieszkałych na Wschodzie.

Pierwsze spotkanie w Ostrawie miało wyraźnie określone cele, które zaprezentował zebranym przewodniczący PTM dr Bogusław Chwajol. Przede wszystkim podkreślono konieczność utworzenia zgodnego lobby dla popierania szlachetnych intencji i wspaniałych tradycji medycyny polskiej, jak również potrzebę wymiany informacji i doświadczeń oraz wzajemnej współpracy. Głównym tematem obrad były kierunki współczesnej onkologii, choć nie zabrakło także referatów z zakresu historii polskiej medycyny.

Warto przypomnieć, że idea tego rodzaju spotkań branżowych polskich medyków zrodziła się podczas Konferencji Polaków i Polonii Krajów Europy Środkowej i Wschodniej w Jabłonkowie w sierpniu 1991 roku. Wcześniej delegacja polskich lekarzy z Czechosłowacji wzięła udział w I Światowym Zjeździe Polonii Medycznej w Częstochowie. W czerwcu 1995 roku odbył się w Częstochowie II Zjazd.

Przez ostatnie cztery lata nie ustawały kontakty między polskimi medykami w Europie Środkowej i Wschodniej, a spotkania lekarzy specjalistów w Polsce i innych europejskich krajach wskazały jednoznacznie, że w jednoczącej się Europie również polscy i polonijni lekarze powinni zaznaczyć swą obecność. Toteż nic dziwnego, że na majowym Kongresie znajdą się delegaci z całej Europy, łącznie około 120 osób, z czego 40 ze Wschodu i Rumunii, 50 z Europy Zachodniej i 30 z Polski i Republiki Czeskiej.

W programie II Europejskiego Kongresu Lekarzy Polskich i Polonijnych oraz I Forum Polonijnego Urologów przewidziane są sesje naukowe z zakresu historii medycyny i postępu nauk medycznych oraz transformacji i prywatyzacji służby zdrowia w krajach środkowo-wschodniej Europy.

Prężnie działające Polskie Towarzystwo Medyczne w Republice Czeskiej, dzięki któremu spotkania te zaistniały, nie zamierza zrezygnować z dalszych pomysłów, chcąc przekazać na obecnym spotkaniu pałeczkę organizacyjną delegacji z innego europejskiego kraju. W ten sposób co cztery lata odbywałby się Światowy Zjazd Polonii Medycznej w Polsce, a w międzyczasie, również co cztery lata, spotkania europejskie w różnych miastach poszczególnych krajów.

Widać wyraźnie, że kondycja organizacyjna naszych medyków godna jest pozazdroszczenia. A przecież jeśli weźmiemy pod uwagę ich liczebność, okaże się, że nie w ilości siła. Przypomnijmy, że PTM właściwie działa od roku 1976, najpierw jako Klub Medyka przy ZG PZKO i od roku 1991 samodzielnie pod obecną nazwą. Zrzesza około 100 medyków, nie tylko lekarzy, także innych pracowników służby zdrowia, w tym pielęgniarki. Spotykają się raz w miesiącu, przeciętnie w składzie około 60 osób. W rzeczywistości tylko polskich lekarzy w RC jest ponad 300. Może pozostali wesprą działania swoich kolegów.

Na czele PTM stoi pięcioosobowa Rada, w skład której wchodzą: doc. dr Bogusław Chwajol (przewodniczący), Stanisław Czudek (zastępca przewodniczącego) i członkowie Stanisław Macoszek, Romuald Gąsior, Piotr Firczyk.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK



Ujęcie z I zjazdu Lekarzy Polskich, fot. WIESŁAW PRZECZEK

JAK ZBAWIA SIĘ ŚWIAT

Z REDAKTOREM WŁADYSŁAWEM OSZELDĄ ROZMOWA EGZYSTENCJALNA

Jerzy Oszelda – 90-lecie urodzin, które będziesz obchodził w maju, to znakomita okazja, żeby zadać tobie kilka pytań egzystencjalnej natury. Każdy z nas może umrzeć w każdej chwili, za dzień, za miesiąc, rok, tego nie wiemy. Czy myślisz czasem o śmierci?

Władysław Oszelda – Ludzie kojarzą i słusznie starość, z chorobami, no i odejściem. Ale rzadko kto zastanawia się nad tym, że przecież lata sędziwe, to jesień życia, obfita w plony i że okres ten nie może być bierny. U mnie lata jesieni, a może już zimowe, to czas najbardziej intensywnych działań i to tak profesjonalnych, jak i tych, które traktuję jako służbę. A myślę nie tylko o regionie cieszyńskim z Zaolziem, któremu poświęciłem wiele artykułów i informacji w środkach masowego przekazu zarówno w Polsce jak i w Republice Czeskiej, ale także w prasie polonijnej. To temat do obszernej dysertacji. Obliczyłem z grubsza, że w swoim dosyć jednak długim życiu zamieściłem w różnych pismach, z przedrukami przekazywanymi za pośrednictwem agencji prasowych, kilka tysięcy informacji. Trudno mi podać konkretną cyfrę. Może było ich 5 tysięcy, może mniej, może więcej... Były to wiadomości oraz materiały publicystyczne, związane z Ziemią Cieszyńską z obu brzegów Olzy. A zaczęło się w 1937 roku, a więc dokładnie przed... sześćdziesięciu laty! Mam nieco śladów tej działalności w swoim domowym archiwum, ale większość z nich pochłonęła niestety wojna. Miałem mówić o śmierci a poruszam sprawy, które pasjonują mnie po dzień dzisiejszy. Stale też poszerzam krąg swoich zainteresowań. Nie przestaje mnie na przykład zajmować nadal mój prawdziwy nauczyciel z lat młodzieńczych. Prentice Mulford. Trzy książeczki tego filozofa amerykańskiego polecam czytelnikom „Zwrotu". Są to: „Niewyzyskane siły życia", „Źródło twojej siły" i „Przeciw śmierci".

J.O. – A czym jest dla ciebie życie, jaki ma smak?

W.O. – Czym jest życie? Pytanie to jest bardzo pojemne i trudno dać na nie odpowiedź w miarę szczerą, zważywszy, że – zacytuję tu słowa prezydenta Havla – „do prawdy można się tylko zbliżyć". Tak więc moje spojrzenie na życie będzie tylko jakby wstępem do szerokiej analizy tych treści, które kojarzą się przeciętnemu człowiekowi z życiem. To pytanie zadawałem różnym ludziom i to w różnym czasie mojego „żywobycia". Ludzie często wydają się być jakby zagubieni i nie potrafią sobie odpowiedzieć ...dlaczego w ogóle żyją... A tak. Znam zacne familie, których celem pozostaje pod koniec życia

... wybudowanie wnukom domu! Żadne inne przesłanki nie mącą spokoju tych ludzi. A przecież życie wyjałowione z wartości duchowych, zamknięte i niedostrzegające, że na każdym z nas spoczywa jakaś odpowiedzialność za los nie tylko własnego kraju ale i ...świata (a tak), za los bliźnich, oczekujących często moralnego wsparcia, spycha nas do grona osobników, którym postawa „być" a nie „mieć" - „mąci" w głowach. Dla mnie życie ma swój określony smak przez to, że mogę służyć innym, że mogę wyżywać się społecznie nie tylko z poczucia obowiązku, ale dlatego, że takie działanie jest po prostu moją pasją życiową. Czasem nachodzi mnie kąśliwa myśl, że mogę zakończyć swą wędrówkę życiową na pełnym morzu, płynąc na łodzi życia w blasku słońca i marzennych wizji. Jest tyle do zrobienia! Na Zaolziu spotykałem i spotykam ludzi, którzy imponować muszą nie tylko swoimi zdolnościami twórczymi i różnymi zainteresowaniami społecznymi. Niestety często pozostają w cieniu, a ich szara praca przyblakła w świetle jupiterów wielkich imprez i ceremonialnych uroczystości.

J.O. – Dlaczego ludziom niejednokrotnie jest tak trudno porozumieć się w prostych sprawach?

W.O. – I znowu pytanie z gatunku tych, na które nie można jednoznacznie odpowiedzieć. Można by na przykład stwierdzić: dlatego, że są źle wychowani. I zaraz rodzi się inne pytanie: dlaczego nie stworzyliśmy my, ludzie myślący, zamieszkujący planetę Ziemia, takiego systemu wychowawczego, który uczyłby nie tylko zawodu, ale także... mądrości. A ta zdecydowanie stoi po stronie tych, którzy nie dążą do konfrontacji, do pogłębienia różnic między ludźmi i narodami, a do zbliżeń, do kompromisu, do zgody. Niestety przykład, jaki idzie z różnych pięter władzy i to w skali nawet międzynarodowej, nie wywołuje zachwytu u przeciętnego obywatela. Myślę, że nie tylko polskiego. Pisałem wielokrotnie, że wojna zaczyna się w ludziach, ich postawach, ich namiętnościach, braku kultury współżycia. Widać to na wielu przykładach wziętych z życia codziennego. Mąci w głowach nierzetelna, nieścisła a czasem myląca informacja, zwielokrotniona przez współczesne, elektroniczne metody przekazu. To znowu olbrzymi problem do rozwiązania. Pisałem o tym w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej" w eseju pt. „Potęga... dezinformacji". Należałoby rozbudować, i to w różnych strukturach, obszary styku między ludźmi, wykorzystując ku temu różne układy międzyludzkie. Tu odwołam się do opinii znanego socjologa, naszego „krajana ustrońskiego", prof. Jana Szczepańskiego, iż błąd tkwi w dziejach naszego gatunku. A tak. Przecież dzieje ludzkości to historia wojen, zbrojnych zmagań, budowania murów nienawiści: rasowej, religijnej, narodowościowej. Nie potrafiliśmy wznieść się poza wszelkie podziały, szukając tego, co nas dzieli a nie łączy. W każdym ludzkim sercu, przepojonym nienawiścią, brakiem tolerancji, ksenofobią, brakiem umiejętności dyskutowania z przeciwnikiem, drzemie zarzewie wojny. Prof. Jan Szczepański w swym marzennym, szlachetnym

porywie, zapytuje nas wszystkich czy: „może jednak ludzkość zmęczona bankructwami tak wielu idei pedagogicznych i tak wielu nieudanymi próbami wychowania człowieka dobrego przez rozwijanie jego cech społecznych, wspólnych, zechce kiedyś innej możliwości, polegającej na zwróceniu uwagi na cechy indywidualne, właściwe tylko jednemu człowiekowi, nie dzielone z innymi, a zatem nie mogące być przedmiotem walki...?" Wiem, że idea ta, łamiąca dotychczasowe kryteria ocen postępu ludzkości, zmęczonej przez wieki morzem przelanej krwi, wielością zbrodni, nie zdobędzie sobie zbyt wielu zwolenników, a jej plemniki zaginą, zdeptane niepohamowanym rozwojem techniki, głównie elektronicznej. W tym potopie zdarzeń, poszumie wielkiej polityki, czy ktoś pochyli się nad losem pojedynczego człowieka, poddanego całej sieci uzależnień, deprecjonujących moce twórcze, pęd ku dobremu, drzemiący na dnie jego serca? Zostawmy więc marzycielom marzenia o świecie bez wojen a starajmy się w minstrukturach budować pokojowe mosty. Apeluję więc do naszych rodaków: otwórzcie się na drugiego człowieka. Nauczmy się szanować *cudze przekonania. Nauczmy się budować* pokój małymi kroczkami, zaczynając od siebie.

J.O. – Zrobiłeś bardzo wiele dla innych, tak jakbyś postanowił kiedyś im pomagać...

W.O. – Wychowałem się w Zakliczynie, małym miasteczku położonym nad Dunajcem. Tu jako dziecko doznawałem po raz pierwszy zniewagi, kiedy musiałem wysłuchiwać – jak mi się wówczas wydało – obelg. Luter: słowo to głęboko raniło, bo kojarzyłem to z czymś czy kimś, co było symbolem zła! A działo się to tylko dlatego, że ojciec był jedynym protestantem wśród miejscowej, katolickiej społeczności. Matka, katoliczka umarła mi, kiedy miałem zaledwie siedem, czy osiem miesięcy. I wtedy nastąpiło moje zbliżenie do syna sąsiada, Szymka Perlbergera, który będąc żydem spotykał się z podobnymi atakami ze strony rówieśników. Te najgłębsze pokłady przeżyć i doznań wyżłobiły we mnie postawę totalnej tolerancji. I może przed ponad... 80 laty zakwitła w wyobraźni chłopca myśl o potrzebie walki z czymś, co określa się jako dyskryminację. Dziś mam wielu przyjaciół wśród ludzi różnych wyznań i orientacji politycznych. Z tych pokładów przeszłości zrodziła się idea tworzenia ministruktur społecznego działania na rzecz nadrzędnych wartości.

J.O. – Ziemia jest eksploatowana przez człowieka i kiedyś pewnie zostanie zniszczona. Ona potrzebuje pomocy wrażliwych, mądrych i odważnych *ludzi. Można jej pomagać* w różny sposób, choćby najskromniejszy, na przykład nie używając opakowań jednorazowego użytku, oszczędzając w mieszkaniu wodę, uczestnicząc w proteście. Wiem, że ziemia jest żywą istotą. Gdybyś miał jej coś powiedzieć, szepnąć na ucho, co by to było?

W.O. – To nie byłby szept. To byłby krzyk rozpaczy człowieka,

któremu zarzucono na szyję zaciskającą się pętlę. Na podstawie materiałów, udostępnionych mi przez przyjaciół z różnych stron świata, wiem, że żyjemy na ziemi, która pali się pod nogami. Jakże delikatnie pisze się o tym i mówi w środkach masowego przekazu! Kto z nas uświadamia sobie w pełni w jakim żyjemy świecie? Nawet najnowocześniejsze formy przekazu nie stwarzają faktycznego obrazu świata, w którym przyszło nam żyć. W ciągu stu lat ludność świata podwoiła się, a liczba ludności miast wzrosła aż 11-krotnie. Architekci usiłują stworzyć „idealne miasto naszych czasów". I to im się... nie udaje. Tempo życia, rozwój ekonomiczny, zmiana postaw mentalnych, wszystko to stwarza problemy o ogromnym znaczeniu dla przyszłości naszego globu. W zawirowaniu informacyjnym, pochyleni tylko nad tym co bliskie i co swoje, nie dostrzegamy tych zjawisk, które wyznaczają nowe, nieznane i trudne do przewidzenia losy ludzkości. Na tym tle ogólnoświatowa akcja realizowana na obu półkulach pod hasłem „Sprzątanie świata" wydaje się jakimś kamuflażem. Potrzeba nam, ludziom wszystkich kontynentów, innego sprzątania, a dotyczy to naszych sumień. A te każą nam po prostu... nie śmiecić, by nie trzeba było sprzątać. Rozpocząć zaś trzeba od uporządkowania myślenia w duchu ekonomicznym.

J.O. – Masz temperament osoby, która chce zbawiać świat. To piękne przesłanie. Jest w tym pewna filozofia czy nawet refleksja religijnej, duchowej natury. Zło jest krzykliwe, widoczne i zdaje się dominować, a dobro jest często niepozorne i anonimowe. Wcale jednak nie wynika stąd, że zło zawładnęło bez reszty światem. Nie rozmawialibyśmy teraz, gdyby tak było. Jak zbawia się świat?

W.O. – Ja mam tylko receptę dla siebie. Pisałem o tym w „Zwrocie" (nr 12/96). Stwierdzam jedynie, że zło w świecie potęguje się. Rośnie mafijność, obniża się średnia wieku młodocianych przestępców. To nie tylko sprawa Polski i Republiki Czeskiej. Przodują pod tym względem kraje Dalekiego Wschodu. Co nas to obchodzi? Odpowiadam na pytanie zawieszone w powietrzu? Zło – gwałtownie rozprzestrzenia się w całym cywilizowanym świecie. I dlatego warto – już o tym pisałem – wskazać na moce twórcze tkwiące w jednostce ludzkiej. „Wojna rodzi się w umysłach ludzi. W umysłach ludzi należy budować obronę pokoju" – prof. Janusz Simonides. Uważam, że zbrojne zmagania – przeżyłem już dwie wojny światowe – są jakby skumulowaniem zła, które dojrzewa w umysłach ludzi, pozbawionych uczuć i wyobraźni. Dlatego budowanie pokoju, to sprawa wszystkich ludzi prawych. Znam sporo osób, które świadczą dobro anonimowo i to jest ich wkład w budowę „lepszego świata lepszych ludzi". Warto o tym podumać w każdym polskim domu w kraju i za granicami ojczystych rubieży.

J.O. – Gdybyś raz jeszcze się urodził, powiedzmy w 2001 roku. Jak ułożyłbyś sobie życie? Może zmieniłbyś coś w sobie,

w najbliższych, może coś byś zaniechał?

W.O. - Nie wiem czy będę jeszcze żył w 2001 roku, a więc pytanie, jak zachowałbym się w tym roku, czy bym coś zmienił w swoim życiu, daje okazję chyba tylko do zadumy. Zakładam, że świat stanie się jeszcze bardziej ponury, że zło wielokształtne rozprzestrzeni się, a formacje sprzyjające postawom moralnym, nie poszerzą kręgu swoich wyznawców. Myślę jednak, że długo trzeba będzie czekać na spełnienie apokaliptycznej zapowiedzi Zbigniewa Brzezińskiego, że: „jeśli nie będzie globalnej moralności, nie będzie świata". Będzie na pewno wiele deklaracji pokojowych i nowych wynalazków w przemyśle zbrojeniowym... Nie wierzę bowiem w jakiś cudowny sposób uleczenia chorego świata. Dostrzegam jednak potrzebę, obok struktur formalno-prawnych, zaistnienia działań w relacjach jednostkowych. To proces ciągły, niespektakularny, ale zdrowy, jeśli wypływać będzie z pobudek etycznych. I gdyby mi przyszło żyć w tym czy innym wcieleniu, anno 2001, obliczam, że w tymże roku byłoby to już chyba 1500-setne spotkanie cieszyńskiego Klubu Propozycji!... Kultura musi stać się chlebem powszednim szerokich rzesz naszego społeczeństwa i dlatego zmienić się musi kierunek jej działania. Wyciszone być winny nieco jej akcenty ceremonialne, widowiskowo-festiwalowe na rzecz działań w układach międzyludzkich, bezpośrednich, z udziałem nie tylko placówek kulturalnych, ale także autentycznych, choćby pozbawionych patentu, animatorów kultury. Czy trzeba ich szukać? Nie. Trzeba ich zauważać i rozmnażać nowatorskie, spontaniczne poczynania. Dotychczas nie było tego zwyczaju ze szkodą dla wartości, o których często mówimy z nabożeństwem lecz bez konkretnych wskazań, jak pielęgnować je na co dzień. Tu widzę olbrzymie pole do działań na naszym Zaolziu, gdzie muszą być dokonane transformacje w zakresie kultury, przy zachowaniu tych cech, które stanowią o specyfice regionu. Wszelki schematyzm, nawet wygodny i spektakularny ułatwia niewybrednym często środkom elektronicznego przekazu zagospodarować czas wolny. Stąd wysiadywanie przed kolorowym ekranem lub rozkoszowanie się krzykliwym programem muzycznym (oby tylko), serwowanym nam przez sprzedawców kaset. A nam ludziom stojącym na progu XXI wieku potrzebna jest kultura żywa, zrośnięta z rodzimym obyczajem, kultura, pozwalająca poszerzać horyzonty myślenia, sprzyjająca budowaniu mostów między ludźmi. Nikt nie zdoła odpowiedzieć nam, kiedy pozbędziemy się niepokoju człowieka, nie potrafiącego spleść swojego ładu wewnętrznego z postępem, w którym dominują dobra materialne nad treściami duchownymi.

Rozmawiał
JERZY OSZELDA

Czcigodnemu Jubilatowi składamy serdeczne życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności
Redakcja

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (6)

W OKOPACH NAD STYREM – ŚMIERĆ TONY SLAVÍKA

W czasie marszu na front nocowałem zawsze na jednej wspólnej kwaterze z Zadorą i Slavíkiem. Zaraz na pierwszym postoju wyciąga Slavík po kolacji z tornistra buty z przymocowanymi łyżwami i zaprasza nas na bezpłatne widowisko. Towarzyszymy mu i docieramy do pięknego zamarzniętego stawu koło plebanii unickiej. Na placu koło stawu stały kuchnie polowe i tabor konny batalionu.

Slavík wleciał na zamarznięty staw i zaczął się popisywać swoją wysoką techniką łyżwiarza-sportowca. Było co podziwiać i chociaż było już późno i mroczno, zebrał się wkrótce nad stawem tłum brzdąców wiejskich i miejscowych kobiet i oczywiście wielu naszych żołnierzy, aby podziwiać szatańskie skoki i piruety łyżwiarskie Slavíka. Powtarzał te wyczyny codziennie wieczorem po nużącym marszu. W każdej wiosce na trasie marszu znalazł zamarznięty staw.

Po czterech dniach marszu dotarliśmy do zupełnie zniszczonej wioski Maziarnia, oddalonej około pięciu kilometrów od frontu. Stacjonowały tam już od lata tabory pułkowe, szkoła podoficerska i różne kursy specjalistyczne, pułkowa izba chorych oraz kolumna sanitarno-odkażająca.

Tam też rozdzielono nasz batalion między wykruszone letnią ofensywą generała Brusiłowa jednostki frontowe pułku. Nasz pluton miał odejść w całości jako uzupełnienie czwartej kompanii. Tylko nasz sympatyczny i koleżeński sierżant-podchorąży Szewczyk odszedł do innej kompanii.

Wkrótce po zachodzie słońca ruszył nasz pluton prowadzony przez przewodników w kierunku pozycji frontowych, zdążając rozluźnionym gęsim szykiem do głębokiego rowu dobiegowego, rozpoczynającego się koło jednego kilometra na wschód od Maziarni. Stąd było jeszcze około czterech kilometrów do przedniego skraju pozycji głównej. Przed wkroczeniem do tego rowu powitała nas kilkoma salwami bateria rosyjskich polówek. Posypały się koło nas odłamki szrapneli i granatów. Zrobił się mały rwetes, bractwo upadło plackiem na śniegu lub powskakiwało do rowu. Byłem wówczas już w rowie trochę spocony ze strachu i ktoś obok mnie upadł z wielkim krzykiem i płaczem. Podnieśliśmy go od razu, lecz okazało się, że nie jest wcale ranny, tylko narobił z wielkiego strachu do portek. I na tym się skończył nasz chrzest ogniowy.

Za dwie godziny znaleźliśmy się znowu z Zadorą i Slavíkiem na nowej kwaterze, to jest w głębokim, dużym i bardzo wilgotnym schronie podziemnym, położonym kilkanaście metrów od przedniego skraju pozycji głównej. Znajdowaliśmy się na terenie Szczurowic, w których nie zostało już nawet ruin po zabudowaniach, gdyż to co nie zostało w czasie rosyjskiej ofensywy zniszczone, zostało zupełnie zużyte pośpiesznej budowy umocnionych pozycji i schronów czy też spalone do gotowania żołnierskiej strawy i ogrzewania schronów.

Po wstrzymaniu przez armię państw osi letniej ofensywy generała Brusiłowa nad Styrem nastąpił na tym odcinku frontu okres walk pozycyjnych nie obfitujących w przełomowe i apokaliptyczne wydarzenia. O moim pobycie w tym okresie na tym froncie więc tylko krótko kilka zdań.

Na wschodnim brzegu Styru okopali się Rosjanie. Na naszym odcinku byli panami dogodniejszych pozycji dzięki temu, że teren u nich był o kilka metrów wyżej położony od terenu na zachodnim brzegu rzeki, gdzie okopali się Austriacy, a więc i nasz pułk. Po naszej stronie wody Styru rozlewały się w bagniste moczary rozciągające się na kilka metrów od głównego nurtu rzeki. Sporo było wśród tych rozlewisk zdradzieckich zapadlin, wirujących odnóg głównego nurtu, maleńkich wysepek i kołujących strumyków. Przedni skraj pozycji głównej Rosjan przebiegał dzięki dogodnej wyższości terenu kilkanaście metrów od brzegu rzeki i był dobrze zamaskowany wśród starego, wysokopiennego i niezbyt przetrzebionego artyleryjskimi pociskami lasu. Przedni skraj pozycji głównej Austriaków znajdował się na skutek lewobrzeżnych rozlewisk co najmniej czterysta metrów na zachód od głównego nurtu Styru.

W opisanych tu warunkach zastoju ruchomych działań głównymi atrakcjami codziennymi były dość częste loty rozpoznawcze pojedynczych i gęsto ostrzeliwanych jednopłatowców, codzienne pojedynki ogni artyleryjskich, monotonne serie karabinów maszynowych, nocne migotanie reflektorów i częste oświetlanie przedpola oślepiającymi białymi rakietami. Do tego dochodziły częste patrole rozpoznawcze nocne w strefie niczyjej, a rzadziej, i to zwykle w okresie mrozów, wypady pułkowych i dywizyjnych oddziałów rozpoznawczych (Nachrichtendetachement).

Służba naszej kompanii ograniczała się w takich warunkach do wystawiania w porze dzienniej kilku posterunków obserwacyjno-alarmowych w umocnionych okopach przedniego skraju pozycji głównej, a w nocy oprócz tych posterunków wystawialiśmy jeszcze na dalekim przedpolu, to jest w najłatwiej dostępnym dla nieprzyjaciela skrawku terenowym, placówkę w sile pół plutonu wzmocnioną karabinem maszynowym. Placówka była nieźle zamaskowana, gdyż znajdowała się mniej więcej na półmorgowej, porosłej gęstą krzewiną kępce. Była dość silnie okopana i odrutowana „na jeża", wystawiała kilka czujek i podsłuchów i nawet posiadała dość dobrze zabezpie-

czony przed pociskami artylerii i dobrze zamaskowany wysokimi i gęstymi krzewami schron. Wysyłano też każdej nocy drobne patrole rozpoznawcze, łącznikowe i kontrolne.

Jednoroczniacy–podchorążowie pełnili służbę podoficerów służbowych dyżurnych, dowódców patrolów, lecz dość często wysyłano ich również na oficerskie wypady kontrolne do placówek itp.

Schrony polowe na głównej pozycji były u nas wzmocnione betonem i tym samym dostatecznie zabezpieczone przed szybkim ich zniszczeniem przez kruszące granaty artylerii polowej. Było w nich dość ciepło, lecz były pełne wilgoci, dymu i różnego smrodu. Spaliśmy na piętrowych pryczach z surowej tarcicy. Na pryczach było trochę starej, brudnej słomy. Najbardziej prześladowały nas wszy. Co prawda zmienialiśmy w każdym tygodniu marnie praną w kolumnie sanitarno-odkażającej bieliznę żołnierską, prawda też, że przynajmniej jeden raz w miesiącu wysyłano nas do pułkowej łaźni prysznicowej, znajdującej się przy taborach pułkowych w Maziarni za frontem. Tam odwszawiano nam w czasie kąpieli również naszą odzież żołnierską i koce, lecz zabieg ten nie pomagał wiele. Ukryte w tysiącach szczelin i szpar schronu i prycz wszy zjawiały się niedługo po powrocie z kąpieli i obłaziły każdego z nas dziesiątkami. Dlatego też naszym głównym zatrudnieniem w godzinach wolnych od służby było ich wyłapywanie w bieliźnie, odzieży i kocach i ich tępienie.

W naszym schronie nie było wolno zabijać wszy palcami, lecz należało je wyłapywać do butelek po lekach czy innych pojemników, a następnie wysypywać do stale palącego się ogniska w kuchni schronu. Tak polecił feldfebel sztabowy Vogt, komendant schronu i dowódca naszego plutonu.

Przed świętami otrzymałem z domu dużą paczkę z żywnością. Było w niej sporo wędlin, biszkopt, suszone owoce–pieczki i duża blaszana butla domowego soku malinowego.

W wigilię Bożego Narodzenia przynieśli do naszego schronu choinkę, którą przystroił dowódca plutonu sierżant–feldfebel Vogt. Pod choinką odebrał każdy z nas z rąk sierżanta jako wigilijny dodatek kawałek śmierdzącego dorsza i porcję rumu.

Domową wałówką podzieliłem się z Zadorą i Slavíkiem i wielu innymi, którzy nie otrzymali podarunków wigilijnych. Popijaliśmy kawę z rumem i gotowaną wodę z sokiem malinowym z mojej paczki. Zadora zaintonował kolędę: „Wśród nocnej ciszy...". Wokół nas zebrała się grupka Polaków, którzy dołączyli się do naszego kolędowania swoimi schrypłymi głosami. Wtórował nam również Tonda Slavík, lecz tylko nucił melodię, gdyż nie znał słów naszych polskich kolęd. Wkrótce jednak położył się na pryczy, zamilkł i głęboko zadumał. Przerwaliśmy z Zadorą śpiewanie kolęd i siadamy milcząco na pryczy Slavíka. Ogarnęła nas nostalgia i zaduma wigilijna. Moje myśli zabłąkały się do rodzinnej Ropicy. Z pewnością siedzą tam teraz wszyscy przy stole wigilijnym i martwią się o mnie. Przypomniała mi się też

Jarka z Gnojnika: a może tak przesłać do niej z frontu kartkę polową z życzeniami noworocznymi?...

Nie napisałem dotychczas do żadnej dziewczyny i nie wiem jak się to robi i lepiej się nie ośmieszać. Wyśmiałaby się jeszcze ze mnie...

– Baranami jesteśmy! – przerywa naszą zadumkę półgłosem Zadora – Tak łatwo i tak daleko daliśmy się zawlec na tę przeklętą rzeź. Zamiast wśród swoich spędzamy święta w tym śmierdzącym lochu.–

Przytaknąłem Zadorze, a Slavík mruknął – Już niedługo myślę być tym baranem! –

Nastrój wigilijny przerwał nam feldfebel Vogt, który zaczął odczytywać listę służby nocnej. Ja zostałem wyznaczony z podchorążym Slavíkiem na patrol łącznikowy. Naszym zadaniem była dwukrotna kontrola wszystkich posterunków obserwacyjno–alarmowych na odcinku naszej kompanii, kontrola wysuniętej na przedpolu placówki oraz nawiązanie łączności z placówką lewoskrzydłowej kompanii naszego batalionu. Pierwsza kontrola miała się odbyć między godziną dwudziestą i północą, a druga między godziną trzecią i szóstą nad ranem.

O godzinie dwudziestej opuściliśmy ze Slavíkiem nasz schron, zaopatrzeni dodatkowo w kompasy i śnieżno białe płaszcze z kapturami. Wyglądaliśmy jak skrzydlate upiory, czy też braciszkowie loży masońskiej, albo może jak jakieś himalajskie śnieżne widziadła.

Na froncie panował zupełny spokój. Ani jeden strzał karabinowy czy też armatni nie zamącił ciszy wigilijnej swoimi przeraźliwymi ślepiami przedpola. Co prawda, to generałowie stron walczących nie podpisali żadnego świątecznego rozejmu, lecz rozejm ten ustanowiły samorzutnie jakimś nieumówionym mistycznym sygnałem tęskniące za świętym spokojem i szczęściem rodzinnym masy żołnierskie obu stron walczących. Prawosławni Rosjanie respektowali nasze katolickie czy też ewangelickie święto wigilii Bożego Narodzenia.

Wyskakujemy z okopów i zdążamy w kierunku placówki kompanijnej okopanej około czterysta metrów na przedpolu przedniego skraju pozycji głównej. Przedzieramy się przez trzy linie zasieków drucianych. Otwieramy i zamykamy za sobą specjalne furty – kozły hiszpańskie. Drepczemy po skrzypiącym śniegu wydeptaną ścieżką w kierunku placówki. Przedpole było otulone w gęsty całun mroźnej mgły ciągnącej od Styru.

Slavík wlókł się za mną w milczeniu. Był pogrążony całkowicie w zadumie. tak samo jak przed chwilą w schronie. Zatrzymałem się i spojrzałem uważnie na niego.

– Co jest z tobą Tondo Slaviczku i czemu tak uporczywie milczysz? – pytam go.

– Myślę o tym, że nadszedł dzisiaj czas, aby zakończyć to pieskie życie w austriaciej armii i szukać ratunku w ucieczce do Rosjan. A dzisiaj do tego najlepsza okazja. Sprzyja nam spokój, cisza, mgła. Lecz doprawdy boję się sam i może pójdziesz ze mną? –

Zaskoczyła mnie nagła decyzja Slavíka. Wiedzieliśmy obaj z Zadorą

już od dawna o zamierzonej decyzji Tondy. Zwierzył się nam z nią jeszcze w Morawskiej Ostrawie, lecz na froncie nic o niej nam dotychczas nie wspominał.

– Nie pójdę z tobą Tondo, bo nie chcę pójść dorowolnie na Sybir! Nie chcę tam umierać. To strasznie daleko od rodzinnego Śląska. Mówiłem ci już przecież o tym w Morawskiej Ostrawie. Pamiętasz? Ty rób Tondo jak chcesz! Tylko co mam powiedzieć w kompanii jak wrócę bez ciebie? – Powiedz po prostu prawdę, że zdezerterowałem, wykorzystując tę mgłę i że strzelałeś do mnie, lecz nie jesteś pewny, czyś trafił we mgle. W tym celu wystrzelisz trzy lub cztery naboje na wiwat! –

Było pewne, że Tonda jest nieodwracalnie zdecydowany.

Dotarliśmy szczęśliwie do placówki, gdzie zagrzano nam zziębnięte członki kubkiem wigilijnego rumu. Załatwiamy szybko formalności kontrolne i kierujemy się wydeptanymi śladami wzdłuż trzeciej linii zasieków drucianych na północ, aby nawiązać łączność z placówką lewoskrzydłowej kompanii batalionu. I tam nie zabawiliśmy zbyt długo, chociaż częstowano nas znowu rumem. Slavíkowi śpieszyło się bardzo, tym bardziej, że mgła gdzieś poleciała i zaczął prószyć drobny i gęsty śnieg. Towarzyszył nam w drodze powrotnej zachodni wiatr. Wracamy tą samą ścieżką zagrzani rumem i podnieceni nieprawomyślnymi myślami i zamiarami.

Przed północą jesteśmy na odcinku własnej kompanii. Wreszcie Slavík zwraca się do mnie: – Chodź ze mną przynajmniej nad Styr, to już niedaleko. Może dwieście do trzystu metrów. Samemu mi ciężko i boję się. Znad Styru wrócisz naszymi śladami. –

Ściska mnie mocno i kieruje swoje kroki nad zamarzniętą rzekę. Przebrnęliśmy w zaspach powyżej kolan może dwieście metrów i znajdujemy się w gęstwinie wikliny na brzegu Styru. Slavík zrzuca saperki wojskowe, wyciąga z chlebaka buty z łyżwami i wciąga je na nogi.

– Dziękuję ci za wszystko – rzuca mi się w objęcia Slavík żegnając mnie, chwyta się oburącz gałęzi nadbrzeżnej wikliny i wchodzi szybko na zamarzniętą i zasypaną śniegiem powłokę lodową Styru. Patrzę za nim nie wierząc, że się naprawdę żegnamy. Nurtuje mnie niepokój i trwoga.

Uszedł zaledwie może siedem lub osiem kroków i słyszę głuchy trzask załamującego się lodu oraz rozpaczliwy krzyk. Widzę w zadymce śnieżnej tylko cień znikającego pod lodem Tondy i rzucam się tonącemu na pomoc. Odrzucam karabin i wskakuję na Styr, lecz przy pierwszym kroku załamuje się również pode mną lód, łapię się rozpaczliwie jednej i drugiej bryły kry lodowej, wierzgam rozpaczliwie nogami i łapię wreszcie czubek gałązki wikliny nadbrzeżnej. Ostatnim wysiłkiem wygramoliłem się na brzeg, wyjmuję bagnet, wycinam gałąź wikliny i ryczę:

– Tondo – do mnie! –

Lecz nasz kochany Tonda już się nie odezwał. Zniknął na zawsze pod lodem w zdradzieckich nurtach Styru.

Oślepił mnie nagle blask reflektora, cały przemoczony przywarłem do śniegu między krzakami wikliny. Ogarnął mnie śmiertelny strach, osamotnienie i bezradność. Straciłem chwilowo orientację i przytomność. Wydało mi się, że czai się za mną cały legion mściwych czarownic wodnych. Nie mogłem rozpoznać kierunku i znów ten strach i bezradność. Przypomniały mi się słowa matki:

– Synku, uważaj zawsze i bądź ostrożny! –

Przypomniała mi się też rodzinna Ropica, w jakichś halucynacjach nawet rodzinna szkoła w Ropicy, seminarium w Cieszynie i Jarka... Wkrótce jednak otrzeźwiałem, wstałem i dopiero poczułem, że mi strasznie zimno i że nogi marzną. Podążałem kilkanaście kroków na oślep i o dziwo zauważyłem przed sobą może dwa lub trzy metry w małym parowie słabo zamarznięty strumyk, który wpadał do Styru. Widocznie ten strumyk uchodzący kilka kroków powyżej do Styru był przyczyną tak łatwej łamliwości lodu na Styrze. Wreszcie przypomniałem sobie, że mam latarkę elektryczną, zegarek ręczny i kompas. Oświetliłem pod płaszczem latarką zegarek i kompas i brnę w kierunku na zachód.

Było dopiero kilka minut po północy. Tyle strachu w tych kilkunastu minutach. W gęstej zadymce śnieżnej dobrnąłem szczęśliwie do ścieżki wzdłuż trzeciej linii zasieków drucianych i oddałem tam w górę cztery strzały z mego Manlichera. Były to jedyne strzały oddane w wigilię Bożego Narodzenia 1916 roku na odcinku naszej kompanii. Zamąciłem święta, ciszę wigilijną i naruszyłem niepisany rozejm świąteczny między walczącymi stronami.

W niedługim czasie zjawił się w asyście żołnierza dowódca placówki feldfebel Hoppke.

– Was ist los? Co się dzieje? – pyta wystraszony strzałami Hoppke.

– Mój towarzysz z patrolu podchorąży Slavík zatonął w Styrze – jąkam się ze wzruszenia i strachu.

Ruszamy we dwójkę moimi śladami nad Styr i dochodzimy niedługo do krytycznego miejsca. Hoppke zauważył od razu porzucone przez Slavíka obuwie wojskowe i złamany pod krzakami wikliny lód. Wyciął bagnetem kilka długich, grubszych prętów wikliny i zaczął szperać między krami lodu, lecz nie doszukał się niczego, ani głębokiego dna rzeki.

– Jak to się stało? – pyta mnie wreszcie Hoppke.

– Wypiliśmy każdy w naszym schronie po dużej porcji rumu pod choinką – wyjaśniam. Na pańskiej placówce pan feldfebel też sam podał w czasie kontroli każdemu z nas po potężnym pełnym kubku i do tego częstowali nas też na placówce w piątej kompanii. Slavík zaczął w drodze powrotnej mocno dokazywać. Uparł się, że musi pójść na ślizgawkę. Był przecież znanym sportowcem–łyżwiarzem. Powstrzymywałem go jak mogłem, lecz był uparty i ambitny, jak każdy as sportowy i daleko silniejszy ode mnie. Odniosłem w końcu wrażenie, że zwariował. Chyba za dużo było rumu?

Uwierzono mi, gdyż znano dobrze Slavíka z jego łyżwiarskich ekstrawagancji. Wysuszono moje ubranie na drucie nad rozpalonym żelaznym piecykiem. Zatelefonowano o wypadku do dowódcy kompanii. Wróciłem do naszego schronu wraz z żołnierzami z naszej placówki, którą na dzień zwijano przed brzaskiem słońca. Zmyśloną dykteryjkę o sportowej śmierci Slavíka powtarzałem każdemu aż do znudzenia.

Nie mogłem odżałować straty szczerego kolegi Slavíka. Nie mogłem się z tym faktem pogodzić.

W drugie święto Bożego Narodzenia zauważyłem odmrożenie palców u obu nóg. Pokazałem je feldfeblowi Vogtovi. Podał mi w papierku z apteczki jakąś maść do smarowania i powiedział, że to lekkie odmrożenie. Byłem wściekły, że nie odesłał mnie do lekarza. Przypomniałem sobie słowa matki w czasie pożegnania przed odjazdem na front na dworcu w Morawskiej Ostrawie–Przywozie: – A jak ci będzie źle synku to markiruj jakąś chorobę! –

Postanowiłem więc zachorować na jakieś zapalenie płuc lub coś podobnego. Wypiłem więc w następnym dniu pełną manierkę gorącej wody osłodzonej dużą ilością gęstego domowego soku malinowego, położyłem się na swoim barłogu oraz nakryłem się kocami i płaszczami. Za krótki czas pociłem się jak w łaźni rzymskiej. Zrzuciłem z siebie bluzkę i zalany potem wybiegłem tylko w koszuli i w luźnie narzuconym płaszczu do niedalekiej latryny, aby się załatwić. Zrzuciłem z siebie płaszcz, by nagle zziębnąć i zachorować na zapalenie płuc lub podobne choróbstwo, które by mnie zbawiło od tego przeklętego frontu i przybliżyło do domu i do ... Jarki. Było ponad dwadzieścia stopni mrozu. Deska sedesu iskrzyła się od grubego i perlistego firnoszronu. Od Styru ciągnęła znowu gęsta lecz siarczyście mroźna mgła.

Nasiadówka nie trwała jednak dłużej jak minutę, gdyż wypłoszyła mnie z niej eksplozja granatu rosyjskiego, który trafił kilka metrów od latryny. Wpadłem w strachu do schronu gubiąc po drodze płaszcz i trzymając spodnie w ręku. Zadora i inni ryczeli ze śmiechu i drwili ze mnie.

Jednak nie zachorowałem na to zbawienne zapalenie płuc, ba nawet nie zaziębiłem się, tylko odmrożone palce u nóg dokuczały mi nadal.

I tak musiałem dalej pełnić służbę w c.k. armii Austro–Węgier wśród śnieżnych zadymek i silnych wołyńskich mrozów w okopach nad Styrem.

Już bez przyjaciela Slavíka. Chwała Bogu, że był jeszcze w kompanii Zadora! Karwiniak – Ślązak – Polak i dobry, szczery przyjaciel!

c.d.n.

ALOJZY NOWOK



Małżeństwo Emilia i Jan Macurowie z Ropicy. Emilia Macura z domu Nowok była siostrą Alojzego Nowoka, autora pamiętników „Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim".

Zdjęcie wykonał w 1923 r. zakład fotograficzny H. Jandaurek w Cieszynie.

WSPOMNIENIA POD SERDUSZKIEM

Do literatury pamiętnikarskiej wpisało się wielu naszych rodzimych autorów, między innymi Alojzy Sznapka (1895–1942), nauczyciel, publicysta, burmistrz gminy Sucha Górna. W roku 1914 ukończył cieszyńskie seminarium nauczycielskie i podjął pracę w szkole w Stonawie. W 20. roku życia zostaje powołany do armii austriackiej. Na uwagę zasługują jego obszerne pamiętniki, które zaczął prowadzić w czasie pierwszej wojny światowej na froncie rosyjskim, włoskim oraz we Francji w armii gen. Józefa Hallera, w której jako oficer służył dwa lata. Fragmenty tych wspomnień przypominają między innymi wydarzenia powrotu Hallerczyków w 1919 roku do wolnej i niepodległej Polski. Znajdujemy tu ciekawe opisy żołnierskiego życia, czasem przeplatane wątkami życia osobistego. No cóż, jak mówi stare przysłowie: „Za mundurem panny sznurem".

OTOKAR MATUSZEK

Z FRANCJI DO POLSKI

...13 pułk strzelców polskich armii gen. Hallera, po dwumiesięcznym pobycie we Francji, wczesnym rankiem 20 maja 1919, żegnany przez ludność francuską, wyruszył marszem do Montreux, skąd batalionowymi transportami kolejowymi przez Niemcy odjechał do Polski. Pierwszy transport, ze sztabem pułku, minął w brzasku wschodzącego dnia 23 maja 1919 roku granicę niemiecko-polską. Kilkanaście metrów od granicy, na ziemi polskiej, pociąg wjechał w cichy i głęboki las. Żołnierze wysiedli z wagonów, rzucając się na ziemię, całując ją z radości, że nareszcie po długiej niewoli i tułaczce przybyli do wolnej i niepodległej Polski. Orkiestra pułkowa zagrała hymn narodowy i „Rotę". Żołnierze płakali z radości, ślubując wierność do ostatniej kropli krwi. Ta wzniosła chwila w życiu żołnierza-tułacza utkwiła nam na zawsze w pamięci i w sercach żołnierskich. Na najbliższej stacji polskiej witała nas spontanicznie ludność cywilna. Pomimo szarzejącego brzasku dnia na stacjach były nieprzejednane tłumy, lasy sztandarów, wygłaszano mowy powitalne, obsypywano nas kwiatami, witano oklaskami, śpiewano pieśni żołnierskie i patriotyczne. Wzdłuż toru paliły się powitalne ognie i stały szpalery pochodni. Tak właśnie wśród entuzjazmu ludności krajowej i naszej radości osiągnęliśmy już późno popołudniu Włocławek, cel naszej podróży. Była sobota 24 maja 1919 roku.

WE WŁOCŁAWKU

Trudno opisać przyjęcie, jakie zgotowało nam miasto. Dworzec przy naszym wjeździe był wprost oblężony. Kiedy wysiedliśmy z pociągu zasypano nas deszczem bukietów i kwiatów. Szczególnie były to panienki, na które nasze niebieskie mundury robiły przyjemne i fascynujące wrażenie. Zapchanymi ulicami ruszyliśmy na rynek, gdzie odbyło się oficjalne powitanie przez władze miejskie i publiczne. Po defiladzie przy blasku pochodni ruszyliśmy koło północy na kwatery, zmęczeni wskutek nieprzespanych poprzednich nocy...

Obywatele Włocławka odnosili się do nas z przesadną grzecznością. Wszędzie ustępowano nam miejsca. Nie pozwalano mimo naszych protestów czekać w kolejce np. u fryzjera, w sklepie...

Następną niedzielę sprowadzono do Włocławka dla uczczenia naszego powrotu teatr warszawski. Dawano „Halkę" Stanisława Moniuszki. Dla nas zarezerwowano loże. Zarzucano nas kwiatami a nawet aktorki ze sceny rzucały nam bukiety. Miłe i radosne to wspomnienie...

W BRZEŚCIU KUJAWSKIM

... Pobyt w Brześciu Kujawskim był bardzo przyjemny i kreślę go w kilku epizodach, które przyczyniały się do urozmaicenia monotonnego czteromiesięcznego pobytu w mieście, leżącym kilka kilometrów na zachód od Włocławka. Codziennie przebywaliśmy na ćwiczeniach... Celem nawiązania łączności z ludnością cywilną urządzało dowództwo raut, koszta którego pokrywaliśmy z własnych kieszeni...

Jakkolwiek Brześć Kujawski jest małą mieściną i to w dodatku żydowską, rozwinęło się miłe życie towarzyskie. Początkowo spędzaliśmy wolne wieczory w restauracji mojego gospodarza Berga. Sami gospodarze przedstawiali typy napuszonych dorobkiewiczów. Mieli dwie córki, z których starsza zaręczona była z weterynarzem naszego pułku... Młodsza córka, Stasia, był to miły, wesoły, szesnastoletni podlotek. Jego dziecinny szczebiot bawił mnie w wolnych chwilach. Dzień przed moim odjazdem na kurs dowódców kompanii do Warszawy pękła bomba mojego zdumienia. Byliśmy na weselu nadporucznika Władysława Galińskiego, dowódcy jednej z naszych kompanii. Wieczorem przy pożegnaniu się z towarzystwem zauważyłem łzy w oczach Stasi. Jakie było moje zdumienie, kiedy przy ubieraniu czapki wypadła zwinięta jakaś kartka, z treścią „Kocham Pana szalenie. Błagam Pana o wzajemną pamięć. Stasia Berżańska, Włocławek, gimnazjum żeńskie." W pierwszej chwili nie domyśliłem się, od kogo list pochodzi z powodu dziwnego adresu i obecności innych nieznanych mi panien. Zagadkę rozwiązała sama Stasia. Wybiegła za mną na korytarz, rzuciła mi się w ramiona, wybuchła płaczem i odleciała do pokoju. Z kursu nawiązałem z nią korespondencję, z mojej strony błahą, z jej strony poważną i miłosną, graniczącą z szałem. Po ukończeniu kursu zajechałem na jeden dzień do Brześcia i nocowałem u Bergów, ale jej nie było w domu. Los nie dopuścił do zetknięcia się

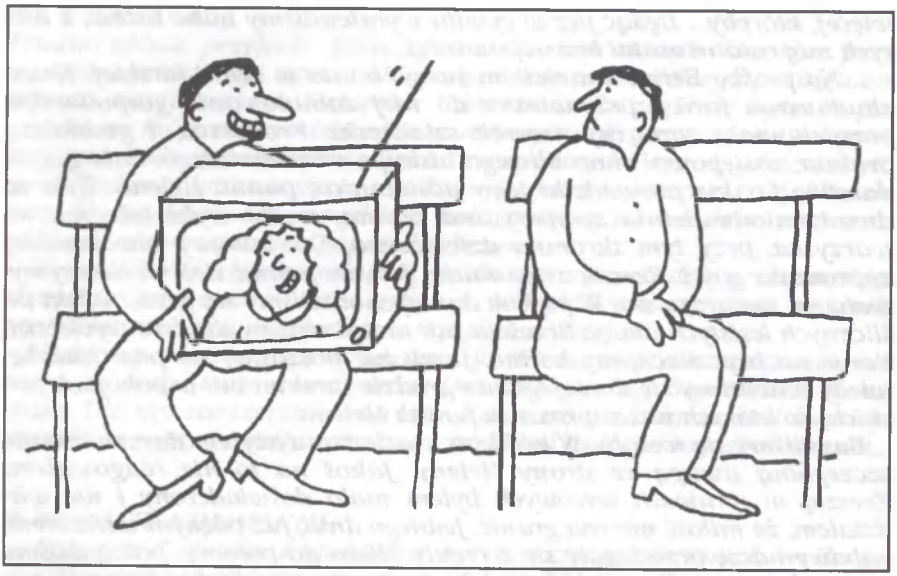
więcej, któreby... Będąc już w cywilu wymieniliśmy kilka listów, z których mój ostatni został bez odpowiedzi...

... Na prośbę Berga umieściłem swego konia w stajni farskiej. Nowo zbudowana fara i przynależne do niej zabudowania gospodarskie przedstawiały zamożny dworek szlachecki. Proboszcz, z godnością prałata, zastępował chorobliwego biskupa włocławskiego. Całe gospodarstwo farskie prowadziła jego siostrzenica, panna Helena. Była to dwudziestodwuletnia sympatyczna panna, nader wykształcona, towarzyska, przy tym skromna dziewczyna. Dla zabawy towarzyskiej zapraszała gości. Rzeczą zrozumiałą jest, że panna Helena dotrzymywała mi towarzystwa. W piękne dni wychodziliśmy na przechadzki do ślicznych lesistych okolic Brześcia lub urządzaliśmy dłuższe wycieczki. Panie na bryczkach, my konno. Jeżeli nie poszliśmy na przechadzkę, wtedy bawiliśmy się w rozległym ogrodzie farskim lub w pokojach farskich, do których nas zapraszała panna Helena.

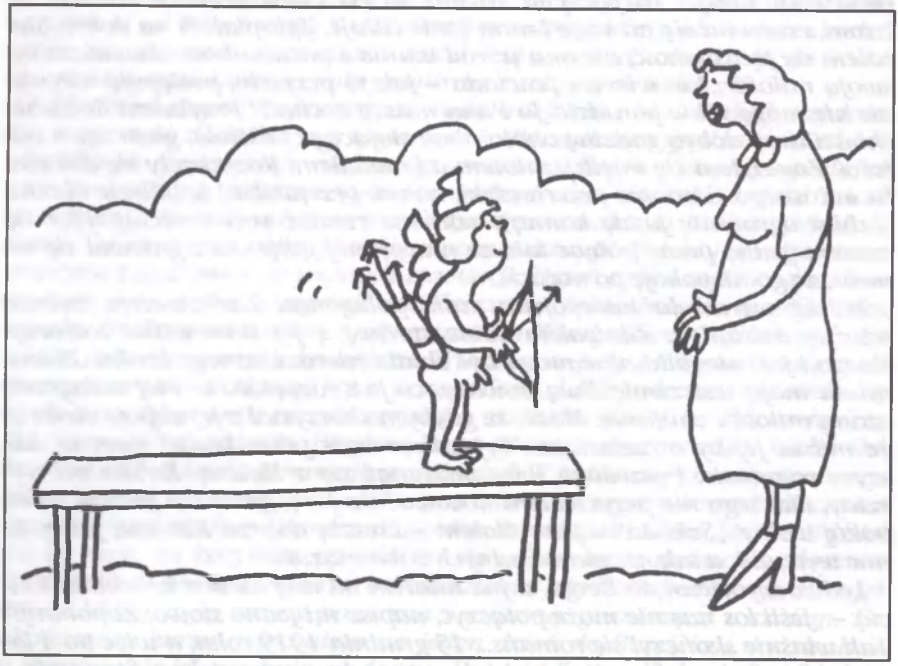
Bawiliśmy się wesoło. W krótkim czasie zauważyłem darzenie mnie szczególną uwagą ze strony Heleny. Jakoś na to nie reagowałem. Zresztą w sprawach sercowych byłem mało doświadczony i nie wiedziałem, że miłość nie zna granic. Jednego dnia, już późnym wieczorem, zabawy nasze przeciągały się z reguły blisko do północy, pożegnaliśmy się na dobranoc. Panna Helena bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi, wychodzi za mną i rozpoczyna rozmowę. Po kilku słowach zalewa się łzami, rzuca mi się na szyję i namiętnie całuje. Zgłupiałem na dobre. Starałem się ją uspokoić, ale ona wśród łkania i pocałunków oświadcza mi swoją miłość. „Nie wiem – powiada – jak to przyszło, postępuję niecnie, ale nie mogę sobie poradzić. Ja Pana muszę kochać." Przytuleni do siebie chodziliśmy dobrą godzinę około obok stojącego kościoła, gwarząc o miłości. Znalazłem się między młotem a kowadłem. Rozpoczęły się dni szału miłosnego. Samotne przechadzki, konne przejażdżki w odległe okolice (lubiła ogromnie jazdę konną), sekretne rendez vois przeciągające się czasem grubo przez północ tak, że nawet mój gospodarz gniewał się na mnie, że go niepokoję po nocach.

Miłość wzrastała ku mojemu zaniepokojeniu. Zachowałem zawsze trzeźwy rozsądek. Zdawałem sobie sprawę z jej stanowiska towarzyskiego i jak nieobliczalne mogą być skutki nierozważnego kroku. Zrozumiała moją wstrzemięźliwą powagę, co już rozpętało w niej nieograniczoną miłość i zaufanie. Może, że gdybym skorzystał z jej zapomnień się, że miłość jej by otrzeźwiała. Wyjazd na kurs przeszkodził nam w dalszym romansie. Poszedłem więc pożegnać się z Heleną. Robiła mi wyrzuty, dlaczego nie przyszedłem nocować na farę, gdzie był jeszcze jeden pokój wolny. „Szkoda" – pomyślałem – zresztą dobrze. Kto wie, jakby ta noc wypadła, a tak nie mam żadnych zobowiązań.

Ledwo wróciłem do Berga, a już miałem od niej liścik z króciutką treścią – „Jeśli los nas nie może połączyć, napisz mi jedno słowo: Zapomnij!" Tak właśnie skończył się romans... 15 grudnia 1919 roku, a więc po 4 latach i 9 miesiącach wojenki, objąłem posadę nauczyciela w Stonawie.



Zawsze jest uśmiechnięta i punktualna



W imieniu naszych przedszkoli dziękuję za współpracę *rys. BRONISŁAW LIBERDA*

JAN SZNUROWACKI

MIŁOŚĆ

Miłość, bracie, jest wyznaniem,
Co najwięcej dusz zyskało,
Miłość jest ofiarowaniem,
Co się zawsze odbywało.
Kto słuszności mi nie przyzna?
– Co ołtarzem, kto kapłanem?
Wół ofiarny, to mężczyzna,
Ginie w sercu ukochanem;
Luba tę ofiarę składa,
A ofiara: „śpiesz się" – gada.

DAWNIEJ I DZIŚ

Dawniej Kasie i Maryny
Nie zmieniały wciąż czupryny,
Włosów swych nie przypiekały,
Lecz „na gładko" się czesały.
Dawniej Zuzki i Haleczki
Wyglądały jak laleczki,
Choć nie znały mikstur żadnych,
Ani pudru, różów zdradnych.
Głowę prosta chustka kryła,
Chociaż nie z jedwabiu była.
Strój swój śląski szanowały
I na roli zostawały.
Młódź, szanując te przymioty ,
Nie bawiła się w zaloty,
Wkrótce sprawę ułożono
I z ochotą się żeniono.

Ale dzisiaj „frajli Zuzi"
Kilo pudru ma na buzi,
Włosy strasznie nastroszone,
Uszy kłódką obciążone;
(Gdyby usta nią zamknęły,
Toby znośniejszemi były).
Suknie „pańskie", powłóczyste,
Słowem, to straszydło czyste;
Gdy na głowę skrzydło wsadzi,
To ostrożność czmychnąć radzi.
Jak papuga „gutnamt" klepie,
Czy przed państwem, czy to w sklepie.
Na wsi za nic nie zostanie,
Bo tam chłopki, a nie panie.
Choć „galanów" sto już miała,
Jeszcze „panną" pozostała...

Jan Sznurowacki (1883–1941) – ur. w Gnojniku, ksiądz katolicki, publicysta i tłumacz, pisał wiersze, bajki i monologi, drukował w „Zaraniu Śląskim" i „Gwiazdce Cieszyńskiej".

FRASZKI GUSTAWA SAJDOKA

AFORYZMY O MIŁOŚCI

Miłość gwałtowna przechodzi jak ulewa, po której alarm powodziowy zostaje odwołany.

Miłość tajemnicza nie myje okien do swego mieszkania.

Miłość ogórkowa ustaje po ogoleniu zarostu.

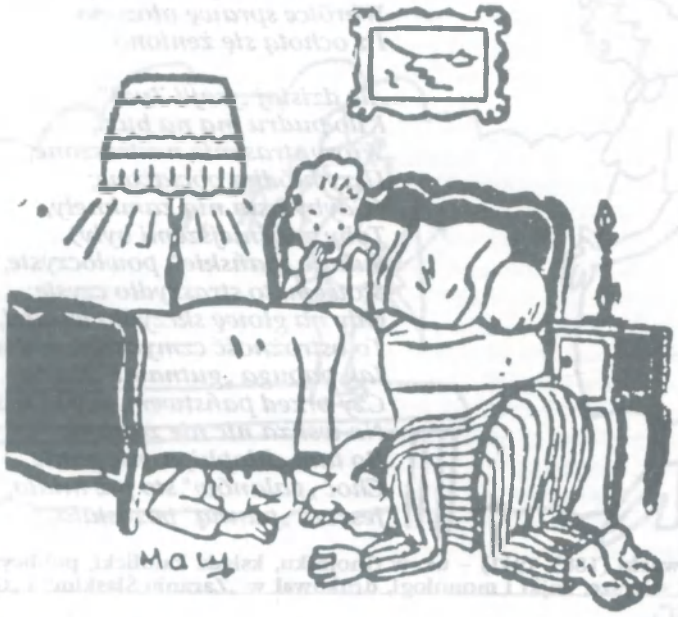
Człowiek bez miłości powoli zamarza jak rzeka ścięta lodem.

Miłość to spinka od krawata od kochanej osoby.

Kochanie bez miłości to prasowanie bielizny zimnym żelazkiem.

Miłość nie odwzajemniona staje się ciężarem, który topnieje wśród życzliwych ludzi.

Miłość bezgraniczna ma swoje granice, które wyznacza czas.



– Co tu robicie, człowiecze?! – Jo –– Wy tymu nie bedziecie chcieć wierzić, ale jo tu czakóm na tramwaj! – (z KALENDARZA GŁOSU LUDU 1948)

Zrzeszenie Literatów Polskich w Republice Czeskiej
pod patronatem Ministerstwa Kultury i Rady Polaków
ogłasza

KONKURS LITERACKI im. Pawła KUBISZA

a) w dziale poezji
b) w dziale prozy
c) w twórczości dla dzieci

REGULAMIN KONKURSU

1. W konkursie mogą brać udział wszyscy autorzy ZLPC oraz pionu literackiego SLA ZG PZKO, jak również autorzy niezrzeszeni w związkach twórczych, mający miejsce stałego zamieszkania na terenie Republiki Czeskiej.
2. Do konkursu należy wysłać:
   a) zestaw **pięciu utworów poetyckich o dowolnej tematyce** w czterech egzemplarzach maszynopisu,
   b) zestaw **trzech opowiadań o dowolnej tematyce** w czterech egzemplarzach o maksymalnej objętości 15 stronic maszynopisu łącznie,
   c) **pięć wierszy dla dzieci** lub trzy opowiadania dla dzieci o dowolnej tematyce w czterech egzemplarzach maszynopisu oznaczonych literą „D".
3. **Na konkurs nie mogą być nadesłane prace dotąd nigdzie niepublikowane i nienagradzane**. Zestawy należy opatrzyć godłem. Do tekstów należy dołączyć zaklejoną kopertę podpisaną tym samym godłem, a zawierającą następujące informacje: imię i nazwisko oraz dokładny adres autora prac.
4. Prace należy nadsyłać **do 30 września 1997** pod adresem: RADA POLAKÓW w RC dla ZLPC, ul. Hlavní 3, 737 01 Czeski Cieszyn, z dopiskiem na kopercie „Konkurs literacki".
5. JURY, w skład którego wejdą znani literaci i krytycy, przyzna w każdym dziale następujące nagrody:

Nagroda I stopnia	2500 Kč
Nagroda II stopnia	1500 Kč
Nagroda III stopnia	1000 Kč
Wyróżnienie	500 Kč

6. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.
7. **Konkurs zostanie rozstrzygnięty do 30 listopada 1997 r.** O wręczeniu nagród wszyscy laureaci powiadomieni zostaną specjalnymi zaproszeniami.
8. Nadesłanych prac organizatorzy nie zwracają.
9. **Nagrodzone prace zostaną opublikowane.**
10. Sprawy nie ujęte w regulaminie i sporne rozstrzyga JURY oraz Komitet Organizacyjny Konkursu.

GUSTAW SAJDOK
prezes ZLPC

PAWEŁ KUBISZ

CREDO

Pragnę iść w ciemne i przeklęte światy,
Gdzie cicho błądzi – smutku upojenie.
Gdzie nie ma szczęścia, tylko ból skrzydlaty
Zawodzi ludziom, posępne skarg pienie.
Gdzie dzień wolności pochowano w kraty,
W kajdan zakuto prawdę, krzyk – westchnienie.
Gdzie żałość łzami sierocymi sieje,
Na puste pola i wichrów rozwieje.

Pragnę iść w mroki i głuche otchłanie
Kędy głos trwogi przeraźliwie bije –
Na wieczne duszy, zatraceń konanie...
Chcę wiedzieć jeno, czy miłość tam żyje
Czy tli nadzieja – czy śni zmartwychwstanie!
Czy może padło serce z bólu czyje?
Tam chcę iść wołać, by wieścić brzask nowy,
W ludowej pieśni i prostymi słowy!

Z tomiku „Przednówek"

Tam pod lasym na buczynie
Kąsek świata we mgle płynie –
Tamżech posoł sztyry krowy,
Synek mały i niezdrowy.

Tamżech se pieśniczki śpiywoł,
Na piszczołce se wygrywoł –
Ciurlikały mi zwóneczki,
Co nosiły ich króweczki...

A kiej jesiyń sie kąpała
W pajęczynie – mrozym słała;
To jo boso krowy posoł
I zębami z zimy ciosoł.

Puchły z mrozu mi palczyska,
A na nodze dwa wrzodziska
Taki sine i czyrwióne –
Pęczniały mrozym nabrnióne.

JANUSZ GAUDYN

WNUKOM

Pamięci Pawła Kubisza

Co mam o Śląsku wam opowiedzieć

Jeśli powiem że z dymów Trzyńca
zrodził się tu poeta

Czy zrozumiecie

Jeśli powiem że Olza co tu płynie
odnosiła w niepamięć
pieśni naszych dziadów

Czy zrozumiecie

A hardy Jaworowy
pozdrawiał po polsku
owieczki na stokach Kozubowej

Czy zrozumiecie

Każdy zwykł śpiewać o swoich
bo swojską zaraził się nutą

Dlatego opowiem wam tylko o tym
że chmury u nas czerwieniły się
na pogodę
że kochaliśmy bez hałasu
wszystko co było nasze

PAWEŁ KUBISZ

DOKTOR HNATYSZEK

W naszym hawierskim rewirze w Karwinie istną plagą był dla górnika lekarz. Nie daj Boże zachorować. Gdybyś nawet jedną nogą był na drugim świecie, to taki rewirowy lekarz, podlizek panów Laryszów, Guttmanów i Rotschildów – gnał cię do roboty jak starego, kulawego wołu z książęcego folwarku w Zebrzydowicach. Najgorszy z nich był doktor Hnatyszek – galicyjski Ukrainiec z Galicji, który w Karwinie przystał do Niemców, a z hawierzami gadał pięknie po polsku. Doktor Hnatyszek uważał, że najlepszym lekarstwem na wszelkie schorzenia jest robota.

Staczałem z doktorem Hnatyszkiem swego rodzaju potyczki. Zaczęło się od sromotnego bólu zębów. Rozbolały mnie dwa trzonowe. W piątek mi zapuchła gęba, w sobotę poszedłem do doktora.

– Gęba mi puchnie, zęby bolą, co mam robić?

– To nie jest żadna choroba! – odpowiedział Hnatyszek. To jest oznaka zdrowia. Wasz organizm skutecznie zwalcza lekkie zapalenie okostnej. Powinniście w ciasnych butach nie chodzić i kiszonej kapusty nie jeść, a w poniedziałek możecie iść do pracy.

– W niedzielę przecież i tak nie robię.

– Wiadomo. I jeszcze jedno, panie górnik, za czternaście dni zjawicie się u mnie i przyniesiecie urynę do zbadania.

Kazał mi iść z Bogiem, więc poszedłem, a że szlag mnie trafiał, pomyślałem, że jeśli Hnatyszek jest taki mądrala, to należy mu dać nauczkę.

Po dwu tygodniach zgłosiłem się do wizyty.

– Dzień dobry, panie górnik. Hę, widzę, że pan zdrów jak rybka. Liczka sklęsły, ząbki już chyby nie bolą?

– Gęba sklęsła, ale zęby bolą!

– Przejdzie, wszystko się uspokoi. A co to, panie górnik, przynieśliście ze sobą w tych dwóch konewkach?

– To jest uzbierana zgodnie z pańskim życzeniem za czternaście dni uryna.

Było trzeba widzieć doktora Hnatyszka! Tym razem jego chciał szlag trafić.

– Co, błazna stroicie ze mnie? Jestem doktorem, a nie znachorem jak ta Canibołka z Pułtuska. On mi tutaj dwie konewki gnojówki przyniesie! I ja to mam wąchać? Tą gnojówką podlejcie sobie kwiatki w ogródku! Prędko z nią za drzwi!

W taki sposób skończyło się leczenie zębów u doktora Hnatyszka. Ale już nazajutrz przy rąbaniu węgla w hawierni spadłem z usypiska na żelazne ostrze świdra tak nieszczęśliwie, że niemiłosiernie rozharatałem nogę. Było trzeba pójść znowu do doktora. Zaprowadziło mnie tam dwóch kamratów – hawierzy, doktór urzędował zresztą nieopodal szybu. Gdy mnie doktor ponownie zobaczył u siebie, nie był zbytnio zachwycony.

– Co to? Znowu ten pan górnik, co to gnojówkę lekarzom w konewkach przynosi?

Kamraci powiedzieli, że padłem ofiarą wypadku.

– Nagły wypadek? Dajcie go tu bliżej, niech chuchnie. Pewno się upił i rozharatał nogę.

Chuchnąłem doktorowi w twarz, ale wódką ode mnie nie zalatywało.

Lekarz podciągnął przesączoną krwią nogawkę spodni i spojrzał na ranę. Oczyścił ją i zabandażował.

– Panie górnik, tę nogę aż do kolana trzeba w szpitalu obciąć!

– A dlaczego?

– Bo gangrena.

Nie powiedziawszy słowa więcej, Hnatyszek wypisał mi zwolnienie z pracy. Pomyślałem: jest źle, ale spytałem, czy obcięcie nogi jest konieczne, czy nie ma innego wyjścia.

– Jest inne wyjście: położyć się w łóżku i czekać spokojnie śmierci. Jak chcecie. Możecie albo żyć bez nogi albo rychło umrzeć z nogami.

Powiedziałem mu, że wolę umierać z dwiema nogami niż żyć jako jednonogi kaleka. Kamraci hawierze zawieźli mnie do domu. Każdy doradzał co innego... A żona nie omieszkała pojechać zaraz do znachora w Cieszynie. Był to posiadający urzędowe uprawnienia homeopata. Przyjechał i zaczął leczyć nogę. Leczył ją z gangreny sześć miesięcy, ale wyleczył. Po sześciu miesiącach zameldowałem się u doktora Hnatyszka. Kiedy mnie zobaczył, niepomiernie się zdziwił. Że żyję i że mam obydwie nogi zdrowe. Ale z tropu zbić się nie dał.

– No tak, ale gdybyście posłuchali mojej rady i dali nogę obciąć, to za trzy miesiące bylibyście zdrowi jak ryba. A tak trwało to sześć miesięcy i jeszcze nie wiadomo, czy nie będziecie kuleć.

I gadaj tu potem z takimi...

MACIEJ SŁOMCZYŃSKI
I NAGRODA TRAKLA

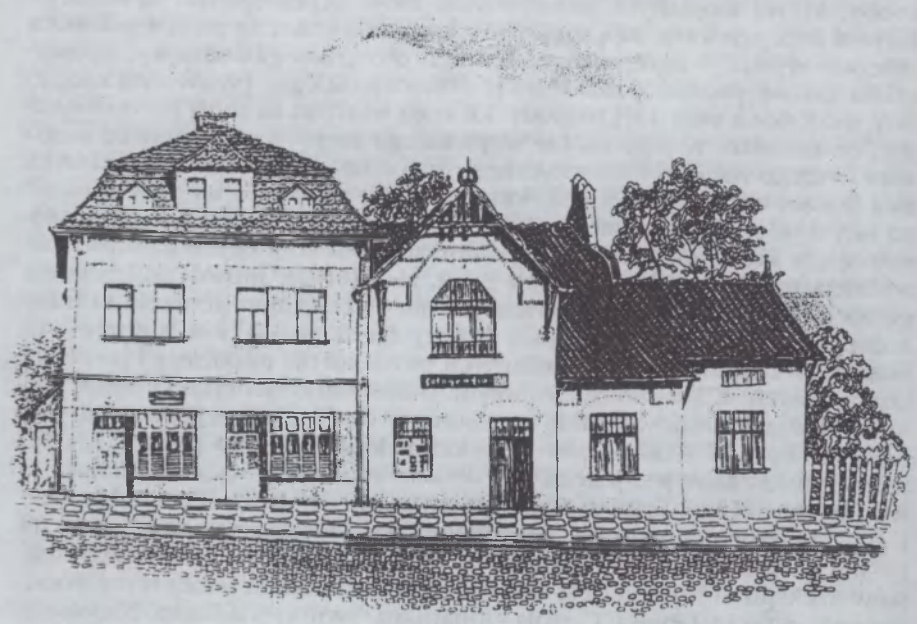
Georg Trakl (1887–1914) to jedna z najbardziej fascynujących postaci literatury austriackiej XX wieku. K.Lipiński napisał: *„Jego poezja urzeka nie tylko pięknem i melodią języka, pociąga również swoją tajemniczością, wrażeniem, że za szyframi i symbolami istnieje wielka, przeżyta prawda, istnieje cierpienie i walka z samym sobą, upadek, apokalipsa i niedoskonała pokuta poezji."* Przyznaję się bez bicia, że z twórczością tego poety, dziś porównywalnego z Rilkem i Hofmannsthalem, zetknęłam się dopiero przed kilku laty. Cóż, jego życiorys, w którym moraliści dopatrują się przede wszystkim tragicznej miłości do własnej siostry, narkotyków i alkoholu, a wreszcie rozpadu osobowości, nie wytrzymującej psychicznego trudu istnienia, nie był podręcznikowy. Nie dość, że próby znalezienia dla siebie miejsca w mieszczańskim świecie, którego nienawidził, zakończyły się fiaskiem. Dobiegała jeszcze końca pewna epoka, a okropności pierwszych miesięcy wojny światowej, w której uczestniczył jako żołnierz na froncie galicyjskim, doprowadziły go niemal do obłędu. W wierszu o swojsko dla nas brzmiącym tytule „Gródek" (chodzi o Gródek-Rawę Ruską w obwodzie lwowskim) czytamy *„Cień siostry przemyka przez milczący gaj, / Pozdrowić duchy bohaterów, krwawiące głowy. / O dumniejszy smutku ! Spiżowe twe ołtarze / Gorący płomień ducha karmi dziś potężny ból, / Nie narodzone wnuki."* W kilka dni później, po bitwie pod Gródkiem we wrześniu 1914 roku, poeta przewieziony w szoku do szpitala w Krakowie zmarł tam w wieku 27 lat po zażyciu, zapewne w celach samobójczych, nadmiernej dawki kokainy. Został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie, skąd jego szczątki zostały przeniesione w 1925 roku do Austrii.

Czytając o miejscowości, leżącej na terenie dzisiejszej Ukrainy i o wnukach, wiedziona przeczuciem zajrzałam do rodzinnych annałów. „O, roku wojny !", chciałoby się powtórzyć za wieszczem. Na kilka miesięcy przed śmiercią Trakla, nieopodal, w obwodzie stanisławowskim na Ukrainie, urodził się mój dziadek, Rudolf Putzlacher, w rodzinie polskiej, której nazwisko wskazywało jednak na austriacki rodowód. Przypadek sprawił, że w osiemdziesiąt lat później przyszło mi odebrać w Krakowie, ostatnim

miejscu pobytu Trakla, a moim ukochanym mieście, nagrodę jego imienia za tomik poświęcony moim austriacko-galicyjskim korzeniom i dedykowany ... pamięci dziadka. Zaskoczenie było tym większe, że w ogóle nie wysyłałam tego tomiku, bo nie miałam pojęcia o tym, że taki konkurs ma miejsce.

Pomysłodawcą Literackiej Nagrody Georga Trakla był ówczesny konsul generalny Republiki Austrii w Krakowie, dr Emil Brix, który od chwili objęcia swego stanowiska prowadził w południowej Polsce bardzo ożywioną działalność, popularyzując austriacką muzykę, plastykę, literaturę i konsekwentnie wspierając tak często dziś zaniedbywaną „wysoką sztukę". W roku 1991 „wymyślił" literacką nagrodę dla polskich poetów, której patronem uczynił nieprzypadkowo Georga Trakla, którego dzięki temu znakomicie spopularyzował w Polsce, bo już w następnym roku ujrzały światło dzienne jego „Poezje zebrane" w przekładzie i wyborze Andrzeja Lama, a w 1993 roku „Jesień duszy" w wyborze i przekładzie Krzysztofa Lipińskiego. W tym samym roku w wydawnictwie „Olza" pojawił się mój zbiorek „Ziemia albo-albo", który postanowiłam przesłać panu konsulowi Brixowi, który nieraz podróżując z Krakowa do Wiednia, zatrzymywał się w Cieszynie na imprezach kulturalnych, m.in. na Festiwalu Teatralnym na Granicy. To on, słysząc moje nazwisko, zapytał, czy moi przodkowie wywodzą się ze Styrii, a konkretnie z Grazu, bo tylko tam spotkał się z nim. Wydawało mi się więc, że nie ma właściwszej osoby, której mogłabym zadedykować moje genealogiczne dywagacje. Konsul Brix przekazał mój tomik jury konkursu (choć w myśl regulaminu należało wysłać 3 egzemplarze) i w ten oto „nieregulaminowy" sposób udało mi się poznać pana Macieja Słomczyńskiego, przewodniczącego jury wszystkich edycji tej nagrody, którego werdykt na moją korzyść sprawił, że zyskałam w jego osobie wspaniałego rozmówcę, wydawcę mego najnowszego zbiorku i autentycznego mecenasa. I to właśnie on zamyka mój poczet ludzi niezwykłych, których udało mi się do tej pory spotkać na mej drodze. Wdzięczna mu jestem za serię poetycką (jest jej pomysłodawcą), w której postanowił prezentować poetów, których nazwiska nie widnieją na pierwszych stronach gazet, ale których sposób postrzegania świata jest mu bliski. Sam bowiem jest nieprzeciętnym pisarzem i tłumaczem. Urodzony w 1920 roku Maciej Słomczyński jest autorem 40 książek, w tym niezwykle popularnych powieści dla młodzieży i powieści kryminalnych. Kilku moim znajomym, miłośnikom dobrych kryminałów, niezwykle zaimponował fakt, że znam się osobiście z legendarnym Joe Alexem, bo taki właśnie jest pseudonim krakowskiego pisarza. Maciej Słomczyński znany jest jednak przede wszystkim jako wybitny tłumacz literatury angielskiej (sam zresztą jest dwujęzyczny dzięki matce Angielce i stąd znakomicie rozumie rozerwanie nas, ludzi pogranicza). Ma na swoim koncie przekłady ponad 60 tytułów, jest uznanym tłumaczem tekstów Szekspira i Joyce'a (jest założycielem i członkiem James Joyce Foundation), a także Lewisa Carrola, Jonathana Swifta, Vladimira Nabokova i wielu innych. W trakcie jednej z moich krakowskich wizyt pan Maciej

zapytał mnie, czy znam Stanisława Sojkę. Kiedy powiedziałam, że to od lat jeden z moich ulubionych wokalistów, stwierdził, że wczoraj siedział w fotelu, w którym usiadłam i wręczył mi płytę kompaktową Sojki, zatytułowaną „Soyka - Sonety - Shakespeare". Nie wiedzieliśmy oboje w tej chwili, że wkrótce będzie to wielki przebój na rynku fonograficznym i że pan Maciej jako tłumacz sonetów zarobi więcej dzięki tej płycie aniżeli wydaniom książkowym. Takie czasy ... Wspominałam na początku o działalności popularyzatorskiej konsula Brixa. Jeżeli płyta Sojki miała wśród wielu innych zadań przyczynić się do ponownego odczytania nieśmiertelnych (bo wszystko istotne zostało w nich już powiedziane i nie zdeaktualizowało się) sonetów przez młodzież, z pewnością gra warta była świeczki. Nieprzypadkowo na okładce płyty widniał przekorny napis „Od XVII wieku stale na listach przebojów". Z pewnością stary Szekspir nie spodziewał się, że znajdzie się w XX wieku na listach przebojów. Natomiast świadomy był nieprzemijalności swych strof, gdy pisał te słowa: *„Kropla po kropli, Czasu balsam cichy / Odświeża ciebie, a mnie śmierć też sprzyja; / Wbrew niej żyć będę w tym wierszyku lichym, / Gdyż ona głupich i niemych zabija, / A pomnik, który tu dla ciebie wzniosłem, / Przetrwa tyranów grobowce wyniosłe."* (Sonet CVII, przekład M.Słomczyński)



rys. ALICJA BARTULCOWA (motyw orłowski)

TAJEMNICZA FIGURKA

Stacja telewizyjna „Polonia" zaprezentowała niedawno rozmowę z emerytowanym księgowym Zbigniewem Trześniowskim, który stał się gorliwym zbieraczem historii regionu. Kręgiem jego hobby są przede wszystkim kapliczki w okolicy Łańcuta. Była to frapująca historia obejmująca tajemnicze zdarzenia dotyczące małych budowli sakralnych.

Wojciech Żukrowski w czasie swojego pobytu na Zaolziu spotykał się przede wszystkim z czytelnikami. W Czeskim Cieszynie podpisywał wtedy czeskie wydanie „Kamiennych tablic" w tłumaczeniu Heleny Stachowej.

O historii tajemniczej figurki dowiedziałem się od Żukrowskiego w ośrodku szkoleniowym PZKO w Koszarzyskach. Pan Wojciech jest nie tylko znakomitym pisarzem, ale również przednim gawędziarzem. Cała ta niezwykła przygoda przedstawia się następująco:

W regionie beskidzkim, gdzieś w pobliżu Istebnej, a może Koniakowa, znaleziono bardzo starą rzeźbę w drewnie. Przedstawiała Matkę Boską. Figurkę odkryto w pobliżu starej kapliczki krytej gontami. Tam, gdzie strzecha szyndziołów dotykała ziemi, była ukryta rzeźba. Biskup diecezji podarował Żukrowskiemu figurkę, a ten w czasie, kiedy przenosił się z katowickiego do Warszawy, zabrał podarunek z sobą. Gdziekolwiek umieszczono figurkę, emanowała nastrój, nie pozwalający mu pracować. Podczas okazyjnego pobytu w Katowicach zadzwonił do biskupa i wszystko mu opowiedział. Postanowiono wtedy, że zostanie wybudowana specjalna kapliczka dla drewnianego wizerunku Matki Boskiej. Pomysł został zrealizowany i rzeźba o tajemniczej wymowie pozasłownej wróciła w Beskidy.

Chyba zgodzicie się z poglądem, że takich zdarzeń można się doszukać w naszej rzeczywistości o wiele więcej...

Zbigniew Trześniowski przypomniał mi w TV to zdarzenie, bo sam przeżył coś podobnego... we własnym życiu.

Niestety mówił również o tym, że często przydrożne kapliczki, które przeżyły wojny i zawieruchy - są obecnie okradane, a oryginalne rzeźby ludowe zastępują złodzieje tanimi imitacjami. No tak, to jeden ze znaków rozpoznawczych naszego czasu.

RENCISTA

70 LAT ZORGANIZOWANEGO ŚPIEWACTWA POLSKIEGO NA ZAOLZIU

ŻYCIE ŚPIEWACZO-MUZYCZNE W LATACH 1914–1920

Pierwsze półrocze 1914 roku należy jeszcze do okresu pomyślnie rozwijającego się ruchu śpiewaczo-muzycznego na Śląsku Cieszyńskim. W sali ratuszowej w Jabłonkowie koncertuje chór męski, a nawet chór mieszany i orkiestra miejscowego Koła Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, młodzież szkoły wydziałowej cieszyńskiej Macierzy Szkolnej urządza wieczorek muzyczny poświęcony Tadeuszowi Kościuszce z udziałem chórów szkolnych. Wieczorek dał świadectwo o wysokim poziomie szkoły wydziałowej. „Program był doskonale ułożony, a wykonanie tak piękne, że publiczność ze zdumieniem patrzała i słuchała. Radość i duma malowały się na twarzach zebranych, gdy patrzyli na produkcję najmłodszej młodzieży szkolnej". W maju koncertowała młodzież Seminarium Nauczycielskiego – chór mieszany i zespół instrumentalny.

W lipcu polski ruch śpiewaczy ponosi niepowetowaną stratę; umiera tragicznie wielce zasłużony krzewiciel śpiewactwa, nauczyciel Andrzej Hławiczka, założyciel i kierownik wielu chórów świeckich i kościelnych, organizator akcji zbierania pieśni ludowych na Śląsku Cieszyńskim, uwieńczonej ich wydaniem, autor śpiewników i zbiorów pieśni, które dostarczyły repertuaru szkołom i zespołom chóralnym, szerząc przede wszystkim pieśń polską.

Pomyślnie rozwijający się ruch śpiewaczy i muzyczny ulega z chwilą wybuchu wojny mocnemu osłabieniu. Wielu śpiewaków i działaczy służy w armii austriackiej lub ochotniczych Legionach Polskich, tworzonych przez Piłsudskiego. Nie można jednak powiedzieć, że w czasie wojny życie muzyczne w regionie cieszyńskim całkowicie zamarło; organizowano bowiem – oczywiście nie w tej mierze co przed wojną – wieczorki muzyczne czy nawet koncerty. Staraniem np. Zarządu Głównego „Siły" w 84. rocznicę powstania listopadowego odbyło się uroczyste zebranie w Karwinie 6, Łąkach, Stonawie, Orłowej, Trzyńcu, Dąbrowie, na którym każde koło przedstawiło swój program artystyczny: śpiewy chóru robotniczego, deklamacje oraz produkcje muzyczne. Często urządzano wieczorki polskie, z których dochód przeznaczony był na Legiony. Jednym z nich był wieczorek w Boguminie, na którym wystąpił tercet wokalny, wykonano kilka utworów fortepianowych, deklamacji itd.

Mnożyły się wieczorki muzyczno-wokalne, z których dochód przeznaczony był dla wdów i sierot po poległych legionistach. Wieczorki te były

przygotowane niezwykle starannie, aby w tak trudnym okresie dać ludziom możliwość wytchnienia i nacieszenia się pięknem i muzyką.

Z okazji dziesięciolecia istnienia Domu Robotniczego w Stonawie koło miejscowej „Siły", „Macierzy" i innych urządziło uroczystość połączoną z koncertem i przedstawieniem teatralnym.

W czerwcu 1916 roku odbył się w Dąbrowie w Hotelu Gwarectwa koncert Józefa Kożusznika słuchacza Konserwatorium Wiedeńskiego. Utwory instrumentalne kompozytorów zagranicznych złożyły się na koncert Kółka Pedagogicznego z Błędowic. W roku następnym odbyło się w porównaniu z rokiem poprzednim o wiele więcej imprez muzycznych. „Dziennik Cieszyński" zamieszcza 2 recenzje, 3 sprawozdania z imprez muzycznych i pięć zapowiedzi koncertów. W Dąbrowie odbył się np. w styczniu wieczór muzyki polskiej, na którym wystąpiła znakomita artystka operowa Aleksandra Szafrańska z Krakowa i młody skrzypek, znany już publiczności na Śląsku, Józef Kożusznik, zaś w kwietniu staraniem Związku Polek w Dąbrowie odbył się koncert skrzypka Zygmunta Schwarzensteina, profesora Konserwatorium Muzycznego w Krakowie. Znakomity skrzypek zgodził się bezinteresownie zagrać na koncercie, ponieważ cały dochód z koncertu przeznaczono na Dom Polski w Morawskiej Ostrawie. W Boguminie postanowiono założyć nowy chór „Siły", który rozpoczął swoją działalność w grudniu 1917 roku.

W lutym 1918 roku podniosły nastrój panował na wieczorku muzyki słowiańskiej, na którym to „...zjednoczyli się Czesi i Polacy celem wykonania pięknie obmyślanego programu". Sala Domu Narodowego była tym razem przepełniona. Podczas wieczoru soliści czescy i polscy wykonywali utwory F. Chopina, A. Dvořáka, K. Lipińskiego, B. Smetany, R. Frimla i H. Wieniawskiego. Młodzież polska szkoły wydziałowej uczciła Konstytucję 3 Maja wieczorkiem muzycznym, który odbył się nawet dwukrotnie (2 i 9.6.1918), bowiem bilety na zapowiedzianą imprezę przedwcześnie sprzedano.

W grudniu 1918 roku „Siła", „Macierz Szkolna" i Zjednoczenie Narodowe zorganizowały w Łazach „Uroczysty wieczorek ku uczczeniu zmartwychwstania Polski". Wystąpił chór mieszany, skrzypek oraz przedstawiono sztukę sceniczną pt. „Nie rzucim ziemi".

Po wojnie – aż do podziału Śląska Cieszyńskiego – odbyło się kilka imprez muzycznych. Żywe zainteresowanie wzbudził wśród melomanów cieszyńskich „wieczór arii operowych i pieśni". Była to bowiem pierwsza poważna od momentu zakończenia I wojny światowej impreza muzyczna zorganizowana dla rozmiłowanej w dobrej muzyce i pieśniarstwie społeczności śląskiej. W koncercie udział wzięli artyści opery lwowskiej: *Aleksandra Szafrańska, Karol Urbanowicz (bas) i Bronisław Wolfstel (kapelmistrz)* oraz artysta opery warszawskiej Piotr Romanowski (tenor). W dalszych koncertach zaprezentowali się artyści opery krakowskiej (F. Jaworzyńska, P. Kowala, A. Mazanka, B. Wallek-Waleski), orkiestra 4 Pułku Strzelców Podhalańskich, skrzypek Henryk Wojtka, artysta opery mediolańskiej Romuald Rąbczyński, skrzypek Maks Rosthal, który po-

chodził w Cieszyna, pianista August Gollner, skrzypek Zygmunt Reuermann, orkiestra symfoniczna z powiatu zamoyskiego, która wystąpiła w malowniczych strojach narodowych. Szczególnie uroczyście obchodzono rocznice narodowe. Z okazji kolejnej rocznicy ustanowienia Konstytucji 3 Maja odbyły się w Cieszynie dwa koncerty, na których pieśni ludowe i żołnierskie wykonywali artyści znani w Polsce - Heindrichówna i Ludwig, na fortepianie koncertowała Tyrowiczówna, na skrzypcach zaś profesor konserwatorium krakowskiego Tadeusz Szwarc.

Festyn krajowy „Siły" z całego Śląska i pogranicza morawskiego był popisem chórów, orkiestr robotniczych i ćwiczeń gimnastycznych. Chór robotniczy z Trzyńca wywarł na słuchaczach bardzo miłe wrażenie. Przy dźwiękach muzyki „Siłacze" mieli możliwość poznać się bliżej i zapomnieć przynajmniej na chwilę o szarym życiu i codziennych troskach. W lipcu 1920 roku Zarząd Okręgowy Stowarzyszenia „Siła" urządził w Trzyńcu festyn wszystkich kół miejscowych okręgu trzynieckiego z bardzo urozmaiconym programem: koncertem kapeli hutniczej oraz popisem chóru robotniczego. Również w lipcu na „Festynie Zawodowym" w Cieszynie wystąpił chór, orkiestra „Siły" oraz oryginalna kapela wiejska.

Po podziale Śląska Cieszyńskiego na część polską i czeską (28.7.1920) otwiera się nowy rozdział w dziejach życia śpiewaczo-muzycznego na Zaolziu.



Chór Związku Młodzieży Ewangelickiej w Czeskim Cieszynie w r. 1933 - w pierwszym rzędzie 5. od lewej M. Gnidowa z Ligotki Kam., 9. ks. J. Cymorek, w drugim rzędzie (od lewej) 7. - p. Cymorkowa, 8. - K. Bocek, w trzecim rzędzie 7. od lewej - p. Adamus

PODSUMOWANIE

Wydarzenia Wiosny Ludów budzą świadomość narodową ludów niemal całej Europy, co znajduje swoje szerokie odbicie również we wszelkiego rodzaju działalności kulturalnej, szczególnie zaś w literaturze i muzyce. Budzi się świadomość narodowa mieszkańców Śląska Cieszyńskiego, co ściśle jest związane z charakterystyczną sytuacją narodowościową tego regionu. Obok walki o wyzwolenie z ucisku socjalnego ludu odradza się polski ruch narodowy. Czołowi przedstawiciele tego ruchu podejmują wiele cennych inicjatyw o charakterze społecznym i narodowym. Era konstytucyjna stopniowo przynosi liberalizację stosunków w dziedzinie politycznej i kulturalnej, co staje się bodźcem do dalszego rozwoju cieszyńskiego ruchu narodowego. Coraz mocniej odzywają się głosy, domagające się wolności społecznej, polskiej mowy i religii ojców, co dla społeczeństwa Śląska Cieszyńskiego, tak bardzo zróżnicowanego, zarówno pod względem społecznym jak i wyznaniowym, było sprawą istotną. Specyficzna sytuacja polityczna i społeczna Śląska Cieszyńskiego uwarunkowała również funkcję społeczną muzyki i zrodziła swoisty typ szerzenia kultury muzycznej. Powolne budzenie się świadomości narodowej w okresie Wiosny Ludów na terenach od wieków oderwanych od macierzy, wzmagająca się germanizacja nakazuje sięgnąć działaczom polskiego ruchu narodowego do środków mogących w sposób najprostszy i najbardziej bezpośredni przemówić do szerokich warstw społeczeństwa, mówiącego wprawdzie językiem polskim, ale swej przynależności narodowej nie będącego w stanie określić. A tym skutecznym środkiem oddziaływania na świadomość społeczeństwa było słowo polskie i muzyka.

W takich warunkach najskuteczniejszym wojownikiem mógł być jedynie nauczyciel, świadomy swej roli działacza-patrioty, a jego orężem mogło być przystępnie opracowane polskie słowo, podane w formie wiersza, pieśni ludowej oraz różnych odmian przedstawień teatralnych - śpiewogry, opery ludowej, popularnej sztuki z muzyką, pieśniami i tańcami.

Głównym organizatorem polskiego życia muzycznego, które zaczyna się rozwijać w drugiej połowie XIX wieku, staje się nauczyciel, nowo powstała warstwa inteligencji polskiej, która wywodzi się z prostego ludu śląskiego.

Tacy działacze jak Paweł Stalmach, Andrzej Cienciała byli organizatorami wielu stowarzyszeń, m.in. „Czytelni Ludowej", której działalność miała ogromne znaczenie dla społeczeństwa Śląska Cieszyńskiego.

Przy pomocy pieśni i muzyki kształtowano w społeczeństwie śląskim uczucia patriotyczne i przywiązanie do ziemi polskiej. W regionie cieszyńskim istniało bogate życie muzyczne, przejawiające się przede wszystkim w organizowanych koncertach, wieczorach słowno-muzycznych, zabawach, których programy wypełniały nie tylko zespoły amatorskie, lecz często występy wybitnych artystów, jak np.: wiolonczelisty Stanisława Szczepanowskiego, pianistki Flory Kirchberger, Leopolda Miłaszewskie-

go, Bronisława Hubermana, Roberta Poselta, Jadwigi Dyboskiej, Haliny i Bronisława Romaniszyn, Zygmunta Schwarzensteina czy też rodzimych artystów Karola Hławiczki, Władysława Macury, Józefa Sochora i innych. Programy imprez zawierały wszelkie formy muzyczne - często o wyraźnym i wybitnym charakterze patriotycznym - odpowiadającym możliwościom odbiorczym środowiska śląskiego. A nad tym wszystkim organizacyjnie i duchowo czuwali nauczyciele tej miary, co m.in. Andrzej Hławiczka, Jan Kisza, Jerzy Hadyna, Karol Hławiczka, Stanisław Macura, Wojciech Marek, Paweł Myrdacz, którzy byli organizatorami i dyrygentami żywiołowo rozwijających się chórów amatorskich oraz twórcami repertuaru pieśniowego opartego przeważnie na folklorze ludowym. Tę nieocenioną działalność rozwijali przede wszystkim w Polskim Towarzystwie Pedagogicznym, w Kołach „Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego", w polskim szkolnictwie oraz Związku Ewangelickiej Młodzieży.

Pracę tych wszystkich ludzi cechowało świadome działanie w budzeniu ducha narodowego wśród ludności Śląska Cieszyńskiego. Przy pomocy śpiewu i muzyki kształtowali w społeczeństwie śląskim uczucia miłości do ziemi ojczystej.

c.d.n.

JÓZEF WIERZGOŃ

"COLLEGIUM CANTICORUM" NA KOMPAKCIE

Z prawdziwą przyjemnością należy odnotować kolejną kompaktową edycję zaolziańskiego zespołu chóralnego. Oto po wydanej w poprzednich latach płycie „Hutnika", swój przekrojowy repertuar prezentuje na małym krążku chór mieszany „Collegium Canticorum", chór, który utrwalił się już w świadomości naszego społeczeństwa jako zespół klasy nieomalże profesjonalnej, kreujący światowy repertuar literatury chóralnej.

Płytę wydano z okazji 10-lecia chóru, obchodzonego niezmiernie uroczyście jesienią ubiegłego roku. Nagranie, którego reżyserami są Zbigniew Bittnar od strony muzycznej i Lubomir Výrek czuwający nad akustyką dźwięku, dokonano w Ostrawskim Radiu w dniach 4 i 10 lipca ubiegłego roku. Trwający dokładnie 75 minut i 18 sekund kompakt zawiera 28 utworów pochodzących z różnych okresów dziejów chóralistyki, od muzyki średniowiecza począwszy, poprzez renesans, barok, utwory klasycznej i romantycznej proweniencji, aż do kompozycji czasów współczesnych. Zarejestrowano również kilka pozycji spoza muzycznej kultury europejskiej, jak pieśń z gatunku „negro spiritual".

Aż trudno uwierzyć, że nagranie tak obfitych rozmiarów

i w większości złożonych z opusów o wysokim stopniu trudności, zrealizowano zaledwie w ciągu dwóch dni. Potwierdza to niesamowitą kondycję całego zespołu na czele z jego dyrygentem Leszkiem Kaliną, ich gotowość i wysoką zdolność koncentracji. Poza trzema utworami z akompaniamentem mechanicznym oraz „Glorii" z mszy afro-brazylijskiej, której towarzyszy instrument perkusyjny bonga, chór śpiewa a cappella. A śpiewa nadzwyczaj pięknie.

Słyszałam muzykowanie tego zepołu już wielokrotnie: trudny repertuar, wysmakowane interpretacje stylistyczne, precyzja, nienaganna emisja, szlachetność i rozległość wyrazu – i prawie wszystko to znajduje potwierdzenie w kompaktowej reprodukcji. Dominującą jej część stanowi muzyka sakralna, obejmuje bowiem prawie połowę muzycznego materiału. Utwory nie są podane chronologicznie, kompozycje muzyki dawnej przeplatają pieśni czasów późniejszych i odwrotnie. Ale ten zestaw dokonany został w sposób przemyślany, a jego autor dr Leszek Kalina, świetny znawca przedmiotu, konsekwentnie i trafnie realizuje plan dramaturgiczny całości. Z wielkim wyczuciem eksponuje olbrzymie możliwości brzmieniowe chóru, od subtelnego pianissimo po potężne forte, gradację napięć ekspresywnych, przy tym liryzm fraz, wreszcie religijne, natchnione kadencje.

Nie sposób przeanalizować wszystkie zarejestrowane pieśni. Chciałabym jednak zwrócić uwagę na te, które w szczególny sposób zyskały moją aprobatę, a także te, których realizacje nie bardzo mnie zadowalają, posiadając, w moim odczuciu, pewien niedobór. Oto inaugurujący ów płytowy koncert utworów pełen siły witalnej „Canticorum iubilo" Georga Friedricha Händla z oratorium „Judasz Machabeusz", pieśń emanująca radością wspólnego muzykowania. A zaraz po niej hymn śpiewany przez polskie rycerstwo pod Grunwaldem, określany też przez Jana Długosza jako „patrium carmen", czternastowieczny polski anonim „Bogurodzica". Intonowany głosami wyważonymi i wyrównanymi w średniowiecznej w posmaku emisji, najpierw jednogłosowo, następnie w interwale kwarty podparty niskim organum, wniósł efekt surowości chorału gregoriańskiego. Następnie pojawia się pełen prostoty i optymizmu 77 psalm Mikołaja Gomółki „Pana ja wzywać będę". A po nim utwór innego przedstawiciela renesansu polskiego „Już się zmierzcha" Wacława z Szamotół. Jest to niezwykła kompozycja, pełna ciemnego kolorytu, tajemniczości i mistrzostwa polifonii imitacyjnej. Wewnętrzna szata utworu powoli nabrzmiewa, gęstnieje, by po żarliwej kulminacji zejść do nostalgicznej sekwencji, utrzymanej w kontrastowym ściszeniu: „Którzy najwięcej w ciemności używają swej chytrości". Jednak w interpretacji „Canticorum" owe oczekiwane kontrasty trochę zbladły. Zabrakło tej żarliwości, wyrazistych planów dynamicznych, co niewątpliwie wzbogaciłoby sferę brzmieniową. Ponadto bardzo

wolne tempo zanadto całość rozwleka, stwarzając wrażenie monotonii. A można było wprowadzić tu pewne ożywienie i wówczas efekt zderzenia kulminacji z końcową sekwencją byłby o wiele mocniejszy.

Również nie satysfakcjonują mnie pozycje z akompaniamentem mechanicznym. Jest to co prawda bardzo precyzyjny zapis komputerowy, ale nie ma w nim owego ducha prawdziwego instrumentarium muzycznego. Daleki też jest od śpiewności i sonorystyki, które tworzą tradycyjne instrumenty muzyczne. Toteż pełne uduchowienia „Ave verum corpus" Wolfganga Amadeusa Mozarta zatraciło swój nieodparty urok i namiętność kantyleny. A szkoda. Chyba szczęśliwszym rozwiązaniem byłoby pozostawienie utworu w czystej formie a cappella.

W korzystniejszej w tym przypadku sytuacji był zespół śpiewaczy „Hutnik". W swym komputerowym nagraniu miał możliwość współpracy z żywą orkiestrą kameralną, dzięki czemu ich mozartowski motet prezentuje się w bogatej wokalno-instrumentalnej formie. Także w pozostałych utworach „Alleluja" z oratorium „Mesjasz" Händla oraz „Soul of the world" Henry'ego Purcella, akompaniament komputerowy wyraźnie zubożył ich sferę uczuciową. Co prawda brawurowe „Alleluja" zachowuje swą wzniosłość i blask, ale zbyt głośna warstwa orkiestrowa wielokrotnie przykrywa partie śpiewu. A przecież głównym czynnikiem konstruktywnym pozostaje w oratorium chór i powierzona mu potężna fuga wokalna. Istotne więc jest zachowanie odpowiednich proporcji pomiędzy dominantą głosów wokalnych i podkładem instrumentalnym.

Natomiast wielkie uznanie należy się interpretacjom dwu utworów mało znanego współczesnego węgierskiego kompozytora, zmarłego przed kilka laty mnicha Georgiusa Deakbardosa. Powiało tu atmosferą surowości murów klasztornych z ich potężną akustyką. Pierwszy „Crucyfigatur" jest zwartą, niezwykle nasyconą w sferze dźwiękowej kompozycją. Powtarza się tu uporczywie ostinatowa figura zrytmizowanego słowa „crucyfigatur", imitowana często na tle wysokiej nuty sopranów. Stwarza to nastrój pełen niepokoju i dramatyzmu. Szerokie akordy, bardzo czytelnie eksponowane, prowadzą w finale do potężnego forte, brzmiącego w przekazie chóru patetycznie i nader szlachetnie.

Drugi utwór to „Eli, Eli". Dzieło to nie tylko wywołuje głębokie refleksje historyczne – odwołuje się bowiem do tematu umierającego na krzyżu Chrystusa, lecz swą niezwykłą siłą wyrazu porusza współczesnego słuchacza. Dramatycznie wznoszące się progresje „Eli, Eli", spointowane zostają szczytową emfazą, która następnie opada bolesnym glissandem aż po pianissimo: glissandem będącym jakby otwarciem drzwi do innej przestrzeni. Ileż tu wewnętrznej ekspresji, ileż subiektywizmu w przywołaniu tej tra-

gicznej sceny, uczłowieczeniu Jezusa w jego cierpieniu i błagalnym wołaniu do Boga. Interpretacja ta, aczkolwiek pełna nabożnego skupienia, wolna jest od nadmiernej afektacji i imponuje szczerością religijnego przesłania. Dobra, przystająca do charakteru emisja, głosy matowe w kolorycie brązu, także starannie wycyzelowane niuanse dynamiczne i artykulacyjne. Wreszcie intensywnie przemawiające nie tylko nuty ale i pauzy – to wartości, które wykonawstwo tej pozycji ustawiają bardzo wysoko.

Na specjalną uwagę zasługuje wykonanie utworów Antoniego Brucknera. Są to dzieła rozgrywające się w szerokiej przestrzeni muzycznej, o perspektywicznej głębi brzmienia, wyrażające się w niezwykłych kontrastach dynamicznych. Chór śpiewa dwie pieśni tego austriackiego kompozytora „Os iusti" oraz „Christus factus est". Jest to bardzo dojrzałe muzykowanie ludzi świadomych wartości tej „ponadczasowej" muzyki. Zwłaszcza drugi utwór świetnie ukazuje subtelności partytury. Kunsztowne ruchy polifoniczne przebiegają bardzo plastycznie, a gęste, czysto brzmiące akordy kształtują przepiękne plany kolorystyczne, bardzo wyważone w dynamice.

Chór kreuje „Christus factus est" w duchu mistycyzmu religijnego, z dozą patosu, ale i polotu równocześnie. Religijny program płyty kończy „O Musica" Paula Peuerla. Podobna jest w swym optymistycznym charakterze do wstępnego „Canticorum iubilo", nie bez powodu więc umieszczona w tym miejscu programu. Zaprasza do wysłuchania literatury świeckiej. A tu mamy okazję wysłuchania między innymi polskich pozycji. Najpierw „Przylecieli sokołowie" – pieśń Stanisława Moniuszki, odtworzona bardzo wdzięcznie, pełna liryzmu i subtelnej zalotności. Wykonywana jest z umiarem, bez egzaltacji niejednokrotnie spotykanej u innych zespołów, co zachowało jej prostotę tak istotną dla twórczości tego polskiego muzyka.

Zupełnie inaczej kształtuje się wizja stylizowanej wątkiem ludowym pieśni Edmunda Maćkowiaka „Uwoz, mamo, roz". Cechuje ją pewna surowość, twardość ludowego charakteru. Podkreśla to przewodni temat oparty o skałę eolską, wprowadzony przez alty na tle kontrapunktu tenorów, przekazywany dalej basom, następnie sopranom. Często występujące unissono, puste współbrzmienia oparte o kwartę, kwintę czy septymę, podkreśla archaiczny klimat ekspozycji tej pieśni. Toteż tym większe wrażenie wywiera przejście modulacyjne z czterogłosową dominantą septymową, przenoszącą tę kompozycję w plan tonacji jaśniejszej, ale pełnej namiętności prowadzącej do ekstatycznego krzyku zakochanej dziewczyny „mój Jasiulecek..." Następuje dramatyczna pauza i przepełnione tęsknotą końcowe wyciszenie, utrzymane ponownie w pierwotnym, archaicznym kolorycie. Sposób odtworzenia tej kompozycji bardzo przystaje do jej charakteru. Zachowuje bo-

wiem powściągliwość, oszczędność wyrazu w jej początkach, ale wraz z rozwojem linii dramaturgicznej, wzrasta napięcie emocjonalne głosów, świetnie osadzonych w szczytowym forcie.

Bardzo dobrze wywarzone są tu tempa, agogika, konsekwentnie realizują się zmiany nastroju. I aż się prosi, aby poszerzyć w tym miejscu polski repertuar. Jakże trafnym byłby obok Maćkowiaka na przykład Karol Szymanowski z „Pieśniami kurpiowskimi", z polską żarliwością i zadumą. A jakże świetnie dopełniłby ten zestaw dzieła bliskiego nam kompozytora Józefa Świdra, którego twórczość muzyczna pełna poezji niesie ekspresję nadzwyczaj istotną i wysokiego lotu treści. Tymczasem „Canticorum" śpiewa tylko 6 polskich pieśni, co w kontekście ogólnej liczby 28 opusów, jest bezsprzecznie niewystarczające jak na chór z polskim rodowodem. O ile płyta ta ma być reklamową wizytówką zespołu, w moim przekonaniu, należałoby bardziej zachować właściwe proporcje w korzystaniu z nazwisk, stylów i gatunków. Wydaje mi się też, że można było zupełnie zrezygnować z utworów „spirituals". Na żywym koncercie literatura ta ma swój sens. Wprowadza innowację gatunku, ale i ożywienie w sferze wizualnej, co zresztą dyrygent chóru słusznie wykorzystał w jubileuszowych występach.

Pieśni z gatunku „negro spiritual" przedstawione w końcowej części nagrania wykonane są od strony technicznej bardzo poprawnie. Chórzyści śpiewają ze swobodą, zdawałoby się bez żadnego wysiłku. Partie solowe kreowane są nader czysto, z autentycznym zaangażowaniem. Jednak trudno przeniknąć ducha tej obcej estetycznie kultury muzycznej. Miałam okazję przysłuchiwać się muzykowaniu Murzynów czy to w ich wokalnych występach w słynnej Cristal Cathedra w Los Angeles, czy niedawno podziwiając ich kunszt śpiewaczy w głośnym lodyńskim musicalu „Mama I want to sing". Dopiero porównanie naszych europejskich zespołów z oryginalnym, śpiewem Murzynów pokazuje, jaka jest jeszcze bariera do pokonania. Ich emisja jest zupełnie odrębna ze specyficznym zabarwieniem, a ich śpiew cechuje prostota i naturalność z równocześnie silną ekstazą i – jak niektórzy to określają – olbrzymią radością dzieci bożych.

Całość nagrania kompaktowego wieńczy dostojna „Gaude Mater Polonia", anonimowy hymn z XIII wieku oddany w wielkim skupieniu i pokorze dla jego historycznych i muzycznych wartości.

Tak oto kształtują się muzyczne propozycje chóru „Collegium Canticorum". Abstrahując od wszelkich krytycznych uwag i sugestii otrzymaliśmy wykonanie niezmiernie wartościowe z dużą precyzją i giętkością interpretacyjną, które rozgrywa się konsekwentnie w klimacie poezji i nastroju, godne trwałych świadectw w formie edycji płyty kompaktowej.

KRYSTYNA SUSZKA



Skrzeczońskie „HASŁO" ma przyszłość... fot. FRANCISZEK BAŁON

PAMIĘTNIK SYBIRAKA

Niedawno w wydawnictwie Olza ukazała się ciekawa książka, jeszcze jedna relacja z lat drugiej wojny światowej, która bohatera wspomnień (autora) rzuciła na odległą Syberię, doświadczając go jak wielu jemu podobnych, z tym, że jemu udało się wrócić z katorgi syberyjskiej a później różnych frontów (w tym również na Monte Cassino) drugiej wojny światowej oraz opisał swoje przeżycia. Autorem jest pan Władysław Martynek z Trzyńca, a jego książka-wspomnienie nosi tytuł „Pamiętnik Sybiraka".

Pierwsza na gorąco spisana wersja pamiętnika została napisana w tuż powojennych miesiącach w Szkocji, później długo nie miała szans publicznej egzystencji, przecież poruszała sprawy, będące w tamtym totalitarnym ustroju politycznym tabu.

Po raz pierwszy zetknąłem się z rękopisem (maszynopisem raczej) tej pozycji w czerwcu 1994 roku i rzecz mnie zainteresowała na tyle, iż stwierdziłem, że warta jest książkowego wydania. W Polsce na te tematy ukazała się już spora liczba publikacji, u nas jest to pierwsza tego rodzaju pozycja, świadcząca o tym, że również nasi ludzie uczestniczyli w istotnych wydarzeniach ostatniej wojny światowej.

Nie jest to jednak książka będąca bezpośrednim i wyłącznym oskarżeniem sowieckiej rzeczywistości wojennej i niewolniczej pracy w łagrach, w tym wypadku kopalniach złota na dalekiej Syberii, chociaż wymownie czyni to pośrednio. Książkę tę czyta się jako swoistą powieść przygodową. Autor opisuje tu swoje przeżycia i sytuacje, podczas których niejednokrotnie śmierć zaglądała mu w oczy, ale ponieważ był wówczas młody, nad strachem i rezygnacją zwyciężyła ciekawość i wola przeżycia. Tak sprawę potraktował tuż po wojnie, pisząc pierwszą wersję swych wspomnień i ten ton przygodowo-poznawczy zostawił w ostatecznej wersji książki.

Jest to przygoda harcerza, który we wrześniu 1939 roku w wieku 19 lat jako członek Przysposobienia Wojskowego wyrusza z Trzyńca w świat z nadzieją szybkiego powrotu do domu, a wraca dopiero po ośmiu latach jako dojrzały już kombatant odznaczony Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino, Gwiazdą za Wojnę 1939-1945, Gwiazdą Italii, Brytyjskim Medalem 1939-1945, Medalem za Udział w Wojnie Obronnej, Krzyżem Kampanii Wrześniowej 1939, Krzyżem Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie itp.

„Pamiętnik Sybiraka" nie jest jednak relacją całego okresu wojennej tułaczki Władysława Martynka. Odnotował tu autor tylko jej początkowy okres od 31 sierpnia 1939 roku do 15 lipca 1942 roku, to jest do chwili, kiedy udało mu się szczęśliwie wydostać z syberyjskich kopalń złota i już z Armią Polską wyjechać dalej na Wschód.

A więc początkowe dni wojny rzuciły bohatera pamiętnika (autora) do Lwowa, okupowanego już przez sowietów, skąd po niespełna roku został zesłany na Syberię, pomnażając wielotysięczną rzeszę polskich Sybiraków. Przeszło miesiąc trwała jego podróż w wagonach towarowych przez Irkuck, dalej po Angarze, Lenie i rzece Witim do kopalni złota w okolicy Bodajbo, gdzie jako katorżnik pracował dwa lata.

Kto wie, jak potoczyłyby się jego losy, gdyby Hitler nie napadł na swego dotychczasowego wspólnika w kolejnym rozbiorze Polski. Wówczas po umowie polsko-sowieckiej Polacy mogli wstępować do tworzącej się Armii Polskiej. Nie bez utrudnień ze strony tamtejszych urzędów. Bohater-autor wraz z jeszcze jednym współwięźniem 1 stycznia 1942 roku wyrusza po zamarzniętej rzece Witim, a później Lenie do Irkucka (około 2000 km). Pierwszych 300 km z narażeniem życia przeszli piechotą, później już korzystali z przypadkowych samochodów, by po dwu i pół miesiącach w uzbeckiej miejscowości Czok-Pak wstąpić do wojska, gdzie autor został przydzielony do 7. Pułku Artylerii Ciężkiej przy 7. Dywizji Piechoty Wojska Polskiego. Na tym kończy się historia opisana w pamiętniku.

Jak to wszystko wyglądało w szczegółach, zainteresowani znajdą w książce, którą czyta się z zaciekawieniem od początku do końca.

Wstęp Otylii Tobołowej wprowadza czytelnika w sprawy sowieckiej okupacji Polski w myśl paktu Ribbentrop-Mołotow, przedstawiając to, co dawniej było przemilczane przez socjalistyczną historiografię.

Ta przeszło 160-stronicowa książka uzupełniona jest kilku zdjęciami oraz krótkim opisem losów osób wymienionych w pamiętniku.

KAZIMIERZ JAWORSKI

MODLITWY WILHELMA PRZECZKA

Śledząc przeszło siedemdziesięcioletnie dzieje piśmiennictwa zaolziańskiego trudno zarejestrować silny nurt literatury religijnej. To prawda, że w dorobku kilku autorów, zwłaszcza z lat trzydziestych, znalazły się skromne echa przekonań fideistycznych i przynależności do jednego z dwóch głównych ugrupowań kościelnych na Śląsku Cieszyńskim, ale mają one przede wszystkim charakter tekstów okolicznościowych, jak dowodzą tego np. wiersze religijne Adolfa Fierli lub Karoliny Ruszówny. Nawiązania do Biblii lub chrześcijańskiej tradycji kulturowej znalazły się też w próbach literackich duchownych, np. ks. Oskara Zawiszy lub pastora Gustawa Szurmanna. Najsilniej różne wątki religijne i kościelne przybrały w literaturze zaolziańskiej postać folklorystyczną i w niej przetrwały – choć w ograniczonej postaci – do czasów współczesnych. Niektóre religijne symbole, jak udowodniła to Anna Bańska-Szuba w odniesieniu do krzyża, przybrały też wymowę narodową, a więc „znak chrześcijaństwa przejęty został na wyłączny użytek polskiej sprawy narodowej".

Źródeł scharakteryzowanej sytuacji w piśmiennictwie polskim na czeskim Śląsku jest wiele. Wśród nich niewątpliwie dużą rolę odgrywała już od dawna propaganda ateistyczna, która w okresie komunizmu przybrała postać nakazową. W związku z tym wątki religijne i inne zostały z literatury wyparte, albo dość mocno ukryte, np. właśnie w postaci folklorystycznej lub narodowego symbolu.

Wraz ze zmianami politycznymi i ideowymi w latach dziewięćdziesiątych tego wieku przychodzi odnotować też pewne zmiany w postawach ideowych pisarzy zaolziańskich. W pewnym sensie zapowiadał je przed swoją śmiercią Henryk Jasiczek, deklarujący systematyczne odchodzenie od wyznawanego światopoglądu, narzucanego przez partię i państwo. Również w utworach autorów pokolenia „pierwszego lotu" jeszcze przed aksamitną rewolucją zaznaczyły się istotne zwroty ideowe, np. Wilhelma Przeczka, który dawał wyraz niepokojom metafizycznym. Żaden autor zaolziański, nie myśląc o pisarzach tworzących do szuflady, jak Szurmann lub Ruszówna, nie ujawnił dotąd swych przeżyć, wynikających ze zbliżenia do chrześcijaństwa, tak silnie i wyraziście, jak uczynił to Przeczek w ostatnim tomiku liryków. Gwoli ścisłości trzeba jednak odnotować, że drobne utwory religijne w ostatnich latach napisali też inni, np. Jan Pyszko.

Zbiór „Małe nocne modlitwy – Wpisane w Beskid" wydała w Cieszynie Macierz Ziemi Cieszyńskiej. Druga część tomu jest wznowieniem wcześniejszego cyklu liryków, wydanego w 1980 roku w Bielsku-Białej. Zasadnicze więc znaczenie mają wiersze powstałe w ostatnich dwóch latach.

Przeczek ułożył je w cykl roczny, a więc nader silny związek z podłożem folklorystycznym. Udowadnianie związku rocznego kalendarza ludu wiejskiego z foklorem i publikacjami doń nawiązującymi, jak np. „Rok polski" Zofii Kossak, jest w tym miejscu zbędne. Natomiast trzeba podkreślić, że nadany przez poetę układ wierszy ma charakter jedynie strukturalny, a istotne w wierszach z omawianego cyklu jest, że przybierają one postać modlitwy, niekiedy nawet litanii i przez to Przeczek ujawnia swoją postawę ideową, swoje skierowanie się na Boga. W kontekście wcześniej scharakteryzowanej sytuacji literatury religijnej na Zaolziu tomik Przeczka stanowi istotny przełom i bez wątpienia zawsze będzie on przywoływany, gdy historycy literatury lub kultury zajmą się meandrami ideowymi twórców z czeskiego Śląska. Nie oznacza to jednak, że omawiany tom prezentuje zamknięty etap rozwoju duchowego, pełne dojście autora do głębokiej wiary. Wręcz przeciwnie – „Małe nocne modlitwy" są zapisem przeżyć i myśli człowieka, robiącego życiowy bilans, krytycznie spoglądającego na siebie i wyznawane dotąd wartości, wracającego do rodzimej i rodzinnej tradycji, szukającego oparcia o trwały system ideowy, ale stale jeszcze miotającego się między dziś a wczoraj. I dlatego w zbiorku można odnaleźć takie wyznania, jak w tytułowym wierszu:

Proszę Cię Boże
przebacz mi wszystkie bezdroża

bujnej namiętności na skrzyżowaniach
śmiertelnej muzyki
te liczne nieprawdziwe prawdy
Wybacz krzykliwe kolory
pylu przejmującego na palcach chłopca
z których ulotniły się motyle
albo wzleciał anioł
z paluchów szczenięcej ciekawości
nadal nie mogę zrozumieć
historii niewiernych
dlatego wybacz mi Boże
miłosierny

Zbiorek poprzedzony jest wstępem Aleksandry Humel, dziś bodaj najlepszej znawczyni poezji Przeczka, zamyka go zaś obszerny szkic tejże autorki. Czytelnik otrzymuje więc możliwość zapoznania się z fachowym komentarzem, a więc również z oceną formalną utworów, utrzymanych na ogół w formie stroficznej, rymowanej, nawiązującej do tradycyjnej poezji, często też w zakresie słownictwa i środków literackiego wyrazu. Tu należy wyrazić przekonanie, że tom „Małe nocne modlitwy – Wpisane w Beskid" stanie się nie tylko okazją do licznych wypowiedzi krytyków, ale bez wątpienia znajdzie szerokie echo czytelnicze. Podnosi przecież wątki i tematy stale bliskie mieszkańcom Zaolzia i w pewnym sensie jest próbą przełamania izolacji między autorem a czytelnikami w tym regionie.

EDMUND ROSNER

FELIETONY FRANTIŠKA VŠETIČKI

"Felieton – jak można przeczytać w słowniku terminów literackich – jest krótkim utworem beletrystycznym lub popularnonaukowym, zazwyczaj przeznaczonym do czasopism." Lapidarna ta definicja Sierotwińskiego w całej rozciągłości odnosi się do tekstów F. Všetički, zebranych w ładnie wydanym tomie pt. „Vnitřní vitráže" (Ołomuniec 1996, Votobia). Mają one wyraźnie popularyzatorski charakter, są jednak napisane z widocznymi ambicjami literackimi. Wcześniej ukazały się w różnych pismach literackich i regionalnych. Są więc prawie modelowymi tekstami felietonowymi, które jednak niekiedy chciałoby się też nazwać gawędami, wspomnieniami i in.

Do omówienia „Wewnętrznych witraży" w Zwrocie skłaniają co najmniej trzy względy: autor, treść felietonów i zawarte w nich polonika.

František Všetička (rocznik 1932) jest literacko aktywny od lat sześćdziesiątych, choć główne swe dzieła wydał dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Wcześniej nie angażował się bodaj ze względów ideowo-politycznych. Jest teoretykiem i his-

torykiem literatury, od 1991 docentem na uniwersytecie w Ołomuńcu, ogłosił jednak i powieść (Przed bramą, Omega 1995). Jest wypróbowanym polonofilem i serdeczne więzy łączą go z niektórymi pisarzami zaolziańskimi, o których pisze dość często w prasie czeskiej.

Książka „Wenętrzne witraże" w swej warstwie tematycznej i ideowej nie zyskałyby aprobaty przed aksamitną rewolucją, bowiem Všetička pisze o uczonych i pisarzach (rzadko o innych twórcach), którzy ze względu na swoją przynależność narodową lub wyznawane poglądy byli potępiani lub przemilczani przez komunistyczny reżym. Dotyczy to przede wszystkim autorów różnych orientacji, ale też pisarzy czeskich, którzy wybrali emigrację w Niemczech lub w Wielkiej Brytanii. Mają więc felietony Všetički znaczną wartość poznawczą i przywracają wiele nazwisk do normalnego obiegu kulturalnego. Autor zna i czuje znakomicie tradycje kulturalne rodzinnego regionu i pokazując je poprzez losy wybranych przeszło sześćdziesięciu felietonouych bohaterów, akcentuje pojęcia, które znane są w ostatnim czasie pod obiegowym hasłem Środkowej Europy. W toku poszczególnych opowieści mieszają się więc Morawianie, Ślązacy, Austriacy, Żydzi i inni, przeplatają się nazwiska wielkie i dawno zapomniane, wszystko jednak związane z tą kulturową krainą, z której Všetička sam się wywodzi.

W takim spojrzeniu na literaturę można dostrzec w dobrym tego słowa znaczeniu akcenty regionalne. Autor wychodzi jednak poza spojrzenie i utrwala w felietonach ślady swoich literackich wędrówek po Bawarii, Francji, Wielkiej Brytanii, Węgrzech, Polsce. Przy tym lubi chodzić na cmentarze i tu przypominać sobie nazwiska twórców europejskiej tradycji. Wykazuje przy tym dość duże umiłowanie nazwisk drugo- i trzeciorzędnych twórców, których czas minął, ale którzy jak Leon Slezak, Ludwig Thoma, Ludwig Ganghofer i liczni inni w znacznym stopniu wpływali na formowanie się tej tradycji w minionych czasach, bez których mówienie o przeszłości kulturalnej nie jest pełne i dlatego zafałszowane.

Na owych trasach europejskich wędrówek Všetička znalazł się też w Polsce i to przede wszystkim w Zakopanem i Warszawie i stąd felietony poświęcone czeskiemu polonofilowi Edwardowi Jelinkowi, Janowi Kasprowiczowi oraz Januszowi Stanisławowi Pasierbowi, Józefowi Magnuszewskiemu a także Wilhelmowi Przeczkowi. Polonika w omawianej książce są jednak licznejsze. Jak autor wykorzystuje każdą okazję do pokazania powiązań czeskich z kulturą zachodnią, tak również uwzględnia wszystkie momenty, nawet najdrobniejsze, w zakresie polsko-czeskich kontaktów w kontekście omawianych tematów. Pojawiają się więc takie postacie np. Gabriel Laub z Bochni, Leopold Staff, Stanisław Witkiewicz, Witold Gombrowicz i inni. Dzieje się tak między innymi dlatego, że autor w każdym felietonie zabiega o przytoczenie faktów, mało znanych ciekawostek lub anegdot.

Wreszcie trzeba podkreślić, że tom „Wewnętrzne witraże" wzbogaca wiedzę o przeszłości Śląska Cieszyńskiego i przywołuje nazwiska zupełnie zapomnianych utorów, jak np. znakomita autorka prozy beletrystycznej Maria Stona.

Ostatnią pozycję Všetički trzeba więc odnotować z uwagą i potraktować ją jako inspirację do badań historycznoliterackich, m.in. do uchwycenia szerokiego kontekstu, w którym powstała i powstaje literatura cieszyńska. Ten austriacko-żydowsko-polsko-czesko-słowacki kontekst uchodził dotąd uwadze badaczy piśmiennictwa np. zaolziańskiego, co trzeba traktować jako poważne zaniedbanie.

EDMUND ROSNER

V WALNE ZGROMADZENIE TOWARZYSTWA EWANGELICKIEGO



13 marca odbyło się w Czeskim Cieszynie V Walne Zgromadzenie Towarzystwa Ewangelickiego w RC. Sprawozdanie z działalności TE przedstawił jego prezes ks. senior Bogusław Kokotek. Spośród obecnych na spotkaniu gości głos zabrali: przedstawiciel Rady Kościelnej Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A.W. ks. biskup Władysław Volný, przedstawiciel Rady Kościelnej Luterańskiego Kościoła Ewangelickiego A.W. ks. biskup Wilhelm Stonawski, goście z Polski reprezentujący Towarzystwo Ewangelickie w RP ks. pastor Janusz Sikora i Polskie Towarzystwo Ewangelickie oddział w Cieszynie inż. Władysław Sosna. W zebraniu wzięli również udział: konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk, przedstawiciel PZKO Bohdan Suchanek i Rady Polaków Bronisław Walicki. W ramach programu kulturalnego śpiewał sekstet działający przy zborze Na Niwach w Czeskim Cieszynie. Referat na temat „Kościół ewangelicki A.W. na tle podziału Śląska po roku 1920" wygłosił dr Władysław Josiek.

T.T.

KONCERT INAUGURACYJNY Z OKAZJI PIĘĆDZIESIĘCIOLECIA PZKO

Pojęcie „od Bogumina po Mosty" jest u nas często używanym określeniem rozmieszczenia ludności polskiej w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, także polskich tradycji kulturowych na tym właśnie terenie, tak samo dotyczy działalności PZKO, rozmieszczenia jego Kół Miejscowych.

Bardzo dobrze więc się stało, że odbywający się w sobotę 15.3.1997 „Koncert Inauguracyjny z okazji 50-lecia PZKO" miał miejsce w Domu Kultury w Lutyni Dolnej, więc tuż za Boguminem w stronę Mostów koło Jabłonkowa właśnie.

Przed wypełnioną po brzegi salą, gdzie i młode twarze nie były rzadkością, uroczystość zagaił przewodniczący ZG PZKO inż. Jerzy Czap. Gośćmi koncertu byli między innymi: konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Piotr Szwarc, delegacja chóru mieszanego „Słowik" „z drugiej strony Olzy", Radę Polaków reprezentował inż. Marian Jędrzejczyk, „Dom Polski" inż. Józef Toboła.

Pierwszą część pogramu wypełniły: chór mieszany „Hasło" ze Skrzeczonia pod batutą Władysława Ożoga, chór mieszany „Lutnia" z Lutyni Dolnej pod batutą Alojzego Babińskiego, kwartet męski działający przy orłowskim „Haśle". Ostatnim punktem pierwszej części programu było widowisko sceniczne autorstwa Antoniego Strzybnego pod tytułem „Nadolziańska śpiewogra".



Jego wykonawcami byli – chór mieszany „Zaolzie" z Orłowej–Lutyni na czele z dyrygentem Urszulą Odstrčil i Zespół Taneczny „Skotnica" również z MK PZKO Orłowa–Lutynia. Barwna mozaika strojów ludowych, piosenek dowcipnie zestawionych w piękną składankę, tworzącą fabułę widowiska, chór występujący niekonwencjonalnie – w ruchu – to wszystko publiczność oceniła, zasłużonymi przez wykonawców, burzliwymi brawami.

W drugiej części programu publiczność złożoną z członków i sympatyków PZKO z Bogumina, Lutyni, Rychwałdu, Orłowej–Lutyni, Orłowej (poprzez dojście występujących w pierwszej części chórzystów stłoczoną w tyle sali na stojąco) bawił reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca ZG PZKO „Olza". Tancerze, soliści, świetna kapela – „Olza" to gwarancja pięknego przeżycia. „Olza" to „OLZA".

Uroczysta inauguracja roku jubileuszowego PZKO, przygotowana przez Koła Obwodu Bogumińsko–Orłowskiego, sponsorowana przez MK PZKO w Dolnej Lutyni, była naprawdę piękna i na pewno w pamięci wszystkich widzów na długo pozostanie głębokie wzruszenie, szczególnie pod wpływem potęgi głosów połączonych chórów: „Kochajmy się, gdy zechce ktoś rozdzielić nas, nie dajmy się... Przyjaciół mieć to piękna rzecz, trzymajmy się..." TRZYMAJMY SIĘ.

F.B.

CZESKO–POLSKIE TARGI TURYSTYCZNE



Spółka DOM POLSKI SA oraz biuro podróży „Dom Polski Travel" przy współpracy z Urzędem Kultury Fizycznej i Turystyki w Warszawie zorganizowała w hotelu PIAST w Czeskim Cieszynie dniach 19-21 marca 1997 już po raz drugi Czesko-Polskie Targi Turystyczne.

W jakże cennej w terenie przygranicznym, przygotowanej z dużym rozmachem imprezie - wzięło udział 32 firm - biur podróży z Czech i Polski. Swe stoiska na targach mieli również główni sponsorzy - Browar Nošovice i Wytwórnia Win Mikulov.

W uroczystym otwarciu targów (fot.) wzięli udział między innymi - konsul generalny Konsulatu RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk, konsul generalny Konsulatu RC w Katowicach Józef Byrtus oraz burmistrzowie obu Cieszynów Jan Olbrycht i Bohumil Muroň.

F.B.

RADA PRZEDSTAWICIELI VI KADENCJI

Prezesem Rady Przedstawicieli i jednocześnie jednym z dwóch statutowych wiceprezesów Rady Polaków został wybrany na pierwszym wspólnym posiedzeniu obu rad 21 marca Remigiusz Gąsior. Jego zastępcą w Radzie Przedstawicieli został reprezentant Fundacji Liceum im. J. Słowackiego i pełnomocnik Orłowej Jerzy Jura.

"DLA KAŻDEGO COŚ MIŁEGO" W OLBRACHCICACH

Taką nazwę nosiła wystawa, którą Miejscowe Koło 22 marca zainaugurowało obchody 50-lecia PZKO. Jej bezpośrednim organizatorem był niezwykle aktywny w Olbrachcicach Klub Kobiet. Wystawa ma już swoją wieloletnią tradycję. I chociaż organizowana nieregularnie, nieprzerwanie cieszy się powodzeniem, zarówno u prezentujących swój dorobek, jak i oglądających ją. Swoje robótki ręczne (haftowane obrusy, serwetki, swetry i bluzki) zaprezentowało 35 pań, a uzdolnieniami plastycznymi miało okazję się pochwalić trzech panów i dzieci z przedszkola i szkoły. Na piętrze Domu PZKO miejscowa firma „Hans Mode" Piotra Przeczka i spółki oferowała tanią konfekcję dla pań. Oczywiście nie zabrakło smacznych gorących dań, kanapek i ciastek. Nad całością czuwała prezes MK PZKO Iwona Guńkowa.

E.S.

IV ZJAZD TNP



182 delegatów, nauczycieli polskich szkół podstawowych i średnich oraz przedszkoli, wybrało 22 marca nowy 9-osobowy zarząd Towarzystwa Nauczycieli Polskich w RC. Nowy zarząd ukonstytuował się ponownie w składzie: prezes – Stanisław Folwarczny, dyrektor Polskiej Szkoły Podstawowej w Cz. Cieszynie, zastępcy – Małgorzata Rakowska oraz Piotr Żabiński. W nauczycielskim forum udział wzięli również liczni goście: konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk i konsul Piotr Szwarc, przedstawiciele Rady Polaków – prezes Wawrzyniec Fójcik i wiceprezes Bronisław Walicki, prezes ZG PZKO Jerzy Czap, przedstawicielka ZG Macierzy Szkolnej Elżbieta Wania oraz Andrzej Król, reprezentujący Kuratorium Oświaty w Katowicach. Konsul Bernard Błaszczyk udekorował 10 najbardziej zasłużonych dla polskiego szkolnictwa na Zaolziu nauczycieli Medalami Ministra Edukacji Narodowej. Odznaczenia otrzymali: Łucja Franek, Czesław Curzydło, Wanda Walek, Maria Podzemna, Bronisława Guziur, Odonia Charvát, Marta Kaim, Ilona Bednarz, Anna Krzywoń i Krystyna Roszak. E.S.

PRELEKCJA W PIOTROWICACH

W niedzielę 23 marca br. Koło PZKO Piotrowice zorganizowało prelekcję o sadownictwie. Zaproszono znanego na naszym terenie specjalistę w tej dziedzinie MVDr. Jana Ruckiego. Prelegent przedstawił m.in. wzajemne stosunki roślin – warzyw, drzew owocowych, technikę płodozmianu, mówił o szkodnikach roślin, przedstawił plan ogródka.

Na zakończenie odpowiadał na pytania uczestników prelekcji. T.T.

OBRADOWAŁA KOMISJA SZKOLNA PRZY RADZIE POLAKÓW

W poniedziałek 24 marca br. obradowała Komisja Szkolna przy Radzie Polaków. Omówiono punkty uchwały dotyczące szkolnictwa przyjęte na VI Zgromadzeniu Ogólnym Kongresu Polaków w RC. Dyskutowano na temat problematyki polskich szkół podstawowych i średnich i ustawy szkolnej, wspierania działalności organizacji zajmujących się pracą z dziećmi i młodzieżą.

Ruch polityczny „Wspólnota" wniósł pod obrady stanowisko Ruchu dotyczące szkolnictwa.

T.T.

KONCERT WIELKANOCNY

Miejscem, w którym odbył się w niedzielę 6.4.1997 koncert chóru mieszanego MK PZKO Czeski Cieszyn-Centrum, był kościół rzymskokatolicki pw. Serca Jezusowego w Czeskim Cieszynie.

Wdzięcznym słuchaczom, wypełniającym ławy prawie do ostatniego miejsca, „Harfa" pod batutą prof. Alojzego Kopoczka zaprezentowała swój bogaty repertuar pieśni sakralnych.

W drugiej części „Koncertu Wielkanocnego" wystąpiła, dobrze już znana na naszym terenie, harfistka Ewa Jaślar-Walicka.

F.B.



fot. FRANCISZEK BAŁON

KOMITET ORGANIZACYJNY GOROLSKIEGO ŚWIĘTA ORAZ KLUB TWÓRCÓW LUDOWYCH OGŁASZAJĄ Z OKAZJI 50. GOROLSKIEGO ŚWIĘTA

KONKURS RZEŹBY LUDOWEJ

DLA TWÓRCÓW AMATORÓW

Temat rzeźb konkursowych:
1. Życie górali w dawnych Beskidach (praca, wypas owiec, taniec, muzykowanie, obrzędy)
2. Gorolski Święto

Konkurs przebiegnie w dwu kategoriach:
I kategoria - młodzież do 18 lat
II kategoria - dorośli

Do konkursu należy wysłać jedną rzeźbę lub płaskorzeźbę i oddać ją w dniach od 6-8 sierpnia w godzinach popołudniowych w jabłonkowskim Domu Działkowca. Maksymalna wysokość rzeźby figuralnej 50 cm, a rozmiary płaskorzeźby do 40 x 90 cm. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone podczas otwarcia wystawy w Domu Działkowca w sobotę 9 sierpnia oraz w niedzielę 10 sierpnia w Lasku Miejskim w trakcie Gorolskiego Święta. Wszystkie nadesłane prace będą wystawione w czasie trwania jubileuszowej imprezy folklorystycznej. Wyróżnione rzeźby pozostaną własnością MK PZKO Jabłonków.

Dla zwycięzców organizatorzy przewidują nagrody pieniężne:

Kategoria I
1. miejsce - 1 200 Kč
2. miejsce - 800 Kč
3. miejsce - 400 Kč

Kategoria II
1. miejsce - 1 500 Kč
2. miejsce - 1 000 Kč
3. miejsce - 500 Kč

Antoni Szpyrc
przewodniczący
Klubu Twórców Ludowych

Władysław Młynek
kierownik artystyczny
Gorolskiego Święta

UZUPEŁNIENIE

do artykułu Władysława Milerskiego (Zwrot 4/97). Poniżej prezentujemy sylwetkę kolejnego polskiego lotnika, dostarczoną już po zamknięciu numeru.

Chlebek Adolf, ur. 16.8.1916 w Gutach, syn Pawła i Zuzanny z d. Sikora, nauczyciel, podporucznik pilot.

Był najmłodszym z dziesięciorga rodzeństwa. Uczęszczał do polskiej szkoły ludowej w Gutach, polskiej szkoły wydziałowej w Czeskim Cieszynie oraz do seminarium nauczycielskiego w Cieszynie-Bobrku. Po zdaniu matury w 1936 roku był przez jeden rok szkolny nauczycielem w rodzinnych Gutach, następnie przeniósł się do Polski, uzyskał obywatelstwo polskie i w 1939 roku ukończył oficerską szkołę lotniczą w Dęblinie, uzyskując stopień podporucznika pilota. W kampanii wrześniowej 1939 brał udział w walkach powietrznych przeciwko Niemcom. Zaatakowany jednocześnie przez kilka niemieckich samolotów myśliwskich Messerschmitt, ratował się skacząc ze spadochronem, lecz dostał się do niewoli. Zdołał z niej zbiec i późną jesienią 1939 roku dotarł do Gutów. Odtąd pracował w ośmiohektarowym gospodarstwie rolnym ojca. Nawiązał kontakt z konspiracyjną Organizacją Orła Białego (OOB), utworzył własną jej komórkę i organizował szlaki kurierskie przez Słowacji i Węgry na Zachód. Współpracował też z Janem Kuśnierzem, ur. 14.12.1914 w Gutach, dowódcą grupy dywersyjnej Związku Odwetu. W dniu 5.2.1942 został aresztowany, następnie był więziony i torturowany przez gestapo w Mysłowicach, wreszcie 20.3.1942 stracony przez powieszenie (wraz z 23 innymi członkami polskiego ruchu oporu) w Cieszynie „Pod Wałką".

MOZAIKA

WIESIOŁO MARYCZKA

W naszych gorach Beskidach sóm same piekne gorolski dziedziny. W jednej przepieknej dziedzinie, kiero sie kyrczyła miyndzy gróniami, a kaj liszki dowały dobranoc, mieszkoł stary Pawera z cerók Maryczkóm we wielkij chałpie za szkołóm. Pół chałpy było drzewiannej, pół murowanej. Jeszcze za życio starej Pawerki przistawili ku chałpie murowanóm izbe dlo Maryczki. Do tej izby sie wlazowało z placu przez pociynek. Maryczke nazywali w dziedzinie wiesiołóm Maryczkóm. Bo Maryczka była doprowdy wiesioło. Żodyn jóm nigdy nie widzioł rozgniywanóm albo otopulónóm. Staro Lognarka z pod dziedziny, Maryczczyno ciotka, prawiła: „Maryczko, taś je taki szczyrzidło, bo sie fórt szczyrzisz." A że Maryczka była i piekno i robotno i obyrtno, tóż

sie kole nij kryncili młodzi gibczocy. Każdy by jóm chcioł do ołtorza zasmyczyć, ale óna sie nie chciała wydować. Lotała na każdóm tańcowaczke, na każdy festyn czy wieczorek. Starymu Pawerowi to nie było recht, prawił: „Maryczka, na dyć sie też kapke statkuj, nie lotej na każdóm tańcowaczke, wszyndzi nie musisz być, nie musisz wymiyść każdóm dziure". A Maryczka na to: „Ale tatulku, muszym użyć świata, bo jak skoczym pod czepiec, to sie wszystko skóńczy". Pawera na to: „Na dyć już by aji było na czasie, abyś pod tym czepiec skoczyła. Siły mnie opuszczajóm, już nieporadzym tak robić, jak kiejsi za młodu. Już aby tu był młody gazda. Już za dłógo sie kryncóm kole ciebie młodziocy a ty żodnego nie wybiyrosz, co jak sie im to bedzie zdać dłógo i odchynóm sie od ciebie i bedziesz kulać gnoty na Czantoryje. Maryczka sie zadziwiła: „Na jaki gnoty? Co to prawicie tatulku?" Pawera prawił: „Kiejsi heńdowni, jak sie dzieucha nie wydała, to sie nie prawiło, że została na ocet, kiejsi sie prawiło, że kulo gnoty na Czantoryje." Maryczka sie roześmioła: „Nima strachu tatulku, że sie nie wydóm. Jeżech gryfno, móm chałpe, chodziła żech do wydziałówki i wszystkie dzieuchi w dziedzinie sóm wedle mie pyrt!" Pawera Maryczke obereszył: „Na dyć se tak nie poczynej! Bier Jyndrysa Szczepońca, je to gryfny, szykowny, robotny nasz człowiek, dobrze zarobio w trzynieckim werku i po oczach mu widać, że cie mo rod. Co jak sie popszni i nóńdzie se inszóm dzieuche? Nie okocóniej sie, bier Jyndrysa!" Maryczka na to: „Na dyć mie tak tatulku nie poganiejcie do wydaja, tóż to roz bedzie, ale ni zaroz". Stary Pawera był z tego smutny.

Smutny był i Jyndrys Szczeponiec, bo mu Maryczka nie dowała żodnóm nadzieje, że sie za niego wydo. Mioł Maryczke strasznie rod i boł sie, że mu gdosi inszy Maryczke zabiere. Jyndrys mioł kamrata Rudka Kalete, z kierym robił we werku na tym samym betrybie i na tej samej szychcie. Rudek był żonaty. Jego sie Jyndrys radził, co mo zrobić, aby go Maryczka chciała. Rudek prawił: „Ze serca bych ci rod poradził, bo cie móm rod. Ale nie umiym ci poradzić. Z babami trzeba sie obchodzić jak z malowanymi wajcami. Jak człowiek co zrobi, to nigdy nie wiy, co baba na to powiy, czy ji to bedzie recht".

Przyszła wiosna, zbliżoł sie piyrszy maj. Jyndrys sie zebroł na odwoge i spytoł sie Maryczki: „Maryczko, nie obereszysz mie, jak ci pod oknym moja postawim?" Maryczka sie podziwała na Jyndrysa swojimi czornymi oczami, we kierych migotały wiesiołe iskierki i powiedziała: „Ty? Ty mi chcesz postawić moja? Ty sie na to trufiesz? To nima tak lehko postawić moja. Ty jyny tak fulosz" i uciykła. 30 kwietnia pod wieczór stawioł Jyndrys moja Maryczce. Rudek mu pumogoł. Już sie nadobrze ściwiywało, jak skónczyli robote. Maryczki nie było dóma, poszła gratulować ciotce Lognerce na urodziny. Jak skóńczyli robote, szeł Jyndrys do gospody starzikowi po tabake. Jak wylazowoł z gospody, to sie hned cofnył do siyni, bo prawie szła Maryczka, a ku nij dolatowoł Karlik Zagóra i wołoł „Maryczka poczkej! Dzisio bedzie jasno

ciepło noc, bo je miesiónczek w pełni, co by sie stało, gdyby my se dwo tak poszpacyrowali przy miesiónczku?" Maryczka na to:"Na ni, jo wieczór siedzym dóma, jo sie nigdy nie smykóm". Karlik prawił: „Na dyć by to nie było nic złego, tak se poszpacyrować". Ale Maryczka uciykła. Jyndrys w duchu zaluchcił: Na tym pieróński Karlik sie zamoc krynci kole Maryczki. Naostatku przydzie pod maryczczyne okno zwodzać Maryczke i jeszcze cosi porobi z mojym. I powiedzioł se, że pujdzie wachować pod maryczczyne okno. Jeszcze, że mu nie trafiła szychta. I Jyndrys wachowoł. Siedzioł w chrostach blisko maryczczynego okna. I jak miesiónczek wypłynół na niebo, przylecioł Karlik. Karlik chcioł strasznie zazdrzyć przez okno do maryczczynej izby, ale Maryczka miała zapostrzyte okno. Tóż sie wyszkroboł na moja, aby widzioł do izby. Naroz przylecioł pies Burek i skokoł kole moja i chcioł dosiyngnóć Karlika. Karlik wrzeszczoł: „Kusz! Idziesz precz, idziesz precz potworo!" Ale Burek ani myśloł iść precz, jyny coraz wiyncyj szczekoł i dożdziywoł. Naroz sie odewrzyło okno i z okna wyzdrzyła Maryczka: „ Na co sie tu robi, że tyn pies tak harwosi? I loce kole moja? Na gdóż też tam siedzi na tym moju?" Karlik wołoł: „To jo, Karlik, nimogym zlyść, bo mie pogryzie, pyty, oswoboździ mie od niego!" Maryczka wyszła na pole i zawrzyła Burka do szopy. Jak przyszła naspadek, to Karlik stoł pod oknym. Maryczka sie pytała: „To cie Burek tak przeganioł, żeś wyloz na moja?". „Na ni" prawił Karlik. „Nejprzód żech wyloz na moja, abych widzioł do twej izby, bo se myślim, że tam kogosi mosz, żeś zapostrzyła okno, a potym przylecioł Burek". Maryczka prawiła, że w izbie nikogo nima, ale Karlik fórt obstowoł przy swojim, że naisto, ale to naisto we swoji izbie kogosi musi mieć, kiej okno zapostrzyła. Maryczka powiedziała: „Tóż pój do izby sie podziwać, że żodnego nima". I obo wlyźli do izby i fórt nie wychodzili. Jyndrys zaklón w duchu: „Co oni tam robióm?" I też wyloz na moja, aby widzioł do izby. Maryczka i Karlik siedzieli przy stole i cosi popijali z kieliszków. Do Jyndrysa wlazła złość i zaczón fluchcić: „Na tym pieróński Karlik, niech go gęś kopnie, bedzie mi tu zwodzoł Maryczke, pierón jedyn! Na co mu móm wymarasić, aby przestoł chodzić za Maryczkóm?". Naroz uwidzoł kajfas z wopnym, kiery stoł opodal pociynka. „Na nejraczy bych cie, kafablu, wyczochtoł w tym wopnie, abyś se chyłknół tego wopna. Szkoda, że w tym kajfasie niesóm namoczóne kurzińca". Naroz cosi tyrkło do moja, omało że nie spadnył z moja. Jyndrys sie podziwoł na dół i zaklón w duchu: tam do djabła – kozisko czorne rogate, bydlok niebylejaki od starej Supiczki, bodzie zapalicie do moja. Jyndrys sie aż spocił, w głowie mu lotały myśli, na co teraz? Ani nimogym zlyść, bo mnie ta rogato potwora rożyskami oszkapi, co teraz móm zrobić? I siyngnył do kapsy po chustke, aby se pot obetrzył i namacoł paczek tabaki. No, prawił se Jyndrys w duchu, sprubujym kozie chynyć kapke tabaki, możne, że ji tabaka zaszmakuje i przestanie bóść, bo kozy majóm nikiedy pofiderne szmaki. I chynył kozie kapke tabaki. Koza przestała bóść i chyciła sie żrać tabake. I Jyndrys chynył

paczek tabaki opodal moja. Kozisko poleciało ku tabace i zaczyno jóm żrać a przy tym roz po roz wartko kiwało głowóm, jak to robióm kozy, jak żeróm cosi przenaramnie dobrego. Koza jak zeżrała tabake, to se legła i zaczyna przeżuwać. Jyndrys opaternie zloz z moja. Koza fórt leżała i przeżuwała. Jyndrys polecioł po Rudka. Za chwile Jyndrys i Rudek dolatywali ku mojowi. Po czeście uradzili, że kajfas z wopnym przysmyczóm pod maryczczyne okno, dwiyrze do maryczczynej izby zaszprajcujóm i zrobióm krawal, że sie robi sumeryja i że naisto Karlik piyrszy bedzie skokoł przez okno i plómśnie do kajfasa. Jyndrys mioł strach, aby Maryczka piyrszo nie skoczyła. Rudek tuplowoł, że naisto piyrszy bedzie skokoł Karlik, bo ón je popyrczany i straszpytel i dziwoki, jakby sie ulyngnył z dziwokich wajec. Jak uradzili, tak zrobili. Jak zaszprajcowali dwiyrze, to na dwiyrze zaburzili i wrzeszczeli: „Uciekajcie, hónym uciekajcie, bo sumeryja robi! Uciekajcie!" I zaroz sie schowali do chrostu. Usłyszeli straszne klamkowani, potym sie odewrzyło okno, a z okna Karlik skoczył prosto do kajfasa i zaroz z niego wartko wylazowoł. Do koziska jakby pierón uwalił. Kozisko skoczyło na rowne nogi i leciało ku Karlikowi. Karlik se beztak myśloł, że to pies Burek i zaczón uciekać. Oba Karlik i koza tak strasznie uciekali, że po nich zbyła tako jyny piska. I tu już w oknie stoła Maryczka gotowo skoczyć na dół i wrzeszczała: „Co sie robi? Co sie robi? Gore?" Jednym skokym był Jyndrys pod oknym i wrzeszczoł: „Nie skokej! Maryczka, nie skokej!! Nic sie nie robi!" Maryczka fórt wydziwoczóno stoła w oknie i wrzeszczała: „Na dyć gdosi strasznie wrzeszczoł i burzył na dwiyrze, że sie sumeryja robi, aż uciekómy, a dwiyrze były zaszprajcowane i nie szło uciyc." Jyndrys wrzeszczoł: „Nic sie nie robi! Nie gore! Zlazuj z okna, jo pujdym dwiyrze odszprajcować". Jak Maryczka wyszła na pole, to hned leciała pod okno a za nióm Jyndrys. Maryczka wołała: „Na kiery chachar robi taki gupoty na paszkliwość! Karlik był u mnie i skoczył przez okno, nie leży tu kaj ze złamanóm nogóm?" Ale Karlika nie było, ale stoł kajfas. Jak go Maryczka uwidziała, to z ni wyhrkło: „Na cóż tu robi tyn kajfas?" Jyndrys powiedzioł: „Co robi? Na stoji." Maryczka fórt jeszcze wydziwoczóno odsiekła: „To widzym, że stoi a nie leży, ale gdo go tu przysmyczył? Na nie leży w tym kajfasie Karlik?" Karlika w kajfasie nie było, Maryczka se oddychnyła: „To dobrze, że Karlik mioł tela duchaprzytómności, że nie skoczył do kajfasa. Ale jo chnet idym po szandarów, co sie już to dzisio robi na tym świecie". Jyndrys powiedzioł: „Nie chodź po szandarów. Joch to zrobił". Maryczce jeszcze złość nie popuściła, wrzeszczała: „Tyś to zrobił. Na czyś ty zgupnył cosi takigo wywiyść?". „Na nie zgupnył żech" – prawił Jyndrys – „przysmyczył żech tyn kajfas pod okno, aby sie w nim wypłoszóny Karlik wykómpoł, aby przestoł za tebóm chodzić, bo wiysz, że cie móm rod". Maryczka wołała: „Na nie opowiadej, żeś tyn kajfas sóm pod okno przysmyczył, na to by musieli być dwo". Jyndrys prawił: "Powiadajóm, że miłość gory przenoszo a moja miłość ku ciebie je tak wielko, że kajfas przeniósła". Maryczce zaciyno rzecz,

za chwile powiedziała: „To mie mosz doprowdy tak strasznie rod?" Jyndrys hónym mówił: „Doprowdy, Maryczko, doprowdy cie móm straszucernie rod i byłbych nejszczynśliwszym człowiekiem, gdybyś poszła zymnóm do ołtarza". Maryczce zaś zaciyno rzecz, po chwili cicho powiedziała: „Na niech tak bedzie". I była z tego wielko pusa, to sie wiy, że sie nie skończyło na tej jednej pusie. A w chroście Rudek mioł wielkóm radość, że sie Jyndrys bedzie żynił z Maryczkóm.

Na drugi dziyń stary Pawera omało niespod z nóg z radości i ździwiynio, jak mu Jyndrys z Maryczkóm przyszli powiedzieć, że sie majóm radzi i że sie chcóm pobrać i czy ón nimo nic przeciw tymu. Pawera był strasznie rod i pytoł sie, że co sie porobiło, dyć Maryczka nie chciała słyszeć o wydaju. Maryczka sie uśmiychnyła i powiedziała: „Bo tatulku miłość kajfas przeniósła". Pawere zatkało ze ździwiynio: „Kajfas? Jaki kajfas? Nic nie rozumiym". Maryczka powiedziała: „My wóm to tatulku roz dokumentnie opowiymy, ale teraz mómy na pilno".

W tyn sóm dziyń staro Muraska chodziła po dziedzinie i opowiadała, że w nocy przy miesiónczku sie chciała podziwać, wiela mojów je postawiónych w dziedzinie i że jak szła przez dziedzine, to z poza szkoły wypalił bioły duch, a tego ducha przeganioł czorny rogaty dioboł. I że óna sie tak wylynkała, że aż przysiadła na ziym, i że ji z tego zlynku mocz zaciyno, i że całóm noc se musiała warzić zieliny, aby jóm puściło na mocz. I szła sie pytać kopidoła, czy kiedy na kierchowie nie widzioł diobła, coby mioł dłógi rogi obrócóne szikmo do zadku. Kopidoł prawił, że co ón wiy, to diobły takich rogów nimajóm, że diobły majóm rowne, krótki rogi i że, czy óna Muraska se nie szrubła kwitule, że sie ji taki dioboł na oczy postawił. Muraska sie strasznie rozpajedziła i byłaby kopidołowi fochnyła, ale kopidoł uciyk.

Jyndrys nie zapómnioł na koze, bo i óna mu pumógła przegnać Karlika. Jak sie pasła w supiczczynej zogrodzie, to nabroł wyrchowaty kosz nejlepszej kończyny i chynół ji przez płot.

I było wiesieli Maryczki z Jyndrysym. Rudek Kaleta był za staroste. Jak przyjechali z kościoła i siedli do zastawiónych stołów, to wszystkich gości było osiymdziesiąt. Przy jednym stole siedzieli sami werkowi, przy drugim stole siedziała rodzina. Jak weselnicy pojedli i zaczón sie horuch, baby repeciły co niemiara, to Jyndrys pochycił butelke rozolki do gorści i szeł ku starostowi Rudkowi. Naloł do kieliszków rozolki i powiedzioł: „Na teraz my se Rudku luchnijmy tej rozolki na tóm miłość, co kajfas przeniósła". I obo sie do siebie uśmiychnyli i mrugnyli – oba wiedzieli czymu.

WANDA MRÓZEK

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: A. Rzeka na Ukrainie; poseł, wysłannik; ptak lotny;. **B.** Zlepieniec; nie rzucim ziemi, skąd nasz ród. **C.** Miasto w Etiopii; atrofia; szlachecki herb polski. **D.** Chodzi wspak; uroczysty utwór muzyczny; bazar, jarmark. **E.** Imię Mistrza z Czarnolasu; ustalony porządek. **F.** Czeski piosenkarz; roślina o dużych wonnych kwiatach. G. Niezwykła rzecz; tarapaty; polski architekt (Wiktor). **H.** Żydowskie święto; imię Bratnego; malarz hiszpański (Salvadore). **I.** Kosaciec; aktor Sceny Polskiej TC (Piotr). **J.** Długotrwały okres bez opadów deszczu; as lub walet; drapieżnik morski.

PIONOWO: 1. Mityczny lotnik; kopia oryginału. **2.** Typ aparatu fotograficznego; miasto w Nigerii. **3.** Syn syna; część zbroi. **4.** Ropucha olbrzymia; rzymski Zeus. **5.** Cyrk lodowcowy. **6.** Miasto nad Jeziorem Genewskim. **7.** Imię Fiały, aktora czeskiego; człowiek małomówny. **8.** Miasto w Belgii; ryba odżywiająca się glonami. **9.** Solo w operze; rzeka lub ryba. **10.** Zachowanie zasad przyzwoitości; początkowa nazwa miasta Kętrzyn. **11.** Miejsce ostatnich letnich igrzysk olimpijskich. **12.** Tytuł dostojników w Etiopii. **13.** Poetycki utwór miłosny; spód. **14.** Dawniej łódź, okręt; państwo w środkowej Afryce. **15.** Olejek różany; mały rekinek występujący w Morzu Śródziemnym. **16.** Gatunek antylopy; powstanie ludowe w Konstantynopolu (także imię żeńskie).

WYRAZY TRUDNE: IKWA, RAST, ZURU.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: B-1, H-15, I-9, G-8, I-3, C-10, F-4, E-14, G-3, A-13, J-10, I-13, C-7, E-4, G-11, D-3, A-10, E-13, G-4, B-3, I-14, A-7, C-16, G-12, J-4, I-12, G-7, I-1, B-14, A-8, E-6, H-4, A-3, J-16, H-9, C-9, H-1, G-14, J-7, C-13.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca maja.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU MARCOWEGO:
Hasło: **„Czeski Cieszyn i Frysztat"**
Nagrody książkowe wylosowali: **Katarzyna Liskowicz** - Czeski Cieszyn
Halina Sikora - Mosty koło Jabłonkowa
Tadeusz Kostka - Bystrzyca

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
EWA SANTARIUS (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
WŁADYSŁAW MILERSKI
KRZYSZTOF NOWAK
WILHELM PRZECZEK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 144,- Kč, z wysyłką pocztową 186,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

ZAPRASZAMY NA FESTIWAL W KARWINIE W SOBOTĘ 7. 6. 1997

W programie:

11.00 Formowanie pochodu koło Domu Kultury w Karwinie Nowym Mieście
12.00 Pochód do Hali Sportowej w Karwinie-Frysztacie
13.00 Zagajenie Festiwalu, blok programowy zespołów chóralnych i tanecznych
14.30 Ogłoszenie wyników konkursu „Zaolzie – nasz wspólny dom"
15.30 Pokaz gimnastyków MK PZKO Wędrynia
16.00 Koncert ZPiT „Mazowsze"

O 14.30 rozpocznie się blok programów w Parku B. Němcovej zakończony zabawą młodzieżową trwającą do 24.00.

Festiwalowi towarzyszyć będą wystawy: Klubów Kobiet, Klub Twórców Ludowych, książek „Contactu", prac konkursowych dzieci i młodzieży w Hali Sportowej oraz członków SLA w galerii MAGAL.

TACY JESTEŚMY



POLSKIE TOWARZYSTWO MEDYCZNE W REPUBLICE CZESKIEJ

Działa od roku 1976, najpierw jako Klub Medyka przy ZG PZKO, a od roku 1991 samodzielnie, jako PTM. Zrzesza nie tylko lekarzy, także pozostałych pracowników służby zdrowia, łącznie z personelem pielęgniarskim. Prezesem PTM jest doc. dr hab. med. Bogusław Chwajol. Na zdjęciu wraz z p. Heleną Śliwkową i mgr. Tadeuszem Hławiczką w trakcie narady przed II EUROPEJSKIM KONGRESEM LEKARZY POLSKICH I POLONIJNYCH, o którym można przeczytać w tym numerze Zwrotu.

NASZE ZESPOŁY



MAŁY ZESPÓŁ WOKALNY „BŁĘDOWICE"

Mały Zespół Wokalny „Błędowice" powstał w roku 1953 z sekstetu żeńskiego i kwartetu męskiego, które wówczas działały przy MK PZKO w Błędowicach. W ciągu następnych lat swej bogatej działalności śpiewaczej zespół zmieniał swój skład, zmieniali się śpiewacy... Pod kierownictwem artystycznym pani Danuty Bilan, zapalonego muzyka i organizatora, zespół pokonywał jednak trudności, rósł artystycznie i... przetrwał dzielnie do dnia dzisiejszego. Obok górnosuskiej „Gamy" należą „Błędowice" do najstarszych stażem małych zespołów wokalnych w okresie powojennym.

Od listopada 1989 roku organizuje zespół corocznie bardzo sympatyczne i miłe wieczorki wokalno-muzyczne pn. „Jesienne mgły", spotkania melomanów dobrej piosenki, pełne śpiewu, poezji i tańca. Nie brak też na tych spotkaniach m. in. wybitnych artystów, śpiewaków operowych na czele z panią Aliną Farną-Podskalską (sopran), solistką Opery Morawskośląskiego Teatru Narodowego w Ostrawie. Zespołowi akompaniuje na fortepianie pani Marta Ptak, słowem i poezją przeplata koncerty pani Marta Molinek.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

6/97

PZKO 50

FESTIWAL PZKO 7. 6. 1997 – KARWINA



DZIŚ UCZESTNICY FESTIWALU PZKO,
JUTRO CZŁONKOWIE
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO

TACY BYLIŚMY



Maturzyści Seminarium Nauczycielskiego na Bobrku w Cieszynie, tzw. „wojennej matury" z 1915 roku. Fotografia została wykonana 15 marca tegoż roku. Ojciec właściciela fotografii p. inż. Romana Badury z Rychwałdu – Jan Badura (drugi po lewej stronie na górze) – po zdaniu przyspieszonej matury już 15 kwietnia 1915 znalazł się w austriackim wojsku, w którym służył do końca pierwszej wojny światowej w stopniu porucznika. Później w polskim wojsku bronił Zaolzia.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLVIII Nr 571 Cena numeru 12,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 15,50 Kč

6/97

Cieszyńska Książnica

W NUMERZE

[4]	Festiwal Piosenki Dziecięcej	
[6]	Kwitnące ogrody	JAN PYSZKO
[14]	Jubileusz „Gorola“	C.R.
[16]	Na marginesie rozważań o pograniczu	EDMUND ROSNER
[19]	Federacja czy konfederacja	ROMAN BARON
[24]	Odrodzenie polskości na Litwie	LESZEK WĄTRÓBSKI
[27]	Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (7)	ALOJZY NOWOK
[34]	Pierwszy aptekarz w Wiśle	TEODOR CIENCIAŁA
[36]	Polscy autorzy w czeskim kontekście	JIŘÍ SVOBODA
[40]	Poezja Marii Chrąściny	
[42]	Wiesław Adam Berger: Marienbad	
[45]	Renata Putzlacher - Moje fascynacje	
[47]	Okruchy literackie	
[48]	Listy rencisty	
[49]	To i owo	
[52]	Echo wydarzeń muzycznych	
[58]	Na naszej scenie	
[62]	Na półkach księgarskich	
[63]	Kronika	
[71]	Mozaika: Powiarki śląskie	GUSTAW MORCINEK
[75]	Janosik - mit a rzeczywistość	JAN KUBICZEK
[79]	Krzyżówka	

Numer zamknięto 7. 5. 1997
1. str. okładki - dzieci z Polskiej Szkoły Podstawowej w Oldrzychowicach-Równi



I Festyn Powiatowy PZKO i SMP (1947)



Festyn Krajowy PZKO – Cz. Cieszyn (16. 7. 1950)



III Powiatowy Festiwal PZKO (1. 7. 1956)



Festiwal 10-lecia PZKO – Cz. Cieszyn, Park Sikory (7. 7. 1957)

V FESTIWAL PIOSENKI DZIECIĘCEJ

Finał V Festiwalu Piosenki Dziecięcej odbył się w hawierzowskim Domu Kultury 3 maja br. pod hasłem „Piosenka odmieni ci świat". W imieniu organizatorów, ZG PZKO oraz Polskiej Szkoły Podstawowej z Hawierzowa–Błędowic, zgromadzonych na sali powitała dyrektorka błędowickiej szkoły Wanda Heller. Wśród przybyłych na imprezę gości byli – poseł do Parlamentu RC i prezes Rady Polaków Wawrzyniec Fójcik, senator Emil Škrabiš, konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Mariusz Korgol, dyrektor Domu Narodowego w Cieszynie Jerzy Herma, przedstawiciele Urzędu Miasta Hawierzowa, powiatowego Urzędu Szkolnego, ZG PZKO, Polskiego Centrum Pedagogicznego, Towarzystwa Nauczycieli Polskich, Macierzy Szkolnej, HPC. W jury zasiedli: Jiří Pospíšil z ostrawskiego Radia, Renata Worek–Drössler, aktorka praskiego teatru Semafor, Maria Hupka, Urszula Niedoba i Henryk Sumera. O akompaniament postarała się orkiestra pod kierownictwem Wiesława Farany.

Wśród wykonawców najlepszymi okazali się:

w kategorii pierwszej Adam Farana, uczeń PSP w Karwinie–Nowym Mieście, z piosenką „Kaligula",

w kategorii drugiej Tomasz Suchanek, uczeń PSP w Hawierzowie–Błędowicach, z piosenką „Nasza stara limuzyna",

w kategorii trzeciej Barbara Humel z Czeskiego Cieszyna z piosenką „Deszczowy blues",

w kategorii duetów Alicja Herman i Helena Lugsch z Karwiny–Nowego Miasta z piosenką „Jambalaya",

w kategorii zespołów „Anki" z Hawierzowa–Błędowic z piosenką „Słodka Dorotka".

Alicja Herman i Helena Lugsch otrzymały ponadto nagrodę publiczności.

W drugiej części koncertu wystąpili goście Festiwalu: Renata Worek–Drössler, Urszula Niedoba, Monika Niedoba, Mariam Bangoura i Tamara Czudek.

(Obszerne omówienie Festiwalu ukaże się w jednym z następnych numerów.)

C.R.







fot. FRANCISZEK BAŁON

KWITNĄCE OGRODY

„Pozwólmy dziecku
cieszyć się życiem szkoły"
(SM)

Myśl motta chyba najpiękniej wypowiada dewizę szkoły, którą można by przyrównać do kwitnących ogrodów, gdzie kwiaty to dzieci, a dziecko - to żywy skarb rodziców i przyszłość narodu!...

„Summa cum laude" - z najwyższym uznaniem.

Sądzę, iż na powyższą sentencją zasługuje każda polska szkoła w Republice Czeskiej na Zaolziu.

„Jakże cię cenić, jak szanować i nie utracić" - powie poeta. Właśnie, chodzi o to słówko „jakże"!

„Jakże" czy „aż jak", czy po prostu „jak"....?!

Kardynalne to „pytanie" nurtuje polskie społeczeństwo na lewobrzeżnym skrawku ziemi dawnego Księstwa Cieszyńskiego od pamiętnego 1920 roku.

Szkoła - żywy instrument nauki i wychowania młodego pokolenia, z trudem wybija się na godne miejsce w społecznej hierarchii. Jej los, znaczenie, służebna misja staje w centrum zainteresowania - głębszego oglądu, troski, opiekuńczych starań w czasie zagrożenia lub jubileuszowego świętowania. Tak dzieje się w tym roku szkolnym w Jabłonkowie. Szkoła - dawna „wydziałówka" obchodzi 70-lecie chlubnego działania.

Z lektury kroniki jabłonkowskiego szkolnictwa jasno wynika, iż o szkołę od początku trzeba było toczyć (i nadal się toczy) bitwy, raz większego, innym razem pomniejszego charakteru o różnym - ekonomicznym, politycznym czy narodowym zabarwieniu.

Idea szkoły w Jabłonkowie i okolicy promieniuje od ponad trzystu lat. Jabłonków jeszcze nie miał budynku szkolnego a rektor - kierownik już w 1652 roku pobierał od każdego mieszczanina 3 grosze, od nawsian należało mu się 18 a pioszczanie płacili rektorowi 9 groszy.

W roku 1679 wizytator biskupi wyprosił u mieszczan mieszkanie dla rektora i organisty. W niespełna dziesięć lat później (1688) szkoła otrzymuje dosyć obszerny budynek drewniany, w którym na górze mieszka rektor, pełniący jednocześnie funkcję pisarza miejskiego. W zimie do szkoły uczęszcza około 60 dzieci, w lecie mniej.

Rektor prowadził naukę w niezrozumiałym dla większości uczniów języku niemieckim. Dopiero burzliwa Wiosna Ludów (1848) doprowadza do zasadniczych przemian społeczno-politycznych, które głęboko dotykają systemu szkolnego, metod i programu nauczania. Ruchy narodowo-wyzwoleńcze w tym i postulat wielkiego nauczyciela narodów Jana



Dzieci i opiekunowie ochronki w nowym budynku szkolnym (1925). W Środku dyr. Paszek z córką Jadzią.

Amosa Komenskiego, Czecha, docierają do Jabłonkowa, iż: „Nauka w szkołach powinna odbywać się w języku macierzystym"; w Jabłonkowie polskim. Wielka to zasługa ówczesnego księdza W. Piontka.

Drewniana szkoła przy kościele w drodze do murowanego budynku przechodziła burzliwe, czasami wręcz dramatyczne czy komiczne przygody.

Do roku 1870 w Jabłonkowie pracowała trzyklasowa, utrakwistyczna szkoła (w klasach 1–3 uczono w języku polskim z lekcjami nauki języka niemieckiego, od klasy czwartej obowiązywał język niemiecki. Języka polskiego uczono na lekcjach nadobowiązkowych).

Z roku na rok rośnie liczba dzieci. Drewniany budynek jest ciasny, dzieci uczą się na dwie zmiany. W tej sytuacji Rada Miejska podejmuje uchwałę dotyczącą budowy nowej szkoły, tym razem już murowanej. W roku 1883 przy strzałach z moździerzy, po mszy świętej polowej, otwarto z wszelkimi honorami murowany budynek szkoły „przy kościele". Burmistrz miasta Antoni Auschwitzer przekazał klucze kierownikowi Janowi Netterowi. Czteroklasowa, później pięcioklasowa utrakwistyczna szkoła pod kierownictwem następcy Nettera Franciszka Błażeja, przetrwała do końca I wojny światowej (1918).

Do rozstrzygnięcia i ustabilizowania się czesko-polskiej granicy na rzece Olzie (1920), w latach 1918–1921 szkoła „przy kościele" była jedyną

szkołą w Jabłonkowie. Nauka odbywała się wyłącznie w języku polskim. W ostatnim roku szkolnym (1920–21) tejże szkoły naukę pobierało tutaj 590 uczniów.

Rok 1921 w historii Śląska Cieszyńskiego otwiera nową kartę narodowościowego już szkolnictwa w Jabłonkowie. Po raz pierwszy czeska strona powołuje do życia pierwszą klasę szkoły czeskiej, której miejsca użycza – o dziwo! – szkoła przy kościele. Natomiast następny nowy rok szkolny szkoła czeska inauguruje już we własnym, okazałym, w rekordowym czasie wybudowanym gmachu (obecny gmach szkoły rolniczej). Kierownictwo czeskiej szkoły obejmuje dotychczasowy nauczyciel polskiej szkoły, pochodzący z Ochab, Karol Smyczek.

W tym pełnym niepokoju (przetargowym) okresie roku 1922 w polskim społeczeństwie zostaje ustanowiony komitet założycielski szkoły nowego typu – „wydziałowej", który prowadzi starania o pozwolenie na budowę nowej szkoły dla polskiej młodzieży Jabłonkowa i okolicy. Komitet (Jerzy Cienciała, Izydor Kopecki, Szczepan Sikora, Paweł Jeżowicz i Jan Kostelnoszek) wnosi podanie do władz czeskich o założenie takiej szkoły, które zostaje załatwione odmownie z motywacją braku środków finansowych. Po czteroletnich zmaganiach władze czeskie (szkolne) wydają zgodę, lecz na szkołę prywatną (bez państwowego mecenatu).

Uroczyste otwarcie Prywatnej Szkoły Wydziałowej w Jabłonkowie nastąpiło w dniu 1 września 1926 roku, nowego budynku szkolnego 9 września 1928. Jabłonków nie pamiętał tak radosnej manifestacji. Tłumy ludzi śpieszyły obejrzeć nowy budynek szkolny...

Do nowo otwartej „wydziałówki" wrócili uczniowie z jabłonkowskiego, którzy chodzili do bystrzyckiej szkoły, m.in. Karol Heczko z Nawsia, późniejszy nauczyciel jabłonkowskiej szkoły, założyciel chóru męskiego „Gorol" czy Paweł Sikora z Kalinowego, sędziwy już dzisiaj profesor UJ w Krakowie i inni.

Garść informacji... Radość uzyskania zgody nie miała granic i przerodziła się w spontaniczny akt czynu. Na darowanej parceli jabłonkowskiego obywatela pana Danka (naprzeciw dawnego sądu powiatowego w Jabłonkowie), w rekordowym czasie jedenastu miesięcy, ze składek polskiego społeczeństwa (200 tys. Kčs) i jednego miliona koron Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji wzniesiono gmach Polskiej Szkoły Wydziałowej im. Henryka Sienkiewicza w Jabłonkowie.

Odtąd nowa placówka edukacji stała się żarliwą kuźnicą i ostoją polskiego szkolnictwa nie tylko młodzieży, lecz i dorosłych jabłonkowskiego Podbeskidzia aż do roku 1948 (z wyjątkiem niemieckiej okupacji), bowiem z dniem 1 stycznia 1949 roku (po wydarzeniach lutowych) w życie wchodzi nowa ustawa szkolna, która dotychczasowy system szkolny (szkoły ludowe i wydziałowe) przekształca w jednolity – podstawowe.



Pierwszacy w nowocześnie wyposażonej klasie (stary budynek), fot. FRANCISZEK BAŁON

Blaski i cienie – losy szkolnictwa polskiego w Jabłonkowie pióra powojennych dyrektorów szkoły Karola Piegzy i Gustawa Słowika zostały ogłoszone drukiem w publikacji pt. „50 lat PDSP w Jabłonkowie", która ukazała się staraniem SRPS przy PDSP z okazji 50-lecia dawnej Polskiej Szkoły Wydziałowej w r. 1976.

Pierwszym dyrektorem szkoły Jubilatki był nauczyciel Rudolf Paszek, w latach 1938–39 naucz. Franciszek Szymonik. Po II wojnie światowej szkołę prowadzili dyr. Karol Piegza, Gustaw Słowik, Jan Cieślar, obecnie szkołą kieruje pani dyr. Sylwia Mrózek.

– Szkolnictwo, podobnie jak inne „obszary" współczesnego rozwoju ekonomiczno-społecznego na miarę burzliwego wyzwania czasu, poszukuje należnego sobie miejsca w życiu republiki. Jak w tych warunkach kształtuje się szkolnictwo narodowościowe, w naszym przypadku polskie? – pytam panią dyrektor.

– Na tych samych zasadach jak szkolnictwo narodowe czyli czeskie, z tą różnicą, iż bardziej złożona sytucja istnieje w kwestii podręczników czy pomocy naukowych. Chcę podkreślić tutaj prężny wysiłek nauczycieli, którzy w tym trudnym okresie nie szczędzili sił ani czasu i z poświęceniem aktualizowali, dostosowywali programy i plany nauczania do nowych potrzeb szkoły. Jeśli chodzi o dorobek szkoły Jubilatki,

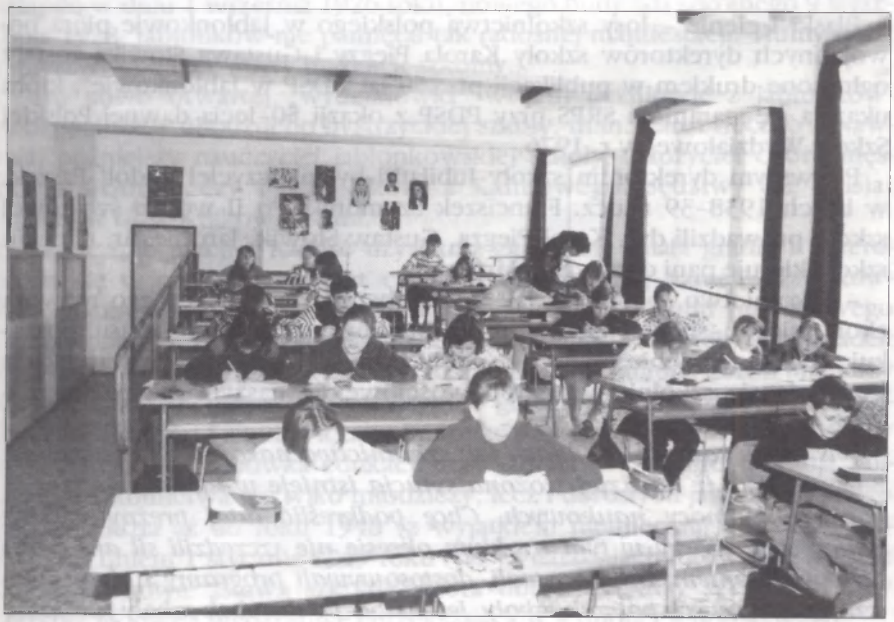
to na przestrzeni siedemdziesięciu lat jest imponujący. Tysiące wychowanków, nauczycieli, którzy przewinęli się przez jej mury są żywym świadectwem chlubnej historii, a rok jubileuszowy to rok kolejnych zmian w szkolnictwie. Wraca się do 9-letniego obowiązku szkoły podstawowej, co związane jest z nową redakcją programów nauczania...

We wrześniu 1994 roku powołano do życia bardzo potrzebne polskiemu szkolnictwu w RC Centrum Pedagogiczne w Czeskim Cieszynie. Ożywiły się kontakty polskich szkół w obu powiatach, funkcjonuje poradnictwo pedagogiczno-metodyczne, dla nauczycieli otworzyły się szerokie możliwości uczestnictwa w kształcąco-wychowawczych kursach, branżowych spotkaniach itp.

O rzetelnej fachowości nauczycieli szkoły świadczy i to, że co roku 60-70% naszych absolwentów kontynuuje naukę w szkołach średnich, świetnie sobie tam radzą, a wielu z nich podejmuje studia na wyższych uczelniach w kraju i za granicą.

Świadomi pięknych i bogatych tradycji życia kulturalnego szkoły, kontynuujemy życie śpiewacze, sportowe, teatralne, uczestniczymy w licznych konkursach. Naszym „oczkiem" jest coraz bardziej znany zespół rodzimego folkloru „Nowina".

Jabłonkowska Jubilatka jest szkołą zbiorczą, do której przychodzą uczniowie ze szkół nawiejskiej, gródeckiej, z Bukowca, Piosku, Dolnej



Współczesna klasopracownia

i Górnej Łomnej. Przychodzą dobrze przygotowani, często ich nazwiska są wpisywane do „Złotej Księgi" naszej szkoły.

Szkoła to nie byle jaki instrument nauki, wiedzy, postępu... We współczesnym świecie nie nadąża jednak za niebywałym postępem techniki – technizacji życia. Nasza, jeszcze w niedalekiej przeszłości była nowoczesną budzącą „zazdrość", dzisiaj już wymaga nieustannej modernizacji. W tym celu obecne kierownictwo czyni starania o urbanistyczną realizację własnego, nowoczesnego areału szkoły (rozbudowy obecnego gmachu Jubilatki według istniejącego już projektu). To ambitne i wymagające zadanie niedalekiej przyszłości.

Główne uroczystości jubileuszowe „wydziałówki" odbędą się w czerwcu, gdzie będzie można nabyć okolicznościową publikację pod tyt.: „Z serca i wiary słoneczna". Inauguracja uroczystości odbędzie się już w maju (17 i 18) wystawieniem współczesnej bajki – musicalu pt. „Sona" z muzyką Andrzeja Macoszka w reżyserii naucz. Urszuli Czudek, córki śp. Adama Wawrosza.

Miło mi podać do publicznej wiadomości, iż Ministerstwo Kultury i Sportu RC, szkole po ponad sześćdziesięciu latach przywróciło godność imienia Henryka Sienkiewicza.

– Serdecznie dziękuję za pełne urody słowa o szkole Jubilatce.

JAN PYSZKO



Przy tablicy... *fot. FRANCISZEK BAŁON*

SKARB

Ściany
korytarze
magia
katedry z tablicą
kredy
dzwonki
i
ten rój nastolatów
żywe anteny
szarych komórek
Skrzące się jeziorka
ciekawości
migoty marzeń
ambicji
i
nie tak znowu romantyczne
zdobywanie wiedzy

A
jednak
mimo patyny czasu
ciągle pamięcią kwitnące
bez skazy
obrazy

Szkoło
pełna żniwnego zdroju
od ponad trzystu lat
przykościelna
Potem
na Dankowym polu
nowa
ogniem ducha wiary
korzeniami rzeki dębów
Jana
dzień w dzień słoneczkiem
solą ziemi
cum laude
zaprawiana

Skarb
którego nikt i nigdy
żadną miarą
nam
nie zabierze

JAN PYSZKO
Na jubileusz siedemdziesięciolecia
Polskiej Szkoły Podstawowej
w Jabłonkowie
czerwiec 1997



Festival 15-lecia PZKO (30. 6. 1962)

JUBILEUSZ "GOROLA"

W sobotę 19 kwietnia odbył się w Teatrze Cieszyńskim koncert jubileuszowy chóru męskiego „Gorol" z Jabłonkowa. „Gorol" powstał przed 50 laty w trakcie spotkań miłośników śpiewu w jabłonkowskiej „Czytelni". Pierwszym dyrygentem został Karol Heczko. „Gorol" czerpał z rodzimego folkloru góralskiego, wystawiał widowiska muzyczne, przy zespole powstała grupa taneczna, pojawił się gawędziarz-konferansjer Władysław Niedoba. „Gorol" był organizatorem „Gorolskich Świąt". Po latach sukcesów i kryzysów w roku 1963 dyrygentem „Gorola" stał się Bogusław Stonawski, który prowadzi zespół do dnia dzisiejszego. Nie ma dziś przy zespole grupy tanecznej. W roku 1991 gawędziarzem zespołu został Tadeusz Filipczyk. Jednak idea „Gorola", jaką jest propagowanie folkloru góralskiego, nie zmieniła się.

Na koncert jubileuszowy chóru przybyli liczni goście oficjalni, m.in. dyrektor gabinetu wicepremiera RP Mirosława Pietrewicza Andrzej Mickiewicz, dyrektor Departamentu Współpracy z Zagranicą i Polonią Ministerstwa Kultury i Sztuki RP Magdalena Gumkowska, delegacja Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie z konsulem Krzysztofem Szewczykiem na czele, przedstawiciele Radia Katowice, organizacji zaolziańskich. Listy gratulacyjne przesłali: marszałek Senatu RP Adam Struzik, wicepremier Mirosław Pietrewicz, minister, prezes Komitetu Badań Naukowych RP Aleksander Łuczak.

W trwającym ponad trzy godziny programie zabrzmiały piosenki ludowe polskie, czeskie i słowackie, pieśni kompozytorów rodzimych i obcych, wiersze Władysława Młynka, anegdoty Tadeusza Filipczyka. Pieśnią „Witómy was..." zagaił program Władysław Niedoba. Władysław Młynek zaznajomił publiczność z historią chóru. Wspominano w programie wielkiego sympatyka „Gorola" Henryka Jasiczka. Gościnnie wystąpiły ZPiT „Olza" oraz dziecięca kapela góralska „Nowina". Na zakończenie cała sala odśpiewała hymn góralski „Szumi jawor, szumi".

Sala Teatru Cieszyńskiego nie zmieściła wszystkich, którzy pragnęli obejrzeć występ „Gorola". Toteż w następną sobotę, 26 kwietnia, powtórzono koncert w Domu Kultury w Karwinie-Nowym Mieście. I tym razem wypełniona po brzegi sala oklaskiwała jubilatów, Władysławowi Niedobie śpiewano „Sto lat", a na ręce członków chóru złożono wiązanki kwiatów i życzenia wielu jeszcze lat owocnej działalności.

C.R.





fot. FRANCISZEK BAŁON

NA MARGINESIE ROZWAŻAŃ O POGRANICZU

Wystarczy przejrzeć bieżące opracowania bibliograficzne, aby przekonać się o tym, ile artykułów, szkiców, rozpraw poświęcono w ostatnim czasie regionowi, różnym przejawom regionalizmu, kształtowaniu lokalnej świadomości i wielu innym terminom i pojęciom, mającym swój rodowód w różnych nazwach, przyjmowanych na określenie małej ojczyzny. Od dawna bowiem wiadomo, a dziś uświadamiamy to sobie ze zdwojoną siłą, że *„mają to ludzie powszechnie z wychowania i prawie z przyrodzenia, iż miejsce, w którym życie odebrali, w którym wypielęgnowali ich rodzice (...), bardzo lubią, przenosząc je nad inne miejsca, życzą współziomkom swoim więcej niż innym, radzi by widzieli, żeby ich miasto, wieś, kraina opływała we wszystko i cześć i sławę u ludzi miała."*

Ten wątek ideowy, zwerbalizowany w przytoczonym cytacie przez Grzegorza Piramowicza (XVIII w.), w minionych dziesięcioleciach podejmowany był wielokroć, choć równocześnie, zwłaszcza w latach proletariackiej dyktatury, był minimalizowany lub nawet zwalczany. Więzi z najbliższym środowiskiem przeciwstawiano więź klasową i ideał wspólnoty socjalistycznej, wyrażającej się już nie tylko we wspólnocie narodowej, ale w jedności całego obozu komunistycznego, zarządzanego przez centralną władzę w Moskwie.

I oto wraz z upadkiem totalitarnego systemu ożyły prawdy, zapisane w duży stopniu w ludzkiej naturze, odżyły hasła i programy regionalizmu, odwołujące się do prawie odwiecznego przeżywania kontaktu człowieka z rodzimą lub przybraną małą ojczyzną.

O ile na terenach centralnych więź regionalna wyrasta na ogół z jednorodnej kultury lokalnej społeczności, to na obrzeżach państw, które wchodzą w wielorakie kontakty z państwami sąsiednimi, zaznaczają się różne wpływy kulturowe i w konsekwencji przynależność regionalna na pograniczach w dużym stopniu zasadza się na wielokulturowości.

Regiony pogranicza jako często regiony wieloetniczne różnią się zatem od innych regionów m.in. tym, że ich specyfiką nie jest wyrazista jednorodność kulturowa, a przeciwnie ich mieszkańcy reprezentują różne tradycje i przez nie wzajemnie na siebie oddziaływują. Więź uczuciowa z najbliższym otoczeniem, ów rys charakterystyczny małej ojczyzny, jest udziałem wszystkich mieszkańców regionu i to niezależnie od przynależności do określonej grupy etnicznej.

Powyższe wyjaśnia wiele zjawisk w kulturach regionów pogranicznych, np. funkcjonowanie tych samych motywów w twórczości autorów z tego samego terenu a przyznających się do odmiennych kręgów np. językowych. Dla przykładu postać Ondraszka, który jest bohaterem zarówno słowackich, czeskich, polskich, niemieckich (austriackich) utworów literackich.

Współczesne procesy cywilizacyjne, rozliczne przemieszczenia ludności, wprowadzają elementy pograniczności już nie tylko na tereny przylegające do dwóch (trzech) państw, ale często do środowisk znacznie oddalonych od ziem kresowych. W dosłownym i przenośnym znaczeniu pękają granice między ludźmi różnych narodowości, religii, kręgów kulturowych i in. i z uznaniem przychodzi odnotować słowa Henryka Jasiczka, wypowiedziane prawie proroczo w 1969 roku (i dlatego może tak bardzo zwalczane?): *„Żyjemy w czasie, kiedy zmiana granic niczego już nie rozwiąże. Należy znieść granice, które są w nas. Są to granice ograniczoności, niezrozumienia i nietolerancji"* („Listy" z 27.2.1969).

Przy tym trzeba podkreślić, że ludzie pogranicza, ludzie uwikłani w najróżniejsze wpływy i oddziaływania wieloetnicznego otoczenia, częstokroć są duchowo bogatsi od ludzi, żyjących z różnych powodów w środowiskach w mniejszym lub większym stopniu zamkniętych.

Świadomość tego bogactwa i podchodzenie do problemów pogranicza nie tylko w kategoriach wzajemnych konfliktów i win, ale też wspólnych wartości wszystkich grup etnicznych, zamieszkujących tę samą ziemię, nie stały się jeszcze powszechne, choć tym ideom od kilku dziesięcioleci służą różne środki przekazu, m.in. pisma, wydawane w różnych częściach Europy. Do nich należy międzynarodowy magazyn „Pannonia", wydawany od ćwierćwiecza w mieście Haydna-Eisenstadt. Na ideowy profil tego periodyku niemały wpływ wywarł węgiersko-austriacki pisarz György Sebestyen (1930-1992), który w 1956 roku uciekł z Budapesztu i swoją twórczość oraz działalność kulturalną poświęcił idei wzajemnego poznania i zrozumienia Słowaków, Węgrów i Austriaków, i tę ideę upowszechniał przez pogranicze Burgenlandu. Jeszcze nim zrodziła się myśl o Środkowo-Wschodniej Europie, „Pannonia" otwiera swe łamy dla rzeczników narodów, m.in. żyjących w krajach socjalistycznych i czyniła wiele, aby stać się pomostem między Zachodem a Wschodem. W tym kontekście, biorąc pod uwagę też inne płaszczyzny działania autora „Dzieł samotności" (Werke der Einsamkeit), były minister spraw zagranicznych Austrii Alois Mock nazwał Sebestyena rzecznikiem chrześcijańskiego humanizmu ziem przynależnych do Pannonii a zarazem szermierzem prawdziwego ducha środkowoeuropejskiego.

Podobną funkcję spełniają też dwa pisma, wydawane w Polsce: „Karkonosze", otwierające swe łamy dla autorów, piszących po polsku, czesku i niemiecku i oddających swe pióro rozwojowi pogranicznego regionu Sudet oraz ukazująca się od 1993 roku w Sejnach „Krasnogruda", wydawana przez Ośrodek „Pogranicze - sztuk, kultur, narodów." W znakomicie redagowanym periodyku z polsko-białoruskiego pogranicza można spotkać dzieła klasyków, np. Rilkego, Sejferta, Urzidila i in. a także wielu współczesnych autorów, np. Czesława Miłosza, György Kondáda, Josefa Škvorecky'ego i wielu innych, w tym też Zbigniewa Macheja z Cieszyna.

Z tego ideowego podłoża wyrasta bodaj na ziemi nadolziańskiej dwu-

językowy magazyn poetycki z Wędryni „Welesz", wydawany przez Bohdana Trojaka i Vojtěcha Kučerę, a który wydaje się zmierza do przekraczania barier narodowych i szukania przesłanek do wspólnych dążeń poetów w regionie od Bielska po Frydek-Mistek, od Żyliny po Ostrawę i Opawę. Na łamach tego magazynu pojawiają się teksty po polsku i czesku i to nie tylko generacji np. Jacka Sikory, jednego z wyróżniających się autorów młodozaolziańskich, ale też reprezentantów starszych pokoleń, np. Stanisława Goli z Bielska.

Te luźne uwagi, spisane na marginesie wspomnianego zainteresowania problematyką regionu i pogranicza, warto podeprzeć anegdotą z terenu cieszyńskiego Śląska w jego historycznych granicach.

W ubiegłym roku w Berlinie ukazała się książka o śląskim kompozytorze i organiście Viktorze Clarißie Czajaku (1876-1952). Pochodził z Mistku i czuł się Austriakiem. Kształcił się w sławnej Szkole Organistowskiej Leoša Janačka w Brnie. Nim został organistą w Bielsku, w dzisiejszej katedrze św. Mikołaja, przez jakiś czas mieszkał u ojca w Skoczowie i wtedy pisał do swojego nauczyciela listy po czesku a informował go w nich m.in. o polskiej orkiestrze ludowej Londzina z Zabrzega.

Anegdota ta ilustruje istotę pogranicza i na jednostkowym przykładzie wskazuje kulturalne podglebie dzisiejszej Europy Środkowej.

Otwierając w jesieni 1993 roku pierwszy numer „Krasnogrudy" Krzysztof Czyżewski przytoczył wymowną przypowieść o człowieku, którego nazwał Po Prostu. Trafił on do opustoszałej świątyni i w niej zadumał się: *„Chciał zrobić coś tutaj, pośród chaosu u siebie."* W świątyni *„nie freski wywarły na nim największe wrażenie. Najważniejsze było to, co wydarzyło się teraz: realność tego miejsca, opustoszenie silniejsze w środku niż bogactwo historii na ścianach (...) Schylił się i przystąpił do porządkowania kawałka szkła z porozbijanych okien świątyni. Były różnych kolorów, lecz gdy poukładał każdy kolor oddzielnie, szkiełka w żaden sposób nie pasowały do siebie. Okazało się, że układają się w całość jedynie szkiełka w różnych kolorach. Po pewnym czasie spostrzegł, że z jego pracy zaczyna powstawać niezwykły witraż i coś zmienia się w samym wnętrzu świątyni (...) Tego samego dnia Po Prostu powrócił do siebie."*

Niezależnie od zawartego w tym kontekście klucza (czy Po Prostu to Czesław Miłosz?) czytelnika nachodzi refleksja, że owym Po Prostu może być każdy dzisiejszy mieszkaniec regionu pogranicza i z różnorodnych stłuczek, jakie pozostawiła historia (w tym historia ostatnich pięćdziesięciu lat) przychodzi mu składać barwny witraż, który potrafi zmienić wnętrze jego Świątyni – jego regionu, czyli jego małej ojczyzny.

EDMUND ROSNER

FEDERACJA CZY KONFEDERACJA

W czasie pertraktacji polsko-czechosłowackich w sprawie utworzenia po wojnie wspólnego związku jedną z zasadniczych kwestii było zagadnienie jego formy.

Chodziło o to, na ile oba państwa zdecydują się zrezygnować z własnej suwerenności na rzecz wspólnego organizmu. Nie był to jednak problem sam w sobie. Całemu przedsięwzięciu zespolenia polsko-czechosłowackiego przyświecał bowiem cel nadrzędny, którym było stworzenie związku na tyle mocnego, by mógł oprzeć się on naciskom z zewnątrz.

To była kwestia podstawowa, w której w zasadzie istniała zgodność obu zainteresowanych stron. Realizacja tych wytycznych ujawniła jednak zasadnicze różnice w poglądach przedstawicieli Polski i Czechosłowacji na kształt ich wspólnego związku.

Z pierwszym konkretnym projektem wystąpiła strona czeska. W dniu 1 listopada 1940 roku prezydent Beneš wysłał na ręce premiera generała Sikorskiego krótki list, do którego dołączył obszerne memorandum zatytułowane: „Wymiana poglądów w sprawie współpracy polsko-czechosłowackiej po obecnej wojnie".

W memorandum tym Beneš przedstawił szczegółowo swój punkt widzenia na cały szereg zagadnień związanych ze stosunkami polsko-czechosłowackimi, przy czym za problem zasadniczy uznał *„konkretne i precyzyjne przeanalizowanie tego, jaki rodzaj współpracy między Polską i Czechosłowacją obydwa narody są zdecydowane podjąć po obecnej wojnie"*.

W części I memorandum - „Zasady postawowe i cel główny" - czytamy: *„Zwykły sojusz dwóch państw bez ściślejszego związku wydaje się być niewystarczający. Trzeba zatem pomyśleć o swego rodzaju związku federacyjnym"*. Chodziło o stworzenie najpierw związku bardziej luźnego, ale z możliwością jego zacieśnienia w przyszłości. *„Polska i Czechosłowacja powinny wejść w system współpracy, który byłby konfederacją sui generis"*. Podstawowymi zasadami planowanej konfederacji miały zdaniem Beneša być:

1. Oba państwa pozostaną suwerenne; każdy z tych krajów zachowa własną głowę państwa, własny rząd, parlament, armię, etc.

2. Ograniczenie suwerenności nastąpiłoby głównie w dziedzinie ekonomicznej: byłaby wspólna polityka handlowa, komunikacyjna oraz unia celna (dopuszczająca jednak wprowadzenie ceł wewnętrznych) i walutowa (dwa odrębne banki narodowe, ale prowadzące wspólną politykę finansową).

3. Polityka zagraniczna powinna być wspólna, natomiast reprezentacje dyplomatyczne powinny pozostać oddzielne.

4. Pozostaną dwie armie i dwa sztaby, ale równocześnie należałoby utworzyć jeden Sztab Główny. Uzbrojenie i wyekwipowanie powinno być identyczne. Należy wprowadzić również standaryzację w zakresie transportu, przemysłu wojennego, lotnictwa i przemysłu samochodowego.

5. Wspólnymi organami powinny być:

a) Rada składająca się z delegatów obu krajów w osobach ich premierów, ministrów spraw zagranicznych, handlu zagranicznego, finansów i komunikacji. Decyzje tej Rady powinny być aprobowane i realizowane przez oba rządy i dwie administracje państwowe funkcjonujące oddzielnie w obu krajach.

b) Wspólny komitet parlamentów. Jeśli będzie wspólny mechanizm dla obydwu władz wykonawczych, niemożliwy będzie do uniknięcia jakiś wspólny mechanizm legislacyjny odnoszący się do wszystkich wspólnych spraw, z których szczególnie dwie kategorie (sprawy zagraniczne i ekonomiczne, nie mówiąc o militarnych) będą tak ważne dla życia politycznego obydwu krajów, że wspólny mechanizm władzy wykonawczej nie będzie mógł sam podołać. Decyzje tego komitetu powinny być odrębnie aprobowane przez oba parlamenty narodowe.

W części II memorandum „Niektóre warunki realizacji celu głównego" Beneš postulował konieczność przeprowadzenia badań, dotyczących warunków, w jakich funkcjonować może unia celna i handlowa. Unia walutowa, jego zdaniem, stwarzała mniejsze problemy. Problem stosunków obu krajów w dziedzinie przemysłu i rolnictwa będzie wymagał szczegółowej analizy.

Zastanawiając się nad warunkami utworzenia związku z Polską, Beneš dawał do zrozumienia, że Polska z jej zacofaną strukturą społeczną, arystokracją, wielką własnością ziemską, autokratycznym ustrojem politycznym jest bardziej zagrożona przez rewolucję, która może przybrać obok narodowego także społeczny charakter. Dlatego postulował on stronie polskiej podjęcie zawczasu kroków dla naprawy tej sytuacji.

Niejako krokiem wstępnym na drodze do utworzenia struktur przyszłego związku polsko-czechosłowackiego miała być „natychmiastowa współpraca". Dziedziny, w których miałaby się ona przede wszystkim rozwijać, zostały przedstawione w III i zarazem ostatniej części memorandum „Formy współpracy natychmiastowej":

1. a) Regularna i wzajemna informacja o wydarzeniach politycznych i wojskowych.

b) Ścisły kontakt między armiami na terytorium brytyjskim.

c) Wspólna akcja w wypadku propozycji pokojowych.

d) Wymiana poglądów w zakresie celów wojny i przyszłego pokoju.

e) Skoordynowanie działalności propagandowej i informacyjnej.

f) Uzgodnienie instrukcji dawanych polskim i czechosłowackim przedstawicielom w świecie. Nieustanne czuwanie nad tymi przedstawicielami czy wykonują te instrukcje i czy tradycja stałej i bliskiej współpracy utrwala się między nimi we wszystkich częściach świata tak szybko, jak to możliwe.

Następnie w drugim punkcie trzeciej części memorandum Beneš stwierdził, że *„najlepszym sposobem, by rozpocząć całą współpracę, byłoby prawdopodobnie ustalenie komitetu kierującego wszystkimi tymi pracami"*. Jego zadaniem byłoby „uzgodnienie metod we wspólnej pracy propagandowej, w wymianie informacji, w badaniu celów wojny, w dyskusjach szczegółowych o Unii federacyjnej i jej różnorakich problemach etc". W powyższych projektach można się doszukiwać genezy późniejszego utworzenia Komitetu Koordynacyjnego.

Rozpatrując całe memorandum w kontekście charakteru, formy przyszłego związku Polski i Czechosłowacji, można stwierdzić, że Beneš opowiedział się w nim za związkiem bardziej luźnym, nie ograniczającym w żaden zasadniczy sposób suwerenności obu państw. Ambasador Raczyński wspomina, że już w czasie swej pierwszej rozmowy (jesienią 1939 roku) z prezydentem Benešem ten ostatni *„użył zwrotu federacja czy konfederacja sui generis. Kładł nacisk na ściślejsze związki w dziedzinie gospodarczej i finansowej, a luźniejsze w dziedzinie ustrojowej"*.

To stanowisko Beneša odbiło się w mającej miejsce dnia 11 listopada 1940 roku wspólnej deklaracji rządów Polski i Czechosłowacji. Na temat formy przyszłego związku tych państw deklaracja mówiła, że *„zdecydowane są po ukończeniu wojny wejść ze sobą, jako państwa niepodległe i suwerenne, w ściślejszy związek polityczny i gospodarczy"*.

Jak zauważył Jaroslav Valenta, uniknięto w tekście użycia terminu „federacja" czy „konfederacja". Można to tłumaczyć tym, że deklaracja z 11 listopada była pierwszym oficjalnym oświadczeniem polsko-czechosłowackim, a więc można się było spodziewać ogólnikowych stwierdzeń. Poza tym można się chyba zgodzić z twierdzeniem Marii Turlejskiej, że deklaracja *„miała niewątpliwie bliższy związek z rozgrywką dyplomatyczną"*. Z drugiej jednak strony trudno nie dostrzec, że w deklaracji zostało wyraźnie powiedziane, że w ścisły związek polityczny i gospodarczy wejdą państwa *„niepodległe i suwerenne"*. Nasuwa się zatem stwierdzenie, że myślano raczej o związku państw (konfederacja) aniżeli o państwie związkowym (federacja).

Tymczasem wśród członków rządu polskiego trwała ożywiona dyskusja jaką wywołało memorandum Beneša. Kopie tego „Memoriału" rozesłał generał Sikorski do

niektórych członków swego gabinetu z prośbą o uwagi.

Henryk Strasburger, piastując tekę ministra skarbu oraz przemysłu i handlu, ustosunkował się przede wszystkim do zagadnień natury ekonomicznej. Szczególną uwagę zwrócił na zagadnienie unii celnej, której wprowadzenie należy odsunąć na dalszą przyszłość. Pogląd ministra Strasburgera wyrażał obawę przed przedwczesnym i całkowitym zawarciem przez Polskę unii celnej z Czechosłowacją z uwagi na jej wysoko rozwinięty przemysł.

Następnie głos zabrał minister informacji i dokumentacji prof. Stanisław Stroński. Odnośnie fragmentów memorandum dotyczących samego projektu związku stwierdził on:

„właściwie brak tu istoty federacji, to jest wspólnej władzy federacyjnej. Ustrój proponowany przez Beneša powinien nazywać się „nie unią federacyjną, a unią porozumiewawczą". Zaletą tej unii porozumiewawczej jest niewątpliwie jej giętkość, a wadą jej może stać się niepewność, czy będzie porozumienie, czy go nie będzie w każdej dziedzinie i nawet w każdej sprawie". Stroński wysuwa ponadto obawę, że tak luźny ustrój, jaki proponuje Beneš, może, zamiast prowadzić do formalnego zespolenia, wywołać spory.

Generał Kazimierz Sosnkowski również odniósł się krytycznie do zapowiedzianej przez Beneša „unii federacyjnej", którą uznał za *„dość luźny związek państw"*. W sprawie propozycji Beneša, mówiącej o odrębnych ministerstwach spraw zagranicznych, Sosnkowski stwierdził, że jest rzeczą niemożliwą *„prowadzenie rzeczywiście wspólnej polityki zagranicznej, mając oddzielnych ministrów spraw zagranicznych i oddzielne przedstawicielstwa dyplomatyczne"*. Szczególną uwagę zwrócił jednak na sprawy gospodarcze. Napisał na ten temat wprost: *„Wysoce uprzemysłowione Czechy świetnie przygotowane pod względem organizacji handlu tamować będą siłą rzeczy odbudowę zrujnowanego przemysłu i handlu polskiego". Sugerował, by w „obecnym stadium umów czesko-polskich (...) kłaść nacisk na ich stronę polityczną i wojskową, odkładając rozstrzygnięcia spraw gospodarczych na później.* W kwestii ustrojowej proponował ponadto unię personalną, wskazując na przykład Anglii, gdzie *„instytucja monarchii ostoi się na dłuższy okres historii"*. Generał Sosnkowski nie był w tym poglądzie odosobniony. Podobnego zdania byli na przykład prof. Stroński, przypominający o „Związku Polski z Litwą" czy August Zalewski wskazując na system austro-węgierski. Byłoby chyba jednak błędem przypisywanie im przekonań monarchistycznych. Można raczej przyjąć, że ustrój monarchistyczny wydawał im się być jedynym możliwym rozwiązaniem kwestii – jednej osoby łączącej związek dwu państw. Jak pisze Ki-

sielewski, najmniej krytyki pod adresem memorandum Beneša znalazło się w uwagach ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego. W swym piśmie do gen. Sikorskiego stwierdza on bowiem: *„memoriał ten zawiera tyle myśli pozytywnych, że może stanowić podstawę do dalszych dyskusji. Jeżeli zaś chodzi o te części memoriału, które mogą się nam nie podobać, to bezstronność każe pamiętać, że koncepcja Związku Polsko-Czechosłowackiego stanowi novum dla obu stron i wywołuje u obu stron naturalną ostrożność (...). Ponadto memorandum jest tekstem czechosłowackim, a zatem nic w tym dziwnego, że w tym pierwszym stadium rozmów wysuwa się na pierwszy plan czechosłowacki punkt widzenia"*.

Polski premier gen. Władysław Sikorski dnia 3 grudnia 1940 roku skierował do prezydenta Edwarda Beneša list wraz z dołączonym do niego memorandum. Była to odpowiedź na pismo Beneša. Sikorski zgodził się w zasadzie na proponowaną przez Beneša konfederację sui generis. Chciał jednak, by współdziałanie polsko-czechosłowackie w ramach tego związku było większe, aniżeli przewidywał to projekt Beneša. Sikorski stwierdził, że tego *„rodzaju forma stowarzyszenia winna być podjęta przez nasze oba narody w sposób rzeczywiście trwały i dobrze określony, tak aby mogło ono stawić czoła kryzysom międzynarodowym"*. Polski premier wysunął *„zasadę całkowitej solidarności tak w czasie pokoju, jak i wojny"*. Realizację tej zasady widział w ten sposób, że *„obydwa państwa mogłyby (...) podejmować decyzje jedynie za zgodą i udziałem strony drugiej"*. Sikorski przewidywał więc ścisłe współdziałanie polityczne Polski i Czechosłowacji. Inaczej odniósł się do zagadnień ekonomicznych. W sprawie tej stwierdził, że *„okoliczności połączone z tą kwestią winny być przestudiowane przez ekspertów"* - po czym dodał, że *„okazałoby się prawdopodobnie konieczne (...) postawienie granicy celnej w łonie konfederacji"*.

Generał Sikorski szczególnie życzliwie przyjął propozycję Beneša, dotyczącą bieżącej współpracy pomiędzy rządami. Oświadczył w tej sprawie, że byłoby pożyteczne już teraz rozpocząć współpracę obu naszych Rządów w dziedzinie polityki zagranicznej, wojskowej itp. drogą stałego porozumiewania się kompetentnych osób". Do rozmów ze stroną czechosłowacką wyznaczył ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego i ambasadora Polski w Londynie Edwarda Raczyńskiego. Ostatnie zdanie memorandum wyrażało gotowość jak najszybszego podjęcia wiążących rozmów.

c.d.n.

ROMAN BARON

ODRODZENIE POLSKOŚCI NA LITWIE

„Ludność polska" - mówił na konferencji naukowej, poświęconej rocznicy przesiedlenia Kresowiaków na Pomorze Zachodnie, zorganizowanej przez Stowarzyszenie Przyjaciół Wilna, Ziemi Wileńskiej, Nowogródzkiej i Polesia „Świteź" oraz Stowarzyszenie Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich pod patronatem Uniwersytetu Szczecińskiego, Jan Mincewicz, wieloletni poseł polski do parlamentu litewskiego oraz założyciel i kierownik Polskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Wileńszczyzna" z Niemenczyna pod Wilnem - *„zamieszkująca od wieków zarówno tereny wileńszczyzny, jak i całe Kresy wschodnie, w ciągu wielu pokoleń przechodziła najrozmaitsze koleje losu. W większości jednak niepomyślne, zarówno pod względem ekonomicznym, jak też w aspekcie zachowania swojej kultury, języka i tożsamości narodowej. Także pięćdziesiąt lat rządów komunistycznych nie było pod tym względem wyjątkiem. I wreszcie granica powojenna, która odcięła Kresy od Macierzy, zgubnie wpłynęła na rozwój ojczystej kultury. Przymusowe wysiedlenie, ucieczka przed prześladowaniami władz sowieckich spowodowały wyjazd z terenów Kresów około 200 tys. Polaków, w większości inteligencji. Trudno ich jednak nazwać repatriantami - byli to bowiem raczej ekspatrianci. Wszyscy zaś pozostali byli skazani na stopniową asymilację i wynarodowienie. Tak było też na Kowieńszczyźnie, gdzie z 200 tys. społeczności pozostało zaledwie kilka tysięcy. Na Wileńszczyźnie zaś pozostali w większości nisko kwalifikowani robotnicy i chłopi, zamieszkujący podwileńskie wsie i uprawiający rolę na swojej ojcowiźnie."*

Polskość na Wileńszczyźnie przetrwała w większości dzięki polskiemu szkolnictwu, które udało się zachować tam przez wszystkie lata. Tam natomiast, gdzie szkolnictwo polskie zlikwidowano, np. na Białorusi czy Ukrainie, proces wynaradawiania posunął się bardzo daleko, doprowadzając w wielu wypadkach do całkowitej nieznajomości ojczystego języka a tym bardziej historii i kultury.

W latach sowieckich działało na Wileńszczyźnie około 100 szkół, w których przeważnie obok klas rosyjskich były także klasy polskie. Liczba szkół z językiem polskim jednak nieustannie malała, osiągając najniższy poziom 92 szkół w końcu lat osiemdziesiątych. Jeden zespół artystyczny „Wilia", jeden polski zespół teatralny, jedna codzienna gazeta „Czerwony Sztandar" - to prawie wszystko, na co zezwolono wówczas Polakom na Litwie. Na Białorusi i na Ukrainie nie było nawet tego. Tam jedynym miejscem, gdzie słyszało się słowo polskie, były kościoły katolickie.



Dzieci polskie z podwileńskich szkół. Fot. LESZEK WĄTRÓBSKI

Potem przy polskich szkołach powstawać zaczęły polskie zespoły artystyczne, zazwyczaj niemile widziane przez władze komunistyczne, a w ich liczbie w roku 1980 Zespół Pieśni i Tańca „Wileńszczyzna", który nie miał jednak prawa używać swojej nazwy, a jego repertuar był stale cenzurowany, np. w pieśni „Nad Wilią" kazano zmienić słowo „Wilia" na „Neris" bo tak po litewsku brzmiała nazwa tej rzeki. Absolutnie natomiast zakazane było zakładanie jakichkolwiek polskich stowarzyszeń czy organizacji. Wszystkie zaś polskie imprezy, choć nieliczne, były bacznie śledzone przez organa bezpieki.

Lata gorbaczowskiej „pierestrojki" – zdaniem J. Mincewicza – *„stworzyły dopiero warunki do przeobrażenia świadomości narodowej, zarówno u Litwinów jak i u Polaków. Tak doszło właśnie na fali odrodzenia narodowego, w dniu 5 maja 1988 roku, do powstania Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie. Stowarzyszenie miało na celu krzewienie języka i kultury polskiej i kształtowanie świadomości narodowej Polaków na Litwie. Powstały jednocześnie litewski ruch odrodzeniowy „Sajudis" odtrącił od siebie Polaków.*

Zaczął też u siebie usilnie propagować teorię „relitwinizacji" Polaków, którzy rzekomo nie są Polakami, tylko spolonizowanymi Litwinami. Ta pseudoteoria, chociaż nie poskutkowała wprost, dała jednak skutki uboczne: pokłóciła Polaków z Litwinami, a Polacy jeszcze bardziej poczuli potrzebę obrony swojej tożsamości narodowej.

W kwietniu 1989 roku odbył się w Wilnie zjazd stowarzyszenia,

którego decyzją został utworzony Związek Polaków na Litwie – w miejsce dotychczas istniejącej organizacji społeczno-kulturalnej. Dwa miesiące później powstał Związek Naukowców Polaków Litwy oraz niedługo po nim działalność swoją rozpoczęła Fundacja Kultury Polskiej na Litwie". W październiku 1989 roku ukazał się pierwszy numer „Naszej Gazety", biuletynu informacyjnego Związku Polaków na Litwie, a kilka miesięcy później ilustrowany dwutygodnik „Magazyn Wileński", niezależne pismo społeczno-polityczne i kulturalno-literackie.

Polacy znaleźli się także w litewskim parlamencie. W lutym 1990 roku w wyborach do Rady Najwyższej Litwy wybrano aż 8 naszych rodaków, którzy utworzyli własną frakcję poselską. Obradujący w dwa miesiące później II Zjazd Polaków na Litwie w swoich dokumentach zjazdowych stwierdził m.in., że najbardziej sprawiedliwym i demokratycznym rozwiązaniem problemów narodowościowych na Litwie *„byłoby stworzenie w granicach skupisk polskich Wileńszczyzny jednolitej jednostki samorządu terytorialnego ze swoim Statutem w składzie Republiki Litewskiej."*

Rada Najwyższa niepodległej Litwy przyjęła w styczniu 1991 roku poprawki do ustawy o mniejszościach narodowych, zezwalające oficjalnie na używanie języka mniejszości również w urzędach, i zobowiązała rząd do utworzenia nowej jednostki administracyjnej – okręgu wileńskiego, mającego odrębny statut.

Uchwały te jednak nie zostały nigdy zrealizowane.

W latach Litwy sowieckiej, przy konsekwentnie prowadzonej tam rusyfikacji, do szkół polskich chodziło zaledwie co czwarte polskie dziecko. Pozostali uczniowie zasilali przeważnie szkoły rosyjskie. Po roku 1989 szkoły rosyjskie straciły rację bytu. Na życzenie więc rodziców i za zgodą pedagogów przeniesiono do polskich szkół także uczniów klas średnich. I tak do roku 1994 przeszło z klas rosyjskich do polskich 1 478 uczniów. Ciągle wzrastała też ilość polskich szkół i liczba ich uczniów. W roku szkolnym 1987/88 było: 92 (szkoły) i 10 133 (uczniów), w roku szkolnym 1991/92 – 126 i 12 611 i w roku 1995/96 – 124 i 17 898. Zdaniem Jana Mincewicza za tymi optymistycznymi liczbami kryje się jednak również i inna statystyka. Liczby te bowiem już niedługo zaczną się szybko zmniejszać. W roku szkolnym 1990/91 w 141 polskich przedszkolach znajdowało się 2 443 dzieci. Trzy lata później dzieci tych było już tylko 1 235.

Fala odrodzenia narodowego stworzyła sprzyjające warunki do rozbudzenia świadomości patriotycznej. Tej wspaniałej i potężnej fali nikt i nic już nie zatrzyma. Nawet trudności ekonomiczne, które w dużym stopniu rzutują także na kulturę, nie mogą na szczęście zahamować jej rozwoju. Odrodzenie polskości na Kresach wciąż – zdaniem Jana Mincewicza – przybiera nowe formy i świadczy niechybnie o głębokich jej korzeniach.

LESZEK WĄTRÓBSKI

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (7)

JESZCZE NA FRONCIE ROSYJSKIM

Dość leniwie upływało nam życie na froncie w okresie silnych styczniowych mrozów i zawiei śnieżnych. W czasie tych sześciu tygodni pobytu nad Styrem ubyło z naszej prawie trzystuosobowej kompanii oprócz biednego Slavíka pięciu zabitych i siedmiu rannych. Były to w większości ofiary doskonałych strzelców wyborowych pułku Czerkiesów, kwaterujących na przeciwległym brzegu Styru. Ale i tak można powiedzieć, że się naprawdę dobrze „dekowaliśmy". Straty rzeczywiście niskie.

W połowie lutego wysłano mnie niespodziewanie z frajtrem Makowskim na podoficerski kurs instruktorski do Maziarni. Była tu dobrana paczka instruktorów z porucznikiem Wolfem na czele. Na kursie panował się straszliwy dryl. Przed południem pięć godzin a po południu trzy godziny rekruckiej gonitwy. Rozpoczynaliśmy wczesnym rankiem od gimnastyki i pokonywania trzechsetmetrowej długości toru przeszkód, gdzie mieliśmy się między innymi czołgać około stu metrów wśród specjalnie pogmatwanej sieci drutów kolczastych.

Wikt był gorszy od frontowego, toteż byliśmy zwykle wściekle głodni. Lecz przynajmniej spaliśmy w suchym i dobrze ogrzanym baraku drewnianym i na pryczach, na których było dość dużo stosunkowo świeżej słomy. Mniej dokuczały wszy, gdyż korzystaliśmy bez ograniczeń z gorących pryszniców. Obok były baraki stajenne dla koni. Przylegał do nich magazyn z owsem i dość przegniłymi burakami pastewnymi. Podkradaliśmy co lepsze z nich i gotowali wieczorami po kryjomu w kuchni z papką chlebową i solą. Marzyliśmy o mięsie albo przynajmniej o jakichś kościach.

Na kursie tym zapoznałem się osobiście ze „słupkiem". W sobotni wieczór widzę albowiem, jak moi koledzy z kursu frajter Makowski i podchorąży Elsner otwierają bagnetami swoje konserwy mięsne, przeznaczone jako tak zwane żelazne porcje, których nie wolno było skonsumować bez wyraźnego rozkazu. Podgrzewają sobie te konserwy po kryjomu w kuchni i robią sobie ucztę. Popłynęła i mnie na ten widok obfita ślinka głodowa do gardła i zapytuję:

– A co będzie dalej i jak teraz uzupełnicie brakujące konserwy? –

– Jutro jest na obiad gulasz z konserw i pohandlujemy z kucharzem, on nam uzupełni braki w zamian za rum – zapewnia mnie doświadczony murarz krakowski frajter Makowski.

– Potrzebny rum już zdobyłem – ciągnie dalej Makowski – wystarczy i dla ciebie. –

Ośmielony tym zapewnieniem i wściekle głodny, wyciągam i ja z tornistra swoją żelazną porcję, otwieram puszkę i podgrzane mięso pożeram w kilku minutach z resztą mojego chleba.

Tymczasem w następnym dniu, to jest w niedzielę, ugotowano na

obiad dorsza z ziemniakami. Konserw mięsnych kucharz z magazynu nie otrzymał.

Przed obiadem odbył się zapowiedziany w sobotę przegląd broni a po nim niezapowiedziany przegląd „żelaznych porcji". Przeglądu dokonał sam komendant kursu porucznik Wolf. Wobec braku aresztu wyfasowaliśmy w trójkę po dwie godziny „słupka" z tym, że kary miały być natychmiast wyegzekwowane.

Związano więc każdemu z nas ręce z tyłu i przywiązano tak skrępowanych do pojedynczych drzew – do „słupków". Opieraliśmy się plecami o drzewa, a ziemi dotykaliśmy tylko czubkami palców. W środku przywiązano Elsnera, może dlatego że był najroślejszy i był Żydem, Makowskiego po prawej a mnie po lewej stronie Elsnera. Operacji tej dokonał sierżant szef i kapral służbowy pod nadzorem samego porucznika Wolfa. Dozorował nas przez cały czas odbywania kary kapral służbowy. Z baraku spoglądali na nas koledzy z kursu. Niektórzy mieli poważne przerażone i smutne spojrzenia, a niektórzy uśmiechali się szyderczo i dowcipkowali głupio. Biedny Elsner zaczął niedługo po przywiązaniu go do drzewa pojękiwać i blednąć i wówczas zlewał jego twarz kapral służbowy zimną wodą z manierki.

Makowski trzymał się dzielnie i nawet pomrukiwał półgłosem jakieś piosenki i przeklinał. Ja miałem o tyle dobrze, że znajdowałem się w czasie tej egzekucji pod działaniem ciepłych promieni słonecznych, gdyż był to jak na luty wyjątkowo ciepły dzień. Tylko medytowałem nad tym, dlaczego się znajduję po lewej stronie Elsnera i dlaczego jestem tym gorszym i niesprawiedliwym łotrem, i dlaczego Makowski ma iść do raju, a ja do piekła. Przecież to Makowski namówił nas do zbrodni pożarcia „żelaznych porcji". Po dwóch godzinach zdjęto nas na wpół omdlałych z tych słupków.

Po dwóch tygodniach trwania kursu wróciłem z Makowskim na stare zimowe leże naszej kompanii frontowej. Monotonia wojny pozycyjnej trwała nadal i widocznie dlatego był taki urodzaj na różne kursy instruktorskie, podoficerskie, szturmowe, zwiadowcze i inne.

W połowie marca został na podoficerski kurs instruktorski w Maziarni wyznaczony mój serdeczny druh Zadora, lecz zdołał się wymigać sprytnie z tej przyjemności u Wolfa. Wysłano tam za niego niewyczerpanego wesołka i niezrównanego siłacza w języku i pięści Kurzawę. Poinformowałem go szczegółowo o panującym tam klimacie i jak się później okazało, Kurzawa poradził sobie lekko z wszelkimi trudnościami kursu. Za to za kilka dni oddelegowano Zadorę i niespodziewanie mnie na staż i wymianę doświadczeń do sąsiedniego pułku bawarskiego. Wybierano tam tylko takich, którzy rozmawiali i pisali bezbłędnie po niemiecku.

Przed odejściem do Bawarczyków otrzymaliśmy nowe, możliwie dopasowane mundury. Na staż ten zostało też odkomenderowanych sporo młodych oficerów i podchorążych rezerwy z naszego pułku. Byliśmy u Bawarczyków dziesięć dni.

Ja asystowałem tam przez kilka dni drużynowemu podoficerowi w różnego rodzaju elementach służby polowej. Przez jakiś czas byłem pomocnikiem magazyniera mundurowego, jeszcze później wpisywałem kaligraficznym pismem w kantorku kompanijnym wypłacony żołd do książek.

Podobne cuda wyczyniał też Zadora, lecz w innej kompanii. Byliśmy zmuszeni obiektywnie przyznać, że na każdym kroku i w każdym kącie panowała tu przysłowiowa niemiecka pedanteria, czystość i porządek.

Smaczniejsze i treściwsze były też posiłki Bawarczyków a zwłaszcza ich jednogarnkowe zupy posiłkowe i grochówki. Lecz wszy też było wszędzie dosyć.

W dziesiątym dniu spotkała się cała nasza grupa austro-węgierska na zakończenie stażu sześć kilometrów za frontem, gdzie pokazano nam wzorowo wykonane natarcie kompanii szturmowej na silnie umocnione pozycje nieprzyjacielskie. Było naprawdę co podziwiać. Mieliśmy wrażenie, że to już wcale nie są ludzie-żołnierze, lecz jakieś roboty-automaty.

Niemcy-Bawarczycy byli nieporównywalnie lepsi pod każdym względem aniżeli żołnierze armii austro-węgierskiej którejkolwiek narodowości. Nic dziwnego więc, że ta „nasza" armia dostała od Rosjan takie lanie i tylko dzięki niemieckiej pomocy została ofensywa Brusiłowa zatrzymana. Po tym pokazie, po „zdobyciu" nieprzyjacielskich pozycji i po sutym pożegnalnym obiedzie zaproponował towarzyszący nam podoficer bawarski pożegnalne piwo bawarskie w pobliskiej przyfrontowej kantynie podoficerskiej. Nie spodziewaliśmy się, że jest to jeden z pospolitych i dość gęsto rozsianych przez Niemców w pasach przyfrontowych przybytków Afrodyty przeznaczonych do zaspokajania seksualnych potrzeb żołnierzy frontowych, do nasennego uspokajania ich zmysłów i złudnego uśmierzania ich chorych nerwów.

W kantynie grała na zmianę szafa-samograjka i harmonista. Lokal był mocno ogrzany. Piwo podała nam tłusta o buraczanych wypiekach na twarzy kelnerka z potężnymi i silnie odsłoniętymi piersiami. Pociągamy kilka łyków piwa. Było doskonałe i dajemy znak, że chcemy repetować. Za kelnerką zjawiają się jakieś dwie półnagie kobiety, istne okazy żywego towaru. Jedna z nich siada na kolanach Zadory. Miała twarz rzepiastą, pomarszczoną, była ubrana w barchanowe majtki i brudną jakąś szmatę, która miała przypominać jakąś krótką koszulę nocną. Harmonista puszcza w ruch szafę-samograjkę. Kobieta na kolanach Zadory obejmuje go jedną ręką koło szyi, a drugą go łaskocze po całym ciele. Wiało od niej alkoholem i jakimiś ordynarnymi perfumami. Mówi do Zadory ochrypłym głosem po niemiecku:

– Może zatańczymy, skarbeczku, wiedeńskiego, hę?

Twarz Zadory oblała się rumieńcem, chce się wyrwać, baba go nie puszcza i trzyma mocno w swoich kleszczach. Zbaraniałem, chciałem jakoś ratować sytuację, lecz tu siada koło mnie na ławce całkiem

możliwie uczesana i umalowana półnaga brunetka, przysuwa się pieszczotliwie do mnie i mizdrzy po francusku.

Jeżeli pozwolisz łobuziaku – to spędzę z tobą całą nockę – dobrze?

Chciała mnie pocałować, lecz odsunąłem się ze wstydu. Krew mi zakipiała, twarz mi oblało jakimś płomieniem, a całe ciało zadrgało z dreszczu i ciarek. I już objąłem ją za szyję i chciałem pocałować. Zauważył to Zadora a równocześnie w tej chwili komunikuje się ze mną Matka i słyszę z dala jej słowa, które wypowiedziała przy naszym pożegnaniu na dworcu w Ostrawie przed mym odjazdem na front:

– Wystrzegaj się też, synku, złych, zepsutych i lekkich kobiet! –

Szafa gra teraz menueta, harmonista jej wtóruje, do sali wchodzi kilku niemieckich podoficerów i przyskakują do kobiet.

Zadora wyrywa się gwałtownie z objęć Wenery, szarpie mnie za rękaw i krzyczy: Adieu!

Uciekamy z lokalu na dwór. Bawarski podoficer, który nas na piwo zaprosił, pędzi za nami i wrzeszczy:

– A kto będzie płacił za wasze piwa?

Wciskam mu w łapę srebrną dwukoronówkę austriacką. Dziękuje z uśmiechem i salutuje. Ot – co znaczy niemiecka gościnność. Był naprawdę taki typowy bawarski „Gastgeber".

– Ta krowidojka bawarska, która mi usiadła na mych kolanach, coś sobie ubzdurała, że jestem z Wiednia i że mam na pewno dużo forsy. Jeszcze teraz z tego spotkania chce mi się rzygać. Brrr! Jakie to wstrętne, jakie ohydne! – klnie Zadora.

– A ta moja Francuzka nie była najgorsza. Poczułem nawet, że krew się we mnie gotuje, gdy się do mnie przytuliła, chciała całować i coś mi tam po francusku i trochę po niemiecku mamlała – przyznałem się szczerze Zadorze. Zadora popatrzył na mnie dziwnie jakby z lekką odrazą. Nie chciał już na ten temat rozmawiać – milczał.

Z dziwnymi uczuciami i wrażeniami po tym dziwnym zakończeniu stażu u Bawarczyków powróciliśmy do naszej kompanii. Po kilku dniach odczułem silne swędzenie na całym ciele oraz zauważyłem pryszczyki między palcami u rąk. Przeraziłem się, że to coś bardzo złego, następstwo odwiedzin w lokalu z prostytutkami u Niemców.

Uspokoił mnie dopiero lekarz batalionowy, któremu się zwierzyłem z przygody w spelunce u Bawarczyków. Wyśmiał się ze mnie:

– To jest jak najbardziej zwykły świerzb, mój naiwny i nieuświadomiony dzieciaku! I nie wiadomo, gdzieś go złapał, bo go tu pełno wszędzie! Wysłał mnie do pułkowej izby chorych w Maziarni na kilkudniową kurację. Wróciłem stamtąd zdrów, wypoczęty, odwszawiony i wielokrotnie wykąpany w gorącej wodzie pod prysznicami.

Po powrocie z izby chorych mówię do Zadory:

– Tyś pił piwo w tej spelunce z tą brudną horpyną, a dalibóg teraz sobie przypominam, że widziałem u niej pęcherzyki świerzbowe między palcami u rąk, którymi tak ciebie ściskała i nie zaraziłeś się świerzbem, tylko ja.

– Szczęście trzeba mieć zawsze! – wyśmiał mi się Zadora. Po czteromiesięcznej z górą służbie w okopach nad Styrem na froncie rosyjskim awansowano Zadorę i mnie do stopnia kaprala i otrzymaliśmy rozkaz przygotować się do wyjazdu do szkoły oficerów rezerwy w Opawie. Zdziwiło nas to bardzo, gdyż zgodnie z zapowiedziami naszego pierwszego dowódcy porucznika Paulera nie mogliśmy się spodziewać jakiegoś awansu, a uzyskanie stopnia oficera rezerwy było według niego całkowicie wykluczone.

Oczywiście, że zrobiło się nam wesoło. Wcale nie w związku z tym awansem. O wiele ważniejszym było, że marszruta do Opawy wiodła dla Zadory przez jego Karwinę, a dla mnie przez Cieszyn i moją rodzinną Ropicę.

Zaliczono nam cztery dni na podróż, a więc co najmniej dwa dni można było odpocząć w domu. Co za szczęście! Po dokonaniu odwszenia w kolumnie sanitarnej w Maziarni podjeżdżamy kolejką polową do najbliższej stacji kolejowej w Radziechowie. Tutaj spotkałem również podchorążego Elsnera, mojego towarzysza niedoli z kursu instruktorskiego w Maziarni, gdzie byliśmy ukarani „słupkami". Jechał również na ten kurs oficerski, na ten sam turnus szkolny do szkoły w Opawie.

W nocy przejeżdżamy przez Lwów, mijamy Kraków i wieczorem w następnym dniu znalazłem się w mym ukochanym domu rodzinnym w Ropicy.

W domu zrobił się radosny rwetes, gdyż wszystkiego się spodziewali, tylko nie mojego przyjazdu. Krótki pobyt w domu poświęciłem na odpoczynek, spanie, kąpiele, wymianę bielizny itd. Oczywiście obżerałem się rozkosznymi potrawami domowymi o smaku boskiej ambrozji. Tak bardzo smakowały mi teraz różne pospolite cieszyńsko-śląskie domowe dania. Delektowałem się na przykład „żarnówką ze szpyrkami", którą przed pójściem do wojska nie bardzo lubiłem i spożywałem ją raczej z przymusu.

Pół dnia poświęciłem na spenetrowanie niemalże całej Ropicy. Wędrówkę tę odbyłem naprawdę galopem. Odwiedziłem rodziców mego serdecznego druha Alojzego Gajdaczka „Za lasem", rodzinę Tomanków na „Kępie nad Olzą", rodzinę Brannych przy dworcu kolejowym i inne jeszcze rodziny. Byłem zmuszony liczyć się z minutami.

Z pobytu na froncie byłem tak wygłodniały, że podczas całej tej wędrówki po Ropicy zajadałem się wciąż chlebem i wędzonką, które to wiktuały taszczyłem z sobą w chlebaku. Czas spędzony w Ropicy strasznie prędko upłynął i trzeba było wyjechać do Opawy.

c.d.n.
ALOJZY NOWOK



Festiwal PZKO (1964)



Festiwal 20-lecia PZKO – Karwina



Festiwal 25-lecia PZKO – Karwina – połączone chóry



Olbrachcice w pochodzie festiwalouym – Trzyniec (1974)

PIERWSZY APTEKARZ W WIŚLE

PAWEŁ CIENCIAŁA

(1833–1922)



Urodził się 3 grudnia w Karpętnej w rodzinie chłopskiej w domu w widłach potoku Kopytnej i Olzy, odległym 12 km od Cieszyna.

Nauki podstawowe pobierał w miejscowej szkole ludowej. Następnie wstąpił do gimnazjum niemieckiego w Cieszynie. Po ukończeniu sześciu klas tegoż gimnazjum wyjechał do Preszburga (dzisiejsza Bratysława) na przeduniwersyteckie studia uzupełniające zwane „filozofią". Studia te trwały dwa lata i realizowały program klas 7 i 8 gimnazjum. Językiem wykładowym była łacina, a końcowe świadectwo (matura) zapewniało wolny wstęp na każdy wydział Uniwersytetu Wiedeńskiego. Cienciała wybrał farmację, która była częścią wydziału medyczno-chirurgicznego. Studia te trwały cztery lata, a wykłady prowadzone były w języku niemieckim, jakkolwiek łacina była powszechnie stosowana przy wszystkich przedmiotach. Zamieszkał za niewielką opłatą w konwikcie studenckim, korzystał też z akademickiej kuchni. Zaraz po przyjeździe do Wiednia napisał list do rodziców, w którym donosił, że pieniędzy starczy mu do Świąt. W połowie listopada 1854 roku zdał egzamin-kolokwium z botaniki i chyba dobrze, bo profesor zaproponował mu lekcje matematyki dla swej 14-letniej córki. To zdecydowanie poprawiło sytucję materialną Pawła. W dalszych miesiącach nauka szła mu łatwo, a egzaminy roczne zdawał z wynikiem dobrym. Nowością dla studentów była na czwartym roku farmakopea francuska i angielska. Na pytanie, po co im wiadomości farmakologiczne obcych państw usłyszeli: „to wam się przyda".

A jak wyglądał dyplom (nota

bene w języku łacińskim): „Nos decani et facultas medico-chirurgica i antiquissima et celeberrima Universitate Vindobonensi fecimus Dominum Paulum Cienciala e Karpentna in Silesia in eundem artis pharmateuticae Magistrum agnoscimus et aprobamus. Vindebona, die XIX Julii anno millesimo octingentesimo quinquagesimo octavo...co w przetłumaczeniu znaczy: „My dziekani i wydział medyko-chirurgiczny w najstarszym i najsławniejszym Uniwersytecie Wiedeńskim oznajmiamy, że pan Paweł Cienciała z Karpentnej zdał egzaminy dyplomowe i dlatego uchwalamy, aprobujemy i ogłaszamy dla niego tytuł magistra farmacji. Wiedeń, 19 lipca 1958 a pod spodem podpisy trzech profesorów.

I stało się: bezpośrednio po uzyskaniu dyplomu, zamiast do pracy w swoim zawodzie mgr Paweł Cienciała został powołany do wojska austriackiego. Miało to związek z napaścią Francuzów pod wodzą Napoleona III pod Magentą. Cienciale przydzielono miejsce w punkcie sanitarnym. Wojna rozgorzała na dobre. Po trzech tygodniach w bitwie pod Solferino 20 czerwca 1859 setki osób zostało zabitych po obu stronach, a jeszcze więcej wymagało pomocy lekarskiej i sanitarnej. W tej sytuacji nastąpiło za obopólną zgodą zawieszenie broni, w czasie której ciężej rannych Austriaków odtransportowano do Wiednia a Francuzów do Turynu. Zabitych natomiast grzebano na miejscu, sporządzając dokładną ewidencję, w czym szczególnie zasłużył się Henryk Dunant w odniesieniu do Francuzów, a mgr P. Cienciała wobec poległych Austriaków. Tę wspaniałą akcję filantropijną opisał Henryk Dunant w książce wydanej w r. 1862 pod tytułem: „Wspomnienia spod Solferino", która to praca stała się podstawą do uchwalenia w 1864 tzw. Konwencji Genewskiej.

Po przegranej wojnie z Francuzami Paweł Cienciała wrócił do Wiednia, gdzie przez władze, jako mgr farmacji, został przydzielony do jednej z aptek we Lwowie. Po dwu latach został przeniesiony do Pragi na stanowisko kierownika apteki na Václavském náměsti. Tam przepracował cztery lata, po czym w 1865 roku wziął udział w *konkursie na kierownika apteki* w Wiedniu. Konkurs wygrał i objął kierownictwo apteki w śródmieściu miasta. Aptekę prowadził wzorowo aż do przejścia na emeryturę w 1898 r. W tam czasie otrzymał wiadomość z Wisły, że jego bratanek Andrzej Cienciała owdowiał. Bez specjalnego zaproszenia przyjechał do Wisły-Głębców i już tu na stałe zamieszkał, pomagając przy wychowaniu osieroconych i nieletnich czworga dzieci. Jego obecność w Wiśle w równym stopniu była potrzebna rodzinie, jak i miejscowej ludności. Wiadomość o przyjeździe doświadczonego aptekarza spowodowała napływ chorych, którym udzielał pomocy korzystając z podręcznej apteczki. W tej sytuacji sprowadził z wiedeńskiej

hurtowni aptecznej sporo niezbędnych leków i materiału opatrunkowego. Stworzył punkt apteczny, z którego korzystali nie tylko chorzy miejscowi, ale również z dalszych okolic. Aptekarz był na tyle świadom ciążącej na nim odpowiedzialności, że wydawał leki w schorzeniach prostych, natomiast w przypadkach poważniejszych kierował chorych do szpitala w Cieszynie, z czego zainteresowani byli zadowoleni, zwłaszcza gdy wracali do domu już wyleczeni. Ten nielegalny proceder leczniczy (bowiem jako emeryt nie mógł uzyskać koncesji) prowadził przez ponad 20 lat pomagając, nierzadko ratując życie ludzkie. Kiedy starzejący się mgr farmacji nie miał już sił, posiadane wiadomości z dziedziny ziołolecznictwa przekazał swojemu bratankowi. Sam nie miał dzieci, był kawalerem. To wszystko działo się w Wiśle, gdzie nadal nie było lekarza dostępnego dla miejscowej ludności, gdyż nieliczni lekarze przyjeżdżający na letni urlop praktyki lekarskiej nie prowadzili. Zmarł w podeszłym wieku (89 lat) 11 stycznia 1922 roku i został pochowany w Wiśle na cmentarzu ewangelickim, gdzie istnieje tabliczka na rodzinnym grobie.

TEODOR CIENCIAŁA

POLSCY AUTORZY W CZESKIM KONTEKŚCIE

Szkoda, że często tylko marginalnie zajmujemy się polskimi autorami, którzy żyją i tworzą u nas. Niesłusznie odnosimy ich działalność literacką wyłącznie do obszaru Śląska oraz Północnej Morawy, gdzie mieszkają. Chodzi o autorów, których nie można pomijać i którzy dzięki temu, iż wchłaniają dwa konteksty literackie (czeski i polski), zostali wyposażeni zdolnością postrzegania świata wokół siebie nietradycyjnie oraz bardziej wrażliwie, niż niejeden autor czeski. Niezależnie od tego rezonuje w nich złożona i często kontrowersyjna przeszłość regionu, a także pozycja pisarza, który pisze po polsku, ale w życiu codziennym posługuje się językiem czeskim. Dobrze się więc stało, że niektórzy z nich otrzymali możliwość publikacji utworów, chociaż jest ona najwyraźniej niewystarczająca i nie wyraża rzeczywistego znaczenia ich twórczości. Spróbujmy zatem zwrócić uwagę przynajmniej na dwu z nich: Wilhelma Przeczka (1936), poetę, prozaika, publicystę i tłumacza oraz Wiesława Adama Bergera (1926), prozaika. Obaj są bardziej znani w Polsce, ponieważ tam wydano

zasadniczą część ich twórczości. Należy jeszcze przypomnieć, że Przeczek i Berger mieli w okresie przedlistopadowym trudności z publikowaniem swoich utworów, więc tym mocniej odczuwa się obecnie potrzebę wprowadzenia ich do czeskiego kontekstu literackiego. Wybór tych autorów jest dany zaledwie zewnętrznymi okolicznościami, obaj w roku ubiegłym publikowali w edycji TVARY (dodatek do praskiego pisma TVAR): zbiór wierszy Przeczka „Příliš pozdní milenec" (nr 16) i zbiór opowiadań Bergera „Marienbad – Mariánské Lázně a jiné povídky" (nr 18). Przeczek zaprezentował się wyraźniej u nas w ostatnich latach. Świadczy o tym wydanie wyboru jego poezji „Promlčený počet štěstí" (1991), tomik „Krajina v kouři" (1996) oraz niewielkie wybory opowiadań o nastroju fantastycznym „Břečťan a jiné strašidelné povídky" (1992) i „Bienále pivní pěny" (1995). Zbyt małą odezwę wywołało wydanie przekładu jego lirycznej noweli „Kazinkowe granie", w Polsce utwór ukazał się w 1994 roku, przekład wyszedł u nas pt. „Hudba z nebe" (1995).

Zatrzymajmy się najpierw przy lirycznej noweli Przeczka „Hudba z nebe", chodzi bowiem o dzieło, które posiada w jego twórczości niewątpliwie kluczowe znaczenie. W tłumaczeniu Heleny Stachovej i Ericha Sojki oddziałuje niezwykle świeżo i nie przesadzimy, stwierdzając, że organicznie mieści się w czeskim kontekście literackim. Tym, co Przeczkowi daje naturalną przestrzeń dla realizacji jego pomysłu twórczego, jest właśnie zdolność prowadzenia narracji w dwu wymiarach. Najpierw prezentuje swoją poetycką lekkość, w której spontanicznej wyobraźni jest podporządkowana także linia oraz całokształt opowiadanej przygody. Całość jest oparta na kontynuacji narratora i jego postaci (Kazinka, poetę, nauczyciela i przede wszystkim bohatera wszystkiego, co się w noweli rozgrywa). Z tego punktu wychodzą wszystkie rozważania o sensie istnienia ludzkiego, o poezji rozumianej i pojmowanej nie tylko jako gra, ale przede wszystkim jako fenomen sensu przeznaczenia. Można powiedzieć, że „Hudba z nebe" mówi na drugim planie o sytuacji pisarza, o jego tragiczności, ale zarazem o radości udziału w procesie twórczym. Kazinek wyraża coś w rodzaju projekcji marzenia pisarskiego, jest swego rodzaju drugim ja autora. Jego „brewiarz natchnienia" otwiera zdarzenie i świadczy o tym, co już przebrzmiało, ale nie zniknęło z powierzchni świata. Przeczek porusza się tu często pomiędzy banalnością i tożsamością, podobnie jak pomiędzy fikcją i realnością. Jego nowelę można bez trudu zlokalizować, jest związana z konkretnym pejzażem (cieszyńskie Beskidy i Karwina), niesie w sobie liryczną lekkość fascynacji krajobrazem, ale zarazem ciężar jego ciemniejszych wymiarów będących wynikiem ludzkiej działalności. Wchłania okoliczny świat poprzez nieznacznie sarkastyczne zabarwienie, odmowa w noweli nie wyklucza tolerancji. Poszukując literackiego rodowodu „Hudby z nebe", musimy

przede wszystkim przywołać nazwisko Oty Pavla, ale także Bohumila Hrabala; ostatecznie Ota Pavel zjawia się w tekście i na pewno nie chodzi tu o przypadek. W końcu nie możemy się pozbyć wrażenia, że pobrzmiewają tu wpływy czeskiej międzywojennej prozy awangardowej (Vančura). Nie można jednak pominąć jeszcze jednej okoliczności: archetypiczna warstwa noweli posiada konkretne tło: motywy żywiołu ognia (w dodatku z wyraźnym wskazaniem Bachelarda) a także inne żywioły przypisują poezji elementarne wartości, tak samo oczywiste i niezbędne jak przyroda i świat, które nas otaczają. Właściwą podstawę procesu twórczego widzi autor w zdolności przemiany: wszystkie sytuacje, poprzez które przechodzi bohater, są właściwie nieustanną przemianą, posiadają siłę, która pokonuje nawet śmierć, a sama twórczość, podobnie jak ogień, jest źródłem nieustającej odnowy życia, jest zakorzeniona „w żywiole ziemi". W tym wymiarze tkwi jednak zarazem swego rodzaju ograniczenie, czujemy tu ciężar ogólnie istniejących prawd, które programowo pojawiają się na ostatniej stronicy utworu i wracają nas ku najbardziej krytycznemu oglądowi tekstu. Istnieje tu jeszcze jeden postulat, wypowiedziany również pod koniec: „żądza widzenia świata najbardziej jasnego, prostego, bo tylko ze źródła jasności wychodzą rzeczy proste, a demon wszystko komplikuje". A więc proklamacja twórczości jako prawdziwego postrzegania świata, jako wola walki dobra przeciw złu. W ten sposób odsłania znowu bajkową motywację noweli i jej wydźwięk ideowy. Datowanie „Bystrzyca nad Olzą, 1983–84" zdradza, że chodzi o prozę starszą o dziesięć lat. Na tle czasowym znowu wyraźniej pojawia się wyjątkowość autora. Można nawet dopuścić swoistą dawkę polemicznego zacięcia: przeciw kategoryczności nakazów ideologicznych przeciwstawia swobodę twórczej wypowiedzi. W czasie lektury poetyckiego zbioru W. Przeczka „Příliš pozdní milenec" znowu przekonamy się o tym, jak bardzo zbliżone jest u niego pojmowanie poezji i prozy lirycznej. Wiersze przetłumaczył Jindřich Zogata i udowodnił nie tylko wrażliwość na poetykę autora, ale wykazał także zdolność znalezienia dla niej czeskiego adekwatnego wyrazu. Jesteśmy ponownie świadkami złączenia się z własną wyobraźnią poety: tak samo jak przeistaczał się autor w istotę swojego bohatera w noweli „Hudba z nebe", tak samo teraz przeradza się do własnej wizji świata. Wiersz „Hypnoza" (i wiele innych) może funkcyjnie przynależeć do prozatorskiego tekstu. Również tutaj jest przywołany stan, w którym poezja dosłownie wchłania duszę autora i dzięki niej może się przemienić choćby „w życiodajną kroplę". W twórczości żyjemy właściwie swoje drugie życie, tu prowadzi się walkę dobra ze złem: „Jak się nazywasz człowieku (mieszkający we mnie?) poszukiwaczu słów... Jak się nazywasz zdobywco sprzeczności (wilku zbaraniały) zwilczały baranku". Nieznacznie nostalgiczne zabarwienie wierszy podko-

lorowywuje ów samopoznawczy ton, podobnie również medytacyjny składnik stawia analogiczne pytania jak w poprzedniej prozie.

W nawrotach do kraju dzieciństwa nie obronił się autor przed obrazami konwencjonalnymi („ten odpustowy kołowrotek"), lub zakotwiczonymi w pamięci („biała broda świętego Mikołaja"). Istnieje tu jednak również egzystencjonalne poczucie towarzyszące świadomości, że czas człowieka jest ograniczony („Aż do szkieletu kapliczki zagubionej w groniach / rośnie podzwonne pamięci"). Niewątpliwie pojawia się konieczność wydania zasadniczej części twórczości poetyckiej Przeczka i objawienia w ten sposób wyraźniej jej silniejszych i słabszych walorów.

W edycji TVARU ukazał się także niewielki zbiór W. A. Bergera „Marienbad - Mariánské Lázně a jiné povídky" w przekładzie Ericha Sojki. Berger opublikował dotychczas tylko jeden zbiór opowiadań po czesku, w innych przypadkach są jego prace w większości rozsiane po czasopismach. Wydany zbiór jest właściwie wolnym układem opowiadań, które pierwotnie były wkomponowane do najróżniejszych zbiorów. To oczywiście ma wpływ na jego ostateczny wydźwięk, objawia się nam w coraz to innych tematycznych i stylowych kształtach. Jednego jednak dominującego znaku nie można mu nie przyznać: opowiadania są zakotwiczone w konkretnym czasie historycznym, rezonuje w nich nie tylko dramatyczna przemiana świata pod koniec drugiej wojny światowej, ale znaczące jest jej reflektowanie czeskiej historii kultury. Powiązanie Bergera z czeskim kontekstem literackim jest znacznie bliższe niż u Przeczka, jego opowiadania związane są z konkretnymi miejscami czeskiej prze-szłości (Karlštejn) albo niosą ślady przeżyć z czasów powojennych (Syn, Powrót). Niemniej ważne jest u niego wzajemne przenikanie się motywów czesko-polskich (Antylopy), Berger rzeczywiście wchłania w swoich prozach podniety zyskane w latach powojennych, moglibyśmy nawet stwierdzić, że w sobie przechowuje odczucia ludzi na końcu drugiej wojny. Szkoda, że podniety te nie zostały rozwinięte, że autor nie miał dosyć sił, żeby im nadać odpowiedni kształt epicki.

Pozostaje dodać, że istnienie polskich pisarzy pochodzących ze Śląska i Północnej Morawy zasługuje na większe zainteresowanie z naszej strony. Ich twórczość, jak się okazało przy omówieniu dwu z nich, może być okazją wzbogacenia obu naszych literatur narodowych.

prof. JIŘÍ SVOBODA
Uniwersytet Śląski w Ostrawie
Translatio: WILHELM PRZECZEK

Jiří Svoboda (1931) jest czeskim krytykiem literackim oraz historykiem literatury, profesorem Wydziału Filozoficznego na Uniwersytecie Ostrawskim, autorem licznych książek naukowo-literackich.

MARIA CHRAŚCINA

PRZYMIARKA DO ŻYCIA

różowy poranek
obudził się

twoje malutkie ja
bezradnie
niecierpliwie
szuka źródła
ciepła
siły
po omacku
bo oczy
swój błękit
boleśnie kryją
przed światem
za zasłoną powiek

jest różowy poranek

za rok powiesz mi
mamo

SPOTKANIE

wczoraj spotkałam szczęście
małe
uśmiechnięte
z włosami jak len

spojrzało na mnie
chabrami lśniących oczu
i rzekło
dzień dobry

i pobiegło
łapać drobnymi rączkami
przelatujące motyle

a ja
po chwili
jakoś raźniej
ruszyłam naprzeciw
codzienności

bogatsza
o ten dobry dzień

NA PRZYSTANKU WSPOMNIEŃ

wysiadam na przystanku wspomnień
wychodzę na spotkanie tamtych dni

dotykam bliskich mi obrazów
głaszczę szorstkość ścian
nieistniejącego domu
wchłaniam jego ciepły oddech

sękatym gruszom w sadzie
odpowiadam na ich skinienie
czy one mi się kłaniają
czy też je tak pochylił czas?

staruszka studnia
pod wierzbą – staruszką
z bolesnym skrzypieniem
Podaje garść wody

zamarło życie
na przystanku mych wspomnień
tylko drzewa – widma
samotnie strzegą pamięci dawnych zagród

wracam
lecz niepokój budzi się we mnie
czy srebrna wstążka Strzybnioczki
przecina dziś jeszcze Solecki las?

WIESŁAW ADAM BERGER

MARIENBAD

(FRAGMENT)

Wreszcie późnym popołudniem Marienbad. Jazda trolejbusem, który zatrzymuje się przed zacisznym hotelikiem, spokojny pensjonat dla pasjonata i miłośnika ciszy. I następna, już przespana bez nerwów noc.

Wcześnie budzą go poranne dzwony lata i przypominają obraz własnego życia. Wymyka się z pokoju i ucieka szukać tego, czego mu potrzeba...

Lasy, łąki, parki Skalnika, szuka twarzy i siebie z tamtych lat. Nie ma Emilki, szczupłej dziewczyny z dużymi zafascynowanymi oczami, nie ma pełnej temperamentu – trochę starszej od Emilki – Aptekarki. I nie ma Wiktorii, jego pierwszej, przewrażliwionej i poniekąd egzaltowanej małżonki, często chorobliwie zazdrosnej bez jakiegokolwiek powodu. Jednak powody zawsze jakieś można znajść. Cierpiała na obsesję cierpienia.

Idzie ze sobą – Młodym...

– Zapomnieć z inną – mówi do Tamtego–siebie. – Zapomnieć o własnej katastrofie. Trudno uciec przed samym sobą – rozważa, zagubiony, przeróżne tamte i obecne racje – co się z nim dzieje? W czym tkwi przyczyna tamtych cholernych zgrzytów? Cierpliwości trzeba, cierpliwości i rozwagi. Sęk w tym, że jej nie ma i brak mi silnej woli. To nie przywilej – kłóci się sam ze sobą i z tamtym sobą, młodym.

Siedzi nad Uszowickim potokiem i widzi swoją rzekę Łucynę. – Tam byłem szczęśliwy – mówi do siebie Młodego i rozbiera się, wchodzi, i zanurza się w wodzie. Otwiera oczy i widzi, że pod wodą też jest życie, a zarazem cisza. Powinienem – myśli sobie, albowiem trudno tu mówić nawet do samego siebie – tutaj zostać! Jednak się wynurza. – Zabrakło nam – mówi Młody – Jana Chrzciciela. – Przecież jesteś ochrzczony – ja tak, ale ty Stary już o tym

nie pamiętasz. – Pamiętam, pamiętam, chodziło się na te nauki do ewangelickiego kościoła i były piękne dziewczyny. Odprowadzałem jedną, w takim żółtym sweterku, aż do Szonowa. Ksiądz Pastor Teper, pamiętasz, miał z powodu mnie, i ja z powodu niego, niejeden kłopot... – Te nasze dziewczyny już od przedszkola. – A potem kobiety i wreszcie babki... – dodał Stary.

Spokój ogarnął wszystko, nawet jego niepokój. Są takie chwile, kiedy jest szczęśliwy. Odczuwa to nawet w czubkach palców. Wstaje i idzie na ukos wśród skrzydeł gęstych paproci, do lasu starych, mocnych buków. Tam, gdzie przed wiekami spadły ziarenka, teraz rosną wspaniałe drzewa, a wśród nich sterczą kamienie, które przed tysiącami lat były skałami wspinającymi się pod nieboskłon.

C z a s.

Cienista ścieżka prowadzi przez zapadnięty, kamienny mostek. Wśród ruin mostku skacze żywiołowy, musujący białą pianą, górski potok, pędzący ze stromizmy kilkoma spływami, obmywając dzikie, mchem porosłe, spiętrzone głazy przypominające operę Wagnera „Latającego Holendra" i nie tylko, bo „Wolnego strzelca" Carl'a Marii Webera również. Zieleń mchu, srebro wody i biel kamieni. Abraham przeskakuje ruiny mostku i idzie dalej po ścieżce prowadzącej w nieznane, i nagle słyszy szum deszczu, który lunął w królewskie korony buków, później spadających kropel i szum spadającej z góry siklawy. Znalazł się w samym środku wiecznego czasu, wody spływającej do potoka, potoka płynącego do rzeki, rzeki do jeziora, do morza, kołowrót parującej wody mieniącej się w chmury, w deszcz i życiodajna przemiana materii. Liście lecą z drzew. Butwieją. Korzenie ciągną z nich pożywienie i wodę. Perpetuum mobile. C z a s.

Powoli ustaje deszcz, jednak krople nadal spadają z liści. Zieleń jaśnieje słońcem, aksamit zieleni... Wchodzi na cmentarzysko całkowicie inne od innych. Pełno tu rozrzuconych wielkich i mniejszych głazów, rzeźbionych wichrem, gorącym słońcem, ulewami, śnieżycami i mrozem. Mrozem i gorącem. Abraham stoi i rozgląda się w tym nadzwyczajnym krajobrazie, by zapamiętać obrazy własnych uczuć. Na jednym z kamieni widać – i jest to dla Abrahama zaskakującym odkryciem – żelazną tabliczkę z nazwiskiem wypisanym szwabachą; patrzy zdziwiony i znajduje następne. Cmentarz imion i nazwisk. Daty na tabliczkach mówią o pierwszej wojnie światowej. I przypomniał mu się wujek, brat jego matki, który zginął na początku wojny, w drodze ze Lwowa na Brody. Ostatni list wujka Roberta pisany po polsku, w którym cesarstwo austriackie uważa za swoją ojczyznę i za nią zginął od

rosyjskich kul. Ten list był ostatnim dowodem, że człowiek ten – zanim znikł – i s t n i a ł.

Abraham chodzi i czyta, widzi imiona i nazwiska poległych, stopnie wojskowe, tytuły: prokuratorzy, lekarze, inżynier okrętowy z Triestu, który tak samo jak Robert znikł bez śladu, i jeszcze inni polegli w samej Rosji, Serbii i Galicji prawdopodobnie włoskiej. Ale Roberta nie ma.

– Zmarli lub zniknęli w osiemnastym roku swego życia – mówi do Abrahama młody Willi, brat jego ojca Antoniego; stoi tu przed nim w austriackim mundurze oficera, romantyk Wilhelm, który kochał Goethego i Słowackiego.

– Skąd przychodzisz? – pyta zdumiony Abraham.

– Stamtąd – mówi Willi – Hamlet rozmawiał ze swoim ojcem, teraz ty rozmawiasz z bratem swojego ojca...

– Rozumiem – mówi Abraham – zawsze chciałem, i to bardzo, z tobą porozmawiać.

– I o to chodzi. Twoja ciekawość i szacunek dla mnie, i miłość, mnie tu sprowadziła. Na tych tabliczkach są niestety tylko imiona i nazwiska, na niektórych nie ma nawet imienia, rok urodzin i rok odejścia na tamten świat. Ale o czym myśleli, jak żyli... Lata 1914, 15, 16, 17, 18 i dalej... Tyle zmarnowanego czasu, nienawiści i zbrodni. Dzisiaj już to nikogo nie obchodzi, a szkoda, bo wszystko się powtarza, powtarza bez końca. Można się było od nas, od naszego czasu dużo nauczyć, ale nadal jakoś nie wychodzi. Tamte dni, tygodnie, miesiące i lata...

– Ja o nich nie zapomniałem – mówi Abraham – dzięki tobie. Została pamięć o tobie, twoje listy i zdjęcia z tamtej wojny. Dobrze, że jesteś. Ojciec opowiadał mi o waszej umowie: Ten, kto pierwszy odejdzie na Tamten Świat, przyjdzie opowiedzieć żyjącemu, co i jak. Ty byłeś pierwszy i jakoś się nie zjawiłeś a ojciec już dawno poszedł za tobą...

– Tym razem jestem. To on mnie przysłał, jesteśmy tam razem ze wszystkimi, nie pytaj o więcej... Tylko jedno mogę ci powiedzieć, nie ma tam narodowości i nie dzielimy się tam na żadne religie.

– Nie pytam. Zostały tylko kamienie z czarnymi tablicami i zatartymi napisami, ale powoli i tablice zanikają...

– Taka jest sprawiedliwość – mówi Wilii – Są już następne tablice i miliony grobów. Głupota ludzka jest nieograniczona. Jeśli o mnie chodzi, to nie byłem dobrym oficerem c.k. armii. Zamiast strzelać do Serbów, strzeliłem sobie w skroń.

I jak się zjawił, tak znikł. Rozpłynął się w wodnym pyle zalanym słońcem tworzącym tęczę...

ZMIANA MIASTA

„Ktoś mądry powiedział, że dla własnego zdrowia psychicznego należy co siedem lat zmieniać pracę. Poradniki dla kobiet twierdzą, że co siedem lat następuje w małżeństwie kryzys małżeński, z czego niektórzy nadgorliwi wnioskują, że należy co siedem lat zmieniać męża lub żonę. Biblia twierdzi, że po siedmiu latach tłustych następuje siedem lat chudych.

Przed siedmiu laty wyszłam za mąż i rozpoczęłam pracę w Scenie Polskiej. Było to pod każdym względem siedem lat tłustych, co zresztą odbiło się również na mojej sylwetce. A ponieważ mam naturę twórczą i lubię zmiany, postanowiłam wprowadzić w obieg nową zasadę : co siedem lat należy zmieniać miasto. Żeby się nam nie znudziło i żeby się jemu nie znudzić.

Grono osób, które przez siedem lat wysłuchiwały moich hymnów na cześć Krakowa, wnioskowało, że ruszę na północ. Otóż nie. Jak przystało na mieszkankę paradoksalnego dwójmiasta o nazwie Cieszyn – Český Těšín, wbrew prawom logiki ruszam na południe. Do Brna.

Czterystatysięczne (co do liczby mieszkańców) Brno nazywano „Paryżem Moravy", przedmieściem Wiednia, ośrodkiem targów handlowych i motocyklowych zawodów, „wielką wiochą", miastem Mendla i Janáčka, Mekką nowoczesnej architektury, centrum teatrów eksperymentalnych; w miejscowym narzeczu to „betélné štatí". Nazwa miasta wywodzi się ponoć od staroczeskiego słowa „brnije", które oznacza „glinę, brud". No, nieźle.

Nie bez sentymentu patrzę teraz, w dniu rozstania, na Czeski Cieszyn, miasto, do którego mam ambiwalentny stosunek i do którego zawsze powracam. Przede mną nowe pole walki. Czy będzie to moje Waterloo, czy też Austerlitz, czas pokaże. Za siedem lat będę mądrzejsza ..."

Ten nieco przekorny tekst napisałam przygotowując program „W kawiarni AVION, której nie ma ... II". Pisałam go ciekawa nowego i pełna zapału, nie przeczuwając, jak trudną decyzją jest zmiana miasta. Jaka to będzie próba życiowa dla mnie, moich najbliższych, grona przyjaciół i znajomych.

Już tylko reakcje mojego otoczenia na tę wiadomość były niezwykle interesujące i można by je podzielić na kilka kategorii. „Ruszasz za mężem, by wreszcie wasza rodzina nie była w ciągłych rozjazdach – to mądra decyzja." – „Co ty tam będziesz robić, z twoim wykształceniem, w czeskim środowisku?" – „Masz rację,

każda zmiana jest twórcza, też bym stąd ruszył, gdyby nadarzyła się okazja." - „Cóż za buntownicza i lekkomyślna decyzja; mając tu pewną pozycję i możliwości publikacji, ruszasz do obcego miasta, gdzie trudno będzie ci się przebić." I wreszcie najskrajniejsze reakcje typu : „Zamykają nam polskie przedszkola i szkoły, a ty, polska poetka, zabierasz swoje dziecko, by je wynarodowić na czeskim gruncie!" I pytanie w oczach : „Czy Zaolzie ci wybaczy ?" I moja odpowiedź w domyśle : „Rany boskie, jestem przecież wolna, moje decyzje należą tylko i wyłącznie do mnie. To ja poniosę ich konsekwencje. Nie dam się przybić do krzyża żadnej idei. A jeśli mi nie wybaczą - potwierdzą, że byli warci tego, by ich porzucić."

Zanim przeniosłam się do Brna - na czas niewiadomy i zależny właśnie od tego, jak uda nam się tam zadomowić i na jak długo będzie nas to miasto interesować - musiałam na własnej skórze stwierdzić, czy odpowiadają mi jego klimaty. I tu paradoksalne odkrycie; wędrówki najpierw palcem po mapie, a potem spacery do różnych miejsc, rozmowy z tubylcami, sprawunki i błądzenie po urzędach uświadomiły mi, że miasto to bardzo przypomina mi Kraków. Począwszy od legendy o smoku (do złudzenia podobnej), zamku, przepięknych kościołów (nie do wiary, jak złakniona byłam piękna), rzeki, urokliwych uliczek i tramwajów, po bogate życie kulturalne i to nieokreślone „coś", czego szuka człowiek w różnych, cudownych nieraz miastach i często nie znajduje. W każdym razie moje opiekuńcze lary i penaty znalazły „to coś" i je zaakceptowały.

Do poznawania nowych miejsc nigdy nie wystarcza mi tylko mapa lub przewodnik. Ważni są ludzie, na których owo miejsce odbiło swoje piętno i którzy z kolei pozostawiali w nim swój ślad. Nie wspomnę tu o generacjach brneńskiej szlachty, malarzach, architektach i kompozytorach. Wystarczy kilka nazwisk pisarzy i poetów : Hrabal, Kundera, Halas, Otčenášek, Skácel, Blatný. Z żyjących należy bez wątpienia wymienić Ludvíka Kunderę, Antonína Přidala, Milana Uhdego, Jana Trefulkę, Antonína Bajaję, Zdeňka Rotrekla, Zeno Kaprála, Arnošta Goldflama, Jiřího Kratochvila, Jindřicha Zogatę. I wreszcie poetów, z którymi niejednokrotnie spotykaliśmy się na wspólnych, czesko-polskich spotkaniach poetyckich w Cieszynie, Ostrawie, Brnie, na Hukvaldach : Víta Slívę, profesora gimnazjum w mej nowej dzielnicy Královo Pole, niekonwencjonalnego Petra Hrbáča, Roberta Fajkusa, którego piękny zbiorek wydał niedawno wędryński WELES jako swą pierwszą publikację książkową, no i założyciela WELES-u, Bogdana Trojaka, który studiuje i aktywnie udziela się w Brnie. O bardzo przychylnych propolskich klimatach niech świadczy przygotowywana obecnie w brneńskim wydawnictwie HOST antologia młodej polskiej poezji pod redakcją i z przekładami na język czeski Bogdana Trojaka oraz Libora Martinka i Renaty Putzlacher. Być może dojdzie również do czesko-polskich spotkań poetyckich w Brnie i Krakowie.

Rozpoczęłam od cytatu, zakończę również cytatem z „Cieszyńskiego refrenu", który przedstawiłam w kawiarni AVION: „Zostawię ciebie za sobą, me miasto, ruszę za tymi, do których należę / jak kiepski nomad, kiedy padnie hasło, porzucę rzekę i samotną wieżę /.../ Jeszcze nie późno, swym „Transatlantykiem" wyruszę wkrótce, już za parę godzin. / Odkryję swoją własną Amerykę, bo pośród Indian żyłam od narodzin. /.../ Wrócę do ciebie kiedyś, moje miasto, być może inna, być może ta sama. / Na moście celnik ostatni już zasnął, czka w „Demellochu" Małgosia pijana ..."

OKRUCHY LITERACKIE

Na łamach brneńskiego pisma „Naše Morava" (nr 7,s.7) ukazała się recenzja prof. Štěpána Vlašína „Świat oczyma młodej kobiety", omawiająca czeski przekład zbiorku liryków Lucyny Waszkowej „Cztery pory miłości" – „Čtyři období lásky" (wyd. SAK, Olbrachcice 1996). Tomik akcentuje przede wszystkim czwartą porę miłości – macierzyństwo. Tłumacz i autor posłowia Libor Martinek określa poetykę autorki jako zbliżoną do „poetyki czeskiej poezji codzienności" i do ugrupowania „Květen", z polskiej liryki do Tadeusza Różewicza. Podkreśla charakterystyczną dla autorki metodę skrótów i cięcia, „ w ten sposób powstaje różnorodna i wrażliwa mozaika małych (ale i wielkich) paradoksów, budulcem są drobnostki, przemiany, ich ożywianie i personifikacja".

Lucyna Waszkowa i Wilhelm Przeczek przetłumaczyli tomik czeskiej poetki Bożeny Klímowej „Rozhovor s Bohem" – „Rozmowa z Bogiem". Zbiorek zadedykowany został papieżowi Janowi Pawłowi II i wysłany za pośrednictwem nuncjusza apostolskiego w Pradze Giovanniego Coppy do Watykanu. Tomik ukaże się w Polsce w wydawnictwie OFFSETT.

Powstała w Pradze komisja rekrutacyjna Gminy Pisarzy (Obec spisovatelů) pod kierownictwem nowego prezesa dr. Antoniego Jelínka przyjęła nowych członków z naszego terenu. Są nimi Lech Przeczek i Franciszek Nastulczyk.

W praskim czasopiśmie kulturalnym „Revue Labyrint" (nr 6) ukazały się wiersze poetów zaolziańskich Władysława Sikory i Wilhelma Przeczka, poświęcone pamięci Jana Palacha. Przekładu na język czeski dokonał Libor Martinek.

(MK)

NOSTRADAMUS ARTURA CROCKETTA

O Nostradamusie twierdzi Crockett, że jest to najbardziej tajemniczy człowiek, jaki kiedykolwiek żył. Na temat życia Nostradamusa brak jednak bardziej wiarygodnych danych. Swoista mitologia twierdzi, że przed urodzeniem Nostradamusa pojawiało się na świecie wiele zagadkowych zjawisk kosmicznych. W archiwum miasta Salon, gdzie wieszcz przeżywał swoje ostatnie lata, przechowują dane o kulistych przedmiotach pojawiających się nad miastem St. Rémy.

Same zaś narodziny Nostradamusa osnute są również tajemnicą, którą w XVI wieku było urodzenie się zdrowego dziecka. Umieralność niemowlaków była wtedy bardzo wysoka. W przypadku Nostradamusa kronikarze skłonni są wierzyć, że był już jako dziecko pod ochroną jakiejś niewidzialnej siły.

Proroctwa Nostradamusa należą do najbardziej wiarygodnych z tych wszystkich, które zostały odnotowane. Kiedykolwiek zdecydował się „spojrzeć w przyszłość" - jego przepowiednia była bezbłędna. Różnego rodzaju wróżbitki, wróżki i jasnowidze miewają czasami udane prognozy, ale Nostradamus nie mylił się nigdy. Niektórzy twierdzą nawet, że wygląda to, „jakby przez chwilę żył w przyszłości", i jego proroctwo jest po prostu sprawozdaniem z tego, co tam zobaczył.

Jest wiele powodów, żeby wierzyć, iż był inny niż ktokolwiek, kto żył przed nim i po nim. Jako małe dziecko opanował kilka języków i wyższą matematykę. Był niewiarygodnie inteligentny. Doktorem medycyny został w wieku 23 lat. Przez całe lata poruszał się wśród ludzi zarażonych chorobami zakaźnymi i nigdy się nie zaraził.

Znał wiele receptur, które w owych czasach były po prostu nieznane i za pomocą różnych mieszanek ziół był w stanie leczyć niezliczoną ilość obłożnie chorych. Cała Francja i Europa uznawała go także za cudownego uzdrowiciela. Jego proroctwa spowodowały, że zaczęto przypuszczać, iż był zdolny do podróżowania w czasie, albo, że został zesłany na ziemię przez nieznane istoty z Kosmosu.

Znacznie więcej możecie się dowiedzieć o Nostradamusie z książki Artura Crocketta „Dotychczas niepublikowane proroctwa Nostradamusa". Jest to lektura zaskakująca i przerażająca zarazem, o czym donosi Wasz

RENCISTA

TO I OWO

Józef Gordziałek na łamach „Dziennika Zachodniego" zastanawia się nad terminem pisarz pogranicza. Podaje w wątpliwość identyfikację pisarza pogranicza z miejscem urodzenia lub pobytu. Przekazuje swoją definicję: prawdziwym pisarzem pogranicza będzie ten, kto nie tylko powierzchownie eksploatuje niektóre jego egzotyczne wątki, ale przede wszystkim ktoś głęboko rozumiejący specyfikę sąsiedzkiego powinowactwa, inspiracji kultur i wymiany wartości. Ten, kto utrwala nurt godności i równości wielu kręgów, ofert kulturowych, kto staje się rzecznikiem potrzeb oraz interesów społeczności kresowych w imię współpracy.

„Głos z Zaolzia" to tytuł rozmowy z profesorem Danielem Kadłubcem w „Dzienniku Zachodnim" na temat roli pogranicza jako pomostu między narodami we wszystkich sferach życia. Rozmówca zwrócił m.in. uwagę na niebezpieczeństwo niekorzystnej ewolucji pogranicza, wynikające ze zobojętnienia na wartości narodowe. „Słabnie u młodzieży poczucie zakorzenienia w małej ojczyźnie kulturowo-językowej. Na fali współczesnych przemian powierzchownych trendów mody, stylu bycia, obyczaju wytworzył się niesamowity galimatias pojęciowy, lekceważenie pewnych kanonów wartości i zasad. Jakbyśmy przybywali z buszu do Europy. A przecież my w tej Europie dawno jesteśmy, mamy w niej swój własny wkład i oryginalną pozycję kulturową. "

We wrześniu powstała w Polsce pierwsza dwujęzyczna polsko-niemiecka szkoła podstawowa, w Brzeźcach w gminie Bierawa. W dwu klasach uczy się razem 21 uczniów. „Realizujemy normalny program w języku polskim, natomiast niemiecki to język dodatkowy," stwierdził dyrektor szkoły. „Prowadzenie zajęć wyłącznie w języku niemieckim będzie możliwe dopiero w 6–7 klasie, kiedy dzieci opanują go już na przyzwoitym poziomie."

Od roku 1993 Związek Górnośląski w Katowicach honoruje osoby, które w swych dokonaniach kulturalnych, społecznych, naukowych czy zawodowych przyczyniają się do nobilitacji i ugruntowania pozycji Śląska w Polsce i za granicą, nagrodą im. Wojciecha Korfantego. W tym roku laureatką została senator prof. Dorota Simonides, kierowniczka katedry folklorystyki uniwersytetu w Opolu, poruszająca w Senacie RP również sprawy Zaolzia.

Klub Publicystów Polonijnych Stowarzyszenia Dziennikarzy RP przyznał tegoroczne nagrody „Polonusa". Złotego „Polonusa" otrzymało Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Wielkiej Brytanii, srebrnego Polsko-Kanadyjskie Towarzystwo Muzyczne z Toronto, brązowego Wasyl Chaniewicz z Tomska i Stowarzyszenie Scena Polska z Holandii. Jednym z ubiegłorocznych laureatów była Scena Polska TD.

Krąg Seniora HPC zamierza wydać książkę wspomnień dawnych harcerzy. Tytuł roboczy brzmi „Na harcerskim szlaku". Byli i obecni harcerze mogą nadsyłać swoje wspomnienia do października br. pod adresem: Władysław Sztebel, Těrlická 63/391, 735 35 Sucha Górna.



Festiwal 30-lecia PZKO (22.5.1997)



Festiwal 30-lecia PZKO – z programu na stadionie zimowym w Karwinie



Festiwal PZKO – Trzyniec (1980)

SEJMIK I WALNE ZGROMADZENIE DELEGATÓW
ŚWIĘTO ZAOLZIAŃSKICH ŚPIEWAKÓW

W sobotę 8 marca br. odbyło się w sali hotelu „Piast" w Czeskim Cieszynie walne Zgromadzenie Delegatów Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego PZKO. Posiedzenie to, które odbywa się raz na dwa lata, w roku bieżącym trafiło na podwójny jubileusz: 70-lecie zorganizowanego śpiewactwa polskiego na Zaolziu oraz 50. rocznicę założenia Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego.

Ukoronowaniem obchodów 70. rocznicy powołania Związku Polskich Chórów na terenie dawnej Czechosłowacji był uroczysty sejmik śpiewaczy, który stanowił pierwszą część Walnego Zgromadzenia Delegatów ZŚM. Obchody 70-lecia zorganizowanego śpiewactwa polskiego na Zaolziu zaszczycili swoją obecnością liczni goście: konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Piotr Szwarc, prezes Zarządu Głównego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie Walter Stryja i wiceprezes Związku Kazimierz Fober, prezes Zarządu Okręgowego Unii Czeskich Zespołów Chóralnych Drahoslav Štula, Filię Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie reprezentowali Józef Świder i Alojzy Suchanek, Radę Polaków prezes Wawrzyniec Fójcik, wiceprezes Bronisław Walicki i członek RP Remigiusz Gąsior, Zarząd Główny PZKO prezes Jerzy Czap i dyrektor Biura Bohdan Suchanek.

Przybyli też na jubileusz śpiewactwa zaolziańskiego przewodniczący Macierzy Ziemi Cieszyńskiej Mariusz Makowski i dyrektor Zakładu Badań Etnikum Polskiego w RC prof. Daniel Kadłubiec. Wśród zacnych gości nie zabrakło również dyrygentów przedwojennych chórów - Adolfa Dzika z Suchej Średniej, Franciszka Hesa z Wędryni, Józefa Kazika ze Stonawy oraz Franciszka Kwiczali z Karwiny. Byli też honorowi członkowie Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego Brunon Rygiel i Alojzy Kaleta oraz wielu działaczy związanych ze śpiewactwem zaolziańskim i wielu innych sympatyków amatorskiego ruchu śpiewaczego.

Uroczysty sejmik rozpoczęto wspólnym odśpiewaniem wiązanki cieszyńskich pieśni ludowych. O historii, dniu dzisiejszym i perspektywach polskiego śpiewactwa na Zaolziu mówił sekretarz ZŚM i członek ZG PZChiO, Józef Wierzgoń.

Sejmik uświetniło brawurowe wystąpienie nawsiańskiej „Melodii" pod batutą młodej i doświadczonej dyrygentki, Aleksandry Trefon-Paszek,

z solistką Bronisławą Nowak i jej przepięknym, lirycznym sopranem. Nie odbyło się też bez uroczystych momentów podziękowań najofiarniejszym za ich pracę i uhonorowania najwyższymi odznaczeniami PZChiO: Złotą Odznaką (Irena Małysz, Anna Sztwiertnia, Lidia Kozera) i Złotą Odznaką z Laurem (Halina Niedoba, Władysław Ożóg) oraz Medalem 70-lecia PZChiO (Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne PZKO, Chór Nauczycieli Polskich, chór mieszany „Sucha" oraz Jan Hławiczka, Józef Wierzgoń, Brunon Rygiel, Władysław Winkler, Ilza Zuczek, Halina Kraina i Adolf Bałon).

W roboczej części spotkania prezes Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego, Jan Hławiczka, dokonał oceny działalności tej orgaizacji za ubiegłą, dwuletnią kadencję (ocena opublikowana była w kwietniowym numerze ZWROTU). Warto przypomnieć, iż chóry zrzeszają obecnie około 800 śpiewaków. Jak podkreślił w dyskusji m.in. prezes ZG PZChiO Walter Stryja, ich działalność zasługuje ze wszech miar na uznanie i szacunek, jest też dostrzegana i doceniana w Polsce, tym bardziej, że zaolziańskie chóry często i dobrze reprezentują swój region na przeróżnych imprezach śpiewaczych po drugiej stronie granicy.

Delegaci reprezentujący 25 działających obecnie na terenie Republiki Czeskiej polskich chórów mieszanych (19), męskich (4) i żeńskich (2) wybrali następnie 9-osobowy Zarząd Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego oraz uchwalili również ramowy oplan działania na najbliższą kadencję. Plan przewiduje zarówno ożywienie „dorosłych" zespołów śpiewaczych, jak i chórów szkolnych i małych zespołów wokalnych. Rozśpiewanie młodzieży uczącej się w szkołach podstawowych i średnich mogłoby, zdaniem działaczy ZŚM, zrodzić nowe szanse zarówno na odmłodzenie chórów już istniejących, jak i na utworzenie zespołów nowych.

A oto co na temat jubileuszowych obrad śpiewaczych powiedział Jan Hławiczka, ponownie wybrany na prezesa Zrzeszenia: *„Jubileusze każdej organizacji stwarzają okazję do podsumowania pracy. Podsumowanie oczywiście nie może być tylko pozytywne. Co nas gnębi? Od czasów powojennych chóry nie odmładzają się, nie ma oficjalnych środków finansowych, trzeba się przebijać przy pozyskiwaniu sponsorów, czego nasze chóry jeszcze nie umieją. Ogólnie jednak muszę powiedzieć, że wielkich strat nie było. Nie rozeszły się chóry – że tak powiem – z powodu braku pieniędzy; raczej trudno jest o dyrygentów i tutaj wspaniałą pracę robi Filia Uniwersytetu Śląskiego: 6 chórów prowadzą znakomici dyrygenci, wykładowcy albo wychowankowie tej uczelni... Żegna się z nami orłowskie „Hasło". To niezmiernie przykra sprawa, bo Orłowa to był bastion polskości, to świetna historia Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego... zresztą śpiewactwo zaolziańskie wzięło początek z Macierzy Szkolnej... Chóry męskie w ogóle przeżywają kryzys, ubywa chórów nie tylko u nas, ale i w Polsce. Orłowskie*

„Hasło" po tak chlubnej tradycji ma zakończyć działalność koncertem jubileuszowym – bolesne to! – Nie ma chórów szkolnych, a były wizytówką każdej szkoły. Wprawdzie szkoły nie są tak liczne jak dawniej, co stwarza pewne obiektywne przyczyny tego zjawiska. Weźmy jednak przykład czeskocieszyńskiego gimnazjum: tu też kiedyś chodziła zdolna młodzież a nie było takich sukcesów, takich wspaniałych chórów, jak właśnie dziś dzięki profesorowi Leszkowi Kalinie. W innych szkołach nie ma wielogłosowych chórów szkolnych. A czy Zrzeszenie może tu jakoś pomóc, czy też to tylko sprawa nauczycieli wychowania muzycznego? My staramy się pomóc w ramach naszych możliwości. Są seminaria dokształcające pod fachowym kierownictwem, dostarczamy materiałów nutowych, no i jest szansa, żeby te najlepsze zespoły przebiły się do dalszych eliminacji w Polsce; to powinno też mobilizować. – A czy mamy się czym pochwalić? Czołówkę tworzą chóry pana Kaliny, trzyniecki „Hutnik", nawsiańska „Melodia", jabłonkowski „Gorol", karwińska „Przyjaźń". Chóry uczą się zdobywać środki finansowe, mają wspaniałą możliwość występowania z koncertami muzyki sakralnej, czego dawniej nie było... są wyjazdy na konkursy i przeglądy, wojaże artystyczne, pomaga nam Polska. Mamy nadzieję, że również Światowe Festiwale Chórów Polonijnych w Koszalinie i inne tradycyjne imprezy będą dla nas osiągalne. Moim marzeniem jest utrzymanie dotychczasowego stanu posiadania i iść jakoś do przodu. Nie ma się co łudzić, że będzie tak, jak kiedyś – 100 chórów. Ale możemy utrzymać to, co jeszcze mamy i podnosić poziom. Moim życzeniem jest, żeby nam się udało..."

Wybrany na Walnym Zgromadzeniu Delegatów nowy Zarząd Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego będzie przez następne dwa lata pracował w następującym składzie: inż. Jan Hławiczka – prezes, mgr Halina Kraina i dr Józef Wierzgoń – wiceprezesowie, inż. Jadwiga Karolczyk – sekretarz, dr Leszek Kalina – dyrektor artystyczny, Ksenia Owczarzy – skarbnik, inż. Alojzy Kaleta, prof. Brunon Rygiel i mgr Kazimierz Fober – członkowie Zarządu.

JÓZEF WIERZGOŃ

WIOSENNE WOJAŻE COLLEGIUM IUVENUM

Chór studencki Collegium Iuvenum działający w ramach Stowarzyszenia Collegium Canticorum oraz przy Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie przeżywa w tym roku bardzo pracowitą wiosnę (astronomiczną). Wtorkowe próby zespołu odbywają się od kilku już miesięcy pod znakiem przygotowań do konkursów

i festiwali. Żmudna praca dyrygentów i chórzystów przynosi jednak swoje owoce.

W dniach 22–24 marca Collegium Iuvenum wzięło udział w XVII Ogólnopolskim Konkursie Chórów Dzieci i Młodzieży Szkolnej a capella w Bydgoszczy, gdzie zakwalifikowało się po zwycięstwach w eliminacjach w Bielsku-Białej i Katowicach. Impreza ta miała stać się dla chóru sprawdzianem po blisko dwuletnich przygotowaniach. Nic więc dziwnego, że młodzież z naprężonymi nerwami oczekiwała na niedzielny konkurs. Podniecenie czwartaków pamiętających jeszcze sukces sprzed trzech lat udzieliło się również młodszej części zespołu.

Chórzyści przygotowali na przesłuchania konkursowe różnorodny repertuar, na który złożyły się utwory polskich kompozytorów, jak wymagał tego regulamin. Była więc XVI wieczna polifonia Mikołaja z Chrzanowa „Protexisti me Deus", żart muzyczny – „Entliczek" Andrzeja Koszewskiego, motet Józefa Świdra „Cantus Gloriosus" oraz „Kołysanka" Andrzeja Hundsiaka jako utwór obowiązkowy. Występ ten zaliczył dyrygent dr Leszek Kalina do najbardziej udanych w ostatnim okresie czasu, również członkowie zespołu byli zadowoleni z zaprezentowanego poziomu.

Teraz pozostawało już tylko czekanie na werdykt jury, który zostanie ogłoszony podczas jutrzejszego koncertu galowego. Czeskocieszyńska młodzież postanowiła skrócić sobie niedzielne popołudnie przy gitarze i piosenkach, jak nakazuje tradycja zespołu.

W poniedziałek w godzinach południowych odbył się koncert laureatów, na którym nasi gimnazjaliści zaprezentowali utwór „Entliczek" obecnego na sali Filharmonii Pomorskiej Andrzeja Koszewskiego. W ramach koncertu odbyło się uroczyste ogłoszenie wyników. Członkowie Collegium Ivenum z napięciem i niecierpliwością oczekiwali, jaki kolor będzie miał kamerton, który pojedzie z nami do Czeskiego Cieszyna. Ku naszej ogromnej radości okazało się, że zdobyliśmy złoto oraz wicemistrzostwo Polski. Przed nami uplasował się tylko bezkonkurencyjny chór liceum z Głubczyc. Nasze Collegium Iuvenum oprócz Złotego Kamertonu do domu zawiozło jeszcze nagrodę specjalną za najciekawsze zestawienie repertuaru.

Zanim chór udał się w drogę powrotną do domu, zatrzymał się na kilka godzin w Toruniu, aby odpocząć od wprawdzie miłych, jednak bardzo męczących wrażeń. A we wtrorek rano nasza gablotka wzbogaciła się o dalsze cenne trofeum.

Jednak „Iuvenowcy" nie mogą jeszcze spocząć na laurach. Czeka ich festiwal chórów gimnazjalnych Gymnasia Cantant w Brnie,

w tym roku poświęcony muzyce polifonicznej renesansu i baroku. Trzeba jeszcze doćwiczyć to i owo, a 10 kwietnia wyjeżdżamy do Brna. Podczas piątkowego przeglądu ocenianego przez jury prezentujemy utwory Luca Marenzio, K. Haranta z Polždic a Beadružic a także Mikołaja z Chrzanowa i Józefa Świdra popularyzując w ten sposób polską muzykę chóralną. W godzinach popołudniowyh kierownicy zespołu prowadzą warsztaty dla dyrygentów i chórzystów, mgr Grażyna Sucha na temat rozśpiewania i emisji głosu, dr Leszek Kalina poświęca swój wykład interpretacji muzyki renesansu i baroku. Częścią składową seminarium jest również pokazowe wyćwiczenie madrygału „Zeffiro Torna" z Collegium Iuvenum oraz uczestnikami warsztatów. Oba wykłady zostały gorące przyjęte przez publiczność złożoną z dyrygentów chórów uczestniczących w festiwalach.

Również jury bardzo pozytywnie oceniło występ naszego chóru. Największą nagrodę jednak były dla nas gromkie brawa, które otrzymaliśmy od naszych kolegów i koleżanek za występ zamykający koncert galowy.

Collegium Iuvenum przywiozło więc ze sobą z Brna dużo miłych wspomnień, które na pewno staną się zachętą do dalszej pracy, zwłaszcza pod kątem festiwalu w Otrokowicach.

NINA SAJDOK

"PRZEŁĘCZ" W WARSZAWIE

Przed rokiem chór mieszany „Przełęcz" gościł z koncertem „Mszy Wielkanocnej" wraz z kompozytorem tego utworu Stanisławem Bogunią w Warszawie w Kościele Świętego Krzyża w pierwszą niedzielę po Wielkanocy. Już wtedy zaproponowano nam, byśmy „Mszę Wielkanocną" wykonali ponownie, ale już w same święto Zmartwychwstania w roku 1997.

Do Warszawy wyjechało 39 chórzystów, wśród nich byli soliści Elwira Zwyrtek, Władysław Czepiec oraz Krystyna Szotkowska grająca partie skrzypcowe. Chór przygotowała i dyrygowała nauczycielka Halina Niedoba, na organach grała Marta Wierzgoń. 30 marca śpiewaliśmy w kościele Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu podczas mszy radiowej oraz w kościele św. Stanisława Kostki. Zwiedziliśmy Łazienki, Starówkę i metro. W Poniedziałek Wielkanocny śpiewaliśmy „Mszę" w kościele Opatrzności Bożej. Nasza akompaniatorka po koncercie wykonała utwór organowy. Po koncercie zaproszeni zostaliśmy na „Wielkanocne śniadanie" na plebanię. Pobyt w Warszawie przekonał wszystkich o tym, że warto poświęcić swój czas śpiewaniu.

HELENA LACHOWA

"HUTNIK" CIĄGLE W DRODZE

PZŚ „Hutnik" z Trzyńca, nie zapominając o swoich wiernych słuchaczach na Zaolziu, każdego roku koncertuje również poza jego terenem. Mądra to i odważna polityka kierownictwa zespołu, bowiem jeśli chcemy poznać własną wartość, musimy poddać się weryfikacji poza terenem naszych korzeni. A że wymaga to odwagi, przede wszystkim w zakresie finansowym, nie ulega żadnej wątpliwości. Dobrze wszyscy wiemy, jak trudno jest pozyskać sponsorów na dalekie wyjazdy. A przecież zespoły, które nie wojażują obumierają. Nic tak nie mobilizuje zespołu wewnątrz, jak możliwość zaprezentowania własnego dorobku i satysfakcja z sukcesów. Toteż nic dziwnego, że zespołowi przybywa członków.

„Hutnik" liczy obecnie ponad 60 chórzystów. Już dwunasty rok dyryguje nimi Cezary Drzewiecki, a od stycznia br. asystuje mu Ewa Wigezzi, absolwentka Akademii Muzycznej w Katowicach, która podobnie jak dyrygent dojeżdża na próby z Polski.

W drugiej połowie marca zespół wziął udział w IV Międzynarodowym Przeglądzie Pieśni Chóralnej w Ustí nad Labem. Nie była to kwestia przypadku, bowiem zespół złożył swoją ofertę śpiewaczą w Radzie Polaków, a ta wysłała ją do siedmiu miast Republiki Czeskiej. Z Ustí przyszło zaproszenie na festiwal, ale jeszcze przed wyjazdem zespół musiał przedstawić swoje nagrania. Na podstawie nadesłanych ofert muzycznych organizatorzy wybrali 10 chórów, w tym „Hutnika". Oprócz zespołów czeskich był również chór z Węgier i Niemiec.

Poziom przeglądu był bardzo wysoki, nasz zespół, choć najstarszy wiekiem, odniósł ogromny sukces. Dał dwa koncerty, które bardzo gorąco przyjęła miejscowa publiczność, a trzeba dodać, że jej stopień wyrobienia muzycznego jest wysoki. Miasto Ustí nad Labem posiada bardzo dobre własne chóry, które również brały udział w przeglądzie – chór akademicki przy wydziale muzycznym miejscowego uniwersytetu i chór dziecięcy.

Nasz zespół wystąpił w czterdziestoosobowym składzie, bez udziału Trzynieckiej Orkiestry Kameralnej, co na pewno było pewnym utrudnieniem, ale poradził sobie doskonale. Toteż tym większa satysfakcja dla zespołu, tym bardziej, że na naszym terenie sukcesy zespołu odbierane są w kontekście ich pracy wspólnej.

Warto również zwrócić uwagę, że występ PZŚ „Hutnik", w Ustí nad Labem odbierany był jako reprezentacja polskiej mniejszości w RC, z której Czesi byli dumni. Była to z pewnością bardzo ważna promocja kultury polskiej.

A już w maju „Hutnik" wyrusza na kolejne muzyczne podboje, tym razem do Anglii, gdzie da trzy koncerty w Londynie, a po drodze w Niemczech i Belgii. Tym razem z chórem wystąpi Trzyniecka Orkiestra Kameralna i gościnnie soliści Alina Farna Podskalska i Władysław Czepiec.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

CZECHOW UNIWERSALNY

Czechow żył 44 lata. Był mistrzem noweli i dramatopisarzem. Jego spuściznę stanowi 12 tomów dzieł i 8 tomów listów. A jednak bez trudu można wymienić jego sztuki teatralne. Szlify dramatopisarskie zdobywał, pisząc jednoaktówki, nazywane szkicami dramatycznymi, krotochwilami, żartami scenicznymi. Posępną atmosferę prezentuje debiutancki szkic „Przy trakcie" oraz „Łabędzia pieśń", komediowy charakter mają jednoaktówki „Niedźwiedź", „Oświadczyny", „Wesele", „Jubileusz", „Tragik mimo woli", monolog sceniczny nazwany został „O szkodliwości palenia tytoniu". Pełnospektaklowe sztuki to „Iwanow", „Mewa", „Wujaszek Wania" z pierwowzorem młodzieńczym „Kusy", „Trzy siostry", „Wiśniowy sad" i „Płatonow". Można by spierać się o to czy jest to mało, czy dużo, ale nie to jest najważniejsze. Wielkość Czechowa polega na czym innym. Wniósł on do historii dramatu a pośrednio również do historii teatru wartości nieprzemijalne. Realizm, owa potrzeba ukazania fragmentów autentycznego życia na scenie, jest jednym z zadań teatru wczoraj i dziś. Różne są jednak sposoby realizacji tego postulatu, różne formy, różna poetyka. Czechow był jednym z filarów dramatu realistycznego drugiej połowy XIX wieku, do jego formuły odwoływali się, nawiązywali najwybitniejsi dramatopisarze-realiści naszego stulecia. Wniósł nowe spojrzenie na sztukę teatru, nową estetykę widzenia rzeczywistości scenicznej. Udało mu się połączyć kwestie merytoryczne - zrozumienie duszy ludzkiej, problemów szarego człowieka, złożoności charakterów - z niespotykaną dotąd formą przedstawienia ich na scenie. Bo w dramatach Czechowa pozornie nic się nie dzieje. Zamiast bohaterów występują zwykli ludzie, zamiast efektownych dialogów słychać strzępki rozmów, przerywane chwilami milczenia. Zasadnicze znaczenie ma nastrój, skupienie, wewnętrzne przeżycia, ten podtekst, ukrywający się pod banalnością słów. Cechy te dosadnie ujął w swym wywodzie Tadeusz Różewicz: „To, co się dzieje w dramatach Czechowa, jest rzeczą drugorzędną, nie „intrygi", „rozwiązanie", ale „powietrze" tych dramatów pamięta się zawsze, czuje się zmysłami ich atmosferę, pustkę między zdarzeniami, milczenie między słowami, oczekiwanie. Bezruch, a nie ruch jest tam istotą sztuki (przedstawienia)." Przy omawianiu znaczenia dramatów Antona Pawłowicza Czechowa nie sposób nie wspomnieć o Konstantym Siergiejewiczu Stanisławskim, jednym z założycieli Moskiewskiego Teatru Artystycznego (MChT, dziś używany skrót MChAT wprowadzony został dopiero w roku 1925 po dodaniu do nazwy słowa „akademicki"), i wzajemnej interakcji teorii Stanisławskiego i dramaturgii Czechowa. Na scenie tego teatru od-

były się premiery najwybitniejszych sztuk Czechowa, z zespołem tego teatru Stanisławski próbował nowe zasady sztuki teatru: autentyzm kostiumów i dekoracji, dbałość o szczegóły, grę zespołową, naturalistyczny język, a przede wszystkim nowe pojęcie gry aktorskiej, polegające, w uproszczeniu, na rezygnacji ze sztuczności i konwencji na rzecz wczucia się dzięki projekcji własnych wspomnień i doświadczeń w przeżycia postaci, kreowanej na scenie. Taka partytura roli bardzo przystawała do psychologii postaci w dramatach Czechowa.

Scena Polska Teatru Cieszyńskiego w swej kolejnej premierze sięgnęła do młodzieńczej twórczości Czechowa, wystawiając dwie jednoaktówki, pierwsze sztuki komediowe autora: „Niedźwiedź" i „Oświadczyny", w przekładzie Artura Sandauera. Komedie owe, nazwane przez autora żartami scenicznymi, nie unaoczniają jeszcze wszystkich cech dramatopisarstwa Czechowa, są jednak zgrabnymi ćwiczeniami dramatycznymi, przykładami ciętego dowcipu, żywego dialogu, komizmu sytuacyjnego, ironicznego dystansu. Czechow pragnął uniknąć moralizowania, dzielenia charakterów na białe i czarne, starając się w ten sposób zdobyć na obiektywizm. Uzyskał bogactwo charakterologiczne postaci, sprawiające, że twórcy teatralni do dziś chętnie sięgają po jego jednoaktówki.

Przedstawienie wyreżyserował Rudolf Moliński, mając do pomocy scenografa Jacka Rybarkiewicza i autora muzyki Zbigniewa Siwka. W „Niedźwiedziu" zagrali: Halina Pasekowa jako Popowa, Kazimierz Siedlaczek jako Smirnow i Rudolf Moliński w roli służącego Łuki. Łuka pełnił zresztą w tym spektaklu również rolę powiernika, opiekuna i dobrego radcy swej chlebodawczyni. Jako opiekun nie sprawdził się zresztą, wobec zalotnika Popowej, a może i swego konkurenta, kto go tam wie, okazał się tchórzem, zdolnym wyłącznie do podawania kieliszka. Halina Pasekowa rolę swą oparła na huśtawce nastrojów, od wdowy w żałobie poprzez rozgniewaną damę do wyczekującej zalotnicy. Świetnie został przygotowany jej kostium (tak samo zresztą jak Stiepanownej w „Oświadczynach"), umożliwiający przy pomocy kilku ruchów zmianę na zupełnie inną suknię. Kazimierz Siedlaczek z drygiem zawodowego żołnierza zagrał „dżentelmena"-kobieciarza.W „Oświadczynach" - po odwróceniu dekoracji jesteśmy w innym pomieszczeniu - występują również trzy postacie. Ryszard Pochroń jako Łomow miał chwile bardzo dobre, w jego roli były jednak momenty powtórzeń tych samych zdań, tych samych sytuacji, które należałoby bardziej zróżnicować, spróbować pokazać, że jesteśmy już kawałek dalej, że akcja poszła do przodu. Podobnie trudną rolę miała Krystyna Pryszczyk jako Stiepanowna, ponieważ jednak dano jej większe pole do popisu niż tylko siedzenie na krześle, łatwiej i lepiej wywiązała się ze swego zadania. Zbigniew Żwak w roli ojca, niewtajemniczonego we wszystkie niuanse, był trochę między młotem i kowadłem. Aktorstwo w tym spektaklu nie odpowiada zaleceniom dyskrecji i prostoty gry scenicznej, zostało oparte o większe emocje, przerysowania i przesadę, co kłóci się z opisanymi na początku zasadami, nie umniejsza jednak wartości spektaklu.

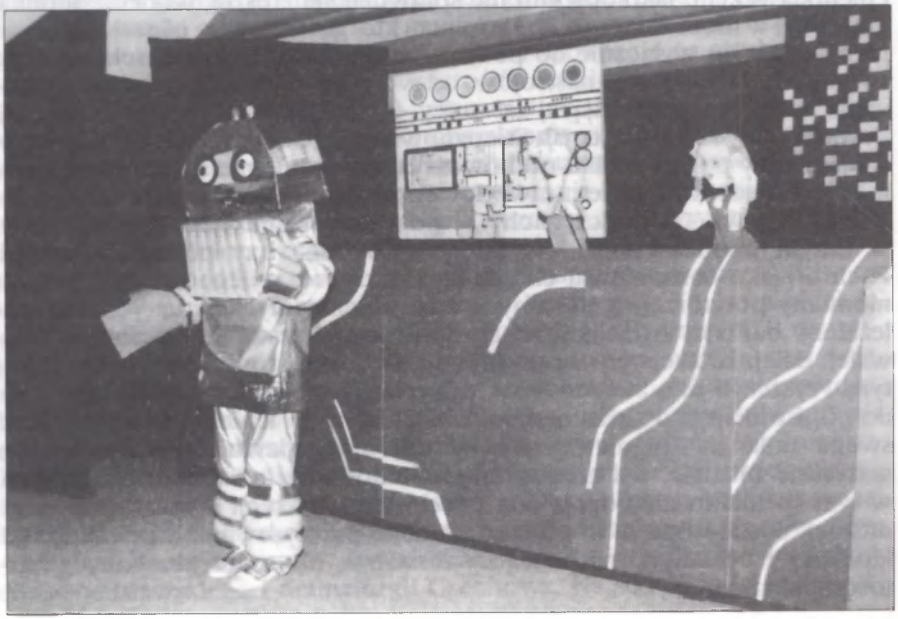
Reżyser reklamował swe przedstawienie jako „prawdziwy" portret kobiet, jako więc przedstawicielka płci niewieściej radzę przyjrzeć się mężczyznom, występującym w sztuce, czy warto by chociaż dla jednego z nich łamać sobie serce?

CZESŁAWA RUDNIK

"ROBOT ATOMEK" W "BAJCE"

Po wakacjach rozpocznie Teatr Lalek „Bajka" sezon jubileuszowy. Teatrzyk gra już prawie 50 lat, na jego repertuarze wychowywali się rodzice i nawet dziadkowie dzisiejszych widzów. Ostatnią premierą tego sezonu było przedstawienie „Robot Atomek" czeskiego autora Oldřicha Augusty w reżyserii, debiutującego w „Bajce", Rudolfa Molińskiego.

Sztuka o robocie skonstruowanym przez starego Profesora, w dzisiejszym skomputeryzowanym świecie, kiedy prawie każde kilkuletnie dziecko używa komputera do gier i zabaw, a niejeden dorosły człowiek nie potrafi już wyobrazić sobie życia bez pomocy komputera, trąci myszką (komputerową?). Robot Atomek posiada jednak coś, czego nie ma żaden komputer. Posiada serce. Serce, które widoczne jest na ekranie tułowia Atomka, kiedy miga czerwonymi żarówkami, ale – co najważniejsze – unaocznia się w jego czynach. To serce dyktuje mu, jak należy postąpić w danej sytuacji. Bo Atomek dopiero uczy się życia. Zbudowany ludziom do pomocy i towarzystwa, naoliwiony, rozpoczyna wędrówkę po świecie tak samo naiwny i niedoświadczony jak najmłodsi widzowie,



fot. FRANCISZEK BAŁON

którzy przybyli do teatru oglądać jego przygody. Uczy się języka, poprawnej wymowy – co nota bene idzie mu sprawniej niż niejednemu, przepraszam za wyrażenie, absolwentowi polskiej szkoły – i uczy się rozpoznawać, co dobre, a co złe.

Atomek opuszcza Profesora, na ulicy spotyka Agnieszkę i Wojtka, dzieci, które bawią się piłką. Dzieciom towarzyszy wierny przyjaciel Łaszek, bardzo sympatyczny, lubiący łasić się psiak. I tu padają wielkie słowa o koleżeństwie i przyjaźni. Przyjaźni, która jest wartością ponadczasową. To ona właśnie staje się tematem przewodnim przedstawienia i jedynym powodem, dla którego warto było odkurzyć tę zramolałą bajkę. Ale przyjaźń między dziećmi i Atomkiem nie wytrzymuje pierwszej próby. „W biedzie" Atomek zostaje sam, dzieci opuszczają go. Zjawia się zły Kaziświat. (Istnieje w słownikach języka polskiego słowo kazić z uwagą „przestarzałe", w bajkach czeskich często występuje „kazisvět", ale czy nie dało się wymyślić innego słowa. Może dlatego tłumacz został anonimowy?) Atomek, uwięziony przez Kaziświata, oczekuje wyroku. Grozi mu przeróbka na złom. Na szczęście przyjaciele budzą się z letargu i wszystko dobrze się kończy. W piosence finałowej – autorem muzyki do spektaklu jest Zbigniew Siwek, słowa piosenek napisała Renata Putzlacher – przyjaźń jest na ustach wszystkich.

W przedstawieniu biorą udział oprócz lalek również aktorzy. Robot Atomek potraktowany został podwójnie, jako lalka występuje w kulisach z Profesorem i dziećmi, natomiast żywy aktor gra go na proscenium, gdzie możliwy jest ściślejszy kontakt z widzem. Kontakt z najmłodszym widzem nawiązany zostaje zresztą znakomicie, wymaga jednak od wykonawcy szczególnego skupienia i umiejętności improwizacji, zależnie od reakcji widowni. Przeciwwagę dla Atomka stanowi Kaziświat, którego bliskość i rozmiary wywołują jednak u niektórych maluchów przestrach. Konflikty między postaciami bajki a bardziej niecierpliwymi widzami łagodzi Ciocia Pawełka, występująca częściowo w roli narratora, częściowo jako „wypełniacz" przerw między scenami, potrzebnych do zmian dekoracji. W przedstawieniu biorą udział: Krystyna Czech, Dorota Gociek, Krystyna Kubiczek, Pawełka Niedoba, Marek Szücs i Jan Szymanik.

Umowne dekoracje, autorstwa Haliny Szkopek, stanowią przede wszystkim prostokąty, pomalowane w różne znaki, określające miejsce akcji, nie zawsze czytelne dla widza. Ciekawie prezentuje się kostium Atomka, uszyty ze srebrnego materiału, wykorzystujący dobrodziejstwa elektroniki. Z lalek najbardziej podoba mi się pies Łaszek, sądziłam zresztą początkowo, że imię jego pochodzi od łachów, z których został uszyty.

„Robot Atomek" jest przedstawieniem dla najmłodszego widza. Jasno i zrozumiale tłumaczy mu sens i wartość przyjaźni. Czy jednak potrafi przemówić i do nieco starszego widza? Wypada mi poczekać na reakcje moich własnych nastoletnich dzieci.

CZESŁAWA RUDNIK

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

"PAMIĘTNIK USTROŃSKI"

Z niewielkim opóźnieniem ukazał się IX tom „Pamiętnika Ustrońskiego" (1996), wydawanego z dotacji Urzędu Miejskiego przez zespół redakcyjny Towarzystwa Miłośników Ustronia pod przewodnictwem Stanisława Niemczyka. Inicjatorem tego regionalnego rocznika, a potem jego głównym realizatorem, był Józef Pilch (1913-1995). Ten wybitny bibliofil, działacz społeczny i kulturalny był znakomitym znawcą dziejów rodzinnego miasta i całego regionu cieszyńskiego. Zyskał duży autorytet jako badacz przeszłości i jako skromny spolegliwy człowiek. Pozostawił po sobie rozliczne publikacje książkowe i prasowe, poświęcone przede wszystkim historii Ustronia, Robotniczemu Stowarzyszeniu Kulturalno-Oświatowemu „Siła", spółdzielczości oraz różnym silesianom, w tym wyróżniającym się mieszkańcom ziemi podbeskidzkiej. Tytułem do trwałej pamięci o Pilchu jest również omawiany „Pamiętnik Ustroński".

Biegnący czas zaciera ślady ludzkiej działalności i dlatego niezwykle ważne są wszelkie wysiłki, zmierzające do utrwalania umykającego życia, zachowania pamięci o ludziach i ich działaniach i to zarówno w małej skali zbiorowości lokalnej, jak zbiorowości regionalnej i pozaregionalnej. Znaczenie tych wysiłków, utrwalających pamięć, doceniał Józef Pilch i dlatego „Pamiętnikowi Ustrońskiemu" nadał kształt rocznika, kładącego nacisk na przypominanie zapomnianych faktów, m.in. przez gromadzenie rzadkich dokumentów i materiałów archiwalnych różnego rodzaju i rejestrującego też niekiedy bieżące przejawy życia.

Zachowując ten charakter redakcja tomu IX wymienionego rocznika zebrała i opublikowała część dokumentów, związanych z osobą samego Pilcha. W monograficznym tomie „Pamiętnika Ustrońskiego" można zatem znaleźć przemówienia Franciszka Korcza, Jana Kropa, Stanisława Niemczyka, wygłoszone nad grobem Pilcha w dniu pogrzebu, liczne nekrologi z prasy, wspomnienia takich współpracowników lub przyjaciół ustrońskiego szperacza, jak prof. dr hab. Jan Szczepański, red. Józef Kazik, prof. Józef Twardzik, dr Jadwiga Wronicz, Anna Borowiecka, teksty dedykowane Pilchowi, jego drzewo genealogiczne w opracowaniu Jana Sztefka i przede wszystkim dwa szkice: Anny Guznar (znawczyni ruchu bibliotekarskiego na Śląsku Cieszyńskim) pt. „Bibliofil z Gojów" oraz Mariana Żyromskiego (pracownik Filii UŚ w Cieszynie) pt. „Badacz i popularyzator historii i kultury Śląska Cieszyńskiego". Ten ostatni tekst zawiera skrupulatnie zebrane i rzetelnie uporządkowane materiały do bibliografii, niezwykle cenne dla wszystkich, którzy zechcą zająć się postacią Pilcha (takie zainteresowanie wykazują np. studenci cieszyńskiej uczelni) lub prowadzą badania śląskoznawcze.

Przytoczoną treść omawianego „Pamiętnika Ustrońskiego" podnosi ponadto bogata dokumentacja fotograficzna, uwzględniająca rzadkie zdjęcia

z albumu rodzinnego, w tym pokazujące Pilcha wraz z przyjaciółmi: Ludwikiem Brożkiem, Alojzym Targiem, Janem Wiktorem, Marią Wardasówną i z rodziną Wineckich z Australii.

„Pamiętnik Ustroński", zredagowany przez nowy zespół, nosi znamiona dobrej roboty edytorskiej, scala rozproszoną wiedzę o jednym z zasłużonych ludzi Śląska Cieszyńskiego i uzupełnia broszurę: „Józef Pilch wśród książek" (1993), wydaną z okazji 80-lecia jego urodzin.

Ułatwienia wydawnicze sprawiają, że na rynku księgarskim pojawiają się dość często książki grafomańskie lub opracowania dalekie od poznawczej i edytorskiej rzetelności. Do tych publikacji nie należy „Pamiętnik Ustroński", który co prawda nie ma ambicji rocznika naukowego, ale przynosi materiały i dokumenty o znacznej wartości, m.in. dla historyków i regionalistów.

(ER)

„Pamiętnik Ustroński" 1996, rocznik 9, nakładem Towarzystwa Miłośników Ustronia. Zespół redakcyjny: Stanisław Niemczyk, Karol Kubala, Elżbieta Sikora.

KRONIKA

LUDVÍK VACULÍK W KARWINIE

18 marca br. urządził Ośrodek Sztuki Biblioteki Regionalnej w Karwinie spotkanie z Ludvíkiem Vaculíkiem. Vaculík zwrócił na siebie uwagę w latach 60. swą krytyczną publicystyką. Opublikowany w 1968 roku manifest „Dva tisíce slov", w którym dokonywał analizy władzy totalitarnej, spowodował, że Vaculík zaczął być prześladowany, nie mógł drukować w kraju. W latach 70. założył i kierował wydawnictwem „PETLICE", w którym ukazało się wiele utworów autorów zakazanych. Vaculík był również sygnatariuszem „Karty 77". Obecnie w każdy wtorek w „Lidových novinách" ukazuje się jego felieton w rubryce „Poslední slovo". Vaculík jest również autorem powieści.

Spotkanie w bibliotece przybrało formę biesiady. W pierwszej części gość śpiewał piosenki z okolic południowo-wschodnich Moraw (skąd pochodzi), czytał swoje felietony, wspominał. Po przerwie również publiczność mogła zabrać głos. Pojawiły się także pytania dotyczące Polski i Polaków. Vaculík nie zna języka polskiego, do Polski do tej pory jeździł mało. Do Polski ma stosunek neutralny, bo jak stwierdził, nie miał problemów z Polakami. Odpowiedzi dotyczące zagadnień polskich zakończył ...zaintonowaniem piosenki „Zasiali górale", zapraszając zebranych do wspólnego śpiewania. Mimo że w kuluarach słychać było język czeski, ludzie zjednoczyli się w tym śpiewaniu. Vaculík zaintonował następnie „Płyniesz Olzo". Wspólne śpiewanie morawskich piosenek zakończyło spotkanie.

E.B.

NOWE WŁADZE HPC

12 kwietnia Dom MK PZKO w Olbrachcicach gościł delegatów III Zjazdu Harcerstwa Polskiego w Republice Czeskiej. W obradach wzięło udział 48 harcerzy, reprezentujących 5 szczepów, 5 drużyn samodzielnych, Młodzieżowy Krąg Instruktorski z Karwiny-Nowego Miasta, Koło Przyjaciół HPC w Stonawie i Krąg Seniora HPC „Zaolzie".

Delegaci wybrali 11-osobową Radę Naczelną w składzie: phm Bohdan Prymus – przewodniczący RN HPC, phm Kazimierz Worek – naczelnik HPC, Marian Piszczek – zastępca naczelnika oraz członkowie Rady – Wiera Piekarska, Andrea Wałach, Marcin Warchoł, Tomasz Pala, Tomasz Paseka, Józef Szymeczek, Grzegorz Młynarczyk i Jan Harazin.

E.S.

WYBORY W KLUBIE NAUCZYCIELI EMERYTÓW

Na walnym zebraniu w drugiej połowie marca członkowie KNE wybrali zarząd na nową kadencję. Funkcję prezesa już po raz drugi pełnić będzie Wanda Szarowska, jej zastępczynią została Jadwiga Sperling, sekretarzem Irena Machej, skarbnikiem Hilda Śliż, a kronikarzem Lidia Przeczek. Pozostali członkowie zarządu to: Marta Peszat, Olga Herman, Wanda Zahradnik, Krystyna Cienciała, Henryka Wałoszek, Stanisława Ryłko, Olga Orszulik, Irena Małysz. Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej jest Gustaw Malek.

E.S.

PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE DEBIUTU WŁADYSŁAWA MŁYNKA

W tym roku obchodzi 50-lecie swego debiutu poetyckiego nauczyciel, pisarz, działacz społeczny i folklorysta Władysław Młynek. W roku 1947 jako 17-letni uczeń polskiego gimnazjum w Czeskim Cieszynie zamieścił na łamach pisemka „Praca Szkolna" swój wiersz „Czas do szkoły, czas". Inspiracją do jego wczesnej twórczości było piękno krajobrazu kraju rodzinnego, okolice Gródka z widoczną w oddali Kozubową. Tej ziemi i tej poezji został wierny.

Uczczeniem jubileuszu Władysława Młynka było spotkanie w jabłonkowskiej „Kawiarence Pod Pegazem" w dniu 11 kwietnia br. Spotkanie prowadzili Wilhelm Przeczek i Jan Pyszko. Wiersze poety recytował Karol Suszka. Twórczość dramatyczną Władysława Młynka zaprezentowali członkowie MK PZKO Milików–Centrum, wystawiając sztukę „U nas dóma". Obecny na spotkaniu był również Władysław Niedoba. Gratulacje na ręce jubilata złożyli m.in. prezes ZG

PZKO Jerzy Czap, prezes MK PZKO Jabłonków Jan Ryłko, zespół „Gorol" z dyrygentem Bogusławem Stonawskim, Jan Krop z Wisły, autor wstępu do książki Władysława Młynka „Śpiywy zza Olzy".

C.R.

SEMINARIUM O MNIEJSZOŚCIACH NARODOWYCH

17 kwietnia odbyło się w sali obrad Izby Poselskiej w Pradze seminarium pod nazwą „Instrumenty prawne ochrony mniejszości narodowych i położenie mniejszości narodowych w Republice Czeskiej". Jego organizatorem była Komisja Petycyjna oraz Podkomisja ds. Narodowości Izby Poselskiej Parlamentu RC wspólnie z Dokumentacyjnym i Informacyjnym Centrum Rady Europy w Pradze. W seminarium udział wzięli, oprócz zainteresowanych omawianą tematyką posłów i senatorów przedstawiciele mniejszości narodowych żyjących w RC, reprezentanci państwowych urzędów, uczelni i placówek naukowych oraz pozarządowych instytucji i organizacji czy ruchów politycznych, takich jak Fundacja Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, Komitet Helsiński i Ruch Polityczny Coexistentia-Wspólnota. Mniejszość polską reprezentowały członkinie Rady Polaków w RC Franciszka Chocholáč i Danuta Branna oraz przedstawiciele Wspólnoty: Stanisław Gawlik, Edwin Macura i Tadeusz Toman.

Obrady prowadził Jiří Novák, przewodniczący Komisji Petycyjnej Parlamentu RC. Referaty wygłosili: Rudolf Žáček, dyrektor Instytutu w Opawie (Mniejszości narodowe na ziemiach czeskich w retrospektywie historycznej); Jiří Malenovský ambasador Republiki Czeskiej przy Radzie Europy (Problematyka mniejszości narodowych według prawa międzynarodowego); Frank Steketee - reprezentant Wydziału Mniejszości Narodowych przy Radzie Europy w Strasburgu (Instrumenty prawne Rady Europy dotyczące mniejszości narodowych); Martin Bouček z MSZ RC (Mechanizmy implementacyjne do Umowy Ramowej o Ochronie Mniejszości Narodowych); Andrej Sulitka, dyrektor Sekretariatu Rady ds. Narodowości Rządu RC (Położenie mniejszości narodowych w RC); Wawrzyniec Fójcik, przewodniczący Podkomisji ds. Mniejszości Narodowych (Stanowisko mniejszości narodowych wobec aktualnych instrumentów prawnych ochrony mniejszości narodowych w RC).

Poseł Wawrzyniec Fójcik w swym wystąpieniu podkreślił potrzebę, postulowaną przez wszystkie mniejszości, wydania przepisów wykonawczych do Karty Praw i Swobód Obywatelskich lub wydania samodzielnej ustawy o mniejszościach narodowych. Stanowisko Rady Europy dotyczące ochrony mniejszości narodowych przedstawił Frank Steketee, przypominając jej najważniejsze dokumenty prawne. Umowa Ramowa o Ochronie Mniejszości Narodowych jest podpisana przez 34 państwa, ale ratyfikowana przez 9 (żeby umowa weszła w życie, potrzebnych jest 12 ratyfikacji). Umowę Ramową o Ochronie Języków Regionalnych

i Mniejszościowych podpisało 16 państw, ratyfikowały 4 (potrzeba 5). Republika Czeska podpisała umowę o ochronie mniejszości, ale jej nie ratyfikowała.

T.T.

WYSTAWA JÓZEFA DRONGA

W kwietniu br. zaprezentowana została w sali wystaw im. Josefa Mánesa w Domu Kultury w Karwinie-Nowym Mieście wystawa rysunków Józefa Dronga, długoletniego członka SLA, ilustratora wydawnictw zaolziańskich. Rysować zaczął w pierwszej połowie lat 60-tych, był uczestnikiem plenerów malarskich, wystawiał również indywidualnie. Uprawiał malarstwo olejne, pastel, budował kompozycje przestrzenne, ale mistrzostwo osiągnął w rysunku piórkiem. Tematy do swych prac wyszukiwał, obserwując otaczający go świat. Nie ma tematu, którego nie próbowałby podjąć. Wystawa karwińska prezentowała prace artysty z lat 1982–1987. Oprócz rysunków obejrzeć można było obrazy olejne, kilka portretów oraz kompozycje przestrzenne.

C.R.

MISS – MISTER SHOW 1997



fot. FRANCISZEK BAŁON

Konkurs na najsympatycznejszego ucznia i najsympatyczniejszą uczennicę polskich szkół podstawowych odbył się w tym roku już po raz ósmy. Od początku inicjatorem imprezy była PSP z Trzyńca-Tarasu.

W piątek 18 kwietnia ciekawa zabawa dla nastolatków odbyła się dzięki licznym sponsorom, po raz pierwszy w Domu Kultury w Trzyńcu-Łyżbicach.

Prowadzone przez dyrektora wspomnianej szkoły, Romana Wróbla, naprawdę wspaniałe SHOW, oprócz popisów kandydatów do tytułu Miss i Mister, wzbogacone było o występy mistrzów kulturystyki i karate, aerobiku, magii... Reakcja młodej widowni była niezwykle żywiołowa.

W konkursie wzięło udział 12 szkół podstawowych (wszystkie oprócz Lutyni). Tytuł najsympatyczniejszej uzyskała Dominika Glac z PSP Czeski Cieszyn, „Misterem" został Janusz Sikora z PSP w Wędryni. (2. miejsce - Andrea Ostružiar - PSP Mosty k. Jabłonkowa i Piotr Stabrawa - 2. PSP Trzyniec, 3. miejsce - Jola Kadłubiec - 2. PSP Trzyniec i Leszek Sikora - 1. PSP Trzyniec).

F.B.

POŻEGNALNY KONCERT ORŁOWSKIEGO "HASŁA"

W sobotę 19 kwietnia br. odbył się w sali Podstawowej Szkoły Artystycznej w Orłowej-Porębie jubileuszowy koncert z okazji 70-lecia chóru męskiego „Hasło" z Orłowej z dyrygentem Władysławem Ruskiem. Chór wystąpił w czternastoosobowym składzie. Był to zarazem wieczór pożegnalny, który stanowił zamknięcie pewnego etapu pracy zespołu. Przewaga chórzystów w starszym wieku oraz brak nowych młodych głosów przesądziły o zawieszeniu działalności „Hasła".

Na koncert przybyli goście oficjalni, m.in. wiceprezes Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie Kazimierz Fober, delegacja orłowskiego Urzędu Miejskiego ze starostą Bohumírem Bobákiem, członek Rady Polaków Marian Jędrzejczyk, przedstawiciele ZG PZKO i okolicznych Kół PZKO, delegacje Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego i zaprzyjaźnionych chórów.

W koncercie jubileuszowym wystąpił również kwartet chóru „Hasło" oraz soliści Jarosław Kornas i Tadeusz Błanik. Na fortepianie akompaniowała Marta Bury, konferansjerkę prowadziła Halina Kowalczyk. Program uświetniły występy chóru mieszanego „Lutnia" z Lutyni Dolnej z dyrygentem Alojzym Babińskim, chóru młodzieżowego „Collegium Iuvenum" z dyrygentem Leszkiem Kaliną oraz „Chóru Nauczycieli Polskich" z dyrygentem Alojzym Suchankiem, chóru, który od lat ściśle współpracuje z orłowskim „Hasłem". Obydwa chóry, „Hasło" i „Chór Nauczycieli Polskich", zakończyły też koncert wspólnym śpiewem.

C.R.

AMATORZY NA SCENIE

Pod koniec marca br. ukazała się na łamach „Głosu Ludu" rozmowa z Konstantym Krzystkiem, człowiekiem, którego nazwisko kojarzy się nie tylko z okresem świetności skrzeczońskiej sceny amatorskiej, ale z całym PZKO-wskim ruchem teatralnym. Z wyrazem troski i obawy wypowiada się on na temat przyszłości zespołów artystycznych na Zaolziu. Póki co są jeszcze wśród nas ludzie, którym chce się bawić w teatr. W długie zimowe wieczory powstały w kilku podbeskidzkich Kołach PZKO przedstawienia amatorskich zespołów teatralnych. Zapowiedzią śmigusa było świąteczne popołudnie w łomniańskich Kołach. Dolnołomniańska młodzież przedstawiła sztukę Władysława Młynka „U nas dóma" w reżyserii S. Szotkowskiego. MK PZKO Łomna Górna pokazało dwie jednoaktówki Adama Wawrosza „Zolyty" i „Co po nogle". „ Świąteczne spotkanie z Adamem Wawroszem" urządzono też w Łyżbicach-Wsi. Reżyser programu Kazimierz Siedlaczek, ks. Bogusław Kokotek oraz młodzi wykonawcy w montażu słowno-muzycznym zaznajomili zebranych z twórczością Adama Wawrosza. Drugą część spotkania wypełniły dwie scenki rodzajowe „Droga do Karpętnej" i „Malowane wajca". Sztuka Władysława Młynka „U nas dóma" zainspirowała nie tylko dolnołomniańskich pezetkaowców. Hynek Czeczotka był reżyserem przedstawienia w Kole Milików-Centrum, zespół gościnnie wystąpił również na spotkaniu z autorem sztuki w Jabłonkowie. Tę samą sztukę pokazało też Koło w Bystrzycy. Wawrosz i Młynek to autorzy rodzimi. Po klasykę polską sięgnął Jerzy Cienciała. Publiczność zgromadzona w wędryńskiej „Czytelni" oklaskiwała zespół teatralny miejscowego Koła w przedstawieniu komedii Aleksandra Fredry „Gwałtu, co się dzieje", dedykowanym 50. rocznicy powstania PZKO.

C.R.

WYMIANA DOŚWIADCZEŃ

W bieżącym roku szkolnym za pośrednictwem od 1973 roku współpracujących Towarzystwa Miłośników Grodkowa ze skrzeczońskim Miejscowym Kołem PZKO już dwukrotnie doszło do wymiany doświadczeń dolnolutyńskiej szkoły podstawowej z grodkowskimi szkołami.

W grudniu ubiegłego roku 9-osobowa delegacja grodkowskich szkół gościła w Lutyni Dolnej. Grodkowianie zwiedzili poszczególne klasy i pracownie szkoły oraz przez dyrektorkę szkoły mgr Alicję Berki zostali zaznajomieni z sytuacją szkolnictwa polskiego na naszym terenie. W drugiej części pobytu przebywali w ośrodku wczasowym ostrawskiego Domu Polskiego na Ostrawicy, gdzie odbyło się spotkanie towarzyskie. Ponadto w styczniu delegacja grod-

kowskiej szkoły nr 1 z dyrektorką Elżbietą Pałka gościła na balu Macierzy Szkolnej w Lutyni Dolnej, a do tańca przygrywał zespół muzyczny z Grodkowa.

W rewanżu 11-osobowa delegacja dolnolutyńskich nauczycieli oraz przedstawicieli skrzeczońskiego Koła PZKO gościła w dniach 11–12 kwietnia br. w Grodkowie. Delegacja została przyjęta przez wiceburmistrza miasta Grodkowa inż. Józefa Koślę, po czym zwiedziła miejscowe szkoły podstawowe nr 1 i nr 2. Do każdej z nich uczęszcza ponad 300 uczniów. Podczas wspólnego spotkania doszło do konkretyzacji współpracy na najbliższą przyszłość. Z ramienia skrzeczońskiego Koła PZKO i dolnolutyńskiej szkoły zostały zaproszone delegacje Towarzystwa i nauczycieli do wzięcia udziału w karwińskim Festiwalu PZKO. Następnie omówiono wymianę uczniów podczas wakacji, a także pedagogów z okazji Dnia Nauczyciela. Odbyło się także spotkanie towarzyskie w Domu Kultury, podczas którego do tańca przygrywał zespół muzyczny pod kierownictwem artystycznym dyrektora tej placówki Stanisława Wieczorka.

(T.G.)

POWITANIE WIOSNY

W sobotę 12 kwietnia w skrzeczońskim Domu PZKO odbyła się już tradycyjna impreza pn. „Powitanie wiosny" dedykowana członkiniom Miejscowego Koła PZKO.

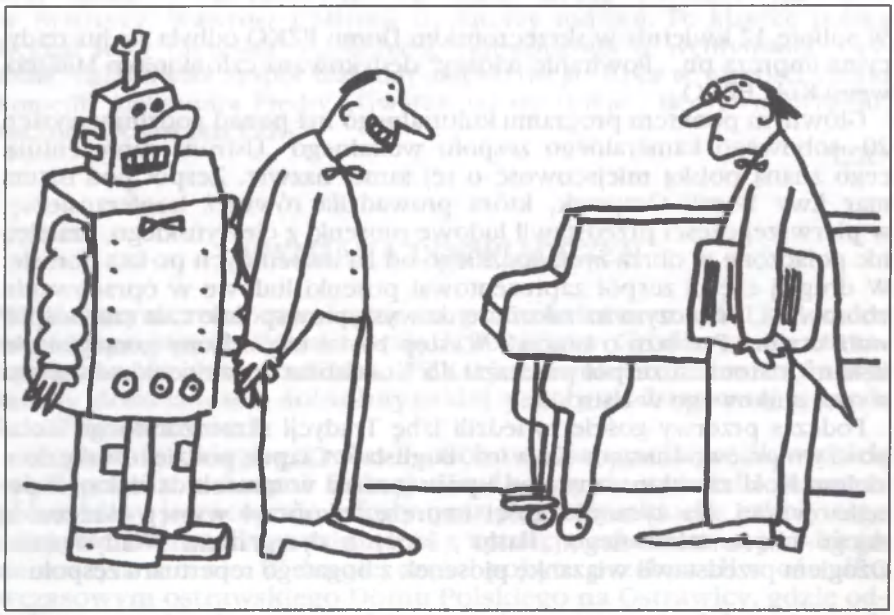
Głównym punktem programu kulturalnego był ponad godzinny występ 20-osobowego kameralnego zespołu wokalnego „Ustroń" reprezentującego znaną polską miejscowość o tej samej nazwie. Zespół pod batutą mgr Ewy Bocek-Orzyszek, która prowadziła również konferansjerkę, w pierwszej części przedstawił ludowe piosenki z cieszyńskiego, umiejętnie połączone w obraz życia ludzkiego od lat dziecinnych po lata dorosłe. W drugiej części zespół zaprezentował posenki ludowe w opracowaniu chórowym, przy czym na zakończenie występu wspólnie cała sala odśpiewała utwór „Przyjaźń o bracia". Występ został nagrodzony gorącymi oklaskami, natomiast zespół przekazał dla Koła obraz ze szkicem uzdrowiska wypoczynkowego w Ustroniu.

Podczas przerwy goście zwiedzili Izbę Tradycji skrzeczońskiego Koła, po czym przewodniczący Koła inż. Bogusław Czapek podziękował członkiniom Koła za całoroczny trud i poświęcenie w ramach działalności pezetkaowskiej. Na życzenie gości imprezę zakończył występ skrzeczońskiego chóru mieszanego „Hasło", który z dyrygentem Władysławem Ożogiem przedstawił wiązankę piosenek z bogatego repertuaru zespołu.

(D.G.)



A TERAZ ZARECYTUJĘ WIERSZ Z MOJEGO OSTATNIEGO TOMIKU



ZGODZIŁ SIĘ POMÓC TENOROM! *rys. Bronisław Liberda*

POWIARKI ŚLĄSKIE

Ziemię śląską zamieszkują nie tylko ludzie.

Jej uroda jest tak ponętną, ma tyle radosnego czasu w sobie, że nie dziwota, iż osiedliły się na niej przeróżne stwory cudaczne, zaludniły rzeki i stawy, zadomowiły się po ciemnych wądolcach lesistych i na moczarach, pomiędzy szumiącemi zbożami w upalnym słoneczku wylegują się niefrasobliwie, pod ziemię nawet poszły szukać zakątka cichego, czasem tylko na ten świat Boży wychylając spojrzenie.

Wszędzie ich pełno.

Zżyły się z ludźmi i wielkiej krzywdy nie rade czynią człowiekowi. Częstokroć za pan brat z nim bywają, pozwalają się widzieć w pewnych chwilach czy miejscach, a jeżeli zdarzy się, że jakąś paskudę komuś wywiodą, to ludzie zbytnio się nie gniewają. Nawet sam pokrzywdzony, kiedy przerażenie z niego opadnie, zaśmiewa się nieraz do łez i raduje się poniewoli, boć będzie mógł znowu innym opowiadać w czas długich wieczorów zimowych, na szkubaczkach, lebo w gospodzie przy kuflu piwa. A słuchający ludziska dziwować się będą wielce i w głos cudować i cmokać z zachwytu, i głowami kiwać z niedowierzenia, a co raz, to któryś dorzuci:

– Nale, wiecie, ludeczkowie złoci!... To bych nie był ani powiedzioł!...

– Nale, kumedyja, wiecie!...

Utopców każdy zna. A wielu jest takich, co nawet z nimi rozmawiało. Siedzi so-bie taki mały chłopieczek w wodzie i nic. W Olzie ich najwięcej przebywa. Tam, gdzie przecieka czystą wodziczką po kamienistym dnie, nie znajdzie ich człowiek. I próżno by ich tam szukać. Nie lubią płytkiej i przejrzystej wody. Słoneczko tylko się w niej kąpie, a na dnie rozsypuje złociste migotliwe pętelki wyłuskanego światła. Przekładają one plosa, które trudno nieraz najdłuższą żerdzią zgruntować, a woda w nich ciemnofioletowa, przelewająca się od dołu obłemi kręgami, cicha, zamyślona jakaś. Widać, mroczne głębiny jeno lubią. Siedzą w takich plosach całe gromady utopców, jedne stare, inne młode, a najczęściej się zdarza, że tylko jeden stary utopiec je zamieszkuje.

W dzień pogodny, kiedy słoneczko praży, czeka w głębinie na głos dzwonów, skoro na Anioł Pański zadzwonią. Wtedy woda zakotłuje, banieczki wybiegną z bulgotem na powierzchnię i za chwilę hyc! na brzeg. Z wody wyskakuje mały człowieczek w czerwonej czapce, otrzęsie się z wody i ujmuje wiklinowe pręty do małych żabich łapek. Pogmera temi prętami w głębinie, poszturka i wywleka na brzeg swoje pierzyny. Rozłoży je na trawie, na słonecznym miejscu, a kiedy słonko pije z nich wodę, utopiec albo się wyleguje w trawie, albo skacze po brzegu, jak wiewiórka. A gdy na cieszyńskim zegarze wybiją dzwony pierwszą godzinę utopiec porywa pierzynę na plecy i buch! do wody. Już go nie ma. Tyle jeno, co długo jeszcze woda wzburzona

kotłuje i tłucze grzywiastemi głowami o brzeg, nagryza go, odłupuje kęsy gliny i połyka.

W takich miejscach nie dobrze się kąpać. Utopiec łacno może się pogniewać, za nogę śmiałka w głębinie przytrzymać, zaplątać mu głowę i ręce między jakieś korzenie i wodą udławić. Święcona woda niewiele pomaga. Ukryje się do raczej dziury pod brzegiem i śmieje się z ludzkiej bezsilności. A co prychnie śmiechem, to na powierzchnię ciemnej wody wysypuje się z głębiny sznur srebrzystych banieczek, co się z pustym szelestem rozpryskują.

Największa jego radość, gdy z gór przyjdzie wielka woda. Rzeka pęcznieje, przelewa się, szumi, bełkoce, ludzki dobytek kradnie, wielka, rozpętana. straszna, a utopce wtedy zwołują się i weseliska odprawiają huczne. Łapią się nawzajem, koziołki wywracają w żółtej topieli, z najwyższych drzew skaczą w głębiny, a czasem posiadają rzędem na płynącem przęśle mostowem, czy na drzewie, co woda z korzeniami ukradła, kwiczą z uciechy, walą piętami o rozbełtaną powierzchnię wody, strącają się, znowu się wydrapują, przeróżne dziwy wyprawiają, tak długo - aż człowiek dojrzy. Wtedy wszystkie skaczą w głębinę i pod brzegi się kryją.

Czasem ich pasterze, nad rzeką pasący, kamieniami poczęstują, czasem pijany chłop biczyskiem skórę wyłoi. Wtedy bardzo się gniewają. Krów nie chcą przepuścić przez płytką wodę, a gdy chłop przez rzekę przejeżdża, za koła łapią, puścić nie chcą, wóz w głębinę przewrócą, konie potarmoszą, a nieraz i samego chłopa-nieszczęśnika utopią.

Fajermóny znowu po polach i łąkach biegają. Są to wielkie chłopy, czasem bez głowy, z których ogromny ogień bucha. Najczęściej tam ich można spotkać, gdzie zły pan chłopom do roli się worywał. Teraz po śmierci musi w ten sposób pokutować. Przebiega swoje państwo od krańca do krańca, wlecze za sobą długi ognisty łańcuch, wymierza na wszystkie strony, a płomienie buchają naokoło niego. W nocy zawsze to czyni. Wtedy ludzie wychodzą z chałup i patrzą na nieszczęśnika, jak musi się trapić i za swoje grzechy pokutować, za tę chłopską krzywdę. Pomocy dla niego nie ma. Tak długo musi się wałęsać, aż naznaczoną pokutę wykona. Jeżeli mu krzyż na drodze postawić, na miedzy, którą zwykł przebiegać, ominie go wielkim łukiem i dalej swoje.

Nocznice czyli **klękanice** wałęsają się po barzynach lub nad rzekami. Ukazują się zaraz z wieczora, gdy dzwony kościelne na klękanie oddzwonią i w kształcie drobnego promyczka zwodzą pijaków na bezdroża. Biegną przed nimi, skaczą, prowadzą i ciągle wabią: Pód! pód... Pód! pód!... Człowiek wtedy zupełnie zapomina, co się z nim dzieje, traci głowę do imentu, i chodzi za niemi po błotach i krzakach aż do świtu. A kiedy nareszcie się ocknie, zobaczy, że polazł w bagna i teraz stoi cały utytłany, zbłocony, podrapany po twarzy i rękach od ciernistych krzaków, słaby i politowania godny.

Zdarzy się czasem, że i trzeźwego człowieka przedejdą. Wtedy trzeba się tylko przeżegnać. Najskuteczniejszy to środek na nocznice. Jeżeli tego się nie uczyni, wróci do domu dopiero nad ranem, zmordowany, zbłocony, z obłąkaniem w oczach.

Mory czyli **sotony** nachodzą ludzi w nocy, kiedy w głębokim śnie są pogrążeni i krew z nich wycyckują. Są to najzłośliwsze stwory. Jak wyglądają - trudno powiedzieć, bo poprawdzie nikt ich jeszcze nie widział. Powiadają

starzy ludzie o jednym mądrym wandrownym, co to do krawca przyszedł wieczorem i o nocleg prosił. A dziwował się wielce, dlaczego krawiec taki chudy i suchy. Dowiedział się, że to mora temu winna. Wandrowny postanowił krawca-biedaczynę oswobodzić. W nocy nie poszedł spać, tylko czatował na potworę. Północ prawie wybiła na kościelnym zegarze, gdy wtem ujrzał, że przez kluczową dziurkę przesuwa się dziebełko słomy do izby. Wandrowny zaraz zmiarkował, że to ta myrcha. Porwał nożyce i przeciął dziebełko w połowie. Nazajutrz dowiedziano się, że wójtowa córka, zdrowa i czerwona, tej nocy umarła. Ona miała być morą, którą wandrowny unieszkodliwił. Tak mówią starzy ludzie.

Strzygonie to są albo zmarłe dzieci niechrzczone, albo też ludzie takiemi niesamowitemi mocami obdarzeni, posiadający na plecach znak nożyc, a którzy potrafią bliźniemu ubranie na strzępy postrzyc samem tylko patrzeniem. W Wielkich Górkach był kiedyś taki strzygoń. A był tak bardzo zajadły na ludzkie ubrania, zwłaszcza u dziewczyn, że jeszcze po śmierci wyłaził z grobu, ściągał z siebie koszulę i czatował na dziewczyny, wracające z zabawy tanecznej. Ludziska przemyśliwali, jakby się go pozbyć. I znów przyszedł pewien mądry wandrowny i poradził górczanom, żeby na wieży czatowali, skoro ów strzygoń wylezie z grobu. Potem powinni pozostawioną koszulę zabrać i na wieży powiesić. Górzanie tak uczynili. A kiedy nad ranem strzygoń wrócił, nie zastał koszuli. Tak długo jej szukał, aż ją zobaczył na wieży. I jął się drapać po murze. Już był pod wierzchem, ale wtem kogut zapiał i strzygoń spadł z wieży, no i znikł. Odtąd już nie czynił paskudy ludziom, a na wieży góreckiego kościoła po dziś dzień widać rysy w murze, jakie uczynił, czepiając się pazurami gładkiej ściany.

Połednica usypia żniwiarzy w samo południe lub też nachodzi pachołków, pasących konie po nocy. Przychodzi niewidoczna i zaczyna czarować: „Spisz!... Spisz!... Spisz!...“ Wtedy ludzie w okamigu zasypiają, a połednica depce po nich i różne insze szpetne rzeczy czyni. A gdy się pobudzą, to są całkowicie zmoczeni. A w miejscu tem pozostanie wypalona trawa.

Duszyczki wychodzą na świat Boży, gdy ludzie w domach posnęli. Chodzą po izbach, zaglądają do garnków, stukot czynią w mrokach, a kiedy się człowiek zbudzi, przycupną pod ławą i cichną. Potem znowu to samo. Krzywdy niejakiej nie wyrządzają. A że to biedne maleństwa, i litości godne, boć człowiek nie wie, dlaczego tak po nocach się tułają, więc też gospodyni zawsze zamiecie podłogę przed udaniem się na spoczynek, żeby też która z duszyczek palca na ździebełku słomy nie zbiła lub głowy nie przypadła.

Straszydła najczęściej czynią wielki larum po strychach, gdy jest noc ciemna i wietrzna, lub też pod mosty się kryją i zmiłowania ludzkiego skamlą. Lękać się ich nie trzeba. Najłatwiej się ich pozbyć wodą święconą, a te jęczące pod mostami czy cmentarzu zapytać się trzykrotnie: „Czego chcesz, duszo nieszczęśliwo?“... Wtedy człowiek się dowie, co im dolega, i łacno może im przyjść z pomocą.

Czasami **śmierć** przychodzi i zegar w izbie zatrzyma lub na okno trzy razy zapuka. Wtedy ludzie truchleją, bo to znak, że ktoś z rodziny niezadługo umrze.

Bieda najczęściej siedzi w polanach drzewa lub w garnkach. Kiedy takie polano pali się w piecu, bieda piszczy żałośnie. A znów, kiedy do takiego

garnka nalać wody i na nalepę postawić, to również piszczy i skwierczy przeciągle. Na jesień, kiedy niebo zaciągnie się buremi chmurzyskami, a deszcz siąpi bez przerwy, a wicher zimny ugania się polami, błąka się po świecie **Meluzyna**. Jest to morska panna, co z niej pół kobiety i pół ryby. Zachodzi do ludzi i płacze rzewnie w kominach, bo swych dzieci szuka, których nijak znaleźć nie może.

Jaroszki strzegą zazdrośnie po lasach i górskich uroczyskach tych skarbów, które Ondraszek w ziemi był zakopał. Siedzi taki diablik nad kotliną i warzechą miesza zbójnikowe pieniądze i suszy je i przekłada, a niebieskie płomyki tańczą nad czerwonemi dukatami i ludzi mamią. Jeżeliby się który człowiek ułakomił na owe skarby, a tamtego Jaroszka wodą święconą odpędził, a potem pieniędzy nabrał, to zanim je dodom przyniesie, w suche liście się obrócą.

Lecz kiedy ksiądz w Palmową niedzielę czyta na ołtarzu Pasję, wtedy Jaroszek opuszcza powierzone skarby i biegnie do kościoła, wydrapuje się na okno lub na przykościelne drzewo i słucha męki Pana Jezusa. Wówczas człowiek mógłby tych pieniędzy nabrać, lecz cóż? Myrcha Jaroszek tak zręcznie owo miejsce odmieni, że za nic w świecie nie można go odnaleźć.

Podciepy znachodzą się u tych ludzi, którzy nie ustrzegli swego dziecka jesz-cze nieochrzczonego, a diabeł wpadł do izby, dziecko porwał, a na jego miejsce podrzucił swojego bękarta, podciepa. Wtedy krzyż z takim nabytkiem. Brzydkie to, jak poczwara, wrzeszczy bez ustanku, robi pod siebie i zjada, a żadnej ludzkiej mowy nauczyć się nie może. Słynnym był dziećmiorowski podciep. Dziećmiorowiczanie wymawiali się, że u nich nie ma żadnego podciepa, ale kiedyś musiał być, skoro ludzie mówili, a nawet weszło to w ludzką przymówkę. Mawiano wtedy o kimś niepodarzonym, a wrzaskliwym, że „wrzeszczy, jak podciep dziećmiorowski".

We wnętrzu każdej większej kępy czy wzgórza przebywa **śpiące wojsko**. Najczęściej bywa to wojsko szwedzkie, które tu ongiś po naszej ziemi łaziło i na cholerę pomarło. A najwięcej śpi go w pieczarach pod Czantorią. Co ono za jakie, trudno powiedzieć. Ale szwedzkie bodej, boć jeden pasterz, który się tam zabłąkał ze zgubionym prosięciem, widział je śpiące pod ścianą w srebrnych zbrojach z ogromnemi skrzydliskami u ramion. Mówią, że to rycerze polscy, co z Sobieskim przez Śląsk na odsiecz Wiednia jechali.

Gdzieniegdzie rosną na Śląsku **lipy**, które na sposób ściąć. Bo jeżeli ktoś w nią siekierą uderzy, krew się pokaże i tak długo krwawi, dopóki słonko nie zejdzie. Jakaś cudaczna lipa to bywa. Ludzie dawają im spokój. Niech sobie rosną, kiedy chcą. Bo ścinać nie lza ich za nic w świecie. Jeszcze by jakie nieszczęście na ludzi spadło!

Górnik śląski znowu pośmiewa się z tamtych wszystkich powiarek. To nieprawda! - powiada. Lecz za to wierzy w swojego **Pusteckiego (Skarbnika).** Zacny to duch. Nie ukrzywdzi nikogo, lecz przeciwnie, chętnie w pracy pomoże, przed śmiercią ustrzeże. Starzy górnicy nieraz z nim rozmawiali. Chodzi se po kopalni w ubraniu dozorcy, z kilofem, z lampką o czerwonem świetle, przejdzie przez przodek, to zapuka, czasem w oczy zaświeci i znika.

Takie są śląskie powiarki.

GUSTAW MORCINEK

JANOSIK – MIT A RZECZYWISTOŚĆ

czyli prawda o legendarnym zbójniku z Terchowej?

Do powstania mitu konieczne są nadzwyczajne okoliczności i wielkie charaktery. Mity rodzą się w sytuacjach dramatycznych, na przykład wtedy, gdy narody znajdują się w stanie zagrożenia lub gdy godność poddana jest ciężkiej próbie. Mity, podania stanowią odpowiedź na braki w sferze moralnej, powstają z powodu zapotrzebowania społecznego i dlatego powinny być traktowane poważnie... Podanie jest wyrazem tęsknoty za systemem pewnych wartości, za człowiekiem, który wcielałby w życie brakujące wartości moralne. Każdy kraj, zwłaszcza w okresie kryzysu, odczuwa potrzebę tworzenia własnej mitologii. Często odnajduje ją w historii, niekiedy odpowiednio spreparowanej. Mity i podania kierują się więc innymi prawami niż historia...

Bezspornym faktem pozostaje, że chodzi o postać rzeczywistą, że była to osoba żyjąca. Według zapisów w metryce urodzeń, 25 stycznia 1688 roku w kościele w Varínie został ochrzczony Juraj Jánošík /po polsku nazywany Janosik/, syn Martina Jąnošíka, poddanego z Terchowej, i jego żony Anny, z domu Cesnek. Dzieciństwo spędził w rodzinnej miejscowości, gdzie od wczesnej młodości musiał pracować w poddańczym gospodarstwie swych rodziców.

Dziewiętnastoletni Janosik wstąpił do armii powstańczej Franciszka II Rakoczego. Tam uzyskał nie tylko podstawowe wyszkolenie wojskowe, ale także pierwsze doświadczenia bojowe, które pomogły mu później w szybkiej karierze wodza zbójeckiego.

Aby lepiej zrozumieć jego czyny, trzeba przybliżyć okres, w którym żył. Powstanie Rakoczego rozpoczęło się w czerwcu 1703 roku, a jego głównym celem było osiągnięcie niezależności Węgier. Miało zakończyć pół wieku trwającą walkę przeciwko absolutystycznej polityce Leopolda I. Rakoczy nie odsunął od siebie ani takich „wyrzutków" społeczeństwa, jakimi byli zwolnieni żołnierze, zbójnicy i tułacze. Już w swej pierwszej

proklamacji z 6 maja 1703 roku ogłosił, iż celem powstania jest utworzenie bardziej sprawiedliwych warunków życia. Magicznie brzmiało głównie słowo wolność, widniejące na sztandarach powstańczych. Pod owe sztandary garnął się lud i Rakoczy miał wkrótce do dyspozycji trzydziestotysięczną armię. Prosty lud uważał Rakoczego za swego protektora i obrońcę. Janosik wstąpił do wojsk powstańczych Rakoczego na wezwanie pułkownika Wilhelma Vinklera w grudniu 1707 roku. Po porażce powstańców pod Trenczynem 3 sierpnia 1708 roku dostał się do niewoli cesarskiej. Zmuszono go do służby wojskowej po stronie cesarskiej. Na pewien czas został strażnikiem na zamku bytczańskim. Właśnie tam, a nie na polanie leśnej zaznajomił się i nawiązał kontakt z uwięzionym zbójnickim hersztem Tomaszem Uhorčikiem. Rozwinęły się między nimi przyjacielskie stosunki i Janosik jesienią 1710 roku pomógł Uhorčikowi w ucieczce. Uhorčik ukrywał się potem niedaleko Bytczy w Wielkim Rownym na odległej samotni u Pawlików. Wiosną 1711 roku wyszukał Uhorčik na Kysucach swych dawnych druhów i skłonił ich, by powrócili do zbójeckiego „rzemiosła". Wiedział, że w okolicach Bytczy musi być ostrożny, dlatego unikał jakichkolwiek akcji w północno-zachodniej Słowacji i orientował się raczej na niedalekie Morawy, gdzie mógł sobie poczynać śmiało. We wrześniu 1711 roku wprost w mieście napadł i ograbił kilku bogatych kupców vsetinskich. Po jego boku już wtedy stał Juraj Janosik. Akcja ta była ostatnią, którą prowadził Uhorčik jako herszt zbójników. Powodów było więcej. Prócz niezgody z niektórymi członkami drużyny znaczący był również fakt, że się ożenił i zdecydował się żyć pod przybranym nazwiskiem Martin Mravec w Klenowcu. Dowództwo na jego życzenie przejął właśnie jego najbliższy przyjaciel Juraj Janosik.

Nawet on już nie potrafił zjednoczyć zbójników. Coraz bardziej uświadamiał sobie rosnące niebezpieczeństwo i podchody zbójeckie robił tylko z tymi, którym ufał najbardziej. To doprowadziło do rozbicia drużyny. Członkowie „bandy" byli z północno-zachodniej Słowacji, Moraw i Polski, a działali w okolicach Trenczyna, na Liptowie, Orawie, ale także w Polsce i na Morawach. Ograbiali szlachtę i bogatych mieszczan. Na zimę rozchodzili się po wioskach i często zmieniali miejsca swego pobytu. Janosik najczęściej przebywał w Terchowej, w wioskach na Kysucach i w Klenowcu u Tomasza Uhorčika czyli Martina Mravca.

Po raz pierwszy Janosik został pojmany, kiedy odwiedził swego swego byłego druha Uhorčika-Mravca. Było to 26 października 1712 roku. Wtedy

to hajducy złapali obu przypadkowo i osadzili w więzieniu na zamku w Hrachowie. Z więzienia zostali jednak wypuszczeni już po paru dniach, bowiem pomógł im w tym podżupan, Paweł Lani, który był znany jako zwolennik Rakoczego. Dopiero później wyszło na jaw, że za taką „łaskę" odwdzięczyli się podżupanowi dając mu lisie futra i inne „podarunki".

Janosik i Uhorčik uchodzili w okolicy za dobrych i szanowanych ludzi. Na początku 1713 roku został Janosik ponownie złapany w domu Uhorčika. Miejsce jego pobytu prawdopodobnie zdradził podczas tortur jeden ze zbójników. Janosik i Uhorčik zostali uwięzieni w kasztelu Vranovo w Liptowskim Mikulaszu - Paludze.

Nie wiedziano, że razem z Janosikiem udało się im zamknąć także byłego dowódcę zbójników Uhorćika - Martina Mravca. Został pojmany tylko dlatego, że ukrywał poszukiwanego zbójnika Janosika.

Janosik w czasie przesłuchań na pytania nie odpowiadał lub odpowiadał częściowo, nawet po torturach. Kategorycznie zaprzeczył zarzutom dotyczącym zabicia człowieka. Przed sądem wyszło też na jaw, że nie tylko nikogo nie zabił, ale ani swym druhom na to nie pozwalał. W czasie przesłuchań i tortur wspominał tylko tych swoich druchów, którzy już nie żyli. Nawet Uhorčika starał się ratować, twierdząc, że zginął on w walce z hajdukami w Górach Kremnickich. Sąd Stoliczny, który odbył się 16 i 17 marca 1713 roku w Liptowskim Mikulaszu, skazał Juraja Janosika na karę śmierci. Spośród wtedy stosowanych sposobów straceń, które prokurator zaproponował w tym procesie, został wybrany ten najbardziej okrutny i najbardziej bolesny - powieszenie na haku. Wyrok został wykonany najprawdopodobniej zaraz 18 marca 1713 roku w Liptowskim Mikulaszu. Janosik miał wtedy dopiero 25 lat.

W miesiąc później rozpoczął się proces sądowy przeciwko Martinowi Mravcowi czyli Tomaszowi Uhorćikowi. Już drugiego dnia wyszło na jaw, że chodzi o Uhorčika. Ten, w odróżnieniu od Janosika, zdradził wszystko i wszystkich. Został także skazany na śmierć, ale przez łamanie kołem. Dnia 21 kwietnia 1713 roku został stracony w tym samym miejscu co Janosik.

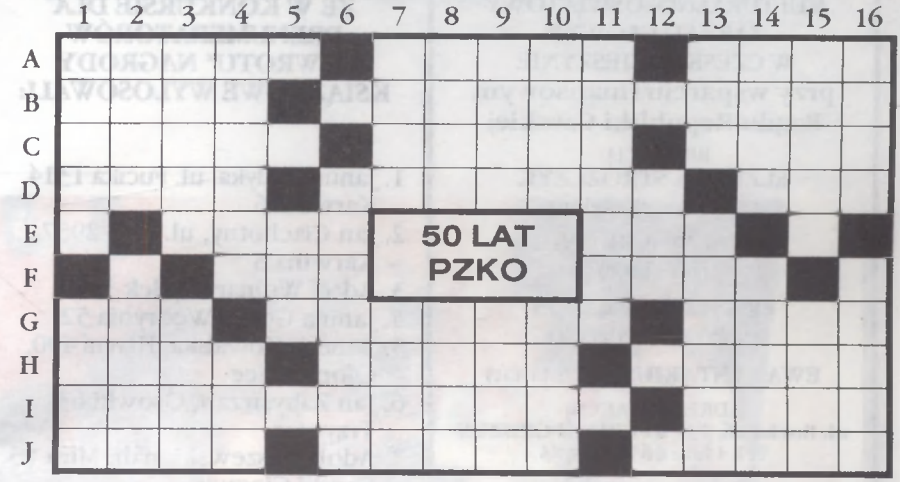
Na podstawie słowackich materiałów opracował

JAN KUBICZEK



DZIEWCZYNKA W STROJU KRAKOWSKIM na festiwalu PZKO w Karwinie w roku... Ile ma lat teraz? Może zgłosi się do redakcji?...

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: A. Urzędowa, stała opłata; pierwiastek chemiczny; kran w gwarze cieszyńskiej. **B.** Trauma; rodzaj pojazdu. **C.** Modlitwa muzułmańska; bardzo silne napięcie psychiczne; materiał opatrunkowy. **D.** Imię Zegadłowicza; krokus; łącznik metalowy. **E.** Stolica Górnej Austrii; służy do krajania. **F.** Pled; barwi lakmus na czerwono. **G.** Gwiazdozbiór i znak zodiaku; dawne męskie ubranie wierzchnie, duże garnki. **H.** Fusy; imię żeńskie; zabytkowe miasto w Burgundii (Francja). **I.** Dziennik podróży; jedno z imion Kischa. **J.** Imię Lerskiej; jeden z chlorowców; kojarzenie czyjegoś małżeństwa.

PIONOWO: 1. Przejazd, przejście wykopane pod ziemią; miejscowość w Algierii. **2.** Imię Chaczaturiana; torbiel. **3.** Imię Baczyńskiego; starszy syn Adama i Ewy. **4.** Nieduży szal; podagra. **5.** Może być polarna lub świętojańska. **6.** Dopływ Niemna w Białorusi. **7.** Niemiecki geolog i górnik (Georg Gottlieb); cieśnina w Indonezji. **8.** Miasto i rzeka w Norwegii; roślina, symbol dziewictwa. **9.** Najmłodsza formacja węgla; ... z Zielonego Wzgórza. **10.** Egipskie bóstwo związane z ziemią i światem podziemnym; wieczorne przyjęcie towarzyskie. **11.** Zakwita wiosną. **12.** Faza Księżyca. **13.** Dumny ptak; płonący kawał drewna. **14.** ...IV Groźny; gatunek antylopy. **15.** Wewnętrzny dziedziniec w hiszpańskich domach i pałacach; polityk amerykański (Elihu). **16.** Siostra Baala; służą do odprowadzania wody deszczowej z dachu.

Wyrazy trudne: AKER, ALAS, BOID, OTTA, PUSZ (Pusch), ROOT.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: D-7, H-3,A-13,G-10,J-14,C-11,E-6, J-9, D-2,G-16, D-12, I-7, H-14, B-1, G-1, H-8, E-3, I-13, B-7, D-6, B-4, I-15, B-14, G-2, D-9, C-10, A-4, I-2, H-13, C-13, A-10, D-4, A-7, G-6, F-11, B-9, F-12, A-3, J-6, G-15, J-13, A-14, H-9, I-3, D-1.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca czerwca.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU KWIETNIOWEGO:

Hasło: **„Odbudowujemy Warszawę"**

Nagrody książkowe wylosowali: **Janka Szlauer** - Oldrzychowice
Włodzimierz Michalik - Bogumin
Paweł Cieślar - Milików

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE
przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
EWA SANTARIUS (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
WILHELM PRZECZEK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 144,- Kč, z wysyłką pocztową 186,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

UPRZEJMIE INFORMUJEMY, ŻE W KONKURSIE DLA PRENUMERATORÓW „ZWROTU" NAGRODY KSIĄŻKOWE WYLOSOWALI:

1. Janusz Indyka, ul. Fučíka 1314, Karwina 6
2. Jan Ciachotny, ul. ČSA 2957, Karwina 8
3. Adolf Wojnar, Nydek 392
4. Janina Goryl, Wędrynia 52
5. Waleria Kowalska, Hlavní 490, Olbrachcice
6. Jan Zabystrzan, Osówki 63, Trzyniec
7. Adolf Staszewski, náb. Míru 83, Czeski Cieszyn
8. Zbigniew Przeczek, ul. Náhradní 6/209, Sucha Górna
9. Jan Kubik, Wędrynia 779
10. Stanisław Mendrek, U lávky 2, Czeski Cieszyn

NAGRODĘ GŁÓWNĄ ufundowaną przez STOWARZYSZENIE „WSPÓLNOTA POLSKA" 3-dniowy pobyt w Domu Polonii w Krakowie (dla dwóch osób) z pełnym wyżywieniem i atrakcjami wylosował

JÓZEF KUBANEK
ul. Olšova 1462/4, Karwina 4

Prosimy o odebranie nagród w redakcji.

TACY JESTEŚMY



NASZE MAŁE PRZEDSZKOLA

Polskie Przedszkole w Bystrzycy-Pasiekach (pisaliśmy już o nim w nr. 6/96) . Jedno z naszych małych przedszkoli, jak wiele innych, „walczące" o przetrwanie. Mieści się wraz z przedszkolem czeskim w budynku dawnej polskiej szkoły z roku 1930. Przedszkole znajduje się daleko od centrum wsi. Dzieci dojeżdżają tu codziennie autobusem. Wokół zieleń, wspaniały górski krajobraz i czyste powietrze. Nasze dzieci otoczone są wzorową opieką nauczycielek. Pomagają również rodzice zrzeszeni w Macierzy Szkolnej.

Pomoc w postaci wspaniałych zabawek, którą otrzymały małe polskie przedszkola na Zaolziu od Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" w Warszawie dotarła także do Bystrzycy-Pasiek. Na zdjęciu przedstawicielka Stowarzyszenia Jadwiga Lenard wśród bystrzyckich przedszkolaków w trakcie przekazywania darów.

NASZE ZESPOŁY



„ZAOLZIE“ ORŁOWA-LUTYNIA

Początki chóru sięgają roku 1922. Zespół pracował jednak dorywczo, okazyjnie, okrzepł dopiero z chwilą otwarcia polskiej szkoły w Lutyni Górnej (rok 1923). W r. 1926 osiadł w Lutyni Emil Hilla wraz z całą swoją muzykalną rodziną. Jako doskonały organizator i społecznik umiał zachęcić do wspólnego śpiewania. Kwitnącą i obiecującą pracę chóru przerwała wojna. Jednak po wojnie miejscowi miłośnicy śpiewu, nie zwlekając długo, nawiązali do bliskiej ich sercu tradycji. Chór wznowił pracę, szeregi chórzystów rosły.

A oto nazwiska dyrygentów, którzy związani byli z chórem na przestrzeni blisko 75 lat: Emil Talenta, Jan Jeleń, Emil Hilla (prowadził chór najdłużej), Edward Kania, Emil Jędrzejczyk i jego syn Marian. Od roku 1988 zespół prowadzi Urszula Odstrčil. W tym czasie górnolutyński chór przyjął nazwę „Zaolzie“. Chór należy do bardzo aktywnych, bierze udział we wszystkich imprezach związkowych, „Trojoku Śląskim“, ostatnio zaś wyćwiczył piękne widowisko ludowe „Na festynie“ (fot.).

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

7/97

LIPIEC - ZLOT MŁODZIEŻY W KOSZARZYSKACH

PRZED PIĘĆDZIESIĘCIU LATY POWSTAŁO STOWARZYSZENIE MŁODZIEŻY POLSKIEJ



TACY BYLIŚMY



Rodzina Heleny i Andrzeja Folwarcznych z Łazów. Mały chłopczyk w środku to Rudolf Folwarczny, późniejszy profesor gimnazjalny. Fotografia została wykonana w 1906 roku.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLVIII Nr 572 Cena numeru 12,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 15,50 Kč

7/97

W NUMERZE

[3]	Jubileuszowy Festiwal PZKO	CZESŁAWA RUDNIK
[6]	V Światowe Forum Mediów Polonijnych	CZESŁAWA RUDNIK
[9]	Polskiego uczą się w szkołach sobotnich	KAZIMIERZ SANTARIUS
[14]	Lekarze z Europy przybyli do Ostrawy	E. S.
[16]	Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim	ALOJZY NOWOK
[24]	Pięćdziesięciolecie Klubu Gusenowców	C. R.
[26]	Zapomniane obrazy	RENATA I ANTONI STRZYBNY
[30]	Nowa organizacja plastyków	T. W.
[32]	Chylą się dni moje	CZESŁAWA RUDNIK
[34]	Poezja Emilii Michalskiej	
[36]	Marta Fox: Zdarzyć się mogło, zdarzyć się musiało	
[38]	Renata Putzlacher - Moje fascynacje	
[41]	Listy rencisty	
[42]	Konkurs Literacki im. Pawła Kubisza	
[43]	Nie ma to jak w Wąglanach	JACEK BĄCAL
[46]	O Wisławie Szymborskiej inaczej	LECH BRODA
[49]	Na naszej scenie	
[51]	Echo wydarzeń muzycznych	KRYSTYNA SUSZKA
[59]	Kronika	
[74]	Spotkanie z „Przekrojem“	CZESŁAWA RUDNIK
[78]	Krzyżówki	

Numer zamknięto 11. 6. 1997

1. str. okładki - W lipcu Zlot Młodzieży w Koszarzyskach w pięćdziesiątą rocznicę powstania SMP...



Minister kultury i sztuki RP Zdzisław Podkański w rozmowie z red. naczelną ZWROTU Elżbietą Stróżczyk



Goście oficjalni w pochodzie festiwalowym, fot. FRANCISZEK BAŁON

JUBILEUSZOWY FESTIWAL PZKO

„Nasza kultura bogactwem regionu" widniało nad głowami, przybywających do hali widowiskowo-sportowej w Karwinie-Frysztacie, uczestników 20. Festiwalu PZKO. Festiwal był kulminacyjnym punktem obchodów jubileuszu pięćdziesięciolecia Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej, uczestniczyło w nim ponad 10 tysięcy osób.

Uroczystości jubileuszowe zaszczycili swoją obecnością liczni goście. Z Polski przybył minister kultury i sztuki RP Zdzisław Podkański, przewodniczący Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą Senatu RP Jan Sęk, członek Zarządu Krajowego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" w Warszawie Andrzej Chodkiewicz, prezes Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie" Tadeusz Samborski. Parlament RC reprezentował przewodniczący Komisji Zagranicznej Izby Poselskiej Vilém Holaň, senatorowie Emil Škrabiš, Vítězslav Matuška i Antonín Petráš, rząd RC dyrektor sekretariatu Rady ds. Narodowości Andrej Sulitka. Przybyli ambasador RP w Pradze Marek Pernal, konsul generalny Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk, burmistrz miasta Karwiny Lubomír Kuznik, przedstawiciele Rady Polaków Remigiusz Gąsior i Marian Jędrzejczyk, delegacje zaprzyjaźnionych miast i gmin, stowarzyszeń, związków, instytucji kulturalnych, społecznych, regionalnych, przedsiębiorstw, fundacji, z Polski i RC. Depesze gratulacyjne przysłali m.in. prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, marszałek Senatu RP Adam Struzik i przewodniczący Senatu RC Petr Pithart.

Przed południem w Miejskim Domu Kultury w Karwinie-Nowym Mieście wręczył minister Zdzisław Podkański pięćdziesięciu najbardziej zasłużonym działaczom PZKO odznaczenia „Zasłużony dla Kultury Polskiej".

W tym samym czasie w galerii „MAGAL" otwarto wystawę obrazów członków Stowarzyszenia Artystów Plastyków.

W samo południe ruszył od Miejskiego Domu Kultury festiwalowy pochód. Otwierał go zespół „Olza" oraz goście oficjalni. Barwny korowód stanowili nie tylko członkowie poszczególnych Kół PZKO, zespołów, ale także uczniowie polskich szkół i przedszkoli, harcerze, kombatanci, zespoły Teatru Lalek „Bajka" i Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego, wszyscy, którzy pragnęli w tym dniu zamanifestować swoją polskość.

Oficjalnego otwarcia Festiwalu dokonał prezes ZG PZKO Jerzy Czap. „To, że możemy dziś zaprezentować imponujący dorobek 92 Kół PZKO, wielu zespołów, klubów i sekcji, jest dowodem żywotności idei, która przyświeca Związkowi od 50 lat." „Gdy nie będzie już wiz i paszportów, można będzie narody rozróżnić właśnie poprzez kulturę, tradycje, architekturę, język" – wybiegł w swoim przemówieniu w przyszłość minister Zdzisław Podkański. W szerszym kontekście ujął też rolę PZKO Vilém Holaň: „Również z punktu widzenia Unii Europejskiej musimy jednoczyć się z innymi narodami, ale równocześnie nie możemy zatracić swej oryginalności, poprzez którą wzbogacamy się wzajemnie."

W programie artystycznym wystąpiły następnie połączone chóry pod batutą Leszka Kaliny i Józefa Wierzgonia oraz zespoły taneczne „Bystrzyca", „Górnik", „Olbrachcice", „Olza", „Skotnica" i „Suszanie" pod kierownictwem szefa artystycznego „Olzy" Otto Jaworka. Przedstawili się też finaliści Festiwalu Piosenki Dziecięcej. Dużym powodzeniem cieszyły się występy wędryńskich gimnastyków.

Gromkimi brawami oklaskiwała zapełniona po brzegi widownia koncert najbardziej oczekiwanego gościa Festiwalu Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze".

Pod wieczór zabawa festiwalowa przeniosła się do pobliskiego parku B. Němcowej, gdzie przygrywały do tańca zespoły „Smolaři".

Przez cały czas trwania Festiwalu można było podziwiać wystawione prace członkiń Klubów Kobiet i członków Klubu Twórców Ludowych oraz rysunki dzieci, nadesłane na konkurs „Zaolzie – nasz wspólny dom". Stoiska oferowały strawę duchową w postaci różnorodnych książek i publikacji, jak również strawę dla ciała.

CZESŁAWA RUDNIK







fot. FRANCISZEK BAŁON

V ŚWIATOWE FORUM MEDIÓW POLONIJNYCH

„Rola mediów polonijnych w utrzymywaniu więzi pomiędzy środowiskami Polonii a krajem oraz promocji Polski w świecie" to temat przewodni przebiegającego w dniach od 27 maja do 1 czerwca V Światowego Forum Mediów Polonijnych. Głównym organizatorem była Tarnowska Agencja Rozwoju Regionalnego, współorganizatorami Zarząd Krajowy Polskiego Stowarzyszenia Prasy Lokalnej oraz Fundacja Polonia. Patronat nad imprezą objęło cały szereg instytucji, m.in. Senat RP, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ministerstwo Gospodarki, burmistrz miasta Zakopane, prezydent Tarnowa.

Ponad 200 dziennikarzy i wydawców polonijnych z różnych części świata przybyło do Tarnowa, by spotkać się ze sobą, nawiązać nowe znajomości i przyjaźnie, wymienić doświadczenia, podyskutować nad zadaniami, jakie niesie ze sobą rola ambasadorów polskości na Wschodzie i na Zachodzie. Zaolzie reprezentowała pięcioosobowa grupa pracowników naszych pism i wydawnictw: Władysław Bilko („Głos Ludu"), Czesława Rudnik („Zwrot"), Janusz Ciesielski (Wydawnictwo „Olza"), Jan Branny („Macierz"), Bronisław Firla („Wiarus").

Inauguracji V ŚFMP w sali lustrzanej Banku Przemysłowo-Handlowego w Tarnowie z udziałem licznych gości, przedstawicieli Senatu i Rządu RP, władz świeckich i kościelnych, wojewódzkich i miejskich, towarzyszyły prezentacje sponsorów imprezy, promujące przede wszystkim Tarnów i region tarnowski.

Oficjalne otwarcie poprzedzała I Międzynarodowa Wystawa Gospodarcza „Promocje Gospodarcze - Polonia 97", będąca według słów wojewody tarnowskiego próbą promocji gospodarki polskiej, a zwłaszcza Małopolski i województwa tarnowskiego oraz krokiem, zbliżającym Polskę do świata. Organizatorzy nie kryli, że liczą na pomoc przybyłych dziennikarzy. Wystawa obejmowała wydawnictwa, foldery, informatory, zawierające aktualne dane o walorach gospodarczych, kulturalnych i turystycznych wszystkich regionów Polski. W czasie otwarcia wystawy odbyła się konferencja prasowa Stowarzyszenia „Współpracy Polska - Wschód", niosącego pomoc Polakom na Wschodzie poprzez rozwijanie współpracy gospodarczej, wymiany handlowej, kulturalnej, sportowej, turystycznej.

Ważnym punktem programu konferencji prasowych w czasie trwania Forum było spotkanie z przedstawicielami Gdańska, obchodzącego swoje 1000-lecie. Poinformowali oni m.in. o zawiązaniu Nowej Hanzy, związku miast bałtyckich. Około 100 miast uczestniczy w zjeździe, którego gospodarzem jest Gdańsk. Goście Forum zostali zaproszeni na obchody milenijne miasta.

Niezapomniane wrażenie wywarła na uczestnikach wizyta w Brzesku w fabryce Pol-Am-Pack, jednego z zakładów grupy Can-Pack, produku-

jącego szeroki asortyment opakowań metalowych i z tworzyw sztucznych, np. puszki napojowe i żywnościowe, zamknięcia koronkowe do butelek. Każdy z gości otrzymał m.in. zamkniętą puszkę, zawierającą niespodziankę: dla pań chustkę na szyję, dla panów krawat.

W ramach warsztatów dziennikarskich zwiedzono redakcje pism i rozgłośni regionalnych: „Dziennik Polski", „Gazeta Krakowska", TeMI, Radio MAKS, Telewizja Kablowa, Radio Kraków, Radio Dobra Nowina.

W świąteczny czwartek można było wziąć udział w procesji Bożego Ciała, grupa dziennikarzy spotkała się też z biskupem Józefem Życińskim.

Miejscem spotkania z marszałkiem Senatu RP Adamem Struzikiem była siedziba parlamentu w Warszawie. Marszałek zapewnił zebranych o szczególnej opiece, jaką Senat darzy Polonię na całym świecie. Senator Józef Kazimierz Kuczyński, wiceprzewodniczący Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą, zwrócił uwagę na problemy, jakie narastają przez to, że nie ma jednej naczelnej instytucji, która opiekowałaby się Polonią. W Warszawie spotkali się też uczestnicy Forum z prywatnym wydawcą miesięcznika „Sukces" i „Auto-Sukces".

Po czterech zimnych deszczowych dniach Zakopane powitało gości Forum śniegiem, jakby chcąc udowodnić, że jest zimową stolicą Polski. Uroki, ale i problemy Zakopanego i Tatrzańskiego Parku Narodowego przedstawili na konferencji prasowej burmistrz miasta i dyrektor TPN. Najwięcej pytań padło w związku z wizytą Ojca Świętego w tym mieście oraz starań Zakopanego o to, by stać się miejscem Zimowych Igrzysk Olimpijskich w roku 2006 lub 2010.

Podczas trwania Forum ukazywała się gazeta codzienna „Wici Polonijne", przynosząca obszerne relacje z każdego dnia oraz przekazująca informacje o uczestnikach imprezy. W nr. 7 z dnia 1 czerwca znalazła się rozmowa z Janem Brannym. Wywiad, który miał przybliżyć dziennikarzom polonijnym Zaolzie, a który stał się bełkotem pełnym bzdur i nonsensów, ostrym przykładem nierzetelności dziennikarskiej. Poniżej przytaczamy wywiad w całości w oryginalnym brzmieniu, nie wnikając, ile w tym winy rozmówcy, a ile dziennikarskiej beztroski, z mocnym jedynie westchnieniem, że takie właśnie wiadomości o Zaolziu poszły w świat.

CZESŁAWA RUDNIK

BRANNY – "TAKIE BĘDĄ RZECZYPOSPOLITE, JAKIE MŁODZIEŻY CHOWANIE"

Te słowa Stanisława Staszica przewijały się przez rozmowę, którą prowadziłam z prezesem Zarządu Macierzy Szkolnej w Republice Czeskiej, Jerzym Brannym. Pan Branny jest ponadto członkiem największej organizacji polskiej, Związku Kulturalno-Oświatowego.

– Jest pan na Forum po raz piąty, proszę o kilka słów refleksji?

J.B.: Na Forum przyjeżdżam zdobywać doświadczenie, jak m.in. robić gazetę, nie mając pieniędzy.

Także rozmowy na temat szkolnictwa przynoszą mi ogromne możliwości porównawcze. A wiadomo, między tym, co mówią koledzy z Zachodu i Wschodu różnice są ogromne. Staram się także dawać coś z siebie. Gdy na przykład na Białorusi także utworzono Macierz, właśnie korzystano z naszych doświadczeń.

– Co jest najistotniejszym celem Macierzy?

J.B.: Troska o wychowanie dzieci i młodzieży w miłości do języka, historii i tradycji kulturowej.

– Jak to wygląda w praktyce?

J.B.: Pracujemy społecznie, jak ludzie w większości krajów. Ze środków własnych powinniśmy utrzymać polskie przedszkola i szkoły, niestety, mamy zbyt mało środków finansowych na te cele. Udało nam się sprywatyzować przedszkole, co jest prawdziwym sukcesem w sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Teraz robimy wszystko, by Macierz nie straciła jedynej szkoły w Bagińcu. Chcąc ratować tę placówkę, od trzech lat wysyłamy pisma do „Wspólnoty Polskiej" i Senatu Trzeciej RP, pisma z prośbą o dotacje.

– Z jakim skutkiem?

J.B.: Z takim, że grozi nam zamknięcie placówki. Jeśli w najbliższym czasie nie zostaną podjęte stosowne kroki, stracimy tę jedną jedyną polską szkołę.

– Czy dyskusja z kolegami tu na Forum nie nasuwa jakichś pomysłów?

J.B.: Co kraj, to obyczaj. Są niekiedy bardzo dobre pomysły. Częściowo można je przenieść na nasz grunt. Ale to nie rozwiązuje najważniejszego problemu, finansów.

– A jak w pracy dziennikarskiej zaowocowały spotkania na Forum?

J.B.: Oprócz wspaniałych przyjaźni prywatnych nawiązałem wiele kontaktów zawodowych. Od pięciu lat wymieniamy artykuły. O Forum piszę w miesięczniku „Macierz", w „Głosie Ludu", który jest tygodnikiem i w miesięczniku „Zwrot".

– Na zakończenie naszej rozmowy proszę o kilka słów na temat uroczystości, jakie przygotowujecie na Zaolziu.

J.B.: W tym roku przypada 50-lecie Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. W ponad 90 Kołach PZKO odbędzie się wiele imprez. Ogólnie w uroczystości tej weźmie udział ponad 20 tysięcy osób. Ministrowie i szefowie obu parlamentów obu krajów zapowiedzieli swoją obecność. Ponadto jesienią mamy Gorolskie święto i 50-lecie zespołu „Gorol". Serdecznie wszystkich zapraszamy.

– Dziękujemy za rozmowę, za zaproszenie. Z pewnością się pojawimy w wyznaczonym dniu o wyznaczonej godzinie.

Bożena Czepiec

POLSKIEGO UCZĄ SIĘ W SZKOŁACH SOBOTNICH

W Londynie przy King Street nr 240 stoi okazały gmach, tzw. POSK – Polski Ośrodek Społeczno–Kulturalny, w którym mieści się kilka central organizacji polonijnych, w tym Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, a także takie instytucje, jak biblioteka, księgarnia, sala teatralna, luksusowa kawiarnia i restauracja, sale balowe, bar szybkiej obsługi. Ma tutaj również Biuro Polska Macierz Szkolna za Granicą (Polish Education Society, Registered Charity 298254). Jego kierowniczką jest pani mgr Małgorzata Masznicz, która chętnie udzieliła mi wyczerpujących informacji na temat swej niezwykłej placówki.



– Polska Macierz Szkolna została reaktywowana przez generała Władysława Andersa w 1953 roku jako kontynuacja Polskiej Macierzy Szkolnej, która – założona przez Henryka Sienkiewicza – istniała w Polsce od 1905 roku. Po wojnie, z wojskiem, które pozostało w Anglii, przyjechały tutaj przez Rosję lub z Polski rodziny z dziećmi i trzeba było dla tych dzieci zakładać szkoły i prowadzić działalność kulturalno–oświatową. Kilkanaście

szkół istniało już właśnie na Bliskim Wschodzie, powstawały po drodze wraz z wojskiem. Natomiast później trzeba było powołać jakąś organizację, która koordynowałaby tę całą działalność. I właśnie Polska Macierz Szkolna okazała się do tego najbardziej powołana i przygotowana. Liczba szkół w latach pięćdziesiątych wynosiła przeszło 50, w chwili obecnej jest ich 73. Z tym, że stan dotyczy wyłącznie Wielkiej Brytanii. Od kilkunastu lat utrzymuje się na tym właśnie poziomie. Obecnie mamy sporo dzieci z małżeństw, które przyjechały z Polski w ostatnich latach, tak że ich poziom języka polskiego jest wyższy niż dzieci, które są urodzone tutaj w trzecim czy czwartym pokoleniu.

O ile mi wiadomo, działalność Polskiej Macierzy Szkolnej za Granicą nie ogranicza się wyłącznie do Wysp Brytyjskich.

– Swoją działalnością obejmujemy wszystkie kraje, poza Polską. A więc Stany Zjednoczone, Australię, Nową Zelandię, Afrykę Południową, kraje skandynawskie, Amerykę Południową. Właśnie z tych krajów zamorskich szkoły zwracają się do nas o podręczniki, pomoce szkolne, o programy nauczania, które kierujemy do wszystkich szkół, które sami tutaj wydajemy i rozprowadzamy. Wydajemy też katalog, który kierujemy do wszystkich szkół, które z nami współpracują. Później nauczyciele i kierownicy wszystkich szkół zamawiają u nas te podręczniki, które wysyłamy im, oczywiście odpłatnie. Obecnie używamy również podręczników, które są wydawane współcześnie w Polsce. Ale jeszcze kilka lat wstecz używaliśmy tylko podręczników i pomocy szkolnych wydawanych przez nas, ewentualnie kilku książeczek, które zostały wydane w Australii czy w Ameryce. Oczywiście poziom języka polskiego naszych dzieci na obczyźnie jest niższy niż dzieci w Polsce. Podręczniki wydawane w Polsce, powiedzmy, na poziomie drugiej klasy, nie są odpowiednie dla naszych dzieci w klasie drugiej – ze względu właśnie na tę różnicę poziomów języka polskiego. Dlatego w dalszym ciągu, mimo że treści polityczne podręczników nie stanowią już żadnych barier, z uwagi na zasób słów i poziom języka polskiego w ogóle i inne wymogi, które obowiązują tutaj w Anglii w kontekście egzaminów państwowych z języka polskiego, istnieje konieczność wydawania podręczników przez nas, przez naszych nauczycieli. Autorami podręczników są nauczyciele uczący w naszych szkołach sobotnich.

Czy znajomość języka polskiego daje młodym angielskim Polakom jeszcze inne korzyści poza samą satysfakcją poznania i opanowania języka przodków?

– Oprócz wydawania podręczników i opieką nad szkołami sobot-

nimi, gdzie lekcje odbywają się od godziny dziewiątej rano do pierwszej po południu, niestety tylko raz w tygodniu, Macierz Szkolna zajmuje się również organizowaniem konferencji dla nauczycieli i dla uczniów, przystępujących do egzaminów państwowych z języka polskiego na poziomie małej matury. Zdanie tych egzaminów daje certyfikat, który upoważnia dzieci do wstępu na wyższe uczelnie. Język polski jest traktowany jak każdy inny obcy język - francuski, hiszpański, niemiecki. Także daje to jak gdyby ekstra punkty naszym polskim dzieciom przy wstępie na wyższe uczelnie. A później po ukończeniu studiów większe możliwości pracy. Teraz, kiedy Europa staje się otwarta i również potrzebni są fachowcy angielscy ze znajomością języka polskiego, wielu naszych absolwentów wraca do Polski i tam podejmuje pracę na wysokich stanowiskach.

Czy te polskie szkoły sobotnie są dofinansowane przez rząd Wielkiej Brytanii?

- Nie. Nie mamy żadnych środków, które dostawalibyśmy, że tak powiem, odgórnie. Ani od rządu polskiego, ani brytyjskiego. Polska Macierz Szkolna jest organizacją charytatywną. A więc utrzymuje się ze środków społecznych. To znaczy ze zbiórek, darowizn, zapisów testamentowych, jakichś apeli, bazarów, ze składek członkowskich. Oczywiście, jeśli wydajemy podręczniki, jakiś zarobek również na tym mamy. Przyjmujemy darowizny od różnych fundacji. Nawet w tej chwili Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" z Polski zainteresowało się nami i dwukrotnie dostaliśmy pewną małą dotację na wydawanie naszych pism. Bo jeszcze nie dodałam, że od początku istnienia Macierzy Szkolnej w Wielkiej Brytanii wydajemy dwa czasopisma. Jedno nazywa się „Dziatwa" i jest dla dzieci młodszych, drugie „Razem, młodzi przyjaciele" dla młodzieży starszej. Oprócz tego wydajemy „Biuletyn Polskiej Macierzy Szkolnej", no i takie okazjonalne wydawnictwa - jakieś jedniodniówki, jubileuszowe wydania. Przez wiele lat był wydawany poradnik dla nauczycieli, nazywało się to „Wychowanie ojczyste", a teraz wydajemy „Poradnik metodyczny", gdzie są zawarte różne materiały opracowania konspektów lekcji, które są pomocą dla nauczycieli.

Jak układa się pani współpraca z Zaolziem? A ściślej z tamtejszą Macierzą Szkolną?

- Kilka lat temu nawiązaliśmy współpracę z Macierzą Szkolną na Zaolziu. Jej prezes, pan Jan Branny, rok albo dwa lata temu był tutaj. I to na jego prośbę wysłaliśmy na Śląsk Cieszyński cały komplet podręczników, wydanych przez nas, pomocy szkolnych i czasopism również. Tak myślę, że ta współpraca teraz się jeszcze bardziej zacieśni.

Czy Macierz zaolziańska zgła-

sza jakieś konkretne zapotrzebowanie wobec pani placówki?

Macierz Szkolna w poszczególnych krajach jest w pewnym stopniu zdeterminowana przez stosunki panujące w danym kraju, a równocześnie chce prowadzić działalność w swoim własnym duchu, więc wszystkie wzorce, które istnieją w innych krajach, mogą być bardzo cenne do wykorzystania również gdzie indziej. Nawet wysłaliśmy na Zaolzie nasz statut, całą historię Macierzy. W tej chwili nie mam odpowiedzi, tak więc nie wiem, w jakim stopniu to zostało wykorzystane i czy się przydało. Chyba dwa lata temu był zjazd Polaków w Czeskim Cieszynie i dwóch przedstawicieli naszego zarządu Macierzy Szkolnej było tam i spotkało się bezpośrednio z przedstawicielami Macierzy Szkolnej z Zaolzia. Stwierdzili, że była bardzo ożywiona dyskusja i jedni i drudzy mają sobie sporo do zaoferowania.

Czy zaolziańska Macierz Szkolna może stać się członkiem Polskiej Macierzy Szkolnej za Granicą?

– Ja myślę, że tak. I bardzo chętnie ją przyjmiemy. Wszystkim, którzy do nas się zgłaszają, piszą, o cokolwiek proszą, staramy się odpowiedzieć na wszystkie pytania i prośby i zacieśnić jakoś tę współpracę.

A propos: pozwoli pani, że zapytam o strukturę działalności Polskiej Macierzy Szkolnej za Granicą?

– Na czele organizacji stoi prezes i 15-osobowy zarząd. Ludzie ci pracują społecznie, nie otrzymują żadnego wynagrodzenia. Są to głównie nauczyciele lub osoby związane z polską kulturą i oświatą. Pracownikiem płatnym, etatowym jestem ja, jako kierownik biura i księgarni Polskiej Macierzy Szkolnej i personel księgarni. Natomiast członkowie zarządu wykonują tę pracę społecznie. Spotykają się raz w tygodniu, kiedy mamy wyznaczony dzień przyjęć, a co sześć tygodni mamy obowiązkowe zebrania całego zarządu, na których podejmowane są wszelkie decyzje i merytoryczne, i finansowe. I później ja wraz z kilkoma osobami decyzje te wykonuję. Jedną z ubocznych działalności Macierzy Szkolnej, której poświęcamy teraz sporo czasu i pieniędzy, jest niesienie pomocy Polakom w krajach dawnego Związku Radzieckiego, a więc na Ukrainie, Białorusi, Litwie, Łotwie, w Kazachstanie. Dostajemy stamtąd od szkół, od księży prośby o dary, o książki, a nawet o pomoc materialną, jak obuwie i odzież. W tych sprawach wydajemy apele i ludzie nam to wszystko przynoszą. U nas się to pakuje i wysyłamy to na konkretne adresy – do parafii, do szkół czy na nazwiska nauczycieli i innych zaufanych osób. Otrzymujemy wiele listów, z których wynika, że bardzo to się

przydaje i bardzo nam są wdzięczni.

Proszę powiedzieć o nakładach publikacji wydawanych przez Polską Macierz Szkolną.

– Co roku wydajemy dwa, trzy tytuły podręczników do języka polskiego, historii i geografii polskiej. Nakłady osiągają od trzech do pięciu tysięcy. Starcza to nam na jakieś dwa, trzy lata. Przede wszystkim zaopatrujemy szkoły sobotnie w Anglii, no i wszystkie inne szkoły poza granicami Anglii. Na całym świecie, które się do nas zgłaszają. Wydajemy często te podręczniki, dlatego że wraz ze zmianą nawet samego systemu egzaminacyjnego w Wielkiej Brytanii lub stopnia znajomości języka staramy się, żeby te podręczniki były jak najbardziej aktualne i żeby dzieci chciały ich używać. Wiadomo, że w Anglii są pięknie wydawane książki dla szkół i te nasze nie mogą odbiegać od nich ani poziomem, ani szatą graficzną, bo dzieci mogłyby uważać, że jest to coś gorszego. Autorami są – jak już wspomniałam – nauczyciele uczący w naszych szkołach. I są to jak gdyby trzy kategorie tych nauczycieli. Najstarsi, którzy byli nauczycielami jeszcze przed wojną i w czasie wojny, następnie ich dzieci, które już są tu urodzone i tu wykształcone i jak gdyby po rodzicach tę pałeczkę przejmują i uczą w szkołach sobotnich. Trzecia grupa nauczycieli to są osoby takie, jak ja. Urodzone i wykształcone w Polsce, które z różnych przyczyn losowych znalazły się na Wyspach Brytyjskich i ze względu na to, że mają wykształcenie humanistyczne w Polsce i interesują się, i leży im na sercu dobro kultury i oświaty polskiej, chcą się angażować.

Czy wszyscy emigranci polscy kierują swoje dzieci do sobotnich szkół polskich?

– Nie. Niestety. Ci z tej tak zwanej najmłodszej emigracji nie zawsze posyłają dzieci do polskich szkół. Uważają, że dziecko polskiego nauczy się w domu, a tak naprawdę to mu wystarczy szkoła angielska. To jest nasza bolączka. Nie mamy statystyk, które by mówiły konkretnie, jak to wygląda, ale uważamy, że jakaś połowa tej najnowszej emigracji nie posyła dzieci do szkół polskich... Nikogo nie możemy zmusić, żeby zapisał dziecko do polskiej szkoły. Do nas należy tylko powiadamiać rodziców o takiej możliwości między innymi przez zamieszczanie ogłoszeń w prasie.

ROZMAWIAŁ
KAZIMIERZ SANTARIUS
fot. autor

LEKARZE Z EUROPY PRZYBYLI DO OSTRAWY

Już po raz drugi w Domu Polskim w Ostrawie (pierwszy raz w roku 1993) odbył się w dniach 9 – 11 maja II Europejski Kongres Lekarzy Polskich i Polonijnych. Organizatorem Kongresu było Polskie Towarzystwo Medyczne w Republice Czeskiej i Stowarzyszenie „Wspólnota Polska", dzięki któremu medycy z Krajów Europy Środkowej i Wschodniej mogli przybyć. 140 lekarzy z 11 krajów i licznie przybyli goście oficjalni przed rozpoczęciem obrad wysłuchali koncertu chóru uczniów polskiego gimnazjum z Czeskiego Cieszyna „Collegium Iuvenum". Konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk odznaczył doc. dr. Bogusława Chwajola, przewodniczącego PTM, Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczpospolitej Polskiej, przyznanym przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

W pierwszym dniu odbyły się dwie sesje naukowe na temat historii medycyny oraz postępu nauk medycznych. Poprzedziło je wystąpienie prof. Daniela Kadłubca na temat historii i dnia współczesnego Śląska Cieszyńskiego. Odbyło się też wręczenie nagród młodym lekarzom z Zaolzia, autorom najbardziej wartościowych prac i odczytów, wygłaszanych na comiesięcznych spotkaniach PTM w roku 1996, dr. Marianowi Wierzgoniowi i dr Jolancie Macurze. Fundatorem nagród jest wybitny stomatolog, Zaol-



Obrady lekarzy w Domu Polskim w Ostrawie

zianin, dr Józef Mackowski z Niemiec, twórca fundacji, której naczelnym celem jest wspieranie działalności naukowej młodych medyków polskich w Republice Czeskiej. Wieczorem uczestnicy Kongresu obejrzeli spektakl Sceny Polskiej Cieszyńskiego Teatru w Czeskim Cieszynie „Pociągi pod specjalnym nadzorem" Bohumila Hrabala.

Następnego dnia lekarze zwiedzili szpital uniwersytecki w Ostrawie-Porubie i wzięli udział w sesji naukowej na temat transformacji i prywatyzacji służby zdrowia w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. A wieczorem ponownie spotkanie z kulturą, tym razem ludową, na występie Miejscowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego z Orłowej-Lutyni w przedstawieniu autorstwa Antoniego Strzybnego „Zaolziańska śpiewogra albo jak Jaś Kasię namawiał".

Niedzielę, ostatni dzień Kongresu, jego uczestnicy rozpoczęli udziałem we mszy św. w rzymsko-katolickim kościele parafialnym w Cierlicku-Kościelcu, by później złożyć kwiaty pod pomnikiem, upamiętniającym tragiczną śmierć polskich lotników Żwirki i Wigury. Spotkanie zakończyło się wspólnym obiadem w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury.

II Europejski Kongres Lekarzy Polskich i Polonijnych, co zgodnie podkreślali jego uczestnicy, służył wymianie wiedzy i doświadczeń oraz nawiązaniu stałych kontaktów i przyjaźni. Za cztery lata kolejny odbędzie się na terenie Niemiec, ponieważ jego organizacji podjęło się tamtejsze polonijne środowisko medyczne.

E.S.



Uczestnicy Kongresu przed Domem Polskim im. Żwirki i Wigury w Cierlicku-Kościelcu, fot. FRANCISZEK BAŁON

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM

SZKOŁA OFICERSKA W OPAWIE I ODJAZD NA FRONT WŁOSKI

Po bardzo krótkim pobycie w Ropicy trzeba było wyjechać do Opawy. Miasto pięknie położone, tonące w zieleni, dość ludne i żywe, nawet mi się podobało.

Dowódcą mojej kompanii był kapitan Popovič, młody i przystojny oficer zawodowy, z pochodzenia Kroat. Był to inteligentny, wykształcony, energiczny, a przy tym zupełnie ludzki oficer. Doskonały wykładowca – władał bardzo dobrze oprócz kroackiego rodzinnego języka językiem niemieckim, francuskim, węgierskim, słabiej czeskim i polskim.

Zadorę przydzielono do innej kompanii. Żołnierski los chciał nam spłatać figla, gdyż w czasie ćwiczeń i wykładów nie było wiele sposobności na osobiste kontakty. Nie ucierpieliśmy jednak wiele z tego powodu, gdyż mieszkaliśmy obaj prywatnie w jednym pokoju. Podchorążym było wolno wynajmować na własny koszt prywatne kwatery. Zamieszkaliśmy dość daleko od koszar w czeskiej dzielnicy Katarzynki u emerytowanego kolejarza Czecha Kozilka. Kozilek prowadził stragan jarzynowo-owocowy i cały dzień nie było go w domu. Kozilkowa była z pochodzenia Polką urodzoną i wychowaną w Przemyślu. Mówiła źle po polsku, gdyż żyła już czterdzieści dwa lata poza środowiskiem polskim. Jako osiemnastoletnia dziewczyna wyszła za mąż za Kozilka, który zakochał się w niej w czasie odbywania służby wojskowej w Przemyślu. Od tego czasu nie utrzymywała prawie żadnych kontaktów ze swoją rodziną. Uważała się za Czeszkę, chociaż po czesku mówiła kiepsko, kaleczoną przez nią jakąś gwarą czeską i dzieci wychowywała w duchu czeskim.

Wojenny plan przyśpieszonej produkcji oficerów rezerwy i łatania nimi coraz większych luk i braków niższych dowódców na frontach polegał na bezlitosnym drylu i wpajaniu nam umiejętności dowodzenia plutonem i kompanią. W godzinach przedpołudniowych odbywała się sześcio- a nawet siedmiogodzinna tresura praktyczna w terenie, a po południu czterogodzinne wykłady. Dlatego też byliśmy stale zmęczeni i po przybyciu na kwaterę kładliśmy się zaraz do łóżek. Wstawaliśmy już o godzinie czwartej, gdyż o piątej trzeba było być na zbiórce.

Po trzech miesiącach szkolnego drylu odbyły się kilkudniowe egzaminy z wiedzy praktycznej i teoretycznej, po czym skierowano nas do macierzystego batalionu zapasowego, który został w międzyczasie przeniesiony

z Morawskiej Ostrawy do Cieszyna, co było dla mnie radosnym faktem. Tak blisko stąd do domu w Ropicy, poza tym ilu kolegów i znajomych w samym Cieszynie!

Radość nie trwała jednak długo, gdyż po dwóch dniach pobytu awansowano nas do stopnia plutonowego i przydzielono do formowanego w błyskawicznym tempie batalionu, który miał odjechać na front. Działo się to wszystko w gorączkowym i alarmowym pośpiechu. W sobotę w drugiej połowie lipca wróciliśmy ze szkoły oficerskiej, w niedzielę bawiłem kilka godzin w Ropicy, w poniedziałek nastąpił awans, a już w środę nastąpił odjazd w kierunku południowym. A więc na front włoski. Jechaliśmy dwie doby przez Wiedeń w kierunku na Triest. Między Lublaną a Triestem wyładowano nas z wagonów. Maszerowaliśmy forsownym marszem na Goricę w Alpach Julijskich jako uzupełnienie frontowe 106. dywizji krwawiącej w górskiej bitwie na Monte Santo nad rzeką Isonzo. Po dwudniowym marszu w skwarze słonecznym wśród nieprzerywanego bębnienia armat docieramy w drugim dniu pod wieczór do odwodów dywizyjnych, gdzie oczekują już na nas przewodnicy.

Drogi są przeraźliwie zatłoczone kolumnami artylerii i taborów, a od frontu płynie nieprzerwany potok wozów sanitarnych z rannymi i chorymi. Szpital dywizyjny przepełniony, więc odwożą ich w kierunku na Lublanę i Triest.

Zadora był zastępcą dowódcy pierwszego plutonu i maszerował na czele kompanii. Ja maszerowałem sto kilkadziesiąt metrów w tyle, gdyż pełniłem podobną funkcję w trzecim plutonie.

Odpoczywamy dłużej i podają na kolację jakąś obrzydliwą miazgę z brukwi, pokrzyw i ziemniaków ze szczyptą mięsa i jakąś śmierdzącą ciecz, niby kawę. Podchodzi do mnie Zadora, siadamy na uboczu.

– Maszerujemy podobno na Monte Santo w sam środek piekła. Mamy tam zmienić jakieś niedobitki. Musi tam być wściekle gorąco, tylu rannych odwożą. Podobno makaroniarze wciąż atakują, rzucają olbrzymie siły, lecz każdy ich atak zostaje odparty. Straty po obu stronach olbrzymie. Obsady frontowe trzeba co kilka dni zamieniać. To nie tak jak na froncie rosyjskim. Lecz grunt, że jesteśmy coraz bliżej Rzymu i Paryż też nie tak daleko. Może się uda nam jakaś przepustka na tamtą stronę, jak myślisz? – pyta Zadora.

– I mnie ta myśl nie daje spokoju, tylko cała w tym bieda, że ty jesteś w pierwszym plutonie, a ja w trzecim i nie wiadomo, jak nas usadzą na froncie. Ja bez Ciebie niewiele wykombinuję, a sam to się trochę boję. Dlatego też z własnej ochoty bez ciebie nie chciałbym uciekać. Chociaż z pierwszej lepszej sposobności skorzystam, aby dostać się do niewoli. –

– Ja też będę podobnie kombinował – mówi Zadora – lecz starajmy się obaj w miarę możliwości o częste kontaktowanie się. Może się jednak uda nam we dwójkę. –

Żegnamy się, gdyż dają sygnał do zbiórki. Nastała noc, którą dobrze pamiętam i nie zapomnę nigdy. Zaczyna się ostatni etap nocnego marszu do pozycji frontowej. Jest duszno, pot się leje z nas wszystkich. Zaczyna wyć i smagać nas huraganowy wicher, zwany przez tubylców „bora".

Towarzyszy nam wciąż grzmot artylerii, słyszymy już i klekot karabi-

nów maszynowych, z różnych stron błyskają potężne ślepia reflektorów, tam dalej od nas płonie łuna różnokolorowych rakiet nad frontem. Istny ryk armat różnego kalibru i przerażające detonacje eksplodujących pocisków odbierają chęć do rozmowy. Zwiastują bliskość frontu.

Maszerujemy dwójkami – środek wolny – wijącą się serpentyną górską wśród białych i przeważnie nagich skał i trudno nam się zorientować, kto to i do kogo strzela. W oczach, w uszach, w gardle i na mundurach naszych pełno drobniutkiego, gryzącego pyłu kredowego. Po godzinnym marszu widzimy na prawo i lewo od drogi zamaskowane stanowiska ciężkich baterii górskich, strzelających do ukrytych gdzieś tam Włochów. Niedaleko od stanowisk ogniowych widnieją wzdłuż drogi między skałami bunkry do amunicji artyleryjskiej oraz schrony dla ludzi i koni. Skręcamy na chwilę w boczną, wąską, usianą drobnymi głazami drogę. Maszerujemy teraz gęsiego po obu stronach drogi i słyszymy nad głowami szumy, gwizdy i syki przelatujących pocisków armatnich. Eksplodują gdzieś kilkaset metrów za nami na głównej szosie. Obmacują maszerujące odwody, kolumny taborów i stanowiska artylerii. Później na chwilę cisza, znów salwa i znowu chwilowa przerwa. Dobrze, że na razie nie kropią w naszą kolumnę. Potykamy się co kilka kroków i kaleczymy nogi. Przewodnik naszego plutonu informuje, że jeszcze trzy godziny marszu do wyznaczonego celu. Około pierwszej godziny mamy być na miejscu.

Robi się gwałtownie ciemno i trudno dostrzec swego poprzednika. Powietrze zawyło szatańskim skowytem i chlusnęło nam w twarz, oczy i gardła piargiem górskim i tumanami pyłu kredowego. Cała nasza kolumna przystaje. Opieram się plecami o boczne ściany wąskiej cieśniny górskiej i wtulam się szczęśliwie do wnęki między wypukłościami skalnej ściany. Z czarnego pułapu nieba wypełza ognisty zygzak pioruna i uderza z hukiem najcięższej kolubryny w nagie wierchy otaczającego nas masywu górskiego. Później na kilka sekund przerwa a po niej kaskady piorunów z grzmotami. Bębnią jeszcze działa, pękają nadal rakiety, reflektory oświetlają wciąż odsłonięte przejścia górskich chodników. Razem z piorunami leją się teraz jeszcze z nieba istne potoki deszczu. Piękny, lecz budzący grozę fajerwerk z potopem.

Nasza droga górska zamienia się w rwący potok górski. Wreszcie po półgodzinnej ulewie szkwał przestaje i uśmiechnął się do nas nawet drwiąco pyzaty księżyc. Wchodzimy na polanę otoczoną drzewami, spośród których wyglądają zbombardowane baraki stajenne. Sporo tam padliny końskiej, uda końskie odrąbane do kuchni. Leży też kilka trupów furmańskich. Wieje stamtąd trupim odorem. Niedaleko baraków stajennych pełno rozbitych wozów. Są to resztki taboru konnego pułku. Pułk ten mamy zmienić dzisiaj w nocy na pozycji frontowej.

Ryczy nadal wicher i ryczy artyleria obu stron, grają już bliżej karabiny maszynowe, pękają niedaleko rakiety. Dowódca kompanii nakazał odpoczynek. Zwalamy się jak kloce i siadamy, gdzie się da. Siedzimy jednak niedługo, gdyż podchodzi do naszego plutonu grupa zasmolonych obdartusów z oficerem na czele. Idą na odpoczynek i będą przez nas zluzowani. Oficer z frontu podchodzi do naszego dowódcy plutonu. Wyjaśnia mu, że

jest to połowa jego plutonu. Reszta czeka niedaleko stąd w skalnej kryjówce na nasze przyjście. Ładujemy karabiny, łopatki polowe polecają nam przesunąć na prawą stronę, aby nie pobrzękiwały z pochwami od bagnetów.

Ostry rozkaz: nie palić, nie świecić latarkami. Maszerujemy gęsiego w odległości jednego kroku. Panuje chwilowo względna cisza. Znużeni artylerzyści urządzali sobie pewno należną im drzemkę i oddają tylko od czasu do czasu pojedyncze nękające strzały. Częściej migotają reflektory i załamują snopy swego światła na nagich kikutach osłaniających nas skał. Jesteśmy dla nich niewidoczni. Na naszej drodze coraz więcej większych i mniejszych lejów od wybuchów ciężkich pocisków. Wreszcie wchodzimy do wykutego w skale rowu dobiegowego. Zaczynamy obijać i kaleczyć sobie kolana, rów jest wąski, dno nierówne, gdzieniegdzie woda powyżej kolan po niedawnej ulewie. Czujemy się dość bezpiecznie i pewnie, gdyż bzykanie pocisków z broni lekkiej, rechotanie maszynek i granaty dział nie robią już na nas prawie żadnego wrażenia. Pojedynczo włazimy do dużego schronu w skałach. Mógł łatwo pomieścić cały pluton. Jedna sklecona z desek prycza dla dowódcy plutonu, druga dla jego zastępcy oraz kilka dla rannych, oto umeblowanie naszej nowej kwatery. Trochę słomy i spora ilość podartych mundurów i koców po zabitych służyły jako pościel dla reszty załogi. W kącie przy wejściu leżą cztery świeże trupy, jeszcze nie zdążono ich sprzątnąć i pogrzebać.

Dowódca plutonu poprzedniej obsady przekazuje swój pododcinek naszemu dowódcy plutonu. Okazuje się, że są to wykopane przez Włochów pozycje, które przechodziły niejeden raz z rąk do rąk. Zabierają mnie ze sobą i polecają wyznaczyć odpowiednią ilość landszturmistów do zmiany posterunków. W czasie zmiany wystawiamy cztery posterunki obserwacyjno-alarmowe w okopach strzeleckich, z tego jeden w pobliżu wejścia do schronu, oraz dwa podsłuchy kilkanaście kroków na przedpolu przed resztkami zasieków drucianych. Jeden w głębokim leju, a drugi w naturalnej i głębokiej niecce skalnej z dobrą obserwacją na przedpolu z ukrytym do niej wejściem z okopów. Prawy posterunek obserwacyjno-alarmowy został wystawiony na skrzyżowaniu dwóch rowów strzeleckich. Lewy z tych okopów został wykonany przez Włochów, był przedłużeniem naszego rowu i łączy się z okopami włoskimi.

Dowódca plutonu starej obsady opowiada, jak przed kilkoma dniami czteroosobowa zmiana nocna posterunków zbłądziła tu i wpadła do włoskiej niewoli.

Słuchałem tego z zainteresowaniem. – Jaka szkoda – pomyślałem, że mnie tu wówczas nie było, na pewno przeszmuglowałbym się do makaroniarzy i już byłby dla mnie koniec wojny.

Na godzinę przed świtem odmaszerowały resztki zluzowanego przez nas plutonu styryjskich Niemców, pozostawiając nam kilka skrzynek z amunicją, całą kupę kilofów i łopat oraz cztery niesprzątnięte trupy. Mój dowódca plutonu chorąży Lehnert siedzi na skrzynce z amunicją i stale rozmawia przez telefon. Odbiera rozkazy oraz wymienia informacje i spostrzeżenia z dowódcą kompanii. Poleca mi, aby pomyśleć o zorganizowaniu służby dziennej, skontrolować posterunki, ściągnąć podsłuchy.

Wystawiam nos z dziury, patrzę i nasłuchuję. Boję się, gdyż pełno huku i grzmotów, świstów nade mną i koło mnie. Zaczyna ledwie dnieć, toteż z trudnością dostrzegam lewe skrzydło naszego rowu strzeleckiego. Tam na końcu rowu powinien być nasz lewy posterunek obserwacyjno-alarmowy, a na prawo od niego około dwadzieścia metrów przed rowem nieco w dole w głębokim leju lewy podsłuch. Nie dostrzegam jednak żywej duszy. Wskakuję do rowu i kieruję swe kroki na lewo, schylając mocno z ostrożności głowę. Mijam kilka poprzecznic – trawersów i widzę koło ostatniej jak młody wąsaty gazda spod Nowego Targu landszturmista Staś Kwoka leży nieruchomo w rowie, podpierając sobie głowę na złożonym w kostkę płaszczu. Myślałem w pierwszej chwili, że trup, lecz słyszę wyraźnie, że chrapie i nawet mocno się uśmiecha. A tu armaty grzmią i kule wyją! Może mu się śniło, że to Pan Bóg konewkami dzwoni i kapustę na jego roli podlewa?... Szarpię go mocno za kołnierz i budzę. Zerwał się na równe nogi, stuknął obcasami jak w koszarach i wrzasnął: – „Panie plutonowy! Na froncie nic nowego nie zaszło!...

Krzyczę na niego, aby nie wychylał głowy, gdyż można oberwać. Zaśmiał się, spojrzał w górę, machnął ręką i odparł:

– Juzech dosed do swego rozumu i nic mi nie bee w tych górach, bo u nas też som góry, a w nich zyje moja Kasia, co miłuje Kwokę Stasia. –

– Ma ten człowiek nerwy jak postronki, humor i duszę naiwnego dziecka! – myślę o Kwoce i pytam go o lewoskrzydłowy podsłuch.

Wychyla głowę z rowu i wskazuje kierunek. Patrzę przez wziernik w skale i widzę kilkanaście metrów przed okopem jak w olbrzymim leju zajada dwóch landszturmistów w największym spokoju i z olbrzymią euforią swoje konserwy mięsne przeznaczone na żelazne porcje.

– Już czas wracać do schronu, bo dnieje! – wołam.

– Zaraz zjemy, to i wrócimy, gulasz przy muzyce lepiej smakuje! – śmieją się do mnie.

Pomyślałem, że Kwokę i tamtych dwóch można by łatwo nakłonić do dezercji na włoską stronę.

Zdążam na kontrolę prawego skrzydła i mijam schron. Po kilku krokach zwala mnie na ziemię potężny podmuch i piekielna detonacja. Po moim hełmie dzwonią jakieś okruchy skalne. Na szczęście tylko okruchy. Następuje druga i ułamek sekundy później trzecia detonacja gdzieś blisko mnie. Jednak żyję i cały jestem, twarz ukrywam w kącie poprzecznicy i czekam na kolejną detonację, a za chwilkę uciekam w kierunku schronu. Lecz o zgrozo! Wejście do schronu zasypane głazami i ziemią. Biegnę rowem skulony na lewe skrzydło i za następną poprzecznicą spotykam obu żołnierzy z lewego podsłuchu. Jeden z nich miał lekko okrwawioną twarz z drobnego ułamka skalnego. Okazało się, że w czasie pałaszowania przez nich gulaszu z żelaznej porcji zaskoczyło ich bombardowanie pozycji naszego plutonu, więc porzucili wszystko, aby ukryć się w kawernie, lecz wejście do niej już było zasypane.

– Zabierać się do oczyszczenia rowu przed wejściem do kawerny! – krzyczę do nich i biegnę w kierunku Kwoki, aby go również ściągnąć do roboty. Lecz Kwoki już nie zastałem, tylko jeden but poszarpany z tkwiącym w nim kawałkiem nogi, trochę jelit i miazgi oraz silnie pokrwiawioną

głowę nieboszczyka w kącie rowu. Wąsata twarz miała grymas uśmiechu i nawet mi się wydawało, że gazda Kwoka podśpiewuje sobie:

Dziewczyno daremnie — Dziewczyno z potoka
Nie kochoj się we mnie — Nie kochoj wojoka
Jo kłopok wojskowy — Wojok to nie ludzie
Cóz ci psydzie ze mnie. — Pokocho i pudzie.

Tę piosenkę niejeden raz śpiewał wesoły Staszek Kwoka.

Na szczęście zatarasowane pociskiem wejście do kawerny nie okazało się zbyt groźne i za kilkanaście minut rów został oczyszczony kilofami i łopatami przy udziale wystraszonej i ociekającej potem załogi.

Chciałem już wrócić do schronu, lecz coś mnie ciągnęło do nieboszczyka Kwoki. Znalazłem się tam za chwilę i widzę jak koło resztek trupa kręci się tych dwóch landszturmistów z lewego podsłuchu. Jeden z nich trzyma w ręce konserwę mięsną po nieboszczyku, a drugi obciera z krwi but, który mu zdjęli z nogi, a później obaj poszukują pilnie obuwia z drugiej nogi. Drugiego buta nie znaleźli i skierowali swe kroki do kawerny. Podziwiałem ich zimną krew, silne nerwy i zaradność. Jednocześnie wzdrygałem się nad ich chciwością i łakomstwem.

Wróciłem do schronu i zameldowałem Lehnertowi o śmierci Kwoki. Machnął ręką. Podniósł słuchawkę telefonu i omawiał z dowódcą kompanii sytuację na pododcinku. Jedzenie mają nam donieść dopiero po zachodzie słońca, a tu kiszki zaczynają grać marsza. Od wieczerzy nie mieliśmy niczego ciepłego w ustach. Zaczynam więc żuć ten miazgowaty chleb pomieszany z ziemniakami, zapijam „kawą" z flaszki i palę papierosy, jeden za drugim.

Do schronu wsunęło się tych dwóch landszturmistów z lewego podsłuchu. Ten starszy z nich spoglądał na mnie z uśmiechem. Skinąłem na niego, aby podszedł do mnie. Chciałem go lepiej poznać i zapytuję, skąd pochodzi.

Nazywał się Danek a ten drugi to Kocoń.

– I ja, i mój kolega Wacek Kocoń pochodzimy z jednej wioski niedaleko od Andrychowa – odpowiada – i jakoś trzymamy się od 1915 roku razem. Byłem w 1914 roku kilka miesięcy w Legionach, lecz po likwidacji naszego oddziału w Mszanie wróciłem na naleganie matki do domu. A żałuję tego bardzo, bo w Legionach przynajmniej wiedziałem, że o coś naszego walczę i wesoła tam była wiara. Później w roku 1915 pobrali mnie Austriacy do wojska. Nie wiem teraz, za co nadstawiam głowę, a najgorsze to, że żreć nie ma co i zdycha się z głodu. Już najuyższy czas, aby skończyć z tą nędzą i nawiać albo do makaroniarzy, albo do zielonej kadry – zakończył Józef Danek prawie szeptem.

– Człowieku, jak wiać, to tylko do Włochów, bo do nich najbliżej. Trzeba się przygotować i szybko się decydować. Ja mogę pomóc. Wieczorem wyślę was z Koconiem na prawy podsłuch. Tam łączy się nasz nieodrutowany rów z okopami włoskimi. Trzeba tylko uważać, aby nie oberwać przy tym od Włochów. Najlepiej więc może będzie ustalić miejsce włoskiego podsłuchu, który powinien być nie dalej jak 100–120 metrów od końca naszego rowu, podczołgać się do nich jakieś 50 metrów i nawiązać z nimi ostrożnie łączność głosową. Wołać aż do skutku. Jak się wam wszystko uda,

to każcie wypuścić reflektorem z włoskiej placówki 5 przerywanych pięciosekundowych snopów w kierunku na nasz schron. Jestem przekonany, że się wam uda – mówię do Danka.

Danek zadumał się trochę i zapytał:

– A czemu w takim razie pan podchorąży nie wieje do nich? Przecież Pan też Polakiem! –

– Ja tak uczynię w niedługim czasie, lecz przedtem chcę przeszmuglować do Włochów kilka takich dwójek jak wy z Koconiem. A zwieję przy najbliższej sposobności, lecz tylko z moim przyjacielem, którego chwilowo tu nie ma – odpowiedziałem Dankowi.

Danek zadumał się znowu, popatrzył mi bystro w oczy, wyciągnął z kieszeni małą książeczkę do nabożeństwa i zapytał:

– Czy pan podchorąży jest katolikiem? –

– Tak, katolikiem z głębi duszy i niezłomnym Polakiem – odpowiedziałem.

– To niech mi pan podchorąży przysięgnie na ten krzyżyk na książeczce, że nas pan nie zdradzi i na pewno pan pomoże.

– Przysięgam, że nie zdradzę i pomogę. –

Danek odszedł zaraz do Koconia. Długo szeptem rozmawiali. Przed zachodem słońca polecił mi Lehnert ułożyć plan służby nocnej. Był wściekły, bo głodny i telefonował znów w sprawie obiadu.

Nastała noc ciemna, bezgwiezdna, pochmurna. Znowu duszno i zanosi się na deszcz. Na froncie chwilowo dość spokojnie, tylko pełno rakiet, reflektorów i trochę artyleryjskich pojedynków. Lehnert wysłał łączników do tyłu. Mieli wrócić z obiadem i sanitariuszami do pogrzebania trupów. Wystawiłem nocne posterunki i podsłuchy. Na prawoskrzydłowy podsłuch wysłałem Danka z Koconiem. Miałem wrażenie i wyglądało na to, że są zdecydowani, i szeptem życzyłem im szczęśliwej drogi.

Na froncie panował spokój, tylko te rakiety i reflektory!

Cisza nie trwała jednak długo, gdyż w czasie wystawiania lewego podsłuchu odezwały się nagle włoskie karabiny maszynowe i został ranny jeden z landszturmistów. Seria z włoskiego kulomiotu trafiła go w piersi. Zaczyna biedak krzyczeć w niebogłosy. Jego stan jest beznadziejny. Ściągamy go do rowu i przenosimy do schronu. Są sanitariusze i zakładają mu opatrunek.

Nie mogę słuchać rzężenia rannego. Wychodzę ze schronu, rozciągam koc na jakąś trawę czy słomę i próbuję zasnąć. Od strony włoskiej mignęło w tej chwili pięć pięciosekundowych przerywanych snopów światła reflektorów, które kierowały swoje ślepia na nasz loch.

– A więc Danek i Kocoń przeszli już. Udało im się. Chwała Bogu! –

c.d.n.

ALOJZY NOWOK



Z Festiwalu PZKO 1997, fot. FRANCISZEK BAŁON

PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE KLUBU GUSENOWCÓW

W dniach od 5 do 27 maja odbyła się w Oddziale Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie wystawa dokumentów i literatury ze zbiorów Józefa Kazika, nazwana „Obóz zagłady Gusen". Na wystawie zgromadzono liczne materiały - dokumenty, zdjęcia, publikacje książkowe, wycinki prasowe - ale również eksponaty rzeczowe, przypominające gehennę obozów koncentracyjnych, przeżycia więźniów, wywiezionych z terenów Śląska Cieszyńskiego.

Wystawa mówiła też o działalności Klubu Gusenowców. Inspiracją do jej zorganizowania stał się jubileusz 50-lecia Klubu Gusenowców. Klub powstał w 1947 roku. Nazwa jego pochodzi od miejsca obozu zagłady, do którego w kwietniu 1940 roku po masowych aresztowaniach na Śląsku Cieszyńskim wywieziono ponad 300 mieszkańców Zaolzia. W obozie, który początkowo przeznaczony był dla więźniów polskich, znaleźli się mieszkańcy wielu krajów, przewagę stanowili jednak Polacy. Po wojnie byli więźniowie postanowili spotykać się co jakiś czas, by z jednej strony utrwalić obozowe przyjaźnie, z drugiej zaś zachować pamięć o tych, którzy w obozie utracili życie.

Na czele Klubu Gusenowców stoi dziewięcioosobowy zarząd. Przewodniczącym jest od początku Józef Kazik, do najbardziej aktywnych członków należą Karol Polak, Jan Pytlik, Władysław Kajzar, Emil Hila, Jan Cachel, Stanisława Dudowa. W czasie swego istnienia urządził Klub 36 spotkań świątecznych i noworocznych oraz 10 wycieczek w Beskidy. Klub utrzymuje kontakty z podobnymi zrzeszeniami w Polsce oraz z grupą czeskich więźniów obozu Mauthausen. Z okazji 40. rocznicy wyzwolenia obozu w Gusen została staraniem Klubu Gusenowców wydana przez ZG PZKO publikacja „Pamiętamy", zawierająca między innymi wspomnienia więźniów oraz spis wszystkich mieszkańców Zaolzia, więzionych w Gusen.

W chwili obecnej żyje już tylko 30 byłych więźniów Gusen. Szeregi Klubu Gusenowców zasilają również byli więźniowie wszystkich innych obozów koncentracyjnych. Klub stawia sobie za cel podtrzymywanie pamięci o doznanych krzywdach, zbrodniach przeciw ludzkości, by młodsze, nie znające wojny pokolenia przestrzec przed lekceważeniem doświadczeń przeszłości.

Jedną z możliwości przekazania i zachowania wspomnień obozowych jest opowiadanie o nich swym najbliższym, dzieciom i wnukom. Przykładem niech będą fragmenty pracy ucznia jabłonkowskiej PSP Krzysztofa Wilhelma, który nadesłał na konkurs „Zaolzie - nasz wspólny dom", zor-

ganizowany przez Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie, opowieść o przeżyciach obozowych swojego dziadka, byłego więźnia obozu w Gusen.

„Wielu ludzi z naszych terenów, z Zaolzia, wywieziono do obozów koncentracyjnych, często nazywanych obozami zagłady, ponieważ ludzie, którzy się tam ocknęli, nie mieli dużych szans na wydostanie się z tych pułapek.

Jedną z nich był także obóz koncentracyjny Gusen, filia obozu macierzystego Mauthausen koło Linzu nad Dunajem. Niewielu ludzi przeżyło te straszliwe męki. Mam jednak szczęście, że między tą garstką znalazł się mój dziadek.

24 kwietnia 1940 roku, jak każdego ranka trwającej już osiem miesięcy okupacyjnej nocy, śpieszył na dzienną zmianę do mosteckiego tunelu. Była to daleka droga, prowadząca ciągle pod górkę. Na jej końcu zobaczył czterech rosłych drabów w mundurach, z pisarzem gminnym na czele, idących mu naprzeciw. Chciał ich ominąć i wtenczas usłyszał z ust pisarza słowa: „Das ist er." Otoczyli go ze wszystkich stron.

Po dwóch dniach pobytu w Czeskim Cieszynie wyjechał w pociągu z transportem 1200 więźniów w nieznane. W niedzielę 28 kwietnia 1940 roku wjechali na stację kolejową z napisem Dachau. Po trwającej sześć tygodni kwarantannie wyjechali z Dachau i zatrzymali się na stacyjce kolejowej Sankt Georgen an der Gusen w Górnej Austrii. Pędzeni przez żołnierzy Wermachtu pokonali odległość, dzielącą stację od obozu Gusen.

Obóz Gusen był dopiero w budowie, uliczki między blokami rozkopane. Zaczęły się te pełne strachu dni, o których jak gdyby czas zapomniał, które wlokły się powoli sekunda po sekundzie.

Stali na placu apelowym. Tam właśnie dziadek rozpoznał niektórych przyjaciół. Razem z nimi pracował w kamieniołomie Westerplatte. Był wśród nich nauczyciel, który uczył dziadka języka polskiego. Po kilku dniach załamał się jednak psychicznie i umarł.

W komandzie Erdbewegung praca polegała na przenoszeniu gliny z miejsca na miejsce na zbitych z desek noszach.

W powietrzu unosił się mdły zapach. Był to zapach wapna chlorowego, którym były posypane śliskie kładki latryn, obleganych po cienkiej zupce z brukwii przez chorych na biegunkę. Więźniowie byli codziennie bici przez członków załogi wartowniczej pejczami po obnażonych głowach.

To tylko niektóre urywki z codziennego życia więźniów, które musieli wytrzymywać przez długi okres czasu, a które na zawsze pozostaną w ich pamięci."

C.R.

ZAPOMNIANE OBRAZY



„PRO" chce ratować i promować karwińską kulturę:

Na początek „Monografia" Franciszka Świdra.

To tytuł artykułu, jaki pojawił się niedawno w „Głosie Ludu". Autor Kazimierz Santarius pisze w nim o godnej pochwały inicjatywie dwu pań pani Renaty Filipowej i pani Marii Godulowej, noszących się z zamiarem wydania monografii Franciszka Świdra, *„w której powinny się znaleźć reprodukcje wszystkich prac naszego mistrza".*

Z przekory powiem, że bez nas nie uda się to zamierzenie wydania wszystkich dzieł, bo nie wszystkie są gotowe i znane. Dwa z nich znajdują się w naszym domu, a jeśli ich nie udostępnimy...?

Zdradził ich lokalizację redaktor Franciszek Bałon, pisząc w marcowym numerze „Zwrotu": „mam je przed oczyma, mam i zapewnienie, że o ich ciekawej historii właściciel napisze". Ale to byłbym uczynił i bez tego „prowokowania". Tak, wiszą w naszym mieszkaniu dwa obrazy Franciszka Świdra, zupełnie ogółowi nieznane. Dwa z nielicznych, jakie znajdują się poza jego pracownią. Ciekawa była reakcja Mistrza, kiedy dowiedział się, że te obrazy istnieją, bo on o nich całkowicie zapomniał i wypisał je ze swej pamięci. Bardzo się ucieszył, kiedy stwierdził, że zachowały się i potwierdził, że to obrazy jego pędzla. Zresztą, na obu znalazł swoje signum.

A są to obrazy „Burza" i „Lecące żurawie". Oba z okresu wczesnej młodości, na obu widnieje zapis roku ich powstania, 1931, wykonany ręką Mistrza. Prawdopodobnie tylko raz były publicznie wystawione, wnioskuję o tym na podstawie posiadanego przeze mnie „Katalogu Wystawy Malar-

skiej 29.6.-7.7.1937" wydanego z okazji, jaką były „Połączone Wystawy Jubileuszowe w Czeskim Cieszynie". Obrazy są wymienione w tym katalogu z adnotacją „własność p. Emilii Mrózkowej", co sugeruje, że ona je na tę wystawę udostępniła. Wtedy były ostatni raz publicznie oglądane, a potem na długi okres zniknęły z pola widzenia.

Nim napiszę, co się z nimi działo - mała dygresyjka. Bardzo zainteresowały mnie nazwiska, prezentujących się na tej wystawie artystów, wymienionych w owym katalogu, więc uważam, że warto je przypomnieć wraz z krótką podaną tam charakterystyką ich prac.

A więc wystawiali wtedy:

Fierla Gustaw - olej, akwarela, 23 prace
Krzyżak - olej, 6 prac
Ostruszka - olej, 1 praca
Pasz Władysław, Orłowa - olej, akwarela, 15 prac
Piegza Karol, Łazy - olej, akwarela, 15 prac
Sikora Gustaw, Orłowa - olej, rysunki, 5 prac
Świder Franciszek, Karwina - olej, 12 prac tempera, 1 praca płaskorzeźba, 2 prace rzeźba, 1 praca polerowany gips, 1 praca stiuk, 1 praca metaloryt, 4 prace sucha igła, 2 prace
Szklorz Paweł, Bogumin - (nieokreślone), 6 prac
Trombik Jerzy, Czeski Cieszyn - olej, 6 prac akwarela, 1 praca pastel, 1 praca rötel (sangwina), 4 prace
Kołder Alfred, Bogumin - pastel, akwarela, 4 prace
Nitra Henryk, Błędowice - akwarela, 8 prac rzeźba, 4 prace płaskorzeźba, 5 prac

Czyli wystawa bogata, bo katalog wymienia 132 wystawiane prace! Ciekawe, jakie były ich dalsze losy czy istnieją te dzieła jeszcze dzisiaj? Na tej wystawie byłem, te prace i pozostałe eksponaty oglądałem, ale że dwa z wystawianych tam obrazów będą kiedyś w moim domu - to, rozumie się, ani przez myśl mi wtedy nie przeszło. Bo do tych obrazów, to się... przyżeniłem. Zastrzegam się jednak, że nie z ich właścicielką, Emilią Mrózkową, ale z jej siostrzenicą.

Emilia, urodzona w roku 1899 w Porębie, jedna z dziewięciorga dzieci kolejarza-dróżnika Pawła Mrózka, od najmłodszych lat, podobnie zresztą jak pozostała ósemka jej rodzeństwa - pracowała społecznie. Nic dziwnego, przytłaczająca większość ówczesnych rodzin polskich na tym skrawku Śląska, nazywanym Zaolziem, bez takiej pracy nie wyobrażała sobie życia. Trzeba było przeciwstawić się germanizacji, a później jeszcze w większym stopniu - czechizacji. Ich działalność w obronie naszej tożsamości narodowej miała dla wielu członków naszego społeczeństwa



niemiłe następstwa, również i dla rodzeństwa Emilii i jej samej. Z dziewięciorga rodzeństwa tylko dwojgu było dane złożyć swe kości na ziemi ojczystej, wśród swoich, groby reszty rozsiane są po świecie... Grób Emilii jest w Szwecji, gdzie zmarła 5 kwietnia 1996 roku, bo... nie pozwolono jej, więźniarce obozu koncentracyjnego powrócić do swoich... Bo ta działaczka młodzieżowa, nauczycielka, komendantka Harcerstwa Żeńskiego w Czechosłowacji, uczestniczka Ruchu Oporu była nie do przyjęcia przez Niemców, i za to osadzili ją w obozie. A ponieważ ci dobrze wiedzieli, co robią, więc dlaczego inni nie mieliby brać z nich przykładu?...

Z zachowanych w rodzinie pamiątek po niej można odtworzyć wiele fragmentów jej działalności. Między innymi była, tak można by to nazwać, mecenasem, czy według dzisiejszej nomenklatury - sponsorem dla młodych ówczesnych twórców. Sama nie opływająca w dostatki (nauczycielka w szkołach Macierzy Szkolnej nie tylko, że zarabiała niewiele, ale jeszcze na każde wakacje rozwiązywano z nią kontrakt, bo nie stać było Macierzy na opłacenie nauczycieli podczas wakacji) - pomagała innym chociażby w ten sposób, że kupowała od nich dzieła. Sam Mistrz Świder z rozrzewnieniem o tym wspominał, kiedy po wielu tarapatach udało się nam go odnaleźć i poprosić o odnowienie poważnie zniszczonych swoich dzieł. Nie przyjął za to wynagrodzenia: „To ja jeszcze stale jestem dłużnikiem Milki".

Więc były te dwa obrazy własnością Emilii Mrózkowej. Kiedy w roku 1939, z chwilą wybuchu wojny zmuszona była opuścić swoje mieszkanie w Czeskim Cieszynie, powstał problem, gdzie ma umieścić swoje meble, pianino czy chociażby liczne dzieła sztuki. W domach krewnych niewiele można było znaleźć miejsca, tym bardziej, że obawiała się konfiskaty swoich dóbr, jeśli zostaną znalezione. I tak obrazy znalazły się u znajomych w Żukowie, ale nie na ścianie w „paradnym" pokoju, ale zagrzebane w sianie, czyli przechowywane w warunkach całkowicie nieodpowiednich. Miały tam być „na parę dni", któż wtedy przewidywał, że wojna potrwa tak długo!

Nieodpowiednie przechowywa-

nie fatalnie wpłynęło na stan obrazów, napadła je pleśń, w ramach zagnieździły się robaki. A ich właścicielka jeszcze długo po wojnie nie mogła ich odebrać, bo nie otrzymała pozwolenia na powrót do domu. Kiedy już łączność z nią, przebywającą w Szwecji, była stosunkowo normalna, poleciła rodzinie odszukać pochowane w różnych miejscach rzeczy, a obrazy przywieźć jej do Szwecji. Miała to zrobić młodsza siostra (nasza mama i teściowa), która po pewnych tarapatach uzyskała pozwolenie na odwiedzenie siostry w Szwecji. Chociaż odwiedziny doszły do skutku, uznaliśmy, że z dwu względów nie byłoby wskazane spełnić życzenia Emilii: po pierwsze legalnie wywieźć obrazy było raczej niemożliwe, a narażać się, ukrywając je w bagażu, było mocno ryzykowne. Po drugie rodzina doszła do wniosku - co zresztą Milka zaproponowała - że dzieła naszego śląskiego twórcy miałyby pozostać u nas, a nie gdzieś w świecie, gdzie Milka nie założyła rodziny i zmarła niezamężna i bezdzietna.

Ponieważ przywieźliśmy obrazy z Żukowa mocno zniszczone, powstał problem, jak je odnowić. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że najlepiej potrafiłby to sam ich twórca. Niełatwo było nam znaleźć pana Franciszka. Zyskaliśmy gdzieś informacje, że mieszka w Karwinie na ulicy Svatopluka Čecha, mieliśmy i numer domu. Ale na tej ulicy takiego numeru nie było, a w żadnym domu o takiej osobie nie słyszano. Dopiero naczelnik poczty z pewnym zdumieniem odkrył, że są w Karwinie (czy jeszcze dziś - nie wiadomo nam) dwie ulice o tej samej nazwie. Szukaliśmy przy tej, która prowadzi obok kina, stadionu, warsztatów samochodowych na Zawadę - a należało szukać w dawnej Karwinie. Ale i tam, na tym pustkowiu, niełatwo było pana Świdra znaleźć, nie było kogo zapytać o niego na tym bezludziu. Pomógł „Zwrot" adresowany do niego, znaleziony w skrzynce pocztowej przy jednym z nielicznych istniejących tam jeszcze domów. Niestety adresata wtedy w domu nie było. Ale następnym razem zastaliśmy Mistrza. Bardzo był zdziwiony i zaskoczony, kiedy wyłuszczyliśmy cel naszej wizyty. Obrazów, co naturalne, nie mieliśmy wtedy ze sobą, przyjechaliśmy po radę. Radził usunąć plamy na nich za pomocą rozkrojonej cebuli, a jeśli to nie pomoże, napisać, a on przyjedzie do Bystrzycy popatrzeć na nie. Przyjechał, zabrał (bez ram) oba obrazy, a po pewnym czasie osobiście przywiózł. Wspaniale odnowione!

Naturalnie, że te cenne pamiątki rodzinne chętnie udostępnimy na wszelkie wystawy czy inne akcje. Również miło nam będzie, kiedy fotografik Franciszek Bałon sporządzi ich reprodukcję, by zaznajomić z nimi czytelników „Zwrotu".

RENATA I ANTONI STRZYBNY

NOWA ORGANIZACJA PLASTYKÓW

W związku z usamodzielnieniem się pionu literackiego straciła rację bytu Sekcja Literacko–Artystyczna (SLA) przy ZG PZKO. W praktyce oznaczało to, że SLA tworzyła już tylko grupa plastyków. Dawna nazwa tym samym nie oddawała w pełni nowej zaistniałej rzeczywistości.

Plastycy zebrani w dniu 24 marca 1997 roku w ZG PZKO postanowili założyć nowe Stowarzyszenie Artystów Plastyków (SAP), zrzeszające wyłącznie ludzi tej branży. Nowa organizacja, pomimo usamodzielnienia, nie wyrzeka się związków z ZG PZKO, pozostając pod jego patronatem. Swój udział w Stowarzyszeniu i chęć przynależności do niego zadeklarowało 21 plastyków. Wybrano nowy zarząd, na czele którego stanął mgr Oskar Pawlas. Stowarzyszenie postanowiło opracować nowy statut i będzie wydana nowa legitymacja członkowska. Postanowiono wprowadzić opłatę członkowską w wysokości 200 koron rocznie na pokrycie niezbędnych wydatków w działalności Stowarzyszenia.

11 plastyków zrzeszonych w SAP weźmie udział w wystawie zorganizowanej z okazji „Dnia Zaolzia" w Koźlu, gdzie równocześnie będzie miała miejsce wystawa exlibrisów Zbigniewa Kubeczki. W ramach obchodów 50–lecia PZKO odbędzie się wystawa prac plastyków w Małej Galerii „Magal" w Karwinie–Frysztacie.

Przewiduje się, iż wystawa „Plastycy Zaolzia" będzie eksponowana również w miastach: Kędzierzynie, Opolu, Brzegu i Nysie.

W kwietniu i maju w sali wystawowej im. J. Mánesa w Karwinie–Nowym Mieście przebiegła wystawa obrazów i rysunków kolegi Józefa Dronga.

Plastycy Oskar Pawlas, Józef Drong oraz Monika Milerska zorganizowali w Polskiej Szkole Podstawowej w Bukowcu pokazową lekcję malarstwa i rysunków. Akcja ta spotkała się z wielkim zainteresowaniem i oddźwiękiem wśród młodzieży szkolnej

T.W.



Z Festiwalu PZKO 1997, fot. FRANCISZEK BAŁON

CHYLĄ SIĘ DNI MOJE...

„Chylą się dni moje ku wieczorowi, jak kłosy dojrzałe do żniwa. Czas już powoli rozrachunek zrobić, nim śpiewkę ostatnią dośpiewam." Te słowa napisała Emilia Michalska w wierszu, będącym motywem tytułowym tomiku, wydanego w roku 1980. 7 lipca bieżącego roku kończy poetka 91 lat.

Urodziła się w Pruchnej i swej wiosce rodzinnej pozostała wierna przez całe życie. Chociaż mieszka na prawym brzegu Olzy, nigdy nie stała się obojętną na los rodaków, którzy ocknęli się za południową granicą. Zawsze pojmowała Śląsk Cieszyński jako jedną całość, co znalazło oddźwięk w jej twórczości. *„...Ziemia ma, cieszyński kraj książęcy, mej duszy raj... Czegóż mi pragnąć więcej?..."*



Poetka Emilia Michalska z córkami

Była właściwie samoukiem. Uczyła się w szkole podstawowej w Pruchnej, w szkole prywatnej w Boguminie oraz w jednorocznej szkole gospodarstwa domowego w Bielsku. Już w tym czasie zaczęła pisać krótkie wierszowane utwory okolicznościowe. Nie było jej jednak dane kształcić się dalej. W wieku 17 lat wyszła za mąż, wzorowo wykonując obowiązki żony, matki i gospodyni, dokształcała się, dużo czytając. Brała czynny udział w życiu społecznym wsi, pracowała w Komitecie Szkolnym, Macierzy Szkolnej, Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej, w Kole Gospodyń Wiejskich. Po wojnie współpracowała z Muzeum Górnośląskim w Byto-

miu. Prawie 20 lat prowadziła we wsi kiosk „Ruchu". Należała do Towarzystwa Miłośników Ziemi Żywieckiej, Beskidzkiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Bielsku-Białej, Grupy Literackiej „Gronie" w Żywcu i „Nadolzie" w Cieszynie, Grupy Twórczej „Strumień" w Strumieniu, pracowała w zarządzie Towarzystwa im. Z. Kossak, została honorowym członkiem Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie i Macierzy Ziemi Cieszyńskiej. W roku 1984 stała się członkiem Zrzeszenia Literatów Polskich. Otrzymała odznaczenia, m.in. Złoty Krzyż Zasługi, Order Serca Matkom Wsi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. W roku 1995 do nagrody literackiej im. J.Pocka dołączyła nagroda im. O. Kolberga, po raz pierwszy przyznana w dziedzinie poezji.

Emilia Michalska zadebiutowała jako pisarka w roku 1930 w krakowskiej „Roli" opowiadaniem **„Za grzechy ojców"**, opublikowanym pod pseudonimem Kalja. Mimo że jest autorką kilkunastu nowel, proza nie stała się jej domeną. Znana jest przede wszystkim jako poetka, autorka kilkuset wierszy, drukowanych w periodykach po obu stronach Olzy i wypełniających kilka zbiorków poezji: **„Zapach ziemi"**, **„Chłopskie słowo"**, **„Chylą się moje dni"**, **„Jesienne liście"**, **„Cieszyńskie kwiaty"**, **„Zmagania z czasem"**. Oprócz twórczości literackiej zajmowała się malarstwem (malowanie na szkle, olej, akwarela), rzeźbieniem w glinie, koronkarstwem, wycinanką beskidzką. Mimo że dziś nie starcza jej już sił, dom w Pruchnej, gdzie mieszka razem z córką, tchnie jej obecnością, pełen jest pamiątek, stworzonych jej ręką .

Nazwisko Emilii Michalskiej znajduje się w przygotowywanym przez Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk słowniku „Współcześni polscy pisarze i badacze literatury" z dopiskiem „poetka ludowa". Znawcy całej twórczości poetki polemizują z tym terminem, stwierdzając, że w trakcie swego rozwoju twórczego poetka wzniosła się ponad ludowość. Pierwsze jej wiersze, pisane głównie gwarą, stały się cennym materiałem dokumentacyjnym, zawierającym wierne opisy przejawów kultury, zwyczajów, układów społecznych, sposobu myślenia i przemian tradycyjnej wsi cieszyńskiej. Z biegiem lat coraz częściej używała do wyrażania swych uczuć i myśli języka literackiego, ogólnonarodowego, nie rezygnując jednocześnie z podkreślania swych związków ze skrawkiem ziemi rodzinnej. Przywiązanie do tej ziemi, jej tradycji, jej piękna krajobrazów i piękna duchowego ludzi tam żyjących były dla niej największą inspiracją. W swej dojrzałej twórczości więcej miejsca poświęcać zaczęła liryce refleksyjnej, poruszającej problemy egzystencjalne, stawiające pytania o sens życia, wartość cierpienia. Problemy te, zawierające w sobie elementy ponadczasowe, ogólnoludzkie, wymykające się niejako z ustalonych ram poezji ludowej, pozwoliły poetce umocnić swą pozycję w świecie poezji polskiej. *„Poezjo, u nóg twoich przyklękam, dostojna, prawie boska o kwietno-wonnych rękach zjawiasz się kiedy zechcesz, kiedy chcesz - odchodzisz: tchnienie nieśmiertelności zdobi przód Twej łodzi. (...) Przyszłaś z książką ADAMA przypochlebna wielce - wtedy to, nieopatrznie oddałam Ci serce."*

CZESŁAWA RUDNIK

EMILIA MICHALSKA

KTO ZACZ JESTEM?

Kto zacz jestem, świecie, znaj,
powiem wszystkim,
gdzie mój kraj.

Tam, gdzie Cieszka stary gród,
gdzie początek polskich wód,
gdzie Barania z Czantoryją
swoje czuby w chmurach kryją,
gdzie skarb czarny w ziemi drzemie,
gdzie piastowskie stare plemię,
gdzie bogactwa wszego w bród
tam ma strona, tam mój ród.

Tam mój kraj, gdzie Olza łka
gdzie się łyska w węglu skra,
gdzie Jabłonków, gdzie Karwina,
gdzie Odra u Bogumina
bierze naszej Olzy wody,
gdzie omszałe stare grody;
ziemia piękna, jak sam raj,
tam ja rodem, tam mój kraj.

RADOŚĆ

Cieszę się,
sama nie wiem
czemu –
tak tylko,
aby się cieszyć.

Radując się,
samolubstwem grzeszę
– a jednak:
pragnę
grzeszyć!!

POETA

Pytał Boga poeta,
z jakij to przyczyny
widzi wszystko inaczy
i czuje niż inni?

Czemu jest tak wrażliwy,
dziecinnie naiwny,
wprost niedołęga prawdziwy?

Bóg mu odrzyk,
a przytym twarz jego pogładził:
– Som żech nie wszystko dobrze
hnet zrobić poradził.
Nie wyszły mi ty piyrsze
duszyczki tam w niebie
i jedna z tych niepodarków
trefiła do ciebie.

❊ ❊ ❊

jestem kłębkiem
nieświadomości
oczy od urodzenia
tknięte ślepotą
patrząc
nie widzę istoty rzeczy
zaś błędne ogniki
zwodzą.

zakładam okulary...
zbyt słabe!...
dociekliwość połamała
zęby...
pokorę wezwawszy
na pomoc
nieświadomości
błogosławię.

MARTA FOX

ZDARZYĆ SIĘ MOGŁO, ZDARZYĆ SIĘ MUSIAŁO

(fragment)

23 października 1996 – środa

Tekst pana Wilhelma Przeczka z Bystrzycy nad Olzą (Czechy – Zaolzie) poprzedza długi list. Pozwolę sobie jego fragmencik zacytować, panie Wilhelmie:

„Ze swojej pracowni widzę Czantorię, oczywiście od strony czeskiej. Patrzę w jej kierunku, a ona milczy w brzuchu z tymi swoimi rycerzami, nie daje znaku. Ani przyzwolenia, ani zakazu. Zdam się więc na swój instynkt i odpowiem. Wprawdzie nie na pytania, które Pani postawiła (bo rozumiem, że są one zaledwie orientacyjnymi błędnymi ognikami na tym grzęzawisku niepewności), ale przytoczę parę momentów w życiu, które mnie konfrontowały z poezją Pani Wisławy, z tropami jej przemyśleń i wprowadzę co nieco słodkiej plotki".

WILHELM PRZECZEK

W SZKOLE ŚWIATA

O Nagrodzie Nobla dla Pani Wisławy dowiedziałem się w trakcie VII Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu. Wszyscy byli podnieceni, podpisywaliśmy odwrotną stronę grafiki, którą organizator miał wysłać do Noblistki. Wszystko tego dnia było nobliwe, nawet pogoda.

Zanurzam się w pamięć, w przestrzeni niczym nie ograniczonej próbuję rozsunąć ramy horyzontu i oto wyłania się gdzieś cytat z recenzji mojego tomiku „Księga urodzaju", wydanego przez WL w Krakowie. Jan Tulik napisał na łamach „ Życia Literackiego" nr 46/86: „...bohater wierszy czuje się jak ptak z wiersza Wisławy Szymborskiej, którego nie interesują granice państw"...

Od lat młodzieńczych byłem pod urokiem poezji Wisławy Szymborskiej. W różnych fazach życia zauroczenie przybierało na sile, zmieniało się natężenie. Jako świeżo upieczony nauczyciel natknąłem się na

„Wołanie do Yeti". Uczyłem wtedy w polskiej szkole w Suchej Górnej (Czechosłowacja). Wrażenie z kontaktu było piorunujące i posiadało porażający stopień olśnienia. Zapisałem wtedy skrzętnie w pamiętniku: „od tej nocy / ponad miarę złego snu / od tej nocy / ponad miarę samotności / zaczął Pan Bóg / pomalutku / dzień po dniu/ przeprowadzkę / z dosłowności / do przenośni". Anno Domini 1957.

Henryk Jasiczek szykował w 1959 roku nasz grupowy debiut „Pierwszy lot" i kiedy teraz przeglądam te teksty, widzę wyraźnie skutki tamtego piorunu objawienia Szymborskiej.

Sporadycznie drukowałem w „Życiu Literackim", gdzie pani Wisława prowadziła dział poezji. Trafiłem już na ten moment, kiedy odchodziła i jej miejsce zajmował Tadeusz Śliwiak. W 1984 roku, kiedy czeski poeta Jaroslav Seifert otrzymał Nagrodę Nobla, wiele redakcji pism literackich zwróciło się do mnie o przekłady. Przyglądałem się wtedy z bliska, jak niedostępne do tej pory tomiki Seiferta nagle zaczęły się pojawiać na półkach księgarskich i biliotecznych.

Pani Wisława otrzymała nagrodę bez pozaliterackich kontekstów. Cieszymy się z tego wszyscy!

Przepadałem kiedyś za „Lekturami nadobowiązkowymi" i można powiedzieć, że to dla nich właśnie kupowałem przez wiele lat ŻL. Potem przyjaciel zrobił mi królewski podarunek w postaci wydania książkowego „Lektur", wręczając mi je na Gwiazdkę. Miałem odtąd pod ręką pozycję, którą sama pani Wisława nazwała „huśtawką". Książka nie straciła nic na swojej urodzie i nadal jest świeża. Kiedy w Poznaniu Nikos Chadzinikolau podarował mi swoje tłumaczenie Safony, między jednym wzlotem na huśtawce nastrojów, a spadaniem w rzeczywistość, byłem niepewny swoich wrażeń - to sięgałem do „Lektur nadobowiązkowych". Czytajmy razem: „Twórczość Safony liczyła podobno 10 tysięcy linijek. Z tego zachowało się 550. Jest tam parę utworów, które mogą uchodzić za kompletne... Wieszczek było wówczas sporo i Safona zyskała rozgłos nie dlatego, że była unikatem, ale po prostu zwyciężyła w konkurencji...

Pani Wisława Szymborska - jeśli wierzyć prasie - napisała dwieście dwadzieścia niezwykle precyzyjnych wierszy. Jej dorobek poetycki zawarty jest w dziewięciu tomach. To już można sprawdzić gołym okiem, bez publikatorów.

Często w życiu, kiedy bywało gorzej, sięgałem po teksty pani Wisławy. A kiedy już dotykała mnie tragedia, czytałem „Sto pociech". Jest jednak majstersztyk Noblistki, który wrósł we mnie. „Autotomia", dedykowana pamięci Haliny Poświatowskiej zostanie we mnie na zawsze. W momentach absolutnej schizofrenii społecznej próbowałem się zachować jak ta strzykwa i dzielić się na dwoje. W wyobraźni, rzecz jasna, bo realne życie człowieka wyklucza taką zdolność.

Mój przyjaciel, wspaniały poeta i krytyk literacki, prof. Bogusław Żurakowski, opowiadał mi, że teraz krakowski oddział SPP stał się prawdziwym biały krukiem. Posiada dwu Noblistów: Wisławę Szymborską - jak wiadomo - przedtem był Czesław Miłosz.

UCIECZKA OD IMPERATYWÓW

„Bóg mnie pokarał Śląskiem"
Adam Zagajewski

Nie spodziewałam się, że już po miesięcznym pobycie w Brnie będę miała możliwość ustosunkowania się do problemu Śląska, a stało się tak dzięki zaproszeniu, które otrzymałam z Gliwic. Tegoroczny festiwal teatralny, „VIII Gliwickie Spotkania Teatralne", będący tradycyjnie przeglądem najlepszych spektakli polskiego teatru, tym razem nieco zmienił swoją formułę. Organizatorzy bowiem chcieli zaprezentować kulturę najbliższych sąsiadów – która poprzez sąsiedztwo i migrację jej przedstawicieli miała wpływ na współczesny krajobraz kulturowy Śląska. W ramach więc imprezy „Światy pogranicza" odbyło się kilka interesujących prezentacji, m.in. spektakle teatrów „Drak" z Czech, „Derevo" z Rosji, „Irrwisch" z Austrii, niezwykłe multimedialne widowisko „Świat pogranicza", przygotowane przez Towarzystwo Wierszalin z Supraśla oraz sesja literacka „Śląsk. Spotkanie wielu kultur."
Do udziału w sesji, której gospodarzem był poeta, krytyk i badacz literatury współczesnej, Marian Kisiel, zaproszono twórców, którzy często poruszają kwestie swoich korzeni, problematyki śląskiej, wielokulturowości. Poeta Tadeusz Kijonka, redaktor naczelny miesięcznika „Śląsk", prezes Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, opowiadał o mentalności Ślązaka. Najwybitniejszy obecnie śląski dramaturg, Stanisław Bieniasz, który opuścił Śląsk, by przez wiele lat żyć i tworzyć w Niemczech, zastanawiał się nad rzeczywistym znaczeniem bardzo ostatnio popularnego słowa „Heimat". Mówił o nadal kontrowersyjnej kwestii stosunków polsko-niemieckich i o tym, czego nadal nie potrafią zrozumieć nacjonaliści po obu stronach Odry: nie asymilacja, lecz integracja powoduje, że umiemy się znaleźć w jednym i drugim kręgu kulturowym. Do jego wypowiedzi nawiązała profesor Grażyna Szewczyk, germanistka,

córka nieżyjącego już wybitnego śląskiego pisarza i tłumacza, Wilhelma Szewczyka, autora „Syndromu śląskiego", która w swoim referacie po raz pierwszy zaprezentowała publicznie fragmenty korespondencji jej ojca z urodzonym na Śląsku wybitnym niemieckim pisarzem i tłumaczem, Horstem Bienkiem. Z listów tych promieniował humanizm, głębokie zrozumienie zawiłej problematyki stosunków polsko-niemieckich, polonofilizm Bienka i germanofilizm Szewczyka w najlepszym tego słowa znaczeniu (obaj pisarze tłumaczyli zresztą nawzajem swoje dzieła). Profesor Roman Nowotarski, słynny śląski plastyk i scenograf, poruszał zagadnienie śląskiego kompleksu, który każe padać na kolana przed byle „objawieniem" ze stolicy, podczas gdy tuż obok tworzą rzeczywiście wybitni artyści. Jako przykład podał fakt, że w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat nie wydano na Śląsku ani jednego albumu tutejszego plastyka. Dziennikarz i poeta, Krzysztof Karwat, który wydał ostatnio zbiór reportaży i esejów „Ten przeklęty Śląsk", cytował m.in. nadal bardzo aktualne słowa księdza Emila Szramka, autora najsłynniejszej pracy o charakterze regionu, jaką po polsku napisano:

„Kto ma służyć za pośrednika, musi obie strony rozumieć, a sam być wolnym od namiętności obu stron. Jest więc problem śląski problemem ogólnoludzkim, a ideał Ślązaka, jak rzeka w morzu, rozpływa się w ideale człowieka. Tym ideałem jest umiarkowanie, względnie opanowanie namiętności i uznanie szczytnej tezy Krasińskiego, że „najwyższy rozum - cnota." („Śląsk jako problem socjologiczny", 1934). Co ciekawe, w działalności duszpasterskiej i naukowej ksiądz Szramek, jedna z najważniejszych postaci życia naukowego i kulturalnego na Górnym Śląsku w okresie międzywojennym, unikał narodowego zacietrzewienia, szanując tak samo Ślązaków polskich, jak i niemieckich. Z tego powodu władze polskie widziały w nim germanofila, a z kolei Niemcy w 1939 roku spostrzegli w nim wroga narodu niemieckiego i zesłali do obozu w Dachau, gdzie zginął w 1942 roku. J.F. Lewandowski pisze : *„Z pewnością ksiądz Szramek to postać tragiczna, także i dlatego, że jego antynacjonalistyczne przekonania nie odpowiadały wówczas nikomu, chociaż tylko one mogły zapobiec nienawiści."*

Bytomski poeta i dziennikarz Marcin Hałaś, którego dziadkowie, rodzice i żona pochodzą z Lwowa, opowiadał o lwowskich repatriantach (a właściwie jego zdaniem ekspatriantach) na Śląsku. Grzegorz Szyndler mówił o tematyce żydowskiej. Mnie przypadł w udziale Śląsk Cieszyński, Zaolzie i Czechy. Pozwolę sobie na zakończenie zacytować fragment mojej wypowiedzi : *„W 1922 roku Norweg Schjelderup-Ebbe wprowadził do języka specjalistów od spraw duchowych termin „ostatniego miejsca w porządku dziobania." Zauważył, że kury zachowują w gromadzie hierarchię - najważniejsza z nich ma prawo dziobać wszystkie inne, sama zaś pozostaje nietykalna. Porządku tego ściśle przestrzegają: kura szczebla wyższego dziobie kury szczebla niższego, ostatnia jest dziobana przez całe stado.*

Gdy przeczytałam o tej teorii „kury na ostatnim szczeblu", zrozumiałam, że tzw. „syndrom Ślązaka", który na dodatek jest jeszcze Zaolzianinem, przypomina chyba odczucia tej kury, dziobanej przez całe stado. Z punktu widzenia Polski centralnej nasz Cieszyn nie dość, że jest na Śląsku, nadal postrzeganym pejoratywnie, to jeszcze za Olzą, a więc niejako poza obiegiem. Z punktu widzenia Czechów, dla których Śląsk jest również czymś dziwnym, nieżyciowym i ciężkim ze względu na przemysł i stereotypowe postrzeganie mieszkańców Ostrawy i jej okolic, Czeski Cieszyn jest tzw. ostatnią stacją i enklawą dziwnych mieszańców.

Kazimierz Kutz powiedział niedawno w TVP, że wrażliwe jednostki (sam też się do nich zalicza) uciekają ze Śląska od procesów produkcyjnych, od polityki, uciekają przed rozpaczą, która prowadzi do samobójstwa duchowego. Po czym dodał, że by coś dla Śląska zrobić, trzeba z niego uciec. To była odpowiedź na moje rozterki w momencie, gdy zdecydowałam się opuścić Śląsk na jakiś czas. By rozwinąć skrzydła, by nie być po wieki wieków zapobiegliwą, pozytywistyczną kurą. Na dodatek „kurą na ostatnim szczeblu, dziobaną przez całe stado". Z jednej i drugiej strony Olzy. Nie jestem masochistką. A ponieważ czasem pozwalam sobie na bycie niekonsekwentną i nie zawsze kieruję się logiką w swoim postępowaniu, wiem, że wrócę na Śląsk. Mam go w genach."

BOŻA PARTYTURA

Taki właśnie tytuł nosi tomik Karoliny Rusz z Bystrzycy nad Olzą. Jest to oczywiście publikacja pośmiertna, która ukazała się dzięki staraniom edytorskim Społeczności Chrześcijańskiej w Bystrzycy.

Karolka – jak ją pieszczotliwie nazywano – urodziła się 1 listopada 1925 roku, a zmarła tragicznie w Czeskim Cieszynie 9 kwietnia 1976 roku. Była nauczycielką muzyki. Pisała przede wszystkim bajki dla dzieci. Wiersze zebrane w „Bożej partyturze" były już wydawane wcześniej na łamach czasopism „Przyjaciel Ludu", w kalendarzach ewangelickich, w publikacji drugiego obiegu (samizdat) pt. „Wiersze" i w drukach zwartych „Szkice biblijne" oraz „Poznaj Biblię". Opublikowano tu również kilka tekstów dotąd niedrukowanych.

Karolina Rusz od dzieciństwa interesowała się muzyką. Ukończyła studium konserwatorium muzycznego w Ostrawie. Poza muzyką interesowała ją od młodości twórczość literacka. Ze względu na tematykę religijną jej utworów nie można było ich drukować za jej życia. Dopiero po jej śmierci wydawnictwo „Życie Chrześcijańskie" w Olbrachcicach doprowadziło do wydania jej książek „Podróż do Złotego Miasta" i „Syn proroka" w języku czeskim i polskim. Jak piszą wydawcy „Bożej partytury" w słowie wstępnym: *„Całe życie Karolki odzwierciedlało Bożą miłość i spokój. Służyła nie tylko społeczności ludzi wierzących – w godzinach biblijnych czy ewangelizacjach, lecz przede wszystkim w życiu codziennym, wśród swoich bliskich. Nawoływała do tego, by najpierw szukać Królestwa Bożego z wiarą, że wszystko inne będzie od Boga przydane (Mateusz, 6,33)".*

Z tytułowego wiersza zacytuję choćby fragment: „Partytura ta, pisana krwią własną, nasycona jest treściami zbawienia / W niej miłość błyszczy ową wstęgą jasną / co tony wiąże w harmonijne brzmienia."

Karolina Rusz należała do tych autorów, którzy w czasach totalitarnych nie mieli możliwości druku. Dziwne to uczucie, kiedy spotykamy w ławach kościelnych obecnie tych dyrektorów i nauczycieli, którzy całe życie wypychali religię ze szkół, usuwali ze szkolnictwa ludzi wierzących. A teraz modlą się gorliwie, dyrygują chórami kościelnymi, nadal uczą w szkołach. A może tak objawia się miłość Boga? Partytura Boża jest niezbadana.

RENCISTA

Zrzeszenie Literatów Polskich w Republice Czeskiej pod patronatem Ministerstwa Kultury i Rady Polaków ogłasza

KONKURS LITERACKI im. Pawła KUBISZA

a) w dziale poezji
b) w dziale prozy
c) twórczości dla dzieci

REGULAMIN KONKURSU

1. **W konkursie mogą brać udział wszyscy autorzy ZLPC oraz pionu literackiego SLA ZG PZKO, jak również autorzy niezrzeszeni w związkach twórczych, mający miejsce stałego zamieszkania na terenie Republiki Czeskiej.**
2. **Do konkursu należy wysłać:**

a) zestaw pięciu utworów poetyckich o dowolnej tematyce w czterech egzemplarzach maszynopisu,
b) zestaw trzech opowiadań o dowolnej tematyce w czterech egzemplarzach o maksymalnej objętości 15 stronic maszynopisu łącznie,
c) pięć wierszy dla dzieci lub trzy opowiadania dla dzieci o dowolnej tematyce w czterech egzemplarzach maszynopisu oznaczonych literą „D".

3. Na konkurs mogą być nadesłane prace dotąd nigdzie niepublikowane i nienagradzane. Zestawy należy opatrzyć godłem. Do tekstów należy dołączyć zaklejoną kopertę podpisaną tym samym godłem, a zawierającą następujące informacje: imię i nazwisko oraz dokładny adres autora prac.
4. Prace należy nadsyłać do **30 września 1997 pod adresem: RADA POLAKÓW w RC dla ZLPC, ul. Hlavní 3, 737 01 Czeski Cieszyn**, z dopiskiem na kopercie **„Konkurs literacki".**
5. JURY, w skład którego wejdą znani literaci i krytycy, przyzna w każdym dziale następujące nagrody:

Nagroda I stopnia 2500 Kč
Nagroda II stopnia 1500 Kč
Nagroda III stopnia 1000 Kč
Wyróżnienie 500 Kč

6. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.
7. **Konkurs zostanie rozstrzygnięty do 30 listopada 1997 r.** O wręczeniu nagród wszyscy laureaci powiadomieni zostaną specjalnymi zaproszeniami.
8. Nadesłanych prac organizatorzy nie zwracają.
9. Nagrodzone prace zostaną opublikowane.
10. Sprawy nie ujęte w regulaminie i sporne rozstrzyga JURY oraz Komitet Organizacyjny Konkursu.

GUSTAW SAJDOK
prezes ZLPC

NIE MA TO JAK W WĄGLANACH...

Po raz szesnasty spotkali się poeci w jednej z podpiotrkowskich wsi – Wąglanach. Odbył się tam bowiem w dniach 3-4 maja coroczny Międzynarodowy Konkurs Poezji. Konkurs dedykowany głównie poetom wiejskim i polonijnym. O randze tego jednego z najpopularniejszych konkursów literackich w Polsce świadczy 1800 wierszy nadesłanych od blisko pół tysiąca autorów z 24 krajów i 6 kontynentów. Należy przyznać, iż główną rolę w tak szerokim rozpropagowaniu konkursu przypisać można Towarzystwu Przyjaciół Wąglan z jej prezesem Władysławem Jóźwikiem na czele. Dzięki ich staraniom, ta początkowo lokalna i mała impreza artystyczna, nabrała od trzech lat międzynarodowego charakteru, stając się dla wielu początkujących artystów odskocznią do profesjonalnej twórczości. To jeszcze jeden przykład, iż dzięki wielkim staraniom można ożywić nawet niewielką prowincjonalną, jakby się wydawało, miejscowość. To dowód na to, iż niewielka grupa ludzi z aktywnym liderem może bez trudu przełamać krąg kulturalnej apatii i organizacyjnej bezradności. Już chociażby z tej przyczyny konkurs ten urosnąć może do rangi wyjątkowego.

Historia konkursu rozpoczyna się w początkach lat 80., kiedy to młodzi działacze ruchu ludowego zapragnęli urozmaicić życie małej, ale aktywnej wioski. W praktyce od 1982 roku Wąglany stają się na okres kilku dni głównym miejscem spotkań debiutujących poetów. Dzięki licznym kontaktom z redakcjami wielu pism stpniowo rozszerza się krąg osób i instytucji, wspierających konkurs. W marcu 1987 roku napływa na konkurs pierwsza praca z zagranicy od p. Janiny Grajewskiej z Wilna. Coraz częściej pojawiające się pod koniec lat osiemdziesiątych prace twórców polonijnych powodują, iż twórcy konkursu myślą o poszerzeniu formuły konkursu o poetów, mieszkających poza granicami Polski. W 1991 roku regulamin wąglańskiego konkursu pojawia się w Radiu Polonia. W tym samym czasie napływają pierwsze wiersze z Czech. Pierwsza połowa lat dziewięćdziesiątych to coraz szersza promocja konkursu, informacje o nim pojawiają się w Kanadzie, Nowej Zenlandii. Nadchodzą pierwsze prace z Australii. Tradycją stają się coroczne publikacje z wierszami nagrodzonych poetów. Konkurs zaczyna być imprezą znaną nie tylko w wąskim gronie lokalnych i polonijnych działaczy.

Imprezie tej warto poświęcić odrobinę miejsca nie tylko ze względu na jej walor organizacyjny. Konkurs bowiem cieszy się ogromną popularnością i wiele z pojawiających się na nim utworów jest znakomitej jakości. Tematyka wierszy jest zróżnicowana, choć przeważają w niej przeżycia związane z otaczającą nas naturą, dniem codziennej pracy i świątecznej refleksji. To, co najcenniejsze w poezji, to jej prostoduszność, czasami chciałoby się napisać naiwność, ale to ona sprawia, iż poezja staje się bliska sercu szarego czytelnika. Nie trzeba szukać odpowiedzi na pytanie, co poeta chciał w tym wierszu przekazać, można to ujrzeć oczami swojej wyobraźni, przeżyć chwilą zadumy i odrobiną ciepła, wyrwanego z ludzkiej duszy. W tym miejscu nie pozostaje mi nic innego, jak polecić Państwu lekturę tych utworów oraz zachęcić do poddania się próbie własnych sił w następnej edycji konkursu.

Na koniec pragnąłbym zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt konkursu. Wspomniałem, iż jest on przeznaczony głównie dla poetów polskiej wsi i polskojęzycznej Polonii i Polaków zza granicy. Początkowo takie zestawienie grona poetów wydaje się stosunkowo mało trafne, dopiero wspólne przeżycia poetyckie przekonują, iż pod szyldem poezji łatwo znaleźć wspólny język twórcom ludowym od lat osiadłym na swojej ojcowiźnie, jak i tym, których udziałem była mniej lub bardziej odległa tułaczka i oderwanie od ojczystego kraju, a często i języka. Jedni dostrzegają piękno ojczystych krajobrazów dzięki codziennemu obcowaniu z nimi, inni właśnie dlatego, iż kraj ojczysty stał się jedynie wspomnieniem odległych lat. Wszystkich ożywiła jednak potrzeba podzielenia się własnymi przeżyciami.

Warto wspomnieć, iż nasi zaolziańscy poeci odnieśli duży sukces w tegorocznym konkursie. Spośród czterech nagród głównych i dwunastu wyróżnień trzech przedstawicieli naszego regionu znalazło swoje miejsca. III nagrodę zdobył znany czytelnikom „Zwrotu" Wilhelm Przeczek z Bystrzycy nad Olzą, dla którego nagroda jest kolejnym udokumentowaniem twórczości. Z kolei udany debiut zanotowały wiersze nastoletniego poety Tomasza Skwarło z Karwiny-Darkowa oraz odkurzone z przeszłości wiersze Ewy Santarius z Czeskiego Cieszyna. Jak informują uczestnicy tegorocznego konkursu, warto wykrzesać z siebie odrobinę talentu i stanąć w szranki konkursu. Poza przyjemnością tworzenia dla nagrodzonych i wyróżnionych poetów jest to okazja do spędzenia dwóch miłych i owocnych dni w pięknej polskiej miejscowości oraz do podtrzymania i nawiązania wielu interesujących znajomości z Polski i całego świata.

JACEK BĄCAL

REGULAMIN IV POLONIJNEGO KONKURSU POEZJI – WĄGLANY 1997

1. Celem naszego polonijnego konkursu poezji jest utrzymanie stałej więzi poetów polonijnych z krajem ojczystym poprzez kultywowanie piękna języka polskiego na całym świecie.

Wyszukiwanie utalentowanych poetów piszących po polsku i umożliwienie im debiutów w naszym konkursie oraz szerokie propagowanie ich twórczości w środkach masowego przekazu i we wspólnym almanachu pokonkursowym.

2. Organizatorzy: **Towarzystwo Przyjaciół Wąglan.**

Współorganizatorzy i zarazem sponsorzy naszego konkursu:

Ministerstwo Kultury i Sztuki – Departament Upowszechniania Kultury, Urząd Wojewódzki w Piotrkowie Tryb. – Wydział Kultury i Sportu, Miejsko–Gminna Biblioteka Publiczna w Opocznie, Urząd Gminy w Białaczowie oraz zaprzyjaźnione redakcje polonijne i polskie, współpracujące z naszym konkursem.

3. Zapraszamy do uczestnictwa wszystkich poetów piszących po polsku (nie muszą być Polakami!) z całego świata! - bez względu na wiek i dorobek literacki, pragniemy, by nasz konkurs odszukał, zachęcił i zebrał w jedną całość dorobek literacki wszystkich piszących po polsku poetów bez względu na narodowość.

4. Nie ograniczamy tematyki wierszy, prosimy o przysyłanie 5 wierszy w 3 egzemplarzach maszynopisu lub czytelnego rękopisu do 31.12.1997 roku. Prace nadesłane po tym terminie wezmą udział w kolejnej edycji konkursu.

Nasz adres:
Towarzystwo Przyjaciół Wąglan
Waldemar Jóźwik
Wąglany 50
26–307 Białaczów, woj. piotrkowskie
z dopiskiem na kopercie **„IV Polonijny Konkurs Poezji"**

4. Dla 15 najlepszych poetów wyślemy pocztą cenne nagrody książkowe, pamiątkowe dyplomy oraz zbiór nagrodzonych i wyróżnionych wierszy z tej edycji konkursu.

5. Liczymy na nowych sympatyków i przyjaciół naszego konkursu, na życzliwość polonijnej prasy i środków masowego przekazu, pragniemy nawiązać przyjacielskie kontakty ze wszystkimi skupiskami polonijnymi na całym świecie.

Uczestnicy konkursu są proszeni o podanie dokładnej daty urodzin, bardzo dokładnego adresu zamieszkania i krótkiej notki biograficznej. Bardzo prosimy o podanie źródła, z którego dowiedzieli się o naszym konkursie. Bardzo mile będą widziane zdjęcia i wydawnictwa przedstawiające uczestników naszego konkursu, wykorzystamy je do archiwum Towarzystwa Przyjaciół Wąglan, bo ileż to polonijnych pereł i diamentów nie wydobytych z wąglańskiej kopalni talentów! Bo nic tak nie zbliża przyjaciół, jak serce na oścież otwarte!

Staropolskim Szczęść Boże! życzymy udanych debiutów oraz radości i zadowolenia z kontaktów z naszym konkursem! Organizatorzy

O WISŁAWIE SZYMBORSKIEJ INACZEJ

Po Nagrodzie Nobla dla Wisławy Szymborskiej posypały się jak z rogu obfitości książki na temat Noblistki.

W istnym zalewie literatury na ten temat wyróżnia się w sposób szczególny książka Marty Fox „Zdarzyć się mogło, zdarzyć się musiało" (czyli z Wisławą Szymborską spotkanie w wierszu). Ta arcyciekawa książka doczekała się już wielu pochlebnych recenzji. Pisali o niej m.in. Maciej Krassowski (Wiadomości Kulturalne, nr 4), Leszek Żuliński (na łamach tej samej gazety), Marek Skocza (Dziennik Zachodni, nr 12) i inni.

Chcąc choćby w przybliżeniu stworzyć naszemu czytelnikowi przelotny obraz o tym, co ukazywało się ostatnio na temat Wisławy Szymborskiej, wymienię tylko niektóre z książek na jej temat: Anna Legżyńska „Wisława Szymborska", Aneta Wiatr „Syzyf w poezji w piekle współczesności", Wydawnictwo Open „Szymborska, szkice", Wydawnictwo Znak „Radość czytania Szymborskiej", Wydawnictwo Literackie „Wisława Szymborska - życie na poczekaniu", Dora Wojda „Milczenie słowa. O poezji Wisławy Szymborskiej", Małgorzata Antoszewska-Tuora „Niektórzy lubią Szymborską", Jan Majda „Świat poetycki Wisławy Szymborskiej", Bogdan Zeler „O poezji Wisławy Szymborskiej", Anna Węgrzyniakowa „Nie ma rozpusty większej niż myślenie", Małgorzata Baranowska „Tak lekko było nic o tym nie wiedzieć", Stanisław Balbus „Świat ze wszystkich stron świata", Ewa i Stanisław Krajscy „Dwie twarze Wisławy Szymborskiej", Leszek Żuliński „Lekcje z Szymborską".

O książce Marty Fox Wiadomości Kulturalne piszą m.in.: *„Autorka zwróciła się do kilkudziesięciu krytyków, poetów i innych twórców o wypowiedzi na temat laureatki... Z tego powstała książka, w którą wpisana jest także wyraźnie osobowość i postawa samej Marty Fox".*

Nas Zaolziaków, może zainteresować fakt, że obok znanych i zasłużonych ludzi literatury, znalazł się także twórca z naszego terenu - poeta i prozaik Wilhelm Przeczek.

W tej książce zostały wykorzystane kolaże Noblistki ze zbioru prof. Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz oraz grafiki Mariusza Pałki.

Marta Fox przesłała książkę także na Zaolzie. Na adres Wilhelma Przeczka. Na stronicy tytułowej czytamy dedykację: *„Drogi Panie Wilhelmie, bez Pana wspaniałej impresji nie byłoby tej książki! Stokrotne dzięki - z poetyckim pozdrowieniem.*

Marta Fox
Katowice, luty 1997 r."

Bardzo dowcipnie i z całą kobiecopoetycką wrażliwością potraktowała Marta Fox „postaci mniej lub bardziej rzeczywiste", pojawiające się w tej książce: Irena Wyczółkowska „czarne ptaszysko w gwarze utajonym", Tadeusz Kijonka „Feniks, po prostu", Jerzy Harasymowicz „poeta, który bywał na weselu rusałek, ubrany tylko w trawy połonin", Andrzej Szuba „poeta i tłumacz, dla którego cisza jest najprawdziwszym wierszem" itd. Warto też dodać, że zamieszczono w książce biogramy tych autorów, którzy wypowiadali swoje zdanie o poezji Wisławy Szymborskiej.

Lech Broda

WŁADYSŁAW JOSIEK ODSZEDŁ

Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą
zostaną po nich buty i telefon głuchy
tylko to co nieważne jak krowa się wlecze
najważniejsze tak prędkie że nagle się staje
potem cisza normalna więc całkiem nieznośna
jak czystość urodzona najprościej z rozpaczy
kiedy myślimy o kimś zostając bez niego

Nie bądź pewny że czas masz bo pewność niepewna
zabiera nam wrażliwość tak jak każde szczęście
przychodzi jednocześnie jak patos i humor
jak dwie namiętności wciąż słabsze od jednej
tak szybko stąd odchodzą jak drozd milkną w lipcu
jak dźwięk trochę niezgrabny lub jak suchy ukłon
żeby widzieć naprawdę zamykają oczy

Chociaż większym ryzykiem rodzić się niż umrzeć
kochamy wciąż za mało i stale za późno

Nie pisz o tym zbyt często lecz pisz raz na zawsze
a będziesz tak jak delfin łagodny i mocny

Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą
i ci co nie odchodzą nie zawsze powrócą
i nigdy nie wiadomo mówiąc o miłości
czy pierwsza jest ostatnią czy ostatnia pierwszą

Jan Twardowski

Przychodził do redakcji od dawna. Przychodził z materiałami do druku. Przychodził, tak tylko porozmawiać – o szkole, o młodzieży, o PZKO, o Macierzy Szkolnej.

Przychodził podzielić się swymi marzeniami i swymi troskami, swym bólem i swym zmęczeniem.

Historyk z pasji i z wyboru, pedagog ceniony przez swych uczniów, przez wielu kochany. Działacz społeczny, który z pasją wygłaszał prelekcje, ale także przelewał je na papier i publikował. Przybliżał młodym dzieje nadolziańskiej ojczyzny, by tak, jak On żyli historią i tradycją.

Zmarł 31 maja 1997.





Festiwal PZKO 1997 (Mazowsze...), fot. FRANCISZEK BAŁON

PRZYGODY TOMKA W SZKOLNYM TEATRZE ZAWODOWYM

Podkreślano nieraz, że Scena Polska Teatru Cieszyńskiego jest jedynym zawodowym teatrem polskim poza granicami kraju. Można by zastanowić się, co to znaczy teatr zawodowy. Nie wnikając w tajniki ekonomii, w sprawy gospodarowania tym dobrem kultury, biorąc pod uwagę wyłącznie tzw. pion artystyczny, dla laika teatr zawodowy oznacza, że ludzie w nim pracujący to profesjonaliści o odpowiednim wykształceniu, a robienie teatru to wykonywany przez nich zawód. Nie inaczej jest w Scenie Polskiej.

Scena Polska ma jednak jeszcze inną specyfikę. Od lat mianowicie wystawia spektakle dla młodego widza. Z myślą o najmłodszych pokoleniach przyszłych abonentów Sceny Polskiej przygotowuje przedstawienia dla dzieci i młodzieży. I od lat angażuje do swoich przedstawień dzieci i młodzież. Siłą faktu amatorów. Tradycja dziecięcych aktorów jest w Scenie Polskiej mocno zakorzeniona, mimo że później rzadko wyrastają z nich profesjonaliści, którzy zasililiby szeregi członków Sceny Polskiej. Raczej wyruszają w świat, nie zawsze chętnie przyznając się do miejsca, z którego pochodzą.

Młodzieżowym przedstawieniem obecnego sezonu stały się „Przygody Tomka Sawyera". Spektakl premierowy obejrzałam pełna sprzecznych uczuć, nie byłam w stanie jednoznacznie określić wartości i sensowności tego obrazka scenicznego. Powieść Marka Twaina wydaje mi się całkowicie nieteatralna, przenoszenie na scenę prozy przygodowej musi odbywać się w bólach, szkoda że owych grymasów bólu nie udało się wyeliminować przed premierą. Twórcy przedstawienia postanowili ponadto za wszelką cenę przypodobać się publiczności. Palenie żywego ognia, a przede wszystkim ganianie z nożem po scenie, w czasach, gdy młodzież chętnie spędza czas przed telewizorem z ociekającymi krwią programami, w spektaklu, przeznaczonym przede wszystkim dla widowni młodzieżowej, jest dla mnie tanim chwytem pod publiczkę, niegodnym wielkiej prawdziwej sztuki. I chociaż obejrzałam później spektakl ponownie, z inną widownią w innym mieście, obserwując reakcje młodszych i starszych, moje wahania nie zniknęły. Wahania co do zasadności takiego, a nie innego kształtu przedstawienia, a przede wszystkim takich, a nie innych wykonawców.

Scena Polska wystawiła „Przygody Tomka Sawyera" według powieści Marka Twaina w adaptacji Natalii Wonkstern i Jurija Romanowicza w tłumaczeniu Mariana Niewiarowskiego w formie musicalu. Renata Putzlacher napisała słowa piętnastu piosenek do muzyki Zbigniewa Siwka. Muzyka zresztą odgrywa w tym przedstawieniu dużą rolę. Jest nie tylko

przerywnikiem między scenami, ale dotwarza nastrój, stopniuje napięcie, informuje o wadze wydarzeń. Wykonawcy, śpiewając piosenki, wykonują ruchy taneczne. Opracowanie choreograficzne, którego dokonała Elżbieta Picheta, jest jednym z ciekawszych elementów spektaklu. Śpiewy i tańce podobają się widzom, każda piosenka nagradzana jest brawami.

Główne role w „Przygodach Tomka Sawyera" powierzono uczniom Polskiej Szkoły Podstawowej w Czeskim Cieszynie. W przedstawieniu występuje aż siedmioro dzieciaków. I stąd biorą się moje największe zastrzeżenia. Szkoły robią przedstawienia szkolne na odpowiednim, zgodnym z możliwościami wykonawców, poziomie. Ale jak oceniać poziom szkolny w przedstawieniu teatru zawodowego? Jakie kryteria przyjąć, jak wysoko postawić poprzeczkę ? Czy można znaleźć w jednej szkole aż siedmiu uczniów, którzy sprostaliby zadaniom sceny zawodowej? Spektakl „Przygód Tomka Sawyera" dowodzi, że nie. Obronną ręką wyszła ze swej arcytrudnej roli, prowadząca cały spektakl, grająca w dodatku chłopaka, Alina Humel jako Tomek. Dużo wdzięku miała też Katarzyna Jedzok jako Becky Thatcher. W ogóle dziewczyny zaprezentowały się w tym przedstawieniu o wiele lepiej niż ich koledzy. Chłopcy mieli najwięcej problemów z artykulacją, modulacją głosu. Połykanie głosek czy całych części wyrazów uniemożliwiało niekiedy zrozumienie tekstu.

Zagrał też w przedstawieniu prawie cały zespół Sceny Polskiej. Ilość postaci, występujących w powieści, spowodowała spory tłum na scenie. Dla dorosłych aktorów pozostały jednak jedynie role drugoplanowe oraz statystowanie - trzymanie halabardy czy w tym wypadku świec.

„Przygody Tomka Sawyera" reżyserował Janusz Klimsza. Czekała go tym razem ciężka harówka z elementami pracy pedagogicznej. Mimo to nie zabrakło mu energii na realizację pomysłów w swoim stylu. Powieść przygodową z żywą akcją pokazał jako szereg obrazów scenicznych z elementami symbolizmu, przeplatanych tańcami i piosenką. Aktorzy - statyści, trzymający rekwizyty pomagali dotwarzać, zagospodarować przestrzeń sceniczną, ukonkretyzować miejsce akcji. Można wymienić na przykład scenę na cmentarzu czy w jaskini. Reżyser współpracował ze scenografem Martinem Víškem, którego funkcjonalna dekoracja odgrywała również swoją ważną rolę. Dużo miejsca w spektaklu zajęło przenoszenie części dekoracji, by zmienić miejsce akcji. Robili to głównie sami aktorzy. Wynosili skrzynki po piwie, przynosili je z powrotem - skrzynki owe służyły jako krzesła, ławki, podstawy pod ławy - dzięki czemu przedstawienie trwało dłużej i stawało się bardziej nudne.

Jak podsumować spektakl? Dla mnie jest to przedstawienie rozwlekłe, ogólnie kiepskie od strony aktorskiej (kilku młodych ludzi psuje wrażenie całości), z kilkoma dobrymi pomysłami inscenizacyjnymi i interesującą muzyką. Ponieważ jednak patrzę na spektakl pod innym trochę kątem niż przeciętny widz, nie wątpię, że znajdą się ludzie, którzy będą zachwyceni utalentowanymi dziećmi w dorosłym teatrze zawodowym.

CZESŁAWA RUDNIK

ECHO WYDARZEŃ MUZYCZNYCH

V FESTIWAL PIOSENKI DZIECIĘCEJ
(Próba oceny)

Pieśń obok tańca jest najstarszym gatunkiem muzycznym. Jej dzieje to właściwie cała historia muzyki, od kultur pierwotnych, poprzez wykształcone kultury starożytne, średniowiecze, renesans i barok, oświecenie i romantyzm - aż do naszych czasów. Obecna jest wszędzie tam, gdzie rozbrzmiewa muzyka - we wszystkich kulturach świata. Jest najbardziej „globalną" z form muzycznych, najbardziej społeczną i towarzyską. Jeżeli jest w człowieku jakiś niezniszczalny pierwiastek muzyczności, to jego ziarnem jest właśnie pieśń. Uprawianie jej wydaje się ciągle żywą potrzebą, realizowaną spontanicznie u człowieka już od najmłodszych lat. Zaangażowanie dziecka w tę formę muzycznej działalności stanowi proces pedagogicznie porządany, wysoce kształcący i absorbujący sferę uczuciową. Aktywne uczestnictwo w publicznym występie dostarcza mu wiele satysfakcji i atrakcyjności, poczucie własnej wartości uznania społecznego. Wielkim więc optymizmem napawa fakt, iż Festiwal Piosenki Dziecięcej utrwalił się na naszym terenie jako impreza cykliczna - bo oto 3 maja br. byliśmy świadkami kolejnej, już piątej edycji tej niebanalnej imprezy.

Organizatorami V Festiwalu Piosenki Dziecięcej byli ZG PZKO oraz Macierz Szkolna. Patronował mu prezydent miasta Hawierzowa JUDr Zdeněk Pohl. Scenariusz imprezy i jej oprawę reżyserską opracowała nauczycielka PSP w Błędowicach pani Lidia Pawlas. Nad całością czuwała zaś dyrektorka tejże szkoły pani Wanda Heller pełniąca funkcję gospodarza całej akcji. Ona też zagaiła jubileuszowy występ, witając całą plejadę zaproszonych gości i dokonując jego uroczystego zamknięcia. Festiwalowi towyrzyszyła orkiestra pod kierownictwem Wiesława Farany, który równocześnie był autorem aranżacji konkursowych produkcji muzycznych.

W koncercie finałowym V FPD zostało zaprezentowanych 21 piosenek. Finaliści wyłonieni zostali w styczniowych eliminacjach spośród 80 uczestników. Wyodrębniono pięć kategorii - 3 wiekowe, kategorię duetów oraz zespołów śpiewaczych.

Świadomi jesteśmy pozytywnych, jakże kształcących momentów imprez konkursowych, które prócz merytorycznych wartości posiadają szeroki i głęboki wydźwięk społeczny. Konkursy bowiem przyczyniają się do rozszerzenia repertuaru młodych wykonawców, rozwijają sztukę interpretacji i styl wykonawczy. Ponadto sprzyjają poszerzeniu doświadczeń estradowych występujących - im więcej przeżyli, tym więcej mają do po-

wiedzenia. Doświadczenie pomaga też w doskonaleniu technicznych środków wyrazu, w dążeniu do zniesienia dystansu między tym, co się potrafi, a tym, czego się chce, między możliwościami a wyobrażeniami wyrazowymi. Wreszcie, konkursy oferują młodym artystom symbole publicznego uznania - dyplomy, nagrody czy - co chyba wydaje się najbardziej satysfakcjonujące - udział w publicznych występach czy nagraniach. Bardzo istotnym momentem akcji konkursowych jest dobrowolność udziału, dostosowana jednak do obowiązujących reguł. Towarzyszy zaś im uczucie napięcia i radości, świadomości „odmienności" od zwyczajnego życia.

Na pewno owa majowa sobota w hawierzowskim Domu Kultury była spotkaniem pełnym emocji, odświętnego nastroju i gorących braw. Akcje artystyczne, w których uczestniczą dzieci i młodzież, odbierane są zawsze niezwykle entuzjastycznie i z dużą dozą aprobaty, zwłaszcza przez rodzinę czy grono przyjaciół młodych bohaterów sceny. Lubimy być świadkami produkcji scenicznych naszych najmłodszych, ulegając urokowi ich prostoty i bezpretensjonalności. Z pełną adoracją też śledzimy twórcze działania młodzieży wrażliwej, niejednokrotnie proponującej niepowtarzalne sugestie artystyczne. Przypomnijmy, iż materia piosenki jest złożona. Składa się z warstwy muzycznej i słownej, które wzajemnie dopełniają się, tworząc muzyczno-poetyczny twór. Prawidłowe wykonanie piosenki to wyrażenie jej treści emocjonalnych i intelektualnych, które przynosi owa integracja. To rozumienie jej wewnętrznej konstrukcji, to wreszcie przeżycie jej całym ciałem. Ale piosenką estradową rządzą jeszcze inne kanony. Myślimy tu o akompaniamencie muzycznym, o układzie ruchowym, bądź o oszczędnym acz wymownym geście, a także oprawie scenicznej z jej reżyserią, scenografią i efektami świetlnymi. Zwłaszcza aranżacja stanowi bodaj najistotniejsze elementy muzycznej kompozycji. Winna wyrażać idee, które niesie utwór, odzwierciedla jego nastrój, a przede wszystkim musi być logicznie podporządkowana budowie formalnej piosenki. A jedną z najprostszych form piosenki, to zwrotka i refren, czyli dwie różne części. Nie można więc jednorodny akompaniament stosować dla całości muzycznej. Interpretacja śpiewu podparta poprawną dykcją, aranżacją, dopełniająca jej treść i środki wyrazowe, zaistnienie wykonawcy na scenie w jej układzie i klimacie - oto elementy, które wykorzystane właściwie dają szansę stworzenia bogatej kreacji estradowej. Czy właśnie taki obraz konkursowych propozycji muzycznych uzyskaliśmy na tegorocznym Festiwalu?

Ogólnie poziom prezentowanych piosenek był bardzo dobry. Należy się cieszyć, że mamy tak dużo utalentowanych dzieci, które śpiewają dobrze, czysto intonacyjnie, z wyczuciem rytmu i frazy muzycznej. A przede wszystkim naturalnie, bez sztucznego formalizmu czy bezmyślnego kopiowania znanych wzorów.

Przyjrzyjmy się młodym finalistom, a zwłaszcza tym, którzy potrafili stworzyć wysokiej próby propozycje muzyczne, niebanalne, a interesujące w swym kształcie.

I kategorię reprezentowały najmłodsze dzieci: Katarzyna Kaczyńska i Adam Farana z Karwiny-Nowego Miasta, Dorota Branna z Trzyńca 6, Zuzanna Janiczek z Gnojnika oraz Beata Żydek z Błędowic. Katarzyna i Zuzanna zaśpiewały tę samą piosenkę „Lubię grać Mozarta". Obie też dopełniły swój występ wymownym rekwizytem, pluszowym pieskiem, o którym opowiada piosenka. A śpiewały o jamniku Mozarcie niezwykle wdzięcznie. To bardzo ładna kompozycja o ciekawej linii melodycznej opartej na urozmaiconym rytmie, wymagająca precyzyjnego wykonania. Zwłaszcza mała Kasia bardzo muzykalnie i plastycznie oddała kolejne frazy muzyczne, intonując je głosem wyrównanym i czystym (może z jednym drobnym zachwianiem intonacyjnym). Wydaje się, że dziewczynka ta ma sporą namiastkę możliwości wokalnych, bo łatwość śpiewu, głos o ładnym zabarwieniu i bardzo wysoki stopień muzykalności. Utwór podparty był przyjemnym aranżem, w który sprytnie wpleciono urywek Sonaty C-dur W. A. Mozarta, wnosząc trochę ducha tego mistrza muzyki klasycznej.

O piesku śpiewała również Dorota. „Mam w domu psa" przekonywała bardzo rytmicznie. Szkoda jednak, że zatrzymano ją w jednej, stałej pozycji, bez wprowadzenia nawet minimalnej zmiany w drugiej zwrotce. Akompaniament był jednorodny, nie uwypuklił rytmicznego refrenu, zlewając całość w monotonną, mało barwną kompozycję.

Również nieciekawa ruchowo była Beata. A śpiewała piosenkę, która przy właściwym aranżu i ruchu ciała mogłaby zyskać charakter chwytliwego przeboju. Ale Beata wykonywała ruchy jednostajne (zwroty w prawo i w lewo), a głośny akompaniament zupełnie nie uwzględnił złożoności utworu. Przecież tytułowy tekst „gdyby tak wróżką być" sugeruje narracyjny charakter pierwszej części. Powinna więc mu towarzyszyć muzyka spokojna, dająca szansę wyeksponowania warstwy tekstowej. Tymczasem w akompaniamencie za dużo było synkop, rytmów uzupełniających, dodatkowych wątków melodycznych. Zagubiło to główny temat piosenki i nie przygotowało właściwego tła dla refrenu, który powinien emocjonalnie porwać słowami „więcej słońca, więcej gwiazd".

Natomiast przebojowo zabrzmiał „Kaligula" Adama Farany. To chłopiec pełen temperamentu, doskonałego wyczucia rytmu i zaistnienia na scenie. Śpiewał czysto i pewnie mocnym głosem. Była to propozycja jasno określona, z bogatą instrumentacją, podkreślającą żywiołowość i barwność tej piosenki. Prosty, naturalny układ ruchowy wypływał z potrzeby emocjonalnego wypowiedzenia się, zakończony brawurowym „Ole!". Nic więc też dziwnego, że „Kaligula" zdobył pierwsze miejsce w kategorii

najmłodszych. Był jakby kwintesencją samookreślenia się dziecka w jego spontanicznej potrzebie artystycznego działania.

W kategorii II przedstawiło się czworo dzieci: Ewa Sajdok z Trzyńca 6, Pawlina Baron i Tomasz Suchanek z Błędowic oraz Joanna Rzeszut ze Stonawy. A wygrał ją Tomasz, bo też jego występ estradowy był tutaj najbardziej atrakcyjny, dobrze opracowany muzycznie i scenicznie. Wraz z towarzyszącym zespołem uroczych „Anek" zaproponował świetną zabawę - przejażdżkę „naszą starą limuzyną", o której mówił tekst piosenki. Tomek posiada przyjemny, bardzo czysty głos, którym swobodnie poruszał się po zmiennych poziomach melodycznych. Na szczególną pochwałę zasługuje tu reżyseria ruchowa. Świetny okazał się pomysł z ruchomym tłem: „Anki" wtórowały w refrenie, następnie imitowały jazdę samochodem. Podkład muzyczny był trochę za głośny, ale emanował radością wspólnej zabawy. Można więc było jego przesadną dynamikę zaakceptować. Dodajmy jeszcze wymowne dodatki ubrania Tomka - zawadiacki kaszkiet i szal, a upewnimy się, że wspólnie stworzono interpretację przemyślaną i pełną inwencji. W kontekście brawurowej „Limuzyny" niewiele szans miały pozostałe produkcje. Co prawda Pawlina oferowała nam także zabawę i to na „sto dwa", bo taki tytuł nosiła piosenka, ale jej wykonanie pozostało w głębokim niedoborze. Często pojawiały się zachwiania intonacyjne i niepewność prowadzenia fraz muzycznych, a wszystko to na tle hałaśliwego aranżu i chaotycznego układu przestrzennego. Ożywiono tu aż trzy plany - samą solistkę, współdziałający chórek a nawet zespół orkiestrowy. Ale taka zabawa na „sto dwa" nie może ulec żywiołowi. To nie dyskoteka! To występ artystyczny na scenie, który musi mieć twórczą koncepcję i musi zostać podporządkowany fachowej choreografii.

Odmienne w charakterze były dwie pozostałe piosenki: „Złota Daisy", wykonana przez Ewę i „Mała księżniczka", którą śpiewała Joanna. Niestety nastrojowość zubożyła nieodpowiednia instrumentacja. „Daisy" intonowana była głosem bardzo delikatnym, który jednak przykryła za głośna orkiestra. Uporczywie powtarzający się rytmiczny ruch trioli zaostrzył brzmienie akompaniamentu, co w efekcie zatraciło liryczną szatę tej kompozycji. Również subtelna „Mała księżniczka" zagubiła się w towarzystwie ciężkiego akompaniamentu, który zupełnie zapomniał, iż tańczy ona w rytmie walczyka. Interpretacja Joasi była też zbyt infantylna, przechodząca prawie w czułostkowość.

Niewątpliwie najbardziej ciekawe i urozmaicone propozycje dostarczyła kategoria trzecia. To już nastolatki o lepiej wykształconych głosach, bardziej doświadczone i świadome działań artystycznych. Udowodniła to Janina Wałoszek z Gnojnika, która przedstawiła pewnego rodzaju próbę zbliżenia się do piosenki aktorskiej. Jako typowa kobieta narzekała: „Ja nie

mam co na siebie włożyć", korespondując bardzo sensownie z wprowadzonym na scenę młodym mężczyzną. Nieporozumieniem natomiast było zachowywanie się dziewcząt z orkiestry. Ich bezsensowne podrygiwanie w nienajlepszym guście i pseudocharlestonowym stylu było nahalną interwencją w rozgrywającą się na pierwszym planie akcję. Zburzyło to konstrukcję piosenki, czemu również nie pomógł hałaśliwy, przeeksponowany aranż.

Brawurowo wybrzmiała pełna optymizmu piosenka Ireny Polak, uczennicy Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie „Na plaży". Irena dosłownie bawiła się tą piosenką, odtwarzając ją pewnie, bardzo jędrnie rytmicznie, wprowadzając ducha świeżości i radości w kontakcie z muzyką, słowem i widownią. Odebrana została bardzo entuzjastycznie i słusznie też nagrodzona trzecim miejscem w tej kategorii.

Wielokrotna już finalistka Alicja Herman usiłowała w piosence „Jak to w planie" stworzyć niebanalny sposób śpiewania bluesa. I byłaby to znakomita propozycja, gdyby nie orkiestra. Niestety duże pretensje należy skierować w kierunku autora aranżacji, którą zupełnie pozbawiono cech charakterystycznych dla tego gatunku. Zamiast równej, potoczystej rytmiki, rozgrywającej się w wolnym tempie, pewnych tak typowych „blue notes", nadających melodii odcień melancholii, powstał akompaniament poszarpany, zbyt prymitywny dla tego szlachetnego rodzaju muzyki jazzowej. Alicja usiłowała nadać swej wypowiedzi marzycielsko-sentymentalny ton - lekko przeciągany głos nasycony ekspresją, wymowne kocie ruchy... I wielka szkoda, że warstwa instrumentalna nie dopełniła tej interesującej przecież interpretacji wokalnej. Alicja Herman to utalentowana piosenkarka, o szerokich możliwościach głosowych, dużej inwencji i wrażliwości muzycznej. W swojej kilkuletniej karierze piosenkarskiej stworzyła niepowtarzalne, dojrzałe kreacje, zdobywając zawsze czołowe miejsca. W tegorocznym konkursie zajęła drugie miejsce. Pierwsze bowiem przyznano piosence „Deszczowy blues" - i to był autentyczny blues!

Kiedy na scenie pojawiła się odtwórczyni tej piosenki Barbara Humel, zrobiło się nagle cicho i pełna atencji uwaga słuchaczy towarzyszyła występowi już do końca. Autor muzyki i tekstu równocześnie Leszek Wronka stworzył spójną, zwartą kompozycję, w najdrobniejszych szczegółach przemyślaną. Tekst o pierwiastkach egzystencjalnych zachęcał do refleksji, inspirował do wyprawy w głąb wyobraźni. I do takiej przygody muzyka stworzyła odpowiednie warunki. Już pierwsze delikatne akordy fortepianu sygnalizowały tematykę i nastrój bluesa; melodia i jej instrumentalna szata, w której wymownie odzywał się wędrujący ruch fortepianu i głęboka linia basów, powoli nabrzmiewały, rozwijając tajemnicze piano w pełny ekspresji wyrazu punkt szczytowy - „całuj mnie,

całuj..." - marzenie piętnastoletniej dziewczyny. Był to bezsprzecznie najlepszy utwór konkursu, najbardziej oryginalny i najbardziej dojrzały. Pełen bluesowego klimatu oddany został głosem czystym w wielkim skupieniu, ze zróżnicowaną dynamiką (nareszcie piano!) i zmiennymi planami kolorystycznymi.

W kategorii duetów wystąpiły cztery śpiewające pary. Pierwsza - Natalia Major i Ryszard Wania, poszerzyła swój śpiew o grę na instrumentach (on na skrzypcach, ona na flecie). Nie stworzono im jednak warunków dla ekspozycji własnych wstawek instrumentalnych. W tym bowiem momencie dynamika orkiestry powinna absolutnie zejść do piana i pełnić rolę tła. Nie dostrzeżono jednak tej potrzeby. Występ ich był jednak mało przekonywający, żadnego kontaktu między nimi. A przecież duet to para współpracująca. I taki przykład dały Mariola Fryda i Barbara Suchanek w piosence „Tydzień u fryzjera". Opracowano ją w formie dialogu, zgrabnie przekazywanego przez obie dziewczyny. Wprowadzono dobry układ ruchowy i pewne elementy działania aktorskiego, znajdujące potwierdzenie w rozgrywającej się fabule. W sumie powstała żywa i barwna kompozycja, bardzo wdzięczna, z dozą subtelnej kokieterii. Przyznano jej zasłużone drugie miejsce. Trochę nieśmiały był występ Natalii Siedlaczek i Janiny Wałoszek, które swym strojem - zwiewne suknie i słomkowe kapelusze - wniosły powiew świeżego lata, o którym śpiewały. Należałoby wykonanie tej piosenki trochę dopracować, jak również bardziej skonkretyzować sam ruch sceniczny. Najlepszym duetem, który też został laureatem tej kategorii, była para Alicja Herman i Helena Lugsch. Dały pokaz świetnego opracowania muzycznego i ruchowego. Ich „Jambalaya", śpiewana w stylu country music, z dobrą, adekwatną do tego charakteru aranżacją, przekonywającą mimiką, gestami, po prostu przeżytą całym ciałem, była profesjonalną produkcją, którą z dumą można eksponować publicznie.

W tegorocznym konkursie festiwalowym po raz pierwszy wprowadzono kategorię zespołów śpiewaczych. Wydaje mi się jednak, że zbytecznie, że odbiega to już od formy konkursu piosenki. Mieliśmy swego czasu konfrontacje zespołów małych form i tam miało to rację bytu. Niemniej jednak przypomnę, że najwyżej został oceniony zespół śpiewaczy „Anki" z Błędowic. To grupka bardzo dobrze śpiewających dziewcząt, które też na tym Festiwalu pełniły wiele absorbujących funkcji - były gospodarzem imprezy, tworzyły chórek, akompaniujący niektórym solistom, wreszcie czwórka z nich przejęła pałeczkę bardzo odpowiedzialnej i trudnej funkcji konferansjera.

Formuła imprezy o charakterze festiwalowym, gdzie dzieci zapowiadają dzieci, jest niewątpliwie kontrowersyjna. Osobiście jestem zwolennikiem tradycyjnego układu, gdzie osoba dorosła, oczywiście kompetentna

w swej roli, odgrywa rolę prezentera. Powstaje wtedy pewna dwupłaszczyznowość – zapowiadający i solista. I to są różne płaszczyzny, nie tylko od strony formalnej, lecz i pod względem treści emocjonalnych. Ale jest to odrębny problem i prowadzenie tegorocznego Festiwalu w proponowany sposób wymaga osobnego omówienia. Chciałabym jednak podzielić się sugestią, iż scenariusz tej imprezy przesunął raczej jej formę w kierunku rewii muzycznej, w której nie podano nawet nazwisk autorów muzyki i tekstu prezentowanych piosenek, kładąc główny nacisk na element zabawowy. Niejednokrotnie czułam się na tym Festiwalu jak na zwyczajnej potańcówce, której przygrywa głośna kapela i migoczą światła dyskotekowe.

Tyle odczuć, refleksji, trochę kronikarskiej wypowiedzi. W końcowej konkluzji przypomnę, jak ważnym problemem jest sprawa fachowości muzycznej. Myślę tu o aranżacji, która winna twórczo dookreślać piosenkę, i o profesjonalnej reżyserii, niosącej pomoc śpiewającym w zaistnieniu na scenie, w ich poczuciu własnego ciała i estetyki ruchu. Nasuwa się propozycja, by muzyków – aranżerów było więcej. Większa wówczas różnorodność stylistyczna, szersza i ciekawsza skala doznań brzmieniowych. Pamiętać również należy, że konkurs to proces współzawodnictwa, którym rządzi dość surowy kodeks. Stąd też szczególnie ważna jest umiejętność przegrywania i przyjmowania własnych niepowodzeń i rozczarowań ze spokojem. Współzawodnictwo winno być siłą dopingującą i inspirującą, mobilizując ambitnych do twórczego samookreślenia się.

KRYSTYNA SUSZKA

APEL DO KOLEJARZY ŚLĄSKIEJ DYREKCJI OKRĘGOWEJ KOLEI PAŃSTWOWYCH I RODAKÓW NA ZAOLZIU

Drodzy Kolejarze,

w tym roku Śląska Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych obchodzi 75-lecie ustanowienia polskiej administracji w Niepodległej Polsce. Opracowywana jest monografia okręgu o jego organizacyjnym i technicznych rozwoju.

Od początków dziejów kolejnictwa w zakładach pracy znajdowały się symbole wiary chrześcijańskiej: krzyże, obrazy, figurki.

W okresie panowania komunizmu były one usuwane. Wielu z Was występowało w obronie tych symboli, wielu z Was przechowało je i wróciły one teraz do naszych zakładów pracy. Wybudowano też nowe kapliczki, ufundowano i poświęcono sztandary.

Drodzy Kolejarze, Wasi współpracownicy, zrzeszeni w Kołach Katolickiego Stowarzyszenia Kolejarzy Polskich, zwracają się do Was z prośbą o napisanie swoich wspomnień, aby udokumentować te fakty w naszej historii.

Za Zarząd Koła KSKP w Katowicach Maria Fedorowicz

Wspomnienia, zdjęcia, dokumenty rodzinne, bilety, listy przewozowe, mapy okręgu Bogumińskiego i Karwińskiego itp. prosimy kierować na adres: Roman Chowaniec, ul. Panewnicka 93/5,40-763 Katowice 19, lub na adres redakcji Zwrotu.



JO WÓM DÓM „GRÓNIE NASZE GRÓNIE"!



EIN MAL SZUMI JAWOR, ZWEI MAL GÓRALU! Rys. Bronisław Liberda

KRONIKA

"WYSTAWA MAJOWA"



Tradycyjną w MK PZKO Czeski Cieszyn-Centrum „Wystawę Majową" w Klubie PZKO przy ulicy J. Bożka zagaił w środę 30 kwietnia dr Władysław Josiek. W tym roku MK PZKO sprowadziło dwie wystawy. Obok historycznej ekspozycji dr Zahradnika „Polacy na Zaolziu" znalazła tu swe miejsce wystawa prac dzieci niepełnosprawnych z czeskocieszyńskiego ośrodka Diakonii Śląskiej - Eden.

Wystawom, jak co roku towarzyszył smaczny, bogaty bufet, przygotowany przez panie z Klubu Kobiet, działającego przy Kole. F. B.

NA ZIELONYCH STOŁACH

W ramach współpracy pomiędzy dolnolutyńską szkołą i Miejscowym Kołem PZKO odbyły się w piątek 2 maja br. w Domu PZKO w Skrzeczoniu podczas zbiórki harcerskiej mistrzostwa szkoły w tenisie stołowym.

Rozrywki przebiegły w trzech kategoriach na dwa zwycięskie sety. A oto wyniki: drużyna młodszoharcerska – dziewczyny: 1. Marcol Aneta, 2. Guziur Renata, 3. Berki Krystyna, 4. Szeliga Marta, drużyna młodszoharcerska – chłopcy: 1. Marcol Daniel, 2. Šertler Marian, 3. Kozieł Michał, 4. Kolebacz Leszek, drużyna starszoharcerska: 1. Szeliga Tomasz, 2. Berki Adrian, 3. Toboła Maja, 4. Guziur Barbara. Nad sprawnym przebiegiem rozrywek czuwała szczepowa hm. Berki Alicja oraz przedstawiciele MK PZKO

Skrzeczoń, które również ufundowało skromne nagrody dla najlepszych w poszczególnych kategoriach.

W dwa dni później, czyli 4 maja, w skrzeczońskim Domu PZKO odbyły się już XVII mistrzostwa Miejscowego Koła PZKO. W kategorii młodzieży szkolnej pierwsze i drugie miejsce zajęły siostry Barbara i Renata Guziur, a trzecie miejsce zajęła Marta Szeliga. W kategorii mężczyzn swój siódmy tytuł mistrza Koła bez porażki zdobył inż. Guziur Tadeusz, drugie miejsce zajął inż. Gałuszka Czesław, a na trzecim uplasował się Grabowski Władysław. Nagrody z ramienia zarządu Koła przekazał najlepszym kierownik działalności sportowej Górniok Zbigniew.

(D.G.)

"BŁĘKITNE GWIAZDY" WRÓCIŁY...



„Czytelnia" w Wędryni drżała w piątek 2 maja od potężnych braw i skandowania. To wypełniająca lokal po brzegi publiczność reagowała entuzjastycznie na powrót na scenę po 30 latach (dokładnie po 34), pracującego przy MK PZKO Wędrynia w latach sześćdziesiątych, zespołu rockowego „Błękitne Gwiazdy". Zespół w składzie Jerzy Lasota, Jerzy Macura, Władysław Szczotka i Adam Wojnar zaprezentował utwory „tamtych lat" z repertuaru angielskiej grupy „Schedows", na której się wzorował i grup polskich, takich jak na przykład „Niebiesko-Czarni".

F.B.

ŚWIĘTO 3 MAJA



W sali „Pod białymi orłami" Domu Polskiego w Ostrawie konsul generalny RP Bernard Błaszczyk przywitał licznie zgromadzonych gości z okazji kolejnej rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja, dzieła Sejmu Czteroletniego Rzeczypospolitej. Nawiązując do historycznego aktu zaakcentował poparcie władz polskich dla działań rodaków zamieszkałych w RC, działań mających na celu kultywowanie języka ojczystego, tradycji i kultury polskiej. Wśród trzystu przybyłych gości znaleźli się przedstawiciele życia politycznego, społecznego i gospodarczego z obu stron Olzy. Nie zapomniano również o akcencie kulturalnym. Pieśni dawnych mistrzów zaprezentowała Kompania Osób Prywatnych Amici Cantionis Antiquae pod kierownictwem dr. Leszka Kaliny.

E.S.

50 LAT DZIAŁALNOŚCI CHÓRU MIESZANEGO "OLBRACHCICE"

Jubileuszowe śpiewanie miało miejsce 10 maja w Domu MK PZKO w Olbrachcicach. Gościnnie obok jubilatów wystąpił zaprzyjaźniony chór „Stonawa". Najbardziej zasłużeni członkowie chóru zostali udekorowani odznakami PZCHiO. Długoletnim dyrygentem chóru jest Władysław Molenda, którego prezes Koła Iwona Guńka obdarowała „Złotą Księgą Polskiej Pieśni". Podziękowania za oddanie dla chóru otrzymał także jego kierownik organizacyjny Gustaw Guńka. Wśród składających gratulacje znaleźli się m. in. wiceprezes Rady Polaków Remigiusz Gąsior,

prezes ZG PZKO Jerzy Czap (członek olbrachcickiego zespołu), wicestarosta Urzędu Gminnego Henryk Feber i delegacja Zrzeszenia Śpiewaczego PZKO i Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie. Chór-Jubilat ze swej strony odśpiewaniem „Stu lat" podziękował właścicielom Firmy „Hans Mode" Piotrowi Przeczkowi i Ilonie Sambor za kostiumy dla piękniejszej części chóru.

E.S.

ZEBRANIE KOMISJI SZKOLNEJ

12 maja br. odbyło się w Czeskim Cieszynie zebranie Komisji do spraw Szkolnictwa przy Radzie Polaków. Przewodniczący komisji mgr Kazimierz Worek przedstawił na nim regulamin obrad. Zdecydowano, że członkiem Komisji Szkolnej oprócz osób biorących udział w zebraniu może być każdy, kto zaakceptuje regulamin obrad i wszyscy członkowie Komisji wyrażą zgodę na członkostwo danej osoby. Program obrad Komisji Szkolnej jest stały – kontrola protokołu z ostatniego zebrania, punkt „główny" obrad, który zostaje uchwalony na poprzednim zebraniu i sprawy wniesione. Wnioski zostają zaakceptowane, jeśli wszyscy członkowie Komisji Szkolnej, biorący udział w obradach, wyrażą zgodę na ich przyjęcie.

Dyskusja na zebraniu dotyczyła problematyki poruszonej w liście Ruchu Politycznego „Wspólnota", m.in. konieczności wprowadzenia autonomii szkolnej dla szkolnictwa polskiego na Zaolziu i powołania Urzędu Szkolnego dla szkolnictwa mniejszościowego. Członkowie Komisji Szkolnej zdecydowali przedstawić na przyszłym zebraniu opinię tej decyzji.

Zdecydowano również, że mgr Kazimierz Worek i inż. Edwin Macura opracują trzon programu ratowania i rozwoju szkolnictwa polskiego na Zaolziu.

T.T.

90 LAT PSP W BOGUMINIE

W sobotę 17 maja jubileuszowa uroczystość zgromadziła nauczycieli i wychowanków Polskiej Szkoły Podstawowej w budynku szkolnym i przylegającej doń świetlicy MK PZKO. Goście mogli obejrzeć wystawę prac dzieci i przedstawienie szkolne zatytułowane „Trzewiczki szczęścia" według Benedykta Herzta. Pełna

wdzięku gra małych aktorów, uczniów i przedszkolaków, zachwyciła rodziców i gości przybyłych na jubileusz szkoły. A z pewnością przygotowanie przedstawienia nie było proste, bo do szkoły w chwili obecnej uczęszcza zaledwie 15 uczniów. Historia szkoły, jak wielu innych na terenie Zaolzia, obfituje w dramatyczne



wydarzenia. Uroczystego otwarcia i poświęcenia polskiej szkoły w Nowym Boguminie Dworcu dokonano w listopadzie 1907 roku. Do wybuchu pierwszej wojny światowej szkoła była czteroklasowa. W czasie wojny została zamknięta i służyła jako szpital wojskowy. Otwarto ją ponownie w roku 1920, od września 1939 budynek znów służył jako szpital. Akta szkoły, podręczniki, pomoce szkolne zniszczono. Po wojnie do polskiej szkoły zapisało się 283 uczniów z Bogumina i okolicy. Ze względu na brak lokali nauka odbywała się na zmiany. Niestety na podstawie uchwały Plenum Miejskiej Rady Narodowej w Boguminie z 19 lipca 1946 szkołę zamknięto. Część dzieci zaczęła dojeżdżać do szkoły w Łazach, część wyprowadziła się z rodzinami do Polski, część przeszła do szkół czeskich na terenie Bogumina. Dzięki staraniom społeczeństwa polskiego w kwietniu 1948 roku udało się polską szkołę otworzyć na nowo, jednak zapisało się do niej już tylko 59 uczniów. Dyrektorami szkoły byli kolejno: Alfred Kocur, Gertruda Marosz i Wanda Kondziołka. Od roku 1993 funkcję tę pełni Maria Sładeczek. W budynku szkoły, będącej niegdyś własnością Macierzy Szkolnej, na parterze uczą się dzieci czeskiej szkoły, dzieci polskie mają do dyspozycji lokale na piętrze.

E.S.

ŁĘCKICH "OLZIANEK" SPOTKANIE WSPOMNIENIOWE

Czwarte z rzędu odbyło się w łęckiej salce 17 maja br. Z szerokiej okolicy zjechały byłe chórzystki „Olzianki", która zawiesiła swoją działalność w r. 1988, z Karwiny, Cieszyna, Trzyńca czy Stanisławic.

Długoletnie chórzystki, a obecnie działaczki PZKO otrzymały w dowód pamięci od miejscowej poetki pani Wandy Pribula zbiorek jej naprawdę miłych i serdecznych wierszydeł. Zawsze, również z tej okazji, pisze ona nowe teksty, parafrazując znane piosenki, jak: „Upływa szybko życie", czy „Płyniesz Olzo po dolinie". Z nostalgią wspominają i śpiewają: iż dopóki – „w zgodnym rytmie płynie, polskość nie zaginie"...

Na wstępie, corocznie, minutą ciszy oddają hołd pamięci swym zmarłym koleżankom-chórzystkom. Corocznie też odbywają się Msze Święte w intencji zmarłych „Olzianek".

I w tym roku było wiele miłych wspomnień i wspólnego śpiewania. Przygotowano i smaczną przekąskę. Była też okazja do urodzinowego toastu. Matka z córką, z rodu Kołatków, mogły odebrać zasłużone gratulacje z okazji życiowych Jubileuszy.

Czas mile płynął, w nostalgicznym nastroju, z pełnią nabożnych życzeń: „Oby takich spotkań było jeszcze bardzo wiele"... Z szczerego serca im tego życzymy!

J.K.

"SONA"



Sztuka o wyżej wymienionej nazwie została napisana na motywach baśni Elżbiety Kwasowskiej, przez Jana Pyszkę. W ramach obchodów 70-lecia Polskiej Szkoły Wydziałowej w Jabłonkowie wystawiły ją dzieci miejscowej Szkoły Podstawowej z Polskim Językiem Nauczania. Dziecięca i dorosła publiczność miała możliwość oglądania spektaklu w Domu PZKO w Nawsiu przez trzy kolejne dni od piątku (16 maja) do niedzieli.

F.B.

IMPREZA KOŁA PZKO PIOTROWICE

W niedzielę 18 maja br. Koło PZKO w Piotrowicach urządziło dla swoich członków i sympatyków imprezę z okazji Dnia Matki, połączoną z obchodami 43. rocznicy bitwy pod Monte Cassino.

Program kulturalny poświęcony matkom wykonali: Tomasz Michalski, duet Barbara Karolczyk - Barbara Sztuła, Roman Michalski i duet Erwin Masłowski - Erwin Michalski. Krótki referat poświęcony matkom wygłosił Tadeusz Błanik.

W drugiej części programu uczestnik bitwy pod Monte Cassino, jednocześnie prezes Koła Henryk Toman w mundurze kombatanckim przedstawił „Wiersz do narzeczonej Haliny". Utwór ten był po raz pierwszy recytowany we Włoszech podczas obchodów 50. rocznicy bitwy.

Po programie kulturalnym odbyło się w ogrodzie koło Domu PZKO smażenie jajecznicy.

T.T.

"BYSTRZYCA" W GOLESZOWIE

W ramach „XV Przeglądu Dorobku Kulturalnego - TON 97" organizowanego przez Gminny Ośrodek Kultury w Goleszowie wystąpił w tej miejscowości zespół taneczny MK PZKO w Bystrzycy - „Bystrzyca".



Zespół zaprezentował widowisko „Na jarmarku" i „Suitę słowacką". Goleszowska publiczność domagała się burzliwymi oklaskami kilku powtórek pełnych temperamentu tańców słowackich.

F.B.

WYSTAWA KLUBU KOBIET W SUCHEJ ŚREDNIEJ

Przygotowana została z myślą o uczczeniu 50-lecia PZKO. Panie zaprezentowały swoje dokonania artystyczne z zakresu robót ręcznych: szycia i haftu, robótek na drutach i szydełku, ozdób choinkowych i innych okazjonalnych. Całość ekspozycji została podzielona według czterech pór roku. Oddzielne miejsce poświęcone było na zaprezentowanie możliwości atrakcyjnego przygotowania urodzinowego stołu dla dzieci. Była także loteria. W kronice można było obejrzeć fotografie z poprzedniej wystawy, która także miała miejsce w świetlicy MK PZKO w roku 1994. Wystawie towarzyszyła scenka rodzajowa - współczesne zaolziańskie

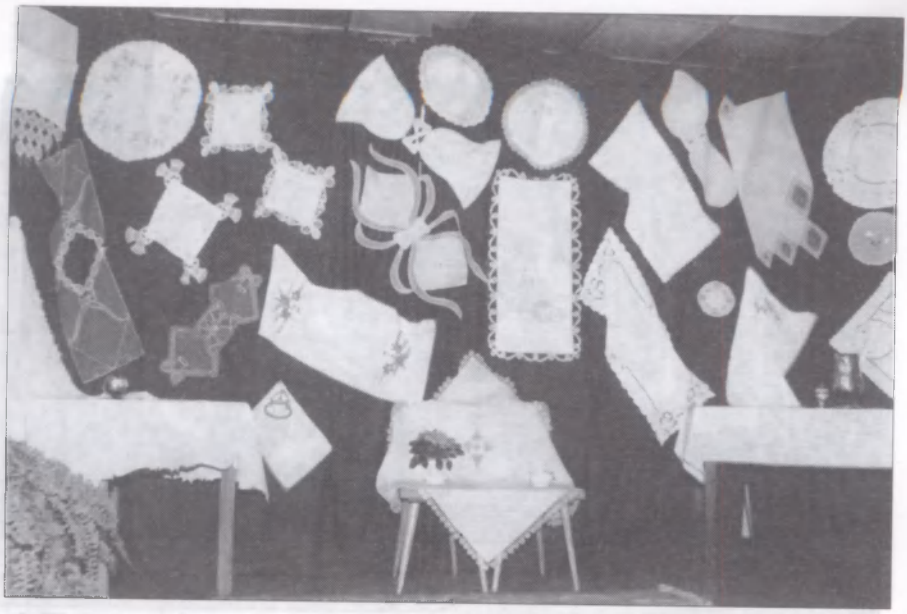


wesele. Wówczas to, w związku z odejściem przewodniczącej Klubu Marty Folwarcznej, zapowiedziano, że wystawa odbywa się po raz ostatni. A jednak wróciła po trzech latach, za co należą się podziękowania wszystkim paniom z Klubu Kobiet, a szczególnie nowej przewodniczącej Lence Ordelt. Wystawie towarzyszył również słodki poczęstunek, bowiem sprawne ręce pań przygotowały około 1000 ciastek i 2000 kołaczy.

E.S.

DOM PZKO W GUTACH MA JUŻ 20 LAT

Pezetkaowcy w Gutach z okazji 50-lecia powstania PZKO i 20. rocznicy otwarcia własnego budynku zaprezentowali w jego pomieszczeniach aż trzy wystawy. Oprócz wystawy prac ręcznych miejscowego Klubu Kobiet, którego przewodniczącą jest Helena Sikorowa, można było obejrzeć wystawę Stanisława Zahradnika „Polacy na Zaolziu" oraz zdjęcia mieszkańców Gutów autorstwa księdza seniora Kazimierza Suchanka. O wystawie „Polacy na Zaolziu" pisaliśmy już wielokrotnie podczas jej licznych wędrówek zarówno po Polsce, jak i Republice Czeskiej. Z pewnością ze szczególnym sentymentem oglądali mieszkańcy Gutów zbiór zdjęć zatytułowany „Bliscy memu sercu" ks. Suchanka, za który autor otrzymał w roku 1993 w Warszawie Nagrodę Brata Alberta za wybitne osiągnięcia w krzewieniu sztuki i kultury chrześcijańskiej. Wystawy można było oglądać



przez dwa dni 17 i 18 maja. Pezetkaowcy przygotowali takze bufet z doskonałymi wyrobami miejscowej kuchni. Jak zwykle z wielką troskliwością dbał o gości długoletni prezes MK PZKO a obecnie wiceprezes Paweł Rucki, który z satysfakcją opowiadał o planach wykorzystania Domu w najbliższym czasie. W sierpniu przybędą tu na plener plastycy z Myszkowa, nieco później odbędą się tradycyjne „Dożynki Śląskie", już po raz 30.

E.S.

...ZAWSZE ZIELONO, ZAWSZE NIEBIESKO...

W dniach 20 maja - 6 czerwca 1997 w sali wystawowej Miejskiego Ośrodka Kultury w Czeskim Cieszynie była zaprezentowana pokonkursowa wystawa „Barwy przyjaźni - Zawsze zielono, zawsze niebiesko". Wystawa powstała w Toruniu jako wynik VIII Międzynarodowego Konkursu Twórczości Plastycznej Dzieci i Młodzieży w roku 1995 i eksponowana była z okazji obchodów Światowego Dnia Ochrony Środowiska. Na konkurs nadesłano 18 928 prac z 56 krajów. Część nagrodzonych prac przywędrowała do Republiki Czeskiej za sprawą kontaktów toruńskiego Oddziału „Wspólnoty Polskiej" i ZG PZKO. Przed Czeskim Cieszynem wystawiona była w Karwinie. Prace dzieci zachwycają bogactwem kolorów i optymizmem. Opowiadają o naszym stosunku do świata i tego, co nas otacza. Dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury Gertruda Chovaniokowa, otwierając wystawę wspólnie z prezesem ZG PZKO, zwróciła uwagę na jej wartości etyczne - wskazówki płynące z dziecięcej wyobraźni dla nas dorosłych, by zachować świat takim, jakim widzą go dzieci. Otwarciu wystawy towarzyszył mini recital Marceli Suchankowej przy akompaniamencie Renaty Heczkowej i Darii Hampalowej. Panie są nauczycielkami w szkole muzycznej w Czeskim Cieszynie.

E.S.

30 LAT DZIAŁALNOŚCI PRZEDSZKOLA

W środę 21 maja w polskim oddziale czeskocieszyńskiego przedszkola przy ulicy Grabińskiej odbyło się spotkanie z okazji Dnia Matki. Maluchy pod kierownictwem wychowawczyń Marii Adamek i Haliny Ćwiertki zaprezentowały swoje talenty śpiewacze i taneczne, po czym wręczyły swoim mamom z okazji ich święta własnoręcznie przygotowane upominki. Jako że przedszkole obchodzi w tym roku jubileusz trzydziestolecia swojej działalności, toteż na spotkanie przybyli nie tylko rodzice i dziadkowie, ale i zaproszeni goście, w tym wiceprezes Rady Polaków Bronisław Walicki wraz z małżonką. Nasza redakcja przekazała dla przedszkola zabawki, których fundatorem było Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" w Warszawie.

E.S.



DZIEŃ MATKI W SZKOLE FRYSZTACKIEJ

„Mamo,
jesteś dla mnie najważniejsza na świecie,
tak wiele Ci zawdzięczam,
ale brak mi słów,
aby podziękować za wszystko,
co dla mnie uczyniłaś.
Daję Ci więc tysiąc serc,
a każde kryje uśmiech i życzenie,
abyś była zawsze szczęśliwa."

Takie pełne kolorowych serc zaproszenia na spotkanie z okazji Dnia Matki otrzymały mamy uczniów młodszych klas Szkoły Podstawowej w Karwinie-Frysztacie. Dom PZKO w Karwinie-Frysztacie zgromadził 22 maja mamy, babcie, ciocie, ale również ojców, dziadków i wujków, którzy przyszli obejrzeć program, prezentujący liczne talenty ich pociech. Każde z dzieci wystąpiło z wierszykiem, życzeniem, piosenką. Krótki program pokazał szkolny zespół „Wiolinek". Gromkie brawa publiczności zebrali też mali aktorzy w widowisku „Wagary". Na zakończenie każda z mam otrzymała od swej pociechy własnoręcznie zrobioną laurkę.

C.R.

ZEBRANIE RADY GMINNEJ W KARWINIE

22 maja br. odbyło się w Karwinie zebranie Rady Gminnej Kongresu Polaków. Zostało ono zwołane zgodnie z statutem Kongresu Polaków w RC. Obradom przewodniczył karwiński pełnomocnik, jednocześnie członek Rady Polaków, mgr Roman Baron. Udział wzięli działacze PZKO, Macierzy Szkolnej i innych organizacji polskich. W uchwale zaproponowano przygotowanie spotkania z członkami przedstawicielstwa miejskiego narodowości polskiej. Dyskutowano również na temat przyszłorocznych wyborów komunalnych.

T.T.

PEZETKAOWCY ZAUROCZENI KRAKOWEM

Nie po raz pierwszy dwa bratnie Koła PZKO - Stanisławice i Łąki zespoliły swe organizatorskie siły do wspólnej imprezy - wycieczki krajoznawczej. Tym razem wybrano Kraków. Ze względu na atrakcyjną trasę, zainteresowanie było duże, stąd musiano zapewnić dwa autokary, by zadowolić wszystkich chętnych. Obydwa Koła dysponują dobrymi organizatorami, jak pp. Szymanicy, Pustówka Bronisław czy Głombek Stanisław - ze Stanisławic, czy z Łąk Stanisław Kula a szczególnie prezes-rekordzista - od 1969 roku, Karol Tomiczek.

I tym razem głównym organizatorem wycieczki był p. Andrzej Szymanik, działacz społeczny. Ponownie stanął na wysokości zadania. Do pomocy zaangażował wielce zasłużoną panią Wandę Kozdrę, pracownicę Biblioteki Miejskiej w Czeskim Cieszynie. Dopisała również aura, więc w sumie wynik był imponujący!

Uczestnicy wycieczki zwiedzili Wawel, Smoczą Jamę, wysłuchali Hejnału z Wieży Mariackiej. Miło było słuchać ciekawych podań i legend opowiedzianych przez p. Wandzię: O Kraku, o Wandzie, co nie chciała Niemca, krakowskich gołębiach, czy wielu innych historycznych ciekawostek.

W autobusach były przygotowane przez organizatorów mini śpiewniczki z pięknymi piosenkami o Krakowie i Zaolziu. Udana wycieczka poznawcza była ciekawą formą uczczenia 50-lecia PZKO.

J.K.

70 LAT ZBORU EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W CZESKIM CIESZYNIE



Siedemdziesięciolecie Zboru Ewangelicko-Augsburskiego w Czeskim Cieszynie uczczono uroczystym nabożeństwem w kościele Ewangelickim Na Niwach w niedzielę 25 maja 1997 roku.

Nabożeństwo prowadzili wspólnie ks. biskup Luterańskiego Kościoła Ewangelickiego A.W. Wilhelm Stonawski i ks. senior Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A.W., Bogusław Kokotek. Stało się więc ono następnym krokiem na drodze pojednania tych obu kościołów. Wśród licznych gości byli przedstawiciele kościołów i organizacji kościelnych z Czech i z Polski, jak również przedstawiciele organizacji i władz świeckich.

F.B.

"OSZELDÓWKA"

W tym roku „Dzień Oszeldy", organizowany przez MK PZKO w Nieborach, przypadł na sobotę 25 maja. Pogoda, niestety na tej tradycyjnej imprezie często deszczowa, tym razem dopisała. Bogaty program. Bogaty bufet w Domu PZKO i na zewnątrz. Tłum ludzi, składający się w dużej części ze stałych bywalców miejscowych i pozamiejscowych.



W programie obok dzieci miejscowego przedszkola i szkoły wystąpiły chóry „Godulan", „Zgoda" i „Zgodzik". Ze swym występem przyjechał zespół „Suszanie" MK PZKO Sucha Górna i „Gimnastycy" z Wędryni. Pomiędzy poszczególnymi punktami programu, w myśl uwag dotyczących minionych „Oszeldówek", były dłuższe przerwy na rozmowy uczestników, na przekąskę.

Wśród gości w Nieborach na względy szczególne zasłużył znany polski dziennikarz, pasjonat Zaolzia, pan Władysław Oszelda, któremu złożono gratulacje z okazji 90-tych urodzin.

Imprezie towarzyszyła wystawa obrazów malowanych na szkle Antoniego Szpyrca. Była loteria z bardzo atrakcyjnymi nagrodami. Dzieci mogły spróbować jazdy konnej na kucykach... W ogóle było miło i przyjemnie, jak zawsze w Nieborach!

MALI ARTYŚCI Z CIERLICKA

Miesiąc maj obfituje w przedstawienia szkolne, na które tak chętnie chodzą rodzice i dziadkowie swoich pociech, a także sympatycy teatrzyków szkolnych, z łezką w oku wspominający swoje lata szkolne. Kolejnej uczty duchowej dostarczyły nam dzieci z przedszkola i małoklasowej polskiej szkoły w Cierlicku. 25 maja wypełniona po brzegi sala miejscowego Domu Kultury przez dwie godziny oklaskiwała małych artystów, którzy przedstawili bajkę muzyczną pt. „Maja" na motywach baśni Andersena „Calineczka". Gościnnie piosenkę wstępną i finałową zaśpiewały Halinka

i Pawlinka Baron oraz Irka Polak, absolwentki PSP w Cierlicku. Przedstawienie reżyserowała Barbara David, choreografię opracowały: Jadwiga Taraba, Zofia Włosok, Helena Curzydło i Helena Biason; kostiumy przygotowały: Anna Heczko, Helena Curzydło i Anna Holajnowa; dekoracja sceny: Darina Krygiel i Jan Przywara. Opracowanie muzyczne bajki – Zbigniew Glatz. Dochód z przedstawienia przeznaczony był na wsparcie wyjazdu dzieci do „zielonej szkoły" w Polsce.

E.S.



SPOTKANIE W BIBLIOTECE

Filia Biblioteki Miejskiej w Czeskim Cieszynie przy ulicy Havlička 6, której kierowniczką jest Wanda Kozdra, oprócz swojej bieżącej działalności czytelniczej organizuje również spotkania z ciekawymi osobami, wykazującymi się niekonwencjonalnymi zainteresowaniami. I tak 27 maja br. w lokalu biblioteki miało miejsce spotkanie z Romanem Wirthem, uczniem Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie, który zgodnie z zapowiedzią zaprezentował „Cuda z papieru, czyli sztukę origami". Młody prelegent opowiedział o swoich już kilkuletnich, ale ciągle pogłębianych fachową literaturą, zainteresowaniach tworzeniem papierowych zabawek i ozdób – sztuki rodem z Japonii – origami. Biorący udział w spotkaniu, zarówno dorośli, jak i dzieci mogli praktycznie przekonać się, że nie jest to sztuka łatwa. Na spotkanie licznie przybyły członkinie Klubu Kobiet MK PZKO Czeski Cieszyn-Centrum.

E.S.

SPOTKANIE Z "PRZEKROJEM"

Od trzech lat urządza Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie konkurs o tytuł Mistrza Krzyżówek „Przekroju". Wielbiciele przekrojowych krzyżówek spotykają się w bibliotece, by w określonym czasie rozwiązać jak najwięcej krzyżówkowych haseł i uzyskać nagrodę, ufundowaną przez redakcję krakowskiego tygodnika „Przekrój", jaką jest roczna prenumerata pisma.

Tegoroczna edycja konkursu miała szczególnie uroczysty charakter. Z Krakowa przybyli bowiem redaktor naczelny tygodnika Mieczysław Czuma oraz redaktor Leszek Mazan. Uczestniczyli w rozdaniu nagród, a następnie wzięli udział w spotkaniu z zaolziańskimi czytelnikami „Przekroju". Obydwaj okazali się świetnymi gawędziarzami, przez prawie dwie godziny opowiadali zabawne historyjki, związane nie tylko z redagowanym przez nich pismem.

„Przekrój" 15 kwietnia skończył 52 lata. Mieczysław Czuma kieruje pismem od 1973 roku. Obecność na konkursie w bibliotece wyjaśnił następująco: „To już jest trzeci konkurs, a trzeci to znaczy jubileuszowy. My jesteśmy z Krakowa, my kochamy jubileusze, wszystko, co ma okrągłą, symboliczną liczbę." Przekrojową krzyżówkę wymyślił Marian Eile, założyciel pisma. Wprowadził zasadę, że niekoniecznie trzeba wszystko wiedzieć, ale trzeba mieć lotny umysł, umieć kojarzyć. Na tym polega jej urok, że daje jednakowe szanse wszystkim bystrym, inteligentnym ludziom, bez potrzeby korzystania z encyklopedii i słowników. Jest to poza tym znakomite ćwiczenie z języka polskiego. Ten styl zadomowił się, scharakteryzował pismo, nadał mu własną twarz, oryginalność i odmienność. Dziś przygotowuje krzyżówki Joanna Kalkowska. Redaktor Czuma podkreślił, że odnosi się z wielką pokorą do miejsca, zwanego krzyżówką „Przekroju", ponieważ zna dużo ludzi, którzy właśnie od tego miejsca rozpoczynają lekturę pisma.

Obecnie istnieje na polskim rynku prasowym prawie cztery tysiące tytułów. Nastąpiła ekspansja koncernów zachodnich, których pisma są tanie, mają duże nakłady i chcą wyprzeć polskie tytuły. Poza tym doszło do upodobnienia, ponieważ wszystkie pisma robione są na komputerach i mają podobną czcionkę, podobne zabiegi poligraficzne. Żeby się utrzymać, trzeba różnić się duchem, treścią, sposobem widzenia świata. I właśnie oryginalność pomysłów, ironia, dystans do rzeczywistości i własny jej

sposób widzenia charakteryzują „Przekrój". Próbuje fotografować rzeczywistość z zachowaniem pewnego tradycjonalizmu. „Jesteśmy postępowymi konserwatystami", mówi redaktor naczelny. Czytelnik pisma nie lubi rzeczy do końca poważnych, to, co czyta, musi być zabawne. Ważne są niecodzienne pomysły. Formuła pisma, podana przez Mariana Eile, brzmi: *„Jest to pismo robione przez kretynów dla idiotów".*

Ogromne poczucie humoru wykazywali redaktorzy w ciągu całego spotkania w bibliotece. Leszek Mazan, przedstawiony jako znawca problematyki czeskiej na gruncie polskim, któremu *„nic, co czeskie, nie jest obce"*, był przez wiele lat korespondentem Polskiej Agencji Prasowej w Pradze. Swe korzenie wywodzi z Nowego Sącza, miasta założonego przez króla czeskiego Wacława II, a jego dziadek drugiej babki nazywał się Podeszwa i był Czechem. Leszek Mazan wspominał swój „Reportaż z góry Říp" w roku 1986, gdzie opisał wędrówkę Czecha i Lecha. Praojciec Czech zatrzymał się na górze Říp, pocałował ziemię i tu pozostał, a Lech poszedł dalej do Gniezna. Reportaż spotkał się z dezaprobatą redaktora naczelnego, który stwierdził: *„Ja muszę mieć Rusa albo przynajmniej wiedzieć, co się z nim stało".* Mazan poszedł na Uniwersytet Karola, by dowiedzieć się, dlaczego w tej legendzie nie ma Rusa. Uczony etnograf odpowiedział mu: *„Wiecie, na ówczesnym etapie nie był nam jeszcze potrzebny."* Mazan został ostatecznie odwołany z Pragi, a w uzasadnieniu tego odwołania znalazło się również następujące zdanie: *„Publiczne ujawnianie faktów, że Mieszko i Dubrawka wzięli ślub, w dodatku najprawdopodobniej kościelny, wbija klin w tradycyjnie dobre stosunki polsko-czechosłowackie".*

Redaktorzy Czuma i Mazan są absolwentami Uniwersytetu Jagiellońskiego i tym samym kolegami wszystkich, którzy tę uczelnię kończyli, np. Jana III Sobieskiego, Jana Matejki, Jana Pawła II, Mikołaja Kopernika. To są oczywiście koledzy z innych roczników, ale wszyscy razem stanowią jedną wielką rodzinę. Redaktorzy podkreślali swoją skromność. Leszek Mazan stwierdził wręcz: *„Jak człowiek chce coś porządnego przeczytać, to musi sobie sam napisać."*

Został też poruszony temat rzeka: stosunki Kraków–Warszawa. Leszek Mazan przedstawił swoje książki o Krakowie: „Legendę o złotej trąbce", „Kraków dla początkujących" oraz napisaną wspólnie z Katarzyną Siwiec, córką Mieczysława Czumy, „Kochajmy się", książkę, zawierającą „najbardziej ohydne dowcipy antykrakowskie i najpiękniejsze dowcipy antywarszawskie", „czcząc w ten sposób jubileusz 400-lecia

ustolicznienia Warszawy". Najnowszą książkę „Zdarzenia z życia byłego monarchy", tj. „ 142 opowieści o naszym najjaśniejszym panu Franciszku Józefie" zaanonsował następująco: „Opowieść jest oczywiście tak autentyczna jak zakładki w tej książeczce, które są zrobione na wzór troczek w gatkach najjaśniejszego pana". W planach na rok przyszły znajduje się napisana wespół z redaktorem Czumą książka „Austriackie gadanie czyli Wielka encyklopedia galicyjska".

Szerzej został na spotkaniu omówiony program ubiegłorocznych obchodów 400-lecia ustolicznienia Warszawy. Bo właściwie *„stolica nie została przeniesiona nigdy. Faktycznie zdarzył się w dziejach Krakowa głupi incydent. 8 marca 1596 roku król wsadził na osiem tratew lary, penaty, królową, fraucymer...i spuścił toto wszystko Wisłą do stolicy Mazowsza. I od tej pory ludność zamieszkująca okolice Pałacu Kultury im. Józefa Stalina czci ten dzień jako przeniesienie stolicy. No, bzdura. Król wrócił, zdążył jeszcze mieć syna... Ta przeprowadzka nikogo nie interesowała."* Trzeba było wymazać tę białą plamę i dlatego zawiązał się Komitet Obchodów 400-lecia Spławienia Stolicy z Krakowa do Warszawy. U Hawełki zeszła się Tajna Rada, zebrano 35 złotych, 8 szylingów i 60 groszy i członkowie ubezpieczyli się w PZU przed skutkami przeniesienia przypadkiem stolicy do Krakowa. Delegacja pojechała do Warszawy, gdzie przekazała prezydentowi Warszawy manifest, że Warszawa jest stolicą, bo do tej pory nie było takiego dokumentu, i że Kraków nie chce być stolicą, *„bo co by to było, gdyby nam Pałac Kultury zbudowano"*. U stóp Kolumny Zygmunta odbył się festyn. Prezydent miasta Warszawy bawił się świetnie, tylko, jak stwierdził Leszek Mazan, *„w jego oczach do końca widziałem jakieś takie dziwne błyski niepokoju. Przysięgam przed państwem, to chłopisko do końca nie wiedziało czy to tak wszystko na serio, czy dla hecy."* Z okazji jubileuszu podjęto też w Krakowie szereg inicjatyw. Jedną z nich miał być pociąg z Krakowa do Gdańska, który połączy te dwa historyczne miasta, pojedzie przez Warszawę, ale nie będzie się tam zatrzymywał, bo to będzie ekspres. Redaktor Czuma usprawiedliwił się w końcu, że wcale nie obraża Warszawy, że ma *„mapę w domu i tam jest zaznaczona Warszawa jako miasto"*.

Kraków jest według redaktorów „Przekroju" najpiękniejszym miastem. Tam powstał pierwszy szpital, pierwsza szkoła wyższa, pierwsza apteka, pierwsza gazeta. Tam jest największy rynek średniowieczny w Europie (4 hektary). I Błonia, coś, czego nie ma nikt, wielkie czterdziestocztero-

hektarowe pastwisko w środku miasta. Przywilej wypasania krów dała mieszkańcom jeszcze królowa Jadwiga. Krowy pozostały na Błoniach do dnia dzisiejszego. Szerzej omówiono legendę o hejnale krakowskim. Podobno hejnalista z legendy pochodził z Moraw. Uważa się, że hejnał jest pochodzenia węgierskiego. Grany na czeskiej trąbce przez polskiego hejnalistę stał się *„jedynym dowodem na zasadność istnienia tzw. grupy wyszehradzkiej"*. Kraków wspominał w swoich „Dziennikach" warszawiak Bolesław Prus: *„Miasto owszem przyjemne, rynek bardzo piękny, ale spać to tu się nie dało, bo co godzinę jakiś wariat grał na trąbce"*.

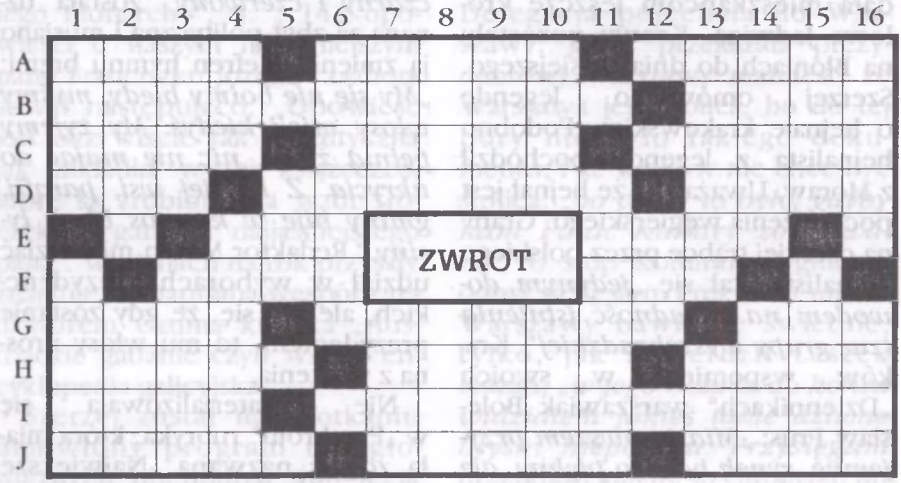
W Krakowie nie ma siedziby żadnych organów centralnych. Wyjątek stanowi Rada Błyskotliwych Polskiej Partii Łysych z jej przewodniczącym Leszkiem Mazanem. Ich hasło programowe brzmi: *„Rośniemy dzięki ubytkom."* Członkowie witają się słowami: *„Bracia, przekażmy sobie błysk pokoju."* Swoje legitymacje noszą na głowach, przy paniach nie używają słów grzebień i peruka, a Mazan pisze słowo grzebień przez ż. Posiadają organizację młodzieżową, kuźnię kadr partyjnych, Zakole Młodych. Śpiewany na „parteitagach" hymn łysych zaczyna się od słów: *„Po szerokim pięknym świecie idą łysi, szczęścia dzieci. Idą sobie łyse pały, idzie czarny, żółty, biały"*. Pierwsza wersja *„Idą w cztery świata strony: biały, czarny i czerwony"* została uznana za zbyt polityczną i musiano ją zmienić. Refren hymnu brzmi: *„My się nie boimy biedy, myśmy włosy mieli kiedyś. My żyjemy pełnią życia, nic nie mając do ukrycia. Z każdej wsi, parafii, gminy bije w kosmos błysk łysiny."* Redaktor Mazan miał wziąć udział w wyborach prezydenckich, ale bał się, że gdy zostanie prezydentem, to mu włosy urosną z wrażenia.

Nie zmaterializowała się w „Przekroju" rubryka, która miała zostać nazwana „Największe głupstwo mojej żony" lub „Największe głupstwo mojego męża". Przykładem do jej wypełnienia byłoby np. powiedzenie żony Leszka Mazana: *„Ile razy mam ci powtarzać, że kiedy w kuchni wołam „kochanie", to nie do ciebie, tylko do psa."* Tematu dostarczyłaby też żona Ludwika Jerzego Kerna, znakomita aktorka, Marta Stebnicka, która, idąc po zakupy, nie zaciągnęła hamulców w nowym „maluchu", w rezultacie czego ten znalazł się w rowie. Na pretensje męża odpowiedziała: *„Bo ja tylko po kilo cukru."*

W miłej atmosferze upłynął krzyżówkowy wieczór w bibliotece. Goście z Krakowa zaproszeni zostali na czwartą już edycję konkursu o tytuł Mistrza Krzyżówek „Przekroju" za rok.

CZESŁAWA RUDNIK

KRZYŻÓWKI



Rok 1997 jest dla polskiego śpiewactwa w RC również rokiem jubileuszowym, obchodzi bowiem 70-lecie swej zorganizowanej działalności chóralnej. Niniejszą krzyżówkę dedykuje autor wszystkim miłośnikom śpiewu chóralnego razem z dowcipnym polskim przysłowiem: Lepiej śpiewać, niż się gniewać.

POZIOMO: A. 1/6 starożytnej drachmy; polski aktor (Jerzy); kamizelka ratunkowa. **B.** Ziele lecznicze; kończyna. **C.** Polski prawnik (Seweryn); główna tętnica; nieżyt. **D.** Służy do umocowania szyb w ramach; stan i proces upowszechniania wykształcenia i kultury w społeczeństwie; Pięcioksiąg. **E.** Panika na giełdzie; najcięższy ptak latający. **F.** Sucha dolina pustynna; może być gramatyczny lub częstochowski. **G.** Koc; służy do oświetlania; spływa z oka. **H.** Pochlebca; przypomina kształtem oponę; Jeszcze Polska nie zginęła. **I.** Flisak; święci sobotę zamiast niedzieli. **J.** Starożytna machina wojenna: opust, bonifikata; żona Abrahama.

PIONOWO: 1. Port nad Irtyszem; wynik splatania. **2.** Kotka; chór mieszany MK PZKO w Darkowie. **3.** Kwaśna przyprawa; dostojnik w wielu krajach Wschodu. **4.** Włoska złotówka; płytka rogowa na języku mięczaków. **5.** Architekt holenderski (Jacobus). **6.** Motyl nocny. **7.** Port nad Donem; olejek różany. **8.** Starożytne miasto-państwo w Mezopotamii; miasto w Etiopii. **9.** Kolumna starożytnej świątyni; koń krwi czystej. **10.** Gra w karty; część składowa dźwięku. **11.** Antonim nadawcy. **12.** Głos lwa. **13.** Specjalista w zakresie budowy ciała ludzkiego; polski reżyser filmowy. **14.** 1/3 tryłogii H. Sienkiewicza; płynie przez Olsztyn. **15.** Pies myśliwski; obecna nazwa starożytnej Smyrny. **16.** Ryba słodkowodna; Jagiellonka. (taj)

WYRAZY TRUDNE: GOBA, MARI, OUD, SZER.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: H-16, B-4, G-8, E-11, I-3, B-13, D-8, C-3, G-15, J-10, B-15, H-2, E-6, I-15, G-3, D-7, A-2, G-11, J-13, B-10, D-2, G-4, J-16, B-3, H-13, D-6, A-14, F-6, H-14, F-3, J-2, B-9, F-15.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca lipca.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU MAJOWEGO:

Hasło: „Kluby Kobiet najaktywniejszymi ogniwami PZKO".

Nagrody książkowe wylosowali: Natalia Branny - Kocobędz
Bolesław Fukała - Karwina
Wanda Kalinowa - Sucha Górna

P	Y	W	O	R	O	W	A	J	A	B	Ł	Ó	N	K	O	W	E	C
K	R	Z	E	K	A	H	A	W	I	E	R	Z	Ó	W	O	Z	C	I
O	L	B	R	A	C	H	C	I	C	E	I	S	W	A	N	N	I	E
S	A	U	Y	U	I	I	Y	T	I	N	E	I	M	A	K	A	W	S
Z	T	K	S	S	J	R	L	D	K	O	G	R	Ó	D	E	K	A	Z
A	S	O	E	M	T	S	O	R	I	A	R	W	O	J	Ż	W	Ł	Y
R	Ą	W	N	S	I	R	K	T	E	K	R	Ł	O	K	O	Y	S	N
Z	K	I	O	A	~~O~~	~~L~~	~~Z~~	~~A~~	N	I	S	W	O	R	T	Z	I	A
Y	A	E	K	O	W	I	I	Y	Ł	A	C	E	I	W	S	S	N	N
S	R	C	D	Ą	L	A	P	K	C	K	Z	G	B	N	A	A	A	M
K	Y	I	C	Y	Ł	A	Z	Y	Ó	A	A	C	Ę	!	A	R	T	O
A	T	R	Z	Y	N	I	E	C	I	W	O	R	T	O	I	P	S	Ł
L	I	G	O	T	K	A	K	I	N	J	O	N	G	P	O	Ł	O	M

WYKREŚLANKA

W RZĘDACH PIONOWYCH, POZIOMYCH I UKOŚNYCH WYKREŚL 37 NAZW GEOGRAFICZNYCH Z NASZEGO TERENU. POZOSTAŁE LITERY CZYTANE W RZĘDACH POZIOMYCH DADZĄ ROZWIĄZANIE DODATKOWE.

WŚRÓD AUTORÓW PRAWIDŁOWYCH ROZWIĄZAŃ DRUGIEJ, WAKACYJNEJ KRZYŻÓWKI ZOSTANĄ ROZLOSOWANE DODATKOWE NAGRODY KSIĄŻKOWE.

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO–OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE
przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
EWA SANTARIUS (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bozka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
WILHELM PRZECZEK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 144,– Kč, z wysyłką pocztową 186,– Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

9 i 10 sierpnia

SPOTYKAMY SIĘ

WSZYSCY

NA

50. GOROLSKIM ŚWIĘCIE

TACY JESTEŚMY



ZRZESZENIE ŚPIEWACZO-MUZYCZNE PZKO

Obchodzone w tym roku 70-lecie zorganizowanego ruchu śpiewaczego na naszym terenie liczymy od momentu powstania w roku 1927 Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji.
Pracujące w ramach PZKO Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne jest kontynuatorem działań Związku Polskich Chórów na rzecz utrzymania pięknych tradycji śpiewaczych w naszym regionie.
Na odbywającym się w marcu Walnym Zgromadzeniu Delegatów Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego (fot.) byli obecni delegaci reprezentujący 25 działających obecnie na terenie Republiki Czeskiej chórów polskich.
Nasze chóry zrzeszają 800 osób. Pomimo wielu trudności, wynikających między innymi z faktu starzenia się zespołów, dorobek naszego śpiewactwa zajmuje słusznie najwyższe miejsce wśród dokonań polskiej mniejszości w RC na polu kultury. Nasza działalność śpiewacza jest dostrzegana i ceniona w środowiskach muzycznych Czech i w Polsce, gdzie nasze chóry nieraz zbierały swymi występami laury najwyższe. Wiele chórów występowało i w innych krajach Europy. (O historii i współczesności naszego śpiewactwa pisaliśmy obszernie i będziemy pisać w kolejnych nr. Zwrotu 1997.)

NASZE ZESPOŁY



„SKOTNICA"

Pisząc o „Skotnicy" musimy zacząć od „Skotniczki", bo i „doroślejsza" „Skotnica" wyrosła z dziecięcego zespołu „Skotniczka".
„Skotniczka" powstała w roku 1990, a ma już na swym koncie ponad 100 występów. Prezentowała się również 23 razy w Polsce, między innymi w Koszalinie, Bydgoszczy, Rydułtowych, Sosnowcu, Cieszynie, pięć razy brała udział w Tygodniu Kultury Beskidzkiej. W zespole śpiewa i tańczy 24 dzieci w głównej mierze z Dolnej Lutyni i Orłowej-Lutyni.
Zespół taneczny „SKOTNICA" powstał w roku 1994. Jego członkami stali się członkowie „Skotniczki", którzy chcieli kontynuować swą pasjonującą działalność. Zespół „Skotnica" to 7 par tanecznych. W roku 1996 ma on za sobą 19 występów, z tego kilka w Polsce – w Bydgoszczy, Czechowicach-Dziedzicach, Rydułtowych i na Tygodniu Kultury Beskidzkiej.
Duże znaczenie dla obu zespołów miał dwukrotny pobyt na warsztatach w Bydgoszczy.
Założycielką i kierowniczką zespołów MK PZKO Orłowa-Lutynia – „Skotniczki" i „Skotnicy" – jest pani Odonia Charvát, kierownictwo organizacyjne obejmują panie Wanda Wzientek i Halina Kornas, kronikę prowadzi pani Halina Śliwka, kierownikiem kapeli jest inż. Józef Luksz.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

8/97

50.

GOROLSKI ŚWIĘTO

9 – 10 VIII 1997



TACY BYLIŚMY



Chór mieszany „Hasło" ze Skrzeczonia obchodził w ub. r. 70-lecie. Do roku 1934 występował jako Chór Mieszany Macierzy Szkolnej.

Na zdjęciu z 1936 r. siedzą (z lewej): Emilia Habramówna, Weronika Piechówna, Gertruda Popkówna, Franciszek Klima, Szczepan Skrzyszowski, Alojzy Skulina, Karol Mach (dyrygent), Helena Kołkówna, Anna Brasiówna, Cecylia Piechówna.
Stoją w pierwszym rzędzie (od lewej): Maria Skowronówna, Franciszka Dudówna, Elżbieta Teichmanówna, Maria Szeliżanka, Stefania Szeliżanka, Jadwiga Jeżyszkówna, Helena Berkówna, Anna Kuboszówna, Malwina Berkówna, Krystyna Gliśnikówna, Hermina Czempielówna, Agnieszka Jaworzynówna, Olga Czempielówna, Stefania Krzywoniówna.
Stoją w drugim rzędzie (od lewej): Jan Filipek (zginął w Katyniu), Emil Alter, E. Frydel, Erwin Opic, Józef Solich (zginął w obozie koncentracyjnym), Alojzy Strządała, Ludwik Sebera, Emil Sebera (więzień obozu koncentracyjnego), Bogumil Goj (więzień obozu koncentracyjnego).
Zdjęcie nadesłał Wincenty Szeliga.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLVIII Nr 573 Cena numeru 12,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 15,50 Kč

8/97

W NUMERZE WAKACYJNYM

[3]	Nasze Święta Gorolskie	
[8]	50. edycja Kawiarenki „Pod Pegazem"	
[9]	50 lat debiutu literackiego Władysława Młynka	J. P.
[10]	Wszycko o gorzołce, ku śmiychu, ale też ku płaczu!	
[11]	Zlot Polonii w Gdańsku	HALINA GAWLAS
[14]	Czy znasz tę bibliotekę	CZESŁAWA RUDNIK
[18]	Bronisław Liberda więcej niż „nasz"	F. B.
[21]	Warsztaty plastyczne najmłodszych	C. R.
[24]	U teściowej w Wietnamie	CZESŁAWA RUDNIK
[30]	Poezja Agnieszki Piegzy Łupińskiej	
[32]	Władysław Młynek: Kamienity	
[37]	Renata Putzlacher – Moje fascynacje	
[39]	Polemiki	
[43]	Fraszki Gustawa Sajdoka	
[44]	Listy Rencisty	
[45]	„Tygiel Kultury"	ROMAN BARON
[48]	To i owo	
[50]	Na półkach księgarskich	
[54]	Echo wydarzeń muzycznych	
[63]	5. Cierlickie Lato Filmowe	MAREK MICHAŁEK
[64]	Kronika	
[71]	Henryk Toman 75-letni	
[73]	Mozaika	
[76]	Krzyżówki	

Numer zamknięto 14. 7. 1997
1. str. okładki – Gorolski Święto



NASZE ŚWIĘTA GOROLSKIE

Coś w tym jest, stwierdzają uczestnicy. Rzeczywiście, coś w tym jest, coś co przyciąga, co decyduje o popularności święta.. Ale co? W grę wchodzi tutaj chyba kilka czynników. Jest to przede wszystkim umiejętność wyzyskiwania oryginalnego folkloru góralskiego i to wyzyskiwania zarówno w programie, jak i w „oprawie" Święta Gorolskiego (pochód, stoiska, ubiory). Jest to ogólna atmosfera przyjaźni, zdrowego ludowego humoru, beztroskiej zabawy, owe spotkania znajomych przy miodówce czy kawie, wznawiane i zawiązujące się znajomości, przechadzki nad brzegiem Olzy i po zboczach miejskiego parku, wśród niefałszowanej przyrody podbeskidzkiej. Jest to wreszcie sam program ujmujący w wokalne, taneczne i dramatyczne ramy miejscowy foklor (głównie „Gorol") oraz folklor sąsiednich regionów czy krajów (zespoły gościnne) – stwierdził recenzent „Zwrotu" 8/63.

A wszystko zaczęło się tak:

Kiedy ucichły huki armat i wszystkie dzwony i syreny zwiastowały koniec wojny, pod naszymi gróniami zaświeciło słońce radości i pokoju. Z tułaczek wojennych wracali górale do swych domów i najbliższych. Po latach rozłąki spotkali się przedwojenni koledzy i na nowo ożyła góralska piosenka. Nie było wówczas jeszcze mowy o organizacjach kulturalnych, a już miłośnicy pieśni schodzili się, by swymi wystąpami upiększyć okoliczne uroczystości. Dopiero w roku 1947, kiedy nasze władze zatwierdziły statuty PZKO i SMP (...) zagwarantowany został rozwój naszej pracy kulturalno–społecznej. Zaczęto organizować zespoły, urządzać tradycyjne festyny. Jabłonkowska szkoła wraz z PZKO czyniła przygotowania do takiego właśnie festynu. Pierwszym powojennym dyrektorem szkoły wydziałowej w Jabłonkowie był Karol Piegza. Już wtedy był znany jako wielki folklorysta i malarz. Sentyment miał do naszego Podbeskidzia, zbierał różne góralskie pieśni i zwyczaje, a swoje zamiłowanie potrafił przenieść na młodzież szkolną, zachęcał ją, by przynosiła ze strychów góralskie narzędzia, kołowrotki, maśniczki i inne zapomniane starocie. Kiedy na wspólnym zebraniu w starej Czytelni omawiano sprawę festynu, na wniosek Karola Piegzy postanowiono tym razem urządzić imprezę regionalną i przedstawić szerokiej publiczności bogaty folklor Podbeskidzia. Imprezę zdecydowano się nazwać Gorolskim Świętem w odróżnieniu od przedwojennego Święta Gór, organizowanego w Wiśle.

◀ *Fotografia nieznanego „goroliczka" z roku 1949... czy to teraz „gorol?"*



Jura...



Jura z Maciejym...

Tak zaczęła się tradycja Świąt. Pierwsze Gorolski Święto zaplanowano na dzień 12 września 1948, a za najstosowniejsze miejsce uznano Lasek Miejski nad Olzą. Poszerzony komitet i komisje robocze z zapałem zabrały się do pracy. Nie było jeszcze zaplecza, ławy i stoły przywożono z Czytelni, tańczono na trawie. Barwny pochód uformował się przed szkołą wydziałową. Kobiety powyciągały i nawypożyczały stroje góralskie, byli też jackowie jabłonkowscy, trzej gajdosze, sąsiednie chóry młodzieżowe, wyparadzona dziatwa szkolna i miejscowa orkiestra dęta. Był także pierwszy wóz alegoryczny z Nawsia. Chata góralska, w której stary góral szył kierpce, pasterz mełł na żarnach, gaździna przędła na kołowrotku i nogą kołysała dziecko w kołysce. Punktualnie o godzinie 14. ruszył pochód, jeszcze skromny, ale na owe czasy wspaniały. Ludzi zeszło się dużo, w oknach i na chodnikach były masy ciekawych widzów. Na miejscu zagaił i przywitał obecnych dyrektor Karol Piegza. W programie wystąpiły chóry, zespoły taneczne i dziatwa szkolna. Gorzej było z aprowizacją. Nie liczono na takie zapotrzebowanie, nie było jeszcze tych pięknych chatek góralskich ze swoimi góralskimi specjałami. Jedyną oryginalną chatę góralską wybudowało PZKO Nawsie. Pierwszy raz pojawiły się placki ziemniaczane. Tego, co się działo przed tą chatą, nie da się opisać. Placki wyrywano sobie z rąk, a biedne gaździnki w kabotkach i sukniach góralskich, oblane potem, nie mogły nadążyć w ich produkcji. Ba-



Tradycyjne wozy...

wiono się, tańczono, śpiewano i częstowano do późnej nocy. A niektórzy, słabszej konstrukcji, odpoczywali do białego rana. Pierwsze Gorolskie Święto wypadło nadspodziewanie i nas, organizatorów, zobowiązało do kontynuowania tej wspaniałej imprezy.

Od roku 1950 głównym organizatorem Gorolskich Świąt było Miejscowe Koło PZKO Jabłonków ze swoim zespołem regionalnym „Gorol". Widząc tak powszechne zainteresowanie naszym świętem, postanowiliśmy zaangażować w tę sprawę wszystkie sąsiednie koła. Następne pochody wyruszały już z nawiejskiego dworca kolejowego. Każda wioska popisywała się pomysłowym wozem alegorycznym, za którym ubrane w stroje ludowe maszerowały nasze gaździnki i młodzież. Wieść o naszym święcie rozniosła się daleko. Na następne święta przyjeżdżały tłumy sympatyków z całego terenu. Były specjalne pociągi, autobusy, setki samochodów. Tysiące osób garnęło się do lasku nad Olzą. Zapraszano znane zespoły nawet spoza granicy. Trzonem programu był zawsze gospodarz święta zespół „Gorol". Na każde święto przygotowywał nowe widowisko regionalne. Od początku sam byłem wodzirejem całej imprezy, znany w terenie jako Jura spod Grónia. Byłem też jednym z założycieli „Gorola" i autorem widowisk. Zawołanie „Ho! Ho! Ho!" stało się znane w szerokiej okolicy. W programie pojawiły się też oryginalne postacie: w pierwszych latach stary góral Michoł (Alojzy Ligocki), a później legendarny pasterz Maciej (Ludwik Cienciała). Opowiadania Michoła były oryginalne i wielce zabawne, postać Macieja bezkonkurencyjna. Jeszcze długo po każdym święcie opowiadano sobie w terenie jego anegdoty. Tak wspominał z okazji 40. Gorolskigo Święta Władysław Niedoba w „Kalendarzu Śląskim" 1987.

Jabłonkowska impreza zawdzięcza swą popularność bezpośredniości, żywiołowości, a nawet sporej dozie pomysłowej improwizacji. Można by ją było jeszcze ulepszyć. Trzeba jednak uważać, by nie zrobiono z niej jakiegoś wielkiego festynu czy festiwalu zespołów. Niechaj w niej znajdą zawsze miłośnicy góralszczyzny i żywego fokloru coś, co przemawia bezpośrednio do duszy i zostaje na długo w pamięci. (...) Niewiele imprez na naszym terenie może się poszczycić taką regularnością i popularnością. Na niewielu imprezach też oprócz tłumów ludzi bywa taka swoista, serdeczna i miła atmosfera. (Józef Wantuła, Święto najmilsze, „Kalendarz Śląski" 1964)

I nic się nie zmieniło, choć mamy już 50. Gorolski Święto. Jest wesoło, kolorowo i rodzinnie.

Z pochodu „Gorolski Święto 1988", fot. FRANCISZEK BAŁON ▶





KAWIARENKA
POD PEGAZEM

50. EDYCJA KAWIARENKI "POD PEGAZEM"

Kawiarenka „Pod Pegazem" MK PZKO w Jabłonkowie pod patronatem ZG PZKO w Czeskim Cieszynie i Zrzeszenia Literatów Polskich w Republice Czeskiej

ZAPRASZA

na Sympozjum Literackie 50. edycji Kawiarenki „Pod Pegazem" z wiodącym tematem: „Literatura polska w Republice Czeskiej" (na Zaolziu), które odbędzie się w ramach Jubileuszowego ŚG, dnia 9 sierpnia o godzinie 14.00 w Domu PZKO Jabłonków.

W programie wystąpią:

dr Kazimierz Kaszper, Uniwersytet Ostrawski

dr Jiří Urbanec, Uniwersytet Ostrawski

doc. František Všetička, Uniwersytet Palackiego w Ołomuńcu

prof. Edmund Rosner, Uniwersytet Śląski w Katowicach – Filia Cieszyn

prof. Jacek Kolbuszewski, Uniwersytet Wrocławski

prof. Władysław Hendzel, Uniwersytet Opolski

mgr Libor Martinek: „Polscy tłumacze literatury czeskiej i słowackiej na Zaolziu", UŚ w Opawie

oraz Peter Andruška: „Literatury narodowościowe w Słowacji, Literatura słowacka za granicą Słowacji"

Część II:

Prezentacja twórczości rodzimych autorów w wykonaniu artystów Karola Suszki i J. Wojtylovej oraz Petra Andruški.

Kawiarenkę prowadzą: Wilhelm Przeczek – Jan Pyszko, drugą część Janusz Wójcik.

50 LAT DEBIUTU LITERACKIEGO WŁADYSŁAWA MŁYNKA

Życie można rwać kawałkami
obcęgami ust
szarpać kopniakami jezorów
boleśniej
niż dynamitem

napisze poeta, nauczyciel, orędownik i piewca ziemi, człowiek jak każdy inny, a jednak inny, promieniujący pogodą śpiewnego nieba, ziemi, ducha, każącego być i godnie żyć.

Władysław Młynek, urodzony 6 czerwca 1930 roku w Gródku (pierwotnym Jabłonkowie) w kwietniu br. świętował 50-lecie swojego debiutu literackiego (Praca szkolna **„Czas do szkoły czas"**, IV 1947; Szyndzioły **„Do młodości"**, dodatek lit. GL IV 1947").

Pół wieku! Aż wierzyć się nie chce, a to po prostu prawda.

Poznaczony piętnem działacza-społecznika, nieugięcie trwa na straży najcenniejszego skarbu-rodowodu rodzimej kultury - ojcowizny, którą swoistym sposobem artysty uprawia w słowie, muzyce, folklorze. Wzorem poprzedników kultywuje apostolstwo ziemi nad Olzą, które zauważane jest i cenione w małej i wielkiej Ojczyźnie... dla *„ratowania skarbów ziemi rodzimej kultury"* - powie w rozmowie.

Niezwykła to postać Ziemi Cieszyńskiej, szczególnie Jabłonkowskiego, która rzeźbiona rzeźbi, wzbogaca spuściznę wartości duchowych ziemi, ludzi. Gdziekolwiek rzuca go los nauczyciela, wszędzie budzi, powołuje do życia kulturalnego młodzież - tak było w Trzyńcu Kanadzie (SMP), Ligotce Kameralnej, Gnojniku, Rzece, Kamienitym, Trzyńcu, Milikowie, Bukowcu... Jabłonkowie...

Czynem, artystyczno-ludowymi dokonaniami maluje wielobarwny portret i autoportret - obraz, ciężarnej w ostre kamienie, szlachetnej, drogiej sercu i myśli sprawy... którą nazywa - *mądrym smutkiem zrozumienia...!*

Od 1971 roku jest współautorem Świąt Gorolskich, członkiem, kierownikiem artystycznym Zespołu „Gorol" (ponad 300 występów trombity z Jurą spod Grónia, tragicznie zmarłym Maciejem...)... to *„poezja spod serca płynąca"*, powie.

Wydał: **„Koło, koło młyński"** (1979), **„Śpiywy zza Olzy"** (1980), **„Śpiewające zbocza"** (1989), **„Droga przez siebie"** (1992).

Antologie: „Mrowisko" (1964), „Zaprosiny do stołu" (1978), „Słowa i krajobrazy" (1980), „Zaproszenie do źródła" (1986), „Suita zaolziańska" (1985), „Samosiewy" (1988), „Z biegiem Olzy" (1990), „Wiersze z okazji" (1991)...

Napisał 7 sztuk teatralnych dla potrzeb teatru szkolnego, 10 sztuk dla teatrów amatorskich PZKO.

„Czantoryjki" oraz „Biedronki" - dziewczęce zespoły śpiewacze szkoły trzynieckiej pod jego kierownictwem i autorstwem dały w latach 1974-78 180 występów, w Milikowie powstał zespół szkolny (1978-85) „Goroliczek", który był chlubą szkoły również na Świętach Gorolskich.

J.P.

WSZYCKO O GORZOŁCE, KU ŚMIYCHU, ALE TEŻ KU PŁACZU!

Chłopi: *Gorzołeczka dobre zieli, bo człowieka rozweseli.*
Baby: *Gdo pije, labuje, muzyke płaci, weznóm go po śmierci anieli rogaci.*

Chłopi: *Gorzołeczka łyku, łyku, dobrze klejże po jynzyku.*
Baby: *Gdo bez miary pije, tyn nosym krzipópki ryje!*

Chłopi: *Gorzołeczka ciotko moja, nie piół żech cie jako wczora!*
Baby: *Wczora była niedzieliczka, pyndziałeczek nastoł, porachuj se mój chłopeczku, coś wczora przechlastoł!*

Chłopi: *Lepszy aby se chałupa obulyła, jak gorzołka wyloła, bo chałupym postawi a gorzołkym ani kura nie pozbiyro.*
Baby: *Gdyby nie gorzoła, byłaby stodoła!*

Chłopi: *Lepszy zaniyść do gospody, jak do aptyki.*
Baby: *Wiyncy ludzi utynyło w kieliszku, jak w morzu!*

Chłopi: *Gorzoła co na deszczu stoła (słabo „sztelowano").*
Baby: *Gdyby nie było tela „sztelowanio", przisziłby chłopi rychli z zebranio.*

Chłopi: *Pojeść, popić a na szporowani se pojczać.*
Baby: *Gdo moc jy i pije, tyn w rozum nie tyje!*

Chłopi: *Lepszy z rana jednóm półke, niż cały dziyń nic.*
Baby: *Pij pijoku, pij, na starość torba i kij!*

Chłopi: *Zdrów za nas dwóch, a na trzecigo tego, co gorzołka jego.*
Baby: *Zaporo od piekła, już abych od ciebie uciykła!*

Chłopi: *Łate na łate bić, a gorzołke pić.*
Baby: *Gorzołeczka eee, a galaty złee! Gospodzki dowo, a d...sago!*

Chłopi: *Sprzedej gacie a wypij bracie.*
Baby: *A za rok cie bydzie mioł kopidziura na łopacie!*

Chłopi: *Jedna półka z rana, to ni ma żodno pogana...*
Baby: *... ale jak ich dziesiynć łupnie, to i tyn najmóndrzejszy zgłupnie!*

Podpisujym sie yny dwiyma literami, aby mie nie zbili piwiorze sztachetami. (ek)

ZLOT POLONII W GDAŃSKU



Gdańsk, Motława – panie Czesława i Maria z Białorusi, w środku Halina Gawlas

W piątek 30 maja br. rozpoczął się w Gdańsku Zlot Polonii, zorganizowany z okazji tysiąclecia chrztu Gdańska i 200-lecia Mazurka Dąbrowskiego. Na Zlot, który trwał do 4 czerwca, przyjechało ponad 90 działaczy organizacji polskich, szkół, przedstawicieli prasy ze Wschodu i Zachodu. Zaolzie reprezentowały Halina Gawlas, wiceprezes ZG PZKO, oraz Franciszka Chocholáč, prezes Beskidu Śląskiego, członek Rady Polaków. Celem imprezy polonijnej, której organizatorami byli m.in. Pomorski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" w Gdyni oraz Stowarzyszenie „Mazurka Dąbrowskiego" w Gdańsku, była promocja w środowiskach Polonii i Polaków za granicą Gdańska i całego regionu Pomorza Gdańskiego.

Na ścianie sali reprezentacyjnej ratusza gdańskiego widniał napis: „Gdańsk, prastary gród słowiański nad Bałtykiem, od zarania swych dziejów związany z Polską, rósł w potęgę i bogactwo pod berłem królów polskich dla dobra swych obywateli, chwały Rzeczpospolitej Polskiej, stał wiernie u jej morskich granic." Fakt ten podkreślany był w odczytach, dotyczących kultury, nauki czy też specyfiki społeczeństwa regionu gdańskiego, wygłaszanych przez profesorów uniwersyteckich dla zebranej Polonii. Podkreślano jednak i to, że Gdańsk był miastem wolnego handlu,

Hanzy, gdzie narodowość i wyznanie niewiele znaczyły, był miastem wielokulturowej tradycji, wielu języków i wyznań. Są tu pamiątki po Krzyżakach, miasto kształtowali również flamandzcy budowniczowie, osadnicy z Holandii i Szkocji, hugenoci, kupcy angielscy czy też przebywający tu Żydzi.

Od XIV wieku językiem gdańskiej ulicy był język niemiecki. Najważniejszą identyfikacją mieszkańców Gdańska nie była jednak narodowość, ale było to obywatelstwo ich miasta. Ideologią życia codziennego był sukces ekonomiczny i duma z miasta - patriotyzm lokalny. W tych czasach działo się w Gdańsku dobrze wtedy, kiedy był on powiązany z Polską. Gdańsk służył polskiemu królowi dlatego, że ten gwarantował mu największe zyski z handlu z Polską, obdarzając najbardziej korzystnymi przywilejami. Gdańsk był niemieckim klejnotem w polskiej Koronie, głównym magazynem towarów i oknem wystawowym wielonarodowościowej Rzeczypospolitej.

W latach rządów pruskich (1793-1920) Gdańsk zerwał wcześniejsze powiązania z Polską. Po roku 1945 powrócił do Polski. Z kilkuset tysięcy mieszkańców Wolnego Miasta Gdańska zostało kilka tysięcy. Przybyli tu wysiedleńcy ze wschodu i ludność ze środkowej Polski, Pomorza i Kaszub. Gdańsk znów stał się tyglem, mieszaniną kultur, temperamentów i historycznych doświadczeń. Odbudowano Stare Miasto, ulicę Długą, ratusz, dwór króla Artusa, fontannę z Neptunem, Zieloną Bramę, Żuraw, Bazylikę Najśw. Marii Panny. Gospodarze z wielkim sentymentem prezentowali uczestnikom Zlotu to wszystko, co udało się po pożodze wojennej odtworzyć na nowo. O historii miasta mówiły też wiele zbiory w Centralnym Muzeum Morskim i Muzeum Historii Miasta Gdańska.

Współczesność miasta przybliżyły następne wykłady, traktujące o strategii rozwoju regionu gdańskiego, o samorządach gospodarczych Wybrzeża Gdańskiego, o międzynarodowych Targach Gdańskich i inne.

W pierwszym dniu Zlotu Polonii uczestniczył również prof. dr hab. Andrzej Stelmachowski, prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", wystąpił z wykładem o wspólnocie Polaków na Wschodzie i na Zachodzie.

Jednym z ciekawszych momentów Zlotu była konfrontacja dwu poglądów: „Być Polakiem na Wschodzie" i „Być Polakiem na Zachodzie", która stała się właściwie sporem o hierarchię wartości. Jan Sienkiewicz, poseł na Sejm z Wilna, poruszył problemy, które nurtują również nasze zaolziańskie społeczeństwo, tzn. niepotrzebne spory i podziały w różnych kwestiach, negatywne oddziaływania konfliktów w Polsce na życie mniejszości narodowych poza jej granicami, a w przeszłości małe zainteresowanie Polski sprawami mniejszości. Podkreślił jednak chęć trwania i pielęgnowania polskości i zachowania tożsamości narodowej. Bycie Polakiem na Zachodzie przedstawił Wojciech Wojtasiewicz, muzykolog i le-

karz z Chicago. U niego sprawy duchowe i narodowe schodzą na plan dalszy. Czuje się przede wszystkim Amerykaninem i w takim duchu wychowuje dzieci, mieszkające w Ameryce. Zafascynowany Ameryką przedstawił ją jako ziemię największych sukcesów we wszystkich dziedzinach. Jakże różny był ten sposób myślenia od poglądów np. pań Czesi i Marii ze Sopoćkina spod Grodna, dla których ważne jest, by ich dzieci i wnuki mówiły po polsku. Chociaż po roku 1945 mieli tylko rosyjskie szkoły, ich serca nadal biły po polsku. Teraz, kiedy otwierane są ponownie polskie szkoły, jak np. w Grodnie, potrafią je zapełnić setkami dzieci. Zdumiewa też ich głęboka wiara w Boga, którą przecież trudno było w minionym systemie politycznym zachować.

W roku 1997 mija 200 lat od powstania polskiego hymnu narodowego. Rocznicy tej poświęcony był referat Władysława Zajewskiego „Wybicki i jego epoka". Uczestnicy Zlotu otrzymali publikację Czesława Skonki „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę". Odbyła się autokarowa wycieczka szlakiem „Mazurka Dąbrowskiego". Wycieczka po ziemi gdańskiej umożliwiła bliższe zapoznanie się z postacią Józefa Wybickiego. W Stężycy wystąpił z przepięknym programem Dziecięcy Zespół Kaszubski „Niezabudki", prezentując wspaniałe tańce i śpiewy kaszubskie. Goście zwiedzili Kościerzynę, która za czasów Wybickiego była ważnym ośrodkiem administracyjnym na Kaszubach. Mieści się tu największy w Polsce pomnik Józefa Wybickiego. W Będominie obejrzeli uczestnicy Zlotu dworek, gdzie 29.9.1747 urodził się Józef Wybicki. Dworek otoczony jest rozległym parkiem z kilkusetletnim dębem, pamiętającym czasy Wybickiego. Obecnie w dworku mieści się jedyne w swoim rodzaju Muzeum Hymnu Narodowego, posiadające dokumenty historyczne, książki, obrazy, meble z epoki Wybickiego i pozytywki z pierwszymi nagraniami Mazurka Dąbrowskiego. W Skarszewach w dawnym zamku Joanitów (Rycerzy Krzyża Maltańskiego) znajdował się Sąd Grodzki, w którym uczył się i praktykował Wybicki. W Pelplinie zwiedzono katedrę, której początki sięgają przełomu XIII i XIV wieku. Zakończeniem wycieczki było zwiedzenie krzyżackiego zamku w Gniewie. Na dziedzińcu zamkowym odbyła się biesiada z suto zastawionymi stołami, a gospodarze prezentowali walki rycerskie i starodawne tańce. Do późnych godzin nocnych trwało śpiewanie przez wszystkich uczestników polskich pieśni patriotycznych i ludowych. Przed świtem 3 czerwca wyruszono do Gniezna na spotkanie z papieżem Janem Pawłem II. Na placu przed katedrą, której drzwi przedstawiają sceny z życia św. Wojciecha, wysłuchano uroczystego nabożeństwa.

Zlot dostarczył wszystkim uczestnikom wielką porcję patriotycznych wzruszeń i miłych doznań. Zawiązały się przyjaźnie i nawiązano kontakty, które mogą pomóc we wzajemnym wspieraniu się.

HALINA GAWLAS

CZY ZNASZ TĘ BIBLIOTEKĘ

Biblioteka to *„instytucja oświatowa, poświęcona gromadzeniu i przechowywaniu księgozbioru w celu publicznego użytkowania"*. Tę definicję ze słownika języka polskiego sprzed kilkunastu lat należałoby dziś nieco uzupełnić. Od czasu bowiem, kiedy komputery zostały nieodłączną częścią składową również tego typu instytucji, kiedy możliwe stało się błyskawiczne przekazywanie informacji na każdą odległość, a informacja stała się wysoko notowanym towarem, do definicji biblioteki weszło także modne wyrażenie o „przekazywaniu informacji". Biblioteka udostępnia czytelnikowi literaturę oraz informacje, które zawarte są m.in. w tej literaturze. W czasach pogoni za nowoczesnością prawie skansenem wydaje się oddział biblioteki, gdzie nie ma jeszcze komputera, gdzie pracownicy przy pomocy długopisu odnotowują wypożyczenia, a migocący ekran nie przeszkadza w miłej pogawędce z czytelnikiem. A tak właśnie jest we Frysztacie, gdzie mieści się Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie.

Najstarsze książki, stojące na półkach tego Oddziału, przeżyły już niejedną przeprowadzkę. Kiedy po drugiej wojnie światowej otwarto w Karwinie biblioteką publiczną, była ona biblioteką czeską. O wiele bardziej skomplikowana okazała się sytuacja książki polskiej. Hitlerowski najeźdźca starał się zniszczyć wszystko, co było dowodem polskości Śląska Cieszyńskiego. Z uratowanych egzemplarzy rozpoczęto budowanie księgozbiorów. Pierwsze polskie biblioteki powojenne organizowano przy kołach terenowych Macierzy Szkolnej, w szkołach, przy towarzystwach oświatowo-sportowych. W roku 1947 sieć bibliotek zaczęło tworzyć PZKO. Dopiero w latach pięćdziesiątych biblioteki polskie stały się częścią składową bibliotek publicznych. W roku 1958 ZG PZKO przekazał polskie księgozbiory na własność radom narodowym, w miejscowościach zamieszkiwanych przez ludność polską wyodrębniono w bibliotekach gminnych oddziały literatury polskiej. Po kolejnych przekształceniach struktury bibliotecznej w roku 1969 Powiatowa Biblioteka Publiczna w Karwinie uzyskała status okręgowego ośrodka metodycznego dla literatury polskiej i słowackiej. W pięć lat później powstał w tej placówce Oddział Literatur Narodowych, mający za zadanie również pomoc metodyczną dla wszystkich polskich bibliotek na Zaolziu. W roku 1983 książki słowackie przeniesiono do oddziału czeskiego w Karwinie-Raju, we Frysztacie pozostał samodzielny Oddział Literatury Polskiej. Od ubiegłego roku po restrukturyzacji karwińskiej Biblioteki Regionalnej oficjalna nazwa Oddziału brzmi

Ośrodek Literatur Narodowych, dla licznej rzeszy czytelników nic się jednak przez to nie zmieniło i po polsku nadal używana jest dotychczasowa nazwa Oddział Literatury Polskiej, w skrócie OLP.

Oddział Literatury Polskiej mieści się przy frysztackim rynku, na pierwszym piętrze pięknie odrestaurowanej XVII-wiecznej kamienicy. Parter zajmuje Ośrodek Sztuki. Tam też znajduje się większa salka, umożliwiająca kilkudziesięcioosobowe spotkania, korytarz z zabytkowym sklepieniem służy do wystaw. W pomieszczeniach na pierwszym piętrze zgromadzono około 20 tysięcy woluminów prawie wyłącznie w języku polskim, obejmujących beletrystykę i literaturę popularnonaukową jak dla dorosłych, tak dla dzieci i młodzieży. Biblioteka pełni funkcję wypożyczalni i czytelni. Z księgozbioru podręcznego, zawierającego przede wszystkim encyklopedie i słowniki z różnych dziedzin nauki, można korzystać na miejscu. OLP posiada kącik regionalny, gdzie znajduje się literatura wychodząca na Zaolziu oraz publikacje mówiące o Zaolziu. Do dyspozycji czytelników jest kilkadziesiąt tytułów gazet i czasopism dla dzieci i dla dorosłych, począwszy od prasy regionalnej („Głos Ludu", „Zwrot", „Macierz", „Nasza Gazetka", „Jutrzenka", Ogniwo„), gazet codziennych („Rzeczpospolita", „Gazeta Wyborcza"), poprzez popularne i znane na Zaolziu od lat tytuły, np. „Przekrój", „Panorama", „Przyjaciółka", „Polityka", „Filipinka", nowsze, np. „Pani domu", „Sukces", „Poradnik Domowy", pisma dla czytelników o różnych zainteresowaniach, np. „Computerworld", „Cztery Kąty", „Wprost", do czasopism bardziej specjalistycznych o tematyce kulturalnej, np. „Twórczość", „Czas Kultury", „Karta", „Odra", oraz pism przeznaczonych dla Polonii i Polaków za granicą, np. „Wspólnota Polska", „Ojczyzna-Polszczyzna". Dzieci i młodzież mogą wybierać z takich tytułów jak „Miś", „Pentliczek", „Bęc", „Świerszczyk", „Płomyczek", „Pod Wiatr", „Zwierzaki" i inne. Dla czytelników, którym słaby wzrok utrudnia czytanie, przygotowane są zestawy kaset magnetofonowych z nagraniami dzieł literatury polskiej i światowej. Książki, których biblioteka nie posiada, sprowadzane są na życzenie czytelnika z innych bibliotek w ramach wymiany międzybibliotecznej. Czytelnicy OLP mają prawo po okazaniu legitymacji swojego oddziału wypożyczać książki również w innych oddziałach na terenie miasta.

OLP zaopatruje się w książki bezpośrednio w hurtowni w Polsce, co umożliwia czytelnikom poznanie aktualnej oferty polskich wydawców. Biblioteka korzysta też chętnie z pomocy sponsorów. Od trzech lat trwa w OLP akcja pod hasłem „Czytelnik mecenasem biblioteki", która umożliwia czytelnikom współdecydowanie o tym, jakie książki znajdą się na półkach.

Działalność biblioteki nie ogranicza się bynajmniej do wypożyczania książek i przekazywania informacji. OLP jest jedną z placówek kulturalnych na terenie miasta, placówek propagujących kulturę polską, zaznajamiających z tą kulturą mieszkańców miasta i okolicy, ludzi różnych narodowości.

Ważne miejsce w dziedzinie upowszechniania kultury stanowią wystawy. W ostatnich latach OLP urządził kilka wystaw malarskich. Najważniejszymi były wystawy twórczości dwóch wybitnych artystów karwińskich: Rudolfa Żebroka i Franciszka Świdra. Prace swe wystawiała Alicja Bartulcowa, Helga Berger, Monika Milerska, ekslibrisy prezentował Zbigniew Kubeczka, część swych zbiorów ekslibrisów udostępnił też Józef Ondrusz. W październiku odbędzie się wystawa malarstwa Tadeusza Wratnego. Duże znaczenie miała, przygotowana przez Stanisława Zahradnika, wystawa objazdowa „Polacy na Zaolziu".

OLP organizuje promocje książek pisarzy związanych z Zaolziem, spotkania z ludźmi kultury, prelekcje i pogadanki. W poprzednich latach gościli w bibliotece m.in. Wanda Chotomska, Joanna Papuzińska, Jan Rucki, Zbigniew Rymarz, Roman Baron, Mieczysław Czuma, Leszek Mazan. Odbyły się promocje książek Renaty Putzlacher, Jadwigi Oszelda, Adama Wawrosza, wieczór wspomnień o Henryku Jasiczku.

Nietypową dla działań biblioteki akcją jest organizowany od trzech lat konkurs o tytuł „Mistrza Krzyżówek Przekroju", w którym spotykają się miłośnicy krzyżówek i współzawodniczą w rozwiązywaniu krzyżówkowych haseł ze starszych roczników pisma „Przekrój".

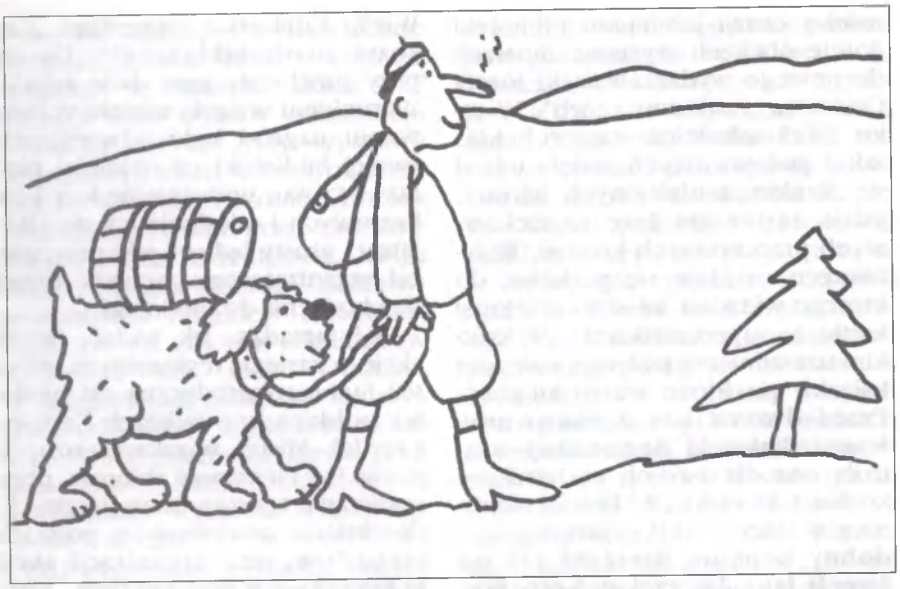
Wśród ponad 550 czytelników OLP prawie 200 stanowią dzieci i młodzież. Dla nich przygotowywane są lekcje przysposobienia bibliotecznego, które przebiegają w ramach zajęć szkolnych dla uczniów poszczególnych klas szkół podstawowych oraz dla szkół średnich. Troska o najmłodszego czytelnika jest jednym z najważniejszych zadań biblioteki. Bibliotekarki starają się wskazać dzieciom drogę do książki, uwrażliwić młodzież na piękno słowa pisanego, uzmysłowić młodym czytelnikom wartości i sens, jaki płynie z czytania książek. W tym celu organizowanych jest mnóstwo konkursów. Tradycyjnie od lat jest to konkurs czytelniczy dla młodzieży polskich szkół podstawowych oraz średnich z terenu całego Zaolzia. W ostatnich latach uczniowie wykazywali się swoimi wiadomościami na temat „Tomka w krainie kangurów" Alfreda Szklarskiego, „Szatana z siódmej klasy" Kornela Makuszyńskiego i „Kamieni na szaniec" Aleksandra Kamińskiego. Nawiązanie współpracy z „Głosikiem", rubryką dla dzieci w sobotnim „Głosie Ludu", umożliwiło lepszą reklamę konkursów. Myszka Ernestynka, maskotka biblioteki, wymyśla dla najmłodszych czytelników, ale nie tylko dla nich, różne zadania. Z okazji świąt dzieci malują choinki czy jaja wielkanocne, na wezwanie myszki Ernestynki robią zakładki do książek, rozwiązują krzyżówki. Co roku urządzany jest wielki konkurs rysunkowy na literacki temat: „Podróże po literaturze", „Ilustrujemy Brzechwę", „Malujemy Kopciuszka". W tym roku - z okazji jubileuszu PZKO i Roku Kultury Polskiej - tematem było „Zaolzie - nasz wspólny dom", oceniano nie tylko rysunki, ale również prace literackie, a wszystkie prace rysunkowe wystawione zostały na Festiwalu PZKO. W czasie uroczys-

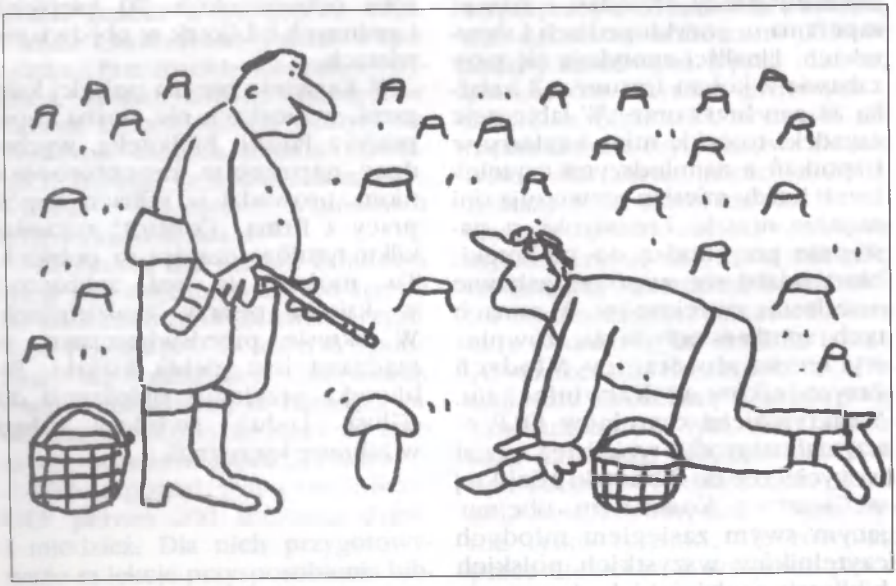
tości z okazji jubileuszu biblioteki goście obejrzeli wystawę ilustracji do nowego wydania książki Józefa Ondrusza „Cudowny chleb". W roku 1995 młodzież starszych klas szkół podstawowych wzięła udział w „Rankingu ulubionych lektur", gdzie zestawiała listę najciekawszych przeczytanych książek. W bibliotece znajduje się pudełko, do którego wkładają młodzi czytelnicy kartki z „superksiążkami". W krótkim uzasadnieniu polecają kolegom książki, po które warto sięgnąć. Przed dwoma laty z okazji jubileuszu Biblioteki Regionalnej urządziła ona dla swoich czytelników konkurs literacki „Biblioteka skarbnicą wiedzy". OLP organizuje podobny konkurs literacki już od trzech lat. „Literackie Koło Fortuny", bo tak brzmi jego nazwa, wymaga od uczestników większego nakładu pracy, wiedzy i nawet szperania w encyklopediach i słownikach. Finaliści spotykają się przy zabawie z kołem fortuny. „Z książką za pan brat" oraz „W labiryncie zagadek" to cykle mini-konkursów i spotkań z najmłodszymi czytelnikami. Każdy miesiąc rozwiązują oni zadanie myszki Ernestynki, a następnie przychodzą do biblioteki, biorą udział we wspólnej zabawie oraz losują zwycięzców. W ramach tych spotkań odbyła się również wycieczka do Stanicy Młodych Przyrodników w Karwinie-Raju. Najaktywniejsi czytelnicy OLP otrzymali nagrody, wzięli też udział w wycieczce do Biblioteki Miejskiej w Cieszynie. Konkursem, obejmującym swym zasięgiem młodych czytelników wszystkich polskich bibliotek zaolziańskich, jest, przygotowany również przez OLP, Wielki Konkurs z Nagrodami „Czy znasz swoją bibliotekę?". Do tej pory przebiegły jego dwie edycje. Warunkiem wzięcia udziału w losowaniu nagród było odwiedzenie swojej biblioteki co najmniej pięć razy w roku, wypełnienie kart konkursowych i odesłanie ich do OLP. Jasny i prosty był cel, jaki przyświecał organizatorom: zachęcić dzieci do chodzenia do biblioteki.

OLP urządza, jak widać, liczne akcje o zasięgu regionalnym, pełni też funkcję metodyczną dla bibliotek polskich w powiatach Karwina i Frydek-Mistek w zakresie uzupełniania i opracowania zbiorów, przygotowania tekstów metodycznych, doszkalania pracowników polskich oddziałów oraz organizacji akcji kulturalno-wychowawczych. Przygotowuje również komplety wymienne książek, które kilka razy w roku odbiera około 20 miejskich i gminnych bibliotek w obydwu powiatach.

W Karwinie nie ma polskiej księgarni, w kioskach nie można kupić prasy z Polski. Biblioteka, wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniom, prowadzi w ramach współpracy z firmą „Contact" sprzedaż kilku tytułów czasopism polskich. Tu można się też zaopatrzyć w książki pisarzy zaolziańskich. W okresie przedświątecznym urządzana jest giełda książki. Biblioteka przyjmuje ogłoszenia do „Głosu Ludu", świadczy usługi w zakresie kserografii.

CZESŁAWA RUDNIK





rys. BRONISŁAW LIBERDA

BRONISŁAW LIBERDA WIĘCEJ NIŻ "NASZ"

Niektórzy przejmują się swymi kolejnymi –leciami do tego stopnia, że sami sobie „załatwiają" laurki, walczą o wydania, wystawy... Może to „normalne", nie wiem.

Wiem, że Bronisław Liberda jest inny. Nigdy nie zabiegał o popularność, nie był głośny... To o niego zabiegano. Czas szerokiego zainteresowania Liberdą – jego wystawami, zakupami prac do muzeów i galerii, a także mieszkań prywatnych, zaczął się już dawno i nie skończył się.

Sztampowe „kształcił się w atelierze...", „ukończył..." – tak często eksponowane u innych, też do Bronka Liberdy nie pasuje. Wykształcił się na nauczyciela. Uczył niedługo – 2 lata w Gutach, rok w Trzyńcu. Kształci sam siebie – nieustannie, konsekwentnie, pieczołowicie. Studiuje techniki malarskie starych mistrzów, dzieła filozoficzne. Bronek Liberda nieustannie ćwiczy – na przemian rysunek, techniki graficzne i malarstwo. Jest w tych ćwiczeniach jeszcze dodatkowe na przemian – fortepian, muzyka. Mówiąc bowiem o Bronisławie Liberdzie, nie można przemilczeć jego muzyki, muzyki, która jest w nim i z nim. Ktokolwiek słyszał jego brawurowe improwizacje fortepianowe, pewnie ich nigdy nie zapomni. Można by powiedzieć, że jego muzyka jest malowana lekkimi, jednak zdecydowanymi pociągnięciami... pędzla. Tak samo można powiedzieć, że obrazy Bronka Liberdy grają w ciszy ścian, bogatą skalą tonów, wyraźnie i głośno. (Wiem, że takich określeń opisywany nie lubi, nazywając je zbyt pompatycznymi...)

Nie szukał sławy. Nie walczył

o popularność. Jednak nie zamykał się w naszym małym światku. Pokazuje swe prace szerszemu gronu... Fascynują zarówno specjalistów, jak i laików. Jego rysunki naprawdę ukazywały się w prawie całej Europie. Bronisław Liberda publikował i publikuje we wszystkich pismach polskich wydawanych w Czechach. Publikował dużo w „Świerszczyku" w Polsce. Rysunki Liberdy zamieszcza regularnie od prawie 20 lat czeskie pismo dla dzieci „Sluníčko". W praskiej telewizji nakręcił serię animowanych „Wieczorynek" – najpierw 7 odcinków o kotach, później 13 odcinków o prosiaczkach. Uczestniczył w plenerach malarskich, w wystawach zbiorowych, miał też dużą ilość wystaw indywidualnych. Poza naszym terenem wystawiał we Frydku, Pradze, Libercu, Bratysławie, Trnawie, Ołomuńcu. Z wystaw indywidualnych w Polsce wymienić należy Wrocław, Kraków, Bydgoszcz, Cieszyn.

I Bronisław Liberda zaistniał na początku w polskim SLA-owskim środowisku artystycznym. Wiele też poświęcił pracy w PZKO w dziedzinie plastycznej, w wystawiennictwie, propagacji kultury i sztuki.

Osobnym rozdziałem w jego staraniach to 20 lat poświęconych Teatrzykowi Lalek ZG PZKO „Bajka". W „Bajce", oprócz kierowania nią, był Liberda scenografem, reżyserem, autorem i wykonawcą muzyki, nieraz wykonawcą lalek. To właśnie Bronisław Liberda wpisał się najbardziej znacząco w poziom artystyczny i dzieje tego teatrzyku.

Bronisław Liberda – muzyk – to liczne kompozycje piosenek właśnie dla „Bajki", dla Teatru Cieszyńskiego oraz improwizacje fortepianowe przy wielu okazjach. Cały ich cykl robił dla radia ostrawskiego do audycji poetyckich.

Można by o Bronku Liberdzie powiedzieć, że jest człowiekiem teatru. Po 20 latach z „Bajką" spędził 15 w Teatrze Cieszyńskim jako korepetytor.

Urodził się 28 sierpnia 1937, „tu u nas". Cichy, spokojny, niekonfliktowy. Nie potrzebuje ukrywać pochodzenia, przekręcać nazwiska, nie chce... Zaszedł daleko. I trwa.

F.B.

REDAKCJA SKŁADA BRONISŁAWOWI LIBERDZIE – WSPÓŁPRACOWNIKOWI, BRONKOWI, PRZYJACIELOWI – NAJSERDECZNIEJSZE SZCZERE ŻYCZENIA ZDROWIA, SZCZĘŚCIA, POWODZENIA W ŻYCIU OSOBISTYM I TWÓRCZYM!

WARSZTATY PLASTYCZNE NAJMŁODSZYCH

Bukowca i jego polskiej szkoły nie trzeba reklamować. Działalność pozalekcyjna nauczycielek i uczniów znana jest na całym Zaolziu, szkoła nie szczędzi zresztą sił i środków, by jak najszerzej informować o tym, co dzieje się w niej ciekawego. Zdarzało się już, że nauczycielki spotykały się z zarzutami, iż zbyt dużo na łamach naszej prasy rodzimej szkoły z Bukowca. Nie przejęły się tym jednak zbytnio, nie zrezygnowały z wprowadzania w życie swoich pomysłów i opowiedzenia o nich innym. O swej nowej inicjatywie - warsztatach plastycznych dla uczniów szkoły - zawiadomiły również redakcję „Zwrotu".

Irena Szymonik, nauczycielka polskiej szkoły w Bukowcu, zaprosiła do współpracy plastyków Oskara Pawlasa, Monikę Milerską i Józefa Dronga. Pierwsze - całodzienne - spotkanie odbyło się pierwszego maja, w dzień wolny od pracy i obowiązków szkolnych. W warsztatach wzięli udział uczniowie szkoły, uczęszczający do kółka plastycznego, dzieci z klasy drugiej i trzeciej. Przedpołudnie upłynęło przede wszystkim pod znakiem nauk teoretycznych. Monika Milerska przybliżyła dzieciom pojęcie impresjonizmu w malarstwie. Opowiedziała o błękicie paryskim, mieszaniu barw. Następnie dzieci spróbowały temperami namalować wiosnę, która w tym dniu na dworze nie była zbyt widoczna. Po południu wszyscy udali się w plener. Dzieci czarnymi pisakami szkicowały domki drewniane, znajdujące się w okolicy szkoły, a następnie uczyły się wypełniać przestrzeń suchym pastelem. Mogły też obserwować przy pracy prawdziwych artystów. Oskar Pawlas malował obraz olejny, Józef Drong rysował tuszem. Pracowicie wypełniony dzień zakończony został krótkim wykładem Moniki Milerskiej o rysowaniu postaci ludzkich i zwierząt w ruchu.

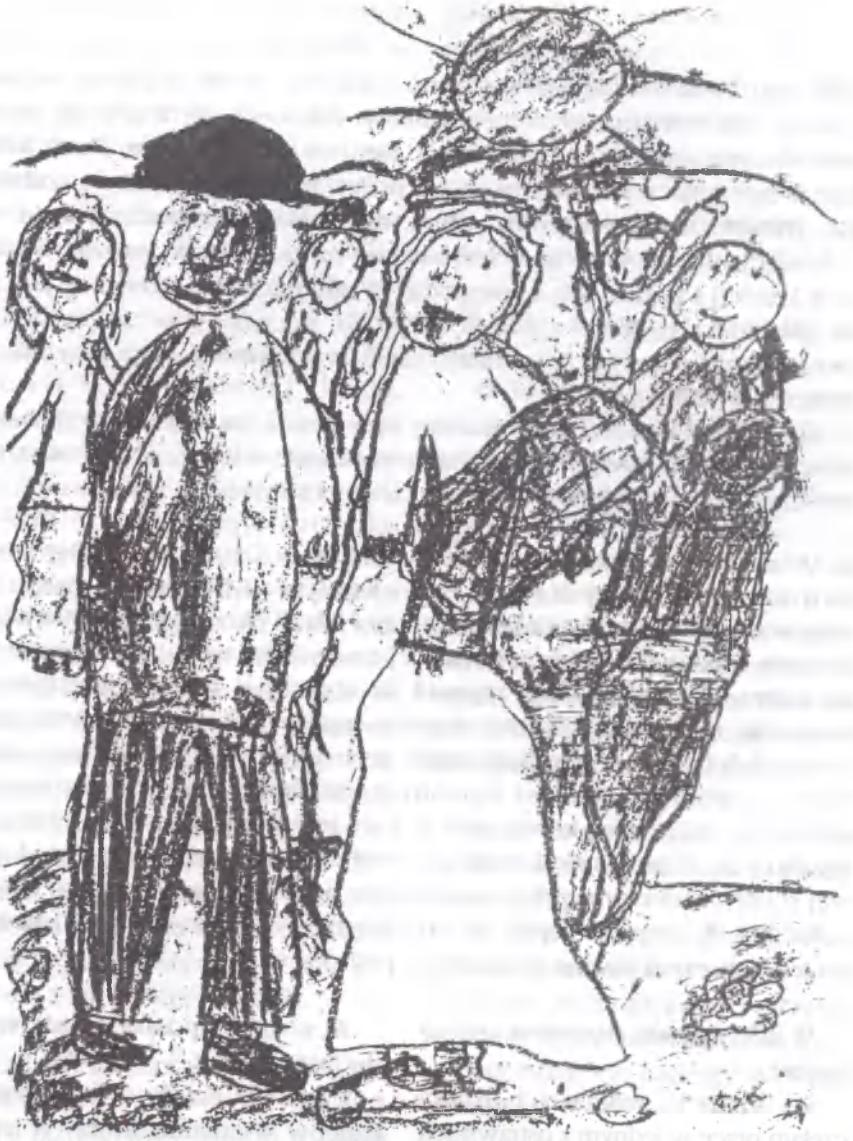
Pomysł warsztatów plastycznych dla uczniów okazał się na tyle udany, że postanowiono nie poprzestać na jednym spotkaniu. W czwartek 15 maja przyjechali do szkoły w Bukowcu ponownie Monika Milerska i Oskar Pawlas, który wręczył szkole dar - namalowany poprzednio obraz. Ponieważ był to zwykły dzień roboczy, zajęcia rozpoczęły się po południu po lekcjach. Osiemnastu uczniów zgromadziło się wokół Moniki Milerskiej, która pokazała dzieciom stare czarno-białe fotografie par ślubnych. Dzieci otrzymały farby, czarną lub brązową, z poleceniem namalowania

starej fotografii - ślubu babci i dziadka. Dowiedziały się, na czym polega technika lawowania. Same też spróbowały następnie naśladować tę technikę: rozcierać farbę wodą, by uzyskać efekt podobny do starej fotografii. Oskar Pawlas opowiedział dzieciom, jak to się stało, że został malarzem. Pogoda tym razem dopisała, można było spokojnie wyruszyć w plener. Mali rysownicy podzielili się na dwie grupy. Jedna grupa zgromadziła się wokół sztalug Oskara Pawlasa, obserwując bacznie jego sposób tworzenia obrazu, druga grupa sama bez obcej inspiracji próbowała namalować drewniany dom z ogrodem pełnym kwiatów i kwitnącymi drzewami wokół. Z polecenia Moniki Milerskiej dzieci malowały podobnie jak impresjoniści, bez używania czarnej i brązowej farby, kolorowymi plamkami wypełniając przestrzeń białej kartki. Efektem warsztatów było nie tylko większe uwrażliwienie dzieci na piękno przyrody, okolicznego krajobrazu, zaznajomienie z nowymi technikami malarskimi i pracą twórczą artystów, lecz także całkiem konkretne prace plastyczne dzieci, jak również nowe obrazy Oskara Pawlasa.

C. R.



Monika Milerska wśród dzieci (fot. autor)
Rysunek Basi Bulawy z kl. III ▶



U TEŚCIOWEJ W WIETNAMIE

Ania była bardzo zdolną dziewczyną. Taką, co to nie rzuca się od razu w oczy, nie wyróżnia się, dopóki milczy. Ale kiedy wyrwać ją do odpowiedzi, zapytać o coś, wie, orientuje się, jest przygotowana. Przez kilkanaście lat edukacji szkolnej, w szkole podstawowej i gimnazjum, codziennie dwukrotnie pokonywała długi odcinek drogi przez pola i las z dymiącymi kominami huty trzynieckiej na horyzoncie, marząc o dalekich krajach i podróżach w nieznane. W gimnazjum marzenia te jeszcze się spotęgowały. Pilnie uczyła się geografii, słuchając mocniejszego bicia swego serca na myśl o sympatycznym wykładowcy tego przedmiotu profesorze Wilhelmie F.

Kręte drogi życiowe zaprowadziły ją w końcu do niedalekiej Ostrawy. Marzeń z dzieciństwa nie wykreśliła jednak całkowicie ze swych, wartych urzeczywistnienia, planów. Znalazła ciekawy sposób na życie.

Drzwi do mieszkania w centrum osiedla w Ostrawie-Porubie otworzyły mi dwie kilkuletnie dziewczynki Krystynka i Natalka. Ze swego pokoju wyglądała trochę nieufnie najstarsza Ala. Tylko Krystynka nie odziedziczyła całkowicie dalekowschodniej urody ojca, włosy ma kręcone tak jak mama. Gospodarz Canh zaprosił do obejrzenia obszernego czteropokojowego mieszkania. Figurki, wazony, zasłony, obrazy, mnóstwo egzotycznych bibelotów, zgromadzonych przede wszystkim w pokoju gościnnym, przypomina Canhowi jego strony rodzinne. Dużo miejsca zajmują albumy ze zdjęciami, kasety wideo z uwiecznionymi na nich wojażami rodzinnymi. Pojawiła się i Ania, postawiła na stole babkę, wypiek domowej roboty. Dzieciom szybko znudziło się oglądanie nieciekawego gościa, pobiegły do swoich zajęć. A my mogłyśmy spokojnie porozmawiać o zrealizowanym marzeniu o dalekiej podróży.

W jaki sposób poznałaś swego męża?

Po studiach prawniczych rozpoczęłam pracę w jednym z ostrawskich zakładów, gdzie pracował również Canh. W ten sposób poznaliśmy się.

A w jaki sposób Canh trafił do Ostrawy?

Canh nie należy do tych mieszkańców Wietnamu, którzy w latach 80. opuścili swoją ojczyznę w poszukiwaniu pracy. Przyjechał w ro-

ku 1974, by zdobyć zawód. Poza tym wyjazd był dla niego ucieczką od trwającej jeszcze wtedy w Wietnamie wojny. Uczył się w szkole zawodowej, dzięki czemu miał możliwość poznania języka czeskiego. Zdobył zawód, a ponieważ stosunkowo dobrze mówił po czesku, został tłumaczem grup, które stopniowo zaczęły napływać z Wietnamu.

Ale w końcu, jak widać, zadomowił się, rozpoczął pracę, założył rodzinę. Czy udało mu się sprowadzić jeszcze kogoś ze swojej rodziny z Wietnamu?

Siostrę, która przyjechała jako dwudziestoletnia dziewczyna. Znalazła męża i została. Było tu jeszcze dwóch braci Canha, ale ponieważ mieli już rodziny w Wietnamie, powrócili do nich. Z rodzeństwem mojego męża wiąże się zabawna historyjka. Canh przez długi czas twierdził, że ma tylko siostrę i dwóch braci. Dopiero na trzy dni przed naszym wyjazdem do Wietnamu przyznał się, że było ich w domu 12 sióstr i braci. Znając już życie u nas, wstydził się, że pochodzi z tak licznej rodziny.

Odwiedziłaś już Wietnam dwa razy?

Po raz pierwszy było to w lutym 1990 roku. Lecieliśmy wtedy z Alą, młodszych dziewczynek nie było jeszcze na świecie. Lot z Pragi do Hanoi trwał 17 godzin. Pamiętam pierwsze niesamowite wrażenie przed lądowaniem. Lecieliśmy nad chmurami, potem długo w chmurach nisko nad ziemią i wreszcie wyłoniła się ziemia: ogromne pola ryżowe, na których akurat sadzono ryż, wszystko w jednostajnym brązowym kolorze.

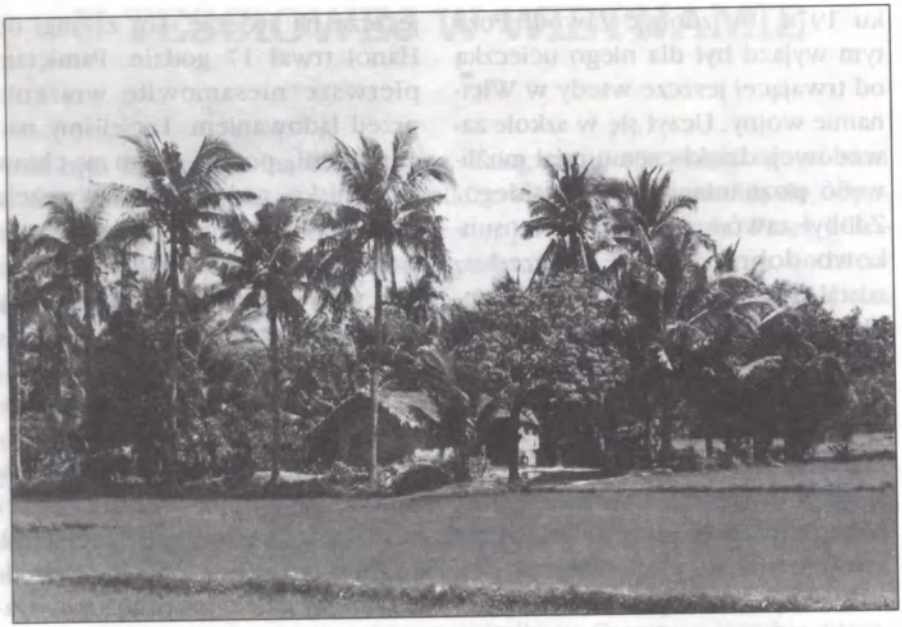
Gdzie mieszkają twoi teściowie?

W Vinh. Jest to dość duże miasto, porównując według ilości mieszkańców, mniej więcej wielkości Ostrawy. To też jednak jedyne możliwe porównanie. Hanoi na przykład jest stolicą, a dla nas wygląda jak duża wieś. Do Vinh jechaliśmy autobusem, też trudno porównywalnym z autobusami naszymi. Vinh leży 350 km na południe od Hanoi, tj. około 20 stopnia szerokości geograficznej północnej.

Jakie były twoje pierwsze wrażenia ze spotkania z rodzicami Canha?

Teściowie mają już ponad 70 lat, prowadzą malutkie gospodarstwo. Właściwie to mogłam się z nimi porozumieć tylko poprzez Canha, bo nie zdołałam się nauczyć po wietnamsku.

Jak długo byliście w Wietnamie?



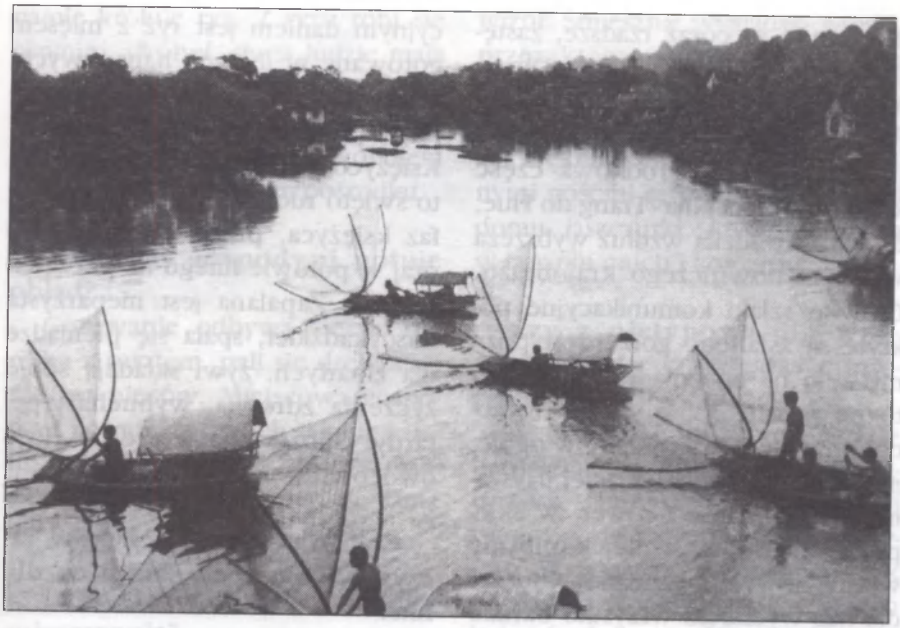
U rodziców Canha spędziliśmy cztery tygodnie. Miasto leży niedaleko morza, do wybrzeża jest około 20 kilometrów. Byliśmy tam dwa razy na wycieczce rowerowej, ale kąpać się nie dało. Temperatura powietrza wynosiła wtedy w tej części kraju 16 - 17 stopni C i często padał deszcz. Ten pierwszy pobyt to były przede wszystkim odwiedziny u moich teściów.

A po raz drugi?

Po raz drugi polecieliśmy do Wietnamu już w pięć osób. Było to w marcu ubiegłego roku. Ponieważ chciałam zobaczyć jak najwięcej, wylądowaliśmy tym razem w Sajgonie, w środkowej części kraju. Stamtąd jechaliśmy samochodem - w Wietnamie można tanio wynająć taksówkę - na północ. W Sajgonie było wtedy 35 stopni C i maksymalna wilgotność, a na północy tylko 17 stopni C.

Ciągle wracasz do temperatury. Zdążyłaś dość dokładnie zapoznać się z warunkami klimatycznymi tego kraju?

Niezupełnie. Nie zwiedziłam na razie południowej części Wietnamu, tej tropikalnej. Poznałam natomiast dobrze różnice między Sajgonem a Vinh. Byłam w Sajgonie pod koniec tzw. pory suchej, która



trwa od października do kwietnia, ziemia jest wtedy całkiem wysuszona, trawa sucha, zielenią się tylko drzewa. Przez pozostałą część roku trwa pora deszczowa, której nie poznałam na własnej skórze. W okolicach Sajgonu klimat jest na tyle sprzyjający, że można sadzić ryż na okrągło przez cały rok. Na jednym polu sadzi się ryż, obok na drugim akurat dojrzewa, a na trzecim właśnie się go zbiera. Dalej na północ istnieje większe uzależnienie od pogody. Kiedy byłam tam w marcu, akurat sadzono ryż, wcześniej było zbyt zimno, by dojrzał. W Wietnamie, który ciągnie się z północy na południe na przestrzeni 2500 kilometrów, są ogromne różnice temperatur między częścią północną a południową.

Wietnamczycy nie wiedzą, co to śnieg?

W Vinh, które znam najlepiej, temperatura w lecie dochodzi podobno do 40 stopni C, w zimie minimalna temperatura wynosi 10 stopni C. Nie ma śniegu ani mrozu.

Co zwiedziliście w drodze z Sajgonu do Vinh?

Koło Sajgonu istnieje większe zaludnienie, jedno miasto kończy się, a następne zaczyna. Dalej na pół-

noc osady są coraz rzadsze, zastępują je pojedyncze domy. Długo jechaliśmy przez góry, minęliśmy tylko kilka miasteczek. Najbardziej podobała mi się środkowa część kraju od miasta Nha-Trang do Hue, droga prowadziła wzdłuż wybrzeża wśród malowniczego krajobrazu. Główne szlaki komunikacyjne pokryte są asfaltem, gorzej jest poza miastem na bocznych drogach. Są to po prostu polne ścieżki. Samochodów nie widać prawie w ogóle, motocykli mało, najczęściej używanym pojazdem jest rower. W sklepach towaru niewiele, kupiliśmy właściwie tylko pamiątki, chociaż dla nas wychodzi wszystko bardzo tanio. Hotele również są tanie.

A jak kształtują się zarobki?

Średni zarobek wynosi po przeliczeniu około 1000 koron. Żeby żyć na przyzwoitym poziomie, byłyby potrzebne jeszcze dwa następne. Wielkim problemem jest bezrobocie, często jedna osoba utrzymuje całą liczną rodzinę. Mimo że żywność jest tańsza niż u nas, widać wokół panującą nędzę.

Co jedzą Wietnamczycy?

Na śniadanie, na obiad i na kolację ryż. Do tego mięso, wszystko, co lata, biega i pływa. Najwięcej ryb, drobiu i wieprzowiny. Dużo przypraw i mnóstwo jarzyn. Tradycyjnym daniem jest ryż z mięsem gotowany w liściach bananowych. Danie to przyrządza się z okazji największego święta w roku - Księżycowego Nowego Roku. Jest to święto ruchome, uzależnione od faz księżyca, przypadające zazwyczaj w połowie lutego na początek wiosny. Zapalana jest nieparzysta ilość kadzideł, spala się pieniądze dla zmarłych, żywi składają sobie życzenia zdrowia, wybuchają petardy. Spożywana jest duża ilość owoców.

Czy dla Wietnamczyków jarzyna oznacza to samo, co dla nas?

W północnej części rosną podobne jarzyny jak u nas. Uprawiane są np. ziemniaki, marchewka, kapusta, kalarepa czy nietypowe dla nas bambusy. Na południu jest oczywiście inaczej. Rośnie tam mnóstwo owoców, których my w ogóle nie znamy, a te, które znamy, np. ananasy czy mandarynki, mają zupełnie inny smak niż te, które docierają do nas.

A chleb, pieczywo, mleko, to, co dla nas stanowi podstawę pożywienia?

Pieczywo można niekiedy kupić w większych miastach, ale jest bardzo drogie, bo produkowane ze składników z importu. Mleko widziałam tylko w puszkach. W Wiet-

namie króluje ryż. Z ryżu robi się również alkohol, starsi ludzie mają w zwyczaju wypić rano kieliszek mocnej wódki ryżowej. Atrakcją dla turystów są butelki z alkoholem z jaszczurką czy wężem pośrodku.

Na czym gospodyni gotuje obiad?

Gotowanie odbywa się na ognisku z rusztem, pali się drewnem, nie ma pieców. Miejscowa gospodyni potrafi na dwóch takich paleniskach przygotować obiad z dziesięciu dań. Podziwiam ją, ale sama nie miałam odwagi tam gotować.

To kuchnia. A pozostałe pomieszczenia?

Domek moich teściów jest murowany, okna nie mają szyb, tylko drewniane okiennice, nad i pod oknami są otwory, umożliwiające swobodniejszy przepływ powietrza, nie tylko ciepłego, ale - w czasie, kiedy my tam byliśmy - również zimnego. Nie ma ogrzewania. Łazienka z kanalizacją to wyjątek, zazwyczaj znajduje się poza domem. Jest to mur w kształcie litery U, wodę przynosi się w wiadrach, a później wylewa do dziury, przez którą ona odpływa. Ubikacja to po prostu dziura w ziemi. W domu istnieje podział na pokoje.

Prąd jest już w tej chwili i w najodleglejszych wioskach. Szczyt nowoczesności stanowi japoński telewizor. Śmiesznie wyglądały wioski, przez które przejeżdżaliśmy wieczorami. Domki z liści palmowych, dachy z trzciny, a w środku migocący ekran telewizora. Nieproszonymi gośćmi są obecne w każdym domu jaszczurki, które pomagają w łapaniu much i komarów.

Czy z nietypową dla Wietnamu urodą wzbudzałaś zainteresowanie tubylców?

W wielkich miastach ludzie bardziej przyzwyczajeni są do turystów. Natomiast na prowincji tworzyło się wokół mnie zbiegowisko. Wszyscy chcieli zobaczyć, jak wygląda Europejczyk. Byli bardzo bezpośredni, potrafili podejść i dotknąć, by sprawdzić czy ten inny niż ich kolor skóry jest prawdziwy. Nie miałam żadnej prywatności, było to niekiedy bardzo męczące.

Jednak mimo to postanowiłaś ponownie pojechać do Wietnamu?

Chciałabym tym razem zwiedzić tę najcieplejszą południową część i do tego pojechać tam w lecie. Ale to dopiero gdzieś za dwa lata.

Wobec tego na razie dziękuję ci za rozmowę i może umówimy się już na następną za dwa lata.

CZESŁAWA RUDNIK

POEZJA

AGNIESZKA PIEGZA ŁUPIŃSKA

GŁOŚNO BIJĄ ZWÓNY

(Na Gorolski Święto)

Głośno biją zwóny
z jabónkowski wieży,
a poniży Olza
cichutko se bieży.

Cicho jako mądrość
zbiyrano wiekami
w źródełkach beskidzkich
skrytych pod smreczkami.

W lesie pod smreczkami,
rzodzi pod jedliną,
popsuła się mądrość
i jodełka giną.

Głośno biją zwóny,
jakby sie pytały ,
kaj sie starodowne
zwyczaje podziały.

Czy ludzie wzgardzili
swoich przodków modą,
czy wszecko z rokami
poszło dołu wodą?

Kaj sie wytraciły
tutejsze pieśniczki,
żywotki, brucleki
i ciche uliczki?

Cicho Olza bieży,
strzybrzi sie w słóneczku,
migo syrynkami
jabónkowskich hoczków.

Strzybrzi sie i złoci
pasym starościny,
jak jedzie w kolasie
na ślub lebo krzciny.

Miyni sie jedwobym
fortuchów i szatek,
korónkowych czepców,
przeposek i splatek.

Isto chce powiedzieć:
Parcie, jako szkoda,
że telkucną krase
precz odnosi woda.

Głośno biją zwóny
z wieże jabónkowski,
prziwołują noród
na Święto Gorolski.

Nie puszczymy z wodą
tak zocnej spuścizny,
pocieszymy serca
echem góralszczyzny.

SIERPIEŃ

Łany zbóż złocą się
jak olbrzymia monstrancja.

Dokonuje się cud
zwielokrotnienia rzuconego ziarna.

Ugnijmy kolana!

Oto przed nami tajemnica
dojrzewania chleba.

NA GOROLSKIM ŚWIĘCIE

Hej, zogónku, zogónku,
świyżo połorany,
hej, czym jo cie posieję,
dych je zakochany.

Hej, nie wiedzą mamulka,
nie wiedzą bratowie,
hej, jak sie mi uzdało
dziywczyn w Jabónkowie.

Hej, pieknie tańcowało
na Gorolskim Święcie,
hej, kiej skrzipki z gajdami
wyskały zawzięcie.

Hej, furkały spódniczki,
migały kyrpieczki,
hej, łoczka sie ji śmioły
jako lnu kwioteczki!

Hej, posieję policzko
tym lnianym nasiyniym,
hej, jak modro zakwitnie,
isto sie łożyniym!

Hej, podómy se ręce
z tym szwarnym dziywczyńciym,
hej, zatańczymy społym
na Gorolskim Święcie!

WŁADYSŁAW MŁYNEK

KAMIENITY

Po pierwszej wojnie światowej, kiedy chłopi wrócili z frontów, zaczęło się życie na Kamienitym zmieniać. W domach zaczęli budować kominy, niektórzy rozpoczęli pracę w fabrykach. Ludzie coraz bardziej uzależniali się od sklepów. Początki ruchu turystycznego, schroniska na Hadaszczoku i Kozubowej, dawały także możliwość skromnego zarobku, chociażby sezonowego. Nowoczesność dwudziestego wieku zaczęła się wolniutko wkradać i na Kamienity. Leśni wybudowali nową drogę, wyjazd do osady był łatwiejszy. Lecz praca pozostała. Przybyło dalsze miejsce zabaw – schronisko i gospoda „Baranka" na samym szczycie nad osadą. Tam zaczęto organizować zabawy, przychodziła młodzież i z odleglejszych wsi. To były początki odkrycia Kamienitego, początki jego wyjścia w szeroki świat. Wtedy też dochodzi do największego rozkwitu. Gospodarze stają się zamożniejsi. Stopniowo zanika dawny strój góralski, tylko u starszych pozostał nadal codzienną potrzebą. Dzieci uczęszczają do szkoły w Sałajce, a ponieważ góralom droga wydawała się zbyt daleka, postanawiają wybudować własną szkołę. W byłej posiadłości „Baranka" na Niżnim Kamienitym powstaje szkoła czeska, zaś Lisztwanowie, Bojcy, Krzyżankowie, Cieciotkowie, Kohutowie i Martynkowie radzą nad wybudowaniem polskiej. Każdy chciał się przyczynić, dać z siebie wszystko dla dobra własnych dzieci. Postanowili, że budynek ten, jako miejsce oświaty i kultury, stanie najwyżej, nad wszystkimi domami kamienickimi. Odstąpił kawał ziemi Bojko. Budynek stanąłby przed oknami Lisztwana, więc on postanowił dać ziemię, by nie przyćmić sobie widoku na Hadaszczok. I tak pozostało. Odkroczyli, zamierzyli, zapisali. Musieli przyrzec, że szkołę wybudują na własny koszt. Głównymi budowniczymi byli Jerzy i Paweł

Zwyrtkowie. Drzewo na ściany zakupiono od zarządu leśnego. Były to najpiękniejsze jodły z Kozubowej. Resztę drzewa pisali na listę ofiarodawców sami gospodarze. Wożąc pod fundamenty żwir z Łomnianki niejednokrotnie musieli sobie przerąbywać drogę przez zwalone świerki, efekt ludzkiej zawiści i pogardy. Ale byli i tacy w szerokiej okolicy, którzy pomagali, popierali, przychodzili pomóc. Budowa ukończona została w trzydziestym czwartym i w tym samym roku zagajono tu nauczanie. Górale byli dumni, że mieli własną szkołę, własny dom oświaty i nadziei. Mieli swój budynek, w którym uczyły się ich dzieci. Szkoła wniosła inne życie do dotychczasowej codzienności. Do ludzi zaczynał docierać inny świat poprzez słowo nauczyciela, poprzez dzieci, akcje kulturalne. Zarazem jakiś inny niepokój zaczął szarpać czyste góralskie dusze, gdyż z dotychczasowych problemów religijnych powstały narodowościowe i rozbiły Kamienity na dwa wrogie obozy. Zagradzano drogę pochodom festynowym, coraz częstsze stawały się najścia żandarmów. Nowoczesność wniosła ze sobą wszystko – dobre i złe. Nadal żyli obok siebie, pracowali, pomagali sobie, bo bez tej pomocy nie dałoby się żyć, lecz tliło w nich coś, czego nie dało się ugasić, a czasami wybuchało groźnym płomieniem. Przetrwali okresy bezrobocia, kryzysu, wplątani we własne sprawy, do których wrastali coraz głębiej.

Podczas gdy pierwsza wojna światowa minęła ich z daleka, nie dotarły tu kule z żadnego frontu, a wszyscy poborowi wrócili, druga zebrała tutaj krwawy plon. Wszyscy pozostali wierni sobie, swym i swoich ojców przekonaniom. A na urzędach oznakowano wielu z nich literą „P". Szkoły przestały istnieć, zamilkł śpiew, gwar codzienny. Z jednej strony gestapo i obowiązki dostawcze dla okupantów, z drugiej strony danina dla partyzantów z przychylności, z serca, ze starej śląskiej gościnności. Po jednej stronie śmierć, po drugiej nadzieja wolności. Życie leśnych ludzi mocno było związane z kamieniczarzami, przed niejednym piecem ogrzewał się Gruby Misza – Griniewskij. Niejeden bochenek oddawano z góralskiego stołu, łamano się nim w chłodnym bunkrze. A Jagdkomando wpadało do domu z wrzaskiem: Wo sind Partisanen! Kiedy już od Skoczowa docierały na Kamienity odgłosy kanonady, krew swą przelali za wszystkich bracia Cieciotkowie. Wypadek ten ugodził w serca wszystkich bez wyjątku. Kiedy młodszy Erwin ostrzegał starszego brata przed wejściem do domu, bo tam czekało Gestapo, ten odpowiedział z dziecinną i góralską naiwnością:

– Nic żech nie zrobił, nic mi nie zrobią...

A jednak dla postrachu, dla ostrzeżenia innych, zrobili. Zatrzelili

ich w Dolnej Łomnej koło drogi. A kiedy matka z ojcem niosła im chleb i mleko do Jabłonkowa, mniemając, że stale jeszcze są w więzieniu, kiedy rano zobaczyła na drodze świeże kałuże krwi, powiedziała:

– Nie idę dali, bo czuję, że to jest krew moich chłopców. I była.

Przyszło wyzwolenie. Za resztkami uciekających przez Kamienity faszystowskich wojsk przyszło wojsko radzieckie. Niejeden z tym samym niebem w oczach, z tak samo spracowanymi rękami brał kubek z wodą czy maślanką i pił tak jak oni. Mówił podobnie jak oni. Śmiał się razem z nimi.

Nowoczesność gwałtownie zaczęła się wdzierać i tutaj. Tak jak wcześniej w dolinach i tu w górach zaczęła pobierać należną sobie daninę starych przyzwyczajeń, obrzędów. Ludzie zaczęli pracować w hutach, kopalniach, spółdzielniach, wymagając coraz więcej. Unowocześniali swe domy, zaczęli marzyć o tym wszystkim, co dobre przynosiło ze sobą życie w dolinach. I myśli te były początkiem zmierzchu Kamienitego. W pięćdziesiątym czwartym roku otwarto szkołę, znów z jej okien niósł się śpiew ponad pola. Stopniowo ubywało młodzieży z czwartej generacji kamieniczarzy, która w poszukiwaniu lepszego bytu i łatwiejszego chleba odchodziła za pracą do miast i dolańskich gmin. Jeden za drugim odlatywał, by już nie wrócić. Jeden za drugim odchodził, pozostawiając rodziców samych w tych murach drewnianych przesyconych tradycją. Chociaż w początkach rozwinęło się bogate życie społeczne i kulturalne, nie uratowało to Kamienitego. Dotkliwie odczuwano brak prądu elektrycznego.

Pierwszy cios przyszedł w sześćdziesiątym pierwszym, gdy piorun uderzył do schroniska „Baranka", wtedy właścicielem był Bojko. Schronisko spłonęło. Znikł ośrodek zabaw, spotkań towarzyskich. Pozostało tylko to, co na co dzień i przy uroczystej okazji dawała szkoła.

Rozwijający się ruch turystyczny i motoryzacyjny zadaje dalsze ciosy. Jedni podziwiają wytrwałość i hart goroli, inni z nich drwią, patrzą jak na okazy z dawnych wieków. Młodzież kamienicka z zazdrością patrzyła na „dolanów", mieszczuchów, którzy na motocyklach czy samochodami wyjeżdżali pod górę. Jakże tu z tych poletek, z tej mozolnej pracy zaoszczędzić na te cywilizacyjne cuda, marzenie każdego młodego człowieka. W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych następuje gwałtowna przeprowadzka rodzin, pozostają tylko cztery. Domy zaczęli skupywać mieszczanie. Na Dolnym Kamienitym pozostała rodzina Hawliczków, we Wysznim rodzina Krzyżanków, Cieciotków i Gomołów, a we Wysznim Placu

samotna stareczka Bojkowa. Te rodziny, kilkorgiem dzieci utrzymujące szkołę, trwały na miejscu. Równocześnie dochodzi coraz bardziej do wyobcowania się rodzin, skłóceń, zadziorów, na ogół z powodu pola, którego teraz było pod dostatkiem, bowiem ci, którzy odchodzili, odstępowali je lasom państwowym. Pozostający czuli żal do odchodzących, odchodzący nieraz odjeżdżali z drwinami. A jednak byli to ci sami ludzie, pracowici i sumienni, szanujący i szanowani, tylko przełamało się w nich coś, czego nie można było przezwyciężyć.

Kiedy w sześćdziesiątym dziewiątym roku sprowadzono znacznym kosztem na Kamienity prąd elektryczny, nie uratowało to kamienickiej społeczności. Życie zmieniło się zupełnie. Nabywano silniki, pojawiły się telewizory, na polach można było jeszcze spotkać zaprzęg z wołami, a równocześnie terkotały już traktory, warczały motocykle i samochody. Cywilizacja dotarła i tu. Łatwiej było połączyć się z miastem, przywieźć ze sklepu pożywienie, dotrzeć do autobusu. Próbowano w tym czasie ożywić spotkania towarzyskie w szkole. Zaczęto organizować wspólne dożynki, na które przychodzili wszyscy obywatele Kamienitego, bez wyjątku, i ci nowi właściciele domów. Trwała zabawa, śpiewał Gorol, było wesoło. Lecz była to wesołość wisielcza. W samej szkole było tylko ośmioro dzieci. Śpiewały, uczyły się, lecz na polach było coraz bardziej pusto, suszyło się coraz mniej orstwi siana, większość wykaszały lasy państwowe. Na górnych pastwiskach wysadzano drzewka. Coraz mniej ogni zapalano na polach jesienią dla odstraszenia zwierzyny. Po zorębach, okalających kiedyś polanę, zniknął ślad. Na zboczach Kozubowej rozlegały się potężne detonacje, rozsadzając pnie pod nowe leśne drogi z Główczyna do Gródkowej, to samo od strony Hadaszczoku ku Łączackom. Świat otworzył się przed Kamienitym, przed jego obywatelami, którzy od niego odchodzili.

Tylko dwie rodziny posyłały dzieci do szkoły w ostatnich latach jej istnienia: Cieciotkowie i Hawliczkowie. A było ich siedmioro. Później jeszcze jedno dziecko kierownika schroniska na Kozubowej, mały Dalibor, który przyszedł tu z Ołomuńca, nie umiał po polsku, więc trzeba go było uczyć w języku czeskim. Poprzez to stała się ta szkoła internacjonalistyczną. A że chłopiec miał daleko, więc w niej zamieszkał i szkoła stała się zarazem internatem.

W lutym siedemdziesiątego trzeciego spłonęło schronisko na Kozubowej, wybudowane kiedyś z koronowych składek społeczeństwa. Płakali ludzie, płakali kamieniczarze. Na tym długim grzebieniu góralskim pozostała już tylko szkoła. Lecz i ona w sie-

demdziesiątym trzecim zamknęła swe podwoje. Zostali tam twardzi ludzie, twarde i gorzkie były ich łzy. W nich nie było już nadziei, tylko cicha rezygnacja. Pod koniec lat siedemdziesiątych Gomola wybudował nowy dom mieszkalny jako dom letniskowy. Zburzono stary, który wraz z zabudowaniami gospodarczymi i domem Cieciotki tworzył przecudny zestaw architektoniczny. Odeszła do córki sterana życiem Gomolowa, wyprowadzili się Hawliczkowie, potem Krzyżankowie. Stareczka Bojkowa zamieszkała na stałe u syna w Dobrej. Pozostał tylko jeden – Erwin Cieciotka z rodziną.

Tak jak kiedyś na początku osiedliła się tu pierwsza rodzina, po latach pozostała znów jedna. Trudno było żyć na tym odludziu bez sąsiedzkiego wsparcia. Początkiem lat osiemdziesiątych wywędrowali i Cieciotkowie. Kamienity opustoszał. Budynek szkolny stał się ośrodkiem wczasowym, dokonano w nim przeróbek, sprowadzono znaczym kosztem wodę aż zza Łęczacek.

Ożywa Kamienity w porze letniej, w czasie wakacji, podczas słonecznych sobót i niedziel, kiedy nowi właściciele przyjeżdżają tu za słońcem, powietrzem i odpoczynkiem. A swoim dzieciom i wnukom mówią: Tu kiedyś żyli ludzie...

Lecz to już nie ten dawny Kamienity. Nie słychać wieczorami poszczekiwania psów, porykiwania bydła, wieczornego ruchu przyzagrodowego. Zewsząd rozbrzmiewa nowoczesna muzyka. Każdy troszczy się o swój dom, każdy chce mieć jak najokazalszy, ze wszystkimi osiągnięciami cywilizacji. Znikły szyndziołowe strzechy, pojawiła się płyta i blacha. Padają stare płoty, zarastają dróżki i miedze. Na dawnych pastwiskach rośnie las. Nowi osadnicy szanują dom, schronienie, lecz nie mają szacunku do ziemi, bo ona ich nie żywi. Nie znają jej wartości, patrzą na nią obojętnym wzrokiem. Nie mają szacunku do niej, nie mają go do siebie. Wnieśli do starych domów nowoczesną miejską separację.

I tak jak na samym początku na Kamienitym znowu jest szałas. Na łąkach wypasają się owce spółdzielcze, łąki ożywają białymi barankami. Tak jak kiedyś niedźwiedzie szarpały owce, i teraz w osiemdziesiątym drugim pojawił się tu niedźwiedź, rozszarpał kilkanaście owiec, połamał łomniańskim pszczelarzom pasieki. Wyjałowione przez cztery generacje pola kamienickie odpoczywają, nabierając nowych sił dla wyżywienia przyszłych osadników.

Fragment wstępu do książki „Śpiewające zbocza", „Profil", Ostrawa 1989.

BRNEŃSKA ELIŠKA, KRÓLOWA POLSKA (I)

Nie znam obyczajów moich rodaków, ale poznając nowe miejsca, a tym bardziej zadamawiając się w nich, staram się zawsze szukać polskich śladów; interesują mnie miejscowi artyści i ciekawi ludzie, których losy poniekąd zbliżone są do moich. Już w maju, dzięki uprzejmości Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, mogłam poznać licznych brneńskich Polaków (dziwnym trafem większość, tak jak i ja, wywodziła się z Karwiny), którzy zaproszeni zostali na spotkanie w brneńskim ratuszu z okazji rocznicy Konstytucji 3 Maja. I od razu pierwsze, „krakowskie" skojarzenie – słynny brneński smok, a więc krokodyl, zawieszony nad wejściem do ratusza. Okazało się, że nawet niektórzy miejscowi patrioci nie znali dokładnie legendy – krokodyl został przywieziony przez tutejszego wielmożę w XVI wieku z Ameryki Południowej i przez długie lata pełnił rolę sensacyjnej atrakcji. Jednak legenda o brneńskim smoku bardzo jest zbliżona do tej spod Wawelu; nawet podstęp młodocianego śmiałka i akcesoria, służące do likwidacji potwora, są podobne. I to właśnie w nawiązaniu do tejże legendy nazwano krokodyla „drakem".

W zamian za tę opowieść jeden z czeskich gości z tajemniczą miną powiedział mi, że kolejnych polskich śladów powinnam szukać w kościele w Starym Brnie. Wiedziałam o obrazie Czarnej Madonny, znajdującym się w tamtejszym Kościele Wniebowstąpienia NM Panny, do którego przylega klasztor cysterek, a następnie ... winiarnia „U królowej Eliški". W wypadku cudownego obrazu oczywiście przychodzi na myśl Częstochowa – okazało się, że również brneńska Czarna Madonna obroniła miasto przed Szwedami. Wgłębiając się jednak dokładniej w dzieje kościoła i klasztoru, natrafiłam na ową tajemniczą Eliškę, jego założycielkę. Okazało się, że jest nią Elżbieta Rychenza, córka i dziedziczka Przemysła II, króla polskiego, przez polskich kronikarzy i historyków nazywana po prostu Ryksą. Skąpe informacje na jej temat w polskich źródłach, które skupiają swą uwagę przede wszystkim na rówieśniku i rywalu jej ojca w walce o tron Władysławie Łokietku, zrekompensowały mi źródła czeskie, jako że Elżbieta była żoną dwóch czeskich królów. Wiedziona rodzinnym zamiłowaniem do historii nawet nie zauważyłam, kiedy wciągnęły mnie niezwykłe losy jej rodu. Już parę zaledwie faktów złożyłoby się na film historyczny, nie pozbawiony elementów sensacyjnych.

„Roku Pańskiego 1273 szlachetny panicz Przemysł, syn zmarłego

poznańskiego księcia Przemysła I, wkroczył do Sławii (Pomorze Zachodnie), ziemi księcia Barnima, aby zobaczyć pannę, córkę księcia Henryka z Wismaru, zrodzoną z córki księcia Barnima. A gdy ją ujrzał, spodobała mu się jej osoba. I tamże, w mieście Szczecinie, pojął ją za żonę. A stało się to, gdy skończył szesnasty rok życia." Tak oto wielkopolski kronikarz rozpoczyna historię, należącą do najbardziej ponurych w dziejach piastowskiej dynastii. Jej bohaterką jest nieszczęsna Ludgarda, która pomimo obcego pochodzenia doczekała się popularności wśród mieszkańców Wielkopolski, wstrząśniętych jej tragicznym losem. W grudniu 1283 roku, a więc w 10 lat później, zmarła ona bowiem w tajemniczych okolicznościach. Mimo okazałego pogrzebu i oficjalnej żałoby księcia wieść gminna mówiła, że księżna została uduszona na rozkaz męża. Przemysł obawiał się, że bezpłodna Ludgarda nie zapewni mu dziedzica tronu, jednak zdaniem Długosza *„ani książęca powaga, ani ogłoszony zakaz nie potrafiły usunąć z ust i serc ludzkich oceny jego występku". Pieśni ludowe, według których nieszczęsna żona „ze łzami w oczach błagała go, by nie pozwalał odbierać życia żonie i niewinnej kobiecie, i by pozwolił ją odprowadzić choćby w jednej koszuli do ojcowskiego domu"*, ilustrują głębokie wrażenie, jakie nie istniejąca we współczesnych oficjalnych źródłach tragedia Ludgardy zrobiła na poddanych księcia Przemysła.

Ten w 1285 roku ożenił się z Rychenzą (Ryksą), córką króla szwedzkiego Waldemara. W trzy lata później przyszła na świat ich jedyna córka, Ryksa, która dopiero w Czechach przyjęła modne wówczas imię Elżbieta. Matka osierociła ją w 1293 roku, a książę Przemysł wszedł w porozumienie z margrabiami brandenburskimi, żeniąc się z Małgorzatą, córką margrabiego Albrechta III i zawładnął Pomorzem. Przychylny mu arcybiskup Jakub Świnka, polityk wielkiego formatu, zdecydował się w obliczu nieustannych walk o koronę (Henryk IV Probus przed śmiercią zapisał Kraków i koronę królewską Przemysłowi) nie czekać z koronacją na odzyskanie Krakowa. Dnia 26 czerwca 1295 roku Gniezno stało się widownią uroczystości, na którą Polska czekała dwieście lat: korona Bolesława Śmiałego znalazła się na skroniach wielkopolskiego księcia. I choć nowe królestwo ze względu na nieustanne walki stronnictw było raczej symboliczne (władza królewska rozciągała się tylko na Wielkopolskę i Pomorze), wymowę chwili oddaje napis, ozdabiający pieczęć majestatyczną nowego króla : *„Sam Wszechpotężny zwrócił Polakom zwycięskie znaki".*

Nie na długo. W siedem miesięcy później król hucznie świętował Zapusty w Rogoźnie. Nie zauważono obcych ludzi, wkradających się do dworu królewskiego o świcie, w środę popielcową, 8 lutego 1296 roku. Zaskoczony we śnie przez napastników król chwycił za broń, ale został ranny. Plan uprowadzenia Przemysła II spalił na panewce z powodu znacznego upływu krwi; króla porzucono zabitego na drodze. Tym razem śmierć uczyniła jego męczennikiem sprawy zjednoczenia, o czym świadczą słowa sympatii dla polityki zjednoczeniowej króla w większości dzieł historycznych. Śmierć Przemysła II opóźniła i skomplikowała proces

jednoczenia ziem polskich, zarazem otworzyła jednak wielką szansę przed Władysławem Łokietkiem. Zamordowany król nie zostawił syna i to na Łokietka padł wybór panów wielkopolskich i pomorskich.

Osierocona przez rodziców ośmioletnia Ryksa wyjechała wraz z macochą Małgorzatą do Brandenburgii, gdzie przez kilka lat była formalną narzeczoną syna margrabiego Ottona Wysokiego, dawnego surowego opiekuna również wcześnie osieroconego króla czeskiego Wacława II. Ten po wyprawie na Łokietka i jego wygnaniu, za zgodą i wolą społeczeństwa polskiego, zasiadł w 1300 roku na tronie polskim, łamiąc jako przedstawiciel obcego rodu dziedziczne prawa Piastów do tronu. Za żonę pojął 12-letnią Ryksę, córkę poprzedniego króla, Przemysła II, który w prostej linii był potomkiem pierwszego króla Polski, Bolesława Chrobrego. Polscy zwolennicy Wacława II znaleźli argument - polsko-czeskie pokrewieństwo językowe, o którym czytamy w czeskiej „Kronice zbrasławskiej". Nieletnia Ryksa nie zdawała sobie zapewne sprawy z roli, jaka jej przypadła w udziale. W trzy lata później została faktyczną małżonką króla, a Wacław II próbował zwiększyć swą popularność w Polsce, doprowadzając 26 maja 1303 roku do jej uroczystej koronacji, której dokonał w Pradze biskup wrocławski, Henryk z Wierzbna. Tego dnia Ryksa, królowa czeska i polska, stała się Elżbietą, nazywaną przez Czechów „Rejčka", postacią legendarną i niezwykle popularną.

POLEMIKI

PRZEPRASZAM, ŻE SIĘ WTRĄCAM

Z żywota słonia poczciwego
Niechaj to narodowie wżdy postronni znają
Iż Polacy nie Słonie choć swe Trąby mają
Stanisław Barańczak

„Zwrot" nr 4/97 (str 67-69) z tytułem poniekąd zaskakującym: „Ważny gest - wiersze nie bardzo". Hm...Otóż to...

Przeczytałem z uśmiechem, jak pan Zbigniew Machej dołożył a nawet przyłożył Renacie Putzlacher i Kazimierzowi Kaszperowi, co mnie, z przeproszeniem, jeszcze bardziej zbliżyło do poezji zaolziańskiej (znaczy się europejskiej!) poetki piszącej nie tzw. wiersze a poezję. Chyba jest w tym różnica?! Zgadzam się z „ważną", ale zastanawia mnie - jak sugeruje krytyk - „odważną"? Po co komu odwaga w poezji, kiedy już się urodził poetą?! W poezji się nie licytuje. Poezja, według mnie, to nie skok z bardzo wysokiej trampoliny do basenu o dwóch metrach kwadratowych. Poezja to nie zawody atletyczne. Renata tworzy poezję, maluje obrazy własnych, kobiecych uczuć, czerpie z głębokiej studni, trudnej,

zaolziańskiej historii, filozofii naszych ojców, dziadków, ale przede wszystkim pradziadów, których uważam osobiście za odważniejszych od naszej tzw. nowoczesności - w końcu urodzili się w Austrii... Tu jest Europa - oczywiście z własnymi korzeniami (chociaż niektóre są już poniekąd nadwyrężone zębem czasu) - U nas poniekąd zamurowana poprzez dość liczne elementy szowinistów obojga narodowości i na dodatek śpiewających „internacjonałę" pomyloną z własnymi, narodowymi hymnami. Lewica usiadła - oto nowy „demokratyczny" berliński mur - na prawicy i skrzeczy nauczając „umiłowania ojczyzny". To wszystko stworzyło „podwójny żal" pana Macheja. Poeta, który krytykuje - a na końcu swej krytyki tak bezwzględnie - innego poetę; nie ma po prostu racji - wygląda na to, że chciałby krytykowanego doprowadzić do swojej wyobraźni, do swojego poziomu. Nie przystoi poecie krytykować poetę. Chodzi mi o poetów z prawdziwego zdarzenia a nie o wierszokletów. Poeta, który poucza, szkodzi sam sobie swoim mentorstwem. Jego wiedza jest jego wiedzą, jego intelekt, jego intelektem, jego sztuka jego i tylko jego OSOBISTĄ sztuką.

Pisze o „symbolicznym geście" - dlaczego? Symboli i gestów jest u nas zatrzęsienie - bowiem są tylko symbolami i gestami rzucanymi na wiatr - „bo wiatr w nich buszował" - rzucane o zaolziańskie, zdarza się, że i przedolziańskie, skały niezrozumienia. (Są tacy, co wyciągają do ciebie rękę z szerokim uśmiechem, a za plecami, wiadomo...).

Muszę przyznać, że szczupły tomik Renaty „Ziemia Albo-Albo" i „Małgorzata szuka Mistrza - Markétka hledá mistra" przemawiają do starego prozaika tak, jak przemawiać powinny. A może łatwiej to pojąć facetom, którzy przeszli przez życie na obrotowej scenie Zaolzia pełnej rzeczywistości i kulis, zza których wychodziły przeróżne charaktery rzeczywistych aktorów w nierzeczywistych rolach Hamletów a nawet Otellów, czy... Szwejków. Prawdziwa sztuka i kicz.

Byłem w „Café Avion" na ostatnim spektaklu Renaty z panami Nohavicami - to było to - widziałem To wszystko jeszcze lepiej, poezję oraz poezję śpiewaną NA ŻYWO. I na dodatek jestem w trakcie czytania książki Nadzieżdy Mandelsztam, „Krzyżowej drogi Bułhakowa" Aleny Moravkowej i Bułhakowa „Życie pana Moliera", ale nie tylko, bo „Życie Moliera" widziałem mnóstwo razy na obrotowej scenie, w którym to spektaklu uczęszczałem na żywo a także jako widz - natomiast Renata (którą znam od początków jej poezji i tak samo Kazika Kaszpera) powiedziała mi w tej dziedzinie sztuki całkiem coś nowego, odkrywczego, innego a zarazem kobiecego. Taka rezurekcja Bułhakowa tak niemiłosiernie prześladowanego, z którym to Stalin bawił się w „kotka i myszkę"! Żałuję, że czesko-polska książka Renaty nie była od razu tłumaczona na język niemiecki - byłaby trójwymiarowa.

Jakoś trudno mi się zgodzić z panem Machejem, z jego generalizacją twórczości Renaty - i tak już za dużo mamy tych naszych generałów, wśród których nie ma ani jednej kobiety. Jednak słusznie napisał pan Machej, że poezja Renaty do niego nie przemawia - bo to jest jego OSO-

BISTA sprawa, i to jest też OK! Pisze dalej, że *„liryczne dywagacje na kanwie "Mistrza i Małgorzaty" Bułhakowa nie są frapujące poetycko i nie zawierają nic* (nic jak nic - WAB) *intelektualnie odkrywczego (...), jednak nie czuje się w tym procesie jakiejś* (ale jakiej? WAB) *osobistej, oryginalnej pracy wewnętrznej"*. Wspaniałe zdania, chociaż poniekąd skomplikowane - jednak pouczające. Kocham takie zdania! A jednak w całej pełni odczuwam ową twórczość, która raczej NIE JEST PRACĄ, a czymś poniekąd więcej. To krytyka jest pracą, bo trzeba wypracować w pocie czoła coś bardzo ANTY!

A jednak doskonale rozumiem pana Macheja, wiem, że ma rację, jeśli chodzi o JEGO oryginalność - tyle tylko, że poezja, ta prawdziwa, to nie prestidigitatorstwo - po prostu nie wolno włazić poecie w jego duszę w swoich butach a zwłaszcza subtelnej poetce. Boję się, że rady i krytyki poetów wobec poetów też są NIEWYPAŁAMI. Mam na to „dziwaczny " pogląd: albo potrafimy grać jak Chopin - jeśli nie, to stajemy się - niestety - krytykami. Taki skok z Mostu Karola w Wełtawę...

W.A. BERGER

P.S.: Każdy poeta ma swoje racje i trudno - zwłaszcza „poetycznego krytyka" o czymkolwiek przekonać. Filozofowanie na temat twórczości Renaty Putzlacher - pana Macheja jest na mocnym, nauczającym poziomie a zwłaszcza intelektualnym - ale uczucia, właśnie te poetyckie, wzięły w łeb. Przepraszam: poszły w las. Jeśli chodzi o oryginalność - z oryginalnością, jak w bohaterstwem - zdarza się, że śmieszy - jest jej tyle w poezji, że jej nie ma, a jeśli jest, to dziwaczna albo całkowicie niezrozumiała i to nie tylko dla debilów, bo strasznie sztuczna - taka niezręcznie pomalowana ściana...

Czy Renacie grozi epigoństwo? A komu nie grozi? Otóż i ja przyznaję się do tego, że kocham Hemingwaya, Izaaka Babla, Remarque'a, Adolfa Rudnickiego, Singra, Hrabala a ostatnio Gustawa Herlinga-Grudzińskiego - w końcu uważają mnie za polskiego Szwejka. Ale to nie to, jednak jestem sobą, czego tak samo nie brak Renacie i Kazimierzowi Kaszperowi. Na przekór wszystkiemu, co o nas napisano, istniejemy każdy po swojemu i tak tworzymy. Zresztą krytycy - mnie starego pisarza - już wcale nic nie obchodzą. I beg your pardon - wiem swoje. Powtarzam: nawet „prawdy" krytyków bywają niewypałami!

Zakończenie „Ważny gest, wiersze nie bardzo" p. Macheja wcale mnie nie przekonały - raczej zdziwiły - albowiem dostało się Renacie i Kazimierzowi Kaszperowi - i tu się nie dziwię czytając tomik pana Macheja pt. „Legendy praskiego metra" zwłaszcza tytułowy wiersz „Liryka praskiego metra"!!! Też mi tam coś, niecoś... Ale na całe moje szczęście nie jestem krytykiem...Wspaniałe zdjęcia Janusza Szyndlera a na samym końcu zdjęcie na piątkę samego autora książki, który patrzy z pogardą na tomik (jakby) Renaty... Trudno - c'est la vie i skok z Mostu Karola do Wełtawy z zapytaniem „Kde domov můj"...

W.A.BERGER

MAŁGORZATA PODCHODZI DO MISTRZA

„Odpocznij wiecznie niesyta dziewczyno". Takim wierszem zwraca się Mistrz do Małgorzaty w zbiorze „Małgorzata poszukuje Mistrza" autorstwa polskiej poetki Renaty Putzlacher. Tom zawarł dwie warstwy językowe - polski oryginał z przekładami dwojga czołowych tłumaczy czeskich. Już tytuł zbioru nasuwa powieść Michała Bułhakowa jako jedno z inspiracyjnych źródeł tomu Renaty Putzlacher.

Napisałem, że „Małgorzata poszukuje Mistrza" jest zbiorem, ściślej jednak należałoby uznać tę poetycką księgę za cykl. Idzie wszak o cykl luźny, gdyż autorka przedstawia wątek Mistrza i Małgorzaty w sposób fragmentaryczny, pod postacią uszeregowanych treściowo, zamkniętych odcinków. Do owego zdarzenia cyklicznego przedostaje się spora ilość refleksji, raz związanych z Małgorzatą, innym razem z samą poetką.

Renata Putzlacher wywodzi swój cykl z mitu, który potrafi ożywić, zmodyfikować i przybliżyć w czasie aż po współczesność. W danym przypadku ożywia mit faustowski. Z autorskiego punktu widzenia idzie o wybór znaczący i na swój sposób prawidłowy, obok inspiracji Bułhakowowskiej bowiem niemałą rolę odgrywa w książce także inspiracja rodowa, sięgająca austriacko-galicyjskich przodków (poetka odwołuje się do nich w wierszu „Czeski Cieszyn Europa Środkowa").

Napomknąłem, iż wiersze Renaty Putzlacher wiążą się z mitem faustowskim. Tematyka cyklu jednak okazuje się szersza i zawiera również tematykę stałego pożądania kobiecego, ciągle przywoływanego, pragnącego a oszukiwanego. „Małgorzata poszukuje Mistrza" jest więc pod tym względem wielowarstwowym dziełem poetyckim.

Większość poetów polskich z czeskiego Śląska Cieszyńskiego posiada skierowania regionalne, Renata Putzlacher zaś stanowi tu wyjątek i w istotny, zasadniczy sposób przekracza tematykę oraz motywację rodzinnego kraju (uderza to, np. w wierszu o Czeskim Cieszynie). Tematyka poszukiwania (to następna z warstw tematycznych książki) nadaje wierszom wyraźne, ponadnarodowe piętno; w sposobie wyrażania jest wszak autorka na wskroś polska.

Dwujęzyczne, zwierciadlane wydanie pozwala czytelnikowi obeznanemu z obydwoma językami dojść do przekonania, iż miękka polszczyzna już w swej praistocie poetyckiej i melodycznej ułatwia twórcy polskiemu drogę na poetycki parnas. Sam czeski raczej ją utrudnia. Porównywanie któregokolwiek paralelnego wiersza potwierdza to znaczne zróżnicowanie.

Inną kwestią jest sama forma wersyfikacji w poezji Renaty Putzlacher; większość jej wierszy okazuje się mianowicie znacznie rozległa, spotykamy u niej nawet dziewiętnastozgłoskowe wersy o kilku zdaniach („warta jest fortuny Zobaczyć ją i umrzeć I tak będzie wojna" - przekład czeski posłużył się w tym przypadku nawet 21 sylabami). Ten typ wiersza przypomina na swój sposób wiersz Šiktanca w „Czeskim zegarze" (Český orloj). Podobnie jak u Šiktanca idzie tu o wiersz prozaiczny, niekiedy nawet w stopniu rozbijającym tok poetycki. Roztrącający ową wypowiedź nie tylko przez prozaizację, ale również przez nadmierną, z trudem ograniczaną objętość.

Wyposażenie książki Renaty Putzlacher, jak na aktualne warunki, jest nadzwyczajne - ma niezwykły, podłużny format, pełnostronicowe ilustracje polskiego malarza Macieja Bienasza, dwa posłowia (polskie Kazimierza Kaszpera i czeskie Libora Martinka), obszerne biografie obojga tłumaczy, życiorys plastyka, na okładce zaś portret autorki (z niemałgorzackim uśmiechem).

FRANTIŠEK VŠETIČKA
Tłumaczył Saw

FRASZKI GUSTAWA SAJDOKA

O MĘŻACH I ŻONACH

MĄŻ ZROZPACZONY
Zbankrutował,
bo miłość kupował.

MĄŻ PORZUCONY
Na bocznym torze,
hulać nie może.

MĄŻ OFIARA
Gdy mu rogi przyprawiali,
to narkozy mu nie dali.

MĄŻ ZAZDROSNY
Dantejskie robi scenki,
bo czuje się maleńki.

MĄŻ ZAPOMINALSKI
Żonie przysięga,
a na inne sięga.

MĄŻ DESPOTA
Porzucił maskę zakochanego,
dobiera się do swojego.

ŻONA ZAWIEDZIONA
Uciekły miodowe miesiące
jak zające.
Mąż hula
i nie wraca do ula.

ŻONA BALETKA
Zna swoje zalety
– małżeńskie piruety.

ŻONA ZARADNA
Trzyma męża krótko,
by nie być rozwódką.

ŻONA AUTOKRATKA
Tylko ona wie,
kiedy tak, a kiedy nie.

ŻONA ZNUDZONA
Brak jej skojarzeń
i zdarzeń.

ŻONA SZCZĘŚLIWA
Uwielbia swojego męża,
gdy nad nim zwycięża.

ŻONA DYKTATORKA
Według własnej chęci,
mężem jak chce kręci.

LISTY RENCISTY

PRZECZUCIE KSZTAŁTU

Taki tytuł nosi zbiór wierszy Wilhelma Przeczka wydany po dwudziestu latach milczenia w byłej Czechosłowacji. Redaktorem tomiku był Jan Korzenny. Recenzja czeskiego krytyka literackiego doc. J. Urbanca nosiła tytuł „Tušení tvaru". Trzeba tu podkreślić, że po raz pierwszy zdarzyło się, że czeski krytyk napisał recenzję po przeczytaniu polskiego oryginału.

Julian Przyboś w „Zapiskach bez daty" przytacza na str. 224 następujące zdarzenie: „... *Jako przykład przywołuję dawny, pisany w Cieszynie wiersz „Gdzie słowo, które zmieni". Pamiętam, jak go wydumałem, jak zrodził się we mnie z nocnych przechadzek górną uliczką nad parkiem. Przez drzewa przebłyskiwały światełka nad Olzą po czeskiej stronie i słychać było daleki szum pociągu. Stłumione, żarliwe uczucie przekroczenia tej przestrzeni ciemnej, jakiegoś ogromnego wyjazdu w cały świat, pragnienie poematu, który by poruszył tę głuszę mojego prowincjonalnego bytowania jak łoskot i świst pociągu – to czułem żądając od tych nocy poetyckich słowa. I jakże to wyraziłem:*

Gdzie słowo, które zmieni cień
w słuch!

Niedobrze, nie tak powinienem był powiedzieć. Pamiętam nawet, jak walczyłem w sobie o to właściwe słowo, tylko jedno / a narzucały mi się dwa / słowo w tym pytającym zdaniu. „Cień"... czy „świat"? Słowo „cień" ma daleko współdźwięk, daleko, bo gdyby był blisko, brzmiałby natrętnie, a przecież powinienem był użyć słowa, które tu było konieczne / i wiem, że je patetycznie czułem /, słowa, które ma swoje odpowiedniki rymowe. Jakie to słowo? Najobszerniejsze i dlatego w myśl zasady wstydliwości uczuć zataiłem je. Powinienem był powiedzieć nie tylko „cień", ale i „świat". To zdanie miało więc brzmieć:

Gdzie słowo, które zmieni świat,
cień
w słuch?

I o to mi przecie chodziło i do tego skłaniał mnie rym do słowa „spadł" i słowo „wiatr" w zdaniu:

I
miejsce wyszarpięte z drzew: wiatr.

I te rymy, i napięcia rytmiczne, i kierunki ruchu wyobraźni, i sens całości – wszystko zmierzało do tego „świata", a jednak chybiłem (jak ów świst pociągu, o którym mowa w tym utworze)".

Naprawdę tajemne i tajemnicze są przypadki z pisaniem wierszy, czyli wydobywaniem tekstu poetyckiego z otchłani. Taki kształt można zaledwie przeczuwać.

RENCISTA

„TYGIEL KULTURY"

Należy już do chlubnej tradycji zespołu redakcyjnego ołomunieckiego czasopisma literackiego „Scriptum" działalność mająca na celu popularyzację kultury polskiej w hanackiej metropoli. Przypomnieć można chociażby zorganizowanie spotkania z redakcją wpływowego krakowskiego „Tygodnika Powszechnego", które odbyło się w ramach ubiegłorocznych targów książkowych Libri 96 czy też wieczór autorski jednego z najwybitniejszych polskich historyków, a mianowicie prof. Janusza Tazbira.

Obecnie na zaproszenie Scriptum przybyli do Ołomuńca redaktorzy oraz pisarze związani z nie tak dawno powstałym łódzkim miesięcznikiem noszącym nazwę „Tygiel Kultury". Spotkanie miało miejsce w kawiarni Teatru Muzyki (Divadlo hudby) w poniedziałkowy wieczór 9 czerwca br.

Gości z Polski oraz wszystkich obecnych przywitał dziennikarz, członek rady redakcyjnej Scriptum, tłumacz literatury polskiej oraz czołowa postać ołomunieckiego środowiska polonistycznego w jednej osobie, Václav Burian. Następnie głos zabrał pisarz, tłumacz literatury czeskiej tym razem, lecz także anglojęzycznej, Leszek Engelking z Warszawy, który występował tego wieczoru przede wszystkim w roli stałego współpracownika „Tygla Kultury". W kilku słowach zaznajomił on zebranych z historią kulturotwórczą miasta Łodzi, które chyba najlepiej charakteryzuje określenie typu polski Manchester, Hollywood czy też w kontekście tego wieczoru Barandov.

W przeszłości Łódź była miastem wielonarodowym, zamieszkałym głównie przez Polaków i Żydów, lecz również przez Niemców (przede wszystkim byli właścicielami zakładów produkcyjnych), a nawet przez Rosjan, gdyż większość produkcji była kierowana na rynek rosyjski. Jak wiadomo, II wojna światowa oznaczała kres dla tych stosunków narodowościowych, przekształcając Łódź w miasto narodowościowo homogeniczne. Aczkolwiek Łódź jest obecnie drugim największym miastem w Polsce, posiada dziesięć wyższych uczelni oraz mnóstwo placówek kulturalnych, to nie było tu przez długi okres (po przemianach społeczno-politycznych końca lat 80.) wydawane pismo zajmujące się sprawami kultury.

Z tym stanem rzeczy nie zamierzało się pogodzić tutejsze środo-

wisko społeczno-kulturalne, staraniem którego powstał w końcu w ubiegłym roku miesięcznik pod wiele mówiącym tytułem - „Tygiel Kultury". Celem jego twórców było i jest propagowanie życia kulturalnego Łodzi przy jednoczesnej otwartości na prądy, idee i wydarzenia z innych ośrodków kulturalnych w Polsce.

O powstaniu, redagowaniu i publikowaniu nowego łódzkiego miesięcznika w ciekawy sposób opowiadali jego redaktor naczelny Zbigniew W. Nowak, redaktor merytoryczny Zbigniew Dominiak, poetka Lucyna Skompska, która prowadzi w „Tyglu" stałą rubrykę pt. „Felieton", oraz poeta Jerzy Jarniewicz.

Słuchacze dowiedzieli się więc nieco więcej na temat nakładu, sposobów finansowania pisma (połowę kosztów pokrywa miasto, drugą musi redakcja zapewnić sama przez sponsoring „nowych kapitalistów" itp.), autorów, głosów czytelników (w tym miejscu warto nadmienić, iż jeden z pierwszych listów do redakcji nadszedł z Waszyngtonu od prof. Zbigniewa Brzezińskiego).

Redakcja „Tygla Kultury" była również inicjatorem powstania Łódzkiej Nagrody Literackiej im. Jerzego Kosińskiego (pochodził z Łodzi, lecz długie lata spędził w Nowym Jorku). W tym roku przebiegła pierwsza edycja tego konkursu. Jej laureatem został krytyk literacki, eseista, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Jan Błoński. Jego nagrodzone dzieło to książka pt. „Biedni Polacy patrzą na getto". Laureat odebrał też nagrodę pieniężną w wysokości 5 000 dolarów. Niemniej interesująca, a zarazem przenosząca w inny wymiar, była część poetycka wieczoru. Swoje wiersze z różnych okresów twórczości przeczytali kolejno L. Skompska, Z. Dominiak i J. Jarniewicz. Wszystkie wiersze były czytane dwa razy, albowiem po polskiej wersji językowej następowało jej czeskie tłumaczenie autorstwa Buriana, który był zresztą „spiritus movens" całego wieczoru.

Kiedy po skończonej części „oficjalnej" podszedłem do zespołu redakcyjnego „Tygla Kultury" z pytaniem czy zechcieliby w przyszłości przyjechać również na Zaolzie, bardzo się ucieszyli. Było wyraźnie widać, iż ten termin nie jest im obcy, chociaż na Zaolziu jeszcze nie byli i w czasie tego wyjazdu do Republiki Czeskiej tu się nie wybierali. Z naszych poetów najbardziej był im znany Wilhelm Przeczek...

ROMAN BARON

Po powodzi w Boguminie... Smutne lato 1997, fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



Wśród aktorów, zaangażowanych przez dyrektora sceny dramatycznej nowo odbudowanego Teatru Narodowego w Warszawie, znalazł się Jan Monczka, absolwent krakowskiej PWST, aktor Starego Teatru w Krakowie, a wcześniej Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego, jeden z najzdolniejszych adeptów Sceny Polskiej w Czeskim Cieszynie.

W Internecie znalazły się strony zaolziańskie. Zawierają m.in. podstawowe wiadomości o Kongresie Polaków, Radzie Polaków, PZKO i innych polskich organizacjach na Zaolziu, o ruchu kombatanckim. Pomysłodawcą i wykonawcą internetowych stron zaolziańskich był Jerzy Jura.

W Rosji mieszka około 100 tysięcy osób polskiego pochodzenia. 31 maja br. odbył się w Moskwie II Zjazd Kongresu Polaków w Rosji. Celem nadrzędnym Kongresu Polaków w Rosji jest *„odrodzenie i umacnianie tożsamości narodowej oraz pomnażanie dorobku kulturalnego, społecznego i materialnego Polaków, mieszkających w Federacji Rosyjskiej"*. W liście do prezydenta Borysa Jelcyna uczestnicy Zjazdu poruszyli m.in. sprawę rehabilitacji Polaków, którzy zginęli w Rosji w okresie stalinizmu i podczas wojny, problem zwrotu majątków byłych polskich organizacji, oddania wierzącym kościołów katolickich a Kongresowi, zbudowanego w roku 1906, budynku Domu Polskiego w Moskwie, sprawę podwójnego obywatelstwa oraz porozumienia o ruchu bezwizowym między obydwoma krajami.

Edward Moskal, dyrektor krajowy Kongresu Polonii Amerykańskiej, prezes Związku Narodowego Polskiego w Chicago: „Kongres Polonii Amerykańskiej reprezentuje ponad milion Amerykanów polskiego pochodzenia. Każdemu Polakowi wolno pracować w Kongresie. Młodym i starym, nikogo nie selekcjonujemy. Zasiliła nas mocno emigracja z lat 80., wykształcona w Polsce. Mamy 186 dyrektorów oddziałowych we wszystkich stanach. I każdy Polak w Kongresie Polonii ma jeden cel: dobrobyt Polski i pomyślność naszej grupy narodowej w Ameryce. Jesteśmy Polakami z krwi i kości."

Miejska i Gminna Biblioteka Publiczna w Nysie we współpracy z Bi-

blioteką Miejską w Szumperku przygotowała wystawę pt. „Co czytają młodzi Czesi i Polacy". Z badań i obserwacji wynika, że najmłodsi czytelnicy w obu krajach mają identyczne upodobania, zwracają uwagę przede wszystkim na rytm wiersza i stronę edytorską bajek, w których główną rolę odgrywają estetyczne, kolorowe ilustracje. Czeskie nastolatki, jak wynika z badań Biblioteki Narodowej w Pradze, preferują książki przyrodnicze i historyczne, 10–15 procent młodzieży nie czyta w ogóle. Polskie nastolatki lubią książki popularnonaukowe z każdej dziedziny. Popularnością cieszą się też powieści młodzieżowe.

„Zaolziańska sobota" odbyła się w Kędzierzynie-Koźlu 31 maja br. Na sesji popularnonaukowej mówiono o środowisku Polaków w RC. W galerii na Skarbowej otwarto wystawę rzeźby i prac malarskich artystów plastyków z Zaolzia. W bibliotece otwarto wystawę ekslibrisów Zbigniewa Kubeczki, w biesiadzie literackiej udział wzięli Jan Pyszko i Gustaw Sajdok. Na rynku wystąpiły zespoły taneczno-wokalne „Suszanie" z Suchej Górnej i „Anki" z Hawierzowa-Błędowic.

Partnerskie kontakty nawiązały miasta Jaworzno i Karwina, dwa miasta górnicze, które łączą podobne problemy. Delegacja Jaworzna odwiedziła Karwinę. Na razie współpraca dotyczyć będzie sportu i kultury, w przyszłości powinna rozciągnąć się i na inne dziedziny.

Trzydziestolecie działalności obchodzi Nauczycielski Klub Literacki w Opolu. Spotykają się w nim ludzie różnych zawodów, związanych bezpośrednio lub pośrednio z nauką, oświatą, szkolnictwem, których łączy to, że uprawiają poezję lub prozę. Prezesem Klubu jest poeta Wiesław Malicki. Gośćmi Klubu byli niejednokrotnie literaci z Zaolzia, m.in. Kazimierz Kaszper, Wilhelm Przeczek, Jan Pyszko, Gustaw Sajdok.

Pod koniec czerwca odbył się w Olsztynie II Polonijny Zjazd Lekarzy Weterynarii. Wzięło w nim udział ponad 70 weterynarzy, reprezentujących środowiska polonijne różnych krajów. Członkami delegacji zaolziańskiej byli Jan Rucki i Marian Konieczny.

Obroty handlowe między RC i RP wynosiły w roku ubiegłym dwa miliardy dolarów, z czego jedna trzecia przypadła na rejony przygraniczne. Polska zajmuje szóstą pozycję jako partner handlowy RC, RC jest w Polsce na pozycji ósmej.

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

POSZUKIWANIE ŹRÓDŁA

Agnieszka Piegza Łupińska (1918-1993) była przede wszystkim nauczycielką. Powszechnie wiedziano jednak, że pisze także wiersze. Spotykałem ją w życiu nieraz. Między innymi także w szpitalu na Podlesiu. Była również uczestniczką jabłonkowskiej kawiarenki „Pod Pegazem". Staraniem rodziny Łupińskich ukazał się tomik jej wierszy „Gdzie moje źródełko". Gustownie wydany tomik wydrukowano w Trzyńcu (T-Print). Tomik zawiera niespełna 80 wierszy napisanych na różne okazje życiowe i opiewających różnorodne sytuacje społeczne, towarzyskie oraz wydarzenia jubileuszowe. Stanisław Łupiński pisze na przedostatniej stronie zbioru tych tekstów: „Wybrane wiersze długo czekały na swe wydanie. Bardzo tego pragnęła pod koniec życia Agnieszka".

Prof. Daniel Kadłubiec pisze we wstępie o autorce:

„Agnieszka Piegzowa, z domu Łupińska, urodziła się w Gródku. (...) Czteroletnią naukę w czeskim Seminarium Nauczycielskim w Śląskiej Ostrawie ukończyła egzaminem dojrzałości w 1937 r., po czym rozpoczęła pracę zawodową w przedszkolu w Sibicy, następnie w szkołach wydziałowych w Bystrzycy i Trzyńcu. Jako absolwentka zakopiańskich kursów lalkarskich i świetlicowych żywo uczestniczyła w pracach kół Macierzy Szkolnej. (...)

Pierwszą powojenną posadę obejmuje w Milikowie, gdzie również rozpoczyna bogatą pracę społecznikowską: prowadzi chór oraz zespół teatralny. W 1948 roku przenosi się do jabłonkowskiej szkoły wydziałowej i tutaj pracuje aż do emerytury (1975). W miejscowym kole PZKO daje się poznać jako wzorowy kronikarz i sekretarka. W 1960 r. wychodzi za mąż za owdowiałego dyrektora swojej szkoły Karola Piegzę, któremu towarzyszy przez 28 lat w jego niezwykle ważnej pracy zbieraczej i pisarskiej. Sama chwyta za pióro, żeby w wierszach wracać do kraju dzieciństwa, do miejsc i osób najmilszych, do szkoły i dzieci, które były sensem jej życia, do istoty naszej nadolziańskiej odrębności - do gwary i kultury".

Wiersze zawarte w tomiku już poprzez swój charakter tematyczno-wydarzeniowy nie posiadają jakichś wyjątkowych wartości poetycko-literackich. Nie można im jednak nie przyznać talentu postrzegania i w pewnym sensie zgrabnego warsztatu wierszowania. Znajdziemy tu bowiem takie teksty, jak: Na Zjazd Koleżeński, Na 15-lecie Klubu Nauczycieli Emerytów, Na jubileusz szkoły, Na Dzień Nauczyciela, Na sześćdziesiątkę Władkowi Niedobie, Dla Józefa Stebla z Cierlicka, Na otwarcie Domu PZKO w Jabłonkowie, Pozdrowienia dla Ewki Milerskiej i in. Prawdopodobnie autorce nie chodziło o wznoszenie się na wysoki poziom poetycki, ale o wyrażenie treści czytelnych dla ogółu społeczeństwa na Zaolziu. Poszukiwała tematyki w sobie i w otoczeniu. Tomik nie ma ambicji artystycznych, ale jest świadectwem konkretnych zdarzeń. W ten sposób otrzymaliśmy wierszowany zapis losu ludzkiego kobiety-działaczki, która chciała we wzniosłych chwi-

lach dzielić się wierszem ze swoimi bliskimi. I taki dokument pozostał. Nie da się ukryć, że autorka była pedagogiem, bo wiele point zostało przyprawionych dydaktyką. Niemniej przyjemnie czyta się niekiedy rymowane dzieje drogi prowadzącej do odkrywania we własnej prywatności ukrytych źródeł wzruszeń. Wydaje się, że autorka posiadała podświadomy samoogląd tego, co pisała, bo wyraziła to nawet w tytule „Gdzie moje źródełko". Bez pytajnika. Grafik Kazimierz Mrózek dostosował rysunki do treści wyrażanych przez wierszyki.

WILHELM PRZECZEK

ZDROWIE POD RĘKĄ

Co dwa lata wydaje Jadwiga Oszelda książeczki, które są zbiorami felietonów na temat zdrowego stylu życia. Właśnie ukazała się trzecia część tego cyklu ze „zdrowiem" w tytule. Pełne porad felietony drukowane były wcześniej na łamach „Głosu Ziemi Cieszyńskiej". Zebrane i uporządkowane złożyły się na publikacje, które dzięki kieszonkowemu rozmiarowi mogą być stale „pod ręką" i służyć pomocą i radą.

„Zdrowie na talerzu" to pierwsza książka z tego cyklu. Ukazała się w roku 1993 nakładem wydawnictwa „Olza" w Czeskim Cieszynie. Zawierała przede wszystkim obszerne informacje na temat sztuki i kultury zdrowego odżywiania się, zajmowała się jednak również wpływem tego, co jemy i jak jemy, na nasze zdrowie psychiczne i aktywność umysłową.

W roku 1995 Zarząd Główny PZKO wydał drugi tomik Jadwigi Oszeldy, nazwany „Zdrowie nie tylko na talerzu". Był on między innymi odpowiedzią na zarzuty pod adresem autorki, że za bardzo zajmuje się kuchnią, przepisami kulinarnymi, a nie dostrzega innych dziedzin, które również składają się na sztukę życia. Pierwsza część „Zdrowia nie tylko na talerzu" była jeszcze jakby kontynuacją tomiku poprzedniego. Zawierała rozważania i ciekawostki na temat zdrowej i niezdrowej żywności oraz przepisy kulinarne, opierające się na chińskiej medycynie i dietetyce sprzed pięciu tysięcy lat. W części drugiej natomiast ujęła autorka zdrowie fizyczne i psychiczne człowieka w szerszym kontekście. Wychodząc z doświadczeń medycyny i psychoterapii Wschodu, udzieliła porad, jak zachować pogodę ducha, utrzymać harmonię z samym sobą i otaczającym światem, podała też ćwiczenia do masażu, techniki leczenia psychotronicznego, poinformowała o aspektach pozytywnego myślenia, śmiechu i radości, chromoterapii, zaprosiła do medytacji.

Niedawno ukazała się ostatnia część trylogii o zdrowiu Jadwigi Oszeldy. „Zdrowie pod ręką" wydane zostało tym razem po drugiej stronie Olzy, nakładem własnym autorki przy wsparciu finansowym urzędów miejskich

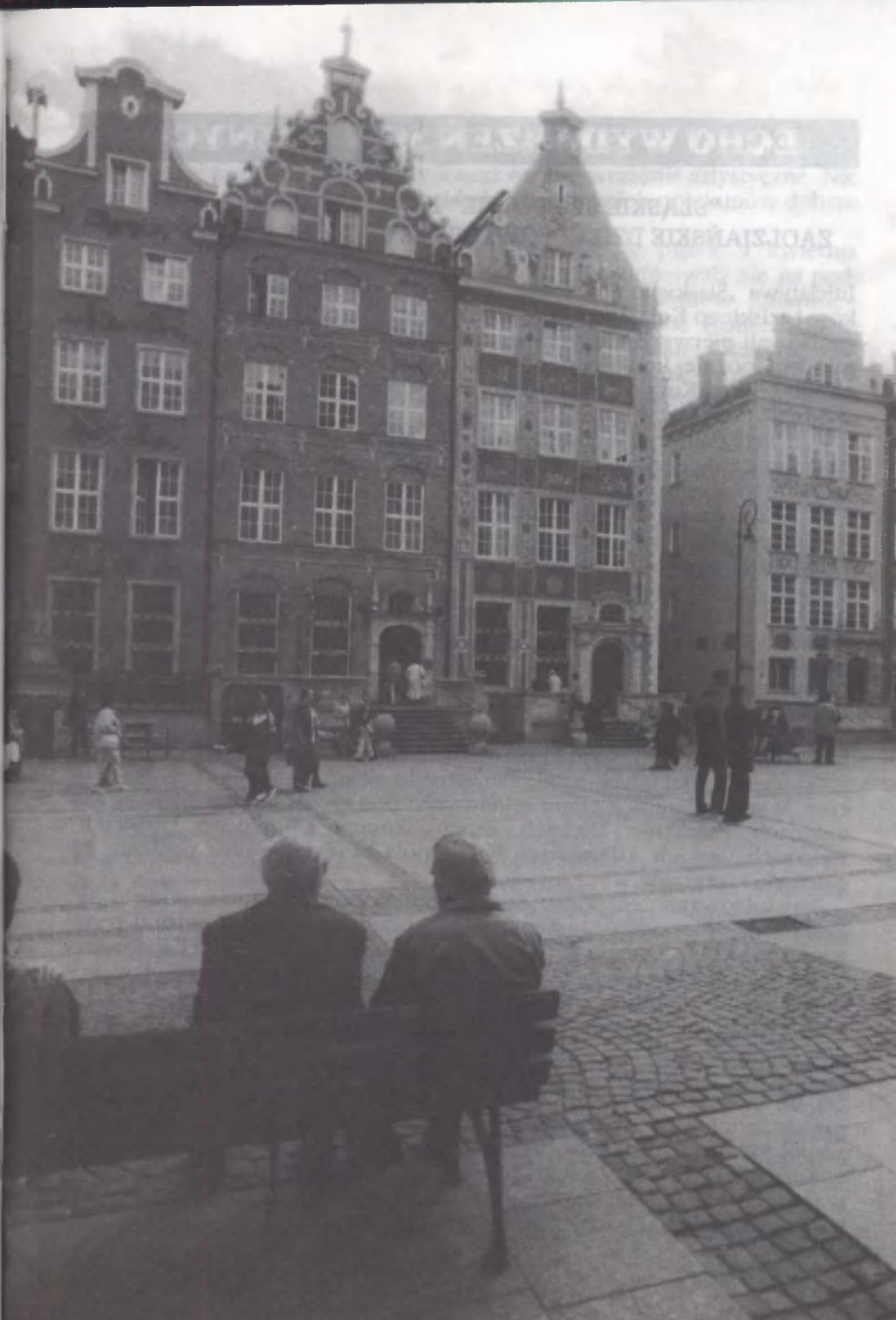
w Bielsku-Białej i Cieszynie. Już format i okładka sugerują, że tomik jest kontynuacją tematu poprzedniego zbiorku felietonów. Autorka zadedykowała go ludziom niepełnosprawnym, ludziom poszkodowanym przez los. Posłannictwo publikacji widzi następująco: *„Szczerze pragnę, aby przyniosła ona Czytelnikowi wiele pożytku i jeżeli nawet jednemu pomoże przełamać bariery, które stwarza nam codzienne życie, będzie to dla mnie wielką radością"*. Książeczka zawiera ponad 80 felietonów, dotyczących zarówno zdrowego sposobu odżywiania się, jak też innych składników (np. ćwiczenia, motywacje psychiczne), stanowiących o zdrowym stylu życia. Czytelnik dowie się, jak poradzić sobie z bólem gardła, co jest dobre na katar, przeziębienie, dolegliwości sercowe, bolące nogi czy oczy, jakie jarzyny jeść przy różnych schorzeniach, co powoduje alergie. Przedstawione są ćwiczenia chińskie i tybetańskie, joga lecznicza i antydepresyjna, ćwiczenia na wzmocnienie kręgosłupa i masaż ucha. Autorka podaje ciekawostki na temat metali życia, kolorów, zaleca kuracje wodne i głodowe, przestrzega przed chemią w jadłospisie, tłuszczami, solą czy nikotyną. W „Dekalogu wegetarianina" chwali jarzyny, owoce i zioła. Nie zapomina również o zdrowiu psychicznym. Korzystając z przeczytanych lektur a także z doświadczeń swoich i swych najbliższych, radzi, jak uniknąć starości, jak walczyć ze stresem, jak przebaczać. Książkę kończy cytatem - „Listem do syna" Rudyarda Kiplinga - zatytułowanym „Jeżeli zdołasz...", wymieniającym przymioty prawdziwego „człowieka". Publikację uzupełnia obszerna bibliografia.

Jadwiga Oszelda nie stara się o ogólne podsumowanie, przy tej formie krótkich felietonów na różne tematy, składających się na całość książki, byłoby to zresztą trudne, wnioski pozostawia czytelnikom. Udziela jedynie w sposób zwięzły i zrozumiały porad i informacji, podpowiada tematy, które należałoby zgłębić, korzystając z innych, omawiających dokładnie dany temat, publikacji. Nie boi się posądzeń o plagiat, nie stara się wmówić czytelnikowi, że jest pierwotną autorką wszystkich mądrych rad, ale podaje źródła swej wiedzy, autorów, którzy byli dla niej inspiracją, tytuły, z których czerpała przy pisaniu felietonów.

Wydaje się, że trylogia o zdrowiu stanowi zamkniętą całość. Patrząc jednak na witalność, energię autorki, pełnej inwencji i nowych pomysłów, oraz temat - zdrowy styl życia - modny i zarazem niemożliwy do wyczerpania, można spodziewać się, że Jadwiga Oszelda nie spocznie na laurach, lecz spróbuje stworzyć tetralogię, a może rozpocznie zupełnie nowy cykl porad pod nowym hasłem.

CZESŁAWA RUDNIK

Cel wielu wycieczek, godny podziwu, w tym roku obchodzący swe tysiąclecie - GDAŃSK (stare miasto), fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



"ŚLĄSKIE ŚPIEWANIE" PO RAZ CZWARTY ZAOLZIAŃSKIE DZIECI POWTÓRZYŁY SUKCES Z NADWYŻKĄ

Inicjatywa „Śląskiego Śpiewania" zrodziła się wśród nauczycieli - członków Łaziskiego Koła Związku Górnośląskiego, którzy w swojej szkole zorganizowali pierwszy międzyklasowy konkurs na piosenkę śląską. W kilka miesięcy później konkurs przybrał charakter imprezy międzyszkolnej dla całego terenu Kuratorium Oświaty w Tychach. Brało w nim udział 600 wykonawców.

W II Przeglądzie (1995) uczestniczyło już ponad 4000 młodych wykonawców z przedszkoli, szkół podstawowych z terenu całego województwa katowickiego.

W 1996 roku do III Przeglądu zgłosiło się 6000 dzieci i młodzieży. Dziesięć miast Śląska gościło tych wspaniałych artystów, przekazujących rodzimą kulturę - bogactwo śląskiej małej ojczyzny.

W III Przeglądzie - z inicjatywy prof. Daniela Kadłubca - po raz pierwszy wzięły udział dzieci z polskich przedszkoli i szkół podstawowych na Zaolziu. W eliminacjach finałowych w Zabrzu uczestniczyło z Zaolzia 132 wykonawców - 11 solistów oraz 5 zespołów. Największy sukces zanotowali uczniowie z Karwiny-Nowego Miasta, Hawierzowa-Błędowic, Gnojnika, Gródka, Orłowej-Lutyni, Mostów koło Jabłonkowa i Czeskiego Cieszyna, którzy odebrali potem nagrody na koncercie galowym w Teatrze im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach.

Do tegorocznej edycji Konkursu zgłosiło się już ponad 9000 wykonawców. Współorganizacji etapu rejonowego podjęły się Urzędy Miast w Katowicach, Pszczynie, Tychach, Zabrzu, Żorach, Chorzowie, Łaziskach, Piekarach Śląskich, Łubnianach koło Opola i Cieszynie oraz podległe im placówki kulturalne.

Zorganizowania „Śląskiego Śpiewania" na terenie Zaolzia podjęło się Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne PZKO przy współpracy Centrum Pedagogicznego oraz Zakładu Badań Etnikum Polskiego w Czeskim Cieszynie.

Pierwsza część eliminacji międzyszkolnych dla dzieci ze szkół w powiecie frydecko-misteckim odbyła się już w lutym br. w Polskiej Szkole Podstawowej w Trzyńcu-Łyżbicach. Uczestniczyło w niej 34 wykonawców.

W karwińskich eliminacjach uczestników było prawie trzykrotnie więcej, bo 89 śpiewaków - 21 solistów, 5 duetów oraz 7 zespołów. Była też przedstawicielka zespołu „Suszanie" oraz orłowsko-lutyński dziecięcy zespół folklorystyczny „Skotniczka". Uczestników Przeglądu witali w PSP w Karwinie-Nowym Mieście chlebem i solą miejscowi uczniowie ubrani w śląskie stroje. Scenę szkolnego teatrzyku zdobił cieszyński strój ludowy i wymowny napis „Płyniesz Olzo po dolinie...".

Komisja w składzie Daniel Kadłubiec (przewodniczący), Halina Kraina i Józef Wierzgoń oceniała dobór repertuaru, uwzględniając przy tym czystość gwary, poziom wykonawstwa oraz ogólne wrażenie artystyczne. Nie miała łatwego zadania, gdyż dzieci były przez swoich opiekunów dobrze przygotowane.

Do eliminacji rejonowych, które odbyły się w piątek 4 kwietnia w Domu Narodowym w Cieszynie (Polska), zakwalifikowały się na podstawie eliminacji międzyszkolnych dzieci z przedszkoli w Karwinie-Nowym Mieście i Karwinie-Frysztacie oraz uczniowie (soliści, duety i zespoły) szkół podstawowych w Suchej Górnej, Czeskim Cieszynie, Hawierzowie-Błędowicach, Karwinie-Frysztacie, Karwinie-Nowym Mieście, Gnojniku, Bukowcu, Łomnej Dolnej oraz Jabłonkowie, solistka zespołu „Suszanie", zespoły „Skotniczka" z Orłowej-Lutyni oraz Kapela Gorolsko „Zorómbek" czeskocieszyńskiego gimnazjum.

Do Domu Narodowego w Cieszynie przyjechało zatem 29 młodych solistów, 1 duet oraz 7 zespołów - w sumie 90 wykonawców. Rejon cieszyński (po polskiej stronie) reprezentowało ogółem 122 dzieci.

Oto jak scharakteryzował eliminacje rejonowe w Cieszynie prof. Daniel Kadłubiec, jeden z członków jury w cieszyńskim Domu Narodowym: *„... nasi wykonawcy zdeklasowali wszystko, co było wokół nich. Widać było jak na dłoni, że reprezentujemy zupełnie inny poziom wynikający ze zrozumienia istoty ludowego śpiewania, kultury ludowej w ogóle. Sławę Zaolzia broniła wyjątkowo skutecznie szkoła podstawowa z Karwiny-Nowego Miasta.*

Drugim ośrodkiem wspaniałego śpiewania jest szkoła w Gnojniku. Mała Monika Juchna z Suchej Górnej, Monika Wrona z Bukowca, wspaniale ubrane, zaśpiewały oryginalne warianty melodyczne, nie mówiąc już o przedszkolu z Frysztatu, Adasiu Sikorze i nieco starszym Adasiu Faranie z Karwiny-Nowego Miasta. Objawieniem „Śpiewania" była Beata Czendlik z Suchej Górnej („Suszanie"). Bardzo dobrze śpiewał tercet z Czeskiego Cieszyna z Ksenią Góralik, duet z Błędowic i solista Tomasz Suchanek, nie zawiodły „Wiolinki" z Frysztatu, a jabłonkowska „Nowina" potwierdziła starą prawdę, że jest zespołem, który trzeba pokazywać wszędzie. No i był też gimnazjalny „Zorómbek" z Leszkiem Kaliną. Nie sposób tu wyliczać wszystkiego, a właściwie - z małymi wyjątkami - wszyscy zasługiwali na to, by być w finale „Śląskiego Śpiewania" w Rudzie Śląskiej 11 kwietnia. Ale i tak z 18 zakwalifikowanych solistów i zespołów 16 należy do nas. Dzieci wykonały wspaniałą pracę! Pokazały znowu, kim jesteśmy i co potrafimy. Wdzięczność należy się szkołom i nauczycielom, którzy to rozumieją i wiedzą, o co tu chodzi".

W finałowym zmaganiach w Rudzie Śląskiej dzieci z Zaolzia zaprezentowały swoje umiejętności w samodzielnym bloku programowym. Na scenie tchnęło prawdziwą ludowością, autentycznością, zachwycała czystość stylu, oryginalność strojów, poprawna gwara, no i... urzekający śpiew. Podziw wzbudzały akompaniujące kapele „Skotniczki" i „Suszan".

„Gdyby tak nasi soliści i zespoły miały taki cudowny akompaniament..." – takie życzenia padały wśród członków jury na czele z prof. A. Dygaczem. Bardzo ucieszył wszystkich werdykt jury: czterech solistów i jeden zespół z Zaolzia uplasowały się w konkursie na 1. miejscu! A byli to: Adam Sikora z przedszkola w Karwinie-Frysztacie, Alicja Herman i Helena Lugsch z PSP w Karwinie-Nowym Mieście, Beata Czendlik z górnosuskiego zespołu „Suszanie" oraz zespół wokalno-instrumentalny „Nowina" z PSP w Jabłonkowie. Drugie miejsce wywalczył zespół wokalny „Dziołchy z kolónije" PSP w Karwinie-Nowym Mieście. Szkoda, że nie mógł przybyć do Rudy Śląskiej gimnazjalny „Zorómbek".

I pojechali wszyscy w ostatnią kwietniową niedzielę po nagrody do Zabrza. Sala Domu Muzyki i Tańca, która może mieścić 2 078 widzów, pękała w szwach. To rozmiłowana w pieśni śląskiej publiczność przybyła na „Koncert Galowy" laureatów IV Festiwalu Piosenki Dziecięcej „Śląskie Śpiewanie"; na sali wiele znakomitych osobistości regionu na czele z wojewodą katowickim, Eugeniuszem Ciszakiem oraz konsulem generalnym Republiki Czeskiej w Katowicach, Józefem Byrtusem.

A koncert był wspaniały i gigantyczny. Trwał blisko 4 godziny! Zagaił go w stroju ludowym prezydent miasta Roman Urbańczyk, który w swoim powitalnym przemówieniu zwrócił również uwagę na udział zaolziańskich dzieci w tym przeglądzie, podkreślając, iż młodych Zaolziaków trzeba otoczyć szczególną opieką, żeby nie czuli się obco i osamotnieni na Zaolziu; przecież oni tak samo należą poprzez swoją gwarę do wielkiej śląskiej rodziny.

A potem jak w barwnym kalejdoskopie przewijali się przez scenę w pięknych śląskich strojach laureaci finałowych eliminacji. W pierwszej części koncertu zaprezentowali się soliści, duety, zespoły wokalne, wokalno-instrumentalne i wokalno-taneczne Ziemi Bytomskiej, Opolskiej i Pszczyńskiej.

Po przerwie podziwiano folklor Ziemi Rybnickiej, zaś finał należał do Ziemi Cieszyńskiej i Zaolzia. Podkreślić trzeba, iż publiczność szczególnie ciepło i serdecznie przyjęła popisy młodych Zaolziaków: „Dziołchy z kolónije" i duet (Alicja Herman i Helena Lugsch) z Karwiny-Nowego Miasta. Duet ten otrzymał jeszcze dodatkową nagrodę Metropolity Katowickiego, arcybiskupa Damiana Zimonia, za walory wychowawcze zaprezentowanych pieśni. Mocne brawa zebrała jabłonkowska „Nowina", zaś prawdziwym ulubieńcem publiczności stał się Adaś Sikora, przedszkolak z Karwiny-Frysztatu, który ze swoim dziadkiem (ten przygrywał wnukowi na skrzypcach), aż trzykrotnie musiał przyjść ukłonić się rozentuzjazmowanym widzom. Nagrodę za zdobycie 1. miejsca odebrała też Beata Czendlik z zespołu „Suszanie".

Dodać trzeba, iż wyróżnienie odebrali też pod koniec maja w Katowicach opiekunowie swoich uczniów Adama Farany z PSP w Karwinie-Nowym Mieście, Barbary Čapińskiej z PSP Gnojnik, tercetu PSP w Czeskim Cieszynie oraz zespołu wokalnego „Wiolinek" z PSP Karwina-Frysztat.

Tak więc dzieci z Zaolzia nie zawiodły w czwartej edycji „Śląskiego

Śpiewania" i raczej z nadwyżką powtórzyły swój ubiegłoroczny sukces w Katowicach. Teraz już czas, żeby nasze przedszkola i szkoły podstawowe i średnie oraz zespoły folklorystyczne pozaszkolne pomyślały o udziale w piątym z kolei jubileuszowym „Śląskim Śpiewaniu", którego nieodłączną częścią składową powinny stać się w latach następnych dzieci i młodzież z Zaolzia.

JÓZEF WIERZGOŃ

OBRADOWAŁO POLSKIE ŚPIEWACTWO

Na początku maja w Rydzynie koło Leszna odbył się dwudniowy XV Krajowy Zjazd Delegatów Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, w którym uczestniczyli jako delegaci również przedstawiciele Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego PZKO Oddziału Zagranicznego (Zaolziańskiego) PZChiO Jan Hławiczka, Halina Kraina i Leszek Kalina oraz Józef Wierzgoń, od r. 1993 członek Zarządu Głównego PZChiO w Warszawie.

W sprawozdaniu z działalności ZG PZChiO za kadencję 1993-97 prezes Walter Stryja podkreślił m.in., iż *„ZŚM jako Oddział Zagraniczny PZChiO, działający w Republice Czeskiej, jest cenionym partnerem dla ZG PZCHiO w zakresie upowszechniania muzyki polskiej. ZG PZChiO przekazuje naszemu Zrzeszeniu czasopismo „Życie Muzyczne", członkowie ZG są obecni na ważniejszych imprezach realizowanych na Zaolziu, na jubileuszach zespołów chóralnych. Najściślejszą zaś współpracę nawiązało ZŚM z Oddziałem Śląskim i Bielsko-Bialskim. Chóry na Zaolziu śpiewają polską muzykę, uczestniczą w polskich imprezach, z konkursem chórów szkolnych włącznie. Przedstawiciel Oddziału Zagranicznego jest członkiem ZG PZChiO".*

Krajowy Zjazd zatwierdził pewne poprawki do Statutu PZChiO oraz „Regulaminu Nadawania Odznaki Honorowej Związku", który obecnie upoważnia Oddziały do przyznawania obok odznaki brązowej i srebrnej również odznaki złotej. Przyznawanie odznaki złotej z laurem i złotej z wieńcem laurowym pozostaje w kompetencji ZG PZChiO.

Zjazd przyjął wytyczne na dalszą czteroletnią kadencję, w której przewidziane jest m.in. zorganizowanie Słowiańskiego Zjazdu Chórów. W tajnych wyborach Krajowy Zjazd wybrał na lata 1997-2001 nowy Zarząd Główny, w skład którego po raz drugi wszedł Józef Wierzgoń, wiceprezes ZŚM pan Kazimierz Feber, który 24 lata sprawował różne funkcje w ZG PZChiO (w ostatniej kadencji był wiceprezesem), mianowany został przez Zjazd Honorowym Prezesem PZChiO.

Warto jeszcze dodać, iż ZG PZChiO wydał książkę pt. „Społeczny ruch muzyczny w Polsce - wczoraj, dziś, jutro", w której znaleźć można również obszerniejszy materiał autorstwa Józefa Wierzgonia pt. „70-lecie zorganizowanego śpiewactwa polskiego w Republice Czeskiej (1927-1996)", obejmujący również najważniejsze wydarzenia w zaolziańskim życiu śpiewaczym w latach 1945-1996.

J.W.

TOURNÉE "HUTNIKA" Z TRZYŃCA
NIEMCY – BELGIA – WIELKA BRYTANIA

Po raz pierwszy w dziewięćsetletniej historii katedry winchesterskiej, w murach świątyni, której znaczenie dla dziejów Anglików jest podobne do tego, jakie dla Polski ma Gniezno, wystąpili Polacy. Bohaterem tego prestiżowego wydarzenia był goszczący w Wielkiej Brytanii na zaproszenie „Mazurów" Polski Zespół Śpiewaczy „Hutnik" z Trzyńca.

Koncert w katedrze winchesterskiej był bardzo efektownym zwieńczeniem dwunastodniowego tournée, jakie w dniach 20–31 maja „Hutnik" odbył za granicą. Tym razem trasa trzynieckiego chóru, prowadzonego przez Cezarego Drzewieckiego, wiodła przez Niemcy, Belgię do Wielkiej Brytanii. „Hutnikowi" towarzyszyli: Trzyniecka Orkiestra Kameralna pod dyrekcją Aleny Kostkowej oraz troje solistów: Alina Farny-Podskalska – sopran, Władysław Czepiec – tenor i Beata Drzewiecka – fortepian. W repertuarze wspólnych koncertów znalazły się utwory muzyki sakralnej i klasycznej oraz pieśni ludowe.

Pierwszy koncert odbył się 21 maja w Bautzen (Budziszynie) – centrum kulturalnym mieszkających w Niemczech 60 tysięcy Serbów Łużyckich, mieście o tysiącletniej tradycji. Ranek i wczesne przedpołudnie trzyńczanie spędzili na zwiedzaniu budziszyńskiej starówki. Podczas wizyty w Katedrze św. Piotra z XIII–XV wieku na wyraźne życzenie niemieckiej przewodniczki „Hutnik" zaśpiewał kilka pieśni, którym z wielkim zadowoleniem przysłuchiwali się obecni w świątyni turyści. Okazało się, że jest to niepisany zwyczaj tego miasta – gdy odwiedza go jakiś zespół śpiewaczy, musi w budziszyńskiej katedrze odśpiewać choćby jeden utwór. Ten nieprzewidziany programem dopołudniowy recital miał wymiar szczególnie symboliczny, bowiem od czasów reformacji Katedra św. Piotra jest świątynią, w której odprawiają swe nabożeństwa zarówno ewangelicy, jak i katolicy. Świątynia ta dzielona pospołu przez ewangelików i katolików to jeden z najstarszych w Europie przykładów ekumenizmu, a przecież i w „Hutniku" śpiewają jednym głosem katolicy i ewangelicy. Warto też dodać, że „Hutnik" był drugim po „Poznańskich Słowikach" chórem polskim, który zaśpiewał w budziszyńskiej katedrze. Wieczorem w sali Landratsamtu „Hutnik" wystąpił na zaproszenie tamtejszego chóru „Schubert", z którym współpracuje już od ponad 30 lat. Na wypełnionej do ostatniego miejsca widowni zasiadło wielu członków niemieckiego chóru, którzy specjalnie przybyli posłuchać swych trzynieckich kolegów, wśród nich Gerd Kaczmarek – prezes „Schuberta". Występ „Hutnika" i Orkiestry przyjęto bardzo gorąco. Jednym ze słuchaczy okazał się przemysłowiec Gerold Pöhle, właściciel wytwórni półproduktów spożywczych i lodów w pobliskim Grosspostwitz. Był tak zachwycony wystę-

pem trzyńczan, że zaprosił całą, siedemdziesięcioosobową grupę do siebie i poczęstował swymi świetnymi lodami z bitą śmietaną. Równie dobre wrażenie „Hutnik" wywarł na towarzyszącym mu w tournée staroście Trzyńca panu Igorze Petrovie. Starosta nie krył zdumienia dla kunsztu śpiewaków i muzyków, przyznał, że wychowywał się na innej niż klasyczna muzyce, ale to, co usłyszał w sali budziszyńskiego Landratsamt, wywarło na nim wielkie wrażenie. Obiecał, że dokąd będzie sprawował swą funkcję, dotąd będzie wspierał „Hutnika", aż wśród trzyńczan nie znajdzie się już nikt, kto by nie słyszał śpiewu polskiego chóru.

Następnym etapem podróży było Comblain la Tour - walońskie miasteczko położone niedaleko Liege w Belgii. Te tereny to duże skupisko polonijne. „Hutnik" gościł w siedzibie Polskiej Macierzy Szkolnej. Mieści się ona w byłej posiadłości pewnego notariusza, gdzie w latach 1940-50 był Hotel de Parc. W 1960 roku posiadłość tę, położoną nad rwącą rzeką Ourthe, zakupiła belgijska Polska Macierz Szkolna. Z okazji obchodzenia w 1966 roku tysiąclecia chrztu Polski dom nazwano „Millenium". Zjeżdżają tu na wakacje polskie dzieci, m.in. w 1982 roku odbył się tu III Światowy Zlot Harcerstwa Polskiego. Od roku 1960 roku już ośmiokrotnie powódź czyniła tu spustoszenia, zalewając nie tylko posiadłość „Millenium", ale sporą część miasteczka. Opiekująca się od dwóch lat domem pani Barbara Gaede opowiada trzyńczanom, że gdy przez kilkanaście dni pada mocno deszcz, to jest to dla niej znakiem, że należy być szczególnie czujnym, bo powódź znów może grozić posiadłości. Na szczęście „Hutnik" przywiózł ze sobą do Comblain la Tour słońce. Tu zbierał siły przed mającą nastąpić niebawem najbardziej prestiżową częścią tournée - w Wielkiej Brytanii.

23 maja trzyńczanie spędzili na wycieczce po najbliższej okolicy. Najpierw wybrali się do Spa - najsłynniejszego kurortu w belgijskich Ardenach. Tu popróbowawszy szklanki źródlanej wody, żałowali, że nie starczy już czasu, by odwiedzić cztery inne źródła, znajdujące się na leśnych obrzeżach kurortu. Trzeba bowiem było jechać dalej, do malutkiej miejscowości Banneux Notre-Dame, gdzie w 1933 roku kilkuletniej Marietcie Beco objawiła się ośmiokrotnie Matka Boska. Z Bonneux Notre-Dame zespół pojechał zwiedzić stolicę regionu - Liege, a w nim Katedrę St. Paul, Teatr Królewski i Pałac Książąt-Biskupów. Wieczorem zaś, po powrocie do „Millenium", trzyńczanie dla domowników tej okazałej siedziby Polskiej Macierzy Szkolnej urządzili mały recital. Na synu pani Barbary śpiew „Hutnika" i gra Orkiestry zrobiły takie wrażenie, że jako urzędnik magistratu w Corblain la Tour obiecał przygotowanie „Hutnikowi" w przyszłym roku dużej trasy koncertowej po Belgii.

Bez wątpienia najbardziej prestiżowa część tournée odbyła się natomiast w Wielkiej Brytanii. Sześciodniową gościnę „Hutnika" w Londynie zorganizował Zespół Tańców i Pieśni Polskiej YMCA „Mazury". Założony w 1949 roku, od 24 lat prowadzony przez Włodzimierza Lesieckiego, gościł w ubiegłym roku m.in. na Tygodniu Kultury Beskidzkiej w Wiśle oraz był podejmowany przez „Hutnika" jako uczestnik Gorolskiego Święta

w Jabłonkowie. „Mazury" to najlepszy obok „Karolinki" zespół polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii. W rewanżu za ubiegłoroczną gościnę „Mazury" przygotowały „Hutnikowi" nie tylko trasę koncertową, ale i turystyczny szlak wiodący m.in. pod polskie pomniki: Katyński na cmentarzu Gunnersbury i Lotników Polskich w Northolt oraz prowadzący śladami polskich pamiątek z pietyzmem przechowywanych na obczyźnie.

W londyńskim Instytucie Generała Sikorskiego trzyńczanie wysłuchali opowieści m.in. o niedźwiadku Wojtku, który został zabrany jako trzymiesięczny miś z gór Iraku przez żołnierzy Kompanii Zaopatrzeniowej II Korpusu Polskiego i wraz z armią generała Andersa przeszedł całą kampanię włoską. Po wojnie trafił do edynburskiego ZOO, gdzie przeżył prawie 20 lat, ale zawsze, gdy tylko usłyszał polską mowę, to szalał z radości. Trzyńczanie podziwiali też m.in. słynną maszynę Enigma, oglądali największy poza krajem zbiór polskich militariów - zawierający m.in. 27 sztandarów Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie oraz pamiątki i archiwa z działalności władz państwowych na obczyźnie - m.in. mundur generała Sikorskiego ocalały z katastrofy gibraltarskiej.

Londyński pobyt trzyńczan stał się często okazją do długich nocnych rozmów Polaków żyjących poza krajem, ale szczególnie wzruszającym dla Zaolzian był moment, jaki przeżyli właśnie w Instytucie i Muzeum im. Generała Sikorskiego. Oprowadzała po nim trzynieckich chórzystów i muzykantów pani Danuta Skompska-Halsey. W pewnym momencie ktoś z trzyńczan skojarzył, że ich przewodniczka jest jedną z bohaterek wspomnień Władysława Martynka, autora książki „Pamiętnik Sybiraka"...

„Mazury" zawiozły też trzyniecki zespół do Fawley Court. To dawna rezydencja arystokratyczna, otoczona pięknym parkiem, położona nad brzegiem Tamizy, zaledwie o 2 km od Henley, siedziby Royal Regatia, miejsca, w którym odbywają się słynne na cały świat regaty wioślarskie.

Zrujnowane Fawley Court po II wojnie światowej wykupili Polacy. Pod protektoratem ojców Marianów i tutejszej emigracji powstała w Pałacu szkoła dla chłopców polskich, która w ciągu 33 lat swego istnienia wykształciła 3,5 tys. młodych patriotów. Przed 12 laty szkoła zakończyła swą działalność, dziś Fawley Court jest emigracyjnym ośrodkiem religijnym i polonijnym, w którym obok Sanktuarium Bożego Miłosierdzia ufundowanego przez księcia Stanisława Radziwiłła, znajduje się Dom Zakonny Księży Marianów, Dom Pielgrzyma im. Jana Pawła II oraz Muzeum Polskie i Biblioteka.

- Od 1939 roku jestem poza krajem, ale żyliśmy tą Polską, o czym najlepiej świadczą zgromadzone w ośmiu pokojach darowizny, te właśnie polskie pamiątki - mówił kustosz Muzeum Henryk Lipiński. Przewodnik opowiadał, że Muzeum często odwiedzają nie tylko Polacy, ale i Brytyjczycy i nie mogą wyjść z podziwu, ponieważ - jak mówią - nigdy się nie spodziewali, że obcy naród w innym niż swój kraju może mieć tak piękne Muzeum. - Tu uczą się polskiej historii, tu poznają naszą kulturę - twierdzi pan Lipiński. A jest się czym chwalić. W zbiorach Fawley Court m.in. znajdują się rękopisy Adama Mickiewicza i jego chusteczka z wyhaf-

towanym monogramem, pieczęcie i podpisy niemal wszystkich polskich władców przywiezione tu z wojennej pożogi na polskich ziemiach wschodnich przez założyciela szkoły ojca Józefa Jarzębowskiego. „Hutnik" w podzięce za tak niezwykłą lekcję historii zaśpiewał spontanicznie hymn „Gaude Mater Polonia".

Fawley Court kojarzyć się będzie też trzyńczanom z przepięknym piknikiem, który odbył się w parku rezydencji. Wtedy właśnie jeden z członków „Mazurów" dr Zbigniew Szydło, autor książki o najsłynniejszym polskim alchemiku Sędziwoju zatytułowanej „Woda, która nie moczy rąk", tym razem objawił się „Hutnikowi" jako pasjonat starych samochodów. Do Fawley Court przyjechał swym Rolls-Roycem, wyprodukowanym w 1964 roku.

Członkowie zespołu „Mazury", a wśród nich stale towarzyszący „Hutnikowi" Włodzimierz Lesiecki, pokazali trzyńczanom także zabytki Windsoru, siedziby monarchii brytyjskiej. Dzięki „Mazurom" trzyńczanie poznali także najciekawsze miejsca Londynu. Tu szczególne podziękowanie należy się panu Jerzemu Naksowi, który aż dwukrotnie dał się namówić na pieszą późnowieczorną, przeciągającą się w noc, wielogodzinną przechadzkę po rozległym centrum Londynu.

Serdeczność, z jaką „Mazury" podejmowały „Hutnika", najlepiej świadczyła, że w Londynie nie zaginęła tradycyjna staropolska gościnność. Domy członków zespołu „Mazury" i ich przyjaciół stanęły otworem dla Zaolzian, a Wisia i Ryszard Sallerowie, Włodzimierz Lesiecki i Jerzy Naks nieustanie czuwali nad sprawną organizacją pobytu trzynieckiej siedemdziesięcioosobowej grupy.

Polskiej społeczności w Londynie po raz pierwszy „Hutnik" i towarzysząca mu Trzyniecka Orkiestra Kameralna zaprezentowali się w niedzielę 25 maja. Wystąpili podczas Mszy św. w kościele polskim pod wezwaniem NMP Matki Kościoła na Ealingu. Drugi z londyńskich koncertów miał miejsce tego samego dnia w kościele MB Częstochowskiej na Devonii. Szczególnie wzruszająco zabrzmiała otwierająca występ pieśń „Gaude Mater Polonia". Słuchali jej nie tylko licznie przybyli do kościoła rodacy. Słuchały jej postaci żołnierzy Polskich Sił zbrojnych na Zachodzie zdobiące witraże Adama Bunscha, przedstawiające sceny ilustrujące zmagania Polaków w walce o swoją suwerenność. Słuchały jej umieszczone w ołtarzu głównym patriotyczne wota - wśród nich posrebrzany orzeł, dar prezydenta Raczkiewicza oraz szabla, dar generała Sikorskiego.

– Kościół ten chcemy utrzymać jako centrum kultury polskiej, chrześcijańskiej kultury polskiej. Swym pięknym występem dodaliście nam otuchy, ducha zachęty dla naszych młodych. My też mamy chór, ale nie tak dobry jak „Hutnik". Na razie na tak ambitny program pozwolić sobie nie możemy, ale obiecuję, że poćwiczymy i potem przyjedziemy na Zaolzie - mówił trzyńczanom, dziękując za występ, ks. Teodor Poloczek. Fragmenty tego koncertu rejestrował dla Telewizji Polonia redaktor Marek Borzęcki z Londynu, a wyemitowane zostały w następną niedzielę w programie „Studio Kontakt".

Najbardziej zaś prestiżowym wydarzeniem tournée był czterdziestopięciominutowy koncert „Hutnika" i Orkiestry w katedrze w Winchester, który odbył się 28 maja we wczesnych godzinach popołudniowych. Mury winchesterskiej katedry, które stały się schronieniem m.in. dla prochów królowej Emmy, córki Bolesława Chrobrego, rozbrzmiały m.in. pieśniami polskich kompozytorów: hymnem „Gaude Mater Polonia" w opracowaniu Klonowskiego, psalmem 77 do muzyki Gomółki i utworami „Tota pulchra es Maria" oraz „Laetatus sum" Gorczyckiego. Ten niezwykle ciepło przyjęty m.in. przez odwiedzających katedrę turystów koncert był pierwszym występem Polaków w historii winchesterskiej katedry.

Pełni wrażeń, zadowoleni z koncertowej trasy trzyńczanie, podczas ostatniego wieczoru, jaki „Mazury" przygotowały „Hutnikowi" i Orkiestrze 29 maja w Polskim Ośrodku Katolickim na Ealingu, gromkim „Sto lat" dziękowali za gościnę i troskę swym londyńskim gospodarzom. Z wielkim wzruszeniem przyjęli słowa Ryszarda Sallera, prezesa „Mazurów", nawiązujące do tytułowej pieśni kompaktowej płyty, nagranej przez „Hutnika": – Proszę, pamiętajcie, u nas jest wasz dom!

Już niebawem oba zespoły będą świętować okrągłe rocznice swego istnienia: „Mazury" – półwiecze, „Hutnik" – czterdziestopięciolecie. Być może stanie się to okazją do powtórnych spotkań w Trzyńcu i w Londynie.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA
„GAZETA WYBORCZA"



„Hutnik" w porcie Dover – pożegnanie z Anglią, fot. PETR RUBAL

5. CIERLICKIE LATO FILMOWE

Już po raz piąty w cierlickim kinie Svoboda odbędzie się w dniach od 4 do 7 września br. Cierlickie Lato Filmowe. Impreza zapoczątkowana przez Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej i Radę Polaków w roku 1993 rozwija się bardzo dynamicznie. Celem pierwszego przeglądu była prezentacja kina polskiego. W drugiej edycji do polskich dołączyły filmy czeskie. W roku następnym CIELAF przyjął formę, która przetrwała do dnia dzisiejszego. Trzy części. W pierwszej organizatorzy sięgają do historii kinematografii polskiej i czeskiej. W części drugiej, konkursowej, biorą udział filmy zrealizowane przez debiutantów w branży reżyserskiej. Trzecia część zarezerwowana jest dla najlepszych filmów biorących udział w przeglądzie krajów ostatniego i bieżącego sezonu.

Podczas tegorocznej edycji CLF w części retrospekcyjnej zostaną zaprezentowane po trzy filmy nieżyjących już klasyków kinematografii. Polskę reprezentować będą trzy wcześniejsze filmy Krzysztofa Kieślowskiego („Przypadek", „Bez końca" i „Krótki film o zabijaniu"). W czeskiej części wspomnieniowej widzowie obejrzą filmy Evalda Schorma („Farářův konec", „Den sedmý osmá noc", „Psi a lidé").

Również w tym roku organizatorzy przygotowali pewne novum. W konkursie debiutów i w grupie najlepszych filmów ostatniego i bieżącego sezonu pojawią się też filmy słowackie. Wyboru repertuaru organizatorzy dokonują podczas największych imprez filmowych w Polsce i Czechach – na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, na Lubuskim Lecie Filmowym w Łagowie i podczas festiwalu filmowego w Karlowych Warach. We wstępnym programie Cierlickiego Lata Filmowego'97 znalazły się debiuty „Kratka" Łozińskiego, „Sztos" Lubaszenki, „Nocne graffiti" Dutkiewicza, „Marián" Václava, „Hranice stínu" Müllera, „Modré z neba" Borušovičovej i „Šeptej" Ondříčka. Do trzeciej grupy zaszeregowano obrazy „Farba" Rosy, „Historie miłosne" Stuhra, „Kamenný most" Vorla, „Zapomenuté světlo" Michálka i „Orbis Pictus" Šulíka ze Słowacji. W ubiegłym roku dużym powodzeniem cieszyły się filmy dokumentalne. W tym roku organizatorzy ponownie sięgnęli po ten gatunek. Widzowie będą mogli obejrzeć więc para-dokument „Krok" Piwowskiego i film „Jaka Polska" Kędzierskiego i Piekutowskiego.

Do Cierlicka zostali zaproszeni twórcy wszystkich filmów biorących udział w konkursie. Wśród licznych gości powinien pojawić się też autor „Kroku" i sławnego „Rejsu" Marek Piwowski oraz Jerzy Stuhr. Patronat nad imprezą objęło Ministerstwo Kultury i Sztuki RP i Ministerstwo Kultury RC. W jury oceniającym filmy debiutanckie zasiądą krytycy filmowi oraz przedstawiciele asocjacji klubów filmowych obu krajów. Najlepszy film wybierze również publiczność.

MAREK MICHAŁEK

TRADYCYJNE IGRZYSKA SPORTOWE...



... szkół polskich na naszym terenie odbyły się w Trzyńcu 4. 6. 1997, tym razem pod patronatem 2. PSP w Trzyńcu-Tarasie

DZIENNIKARKI POLSKIEGO RADIA NA ZAOLZIU

W dniach 4-6 czerwca przebywały na Zaolziu dziennikarki 5 programu Polskiego Radia w Warszawie Halina Wiegner i Maria Wieczorkiewicz. W hotelu „Piast" w Czeskim Cieszynie wzięły udział w spotkaniu ze zwycięzcami konkursu na wspomnienia z czasów II wojny światowej, ogłoszonego przez ich redakcję. Dziennikarki zwiedziły Cierlicko (Żwirkowisko, Dom PZKO na Kościelcu), Żywocice (pomnik Ofiar Tragedii Żywocickiej, cmentarz), Stonawę (cmentarz), Łąki oraz Błędowice (Dom PZKO, stary cmentarz ewangelicki, kościół ewangelicki). Podczas wizyty w polskiej szkole w Błędowicach redaktorki mogły obejrzeć występ dziewczęcego zespołu „Anki" oraz pokazową lekcję języka czeskiego. W Domu Polskim w Ostrawie wyczerpujący referat o historii spółdzielni Dom Polski przedstawił jej prezes Tadeusz Siwek. Odbyło się tu również spotkanie z przewodniczącym Ruchu Politycznego „Wspólnota" Stanisławem Gawlikiem. 7 czerwca dziennikarki wzięły udział w Festiwalu PZKO w Karwinie.

T.T.

WIELKI DZIEŃ W MAŁEJ GALERII

Przedsmakiem radosnych i dostojnych uroczystości festiwalowych 50-lecia PZKO było zagajenie wystawy Plastycy Zaolzia w przytulnej galerii - kawiarence Magal w Karwinie-Frysztacie. Na tej wystawie zaprezentowało swe zrealizowane zamierzenia artystyczne zaolziańskie środowisko plastyczne. Przede wszystkim są reprezentowane obrazy olejne, są też rysunki, nie brak również technik graficznych i projektów dekoracji teatralnych oraz technik tekstylnych. Łącznie 19 autorów wystawia około 40 prac. W sumie wystawa odzwierciedla przegląd współczesnego stanu działalności i osiągnięć plastyków zaolziańskich.

Wernisaż odbył się z udziałem bardzo licznej grupy niecodziennych gości, łącznie z ministrem kultury i sztuki RP Z. Podkańskim i przewodniczącym Komisji Zagranicznej Izby Poselskiej Parlamentu RC Vilémem Holáňem. Był również ambasador Polski w Pradze Marek Pernal, był konsul RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk oraz szczery przyjaciel plastyków konsul Piotr Szwarc. Był przychylnie nastawiony do spraw środowiska plastycznego burmistrz Karwiny Lubomír Kuznik. Nie zabrakło również kilkuosobowej grupy plastyków z Polski. Ba, zjawili się również przedstawiciele Polonii żyjącej na Litwie. Można w wielkiej przenośni powiedzieć, iż przedstawiciele prawie całej Środkowej Europy spotkali się w owo słoneczne festiwalowe przedpołudnie we frysztackim Magalu.

T.W.

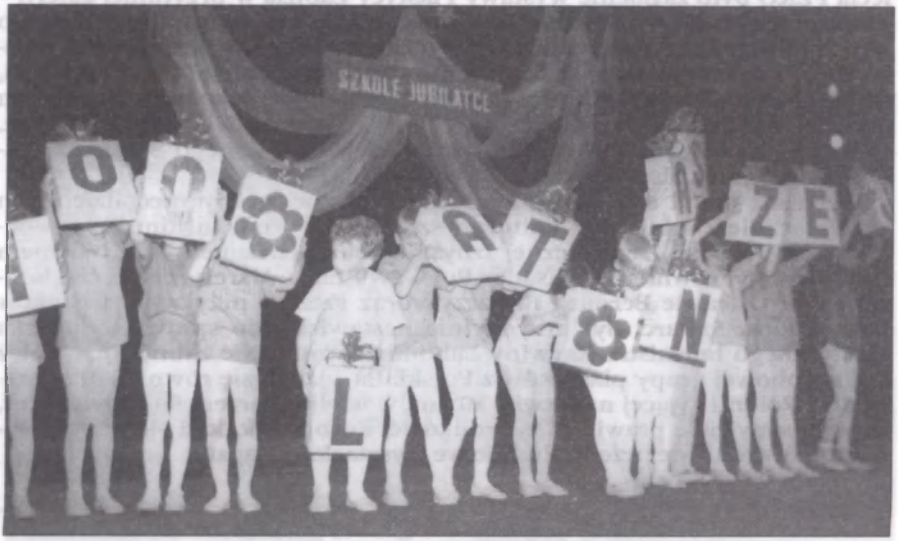
50-LECIE PZKO W ETERZE KRÓTKOFALOWCÓW

Wśród członków PZKO jest nieliczna wprawdzie, ale aktywna grupa krótkofalowców. To ci, którzy nawiązują łączność za pomocą fal radiowych z takimi, jak oni „maniakami" rozsianymi po całym świecie. Jest ich na świecie ponad 3 miliony, a w naszej republice ponad 5 i pół tysiąca.

Z okazji jubileuszu naszego Związku krótkofalowcy-pezetkaowcy składają Związkowi najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia wielu sukcesów w pracy dla dobra naszego polskiego społeczeństwa, co najmniej takich, jak za ubiegłych 50 lat! Zarazem zawiadamiają, że przynoszą takie życzenia od krótkofalowców z całego świata! Od 7 czerwca czynna jest w eterze, uruchomiona dzięki przychylności władz naszej Republiki, stacja okolicznościowa, mająca znak wywoławczy OL 5 OPZ (to OPZ oznacza Organizacje Polskie na Zaolziu), a ta wszystkim swoim korespondentom na całym świecie podaje, że właśnie PZKO obchodzi jubileusz 50-lecia i że właśnie w Karwinie odbył się ten Festiwal. Wszyscy krótkofalowcy, z którymi nasza stacja okolicznościowa nawiązała dotychczas kontakt, a było ich do tej chwili ponad 2 000, posyłają również całemu Związkowi, wszystkim członkom życzenia wszelkiej pomyślności w dalszej pracy dla dobra naszej grupy narodowej.

A.S.

100–LECIE BUDYNKU SZKOLNEGO W TRZYŃCU



Polska Szkoła Podstawowa w Trzyńcu przy ulicy Dworcowej obchodziła jubileusz. 100 lat historii i tradycji zobowiązuje do godnego uczczenia jubilatki. Toteż nauczyciele i uczniowie oraz członkowie Koła Macierzy Szkolnej przygotowali z tej okazji szkolną akademię zatytułowaną „Od dzwonka do dzwonka", która odbyła się 13 czerwca w Domu Kultury Trisia. Publiczność – rodzice i dawni wychowankowie jubilatki – w sali wypełnionej do ostatniego miejsca gromkimi brawami nagrodziła niezwykle atrakcyjne choreograficznie i muzycznie przedstawienie z życia szkoły. W budynku jubilatki można było obejrzeć wystawę prac uczniów i absolwentów. Następnego dnia w sobotnie popołudnie wszyscy spotkali się na szkolnym festynie.

E.S.

PIŁKARSKI FESTYN SZKOLNY

Czerwiec jest już tradycyjnie miesiącem festynów szkolnych. Podstawowym warunkiem udanego festynu - zabawy pod gołym niebem - jest sprzyjająca aura. Piękna pogoda towarzyszyła wszystkim tegorocznym festynom, które odbywały

się w sobotę 14 czerwca. Również przedszkolacy i młodzież szkolna z Karwiny-Frysztatu mieli w tym dniu swój festyn. Dyrektorka szkoły Janina Fierla i prezes Macierzy Szkolnej przy PSP w Karwinie-Frysztacie Renata Wacławik powitały tłumnie przybyłych nie tylko rodziców, ale całe rodziny, bliższych i dalszych krewnych przedszkolaków i uczniów, a także grono przyjaciół i sympatyków szkoły. Jak co roku dzieci rozpoczęły festyn od pokazów swych umiejętności tanecznowokalnych. Najbardziej oczywiście podobali się przedszkolacy, którzy, zabawnie przebrani, wykonali taniec dalmatyńczyków. W występach uczniów dominowały tańce współczesne, chociaż znalazło się miejsce i na przebój rodziców „Orkiestry dęte" czy widowisko o Smerfach. Krótki program wykonał, przynoszący szkole coraz większą sławę, zespół „Wiolinek". W dalszej części festynu największą atrakcją był mecz piłkarski synów przeciwko swym ojcom. Mecz taki odbył się już w ubiegłym roku, wtedy przy niesprzyjającej pogodzie w błocie i deszczu ojcowie nie wytrzymali kondycyjnie i przegrali 0:1. W tym roku pogoda i szczęście było po stronie ojców. Nie spisał się sędzia, mimo że jest profesjonalistą, najbrutalniejszy z ojców nawet po otrzymaniu czerwonej kartki został na boisku, by nadal siać spustoszenie. Chłopcy bali się skopać swoich ojców i w efekcie przegrali 1:4. Wynik ten nie popsuł jednak humorów i nawet krótka, choć silna burza wiosenna nie przeszkodziła w przyjemnej zabawie do późnych godzin wieczornych.

C.R.

"RYTMIKA" MA JUŻ 35 LAT

Spotkanie jubileuszowe odbyło się 26 czerwca w Klubie PZKO w Czeskim Cieszynie. Przybyli na nie wychowankowie Dziecięcego Zespołu Rytmiki i Tańca „Rytmika", prezes ZG PZKO Jerzy Czap, dyrektor biura ZG PZKO Bohdan Suchanek, znawca i miłośnik folkloru prof. dr hab. Daniel Kadłubiec i kierownik artystyczny ZPiT „Olza" Otto Jaworek. Helena Wojnar, związana z „Rytmiką" od początku jej istnienia, została uhonorowana medalem PZKO, wcześniej otrzymała przyznaną przez ministra kultury Rzeczpospolitej Polskiej odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej". Medale PZKO i książki otrzymali również inni działacze „Rytmiki", między innymi Vlasta Tesarčikowa, kierowniczka Szatni Teatralnej przy ZG PZKO, która szyje i dba o kostiumy „Rytmiki".

Pokaz tego, jak można wspaniale rozwijać dziecięce i młodzieżowe talenty, dała p. Wojnarowa w części artystycznej spotkania, nagrodzonej gromkimi oklaskami przez jego uczestników. Tańczącym akompaniował Bronisław Liberda. Przez 35 lat istnienia „Rytmika", upowszechniając kulturę ruchową dzieci i młodzieży, zapewniała narybek dla pezetkaowskich zespołów, a jednocześnie występowała z własnymi programami. Swój wysoki poziom artystyczny zawdzięczała „Rytmika" w dużej mierze kadrze

współpracujących z nią fachowców. Poza kierownikami artystycznymi, którymi oprócz Heleny Wojnar były Halina Malinowa i Marta Mikula, choreografię dla zespołu opracowywały – Janina Ferfecka, Zdena Kyselá, Anna Wałach; muzykę komponowali – Eugeniusz Fierla, Bronisław Liberda i Tadeusz Przyhoda; scenariusze i słowo wiążące pisały Wanda Cejnar i Renata Putzlacher; dekoracje projektowali – Władysław Cejnar, Adolf Bartosz i Franciszek Kowolowski.

Po wakacjach „Rytmika" pod kierownictwem artystycznym Heleny Wojnar rozpoczyna kolejny sezon.

E.S.

JUBILEUSZOWY FESTYN

W sobotę 28 czerwca Miejscowe Koło PZKO w Skrzeczoniu zorganizowało w ogrodzie koło Domu PZKO tradycyjny festyn, który tym razem odbył się w ramach obchodów 50-lecia istnienia PZKO.

W programie kulturalnym pod kierownictwem dyrektorki i nauczycielki dolnolutyńskiego przedszkola Danuty Chorzempa i Haliny Kwolek dzieci przedstawiły taniec krakowski, scenkę o Rumcajsie, Mance i Cypisku oraz wiązankę piosenek i wierszyków pt. „Kolorowe kredki". Następnie wystąpił chór mieszany Koła „Hasło" z dyrygentem Władysławem Ożógiem, przedstawiając wiązankę pieśni ludowych z tegorocznego Festiwalu PZKO, podczas którego zespołowi wręczono wysokie odznaczenie „ Zasłużony dla Kultury Polskiej".

Gwoździem programu był występ znanego nie tylko na Zaolziu, ale i w Polsce, i w Czechach amatorskiego zespołu gimnastycznego działającego przy Miejscowym Kole PZKO w Wędryni. Zespół istnieje już ponad 90 lat, obecnie działa pod kierownictwem artystycznym i organizacyjnym Bogdana Ondraszka i Bogusława Raszki. W Skrzeczoniu wystąpił 13-osobowy zespół, przedstawiając kilkanaście układów, które wymagają dużej siły i sprawności fizycznej. Setka obecnych na imprezie uczestników gromkimi brawami oklaskiwała występ zespołu, podziwiając zwłaszcza 6-metrowe piramidy.

W ramach festynu była w Domu PZKO czynna wystawa wycinków prasowych, plakatów i pamiątek z piłkarskiego meczu Polska-Anglia rozegranego niedawno w Chorzowie, którą przygotował jeden z widzów – członek Koła Mieczysław Pietrzyk. Podczas imprezy były do dyspozycji smaczne kołacze, przygotowane przez członkinie Klubu Kobiet pod kierownictwem Heleny Grabowskiej. Również dla dzieci przygotowano liczne atrakcje. Do miłego nastroju przyczynił się także zespół muzyczny Koła „Krater" pod kierownictwem artystycznym Zbigniewa Ożóga, który przygrywał do tańca do późnych godzin wieczornych. Słowa podziękowania należą się również wszystkim członkom Koła, którzy przed festynem uporządkowali ogród i Dom PZKO.

D.G.

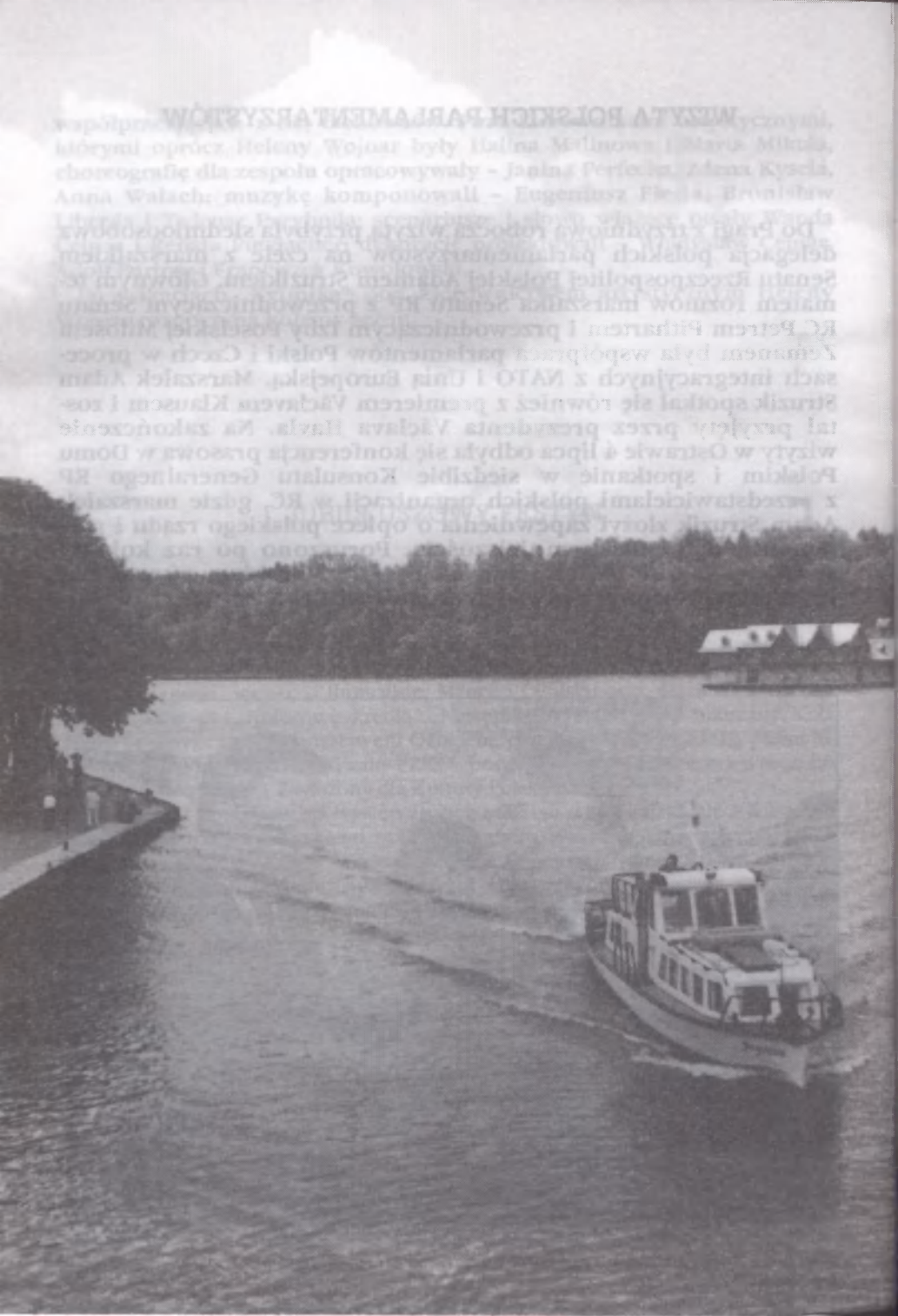
WIZYTA POLSKICH PARLAMENTARZYSTÓW

Do Pragi z trzydniową roboczą wizytą przybyła siedmioosobowa delegacja polskich parlamentarzystów na czele z marszałkiem Senatu Rzeczpospolitej Polskiej Adamem Struzikiem. Głównym tematem rozmów marszałka Senatu RP z przewodniczącym Senatu RC Petrem Pithartem i przewodniczącym Izby Poselskiej Milošem Zemanem była współpraca parlamentów Polski i Czech w procesach integracyjnych z NATO i Unią Europejską. Marszałek Adam Struzik spotkał się również z premierem Václavem Klausem i został przyjęty przez prezydenta Václava Havla. Na zakończenie wizyty w Ostrawie 4 lipca odbyła się konferencja prasowa w Domu Polskim i spotkanie w siedzibie Konsulatu Generalnego RP z przedstawicielami polskich organizacji w RC, gdzie marszałek Adam Struzik złożył zapewnienia o opiece polskiego rządu i parlamentu nad polską mniejszością. Poruszono po raz kolejny sprawę polskiego szkolnictwa na Zaolziu i problem zwrotu majątku przedwojennych polskich organizacji społecznych.

E.S.



Marszałek Adam Struzik w rozmowie z prezesem ZG PZKO Jerzym Czapem, fot. FRANCISZEK BAŁON



JUBILEUSZ DZIAŁACZA I SPOŁECZNIKA

HENRYK TOMAN 75–LETNI

5 lipca obchodził jubileusz 75. urodzin prezes Koła PZKO w Piotrowicach i jeden z jego założycieli w 1947 roku pan Henryk Toman. W zarządzie Koła działa nieprzerwanie do dnia dzisiejszego. Pełnił funkcje gospodarza, skarbnika, sekretarza. Prezesem Koła był w latach 1962–64, 1966–67, 1968–69 oraz od 1994 roku. Dziełem jego życia jest zbudowany w centrum gminy Dom PZKO, oddany do użytku w 1976 roku. W latach 1947–1957 był członkiem chóru mieszanego „Hejnał", później w latach 1952–58 chóru męskiego „Zgoda", od 1973 roku śpiewa w chórze „Piotrowice–Marklowice". Działał również w sekcji teatralnej Koła, gdzie był reżyserem i aktorem. Jest organizatorem życia towarzyskiego w Kole, organizatorem balów, festynów, imprez kulturalno–oświatowych i zebrań członkowskich. Był również członkiem Rady Obwodowej PZKO w Karwinie.

Z zawodu jest elektrykiem. Pracował w karwińskiej hucie na wydziale elektrycznym. Nadal działa w Klubie Emerytów swego macierzystego zakładu pracy.

Drugą pasją pana Henryka jest praca dla dobra mieszkańców gminy. W czynie społecznym pracował nie tylko przy budowie Domu PZKO w Piotrowicach, ale również budynków klubów piłkarskich Lokomotywa w Zawadzie i Inter w Piotrowicach oraz Domu Pogrzebowego w Piotrowicach, przede wszystkim wykonując instalacje elektryczne. Przez 3 kadencje był posłem przy Miejscowej Radzie Narodowej. Obecnie reprezentuje Ruch Polityczny „Wspólnota" w komisji rewizyjnej Urzędu Gminnego.

Henryk Toman jest również członkiem Koła Polskich Kombatantów. W czasie II wojny światowej był żołnierzem II Korpusu Polskiego, walczył m.in. pod Monte Cassino.

Ten krótki artykuł opublikowany w „Zwrocie" niech będzie rekompensatą dla Naszego Prezesa za nieuwzględnienie Jego nazwiska w „Leksykonie PZKO", wydanym z okazji 50–lecia PZKO. Symbolicznych 100 lat Jubilatowi życzy zarząd Koła PZKO w Piotrowicach.

◄ *Wakacyjne „pozdrowienia" z jezior mazurskich... fot. FRANCISZEK BAŁON*

WYCIECZKA DO RODAKÓW NA LITWIE

Odbędzie się w dniach 4 – 9 września, już po raz trzeci, tym razem w ramach obchodów 65. rocznicy tragicznej śmierci polskich lotników Żwirki i Wigury.

Niepowtarzalna okazja zobaczenia malowniczych zakątków Litwy.

Na trasie zwiedzamy:
DRUSKIENNIKI – znane litewskie uzdrowisko
TROKI – stary gród litewski położony na Pojezierzu Litewskim, z zachowanym zamkiem księcia Witolda, ciekawe drewniane budownictwo i świątynia Karaimów, aktywnie działające skupisko Polaków
ŚWIĘCIANY – miejsce urodzenia Franciszka Żwirki
ZUŁÓW – miejsce urodzenia marszałka Józefa Piłsudskiego
WILNO – wycieczka śladem polskich pamiątek
KOWNO – drugie co do wielkości miasto Litwy

A w drodze powrotnej:
WARSZAWA, gdzie odbędzie się spotkanie z synem Franciszka Żwirki Henrykiem i złożenie kwiatów na grobach bohaterów przestworzy na cmentarzu na warszawskich Powązkach.

Koszt od osoby 250 zł.

Zgłoszenia wraz z zaliczką 150 zł przyjmuje jeden z głównych organizatorów wycieczki: **Józef Przywara, ul. kpt. Nálepky 537, 739 61 Trzyniec 6, tel. 0659/24714,**

W Cieszynie zgłoszenia przyjmuje **Biuro Turystyczne DAM-TOUR, ul. Bobrecka 10, 43-400 CIESZYN, tel. 521 426.**

Odjazd zaplanowano z Cieszyna, z krótkim postojem w Jastrzębiu Zdroju i Katowicach.

Zapraszamy

Organizatorzy z Cierlicka–Kościelca

MOZAIKA

JAK TO ONDRASZEK BIYDNE MŁODUCHY WIANOWOŁ

Jeszcze po dzisio ludzie na dziedzinie przi szkubaczkach, czy przi łuskaniu fasoli prawióm, jak to kiesi Ondraszek biydote spumogoł. A już nejwięcej wiedzieli prawić moja nieboga stareczka. Dłógo jich było trzeba pytać, niż łopowiadać zaczyni, ale kie roz zaczyni, to już bojkóm nie było końca. Posłóchalichmy wtedy prawie bez tchu. Taki to jejich łopowiadani było ciekawe, że to ani ku łuwierzynie nie było, żeby tak kiesi na łoprowde być miało.

Prawili, jak to podczas głodnych roków za brutwane łumasty kopiatóm przigorściom dukotów sie płaciło, abo jak kiesi chłopu inaczy przisiągać nie było możne, jak sebleczónymu do gaci w przikopie na klęczkach, z dorniym położonym na głowie; jak sie to młodym żynić nie pozwolili, jyny wtedy, kie jim fojt zezwoloł, a to z tą dziywką, z kierą sie fojtowi zazdało... Nó, ale o tym potym, bo przeca o Ondraszkowym wianie móm dzisio prawić. A z tym wianowanim bywało tak:

Kie już Jędrys, czy jak mu tam było – fojta łupytoł, że tyn sie mu łożynić zezwolił, a grosz se jaki taki z biydnego myta na zapłacyni ślubu łuściskoł, a dziywka, co mu była dożyczóno, biydniućkóm pierzinke usuła, dziepro szli do księdza, by dać na łogłoszki.

O wielkim wiesielu, ani o strzybnych pierściónkach ni mogło być rzeczy. Gazdowie, jesi byli dobrzi, to jim czasym małowielką gościnke zrobili, a jak ni, to młodzi wczas rano ślubu w kościele nabrali, aby jak w każdy inszy dziyń móc swoją robote u gazdy łodrobić. Zaś o pierściónki sie nie starali – młoducha łuwinyła malućki winiuszki z chłabinki słodkij jabłóni, zielóną nitką poowijała, i na ty winiuszki ślub brali.

Jednak małokiedy choćby nejbiydniejsze wiesieli obywało sie bez muzyki i potańcowaczki, jak sie to prawi: czakaczki. Zazwyczaj pytoł i płacił muzykantów drużba, choć sie w karczmie i łod kąska płaciło. A kie i tyn na to zmódz sie ni móg, to gospodzki som na kąto wiesielników jakisi dudy zegnoł i czakaczke zrobił, wiedzioł, że sie mu to i tak dobrze zapłaci, bo chłopi gorzoliczke dycki pieknie przoli.

Na taki to muzyki Ondraszek z kamratami rod przichodził. Szumny, hyrny, wiesioły, płacił hojnie muzykantóm i tańcowoł, aż łuciecha było sie dziwać. Na łodchodnóm zazwyczaj kazowoł młodusze nadstawić fortuch, a do niego, czym młodsi byli żynisi czym biydniejsi, tym więcej talarów nasypoł. Zaś kie mu aż do łez skruszyni dziękować poczyli, nie chcioł posłóchać i wartko łodchodził.

Tak hojnie łobdarowani żyniszy kupowali se za ty piniądze to, co jim nejbardży trzeja było, a baji nabywali pore zogónków i stawiali se choćby maluśką chałupke. Zaś swojimu piyrworodnymu synkowi na chrzcie miano swojigo przedziwnego dobroczyńcy nadowali i za to po dzisio jest jeszcze mocka Jędrysów po naszych dziedzinach.

EMILIA MICHALSKA

OPOWIADAŁA MI BABCIA

Babcia nosiła ogromny fartuch. Miał dwie duże kieszenie. W nich zawsze coś znajdywałam. Były tam różne smakołyki: cukierki, orzeszki, rodzynki... Kiedy babcia siadała na krześle, przynosiłam sobie zydelek i siadałam koło niej. Prosiłam, żeby mi coś opowiedziała. Babcia opowiadała:

„Jak żech była młodo – toch była gospodyniom na gróncie w Olbrachcicach. To był wielki grónt! Mieli my 9 krów i sztyry kónie. A eszcze jakisi babucie, kury, gynsi i wszelijakóm gawiydź. Roboty było mocka. Tóż żech napytała trzi dziywki i trzech pachołków. Óni se o bydło starali. W lecie kosili trowe i suszyli na siano. Wozili to siano przez rzyke Stónawke do dómu, bo łęgi były za wodóm. A mostu eszcze wtedy nie było. Pachołcy i dziywki byli młodzi i radzi se pobawili. Wieczorami po skóńczonej robocie zbiyrali se w kuchyni i wydziwiali. Grali w karty, tańcowali w kole, opowiadali se o wszelijakich straszydłach i utopcach. Jednego razu, jak ty karty grali – przyszeł za nimi taki dziwny syneczek. Chcioł grać z nimi w ty karty. Obleczóny był do zielónych galotek i zielónego fraczka. A szosty tego fraczka mioł fórt mokre. I grali. Ale pachołcy naroz zezdrzyli, że miły syneczkek mo dłógi pazury na palcach. Chycili go i ostrzygali mu ty pazury. Płakoł i płakoł, narzykoł i narzykoł i fórt cosi mamroł pod nosym. Więcej razy se uż tam nie ukozoł. Jednego razu, jak pachołcy wiyźli przez Stónawke siano, naroz przyszła wielko woda. Zebrała cały wóz i siano, a pochołcy se tak tak wygrzebali na brzyg. No i nic. Żywot szeł dali. Jednego wieczora tyn syneczek zaś przyszeł ty karty grać. Ale pachołcy uż miarkowali, gdo to je. Był to utopiec ze Stonówki!

Tóż go pieknie przywitali a potym se go spytali, czy nie wiy co o tym utopiónym sianie?

A utopiec prawi:

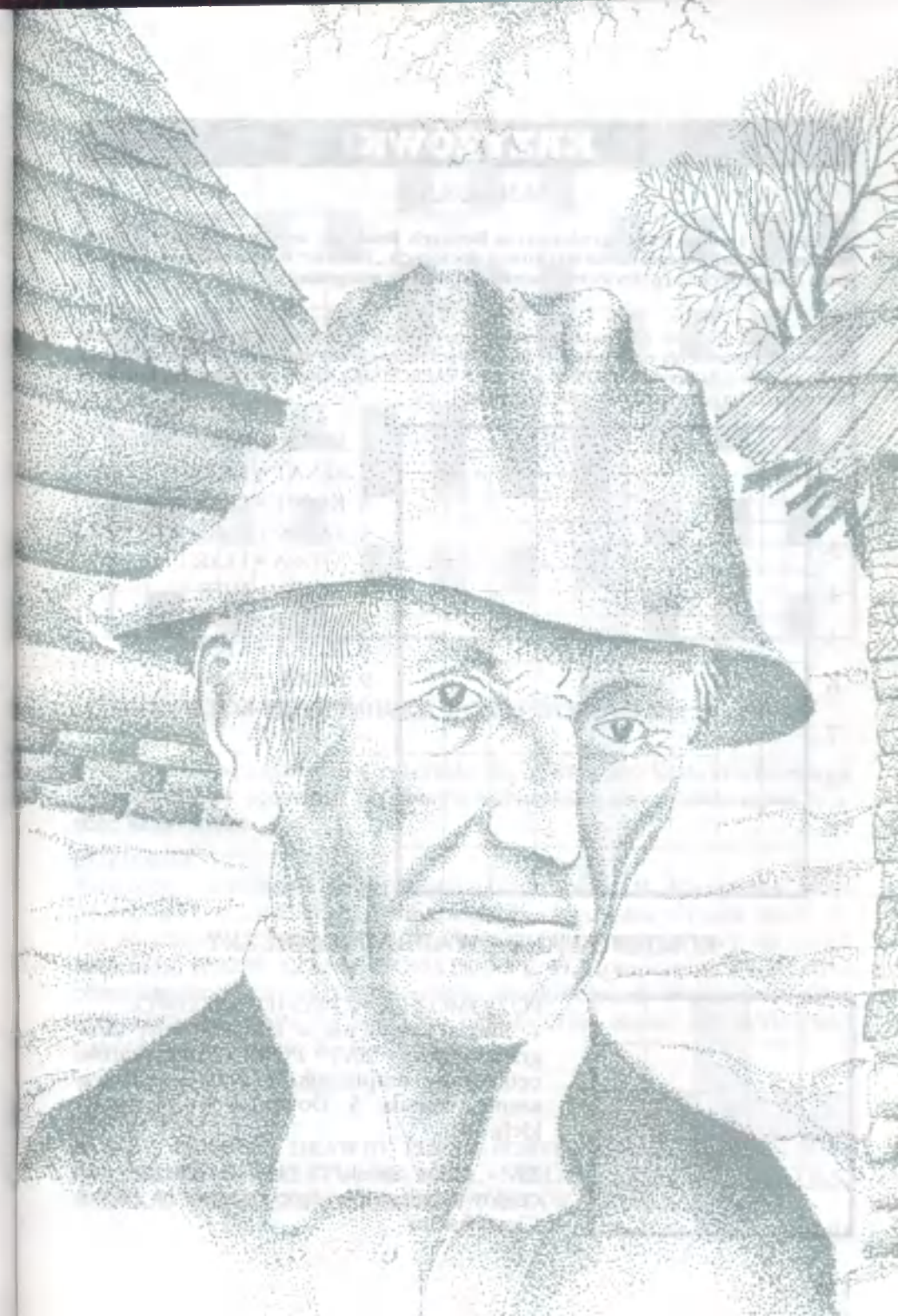
Co byście wy zrobili, gdyby wóm wasza baba nawarziła fajnych gałuszek ze śliwkami, ty gałuszki by dała na stół i zawołała wszystki dziecka. Tak my se pieknie siedzieli i pojodali, a tu naroz na stół wjyżdżo wóz ze sianym. Z gałuszek nic, dziecka wystraszóne a moja baba rwie włosy z głowy! Jo se nasmolił i wszystkoch to utopił!

Pamiyntejcie, nigdy o dwunastej w połednie nie przyjyżdżejcie przez rzyky!"

Tak opowiadała mi babcia.

TERESA ONDRUSZ
(Praca konkursowa „Zaolzie - nasz wspólny dom")

rys. TADEUSZ WRATNY



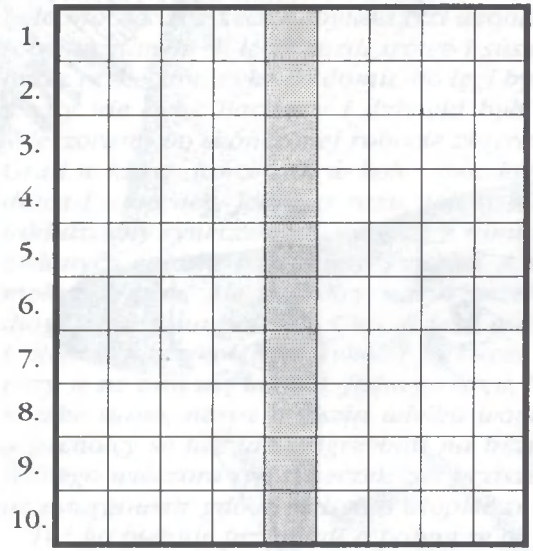
KRZYŻÓWKI

ANAGRAM

PZKO było i nadal jest organizatorem licznych festiwali, konkursów, przeglądów. Między innymi przeglądu teatrzyków dziecięcych „Talinki" oraz przeglądu małych form teatralnych ... (patrz rozwiązanie dodatkowe anagramu).

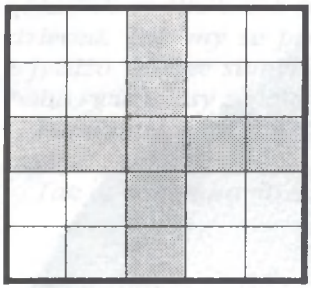
* * *

Przestawiając litery w podanych parach wyrazów należy utworzyć wyrazy dziewięcioliterowe (dla ułatwienia o jednakowej literze początkowej) i te następnie wpisać do poziomych rzędów (dla przykładu KPINA + TROP = PAPROTNIK). Litery w oznaczonej kolumnie pionowej dadzą rozwiązanie dodatkowe zadania.



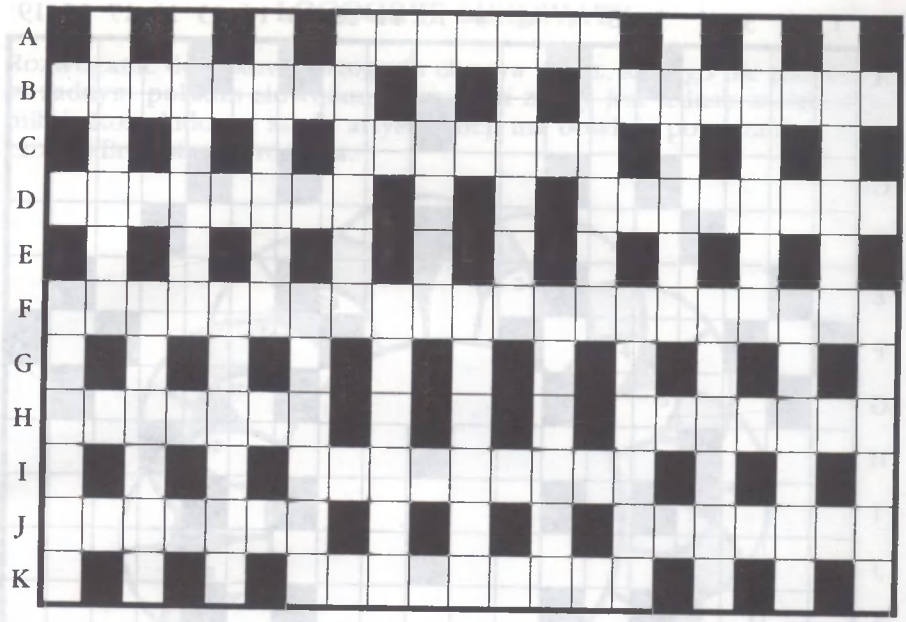
1. MINIA + ROPA
2. SENAT + KARP
3. KONIE + OPEL
4. SZPAK + PARE
5. STOPA + LEAR
6. STYPA + MIES
7. KOPER + TORS
8. ILONA + STOP
9. KIOSK + PANI
10. PIRAT + KOTA

KOMBINOWANY KWADRAT MAGICZNY



POZIOMO I PIONOWO JEDNAKOWO:
1. Rodzaj sklepienia w kształcie misy (anagram wyrazów MAT + POR). 2. Amerykański cętkowany drapieżnik. 3. ???. 4. Podwyższenie, estrada. 5. Dowódca wojsk kozackich.

??? – Chór żeński z Nawsia należący do czołówki zespołów śpiewaczych na Śląsku Cieszyńskim.



KRZYŻÓWKA KOMBINOWANA

Przypominamy naszym Czytelnikom, iż krzyżówkę kombinowaną rozwiązujemy poziomo po prostu normalnie, zaś pionowo jak syntezę krzyżówki.

POZIOMO:

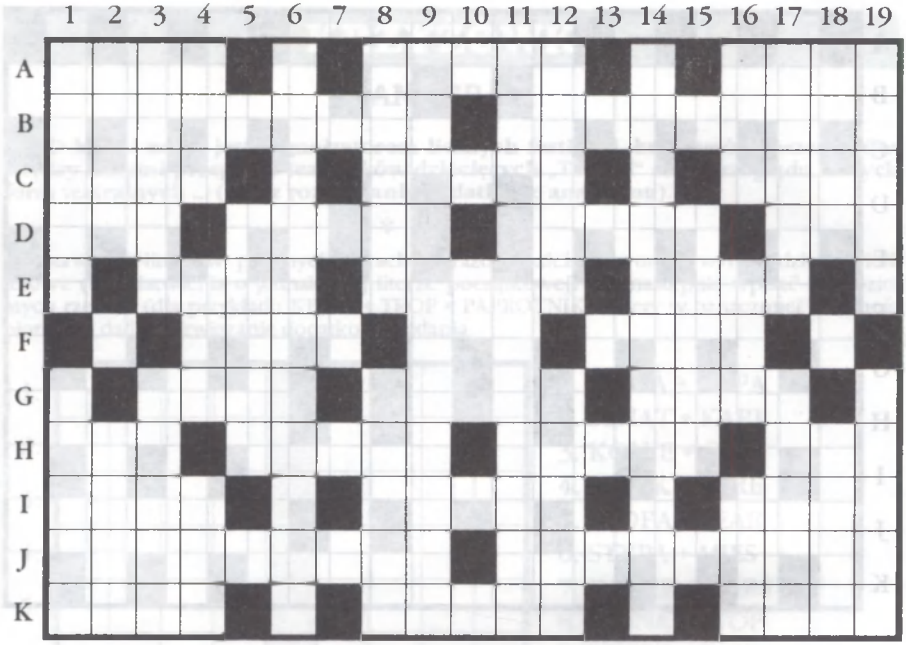
A. Ozdoba zawieszana w przekłutym płatku ucha. **B.** Naturalność, bezpośredniość; wielbiciel. **C.** W mitologii greckiej jedna z córek Nocy. **D.** Flircik, miłostka; nabożeństwo odprawiane pierwotnie w nocy lub przed świtem. **F. ROZWIĄZANIE DODATKOWE. H.** Kompozytor włoski (Giacomo); modniś, dandys. **I.** Znak pisma obrazkowego. **J.** Bóg wody w mitologii greckiej; osoba wynajęta do oklaskiwania aktora lub widowiska (także kot Gargamela). **K.** Karierowiczka.

Wyrazy trudne: NEMESIS

PIONOWO:

ALEKSY, DOMINO, DRAWID, ELIPSA, FORTEL, ISMAIL, KANKAN, KASJOP, LAMPAS, MASZTY, MATURA, NIEŁAD, ODCIEŃ, ORŁOWA, ÓSEMKA, SOLSKI, SZPROT, ZAPŁON, ZASTAW, ZMIANA, ZWŁOKI.

(taj)



Jubileuszowy Festiwal PZKO przeszedł już do historii. Nasze zaolziańskie społeczeństwo czeka jednak kolejna impreza wielkiej rangi, a mianowicie... (patrz rozwiązanie krzyżówki).

POZIOMO: A. Wstrząs; czeski rzeźbiarz (Vilém, 1864-1913); glony. **B.** Uważana jest za złodzieja wolnego czasu; zabezpieczenie samochodu. **C.** Solo w operze; mlaśnięcie; wiązanie budowli. **D.** Budynek; mahometanizm; sztywna tkanina siatkowa; najwyższy szczyt Krety. **E.** Nauczycielka; polska rozpuszczalna kawa zbożowa. **F.** Używana jest do produkcji termometrów; kaźń. **G.** Fachowiec, znawca; karnacja. **H.** Imię żeńskie; przedmiot; hazardowa gra w karty; ischias. **I.** Lotnisko w Paryżu; winien był rzezi niewiniątek; klub piłkarski w Madrycie. **J.** W starożytnym Rzymie dwuosobowe kolegium powoływane do ściśle określonych zadań; nierządnica. **K.** Dokumenty urzędowe; sekretarz „Zwrotu"; egipska bogini prawdy i sprawiedliwości.

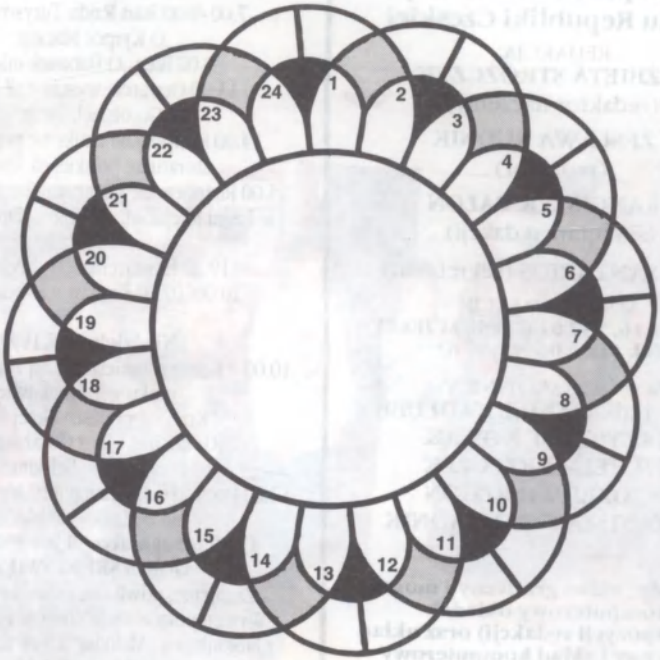
PIONOWO: 1. Tabun; przyrząd dwuelektrodowy. **2.** O; sporządzanie odbitek z formy drukarskiej. **3.** Siedziba bóstw greckich; oddanie honorów wojskowych. **4.** Rodzaj papugi; francuski malarz i rzeźbiarz (Hans); imię Sumac. **5.** Nazwa bratysławskiego klubu sportowego. **6.** Jest nim „Zwrot". **8.** Jednostka terytorialna w Mongolii; gatunek mięsa wieprzowego. **9.** Najmłodsza epoka jury; dawne niezależne księstwo na terenie obecnej Czarnogóry (inaczej Duklja). **11** Duński germanista; gra sportowa. **12.** Pieprzojad (leśny ptak); Odyn. **14.** Czyn ofiarny. **15.** Dawna jednostka objętości cieczy. **16.** Rzeka w Niemczech; cyrk lodowcowy; może być częstochowski. **17.** Drobna moneta obiegowa Malediwów; miejsce popisów cyrkowych. **18.** Las liściasty lub mieszany z przewagą grabu; skaza, defekt. **19.** Zozwór po polsku; modlitwa muzułmańska.

Wyrazy trudne: ALZ, IDI, KEA, LARIA, MAAT, ZETA.

(taj)

LOGOGRYF ŁUKOWATY

Rozwiązanie dodatkowe logogryfu ukrywa wyraz, którego nie znajdziecie w żadnym polskim słowniku. Wyraz ten znany jest jednak zaolziańskim miłośnikom ludowej sztuki artystycznej, ma bowiem powiązanie z twórczością Bronisława Procnera.



ZNACZENIE WYRAZÓW:
1–4. Polski taniec ludowy.
3–6. Miododajna roślina o cytrynowej woni, rojownik.
5–8. Potrzebna jest do ostrzenia kosy.
7–10. Stolica Macedonii w byłej Jugosławii.
9–12. Cesarz japoński.
11–14. Antypatia.
13–16. Różanecznik.
15–18. Płynie przez Krosno i Rzeszów.
17–20. Sklepienie zamknięte w kształcie czaszy.
19–22. Jednostka fonetyczna.
21–24. Wiersz początkowy nowego ustępu zwykle wcięty.
23–2. Poetycznie siew, okres siewu.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca sierpnia.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NUMERU CZERWCOWEGO:
Hasło: **„Zapraszamy na jubileuszowy Festiwal PZKO w Karwinie".**

Nagrody książkowe wylosowali: **Gertruda Michałkowa** – Mosty k. Jabłonkowa
Emilia Nieboras – Trzyniec
René Raszka – Bystrzyca

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE
przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)

CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)

FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)

EWA SANTARIUS (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
WILHELM PRZECZEK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 144,- Kč, z wysyłką pocztową 186,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

JUBILEUSZOWE HO! HO! HO!
50 GOROLSKI ŚWIĘTO
9–10.8.1997

PROGRAM 50 GOROLSKIGO ŚWIĘTA

Sobota 9.8.1997

7.00–9.00 Start Rajdu Turystycznego „O Kyrpce Macieja"
9.00 Bieg „O Dzbanek mleka"
13.00 Otwarcie wystawy „Z historii Gorolskich Świąt"
14.00 Sympozjum naukowe poświęcone literaturze polskiej na Zaolziu
15.00 Rozpoczęcie programu folklorystycznego w Lasku Miejskim: „Gorole", „Drevár", „Warmia", „Śląsk"
19.00 Kawiarenka „Pod Pegazem"
20.00–02.00 Karnawał młodzieżowy

Niedziela 10.8.1997

10.00 – Koncert orkiestry dętej z Jabłonkowa na rynku w Jabłonkowie
– Koncert orkiestry dętej ZC-W „Goraždže" S.A. z Goraždže (RP) w Lasku Miejskim
12.00 Pochód od restauracji „U Mrózka" w Nawsiu do Lasku Miejskiego
13.00 Inauguracja 50 Jubileuszowego GOROLSKIGO ŚWIĘTA
– Zagajenie, powitanie gości, przemówienia
– Występ połączonych chórów PZKO-„Gorol" z Jabłonkowa „Melodia" z Nawsia, „Przełęcz" z Mostów k. Jabł.
– Program zespołu „Gorol"
– „Nowina" – zespół folklorystyczny PSP Jabłonków
14.00 Blok zespołów cieszyńskich: „Olza" – ZG PZKO Cz. Cieszyn, „Gorole" – Mosty k. Jabł., „Łączka" i Zespół PZKO, „Bystrzyca" – Bystrzyca, „Kłomnickie Płomyczki" – RP, Zespoły z Polski – „Koniaków", „Istebna", „Jaworzynka", „Wisła".
15.00 Blok zespołów gościnnych:
„Vsacan" – Vsetín (Morawy)
„Aires de Pagesia" – Sant Joan, Majorka (Hiszpania)
„Śląsk" – Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca (RP)
20.00–22.00 – Zabawa ludowa

TACY JESTEŚMY



BIBLIOTEKA REGIONALNA W KARWINIE

Jednym z zadań Biblioteki Regionalnej w Karwinie jest udostępnianie czytelnikom literatury i informacji w języku polskim. Zadanie to spełnia Oddział Literatury Polskiej. Posiada około 20 tysięcy woluminów. Z beletrystyki oraz literatury popularno-naukowej korzysta ponad 550 czytelników. Biblioteka służy tak dorosłym czytelnikom jak również dzieciom i młodzieży. Ważną dziedziną działalności OLP jest upowszechnianie kultury. Urządzane są wystawy, wieczory autorskie, spotkania z ciekawymi ludźmi. Liczne konkursy literackie i plastyczne przygotowywane są przede wszystkim z myślą o najmłodszym czytelniku. Młodzież szkolna korzysta ponadto z lekcji bibliotecznych.
OLP prowadzi działalność metodyczną dla bibliotek w powiatach Karwina i Frydek-Mistek. Ponad 20 miejskich i gminnych bibliotek w obydwu powiatach korzysta też z kompletów wymiennych książek, przygotowywanych przez OLP. (Bliższe informacje na temat działalności OLP znajdą czytelnicy wewnątrz numeru.)

NASZE ZESPOŁY



„HASŁO“ SKRZECZOŃ

Chór powstał w r. 1926. Jego dyrygentami byli kolejno: Józef Płonka, Rafał Bajger, Robert Dominik, Józef Matuszek, Wilhelm Budziński, Engelbert Zajic, Franciszek Buzek, Karol Mach, Edgar Dudek i Rudolf Wójcik. W okresie międzywojennym chór występował jako „Chór mieszany Macierzy Szkolnej“. Nazwę „Hasło“ przyjął podczas dyrygentury W. Budzińskiego.
Po wojnie dyrygenturę kontynuuje R. Wójcik. Chór rozwija swoją działalność pod skrzydłami SMP, potem PZKO. Od roku 1969 chór prowadzi – aż do dnia dzisiejszego – Władysław Ożóg.
„Hasło“ bierze udział we wszystkich konkursach i festiwalach PZKO. Kilkakrotnie występowało też w Polsce. W ostatnich latach „Hasło“ należy do najbardziej aktywnych zespołów skrzeczońskiego Koła PZKO. Bierze udział w Święcie Śląskiej Pieśni Chóralnej „Trojok Śląski“.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO RUCHU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

9/97



Bez dzieci w NASZYCH przedszkolach nie będzie szkół

TACY BYLIŚMY



Błędowicki zespół taneczny na dożynkach w Parku Macierzy. 25 sierpnia 1938.

Siedzą od lewej:
Adolf Jaworek, Adolf Balon, Wilhelm Pawlas, Józef Wiesioły, Józef Pawlas, Bernard Folwarczny, Henryk Cimała, Alois Cimała.
W środkowym rzędzie od lewej:
Amalia Zotyka, Zofia Kubiczek, Anna Pawlas, Anna Folwarczna, Natalia Gałgonek, Maria Niemiec, Antonia Słowik, Stefania Kożusznik.
W tyle stoją od lewej:
Helena Pawlas, Adolf Folwarczny, Anna Kotula, Agnieszka Folwarczna, Józef Przeczek, Wacław Jaworek, Emilia Fukała, Emil Mrózek.

Zdjęcie przedstawia kwiat błędowickiej młodzieży sprzed prawie 60 lat. Do dziś żyje 11 członków tego zespołu. Patrzą na nas przyszli nauczyciele, prawnicy, lekarze, technicy, urzędnicy, a także małżonki niektórych z nich. Fotografię nadesłał Andrzej Pawlas z Błędowic.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLVIII Nr 574 Cena numeru 12,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 15,50 Kč

9/97

W NUMERZE WAKACYJNYM

[2]	Z kroniki „Jubilatki"	OTOKAR MATUSZEK
[5]	Pięćdziesiąt Gorolskich Świąt za nami	CZESŁAWA RUDNIK
[10]	Chłyb, chlebiczek nasz powszedni...	WINCENTY SZ.
[12]	Zaolzie – nasz wspólny dom	DARIUSZ JEDZOK
[13]	Przeszłość i teraźniejszość Łucyny	ANDRZEJ PAWLAS
[16]	„Bystrzyca" w Brusach	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
[20]	Pejzaże Oskara Pawlasa w Bielsku-Białej	C.R.
[22]	Promocja nowej książki Anieli Kupiec	C.R.
[23]	Koncert odpustowy w Stonawie	JÓZEF KULA
[24]	U rodaków na Łotwie	JAN GÓRECKI
[27]	Dwukrotnie skazany na śmierć	KAZIMIERZ SANTARIUS
[35]	Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (9)	ALOJZY NOWOK
[42]	Federacja czy konfederacja (2)	ROMAN BARON
[46]	Poezja Władysława Sikory	
[48]	Aniela Kupiec: Zły człowiek	
[51]	Aforyzmy Gustawa Sajdoka	
[52]	Okruchy literackie	
[53]	Odszedł Leszek Bakuła	
[54]	Renata Putzlacher – Moje fascynacje	
[57]	Listy rencisty	
[58]	Polonofil FRANTIŠEK VŠETIČKA	
[60]	Po lekturze materiałów z konferencji	ZBIGNIEW MACHEJ
[62]	Na półkach księgarskich	
[64]	Na naszej scenie	
[68]	Polemiki	
[71]	Trybuna czytelników	
[75]	Mozaika	
[79]	Krzyżówka	

Numer zamknięto 10. 8. 1997

1. str. okładki – odnowiony budynek PSP w Czeskim Cieszynie i dzieci z przedszkola przy ul. Hrabińskiej

Z KRONIKI "JUBILATKI"

1 września br. upłynie 70 lat od chwili, gdy mieszkańcy Suchej doczekali się zezwolenia na otwarcie Polskiej Jubileuszowej Szkoły Wydziałowej, dziś Szkoły Podstawowej. Z protokołów, kronik dowiadujemy się, że szkoła stoi tu na gruncie gminy z bogatymi tradycjami kulturalno-oświatowymi. Jubileusz szkoły zbiega się w czasie z 90. rocznicą otwarcia Domu Robotniczego i 50-leciem istnienia MK PZKO. Piękna to okazja do wspomnień o przeszłości i refleksji nad teraźniejszością „Jubilatki".

Na przestrzeni 70 lat dzięki ofiarnej i sprawnie działającej kadrze nauczycielskiej zyskała sobie zasłużone uznanie. Uczyła kochać to, co szlachetne i piękne. Wywierała wpływ na miejscową społeczność - zarówno poprzez dyrektorów, nauczycieli, jak i uczniów. Uczniowie widzieli w swych wychowawcach wzory godne naśladowania. Wszystkie te wymowne fakty kojarzą się z nazwiskami wielu nauczycieli, którzy wykonywali na przestrzeni 70 lat mnóstwo dobrej i pożytecznej pracy, przygotowali setki uczniów do życia, pracy społecznej i zawodowej, uczyli patriotyzmu oraz umiłowania narodowych tradycji.

Rodowód górnosuskiej „Jubilatki" sięga lat dwudziestych. W pierwszych latach powojennych górnosuszanie myśleli o założeniu polskiej szkoły wydziałowej. Przy szerokim poparciu społeczeństwa polskiego i po pokonaniu licznych trudności uzyskano w lipcu 1927 roku zezwolenie na otwarcie szkoły wydziałowej. Klasy szkoły wydziałowej umieszczono na razie w budynku szkoły ludowej. Jednak budowa nowej szkoły stała się koniecznością. Położenie kamienia węgielnego pod nowy budynek szkolny odbyło się w 1928 roku. Po dwóch latach intensywnej pracy stanął okazały budynek, jak na owe czasy niezwykle nowocześnie wyposażony. Samo otwarcie szkoły było wielkim osiągnięciem polskiego społeczeństwa, ale walka o jej istnienie, borykanie się z najróżniejszymi trudnościami przysparzały dyrekcji i nauczycielom niemało kłopotów i zmartwień. W budynku szkoły ulokowano Ludową Szkołę Gospodarczą i Młodzieżową Drużynę Harcerską im. Pawła Stalmacha. Wówczas funkcję dyrektora szkoły pełnił Leon Molenda (do roku 1939).

Od chwili otwarcia szkoły datuje się owocna współpraca górnosuskiej szkoły z Polską Szkołą Wydziałową w Karwinie-Solcy. Kontakty miały na celu wymianę doświadczeń dydaktyczno-wychowawczych. Niespełna w trzy lata później odbyła się uroczystość odsłonięcia tryptyku ściennego autorstwa Franciszka Świdra na



ścianie sali rysunkowej szkoły. W czasie okupacji niemieckiej zakryty został warstwą glinki i w ten niezwykły sposób doczekał się po sześćdziesięciu latach ponownego „odsłonięcia" – 5 listopada 1994 roku. W r. 1935 z powodu zaostrzenia się sytuacji politycznej na Śląsku Cieszyńskim szkołę ogarnia niepokój. Policja oblega budynek szkolny, przesłuchuje młodzież i nauczycieli. Ofiarą padł nauczyciel Rudolf Pastuszek. Do roku 1935 z sal i klas oprócz szkoły korzystały miejscowe organizacje kulturalno-oświatowe, Miejscowa Rada Szkolna i Komisja Oświatowa. W tym bowiem roku Powiatowa Rada Szkolna we Frysztacie zakazała miejscowym organizacjom korzystać z lokali szkoły. Trzy lata później rozlokowała się w budynku kompania piechoty armii czeskiej.

Rok 1939 zapisał się tragicznie w dziejach „Jubilatki". Budynek zajęli Niemcy, zniszczyli wyposażenie, spalili obrazy i bibliotekę. Ze szczególną furią okupant zwrócił się przeciwko nauczycielstwu i młodzieży. „Wydziałówkę" ochrzczono „Albert Leo Schlagetter Schule", sprowadzono do budynku żeńskie seminarium nauczycielskie „Deutsche Mädel Lehrerbildungsaustalt". Od lutego do kwietnia 1945 roku zajęły budynek niemieckie władze wojskowe, zamieniając gmach szkolny na szpital wojskowy.

Nadszedł rok 1945. Wyzwolenie. Wiele trudu i pracy trzeba było włożyć, by opustoszały i zdewastowany budynek szkoły mógł ponownie służyć swemu przeznaczeniu. Naukę rozpoczęto we wrześniu 1945 r. Do szkoły zapisało się 206 uczniów. Budynek przydzieliła MRN czeskiej i polskiej szkole wydziałowej. Po otwarciu

nowego gmachu szkolnego dla czeskiej szkoły w roku 1961 szkoła polska objęła ponownie po 22 latach pod swój zarząd i do własnej wyłącznie dyspozycji budynek dawnej „wydziałówki", zwany „żółtym budynkiem". Największym wydarzeniem w historii szkoły w roku 1963 było odsłonięcie tablicy pamiątkowej dla upamiętnienia ofiar faszyzmu niemieckiego z szeregów grona nauczycielskiego i wychowanków szkoły.

Na kartach kroniki szkolnej zanotowano w ostatnim 50-leciu wiele inicjatyw, świadczących o współpracy ze szkołami podstawowymi w Zębowicach, Oleśnie i Bielsku-Białej w celu wymiany doświadczeń dydaktyczno-wychowawczych. Nie sposób wspomnieć o wzorowej współpracy z MK PZKO i jego zespołami amatorskimi. Kierując się najlepszą intencją wytworzenia dogodnych warunków pracy dla młodzieży szkolnej oraz chcąc zapewnić wszechstronny rozwój i wychowanie pozaszkolne młodszej generacji, szkoła zawarła w roku 1968 umowę z górnosuskim Kołem PZKO, przy czym zarząd Koła zobowiązał się do bezpłatnego udostępnienia wszystkich lokali Domu PZKO na imprezy młodzieży szkolnej. Ten krótki zarys współpracy nie byłby kompletny, gdyby nie wspomnieć o wspólnie do dziś organizowanych imprezach szkoły i MK PZKO.

W minionym 70-leciu wiele zmieniło się w górnosuskiej szkole. Uczyło tu ponad 80 nauczycieli. W pierwszym roku szkolnym zapisało się do obwodowej szkoły wydziałowej 136 uczniów. Lata 1932–1936 to okres największego rozkwitu „wydziałówki". Dla przykładu należy podać, iż w roku 1936 w siedmiu klasach uczyło się 288 uczniów. Szkołę ukończyło 2694 uczniów, uczyło według statystyki 15 nauczycieli, z okolicznych miejscowości uczęszczało 550 uczniów. Obecnie szkoła liczy 146 uczniów, uczy 14 nauczycieli, od roku 1992 dyrektorem szkoły jest Apolonia Mrózek. W latach 1945–1991 stanowisko dyrektorskie pełnili: W. Potysz, St. Bury, Jadwiga Sperling, Eugenia Kania, Emilia Owczarzy.

Pisząc o „Jubilatce", nie sposób nie wspomnieć o działalności społeczno-wychowawczej, m.in. o pracy młodzieży w zespole teatralnym, śpiewaczym, tanecznym, sukcesach w konkursach recytatorskich na szczeblu ogólnopaństwowym, dorocznych konkursach czytelniczych, olimpiadach matematycznych, sukcesach w zawodach i turniejach sportowych. O pomyślnych rezultatach świadczą liczne nagrody, wyróżnienia, akty uznania. Sukcesy te byłyby nie do pomyślenia bez ofiarnej pracy uczniów, dyrekcji szkoły i grona nauczycielskiego, bez wzorowej współpracy z Macierzą Szkolną, Urzędem Gminnym, MK PZKO i bez pomocy dużego grona przyjaciół, rodziców i absolwentów górnosuskiej „Jubilatki".

OTOKAR MATUSZEK

PIĘĆDZIESIĄT GOROLSKICH ŚWIĄT ZA NAMI

Piękną słoneczną pogodę udało się zarezerwować organizatorom na tegoroczne jubileuszowe pięćdziesiąte Gorolski Święto. Dwudniowa impreza w Lasku Miejskim w Jabłonkowie odbyła się w dniach 9 i 10 sierpnia i zgromadziła łącznie ponad 20 tysięcy osób.

A zaczynano skromnie. W czerwcu 1948 roku na zebraniu Miejscowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Jabłonkowie postanowiono zorganizować festyn ludowy z udziałem zespołów z okolicznych miejscowości. Na wniosek Karola Piegzy festyn nazwano Świętem Góralskim. Odbył się w niedzielę 12 września 1948, miał charakter konkursu. We współzawodnictwie wzięły udział chóry i zespoły taneczne. Wcześniej, w sobotę, na okolicznych szczytach - Stożku, Kozubowej i Girowej - młodzi ludzie ze Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej oraz harcerze mieli zapalić wielkie ogniska.

Od następnego roku uczestnikiem a później współorganizatorem Święta Góralskiego był zespół „Gorol", którego członkowie od początku patronowali tej imprezie.

Dzisiejszą nazwę - Gorolski Święto - o brzmieniu bardziej „góralskim" ustalono w roku 1967.

Od roku 1985 Gorolski Święto ma podobny do dzisiejszego charakter: program sobotni obejmuje popołudniowe występy zespołów folklorystycznych i wieczorną zabawę młodzieżową, program niedzielny rozpoczyna pochód gości, zespołów i wozów alegorycznych, następnie po powitaniu gości prezentują się zespoły gospodarzy, inne zespoły zaolziańskie oraz goście z Polski, Czech i innych krajów, wieczorem odbywa się zabawa towarzyska.

W roku 1990 stało się Gorolski Święto dzięki inicjatywie Władysława Młynka częścią Tygodnia Kultury Beskidzkiej, wielkiej imprezy folklorystycznej po polskiej stronie Beskidów, co umożliwiło sprowadzanie do Jabłonkowa atrakcyjniejszych zespołów zagranicznych.

Przy okazji Gorolskich Świąt odbywają się też imprezy towarzyszące. Od roku 1984 jest to „Bieg o Gliniany Dzbanek", w którym w roku bieżącym wzięło udział 118 zawodników z Zaolzia, Polski i Słowacji, a najlepszym okazał się Petr Tvrzník z Jabłonkowa. Od roku 1993 organizowany jest rajd turystyczny „O Kyrpce Macieja". Od roku 1982 to-













50. GOROLSKI ŚWIĘTO, fot. FRANCISZEK BAŁON

warzyszą też Gorolskimu Świętu wystawy, odbywające się ostatnio w Domu Działkowca. Kiedy przy Sekcji Folklorystycznej ZG PZKO powstał Klub Twórców Ludowych, postanowiono, że dzieła jego członków wystawiane będą również na Gorolskim Święcie. Wystawa tegoroczna „Z historii Gorolskich Świąt" była wystawą retrospektywną. Składała się z materiałów archiwalnych, pochodzących ze zbiorów Karola Piegzy, z archiwum MK PZKO Jabłonków oraz zespołu „Gorol", obejmowała zdjęcia, zapisy kronikarskie, wystawiono również rzeźby Pawła Kufy.

W sobotnie popołudnie twórcy, znawcy i miłośnicy literatury spotkali się w jabłonkowskiej Kawiarence „Pod Pegazem", by wziąć udział w sympozjum naukowym z udziałem wykładowców polskich i czeskich uczelni wyższych, poświęconym polskiej literaturze na Zaolziu. Bardziej poetycki charakter miał wieczór z twórcami i literaturą zaolziańską, na który nieoficjalnie przybyli ambasador RP w Pradze Marek Pernal oraz konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Piotr Szwarc. Kawiarenkowicze również sławili swój jubileusz. Spotkanie w czasie Gorolskigo Święta było pięćdziesiątym z kolei.

Sobotni program folklorystyczny w Lasku Miejskim wypełniły występy dziecięcego zespołu z Polski „Kłomnickie Płomyczki", zespołów „Górole" z Mostów koło Jabłonkowa, „Drevár" z Krásna nad Kysucą ze Słowacji, „Warmia" z Olsztyna oraz „Śląsk". Wieczorem odbył się karnawał młodzieżowy.

Niedzielny blok programowy poprzedzał pochód od restauracji „U Mrózka" w Nawsiu do Lasku Miejskiego w Jabłonkowie. Na czele pochodu szli zaproszeni goście oficjalni oraz przedstawiciele sponsorów imprezy. Kolasą jechał Jura spod Grónia. Barwny korowód tworzyli członkowie góralskich zespołów folklorystycznych, oklaskami nagradzano roztańczone grupy, zainteresowanie wzbudzały wozy alegoryczne. Na estradzie witał wszystkich Władysław Młynek. Wśród przedstawionych przez niego gości byli m.in. Andrzej Mickiewicz, dyrektor gabinetu wicepremiera Rządu RP Mirosława Pietrewicza, Krzysztof Ciejpa-Znamirowski, dyrektor generalny w Ministerstwie Kultury i Sztuki RP, Andrzej Wilk, poseł na Sejm RP, Marek Trombski, wojewoda bielski, Piotr Szwarc, konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, Andrej Sulitka, dyrektor sekretariatu Rady ds. Narodowości przy Rządzie RC, Emil Škrabiš, senator Senatu RC, Wawrzyniec Fójcik, poseł do Parlamentu RC i prezes Rady Polaków, przedstawiciele władz powiatowych, miejskich i gminnych z najbliższej okolicy, jak również z zaprzyjaźnionych gmin województwa bielskiego, delegacje organizacji kulturalnych oraz sponsorów imprezy. Oficjalnego zagajenia Gorolskigo Święta dokonał prezes jabłonkowskiego koła Jan Ryłko. Srebrne Odznaki za Zasługi i Akty Uznania otrzymało z rąk prezesa ZG PZKO Jerzego Czapa kilku działaczy - organizatorów Gorol-

skich Świąt oraz Klub Seniora MK PZKO Jabłonków. „Sto lat" zaśpiewano Władysławowi Niedobie, jednemu z najbardziej zasłużonych wśród animatorów Gorolskigo Święta, podziękowano serdecznie Władysławowi Młynkowi, który w tym roku po raz ostatni pracował w komitecie organizacyjnym Gorolskigo Święta, oraz Bogusławowi Stonawskiemu, który był dyrygentem „Gorola" nieprzerwanie od 1963 roku.

Zgodnie z tradycją program folklorystyczny rozpoczęły połączone chóry „Gorol" z Jabłonkowa, „Melodia" z Nawsia i „Przełęcz" z Mostów koło Jabłonkowa. Solo zaśpiewał Władysław Niedoba. „Gorol" z gawędziarzem Tadeuszem Filipczykiem zaprezentował się następnie w samodzielnym programie, wystąpiły też zespoły „Nowina" z Jabłonkowa, „Olza" z Czeskiego Cieszyna, „Górole" z Mostów koło Jabłonkowa, „Łączka" i „Bystrzyca" z Bystrzycy. Region cieszyński reprezentowały też zespoły z Polski: „Koniaków", „Jaworzynka", „Istebna", „Wisła". Folklor wałaski przedstawił zespół „Vsacan" ze Wsecina na Morawach, hiszpański „Aires de Pagesia" z Sant Joan na Majorce. Tłumy na widowni zgromadził, oczekiwany przez wszystkich i gorąco oklaskiwany, Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Śląsk".

Atrakcyjnym punktem programu jest dla uczestników Gorolskigo Święta oglądanie stoisk, oferujących przygotowane przez poszczególne pobliskie Koła PZKO dania regionalne. Troska o podniebienia gości imprezy leży na sercu organizatorom, toteż wybór potraw i napojów jest szeroki, nikt nie powinien być głodny czy spragniony. Jednak nie tylko strawę dla ciała umieszczono w stoiskach. W powstałej Kolibie Wydawców można było nabyć publikacje książkowe. Danuta i Zenon Wirthowie z hurtowni „Alfa" dostarczyli na Gorolski Święto szeroką gamę publikacji wydawnictw polskich, jak również książek pisarzy zaolziańskich.

W wydanej z okazji pięćdziesięciolecia Gorolskigo Święta oraz zespołu „Gorol" broszurze czytamy, warte umieszczenia na końcu rozważań o minionym właśnie Gorolskim Święcie, słowa Jury spod Grónia:

„Ale piyndziesiónt roków – to jeszcze ni ma kóniec naszej imprezy. Przichodzóm nowi młodzi ludzie, bedóm na tle tego Święta tworzić nowe rzeczy, nowe zespoły, z nowymi czasami przidzie nowy duch. A Gorolski Święto będzie tak dłógo, jak dłógo na tej ziymi bedzie aspóń malutki jónderko tego, co my z mlykym matki do siebie wessali. Tóż Ludkowie, dzierżmy do kupy, a ani pierón nóm nie do rady!"

CZESŁAWA RUDNIK

CHLYB, CHLEBICZEK NASZ POWSZEDNI...

Niż sie go mógło ukroć i położyć na rodzinnym stole... Trzeba sie było dobrze wyspać, dobrze pośniodać i potym sie zabrać do roboty... Tóż piyrsze, zasioć rynicznie obili, reż albo żyto.

Jak poschodziyło, zeszło, wyzbiyrać ś niego ogniszcz abo oset. Jak ozdrzało, dobrze naklepać kosy, pobrusić, zesiyc (nikiedy 1,6 m wysokóm reż), ubrać, wiónzać snopki, stawiać kozły. Potym ich obwiónzać, zrobić „czopki", nasadzić ich na kozły i obwiónzać powrósłym, aby ich wiater nie ściepoł. Jak obeschły, podować ty snopki na fóry-drabinioki, swiyźć do stodoły i ukłodać do sztwierci (sómsieka). Potym młócić cepami abo maszynóm „wytrzónsaczkóm", kieróm ciónngli, obracali na „szwóngrotach" sztyrze chłopi. U siedloków młóciyli gepłym (kieratym), kiery ciónngły kónie. Czynsto młóciyli w zimie, bo w lecie nie było czasu... Obili było z plewami, tóż wszycko trzeba było wyburdakować na „burdaku". Wyniyść w miechach na plecach na górym, na sypani i roz za czas przesypować wijaczkóm, aby dobrze wyschło. Potym po troszce snoszać, mleć na młynku, abo zawiyźć do młyna. Z mónki zarobiać ciasto w dziyżce, niechać wyruszać, potym ukulać, ugniyść i formować do słómiónek, podłógowatych abo okrónngłych. Wyhajcować piec-piekarszczok i upiyc dóma, abo zawiyźć na tragaczu do piekarza upiyc, a po połedniu zaś po niego zajechać. Jak my go, jako dziecka, wiyźli, to my uż po ceście ułamowali po kónsku... A jak sie tyn dómowy, wóniawy chlebiczek ukroło i pomazało domowym masłym abo syrym, zapijało mlykym abo „kiszkóm", to każdy jod, wcinoł z chyncióm, jakby sztyrnost dni nie jod..., abo sie też mówiyło: „Jy, jakby za płot ciepoł", abo: „Jy, aż sie mu nos ogibo". Mówi sie też po dzisio: „Wszyckigo sie idzie przejeść, ale chleba nigdy, dycki szmakuje!"

WINCENTY SZ.

P.S. Choć słóneczko we żniwa przipiykało,
nigdy sie u nas piwa nie piyło!
Wodóm ze studnie z troszkóm octu i z cukrym
abo zimnóm kiszkóm z piwnice czy mlykym
ugasiyli pragniyni kośnicy i żniwiorki,
kiere były potym warciutki jak wiewiórki!

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



ZAOLZIE – NASZ WSPÓLNY DOM

Moja rodzina ma swoje korzenie na Zaolziu. Wszyscy moi przodkowie (oprócz dziadka) pochodzą z tego regionu. W dodatku różni członkowie mojej rodziny w różnym stopniu i w różny sposób podtrzymywali tradycje polskie na Zaolziu (np. przez pracę w polskich organizacjach). Nasza rodzina jest więc dosyć ściśle związana z tym terenem.

Już od najmłodszych lat był nam wszczepiany szacunek do tego „kawałka gruntu". Nam – czyli mnie i siostrze. Podobnie było też u innych rodzin – z różnym skutkiem. W naszej rodzinie głównym „wychowawcą" była i jest babcia. Ta oto persona znana jest ze swego przywiązania do Zaolzia i ze znajomości drzew genealogicznych i powiązań rodzinnych rodów i rodzin na terenie całego Śląska Cieszyńskiego. Jest ona chodzącą encyklopedią historii Zaolzia i jest zawsze gotowa do wygłoszenia długiego wykładu na ten temat. Ponieważ okazji do wygłoszenia wykładu jest sporo, jesteśmy raczej nadprzeciętnie poinformowani o sytuacji Polaków w tym regionie.

Przejdźmy jednak do pierwotnego tematu.

Zaolzie, nasz wspólny dom... Ładny to dom, chociaż miejscami tynk odpada. Pomijając jednak regularnie rozmieszczone „księżycowe krajobrazy", to jest to całkiem fajna okolica. Wszystko zależy od punktu widzenia. Pesymiści wybrzydzają nad dymiącymi kominami i podkopanym przez kopalnie terenem, optymiści zachwycają się Beskidami, realiści zaś powtarzają stare powiedzenie: „Jest goło, ale wesoło". I tak rzeczywiście jest. Nie najgorzej, chociaż do ideału też daleko. Lepsze to jednak niż życie w tłocznej i jeszcze bardziej zadymionej Pradze.

Oprócz tego – mieszkamy na granicy polsko-czeskiej, możemy więc łatwiej dokonywać „wypadów" na obie strony. Mamy możliwość poznawania historii i kultury dwu krajów naraz, co raczej trudno przychodzi mieszkańcom centralnej Polski lub Czech.

W tej kwestii też bardzo dużo zależy od sposobu myślenia. Można zamknąć się w sobie i rozpaczać nad tym, że jest się wyrzutkiem – ani Polakiem ani Czechem. Można jednak wesoło poruszać się w obu środowiskach, czerpiąc masę korzyści.

Od każdego zależy, jak się do danego stanu rzeczy ustosunkuje. Kończę już. Pójdę sobie pojeździć na rowerze. Może dwa kółka koło kopalni?

DARIUSZ JEDZOK
(15 lat)

(Praca nadesłana na konkurs „Zaolzie – nasz wspólny dom")

PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ ŁUCYNY

Rzeka Łucyna ma swoje źródło w lasach beskidzkich na zboczach góry Praszywej i jest dopływem Ostrawicy. Na obszarze Hawierzowa podłączają się do niej rzeczki Datyńka, Suszanka i Strużnik. Rzeka ta interesować nas będzie na odcinku hawierzowskim, który pod względem fauny i flory jest dla niej typowy. Płynąca z południa, przed zbudowaniem zapory występowała z brzegów, podmywała je, z powodu małego spadku tworzyła zakręty i rozlewiska, które wyschnięte tworzyły glebę dość urodzajną, wzdłuż całej doliny rzeki przydatną na łąki. Przez całe wieki płynęła dość swobodnie, żywiołowo drążyła coraz głębsze koryto do wysokości dwóch, a nawet więcej metrów. W czasie powodzi wymywała piaskowe i żwirowe warstwy, nanosiła je, tworząc w różnych miejscach wysepki. Ponieważ grunty wzdłuż koryta rzeki mają charakter nanosowy o podłożu gliniastym, mało przepuszczalnym, tereny te nadawały się głównie na łąki, częściowo na pola uprawne. Powstały też warunki do urządzenia w tych miejscach stawów rybnych.

Dawne generacje żyły z tą rzeką w najlepszej harmonii i zgodzie. Korzystały z jej dobrodziejstw latem i zimą. Do czasu, kiedy zbudowano w jej górnym biegu zaporę (1958), co spowodowało znaczne obniżenie temperatury wody, a tym samym niekorzystną zmianę środowiska naturalnego dla większości gatunków tu żyjących ryb i raków, poprzez wieki pociągała amatorów łowienia ryb, co w niektórych rodzinach przechodziło z pokolenia na pokolenie. Woda z rzeki zasilała stawy rybne, użyźniała tereny po obu stronach rzeki. Sprawiała też ludziom kłopoty. Nagle i gwałtownie jej wody zalewały znaczne przestrzenie, odnosiła ławy, z łąk kopce siana. W czasie wiosennej odwilży kry lodowe niszczyły mosty.

U schyłku XIX wieku przy drodze prowadzącej z Błędowic do Datyń, tuż obok prywatnego drewnianego mostu, prowadził swoje gospodarstwo człowiek niezmiernie przedsiębiorczy - Józef Pawlica. Zbudował tu duży młyn i tartak. Wkrótce stał się człowiekiem zamożnym, co jego synowi umożliwiło zainwestować znaczne pieniądze w budowę betonowej zastawy na Łucynie, odkąd przekopaną odnogą „młynką" doprowadzana była woda na koło tartaku. Znana w całej okolicy zastawa i młynka z mnóstwem ryb przynosiły nie tylko oczekiwany efekt ekonomiczny, ale były wzbogaceniem krajobrazu na granicy między Średnimi i Dolnymi Błędowicami. Wysokie koszty utrzymania tego obiektu sprawiły, że w latach 50-tych naszego stulecia zamiera w tym zakątku życie gospodarcze, tartak i piekarnia przestają istnieć. Dziś to już tylko pustkowie, zaś dla tych najstarszych do żalu pobudzające wspomnienia. W sposób niespotykany



powszechnie znaną zastawę na zawsze pogrzebało „Povodí Odry", zasypując ją bryłami skalnymi. Kolejne to wstrząsające świadectwo naszych czasów.

Zbudowanie na górnym odcinku rzeki w roku 1958 zapory żermanickiej, tworzącej jezioro o powierzchni 4,5 km^2, to już teraźniejszość. Zapora ta jest zbiornikiem wody użytkowej dla ostrawskich hut, jest również obszarem wczasowym Hawierzowa i pobliskich aglomeracji miejskich. Koryto Łycyny pod zaporą w jej środkowym biegu to rzeka o pierwotnym stanie naturalnym, tworząca liczne meandry z brzegami zarośniętymi porostem. Aż do spływu z rzeczką Suszanką na naszą rzekę nie wywiera wpływu przemysł, zaś z punktu widzenia zanieczyszczeń przedstawia stosunkowo czysty tok, odpowiedni dla pasma pstrągowego. Nad różnymi projektami, dotyczącymi regulacji rzeki, a nawet wybudowania tamy pod Hawierzowem, zwyciężył zdrowy rozsądek, bo ostatecznie w roku 1991 środkowy bieg rzeki „Meandry Łycyny" ogłoszono zabytkiem przyrody.

W paśmie brzegowym rzeki rosną dęby, jesiony, białe wierzby, różne gatunki olch, jawory, lipy, a również dzikie czereśnie. Do krzewów zaliczyć tu należy czarny bez, czeremchę gronową, wierzby, kaliny. Reprezentowane jest również pasmo ziołowe. Nad wodą rośnie krwawnica, niezabudki bagienne, rdest oraz wiele innych. Spotkać również można gatunki charakterystyczne dla lasów łęgowych, czosnek niedźwiedzi, zawilca jaskrawego, turczycę, przytulię, złoć oraz kilka innych. Porosty łę-

gowe są rolniczo intensywnie wykorzystywane, na skutek tego dochodzi do obniżenia ich jakości, tworzy się monokultura łęgowa. Regularnie koszone, ale nie nawożone kwiaciaste łąki należą do rzadkości. Pasmo pstrągowe rzeki reprezentowane jest przez pstrąga pospolitego i tęczowego, śliża, okonia rzecznego, strzebla potokowego. Poza tym spotkać tu można amfibie, pod ochroną znajdującą się traszkę wielką i pospolitą, kumkę pospolitą i żółtobrzuszną, ropuchę pospolitą i zieloną, żabę płową i zieloną. Przybrzeżne porosty wzbogacane są również przez awifaunę.

Po stanowczej ingerencji w naturalne środowisko Łucyny, jaką była budowa zapory, Bogu dzięki, że poza zmianą środowiska wodnego z dawnego na pstrągowe, fauna i flora na odcinku hawierzowskim rzeki nie ucierpiała. Pomimo tego, z pewną dozą nostalgii wracam do czasów, kiedy prymitywną wędką, ukrywaną przed rodzicami, łowiłem w Pawlicowej młynce szlachetne jelce i żarłoczne szewce (gatunek okonia rzecznego) i z wielkim respektem na drewnianym moście podpatrywałem sposób łowienia ryb przez swojego nauczyciela, zapalonego wędkarza Józefa Pawlasa spod harendy.

Po pięknych latach młodości przeżytych na brzegach Łucyny ukształtował się we mnie szczególny, pełen przyjaźni stosunek do tej rzeki. Dobrze się kiedyś w jej sąsiedztwie żyło...

ANDRZEJ PAWLAS



W wakacyjnym 8. nr. ZWROTU grasował „chochlik". Tym razem był nader złośliwy, bo ze str. 19 (u góry w prawo) wyrzucił portret (specjalnie podrobiony... „własną kreską") jubilata BRONISŁAWA LIBERDY.

Jego i czytelników gorąco przepraszamy!

"BYSTRZYCA" W BRUSACH

Brusy – małe miasteczko (około 5 tysięcy mieszkańców) położone wśród malowniczych jezior na Pojezierzu Kaszubskim na trasie między Chojnicami a Kościerzyną, prowadzącej bocznymi drogami do Gdańska. Tu w dniach 29 VII – 3 VIII odbył się III Międzynarodowy Festiwal Folkloru. Wzięło w nim udział 20 zespołów, w tym 7 zagranicznych, reprezentujących Chile, Białoruś, Litwę, Włochy i Republikę Czeską – nasza „Bystrzyca".

Kiedy późnym popołudniem w środę, następnego dnia po inauguracji festiwalu, wjeżdżaliśmy do miasteczka, przywitały nas transparenty, reklamujące festiwal, rozwieszone między kamieniczkami głównych ulic Brus, i plakaty z programem koncertów.

Miasteczko wyglądało sennie, zaledwie kilku przechodniów, niewiele przejeżdżających samochodów. Nic nie wskazywało na to, że za niespełna dwie godziny odbędzie się tu festiwalowy koncert. Włoski autokar, wyróżniający się wyglądem, poprowadził nas do miejscowego Domu Kultury. Byli tu już nasi bystrzyczanie i wielu młodych ludzi, posługujących się różnymi językami, poubieranych w kolorowe stroje.



Scena w Brusach

Zwiedzamy okazały budynek. Mamy czas do wieczornego koncertu. Oglądamy też autorską wystawę fotograficzną Zbigniewa Chełmowskiego – kaszubskie pejzaże. W dużej estetycznie urządzonej sali widowiskowej ćwiczą taneczne kroki pary młodych tancerzy.

Od gospodarza III Międzynarodowego Festiwalu Folkloru, a jest nim kaszubski zespół folklorystyczny „Krębane", działający przy Domu Kultury w Brusach, otrzymaliśmy okolicznościowe plakietki i barwny folder z programem i informacjami o zespołach biorących udział w festiwalu. W tymże folderze znajdujemy informacje o fundatorach festiwalu, a są nimi: Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Edukacji Narodowej, Senat Rzeczpospolitej Polskiej, wojewoda bydgoski i Fundacja im. Stefana Batorego. Nad festiwalem patronat honorowy sprawuje między innymi CIOFF.

Występy zespołów odbędą się na sąsiadującym z Domem Kultury placu targowym, przyozdobionym kolorowymi malunkami ścian domów mieszkalnych, otaczających plac. Kilkaset krzeseł przygotowanych dla widzów świeci pustkami. W głębi duszy targają mną obawy, czy w ogóle będzie tu publiczność. Ostatnie próby mikrofonów, jakieś włoskie liryczne piosenki. Nagle magnetofon cichnie, słychać przybliżające się dźwięki kapeli. Na plac wchodzą zespoły, barwny korowód tańczących i śpiewających w różnych językach ludzi. Wchodzą na scenę, a za nimi wkracza tłum ludzi, który



„Bystrzyca" prezentuje „mietlorza"



Pani Maria Podzemna – kierownik zespołu „BYSTRZYCA" odbiera podarunki
fot. FRANCISZEK BAŁON

w ciągu kilku minut szczelnie wypełnia plac. A w tym czasie konferansjer Marek Czarnowski, na co dzień kierownik zespołu „Krebane", prezentuje bohaterów wieczoru. Występy trwały prawie pięć godzin, publiczność nie chciała rozejść się do domów.

I choć trudno w to uwierzyć, tak było w Brusach przez pięć kolejnych wieczorów.

Opisałam szczegółowo nasz pierwszy dzień w Brusach, bo to, co tam się działo, przeszło wszelkie oczekiwania. Wspaniała atmosfera wspólnej zabawy i niezwykła życzliwość miejscowej ludności. Przy tym wszystkim trzeba koniecznie podkreślić, że festiwal o dużym zasięgu międzynarodowym, mimo pozornie znaczących i hojnych sponsorów, jest chyba jednym z najbardziej oszczędnych, jeśli idzie o wydatkowane nań pieniądze. Organizatorzy bowiem nie wynajmują hoteli i restauracji, po prostu członkowie miejscowych zespołów goszczą w swoich domach zaproszone zespoły. I to jak goszczą!

Nasi i zespół włoski byli gośćmi bruszan. Inne zespoły były goszczone w okolicznych miasteczkach na tej samej zasadzie. Głównymi gospodarzami festiwalu były trzy miasta: Chojnice, Brusy i Sierakowice, ale koncerty odbywały się także równolegle w okolicznych miejscowościach. Trzeba jednak bez wątpienia

podkreślić, że nigdzie nie było tak wspaniałej publiczności jak w Brusach!

Mieszkańcy żyją swoim festiwalem i gośćmi. A przecież nawet pobieżny rzut oka na miasteczko mówi za wszystko, brakuje miejsc pracy, nie za wiele tu turystów, codzienne kłopoty jak wszędzie. Ale dla mieszkańców Brus festiwal to wielkie święto, na które czeka się cały rok.

Gospodarz festiwalu zespół „Krëbane" z Brus, zasłużony i utytułowany po sukcesach w wielu krajach Europy (Belgia, Niemcy, Hiszpania, Turcja, Austria, Ukraina), podzielony jest na cztery kategorie wiekowe, z których każda posiada odrębną nazwę: „Purtki", „Gwiżdże", „Młodzi Krëbane" i dwudziestolatkowie „Krëbane". Razem około 150 śpiewaków i tancerzy. Wszyscy prezentują przede wszystkim folklor kaszubski, choć w swoim repertuarze posiadają także tańce krakowskie, rzeszowskie i lubelskie.

Publiczność w Brusach niezwykle ciepło odnosi się do swoich zespołów, ale nie szczędzi również oklasków pozostałym. Podobał się zespół włoski „Momenti Arcaici" z Pescary, prezentujący folklor regionu Abruzzo, górzystej krainy w centralnych Włoszech. Zespół zróżnicowany wiekowo, od kilkunasto- po kilkudziesięciolatków, niezwykle żywiołowy.

Podobała się „Bystrzyca" – zespół działający przy MK PZKO w Bystrzycy pod kierownictwem Marii i Leonarda Podzemnych. Pobyt na festiwalu zawdzięczają zespołowi „Krëbane".

„Bystrzyca" występowała podczas III Międzynarodowego Festiwalu Folkloru w Chojnicach, Brusach, Charzykowych i Sierakowicach, dając łącznie 6 występów. Zespół zaprezentował widowisko „Na bystrzyckim jarmarku", czeską polkę i suitę tańców wschodniosłowiańskich. A bystrzycka kapela grała ku uciesze publiczności w Brusach codziennie do godzin porannych, poza koncertami oficjalnymi, do posłuchania i do tańca. W chwilach wolnych od występów członkowie zespołu zwiedzali kaszubską krainę.

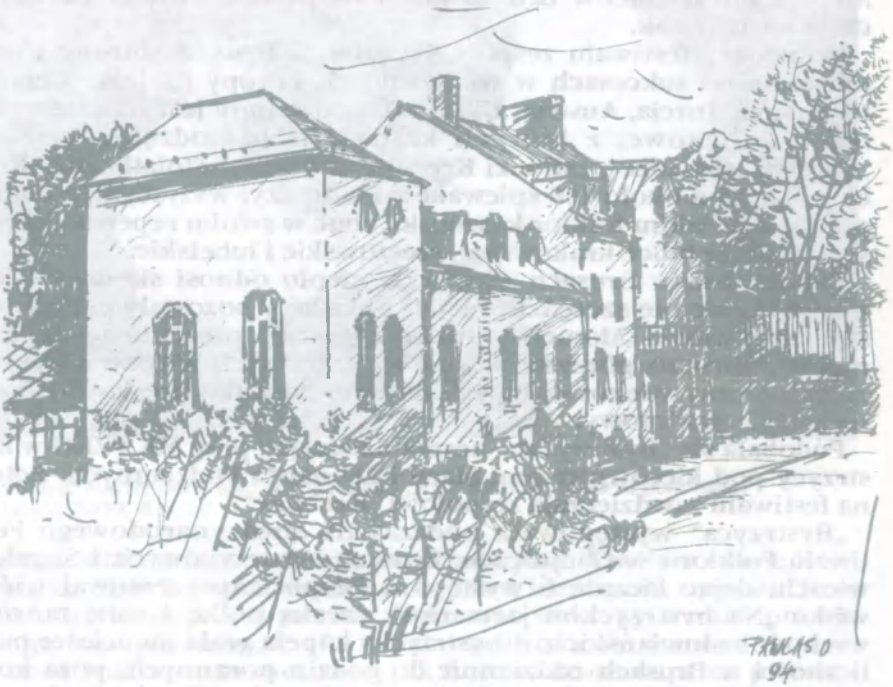
I na koniec sukcesy bystrzyczan: w koncercie finałowym tylko dwa zespoły miały szansę przedstawić po dwa punkty programu – „Bystrzyca" i „Momenti Arcaici"; kapela „Bystrzycy" grała wspólnie z jedną z najlepszych kapel góralskich w Polsce – kapelą Piotra Majerczyka z Rabki, a Piotr Majerczyk zaprosił nasz zespół na Podhale; członkowie zespołu „Momenti Arcaici" z włoskiej Pescary również wyrazili chęć goszczenia „Bystrzycy" na swojej ziemi.

Po festiwalu pozostały już tylko wspomnienia i przyjaźnie tam zadzierzgnięte podczas tygodniowego pobytu w Brusach u gościnnego zespołu „Krëbane".

A może nasi działacze uwzględniliby kaszubski zespół w planach 51. Gorolskigo Święta. Chyba nie jesteśmy mniej gościnni i potrafimy zapewnić opiekę w rodzinach.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

PEJZAŻE OSKARA PAWLASA W BIELSKU-BIAŁEJ



W Zamku Sułkowskich przy ulicy Wzgórze 16 w Bielsku-Białej trwała do końca sierpnia wystawa malarstwa Oskara Pawlasa nazwana „Pejzaże". Wernisaż wystawy odbył się 8 lipca. Mimo niesprzyjającej pogody (powodzie) nie zabrakło na nim delegacji ZG PZKO z prezesem Jerzym Czapem oraz przedstawicieli Stowarzyszenia Artystów Plastyków, kolegów artystów z obu stron Olzy, jak również zwykłych miłośników sztuki.

Wystawa obejmowała kilkadziesiąt prac artysty z okresu ostatnich dwudziestu lat, dużo było prac najnowszych. Dominującym tematem wystawionych obrazów były pejzaże, wśród których królował pejzaż beskidzki. Trafnie oceniła „miejsce na ziemi" Oskara Pawlasa komisarz wystawy Iwona Purzycka, pisząc w katalogu: *„Dzisiaj, kiedy najwięcej jest obywateli świata, niewielu ludzi, artystów tak mocno identyfikuje się ze swoimi korzeniami i tak wytrwale te korzenie pielęgnuje."* Postawę

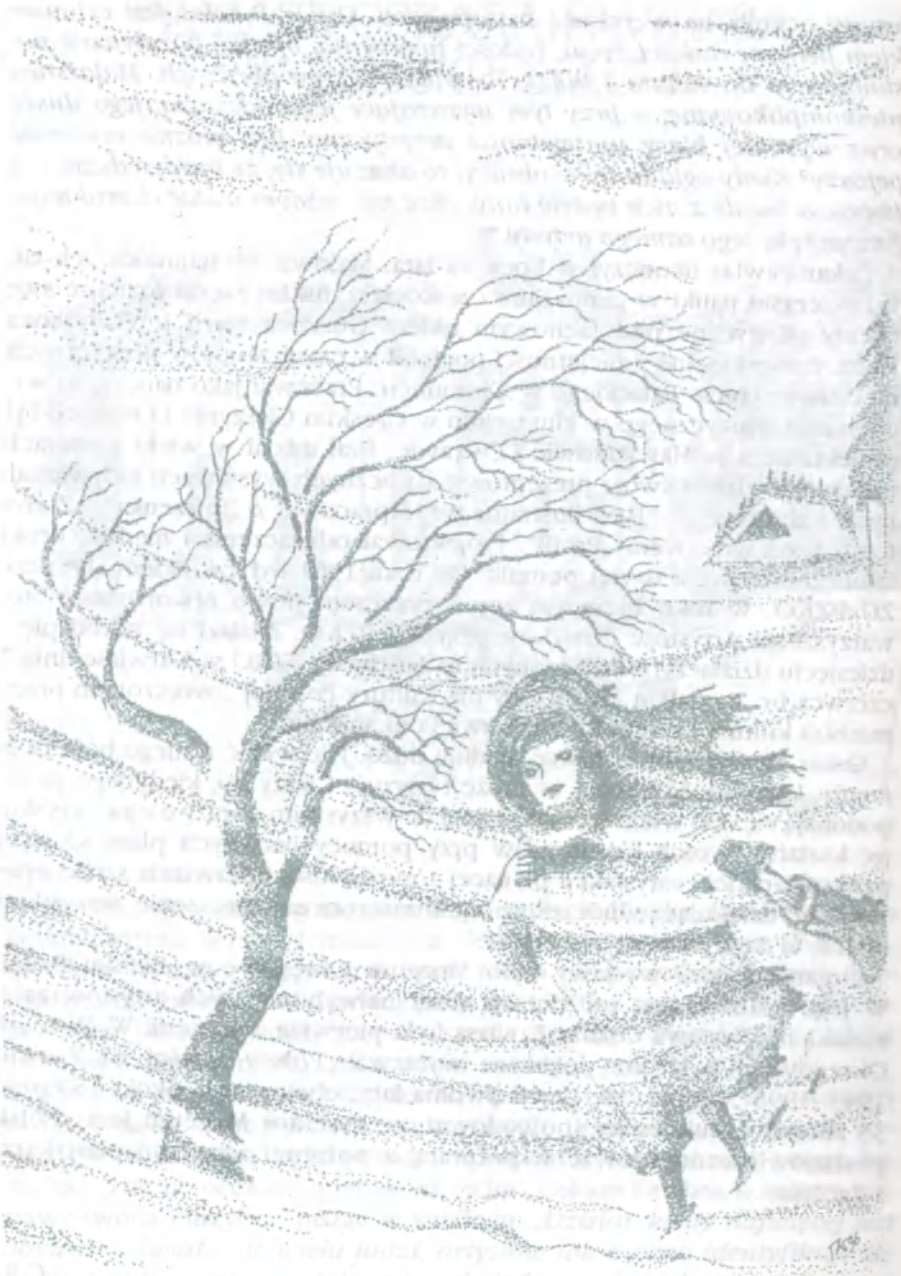
artysty oceniła na wernisażu następująco: *„Oskar Pawlas jest człowiekiem pełnym radości życia, radości tworzenia, bardzo pozytywnie nastawionym do świata i ludzi. To widać w jego obrazach. Malarstwo nieskomplikowane, a przy tym wyrażające jego odczucia, jego duszę oraz wysokiej klasy umiejętności artystyczne. Ileż można malować pejzaży? Kiedy oglądamy te obrazy, to okazuje się, że bardzo dużo, bez końca, a każdy z nich będzie inny, choć na każdym widać charakterystyczną rękę tego samego artysty."*

Oskar Pawlas ukończył w lipcu 73 lata. Malował od najmłodszych lat. Już w czasie nauki w gimnazjum czeskocieszyńskim zaczął rozwijać swe talenty plastyczne pod fachowym okiem Gustawa Fierli i Władysława Pasza. Profesjonalne umiejętności pogłębił w czasie studiów plastycznych na Uniwersytecie Palackiego w Ołomuńcu. Pracował jako nauczyciel wychowania plastycznego w gimnazjum w Czeskim Cieszynie i Orłowej, był projektantem w Hawierzowie i Ostrawie. Brał udział w wielu plenerach malarskich, dzieła swoje prezentował na licznych wystawach indywidualnych i zbiorowych. Jako ilustrator współpracował z „Jutrzenką", „Zwrotem", wydawnictwem „Profil". Projektował odznaczenia i medale, druki okolicznościowe a nawet pomnik. Od roku 1961 był członkiem SLA przy ZG PZKO, w roku bieżącym został prezesem nowo utworzonego Stowarzyszenia Artystów Plastyków przy ZG PZKO. Znalazł się wśród pięćdziesięciu działaczy, odznaczonych na Festiwalu PZKO w Karwinie dnia 7 czerwca br. medalem „Zasłużony dla Kultury Polskiej", wręczonym przez ministra kultury i sztuki RP Zdzisława Podkańskiego.

Oskar Pawlas lubi malować, maluje dużo. Nie widać u niego bólu tworzenia, lecz radość z tego, że może tworzyć. Cieszy go, kiedy jego prace podobają się. Od wielu lat maluje przede wszystkim obrazy olejne, uzyskując kształty swoich krajobrazów przy pomocy barwnych plam. O swej pasji malarskiej i satysfakcji płynącej z możliwości uprawiania sztuki opowiedział, dziękując jednocześnie organizatorom za zaproszenie, wszystkim obecnym na wystawie.

Organizatorami wystawy było Muzeum Okręgowe w Bielsku-Białej. W jego planach jest prezentacja dzieł najwybitniejszych artystów zaolziańskich. Wystawa Oskara Pawlasa była pierwszą z tej serii. W Muzeum Okręgowym była już pokazana wystawa „Polscy artyści na Zaolziu 1945-1995". Odbyła się przed dwoma laty, obejmowała około 150 prac 35 autorów. Sukces jej spowodował, że dyrektor Muzeum Jerzy Polak postanowił kontynuować współpracę z polskimi artystami plastykami z Zaolzia.

C.R.



rys. TADEUSZ WRATNY (ilustracja do książki „Połotane żywobyci")

PROMOCJA NOWEJ KSIĄŻKI ANIELI KUPIEC

Ilość obecnych na promocji nowej książki Anieli Kupiec „Połotane żywobyci" w Domu PZKO w Nydku w piątek 1 sierpnia br. zaskoczyła organizatorów. Około 70 osób przybyło, by spotkać się z autorką opowiadań gwarowych, nabyć jej książkę, poprosić o autograf. Na spotkanie przyszli nie tylko sąsiedzi Anieli Kupiec, członkowie nydeckiego Koła PZKO, ale miłośnicy ludowej twórczości literackiej ze wszystkich zakątków Zaolzia.

Zebranych powitała redaktor publikacji Danuta Branna. W krótkim programie kulturalnym przedstawili się członkowie dziecięcego zespołu góralskiego „Nowina", w uszczuplonym co prawda - bo to przecież wakacje - składzie, co jednak nie wpłynęło na poziom występu. Danuta Branna przeczytała krótki życiorys Anieli Kupiec. Podziękowała tym z obecnych, którzy przyczynili się do powstania publikacji: Danielowi Kadłubcowi za adiustację językową, korektę oraz posłowie, Tadeuszowi Wratnemu za projekt okładki i ilustracje, Kazimierzowi Gajdzicy za opracowanie graficzne oraz Władysławowi Milerskiemu za opracowanie słowniczka wyrazów gwarowych. Wiesława Branna przeczytała następnie jedno z aktualnych na tę porę roku opowiadań, zamieszczonych w książce, zatytułowane „Przegrzeszóne grziby". Na koniec został wywołany do tablicy Daniel Kadłubiec, który jako językoznawca, znawca folkloru i zaolziańskiej kultury ludowej jest osobą najbardziej kompetentną, by zabierać głos na podobnych spotkaniach. Daniel Kadłubiec podkreślił znaczenie miejsca, w którym urodziła się i mieszka Aniela Kupcowa, pięknej wsi beskidzkiej Nydku, i wpływu tego miejsca, jego uroku, na sposób widzenia świata przez autorkę książki „Połotane żywobyci". Zwrócił uwagę na talent pisarski Anieli Kupiec. Sposób budowania napięcia, tok narracji jej opowiadań, cała ta płaszczyzna formalna, układająca się w zgrabną całość, świadczy o dojrzałości pisarskiej autorki, która przecież po ukończeniu szkoły podstawowej uczyła się jedynie w Szkole Gospodyń Wiejskich w Końskiej. Na sukces składa się jednak nie tylko forma, ale przede wszystkim treść. A treścią opowiadań są zdarzenia autentyczne, przeżyte przez autorkę, bohaterami ludzie, wśród których żyła, z którymi spotykała się na co dzień. Ich losy udało jej się w sposób interesujący i zrozumiały przełać na papier i utrwalić w ten sposób kawałek historii wsi podbeskidzkiej, jej zwyczajów, jej charakterów, wartości przez nią uznawanych. Ciekawy i oryginalny jest język opowiadań, który stanowi kolejny kronikarski zapis

w dziejach ludu śląskiego. Aniela Kupiec pisze bowiem gwarą, językiem używanym przez miejscową ludność.

Książka wydana została przez Kongres Polaków w RC. Zawiera czternaście opowiadań gwarowych, drukowanych wcześniej na łamach „Zwrotu". Piękna okładka, będąca reprodukcją obrazu Tadeusza Wratnego, ciekawe teksty i niezbyt wygórowana cena zachęcają do sięgnięcia po tę publikację, którą na pewno trzeba mieć w swojej biblioteczce. Jej wartość określił Daniel Kadłubiec, mówiąc, że teksty w niej zawarte mogłyby znaleźć się w każdej antologii twórczości ludowej.

C.R.

KONCERT ODPUSTOWY W STONAWIE

Szeroko znany jest w naszym regionie tradycyjny odpust stonawski z okazji św. Marii Magdaleny, patronki miejscowego kościoła rzymskokatolickiego. Jest to pamiątka poświęcenia kościoła, zbudowanego w latach 1906–1910. Inicjatorem budowy tego przybytku Bożego był zasłużony miejscowy ksiądz proboszcz, gorący polski patriota, duszpasterz Franciszek Krzystek.

Za całokształt swych kapłańskich poczynań zostaje w roku 1931 mianowany dziekanem karwińskiego dekanatu. Jego szczególna zasługa to zapewnienie godziwego pochówku polskich legionistów, poległych w nierównej walce, w dniu 24.1.1919 roku w Stonawie. Dzięki niemu został dokonany zapis w metryce parafialnej, a bezimienni dotąd bohaterowie otrzymali własne nazwiska. Dopiero po latach społeczeństwo stonawskie zbuduje im znaczący pomnik z napisem:

„Przechodniu, powiedz Polsce, tu leżą jej syny,
prawom jej posłuszni do ostatniej godziny!"

Wspaniałym urozmaiceniem stonawskiego odpustu od kilku lat stają się koncerty odpustowe w gustownie wyremontowanym kościele.

Stonawa zawsze, na przestrzeni lat, była wylęgarnią talentów artystycznych, zarówno na deskach scenicznych, jak i w świecie muzyki. Tu zrodził się i działał świetny chór „Halka", którego solistką była znana w re-

gionie Jadzia Kałuża-Niemiec. Stąd pochodzi niezwykle utalentowany dyrygent i społecznik - Józef Firla. Zaś największe sukcesy osiągnął Klemens Słowioczek, rewelacyjny śpiewak operowy, który jest znany w szerokim świecie muzycznym.

Również w tym roku na koncercie odpustowym zebrała się cała plejada świetnych artystów naszego regionu: Klemens Słowioczek - basbaryton, Martina Monczkowa - sopran, po raz pierwszy jako świetny tenor wystąpił Oto Żabka z Kostkowa, między innymi autor pieśni śląskich wykonywanych nie tylko przez zaolziańskie chóry. Na nowo odremontowanych organach cudownie zagrała znana organistka Marta Wierzgoń. Konferansjerkę prowadziła dyrektor szkoły Apolonia Mrózek. Całość koncertu stanowiła niepowtarzalną ucztę duchową! Mile wzruszony był i bogobojny miejscowy duszpasterz ksiądz proboszcz Stanisław Jochymek. Gromkimi brawami oklaskiwano tak wspaniale wykonany program muzyczny. Stąd, z przyjemnością, artyści musieli „bisować".

Już dziś można z niecierpliwością oczekiwać przyszłorocznego koncertu odpustowego. Swe ponowne przybycie zapowiedział Klemens Słowioczek, tym razem w asyście swojej żony, również świetnej śpiewaczki.

JÓZEF KULA

POLACY POZA KRAJEM

U RODAKÓW NA ŁOTWIE

Nasi rodacy na Łotwie mocno trzymają się swoich polskich korzeni. Zdają sobie sprawę z ważności utrzymywania więzi z Macierzą, albowiem również dzięki temu zachowują swoją tożsamość. Wyraźnie widać to w południowo-wschodniej części Łotwy, która nosi nazwę Łatgalia. Są to południowe regiony Inflant, o których tak często jest mowa w historii Polski.

Ośrodkiem centralnym Polaków w Łatgalii jest miasto Daugavpile, znane u nas także pod nazwą Dyneburg, a jeszcze wcześniej używano nazwy Dźwińsk, jako że miasto leży nad rzeką Dźwiną

(Daugava). Region Łatgalii związany jest także z dziejami polskiego oręża, ponieważ w latach 1919–1920 działało w tych stronach wojsko polskie pod wodzą Rydza-Śmigłego, stawiając czoła armii bolszewików i broniąc w ten sposób niepodległości Łotwy. Polacy w rejonie Łatgalii przeszli gehennę w latach okupacji sowieckiej 1940–1990 i w tym okresie wielu bardziej czynnych Polaków albo zostało zesłanych na Sybir, albo zginęło.

W obecnej sytuacji, po ogłoszeniu suwerenności Łotwy w roku 1990, odradza się coraz bardziej intensywnie życie Polaków w tych stronach.

Bardzo żywotnie rozwija się Związek Polaków „Promień" w Dyneburgu, Rezekne, Krasławiu, Jekabpile. Po całkowitym odzyskaniu na powrót swojej siedziby przy ulicy Warszawskiej 30 w Dyneburgu rozwija swoją działalność związkową w wielu formach, kładąc szczególny nacisk na funkcjonowanie bilioteki. Przed budynkiem „Promienia" na wielkim głazie umieszczono tablicę z nazwiskami Polaków, którzy zginęli podczas okupacji sowieckiej.

Dalszym przejawem trzymania się swoich polskich korzeni są czynne polskie szkoły zarówno całotygodniowe jak też i szkoły sobotnio-niedzielne. Całotygodniowe szkoły polskie działają w Dyneburgu, Rezekne, Krasławiu, Jekabpile. (Dalsze szkoły funkcjonują w Rydze i Jełgavie). Sobotnio-niedzielne szkoły gromadzą dzieci, które normalnie uczęszczają do szkół łotewskich, a w wolne dni dodatkowo idą do szkoły na naukę języka polskiego, historii i geografii Polski. Obok polskich szkół całotygodniowych czynne są polskie przedszkola w Dyneburgu, Rezekne i w Krasławiu. Część nauczycieli w tych szkołach przyjechała do pracy z Polski, skierowana przez Ministerstwo Edukacji Narodowej.

Festiwal Kultury Polskiej w roku 1996 był już piątym z kolei. Festiwal, corocznie organizowany w Dyneburgu wspólnie przez Związek Polaków „Promień" i Polską Szkołę w Dyneburgu, odbywa się w ostatnią niedzielę kwietnia. Początkowo był to Festiwal Kultury Polskiej w Łatgalii, a od roku 1995 Festiwal Kultury Polskiej na Łotwie. W pierwszych latach w Festiwalu uczestniczyła młodzież szkolna w konkurencjach: recytacje, śpiew, tańce, konkursy plastyczne. Od roku 1995 w Festiwalu uczestniczą również zespoły śpiewacze dorosłych. W roku 1996 rozdanie dyplomów odbywało się w sobotę 27 kwietnia na centralnym placu Dyneburga. Jednym z zasadniczych celów Festiwalu jest ułatwienie możliwości wzajemnego spotkania i poznawania, a także wspólne przeżywanie narodowych wartości kulturowych w większej gromadzie i umacnianie świadomości, że Polacy na Łotwie istnieją. Oprócz miejscowej młodzieży i dorosłych z rejonu Łatgalii uczestniczą w Festiwalu również przedstawiciele władz łotewskich i Ambasady

Polskiej oraz zaproszeni goście. W niedzielę po południu odbywa się koncert galowy wyróżnionych zespołów, w którym uczestniczy oprócz gości i władz około 800 osób. Od pierwszego Festiwalu 1992 Honorowym Prezesem jest ks. prał. Jerzy Pawlik.

Prasa w języku polskim jest elementem wiążącym poszczególne środowiska polskie na terenie Łotwy. Wymienić tu można „Kurier Promienia", „Polak na Łotwie", „Czas Łatgalii". Czasopisma przynoszą obok artykułów informacyjnych również opracowania historyczne. W ten sposób najmłodsze pokolenia Polaków poznają swoje korzenie i ślady swojej obecności na terenach Łotwy. Dzięki tym czasopismom miejscowi Polacy mogą również próbować swojego pióra i doskonalić swoje umiejętności pisarskie.

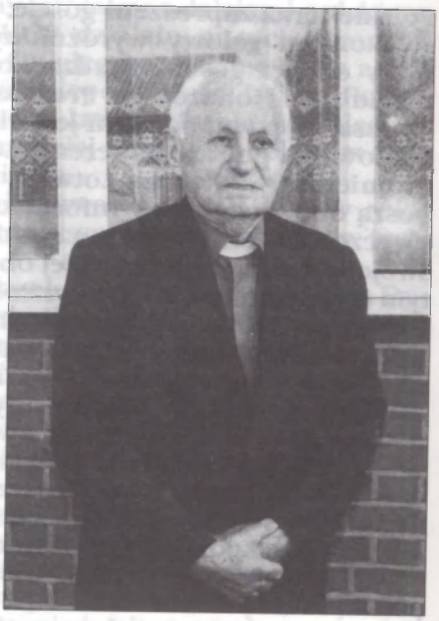
Bardzo skutecznym odnawianiem polskich korzeni są wyjazdy młodych Polaków do Polski na tzw. warsztaty językowe. Nie chodzi tylko o tzw. kolonie czy wczasy, gdzie grupy przebywają w ośrodkach wczasowych w swoich grupach, lecz raczej o możliwości zamieszkania w rodzinach dla całodziennego ćwiczenia się w języku polskim, a także uczestnictwo w lekcjach miejscowych szkół w Polsce, zawieranie znajomości i wymiana adresów do wzajemnej korespondencji. Czasem bywa i tak, jak np. w Śremie (Wielkopolska), gdzie Rada Miejska oficjalnie objęła patronat nad polską szkołą na Łotwie.

Pomniki polskich żołnierzy, którzy polegli w walkach w latach 1919–1920, zostały w wielu miejscowościach zbudowane w okresie 1922–1939. Podczas sowieckiej okupacji pomniki zostały zniszczone, a cmentarze, jak np. w Dyneburgu, zamienione na miejskie wysypisko śmieci. Po ogłoszeniu suwerenności przez Łotwę w roku 1991 władze łotewskie zachęciły Polaków do odbudowy tych pomników, dając równocześnie pomoc materialną oraz udostępniając odpowiedni sprzęt budowlany. W ostatnich latach odbudowano pomniki polskich żołnierzy w Dyneburgu, Ławkiesach oraz w Wyszkach. W uroczysty sposób zostały one poświęcone z udziałem władz łotewskich i polskich.

Warto na końcu wspomnieć, że na szczególną uwagę zasługują polscy kapłani, pracujący z wielkim zaangażowaniem i poświęceniem na Łotwie. W Krasławiu dziekanem jest ks. Józef Łapkowski, niezwykle zasłużony wieloletni opiekun i duszpasterz Polaków na Łotwie (odznaczony Krzyżem Komandorskim OOP), w Rydze ks. proboszcz Edward Pawłowski, rektor kościoła NMP Bolesnej na Starym Mieście.

JAN GÓRECKI

DWUKROTNIE SKAZANY NA ŚMIERĆ



Ksiądz senior Eryk Cimała, duszpasterz parafii ewangelickiej w angielskim Cambridge, urodził się 7 marca 1906 roku w Szumbarku. Tam też uczęszczał do szkoły ludowej. Najpierw do starej szkoły, później do tak zwanej szkoły nowej. Pierwszym jego nauczycielem był kierownik Błachut. Drugim zaś Chmiel. I właśnie nauczyciel Chmiel namówił rodziców małego Eryka, żeby wysłali go do gimnazjum.

Nie wiem, co go do tego skłoniło, nie byłem przecież wyjątkowym uczniem... Ale do gimnazjum trzeba było jeździć do Cieszyna, a rodziców nie bardzo było stać na opłacanie pociągu. Nie byliśmy majętni. Ojciec był górnikiem, a dzieci było sześcioro. Rodzicom nie było łatwo podjąć decyzję o wysłaniu mnie do szkoły. W końcu jednak zgodzili się i zostałem uczniem Gimnazjum im. Osuchowskiego.

Przez pierwsze cztery lata gimnazjalista Eryk Cimała codziennie dojeżdżał. Później zamieszkał w bursie, której kierownikiem był prof. Bocek. Gimnazjum ukończył w 1926 roku.

Po maturze chciałem pójść na medycynę. Siostra i ciocia były pielęgniarkami, więc skłoniły mnie, abym się wybrał na medycynę. Po uzyskaniu dyplomu mieliśmy założyć wspólny ośrodek medyczny. Pomysł ten spodobał mi się. Ale ksiądz Stonawski, który był katechetą w gimnazjum, przekonał mnie: „Ty, Cimała, pójdziesz na księdza!" To był nadzwyczajny katecheta... Po maturze udałem się do Krakowa, żeby zapisać się na medycynę. W Cieszynie spotkałem kolegę klasowego Kubaczka. Był synem księdza i również postanowił zostać księdzem. Mówię mu, że jadę zapisać się na medycynę. A ten, jak mnie nie zacznie namawiać na teologię... I potrafił mnie namówić. Pojechałem z nim do Warszawy.

Jak wróciłem z Warszawy, a nie z Krakowa, to trochę rozczaro-

wałem siostrę. Na pierwszym roku odwiedził nas ks. biskup Bursche. Badał nas, jak dalece jesteśmy uzdolnieni i czy nasze przekonania religijne uprawniają nas do tego, żeby zostać teologami. I niewiele brakowało, aby udało mu się mnie nakłonić do rezygnacji z teologii. Przedstawił nam warunki i argumenty, które świadczyły o tym, że praca księdza jest istotnie bardzo niełatwa. Niektórzy koledzy zrezygnowali. Ale ja jednak wytrzymałem. Zanim zdążyłem zdać ostatni egzamin, a było to w roku 1930, katecheta ks. Trombik namówił mnie i kolegę Pawlasa ze Suchej, abyśmy poszli na Mazury, gdyż Mazury potrzebują duchownych, by polskość tam obudzić.

Mieli się udać na studia do Koenigsbergu (Królewca) i tam w porozumieniu z konsulatem polskim jako studenci jeździć po Mazurach i prowadzić działalność antygermanizacyjną.

Dostaliśmy się na ten uniwersytet tylko dzięki temu, że byliśmy obywatelami czeskimi. Bo dla obywateli polskich był on zamknięty. Widać dość śmiało sobie poczynaliśmy, bo nas nakryto i studenci zorganizowali strajk, żądając wydalenia z ich uczelni dwóch Polaków. Rektor wystąpił w naszej obronie i przekonał ich, że jesteśmy obywatelami czeskimi i jako tacy możemy skończyć studia, lecz bez prawa zdawania egzaminów. Ale Mazury poznaliśmy dosyć dobrze. Bywaliśmy u Michała Kajki, cieśli i stolarza, działacza społecznego i poety ludowego, który zasłynął z walki o polskość Mazur. Pragnąc rozbudzić polskość wśród mazurskich ewangelików, przyczyniliśmy się do założenia pierwszej polskiej szkoły. Niestety, nie miała ona długiego trwania, bo nauczyciela, który przyjechał tam na posadę, zamordowano. Zatkano mu komin, na skutek czego udusił się dymem uchodzącym z pieca.

Wróciliśmy więc do Warszawy. Skończyliśmy Uniwersytet Warszawski i otrzymali dyplomy. Niemniej stale myśleliśmy o powrocie na Mazury. Jakoś pokochałem ten region. Jednakże trzeby było znać dobrze język niemiecki. Zdecydowałem się więc podciągnąć się w nim i zapisałem się na jeden semestr do Berlina. Ale jak wróciłem, okazało się, że na Mazurach już dla nas nie ma miejsca. Hitleryzm już się tam zakorzenił, że absolutnie było to niemożliwe. Kiedy pojechaliśmy z ks. Trombikiem do Szczytna, to nas tam napadnięto i pobito. Najwięcej ucierpiał kolega Ożana. Później zginął z rąk hitlerowców... Wróciłem w rodzinne strony, bo byłem taki zwariowany Zaolziak. Niestety, chcąc pracować na Zaolziu, potrzebowałem nostryfikacji mojej matury i zdania egzaminu na jakimś czeskim uniwersytecie. Poszedłem więc do Pragi. Po roku studiów mogłem objąć parafię. Ale że na Zaolziu były wszystkie zajęte, zostałem katechetą. Uczy-

łem religii w różnych szkołach zaolziańskich... W roku 1938 władze kościelne skierowały mnie do Bogumina. Na miejsce ks. Badury, który okazał się proniemiecki. Nie przyszło mi tam być długo. Do września 1939, kiedy trzeby było stamtąd uciekać. Doniesiono mi bowiem, że będę jednym z pierwszych, których Niemcy wykończą. Nawet niektórzy parafianie pochodzenia niemieckiego radzili mi uciekać. Posłuchałem tych ostrzeżeń. Ciekawa rzecz, Niemcy, choć przekroczyli granicę Polski, okupację Bogumina pozostawili na później, idąc najpierw przez Dziedzice na Kraków. Pomimo to bogumińscy Niemcy zgromadzili się już rano 1 września na rynku, aby witać hitlerowskie wojsko.

Uciekaliśmy we dwójkę z kolegą Adolfem Zmełtym z Zabłocia. Ledwo przeszliśmy przez most na Odrze, a żołnierze polscy wysadzili go w powietrze. Piechotą dotarliśmy do Krakowa. Tam podjęliśmy decyzję: jako polscy patrioci będziemy walczyć z Niemcami. I zaciągnęliśmy się do wojska. Ktoś zaproponował, że stworzymy oddział zaolziański. Ale tam panował już taki bałagan, bo Niemcy parli na Kraków, że nic z tego nie wyszło. Dali nam mundury szeregowych i trzeba było uciekać dalej. To był jeden z najbardziej przykrych, najtragiczniejszych okresów mojego młodego życia.

W drodze na wschód od czasu do czasu uczestniczyli w mniejszych potyczkach. W Lublinie przeżyli bombardowanie koszar. *Wyszliśmy z niego cało, ale wojsko rozproszyło się. Zabrakło organizacji. Po bombardowaniu zajrzeliśmy z kolegą Zmełtym do kościoła ewangelickiego w Lublinie. Spotkaliśmy tam ks. biskupa Bursche i kapelana Bilińskiego. To był kolega z ławy uniwersyteckiej. Bp Bursche miał mnie z początkiem października instalować na posadzie księdza zboru w Boguminie. W Lublinie postanowił wrócić do Warszawy, ja z kolegą zaś kontynuowaliśmy marsz na wschód. Pozostaliśmy sami, bo w międzyczasie nasz oddział ruszył bez nas. Niebawem zaskoczyło nas kolejne bombardowanie niemieckie. Ukryliśmy się w pobliżu jakiejś wioski. Tam nas nakryto i uznano za niemieckich zrzutków. Nie pomogło nic. Ani mundury polskie, ani to, że mówimy po polsku. Zaprowadzono nas na policję w Hrubieszowie. Policja nas wylegitymowała i jak stwierdziła, że jesteśmy katechetami ewangelickimi, nie miała żadnych wątpliwości: „Jesteście Niemcami. A skoro jesteście niemieckimi zrzutkami, skazujemy was na śmierć przez roztrzelanie!"*

Kiedy przyszli po nas do celi, stanowczo zażądałem oddania nas pod sąd wojskowy. Niech on orzeknie, czy faktycznie jesteśmy zrzutkami niemieckimi. Policja nie ma do nas prawa. I na szczęście dał się ten policjant przekonać. Odprowadzili nas więc do koszar. Tam najpierw nakar-

miono nas śledziami a potem w nocy co godzinę budzono nas i przesłuchiwano. Ale myśmy zawsze mówili to samo. Ostatecznie oficer śledczy doszedł do wniosku, że zaszła pomyłka, że nie jesteśmy zrzutkami. I wypuszczono nas.

Dołączyli do innych oddziałów i szli dalej. W Zdołgunowie zaskoczyła ich rosyjska inwazja na Polskę. Był dzień 17 września 1939. *Pamiętam, że generał zebrał nas w koszarach i powiedział, że od wschodu wkraczają Rosjanie. Nas już rzekomo nie stać na prowadzenie wojny i dlatego zostajemy zwolnieni, i niech każdy odtąd działa na własną rękę. Większość rzuciła się na magazyny w koszarach, zabierając ubrania i broń. Zmełty i ja zamierzaliśmy dołączyć do jakiegoś oddziału. Na stacji natknęliśmy się na pociąg, który jechał do Rumunii. Podróżowali nim przede wszystkim urzędnicy państwowi z rodzinami. Niestety nas do niego nie wpuszczono. Zamiast tego kazano nam trzymać wartę, żeby nikt tam nie wchodził. Wkrótce potem spotkaliśmy kapelana Paschke. Zbierał błąkających się żołnierzy: „Warszawa się broni. Idziemy pomóc Warszawie!" Broni mieliśmy pod dostatkiem. Dysponowaliśmy także bronią ciężką, karabinami maszynowymi. Mieliśmy konie. Powstał dość liczny oddział. Do 300 żołnierzy. Po dwóch dniach wyruszyliśmy w kierunku Warszawy. Niestety trzeba nam było iść przez okolice zamieszkane przez Ukraińców. A ci wiedząc, że Rosjanie idą ze wschodu, zorganizowali bojówki przeciwko Polakom. Kiedy wkroczyliśmy na ich tereny, zaczęli nas ostrzeliwać z licznych zasadzek. Staraliśmy się więc iść niepostrzeżenie leśnymi drogami. Domy we wszystkich napotykanych wioskach zastaliśmy zamknięte. Nie można było ani wody, ani kawałka chleba dostać. Dopiero po dwóch dniach marszu weszliśmy do wioski, gdzie nas poczęstowano chlebem i wodą. Było to pod wieczór, byliśmy bardzo zmęczeni. Większość odłożyła broń i usiadła, żeby zjeść i odpocząć. Wkrótce zjawili się jacyś cywile. Byli to Ukraińcy. Rozmawiali z miejscowymi. Za chwilę zniknęli. Po nich wioskę opuścili i jej mieszkańcy. Zostaliśmy sami w środku wioski, koło kamiennego krzyża. Siedziałem na cokole tego krzyża, kiedy ze wszystkich stron posypał się na nas grad kul. Szczególnie obezwładniający ogień wychodził spoza ogrodzenia cerkiewki. Zanim zdążyliśmy dobiec do koni i zgrupować się, napastnicy dokonali spustoszenia w naszych szeregach. Żołnierze, którzy pozostali przy życiu, złożyli broń i poddali się tym bandytom. Ci ustawili nas w szeregi i zaczęli nas sądzić. Oskarżyli nas o rzekomy mord na cywilnej ludności. Z mundurów naszych dowódców zaczęli zdzierać szlify oficerskie. Stałem w drugim szeregu za księdzem Paschke. On*

nie pozwolił zerwać czegokolwiek ze swego munduru. Później zapytali każdego z nas o wyznanie i odprowadzili pod las. Tam nas ustawili nad rowem i pluton egzekucyjny miał nas rozstrzelać. Broń już była wycelowana w nasze piersi. Nie zapomnę twarzy tego młokosa, który mierzył we mnie. Strasznie dużo było płaczu, próśb o łaskę. Ale tamci w ogóle nie przejmowali się tym. Czekając na strzał, usłyszeliśmy warkot motoru. Nadjeżdżał jakiś samochód. Zjawił się zbłąkany patrol rosyjski. Jego dowódca przerwał egzekucję: „To nasi jeńcy! Odprowadzić ich do Sokala!" Trzymano nas w tamtejszej szkole. Rosjanie byli do nas nastawieni dosyć możliwie. Ale jeść nie dawali. Sami mało mieli jedzenia. Pewnego razu, jakby chcieli nam dać do zrozumienia, że możemy zbiec, i wypuścili nas na miasto. Ponoć po to, abyśmy sobie kupili kawałek chleba. Niestety nic już wtedy nie mogliśmy sobie kupić. Zresztą grasowały tam też ukraińskie bojówki, które szukały zaczepki z nami. Wróciliśmy czym prędzej do szkoły. Tam spędziliśmy dwa tygodnie, po czym wpakowano nas do pociągu i wieziono do Rosji. Przed starą granicą polsko-rosyjską pociąg zatrzymał się. Wcześniej z kolegą porozumieliśmy się, że lepiej będzie uciec z tego pociągu. Naszemu wartownikowi spodobał się zegarek ks. Zmełtego. My do niego: „Wypuść nas na chwilę". On na to, że nie może. Zgodził się dopiero, kiedy kolega Zmełty zdecydował się oddać mu swój zegarek. „Ale zaraz wróćcie!" Myśmy już jednak nie wrócili.

Skombinowali sobie cywilne ubrania i trochę błąkali się po lasach, szukając drogi powrotnej na zachód. Mieli szczęście. W kierunku dzisiejszej wschodniej granicy Polski szli tzw. „Holendrzy" czyli ludność niemiecka, która zamieszkiwała na terenie Rosji. Dołączyli do tych ludzi i wraz z nimi dotarli do Jarosławia. *Pierwsze nasze kroki prowadziły do tamtejszej parafii ewangelickiej. Gospodarzem już tam był Niemiec. Nie chciał nas znać i radził uciekać, bo Niemcy nas zamkną. Posłuchaliśmy go i wróciliśmy na Śląsk.*

Jak tylko Niemcy ich nakryli, wzięli ich „pod opiekę". Niestety ks. Zmełtego wywieziono do obozu koncentracyjnego. Taki sam los miał spotkać ks. Cimałę, o czym dowiedział się od znajomej w błędowickim „amcie". *Powiedziała mi, że przed obozem może mnie uratować tylko Volkslista. Zgodziłem się na jej przyjęcie. Volkslistę nr 3 otrzymałem w roku 1943. I niebawem wzięli mnie do wojska. Po odbyciu ćwiczeń dostałem się do Francji, gdzie byłem w obronie wybrzeża Morza Śródziemnego. W trakcie lądowania Amerykanów w Nicei próbowałem zbiec do nich, ale mi się nie udało. Nas z Volkslistami specjalnie pilnowali. Nie mieli do nas zaufania. Dopiero we Włoszech mi się poszczęściło i czmychnąłem do partyzantów. Od nich zaś było już*

blisko do amerykańskiego wojska, a później do polskiego. Wśród swoich znalazłem się pod koniec 1944 roku. Wtedy był tam kapelanem śp. ks. Władysław Fierla. Ja zostałem kapelanem III Dywizji Karpackiej. Do cywila przeszedłem w roku 1948.

Co zadecydowało o tym, że ks. Eryk Cimała pozostał w Cambridge? Po prostu nie chciał opuścić Polaków ewangelików, których sporo osiedliło się w tych okolicach. *Owszem, bardzo mnie ciągnęło na Zaolzie, ale nie miałem sumienia porzucić kolegów. Już we Włoszech zorganizowałem parafię, trzeba więc było kontynuować rozpoczętą pracę. To byli sami mężczyźni. Pożenili się niestety z Angielkami i Włoszkami. Tylko nieliczni ściągnęli polskie żony z Zaolzia i Niemiec, dokąd powojenna Polska wyrzuciła kobiety, które przyjęły Volkslistę. Czy udało im się spolonizować swoje żony? Udało im się to z Włoszkami. Z Angielkami nie. Wiadomo, były u siebie. Mam znajomą Włoszkę, która została Polką w Anglii. Przeszła nawet na ewangelicyzm, gdyż mąż tego zażądał. Jak się zapoznała z naszą wiarą, zgodziła się bez wahania. Nawet kiedy przyjechała do Anglii na stałe jej rodzina, nie wróciła do katolicyzmu. Została przy mężu. Włoszki są wiernymi żonami.*

Parafia w Cambridge nie jest jedyną parafią ewangelicką w Wielkiej Brytanii. Jest ich sporo. Wszystkie utrzymują ze sobą żywe kontakty. Przeszło 2 tysiące ewangelików jest jeszcze wśród 200 tysięcy brytyjskich Polaków. *Kiedy zakładaliśmy parafię w Cambridge, było nas około setki, natomiast Polaków katolików ponad tysiąc. Czy istniały między nami kiedykolwiek animozje na tle religijnym? Zależne to było zawsze od katolickiego księdza. W Cambridge jestem od 1947 roku. W tym też roku zacząłem odprawiać nabożeństwa. Kiedy zostałem przedstawiony kapelanowi katolickiemu Cieńskiemu, który był w randze pułkownika, przebadał mnie, jakim jestem Polakiem. Wiedział bowiem, że z armii niemieckiej przyszedłem. Kiedy powiedziałem mu, że jestem z Zaolzia, niczego więcej nie musiałem już tłumaczyć. Złapał mnie w ramiona, uściskał i ucałował: „Wiem, że jesteś Polakiem!" Odtąd zostaliśmy przyjaciółmi. Ale byli i księża, którzy byli tacy, powiedziałbym, średniowieczni. I raczej trudno było z nimi współpracować... Przyjechawszy do Cambridge założyłem polską szkołę. Uczyłem dzieci polskiego i religii. Były to dzieci żołnierzy polskich, którzy przybyli tu wraz z żonami. Wkrótce powstała Polska Macierz Szkolna, mnie zaś wybrano do jej zarządu. Tymczasem ówczesny ksiądz katolicki zaprotestował: „My w zarządzie Macierzy innowiercy nie chcemy!" Katolicy sobie również założyli polską szkołę, ale Macierz miała być wspólna dla obu szkół. Musiałem więc opuścić ten zarząd.*

Później przychodzili inni księża. Dość powiedzieć, że teraz w parafii katolickiej jest już siódmy ksiądz... Był tu między innymi ksiądz z Białegostoku Jacek Trochim. Byliśmy najlepszymi kolegami. Współpracowaliśmy. Ekumenizm rozwijaliśmy w praktyce. Ja miałem w jego kościele nabożeństwo, on miał w naszym kościele. Po jakimś czasie przenieśli go, bo za bardzo kumał się z nami. W końcu przyjęto mnie ponownie do zarządu Macierzy. I nawet otrzymałem Złotą Odznakę Macierzy za pracę polonijną, za utrzymywanie polskości wśród dzieci. Żaden z księży w Cambridge poza mną jej nie dostał. Mogłem się zrazić. Ale moim zadaniem jest przecież miłować bliźniego. Obojętnie jakiego nie byłby wyznania. Dzięki temu pozyskałem sobie Polonię katolicką.

Około trzystu Polaków żyje dziś w Cambridge. Spotykają się w kościołach. Istnieje tu i tętni życiem Dom Polski.

Należę do koła seniorów, emerytów. Zbieramy się również w Domu Polskim. Ponad 40 osób przychodzi na nasze spotkania. Panuje tam przyjemna atmosfera. W zeszłym roku na moje 90. urodziny parafianie urządzili mi uroczystość. Osobne przyjęcie z tej okazji wydało również środowisko świeckie.

Jak się urządzili Polacy na tym terenie? Początki były trudne. Jak to na emigracji. Nie znało się języka. Brakowało środków do życia. Każdy się więc starał, jak mógł i obojętnie gdzie, zdobyć pracę i dach nad głową. Tutaj jest rolnicza okolica, zaczynali zatem głównie na farmach. Lubiano tam Polaków. A jak zaoszczędzili trochę pieniędzy, starali się mieszkanie czy dom kupić. Opanowawszy język, zaczęli szukać lepszej pracy. Przenosili się do fabryk, gdzie mogli więcej zarobić... Gorzej z młodzieżą. Tutaj nie daliśmy rady. Nie udało nam się przeszkodzić w asymilacji młodego pokolenia. Były sobotnie szkoły i nadal są. Ale wiele rodziców było tak zapracowanych, że dali sobie spokój z posyłaniem dzieci do polskiej szkoły. Bardzo dużo dzieci uległo asymilacji. Zaczęły unikać języka polskiego. Pomimo to na razie Polonia się jeszcze trzyma. Ale boli, że i tutaj sprawdza się słynne: gdzie dwóch Polaków, tam trzy partie. Trudno o jedność wśród Polonii. Młodzi księża przychodzą i nie potrafią wczuć się w nasze położenie, zrozumieć tego, co myśmy przeżywali. Starają się narzucać tutejszej społeczności swoje zasady. Inaczej mówiąc, uważają, że księdza należy słuchać bezkrytycznie, bo co ksiądz powie, to święte. A tymczasem ludzie już myślą inaczej...

Ksiądz senior Eryk Cimała odwiedził swoje ukochane Zaolzie w 1994 roku. Zatrzymał się w Zabłociu u brata i pozostałych krewnych. Pomodlił się też nad grobem kolegi śp. księdza Adolfa Zmełtego...

KAZIMIERZ SANTARIUS

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (9)

NA FRONCIE WŁOSKIM

Po kilku godzinach pobytu na Monte Santo przekonałem się, że front włoski jest o wiele okrutniejszy i groźniejszy aniżeli front wschodni.

Przybyli sanitariusze zdecydowali, że do pogrzebania czterech trupów, które nam pozostawili nasi poprzednicy, i pierwszej ofiary naszego plutonu, landszturmisty Staszka Kwoki, najlepiej nadaje się głęboka niecka skalna kilka kroków z tyłu naszego schronu. Resztki ciała Kwoki pozbierali i w kocu ułożyli na dno niecki. Świeżo ranny landszturmista też już dogorywał. Rzygał krwią, rzęził i tak się męczył, czekając na swoją kolejkę jako szósty do pochówku w przygotowanym grobie. Niedokończony medyk, który był między sanitariuszami, orzekł, że nie ma dla niego ratunku. Za jakiś czas po jego zgonie położyli go do tego wspólnego grobu.

Nad miejscem, gdzie leżał Kwoka, zatknąłem mały krzyż, który na prędko wykonałem z mojej brzozowej laski frontowej, którą sobie przyniosłem z frontu rosyjskiego. Przeciąłem laskę na dwie części, w których wystrugałem scyzorykiem potrzebne wgłębienia, ułożyłem krzyż, związałem sznurkiem i wetknąłem możliwie głęboko do żwiru i piasku, którym sanitariusze grób zasypali. Poszedłem do schronu, aby na blasze z puszki od konserwy wyryć napis dla Kwoki. Wcale dobrze mi to dzieło wyszło.

Pomodliłem się gorąco nad grobem Staszka. Polski góral śpi swój wieczny sen w obcych górach, nie pod polskimi Tatrami.

Wróciłem do schronu. Tam czekał na mnie niezły obiad a jednocześnie i kolacja, to jest gulasz z konserw z polentą kukurydzianą, chleb i kawa z rumem oraz papierosy.

Nasza kawerna doznaje nowych wstrząsów i zaczyna znowu stękać. Na naszym odcinku rozpoczął się masowy koncert, bogato iluminowany i przepyszny fajerwerk na chwałę wojujących monarchów. Grzmią ciężkie baterie włoskie, nadlatują ciężkie miny. Lehnert jest spokojny, lecz blady i zmęczony. Otrzymuje telefon, że Włosi nacierają masami na prawe skrzydło pułku. Zostali odparci z ciężkimi stratami. Należy się spodziewać lada chwila nowego natarcia na całym froncie. Już rozpoczęli natarcie na naszą średnią kompanię. Lehnert wydaje rozkaz do obsady stanowisk strzeleckich w okopach. Przy telefonie pozostawia frajtra Seidla i udaje się do okopów na swój punkt dowodzenia, to jest kilkanaście metrów na prawo od schronu, a mnie poleca pil-

nować lewego skrzydła. Wychodzę więc na wskazane miejsce. Wlokę się ociężale i z duszą na ramieniu.

Huragan ognia nasila się. Gdzie zerkniesz, wszędzie rzyga ogniem, żelazem i odłamkami otaczających nas skał. Szatan wojny rozpętał znów przed nami swoje orgie. Pociski artylerii włoskiej zbliżają się do naszego rowu. Towarzyszą im ciężkie miny. Jedna z nich wpadła na lewo ode mnie, na szczęście do głębokiej czeluści. Dwa granaty rąbnęły już gdzieś na prawym skrzydle plutonu. Już są pierwsze ofiary, gdyż na prawo od nas ktoś krzyczy. Dowiadujemy się za chwilę, że podmuch eksplodującego granatu poturbował kilku landszturmistów i skończyło się na złamaniu ręki i ogólnych kontuzjach u najbardziej poturbowanego.

– No, ten ma szczęście – myślę sobie – dla niego już się może wojna skończyła!

Lecz Włochów wcale nie widać nigdzie na naszym odcinku. Do naszego okopu to nie tak łatwo dojdą. A szkoda, bo czekam na okazję, czekam na szczęście.

Za kilka sekund nowe detonacje niedaleko mnie. Jeden z granatów eksplodował może dziesięć metrów na prawo ode mnie, lecz kilka metrów przed rowem, a drugi gdzieś na prawym skrzydle plutonu. Słyszę nowe krzyki, lecz już blisko, zaraz za poprzecznicą. Okazało się, że jednemu z landszturmistów trafił do twarzy tuman ostrego żwiru i piasku z eksplozji i zranił całą twarz i co gorsza również oczywiście oczy. Nie jest wykluczone, że będzie ślepcem. Wyglądał strasznie. Cała jego twarz była w krwi. Kapral oberwał jakimś odłamkiem w bok poniżej prawego ramienia. Odprowadzają ich do schronu. Na odmianę eksploduje ciężka mina, lecz znów na lewo ode mnie w tej przepaści. Coś kiepsko celują tam u nich, lecz się boję, że teraz mogą się poprawić.

Dotychczas jakoś się nie bałem i trochę się nawet oswoiłem z tym piekłem. Lecz teraz obleciała mnie już prawdziwa trwoga przed tą trzecią nową miną, która na pewno będzie celniejsza i trafi już gdzieś bliżej. Czekam na nią i w pierwszej chwili pomyślałem sobie: – Nie daj się zabić, bo Polska, matka, Jarka i wielkie szczęście czeka na ciebie. Przypomniała mi się matka i jej słowa przed odjazdem na front: – Uważaj synku na te miny! – Już kieruję moje pierwsze kroki do schronu i spojrzałem mimochodem na mego sąsiada w rowie. Był to mały wzrostem, niepozorny, chudziutki, stale skupiony i pogodnie uśmiechnięty landszturmista Maj od Limanowej. Uśmiecha się do mnie milcząco pogodnie, wyjmuje z kieszeni różaniec i spokojnie się modli. Podziwiam jego spokój, uśmiech i skupienie modlitewne. Zaczynam się też modlić, tak po cichu „Ojcze nasz", lecz przerwał mi frajter Seidel. Przyleciał do mnie z kawerni i wrzasnął, że dowódca plutonu Lehnert zabity. Przy nim leży dwóch rozszarpanych landszturmistów. Zabił ich

ten ostatni granat, który eksplodował w samym okopie na prawym skrzydle. Postępuję kilka kroków w stronę kawerni, aby objąć dowodzenie plutonem na wyznaczonym stanowisku, chcę minąć trawers i w tym momencie następuje piekielna detonacja i towarzyszące jej tumany dymu, piasku i pyłu, kurzu i odłamków skalnych. Czuję jakieś uderzenie w prawe udo i upadam na ziemię. Próbuję raczkować w kierunku schronu. Pomaga mi landszturmista Maj oraz frajter Seidel. Obaj znajdowali się w tyle. Okazało się, że ta trzecia mina, której się tak bałem , eksplodowała w sąsiednim stanowisku i zmiotła tam całą załogę, to jest czterech żołnierzy. Ja oberwałem w prawą nogę odłamkiem w momencie mijania przecznicy, która mnie właściwie ochroniła z wyjątkiem prawej nogi, która w chwili krytycznej znajdowała się w polu działania miny.

W schronie kładą mnie na pryczy, rozbierają spodnie i bieliznę. Widzę, że oberwałem w prawe udo kilka centrymetrów poniżej podbrzusza. Zerwało mi naskórek i kilka centymetrów tkanki mięsnej. Nogą mogę poruszać dość swobodnie, więc kość nie tknięta. Seidel obmywa mi ranę i nakłada z Majem pierwszy opatrunek, gdyż sanitariuszy nie ma.

Seidel telefonuje do dowódcy kompanii, lecz nikt się nie odzywa. A więc łączność zerwana. Liczy straty: dziewięciu zabitych, a w tym dowódca plutonu Lehnert, oraz czterech rannych, a wśród nich zastępca dowódcy plutonu, czyli ja. Co tu począć? Nie ma innej rady, tylko trzeba udać się pieszo do dowódcy kompanii i to biegiem, dopóki spokojnie.

W schronie pozostał tylko landszturmista Maj i czterech rannych. Zabici leżeli jeszcze w okopach Monte Santo – Świętej Góry. A ja puszczam cugle błogim zadumkom: dużo jednak mam szczęścia, uciekłem przed tą trzecią miną i teraz tylko trzeba wyrywać do jakiegoś szpitala jak najdalej od tego piekła. A tu nie ma sanitariuszy.

Co też się dzieje z Zadorą? Czy żyje jeszcze? Po godzinie wrócił Seidel od dowódcy kompanii, lecz bez sanitariuszy. Musimy czekać, gdyż są zatrudnieni na prawym skrzydle kompanii u Zadory. Dowiaduję się więc, że Zadora żyje.

Chociaż rana na nodze dość silnie mi dokuczała, to jednak siadam z łatwością na pryczy i proszę Maja, aby mi podał wody lub kawy. Lecz nie było niczego, a tu zasycha w gardle z pragnienia i zaczynającej się gorączki. Do schronu wchodzą telefoniści, którzy naprawili połączenie telefoniczne. Mówią po niemiecku i opowiadają, że Welschen (Włosi) nacierają gwałtownie na prawym skrzydle pułku, lecz odrzucono ich z ogromnymi stratami. Podobno czerni się tam od trupów. Wreszcie gra telefon. Dowódca kompanii poleca objąć dowodzenie plutonem najstarszemu podoficerowi. Nie wiadomo, kto z tych trzech kaprali jest

najstarszy. Dowódca kompanii awansuje więc Seidla do stopnia kaprala i rozkazuje mu objąć tę funkcję.

Nareszcie do schronu wciskają się sanitariusze. Jest ich czterech z kapralem na czele. Nosze pozostawili w tyle za schronem, w tej dolince, w której pogrzebaliśmy Kwokę i innych poległych. Sanitariusze mają mnóstwo roboty, gdyż muszą odnieść czterech rannych, a później sprzątnąć i pogrzebać dziewięciu poległych. Widzę, że jestem najlżej ranny z nas czterech, więc wstaję z pryczy i próbuję kuśtykać o kiju, aby zwolnić jedną parę noszy dla innego. Po kilku krokach upadłem jednak, więc podprowadzono mnie do schronu i ułożono na noszach. Dostałem się do ambulansu pułkowego, gdzie oczyszczono mi ranę i nałożono dokładny opatrunek. Stąd zostałem odwieziony wraz z wielu innymi do dywizyjnego szpitala polowego. Tam orzekł w czasie pierwszej wizyty lekarz, że w tkance mięsnej tkwi głęboko jeden lub kilka odłamków. Choć rana dokuczała silnie i mocno parzyły różne „lysole" w czasie jej czyszczenia, byłem w dobrym nastroju, gdyż zacząłem wierzyć w to, że moja służba w c.k. armii austrowęgierskiego monarchy się skończyła.

Szpital był przepełniony i w następnym dniu skierowano cały transport lżej rannych do szpitala położonego niedaleko Lublany. Tam próbował lekarz wygrzebać mi odłamek lancetem, lecz bolało to wściekle i zacząłem wyć z bólu i wierzgać. Po południu znalazłem się na stole operacyjnym, na którym przy zastosowaniu narkozy usunięto mi z uda odłamki. Okazało się, że były cztery, jeden długości około pięciu centymetrów, a trzy maleńkie.

Również i ten szpital pękał w szwach. Leżałem na korytarzu, gdzie stało kilka łóżek dla lżej rannych. W kilka dni po zmianie opatrunku wstałem z łóżka i poruszałem się przy pomocy laski, kuśtykając w rejonie całego szpitala. Odzyskiwałem szybko siły i zdowie, doznawając błogiego zadowolenia, że tak krótko byłem w tym piekle na Monte Santo i że tak szczęśliwie zostałem ranny. Prosiłem lekarza, aby skierował mnie do któregoś z szpitali położonych w głębi kraju, lecz po szesnastu dniach orzeczono, że mam być skierowany do pułku. W domu w Ropicy nikt nic nie wiedział o moich ostatnich perypetiach, gdyż byłem przekonany, że szczęśliwy los skieruje mnie w rodzinne strony i do nikogo nie pisałem.

Zdziesiątkowana w jedenastej bitwie nad Isonzo nasza dywizja została po kilkunastu dniach morderczych walk, w czasie których obie wojujące strony ciężko krwawiły, dreptały w miejscu i nie odnosiły żadnych sukcesów – zluzowana przez inną jednostkę. Nasza odmaszerowała na odpoczynek i uzupełnienie stanów liczebnych do obozowiska na peryferiach Lublany.

Wróciłem więc do swojej kompanii i zastałem w niej zdrowego

i całego Zadorę. Ogromnie zmizerniał, schudł, zczerniał i zmężniał w czasie tych dwudziestu dni rozłąki. W następną niedzielę udaliśmy się po obiedzie do miasta. Wstąpiliśmy do cukierenki, gdzie można było wypić czarną kawę zbożową słodzoną sacharyną i zjeść ciastko kukurydziane.

Opowiadamy sobie o naszych ostatnich przygodach i przeżyciach, dokonujemy przeglądu naszych wrażeń i kreujemy wizje naszej przyszłości.

– Jesteśmy obaj urodzeni w czepkach – rozpoczyna Zadora – mamy dotychczas wyjątkowe szczęście. Na froncie rosyjskim byliśmy przeszło cztery miesiące i widzieliśmy tam zaledwie kilka trupów, a tu za kilka dni było ich setki a raczej tysiące po stronie austrowęgierskiej, a jeszcze więcej po stronie włoskiej. To jeszcze szczęście, że nie mieliśmy do czynienia z gazami trującymi, czołgami, gdyż teren górski nie pozwala na ich zastosowanie. A co będzie dalej? Stale uczą nas w czasie ćwiczeń o nowych wynalazkach do zabijania, o nowych czołgach, nowych samolotach i gazach, o wyścigu między ulepszaniem pancerza z jednej strony, a ulepszaniem pocisku przeciwpancernego z drugiej strony. Jednym słowem technika zabijania święci stale nowe i pełne triumfy. Uczyli mnie jeszcze w gimnazjum, że współczesna kultura i cywilizacja, a zwłaszcza ich czołowe elementy, to jest najnowsze osiągnięcia techniki, to błogosławieństwo dla ludzkości. Wskazywano nam przy tym na Marconi'ego, braci Wright, Pasteura, Roentgena, Benza i innych wynalazców i na ich wynalazki. A tymczasem co tu widzimy? Obserwujemy stale narastający kryzys w stosowaniu techniki. Weźmy na przykład ten niedawno skonstruowany samochód. Już go zdążyli zamienić na wóz bojowy do zabijania ludzi! A pamiętamy przecież ten ogólny podziw, jaki przed wojną wywołały te nieliczne jeszcze samochody!

– Na przykład samoloty – wtrącam się – o których były w prasie na początku naszego stulecia takie rewelacyjne notatki! Przypominam sobie dobrze wyczyny pilota Polaka, Adolfa Warchałowskiego, który w 1910 roku wykonał pierwszy w Austrii lot z pasażerem nad lotniskiem w Wiener–Neustadt i wykonał pierwszy w Austrii aż dziesięciokilometrowy przelot samolotem. W tym samym roku trochę później ustanawia Warchałowski rekord długotrwałości lotu o dwie godziny z jakimiś tam minutami! W związku z tym uznany został za najlepszego pilota Austrii. –

– I cóż się stało z tymi najnowszymi cudami techniki – ciągnie Zadora – przetworzył je człowiek za kilka lat na mechanizmy siejące śmierć i zniszczenie. I tu tkwi sedno sprawy! Gdyż nie wszystko jedno czy ten samolot, czy też samochód będzie ludzkości służył i jej pomagał, czy też ją zabijał. Bujamy bracie obaj daleko w obłokach i tego odwiecznego kryzysu w stosowaniu techniki nie zlikwidujemy, gdyż jak

świat światem wojny będą chyba zawsze, bo człowiekowi łatwiej opanować przyrodę, wydzierać mu jej tajemnice, lecz najtrudniej mu opanować własną pychę i złość. I najzwyklejszą ludzką zawiść! –

– Nie widać jeszcze końca wojny – przerywam Zadorze – i znowu grozi nam to piekło frontowe. Łatwiej przeżyłbym to jednak w Legionach i żałuję bardzo, że nie udało mi się do nich dostać. Tym bardziej, że jeszcze jako sztubak przysięgałem, że będę walczył o wolną i niepodległą Polskę. A kiedyś zapytają mnie! Czyś dochował wierności tej przysiędze? I co będzie wówczas!? –

– Rozmawialiśmy już przecież kiedyś o tym – odpowiada Zadora – i znów radzę tobie, abyś porzucił te obawy. Przecież wiadomo, że legioniści polscy i nasza dywizja słuchają tej samej naczelnej komendy! Sędzią będzie dla nas sumienie nasze i nasze najczystsze intencje. I to nie nasz wymysł ta polityka. Więc służmy idei niepodległości w miarę naszych możliwości. Na pewno doczekamy się lepszych czasów! –

Wracaliśmy do obozowiska o zmroku, obserwując maszerujące w kierunku frontu kolumny piechoty, artylerii i taborów niemieckich.

Przybywały również w wielkich ilościach transporty wojsk austriackich. Uzupełniono wykruszone stany liczebne naszych kompanii do pełnych etatów. Przybył też nowy dowódca plutonu chorąży Teodelof. Energiczny, gorliwy służbista, o jeden rok starszy ode mnie.

Rozpoczęły się intensywne ćwiczenia, których głównymi tematami były szturmy na silnie umocnione, zaminowane i wyżej położone w poszarpanym terenie wysokogórskim pozycje nieprzyjaciela i rolowanie zdobytych okopów w terenie wysokogórskim. Doszliśmy do perfekcji w robieniu przejść w potężnych zasiekach z drutu kolczastego przy pomocy wiązek z granatów ręcznych, uczyliśmy się rozminowywania terenu i rzucania ostrych granatów do okopów nieprzyjacielskich położonych kilka a nawet kilkanaście metrów wyżej wśród stromych nieraz skał. To nic nie przeszkadzało, że niejeden z wyrzuconych granatów staczał się ze strony zbocza w kierunku ćwiczących i powodował niepotrzebne ofiary. Toteż w czasie dwóch tygodni było kilku zabitych i kilkunastu rannych. A więc zabijanie ludzi trwało również poza frontem.

W międzyczasie płynęły nowe pułki i dywizje w kierunku frontowym. Było pewne, że Austro-Niemcy przygotowują wielką ofensywę przełomową na froncie nad rzeką Isonzo. W czasie ciemnej nocy pod koniec października 1917 roku zadrżała znowu ziemia na szerokim froncie od brzegów Adriatyku aż po niebotyczne Alpy Julijskie od huku huraganowego ognia z masowych zgrupowań austro-niemieckiej artylerii i rozpętało się nowe piekło. Rozpoczęła się dwunasta bitwa nad Isonzo, czyli nad rzeką Soczą.

Nasza dywizja maszeruje w kierunku frontu. Ogień huraganowy ar-

tylerii bębni we dnie i w nocy. Wieczorem i w nocy obserwujemy z niemym podziwem iluminacje frontu. Błyski armatnie zlewają się w olbrzymi fajerwerk na cześć Molocha wojny, któremu składają możnowładcy ziemi hojne ofiary. Deszcz leje jak z cebra, gdyż jest to okres długich październikowych ulew. Nocujemy pod namiotami w lesie. Nie mogłem zasnąć, gdyż dokuczała mi trochę noga, krople deszczu tłukły się żałośnie po płachcie namiotowej, a posłaniem moim była garstka gałązek i listowia, więc ziemia była mokra. Lecz wreszcie zasnąłem.

Nad ranem budzą mnie wrzaski. Wstaję szybko i śpieszę w tym kierunku, no i trafiłem tak do naszej kuchni polowej. W jednym kotle gotuje się prawdziwy gulasz z konserw mięsnych, a w drugim kawa. Koło kuchni kręci się podoficer prowiantowy z podoficerem służbowym. Obaj „frygają" gulasz z chlebem i zapijają rumem. Oczywiście przy tej okazji nie obyło się bez poczęstunku. Dowiaduję się, że cesarz Karol II będzie przejeżdżał trasą naszego marszu i z tej okazji poprawiają nam humor gulaszem i rumem.

Przy porannej zbiórce batalionu oznajmiono nam, że front został wczoraj przełamany, a Włosi uciekają w panice i rozsypce w kierunku rzek Tagliamento i Piave. Dotychczas zabrano ich do niewoli ponad 150 tysięcy. Około godziny dziesiątej odbierze defiladę w czasie marszu dowódca dywizji, a około godziny dwunastej będzie przejeżdżać naszą drogą w otwartym samochodzie cesarz Karol II. W czasie przejazdu cesarza utworzymy na sygnał trąbki szpaler po obu stronach drogi i mamy wiwatować „hoch Kaiser".

Ruszyliśmy w dobrym humorze, gdyż śniadanie było dobre i zakrapiane rumem, armaty już ucichły, niebo było pogodne, powietrze było czyste. Wyjątkowo deszcz nie padał, a nawet przypiekało nam lekko październikowe słońce. Droga wiła się łagodną serpentyną, na której pełzał stopniowo w górę olbrzymi wąż maszerującej dywizji.

Około godziny dziesiątej odbyła się cicha defilada (Vorbeimarsch) przed dowódcą dywizji generałem Urbańskim. Stał na samochodzie usadowionym w przesiece leśnej i uśmiechał się jowialnie. To salutował lub machał rękami i krzyczał na zmianę po niemiecku i po polsku: Głowy do góry – Kopf hoch! Wielkie zwycięstwo i wojna się kończy! Grosser Sieg und bald Kriegsende! Najjaśniejszy Pan wśród nas – Seine Majestät bei uns!

c.d.n.

ALOJZY NOWOK

FEDERACJA CZY KONFEDERACJA

(2)

Gdy stanowiska obu stron zostały przedstawione, można było przystąpić do dyskusji, których celem było opracowanie wspólnego projektu związku polsko-czechosłowackiego.

Dnia 23 grudnia 1940 roku Sikorski otrzymał odpowiedź Beneša na swoje memorandum. W liście tym Beneš wyraził swą „wielką satysfakcję" z osiągnięcia porozumienia co do głównych zasad przyszłej współpracy, jak również zaproponował, by bezzwłocznie rozpoczęto prace zmierzające w kierunku realizacji tego celu. Wyznaczył do prowadzenia negocjacji ze stroną polską trzech ministrów. Byli to: minister spraw zagranicznych Jan Masaryk, podsekretarz stanu w tym ministerstwie Hubert Ripka oraz minister spraw wewnętrznych i były poseł Czechosłowacji w Polsce Juraj Slavik. Ministrowie ci mieli wejść w skład Komitetu Kierowniczego, który byłby wspólnym organem polsko-czechosłowackim.

Strona polska przygotowywała się starannie do rokowań w sprawie utworzenia unii polsko-czechosłowackiej. Specjalnie w tym celu został powołany Komitet Polityczny Rady Ministrów. Na jego czele stanął generał broni Kazimierz Sosnkowski. W skład KPRM weszli ponadto ministrowie: prof. Stanisław Stroński, August Zaleski, gen. broni Józef Haller, dr Marian Seyda, dr Henryk Strasburger i prof. Stanisław Kot. Spoza rządu został do Komitetu Politycznego powołany ambasador Edward Raczyński a następnie ksiądz Zygmunt Kaczyński. Skład KPRM został ostatecznie ustalony, gdy gen. Sikorski delegował do niego płk. Tadeusza Klimeckiego.

Pierwsze posiedzenie Komitetu Politycznego Rady Ministrów miało miejsce dnia 31 grudnia 1940 roku. Już w czasie tego inauguracyjnego posiedzenia uchwalono przedstawiony przez gen. Sosnkowskiego dokument pt. „Zadania i metody pracy Komitetu Politycznego w zakresie zagadnień polsko-czeskich". Zgodnie z tym projektem na forum Komitetu Politycznego miały zapadać rozstrzygnięcia, stanowiące podstawę do dwustronnych już polsko-czechosłowackich rokowań. W sprawach proceduralnych ustalono, że Komitet zbierać się będzie trzy razy w miesiącu. Przewidywano ponadto powołanie dwóch polsko-czechosłowackich mieszanych komitetów kierowniczych. Uchwały Komitetu Politycznego nie miały automatycznie mocy prawnej, uprzednio bowiem musiały one zostać zatwierdzone przez premiera, a następnie wniesione na posiedzenie Rady Ministrów. Prace KPRM, jak stwierdził jego przewodniczący gen. Sosnkowski, miały ustalić „w granicach realizmu politycznego" optimum polskich dezyderatów w sprawie współpracy polsko-czechosłowackiej. Komitet miał dać odpowiedź na pytania: jak daleko iść może porozumienie polsko-czeskie i jakie formy

musi przybrać oraz jakie trudności stoją na przeszkodzie do osiągnięcia pełnej kooperacji i jakie są granice dopuszczalnego kompromisu w poszczególnych zagadnieniach. Z kolei uzgodnienia ze stroną czechosłowacką miały mieć miejsce „w łonie Komitetu Kierowniczego", zwłaszcza w zakresie zagadnień ustrojowych zarówno w dziedzinie polityczno-prawnej, jak i ekonomicznej. Do czasu powołania tych komitetów rozmowy urzędowe z przedstawicielami rządu czechosłowackiego prowadzić mieli Zaleski i Raczyński. Oni też odbyli w dniu 10 stycznia 1941 roku zasadniczą w tej sprawie rozmowę z prezydentem Benešem. Wynikiem tej rozmowy było powołanie w niedługim czasie Polsko-Czechosłowackiego Komitetu Koordynacyjnego.

Rozmowy w sprawie zbliżenia polsko-czechosłowackiego, którego końcowym wynikiem miała być federacja czy konfederacja polsko-czechosłowacka, wydawały się wkroczyć na nowy etap, gdy w dniu 31 stycznia 1941 roku odbyło się w ambasadzie polskiej w Londynie pierwsze, inauguracyjne posiedzenie Komitetu Koordynacyjnego.

Był to pierwszy organ polsko-czechosłowacki, a w jego skład weszli czołowi politycy obu stron. Stronę polską reprezentowali: minister zastępca prezesa Rady Ministrów gen. Kazimierz Sosnkowski, minister spraw zagranicznych August Zaleski, minister sprawiedliwości Marian Seyda i ambasador RP w Londynie Edward Raczyński. Reprezentantami strony czechosłowackiej byli: minister spraw zagranicznych Jan Masaryk, podsekretarz stanu w tym ministerstwie Hubert Ripka, minister spraw wewnętrznych Juraj Slavik i minister stanu Ladislav Feierabend.

Na pierwszym posiedzeniu Komitetu Koordynacyjnego uzgodniono przede wszystkim sposób jego funkcjonowania, w tym działanie sekretariatu, do którego wyznaczeni zostali Władysław Kulski i Josef Hejret. Jako podstawę do dyskusji uznano memorandum prezydenta Beneša (z 1 listopada 1940 r.) i premiera gen. Sikorskiego (z 3 grudnia 1940 r.), jak również wspólną deklarację obu rządów z dnia 11 listopada 1940 r. Postanowiono, że Komitet Koordynacyjny będzie koordynował pracę mających niebawem powstać Komitetów Mieszanych. Komitety te miałyby się zająć rozpatrywaniem konkretnych zagadnień z różnych dziedzin życia politycznego i gospodarczego. Resortowość była też kluczem w trakcie ich tworzenia. Wyborem Komitetów Mieszanych zajmowano się na drugim posiedzeniu plenarnym Komitetu Koordynacyjnego, które miało miejsce dnia 12 lutego 1941 r.

Powstałe Komitety Mieszane można podzielić na dwie zasadnicze grupy. Jedną grupę tworzyły komitety, których zadaniem było zajmowanie się wszelkimi zagadnieniami związanymi z planowanym związkiem polsko-czechosłowackim. Natomiast drugą grupę komitetów tworzyły te, które miały się zająć współpracą bieżącą obu państw. Do pierwszej grupy należały komitety: prawno-polityczny, gospodarczo-finansowy, wojskowy, społeczno-polityczny i współpracy kulturalnej. W drugiej grupie znalazły się komitety: spraw zagranicznych, propagandy i wojskowy. Pełne i uzgodnione przez strony składy Komitetów Mieszanych zostały podane do publicznej wiadomości w drugiej połowie marca. Opublikowały je głównie organy prasowe obu stron, tzn. „Dziennik Polski" (22 marca

1941) i „Čechoslovák" (28 marca 1941).

Oceniając pracę Komitetów Mieszanych, należy stwierdzić, że nie spełniły one oczekiwanej roli. W czasie posiedzeń zbyt wiele miejsca poświęcono kwestiom organizacyjnym, a wzajemna wymiana poglądów była zbyt krótkotrwała, by mogła przynieść wspólne rozwiązania i dezyderaty w sprawie dalszej współpracy. Nieco światła na przyczyny takiego stanu rzeczy rzuca relacja ambasadora Raczyńskiego, członka dwóch Komitetów Mieszanych - spraw zagranicznych i propagandy. W swoim dzienniku z tego okresu pisze on: *„W praktyce współpraca ta kuleje. Porozumienie pozbawione jest prawdziwego zaufania i ciepła, bez których grozi mu uwiąd zamiast rozkwitu. Trudno jest bezstronnie rozdzielić odpowiedzialność za ten stan rzeczy między Czechów i nas. Z naszej strony u gen. Sosnkowskiego jest może dużo kunktatorstwa i zastrzeżeń myślowych, właściwych jego naturze, ale zrozumiałych, gdy się zważy, że nie jest premierem i że musi się liczyć ze zdaniem generała Sikorskiego i innych. Co gorsza jest tu obóz tzw. żartobliwie „Słowaków", których pociąga dziedzina politycznych rozgrywek między Czechami a Słowakami (...). W gronie tym przede wszystkim wymienić trzeba prof. Kota, bliskiego współpracownika gen. Sikorskiego, który subwencjonuje Hodżę (...), ale na obrady Komitetu Politycznego wcale nie uczęszcza. Po stronie czeskiej stoją na drodze przeciw nam tradycyjne sympatie dla Rosji „opiekunki Słowian", my zaś drażnimy ich wyrażaniem naszej sympatii dla Węgier".*

Zarysował się również brak jedności w sprawach aktualnych kierunków politycznych obu rządów, a sprawę zupełnego porozumienia utrudniał dodatkowo spór terytorialny o Zaolzie. Sprawy te stały się tematem korespondencji Sikorski-Beneš, czyli na najwyższym szczeblu polsko-czechosłowackich rokowań. Było to w pierwszych miesiącach 1941 roku, a więc w czasie powstawania Komitetów Mieszanych, co nie mogło nie mieć wpływu na ich pracę.

Z powołanych w tym okresie organów sprawnie funkcjonował tylko jeden. Był nim polski Komitet Polityczny Rady Ministrów.

Najważniejszym zadaniem, jakiego podjął się ten Komitet, było opracowanie projektu polsko-czechosłowackiego związku.

Podstawę do dyskusji nad przyszłym projektem stanowił referat ministra Mariana Seydy „O zasadach ustrojowych związku państwowego w Europie środkowo-wschodniej". Referat ten Seyda przesłał 21 stycznia 1941 r. generałowi Sikorskiemu. W kwestii podstawowej, a więc w sprawie formy przyszłego związku, pisał on: „Jeżeli Związek Państwowy w Europie Środkowej ma sprostać wyjątkowo trudnemu zadaniu wobec sąsiada zachodniego i wschodniego, ustrój jego, utrzymując charakter państwowy każdego z krajów, wchodzących w jego skład, musi je jednak wiązać ściśle".

Seyda zwracał uwagę na ważną kwestię instytucji nadrzędnej spajającej związek. Rozważając tę kwestię w ramach ustroju republikańskiego, wyróżniał trzy możliwe warianty:

1. na czele związku stoi prezydent z wyborów (duże niebezpieczeństwo wstrząsów politycznych),
2. na czele związku jako pre-

zydenci stoi w systemie rotacyjnym kolejno jedna z głów państwowych krajów związkowych - przez rok (słaba i krótkotrwała pozycja prezydenta),

3. suwerenem związku jest ciało zbiorowe (jak np. w Szwajcarii), które mogłoby się składać z prezydentów i ewentualnie jeszcze innych przedstawicieli państw związkowych wybranych przez sejmy krajowe, a do ustanowienia przewodniczącego tego ciała można zastosować system rotacyjny lub inny (przez szereg lat ciągłość władzy suwerennej, ale zbiorowy charakter może utrudniać działanie).

Natomiast zdaniem ministra Seydy *„najprostszy (...) w swej konstrukcji, największy ład konstytucyjny i spokój polityczny zabezpieczającą formą unii personalnej jest ustrój monarchiczny o zasadzie monarchii dziedzicznej"*. Podobnie myśleli ministrowie Sosnkowski, Zaleski czy Stroński. W rezultacie dialogu w sprawie instytucji łączącej związek zdecydowano się przyjąć formę pośrednią między drugim i trzecim punktem projektu Mariana Seydy. Jego projekt przyjęto też dnia 5 kwietnia na posiedzeniu Komitetu Politycznego za *„wytyczne polityki polskiej w kwestii projektu zbudowania po wojnie bloku państw w Środkowej Europie"*. Pozostałe kwestie ustrojowe nie budziły już takich kontrowersji jak sprawa wyboru między ustrojem republikańskim a monarchicznym.

Następnym zagadnieniem, będącym tematem częstych dyskusji na posiedzeniach Komitetu Politycznego, były sprawy gospodarcze. Szczególnie gorąco dyskutowany był problem unii celnej lub też inaczej granic celnych wewnątrz związku, a więc między Polską a Czechosłowacją. Większość uważała, że przynajmniej na okres przejściowy wprowadzenie ceł wewnętrznych jest koniecznością. Dużo uwagi poświęcono również bilansowi płatniczemu i wzajemnemu stosunkowi walut. Komitet rzeczoznawców, działający w ścisłej współpracy z Komitetem Politycznym, proponował utrzymanie odrębnych banków i odrębnych walut, jednak przy ich stałym kursie. Rozważano również miejsce i rolę planowania w gospodarce związku polsko-czechosłowackiego.

Ogólnie panował pogląd, że zbliżenie gospodarcze winno się dostosować do zbliżenia politycznego, a nie odwrotnie. Odmiennego zdania był tylko minister Stańczyk, który zgłosił swe votum separatum w czasie głosowania nad gotowym już projektem.

Strona polska, przygotowując swój projekt związku polsko-czechosłowackiego, poszła wobec strony czechosłowackiej na daleko idące ustępstwo, przyjmując powszechnie zasadę parytetu, dając tym jednocześnie dowód, że nie kieruje nią chęć dominacji nad czechosłowackim partnerem.

Wynikiem i zarazem największym osiągnięciem prac Komitetu Politycznego Rady Ministrów było uchwalenie na jego dwudziestym posiedzeniu w dniu 21 maja 1941 r. projektu pod tytułem „Zasady Aktu Konstytucyjnego Związku Polski i Czechosłowacji".

c.d.n.
ROMAN BARON

WŁADYSŁAW SIKORA

ZANIM MINĘ

Po czym gdybać Boże mój
wzięli drwale mi brzezinę
rosę ptak rosę spija osi rój
z ptakiem rojem siebie minę

Wczoraj będzie las na skróty
pająk w pałąk Ikaryja
targi raki Czantoryja
jako Centrum Pompidou

Śliwy śliwki do polywki
Dedalino piecze placki
w Gutach disco gorą dziywki
od Gróniczka po Malacki

W Babią Cieślar w chmurę oset
zadarł płomień nad Cieszynem
wiater przyparł spija rosę
z wiatrem zorzą ostem minę

7.8.1996

DAKTYL Z AMFIBRACHEM I TROCHEJ

Nie zrozumiałeś mnie to nie na temat
i śpiewa się w moll jak przed zachodem
Coś długo nosi się twa anatema
z tyłu idziesz czy podążasz przodem

Ani w komórce nie mogę być inny
lub sprawdzać tropy przeznaczenia
Inny chyłkiem na przełaj zatem winny
nie mogę kłaść się nawet własnym cieniem

Odkąd nadzieja coraz się zamyka
jak puste dłonie nad strumieniem piachu
piźnij w kowadło i spuść z patyka
nie daj się droczyć ze skrzypkiem na dachu

31.5.1997

ANIELA KUPIEC

ZŁY CZŁOWIEK

Był rok 1937. Kansi we świecie, w Hiszpanii, w Niymcach i gdo wiy, kany jeszcze, przewalowały sie burze. Czasy były niespokojne. Żydzi cosi szeptali cichutko i popłakowali po kątach, ludzie sie rwali o robote, a Trzyniec ciężko dyszoł jako starzik, kierego przeganiają do kopca ze zastarzaną dychą.

Kaj żeś przistanył, kany była kupka ludzi, wszędzi sie politykowało, każdy był nejmądrzejszy, jyny młodzi uśmiychali sie do świata, do siebie, do wszystkigo i do niczego. Byli przeważnie biydni, a gdo mo mało abo nic, tyn je bezmali dycki szczęśliwy. Tak było aji zy mną.

Szłach cestą z Kóńskij do Trzyńca. Kole cesty były posadzóne strómy, isto to były topole, bo to było wysoki z drobnymi listkami. Nic mnie nie naganiało, tóż idę pumału, posłóchóm, jako ty strómy grają i też se nucę pieśniczke cichutko. Po ceście mało kiery chodził, a jesi już przeszeł, to sie do mnie uśmiychnył uprzejmie i calutki świat sie mi zdoł nieprawdopodobnie piekny i wiesioły. Nic mie nie obchodziło poza pore pieknymi rzeczami – szkołą i ponad wszystko miłowanymi kwiotkami. Szak mi wtedy było siedymnoście roków, tóż czymużby świat nie był piekny i wiesioły?

Szłach wtedy do Trzyńca kupić se nici na wyszywani. Jak żech przichodziła bliżyj miasta, to już ludzi było więcej widać i był jakisi taki gwar większy, żech sie poczuła naroz jakosi nieswojo, boch była dziywczackym z goralije, a w Kóńskij toch była w szkole i nie bardzoch wierziła, że moje obleczyni, dość skrómne, nie bedą krytykować tutejsi ludzie, czegoch sie dycki nejbardżyj boła.

Dzisio by sie isto tymu powiedziało, żech miała kómpleksy. Jużech sie kapeczke pośpieszyła, byleby sie jyny ludzie na mie moc nie dziwali. Ale naprzeciw szpitola, po drugij stróńie cesty, był strasznie szumny ogród, otoczóny dość wysokim murym z okratowanymi małymi okiynkami. Ponad tym murym było widać szumne, nietutejsze strómy. Jedny kwitły, insze miały liści pisane abo kropkowane i jakisi palczaste, rozmaite. A przez wyrch muru aż na ceste przedziyrały sie i wisiały przeszumne kwiotka. Jakisi powoje i liany, co kwitły wielkucnymi żółto-biołymi zwónkami, a insze modrymi i czyrwiónymi plackowatymi koluszkami.

To, co było widać, było strasznie szumne, ale to, czego nie było

widać, co ogrodzoł przegrzeszóny mur, jakiż musiało być? Ciekawość mie rozpiyrała, bo musiało tam wszystko być jakisi insze, niż normalne.

A były też tam w tym murze dwiyrze zieleźne, jyny na wyrchu miały też taką jakąsi krate. Stowóm na palcach i chcę sie tam podziwać, alech nie dosiągła do tej kraty. Okiynko, kiere było kąszczyczek dali, było kapeczke niżyj, tóż też tam prubuję zoglądać do postrzodka, ale też nic nie widzę. Co by tu zrobić – myślę se – co by tu zrobić, aby chocioż pół okym sie podziwać na ty cuda w ogrodzie?

Naroz mi przyszło na myśl, że nejlepi by było cosi podstawić pod nogi. Oglóndóm sie i widzę dość wielki okrągławy kamyń przi samutkim murze, jyny że dali.

Dość żech sie natropiła, niż sie doł przikulać pod okiynko. Na schódkach szpitola, po przeciwnej stróonie cesty, stoł jakisi robotnik w mónterkach (wtedy sie tymu mówiło, że w modrzokach), ale mie już nic nie obchodziło, czy sie gdo dziwo, czy ni, jyny stowóm na kamyń i chcę zoglądać przez okratowane okiynko do ogrodu.

Naroz brama zaskrzipiała i odewrziły sie przi mnie dwiyrze, a w nich stanył jakisi pan i bez słowa, uprzejmym ruchym ręki zaproszo mie do postrzodka. Przez głowe mi przeleciało: „Skąd też widzioł, co jo robię? To je isto królewicz z bojki." Pamiętóm, że był w ciymnym obleczyniu i mioł czornego fuska.

Otwiyrały sie przedy mną dwiyrze do raju.

W jakimsi strasznym zaskoczeniu myśli przelatywały mi przez głowe jak błyskawice i już, już chciałach zrobić krok, że pujdę, że ta brama, kiero sie przedy mną otwiyro, to jakisi zrządzyni losu, bo uwidzę cuda w oglądanym po teraz jyny w myślach i fantazji zaczarowanym ogrodzie, aż naroz tyn cudzy człowiek, co stoł na schodach przi szpitolu, w sekundzie przeskoczył ulice, dopod mie za ręke, zaczył mie tarmosić i strasznie wrzeszczeć:

– Ty snoplu pieróński, ty kozo przegrzeszóno, ty ślimoku jedyn, jo ci tu dóm, jo ci tak zwalę zadek, że cie rodzóno matka nie pozno! I zaczył odpinać posek.

Ludzie, co szli ulicą, zaczęli postować i dziwać sie, co sie robi.

– Jak przidziesz do dómu – wrzeszczoł dali – to ci dziepro wytańcuję, uwidzisz, ty giździe jedyn niegodzóny.

Ach, dyby choć tak nie wrzeszczoł.

– A teraz marsz ku mamie, bo mie szewiecko biere!... I już mioł posek w gorści, że mie nim łotnie. – Ale brama sie z hókym zawrziła, kroki zadudniały po chodniku, a mie nogi wrosły do ziymie i było po bojce.

Niż żech sie spamiętała, niżech sie starczyła rozpłakać z gańby i upokorzynio, niż minyło to oniymiyni ze strachu i niżech starczyła wyjąkać jaki słowo, że to jakosi pomyłka, gęba tego robotnika sie wypogodziła i ciepłym głosem przemówił do mnie jak tata:

– Nie gniywej sie, dziywczątko, żech tak wypod na ciebie. Jo sie ci już chwile dziwoł, jako sie tropisz z tym kamyniym. A potym sie brama odewrziła i jo sie strasznie zlyk o ciebie, że tam pujdziesz. Co se też myślisz, lyźć tak wilkowi do samego pyska!

– Ale, dyć tam snodzi mieszko dyrektór huty w tej wili, a nie żodyn wilk – mówię mu – a jo sie chciała podziwać jyny na tyn ogród.

A ón:

– Tam nie miyszko jyny sóm dyrektór, tam też są insi ludzie. My moc razy słyszymy o tym, co sie tam robi. Tam też chodzują rozmaite smykuły, co to już mają swoją marke, a ty byś też tam chciała iść? Gdo wiy, co by tam gdo z tobą zrobił. A co, jakby cie kaj wysmyczyli i już byś nigdy dómu nie widziała, czy to wiysz? Prziznej sie, żeś chciała postąpić gupie i nierozważnie... Nó, a teraz se już idź, kaś miała zamierzóne, i nic sie nie starej, bo tyn, co cie tam chcioł puścić, se na isto myśloł, żech je twój tata, a o to sie mi rozchodziło. Tata przeca może swoje dziecko zbić aji między ludziami. – I odeszeł.

Ni mógłach sie z miejsca pognyć. Czułach do tego człowieka taki straszny żol za to, że je taki zły, że taki straszliwie zły człowiek zniszczył mi możność oglądanio siódmego dziwu świata, ogrodu, ogrodu pełnego kwiotek, nadzwyczajnych drzew, wodotrysków i gdo wiy, czego tam jeszcze. Nie szłach już kupować nici na wyszywani, alech sie wróciła do szkoły w Kónskij, a lzy calutkim chodnikym ciurkym leciały mi z oczy.

Cesta do Kónskij ciągła sie niemiłosiernie, a jak sie mie koleżanki w internacie pytały, czymu móm upłakane oczy, toch powiedziała, że sie mi straciły po chodniku piniądze i tymu płaczę, bo sie nie bedę móc teraz z rodzicami wyrachować.

Mierziało mie to wszystko dłógo, ale młodość mo swoje prawa. Jednym z nich jest to, że wszystko nieprzijymne do sie jakosi zapómnieć.

Za pore roków bajowy świat sie kajsi podzioł, ogrody zaczarowane sie zamiyniły na zwykłe, wila dyrektora je teraz zwyczajną, dość niedziwną budą, ni ma już królewicza i nie trzeba już też cupkać pieszo z Kónskij do Trzyńca.

I nie byłoby trzeba tego wszyskigo opisować, dyby nie głęboki szacunek, co sie z czasym wy mnie zrodził, szacunek do tego „złego człowieka", kiery mi wtedy taką „krziwde" wyrządził.

Kanyś też teraz je, zwykły, mądry człowieku, coś był wtedy w robotniczym obleczyniu? Czy żyjesz jeszcze? Jesi tak, to już mosz kupe roków. Czy se teraz spómnisz te gupią smarkule, coś ją wtedy uczył rozumu po swojimu? Jakiś ty mioł wielki i szlachetne serce, dy ci nie było jedno, co sie stanie z cudzym, naiwnym dziywczackym.

– Hej, cudowny „Zły Człowieku", kany są twoi naśladowcy?

AFORYZMY GUSTAWA SAJDOKA

Ludzie się starzeją i umierają, by pozwolić następnym pokoleniom zestarzeć się i umrzeć.

Kiedy grzmią armaty, nawet stonogi chodzą o kulach.

Ludzie jak iskierki odfruwają z ogniska i gasną na bożej dłoni.

Jeśli wychowanie przyszłych pokoleń powierzymy komputerom, to jeden przypadkowy wirus może unicestwić całą cywilizację.

Przegrywając z samym sobą tracimy szansę zwyciężyć nad kimkolwiek.

Cywilizacja to nie tylko wyższa forma życia, ale także wyższy stopień unicestwienia go.

W perspektywie zbiegających się szyn cichnie rezonans pustych wagonów.

Nawet filozof ma dziś dylemat, czy wybrać chusteczkę jednorazowego użytku, czy tę tradycyjną, upraną i wyprasowaną.

Nawet bank światowy nie ma tyle funduszy, by wykupić kulę ziemską i dlatego ją bez przerwy parcelujemy.

Przebiegłość przebiegłych już dobija do mety ostatniego maratonu, sztafetę przejmą czujniki laserów i komputerów.

OKRUCHY LITERACKIE

W Luhačovicach odbyła się w dniach 23 –25 czerwca Międzynarodowa Konferencja Pisarzy. Zorganizowana przez Gminę Pisarzy w Ostrawie poświęcona została zagadnieniom współpracy między literatami różnych narodów. Oprócz pisarzy ostrawskiego oddziału Oldřicha Šuleřa, Jiřího Urbanca, Wilhelma Przeczka i Jana Pyszki stronę czeską reprezentowali prezes Gminy Pisarzy Antonín Jelínek, zastępca Eva Kantůrková oraz Pavlína Kubíková, dr Cimický i red. Hulle. Z Polski przyjechał Bogusław Żurakowski i Jan Strządała. W konferencji wzięli ponadto udział przedstawiciele pisarzy słowackich, słoweńskich, serbołużyckich i rusińskich. Celem było przede wszystkim nawiązanie osobistych kontaktów między literatami oraz zastanowienie się nad sytuacją pisarza we współczesnej Europie. Podobna konferencja odbyła się przed dwoma laty w Czeskim Cieszynie i Cieszynie.

Dziewiąty numer pisma Alternativa-Nova poświęcony jest literaturze polskiej. Zamieszczone artykuły dotyczą zarówno literatury polskiej jak i zaolziańskiej. Szkice krytyczno-literackie ogłosili Wojciech Bonowicz, Edmund Rosner, Jiří Svoboda. Wiersze w czeskich przekładach opublikowali Wilhelm Przeczek, Władysław Sikora, Jacek Sikora, Renata Putzlacher, Franciszek Nastulczyk, ponadto np. Stanisław Barańczak, Ryszard Krynicki, Ewa Lipska. W piśmie znajduje się opowiadanie Wiesława Adama Bergera, szkic Kazimierza Jaworskiego, rysunki Bronisława Liberdy i Zbigniewa Kresowatego.

W Bibliotece Miejskiej w Cieszynie odbyła się promocja tomiku Wilhelma Przeczka „Małe nocne modlitwy". Spotkanie prowadził Kazimierz Kaszper, wiersze recytował Karol Suszka. Tomik ten przesłał autor również na ręce papieża Jana Pawła II. Z sekretariatu papieskiego w Watykanie otrzymał podziękowanie wraz z papieskim błogosławieństwem.

Na uniwersytecie w Ołomuńcu odbyło się spotkanie autorskie Jana Pyszki, które prowadził Franciszek Všetička. Z tej okazji wydano druk okazyjny, w którym zamieszczono kilka wierszy poety z Potoków w czeskim przekładzie Všetički.

W Walnym zebraniu Gminy Pisarzy w Pradze brali udział Lucyna Waszkowa, Jan Pyszko, Lech Przeczek, Wiesław A. Berger z ramienia ostrawskiego oddziału Gminy Pisarzy.

Na zebranie Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach wyjechała delegacja ZLPC w składzie Gustaw Sajdok, Wilhelm Przeczek i Kazimierz Kaszper. Wymieniona trójka uzupełniona przez Libora Martinka spotkała się z uczniami Gimnazjum im. A. Mickiewicza na wieczorze autorskim. Zebranie prowadził prezes Tadeusz Kijonka.

(wp)

ODSZEDŁ LESZEK BAKUŁA

W Poznaniu zmarł znany polski pisarz i poeta Leszek Bakuła. Bardzo polubił i pokochał Zaolzie. Bywał u nas stosunkowo często, czy to w komisjach konkursowych, na spotkaniach autorskich SLA, czy też wreszcie w prywatnej gościnie u niektórych naszych twórców. Poznałem go na kursach literackich dla nauczycieli w Gdyni. Potem odwiedziłem go w jego domu w Ustce, gdzie mieszkał. Był rok 1968. Z Polski przywiozłem wtedy maszynopis powieści Leszka Bakuły „Czerwony bór". Powieść została wydrukowana na łamach „Głosu Ludu" jeszcze przedtem, niż ukazała się w warszawskim wydawnictwie Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza (1974). Na łamach „Głosu Ludu" ukazała się w pięćdziesięciu odcinkach na przestrzeni 1968 r., znakomicie zilustrowana przez Tadeusza Bergera. Jako ówczesny redaktor GL miałem zaszczyt przygotować powieść do druku.

Leszek Bakuła (1930–1997) urodził się 4 grudnia w Ostrołęce, ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, zaocznie studiował filozofię. Swoje książki wydawał przede wszystkim w dwu oficynach: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza oraz Wydawnictwo Poznańskie: „Leluja" (wiersze, WP 1968), „Czerwony bór" (LSW 1971), „Wydmuchrzyca" (opowiadania, Iskry 1971), „Połów horyzontu" (wiersze, Wydawnictwo Łódzkie 1972), „Czarny bór" (powieść, LSW 1974), „Biały bór" (powieść, LSW 1977), „Kontrapunkt" (wiersze, WP 1977). W roku 1980 ukazało się w LSW wydanie trzech powieści Leszka Bakuły w jednej książce „Czerwony bór, Biały bór, Czarny bór" (427 str.) „Wizna" (powieść, WP 1981), „Wyśniło się" (opowiadanie, LSW 1988), „Rzecz polska" (wiersze, Wydawnictwo Literackie BALTIC, Słupsk 1989), „Golgota" (poemat, Słupsk 1993). Ponadto jego wiersze i opowiadania znajdują się w 15 różnych antologiach i almanachach. Poemat „Golgota" powstał pod wpływem obrazów Męki Pańskiej, które znajdują się pobernardyńskim kościele z XVII wieku w Ostrołęce.

Syn Leszka Bakuły – Bogusław (ur. 1954 r.) jest profesorem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, był asystentem prof. Edwarda Balcerzana. Bogusław Bakuła jest także krytykiem literackim i znanym publicystą. Do tej pory wydał dwie ważne książki: „Oblicze autentyzmu" (1991) oraz „Człowiek jako dzieło sztuki" (1994). Podobnie jak ojciec odwiedził Zaolzie i pisał o nas w „Arkuszu", „Akcencie", „Orle Białym", i innych pismach.

Leszek Bakuła zmarł po ciężkiej i długiej chorobie.

Cześć Jego pamięci!

WILHELM PRZECZEK

LESZEK BAKUŁA Wilhelmowi Przeczkowi
POGRANICZE
pogranicze jest zawsze przełamane winą
ale i w samej zarodni diabelstwo się mnoży
nie namaszczony granic bliznami na krańcach
odmieńcze gniazda wiję na kark sobie włażę
a ty siedzisz w bystrzycy co choć małym palcem
dotyka komór serca skalpelem dawności –
i tak granica z jądrem w tożsamość się pleni
jądro się pokalaniem w granicy odkupi.
(Z tomiku poezji Leszka Bakuły „Kontrapunkt", Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1977, str. 35)

BRNEŃSKA KRÓLOWA POLSKA (II)

Praga żyła przez ostatnie cztery miesiące imponującą wystawą „Rudolf II a Praga", której towarzyszyły tematyczne spektakle teatralne, koncerty, filmy i konferencje. W tym czasie również w Brnie otwarto na Szpilberku wystawę, poświęconą jego poprzednikowi, Rudolfowi I. Obecni na jej otwarciu przedstawiciele polskiej dyplomacji i brneńskiego Klubu Polskiego „Polonus" byli dowodem na polskie koneksje króla. Rzeczywiście, wystawa „Rudolf I i Eliška Rejčka, królewscy małżonkowie", poświęcona była bohaterce moich penetracji. W tym samym czasie ujrzała również światło dzienne zbeletryzowana opowieść Ludmily Vaňkowej o jej losach, zatytułowana „Małżonka dla trzeciego króla. Królowa Rycheza." Moją opowieść zakończyłam w poprzednim numerze momentem koronacji 15-letniej Rychezy (Ryksy, późniejszej Eliški Rejčki), córki zamordowanego w Rogoźnie króla polskiego, Przemysła II, którego następca, Wacław II, król czeski i polski, pojął ją za żonę.

Losy obojga królewskich małżonków były podobne. Ojciec Wacława, król Przemysław Otokar II, zginął w tragicznej bitwie pod Suchymi Krutami, kiedy Wacław – dziedzic tronu – miał siedem lat. W chwili śmierci ojca Ryksa, jego jedyna córka, miała osiem lat. Jej macocha, Małgorzata, na cztery lata wywiozła ją do swej rodzinnej Brandenburgii, gdzie młodą dziedziczkę tronu polskiego przezornie zaręczono w Szpandawie z synem margrabiego brandenburskiego Ottona Wysokiego. Ten był przed laty opiekunem osieroconego, nieletniego Wacława i opanował regencję w Czechach. Jego rządy przeszły do historii Czech jako „złe lata" – panował głód, epidemie, a miejscowi magnaci rywalizowali z Brandenburczykami w łupieniu kraju. Wacław, uwięziony przez Ottona i trzymany niejako w zastawie, przebywał w Szpandawie, gdzie nie miał nawet okazji zapoznać się ze sztuką czytania i pisania. W tym samym zamku w kilka-

naście lat później równie samotne życie wiodła mała Ryksa, która po śmierci swego nieletniego narzeczonego powoli traciła na znaczeniu dla swego niemieckiego otoczenia.

W 1283 roku margrabia Otton za odszkodowaniem zrzekł się regencji, zaś dwunastoletni król Wacław mógł wrócić do Pragi, gdzie rządy przechwyciła jego matka Kunegunda i jej faworyt, rycerz Zawisza z Falkensteinu, nowy wychowawca Wacława. Król rzymski Rudolf Habsburg nadaniem Czech w lenno Wacławowi potwierdził w 1285 roku jego pełnoletność i zgodnie z wcześniejszymi umowami z Kunegundą doprowadził do zaślubin Wacława ze swą córką Gutą. Z tego małżeństwa przyszły na świat dzieci, które zaważyły na dalszych losach królestwa: Anna, przyszła żona Henryka Karynckiego, który po śmierci swego teścia walczył o koronę czeską, Elżbieta Przemysłówna, przyszła żona Jana Luksemburczyka i matka Karola IV, długoletnia rywalka swej późniejszej imienniczki, Elżbiety Ryksy i wreszcie Wacław III, na którym wygasła po mieczu w 1306 roku dynastia Przemyślidów. Dla nas to o tyle ciekawa postać, że marzył o wyprawie do Polski i o unii polsko-czeskiej, czemu miało posłużyć małżeństwo z księżniczką Wiolą, córką Mieszka Cieszyńskiego. Rola Cieszyna była ważna strategicznie w utrzymaniu Krakowa w rękach czeskich, nadto zaskakujące dla Czechów małżeństwo z ubogą Piastówną, i to z dworu dotychczas mało tkniętego nalotem niemczyzny, miało być może powstrzymać ucieczkę polskich stronników Wacława z jego obozu.

Wróćmy jednak do jego królewskiego ojca. W 1288 roku zmarł bezpotomnie w Krakowie Leszek Czarny. Jego żona Gryfina była rodzoną ciotką króla Czech, Wacława II, który rozpoczął starania o koronę polską. Ta po wygnaniu niebezpiecznego Łokietka i tragicznej śmierci ojca Ryksy, Przemysła II, znalazła się w czeskich rękach. Insygnia królewskie z czasów Bolesława Szczodrego po koronacji Wacława II trafiły do Czech i po jego śmierci zaginęły. Owdowiały król utorował sobie nadto drogę do spuścizny po Przemyśle II przez małżeństwo z jego dwunastoletnią córką, która przez następne trzy lata znalazła się pod opieką jego ciotki, krakowskiej Gryfiny. Dopiero w maju 1303 roku Ryksa stała się prawowitą królewską małżonką oraz królową Czech i Polski. Jako nastolatka została macochą swoich rówieśników, dzieci Wacława i przyjęła modne wówczas imię Elżbieta, do którego, by ją odróżnić od córki króla, Elżbiety Przemysłówny, dodano swojski przydomek Rejčka (ja pozostanę przy imieniu Ryksa, używanym przez polskich historyków).

Pełen sprzeczności charakter Wacława II ukształtował się zapewne pod wpływem przeżyć z dzieciństwa: wybitna inteligencja łączyła się w nim z bezwzględnością w polityce, łatwo składał i łamał przysięgi, z objęć swych licznych kochanek uciekał raz po raz do klasztoru, gdzie oddawał się pokucie, połączonej z postami i biczowaniem. Chorobliwie kolekcjonował relikwie, bał się burzy i ciemności, nie znosił miauczenia kotów. Matejkowski wizerunek bardzo go postarza (zmarł w wieku 34 lat), młody król był ponadto delikatny i urodziwy. Był miłośnikiem poezji rycerskiej (sam niechętnie brał udział w turniejach i wyprawach wojennych) i ponoć nawet autorem wierszy miłosnych w języku górnoniemieckim. Ideałem i wzorcem była dla niego postać Aleksandra Wielkiego, który zapewne inspirował jego śmiałe przedsięwzięcia polityczne i ekspansje terytorialne.

W chwili małżeństwa z młodziuteńką Ryksą, do którego ze strony czeskiej namawiał króla Jindřich-Henryk z Lipé (późniejszy legendarny czeski wielmoża i ostatnia wielka miłość owdowiałej Elżbiety Ryksy), kochanką Wacława II była Agnieszka z Chvalovic, rezydująca z tego tytułu na zamku królewskim. Królowi było więc zapewne na rękę oddanie swej małżonki pod opiekę ciotki, która miała jej przyswajać nowe zwyczaje i nowy język. Kiedy jednak Ryksa była w myśl ówczesnych zwyczajów pełnoletnia, a gwiazda królewskiej kochanki (krępującej ze względu na obecność dojrzewających dzieci) już zapewne pobladła, pod wpływem apeli zaniepokojonych panów polskich doszło do faktycznych zaślubin. Ponoć nie było to złe małżeństwo, nie licząc dziwnych, zabobonnych przyzwyczajeń króla. Ten w trzy lata później, 21 czerwca 1305 roku w Pradze, po długiej, niewyjaśnionej chorobie, w której symptomach dopatrywano się rezultatów niecnotliwego trybu życia, bądź też skutków trucizny, zmarł w cysterskim habicie, szepcząc ostatnie modlitwy. Sześć dni przed jego śmiercią przyszła na świat królewska córka Agnieszka.

Źródła mówią o wielkim żalu 17-letniej królowej-wdowy, która została sama z niemowlęciem wśród nienawidzących jej Przemyślidów. Jedynym wyjściem było pójście do klasztoru lub ponowne, królewskie małżeństwo. Pod murami Pragi stanął pretendent do tronu, Rudolf I Habsburg ze swymi wojskami, przyszły małżonek królowej Elżbiety Ryksy ...

(cdn.)

JAN PALACH W "LABIRYNCIE"

W czeskim piśmie „Revue Labirynt" (nr 6) wydawanym w Pradze pojawiła się rozkładówka przygotowana przez Libora Martinka poświęcona sylwetce Jana Palacha. *„Niemożliwością jest, żeby człowiek po wymówieniu imienia i nazwiska Jan Palach - został obojętny na indywidualny los poświęcenia się młodego człowieka, którego czyn stał się symbolem obrony wolności wewnętrznej i honoru narodowego. Indywidualna ofiara Jana Palacha (11.8.1948 - 19.1.1969) nie zostawiła obojętnymi wielu pisarzy oraz intelektualistów na całym świecie... Stała się również motywem w strukturze wierszy polskich autorów bo, przecież zasięg czynu Jana Palacha jest uniwersalny i po dziś dzień niepokojący. 16 stycznia 1997 r. upłynęło dwadzieścia osiem lat od „samospalenia" Jana Palacha...".* Te słowa pochodzą ze wstępu do wyboru polskich wierszy poświęconych Palachowi. Tłumaczem jest Libor Martinek - równocześnie autor wyboru.

Wiersze zostały wydrukowane na stronie z poddrukiem zdjęcia Jana Palacha. Autorem fotografii jest Josef Koudelka.

Zostały tu zaprezentowane wiersze następujących polskich poetów poświęcone J. Palachowi: Tadeusz Kijonka „Pochodnia", Władysław Sikora „XXX - pamięci Jana Palacha", Wilhelm Przeczek „Samospalenie serca" - wiersz wydrukowany w „Głosie Ludu" (21.1.1969), Ondra Łysohorský „Ballada o studencie i heretyku", Bohdan Urbankowski „Pamięci Jana Palacha".

Libor Martinek pisze: *„... w tym dwudziestoośmioletnim interwale czasowym wydała polska poezja kilka zadziwiających prób wypowiedzi na temat okrzyku ludzkiego, którego echo będzie wracało do naszych uszu nieustannie. Przekłady, które publikujemy są zaledwie ułamkiem z tego, co w Polsce powstało na ten temat. Do niniejszego wyboru zostali zaszeregowani autorzy z Polski razem z autorami polskimi, którzy żyją w Republice Czeskiej. Do nich tłumacz świadomie zaszeregował Ondrę Łysohorskiego, który pisał w tzw. języku łaszskim, sztucznie stworzonej „laštině", zbliżonej do polskiego języka literackiego".*

Należy jeszcze dodać, że „Revue Labirynt" jest pismem poświęconym kulturze i literaturze czeskiej.

RENCISTA

FRANTIŠEK VŠETIČKA

POLONOFIL

Kiedy w 1893 roku Edward Jelínek wydał „Zakopane w polskich Tatrach" (książkę tę podróżniczą a zarazem przewodnik), nie przypuszczał, iż polskie Tatry i uwielbiani przez niego Polacy w tak krótkim czasie odpłacą mu się wdzięcznością. Jelínek w cztery lata później zmarł. Polacy w dowód uznania bogatej i wszechstronnej działalności Jelínka na rzecz polskiej sprawy jeszcze w roku śmierci na jednej z tatrzańskich skał odsłonili tablicę pamiątkową, która do dziś oddaje hołd propagatorowi dobrych stosunków czesko-polskich. Jeśli iść z Zakopanego czerwonym znakiem Doliną Strążyńską w kierunku na Giewont, to niespełna po dwu kilometrach trafi się na ostro wystającą skałę z widniejącą tablicą z reliefem E. Jelínka i z polskim tylko napisem:

Na cześć i sławę
Edwarda Jelínka
szlachetnego syna pobratymczego
narodu czeskiego
wiernego przyjaciela Polaków
tablicę tę na skale tatrzańskiej
umieścili zebrani z całej Polski
rodacy w r. 1897

Tłumaczyć nie trzeba, bowiem wyryte słowa są zrozumiałe i każdego Czecha pocieszą. Choćby dlatego, iż miejsce tablicy jest idealnie usytuowane - nad czystym potokiem i wznoszącym się turystycznym szlakiem. Tablica i relief efektownie zarastają mchem.

Wspomniałem, iż szlak wiedzie na Giewont (1894 m), który osiągalny jest przez niewielu odważnych amatorów tatrzańskiej wspinaczki (Giewont rozpoznawany jest po wysokim krzyżu, który wieńczy szczyt). Przeciętnemu turyście polecam dojść do wodogrzmotu (raczej miniwodospadu) Siklawa, który może być docelowym punktem mniejszej wyprawy turystycznej z dwoma chwilowymi odpoczynkami - jednym w tatrzańskim szałasie z bufetem (żadna tam jakaś laminatowa namiastka, lecz oryginalna tatrzańska chata z góralską obsługą z prawdziwego zdarzenia) i drugim - właśnie pod pamiątkową tablicą naszego pisarza. Edward Jelínek zasłużył sobie na takie uznanie.

Tablicę czeskiemu pisarzowi wmurowali Polacy, co według mojej wiedzy i osądu jest jedynym przypadkiem, kiedy obywatele obcego narodu w tak znaczący sposób oddali hołd naszemu pisarzowi. Wmurowania i odsłonięcia tablicy Jana Husa w Konstancji dokonaliśmy sami, podobnie było z godnym uporządkowaniem grobu Jana Amosa Komenskiego w Naardenie, a tablica Havlička na jednym z domów w Briksen (obecnie Bressanone) jest również naszą sprawą. (Miejscowi Niemcy czy Włosi nic nie wiedzą o naszym Havličku, nie wiedzą także, gdzie ów dom stoi). Hołd pamięci naszemu rodakowi oddali tylko Polacy!

Zakopane i polskie Tatry były dla Jelínka czymś bardzo bliskim, ba wręcz swojskim, i to nie tylko z racji urody, lecz i przez ludzi, z którymi tam się spotykał i przebywał. Chorowity Jelínek znajdował tutaj choćby czasową ulgę. Bywał wśród prostych ludzi, spotykał się z legendarnym bajarzem Sabałą, poetą Adamem Asnykiem czy Henrykiem Sienkiewiczem, który w dużej mierze przyczynił się do uhonorowania Jelínka tablicą pamiątkową.

Oprócz Zakopanego Jelínka pociągała głównie będąca pod rosyjskim zaborem, Warszawa. O wrażeniach z pierwszego pobytu w Grodzie Syreny (jak nazywał Warszawę w niedokończonych „Wspomnieniach", wydanych pośmiertnie) napisał: *„Warszawa z miejsca zrobiła na mnie nieskończenie miłe i pełne powabu wrażenie, powiedziałbym miłosne. Nie było niczego, co by mi się nie podobało czy nie wzbudziło zainteresowania. Warszawa nie olśniewała mnie tą miarą, co Paryż, lecz niesamowicie oddziaływała na moje uczucia"*.

Los polskiego narodu był dla Jelínka sprawą zasadniczą, ba prawie świętą, którą przeżywał do głębi poruszony. Pisał: *„Zdarzało się, iż na spotkaniach mówiono o Polakach i sprawach memu sercu bliskich takim tonem i o takim zabarwieniu, iż wracałem do domu cały nieswój, często doprowadzany do białej gorączki. A mówiło się tak umyślnie, aby mnie tyrano, męczono i sztyletowano moje uczucia. Oto surowość pewnej społeczności"*.

W swoim krótkim życiu (Jelínek żył 42 lata) obok przekładów wydał 29 książek. Pośmiertnie ukazały się kolejne dwie, w którym przeważała problematyka polska. Teksty dramatyczne czy prozatorskie wyrzucał z siebie niby wulkan, będąc nieustannie gnębiony chorobami i świadomością zbliżającej się nicości. Ilość górowała nad jakością, ku której niezmiennie zmierzał, podobnie jak ku śmierci. Ta, mimo wszystko, niestety była szybsza.

Przekład JAN PYSZKO

(Z: „Wewnętrzne witraże", wyd. Votobia, Ołomuniec 1996)

PO LEKTURZE MATERIAŁÓW Z KONFERENCJI "LITERATURA NA ŚLĄSKU CZESKIM I POLSKIM"

Dwie śląskie, przygraniczne uczelnie - Slezská univerzita w Opawie i cieszyńska Filia Uniwersytetu Śląskiego - były organizatorami konferencji „Literatura na Śląsku czeskim i polskim", która w listopadzie 1995 roku odbyła się w Opawie. Materiały z tej konferencji, starannie wydane przez Towarzystwo „Pro Filia", opublikowane zostały w skromnym, bo liczącym zaledwie 270 egzemplarzy, nakładzie. Redaktorami zeszytu byli doc. Jiří Urbanec, historyk literatury z Śląskiego Uniwersytetu w Opawie i prof. Edmund Rosner, literaturoznawca z Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, znany przede wszystkim jako specjalista zajmujący się literaturą polską powstałą na Zaolziu.

Publikacja zawiera teksty jedenastu wystąpień czeskich oraz teksty sześciu wystąpień polskich. Brak równowagi pomiędzy udziałem Czechów i Polaków w konferencji wydaje się bardzo znamienną, rażącą dysproporcją. Co ta dysproporcja znaczy? Otóż ten dający wiele do myślenia parytet wyniknął stąd, że polscy współorganizatorzy konferencji, czyli Filia Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, nie była w stanie zapewnić odpowiedniej ilości referentów zainteresowanych tematem konferencji. I nie ma się, zresztą, czemu dziwić, bo takich pracowników naukowych i współpracowników Filii UŚ w Cieszynie, którzy zajmowali się i zajmują literaturą z obszaru czeskiego i polskiego Śląska, policzyć można na palcach jednej ręki. Dlaczego zatem nie zaproszono do udziału w opawskiej konferencji literaturoznawców, polonistów i bohemistów z Katowic, Opola, czy nawet Wrocławia? Ze strony czeskiej natomiast wystąpili pracownicy lub współpracownicy aż czterech pobliskich ośrodków naukowych i uniwersyteckich, nie tylko ze Śląska (Opawa, Ostrawa), ale i Moraw (Ołomuniec, Brno). Polscy współorganizatorzy popełnili zatem błąd już w samych założeniach konferencji, co oczywiście, nie pozostało bez wpływu na charakter i wagę wystąpień jej polskich uczestników.

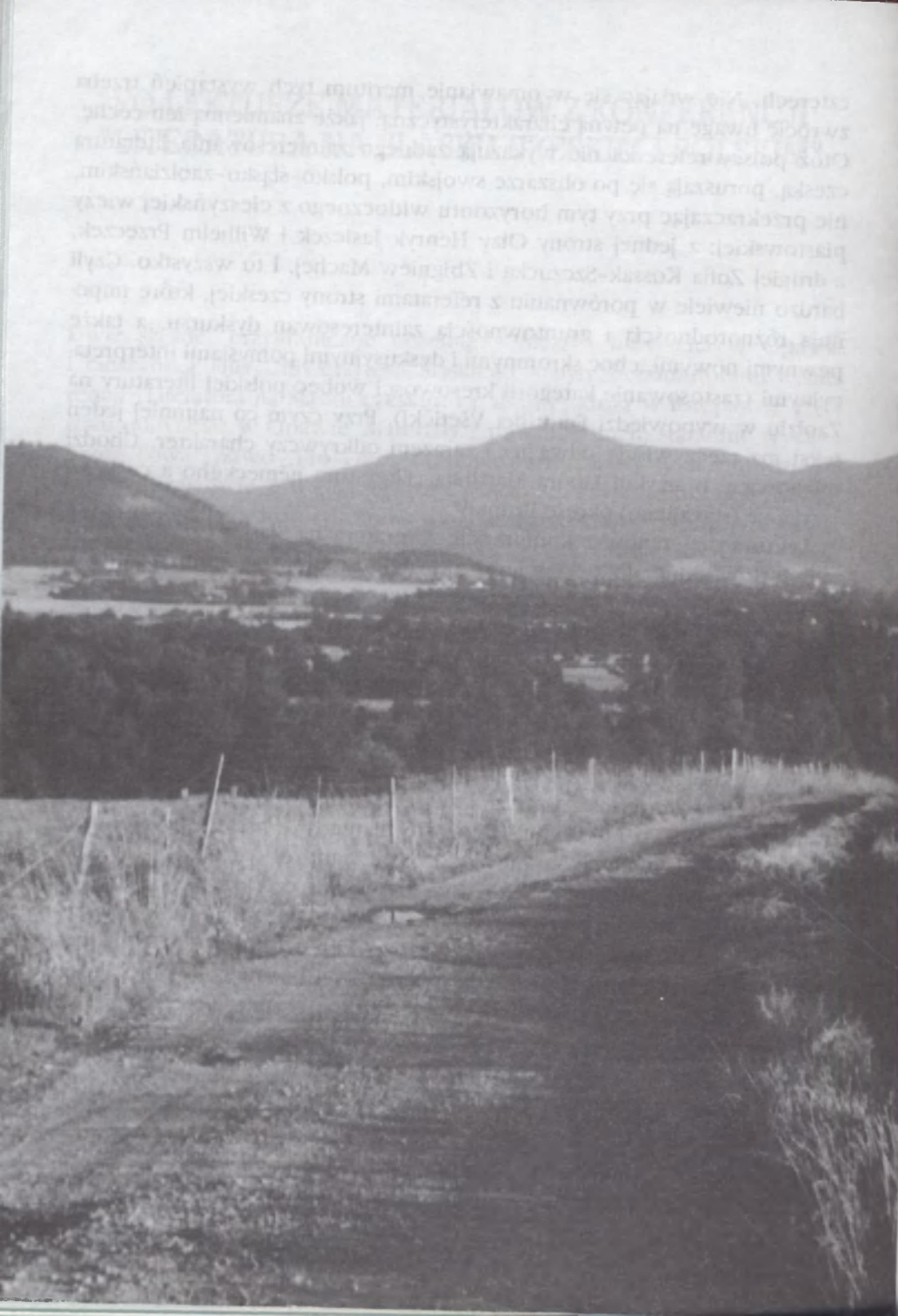
Jeżeli pominąć dwie wypowiedzi polskich literatów z Zaolzia, liczba polskich referatów przedstawionych na konferencji sprowadza się do

czterech. Nie wdając się w omawianie meritum tych wystąpień trzeba zwrócić uwagę na pewną charakterystyczną, jakże znamienną ich cechę. Otóż polscy referenci nie wykazują żadnego zainteresowania literaturą czeską, poruszają się po obszarze swojskim, polsko-śląsko-zaolziańskim, nie przekraczając przy tym horyzontu widocznego z cieszyńskiej wieży piastowskiej: z jednej strony Olzy Henryk Jasiczek i Wilhelm Przeczek, z drugiej Zofia Kossak-Szczucka i Zbigniew Machej. I to wszystko. Czyli bardzo niewiele w porównaniu z referatami strony czeskiej, które imponują różnorodnością i gruntownością zainteresowań dyskursu, a także pewnymi nowymi, choć skromnymi i dyskusyjnymi pomysłami interpretacyjnymi (zastosowanie kategorii kresowości wobec polskiej literatury na Zaolziu w wypowiedzi Františka Všetički). Przy czym co najmniej jeden tekst ma rzeczywiście odważny i zarazem odkrywczy charakter. Chodzi mianowicie o artykuł Libora Martinka „Literatura německého a českého jazyka ve (stávajícím) okrese Bruntál".

Lektura materiałów z konferencji „Literatura na Śląsku czeskim i polskim" prowokuje do postawienia pewnej, zasadniczej moim zdaniem, kwestii. Chodzi o zdolność rozróżnienia tego, co jest regionalne, od tego, co jest prowincjonalne. Dotyczy to zarówno samej literatury, jak i jej badania. Chodzi o umiejętność i odwagę zastosowania pewnych uniwersalnych miar i kryteriów do zjawisk literackich o charakterze regionalnym czy peryferyjnym. Jest to potrzebne szczególnie w odniesieniu do polskiej literatury powstałej na Zaolziu, która nawet w swych najbardziej wartościowych osiągnięciach (takich jak twórczość poetycka Pawła Kubisza czy wiersze Henryka Jasiczka) ma znaczenie lokalne, w kontekście literatury polskiej XX wieku nieistotne. Po prostu dlatego, że brakuje w niej dzieł o wybitnej czy choćby tylko pierwszorzędnej randze.

Materiały z konferencji „Literatura na Śląsku czeskim i polskim" to jeszcze jedno świadectwo marnej kondycji polskiej humanistyki na śląskim, polsko-czeskim pograniczu. Władze Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, uczelni - co tu kryć - peryferyjnej i prowincjonalnej, gdzie elementy literaturoznawstwa traktowane są akcesoryjnie, a o bohemistyce w ogóle nie ma mowy, powinny się co najmniej dwa razy zastanowić, zanim następnym razem zdecydują się przystąpić do współorganizowania polsko-czeskiej konferencji literaturoznawczej.

ZBIGNIEW MACHEJ



"ĆMY" FRANCISZKA NASTULCZYKA POETA OSOBNY

W kontekście poezji powstającej na Zaolziu zajmuje Franciszek Nastulczyk miejsce wyraźnie odosobnione. Ta jego inność nie wynika może tyle z postawy życiowej, która by go miała określać, ile z faktu, co pisze i jak pisze...

Przyznam, że zasmakowałem w tej poezji. Wiersze w tym tomiku posiadają swój matecznik zaolziański, chociaż wiele z nich napisał poeta już w Bielsku-Białej.

Zostawmy na boku szkolarstwo razem z gombrowiczowskim profesorem Pimką i nie próbujmy zaglądać poecie w duszę. Pisałem kiedyś w recenzji z tomiku F. Nastulczyka „Czas i obecność" o wszechobecnym w jego tekstach poetyckich „żywiole powietrza". Nowy tom „Ćmy i inne wiersze" przynosi inny wymiar... uspokojenie i zadumę filozoficzną nad kondycją człowieka zawieszonego w przepływie czasu.

Po lekturze tych pięknych wierszy chciałoby się powtórzyć słowa Alfonsa Nyki-Niliunasa: „Poeta nie czyni żadnego wysiłku, by jego słowo było „dźwięczne"... Dla mnie poezja Franciszka Nastulczyka jest naga, bez zbytecznych ozdobników i błyskotliwych upiększeń. Czasami jest chropowata jak wulkaniczna skała i tak samo piękna.

Poezja Nastulczyka posiada swoją surowość w intelektualnej oprawie i wyczuwam jej dynamikę w dramacie myśli, która najpewniej stanowi źródło ekspresji. Nietrudno się domyślić, że tym razem dominuje w tekstach „żywioł ziemi".

Franciszek Nastulczyk urodził się w Bystrzycy nad Olzą 22 sierpnia 1957 roku. Szkołę podstawową ukończył w swojej rodzinnej miejscowości. Potem uczęszczał do zawodowej szkoły leśnej w Bílej. Maturę zdawał w Technikum Przemysłu Drzewnego w Hranicach na Morawie. Studiował pedagogikę kulturalno-oświatową w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie i w trakcie studiów przeniósł się na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Ukończył pedagogikę kulturalno-oświatową. Obecnie pracuje jako pedagog w Bielsku-Białej, gdzie również mieszka.

Poeta posiada już swój wyraźny ton poetycki wypowiedzi i jest poprzez to łatwo rozpoznawalny wśród zaolziańskiego wielogłosu, także w kontekstach liryki polskiej poezji Franciszka Nastulczyka można rozpoznać bez trudu.

Zadebiutował jako poeta w miesięczniku „Ogniwo" (1978 r.). Od szeregu lat aktywnie uczestniczy w zaolziańskim życiu literackim i jako jeden z przedstawicieli tego ruchu literackiego brał udział w ogólnopolskich imprezach (Najazdy Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu, Warszawska Jesień Poezji, Spotkania Pisarzy Polskich, Czeskich, Słowackich, Węgierskich Cieszyn - Czeski Cieszyn - Ostrawa i in).

◀ *fot. FRANCISZEK BAŁON*

Najpierw był członkiem Sekcji Literacko-Artystycznej przy ZG PZKO, obecnie jest członkiem Zrzeszenia Literatów Polskich w Republice Czeskiej, członkiem Gminy Pisarzy (Obec spisovatelů) w Pradze, Brnie, i Ostrawie. Laureat konkursów poetyckich w Czechach i Polsce.

Swoje wiersze drukował w polskiej, zaolziańskiej i czeskiej prasie literackiej oraz almanachach i antologiach:

„Zaprosiny do stołu" (ZG PZKO, Czeski Cieszyn 1978), „Spotkanie" (Profil, Ostrawa 1985), „Punkt zwrotny" (ZG PZKO, Czeski Cieszyn 1987), „Samosiewy" (Grupa Literacka 63, Trzyniec 1988), „Zaproszenie do źródła" (TTK, Toruń 1988), „Nocny list z Krakowa" (Oksymoron, Kraków 1990), „Z biegiem Olzy" (ZLP, Katowice 1990), „Pojednanie" (ZG PZKO, Czeski Cieszyn 1993), „Trudniejszy brzeg rzeki" (ZLP, Warszawa 1994), także w tomikach wydawanych przez Brzeskie Centrum Kultury. Jego wiersze były tłumaczone na czeski (František Všetička) i drukowane na łamach ostrawskiego pisma „Alternativa". Franciszek Nastulczyk tłumaczy także słowacką poezję (Peter Štrbka) i czeską (Libor Martinek). Samodzielnie wydał zbiory wierszy: „Tam za pozornie przezroczystym powietrzem" (Zrzeszenie Literatów Polskich w Republice Czeskiej, wydawnictwo Asjun, Czeski Czeski 1993), „Czas i obecność" (ZLPC, wydawnictwo Olza, Czeski Cieszyn 1994). Tomik „Ćmy i inne wiersze" jest jego trzecim samodzielnym zbiorem poezji.

WILHELM PRZECZEK

"ROZ WIDZIELI"

Uniwersytet Wrocławski wydał w wydawnictwie TART ciekawą publikację „Roz widzieli straśne łognie ku Ciantoryi...". Są to, jak mówi podtytuł, gawędy ludowe z Nawsia koło Jabłonkowa. Gawędy zamieszczone w publikacji zostały nagrane na taśmę magnetofonową przez autora pracy Jarosława Lipowskiego, pracownika naukowego Uniwersytetu Wrocławskiego, pochodzącego z Nawsia koło Jabłonkowa.

Gwarą jabłonkowską zajmował się już w szkole średniej, zapisując i nagrywając gawędy swojej babci. Zainteresowania te wpłynęły na wybór kierunku studiów i badań - zajmują go zwłaszcza współczesne procesy zachodzące w gwarze: zróżnicowanie pokoleniowe oraz skutki rozdzielenia jej granicą państwową.

W publikacji „Roz widzieli straśne łognie ku Ciantoryi..." są zawarte gawędy opowiadane przez trzy respondentki: Zuzanna Lipowska, z domu

Cieślar, urodziła się w roku 1905 w Głuchowej. Od 1924 r. po wyjściu za mąż zamieszkała na Zagórzu w Nawsiu. Całe życie była wiejską gospodynią, zmarła w 1987 roku. Rozmowy z nią nagrano w latach 1983–1984. Ewa Ćmiel, z domu Lipowska, urodziła się w 1908 roku w części Radźwanowa nazywanej Zo Drugich Gór. Za mąż wyszła mając 16 lat i zamieszkała w Nawsiu w miejscu zwanym U Zimnego. Całe życie jest gospodynią wiejską, a rozmowy z nią pochodzą z 1990 r. Maria Szotkowska, z domu Kurek, urodziła się w 1912 r. w Nawsiu. Mając 17 lat poszła „na służbę" w Jabłonkowie do rodziny uważanej za czeską: miała kontakty towarzyskie m.in. z młodzieżą polską z Zaolzia. Za mąż wyszła w 35. roku życia i osiadła w Nawsiu jako gospodyni domowa. Rozmowy z nią nagrano w 1990 r.

Publikacja obejmuje słowniczek do tekstów gwarowych, indeks gawęd w transkrypcji fonetycznej, bibliografię i kilka naukowych rozdziałów, poświęconych np. słownictwu, fonetyce, wokalizmowi, słowotwórstwu.

WILHELM PRZECZEK

NA NASZEJ SCENIE

SZCZĘŚLIWE WYDARZENIE: MROŻEK W SCENIE POLSKIEJ

Zaledwie kilka dni przed końcem sezonu 1996/1997 odbyła się w Scenie Polskiej Teatru Cieszyńskiego ostatnia premiera. Teatr sięgnął do naprawdę bogatej skarbnicy sztuk Sławomira Mrożka. Wybrał z niej rzecz starszą i mniej znaną – sztukę „Szczęśliwe wydarzenie". Ponieważ niewielu widzów Sceny Polskiej zdążyło ją obejrzeć przed wakacjami, będzie to więc w nowym sezonie „wydarzenie" prawie premierowe.

Mrożek, jak można zresztą wyczytać w programie do przedstawienia, nie był po tej stronie granicy ulubionym autorem. Scena Polska wykorzystała czas odwilży w roku 1968, by przekazać swoim widzom chociaż elementarne wiadomości o znanym i popularnym już wtedy autorze, wystawiła dwie jego jednoaktówki „Czarowną noc" oraz „Dom na granicy". W latach 90. sztuki Mrożka można już było grać bez przeszkód, pokazane przez Scenę

Polską „Tango" czy „Emigranci" należą do najwybitniejszych, stanowią już kanon w dziejach polskiej dramaturgii współczesnej, reżyserzy chętnie po nie sięgają, popularność ich na razie nie maleje. Dlaczego jednak dziś, w drugiej połowie lat 90., kiedy do dyspozycji jest około 40 utworów dramatycznych Sławomira Mrożka, kiedy na scenach królują najnowsze jego dramaty, Scena Polska sięgnęła po rzecz napisaną w roku 1971, w dodatku nie dorastającą do poziomu najlepszych jego sztuk? W stylu Mrożka można by odpowiedzieć, że „widocznie miała jakiś powód". Nie mam jednak zamiaru wdawać się w rozważania filozoficzne na ten temat, szukanie odpowiedzi na to pytanie pozostawiam widzowi, dla którego przedstawienie powinno stanowić przeżycie, temat do przemyśleń, którego powinno wzbogacić wewnętrznie.

Sławomir Mrożek jest niewątpliwie najwybitniejszym polskim dramatopisarzem współczesnym. Pisarzem w pełni sił twórczych. Pisarzem reagującym na wydarzenia, na nowe zjawiska w życiu społecznym, świetnym obserwatorem, utalentowanym kronikarzem-karykaturzystą współczesności. Jest ponadto artystą bezustannie szukającym swego miejsca na ziemi. Jego niedawny powrót do Polski wywołał nową falę zainteresowania nim, chociaż Mrożek nigdy nie należał do osób, które nie prowokowałyby, nie umiałyby kreować siebie, które, wbrew głośnym deklaracjom, nie lubiłyby szumu wokół siebie. W ostatnim czasie pojawiło się na rynku wydawniczym kilka pozycji, poświęconych Mrożkowi, może warto przy tej okazji przytoczyć ich tytuły: „Co dalej, panie Mrożek?" Jacka Żakowskiego, „Mrożek" Haliny Stephan, „Dramaturgia Sławomira Mrożka" Małgorzaty Sugiery oraz wcześniejsze „Wszystkie sztuki Sławomira Mrożka" Jana Błońskiego. Mrożek jest nie tylko dramatopisarzem, niemniej znane są jego opowiadania, parał się pisaniem recenzji, felietonów, próbował reżyserii, bezbłędnie trafia w cel swymi wypowiedziami rysunkowymi.

Mrożek nie jest jednak łatwym pisarzem dla mas. Świat widzi i przekazuje czytelnikom oraz widzom w krzywym zwierciadle karykatury i groteski, co na pewno utrudnia bezpośredni odbiór, zmusza do myślenia, naprostowania przez odbiorcę, pragnącego odnaleźć w lekturze czy na scenie własne życie, pokrzywionych rozważań pisarza. Mrożek stworzył własną formułę dramatu. Język jego sztuk pełen jest paradoksów, dialogi iskrzą dowcipem, jest to jednak czarny humor, śmiech gorzki, nasiąknięty pesymizmem czy wręcz katastrofizmem. Wymyślone paradoksalne sytuacje, których uczestnikami i świadkami są bohaterowie jego sztuk, stawiają go w kręgu kontynuatorów nurtu teatru absurdu. Niezależnie od miejsca akcji i niezależnie od miejsca aktualnego zamieszkania autora (czy to Meksyk, Francja, Włochy, czy też Niemcy) podłoże tych dramatów jest czysto polskie, polska jest też mentalność bohaterów. Wielkość Mrożka polega m.in. na tym, że udało mu się



RYS. STANISŁAW MROŻEK (PRZEDRUK Z GAZETY WYBORCZEJ)

wznieść ponad zaściankowość, spojrzeć na polskie losy z szerszej perspektywy, uczynić je zrozumiałymi i godnymi zainteresowania nie tylko w kraju.

„Szczęśliwe wydarzenie" należało uwspółcześnić. Zadania podjął się reżyser z Warszawy Jacek Andrucki, sam też opracował przedstawienie muzycznie. Podstawowe uwspółcześnienie, widoczne dla widza na pierwszy rzut oka, polegało na innej, niż zalecał Mrożek w didaskaliach, bo nowoczesnej dekoracji wnętrza. Zamiast kolumien, gzymsów i popiersia oraz drzwi dwuskrzydłowych goła ściana w ciapki, takie same jak na tapicerce krzeseł. Również sypialnia miała podobny wystrój w plamki. Autor scenografii i kostiumów – Krzysztof Małachowski – ubrał Żonę w modne podobno znowu buty na koturnach, Męża w ciemny garnitur i okularki. Scena Polska lubi ostatnio przedstawiać widzom, jak zgrabnie i sprawnie umie zmieniać dekoracje, bo i w tym przedstawieniu robiono to na ich oczach. I do tego pewnie potrzebny był choreograf (Przemysław Śliwa).

Sztuka Mrożka mogłaby zapewne przeżyć renesans. Bo w naszej od niedawna zupełnie nowej sytuacji społeczno–politycznej całkiem inaczej brzmią znowu słowa liberał, arystokrata, anarchista. Można więc ją po nowemu odczytać w sensie politycznym. Można jednak popatrzeć na nią jako na dramat rodzinny, odwieczny konflikt pokoleń, niemożność porozumienia się ludzi różnych generacji. Reżyser dał widzom możliwość wyboru, nie sugerując, jakie mają wybrać rozwiązanie.

Niezależnie jednak od sposobu odczytania dramatu, jedno jest pewne. Nie jest to sztuka realistyczna, co nakłada specjalne zadania na barki aktorów. Odtwórcy ról muszą znaleźć klucz do postaci, polegający nie na psychologicznej analizie postępowania, lecz na tzw. pomyśle na rolę. Udało to się bardzo dobrze Bogdanowi Kokotkowi w roli Męża, który konsekwentnie w jednym stylu poprowadził swoją postać, ciekawa jest też osoba Dziadka w wykonaniu Ryszarda Pochronia oraz niewielka w sumie i z ozdobnikami rola Lenki Pešák. Rozśmieszał Andrzej Rozmus jako wrzeszczące Niemowlę, nieporozumieniem natomiast jest Przybysz Janusza Laskowskiego. Pisałam do tej pory oględnie o innych jego rolach, nie miały aż tak ważnego znaczenia dla całości przedstawień, tym razem jednak jest inaczej, a jego osiągnięcie aktorskie stawia go w rzędzie dzieciaków ze szkolnego teatru. Sam wygląd i dobra recytacja nie wystarcza. A pomysłu zabrakło. Może podczas wakacji podciągnie się?

Nowy sezon przyniesie nowe twarze, oby nie gorsze od obecnych. Bo to jednak przede wszystkim aktorzy robią teatr...

CZESŁAWA RUDNIK

POLEMIKI

W lipcowym numerze „Zwrotu" ukazał się przedruk wywiadu, którego udzielił prezes Macierzy Szkolnej w RC Jan Branny na V Światowym Forum Mediów Polonijnych w Tarnowie. Dziś drukujemy list Jana Brannego do redakcji pisma „Wici Polonijne", w którym pojawił się ów wywiad.

Szanowna Pani Redaktor!

Dnia 29.5.1997 podczas V Światowego Forum Mediów Polonijnych na Pani usilną prośbę udzieliłem Pani w godzinach wieczornych wywiadu, który następnie ukazał się w nr. 7 (1 czerwca) „Wici Polonijne".

Stwierdzam, że wywiad ten jest w gruncie rzeczy w całości Pani zmyśleniem, od przypisywanych mi na początku słów Stanisława Staszica po informację w ostatnim zdaniu, że wymieniona w nim impreza odbędzie się jesienią. Gdyby moją wypowiedź wykorzystała Pani tak jak w sąsiadującym na tej samej 7 stronicy „Wici" omówieniu wypowiedzi p. Waszkiewicza z Białorusi, byłoby to tylko coś pożałowania godnego. Żałuję, że nie poprosiłem Panią o autoryzację – zapomniałem, byłem przekonany, że Forum obsługiwane jest przez dziennikarzy dbałych tak o fakty, jak o reputację zgromadzonych na Forum. Moja reputacja doznała poważnego uszczerbku – mówiąc prościej, ośmieszyła mnie Pani; ponadto wyrządziła Pani wielką szkodę organizacji, którą reprezentuję, przedstawiając fakty w sposób nieobojętny dla organizacji działającej w określonym, obcym środowisku. Nie wiem, w jaki sposób mógłbym po tak długim czasie zneutralizować szkody, jakie powstają: wywiad poszedł w świat i już trafiły do mnie przedruki, przypisujące mi w formie cytatów słowa i zdania, których jako żywo nie mogłem wypowiedzieć.

Przywykłem, że wywiady robi się przy pomocy magnetofonu. Można wtedy nawet obejść się bez autoryzacji. Bez nagrania, polegając tylko na pamięci i notatkach, skomponowała Pani gładki „wywiad", faktycznie jednak beztrosko dopuściła się Pani do opublikowania o mnie i o moim środowisku mnóstwa dezinformacji. Te ewidentne można ułożyć w cztery grupy.

Po pierwsze, nazywam się Jan Branny i jestem prezesem Zarządu Głównego Macierzy Szkolnej w Republice Czeskiej, ponadto członkiem Zarządu Głównego Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w tejże Republice Czeskiej.

Nie nazywam się „Jerzy Branny" i nie jestem „prezesem Zarządu Macierzy Szkolnej w Republice Czeskiej" ani „członkiem największej organizacji polskiej, Związku Kulturalno-Oświatowego". Nie było trudno tego typu informacje sprawdzić i zacytować dokładnie, poczynając od identyfikatora, który nosiłem na sobie.

Poważniejsze jest, co następuje. Większość szkół na Zaolziu jest w chwili

obecnej czeska, istnieją jednak nadal, określane jako „z polskim językiem nauczania": 29 szkół podstawowych (13 pełnych i 16 od jednoklasowych po czteroklasowe), 2 gimnazja oraz paralelki w Technikum Przemysłowym, Akademii Handlowej, Liceum Medycznym i Technikum Rolniczym, wszystkie na utrzymaniu państwowym, powiatowym lub gminnym; oprócz tego na tymże utrzymaniu 35 przedszkoli i 12 oddziałów przedszkolnych polskich przy czeskich przedszkolach. Powiedziałem Pani, że szkolnictwo mamy dosyć rozbudowane, choć kurczące się. Tego konkretu w wywiadzie nie ma i nie wiadomo, co miałoby znaczyć, że „ze środków własnych powinniśmy (?) utrzymać polskie przedszkola i szkoły" i w jakiej właściwie sytuacji „udało nam się sprywatyzować przedszkole"; zupełne zaś zażenowanie powstaje, gdy się czyta: „robimy wszystko, by Macierz nie straciła jedynej szkoły w (?) Bagińcu" i aby ratować „tę jedną jedyną polską szkołę" od trzech lat wysyłamy pisma do Wspólnoty Polskiej i Senatu „Trzeciej RP". Tyle zostało u Pani z tego, co rzeczywiście mówiłem: iż Macierz nasza opiekuje się wszystkimi tymi szkołami i przedszkolami, ale w posiadaniu swoim ma w chwili obecnej jedynie budynek dawnej szkoły na górze Baginiec, służący obecnie jako „zielona szkoła" i ośrodek sportów zimowych dla naszych dzieci, że nie stać nas na jej remont i że o pomoc w tej sprawie prosimy polską stronę rządową.

Trzecia grupa sprostowań wiąże się z faktem, iż podobnie jak sąsiadujący na tej stronicy p. Waszkiewicz, nie jestem zawodowym dziennikarzem. Naturalnie, piszę, ale tylko w kwartalniku „Macierz" (który nie jest „miesięcznikiem", jak pisze Pani), m.in. relacje z Forum. W „Głosie Ludu" (który ukazuje się trzy razy w tygodniu i nie jest „tygodnikiem", jak Pani pisze) i „Zwrocie" o Forum piszą dziennikarze od nas, którzy byli na nim opócz mnie obecni. Tarnowskie Forum stwarza działaczom Polonii światowej cenną okazję do wielostronnej, nie tylko redaktorskiej wymiany doświadczeń, i jest przypisywaniem mi niewłaściwych kompetencji wkładanie mi w usta słów o „kontaktach zawodowych" – nawet jeśli można powiedzieć, iż to ja założyłem kwartalnik „Macierz". Dodam, że również jego redaktor, p. inż. Oskar Lanc, z zawodu jest kim innym.

Wreszcie w części dotyczącej tegorocznych uroczystości w 92 Kołach PZKO na Zaolziu miałem jakoby powiedzieć ni mniej ni więcej, tylko: „Ministrowie i szefowie obu parlamentów obu krajów zapowiedzieli swoją obecność". Przyznałbym się do tego zdania, gdyby po słowie „ministrowie" było słowo „kultury". Trudno mi też brać odpowiedzialność za Gorolskie Święto (z błędnym „święto") „jesienią", podczas gdy wszyscy u nas wiedzą, że odbywa się ono zawsze w sierpniu. Jak odrealnione brzmią w zestawieniu z tym Pani ostatnie słowa w tekście: „Z pewnością pojawimy się w wyznaczonym dniu o wyznaczonej godzinie".

Proszę więc, jak mogę najuprzejmiej, o satysfakcjonujące (przede wszystkim mnie i „Macierz") sprostowanie, czyli naprawienie tej nadzwyczaj przykrej kwestii, z dotarciem z nim możliwie wszędzie tam, gdzie rozeszły się „Wici".

JAN BRANNY

Z JABŁONKOWSKIEJ PSP DO EUROPY

Dziesięć lat temu ze świadectwem ósmej klasy wyfrunąłem w świat. Marzyło mi się rolnictwo. Wybrałem Technikum Rolnicze w Czeskim Cieszynie, potem Akademię Rolniczą – (VSP) w Nitrze. Wtedy nawet mi się nie śniło, że stanę się studentem zagranicznym. Na uczelni obowiązywała wakacyjna praktyka. Uczestniczyłem w zagranicznej, którą organizowała AAS (Międzynarodowa Organizacja Studentów). Tym sposobem dostałem się do Holandii, Szwajcarii i Anglii.

W Holandii pracowałem na farmie bydła, gdzie jedna osoba troszczyła się o stado 50 krów. Wydajność „rekordzistki" wynosiła (proszę się nie dziwić) 54 litrów mleka dziennie. Tamteż zapoznałem się z technologią produkcji różnego rodzaju serów.

Byłem zdumiony współczesnymi procesami mechanizacji pracy, ekonomicznym myśleniem i gospodarnością Holendrów oraz kulturą na co dzień. (Każdy Holender posługuje się co najmniej dwoma językami. Są życzliwi dla każdego, nie wyłączając cudzoziemców.)

Wiadomo, Holandia to kraj tulipanów... i tutaj spotkałem się z uprawą cebulek tych pięknych kwiatów.

Następne wakacje rzuciły mnie do Szwajcarii.

Z holenderskimi referencjami zostałem przyjęty do sieci komputerowej IAAS i wybrany przez rodzinę szwajcarskiego hodowcy winorośli. Pracowałem nie tylko w winnicach, lecz również przy produkcji wina. Po „zajęciach" z własnej inicjatywy podejmowałem się pracy dodatkowej, co zostało pozytywnie ocenione. Nagrodą była wycieczka prywatnym samolotem nad Zurychem, wspaniałym przełomem Renu i Alp. Brak mi słów, żeby wyrazić oglądane piękno, lepiej zamilczę...!

Co kraj, to obyczaj! Niektóre zwyczaje wprowadzały mnie w zachwyt (na Zachodzie to normalne), jak np. zaproszenie do Szwajcarii z trzema mapami: Szwajcarii, kantonu i miejscowości z dokładnie wyznaczoną marszrutą (przesiadkami, nr. autobusów itp.)...!

Trzecią praktykę odbywałem w Anglii, w hrabstwie Kent, wspólnie ze studentami z Litwy, Ukrainy, Polski..., pracowaliśmy w sadach. Skierowano mnie do fabryki konserwacji przetworów owocowych. To była dobra szkoła i wiele się nauczyłem. I tutaj otrzymałem polecające preferencje.

Czwarty rok studiów był swego rodzaju znaczącym konkursem. Uczestniczyłem w międzynarodowym konkursie pod nazwą: „People Of The Baltic". Zdobyłem I miejsce. W nagrodę pojechałem do Turku w Finlandii. Trasa wiodła przez Wiedeń, potem samolotem do Sztokholmu i Turku, gdzie odbywała się międzynarodowa konferencja młodych ludzi z bogatym programem, dotyczącym historii, sytuacji polityczno-gospodarczej, ochrony środowiska i perspektywy rozwoju regionu bałtyckiego.

Na ostatnim roku studiów (piątym) uczelnia umożliwiła mi udział w wymiennym studium „Tempus". Organizatorem i fundatorem programu „Tempus" (studia na Uniwersytecie w Mediolanie) była Wspólnota Europejska.

Pojechałem.

Studium z zakresu mikrobiologii, chemii mleka i jego przetworów prowadził prof. Albonico. Językiem wykładowym był angielski. Teoria technologii mleczarstwa połączona była z praktyką w specjalistycznym Instytucie Mleczarstwa. Doświadczenia wykorzystałem w swojej pracy dyplomowej.

Miło człowiekowi, kiedy w gronie studentów spotyka się kogoś, z kim można porozmawiać w ojczystym języku. Właśnie tam koleżanka z Warszawy zdobywała tytuł doktora. Po zajęciach dyskusjom nie było końca. Problemów natury gospodarczej, ekonomicznej itp. nie brakuje w żadnym kraju Europy...! Uczestnictwo, ogląd, polemika, dociekanie... zmienia optykę widzenia.

Mediolan... to nie tylko uczelnia, to także „La Scala", Leonardo da Vinci, to także miejsca powstania Mazurka Dąbrowskiego...

Przyjechali rodzice. Byliśmy w La Scali... na koncercie utworów Strausa. O słonych cenach biletów wolę nie mówić!

Po powrocie na uczelnię do Nitry zabrałem się do pisania mojej pracy dyplomowej. Studia skończyłem z wyróżnieniem i nagrodą rektora.

Po kilku latach „odkrywania Europy" upomniała się o mnie armia, dzięki której obecnie jestem w kraju. Mam nadzieję, że w przyszłości zdobyte doświadczenia i wiedzę będę mógł wykorzystać w mojej małej ojczyźnie na Zaolziu, bo jak mówi przysłowie: „Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej"!

Mojej szkole w Jabłonkowie, Jubilatce, życzę pomyślności, nauczycielom wyrozumiałości dla „niesfornych" uczniów, moim młodszym koleżankom i kolegom szerokiej drogi w zdobywaniu mądrości życia.

ADAM SIKORA
Z KALINOWEGO - NAWSIA JASIENIA

Z „OLZIANKI" I „OLZIOKA" MOGLI BYĆ „OLZIANIE"

Jako łęczanin, od urodzenia duchem i sercem z Łąkami związany, z zainteresowaniem przeczytałem w „Zwrocie" 7/97 artykuł Józefa Kuli (też byłego łęczanina) zatytułowany „Łęckich Olzianek spotkanie wspomnieniowe".

Krótko po jubileuszu 25-lecia „Olzianki" w roku 1988 został ten 25-osobowy zespół rozwiązany a z nim także 15-osobowy męski „Olziok". Obecnie jedynie byłe chórzystki spotykają się co roku, wspominają i śpiewają, ale już tylko dla siebie, w znacznie szczuplejszym gronie. Chodzi przeważnie o pieśni, których się wyuczyły pod dyrekcją Józefa Firli.

W związku ze wspominającymi „Olziankami" przypomina mi się Festyn PZKO Rychwałd 26 czerwca br., na którym, obok „Lutni", wystąpił również 8-osobowy mieszany zespół śpiewaczy „Rychwałdzianie". Jest to wprawdzie chórek miniaturowy, ale jest, schodzi się i występuje publicznie.

Jak zrodził się w Łąkach chór żeński?

Przed wojną, od 1933 roku istniał w Łąkach chór męski. Po założeniu PZKO w roku 1947 powstał chór mieszany, którego dyrygentem stał się nauczyciel Edward Pawlik. Lecz i ten z biegiem lat zaniknął. Dopiero w grudniu 1959 roku na imprezie PZKO „zebrał się na scenie naprędce (spośród obecnych na sali) 50-osobowy chór mieszany, by wykonać kilka popularnych wtedy pieśni. I właśnie na tej imprezie śpiewająca płeć piękna pomyślała o stworzeniu Chóru Żeńskiego". Tu cytuję Głos Ludu z 1.1.1960 roku.

„Rzucona myśl kiełkowała, a dojrzała dopiero na początku 1963 roku. Na dorocznym zebraniu PZKO Łąki w marcu 1971 roku podkreślił prezes Karol Tomiczek w swym sprawozdaniu, że 25-osobowy chór żeński pod kierunkiem Józefa Firli odbył w 1970 roku 48 prób i wystąpił przed publicznością 8 razy". Dnia 11.11.1971 napisał Głos Ludu po jesiennej imprezie PZKO Łąki, że *„w programie wystąpił chór żeński tego Koła po raz pierwszy pod symboliczną nazwą „Olzianka".* Wtedy to jeszcze Koło łęckie liczyło 350 członków. Wtedy nikt nie przewidział, że przyjdą szkody górnicze, które z 2500 mieszkańców wyludnią wioskę do 600, i że w roku 1997 będzie Koło PZKO liczyło już tylko 135 członków.

Od roku 1988 nie ma więc ani żeńskiej „Olzianki" ani męskiego „Olzioka", a ich członkowie będą od czasu do czasu spotykali się, wspominali i śpiewali już tylko sami dla siebie. Szkoda, że przed 9 laty nie powołano do życia mieszanego zespołu śpiewaczego „Olzianie", który kontynuował by tradycję chóralną od 1933 roku.

JÓZEF RASZYK
Karwina 6



... MŁODUCHI MIAŁY BIOŁE WINUSZKI NA GŁOWIE...

A jako kiedysi wiesieli wyglóndało? – *Jój, Wiesieli, to było siumne! To ci z tych gróni, a z tych dziedzin to wszecko pieszo chodziło, pieszo a muzyka, to ci szło! A śpiywali, a po ceście sie ciynstowali, a każdego, gdo szeł, to ciynstowali, dowali ludzióm „tu pij, tu pij..."* – A jako młoducha? Jako wyglóndała? – *Młoducha była, tóż nikiere były w biołych siatach, a niekiere w tych krojach. To było piekne! Miały krasne wszecko, to na głowie miały taki... młoduchi miały biołe winuszki na głowie, a drużki były, tak ty miały zaś rużowe na głowie, no, no a to potym jak przyszli po tóm młoduche, tak zamykali, że, na dźwiyrze burzili, a tam zaś „co tu chcecie", „no my przyśli, chladómy tu gołómbićke" a tak, a tak, aż potym ich puścili. No a jak... a muzykanci grali wdycki*

Pojedziemy na łów, na łów
towarzisiu mój

jak szli po młoduchym, a niejpiyrwej przyniyśli talyrz, na tym talyrzu wóniónćki a kapesniki. No a żynich prawi: „To sie eście, to nima uno, co jo chcym". Na tak zaś starosta powiedzioł „pujdym chladać", tak szeł zaś chladać, a ci zaś zie ty muzykancio zaś grali:

Pojedziemy na łów, na łów
towarzisiu mój.
Na łów, na łów, na łowy,
do zielónej dómbrowy
towarzisiu mój.

A uź potym przykludzili małóm druzićke, takóm malućkóm, nikiero umiała pieknóm takóm... basnićke pieknóm, to zaś nikierej

◀ *fot. FRANCISZEK BAŁON*

drużba ji zaś doł aji ziynich piynć korun, dziesiynć korun, tej drużećce, no to eście ni ma, bo kiejsi aji wielki druźki bywały. „Eszcze ni ma to, eście musicie iść chladać", „no dobrze", tóż szeł, a muzykancio zaś grali

... do zielónej dómbrowy
towarzisiu mój.

To przikłudzili uż tóm wielkóm drużke. „No, tak dobre", prawi „Tóż to by uż było, ale tóż", żynich powiado „to eszcze ni ma uno". Tóż dlo jednego to je. No. Drużba prawi: „Tóż jo by se to aji wziół, tak no". Tak dobre. „No tak eście musicie iść chladać". Tak eszcze szeł, chladoł a zaś eszcze grali dali to, no. I jako „Pojedziemy na łów" to uż eszcze grali, a za tyn czas tyn zaś przikludził młoduche. No tak młoducha prziśła, no i potym uż powiedzioł: „No, to uż je to, co jo chladoł". A potym dali im stołek że, a klynkli se obo na stołek, a ci rodzicze dali pożegnani im, no a potym szli do kościoła. A jak szli do kościoła to zaś śpiywali... ...jujuj, jo se ni możym spómnieć tóm pieśniczke... ...Ni możym se spómnieć. – To nieskorzi. –

No i szli do tego kościoła. No i prziszli do kościoła, no tam do kościoła szeł drużba z niewiastóm, ja, a żynich z drużkóm. Jak prziszli do kościoła, tak drużba łodstómpił, a żynich sieł jako ku tej swojí, to aby potym. Potym przisieł ksiónd i zezdoł ich, to był piekne no, potym śli do gospody. A tańcowali w gospodzie, potym śli na obiod, no poobiadwali a zaś tańcowali, tam uż to prziniyśli do gospody, to jedzyni, a muzyka rznyła, to było, zaś śpiywali, no a czakacie chodzili, stare babki, młodzi, chłopi, starzi, a tak na tych ławach siedzieli a dziwali sie zaś cudzi escie sie dziwali na tych, to byli ci czakacie. A wiesielnicy zaś ich ciynstowali, a to kogo znali, a tak to piekne to było. A gazdowie jak uż potym łod gazdy, jak uż było, to uż było bogate wiesieli, to uż nie śli pieszki, to uź każdy mioł kolasy, to na tych kolasach sie woziło, też to piekne było... A wieciór, jak sli ku wiecierzi, to jak było uż jedynost godzin, pół dwanostej tak szli ku wiecierzi du dómu ci wiesielnicy wsiecy. A muzykancio zostali eszcze w tym, w gospodzie, a grali, a ci czakacie eszcze tańcowali. A ci wiesielnicy śli ku ku wiecierzi. No tak przi tej wiecierzi, przed wiecierzóm tóż tóm młoduche ciepili. Zaciepili pieknie a śpiywali przi tym, a jak to zaciepili, tak jakigosi chłopa ku ni posadzili a ziynich to nie śmioł wiedzieć. Przikryli ich płachtami, a teraz przikludzili żynicha a powiedzieli: „Tak se musisz poznać tóm swojóm". No a nie było widzieć, bo byli zakryci ni? A to un jynóm tak potym jynóm chladoł a to, kiela razy na tego

chłopa to trefił, tak sie śmioli: „No nie ugodnył zieś, musiś dać pół litra. Potym zaś rano, to uzaś wdycki mu chcieli ukraść, no aji ukradli kiela razy galaty albo bóty. No zaś ni mioł, zaś musioł iść chladać, zaś i pół litra, to ci było srandy wdycki przi tym. No i potym po wiecierzi, jak śli zaś to tej gospody jeszcze, tóż tam przizli a tóż muzykancio im wygrowali, a tańcowali potym biołego. Miała piekny bioły fortuch wszecko piekne, a uż tak sie pióno jako no a tóż tańcowali potym biołego, tyn taniec. – Biołego? – *Biołego to nazywali. To taki koło zrobili, a ta młoducha z tym żynichym tańcowali, ta niewiasta ja, sami dwo solo. A wszicki tak to wystrzidowali, zie, tak a tak ażuż mieli wszeckich po z to, tak potym wszecy tańcowali dogrómady. Wszecy tańcowali dogrómady a śpiywali aż do rana sie bawili. No.* – A co uni, jaki pieśnićki śpiywali, bo tam rozmajite pieśnićki śpiywali. – *Jujuj! To śpiywali pieśniciek wszelijakich no.* – A jaki? – *No, śpiywali. Wszelijaki, no taki,* – No, doprowdy śpiywali „Sto lat". – *„Sto lat", to śpiywali, jak sie przipijali. „Sto lat, sto lat, niech żyje żyje nam...". A potym śpiywali wszelijaki pieśnićki. Jako sie kómu, jako, co to „O szumawie" a kany jaki pieśnićki.* – Aji cieski aji polski. – *Aji czeski aji polski śpiywali no. Śpiywali aji „Ojcowski dóm".*

A co jedli na tym wiesielu? Co tam wsiecko było? – *Kiejsi ze zaciatku to nie dowali tak jako teraz. No tóż kiejsi aji placków napiykli abo wórszt nakroli na koluszka, chleba dali, polywke dali, abo miynso jakisi upiecióne, a nie robili taki dziwy jako teraz.* – *A kupa kołoci było.* – *A kołoci dowali kupa, kupa kołoci sie to. To aji potym tym, tym ciakacióm dowali. Każdymu po kołocićku dostali, no. A u tych panów u tych gor panów co byli, to uż też wszecko było a to tych gości z kolasami pozprziwożali, każdego, każdy gość, posłali kolase, prziwióz ich du dómu. Żodyn tam nie szeł pieszki na wiesieli, ale każdego prziwiyźli z kolasóm du dómu. Posłali uż tam, a ci uż byli gotowi, siedli a uż to a jak prziszli wszecy byli, tak potym jedli.* – A pili fest. – *Pili też.* – *A co pili?* – *No pili. Gorzołke, wino, piwo, zodówki...* – A kupa łoźrałych było? – *Jako na kierych wiesielach, no tóż, ale niejwiyncej, na wszeckich wiesielach byli pijani. A eście bardzi u tych panów, jako u tych, ci sie bardzo eście nacióngali.*

Opowiadała Maria Szotkowska. Zapis z książki Jarosława Lipowskiego „Roz widzieli straśne łognie ku Ciantoryi...".



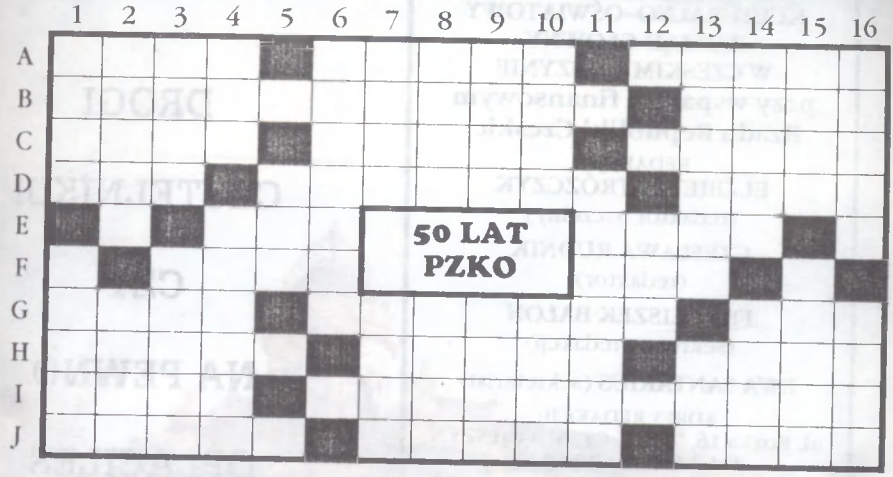
UCZ SIĘ PILNIE, ABYŚ NIE MUSIAŁ ZOSTAĆ NAUCZYCIELEM



... A JA MAM CÓRKĘ I SYNA NA STUDIACH

rys. BRONISŁAW LIBERDA

KRZYŻÓWKA



Pierwszy Dom PZKO z prawdziwego zdarzenia otwarto w 1967 roku w Trzanowicach. Koła Miejscowe są obecnie właścicielami 39 Domów PZKO i świetlic. Okazałym i licznie odwiedzanym jest ... (patrz rozwiązanie dodatkowe krzyżówki).

POZIOMO: A. Matka Izaaka; asysta, orszak; fiskus. **B.** Przedpłata; imię Scharifa. **C.** Księgarz i wydawca (Michał, 1840-1916); obce imię żeńskie; brazylijski pisarz (Jorge). **D.** Imię Taylor; rzeź; bezwonny gaz palny. **E.** Rosyjski samochód osobowy; gatunek małpiatki. **F.** Tytuł Mussoliniego; x. **G.** Flisak; lekka, ażurowa tkanina; drzewo iglaste. **H.** Pieszczotliwie o małżonku; wystąpienie wezbranej rzeki z brzegów; 1/100 dolara. **I.** Zgryz po czesku; powlekanie obrazu warstwą przeźroczystej farby. **J.** Imię Stanek; napisał „Jezioro Bodeńskie"; germanista duński.

PIONOWO: 1. Aktor czeski; rosyjskie miasto portowe nad rzeką Tom. **2.** Córka Marka Aureliusza i Faustyny; graba. **3.** Miasto nad Iną; okres pełnienia służby w szpitalu. **4.** Organ Tureckiej Partii Robotniczej; lud zamieszkujący RPA i Lesoto. **5.** Rzymskimi cyframi 1099. **6.** Odważny człowiek. **7.** Wyodrębniona graficznie linijka wiersza; insekt. **8.** Miejscowość w Grecji; najwyższy szczyt w Tatrach polskich. **9.** Czołg; imię męskie. **10.** Olejek różany; dopływ Tybru we Włoszech. **11.** Składowy ton dźwięku. **12.** Płynie jak Wisła szeroka. **13.** Bankiet, uczta; Iwan IV Groźny. **14.** Rodzina słynnych lutników w Cremonie; wartość. **15.** Wskazówka; koniec po łacinie. **16.** Narzędzie rolnicze; kotlet, zraz.

Wyrazy trudne: ANT, ARRIA, IRIA, NERA, RASK.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: C-15, G-9, H-1, B-1, E-12, H-9, J-15, A-13, C-6, H-3, A-7, G-15, B-16, D-9, J-4, F-11, H-7, D-2, J-9, F-4, A-15, G-3, H-11, C-3, A-8, H-14, D-10, G-4, C-8, H-13, I-2, B-5, J-16, B-13, A-6, G-14, I-15, B-7, D-1, F-5, H-4.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca września.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU LIPCOWEGO:

Hasło: **„Nigdy nie zaginie w Beskidach śpiywani".**

Hasło wykreślanki: **„Poznaj swoją okolicę!".**

Spośród tych, którzy przesłali do nas rozwiązanie tylko jednej krzyżówki, nagrody książkowe wylosowali:

Helena Kotula - Czeski Cieszyn, **Agnieszka Ormaniec** - Czeski Cieszyn, **Janina Prochazka** - Karwina-Mizerów.

Za rozwiązanie dwu krzyżówek nagrody rozlosowane zostały następująco: **Maria Danelowa** - Hawierzów-Miasto, **Beata Cimała** - Orłowa-Lutynia, **Adolf Staszewski** - Czeski Cieszyn.

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO–OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE
przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
EWA SANTARIUS (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
WILHELM PRZECZEK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇAK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 144,– Kč, z wysyłką pocztową 186,– Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

DROGI CZYTELNIKU! CZY NA PEWNO OPŁACIŁEŚ PRENUMERATĘ ZWROTU NA ROK 1997?

TACY JESTEŚMY



DOM POLSKI W OSTRAWIE

Secesyjny budynek, którego historia sięga drugiej połowy XIX wieku. Wybudowany ze składek polskich robotników, przybyłych do Ostrawy w poszukiwaniu zarobku, i cegiełek światłych obywateli królewskiego miasta Krakowa. Otwarty w roku 1900 przyciągał osobistości świata kultury i polityki. Tu znalazły swoją siedzibę różne polskie organizacje. Po wojnie pieczę nad budynkiem sprawowała Ludowa Spółdzielnia Dom Polski. Od roku 1980 budynek przejęła czeska spółdzielnia Budoucnost.

Odzyskany i wyremontowany przez grupę polskich działaczy od roku 1992 należy do najbardziej reprezentacyjnych budynków w Ostrawie. Dom Polski jako centrum biznesu i kultury jest miejscem spotkań polskich i czeskich polityków, służy upowszechnianiu polskiej kultury i nauki, daje siedzibę polskim organizacjom gospodarczym i kulturalnym. Dysponuje atrakcyjnymi pomieszczeniami hotelowymi i gastronomicznymi.

NASZE ZESPOŁY



„SUSZANIE“

Początki Zespołu Pieśni i Tańca „Suszanie“, działającego przy MK PZKO Sucha Górna, to rok 1953. Od roku 1968 zespołem kieruje Janina Rzyman, kierownikiem pięcioosobowej kapeli jest Leon Buława. Aktualnie zespół łącznie z kapelą liczy 34 członków, w wieku od 15 (tancerze) do 68 lat (kontrabasista)! Zespół ma regularnie dwa razy w tygodniu próby w górnosuskiej szkole.

Liczne występy „Suszan“ są znane na całym naszym terenie. Zespół występował też we Francji, w Polsce i w krajach byłej Jugosławii. W roku 1989 i 1996 uczestniczył w Światowym Festiwalu Zespołów Polonijnych w Rzeszowie (1996 – wyróżnienie jury festiwalu). „Suszanie“ uczestniczą również, nieprzerwanie od dziesięciu lat, w Tygodniu Kultury Beskidzkiej.

Zespół Pieśni i Tańca „Suszanie“ jest członkiem „Folklorního sdružení“ w Pradze i „Folklorního sdružení Těšínského Slezska“ w Karwinie (tu jako jedyny wśród naszych zespołów).

Zwrot
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ
10/97



ZJAZD PZKO

TACY BYLIŚMY



Męska Rzemieślnicza Drużyna im. ks. Franciszka Moronia w Dolnym Żukowie.

Stoją od lewej: Rudolf Kokotek, Jan Żurek, Antoni Ptoszek, Karol Halama, Gustaw Kubeczka, Henryk Gajda, Karol Nawrot. Siedzą od lewej: Jan Matuszek (harcmistrz, zginął w Oświęcimiu), Ludwik Borowski, Jan Halama (wójt Żukowa, patron drużyny), Stanisław Halama (brat Jana), Ludwik Moj.

Fotografia została wykonana w roku 1937, udostępniona redakcji przez p. Jana Drobisza z Czeskiego Cieszyna.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLVIII Nr 575 Cena numeru 12,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 15,50 Kč

10/97

Książnica Cieszyńska

W NUMERZE

[3]	Przed Zjazdem	JERZY CZAP
[7]	PZKO na łamach „Zwrotu“	
[18]	Leksykon PZKO od strony warsztatowej	STANISŁAW ZAHRADNIK
[22]	Zjazdy PZKO na wesoło	
[24]	Nad otwartą kroniką	F. G.
[25]	Ofiarny stos	EDWARD BUŁAWA
[31]	Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (10)	ALOJZY NOWOK
[39]	Dochowali wierności przysiędze	JAN MACURA
[42]	Poezja Gustawa Sajdoka	
[44]	Ivan Binar: Gadanie do śpiącej kotki	
[47]	Renata Putzlacher - Moje fascynacje	
[50]	Listy rencisty	
[51]	To i owo	
[55]	Tu Antarktyka	ANTONI STRZYBNY
[60]	„Skotniczka“ w Zielonej Górze	J. L.
[62]	Echo wydarzeń muzycznych	JÓZEF WIERZGOŃ
[66]	Na naszej scenie	
[69]	Na półkach księgarskich	
[70]	Kronika	
[79]	Krzyżówka	

Numer zamknięto 15. 9. 1997
1. str. okładki - Sztandar PZKO w pochodzie festiwalowym



Podpisanie pierwszego statutu PZKO – 1947
Od lewej: Paweł Trombik, Stefan Cichy, Jan Krzan, Jan Pribula, siedzi: Jan Jureczka



Zarząd Główny PZKO – 1955/57 – Siedzą od lewej: Franciszek Szarowski, Bogumił Goj, Zofia Kowalczyk, Anna Zawadzka, Józef Mrózek, Wanda Pribula, Elżbieta Tesarczyk, Paweł Kubisz, Adolf Kubeczka; w środku: Henryk Szmeja, Józef Stebel, Paweł Josiek, Eugeniusz Suchanek, Jan Pribula, Fryderyk Gogółka, Józef Jura, Józef Bugdol, Franciszek Dal; Stoją u góry: Józef Wantuła, Karol Wronka, Stefan Mamoń, Władysław Pałka, Rudolf Wójcik, dr Jozef Mazurek, Alfred Kocur.

PRZED ZJAZDEM

25 października, za kilka dni, odbędzie się kolejny w 50-letniej historii Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego XVIII Zjazd Delegatów.

Czteroletnia kadencja naczelnych władz Związku dobiega końca. Na Zjeździe poddamy ocenie działalność Zarządu Głównego oraz jego Biura. Sprawdzimy aktualną kondycję PZKO, wybierzemy nowe władze i wyznaczymy im program, według którego miałyby pokierować Związkiem tak, aby dalej pomyślnie się rozwijał. Takie są społeczne oczekiwania naszego polskiego środowiska.

Zanim dojdziemy do wniosków na przyszłość, chcę w wielkim skrócie wrócić do tego, co wydarzyło się pomiędzy 20.3.1993 a 25.10.1997.

Uważam, że Zarząd Główny i Biuro zareagowały prawidłowo na zmiany społeczno-polityczne i nowe warunki ekonomiczne, doceniając powagę wydarzeń i starając się im sprostać. Najtrudniejsza sytuacja była w roku 1994, kiedy to nieoczekiwanie obcięto państwowe dotacje dla organizacji społecznych, w tym również dla PZKO. To spowodowało zwolnienia części pracowników Biura ZG, a pozostałych zmusiło do poszukiwania takich rozwiązań, które pozwoliłyby zrealizować zaplanowany program. Nie było to proste, a niestety często odnosimy wrażenie, że nasza społeczność nie dostrzega zmian i trudności zaistniałych w nowej sytuacji. A przecież niemalże cudem było uratowanie przed rozwiązaniem Teatru Lalek „Bajka" w sytuacji, kiedy przez dwa lata nie otrzymywaliśmy na niego odpowiednich funduszy z Ministerstwa Kultury, a ogólnie w systemie dotacyjnym nie były przewidziane kwoty na utrzymanie pracowników etatowych. Naturalnie taka sytuacja spowodowała tarcia i konflikty. Zmaganie się z trudnościami finansowymi znajduje odniesienia w realizacji działalności statutowej. Jednak ilość imprez centralnych i obwodowych, a z pozycji ZG i Biura o te właśnie chodziło, w ciągu następnych lat nie uległa poważniejszemu ograniczeniu i były one na wysokim poziomie.

A to przecież również dzięki ciągle aktywnym pezetkaowcom w Kołach.

Rok 1995 był Rokiem Kultury Ludowej. W Karwinie odbył się Festiwal PZKO, swój dorobek zaprezentowaliśmy na wystawach

historycznej i sztuk plastycznych, nie tylko w regionie, ale i poza jego granicami, a także w Polsce. W obwodach zwołano sejmiki o kulturze. Jakby wbrew wszelkim przeciwnościom w tym czasie udało się obdarować nasz Teatr Lalek „Bajka" własnym pomieszczeniem z pełnym zapleczem i salą dla 70 widzów.

Idei ożywienia działalności poprzez zaangażowanie młodszego i średniego pokolenia podporządkowane było przygotowanie programu działalności kulturalnej w roku 50-lecia Związku. Mamy świeżo w pamięci wspaniałe PZKO-wskie imprezy tego roku: Festiwal w Karwinie, 50. Gorolski Święto w Jabłonkowie, Festiwal Piosenki Dziecięcej, koncerty, dożynki, festyny, wystawy i wiele innych. Wzbudza to podziw i szacunek, zwłaszcza przyjezdnych i gości. W roku jubileuszowym szczycimy się wydaniem publikacji o 50-letniej historii i dorobku naszego Związku – Leksykonem PZKO.

Te osiągnięcia i sukcesy to jedna strona medalu, ta pozytywna, która pokazuje, że PZKO jest organizacją mocno wrośniętą w polskie społeczeństwo i region, że wszystkie nasze działania można zrealizować dzięki dotychczasowym strukturom i sprawdzonym metodom. Jednak nie można nie zauważyć, że zmiany społeczno-polityczne, twarda gospodarka rynkowa, komercjalizacja życia publicznego, wycofanie się instytucji państwa z mecenatu, import innych wartości i innej kultury – wpływają, niestety, destrukcyjnie na działalność naszego Związku. Nie bez znaczenia i wpływu na to pozostają również spory i niedomówienia wewnątrz polskiej społeczności. Odczuwalna jest ogólnie zmiana myślenia, pasywność lub obojętność wobec spraw narodowych i wartości patriotycznych. Stąd biorą się nasze kłopoty w szkolnictwie. Związek zawsze działał – i taką rolę chce nadal zachować – by pobudzać do patriotycznego myślenia. Na Zjeździe musimy opracować i przyjąć taki program działalności PZKO, który pozwoli te wartości zachować z myślą o przyszłych naszych pokoleniach. Musimy dostrzec problemy i potrzeby młodych, przekazując im to, co pozytywne z naszej historii, a jednocześnie dać szansę realizacji własnych pomysłów. Przede wszystkim jednak trzeba zadbać o ekonomiczną niezależność, co – jak się okazało dotychczas – jest problemem najtrudniejszym. Przykładem tego jest hotel „Piast". Wielokrotne próby i zabiegi wyprowadzenia go z kryzysu nie przyniosły spodziewanego efektu, a wręcz odwrotnie, skomplikowały sytuację.

Polski Związek Kulturalno-Oświatowy przez ostatnie cztery lata nie żył sam dla siebie, ani nie zamknął się w skansenie. Chcemy nadal tak postępować. Zakres współpracy zarówno z instytucjami i organizacjami u nas, w Polsce a także w innych krajach był i jest bardzo szeroki. Nasze tradycyjne długoletnie kontakty i współpracę z instytucjami i towarzystwami w Polsce poszerzyliśmy o nowe, bo takie jest zapotrzebowanie jednej i drugiej strony.

Cieszy zwłaszcza fakt, że udało się nam podjąć współpracę z instytucjami w naszym regionie. Dotyczy to urzędów miast w Karwinie i Cz. Cieszynie, w Jabłonkowie i Hawierzowie, ale także w gminach. Dotyczy to także Muzeum Cieszyńskiego i Miejskiego Ośrodka Kultury w Czeskim Cieszynie, Archiwum Powiatowego w Karwinie, służb celnych i granicznych, zarządu Huty Trzyniec i energetyki, Silva Art i innych przedsiębiorstw. Wspomagani byliśmy przez wojewodów: bielskiego i opolskiego, wojewódzkie wydziały kultury, a za ich pośrednictwem przez różne instytucje w województwach bielskim i opolskim. Jesteśmy za tę współpracę wdzięczni. Utrzymujemy dobre kontakty z Konsulatem Generalnym RP w Ostrawie.

Chcemy, aby poprzez bliskie kontakty z Polską nasza młodzież uczyła się i umacniała swój patriotyzm. Największą pomoc w tym zakresie otrzymujemy od Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", Ministerstwa Kultury i Sztuki i Ministerstwa Edukacji Narodowej RP.

Chcę podkreślić, że bez bezpośredniej pomocy i wsparcia tych instytucji, wielu naszych przedsięwzięć i imprez kulturalnych na Zaolziu nie można by zrealizować.

W ciągu czterech ostatnich lat PZKO poszerzyło swoje kontakty z Polakami i Polonią w innych krajach, propagując wśród rodaków naszą organizację, dorobek i naszą małą ojczyznę. To wszystko, co w tym tekście w skrócie poruszyłem, a przede wszystkim program i kierunek działań PZKO, muszą delegaci na Zjeździe przedyskutować, by móc podjąć odpowiednie uchwały. Dyskusja powinna być konstruktywna i prowadzona z kulturą, by nie zniechęciła do dalszej aktywności w pracy społecznej tych, którzy jeszcze takie chęci posiadają. Dotychczasowy dorobek PZKO jest niepodważalny i należy go utrzymać. To jednak wymaga stale wielu społeczników. Nie ulega wątpliwości, że PZKO jest jedyną organizacją integrującą w tak szerokim zasięgu polską zaolziańską społeczność. Szkoda, że tego nie zrozumiano na odpowiednich miejscach i we właściwym czasie, tworząc tzw. formacje obywatelskie i podważając rolę PZKO.

Zastanawiając się nad tym, jak sobie wyobrażamy dalszy rozwój mniejszości polskiej na Zaolziu, dojdziemy zgodnie do wniosku, że tylko poprzez aktywną działalność w PZKO. XVIII Zjazd to z pewnością potwierdzi.

JERZY CZAP
prezes PZKO



Chor mieszany MK PZKO Guty (1956)



MK PZKO Karwina 2–Granice – Przedstawienie „Skalmierzanki" (30. 3. 1958)

PZKO NA ŁAMACH "ZWROTU"

PZKO istnieje pięćdziesiąt lat. To szmat czasu w życiu człowieka, wiele wydarzeń, kawał historii. Pamięć ludzka jest zawodna. Chętnie wymazujemy z pamięci to, co niewygodne, żenujące. Staramy się pokazać siebie wobec wydarzeń minionych w jak najdogodniejszym świetle. Ale fakty są nieubłagane. Słowo pisane pozostaje. Pamięć historyczna trwa. Po to, by dawać świadectwo o czasie minionym, po to, by przestrzegać, po to, by pomagać uniknąć po raz drugi tych samych błędów. Wplątani w machinę wydarzeń historycznych usprawiedliwiamy się, że jesteśmy tylko świadkami, nie mamy wpływu, historia biegnie obok nas niezależnie od naszych myśli i czynów.

Pięćdziesiąt lat PZKO to kawałek dziejów naszej ziemi. Warunków polityczno-społecznych, w jakich przyszło nam wtedy żyć, warunków znajdujących odbicie również w pracy naszej organizacji, w pracy PZKO.

Proponujemy dziś, z okazji przebiegającego w tym miesiącu XVIII Zjazdu, spojrzenie na PZKO od strony ideologii, otoczki politycznej, klimatu, który warunkował jej istnienie i jej działalność. Bez komentarza. Bez nazwisk autorów czy bohaterów. Z datami jedynie. Są to fragmenty artykułów, przemówień, wywiadów, komentarzy, jakie ukazywały się na łamach „Zwrotu" od jego powstania aż po dni najnowsze.

luty 1950

Nie istnieje i istnieć nie może kultura sama w sobie w oderwaniu od warunków ekonomicznych i politycznych społeczeństwa, którego jest wytworem.

Nową polską kulturę na Śląsku Cieszyńskim mamy szczęście i radość budować w okresie 5-letniego planu gospodarczego, tego planu, który wybuduje podwaliny socjalizmu w Czechosłowacji, socjalizmu, który nie tylko, że przyniesie nam stale wzrastający dobrobyt, ale który ostatecznie uwolni nas, mieszkańców Śląska Cieszyńskiego, zarówno Polaków jak i Czechów, od przeklętego dziedzictwa kapitalizmu – od jadu nacjonalizmu i szowinizmu.

PZKO poprzez swą działalność kulturalną musi propagować nowy socjalistyczny stosunek do pracy, pobudzać i podkreślać wszelkie przejawy tego nowego stosunku jak współzawodnictwo pracy, racjonalizatorstwo, wynalazczość robotniczą itp.

Jednym z zadań PZKO jest przystosowanie swej działalności kulturalnej do potrzeb i możliwości wypoczywającego po pracy człowieka.

Zarówno prasa, jak referaty, jak przede wszystkim świetlice, zarówno kino, jak teatr, jak malarstwo i rzeźba, zarówno muzyka, jak

sztuka ludowa, jak literatura, jak czytelnictwo – wszystko, wszystko skierowane może i musi być dla jednego najważniejszego celu, żeby ludzie pracy zrozumieli, w jakiej żyjemy rzeczywistości społecznej, dokąd zmierzamy, kto jest naszym przyjacielem i kto jest naszym wrogiem.

Niech świetlice nasze tętnią przede wszystkim wesołym, młodym, optymistycznym życiem, niech ze ścian świetlic śmieją się fotografie przodowników pracy, artystycznie ułożone hasła, niechże na ścianach świetlic pojawią się nareszcie dzieła sztuki naszych artystów-malarzy, gloryfikujących nowego człowieka, gloryfikujących piękno naszej walki.

marzec 1950

17 marzec 1950 roku to nie tylko data I Zjazdu Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji, ale to historyczny moment pierwszego organizacyjnego zjednoczenia ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim w ramach jednej, silnej, postępowej organizacji. Zjednoczone PZKO przejmuje więc wielką odpowiedzialność za rozwój polskiej kultury i oświaty na Śląsku Cieszyńskim.

maj 1951

PZKO jako instytucja kulturalna, która w swych szeregach skupia kilkanaście tysięcy członków, interesowała się dotychczas szerzeniem kultury postępowej wśród społeczeństwa polskiego w Czechosłowacji. Trzeba przyznać, że PZKO i jego miejscowe koła terenowe robiły to nawet z wielkim powodzeniem, spełniając postulat organizacji masowej o krajowym zasięgu. Organizacja ta według ilości wykonanej pracy mogła nieraz służyć za wzór innym bratnim organizacjom w kraju śląsko-ostrawskim, które nie zawsze umiały u siebie zastosować nowe metody pracy oświatowej i społecznej (np. świetlice). Jednakże ideologicznie PZKO zbyt rzadko dawało wyraz publicznie tak potrzebnym w życiu społecznym deklaracjom i ustalaniu swego wyraźnego stosunku względem różnych zagadnień. Ten właśnie czynnik, może przesadnej skromności, przyczynił się do postawienia PZKO w stan swoistego impasu i sprzyjał doskonale do stawiania różnych zarzutów pod adresem PZKO, z którymi ten ostatni zazwyczaj nie miał nic wspólnego albo miał tyle wspólnego, że ktoś z tytułu członkostwa sam spotkał się z zarzutem niespołecznego postępowania.

maj 1953

III Zjazd delegatów PZKO wykazał dobitnie i jasno, że społeczeństwo polskie zrzeszone w swej organizacji jest społeczeństwem moralnie



MK PZKO Orłowa 1 – Członkowie Koła na wycieczce na Girowej (29. 7. 1962)



MK PZKO Rychwałd – Mężczyźni w Dniu Kobiet (1966)

zdrowym, że potrafi rozprawić się z każdą chorobą własnego organizmu i wypalić, gdy tego trzeba, nawet gorącym żelazem raka z własnego ciała.

kwiecień 1955

O ile III Zjazd PZKO konstatował zupełny zastój w pracy kulturalno-oświatowej, rozbicie Zarządu Głównego na dwa obozy, brak systemu pracy w sekretariatach, to dzisiaj po dwuletniej działalności możemy stwierdzić, że nastąpił zupełny zwrot w naszej pracy. Udało nam się dzięki sumiennej pracy kilku jednostek zmobilizować nasze świetlice.

lipiec 1955

Uchwała IV Zjazdu, dotycząca rolnictwa, to jasny dokument naszego dotychczasowego nastawienia do tego tak ważnego problemu, nastawienia formalnego, nie sięgającego głębiej, do sedna rzeczy.

Aby jednak zrozumieć konieczność takiej pomocy JSR, trzeba raz na zawsze zerwać z teorią apolityczności, której jeszcze dzisiaj wielu członków PZKO jawnie lub niejawnie hołduje.

Musimy przekonać wszystkich, że praca PZKO nie może ograniczyć się wyłącznie do spraw kultury i oświaty.

Jasno i otwarcie stwierdzić należy, że praca PZKO obejmować musi całokształt zagadnień, które w obecnym czasie domagają się rozwiązania.

styczeń 1956

Budzić i podsycać rewolucję kulturalną, to nasze naczelne zadanie. Co oznacza rewolucja kulturalna dla nas? Przede wszystkim powinniśmy uprzystępnić dobra kultury najszerszym masom w jak największej mierze.

Program rewolucji kulturalnej to walka przeciw starym nawykom przeszłości, to nieustępliwa walka przeciw indywidualizmowi, walka przeciw stanowisku, że człowiek może sobie swoje szczęście wybudować sam, bez pomocy kolektywu, a nawet czasami przeciw niemu.

lipiec 1959

Głównym zadaniem naszej kultury jest oddziaływanie w kierunku jak najintensywniejszego przyswajania sobie przez masy idei komunistycznych, boć życie kulturalne to nie tylko zabawa i rozrywka, ale wszystko to, co wzbogaca życie duchowe człowieka, co aktywnie wpływa na jego poczynania w duchu owych idei.

Naszym hasłem niech będzie: „O kulturę bardziej życiową, o życie

bardziej kulturalne" albo innymi słowy: „Kultura z ludu, dla ludu, z ludem i w imię ludu!"

listopad 1963

Podstawowym zadaniem Związku jest praca wychowawcza, obejmująca zasadnicze problemy pracy masowo-politycznej.

Drugim niemniej ważnym działem pracy związkowej jest działalność kulturalna.

Aby Związek mógł realizować zadania pracy wychowawczej, aby mógł rozwijać owocną i celową działalność kulturalną, konieczna jest dobra organizacja pracy.

kwiecień 1965

Na Zjeździe poruszano problemy, o których do niedawna mówiono tylko w kuluarach zjazdowych, które niepokoiły, psuły krew, ale nie znalazły ujścia w rzetelnej dyskusji, wyjaśniającej te zagadnienia z pozycji liczenia się z rzeczywistością, ze stanem rzeczy, z faktami, możliwościami, na jakie nas stać. Dlatego chyba słusznie padły również z trybuny słowa o potrzebie łączenia skrzydeł uczuć z kompasem rozsądku.

maj 1968

Dominującą w PZKO pozostanie nadal działalność kulturalno-oświatowa w szerszym niż dotychczas zakresie.

Trzeba objąć działalnością ogół społeczeństwa, wpływać na niego, przemawiać poprzez imprezy kulturalne do ogółu obywateli, że tu jesteśmy i kim jesteśmy.

listopad 1968

Nasza postawa podczas wydarzeń sierpniowych była m.in. konsekwencją faktu, że jesteśmy uczuleni na krzywdy wyrządzane narodowi. Może kiedyś dożyjemy się tego, że nasi współobywatele zaczną nas rozumieć tak, jak w ciężkich chwilach rozumieliśmy i rozumiemy my ich.

Właśnie z ich pomocą uda nam się na pewno rozwiązać trudne problemy, przed którymi obecnie stoimy. Jest to np. sprawa, kto ma być rzecznikiem interesów naszej grupy narodowej. W przeszłości, a była to sprawa formalna, jedynym rzecznikiem ludności polskiej była Partia. Jednak w gruncie rzeczy ani partyjne organizacje powiatowe, tym bardziej nie podstawowe, z tego zadania się nie wywiązywały. Kierownictwo KO KPC zaś zajmowało się naszym losem raczej tylko na żądanie komunistów z ZG PZKO. Efekt był taki, że ludność polska, jeżeli



Spotkanie folklorystów w Koniakowie – Od lewej: Eugeniusz Fierla, Adam Wawrosz, dr Daniel Kadłubiec, Anna Wacławik i Gustaw Fierla (1967)



Otwarcie Świetlicy PZKO w Zabłociu (24. 11. 1968)

w ogóle domagała się jakiejś interwencji, dochodzenia krzywd itp., czyniła to zgoła wyłącznie za pośrednictwem PZKO, zaś nasz Związek nie miał odpowiednich prerogatyw, żeby to wszystko mógł załatwiać. Stąd wywodzi się postulat zaakceptowany przez X Zjazd PZKO, by tym rzecznikiem stało się oficjalnie PZKO.

listopad 1969

Plenum ZG PZKO po uprzednim przygotowaniu w partyjnej komisji roboczej i po uzgodnieniach w grupie partyjnej ZG ustosunkowało się do swej działalności po X Zjeździe. W wyniku przeprowadzonej analizy działalności anulowano i odwołano szereg dokumentów, wystąpień i listów z okresu przed i po sierpniu ubiegłego roku.

W burzliwym okresie postyczniowym, zwłaszcza w trakcie prac przygotowawczych nad usprawnieniem problematyki narodowościowej, mogły budzić zastrzeżenia niektóre publikowane sformułowania odnośnie pozycji i funkcji proponowanego przez nas organu przedstawicielskiego. Należy podkreślić, że w naszych założeniach na ten temat nigdy nie mieliśmy na myśli tworzenia organu, ciała, przywłaszczając sobie nie należące mu kompetencje polityczne, organu, wymykającemu się kierowniczej roli Partii. Takie koncepcje w konkretnej naszej sytuacji grupy mniejszościowej były absolutnie nielogiczne. Zbyt bogate są nasze doświadczenia historyczne, żeby wiązać naszą przyszłość z innymi siłami politycznymi niż z marksistowską Partią Komunistyczną.

listopad 1971

Jak przysłowiowa czerwona nić przez wszystkie wypowiedzi dyskusyjne i przez całą atmosferę zjazdową przewijała się (zakrzykiwana na innych, a zwłaszcza na X Zjeździe) świadomość, że czynnikiem decydującym o naszej pozycji wśród innych organizacji społecznych, randze naszego Związku i całej naszej grupy narodowościowej jest nasze aktywne i rzetelne działanie. Zwyciężyło na XI Zjeździe przekonanie, że przesadne skargi, utyskiwanie, wyolbrzymianie pojedynczych zjawisk negatywnych nie mają sensu i przynoszą tylko szkody. Na XI Zjeździe zwyciężyło również przekonanie, że nasze związkowe i nie tylko związkowe działanie kierować się powinno miarą przede wszystkim potrzeb naszego społeczeństwa.

I znowu jak przysłowiowa czerwona nić przewija się w Uchwale XI Zjazdu tendencja bodajże najwartościowsza w naszej pracy, tendencja konsekwentności realizacji podjętych uchwał i zamierzeń. Wytrwałość, upartość i konsekwentność w wymaganiach w stosunku i do aparatu, i do organu, i do terenu zadecyduje o realizacji zamierzeń nie tylko XI

Zjazdu naszego Związku, ale i o stanie posiadania, i o pozycji, i autorytecie całego naszego polskiego społeczeństwa w Czechosłowacji.

czerwiec 1975

W ciągu minionych lat byliśmy aktywnymi współbudowniczymi naszego kraju, współtwórcami jego dóbr materialnych oraz dobra najcenniejszego, jakim są ludzie, ofiarni i pracowici, kadrowi robotnicy, inżynierowie i technicy, spółdzielcy, rolnicy, działacze gospodarczy i społeczni, nauczyciele.

Sprawozdanie zjazdowe a także wypowiedzi delegatów bardzo mocno akcentowały ważność jak najpełniejszego łączenia pracy kulturalno-oświatowej z zadaniami wychowawczymi, podkreślono ważność i wielkie znaczenie pracy społecznej w ogóle.

Wytyczając zadania na odcinku kultury, stwierdził Zjazd konieczność oddziaływania na dalszy rozwój naszej społeczności oraz na wychowanie człowieka socjalizmu. Zadaniu temu zostanie podporządkowana praca zespołów ludowej twórczości artystycznej oraz organów kierujących tą pracą.

lipiec 1979

W życiu naszego społeczeństwa powstały nowe, wyższe wartości, nowe potrzeby i zainteresowania, odpowiadające współczesnemu etapowi rozwoju socjalistycznego stylu życia. Tym właśnie nowym potrzebom PZKO podporządkuje w okresie po swym XIII Zjeździe wszelką działalność związkową. Jej głównym celem będzie podnoszenie na jakościowo wyższy poziom oddziaływania wychowawczego i to we wszystkich formach działalności twórczej, odtwórczej i organizatorskiej.

październik 1987

Według mnie uchwała XIV Zjazdu została zrealizowana. Wiele pracy wykazały zespoły, Koła, przecież to był okres dalszego rozbudowywania zaplecza materialnego PZKO, dalszego wzrostu poziomu zespołów. To wszystko trzeba wysoko ocenić – w gruncie rzeczy na tym opiera się realizacja uchwał. Są pewne rzeczy, których nie udało się rozwiązać, choćby sprawa usprawnienia działalności dużych Kół. Dużo zrobiono w strukturze organizacyjnej, wzrósł poziom pracy komitetów miejskich i obwodowych. Może trochę za mały był postęp w propagacji naszej pracy, choć i tu poczyniono pewne kroki. Była masa imprez, które są oceniane bardzo wysoko – przede wszystkim nasze festiwale, świadczące o wysokim poziomie świadomości członków PZKO. Jestem przekonany, że jeżeli będziemy nadal pracować z taką odpowiedzial-



Otwarcie Domu PZKO Milików–Centrum



„MELPOMENKI 1979" (z prawej Karol Suszka)

nością nie tylko wobec własnej organizacji, ale i całego społeczeństwa, jeżeli tak samo będziemy realizowali uchwały XV Zjazdu PZKO, to w przyszłości znowu śmiało będziemy mogli powiedzieć, że nasz Związek wzorowo pełni swoje zadania.

maj 1990

W niedzielę 25 marca w Domu Przyjaźni w Karwinie-Frysztacie odbył się Nadzwyczajny Zjazd PZKO.

Komisja Rehabilitacyjna została powołana do życia na Plenum ZG PZKO w dniu 9.12.1989.

Komisja rozpatrywała jedynie sprawy osób dyskryminowanych przez PZKO w okresie lat 1969 – 1989. Rehabilitacji zażądało 12 osób.

Komisja stwierdza, iż w warunkach dyktatu politycznego KPCz osoby reprezentujące władze centralne PZKO realizowały odgórnie narzucane i dyskryminujące innych postulaty.

Komisja stwierdziła, iż w Kołach PZKO nie dochodziło do wypadków wzajemnej dyskryminacji. Tysiące uczciwych pezetkaowców zachowało swą postawę patriotyczną. Właśnie takie postawy pezetkaowców pozwoliły, iż Polski Związek Kulturalno-Oświatowy jako jedyny miejscowy związek w warunkach systemu totalitarnego zachował autorytet wśród miejscowej społeczności polskiej.

marzec 1993

Obrady delegatów, którzy dostali mandat swych członków z 93 Miejscowych Kół od Mostów do Bogumina, będą oceną trzyletniej działalności naszego Związku od Nadzwyczajnego Zjazdu w marcu 1990 roku i oceną efektywności pracy Zarządu Głównego. A problemów zaraz od początku jego kadencji nagromadziło się bardzo dużo. Były to przede wszystkim starania o zachowanie Związku w nowych układach społeczno-politycznych. Zarzucano mu 42-letnią działalność w systemie totalitarnym. Można podważać formy i sposoby działalności związkowej, ale absolutnie nie można podważać zasadności jego istnienia.

Jednym z podstawowych zadań w myśl przyjętej uchwały Zjazdu było zapewnienie pomocy dla MK w celu podtrzymania i ożywienia działalności, a zwłaszcza zorganizowanie nowych form działalności gospodarczej w ramach Kół i ZG.

Nie udało się tego w pełni zrealizować. Jedną z przyczyn było i to, że Prezydium ZG było zmuszone poza przyjętym programem działania rozwiązywać w nadzwyczajnym trybie zagadnienia decydujące o zachowaniu stanu posiadania.

Jednym z głównych problemów było znowu odzyskanie Piasta przez

PZKO, jeszcze większym zagospodarowanie hotelu natychmiast po przejęciu, aby była gwarancja jego utrzymania.

styczeń 1994

Nowy Zarząd Główny i Biuro starają się realizować od samego początku zamierzenia programowe przyjęte na Zjeździe. Program oparty tradycyjnie na sprawdzonej działalności i wzbogacony o nowe formy jest bogaty i ambitny. Tymczasem warunki ekonomiczne, w których przychodzi działać, nie są dla organizacji społecznych łatwe, a dla większości naszych członków są nowe, bowiem muszą się podporządkować prawom gospodarki rynkowej.

Pomimo trudności o charakterze ekonomicznym nasza działalność na polu kultury i oświaty nie tylko utrzymuje stale wysoki pułap zaangażowania, ale myślimy (czasem może nieskromnie), że się ożywiła i rozwija.

kwiecień 1995

Mamy wielu wspaniałych społeczników, ale wszyscy musimy się starać, by pewnego dnia na ich miejsce nie zabrakło nowych.

oprac. CZESŁAWA RUDNIK



XV Zjazd PZKO – 1987 (w środku, z medalami, dr Józef Wierzgoń)

LEKSYKON PZKO OD STRONY WARSZTATOWEJ

Na przestrzeni półwiekowego istnienia PZKO pojawiło się kilka jubileuszowych publikacji, z których bezsprzecznie najlepszą, najbardziej udaną jest wydany w br. z okazji 50-lecia Związku Leksykon PZKO. Droga do tego sukcesu nie była łatwa.

Moim celem nie będzie przedstawić czytelnikowi recenzję w klasycznej formie tej publikacji, ale raczej wskazać na warunki, w jakich powstawała, jakie przeszkody należało przezwyciężyć, by osiągnąć zamierzony cel, dalej uzupełnić niektóre dane o jej formie i treści.

Pod koniec 1995 roku wszczęto wstępne kroki w celu opracowania monografii jubileuszowej na 50-lecie PZKO. Miała to być publikacja w klasycznej formie z uwypukleniem historii poszczególnych Miejscowych Kół PZKO. W styczniu 1996 na zebraniu powołanego Komitetu przy ZG PZKO do opracowania publikacji na wniosek Martyny Radłowskiej-Obrusnik postanowiono nadać publikacji formę encyklopedyczną. W ten sposób zrodziła się myśl wydania Leksykonu PZKO (według definicji leksykon to słownik encyklopedyczny o określonym zakresie tematycznym).

Formy takiej w dotychczasowych wydawnictwach PZKO nie stosowano. Dlatego nie było doświadczeń, nie uświadamiano sobie w pełni całego ogromu pracy potrzebnego bezwzględnie do osiągnięcia końcowego efektu. Należało uzgodnić podstawowe dane o formie i treści, ustalić kryteria niezbędne do uzyskania jednolitej całości, wytypować zestaw haseł, biogramów i zapewnić ich opracowanie.

Forma encyklopedyczna ma swoje plusy i minusy. Do pierwszych należy możliwość zawarcia bogactwa wiadomości, danych, dokumentacji w formie haseł w stosunkowo małej objętości publikacji, łatwa orientacja. Natomiast do minusów - trudności metodyczne i merytoryczne przy opracowywaniu, subiektywne podejście w doborze haseł, ich treści i sposobu interpretacji. Lecz w naszym wypadku plusy mocno przeważały.

Redakcję Leksykonu powierzono Martynie Radłowskiej-Obrusnik (kierownik) i Otylii Toboła, które według potrzeby dobierały sobie dalszych współpracowników. Do dyspozycji był też wspomniany Komitet.

Ustalono główne zasady: liczba haseł od 250 do 300; objętość hasła według jego wagi od 0,5 do 1,5 stronicy maszynopisu; tam, gdzie hasło tego wymagało, miało być uzupełnione o materiał dokumenta-

cyjny (głównie fotograficzny); wytypowano autorów do opracowania poszczególnych haseł i biogramów. W trakcie prac nad publikacją zarówno liczba haseł, jak ich autorów, miały być na bieżąco uzupełniane i uściślane. Takie były uzgodnienia początkowe, przynajmniej w sferze teoretycznej. Praktyka okazała się bardziej złożona.

Biorąc do ręki jakąkolwiek publikację charakteru encyklopedycznego, łatwo można się zorientować, że jej autorami są zazwyczaj największe autorytety w danej problematyce, a wszelkie przygotowania przebiegały w sposób wysoce zorganizowany. Redakcja Leksykonu PZKO nie dysponowała odpowiednimi kadrami autorskimi z potrzebnymi doświadczeniami, dostatkiem czasu czy odpowiednim warsztatem pracy.

W trakcie realizacji zadania zaczęły wyłaniać się różnego rodzaju problemy zarówno metodycznego, jak i merytorycznego charakteru. Wspomnę tylko o niektórych z nich. Licząc się z mentalnością ludzką, starano się wyeliminować ewentualne nieporozumienia na tle doboru biogramów czołowych działaczy związkowych, a to przez uwzględnianie tylko osób nieżyjących. W praktyce nie można było tego w stu procentach dotrzymać. Innym problemem były hasła poszczególnych Kół Miejscowych. Według założeń miały je sobie opracować Koła, a końcową redakcję przeprowadzić redakcja Leksykonu. Koła często nie trzymały się podanych informacji o sposobie opracowania haseł, podając własną jego wizję, nie dotrzymywały terminów. Kilka Kół w ogóle zbagatelizowało sprawę, a przecież była to jedyna tego rodzaju okazja do zaprezentowania egzystencji Koła i jego osiągnięć. Również reszta autorów haseł nie zawsze wywiązała się z uzgodnionych warunków.

Dlatego redakcja Leksykonu była zmuszona penetrować teren związkowy, z dużym nakładem wysiłku i czasu kompletować potrzebne dane, przeprowadzać konsultacje, prosić, nalegać, przekonywać, wymagać. W równym stopniu odnosiło się to i do kompletowania dokumentacji. Dzięki ofiarności szczupłego grona na czele z w/w redaktorkami udało się w końcu pomyślnie w planowanym terminie ukończyć pracę.

Z pewnością Leksykon PZKO wszystkich czytelników w zupełności nie zadowoli, bo jest to po prostu niemożliwe. Zastrzeżenia wobec publikacji można mieć dwojakiego rodzaju: którym redakcja mogła i nie mogła zapobiec. Do tych pierwszych należy przede wszystkim pominięcie niektórych haseł (np. MK Żywocice, zespół Parafraza itp.). Nie miało do tego dojść, ale uwzględniając warunki, w jakich rodził się Leksykon, nie należy do redakcji mieć żalu. Dalej Leksykon nie uwzględnia niektórych podstawowych danych o jego formie i treści, czy to w stopce redakcyjnej, czy też we wstępie. Dlatego uzupełniam:
na 286 stronicach (w tym 3 nieliczbowane) znajdujemy:
Wprowadzenie prezesa ZG PZKO (w języku polskim i czeskim, 4 s.). Przed rozpoczęciem lektury ... (wstęp redakcji, 2 s.), 296 haseł

rzeczowych, pojęciowych, biogramów, 377 zdjęć dokumentacyjnych, około 20 ilustracji, dziesiątki tabelek, zestawień statystycznych, 2 bardzo cenne, oryginalne mapki Zaolzia.

35 autorów-związkowców opracowało 81 haseł, reszta - 215 haseł było dziełem redakcji Leksykonu. Więcej niż trzy hasła opracowali: Alojzy Kaleta (5), Józef Kazik (3), Halina Kowalczyk (4), Helena Legowicz (5), Jan Przywara (3), Jan Szymik (3), Emil Sztabla (3), Józef Wierzgoń (3), Stanisław Zahradnik (19), J.T. (3).

Pewne zastrzeżenia budzi dobór haseł i ich treść. Ale tu wchodzi w grę czynnik ludzki. Na przykład w Zwrocie nr 8/97 znajdujemy uwagę o braku zasłużonego działacza Henryka Tomana z Piotrowic. W takich wypadkach pretensje powinni mieć wyłącznie do siebie przedstawiciele Kół PZKO, bo właśnie oni byli autorami haseł o MK i są odpowiedzialni za ich treść. Sporadycznie mogą też pojawić się uwagi co do ilości i jakości zdjęć dokumentacyjnych, w tym wypadku redakcja była w trudnym położeniu, bo nie zawsze istniał odpowiedni materiał fotograficzny, a w ogóle dotarcie do niego nie było łatwe. Pomimo wszystko wydaje mi się, że autorzy haseł, dokumentacji i redakcja mogli w większej mierze korzystać z materiałów znajdujących się w Archiwum Związkowym PZKO.

Okazało się, że zastosowana forma publikacji jubileuszowej - słownika encyklopedycznego, czyli Leksykonu PZKO - zdała całkowicie egzamin. W pięknie oprawionej książce można było w formie haseł uszeregowanych alfabetycznie przedstawić główne wydarzenia, godne podkreślenia momenty na przestrzeni 50-letniego istnienia PZKO. Dzięki pracy garstki pezetkaowców prezentuje wysoki poziom zarówno pod względem treści, jak i graficznego opracowania. Niektóre mniej istotne niedociągnięcia należy przypisać na karb warunków, w jakich dzieło było realizowane.

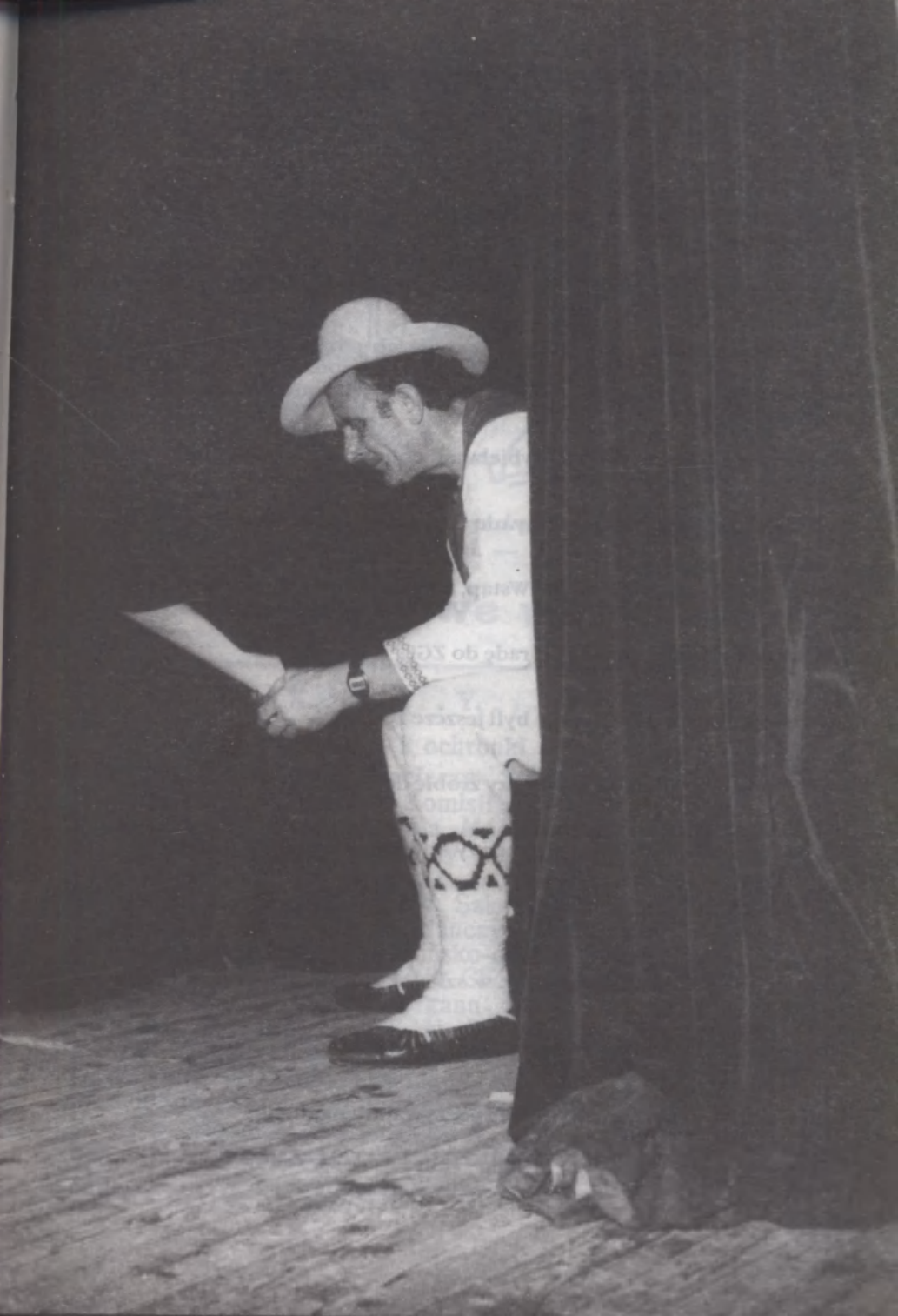
Leksykon PZKO - to również obraz życia kulturalno-oświatowego społeczności polskiej w trudnych czasach komunistycznej wszechwładzy. Obraz ten równocześnie świadczy o tym, że aktywność społeczno-narodowa ludności polskiej na Zaolziu w tym czasie przewyższała aktywność społeczno-narodową większościowej, pracującej w o wiele dogodniejszych warunkach ludności czeskiej na tym obszarze.

Leksykon PZKO, który powinien znaleźć się w każdej rodzinie polskiej na Zaolziu czy w Republice Czeskiej, może i na pewno będzie godnie reprezentować dorobek PZKO, a właściwie całej ludności polskiej w Republice Czeskiej przy każdej okazji.

W końcu należy podkreślić, że bez przychylności władz czeskich i instytucji z Polski wydanie Leksykonu PZKO byłoby rzeczą niemożliwą.

STANISŁAW ZAHRADNIK

Z Przeglądu Śląskiej Pieśni Ludowej - Bystrzyca (19. 11. 1983) - Władysław Młynek... ▶



ZJAZDY PZKO NA WESOŁO
(na podstawie Gazetek Zjazdowych)

Podziel się z delegatami swoimi uwagami, krytyki nie zabieraj do domu, to nie pomoże nikomu!

Choćby cie piykli, warzili we smole, nie powiydz słowa, co gdo robił w Kole!

W którymś ze szczepów Indian kanadyjskich panuje zwyczaj, że zgłaszający się do dyskusji dyskutuje, stojąc na jednej nodze. W momencie kiedy dotknie ziemi drugą nogą, rada starszych odbiera mu głos. A może by tak zastosować?

Prostowanie kręgosłupów, wybielanie charakterów wykonuję solidnie i tanio.

Uwaga! Wody ze stołów prosimy nie włączać do dyskusji.

DO NIEZRZESZONEGO
Nudzisz się? Masz pracy mało? Wstąp, kolego, do PZKO!

RADA
Gdy kłopoty dręczą cię, idź po radę do ZG!

WESTCHNIENIE DELEGATKI
Gdybyż niektórzy delegaci nie byli jeszcze żonaci!

DYZIO – DELEGAT
Marzy mu się wielka rzecz, lecz czy zrobić da się, lecz...

DO DZIAŁACZA
Nie zaśnij na laurach, ale bez przerwy szukaj i likwiduj rezerwy!

DO KLUBOWICZA
Lub swój Klub!

DO NASTOLATKA
Nudzisz się w domu? Nudzisz się w szkole? Zajmij się pracą w jakimś zespole!

Słońce, powietrze i woda zdrowia ci doda. Zaś praca aktywna w PZKO krzepi twe siły na lat sto!

Laurami przystrójmy głowy – nie spoczywajmy na nich!

CHCESZ MIEĆ „ZWROT" W DOMU ZIMĄ I LATEM, ZAMÓW NA ZJEŹDZIE PRENUMERATĘ!



— Przeboczóm siostrzyczko, moja stáro sie odskoczyła na posiedzyni. —

Polecamy nowe wizytówki!

X. . . . . Y. . . . . .

kierownik szkoły i ochronki w. . . . . .
członek założyciel Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji, przewodniczący Komisji Oświatowej, Rady Bibljotecznej, sekretarz Koła Macierzy, dyrygent Kółka Śpiewackiego, skarbnik kasy szkolnej, Opiekun Męskiej Druż. Harcerskiej w. . . . . sekretarz Sekcji Bibljotecznej przy Macierzy Szkolnej, członek Zarządu głównego Towarzystwa Nauczycieli Polskich, skarbnik i delegat Kółka Bogumińsko-ostrawskiego T. N. P., kronikarz Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji, oraz redaktor »Echa«, organu tego Związku, członek Komisji Czytankowej T. N. P., krajowy mąż zaufania Czsl. Czerwonego Krzyża (Dorostu szkół polskich), redaktor »Naszego Pisemka«, sekretarz Komitetu Redakcyjnego tej gazetki, korespondent prasy mniejszości polskiej w Czechosłowacji.

Przedruki: u góry „Kalendarz Głosu Ludu 1948", u dołu „Szerszeń" (5/1934)

NAD OTWARTĄ KRONIKĄ

Samo pisanie kroniki to tylko część jej przeznaczenia. Jeżeli tak jak w wypadku Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego ma się za sobą historię pięćdziesięciolecia i to burzliwą, warto do Kronik zaglądać i przypominać sobie minione dzieje. Warto więc wyjąć Kronikę z szuflad Koła i otworzyć ją, żeby wydała swoje „tajemnice".

Koło w Suchej Średniej nie miało szczęścia do kronikarzy. Byli tacy, co przyjmując ten obowiązek, pisali niewiele, notując dla potomnych od tak, jakieś tam wydarzenie. Gorzej, kiedy przestali pisać w ogóle. Nie tylko, że nie pisali, ale nie poczuwali się do obowiązku powiedzieć: nie mam możliwości, szukajcie innego kronikarza. Czas płynął, życie Koła znaczone było coraz to nowymi imprezami, ale kronika pozostawała pusta!

Kolejny zarząd, stwierdziwszy ten zaskakujący fakt, starał się zapewnić kontynuację wydarzeń. Niełatwo było znaleźć chętnych do podjęcia się tej mozolnej pracy odtwarzania, zwłaszcza że w protokołach zarządu były wiadomości powierzchowne i niekonkretne.

Chodziło o lata od 1960 do 1968 i od 1969 do 1974. Udało się jako tako przebrnąć przez pierwszy okres. Wtedy zgodził się prowadzić kronikę pan Karol Folwarczny. Ze znaną sobie starannością pięknym kaligraficznym pismem zapełniał stronicę po stronicy minionymi wypadkami. Nie tylko to. Rozpoczął od krótkiego życiorysu, co uważam za bardzo słuszne i potrzebne, chociaż sposób zapisywania wydarzeń jest przykładowy. Ponumerowane stronice wydają świadectwo solidnej pracy Koła, poprzedzanej niejako wstępem-charakterystyką wydarzeń polityczno-gospodarczych oraz stosunku Koła do innych polskich organizacji. Następuje wyszczególnienie pracy organizacyjnej, imprez, w kolejności chronologicznej z wyszczególnieniem graficznym daty. Następuje zestawienie zebrań, prób, imprez oraz innej jeszcze czynności w ciągu upływającego roku 1969. Nie na tym koniec - następuje wyszczególnienie działalności zespołów w kolejności: chór męski, zespół dramatyczny, młodzieżowy zespół taneczny, Klub Kobiet. W dalszej kolejności przeczytamy o współpracy z Miejskim Komitetem PZKO, szkołą i przedszkolem. Dowiadujemy się, że częścią składową tej kroniki jest album, w którym umieszczono między innymi wycinki z gazet, w tym recenzję „Głosu Ludu" z 25 marca 1969 roku o rehabilitacji przedwojennych działaczy pol-

skich: Karola Śliwki, Pawła Kluza, Fryderyka Krauza.

Kronikarz nie zapomniał również o jubileuszu 60-lecia Polskiego Gimnazjum w Orłowej. Przypomina 25-lecie tragedii żywocickiej. Na koniec podaje aktualną liczbę członków Koła i stan kasy.

Ten styl prowadzenia kroniki dotrzymuje w następnych latach, dodając opis nowych wydarzeń, np. współpracy z biblioteką publiczną, ze Sceną Polską.

Jubileuszowy rok 1972 (25 lat istnienia i działalności Związku) podkreśla czerwonym napisem już na 49 stronie. W poszczególnych latach opisy wycieczek, jubileuszy, itp. Na setnej stronicy ostatni zapis: tragiczna katastrofa kolejowa na trasie Belgrad-Dortmund.

Niektóre wydarzenia się dziwnie jakoś splatają. W naszym wypadku - tragedia kolejowa, osobista i związkowa. Kronikarz w tym okresie cierpiał na zaawansowaną chorobę i niebawem zmarł. Podobny los, jak stwierdza my dodatkowo, spotkał kroni-kę Koła w 1974 roku.

F.G.

OFIARNY STOS

Porucznik Jan Łysek, dowódca drugiej, śląskiej kompanii trzeciego pułku legionów, oceniając w październiku 1915 rok krwawych zmagań legionistów ze Śląska, dostrzegał historyczne znaczenie obecności Ślązaków w Legionach Polskich, pisząc: „Śląsk zdaje egzamin wobec Polski."

Koszty owej obecności Ślązaków, według nadal jeszcze niepełnych danych, to 62 poległych i zmarłych w szpitalach, 99 rannych, łącznie z 39 ciężko chorymi, 11 przepadłymi bez wieści i 17 popadłymi w niewolę to 228 wyłączonych z szeregów, a więc prawie 54% znanych nam ze źródeł dostępnych w Cieszynie legionistów ze Śląska. A przecież i ci, którzy nadal trwali w szeregach, też byli w sensie zdrowotnym podcięci.

Rzucano ich w wir frontowych walk bez gruntownego przeszkolenia, bo dać go nie mogły amatorskie zajęcia w gniazdach „Sokoła", czy kołach „Strzelca", ani czterotygodniowy obóz w Parku Sikory, w którym zresztą uczestniczyły zaledwie dwie trzecie ochotników ze Śląska. Nikt, łącznie z oficerami wyszkolonymi w wojsku austriackim, nie miał doświadczenia

frontowego. Do tego wypadło im prowadzić boje w terenie górskim, rozczłonkowanym wzniesieniami, w którym często dowódca kompanii czy plutonu był zdany wyłącznie na siebie.

Stąd ogromne straty w pierwszych dniach walki, skłaniające również oddanych sprawie oficerów do wypowiadania opinii, że w warunkach ówczesnej wojny ochotnicza formacja legionowa nie ma szans przetrwania. Ginęli również Ślązacy. Nie stać nas w tym miejscu na charakteryzowanie losu każdego z poległych, stąd ograniczymy się do podania danych dotyczących tylko niektórych osób. Pod Nadworną i Mołotkowem na przedpolu Przełęczy Pantyrskiej, oskrzydleni przez przeważające siły wroga, pod potężnym ogniem artyleryjskim w bitewnym zamęcie zginęli rozszarpani granatami górnicy: Feliks Andrzejak i Józef Antoszewicz z Dziedzic oraz Franciszek Szostek ze Stonawy i Herman Szuścik z Darkowa. Tu wpadł w rosyjską niewolę Robert Szewieczek, dowódca plutonu frysztackiego w Legionie Śląskim, razem z siedmioma legionistami z owego plutonu. W starciach na przyległych terenach, w tych samych dniach u schyłku października 1915 roku, polegli: Karol Kobiela, dowódca plutonu karwińskiego w Legionie Śląskim, i orłowski gimnazjalista Wincenty Koch z Rychwałdu. W szeregach 2 pułku legionów zginął Jan Koch z Karwiny, robotnik, który w drugiej dekadzie sierpnia, a więc przed powstaniem Legionu Śląskiego zgłosił się do formowanego w Boguminie plutonu i z jego szeregów włączony został do 2 pułku.

Boje toczone po kilku miesiącach miały inne oblicze, gdyż żołnierze szczególnie interesującego nas trzeciego pułku i jego śląskiej kompanii przekształcili się w dobrze zorganizowane i oswojone z frontową sytuacją zespoły. Straty ponoszono, ale nie w wyniku braku doświadczenia i organizacyjnej słabości. W zimowych warunkach na przełomie stycznia i lutego, przy dwudziestostopniowym mrozie, którego dotkliwość potęgował silny wiatr wschodni, poległ pod Maksymcem Rudolf Nardelli, plutonowy, nauczyciel ze Starego Miasta oraz Julian Bednarczuk, robotnik z Wielkopolski, związany z Cieszynem. Dużą sprawnością bojową wykazywali się legioniści z kompanii śląskiej w czasie nocnego ataku Rosjan na Rafajłową w styczniu oraz w nocnej bitwie w lasach Niebytowskich, zwanych też Majdańskimi, u schyłku marca 1915 roku. Tu śmiertelnie ranny został Józef Holeksa z Kisielowa, Marian Solarski, hutnik z Trzyńca, oraz 16-letni Piotr Ślusarz.

Podobnie twardy, ale zorganizowany charakter miały boje na Bukowinie toczone od kwietnia do września 1915 roku. Specyficznym momentem było tu dwukrotne forsowanie bystrych nurtów Prutu, w których zginął Leopold Parma z Sibicy. Tu poległ sierżant Tadeusz Farny z Nawsia, jeden z organizatorów ruchu skautowego. Polegli tu górnicy Jan Kucza z Frysztatu, wyróżniający się w służbie zwiadowczej oraz Teodor Staszew-

ski z Karwiny. W dniu 5 listopada 1915 roku legioniści ze Śląska złożyli największą ofiarę krwi w ataku na mocno ufortyfikowane i obsadzone przez silne oddziały rosyjskie, wyposażone w liczne karabiny maszynowe wzgórze Cegielniane w Kostiuchnówce nad wołyńskim Styrem. Tu poległ porucznik Jan Łysek i jego dziesięciu podkomendnych z kompanii śląskiej. Byli wśród nich plutonowy Gabriel Martinek z Ogrodzonej, karwiński górnik Leon Seidler i Józef Grycz, trzyniecki hutnik. Ośmiu legionistów ze Śląska odniosło rany.

Swoją specyfikę miały boje z okresu wojny pozycyjnej, toczonej od października 1915 do czerwca 1916 roku, nad wołyńskim Styrem. Żołnierze tkwili w głębokich, wilgotnych okopach i patrolowali ich bagniste przedpole, na którym dochodziło do niekorzystnych dla polskich piechurów starć ze swobodnie poruszającą się po błotach rosyjską jazdą. Tu w październiku 1915 roku poległ Józef Mucina, hutnik z Trzyńca, a w 1916 roku Karol Walek, robotnik kolejowy z Łąk oraz cieszyniacy: Franciszek Maciejiczek, Franciszek Kulik, Franciszek Segeta, Kazimierz Białek oraz Władysław Prelicz.

Szeregu legionistom ze Śląska wypadło zakończyć życie w prymitywnych wojskowych lazaretach. I tak Franciszek Machej z Kończyc Wielkich zmarł w wyniku postrzału w brzuch. Teofil Grzonka z Pietrowic zmarł w szpitalu w Wiedniu od rany, którą objęła infekcja zwana różą. Od chorób nabytych na froncie zmarli w szpitalu w Budziejowicach dwaj Łęczanie Adolf Niemiec i Alojzy Witosz. Czerwonka skosiła Jana Grabowskiego, Rudolfa Kotarbę, zwiadowcę uhonorowanego dekretem komendanta korpusu, zabił tyfus, na gruźlicę zmarli 15-letni Józef Fiedler z Boguszowic i 20-letni Jan Talarek z Jabłonkowa. Spośród rannych wymienimy tylko dotkniętych dwukrotnie groźnym urazem. Jest wśród nich Henryk Brykajło, absolwent cieszyńskiego gimnazjum, Adolf Janik, plutonowy, ślusarz z Dziedzic, Szymon Kanik z podbialskich Łodygowic, związany z Dziedzicami, oraz Karol Śmiga, górnik ze Stonawy.

Tym, którzy zginęli, i tym, którzy nadal trwali w szeregach, wypadało za życia zmagać się z trudnościami wyposażeniowymi, często przymierać głodem. Był chłód, zaduch i wilgoć w okopach, brud i wszy. Do tego gnębiło legionistów pytanie o sens ich ofiary. Poszli z własnej woli w bój, wierząc w nadrzędny cel polskiego wysiłku zbrojnego, stawiając go powyżej wszelkich innych wartości. Taką postawę ilustruje załączony wiersz Orlanda - Henryka Oleja, o którym jeszcze mówić nam wypadnie. A przecież naiwna wiara w powstanie Polski w wyniku narodowego powstania, wywołanego pojawieniem się w Królestwie polskich żołnierzy z orzełkami na czapkach , bez liczenia się z wrogą wobec takich planów postawą potężnych Niemiec, przy złudnej nadziei na poparcie Austrii, musiała się załamać, bo była iluzją bez pokrycia w istniejących wówczas rea-

liach. Stąd zwątpienie w sens czynu legionowego i świadomość trudnego politycznego położenia własnego.

Kierownictwo I Brygady szukało psychicznego oparcia w autorytecie komendanta Józefa Piłsudskiego. W II Brygadzie, w oparciu o wiarę w nieuchronność odrodzenia się Polski, dopatrywano się sensu wojennego trudu we własnym doskonaleniu się w sztuce wojennej, w dobrym przygotowaniu się do roli, jaką wypadnie odegrać w formowanej już niedługo armii niepodległej Polski.

Postawa taka wydawała się sensowna szczególnie jesienią 1916 po powołaniu aktem dwu cesarzy z 5 listopada Królestwa Polskiego i zapowiadanym utworzeniem co najmniej stutysięcznej armii polskiej, której szkielet, jak wówczas się wydawało, tworzyć będą Legiony. Okazało się jednak, że okupujący Królestwo Niemcy i Austriacy zainteresowani byli wyłącznie wykorzystaniem Polaków w charakterze mięsa armatniego, tak potrzebnego im w owych latach wojny do wyniszczenia. Stąd liczyli na setki tysięcy polskich bagnetów, równie sprawnych, jak bagnety legionistów. Jednak owe potencjalne polskie bagnety myślały. Nie było zgłoszeń do armii, mającej powstać pod kierunkiem niemieckiego generała Hansa Beselera i jego austriackiego partnera generała Karla Kuka. Stąd Beseler, świadomy, iż armia polska, powstająca z oporami, oddana pod kierownictwo kadry legionowej nie będzie ślepym narzędziem w rękach Niemiec, postanowił zniszczyć Legiony. Podjęcie takich działań ułatwił mu fakt, że załamała się Rosja, wróg z którym Polacy byli chętni walczyć. Po jej załamaniu w 1917 roku dla niemieckiej polityki na wschodzie wygodniejszym od Polaków narzędziem stały się formacje antyrosyjskie zorientowanych ruchów narodowych, ukraińskich, litewskich...

Utworem, zawierającym w sobie zapis sprzeczności, piętrzących się między Legionami a polityką okupantów Królestwa, jest załączona „Rota 4 pułku piechoty legionów na dzień 9 lipca 1917". W owym dniu większość legionistów odmówiła złożenia przysięgi praktycznie na wierność mocarstwom okupacyjnym. Niemcy zareagowali na ów bunt rozbrajaniem oraz internowaniem legionistów. To wydarzenie oznaczało całkowite załamanie się nadziei na powstanie Królestwa Polskiego w listopadzie 1916 roku. Dla zdecydowanej większości legionistów nie ulegało już wątpliwości, że poparcie udzielone przez Polaków Niemcom i Austrii było błędem, a krwawy trud legionistów był źle ukierunkowanym i bezsensownym. Ta idea i polityczna klęska spowodowała załamanie się legionów jako formacji wojskowej, ale i wspierającego Legiony ruchu politycznego. Poszczególni żołnierze przeżywali to wydarzenie również jako swoją osobistą klęskę, tragedię, były wypadki popełniania samobójstw.

Spośród Ślązaków z tej racji odebrał sobie życie Henryk Olej, chorąży sanitarny trzeciego pułku, wysoko przez żołnierzy ceniony za swoją

pracę, prawość i bezgraniczne umiłowanie wspólnej polskiej sprawy. Fakt ten miał miejsce w dniu 26 sierpnia 1917 roku w Warszawie przed wyjazdem legionistów, obywateli austriackich, z Królestwa do twierdzy Przemyśl. Na łamach nauczycielskiego „Miesięcznika Pedagogicznego", wychodzącego w Cieszynie, tak skomentowano zgon kolegi – nauczyciela: *„... śpiący Henryk Olej to jedna z tragiczniejszych ofiar wypadków w Legionach. Młody, wielce uczuciowy z natury młodzieniec przejmował się do głębi walką wewnętrzną, która wrzała w Legionach w ostatnich dniach przed opuszczeniem Warszawy... Niech mu Ziemia Polska, którą tak ukochał i za którą ruszył w bój, lekką będzie".*

Henryk Olej nie wierzył w austriackie obietnice, mówiące o dalszej służbie dla Polski w ramach Polskiego Korpusu Posiłkowego, mającego skupić legionowych żołnierzy. Stąd nie dożył tragedii z dnia 14 lutego 1918 roku, w którym legionowa brygada pułkownika Józefa Hellera opuściła austriackich protektorów i przebiła się przez front na Ukrainę. Nie dożył też ostatecznego pogromu tej brygady w dniu 10 maja 1918 roku pod Kaniowem.

Legionowa „anabazis" zakończyła się klęską, pozostały groby, więźniowie zagrożeni wysokimi wyrokami za zdradę stanu, byli legioniści ubrani w austriackie mundury i wysłani na front włoski. Jednak mimo wszystko, ich trud nie poszedł na marne. Jakże kręte bywają ścieżki historii.

EDWARD BUŁAWA

Dwudziestolecie wymarszu Legionu Śląskiego w bój o niepodległość. Cieszyn 1934

„ORLAND" HENRYK OLEJ

KRÓTKIE ŻYCIE DŁUGI ZNÓJ

Pierwszy go trąbki zwabił zew
Wszak w żyłach krew, nie woda
Wspomniał na Haniś, ściągnął brew
Pod nosem mruknął, ach, psiakrew.
Dyć na to czasu szkoda!
I pognał w świat, w szeroki świat
Gdzie krew się lała młoda
Dla swego konia był jak brat
Nie liczył blizn, nie liczył ran.

Dyć na to czasu szkoda!
Raz w bitwie dziwnie opadł z sił
I runął jako kłoda
Gdy krew tamował mu wśród żył
Tłumaczył wzrokiem co w nim tkwił
Dyć na to czasu szkoda!
Spoczynek cichy dał mu sad
Kto pamięć wiekom poda?
Jaki zostawić Hani ślad
W projekty dziwny sąd się wkradł.
Dyć na to czasu szkoda!

M. Klimecki, W. Klimczak: Legiony Polskie. Warszawa 1990, s. 40–41.

ROTA 4 PUŁKU PIECHOTY LEGIONÓW NA DZIEŃ 9 LIPCA 1917 ROKU

Nie damy, by nasz polski huf
Z Kielc, Karpat i Stochodu
Pod obcą służbę poszedł znów
Kość z kości on narodu
Tutaj mu Polski (...) próg
Tak nam dopomóż Bóg!
Nie będzie dłużej hufiec nasz
Habsburskim kondotierem
Ani przed Kukiem trzymać straż
Ani przed Beselerem
Pójdziem gdy zabrzmi złoty róg
Tak nam dopomóż Bóg!
Nie zdołał żaden gwałt nas zgnieść
Mantua, San Domingo
Na czele naszym stanie wódz
Cel wskaże złotą klingą
Z nim przejdziem Wartę, San i Bug
Tak nam dopomóż Bóg!
Sto lat nas parli z naszych stron
Trójkaci w trójzaborze
Więc i rumuński na nic front
I ten gwałt nas nie zmoże
Nic nas nie zwiedzie z polskich dróg
Tak nam dopomóż Bóg!

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (10)

NA FRONT WŁOSKI PO RAZ DRUGI

Najjaśniejszy pan monarcha Austro-Węgier cesarz Karol był punktualny, bo około 12 godziny – tak jak nam zapowiedziano – odzywa się sygnał trąbki zwiastujący zbliżanie się orszaku cesarskiego. Na dany znak kolumny marszowe rozstępują się i tworzą szpaler po obu stronach gościńca, frontem do nadjeżdżających samochodów. W jednym z nich siedzi trzydziestoletni cesarz Karol. Odzywają się z tyłu jakieś okrzyki, a w naszej kompanii krzyczy kilku: Hoch Kaiser hoch! Seine Majestät hoch! Najbardziej wydzierał się dowódca kompanii Schramek, nasz dowódca plutonu Teudelof i kapral Seidel. Większość żołnierzy gapiła się, coś mamrotała lub milczała, a niektórzy machali rękami. Cesarz rozdawał na prawo i lewo ukłony, salutując i uśmiechając się w milczeniu. Wydawało mi się, że jego uśmiech był wymuszony, że jego poprzednik dziadek stryjeczny ekscesarz Franciszek Józef I nie chciał się zgodzić podobno na wypowiedzenie wojny Serbom. Podobno wyrzekał się nieraz wojen i powtarzał przy tym historyczne słowa:

– Bella garant alii – tu felix Austria nubo! – Czy tak naprawdę było?

Kolumna samochodów przejechała i my maszerujemy dalej. Na drodze robi się ciasno. Mijają nas długie kolumny jeńców włoskich, których chyba również cesarzowi ukazywano. Eskortują ich Prusacy i popędzają niemiłosiernie niektórych wyczerpanych kolbami. Większość pojmanych Włochów maszeruje w obojętnym i zrezygnowanym milczeniu, niektórzy spoglądają na nas złowrogo. Widać, że są głodni i wyczerpani. Dolatują do nas z ich kolumny słowa: „Mangiare! – jeść! Duo die non mangiato! – dwa dni nie jedliśmy. Niektórzy odzywają się nawet po niemiecku: Wir haben Hunger, zwei Tage haben wir nicht gegessen – jesteśmy głodni, nie jedliśmy od dwóch dni! –

Zrobiło mi się ich żal i wsunąłem niepozornie jednemu z nich mój chleb, a innemu puszkę konserwy mięsnej. Za moim przykładem podało im kilku innych z plutonu po kawałku chleba. Zauważył to maszerujący w tyle chorąży Teudelof i wrzasnął: – Zum Donnerwetter, lass die Welschen hungern und krepieren! Lass sie verecken! – Zostaw do pioruna tych Włochów, niech głodują i zdychają! A gdzie twoja żelazna porcja? – Pokazałem mu drugą puszkę, którą mi jeszcze na Monte Santo wręczył landszturmista Maj przed odtransportowaniem

mnie do ambulansu pułkowego. Jakimś cudem uchowała mi się tak długo. Może dlatego, że była spadkiem po nieboszczykach na Monte Santo.

Maszerowaliśmy przez zniszczoną Goricę w kierunku na Udine, stolicy północno-włoskiej prowincji Friaul. Kierunek ten został jednak nagle odwrócony na wschód, gdyż dywizję skierowano na front południowo-tyrolski. I znów kilkudniowy marsz do Lublany, skąd zdążaliśmy do wyznaczonego celu transportem kolejowym, krążąc wśród wysokich i już zaśnieżonych turni alpejskich przez dwie doby. Jechaliśmy przez Celowiec (Klagenfurt) – Innsbruck – Bolzano – Trydent do Roveretto w południowym Tyrolu.

W Roveretto rozpoczęła się już w czasie listopadowych mrozów nasza wojenna wysokogórska turystyka. Maszerowaliśmy stromymi serpentynami po frontowej drodze zbudowanej wśród dzikich skał nad zawrotnymi przepaściami Alp Trydenckich. Nasza droga frontowa była swego rodzaju technicznym wysokogórskim cackiem komunikacyjnym służącym wyłącznie celom wojennym. Posiadała równą, szeroką skalistą nawierzchnię oraz liczne, bardzo solidnie wykonane bariery boczne, wykute w skałach tunele i tuneliki. Budowali ją, konserwowali i ulepszali jeńcy rosyjscy pod kierownictwem austriackich inżynierów. Tam na prawo może sto metrów w linii powietrznej od zakrętu drogi, którą maszerujemy, widzimy filary górskiej kolejki linowej zbudowanej również przez tychże jeńców. Mijamy pierwsze grupki Rosjan. Wlekli się ociężale jak upiorne półszkielety odziane w podarte rosyjskie łachmany żołnierskie koloru piaskowego. Wielu z nich zapuściło długie brody, a włosy u niektórych opadały na plecy. Ci wyglądali jak twarze świętych na ikonach w cerkwiach prawosławnych. Rzucają na nas lękliwe i błagalne spojrzenia, a niektórzy wołają żałośnie: Brot, bitte, Brot! – Zadora podbiega do mnie i pyta, jak u mnie z prowiantem, gdyż on ma tylko te suchary z żelaznej porcji, a chleb już zjadł. Umawiamy się, że on odda te suchary z żelaznej porcji, a ja resztę chleba. Pokrajałem szybko część swojego bochenka na drobne kawałki i rozdawałem je po jednej kromce jeńcom. Zadora rozdzielił swoje suchary. Resztę chleba, to jest niemalże całą ćwiartkę, wsunąłem jakiemuś bardzo wynędzniałemu starszemu brodaczowi wysokiego wzrostu. Rozdawaliśmy również papierosy po jednej sztuce. Za naszym przykładem poszło kilkunastu landszturmistów, którzy rozdawali chleb i papierosy. Nikt nie złapał nas na tym gorącym uczynku. Dowódca plutonu chorąży Teudelof maszerował od dłuższego czasu na czele kompanii razem z dowódcą kompanii. Jeńcy zaczęli podbiegać, lecz zostali wkrótce oddzieleni od nas przez konwojentów. Oglądam się w marszu za nimi i widzę, jak też obdarowany przeze mnie brodaty

patriarcha robi w powietrzu w naszym kierunku trzykrotny znak krzyża. Widocznie dziękował za tę ćwiartkę chleba.

Pięliśmy się dalej już wyślizganą drogą wśród karkołomnych przepaści i zawrotnych urwisk. Na fantastycznie wyrzeźbione wierchy alpejskie, na postrzępione łańcuchy gór, na doliny, na kotliny i wąwóz patrzyłem nie radosnym okiem turysty, lecz z niepokojem skazańca. Nocowaliśmy w tym dniu w niedokończonych jeszcze barakach, które budowali również jeńcy rosyjscy. Było nam bardzo zimno, gdyż barak był jeszcze bez okien i pieców.

W następnym dniu dotarliśmy już do prawdziwego miasteczka ukończonych baraków. Był to obóz ćwiczebny obwodów przyfrontowych. Znajdowała się tam duża stacja górskiej kolejki linowej. Dowiedzieliśmy się, że pozostaniemy tu przez kilkanaście dni celem wypełnienia luk w naszym uzbrojeniu, wyposażeniu i wyszkoleniu, które trzeba było dostosować do warunków frontowych wysokogórskich. Okres ten spędziłem na pułkowym kursie narciarskim. Komendantem kursu był doskonały narciarz i instruktor Tyrolczyk porucznik Vogel. Był instruktorem z prawdziwego zdarzenia. Wymagał co prawda dużo, lecz wykazywał dużo troski o nas. Tylko nie mógł zadowolić naszych żołądków, gdyż nie posiadał do tego środków. Był to już koniec 1917 roku, a więc okres chronicznego głodowania wszystkich jednostek wojskowych w Austrii. Głodowaliśmy więc i tu na kursie, ale staraliśmy się sobie jakoś z tym radzić. W moim patrolu narciarskim był doskonały strzelec Steiner, który prawie codziennie upolował jedną a nawet dwie wrony. Upolowane wrony gotowaliśmy wieczorami i zaprawialiśmy ten przysmak, czym się dało. Najczęściej tylko solą i pieprzem, rzadziej cebulą suszoną i zajadliśmy z apetytem drugą kolację. Rosół z wron był jednak strasznie chudy.

Po dwunastu dniach szkolenia narciarskiego wróciłem do kompanii, a w następnym dniu odmaszerował nasz pułk w kierunku frontu. Znaleźliśmy się na płaskowyżu Siedmiu Gmin w rejonie odwodów dywizyjnych. Zakwaterowano nas w resztkach mocno poturbowanych przez artylerie włoską barakach. Nazajutrz wieczorem maszerowaliśmy na pozycje frontowe, aby zmienić pułk dolno-austriackich Niemców o mocno wykruszonych stanach liczebnych. Wspinaliśmy się przez kilka godzin urwistą, zlodowaciałą, przez saperów wyrąbaną drożyną górską. Posuwaliśmy się z przeciętną szybkością jednego kilometra na godzinę. Z frontu dobiegały już do nas nieliczne, lecz donośne odgłosy pojedynczych strzałów karabinowych i urywanych serii kulomiotów. Tu i ówdzie rozjaśniały naszą drogę i nagie wierzchołki skał światła rakiet. Przed północą dobrnęliśmy do frontowych pozycji. Wprowadzono nas do olbrzymiej groty skalnej - do naszego schronu. Za-

staliśmy tam kilkudziesięciu szwargocących między sobą po niemiecku łazarzy. Były to resztki kompanii, którą mieliśmy zmienić. Nasza kompania zajmowała dwa schrony. W naszym schronie kwaterowały trzy plutony. Dowódca kompanii zakwaterował się z jednym plutonem i przydzielonymi kulomiotami w sąsiednim schronie, który był trochę mniejszy, lecz wygodniejszy. Około godziny piątej nad ranem skończyło się przejmowanie pododcinka naszej kompanii. Mieliśmy wystawiać w nocnej służbie dwie wysunięte placówki ukryte w grotach skał, cztery podsłuchy, cztery posterunki obserwacyjne w okopach i dwa posterunki alarmowe przy schronach. Na pozycję obronną kompanii składały się wykute w skałach rowy strzeleckie o nierównej głębokości. Nie posiadały one ciągłości, gdyż urywały się gdzieniegdzie na większych wyniosłościach skał. W kilku miejscach były połączone z sobą tunelikami. Przed okopami znajdowały się mocno postrzępione przez artylerię włoską zasieki druciane.

Leżymy obaj z Zadorą na niskiej pryczy w schronie. Milczeliśmy przez chwilę, po czym Zadora zasnął i zaczął chrapać. Mnie ogarnął jakiś lęk przed śmiercią na froncie i przeniosłem się myślami do domu, do Ropicy. Pisałem przed miesiącem do rodziny tylko jedną kartkę polową już po opuszczeniu szpitala. W kartce tej nie wspominałem, że byłem ranny, gdyż nie chciałem niepokoić matki. W odpowiedzi otrzymałem od matki i od sióstr kilka listów. Odpisują mi, że matka bardzo się martwi nie tylko o mnie, lecz również o brata Józka, bo tylko o dwa lata młodszy ode mnie i grozi mu, że zostanie pobrany do wojska. A kto będzie robił w polu? Chłopa dorosłego oprócz kilku niedołężnych staruszków nigdzie na lekarstwo! Nawet ułomnych zabierają do służby pomocniczej. W całej okolicy wielka bieda i brak żywności. Codziennie krąży po domach pełno ludzi poszukujących żywności. Przeważnie są to żony i dzieci górników z Karwiny, Orłowej, Ostrawy. Proszą o ziemniaki, mąkę, zboże, słoninę, w ogóle o wszelką żywność. Bo w miastach a zwłaszcza w zagłębiu karwińsko-ostrawskim straszna nędza. Przydzielają tylko na kartki żywnościowe trochę chleba, marmelady i jeszcze jakieś tam dziwne margaryny. Rolnicy starają się pomagać tym biedakom, lecz jest ich z każdym dniem więcej. A wojsko rekwiruje krowy, świnie i zboże. I dzwony z wieży kościelnej zarekwirowali już dla wojny. Prawie co trzecia rodzina opłakuje kogoś. Jest bardzo smutno w Ropicy. Piszą, że przyślą mi paczki, lecz proszą, bym przyjechał najlepiej na święta do domu. Oj, jak chętnie bym pojechał! Przy tym rozmyślaniu nad wiadomościami z Ropicy od matki i sióstr zasnąłem.

Obudził mnie Zadora. Po lichym śniadaniu wychylamy głowy ze schronu. Było już jasno i spokojnie, więc wychodzimy z lochu

i udajemy się do rowu na stanowisko obserwacyjne dowódcy plutonu. Tutaj przez wziernik obserwujemy przedpole naszych pozycji. Jest przed nami koliste zagłębienie o średniospadzistych ścianach, przechodzących na prawym skrzydle kompanii w spadzisty żleb. Na stokach głębiny było sporo naturalnych większych lub mniejszych kociołków oraz mnóstwo lejów od artyleryjskich pocisków. Włosi usadowili się na przeciwległej ścianie zagłębienia w odległości powietrznej wynoszącej około stu pięćdziesięciu metrów. Odległość ziemna marszowa była jednak z uwagi na teren wysokogórski na pewno trzykrotnie większa. Warunki terenowe były dla obu stron mniej więcej równe. Możliwość obejścia i manewrowania skrzydłami prawie żadna i obie strony mogły nacierać tylko frontalnie. Jedyne możliwe obejście i ukrycie znajdowało się na prawym skrzydle, a więc tam, gdzie obserwowany przez nas teren spadał w żleb. Wejścia do żlebu pilnowała austriacka placówka. Na środku stoku w odległości około stu metrów od naszych – autriackich – pozycji wystrzeliła w górę może piętnastometrowej wysokości skała wydłużająca się od połowy wysokości w kształt cudacznego obeliska postrzępionego na swym wierzchołku w jakieś fantastyczne iglice i wieżyczki i była podobna do zaklętego w skale i lodzie zamku czy też legowiska górskich duchów. U stóp tego obeliska usłała sobie gniazdko w rozszerzonej skalnej grocie placówka nr 2 naszej kompanii. Po przeciwległej stronie w oddaleniu około dwustu metrów pieszej drogi wyrastała podobnej wysokości skała łudząco podobna w swojej naturalnej rzeźbie do egipskiego Sfinksa. Znajdowała się w strefie niczyjej, lecz nie wiadomo, czy nie jest zajęta przez Włochów.

– Z której placówki łatwiejsza do nich i bezpieczniejsza droga? – pyta mnie Zadora.

– Widać jak na dłoni, że najkrótsza z placówki nr 2. A czy łatwiejsza i bezpieczniejsza, to nam trudno teraz ocenić, tym bardziej, że tam obecnie silna mgła. – Odpowiadam Zadorze.

– Trzeba by koniecznie to zbadać. Jutro a najpóźniej pojutrze wiejemy do nich. Zależeć to będzie od sytuacji i od układu naszej służby nocnej, gdyż jeden z nas musi być koniecznie w tym czasie dowódcą placówki nr 2 – podsumowuje Zadora.

Naszą obserwację przerwało stado kraczących wron i gęste bałwany nadchodzącej górskiej mgły. Szczyty Monte Rover, Monte Veletta, Monte Col de Rosso, Monte Sisimol otuliły się w jej ciężki pierwszogrudniowy całun. Mgła kłębiła się i spływała do dolin, wąwozów, niecek, wszelkich głębin górskich. Wracamy do schronu, lecz tam też pełno mgły.

Około południa przynieśli nam obiad i chleb. Znowu ta śmierdząca zupa dorszowa z pływającymi w niej skórkami i ościami z dorsza. Dobrze, że jest choć trochę ziemniaków, no i ten miazgowaty i rozpada-

jący się chleb. Chleb chcę schować w chlebaku, który leżał na pryczy, bowiem w czasie snu miałem go jako poduszkę pod głowę. Łapię chlebak, a tu z niego wyskakuje wcale duży szczur. Uciekł i zniknął w czeluściach schronu. Wszędzie na frontach były masy szczurów, a najwięcej ich było na Monte Santo. Najwięcej się kręciły koło trupów. Jak nie było trupów w pobliżu, to szperały w chlebakach i plecakach za żerem.

Myśleliśmy, że będzie w tym dniu spokój, a nikt się nie spodziewał tego huraganu ognia w czasie gęstej mgły i do tego w godzinach popołudniowych. W naszym schronie nie ma telefonu, gdyż schron dowódcy kompanii jest bardzo blisko, to też po dowódców plutonów chorążych Teudelofa i Stillera przybiega goniec kompanijny. Mają się natychmiast zgłosić u Schramka.

Wracają niedługo obaj zdenerwowani. Jest spodziewane masowe natarcie Włochów, krzyczą obaj i zarządzają alarm oraz natychmiastową obsadę stanowisk na głównej pozycji. Wybiegamy z załogą plutonów wśród tego nowego piekła na wyznaczone pozycje. Jestem teraz niedaleko od Zadory, nawet nie ma do niego stu metrów, gdyż plutony nasze sąsiadują z sobą. Pociski artyleryjskie eksplodują gęsto przed nami, za nami, na lewo i prawo od nas. Na szczęście najwięcej jest ich za nami. Grzmią coraz silniej i gęściej również ciężkie haubice górskie Austriaków ogniem zaporowym. Wreszcie mgła osiadła w głębinach górskich, a zachodzące słońce ukryło swoją krwawą twarz za szczytami. Artyleria włoska zamilkła już, lecz gdzieś na zapleczu Włochów pękają nadal ciężkie pociski austriackie. Po godzinie gwałtownej kanonady nastał na naszym odcinku znów spokój. Skończyło się na dwóch ciężko rannych w plutonie lewoskrzydłowym, jeden w płuca, a drugi w kolano. Był też jeden lekko ranny w plutonie Zadory. Odłamek skały oderwał mu palec wskazujący na prawej ręce. Ten palec, który miał naciskać spust Mannlichera, oddawać strzał i zabijać. Był to młody landszturmista, pierwszy dzień na froncie. Poszedł na drugi dzień do szpitala dywizyjnego w towarzystwie sanitariuszy, którzy odnosili tych dwóch ciężko rannych. Dla nich to już koniec frontu.

Spodziewany atak masowy Włochów nie nastąpił na naszym odcinku. Natomiast wykonali wypad dwoma batalionami na lewoskrzydłowy batalion naszego pułku, lecz zostali odparci. Tak nas poinformował Schramek podczas wieczornej odprawy placówek. Włosi podobno złapali ubiegłej nocy z innej kompanii kilku jeńców. Wiedzieli więc, że poprzedni pułk został zluzowany i o tym, że zapuszczamy dopiero korzenie w nowym terenie. W czasie tej odprawy dowiedziałem się też, że następnej nocy będę pełnił służbę na placówce nr 2 jako jej dowódca. Mogę więc spać, a przynajmniej leżeć całą noc na pryczy i pomyśleć o tym wszystkim.

Zadora, który był doskonałym rysownikiem, został wyznaczony przez Schramka do naszkicowania dokładnego rysunku sytuacyjnego naszej kompanii. Siedzi więc w schronie Schramka, dokąd poszedł również mój dowódca plutonu Teudelof i dowódca pierwszego plutonu chorąży Stiller.

Leżę więc na pryczy i czekam na Zadorę. Myślę o jutrzejszej nocy, jakby szczęśliwie się wydostać z tego nowego piekła na tamtą stronę, a przy tym nie oberwać. Zadora nie wraca i zaczynam się niepokoić. Wstaję więc z pryczy, wychylam ostrożnie głowę z lochu i nadsłuchuję. Słyszę tylko pojedynek ogni artyleryjskich i dość rzadkie serie karabinów maszynowych. A więc zwykły koncert capstrzykowy. Kładę się więc z powrotem na pryczy i zaczynam czytać nie wiadomo po raz który ostatnie listy z domu.

– A na święta przyjeżdżaj na urlop do domu, do Ropicy! –

Takie było zakończenie każdego listu. Schowałem listy i zapadłem w półsen. Myślałem o wiecznie zatroskanej matce, o mych siostrach i braciach, o kuzynie Brannym, o mych serdecznych kolegach, z którymi przysięgałem, że będę walczył o Polskę i o polski Śląsk Cieszyński, a więc o Gajdaczku, Glajcu, Adameckim, Niemcu i Zychu, i o innych bliskich ludziach. Oczywiście i o Jarce z Gnojnika. Wreszcie zapadłem w twardy sen i pamiętam tylko, że śniły mi się przedświąteczne przygotowania w domu, a więc świniobicie, w czasie którego zajadałem sobie nasze śląskie „smażone szpyrki, jelita z kaszą i jelita żymloki, i oczywiście podgarlinę." We śnie widziałem siostry przy pieczeniu „sztrucli, babówek i kołoczy z makiem i serem – czyli syrzoków." Przyśniły mi się wszystkie Bożonarodzeniowe śląsko-cieszyńskie smakołyki. Wszystko wyglądało tak smacznie, że podobno mlaskałem, wzdychałem mocno oraz śmiałem się we śnie. Mówił mi o tym Zadora, który wrócił w międzyczasie od Schramka i obudził mnie.

– Coś taki wniebowzięty, mlaskasz gębą, wzdychasz, mruczysz, bełkoczesz coś we śnie, śmiejesz się? –

– Śniła mi się moja matka, cała rodzina i serdeczni koledzy. Śniły mi się również cuda i wspaniałości świąteczne, kiełbasy, kołacze, gulasze i inne smakołyki. –

Nasza rozmowa została przerwana rozpaczliwym krzykiem chorążego Teudelofa. Wpadł do schronu i wrzasnął, że chorąży Stiller ciężko ranny w głowę. Stało się to w drodze powrotnej do schronu od dowódcy kompanii. Sanitariusze odnieśli go do ambulansu pułkowego, gdzie skonał. Zadora został wezwany do Schramka, który polecił mu objąć dowodzenie pierwszym plutonem. Pochwalił go za wzorowe wykonanie szkicu sytuacyjnego kompanii i polecił pisarzowi sporządzić wniosek awansowania Zadory do stopnia sierżanta – podchorążego.

– Same zaszczyty! – śmieje się Zadora, lecz największy dla mnie będzie zaszczyt, jak zwieję na tamtą stronę. –

Reszta nocy i następny dzień przeszedł spokojnie. Mój pluton wystawia dzisiaj placówki, a ja osobiście będę pełnił służbę jako dowódca placówki nr 2. Przed zachodem słońca udaję się do Schramka po odbiór instrukcji. Oprócz normalnego zadania obserwacyjno-alarmowego obowiązującego dla każdej placówki otrzymałem specjalne dodatkowe zadanie. Miałem dokładnie rozpoznać rejon wyniosłości skalnej, którą ochrzciliśmy z Zadorą „Sfinksem", a która się znajdowała około dwieście metrów naprzeciw placówki nr 2. Sfinks leżał w strefie niczyjej, prawie na dnie kotła, jednak nieco bliżej głównej pozycji Włochów i stwarzał im możliwości ukrycia za swoimi plecami całej kompanii. Nie wiadomo było, czy jego ewentualne czeluście nie są obsadzone i wykorzystywane przez Włochów. Miałem to dokładnie zbadać i w tym celu podejść z małym patrolem rozpoznawczym jak najbliżej Sfinksa, złapać, o ile się da, jeńców z ewentualnych czujek lub też sprowokować oświetleniem rakiety i granatami ręcznymi reakcję ogniową ze strony ewentualnej obsady włoskiej. Po wydaniu tej instrukcji życzył mi Schramek powodzenia i polecił natychmiast zawołać do niego Zadorę. Zadora wrócił za chwilę i poinformował mnie, że przed północą będzie kontrolował służbę Teudelof, a po północy służbę kontrolną powierzył właśnie jemu Zadorze.

– Dobrze się przygotuj, grunt nerwy trzymać w garści i spokój zachować! Dzisiaj po północy idziemy na pomarańcze i sardynki. Będę na twojej placówce zaraz po północy. –

Opowiedziałem mu o tym specjalnym zadaniu polowym, w czasie którego mam rozpoznać sytuację w rejonie Sfinksa i o tym, że mam w tej sprawie wysłać dokładny meldunek do Schramka, oraz zapytałem czy mam się narażać przed naszą ucieczką do Włochów i czy ten rozkaz wykonać.

– Oczywiście, że patrol musisz poprowadzić i Sfinksa rozpoznać – radzi Zadora – przecież to konieczne do wykonywania naszego planu. Jeżeli Sfinks jest obsadzony przez makaroniarzy, to bliżej nam do nich i łatwiej. Tylko zachować jak największą ostrożność! Wystarczy przekroczyć nasze zasieki, poprowadzić patrol kilkadziesiąt metrów dalej i sprowokować w oddaleniu około stu metrów od Sfinksa wystrzałem rakiety reakcję ogniową Włochów. Uważaj również na Teudelofa, o ile będzie obecny. Lepiej będzie, jak ruszysz z patrolem w czasie jego nieobecności, gdyż będziesz spokojniejszy.

c.d.n.

ALOJZY NOWOK

DOCHOWALI WIERNOŚCI PRZYSIĘDZE

W odcinku nr 2 wspomnień brata mej matki Alojzego Nowoka z Ropicy, opublikowanym w styczniowym numerze ZWROT-u (patrz str. 20 – „Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim") jest mowa o przysiędze członków konspiracyjnej grupy studenckiej w maju 1914 r. Członkami tej grupy było sześciu studentów seminarium nauczycielskiego i gimnazjum w Cieszynie.

Przy naszych rozmowach mój krewniak twierdził, że stosunkowo najlepiej powiodło się właśnie jemu z tej grupki konspiracyjnej. Losy jego kolegów były podobno tragiczne. Wówczas nie zwróciłem specjalnej uwagi na jego słowa. Dopiero teraz, gdy udało się mi jako tako uporządkować wspomnienia wujka i przeczytałem je dokładnie, pomyślałem sobie, że warto by sprawdzić, jaki los naprawdę spotkał jego kolegów.

W czwartym odcinku swych wspomnień (patrz ZWROT nr 3/97) Alojzy Nowok pisze, że wszyscy członkowie grupy byli powołani do wojska i że: „Pożoga wojenna poniosła nas w różne zakątki monarchii. Odbywaliśmy służbę wojskową w różnych jednostkach wojskowych i dlatego kontakty osobiste między nami przestały istnieć".

W niektórych wypadkach udało mi się odszukać krewnych tych „sztubackich konspiratorów", a z rozmów z nimi i z danych uzyskanych w różnych archiwach w Polsce udało mi się zrekonstruować życiorysy kolegów Alojzego Nowoka. Ich losy były naprawdę tragiczne. Podaję więc:

Adamecki Bernard – ur. 12.7.1897 w Marklowicach Dolnych.

Po ukończeniu studiów został powołany do wojska i był na froncie rosyjskim i bałkańskim. Wstąpił w 1918 r. do wojska polskiego i brał udział w walkach z Ukraińcami. W latach 1920–1921 studiował w Oficerskiej Szkole Lotnictwa w Toruniu. Był nadzwyczaj zdolny i w latach 1927–1933 był wykładowcą w Oficerskiej Szkole Lotnictwa w Dęblinie. W latach 1937–1938 uczył się w Wyższej Szkole Lotniczej. W 1939 r. był zastępcą dowódcy lotnictwa w Armii Modlin. Został ranny i dostał się do niewoli. W związku z jego zranieniem udało mu się z niewoli wydostać i przedostał się do Warszawy. Kierował zgrupowaniem lotników w komendzie Związku Walki Zbrojnej, a od 1942 r. w Komendzie Głównej Armii Krajowej. W kwietniu 1943 r. został mianowany pułkownikiem służby stałej. W Powstaniu Warszawskim jest ranny i dostaje się znów do niewoli. Po powrocie do wyzwolonego kraju był na różnych wysokich stanowiskach w Oficerskich Szkołach Lotniczych. W 1950 r. wydalony z wojska, aresztowany, skazany na śmierć i 7.8.1952 rozstrzelany. W 1956 r. zrehabilitowany. W 1968 r. in memoriam odznaczony Krzyżem Armii Krajowej.

Gajdaczek Alojzy – ur. 19.5.1895 w Ropicy.
Student gimnazjum w Cieszynie. W 1915 r. został jako pierwszy z grupki konspiratorów sztubackich powołany do wojska. Ciężko ranny w nogę na froncie rosyjskim, został kaleką. Musi jednak dalej służyć w komendzie garnizonu w Cieszynie. W 1918 r. wstępuje do wojska polskiego. Po zwolnieniu w 1921 r. pracuje w Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach, a od 1927 r. w Starostwie Powiatowym w Cieszynie. W czasie okupacji pracuje jako robotnik w stolarni firmy Niemiec w Cieszynie. Uczestniczy w ruchu oporu. W kwietniu 1943 r. aresztowany, a 3 czerwca 1943 r. rozstrzelany w Oświęcimiu. Dnia 10 czerwca 1943 r. została aresztowana także jego żona Jadwiga, która zmarła 14 maja 1944 r. również w Oświęcimiu.

Glajc Alojzy – ur. 24.10.1897 w Lipowcu (Ustroń).
Powołany do wojska w 1916 r. Na froncie wpadł do niewoli rosyjskiej, z której wydostał się dopiero w 1922 r. W Rosji poznał okrucieństwa i chaos rewolucji bolszewickiej. Po powrocie do kraju jest urzędnikiem Starostwa Powiatowego w Cieszynie, a w 1927 r. zostaje przeniesiony do Sejmu Śląskiego w Katowicach. Pracuje w sekretariacie Sejmu jako znawca stosunków w Rosji bolszewickiej. Przy każdej okazji przestrzega przed komunizmem i bolszewizmem. W 1940 r. aresztowany przez Gestapo zostaje po kilku miesiącach zwolniony i pracuje w fabryce waty w Czechowicach. Tutaj pracuje i po wyzwoleniu do stycznia 1950 r., gdy został aresztowany przez polską „bezpiekę". Pracownicy tego urzędu natrafili w archiwach na jakieś dokumenty przedwojenne świadczące o antykomunistycznych działaniach Glajca. W maju 1950 r. umiera w więzieniu w Katowicach rzekomo na zawał serca. Przy pogrzebie udało się krewnym odwrócić czujność asysty UB i zobaczyć zmarłego w trumnie. Na jego twarzy i w ogóle na głowie były wyraźne ślady ciężkiego pobicia-maltretowania. Taki był ten zawał!

Niemiec Henryk – ur. 23.6.1898 w Suchej Górnej.
Studiował w gimnazjum w Cieszynie. Do wojska został powołany w 1916 r. Kończy szkołę oficerów rezerwy w Opawie. Na froncie włoskim przedostał się do aliantów i do Polski powrócił przez Francję jako podporucznik polskiej „Błękitnej armii". Pod koniec 1919 r. urlopowany do akcji plebiscytowej na Śląsku Cieszyńskim. Od 1921 r. w Dowództwie Okręgu Wojskowego nr 1 w Warszawie. Od 1926 r. służy w stopniu kapitana w Pułku Piechoty Kresowej w Równem. Od 1936 r. w stopniu majora w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Opracował kilka publikacji – podręczników z zakresu wojskowości. Zamordowany przez NKWD w Katyniu.

Zych Ludwik – ur. 25.8.1894 w Rychwałdzie.
Studia w gimnazjum w Cieszynie przerwał w 1912 r. i pracował jako górnik. Utrzymywał jednak kontakty ze studentami. Członek „Sokoła". Po

wybuchu wojny w Legionach. Przeszedł wszystkie kampanie, dwukrotnie ranny. Po rozwiązaniu Legionów w obozie internacyjnym na Węgrzech. Od końca 1918 r. w wojsku polskim w stopniu oficera. Bierze udział w walkach z Ukraińcami i bolszewikami. Od listopada 1919 urlopowany do akcji plebiscytowej na Śląsku Cieszyńskim. Organizował Tajną Organizację Wojskową i był jej komendantem w okręgu Frysztat-Karwina. Po podziale Śląska służy w stopniu kapitana w pułku piechoty w Cieszynie. W 1923 r. zdał zaocznie egzamin dojrzałości i w latach 1930-1932 był słuchaczem Wyższej Szkoły Wojennej. W 1934 r. awansuje na dypl. podpułkownika i zostaje szefem sztabu 6 dywizji piechoty w Krakowie, a później szefem sztabu straży granicznej w Warszawie. W 1938 r. był dypl. ppłk. Zych organizatorem i komendantem Legionu „Zaolzie". W kampanii wrześniowej jest znów szefem sztabu 6 dywizji piechoty. Po klęsce przebywa do końca wojny w niemieckich obozach jenieckich. Po powrocie z niewoli jest krótki czas znów w sztabie Wojsk Ochrony Pogranicza. Pod koniec 1945 r. wydalony z wojska i pracuje w prywatnej firmie w Warszawie. W listopadzie 1947 r. (po ucieczce Stanisława Mikołajczyka z Polski) zostaje aresztowany i skazany na karę śmierci za kontakty z Rządem Londyńskim. Ułaskawiony przez Bieruta jest więziony we Wronkach. Ze względu na bardzo zły stan zdrowia wychodzi w 1953 r. z więzienia. Zmarł w 1958 r. w Warszawie.

Nowok Alojzy – ur. 30.5.1898 w Ropicy.

Autor wspomnień „Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim". Czytelnicy zapoznają się z jego losami w pojedynczych odcinkach tych wspomnień. Przeżył niemalże to samo co Zych Ludwik. Zmarł 7.9.1974 w Pszczynie.

A więc tak potoczyły się losy sześciu synów Ziemi Cieszyńskiej, którzy marzyli o polskim Śląsku Cieszyńskim. Pięciu z nich to rodowici Zaolziacy z rodzin górników, robotników i rolników. W myśl przysięgi, którą w 1914 r. złożyli w piastowskim grodzie Cieszynie na konspiracyjnej zbiórce nad Olzą, przez całe życie służyli wiernie swej Ziemi i Narodowi i walczyli o ideały, na które przysięgali. Jednego z nich w końcu zamordowało hitlerowskie gestapo, jednego radziecka NKWD, dwóch polska „bezpieka" towarzysza Bieruta, a dwaj doczekali się poniewierki w więzieniach tej bezpieki. Tak zwana Polska Ludowa, na czele której stała klika sługusów z Moskwy i gruzińsko-rosyjskiego satrapy Stalina, takich ludzi, prawdziwych patriotów nie potrzebowała i likwidowała ich.

Wbrew temu Alojzy Nowok, który z tej studenckiej szóstki konspiracyjnej żył najdłużej, był aż do śmierci optymistą i był przekonany, że sprawiedliwa, naprawdę demokratyczna Polska musi powstać. Sterany przeżyciami dwóch wojen światowych i – co gorsza – długim więzieniem po roku 1947, zmarł nie doczekawszy wskrzeszenia takiej Polski i spełnienia marzeń i myśli o polskim Śląsku Cieszyńskim.

JAN MACURA

GUSTAW SAJDOK

ŻYCIE

I
Zamień się w złotą rybkę
bo i stary rybak
wypuści ster
Nie da rady
tchnąć życia
w oceany
uwolnić je od grzybów
gnijących od dna
w bajkach i pieśniach
była żywa i martwa
woda
jak życie
i śmierć
dobro
i zło
sprawiedliwość
i krzywda
dziś kogo obwinić
za oceany śmierci
Dokąd wyruszyć
którą ścieżką
do żywej wody
komu pogrozić
kosturem
by odczarować
zły urok
zatruwania...

II
W Kosmosie
w bezkresnej przestrzeni
milczenia
i żaru
szukamy życia
a tu na Ziemi
wymyślamy
jak je zabić
Jeszcze się Ziemia kręci
Jeszcze Kopernik ma rację
Kto
chce by stanęła
w miejscu

III
Kropla krwi
wielka
jak serce matki
jak kula ziemska
kurczy się
maleje
coraz mniej życia
krąży w żyłach
Zasuszmy i tę najmniejszą
kropelkę krwi
przesypujmy w dłoniach
w nieskończoność
czerwone kruszynki
z których wzejdzie
urodzenie...

PRÓG

Kiedy przekraczasz
próg
trzeba się ukłonić
Podziękować tym
którzy pozwolili
próg przekroczyć
bo inaczej
będziemy jak wrony
krakać
o sobie
i o innych
że mieszkamy w domach
bez progów

WIARA

Nie słyszałem
o plastrze miodu
w którym zabrakłoby
słodyczy
dlatego wierzę
że każdy
chce
wyszarpać z siebie
to plugawe
aby godniej żyć

IVAN BINAR

GADANIE DO ŚPIĄCEJ KOTKI

A więc, Kotuniu, ułóż się wygodnie, rozpocznij to swoje przędzenie albo zamknij oczyska, będę ci opowiadał o lotnych nasionkach pod skowronkami oraz o martwych muchach w dotychczas pustym domu, w którym zrozpaczone ptaki latają po pokojach i korytarzach, dziobkami zakrzywionymi od uderzeń stale gwałtowniej uderzają w okienne szkło, bez namysłu; zmieszane ptaki nie mogą znaleźć okna, przez które tu przyleciały. Nie wydają głosu, tylko machają ropaczliwie lotkami, zupełnie wyczerpane przysiadają na skrzynce elektromierza albo na podłodze, a potem znowu, jeszcze bardziej zaciekle próbują na próżno przebić główkami podwójne szkło.

Podobałyby ci się, bardzo by ci się podobały, kotko domowa–miejska–pokojowa, poławiaczko cieni, much i zabłąkanych motyli, moli oraz myszy, służących jako zabawki dla kotów. Nawet ty, nieprzystosowana, możesz złapać uwięzione ptaszki, bawić się nimi, potrącać je łapką, sprawdzać, z czego są zrobione, co to w nich tak szybko tyka, potarmosić je i potem zjeść, jednego po drugim: jaskółkę–oknówkę, a następnie pliszkę... Albo odwrotnie?

Cóż by to było za świniobicie bez śliwowicy! Wstawaliśmy już o wpół do szóstej, o szóstej przywiózł Luboš nadwrażliwego rzeźnika z manelami w plecaku i od razu wmusił nam kieliszek śliwowicy. Po to, żeby się prosiakowi lepiej umierało.

– Całą noc miotałem się w łóżku. Nigdy porządnie się nie wyśpię, jak mam rankiem zabijać – powiedział rzeźnik i ręce mu się trzęsły. – Ale ktoś to musi robić.

Robota jednak szła Laďovi: pętla powrozu na lewą tylną nogę, to było moje zadanie, wyciągnąć świnię z chlewika, plusk strzelbą do głowy, nóż, krew, drgawki... – Wypręż, cholera, ten sznur!

I cisza. Szczeciniasty spokój słoniny i sadła z czerwoną krechą pod gardłem. Pluskanie krwi w miednicy, żeby się nie ścięła. Krwawa ręka.

– Blaszanymi dzwonkami o ostrych zakończeniach zdzieraliśmy potem z tłustej ciszy sztywną szczecinę i cisza zabitego stworzenia bieliła nam się pod rękami, aż nabrała białości prześcieradła położonego na dmuchawcach. Kwietniowe świniobicie. To by ci się również, Kotuniu, podobało.

Na początku lata w Toskanii, u Sváti Karáska, w ogrodzie, w krzakach jeżyn, kląskały słowiki... Dlaczego nazywamy śpiew słowików kląskaniem, nie wyczytałem w żadnym słowniku. Słuchaliśmy tego nocą i popijaliśmy czerwone toskańskie wino od szewca Castagneta Carduciego – jest najsłynniejsze w okolicy i można je pić.

Takiego koncertu ptaków nie słyszał nikt z nas do tej pory, było to zachwycające, letnie, śródziemnomorskie... Nazajutrz pod wieczór, kiedy wróciliśmy od morza i rozwiesiliśmy mokre chorągwie – kąpielówki i ręczniki – na sznurze od gruszy do drzewa figowego i szykowaliśmy się, żeby gotować wieczerzę, zaalarmował nas przeraźliwy krzyk wystraszonych ptaków.

Słowiczy ojciec i słowicza matka machali przerażeni w powietrzu skrzydłami, polatywali bezradnie wokół niskiego drzewka oliwkowego, w pobliżu gniazda, w którym zielony wąż zabijał ich dzieci. Długi, zielony dusiciel. – Patrzyłem na to jak sparaliżowany, niezdolny do ruchu, zafascynowany zjawiskiem przyrody o naturalnym, wrodzonym okrucieństwie, któremu nie można zapobiec, podobnie jak nie można powstrzymać oberwania chmur, zaćmienia słońca, wstrzymać przypływ i odpływ, zabronić zaspokajania głodu... Było to okropne.

– Zostaw je w spokoju, ty przemierzła gadzino! – krzyknęła Jarka, rzuciła się w kierunku drzewka i zaczęła potrząsać gałązkami. Wąż wypluł martwego ptaszka – a pozostałe trzy w gnieździe były już i tak zaduszone – powoli, niechętnie, zsunął się z drzewa i odczołgał się w trawie gdzieś indziej, żeby zabijać kolejne niewiniątka. Również słowiki-rodzice uspokoiły się i odleciały, może po to, żeby przygotować kolejny koncert nocny, przecież morderstwo popełnione na ich dzieciach nie zwalnia ich od słowiczych obowiązków. Także dziś w nocy rozlegnie się kląskanie.

Szlachetny odruch Jarki nie pomógł w niczym. Pisklęta były już i tak martwe, a długi zielony wąż został głodny. Nie

pozostawało mu nic innego, jak poszukać innego gniazdka, żeby się nasycić.

Zabitego prosiaka, Kotuniu, wieszamy głową w dół. – Głowę oddzielamy od tułowia najpierw nożem, opracowujemy miękkie części ciała aż do kości, do kręgosłupa, dalej nie można, kręgosłup oprze się nawet najbardziej ostremu nożowi. Wystarczy jednak niewiele: bierzemy głowę w objęcia i przekręcamy, nieznaczne szarpnięcie w kierunku wskazówek zegara, inaczej już człowiek nie potrafi, chociaż prawdę mówiąc ten ruch w odwrotną stronę jest również skuteczny. Chrup, i macie pełną naręcz świńskiej głowy. – Coś takiego nie obędzie się bez kieliszka.

Z czyściutkiej, białej ogolonej ciszy pomiędzy dwunastoma sutkami wywaliła się grzmotna powódź jelit do misy powleczonej cynową warstwą, wypadły kolejne potrzebne do życia organy, nieodzowne w trakcie wytwarzania kaszanki i wyrobu kiszek kaszankowych. Nic z tego prosiaka nie pójdzie na marne, nie zginie, wszystko jadalne zjemy, niejadalne rozpadnie się i zostanie składnikiem ziemi, naszej mateczki.

Szedłem po plaży, ciągnąc za sobą bezlistny pęd bambusowy, cienki śródziemnomorski patyk, który został wypluty przez morze. Koniec bambusu rył w piasku krechę, linię, jakiej nigdy w życiu nie narysowałem, ponieważ szedłem długo i daleko, fale podmywały i pochłaniały dzieciom piaskowe zameczki, a były to zamki piękne, wyglądały na odporne, i także te, które zbudowali dzieciom ambitni tatusiowie, morze zabierało je również, chociaż fale były niepozorne, szumiące...

Myślałem o słowikach i wężach, o człowieku, który do wszystkiego się wtrąca i niczego nie rozumie: słowiki przecież nie kląskają!

Ale kiedy szedłem z powrotem, była już moja najdłuższa linia poprzerywana pracą morza, znikające kawałki kreski były dłuższe, niż fragmenty ocalałe, a kiedy doszedłem do letniska Shangri–La, co oznacza rodło Młodości, nie pozostała, Kotuniu, po mojej pieczołowicie wyrytej w piasku bambusowej kresze, nawet najmniejsza pamiątka.

Przekład: WILHELM PRZECZEK

BRNEŃSKA ELIŠKA, KRÓLOWA POLSKA (III)

W roku 1305 zmarł król czeski i polski Wacław II, pozostawiając dwie bliskie kobiety, 17-letnią żonę Elżbietę Rychezę (Eliška Rejčka, na Morawach Réčka), córkę polskiego króla Przemysła II i jej nowo narodzoną córkę Agnieszkę, na łasce swoich, od początku nieprzychylnych wobec młodej królewskiej małżonki, krewnych. Najbardziej rzucała się w oczy niechęć jego córki Elżbiety Przemysłówny, wobec niewiele starszej od siebie imienniczki. I to właśnie Przemysłówna po nagłej śmierci swego brata króla Wacława III, małżonka Wioli Cieszyńskiej, który został zasztyletowany w Ołomuńcu w 1306 roku, została wraz ze swą zamężną siostrą Anną jedyną dziedziczką prastarego rodu, który wymarł po mieczu. To ręka Elżbiety Przemysłówny wraz z koroną miała przypaść przyszłemu królowi Czech; nagłe zgony obu Wacławów doprowadziły bowiem ostatecznie do upadku rządów czeskich w Polsce.

Jednym z pretendentów do tronu czeskiego był syn cesarza Albrechta Habsburga Rudolf I Habsburg, który w asyście swego młodszego brata Fryderyka stanął wraz z wojskami pod murami Pragi. Po zatwierdzeniu swych praw i przywilejów możnowładcy czescy okrzyknęli go swoim kandydatem. Teraz wypadało króla w myśl planów magnatów ożenić z 14-letnią Elżbietą Przemysłówną. Ludmila Vaňková, autorka wielu powieści historycznych, w swej najnowszej książce „Królowa Rycheza. Żona dla trzeciego króla" twierdzi, że królowa-wdowa Elżbieta Rycheza przybyła do obozu Rudolfa w habicie mniszki, by prosić o pomoc dla siebie i swej maleńkiej córki-dziedziczki, którą zaopiekowały się teraz Przemysłówny. Niezwykła uroda Elżbiety i fakt, że cesarzowi Albrechtowi Habsburgowi nie było całkiem po myśli małżeństwo syna z dziedziczką prastarego czeskiego rodu, sprawiły, że wypadki potoczyły się inaczej. Ludmila Vaňková opisuje je następująco:

„Przysięgałem, że zasiądę na czeskim tronie jako małżonek królowej czeskiej Elżbiety" – powiedział król Rudolf I Habsburg – „i że Przemysłówna zostanie wyniesiona. Oto ona, jej córka, a od dziś również moja". Na te słowa podniósł maleńką Agnieszkę Przemysłównę, córkę króla Wacława II i Elżbiety Rychezy, i pocałował ją. Potem podał ramię jej matce i podszedł wraz z nią do cesarza. „Pobłogosław nam, ojcze".

„Ale ja im nie pobłogosławię!" – zawołał biskup praski Jan z Dražic,

chociaż obecność biskupów niemieckich wskazywała na to, że jego sprzeciw i tak nie będzie brany pod uwagę. „To oszustwo! Hańba!"

„Oszustwo? Kto mi je zarzuci? Może pan?" – Rudolf Habsburg zwrócił się w stronę czeskiego wielmoży, Jindřicha z Lipé. „Niech pan tylko sobie przypomni, jaką przysięgę wam składałem. Elżbieta, córka królewska, prawowita królowa czeska, czy to nie o nią chodzi?"

Nikt nie mógł zaprzeczyć. Marzeniem króla był syn Habsburg na czeskim tronie. Kiedy królowa Elżbieta poroniła w zagadkowych okolicznościach, twierdzono, że to sprawa obozu Przemyślidów, na czele którego stała ukrywająca się za furtą klasztoru pamiętliwa Elżbieta Przemysłówna. Rozgoryczony król kazał przemieścić ją do jednego z domów w mieście, gdzie miała mieszkać bez jedynego sługi. W rok później już nie żył – 19-letnia Elżbieta Rycheza owdowiała po raz drugi. Przypadło jej w udziale jako królowej-wdowie pięć miast we wschodnich Czechach, w tym Hradec, zwany później Hradcem Królowej. W okresie nowych walk o tron czeski pomiędzy mężem Anny Przemysłówny Henrykiem Karynckim a bratem zmarłego króla Fryderykiem Habsburgiem miasta te i dziedzictwo po obu królewskich małżonkach stały się ważnym atutem. W związku z tym stronnictwo Przemyślidów więziło Rychezę w Pradze, ale udało jej się uciec do obozu szwagra Fryderyka Habsburga. Twierdzono odtąd, że łączy ich coś więcej niż rodzinne sentymenty, w każdym razie wojska habsurskie znalazły schronienie w miastach należących do Rychezy.

Po śmierci Albrechta Habsburga na tronie cesarskim zasiadł Henryk VII Luksemburczyk. Był to wielki cios dla Habsburgów, którzy zrezygnowali z roszczeń do korony czeskiej. Henryk Karyncki, wybrany przez szlachtę czeską na króla, również się nie sprawdził. Wzrastało więc znaczenie obozu skupionego wokół jedynej prawowitej dziedziczki czeskiej dynastii Elżbiety Przemysłówny. Panowie Jindřich z Rożmberka, Jindřich z Lipé i Jan z Vartemberka zainicjowali plan zaślubin 18-letniej księżniczki z jedynym synem cesarza 14-letnim Janem Luksemburczykiem. W roku 1310 arcybiskup Piotr z Aspeltu włożył czeską koronę na jego skronie. W tej sytuacji jedynym miejscem dla niepotrzebnej już królowej-wdowy, zamieszkałej w Hradcu, był klasztor.

Niepokorna Elżbieta Rycheza jednak wbrew panującym wówczas obyczajom zaczęła coraz częściej przyjmować na swym bogatym dworze pierwszego czeskiego wielmożę i doradcę nieletniego króla Jindřicha (Henryka) z Lipé, najwyższego marszałka królestwa. Dwóch mężów i dwóch kochanków w tak młodym wieku – to był zbyt wielki występek dla średniowiecznych moralistów. Do dziś historycy spierają się o to czy ówcześni kronikarze częściej ją wielbili, czy obmawiali. Co do jednego byli jednak zgodni – Henryk był jej wielką życiową miłością i Elżbieta trwała przy nim wiernie aż do jego śmierci.

Nie uprzedzajmy jednak wypadków. Rosnący wpływ bogatego wielmoży, wspieranego przez hradecką panią, zaniepokoił zawistną królową Elżbietę Przemysłównę i w związku z tym król Jan kazał uwięzić swego

dotychczasowego faworyta w Týřowie. W ten oto sposób Elżbieta Rycheza stanęła na czele antykrólewskiego obozu, choć przedtem król jej sprzyjał. Walki zakończyły się zwycięstwem obozu Rychezy, a Henryka wypuszczono na wolność. Kolejny spór między Elżbietami rozgorzał w 1316 roku. Na świat przyszedł pierwszy syn królewski późniejszy Karol IV, zaś Rycheza zaręczyła swoją córkę bez wiedzy króla z polskim księciem ze Śląska Henrykiem Jaworskim, a jego wojska wkroczyły do Hradca, który miał przypaść w posagu młodej parze. Królowa potraktowała to jako obrazę majestatu, wojna rozgorzała na nowo i zakończyła ją dopiero ugoda w Domažlicach. Po tych wydarzeniach Elżbieta Rycheza wraz z Henrykiem z Lipé, który przyjął urząd hetmana morawskiego, postanowili usunąć się w cień i w 1318 roku osiedli na stałe w Brnie.

Idylla trwała ponad 10 lat, ich brneński dwór zaćmiewał swym przepychem dwór królewski, a król, któremu Rycheza przekazała za odszkodowaniem swoje miasta, nie szczędził im odtąd przywilejów. Wpływowy Henryk miał na przykład prawo do bicia własnych monet. Ich wspólne życie zakończyła nagła śmierć Henryka w 1329 roku. O wielkim żalu Elżbiety Rychezy mówi „Kronika zbrasławska": *Po jego śmierci królowa Elżbieta, zwana Hradecką, tak bardzo rozpaczała, że wprawiało to w zdumienie wszystkich, którzy byli świadkami jej żalu. A ponieważ nie chciała się z nim rozstać w życiu i po śmierci, pochowano jego ciało w podziemiach klasztoru, który założyła w Brnie.* Chodzi o klasztor cysterek, klejnot architektury gotyckiej na Morawach, z którego dochował się do dziś starobrneński kościół Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Elżbieta Rycheza ufundowała go *dla spokoju sumienia i by odkupić swoje grzechy.* Po śmierci ukochanego radykalnie zmieniła swoje życie - zrezygnowała z uciech doczesnych i przepychu na korzyść spraw ducha. Wraz z córką udała się do Nadrenii, skąd przywiozła cenne relikwie świętych. Zamieszkała w klasztorze, któremu przekazała w testamencie większość swego majątku.

Zmarła dnia 19 października 1335 roku i pochowano ją tak jak Henryka w kościele klasztornym, zgodnie z jej życzeniem w szarej prostej szacie. Jej grób odkryto dopiero w 1900 roku pod posadzką kościoła i oznaczono płytką z literą „E". W swym testamencie przekazała również na rzecz katedry poznańskiej, gdzie spoczywali jej rodzice, dwadzieścia kop groszy oraz pewną sumę dla polskiej przeoryszy Elżbiety. Dziś jest ta niezwykła kobieta, w której żyłach ciekła krew królów polskich, jedną z najbardziej popularnych i lubianych postaci w Brnie. Obok jej kościoła stoi przybytek świecki, luksusowa winiarnia „U královny Elišky", a za murami dawnego klasztoru wre codzienne życie. Pięknie napisał o tym wybitny brneński poeta, Jan Skácel w swym wierszu „Mała recenzja o królowej":

... przepiękny to kościół / i grzechy były piękne / nie darmo przecież tutaj kamieniarze / miłosną różę rzeźbili nad oknem / zgodnie z życzeniem pobożnej królowej. / I całe miasto pachnie jak kamienna róża / trolejbus pieśni o Elišce śpiewa / przezwanej Rejčka / która na Starym Brnie / od swych miłości dawnych w krypcie odpoczywa.

ŚWIĘTY FRANCISZEK?

W 1206 roku Bernardone rozdał swój majątek i został wędrownym kaznodzieją nawołującym do naśladowania Jezusa - do życia w ubóstwie pośród ludzi i wśród przyrody. Bernardone został później właśnie świętym Franciszkiem. Piękno przyrody i ład świata rozbudzały w nim podziw dla Stwórcy...

Poezja polska posiada także swojego świętego Franciszka. Jest nim dla mnie wybitny poeta-ksiądz Jan Twardowski - jeden z najwybitniejszych przedstawicieli współczesnej poezji polskiej.

Ksiądz Jan Twardowski urodził się 1 czerwca 1915 roku w Warszawie, jako żołnierz Armii Krajowej walczył w Powstaniu Warszawskim. W 1948 roku przyjął święcenia kapłańskie, a jeszcze przedtem ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim.

Zadebiutował tomikiem wierszy „Powrót Andersa" (1937)... Przytoczę kilka tomików Jana Twardowskiego, które zawsze mnie niesamowicie wzruszały: „Znaki ufności" (1970), „Który stwarzasz jagody" (1983), „Rachunek dla dorosłego" (1982), „Nie przyszedłem pana nawracać" (1986). Znamienne są także wiersze dla dzieci, które ksiądz Jan Twardowski pisze z miłością: „Zeszyt w kratkę", „Patyki i patyczki", „Kasztan dla milionera".

Jest taka wdzięczność / kiedy chcesz dziękować / lecz przystajesz jak gapa / bo nie widzisz komu / a przecież sam nie jesteś / płacząc po kryjomu / Niewidzialny jest z tobą / co jak kasztan spada / Jest taka wdzięczność kiedy chcesz całować / oczy włosy niewidzialne ręce / powietrze deszcz co chlapie / zimę saneczki dziecięce / dom rodzinny co spłonął z portretem bez ucha / rozstania niby przypadkowe / kiedy żyć nie wypada a umrzeć nie wolno / Jest taka wdzięczność kiedy chcesz dziękować / za to że niosą ciebie nieznane ramiona /a to czego nie chcesz najbardziej się przyda / szukasz w niebie tak tłoczno i tam też nie widać /.

Poezja Jana Twardowskiego jest poezją wielką i jak każda prawdziwa sztuka jest ukryta w prostocie. Sięgamy do niej zawsze, kiedy jest nam nie najlepiej w życiu:

Powróć mi Panie z dawnych lat
herbaty gorzkiej łyk w manierce
i umarłego ojca list
sweter od siostry, matki serce

RENCISTA

O stosunkach panujących na pograniczach Polski, trudnych do przełamania barierach, stworzonych w niedalekiej przeszłości, i możliwościach tworzenia pomostów w celu integracji pisze w miesięczniku „Odra" (3/97) w artykule „Polskie pogranicza w cieniu przeszłości" Zbigniew Kurcz. *„Pogranicza stały się żywym elementem polskiego organizmu społeczno-państwowego dopiero przed kilku laty i nie ma w tym stwierdzeniu żadnej przesady. Jeśli zastanowić się nad rozważaniami naukowców i publicystów powojennego okresu, to łatwo zauważyć, że pograniczami PRL i jej sąsiadów zajmowali się oni w znikomym stopniu."* Przyczyn tego stanu rzeczy należało szukać w ówczesnej sytuacji geopolitycznej (pokojowe granice z bratnimi krajami) i stosunkach narodowościowych (nowe granice powojenne ustawiły obok siebie narody zantagonizowane lub zupełnie sobie obce). Na polsko-czeskim pograniczu *„stosunki ludnościowe mają szczególny charakter, o czym decyduje złożony kontekst historyczny"*. Na granicy z Czechami zamieszkali głównie przybysze. Wyjątek stanowi obszar Śląska Cieszyńskiego. *„Po czeskiej stronie żyje liczna mniejszość polska, gdy po polskiej ludność czeska występuje sporadycznie. Historyczna pamięć mieszkańców tego odcinka pogranicza jest obciążona wojną polsko-czeską z 1920 roku, ale też przyłączeniem Zaolzia do Polski"*. Na wnioski w sprawie możliwości i rezultatów współdziałania pogranicza dziś jeszcze za wcześnie.

W „Gościu Niedzielnym" (30/97) ukazała się rozmowa z Franciszkiem Lobkowiczem, biskupem założonej w roku 1996 diecezji ostrawsko-opawskiej. *„Łącznie, wraz z duchownymi emerytowanymi, na terenie diecezji mamy 197 kapłanów. Bez duszpasterzy na miejscu pozostaje jednak jeszcze 170 parafii. W duszpasterstwie wspomagają nas także księża z Polski, diecezjalni i zakonni, m.in. paulini w Ostrawie, franciszkanie w Boguminie i Jabłonkowie, jezuici w Czeskim Cieszynie i karmelici w Górnej*

Łomnej." Na pytanie o organizację pracy duszpasterskiej na terenach zamieszkałych przez mniejszości narodowe odpowiada: *„Do dwujęzycznych należą przede wszystkim parafie (...) Jabłonków, Wędrynia, Trzyniec, Gnojnik, Domasławice, Karwina, Cierlicko, Bogumin, Czeski Cieszyn. Tam dwa języki są na co dzień obecne w wielu dziedzinach życia: w szkołach, w sklepach, na ulicznych napisach. Są więc i Msze św. po czesku i po polsku, i katecheza, a księża muszą się posługiwać obydwoma językami. Ja sam, właśnie jako kapłan pracujący przed laty w Jabłonkowie, nauczyłem się języka polskiego ze względu na to, że wielu moich parafian pragnęło spowiadać się po polsku".*

„Polskie lato kulturalne na Morawach" podsumowuje w rozmowie z wysłanniczką dziennika „Moravskoslezský den" (w nr. z dnia 2 sierpnia br.) konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk. Konsulat Generalny RP w Ostrawie popiera wymianę kulturalną zespołów teatralnych z Ostrawy i Opawy oraz Bytomia i Katowic, galerii w Ostrawie i Opolu. W Ostrawie przebiegają Dni Wrocławia, Szumperk współpracuje z Nysą, Opawa z Raciborzem. *„Chcemy jednak również ożywić życie kulturalne na środkowych i południowych Morawach, jak np. w Luhaczowicach, Otrokowicach czy Hrozenkowie, gdzie ludzie mają bardziej niż np. na północy Moraw utrudniony dostęp do kultury polskiej".* W Brnie otwarty został konsulat honorowy, dyżurujący w każdą pierwszą środę miesiąca w brnieńskim ratuszu. W Znojmie przebiegają od czerwca do października Dni Polskie. W Otrokowicach, Brnie, Znojmie i Ostrawie można kolejno obejrzeć wystawę z Gniezna „Europa świętego Wojciecha". Do największych wydarzeń, przygotowywanych przez Konsulat RP, należy czesko-polsko-austriacka konferencja „Epoka Jugend stylu", która odbędzie się w Opawie w dniach 7 i 8 listopada. W brnieńskim Domu Sztuki we wrześniu przebiegło spotkanie twórcze i wystawa współczesnej sztuki polskiej. Na Szpilberku zainstalowana została stała ekspozycja „Polscy więźniowie Szpilberka".

O jubileuszu TL „Bajka" donosi tygodnik „Karvinsko" (12/97): *„Teatr Bajka, który jest jedynym profesjonalnym teatrem lalki w naszym powiecie, będzie sławił w nadchodzącym sezonie pięćdziesięciolecie swej działalności".* Nowy sezon, tak jak przed 50 laty, rozpocznie przedstawieniem klasycznej bajki „Szewczyk Dratewka". Uroczystości jubileuszowe odbędą się 2 marca 1998, dokładnie w dzień, kiedy w roku 1948 odbyła się pierwsza premiera.

O „Czeskocieszyńskiej Bajce – pięćdziesięciolatce" pisze też „Moravskoslezský den" (26 sierpnia br.). Wspomina o historii teatrzyku i jego zadaniach na dzień dzisiejszy. Szerzej omawia najnowszą premierę oraz współpracę z teatrzykiem Kleks z Częstochowy, którego dyrektor Grzegorz Lewandowski jest reżyserem „Szewczyka Dratewki".

„Dziennik Polski" (34/97 z dnia 23 sierpnia br.), ukazujący się w Londynie, drukuje zanotowaną przez Kazimierza Santariusa opowieść prof. dr. hab. Karola Daniela Kadłubca o Zaolziu w artykule „Okno na świat". Opowieść zaznajamia czytelnika z pojęciem Zaolzie, historią i znaczeniem Śląska Cieszyńskiego. *„Śląsk Cieszyński nigdy nie był terenem zabitym deskami. Zawsze był oknem na świat. Bo chłopi, którzy pisali swoje pamiętniki, od XVII wieku po dzień dzisiejszy dostrzegali związki Śląska Cieszyńskiego – swojej małej ojczyzny – z tym, co działo się w Europie. I to zakodowali w swojej polskości". „Zatem to, że pomimo wielowiekowej izolacji od Macierzy na Zaolziu po dziś dzień utrzymuje się polskość i polski stan posiadania, mamy do zawdzięczenia tutejszemu ludowi, dla którego zawsze książka ważniejsza była od chleba, a głowa od żołądka".* Artykuł przypomina niedawne 60. urodziny Daniela Kadłubca.

Całą stronę sobotniego wydania w dniu 9 sierpnia br. poświęca dziennik „Moravskoslezský den" pasjom Józefa Chmiela w artykule „Pasterskie echa znad Olzy". Redaktorzy gazety odwiedzili Józefa Chmiela w Darkowie, w jego domu usytuowanym niedaleko kopalni o tej samej nazwie, w domu, z którego rozlegają się dźwięki pasterskich instrumentów muzycznych. Józefa Chmiela zastali przy obróbce pnia świerka, z którego powstanie trombita o rekordowej długości ośmiu metrów. Pierwszą trombitę wykonał na Gorolski Święto w Jabłonkowie w roku 1988, pierwszy róg pasterski w roku 1990 z okazji Tygodnia Kultury Beskidzkiej w Wiśle. Od tego czasu powstało około piętnastu trombit i rogów pasterskich. Znana na całym Zaolziu, ale również poza jego granicami jest inna pasja Józefa Chmiela. Od lat interesuje się historią regionu karwińskiego, swoich stron rodzinnych, zbiera fotografie, dokumenty i wszelkie stare przedmioty, wiążące się z Karwiną i jej okolicą.

„W tym roku do Cieszyna przyjechała prawie setka studentów z prawie 20 krajów, ze wszystkich kontynentów oprócz Afryki" – donosi „Gazeta Wyborcza" dnia 18 sierpnia br. Biorą oni udział w siódmej już letniej szkole języka, lite-

ratury i kultury polskiej organizowanej przez Szkołę Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. W ramach zajęć odbywają się lekcje języka polskiego, seminaria na temat kultury polskiej, spotkania z ludźmi kultury, recitale i koncerty oraz wycieczki krajoznawcze. *„Do szkoły przyjeżdżają dzieci emigrantów i słowianofile zupełnie nie związani z Polską"* – mówi dyrektor szkoły Romuald Cudak. Na pytanie o powód przyjazdu do szkoły odpowiada uczestniczka z Belgii: *„Chyba mnie pociąga wasza egzotyka, wy, Słowianie, kierujecie się uczuciami, mniej rozumem, jesteście swobodniejsi niż my."*

Letnią imprezą oferowaną przez Szkołę Języka i Kultury Polskiej są też organizowane corocznie w Cieszynie tygodniowe warsztaty polonistyczne dla nauczycieli języka polskiego pracujących poza granicami kraju. Biorą w nich udział nauczyciele polskich szkół na Zaolziu.

Czytelników „Dziennika Zachodniego" 29 sierpnia br. informuje red. Stanisław Bubin o sytuacji Redakcji Polskiej Radia Czeskiego w Ostrawie w artykule „Kłopoty Polskiej Redakcji?" z sugestywnym podtytułem „Zaolziacy twierdzą, że szefowie Radia Ostrawa dążą do likwidacji audycji w naszym języku". Dokładnie opisuje niedawne problemy polskich dziennikarzy w radiu ostrawskim. *„Konsulat Generalny RP w Ostrawie zorganizował jednak niedawno spotkanie z dyrekcją rozgłośni, na które przybył jedyny polski poseł w parlamencie RC Wawrzyniec Fójcik z Cierlicka. Dyrektor Franciszek Prokop zapewnił konsula, że audycjom polskim nic nie grozi, zostaną zachowane w dotychczasowych ramach: 15 minut w dni powszednie, 30 minut w soboty. Dyrekcja radia będzie jednak dążyć, by słuchacze czescy w większym niż dotychczas zakresie byli informowani o życiu polskiej mniejszości w Północnych Morawach. Konkrety będą omawiane wspólnie z polskimi redaktorami. Jeśli potwierdzą się te słowa, pewnie okaże się, że przewrażliwieni Polacy wydumali swoje problemy. A może jednak nie?"*

2 września br. z okazji rozpoczęcia nowego roku szkolnego drukuje dziennik „Moravskoslezský den" informacje o polskiej szkole podstawowej w Gnojniku: „Setka małych Polaków latami uczy się w prowizorium". Inauguracja roku szkolnego przebiegła z udziałem licznych gości. *„Chcemy, aby państwo i rząd zrozumiały, że szkolnictwa narodowego nie da się rozwiązać z pomocą gminy i powiatu"*, stwierdziła dyrektor szkoły Małgorzata Rakowska. Budowa jednej wspólnej czeskiej i polskiej szkoły lub dwu osobnych budynków pozostaje otwarta.

TU ANTARKTYKA!

Do najdalszych, a zarazem i najmilszych połączeń, jakie miała dotychczas „pezetkaowska" amatorska stacja krótkofalowa OL 5 OPZ („Zwrot" zawiadomił o jej istnieniu swoich czytelników w tegorocznym sierpniowym numerze) – należy połączenie z... Antarktyką.

Nie należy mylić Antarktyki z Antarktydą. Antarktyda – to kontynent wokół bieguna południowego Ziemi o obszarze około 14 milionów kilometrów kwadratowych, zaś Antarktyka to obszar polarny i subpolarny na półkuli południowej obejmujący Antarktydę wraz z otaczającymi ją oceanami i wyspami na nich się znajdującymi do około 60 stopni szerokości geograficznej południowej. Ma ten obszar około 50 milionów kilometrów kwadratowych.

A więc tam, na antypody, dotarła wiadomość o istnieniu Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej i jego jubileuszu. Do chwili pisania tej notatki miała stacja OL 5 OPZ już ponad 2 600 połączeń z 99 różnymi krajami świata, nawet tak egzotycznymi jak np. Uganda, Rwanda, Oman, Kuwejt, Macao, Nauru, Bahrain, Burkina Faso, Namibia... (Kto nie wierzy w istnienie takich krajów niech zechce sprawdzić w encyklopedii i w atlasie.) Czyli jest się czym pochwalić!

Ale niewątpliwie do najmilszych naszych łączności należą spotkania w eterze z Polakami rozsianymi po świecie. Bo gdzie Polaków nie ma! Poniekąd „zasługa" to wojny i stosunków zaistniałych po niej, że nie ma kontynentu, ba, nawet kraju, gdzie nie znalazłby się przynajmniej jeden Polak. Często z musu, rzucony tam przez los, ale też są i tacy, którzy dobrowolnie znaleźli się w świecie, bo mają w którymś jego punkcie do spełnienia jakąś ważną misję. I z kilkoma takimi właśnie mieliśmy również łączności.

W Antarktyce, na Wyspie Króla Jerzego (King George Island) znajduje się Polska Stacja Antarktyczna im. Henryka Arctowskiego, a na niej aktualnie przebywa XXI Polska Wyprawa Antarktyczna w składzie doc. dr hab Wojciech Kittel oraz współpracownicy Piotr Kittel i Marek Kraszula. Ten ostatni to radiotelegrafista Stacji a zarazem krótkofalowiec polski o znaku SP 3 GVX. I właśnie dzięki niemu została nawiązana łączność między naszą stacją OL 5 OPZ i Stacją Polarną HF 0 POL, bo taki ma ta Stacja znak

wywoławczy. A ponieważ każda łączność powinna być potwierdzona tak zwaną kartą QSL - więc i przy tej łączności doszło do wymiany takich kart. Karta Stacji Polarnej HF 0 POL przyszła wraz z obszerną przesyłką zawierającą jeszcze list doc. dr. W. Kittla i pięciostronicowy opis działalności Polskiej Stacji Antarktycznej z własnoręcznymi podpisami jej pracowników. Jest też mapka Antarktyki i mapka wyspy, na której Stacja się znajduje, oraz piękny kolorowy widok Stacji z lotu ptaka. A wszystko w kopercie, na widok której każdemu zbieraczowi-filateliście serce zaczyna łomotać w piersi... Bo nie tylko piękne znaczki pocztowe (Antartica Chilena) na niej, ale jeszcze dodatkowo 13 różnych pieczątek używanych przez Stację w różnych okresach jej istnienia. A wszystko znalazło adresata pomimo braku jego nazwiska na kopercie, bo jest na niej tylko taki adres: „Janek OK 2 BIQ, Tyra 30, 739 58, Czech Republik".

Jakże z tak cenną przesyłką nie zapoznać czytelników „Zwrotu"? Pisze doc. dr W. Kittel: *Bardzo dużą przyjemność sprawił mi fakt zainteresowania się przez Pana istnieniem Polskiej Stacji Antarktycznej i rozpropagowaniem tego faktu wśród czeskiej Polonii (...). Proszę się zastanowić czy nie warto zorganizować cyklu odczytów w Waszym środowisku? Czy może nawet niewielką wystawę antarktyczną? (...) Zrobię to dla Państwa z wielką przyjemnością. (...) Serdecznie pozdrawiam całe wasze środowisko. W. Kittel, King George, lipiec, 1997 rok.*

I jakże tu nie skorzystać z tak miłej propozycji? Zarządzie Główny PZKO, Koła PZKO, szkoły - zastanówmy się nad jej wykorzystaniem! Niech nasza, krótkofalowców praca, przyniesie jakieś konkretne owoce... To będzie dla nas największą satysfakcją!

Jest w przesyłce obszerna praca doc. Kittla zatytułowana „Dwadzieścia lat działalności Polskiej Stacji Antarktycznej im. Henryka Arctowskiego" opisująca jej historię, jej działalność i życie na niej. Jest i upoważnienie do jej przeredagowania i opublikowania w naszej prasie. Ale wychodząc z założenia, że skorzystamy ze szlachetnej propozycji jej autora urządzenia na ten temat odczytu (a może nawet kilku odczytów) u nas - zapoznam czytelników tylko z jej fragmentami, zostawiając resztę na te spotkania, bo wierzę, że do nich dojdzie!

Oto fragmenty tej pracy:

Myśl zbudowania stacji polarnej w Antarktyce nurtowała polskich naukowców już dawno. Już Henryk Arctowski (1871-1958), uczestnicząc jako kierownik naukowy w wyprawie belgijskiej na statku Belgika, snuł plany budowy stacji w rejonie Szetlandów Południowych. Nic więc dziwnego, że Polska Stacja Antarktyczna nosi imię tego wybitnego geologa, oceanografa i meteorologa.

Wyboru miejsca pod budowę stacji dokonano w styczniu 1977 roku, po zbadaniu szeregu miejsc na kilku wyspach rejonu Półwyspu

Antarktycznego. Ostatecznie zdecydowano, że najlepiej nadają się okolice przylądka Pt. Thomas w Zatoce Admiralicji na Wyspie Króla Jerzego. Stację zbudowano w ciągu 57 dni siłami ekip Polskiej Akademii Nauk i statków, które przywiozły sprzęt i ludzi na wyspę.

Stacja położona jest w przepięknej scenerii, jaką tworzą wody Zatoki Admiralicji mające charakter fiordu ze spływającymi do niej ze wszystkich stron lodowcami. Jest otoczona powulkanicznymi wzgórzami sięgającymi niemal 300 m nad poziom morza. Nad tym wszystkim króluje kopuła lodowca pokrywająca wyspę w 95% a osiągająca wysokość ponad 600 m. Stacja usytuowana jest w rejonie wolnym od lodu, wyniesionym zaledwie kilka metrów nad poziom morza, na samym brzegu. Tworzy ją szereg budynków. Jest budynek mieszkalny (wraz z ambulatorium), a w nim aktualnie może mieszkać 15 osób, są laboratoria specjalistyczne, budynek meteo z ogródkiem meteorologicznym, laboratorium letnie, budynek radiostacji i pokoje gościnne. Pozostałą infrastrukturę tworzą trzy hale, w których znajdują się magazyny, elektrownia, hydrofornia i garaże. Potężny zbiornik, położony ze względów bezpieczeństwa około 500 metrów od stacji, zaopatruje w paliwo elektrownię i pojazdy.

Atrakcyjność usytuowania Stacji sprawia, że coraz więcej ośrodków naukowych tak krajowych jak i zagranicznych korzysta z niej i jej zaplecza laboratoryjnego. W oparciu o Stację prowadzone są badania biologiczne, geologiczne, paleontologiczne, glacjologiczne, meteorologiczne, medyczne, sejsmiczne, magnetyczne i inne. W oparciu o badania prowadzone tutaj powstało kilkaset publikacji naukowych, kilkadziesiąt prac magisterskich, kilkanaście doktoratów i kilka habilitacji. Na Stacji pracowali już naukowcy z kilkunastu krajów.

Polską Stację Antarktyczną odwiedzali również polarnicy czescy. W roku 1988 przebywali tutaj kilka dni Jaroslav Pavlíček z Janem Parkiem, a J. Pavlíček jeszcze ponownie w roku 1990 razem z Jaroslavem Fousem. Rok 1993 był tragiczny dla czeskiej polarystyki: w maju tego roku zginęli w wodach Zatoki Maxwella przy przepływaniu jej kajakiem do swojej bazy na Wyspie Nelson Kamil Suchánek i Miroslav Stuchlík. Było to bardzo ciężkie przeżycie dla wszystkich polarników na King George. Znaliśmy ich, podziwialiśmy ich wielki hart ducha i chęć przeżycia w tych ciężkich warunkach, jakie oni mieli w swej bazie. Cześć ich pamięci!

Na naszej stacji przebywali jeszcze inni czescy naukowcy. W okresie letnim 1996 roku badania botaniczne prowadzili tu prof. Jiří Komárek z Instytutu Botanicznego Czeskiej Akademii Nauk w Třeboni i mgr Ondřej Komárek, doktorant Uniwersytetu Masaryka w Brnie. Inny pra-

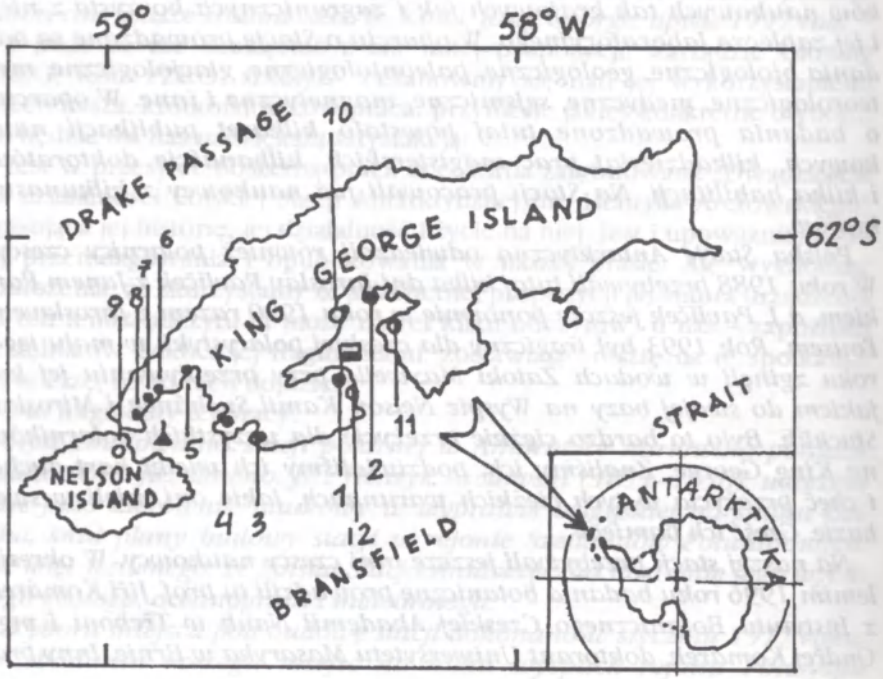
cownik tego samego Uniwersytetu, meteorolog mgr Kamil Láska pozostał na Stacji przez całą długą zimę antarktyczną. W roku 1997 wspólnie z XXI Polską Wyprawą Antarktyczną dr Josef Elster i mgr O. Komárek z Instytutu Botanicznego w Třeboni badali tutaj glony słodkowodne.

W okresie dwudziestolecia istnienia Stacji przebywało na niej ponad 250 zimowników a ponad 800 osób pracowało tu w sezonach letnich. Stacja jest również atrakcyjnym celem turystycznym i w czasie jej istnienia zwiedziło już ją ponad 15 tysięcy turystów z całego świata. Jej księga pamiątkowa jest pełna gratulacji i pochwał dotyczących nie tylko prowadzonych tutaj badań naukowych, ale również gościnności i kultury ekip pracujących na Stacji.

Cóż tu dodać? Jedynie życzenie, by kierownik Stacji Antarktycznej doc dr W. Kittel istotnie przybył na nasz teren z odczytem na temat pracy tej Stacji. Z całą pewnością spotka się z ogromnym zainteresowaniem!

(A tak mimochodem: Może urządzimy wycieczkę do Antarktyki? W którąś niedzielę po podwieczorku? Gdybyśmy nie zdążyli wrócić do domu na kolację, to noclegi mamy tam zapewnione...!)

ANTONI STRZYBNY



W prawym dolnym rogu mapki przedstawiono przybliżony zasięg Antarktyki, a strzałka oznacza położenie Szetlandów Południowych w stosunku do Antarktydy.

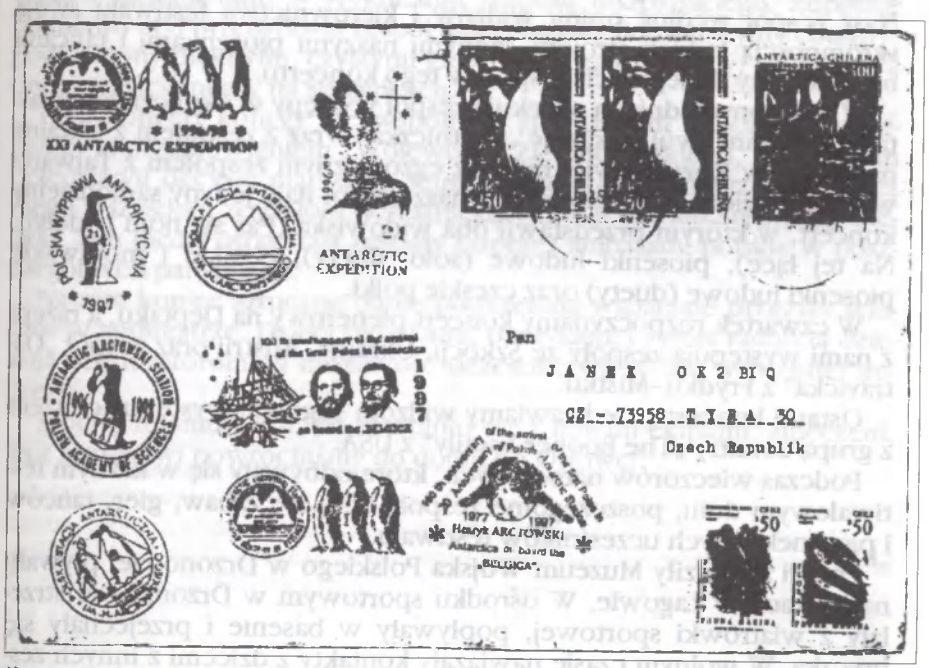
Na większej mapce zaznaczono rozmieszczenie stacji antarktycznych na Wyspie Króla Jerzego i Wyspie Nelsona. Liczby oznaczają poszczególne stacje całoroczne:

1. H. Arctowski (Polska)
2. Ferraz (Brazylia)
3. Jubany (Argentyna)
4. King Sejong (Korea)
5. Artigas (Urugwaj)
6. Bellighausen (Rosja)
7. Marsh-Frei (Chile)
8. Great Wall (Chiny)

Stacje letnie:

9. stacja czeska
10. Machu Picchu (Peru)
11. refugium Equador
12. Peter Lenie (USA)

Czarny trójkącik oznacza prawdopodobne miejsce śmierci polarników czeskich.



Koperta z przesyłką z Antarktyki

„SKOTNICZKA" W ZIELONEJ GÓRZE

W sobotę 9 sierpnia 1997 wyjechał Dziecięcy Zespół Folklorystyczny „Skotniczka" z Orłowej-Lutyni na IV Międzynarodowy Dziecięcy Festiwal Folkloru do Zielonej Góry. Dzieci, kapelę i kierownictwo czekała żmudna trasa koncertowa podczas pobytu na festiwalu.

Festiwal rozpoczyna się mszą świętą w kościele Najświętszego Zbawiciela, korowodem folkloru Aleją Niepodległości na Starówce i krótkimi programami wszystkich uczestniczących zespołów na scenie na Deptaku w koncercie plenerowym „Witamy w Zielonej Górze".

Koncert inauguracyjny „Spotkanie kontynentów" odbywa się w Teatrze Lubuskim z udziałem naszego zespołu, trzech zespołów gospodarzy oraz zespołów z USA, Chile, Paragwaju, Tajwanu i Gruzji. Nasz zespół według opinii widzów i kierownictwa festiwalu swoją skromnością laskich strojów, ładnymi naszymi piosenkami i tańcami był zaliczony do lepszych zespołów tego koncertu.

W następnych dniach oczekują zespół występy w okolicznych miastach. Program swój pokazuje „Skotniczka" wraz z zespołem z Ukrainy na zamku w Kożuchowie, razem z egzotycznym zespołem z Tajwanu w Świebodzinie. W Czerwieńsku nasz zespół daje jedyny samodzielny koncert, w którym przedstawił oba widowiska (Paś sie nóm bydełko, Na tej łące), piosenki ludowe (solo, duety), czeskie i morawskie piosenki ludowe (duety) oraz czeskie polki.

W czwartek rozpoczynamy koncert plenerowy na Deptaku, a razem z nami występują zespoły ze Szkocji, Ukrainy, Austrii oraz zespół „Ostravička" z Frydku-Mistku.

Ostatni koncert przedstawiamy widzom Łagowa, występując razem z grupą country „The Booher Family" z USA.

Podczas wieczorów narodowych, które odbywały się w każdym festiwalowym dniu, poszczególne zespoły uczą się zabaw, gier, tańców i piosenek innych uczestników festiwalu.

Dzieci zwiedziły Muzeum Wojska Polskiego w Drzonowie, pływały na łódkach w Łagowie. W ośrodku sportowym w Drzonkowie strzelały z wiatrówki sportowej, popływały w basenie i przejechały się bryczką. W wolnym czasie nawiązały kontakty z dziećmi z innych zes-

połów. Chociaż niekiedy bariera językowa była duża, dzieciom to w ogóle nie przeszkadzało.

W sobotę 16 sierpnia to dzień ostatni festiwalu. Po południu wszystkie zespoły biorą udział w spotkaniu z Wojewodą Zielonogórskim w Sali Kolumnowej Urzędu Wojewódzkiego, gdzie wszystkie uczestniczące zespoły otrzymują dyplomy IV Międzynarodowego Dziecięcego Festiwalu.

Wieczorem w amfiteatrze odbywa się Koncert Galowy w reżyserii dyrektora festiwalu pana Gerarda Nowaka. Wszystkie zespoły festiwalowe oraz zespoły polskie, przyjeżdżające na koncert, są podczas koncertu na scenie amfiteatru i po kolei przedstawiają swoje programy. Mogliśmy podziwiać tradycyjnie szybkie tańce w wykonaniu zespołów z Ukrainy, Rosji i Gruzji, gorące rytmy południowej Ameryki (Chile, Paragwaj) albo góralskie piosenki i tańce w wykonaniu polskich zespołów, jak również zespołu węgierskiego i zespołu „Malý Vtáčnik" z Prievidzy.

Region austro-niemiecki jest reprezentowany przez charakterystyczne tańce tyrolskie i niemieckie zespoły z Austrii i Niemiec. Greckie tańce w stylu Zorba też podobają się publiczności, jak również tańce z kastanietami w wykonaniu zespołu hiszpańskiego. Zupełnie odmienny styl przedstawia zespół amerykański, bo tradycyjny country, podkreślony pięknymi, czystymi głosami członków grupy, jak również umiejętnościami gry na skrzypcach.

Cały koncert kończy się wspólnym śpiewaniem walca na pożegnanie i przemówieniem Wojewody Zielonogórskiego, w którym przedstawił decyzje marszałka Sejmu pana Zycha o przyznaniu przez niego wszystkim zespołom uczestniczącym w festiwalu Srebrnego Medalu. Ten medal otrzymają zespoły poprzez ambasady polskie w poszczególnych państwach.

Na sam koniec sztuczne ognie podkreślają wspaniale przeżyty wieczór w amfiteatrze. Dzieci oklaskami, okrzykami i swoją radością dziękują organizatorom za możliwość uczestnictwa w tak wspaniałej imprezie.

Trochę ze smutkiem, po rozstaniu się z innymi ekipami, zmęczeni, lecz szczęśliwi powróciliśmy do domu do Orłowej.

J.L.

DWIE NAGRODY IM. STANISŁAWA MONIUSZKI POWĘDROWAŁY NA ZAOLZIE
JUBILEUSZOWY "TROJOK ŚLĄSKI"

Już po raz piąty odbyło się Święto Śląskiej Pieśni Chóralnej „Trojok Śląski" - po Katowicach, Karwinie-Frysztacie i Ostrawie - tym razem w Bielsku-Białej. W bielskiej edycji „Trojoka Śląskiego" uczestniczyło blisko 1200 śpiewaków. Ludzi, których łączy umiłowanie pieśni, radość wspólnego śpiewania i chęć dzielenia tej radości z innymi. „Trojok Śląski" w przeciągu pięciu lat stał się wydarzeniem artystycznym, gromadzącym ogromną rzeszę ludzi czynnych poprzez śpiew i muzykę.

Na zaproszenie organizatorów V Święta Śląskiej Pieśni Chóralnej odpowiedziały dwie orkiestry dęte i trzydzieści zespołów śpiewaczych. Dziewiętnaście z nich to chóry polskie, zrzeszone w Oddziałach Polskiego Związku Chórów i Orkiestr - Bielskim i Śląskim. Jedenaście przyjechało z Republiki Czeskiej, w tym osiem zrzeszonych w Unii Czeskich Chórów Rejonu Ostrawskiego oraz cztery chóry z Zaolzia, należące do Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego PZKO: nawsiańska „Melodia", frysztacka „Kalina", dolnolutyńska „Lutnia" oraz połączone chóry „Godulan-Ropica".

Koncert inauguracyjny w Bielskim Centrum Kultury zaszczyciło wielu znakomitych gości, m.in. wojewoda bielski Marek Trombski, przedstawiciele wojewody katowickiego, Zarządu Głównego PZKO na czele z prezesem Jerzym Czapem, Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego (Józef Wierzgoń - wiceprezes, Leszek Kalina - dyrektor artystyczny), Unii Czeskich Chórów (Drahoslav Štula - prezes Oddziału Ostrawskiego), Śląskiego Oddziału PZChiO (prezes Rajmund Hanke). Rolę gospodarza pełnił prezes Oddziału Bielskiego PZChiO Kazimierz Fober. Imponujące było spotkanie inauguracyjne. Rozpoczęły je połączone „trojokowe" chóry pod batutą Aleksandry Trefon-Paszek, dyrygentki nawsiańskiej „Melodii". A potem koncertowały: chór mieszany „Ondráš" z Novego Jičína z dyrygentem Edwinem Bartkiem i Karolem Monsportem, „Melodia" z Nawsia i młodzieżowy „Ave Sol" z Bielska-Białej z dyrygentem Leszkiem Pollakiem.

Podczas koncertu wręczone zostały nagrody im. Stanisława Moniuszki, przyznawane za wybitne zasługi dla społecznego ruchu muzycznego, za kształtowanie kultury muzycznej i upowszechnianie piękna pieśni śląskiej. W tym roku ich laureatami zostali: Krzysztof Wójtowicz - dyrygent Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia" ze Strumienia, prof. Václav Stuchlý z Unii Chórów Czeskich, dr Józef Wierzgoń - wiceprezes Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego, członek Zarządu Głównego Polskiego Związku Chó-

rów i Orkiestr w Warszawie i dyrygent karwińskiego zespołu Śpiewaczo-Muzycznego „Przyjaźń", oraz Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne PZKO w Czeskim Cieszynie (w 70. rocznicę założenia Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji, którego ZŚM jest kontynuatorem).

Prawdziwie świąteczny nastrój uzupełniała gra Miejskiej Orkiestry Dętej, która towarzyszyła śpiewakom maszerującym bielskimi ulicami na mszę do kościoła Najświętszego Pana Jezusa. Oprawę wokalną liturgii zapewnił chór „Zew" przy Cechu Rzemiosł Różnych w Bielsku-Białej, którym dyrygowali Adelajda i Stanisław Kryjakowie. „Zew" wykonał m.in. kompozycję ks. A. Chlonowskiego „Missa dominikalis" oraz „Alleluja" Haendla. Klamrą spinającą chóralną modlitwę były hymny: „Ambrozjański" Gebharda wykonany na rozpoczęcie przez „Zew" i „Na jubileusz 2000" odśpiewany na zakończenie przez wszystkich chórzystów. Nie żałowali też ci, którzy zostali w kościele i wysłuchali znakomitego zespołu żeńskiego z Republiki Czeskiej, jakim niewątpliwie jest Towarzystwo Śpiewacze Nauczycielek Ostrawskich pod dyrekcją artystyczną i dyrygencką Vladimíra Kovařika. Chór wykonał utwór Zoltana Kodalý „Missa brevis". Ostrawski zespół cechuje wielka muzykalność, piękne brzmienie, melodyczna dynamika i finezja wykonawstwa. Chór należy do grona najlepszych zespołów wokalnych w Republice Czeskiej.

W godzinach popołudniowych religijna pieśń rozbrzmiewała w bielskiej katedrze św. Mikołaja (dolnolutyńska „Lutnia" z dyrygentem Alojzym Babińskim), w kościele ewangelickim Zbawiciela (frysztacka „Kalina" z dyr. Otokarem Winklerem) i kościele Opatrzności Bożej. Zaś pieśni śląskie i utwory o rodowodzie ludowym w artystycznych harmonizacjach i stylizacjach - w Domu Żołnierza oraz Domu Opieki Społecznej w Mikuszowicach Śląskich.

Pochwalić trzeba dobry pomysł wyjścia z pieśnią poza stolicę Podbeskidzia. Dzięki temu „trojokowe" chóry koncertowały w Szkole Podstawowej w Mazańcowicach („Godulan-Ropica" z dyr. Władysławem Cieślarem), w Domu Kultury w Kozach, a także w kościele św. Barbary w Strumieniu. W Kozach zaprezentowała się także Miejska Orkiestra Kameralna działająca przy Żywieckim Ośrodku Kultury (w ub. roku koncertowała na jubileuszu 70-lecia Chóru Nauczycieli Polskich w Czeskim Cieszynie). Występy urozmaiciły popisy utalentowanej młodzieży (recytacje, muzykowanie, taniec, śpiew). „Trojokowe" chóry pokrzepiły zgromadzonych słuchaczy pięknym śpiewem, spotykając się wszędzie z nieukrywaną życzliwością i prawdziwą serdecznością. „Trojok Śląski" jako impreza artystyczna stał się jednym ze sposobów urzeczywistnienia wizji Europy rozśpiewanej. Dodać trzeba, iż ta piękna impreza odbyła się dzięki finansowemu wsparciu Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Bielsku-Białej i przy organizacyjnej pomocy Wojewódzkiego Ośrodka Kultury.

JÓZEF WIERZGOŃ

BIESIADA PIEŚNI ZAOLZIAŃSKIEJ

Cztery chóry zaolziańskie wyjechały w przedostatnią sierpniową niedzielę na zaproszenie Okręgu Tarnogórskiego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr do Tarnowskich Gór na „Biesiadę Pieśni Zaolziańskiej". Współorganizatorem pierwszej tego rodzaju imprezy śpiewaczej – obok Okręgu Tarnogórskiego – był również Oddział Śląski Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Katowicach, który na imprezie reprezentował prezes Rajmund Hanke, oraz Wydział Kultury i Sportu Urzędu Miejskiego w Tarnowskich Górach.

Przed południem chóry zaolziańskie upiększyły nabożeństwa w Żyglinie, Miasteczku Śląskim i Brynicy, gdzie ponadto jabłonkowski „Gorol" (dyrygent Bogusław Stonawski i Andrzej Mozgała) i gawędziarz Tadeusz Filipczyk wystąpili na miejscowych dożynkach.

O godz. 15.00 w ogrodzie Domu Opieki Społecznej w Tarnowskich Górach – przy dźwiękach Orkiestry Dętej Polskich Kolei Państwowych – rozpoczęła się „Biesiada Pieśni Zaolziańskiej". Obok „Gorola" w biesiadzie udział wziął chór męski „Hejnał–Echo" z dyrygentem Józefem Foltynem i chór żeński „Kalina" z dyr. Otokarem Winklerem z Karwiny–Frysztatu, był też chór mieszany „Zaolzie" z Orłowej–Lutyni dyrygowany przez Urszulę Odstrčil. Zrzeszenie Śpiewaczo–Muzyczne reprezentował wiceprezes Józef Wierzgoń.

Na estradzie obok chórów zaolziańskich przedstawiły się w bogatym programie również zespoły śpiewacze Okręgu Tarnogórskiego PZChiO: chór męski „Piast" z Żyglina, chór mieszany „Jutrzenka" z Nakła Śląskiego, chór mieszany „Słowiczek" z Miasteczka Śląskiego oraz zespół pieśni ludowej „Brynica". W maratonie śpiewaczym nie obeszło się też bez pokazów wspólnego śpiewania zaprzyjaźnionych od lat chórów: frysztackiego „Hejnał–Echo" z żyglińskim „Piastem" (dyr. Marian Block) oraz orłowsko–lutyńskiego „Zaolzia" z „Jutrzenką" (dyr. Irena Róg).

„Biesiada" przebiegała w radosnej i przyjacielskiej atmosferze. Szczere słowa uznania i podziękowania należą się głównemu inicjatorowi tej bratniej imprezy śpiewaczej prezesowi Okręgu Tarnogórskiego PZChiO Marianowi Blockowi. Finansowo „Biesiadę" wsparło polskie Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz władze miejskie w Tarnowskich Górach.

J.W.

ODSZEDŁ PRACOWITY I SKROMNY DYRYGENT

Pod koniec sierpnia br. pożegnano się w skrzeczońskim kościele z długoletnim dyrygentem chóru mieszanego „Hasło" w Skrzeczoniu śp. Władysławem Ożogiem. Dyrygenturę „Hasła", jako jego długoletniemu chórzyście, powierzono mu w roku 1969.

Pod baczną ręką Władka skrzeczońskie „Hasło" swoim programem upiększa liczne imprezy i uroczystości własnego Koła oraz okolicznych pezetkaowskich Kół. Chór dzięki przekonywującym argumentom swego dyrygenta bierze udział we wszystkich konkursach śpiewaczych i festiwalach PZKO, kilkakrotnie wyjeżdża do Polski, uświetnia też nabożeństwa odpustowe i bożonarodzeniowe w skrzeczońskim i bogumińskim kościele.

W październiku ub. roku razem ze swoimi śpiewakami świętuje Władek 70-lecie „Hasła". Nikt z nas obecnych wtedy na tej pięknej imprezie nie pomyślał, że to już ostatni jubileusz chóru, któremu ze znaną pieczołowitością dyrygencką przewodził Władek.

Z okazji przypadającego na rok bieżący półwiecza PZKO chór skrzeczoński uczestniczy w marcu w pięknym Koncercie Inauguracyjnym w dolnolutyńskim Domu Kultury. Pan Władek wspólnie ze swoją małżonką przychodzi regularnie na wszystkie zebrania komitetu organizacyjnego tej jubileuszowej imprezy, no bo przecież i od występu jego chóru zależeć będzie powodzenie tego wyjątkowego koncertu. Wspólnie z małżonką uczestniczy również w uroczystym Sejmiku Śpiewaczym z okazji 70-lecia zorganizowanego śpiewactwa polskiego na Zaolziu, przyjmując z rąk prezesa Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie Waltera Stryji bardzo wysokie odznaczenie śpiewacze: Honorową Odznakę Złotą z Laurem PZChiO. No bo komu, jak nie Władkowi, długoletniemu i wielkiemu pasjonatowi śpiewu chóralnego należało się takie zaszczytne wyróżnienie.

A po Sejmiku sumiennie przygotowuje chór do wspólnego występu chórów Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego na czerwcowym jubileuszowym Festiwalu PZKO. I tu jego całożyciowa i ofiarna działalność społecznikowska uhonorowana zostaje wymownym wysokim odznaczeniem: „Zasłużony dla Kultury Polskiej". Odznaczenie w karwińskim Domu Kultury wręcza mu osobiście minister kultury i sztuki RP Zdzisław Podkański.

Był śp. Władysław Ożóg pieczołowitym i sumiennym robotnikiem na niwie zaolziańskiego śpiewactwa i Związku, skromnym człowiekiem, którego ofiarność i zapał potrafiły przełamać niejedną trudność. Był prawym człowiekiem, wspaniałym kolegą i przyjacielem. To dzięki takim jak On ofiarnym ludziom możemy jeszcze do dziś zbierać plony kwitnącego zespołami śpiewaczymi pola naszego śpiewactwa. Piękne zbieramy z niego jeszcze plony, bo wyrosły z ofiarności i pracy ludzi, poświęcających się nie dla sławy ani korzyści materialnych, ale dla urodzaju, dla satysfakcji, jaką utrudzonemu twórcy sprawia świadomość dobrze wykonanego dzieła!

Cześć Jego świetlanej pamięci!

JÓZEF WIERZGOŃ
wiceprezes ZŚM

SZEWCZYK W RYTMIE KRAKOWIAKA

Pracowity sierpień ma za sobą zespół Teatru Lalek „Bajka". Już podczas wakacji rozpoczęły się bowiem przygotowania do sezonu jubileuszowego. Ukoronowaniem jubileuszu pięćdziesięciolecia działalności teatrzyku będą uroczystości w marcu przyszłego roku.

2 marca 1948 odbyła się pierwsza w historii teatru premiera. Było to przedstawienie „O szewczyku i królewnie" według Marii Kownackiej. Ten sam klasyczny temat smoka wawelskiego i zwyciężającego go szewczyka postanowiła „Bajka" zaprezentować z okazji jubileuszu. Zadania podjął się gościnnie dyrektor częstochowskiego teatru lalek „Kleks" Grzegorz Lewandowski. Reżyser, goszczący w „Bajce" już po raz szósty, przywiózł ze sobą również lalki według projektu scenograficznego Małgorzaty Zielińskiej. Natomiast muzykę do przedstawienia przygotował, znany z trafnych pomysłów muzycznych, Zbigniew Siwek.

Twórcy przedstawienia sięgnęli po sztukę pod tytułem



„Szewczyk Dratewka czyli O smoku wawelskim" napisaną wprost na scenę lalkową przez Władysława Jaremę i Juliusza Wolskiego. Tematykę krakowską zapowiadają już pierwsze dźwięki hejnału krakowskiego, inaugurującego spektakl. Aktorzy-lalkarze występują w strojach krakowskich. Przedstawienie rozpoczyna wejście krakowskich kwiaciarek i przekupek, kończy taniec w stylu krakowiaka.

Znany wątek o szewcu walczącym ze smokiem, tym razem szydłem, został wzbogacony o kilka postaci i elementów z innych znanych bajek. Przede wszystkim smok ma do pomocy pawia, którego moc obezwładnia ludzi. Występuje też kot, dla którego szewczyk może uszyć buty. Kot jest towarzyszem latającej na miotle Baby Jagi.

Bajka mówi o szewczyku, który wymarzył sobie, że ożeni się z królewną. Ponieważ dzielnym sprzyja los, los ów stawia mu na drodze smoka, który „puścił pawia", złapał królewnę i zamknął ją w wieży. Król wysyła do ratowania swej królewskiej córki własną ekipę, ta oczywiście wraca z kwitkiem. Szewczyk rozprawia się ze smokiem i z pawiem i bierze królewnę za żonę. Król, smutny, że zięć pogardził tronem i fortuną królewską na rzecz rozwoju rzemiosła, znajduje oparcie dla stroskanej głowy na łonie starej niani.

W przedstawieniu bierze udział cały zespół aktorski teatru. A to i tak za mało, żeby obsłużyć wszystkie lalki. Niektórzy wykonawcy grają więc po kilka ról. Pawełka Niedoba jest Nianią i Babą Jagą, Jan Szymanik Królem i Smokiem, Krystyna Czech Kotem, Pawiem i Generałami, Krystyna Kubiczek Marszałkiem. Dorota Gociek jako Królewna i Marek Szücs w roli Szewczyka żegnają się we wrześniowych przedstawieniach z „Bajką", w październiku przychodzą na ich miejsce nowi młodzi adepci.

Przyznaję, że obserwując z zainteresowaniem i podziwem aktorów manipulujących lalkami, mniej zwracałam uwagi na samą akcję i zapewne umknęły mi pewne niuanse i powiązania poszczególnych wątków. Wydaje mi się – i to sugestia w stronę dorosłego widza, bo nie umiem odgadnąć reakcji dzieci – że przedstawienie mimo pozornej łatwości w odbiorze, spowodowanej znanym przez wszystkich tematem, trzeba obejrzeć kilkakrotnie. Chociażby po to, by wsłuchać się w tekst pisany wierszem i wyłapać wszystkie dwuznaczności językowe (patrz cytat powyżej).

Małym widzom przedstawienia przedpremierowego – a były to dzieci niepełnosprawne – bardzo przypadła do gustu muzyka. Piosenki, a zwłaszcza przerywniki muzyczne między poszczegól-

nymi scenami, o rytmicznej i łatwo wpadającej w ucho melodii, wyklaskiwane były przez dzieci z wielkim entuzjazmem.

Najważniejszym elementem spektaklu są niewątpliwie lalki. Lalki o długości około jednego metra, z wielkimi głowami, trzymane są przez aktorów przy pomocy specjalnych uchwytów z tyłu głowy. Drugą wolną ręką układa aktor zwisające wolno ręce i nogi lalki. Manipulację takimi lalkami dodatkowo utrudnia to, że aktor-lalkarz cały czas jest widoczny, nie chowa się za lalką ani za dekoracją, gra niejako podwójnie. Nie powinien więc sobie pozwolić na luz i chwilę prywatności z racji tego, że jego lalka akurat w danej chwili spoczywa nieruchomo, a swoją kwestię wypowiada ktoś inny. Niektórym wykonawcom udaje się to ze zmiennym szczęściem.

Dekoracja do przedstawienia posiada elementy stałe, ustawione po bokach wieże oraz elementy zmienne, jakimi są przede wszystkim oklejone kolorowym papierem pudła-prostopadłościany. I w tym miejscu muszę wspomnieć o moich nowych skłonnościach alergicznych. Po dwóch ostatnich premierach Sceny Polskiej dostałam uczulenia na punkcie przestawiania dekoracji na scenie na oczach widzów. Ta moja nowa alergia dała mi w kość również w „Bajce". Ale mówiąc poważnie: wydaje mi się, że niepotrzebne jest tylokrotne przesuwanie owych prostopadłościanów po to tylko, by ułożyć je pod trochę innym kątem. Zmianę miejsca akcji doskonale objaśniają symboliczne elementy, np. kontury okien, płotek, miotły, ustawiane na pudłach.

Liczne zmiany miejsca akcji pociągają za sobą konieczność krótkich przerw między poszczególnymi scenami. Przerw wypełnionych muzyką. Nim zabrzmi owa muzyka, przez moment nic się nie dzieje i rytm przedstawienia zostaje przez to zakłócony. Chodzi jednak w tym wypadku o sprawy techniczne – naciśnięcie w odpowiedniej chwili guzika magnetofonu. Usunięcie takich usterek nie powinno stanowić problemu. Podobnie ma się sprawa z piosenkami z playbacku.

Teatrzyk posiada piękną, własną, salę – scenę i widownię, umieszczone na poddaszu. O wadach tego miejsca przekonali się ostatnio widzowie i wykonawcy w czasie przedstawienia w jednym z ostatnich upalnych dni tego lata. Widzowie szczelnie wypełnili salę, a i na scenie zagęszczenie było niezłe. Szpilki by nie włożył, ale siekierę zawiesił. I tu ukłon w stronę wykonawców za to, że im się chce, że znajdują motywację, wierzą w sensowność swego wysiłku. Bo widzowie wychodzili bardzo zadowoleni.

CZESŁAWA RUDNIK

BŁĘDOWICE KRÓTKI ZARYS HISTORII

Tak brzmi tytuł publikacji autorstwa Andrzeja Pawlasa.

Błędowice leżą w północno-zachodnim zakątku powiatu karwińskiego, mniej więcej w tej samej odległości, 14 km, od miast Czeskiego Cieszyna, Ostrawy, Frydku-Mistku i Frysztatu. Rzeka Łucyna dzieli Błędowice na dwie części, wschodnią i zachodnią. W części zachodniej leżą pagórkowate Kępiany, Międzydole oraz Dólniok. W części wschodniej Siedloki, Świerkiel, Fojstwie, Podlesie i Góry, dziś częściowo albo zupełnie zabudowane, zachowane zostało Centrum i Zakościele. Dolinę Łucyny tworzą Łąki. Potok Strużnik, który odgranicza Centrum od dawnego Fojstwia, bierze swój początek w lesie, tuż przy granicy z Żywocicami.

Pięćdziesięciostronicowa broszurka wydana została w tym roku - jak można przeczytać na stronie tytułowej - z okazji pięćdziesięciolecia Miejscowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Błędowicach. Wydawcą jest MK PZKO w Hawierzowie-Błędowicach. Zespół redakcyjny utworzyli członkowie Koła Tadeusz Nierostek, Emilia Bilan i Lidia Pawlas. Materiały zdjęciowe pozyskano z archiwum Koła oraz ze zbiorów prywatnych Andrzeja Pawlasa.

Celem niniejszego skróconego opracowania - pisze we wstępie Andrzej Pawlas - *jest ocalić od zapomnienia to, co tworzy wspaniałą historię naszej pięknej kiedyś wioski, dzisiejszej dzielnicy Hawierzowa, przybliżyć czytelnikowi wartości, na jakie składa się dorobek duchowy i materialny jej mieszkańców, a równocześnie wskazać na wkład polskiego społeczeństwa na rzecz oświaty, kultury i religii na przestrzeni wieków.*

Materiałów do swego opracowania szukał autor przede wszystkim w dawnej kronice Błędowic napisanej przez pracownika archiwum powiatowego i byłego profesora historii orłowskiego gimnazjum Henryka Bolka, w pracy dyplomowej „Pro Ministerio" pastora zboru ewangelickiego Karola Krzywonia, będącej swego rodzaju kroniką Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A. W. w Błędowicach, oraz w publikacji „Havířov 1995".

Książeczka składa się z 24 ponumerowanych rozdziałów, stanowiących zamknięte całości tematyczne. Początkowe rozdziały to krótka historia Błędowic datująca się od początku XIV wieku, od założycieli wsi - rodu Bludowskich. Oprócz wydarzeń historycznych publikacja zawiera opis bogactw naturalnych i rzemiosł, rozpowszechnionych na terenie gminy. Dużo miejsca zajmują dzieje szkół, przedszkoli, kościołów i cmentarzy.

Nie brak spisu ofiar drugiej wojny światowej, pochodzących z Błędowic. Kilkanaście stron poświęconych zostało polskim organizacjom społecznym, politycznym i religijnym, wśród których w najnowszej historii poczesne miejsce zajmuje PZKO.

Błędowickie Koło jako jedyny reprezentant dawnych polskich organizacji rozpoczyna swoją działalność Walnym Zebraniem w połowie listopada 1947 roku. Koło posiadało 120 członków, dysponowało gotówką Kćs 200,–. Z przedwojennej spuścizny pozostał Park Macierzy oraz wojną i powojennymi decyzjami osłabione społeczeństwo. Na barki garstki ludzi spada wielka odpowiedzialność za odnowę polskiej kultury i oświaty.

W roku 1985 otwarły się podwoje nowego Domu PZKO, Koło zyskało *dobre warunki materialne i wielkie możliwości dla własnego rozwoju.*

Broszura „Błędowice" ukazała się w nakładzie 400 egzemplarzy. Niezaprzeczalne jest jej znaczenie zwłaszcza dla społeczności polskiej Błędowic, okolicy, ale też całego Zaolzia. Słowa uznania dla autora wyraził również czeski kronikarz miasta Hawierzowa, starając się pisać po polsku: *Jest to bardzo udana praca co do treści, nawet i szata graficzna, chociaż skromna, jest piękna i gustowna. Jest przykładem doskonałej publicystyki regionalnej, coś takiego znajdzie człowiek naprawdę rzadko.*

C.R.

KRONIKA

PROFESOR KADŁUBIEC W WIŚLE

Od kilku lat w ramach Tygodnia Kultury Beskidzkiej jeden dzień poświęcony jest folklorowi Zaolzia. Z tej okazji prezentują się nasze zespoły (w tym roku „Górole" z Mostów koło Jabłonkowa i „Suszanie" z Suchej Górnej), a Muzeum Beskidzkie w Wiśle organizuje wystawy i seminaria, dotyczące powiązań historycznych i kulturowych Śląska Cieszyńskiego.

Tegoroczne spotkanie miało miejsce 8 sierpnia, a jego uczestnicy podczas okolicznościowej sesji naukowej mieli okazję uczcić osobisty jubileusz 60. urodzin prof. dr. hab. Daniela Kadłubca, wybitnego etnografa, etnologa i językoznawcy, pracownika naukowego Uniwersytetu Ostrawskiego i cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Jubilat podzielił się z licznie przybyłymi gośćmi i przyjaciółmi uwagami i refleksjami na temat potrzeb i nowych kierunków badań kultury ludowej Śląska Cieszyńskiego. Wśród licznie przybyłych gości znaleźli się śpiewacy z zespołów „Wańcy" i „Gronie", wyrażając swoje życzenia pieśnią. Przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki przybyli z Warszawy z listem gratulacyjnym od ministra Zdzisława Podkańskiego, w którym czytamy: „Dziękuję za wszystko, co Pan uczynił dla Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Cze-

chach jako działacz i uczony. Kłaniam się pięknie za ten wieloletni trud łączenia pracy naukowej i społecznej". W uzupełnieniu tych słów burmistrz Wisły Karol Nogowczyk stwierdził: „Jestem pewien, że naukowe dokonania Pana Profesora, zarówno te utrwalone w książkach i artykułach, jak i przekazywane żywym słowem studentom i entuzjastom folkloru, będą przynosić trwałe owoce dla dobra całego Śląska Cieszyńskiego i jego mieszkańców". Wśród uczestników spotkania znaleźli się także: prof. Ewa Kosowska z Uniwersytetu Śląskiego, dyr. Bogdan Kocurek z Urzędu Wojewódzkiego w Bielsku-Białej, prezes ZG PZKO Jerzy Czap, nestor polskiego dziennikarstwa Władysław Oszelda i studenci Jubilata. Małgorzata Kiereś, etnograf i kierownik Muzeum Beskidzkiego, powiedziała: „Dla mnie największym dokonaniem Profesora jest tak idealne połączenie praktyki z teorią, gdyż rzadko kto potrafi badać daną kulturę i równocześnie do niej w pełni należeć. Profesor Kadłubiec może skomentować jakieś zjawisko gwarowe w naukowej formie w języku polskim, czeskim czy angielskim, a za chwilę uzupełnić wykład własną wypowiedzią gwarową czy piosenką, do której sam zagra na skrzypcach, trzymanych na wszelki wypadek w samochodzie".

Wspólne zdjęcie zakończyło oficjalną część jubileuszowych uroczystości, po czym nastąpiła ludowa biesiada przy muzyce i śpiewie.

R.Ch.

ODZNACZENIA DLA KOMBATANTÓW

Z okazji Święta Wojska Polskiego w Konsulacie Generalnym w Ostrawie 18 sierpnia miała miejsce uroczystość wręczenia odznaczeń kombatanckich żołnierzom polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy walczyli na frontach II wojny światowej. Odznaczeniami kombatanckimi uhonorowano: Edwarda Poloka, Andrzeja Śliża, Pawła Turonia, Jerzego Sikorę, Stanisława Bartosza i Jarosława Jeziorskiego. Na uroczystość przybyli kombatanci na czele z prezesem Koła Polskich Kombatantów w RC Bronisławem Firlą, wiceprzewodniczący Rady Polaków Bronisław Walicki, delegacja Stowarzyszenia „Rodzina Katyńska", przedstawiciele ZG PZKO, Klubu Gusenowców i ruchu politycznego „Wspólnota". W imieniu odznaczonych głos zabrał Edward Polok.

F.B.

30. DOŻYNKI ŚLĄSKIE W GUTACH

Piękna słoneczna pogoda przywitała gości przybyłych w niedzielę 24 sierpnia na uroczystości dożynkowe do Gutów. Toteż z ulgą odetchnęli organizatorzy, którzy już od kilku dni czynili intensywne przygotowania. Liczące 115 członków MK PZKO w Gutach nie po raz pierwszy pokazało, że nie w ilości siła. Około 50 osób brało udział w bezpośrednich przygoto-



waniach do jubileuszowych dożynek. Przygotowano tradycyjne specjały po świniobiciu, upieczono wspaniały chleb z nowej mąki i 180 blach kołaczy, które jak zwykle nie przetrwały do końca uroczystości, bo do tradycji należy także kupowanie ciasta do domu. Wielkim powodzeniem cieszyły się pieczone na ogniu prosiaki. Ale dożynki to przede wszystkim tradycyjny obrządek: dożynkowy pochód, wieniec z kłosami zżętych zbóż, przyśpiewki i tańce. Gospodarzami 30. Dożynek Śląskich w Gutach byli Jadwiga i Jerzy Czapowie. Oni to, jadąc w przyozdobionej kolasie, otwierali dożynkowy pochód. W części artystycznej wystąpiły w kolejności zespoły: ZPiT „Suszanie" z Suchej Górnej, „Wałasi" z Istebnej, zespół regionalny „Familijo" ze Skrzyszowa i gimnastycy z Wędryni. Później do tańca przygrywali muzykanci z Karwiny, a pod gruszą zebrali się miłośnicy ludowych kapel, na czele z naszym utytułowanym muzykiem prof. dr. hab. Danielem Kadłubcem, by słuchać muzyki ludowej w mistrzowskim wykonaniu członków kapeli „Wałasi" z Istebnej. Dożynki w Gutach zaszczycił swoją obecnością konsul Piotr Szwarc wraz z małżonką.

Jak poinformował prezes MK PZKO w Gutach Jan Kantor, przygotowano ław do siedzenia na 700 osób, a o miejsce było trudno. Wielki to sukces Miejscowego Koła i Klubu Kobiet w Gutach, na czele którego stoi Helena Sikora.

E.S.

NOWY ROK SZKOLNY W GNOJNIKU

Niezwykle uroczysty charakter miało rozpoczęcie roku szkolnego w Polskiej Szkole Podstawowej w Gnojniku, a to za sprawą gości oficjalnych, reprezentujących stronę rządową i parlamentarną Republiki Czeskiej i Rzeczpospolitej Polskiej. Chlebem i solą powitały dzieci tutejszej szkoły gości przybyłych z Pragi: ambasadora Rzeczpospolitej Polskiej Marka Pernala i wiceministra szkolnictwa w rządzie Republiki Czeskiej Františka Kozla. Wśród licznie przybyłych na szkolne boisko rodziców uczniów i przyjaciół szkoły w pierwszym rzędzie ławek miejsca obok ambasadora i ministra zajęli: konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk i konsul Piotr Szwarc, dyrektor sekretariatu Rady ds. Narodowości Urzędu Rady Ministrów RC Ondřej Sulitka, przewodniczący Rady Polaków poseł Wawrzyniec Fójcik, prezes Zarządu Głównego PZKO Jerzy Czap, przedstawiciel Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" Mirosław Styczeń, naczelnik urzędu powiatowego Jan Kajzar, starosta gminy Jaromír Kafonek oraz senatorzy polscy i czescy.

Dyrektor polskiej szkoły w Gnojniku Małgorzata Rakowska przypomniała historię szkoły, zwracając szczególnie uwagę na ostatnie kilkanaście jej lat, podczas których dzieci pobierają naukę w pomieszczeniach nie nadających się do użytkowania. A tymczasem ciągle trwają dyskusje między kompetentnymi urzędnikami co do dalszych losów polskiej placówki i jej samodzielności.



W nowym roku szkolnym szkoła liczy 114 uczniów, w większości dojeżdżających z 12 sąsiadujących z Gnojnikiem wsi, gdzie polskie szkoły już od dawna nie istnieją. Naukę w pierwszej klasie rozpoczęło dziewięciu uczniów, których uroczyście przywitali dziewiątoklasiści.

Uczniowie w krótkim programie artystycznym przypomnieli bogatą tradycję szkoły, związaną z osobą tutejszego nauczyciela Jana Kubisza, autora „ Pamiętnika starego nauczyciela", którego 150. rocznicę urodzin będziemy obchodzili w roku przyszłym. Dostojni goście po uroczystości szkolnej złożyli na pobliskim cmentarzu, w obecności syna Andrzeja i najbliższej rodziny, kwiaty na jego grobie.

Nieco wcześniej uwieńczeniem szkolnej uroczystości było wręczenie przez ambasadora Marka Pernala Medali Komisji Edukacji Narodowej Rzeczpospolitej Polskiej zasłużonym zaolziańskim nauczycielom. Inicjatorem odznaczeń, w związku z 50-leciem PZKO, była Komisja Odznaczeniowa Związku. Medale otrzymali: Henryka Żabińska, Antoni Strzybny, Irena Małysz, Halina Kowalczyk, Wanda Heller i Tadeusz Błanik.

E.S.

SPOTKANIE Z ANIELĄ KUPIEC

W czasie promocji zbioru opowiadań gwarowych Anieli Kupiec „Połotane żywobyci", które odbyło się w Nydku 1 sierpnia br., udało się kierowniczce Oddziału Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie Helenie Legowicz namówić autorkę promowanej publikacji do udziału w spotkaniu w bibliotece karwińskiej. Jak później stwierdziła Aniela Kupiec, nie trzeba jej było długo namawiać, bo chociaż sama jest góralką, żywi wielki szacunek dla górników i ich ciężkiej pracy i zawsze chętnie odwiedza zachodnie tereny Zaolzia.

Spotkanie odbyło się tym razem, z powodu górniczego jarmarku na frysztackim rynku, w gościnnych murach PSP w Karwinie-Frysztacie. Zgoła odmienny od nydeckiego charakter miała promocja karwińska. Pomyślana została przede wszystkim jako rozmowa z Anielą Kupiec. Gospodarzem spotkania była Helena Legowicz. Wiesława Branna przeczytała opowiadanie „Podarzóne krzciny". Poproszona do rozmowy Aniela Kupiec chętnie odpowiadała na zadane pytania. Jeszcze raz zapewniła słuchaczy o autentyczności opisywanych w opowiadaniach wydarzeń, w minimalnym tylko stopniu sfabularyzowanych przez użycie elementów fikcji literackiej. Wróciła wspomnieniami do swych młodych lat, porównując tamte czasy z dniem dzisiejszym. Na życzenie prowadzącej przeczytała dwa ze swoich starszych wierszy. Podkreśliła znaczenie zachowania gwary wśród młodszych pokoleń. Zapewniła, że nie zaprzestała pisania, ciągle znajduje wokół siebie tematy i zdarzenia godne utrwalenia na piśmie.

Łowcom autografów wpisywał się do książki „Połotane żywobyci" również autor ilustracji Tadeusz Wratny, bohater październikowej wystawy obrazów w bibliotece karwińskiej.



Na promocję przybyło około 40 osób. ZG PZKO reprezentował jego prezes Jerzy Czap. Po części oficjalnej nastąpiło spotkanie towarzyskie przy kawie i kołaczach. C.R.

BABSKI FESTYN

Sekcja Kobiet Zarządu Głównego PZKO, Miejscowe Koło i Klub Kobiet w Bystrzycy, jako organizatorzy, zaprosili w sobotę 6 września do Domu PZKO w Bystrzycy na Babski Festyn. To już czwarty z kolei, pierwszy również odbył się w Bystrzycy, a następne w Olbrachcicach i Karwinie–Frysztacie. Tym razem, przy sprzyjającej pogodzie, działy się tu rzeczy niezwykłe. Bo choć to Babski Festyn i kobiety zdecydowanie przeważały ilościowo wśród przybyłych na wspólną zabawę, to trzeba przyznać – co kilkakrotnie podkreślała przewodnicząca Sekcji Kobiet ZG PZKO Henryka Żabińska – inspiratorem „gwoździa programu" bystrzyckiego spotkania, konkursu na mistrza przetworów, był Józef Sikora. Ogłoszony kilkakrotnie na łamach „Głosu Ludu" regulamin konkursu przyniósł ciekawe plony w postaci niezwykle estetycznie wyglądających słoików z oryginalnymi przetworami z warzyw i owoców. Co do ich smaku wypowiedziała się specjalnie do tych celów powołana komisja z Józefem Sikorą jako przewodniczącym, złożona w większości z mężczyzn, która jednogłośnie orzekła mistrzem przetworów z warzyw Janusza Ciesielskiego, a mistrzynią przetworów owocowych Annę Słowik. Jak wcześniej było zapowiadane, nagrodami były różnego rodzaju urządzenia elektryczne, ułatwiające pracę w kuchni. Sponsorem konkursu była firma Zelmer Bohemia, która zaprezentowała bogatą ofertę swoich wyrobów, Józef Sikora, znany jako doskonały kucharz, zaprezentował sałatki jarzynowe według własnych receptur, przygotowane przy pomocy robota kuchennego „Fenomen" firmy



Zelmer. Degustacja cieszyła się olbrzymim powodzeniem. Ale nie tylko sałatki wzbudzały kulinarny podziw. Panie z miejscowego Klubu Kobiet przygotowały specjał pod nazwą „bystrzycki gulasz" i inne tradycyjne potrawy.

W Domu MK PZKO można było obejrzeć wystawę fotografii i rzeźb Karola Kalety, członka Klubu Twórców Ludowych przy ZG PZKO oraz robót ręcznych członkiń Klubu Kobiet MK PZKO Bystrzyca. Przy słonecznej pogodzie w programie artystycznym zaprezentowały się zespoły „Bystrzyca" i „Górole" z Mostów koło Jabłonkowa. E.S.

UROCZYSTOŚCI NA KONTESZYŃCU

Dla uczczenia pamięci Zaolziaków poległych na frontach II wojny światowej 6 września odbyła się pod pomnikiem na Konteszyńcu w Czeskim Cieszynie uroczystość złożenia urn z ziemią z pól bitewnych i Katynia. Organizatorem uroczystości było Koło Polskich Kombatantów w RC wraz z Rodziną Katyńską pod patronatem Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie. Uroczystość poprzedziło nabożeństwo ekumeniczne w kościele rzymskokatolickim pw. Serca Jezusowego, które współkoncelebrowali ks. Józef Steczek i sen. Bogusław Kokotek.

Urny z poświęconą ziemią złożyli pod pomnikiem: Władysław Martynek – uczestnik walki o Monte Cassino, Jan Szmek – uczestnik bitwy o Bredę, Leon Herman – uczestnik bitwy pod Bolonią i Kornel Kalina – brat zamordowanego w Katyniu policjanta.

Uczestnicząca w uroczystości delegacja Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie z konsulem generalnym Bernardem Błaszczykiem na czele



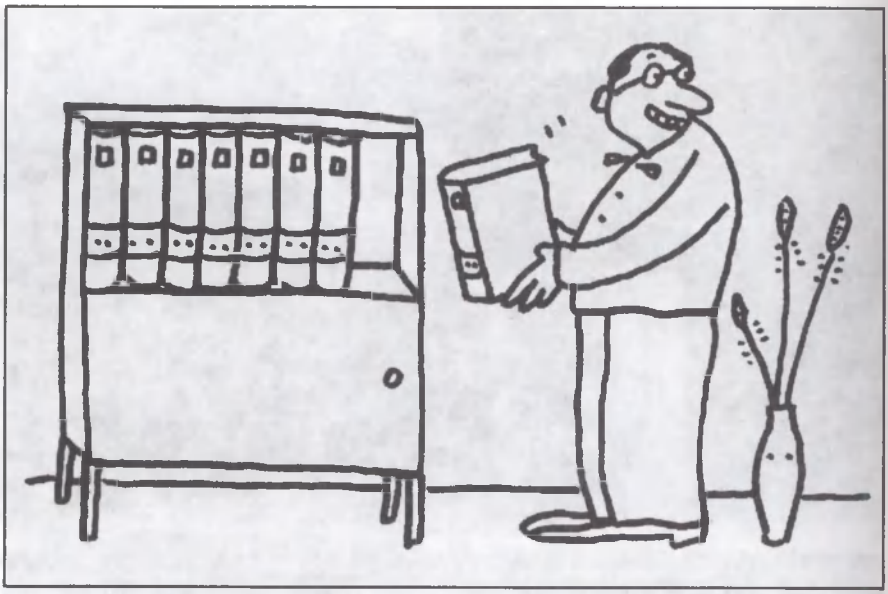
złożyła kwiaty pod pomnikiem. Uczyniły to również delegacje organizacji kombatanckich polskich i czeskich. W imieniu nie mogącego wziąć udziału w uroczystości naczelnego kapelana Wojska Polskiego biskupa polowego Leszka Sławoja Głódzia przemówił ks. major Polak z kościoła garnizonowego w Krakowie.

E.S.

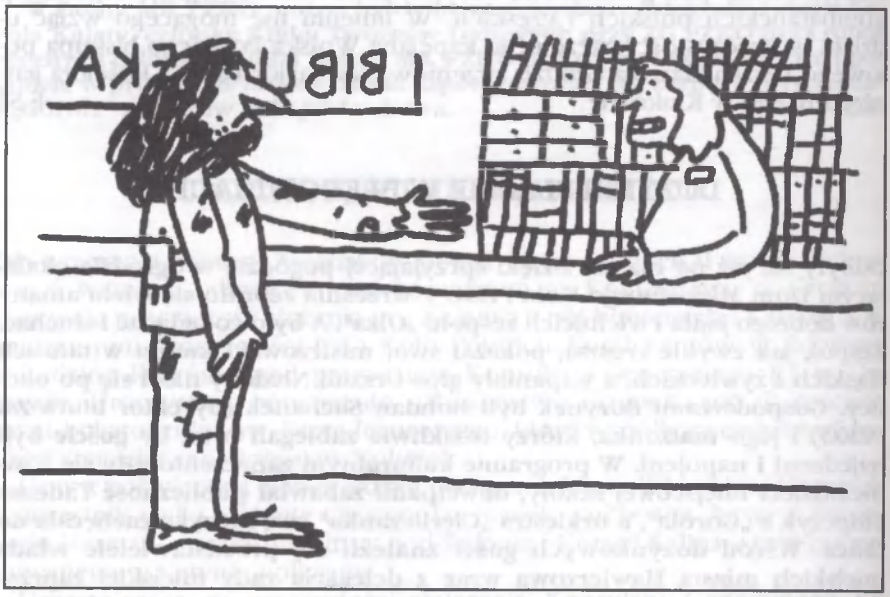
DOŻYNKI ŚLĄSKIE W BŁĘDOWICACH

Odbyły się już po raz 28. Dzięki sprzyjającej pogodzie w ogrodzie okalającym Dom Miejscowego Koła PZKO 7 września zebrało się wielu amatorów dobrego jadła i wielbicieli zespołu „Olza". A było co oglądać i słuchać. Zespół, jak zwykle zresztą, pokazał swój mistrzowski kunszt w tańcach śląskich i żywieckich, a wspaniały głos Urszuli Niedoby niósł się po okolicy. Gospodarzami dożynek byli Bohdan Suchanek (dyrektor biura ZG PZKO) i jego małżonka, którzy troskliwie zabiegali o to, by goście byli najedzeni i napojeni. W programie kulturalnym zaprezentowały się również dzieci miejscowej szkoły, dowcipami zabawiał publiczność Tadeusz Filipczyk z „Gorola", a orkiestra „Cierliczanka" swą muzyką zachęcała do tańca. Wśród dożynkowych gości znaleźli się przedstawiciele władz miejskich miasta Hawierzowa wraz z delegacją rady miejskiej zaprzyjaźnionego z Hawierzowem miasta na Litwie.

E.S.



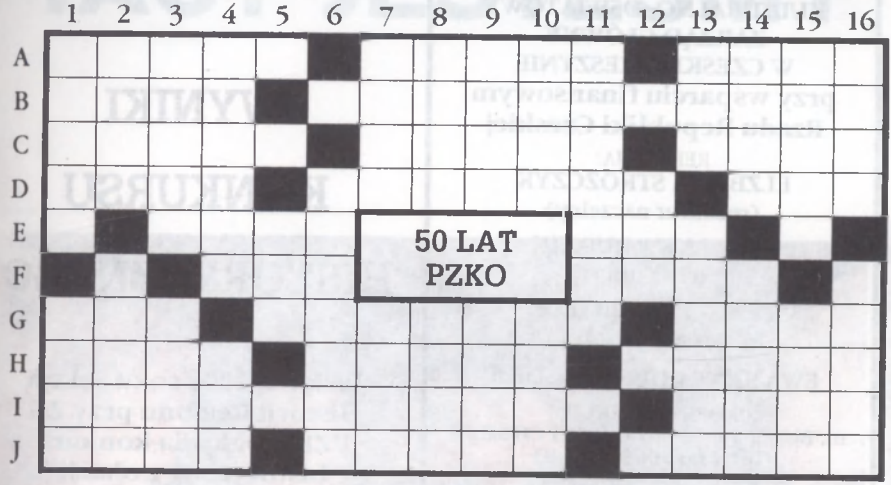
WYOBRAŹ SOBIE, ŻE MIELI KSIĄŻKĘ, KTÓRA PASUJE DO MOJEJ BIBLIOTEKI



TU POŻYCZAMY TYLKO KSIĄŻKI

rys. Bronisław Liberda

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: A. Niecka do parzenia zabitej świni (gwarowo); znany zespół z Jabłonkowa; w przenośni rezultat, plon. **B.** Opera Verdiego; konferansjer. **C.** Jezioro w województwie gdańskim; polityk południowoafrykański; plac dookoła świątyni. **D.** Malarz rumuński; główny zapaśnik korridy; ogród owocowy. **E.** Herbata paragwajska; poziomy drążek do ćwiczeń gimnastycznych. **F.** Jednostka monetarna Peru; aktor brytyjski (Michael). **G.** Dawniej niewolnik, sługa; dzieło sztuki; trauma. **H.** Stan pogody; rewolucjonista francuski; „Halka" Stanisława Moniuszki. **I.** Specjalista w zakresie maszyn cyfrowych; obłok pary, mgła. **J.** Budowla wodna; prowincja w RPA, książę czeski.

PIONOWO: 1. Członek ludu austronezyjskiego; dawniej porwanie kobiety. **2.** Miasto w Francji (Owernia); umiłowana Petrarki. **3.** Frakcja; pierwiastek z grupy chlorowców. **4.** Kowno po rosyjsku; ropucha olbrzymia. **5.** Wierzchołek masztu lub stengi. **6.** Namiętny miłośnik muzyki. **7.** Zespół wokalny z Suchej Górnej. **8.** Przełożony klasztoru; miasto w Tajlandii. **9.** Grunt, gleba; część spłaty. **10.** Insekt; mityczny syn Endymiona. **11.** Technika graficzna. **12.** Miasto na wyspie Flores w Indonezji. **13.** Druga żona Mieszka I; wyprawiona skóra zwierzęca. **14.** Kompozytor polski (od 1947 w USA); czarna tkanina żałobna. **15.** Większy od morza; hodowca bydła w Mongolii. **16.** Trujący tlenek węgla; naczynie do szlachetnych napojów.

Wyrazy trudne: AMAN, ETOL, MALAN, REO, RIOM, TRAT.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: J-13, B-4, D-14, G-16, B-7, E-13, H-2, C-9, I-9, G-13, A-2, J-16, G-3, D-11, A-7, D-3, A-16, G-8, B-10, H-14, H-6, A-9, E-12, C-1, B-11, I-3, J-6, C-4.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru sierpniowego:
Hasło anagramu: **„Melpomenki"**. Hasło kwadratu magicznego: **„Melodia"**. Hasło krzyżówki kombinowanej: **„Zaolzie – nasz wspólny dom"**. Hasło krzyżówki: **„Zjazd PZKO"**. Hasło logogryfu łukowatego: **„Beskidziołki"**.
W związku z małą ilością przysłanych rozwiązań, nagrodę książkową wylosowała tylko jedna osoba: **Aurelia Gamrotowa** – Sucha Górna

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK
KULTURALNO–OŚWIATOWY
ZARZĄD GŁÓWNY
W CZESKIM CIESZYNIE
przy wsparciu finansowym
Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
EWA SANTARIUS (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
WILHELM PRZECZEK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 144,- Kč, z wysyłką pocztową 186,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

WYNIKI KONKURSU HISTORYCZNEGO

Jesienią 1996 roku Sekcja Historii Regionu przy ZG PZKO ogłosiła konkurs historyczny z okazji 50-lecia Związku. Termin nadsyłania prac upłynął 30 czerwca br.

Złożono zaledwie 5 prac. Jury konkursu w składzie: mgr Otokar Matuszek – przewodniczący, mgr Elżbieta Stróżczyk i Jan Branny stwierdziło, że z tematem konkursu związane są tylko 2 prace, którym przyznano równorzędne dwie drugie nagrody. Autorami nagrodzonych prac są: Józef Kula i Alfred Kołorz.

TACY JESTEŚMY



„ZASŁUŻONY DLA KULTURY POLSKIEJ“

Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Republice Czeskiej obchodzi w tym roku swoje pięćdziesięciolecie. Z tej okazji pięćdziesięciu najbardziej zasłużonych działaczy otrzymało odznaczenia „Zasłużony dla Kultury Polskiej“. Wręczył je uroczyście w czasie Festiwalu PZKO w Karwinie dnia 7 czerwca 1997 roku minister kultury i sztuki Rzeczpospolitej Polskiej Zdzisław Podkański.

NASZE ZESPOŁY



„ZGODA“ i „ZGODZIK“

Działa przy MK PZKO Niebory, choć jego członkowie reprezentują także MK w Trzyńcu-Kanadzie i Końskiej-Podlesiu. „Zgoda“ śpiewa już 11 lat. Od początku chór prowadzi p. Irena Małysz. Pierwszym prezesem chóru był ofiarny działacz nieborowskiego Koła PZKO Karol Kowalczyk. Po jego śmierci funkcję tę sprawuje inż. Roman Szczuka, syn byłego dyrektora polskiej szkoły w Nieborach. Kierownikiem organizacyjnym chóru jest prezes MK PZKO Niebory, Stanisław Sikora.

Trzon repertuaru „Zgody“ stanowią pieśni ludowe. Każdego roku bierze udział w różnego rodzaju przeglądach chórów, występuje u siebie na tradycyjnych „Oszeldówkach“. Był gościem zaprzyjaźnionego chóru „Lutnia“ z Rudy Śląskiej, a w roku ubiegłym na zaproszenie Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska“ w Toruniu występował w mieście Kopernika i okolicy. Od dwóch lat przy „Zgodzie“ istnieje „Zgodzik“ – dziecięcy zespół śpiewaczy, w którym wyrastać będą przyszli członkowie chóru.

Zwrot

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

11/97



TACY BYLIŚMY



Pamiątkowa fotografia wykonana z okazji 30-lecia założenia Kółka Muzycznego w Suchej Górnej – 13 VII 1930.

Cieszyńska Knihovna

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLVIII Nr 576 Cena numeru 12,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 15,50 Kč

11/97

W NUMERZE

[4]	Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej	WŁADYSŁAW JOSIEK
[12]	Szkolenie na końcu lata	CZESŁAWA RUDNIK
[22]	Rozważanie nad losem „Orląt Śląskich"	EDWARD BUŁAWA
[26]	Federacja czy konfederacja (3)	ROMAN BARON
[30]	Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (11)	ALOJZY NOWOK
[37]	Bystrzyca w Velké Bystřici	F.B.
[41]	Co słychać w Edenie	C.R.
[43]	Literatura polska w Republice Czeskiej	C.R.
[45]	Drodzy polscy i czescy przyjaciele	JIŘI URBANEC
[49]	Renata Putzlacher - Moje fascynacje	
[52]	Poezja Tadeusza Soroczyńskiego	
[54]	Listy rencisty	
[55]	To i owo	
[60]	Na naszej scenie	
[63]	Echo wydarzeń muzycznych	
[71]	Prezes rekordzista jubilatem	J.K.
[72]	Kronika	
[79]	Krzyżówka	

Numer zamknięto 14. 10. 1997
1. str. okładki - reprodukcja obrazu Tadeusza Wratnego



MODLITWA TYCH, KTÓRZY ODESZLI

...O ciszę na naszych cmentarzach,
O brzóz zerwane ramiona,
O ptaków ranne powroty,
O wiatr bezładny w liściach,
O deszcz, plączący się w trawie,
O mądrość we wszystkich myślach.

O uśmiech tych, co zostali,
O dobry smutek zachodów,
Ludziom o chleb powszedni,
I o powszednią pracę,
Spokojne wyjście z domu
I o spokojny powrót.
...O pokój...

B. EYSYMONTT

STOWARZYSZENIE MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Życie organizacyjne młodzieży na Śląsku Cieszyńskim było jednym z istotnych czynników, które formowały świadomość wielu pokoleń kolejno nadających kształt historii tego niewielkiego skrawka ziemi. Bez cienia przesady można więc sformułować konkluzję, że o obliczu etnicznej struktury organizacyjnej decydowała młodzież zrzeszona we własnych związkach.

Młodzi, a właściwie kilku zapaleńców, jako pierwsi odważyli się głosić i realizować hasło przebudzenia narodowego (P. Stalmach, A. Cienciała, J. Bujak i in.)

Młodzież w swych związkach, początkowo nielegalnych, a od XIX wieku legalnie, nie tylko przygotowywała się do pracy na niwie narodowej, ale niejednokrotnie była wzorem zapału i dobrze zorganizowanej pracy i sama zapalała pochodnię świadomości narodowej. W chwili wybuchu I wojny światowej, przekonana, iż wybiła godzina sprawiedliwości dziejowej, potrafiła bez wahania walczyć w szeregach Legionu Śląskiego i dała dowód największej ofiarności - bo własne życie.

Ewenementem nie odnotowanym w żadnym innym społeczeństwie w okresie międzywojennym w relacji do swej wielkości była działalność aż 11 polskich związków młodzieżowych na Zaolziu.

Po drugiej wojnie światowej aż do podpisania umowy czechosłowacko-polskiej i jej Protokołu Dodatkowego (10 marca 1947) próby wskrzeszenia jakiegokolwiek samodzielnego miejscowego polskiego życia organizacyjnego z uwagi na brak gwarancji prawnych mniejszości polskiej jako odrębnej grupy społecznej, w zasadzie już na samym starcie stały na pozycji straconej. W nawiązaniu do przedwojennych tradycji zorganizowano na początku lipca 1945 roku w Karwinie Zjazd Młodzieży Polskiej, na którym uchwalono rezolucję o konieczności utworzenia samodzielnego Związku Młodzieży Polskiej w Czechosłowacji. Premier Zdeněk Fierlinger ustosunkował się przychylnie do postulatów delegacji młodzieży polskiej w czasie audiencji w dniu 10 sierpnia 1945 roku. Stawiane przeszkody narastały, szczególnie ze strony Czechosłowackiego Związku Młodzieży (ČSM), co w końcu doprowadziło do całkowitego niepowodzenia (gra na zwłokę).

Po zatwierdzeniu przez Krajowy Komitet Narodowy w Brnie - ekspozytura w Ostrawie, statutów Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego i Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej (27 czerwca 1947 r.) osobno dla powiatów frydeckiego i czeskocieszyńskiego, w odróżnieniu od licznych związków młodzieżowych w latach międzywojennych, które specjalizowały się w różnych dziedzinach pracy kulturalnej, oświatowej czy społecznej, ale zarazem i rywalizowały o pozyskanie członków, wszystkie te formy dzia-

łalności realizowała jedna organizacja – Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej. Na barkach PZKO w tym czasie spoczywały przede wszystkim sprawy o charakterze gospodarczym, prawnym i organizacyjnym.

Bogaty charakter działalności SMP potwierdza chociażby fakt, iż w jego ramach pracowały sekcje: harcerska, Zrzeszenie Śpiewacze, akademicka „Jedność", sekcja teatralna, taneczna, kukiełkowa oraz Rada Wychowania Fizycznego.

SMP opiekowało się polskim sportem do czasu przeprowadzenia nowej reorganizacji życia sportowego polskiej grupy narodowej, tj. do początku 1949 r. Rada Wychowania Fizycznego organizowała kursy sportowe w celu uzupełniania brakujących kadr działaczy sportowych. Pod jej egidą przebiegały międzynarodowe zawody narciarskie w Nydku czy Łomnej Dolnej. Opiekowała się polskimi klubami sportowymi, itd.

Swoją drogą PZKO i SMP ściśle współpracowały. Zresztą inaczej być nie mogło, bowiem inicjatorami założenia obu organizacji byli ci sami działacze. Sekretariaty PZKO i SMP mieściły się w tych samych budynkach. Często prezydialne czy plenarne obrady w obu powiatach odbywały się wspólnie. Tak samo wspólnie urządzano niemal wszystkie centralne imprezy i ważniejsze akcje polskiej grupy narodowej.

Reorganizacja pracy PZKO i SMP w 1949 roku w większym stopniu zacieśniła ich współpracę. Zamiast tradycyjnego rozumienia świetlicy w sensie lokalu do spędzania przyjemnych chwil, usiłowano zaktywizować całą działalność kulturalno-oświatową skoncetrowaną w lokalu świetlicowym.

Najczęstszą formą spotkań były tzw. wieczorki świetlicowe, organizowane co tydzień. Ich program przeznaczony dla wszystkich wypełniały występy zespołów śpiewaczych, orkiestr, recytacje, wykłady popularno-naukowe, zabawy, teatrzyki, projekcje filmów, itp. Pod koniec 1949 roku organizowano już spotkania w 50 lokalach świetlicowych. Działalność świetlicowa częściowo eliminowała dublowanie pewnych form pracy i szkodliwą konkurencję niektórych działaczy tych związków. Centralny Komitet Świetlicowy kierował całokształtem pracy kulturalno-oświatowej, kontaktując się z władzami obu związków.

W 1949 roku doszło do reorganizacji ruchu młodzieży w skali ogólnopaństwowej. Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej stało się sekcją w ramach ogólnopaństwowej organizacji młodzieżowej – Czechosłowackiego Związku Młodzieży. Oficjalna nazwa brzmiała Sekcja Młodzieży Polskiej Czechosłowackiego Związku Młodzieży (CzZM – SMP). Zachowała ona pełne prawo do kierowania życiem, wychowaniem młodzieży polskiej w ramach CzZM.

Nowa rzeczywistość nie stała się hamulcem pracy młodzieży polskiej. Kontynuowano dotychczasową działalność, powstały nowe lokalne organizacje, rosła liczba ich sekcji. W SMP nadal koncentrował się trzon działalności kulturalnej i oświatowej miejcowej społeczności polskiej. Przy-

kładowo, w 1949 roku z 82 miejscowych polskich zespołów teatralnych w ramach CzZM-SMP pracowało 65.

Sukcesy w różnych dziedzinach działalności nawet w ramach jedynej polskiej organizacji młodzieżowej, jaką było Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, pod względem osiągniętego poziomu i masowego charakteru przypominały lata międzywojenne. Wspaniałym sukcesem zakończył się debiut młodzieży polskiej w Konkursie Twórczości Młodzieży (Soutěž tvořivosti mládeže) w 1949 r. Na szczeblu ogólnopaństwowym chór mieszany SMP Stonawa w kategorii „wieś" zajął pierwsze miejsce, chór mieszany SMP Trzyniec w kategorii „miasto" (walczyły chóry z Pragi, Brna, Bratysławy) zajął drugie miejsce itp. Zresztą czwarte miejsce chóru mieszanego z niedużych Kojkowic, gdzie z trzydziestu młodych Polaków tylko dwu nie należało do chóru, niewątpliwie rzuca pozytywne światło na działalność kulturalną SMP.

Sukcesy były nie tyle efektem talentów, bo chyba nie zabrakło ich także w innych powiatach republiki, ile przede wszystkim wynikiem długoletniej tradycji dobrej pracy organizacyjnej polskiej grupy narodowej oraz ofiarności i zapału.

Coraz częściej od początku 1952 r. powtarzany w grupach esempowskich wyraz „likwidacja" zniechęcał do jakiejkolwiek pracy. W przeddzień ostatecznej fuzji z czeskimi grupami, a tym samym likwidacji grup esempowskich w uchwale V Zjazdu Powiatowego CzZM-SMP w Czeskim Cieszynie w dniu 2 marca 1952 r. w następujący sposób sformułowano motywację narodowościowo lokalnych związków młodzieżowych: *(...) również na terytorium powiatu czeskocieszyńskiego masy ludu pracującego zmierzają do pełnienia zadań wytyczonych przez plan 5-letki Gottwalda. Jesteśmy sobie świadomi naszych zadań w czasie rozstrzygającej walki o pokój światowy, iż jako członkowie (...) młodych budowniczych socjalizmu, jedynie ręka w rękę, towarzysze czeskiej i polskiej narodowości, mogą podnieść większą wydajność pracy w fabrykach, większe sukcesy przy socjalizacji wsi, o ile będziemy usuwali wszelkie pozostałości burżuazyjnego nacjonalizmu.* (GL, nr 27, s.1).

Zresztą w podobny sposób została umotywowana likwidacja polskich klubów sportowych i Polskiej Rady Sokoła również w 1952 r. W 1950 r. definitywnie zanikła forma pracy harcerskiej.

Nowa rzeczywistość po 1952 r. potraktowała młodzież polską znacznie surowiej, niż na to zasłużyła z uwagi na wniesiony wkład do rozwoju miejscowego ruchu młodzieżowego i sportowego. Kolejnych co najmniej dziesięć lat po likwidacji SMP i PRS w życiu Polaków na Zaolziu nierzadko określano jako „wyrwę między pokoleniami". Zabrakło esempowskich zespołów kulturalnych w programach spotkań świetlicowych i imprez, zazwyczaj wspólnie organizowanych przez PZKO i SMP. Zabrakło chłopców i dziewczyn masowo uprawiających sport w każdej wiosce w ramach polskich klubów sportowych.

Aczkolwiek po drugiej wojnie światowej zabrakło bogatego wachlarza różnego typu miejscowych polskich związków, nie tylko młodzieżowych, lecz i spółdzielczych, politycznych, kulturalno-oświatowych itp., wytworzony model organizacyjny był do przyjęcia. Już organizacja dziecięca, jaką było harcerstwo, wpajała podstawowe nawyki pracy społecznej, zaszczepiała patriotyzm, przygotowywała do pracy w związku młodzieży polskiej. Własna organizacja - Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej stwarzała młodzieży polskiej szanse wyżycia się, bowiem najbardziej umiejętna stylizacja różnych deklaracji nie jest w stanie zastąpić możliwości wyżycia się w zespołach tanecznych, muzycznych, śpiewaczych czy sportowych. Dodajmy jeszcze paralelną działalność PRS. W ramach SMP młodzież przyzwyczajała się do pracy w PZKO, zaprawiała się do działalności społecznikowskiej. Likwidacje harcerstwa, SMP i PRS przez władze komunistyczne były perfidnym pociągnięciem wycelowanym w sam cokół polskiej grupy narodowej.

Nową kartę w życiu miejscowej młodzieży polskiej, teraz już pezetkaowskiej, zapisały lata sześćdziesiąte. Na początku lat sześćdziesiątych pozyskano około 2000 nowych członków, przeważnie młodzież. Szukano nowych form pracy młodzieżowej. Najskuteczniejszym rozwiązaniem okazało się zakładanie klubów młodych przy kołach PZKO. Nowym aspektem w działalności klubowej stało się odpowiednio ukształtowane życie towarzyskie młodzieży. Większy niż do tej pory nacisk położono na działalność sportową. W 1962 r. w 92 kołach PZKO pracowało 58 klubów młodzieżowych, 42 kółka zainteresowań.

Po szesnastu latach od likwidacji SMP proces demokratyzacji zainicjowany przez nowo wybrane kierownictwo KPC na czele z A. Dubčekiem, po latach letargu zaktywizował społeczeństwo na terenie całej republiki, w tym oczywiście i społeczność polską. Tytuł „SMP istnieje" w „Głosie Ludu" (20 kwietnia 1968 r.) zelektryzował, a zarazem zmusił do przemyśleń wielu Polaków w regionie. *A ponieważ na V Zjeździe PZKO* - pisał Władysław Sikora w GL, 25 kwietnia 1968 r. - *chciałem mówić o zagadnieniach młodzieży i sposobach cenzury, znalazłem się wśród tych, którzy z powodu braku czasu nie otrzymali głosu.* Grupy SMP powstawały samorzutnie, z własnej inicjatywy, bez jakiegokolwiek nacisku z góry, potwierdzając w ten sposób autentyczną konieczność istnienia polskiego związku młodzieżowego. SMP była jedyną „narodowościową" młodzieżową organizacją w krajach czeskich w całym bogatym wachlarzu nowo powstałych związków młodzieżowych, różniących się przede wszystkim aspektem respektowania poszczególnych środowisk socjalnych młodzieży i jej zainteresowaniami.

Prawie wszystkie kluby młodych PZKO przekształciły się w grupy SMP. Spora liczba grup SMP powstała w tych miejscowościach, w których młodzież nie była zorganizowana w PZKO. Zresztą inicjatywa zwołania działaczy młodzieżowych i założenia Tymczasowego Zarządu Głównego

SMP wyszła od doświadczonych działaczy esempowców z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych: Ernesta Sembola, Władysława Milerskiego i Karola Hrackiego. Momentem przełomowym w stosunkowo krótkim życiu SMP był jego I Zjazd w dniu 22 czerwca 1968 r. Delegaci reprezentowali już około 3,5 tysięczną rzeszę członków SMP, skupionych w 42 grupach. Ukonstytuowanie się SMP definitywnie zakończyło okres przygotowań.

Niezmierny wysiłek przygotowania Zjazdu w tak krótkim czasie przez kilku zapaleńców, w porównaniu z licznym aparatem PZKO, przygotowującym Zjazdy pezetkaowskie, opracowanie wszystkich materiałów zjazdowych, właściwie bez siły administracyjnej i większego doświadczenia, były wynikiem samozaparcia i poświęcenia. Opinie o Zjeździe całego społeczeństwa były bardzo pozytywne.

Od likwidacji „drugiego" SMP w 1970 r. minęło ponad ćwierćwiecze, dostatecznie duży odcinek czasu, żeby bez przesady stwierdzić, iż taka erupcja działalności młodzieży polskiej, jak w ramach SMP z lat 1968–1970, przypominająca SMP w latach 1947–1952, w ostatnim ćwierćwieczu jeszcze nie miała miejsca i z największą prawdopodobnością, obserwując tendencję stopniowego obniżania aktywności młodzieży, już nigdy się nie powtórzy.

Dla przykładu z sentymentem można by wspomnieć, dając zarazem przykład do naśladowania, coroczne Zloty SMP, odziedziczone po klubach młodych Festyny Górskie w Koszarzyskach, niezmiernie udane bale w czeskocieszyńskim „Piaście", połączenie zabaw tanecznych z występami zespołów esempowskich w trakcie imprez zwanych „Majem nad Olzą", objęcie przez grupy SMP Cierlicko, Olbrachcice i Stonawa patronatu nad Żwirkowiskiem, przez hawierzowskie grupy patronatu nad pomnikiem w Żywocicach, regularną działalność młodzieżowego klubu „Juwentus", hawierzowskiego „Pod Arkadami", imponującą i ruchliwą Wędrynię. Od 1969 r. w ostatnią sobotę każdego miesiąca na łamach „Głosu Ludu" wychodziła stronica tematyczna SMP o nazwie „Ameba", informująca o życiu wewnątrzzwiązkowym i prezentująca próby literackie esempowców.

SMP nie tylko wyzwoliło skrępowaną inicjatywę i zapał młodych, ale wzmocniło polityczną siłę przebicia polskiej grupy narodowej. Dla ilustracji posłużmy się przykładem grupy w Cierlicku, której zarząd na spotkaniu z przewodniczącym MRN wysunął żądanie zmiany tablicy ofiar drugiej wojny światowej, na której znajdowało się 36 błędów merytorycznych, dokooptowania do Frontu Narodowego jednego członka SMP itp. Dodajmy, iż grupa ta objęła patronat nad przedstawieniem Sceny Polskiej w Cierlicku, polegający na rozprowadzaniu biletów, afiszy i zapewnieniu odprowadzających.

Niestety i SMP z lat 1968–1970 nie stanowiło wyjątku co do przeszkód stawianych polskiej grupie narodowej na Zaolziu przez władze państwo-

we czy polityczne, włączając w to i nacisk ekonomiczno-finansowy, a to od 1920 r. do dnia dzisiejszego. Smutne, a widocznie nieuniknione, że nierzadko znaleźli się i są tacy działacze narodowi, którzy prawdopodobnie dla własnej kariery ewidentnie negatywne i antypolskie rozporządzenia bądź przemilczają, a co gorsze interpretują jako zjawisko pozytywne.

W wypadku omawianego związku fundament jego pozycji zaczął pękać na Kongresie Zjednoczeniowym Organizacji Dziecięcych i Młodzieżowych w Pradze w dniach 19 i 20 sierpnia 1968 r. z udziałem 11 związków. Zaistniała paradoksalna sytuacja, bowiem przedstawiciele SMP uczestniczyli w obradach Kongresu, uprzednio we wszystkich pracach przygotowawczych, ale nie mogli podpisać listy założycieli ZODiM, ponieważ Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie wyraziło zgody na rejestrację SMP. Sytuacja ta bezsprzecznie wiązała się z następstwami „internacjonalistycznej polityki państw Układu Warszawskiego".

Do końca swej działalności musiało SMP toczyć batalię o rejestrację, która kosztowała wiele wysiłku. Gra na zwłokę bulwersowała nie tylko polską młodzież. Planowany na 25 lutego 1970 r. II Zjazd SMP został odgórnie zakazany. Miejsce federacji związków młodzieżowych zajął w połowie 1970 r. jednolity Związek Młodzieży Socjalistycznej.

W chwili drastycznej likwidacji SMP przez władze partyjne działało w jego ramach 56 grup, łącznie około 5000 młodych ludzi. Ewenementem był fakt, iż Stowarzyszenie bez odgórnie zatwierdzonego statusu, chociaż oficjalnie zakazane, dysponowało czteroosobowym aparatem związkowym, otrzymywało państwową dotację i posiadało własny samochód.

Kolejną próbę założenia Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, w odróżnieniu od dwu poprzednich, trudno określić jako udaną. Na niepowodzeniu odcisnęły swoje piętno warunki pracy, aktualny stan polskiej grupy narodowej, pragmatyczny sposób myślenia całego społeczeństwa włącznie z młodzieżą, ale także subiektywne momenty, szczególnie odpowiedzialność liderów związkowych. A tej zabrakło.

Nowy zjazd konstytuujący związek odbył się w lutym 1990 r. SMP kontynuowało organizowanie cieszących się w PZKO popularnością takich imprez jak letnie rajdy turystyczne, zloty młodzieży, kursy wodzireja. Sekcja sportowa z powodzeniem propagowała latanie na lotniach, organizowała „Obozy i Rajdy Przeżycia". Rozgłos zyskało „Cierlickie Lato Filmowe", będące przeglądem polskich i czeskich filmów.

Czołowi działacze SMP absolutnie zignorowali troskę o bazę członkowską. Jeszcze w okresie wstępnym Tadeusz Kondziołka zorganizował spotkanie młodzieży gimnazjum w Czeskim Cieszynie, lecz kiedy oddał ster do rąk liderów esempowskich, do spotkania tego typu już nie doszło. Przywódcy esempowscy ograniczyli się do roli mecenasa pewnych inicjatyw młodzieżowych. Wraz ze stopniowym zanikiem zapału malała

liczba imprez esempowskich. W chwili obecnej SMP prawie nie istnieje.

Bez narybku każda grupa społeczna jest skazana na wymarcie. Zanikło wiele szkół polskich i przedszkoli i nadal zanikają. SMP nie istnieje, można na palcach jednej ręki policzyć zespoły taneczne, obawiam się, iż ZG PZKO ostatnio nie wymyślił i nie realizuje żadnej koncepcji pracy z młodzieżą, a Rada Polaków i Rada Przedstawicieli danym tematem do głębi się nie zainteresowały. Wprawdzie w obecnej kadencji jeden członek Rady Polaków posiada w swym resorcie zadań sprawy młodzieżowe, ale nie jestem przekonany o wyznaczeniu odpowiedzialnego członka za sprawy młodzieżowe w ubiegłej kadencji Rady Polaków, a o ile był, pracował w sekrecie przed wszystkimi.

Gros generacji trzydziestolatków i czterdziestolatków, czyli generacji „ludzi w sile wieku" absorbują sprawy własnej egzystencji materialnej, niektórych nawet pomnażanie swego dorobku majątkowego, lecz pozostawienie młodzieży samowolnie, bez szczególnej troski przybliży wizję końca polskiej grupy narodowej na Zaolziu. Kto komu przekaże pałeczkę polskości?

Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej zapisało, i to bez cienia przesady, dwie piękne i chlubne karty w dziejach Polaków na Zaolziu. Esempowcy z lat 1947–1952 nawiązali do nad wyraz bogatego wachlarza działalności aż 11 polskich związków młodzieżowych z lat międzywojennych, zaś esempowcy z lat 1968–1970 po 16 latach przerwy, a więc niemalże jednej generacji, kontynuowali chwalebną tradycję z końca lat czterdziestych i początków pięćdziesiątych. Przerwa ta nie mogła zatrzeć śladów entuzjazmu i efektów pracy swych poprzedników w ramach własnego stowarzyszenia.

SMP stało się kuźnią o wiele liczniejszych kadr młodzieży niż PZKO, będącego w latach komunistycznego jednowładztwa związkiem miejscowych Polaków, powstały grupy SMP i zespoły esempowskie tam, gdzie uprzednio było głucho o działalności polskiej.

„Drugie" SMP stało się współzałożycielem Zrzeszenia Organizacji Dzieci i Młodzieży Czeskiej Republiki Socjalistycznej, zyskując sobie sympatię i poparcie pozostałych związków młodzieżowych.

Patriotyzm, jako przeciwstawienie się zobojętnieniu, od początku przyświecał pracy miejscowym polskim związkom młodzieżowym. Młodzież zrozumiała, iż stanowi cząstkę narodu polskiego, chociaż w wielu niuansach, siłą faktu, różniącą się. Oby dla obecnej i następnej generacji polskiej młodzieży na Zaolziu pojęcie NARÓD POLSKI i przynależność do niego nie były uczuciowo obojętne.

WŁADYSŁAW JOSIEK

Referat wygłoszony na seminarium SHR w dniu 26 kwietnia 1997 z okazji 50-lecia PZKO. Ostatnie wystąpienie publiczne Władysława Jośka w ramach SHR; zmarł 31 maja 1997.

Dzieci Polskiej Szkoły w Milikowie pieką ziemniaki
fot. FRANCISZEK BAŁON ▶



SZKOLENIE NA KOŃCU LATA

CO ZABRAŁA POWÓDŹ

Do Warszawy z Zaolzia wyjechałyśmy w trójkę. Było to w czwartek 18 września br. Na Krakowskim Przedmieściu Mickiewicz mruknął do nas z pomnika: *Znajdziecie mnie również we Lwowie!* W Centrum Animacji Kultury (w skrócie CAK) zebrało się prawie 30 osób. Zaraz też rozdzielono nas do dwu grup: studentki z Zaolzia Magda i Zuzka znalazły się w grupie animatorów kultury, ja w grupie dziennikarskiej.

Informacje, jakie dotarły wcześniej na Zaolzie, mówiły o czteroletnim cyklu szkoleń dla animatorów kultury i dziennikarzy z Litwy, Łotwy, Białorusi, Ukrainy i Zaolzia, cyklu zorganizowanym przez Centrum Animacji Kultury wraz z Departamentem Współpracy z Zagranicą i Polonią Ministerstwa Kultury i Sztuki RP. Co roku w ramach szkolenia miał być organizowany wyjazd studyjny do jednego z wymienionych krajów w celu zapoznania się z istniejącymi tam formami animacji kultury. Od razu też wyjaśniono moje problemy z matematyką, kiedy za nic w świecie nie pasowały mi cztery lata i pięć państw. Okazało się, że wyjazdu na Zaolzie już nie będzie. Odbył się on w ubiegłym roku, był to jakiś zwiastun cyklu, ale wzięli w nim udział tylko animatorzy kultury. Dziennikarzy przy tym nie było, a szkoda, bo trzeba, by jak najwięcej o nas pisano.

Zaskoczyło mnie również, że wśród uczestników, jak podano, „z Polonii wschodniej" właściwie tylko jedna trzecia jest z zagranicy, oprócz naszej trójki z Zaolzia przyjechały trzy osoby z Litwy, trzy z Łotwy i jedna z Ukrainy. Resztę stanowili dziennikarze i pedagodzy z Polski. Okazało się, że znowu wszystkiemu winna jest powódź. Na powodzian poszła część pieniędzy przeznaczonych na szkolenie dla Polaków ze Wschodu, dokooptowano więc z różnych regionów Polski chętnych do uczestnictwa w kursie i finansowania go z własnej kieszeni.

SZKOLENIE POD CHMURKĄ

Zajęcia warsztatowe odbywały się w Łucznicy koło Pilawy, malowniczej miejscowości wśród pól i lasów, gdzie CAK ma swój Ośrodek Doskonalenia Animatorów Kultury. Łucznica oddalona jest od Warszawy o około 60 km w kierunku południowo-wschodnim, leży na skraju Krajobrazowego Parku Mazowieckiego. Ośrodek mieści się w stylowym

dworku z połowy XIX wieku, wybudowanym przez Jakuba Potockiego jako obiekt myśliwski. W XX wieku służył różnym organizacjom i celom, od piętnastu lat jest placówką seminaryjno-warsztatową oraz wypoczynkową CAK-u. Obok dworku barak z epoki późnego Gierka służący jako hotel na razie podobno skutecznie odstrasza turystów zagranicznych, planowana jest więc budowa hotelu z prawdziwego zdarzenia. Całość umieszczona jest w zadbanym ogrodzie, toteż niektóre zajęcia - tak jak było i w naszym przypadku - przy sprzyjającej pogodzie mogą odbywać się pod gołym niebem.

W grupie dziennikarskiej znalazły się tylko cztery osoby spoza Polski: dwie z Łotwy, jedna z Litwy i jedna z Zaolzia. Wystarczyło przeczytać tematy wykładów, by od razu stało się jasne, że przygotowywane są raczej z myślą o dziennikarzach krajowych, redaktorach prasy lokalnej, pracujących w środowisku niezróżnicowanym językowo. Nam, przybyszom spoza Polski, wypadło przysłuchiwać się i wyselekcjonować z podanych informacji te, które mogłyby stać się dla nas przydatne. Przyklasnąć należy jednak organizatorom za wybór osób prowadzących zajęcia. Wszyscy wykładowcy okazali się ludźmi komunikatywnymi, mającymi do powiedzenia dużo ciekawych rzeczy i robiącymi to w sposób zrozumiały i interesujący. Jedynie pierwsze zajęcia „Marketing w prasie lokalnej", prowadzone przez pracownika naukowego Instytutu Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, były bardziej teoretyczne, resztę prowadzili praktycy: dziennikarze, redaktorzy, właściciele gazet. I tu nieraz okazywało się, że teoria oraz praktyka nie zawsze idą w parze. Na przykładzie „Nowego Łowiczanina" dowiedzieliśmy się, jak tanio założyć i tworzyć gazetę lokalną oraz jak utrzymać jej niezależność finansową. Redaktorzy „Gazety Jarocińskiej" opowiedzieli między innymi o tym, jak potrafią wykorzystać nazwę swojej miejscowości, kojarzenie jej z festiwalami muzyki młodej generacji do promowania sztuki i jednocześnie reklamowania swojej gazety. Redaktor „Gazety Radomszczańskiej" mówił o „Roli prasy lokalnej w tworzeniu społeczeństwa obywatelskiego". Dla mnie najbardziej interesujące były zajęcia na temat „Kulturotwórczej roli prasy lokalnej", tematu aktualnego i w naszej prasie zaolziańskiej, prowadzone przez Jana Kłosowicza z Fundacji Dziennikarzy Europy Środkowej i Wschodniej. Jednak cztery godziny to za mało, by poruszyć, a tym bardziej zgłębić wszystkie związane z tym sprawy. Ciekawe okazało się też spotkanie z Jerzym Kamińskim, współwłaścicielem „Wiadomości Oławskich", tygodnika nie posiadającego żadnego redaktora na etacie, lecz tylko piszących na umowy-zlecenia. Gazeta działa w specyficznym środowisku, zamieszkałym przez ludzi z kresów wschodnich, którzy przez całe lata nie potrafili zapomnieć swojej dawnej ojczyzny i w Oławie nie czuli się jak u siebie. Jednocześnie w Niemczech istnieje grupa byłych mieszkańców miasta, którzy też nie chcą zapomnieć, skąd przybyli, i wydają nawet swoją gazetę o Oławie.

ZABAWY INTEGRACYJNE

Warsztaty dziennikarskie, choć tematycznie obszerne i czasochłonne, nie wypełniały dnia do takiego stopnia, byśmy nie mogli skorzystać z nauk drugiej grupy. Już w pierwsze popołudnie zafundowano chętnym, a chętnymi okazali się wszyscy, zajęcia nazwane „integracja grupy metodami pedagogiki zabawy". Każdy z uczestników na kolorowym kółku, wyciętym z papieru samoprzylepnego, napisał swoje imię i przykleił je do ubrania. Powtarzanie imion własnych i kolegów pomagało je zapamiętać. Trzeba było namalować swój własny portret, miejsce zamieszkania i miejsce pracy, ulubione zajęcia. Sporo zamieszania zrobiło się, kiedy na podstawie obrazka trzeba było opowiedzieć o sobie, a potem o kimś innym i przekazać te wiadomości dalej. Lecz w ten oto bezbolesny sposób wszyscy zaczęli mówić sobie po imieniu, co doprowadziło nie tylko do integracji grupy, ale spowodowało rozluźnienie i miłą atmosferę, jaka pozostała już do końca. Wieczorami dziennikarze, pedagodzy, pracownicy kultury, redaktorzy, właściciele gazet, wszyscy poprzebierani, ustrojeni w kolorowe bibułki zgodnie hasali w rytm tańców nowoczesnych czy ludowych. Nie przeszkadzało nawet to, że panów było jak na lekarstwo. Jedynym dysonansem stały się wpadające przez otwarte okna i szalejące pod sufitem szerszenie. Późnym wieczorem przy kominku trwały dyskusje i brzmiały przy akompaniamencie pianina piosenki w różnych językach. W niedzielny, poprzedzający wyjazd do Lwowa wieczór, dodatkowe emocje przyniosły pierwsze wyniki wyborów parlamentarnych w Polsce.

W DRODZE DO LWOWA

Wyjazd na Ukrainę nastąpił w poniedziałek rano. Przyjazd do Lwowa planowano w późnych godzinach wieczornych. Już pobieżny rzut oka na mapę, na odległość, jaka dzieliła nas od Lwowa, mógł zrodzić pytanie, dlaczego tak długo mamy być w drodze. Mieliśmy przecież „bumażkę" i zapewnienie strony ukraińskiej, że nie będzie problemu z przejazdem przez granicę, jeszcze w Warszawie każdemu wbito do paszportu pieczątkę o wyjeździe służbowym. Jedyny dłuższy postój miał być w Zamościu, gdzie czekano na nas z obiadem.

Wczesnym popołudniem dotarliśmy do granicy w Hrebennem. A właściwie nie do samej granicy, lecz do końcówki kolejek samochodów ciągnących się aż do przejścia. Lawirując między nimi, utknęliśmy w korku na dobre. Dopiero po zatrzymaniu samochodów z przeciwległej strony, jadąc pod prąd, znaleźliśmy się przed budynkami odprawy paszportowej. Po w miarę szybkiej odprawie ruszyliśmy w dalszą drogę. Przejechaliśmy raptem około stu metrów, kiedy autobus nasz zatrzymano i zawró-

cono z powrotem na przejście. Oznajmiono nam, że istnieje przepis mówiący o tym, że w polskim autobusie nie mogą jechać obcokrajowcy. Zabrzmiało to jak dowcip, toteż zaproponowaliśmy, że wysiądziemy i przejdziemy kawałek piechotą. Nie dało się, Hrebenne-Rawa Ruska nie jest przejściem dla pieszych. Telefoniczne rozmowy z Kijowem, Lwowem i Warszawą pomogły. Po czterech godzinach stania na granicy ruszyliśmy w dalszą drogę.

„NI MA JAK LWÓW"

Ukraina powitała nas nieprzeniknionymi ciemnościami, latarnie miejskie dawały mało światła. Tylko centrum Lwowa, najbardziej reprezentacyjne ulice lśniły jasnymi neonami i latarniami. Przesunęliśmy zegarki o godzinę do przodu. We Lwowie byliśmy planowo o 22.00 czasu miejscowego. Spać mieliśmy prywatnie u lwowiaków. Po kilka osób rozchodziliśmy się, prowadzeni przez naszych nowych gospodarzy, do domów. Zamieszkałam razem z Ingridą, nauczycielką z Łotwy, w niewielkim domu rodzinnym u pani Mieczysławy, emerytki (prawie wszyscy nasi gospodarze byli ludźmi starszymi), wdowy, mającej na głowie cały dom, troszczącej się o dorosłe dzieci i wnuczki. Widać było na pierwszy rzut oka, że w domu się nie przelewa, 25 dolarów emerytury nie było zbyt wielkim zastrzykiem w budżecie domowym. Ogródek przydomowy umożliwiał chociaż uprawę warzyw, owoców, hodowlę kur. Toteż śniadania i kolacje, którymi z iście staropolską gościnnością częstowała nas gospodyni, obfitowały w jarzyny, owoce i jajka domowe pod różnymi postaciami. Miałyśmy szczęście, że zamieszkałyśmy na peryferiach miasta, bo przez cały czas była woda bieżąca, nawet ciepła. Inni, w centrum, nie zaznali tego luksusu.

Lwów, którego nazwa pochodzi od księcia Lwa – lew był zresztą zawsze obecny w herbie miasta – a najstarsze zapiski w kronikach datują się od XIII wieku, miasto zbudowane na siedmiu wzgórzach, związane było z Polską już od czasów piastowskich. Przed wojną było trzecim co do wielkości miastem w Polsce, liczyło 350 tysięcy mieszkańców. Dziś oficjalnie ma około 800 tysięcy mieszkańców, razem z niezameldowanymi liczba ich sięga podobno miliona. Polaków jest 15 tysięcy.

Lwów leży na dziale wodnym, część wód spływa do Pełtwy, następnie do Bugu i Bałtyku, część do Zubry, Dniestru i Morza Czarnego. Rzeka Peltew została na początku XX wieku ujęta w kanały, płynie pod Lwowem, a wypływa już poza miastem.

Dwa dni przeznaczono na zwiedzanie Lwowa i spotkania z rodakami. Nasza przewodniczka chciała pokazać nam jak najwięcej, wiedza jej o mieście, jego historii, zabytkach, ulicach, kościołach, nawet poszczególnych kamienicach była doprawdy zdumiewająca. Poruszaliśmy się



Reprezentacyjne centrum Lwowa

po mieście autobusem, wysiadając co jakiś czas, by obejrzeć dokładniej jakiś zabytek.

KOŚCIOŁY CZY CERKWIE

Kościół św. Elżbiety, neogotycki, stanowi swoistą rywalizację dla cerkwi św. Jura. Zbudowany na początku XX wieku przez kolejarzy nosi imię swojej fundatorki cesarzowej austriackiej Elżbiety. Z roku 1914 pochodzi pieśń ze słowami: *...z dala widać już niestety wieże kościoła Elżbiety...*, mówiąca o wyruszającym na front do Serbii regimencie lwowiaków, *...może uda się, że zostanę zdrów i zobaczę miasto Lwów...* Po wojnie kościół zamieniono na magazyn, teraz odnowiony służy jako cerkiew grekokatolicka.

Barokowa cerkiew św. Jura wybudowana została pierwotnie już w XIII wieku na skale. Pod nią na Placu św. Jura odbywały się w dzień św. Jerzego jarmarki świętojurskie. Po zniszczeniach odbudowana w wieku XVIII, ozdobiona została figurami świętych Grzegorza i Anastazego, symbolizujących unię Kościoła wschodniego i zachodniego. Dziś służy również grekokatolikom. Obok cerkwi wznoszą się wieże radiowe – zagłuszające

– jak stwierdziła przewodniczka: *już niepotrzebne są, ale na wszelki wypadek jeszcze stoją.*

To tylko dwa przykłady licznych w mieście kościołów. Przeważają cerkwie o obrządku grekokatolickim. Przed wojną było we Lwowie 16 cerkwi, z tego tylko jedna prawosławna. Dziś istnieją cerkwie prawosławne i grekokatolickie. Polacy posiadają trzy kościoły.

Cerkiew prawosławna ma trzy różne obrządki: moskiewski, kijowski i autokefaliczny. Natomiast obrządek grekokatolicki został w roku 1991 oficjalnie oznaczony przez papieża Jana Pawła II jako bizantyjsko-ukraiński. W kościele grekokatolickim wisi dużo obrazów do całowania, natomiast mało jest ławek. Msza trwa dosyć długo, ponieważ cała, łącznie z ewangelią, jest śpiewana. Ksiądz, który nie ma głosu, nie może być księdzem grekokatolickim. Przed wyświęceniem klerykowi wolno się ożenić. Ksiądz nie może ożenić się po raz drugi, nawet wdowiec, a żonaty ksiądz nie dostąpi wyższych godności kościelnych. Wierni żegnają się trzema palcami, robią trzy małe krzyże, przy wymawianiu modlitwy jest zamiana słów *W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha*, przy słowie świętego palce spoczywają na prawym ramieniu, przy słowie ducha na lewym. Komunia podawana jest pod dwoma postaciami, drobne kostki pieczywa przaśnego maczane są w czerwonym winie. Chrzest odbywa się razem z bierzmowaniem.

TOWARZYSTWO KULTURY POLSKIEJ ZIEMI LWOWSKIEJ

Na zabytkowym rynku, stanowiącym centrum miasta już od czasów Kazimierza Wielkiego, gdzie wśród 34 domów znajduje się m.in. królewska kamienica Jana III Sobieskiego, ma swoją siedzibę Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej (TKPZL). W tym samym budynku urzęduje również Společnost Česká beseda oraz Deutsches Heim, jak również cztery towarzystwa przesiedleńcze. Ogółem we Lwowie istnieje 13 towarzystw mniejszości narodowych.

Polska mniejszość na Ukrainie zrzeszona jest w dwóch organizacjach: Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, obejmującej południowo-zachodnią część kraju, oraz Związku Polaków na Ukrainie, w części wschodniej. W obwodzie lwowskim znajduje się 16 oddziałów, ale tylko trzy mają swoje stałe siedziby, głównym powodem są oczywiście względy finansowe. Opłata miesięczna za sześć małych pokoi oddziału Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej przy lwowskim rynku wynosi około 350 dolarów. Ośrodek istnieje piąty rok, otwarto go dzięki naciskom władz polskich dwa dni przed spotkaniem prezydenta Krawczuka z prezydentem Wałęsą. Towarzystwo finansuje „Wspólnota Polska", ale jak stwierdził prezes, po powodzi w Polsce nie mają sumienia zwracać się do niej o pomoc, sami wręcz starali się pomóc Polsce swoimi darami: *mizerna pomoc, ale jest to pomoc ze szczerego serca.*

Głównym zadaniem TKPZL jest wskrzeszanie polskości, działalność kulturalna i charytatywna. Przy organizacji działa reprezentacyjny chór „Echo", liczący w chwili obecnej 43 osoby, skupiający ludzi różnych zawodów. Ma w swoim repertuarze pieśni patriotyczne i religijne, piosenki polskie i lwowskie. Lżejszy repertuar, folklor lokalny, prezentuje zespół piosenki kabaretowej „Wesoły Lwów". Pismem TKPZL jest tygodnik „Gazeta Lwowska". Pismo ukazujące się od roku 1811 do 1944 reaktywowano 24 grudnia 1990. Redaktor naczelny Bożena Rafalska pokazała nam pomieszczenia redakcyjne i opowiedziała o pracy redakcji.

SZKOLNICTWO POLSKIE NA UKRAINIE

Na Ukrainie są trzy polskie szkoły, dwie z nich, znajdujące się we Lwowie, udało nam się zwiedzić. Trzecia otwarta została przed 11 laty w Mościskach. Są to placówki jedenastoklasowe obejmujące szkołę podstawową (klasy 1-9) i średnią (klasa 10 i 11), zakończoną egzaminem maturalnym. Oprócz tego w miejscowościach, gdzie mieszka większa grupa Polaków, w szkołach ukraińskich organizowane są zajęcia pozalekcyjne z języka polskiego. We Lwowie są też cztery grupy polskie w przedszkolach, a niedługo powstanie piąta. Na Uniwersytecie Lwowskim istnieje Wydział Filologii Polskiej.

W szkołach polskich językiem wykładowym jest język polski, poza tym obowiązuje taki sam system szkolny jak w szkołach ukraińskich. Oprócz podręczników szkolnych z Polski młodzież ma do dyspozycji podręczniki ukraińskie przetłumaczone na język polski. Od pierwszej klasy dzieci uczą się języka ukraińskiego, który jest językiem państwowym.

Podstawowym kryterium przyjęcia do szkoły jest metryka urodzenia, jedno z rodziców musi być pochodzenia polskiego, dziecko musi rozumieć i rozmawiać po polsku. Do stawiania tych twardych warunków zmusza szkoły szczupłość miejsca, ograniczona ilość miejsc w klasach, w budynkach. Na jedno miejsce zgłasza się niekiedy aż 8 dzieci. Dziadkowie, babcie przychodzą do szkoły z wnukami, chcą je zapisać do polskiej szkoły, by wrócić do korzeni, z których wyrośli. Inteligencja ukraińska i rosyjska też pragnie często oddać dzieci do szkoły polskiej, gdzie istnieje wyższy poziom nauczania i *gdzie kochają dzieci. Jest teraz moda na Polskę* - mówią lwowiacy. Polska to dla Ukrainy już Zachód, Polska stanowi okno na świat. Toteż lwowscy absolwenci wyższych uczelni w Polsce rzadko wracają: tam poznali inny świat, tu nie ma dla nich pracy.

Szkoła nr 24 powstała w roku 1944 na podstawie ówczesnej ustawy Ukrainy, by stworzyć szkoły dla polskich dzieci. Dziś uczy się tu 310 dzieci. Obejrzeliśmy występ szkolnego zespołu „Tęcza". Szkoła nr 10 została założona w roku 1816 przy kościele św. Marii Magdaleny jako Lwowska Szkoła Trywialna im. św. Marii Magdaleny. Dziś chciałaby znowu mieć w nazwie swą dawną patronkę. W szkole uczy się 375 dzieci. Zespół

szkolny „Baj" przedstawił nam program muzyczno-poetycki o Lwowie. Zajęcie pozalekcyjne są ważną częścią pracy pedagogicznej. Obydwie szkoły współpracują ze sobą, uczniowie znają się nawzajem, spotykają się na wspólnie urządzanych imprezach. O zadaniach szkoły polskiej mówili nie tylko jej nauczyciele. W klasie na ścianie przeczytać można było ślubowanie: *Ślubuję być dobrym Polakiem, dbać o dobre imię swojej klasy i szkoły. Będę się uczyć w szkole, jak kochać Ojczyznę, jak dla niej pracować, kiedy dorosnę. Będę się starał być dobrym kolegą, swym zachowaniem i nauką sprawiać radość rodzicom i nauczycielom. Ślubuję!*

CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI

W programie zwiedzania Lwowa nie może zabraknąć Cmentarza Łyczakowskiego. Nikt nie wie dokładnie, ile osób na nim pochowano. Samych tylko zasłużonych Polaków leży tu podobno około 20 tysięcy. Tu pochowana jest Maria Konopnicka, Gabriela Zapolska czy Seweryn Goszczyński. Najstarsze groby pochodzą z roku 1787. Cmentarz rozciąga się na obszarze 40 hektarów, podzielony jest na 80 pól. Od roku 1975 na cmentarzu można chować zmarłych tylko do istniejących już grobowców rodzinnych najbliższych krewnych oraz ludzi mających szczególne zasługi dla miasta i państwa.

CMENTARZ ORLĄT LWOWSKICH

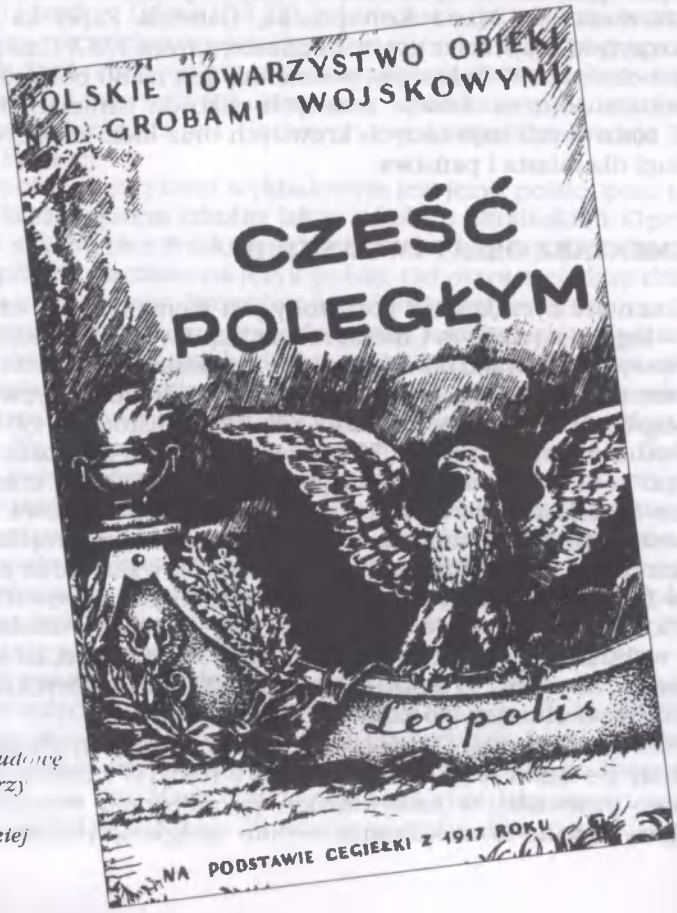
Cmentarz Łyczakowski połączony jest z cmentarzem obrońców Lwowa - legendą owianym Cmentarzem Orląt Lwowskich. Kiedy 1 listopada 1918 wybuchły walki o Lwów między oddziałami ukraińskimi i Polakami, po stronie polskiej znalazło się wielu młodych ludzi. Wyzwolenie Lwowa nastąpiło przy pomocy posiłków z Polski 21 listopada 1918. Wśród ofiar po stronie polskiej prawie 70 procent stanowiła młodzież do lat 25.

Pod koniec grudnia 1918 magistrat miasta wykupił teren za Cmentarzem Łyczakowskim, tam pochowano obrońców Lwowa. W roku 1921 powstał projekt cmentarza, autorem zwycięskiego projektu był student architektury Rudolf Indruch, syn Czeszki i Słowaka, jeden z byłych obrońców Lwowa. Architekt wykorzystał spadzisty teren, powstały schody, kaplica, katakumby, wejście od niedalekiej dzielnicy Pohulanka. W latach 30. wybudowano Łuk Chwały z napisem: *Mortui sunt, ut liberi vivamus (Umarli, abyśmy żyli wolni)*. Powstało 12 kolumn doryckich - każde województwo ufundowało kolumnę.

Po wojnie cmentarz wielokrotnie był dewastowany. Po raz ostatni przejechały po nim czołgi w sierpniu 1971 roku. W miejscu cmentarza powstało pastwisko, w katakumbach wybudowano warsztaty, w kaplicy magazynowano złom. Kolumny rozbito czołgami, tylko łuku nie udało się



Cmentarz Orląt Lwowskich czeka na odbudowę



Cegiełka na odbudowę polskich cmentarzy wojskowych na ziemi lwowskiej

wysadzić w powietrze. Obawiano się, że zbyt potężny wybuch mógłby zniszczyć domy na pobliskiej Pohulance. Po prawej stronie powstał mur, a za nim na grobach żołnierzy droga.

Lata 90. przyniosły z sobą nową nadzieję na odnowienie cmentarza. Od 1992 roku cmentarzem, jak również wszystkimi innymi cmentarzami wojskowymi w obwodzie lwowskim, np. kwaterami powstańców listopadowych i styczniowych na Cmentarzu Łyczakowskim, opiekuje się Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi. Prace nad odnowieniem cmentarza idą powoli. W lecie br. przeprowadzono rozmowy na szczeblu rządowym między Polską a Ukrainą na temat przyszłych losów cmentarza. Temat jest delikatny, wzbudzający kontrowersje. Ostateczna decyzja ma zapaść za kilka miesięcy. *Sprawa Cmentarza Orląt jest fragmentem stosunków polsko-ukraińskich. Ich kształtowanie się w najbliższym czasie będzie rzutowało na naszą pracę. (...) Sądzę, że jest szansa na to, iż cmentarz będzie łączył, a nie dzielił* – czytamy w wypowiedzi sekretarza generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie Andrzeja Przewoźnika na łamach „Gazety Lwowskiej" z 5 września 1997 roku.

W czasie naszej wizyty na cmentarzu mieliśmy możliwość obserwować rozpoczęte już prace ekshumacyjne w tej części cmentarza, który znalazł się poza murem przy drodze, gdzie chowano zmarłych w okresie międzywojennym. W wykopanym rowie delikatnie odsłaniano pozostałe części kości zmarłych, składano je do małych trumienek. Zachowana dokładna dokumentacja – plany archiwalne, fotografie i rysunki oraz wykaz 2318 pochowanych – pozwalała ustalić, kto w danym grobie leżał. Na wiosnę ma zostać zdjęta nawierzchnia drogi, dojdzie do ekshumacji grobów pod nią. W ten sposób szczątki z prawie 400 zniszczonych kwater spoczną w grobach indywidualnych w obrębie murów cmentarza. Jeśli wszystkie plany dojdą do skutku, dyskutowany Cmentarz Orląt Lwowskich odbudowany zostanie w kształcie zbliżonym do pierwotnego.

„MOJE SERCE ZOSTAŁO WE LWOWIE"

Ze wzgórza Wysoki Zamek, dawnego Kopca Unii Lubelskiej, najwyższego miejsca we Lwowie, gdzie zachował się już tylko niewielki fragment dawnego zamku Kazimierza Wielkiego, rozciąga się przepiękny widok na miasto. Miasto, gdzie przez stulecia rozbrzmiewała polska mowa, gdzie każdy zaułek przypomina wydarzenia z historii Polski, a teraz tę polskość nosi się chociaż w sercu. Spojrzeniem na pomnik Mickiewicza, na sławny kiedyś Teatr Lwowski pożegnaliśmy w czwartek 25 września gościnne miasto, jego wiernych i dumnych ze swego Lwowa mieszkańców. Wracaliśmy do swych miast z nadzieją, że kiedyś znów się spotkamy.

CZESŁAWA RUDNIK

ROZWAŻANIE NAD LOSEM „ORLĄT ŚLĄSKICH"

Nie dysponujemy jeszcze pełną wiedzą o chłopcach, którzy w 1914 roku pod wpływem różnych impulsów, wśród których najmocniejszym był nakaz, wynikający z romantycznej, powstańczej tradycji, ruszyli do szeregów polskich. W dostępnych w Cieszynie źródłach udało się ustalić 389 nazwisk legionistów ze Śląska z podanym rokiem urodzenia. 304 spośród nich, czyli 78,2% to chłopcy wówczas w wieku przedpoborowym, a więc przed ukończonym 21 rokiem życia. Nie było to sprawą przypadku, bo starszych wchłonęła armia austriacka. 114 spośród owych 304 to młodzieńcy do 18 roku życia, co stanowi 29,3% całości, a jeśli wyłączyć 18-latków, których uczestnictwo w zmaganiach wojennych w czasie pierwszej wojny światowej stało się normą, pozostaje 59 legionistów, czyli 15,2% ujętych w badaniach, którzy osiemnastu lat jeszcze nie osiągnęli. Zgodnie z przyjętymi standardami nie powinni oni znaleźć się w ogniu walki. Jednak polski ruch niepodległościowy ową barierę przekroczył, przyjmując w swoje szeregi 16-latków.

Taką zasadę starano się stosować w czasie formowania Legionu Śląskiego w Cieszynie, żądając dodatkowo od ochotników poniżej 18 lat pisemnej zgody rodziców na wstąpienie syna do Legionu. Skutkiem takiego wymogu najczęściej był wyjazd młodych, krępowanych sprzeciwem rodziców, wprost do kompanii kadrowych, a później do 1 pułku legionów. Poszło tam ponad 150 ochotników, ich nazwisk najczęściej nie znamy, było wśród nich wielu bardzo młodych.

Mimo tylko fragmentarycznej wiedzy o legionistach – juniorach ze Śląska warto nakreślić sylwetki niektórych spośród nich. Pewnie najmłodszym był Rudolf Halama z podcieszyńskiego Dolnego Żukowa, uczeń szkoły wydziałowej Macierzy Szkolnej w Cieszynie, czternastolatek urodzony w 1900 roku. Przez cały okres formowania się Legionu Śląskiego towarzyszył on kolegom szykującym się w Parku Sikory do wymarszu na front.

W dniu wyjazdu Legionu Śląskiego z Cieszyna chłopiec zauroczony egzotyką wojskową wkradł się do wagonu załadowanego taborami i sprzętem. Ukryty tam dotarł do stacji docelowej – Mszany Dolnej. W takiej sytuacji porucznik Hieronim Przepiliński przyjął ucznia ze swojej szkoły na ordynansa, a ten wspierał go przez wiele miesięcy. Odpowiadała mu służba wojskowa i na trwałe pozostał w legionowych szeregach. Na progu II Rzeczypospolitej posiadał stopień podporucznika. Zginął w lutym 1940 w Katyniu.

Mniej łaskawym był los Alojzego Walka, robotnika kolejowego z Łąk. Na wojnę, mimo iż ukończył tylko 15 lat, ruszył w szeregach plutonu frysztackiego Legionu Śląskiego. Wykorzystał zamęt panujący po przyjeździe do Mszany Dolnej i z grupą swoich rówieśników podążył do 1 pułku. Uczestnicząc w jego jesiennej kampanii, poległ

w krwawej bitwie pod Krzywopło-tami. Podobny los spotkał 15-letniego Franciszka Płonkę ze Zbytkowa. Do legionowych szeregów podążył on bez pośrednictwa Legionu Śląskiego. W dniu 23 stycznia ciężko rannego przewieziono do szpitala ojców Bonifratrów, gdzie zmarł.

W legionowych szeregach znalazło się dwu 15-letnich Władysławów Górniaków. Pierwszy, z Bobrku pod Cieszynem, zgłosił się do 1 pułku i z nim odbył kampanię jesienną i zimową. W marcu, skrajnie wyczerpany, został skierowany do rodziców na dwumiesięczny urlop nazwany „leczeniem domowym". Po jego ukończeniu służył w 3 pułku razem ze Ślązakami, w początkach lipca odniósł ciężką ranę w bojach na Bukowinie, zmarł w szpitalu wojskowym w czeskim Kolinie. Drugi Władysław Górniak pochodził z Datyń, był orłowskim gimnazjalistą, ale do Legionu Śląskiego zgłosił się w Cieszynie. Po przyjeździe do Mszany Dolnej zdecydował się na powrót do domu, lecz po kilku miesiącach ponownie wstąpił do Legionów i został skierowany do ośrodka w Kętach związanego z I Bry-gadą. Dalszy przebieg jego służby nie jest znany. Wojnę światową przeżył. Zginął w 1919 roku pod Lwowem.

Kolejnym tragicznym 15–letnim legionistą był Józef Friedel z podcieszyńskich Boguszowic. Wstąpił do „Strzelca" w Niemieckiej Lutyni. W sierpniu w ramach strzeleckiej mobilizacji zgłosił się do Legionów, służył w 1 pułku. W dniu 4 sierpnia, podobno z racji młodego wieku został z jednostki uzupełniającej odesłany do rodziców w Boguszowicach. 11 września, a więc po niespełna sześciu tygodniach zmarł na gruźlicę. Podobne perypetie, choć bez tragicznego zakończenia, przeżył 15–letni Augustyn Przewoźniak z Zarzecza. Służył w 5 pułku wchodzącym w skład I Brygady, w jej szeregach, pod Klimontowem, został ciężko ranny. Leczył się w galicyjskiej Białej, później w podbielskim Jaworzu. Przygody wojenne w legionowych szeregach ciężko odchorował Stanisław Zieliński, ochotnik do Legionu Śląskiego z Bogumina.

Mniej informacji mamy o losach śląskich legionistów 16-latków. Wiadomo, że w Lasach Niebytowskich, zwanych też Majdańskimi, zginął Piotr Ślusarz z Ostrawy, rocznik 1898. Na Bukowinie ciężko ranny został Stanisław Tchórzewski – stolarz z Ostrawy, służący w kompanii sztabowej 3 pułku. Wiemy, że nie wytrzymał trudów walki Jan Bronclik z Ustronia i jako schorowany został skierowany do oddziału uzupełnień. Od sierpnia 1914 roku służył w legionowych szeregach Augustyn Swaczyna z Karwiny–Solcy. Poszedł do polskich szeregów mimo braku zgody ojca kierującego się zrozumiałymi racjami. Do Legionów dotarł poza Legionem Śląskiem. We wrześniu 1915 roku służył w kompanii śląskiej 3 pułku. Pewnie nie była to jego pierwsza formacja. Doczekał się powstania Polski, zginął w kampanii wrześniowej 1939 roku.

Wśród znanych nam legionistów z rocznika 1897, a więc siedemnastolatków, nie stwierdzamy poległych. Wiadomo, że w dniu 29 października 1914 roku w krwawej bitwie pod Mołotkowem rany odnie-

śli: Paweł Filipek z Sibicy, Rudolf Poń-cza z Cierlicka oraz Franciszek Sady z Ostrawy. W grudniowych bojach 1914 roku pod Pasieczną rannym został Jan Gor-gol z Karwiny oraz Franciszek Szewczyk z Michałkowic. Na Bukowinie zranień doznali: Kazimierz Feliks, syn dyrektora orłowskiego gimnazjum, po raz drugi Paweł Filipek z Sibicy oraz Ludwik Szczygieł z Ostrawy. W lipcu 1915 roku, a więc równocześnie z toczącymi się bojami na Bukowinie, odniósł rany Adolf Rusin z podbielskiej Jasienicy, służący w 4 pułku wchodzącym w skład III Brygady. Doznał jej pod Jastkowem w Królestwie Polskim. 5 listopada 1915 roku wśród rannych Ślązaków pod wołyńską Kostiuchnówką był 17-latek Józef Synowiec z Ostrawy.

Podane wyżej dane, mówiące o chłopcach spod znaku legionistów polskich ze Śląska, są ilustracją losu całych pokoleń Polaków i to skłania do postawienia pytania o moralną ocenę faktu rzucania młodzieży w tryby wojennej machiny. Bo przecież istnieje zgodność co do zasady, że młodzieży, stanowiącej przecież przyszłość każdej społeczności, należy stwarzać optymalne warunki rozwoju i chronić ją przed wszelkimi zagrożeniami. Jednak zniewolony przez zaborcę naród polski nie był w stanie sobie, a tym samym swojej młodzieży zagwarantować możliwości egzystencji, czemu kolejne pokolenia przeciwstawiały się powstańczymi zrywami. Z takiego położenia narodu wyrosła XIX-wieczna, romantyczna kultura polska, która niosąc zabarwiony niepodległościowym mesjanizmem „oświaty kaganiec" tworzyła warunki do kolejnych zbrojnych protestów, wychowując kolejne pokolenie powstańców, owych „kamieni przez Boga rzucanych na szaniec".

Ofiara legionowej młodzieży wyrosła z tej tradycji a jej kolejne przejawy to postawa młodzieży z lat walki o obronę Nie-podległej w latach 1918–1920. To z jej ofiarą związana była pieśń młodego obrońcy Lwowa, która w latach trzydziestych, na mnie – polskim harcerzu w Czechosłowacji, a pewnie nie tylko na mnie wywierała potężne wrażenie:

Z prawdziwym karabinem u pierwszych stałem czat
O nie płacz nad Twym synem, że za Ojczyznę padł
Z krwawą na piersiach plamą odchodzę dumny w dal
Tylko mi Ciebie Mamo, tylko mi Polski żal.

Owa gotowość do bezgranicznego poświęcenia, ta Juliusza Słowackiego „siła fatalna" nadał sposobiąca młodzież do sprostania zadaniom narzucanych przez niedobry rozwój historycznej sytuacji, stale była siłą sprawczą. Poświadczył to wrze-sień 1939 roku, w latach okupacji, nigdzie nie spotykany w takich rozmiarach, fenomem ruchu partyzanckiego z powstaniem warszawskim włącznie, przy masowym uczestnictwie młodzieży, a nawet dzieci w walkach.

Jak rozwiązać moralny dylemat ochrony młodzieży przy ówczesnym mocnym włączeniu jej w uczestnictwo w życiu nękanego kataklizmami wojennymi narodu. W pokoleniu Władysława Górniaka z Bobrku, „Orląt Lwowskich", dziewcząt i chłopców z „Szarych szeregów" tego dylematu rozwiązać się nie dało. Stąd dramaty, których

oceny nie można dokonywać z czysto teoretycznych pozycji, ani z punktu widzenia wolnych, silnych i bezpiecznych społeczności. Budzi sprzeciw los zagrożonych, ginących dzieci, ale w żadnym wypadku nie wolno dyskredytować świętego ognia rodzącego poczucie społecznego obowiązku i gotowości do poświęceń się dla SPRAWY.

EDWARD BUŁAWA

JÓZEF LEBIEDZIK

ORĘŻ ŚLĄSKA

Do Ciebie wracam roztęsknione słowo
I myśl co w piersi zorzą się promieni
Chociaż na wschodzie brzmi wojenna burza
To Twego nieba dym dział nie zachmurza
Od siedmiu wieków ty skowana w pęta
Tyś mą kolebką dzielnico Piastowa
Wskrzeszasz dzień sławy boju pod Lignicą
Ze wschodu prącą dziczy nawałnicą
Już siedmiu wieków mglista niknie piana
Jak o Twój pancerz, jak o mur śpiżowy
Prysła zaborców fala wichrem wiana
I kres znalazła zgon straszny, grobowy
Odtąd Twój oręż obcym zaprzedany
Nie błyskał skrami na polskich ziem tarczy
Dziś, jak we śnie przed stulecia laty
Która dla Polski niosła wyzwolenie
I Tyś wysłała młode ziem Twych kwiaty
Dziś odrodzone ideą i czynem
Skronie ozdabiasz wojennym wawrzynem

„Dziennik Cieszyński"
31 marca 1915

Legionowy porucznik i regionalny poeta, w wierszu pisanym w marcu 1915 roku, a więc po bojach Ślązaków na przedpolu karpackich przełęczy i przed oczekiwaną ofensywą, wskazuje na sens zbrojnego wysiłku legionistów ze Śląska nawiązującego do tradycji trzynastowiecznej bitwy z Tatarami.

FEDERACJA CZY KONFEDERACJA (3)

Projekt składał się z trzech zasadniczych części. W części I pt. „Utworzenie Związku, przyjęcie do Związku, kompetencje Związku", stwierdzono we wstępie, że *Polska i Czechosłowacja tworzą Związek, któremu przekazują wykonanie części swoich praw suwerennych.*

Kompetencje Związku miały obejmować dziedziny: reprezentację Związku na zewnątrz, jego politykę zagraniczną, obronę, sprawy gospodarcze i wspólne finanse.

W części II pt. „Władze Związku" zostały przedstawione najważniejsze organy Związku, którymi miały być: Naczelna Rada Związkowa i Prezydent Związku, Rada Sekretarzy Stanu, Zgromadzenie Związkowe, Izba Kontroli Związku, Związkowy Trybunał Konstytucyjny i Związkowy Trybunał Stanu. Organem stojącym na czele Związku miała być Naczelna Rada Związkowa, składająca się z głów państw oraz dwóch przedstawicieli z każdego parlamentu związkowego. Przewodnictwo sprawować miał prezydent Związku, którym byłyby corocznie zmieniające się na tym stanowisku głowy państw. Prezydent reprezentowałby Związek na zewnątrz i sprawowałby naczelne zwierzchnictwo sił zbrojnych Związku. Na wniosek Rady Sekretarzy Stanu i uchwały Rady Naczelnej Związkowej miał zawierać umowy międzynarodowe, stanowić o wojnie i pokoju oraz zwoływać i odraczać sesje Zgromadzenia Związkowego. Ponadto na mocy uchwały Naczelnej Rady Związkowej Prezydent mianowałby Premiera Związku, a na wniosek tego ostatniego dokonywałby nominacji Sekretarzy Stanu. Uchwały Naczelnej Rady Związkowej zapadać miały większością głosów, a w razie ich równości decydowałby głos Prezydenta Związku.

Władzę wykonawczą Związku sprawować miała Rada Sekretarzy Stanu, składająca się z Premiera i co najmniej czterech Sekretarzy Stanu: Spraw Zagranicznych, Obrony Związku, Gospodarki Związkowej i Skarbu Związkowego.

Rada Sekretarzy Stanu byłaby odpowiedzialna przed Naczelną Radą Związkową, uchwały miały zapadać większością głosów. Organem ustawodawczym Związku byłoby Zgromadzenie Związkowe, składające się z posłów wybranych na podstawie pięcioprzymiotnikowej ordynacji wyborczej, przy czym jeden mandat poselski przypadałby na pół miliona mieszkańców. Do kompetencji Zgromadzenia Związkowego należałoby: ustawodawstwo w zakresie kompetencji Związku, stalenie budżetu Związku, uchwalenie ustaw ratyfikacyjnych.

Żadna ustawa związkowa nie mogłaby być niezgodna z Aktem

Konstytucyjnym Związku. Ewentualne spory w tej kwestii rozstrzygać miał Związkowy Trybunał Konstytucyjny, który miał zająć się ponadto sporami kompetencyjnymi między Związkiem a państwami do niego należącymi oraz sporami o charakterze prawnym między państwami lub między Związkiem a nimi. Kontrolą wykonywania budżetu zająć się miała Izba Kontroli Związku. Za naruszenie Aktu Konstytucyjnego Związku Premier i Sekretarze Stanu mieli być odpowiedzialni przed Związkowym Trybunałem Stanu. We wszystkich tych organach poza jedynie Zgromadzeniem Związkowym miała obowiązywać zasada parytetu.

Część III projektu pt. „Działalność Związku" była najobszerniejsza. Zajęto się w niej sprawami polityki zagranicznej, obrony oraz sprawami gospodarczymi. Wspólną polityką Związku – polityką zagraniczną – kierowałby Sekretarz Spraw Zagranicznych Związku. Prowadziłby on rokowania i przygotowywałby umowy międzynarodowe do ratyfikacji.

Umowy dotyczące zmian granic Związku, przymierza, wymagające stałej współpracy politycznej z innymi państwami, umowy gospodarcze lub powodujące zmiany w budżecie wymagałyby zgody rządów poszczególnych państw musiałyby zostać ratyfikowane przez Zgromadzenie Związkowe.

Sporo miejsca, ze zrozumiałych względów, poświęcono sprawom obrony Związku. Wspólnymi dla Związku byliby Sekretarz Stanu Obrony Związku i Szef Związkowego Sztabu Głównego, który przewidziany był w czasie wojny na stanowisko naczelnego wodza.

Przewidywano również powołanie Rady Obrony Związku i Rady Wojennej. Pierwsza składałaby się z wszystkich sekretarzy stanu Związku, premierów i ministrów spraw wojskowych poszczególnych państw oraz szefa Sztabu Obrony Związku; drugą tworzyliby Sekretarz Stanu Obrony, Szef Sztabu Obrony Związku, ministrowie spraw wojskowych oraz generałowie i admirałowie przewidziani na najwyższe stanowiska dowódcze w czasie wojny.

Kolejne ustępy projektu zostały poświęcone zagadnieniom gospodarczym.

Sprawami gospodarczymi Związku kierować miał Sekretarz Stanu Gospodarki Związkowej. Do jego kompetencji i równocześnie zadań należałoby: *a) prowadzenie wspólnej i jednolitej zagranicznej polityki gospodarczej i współdziałanie z Sekretarzem Stanu Spraw Zagranicznych przy zawieraniu umów gospodarczych;*

b) koordynowanie życia gospodarczego i społecznego państw należących do związku (...);

c) opracowanie zarządzeń przejściowych, niezbędnych w ramach Związku, a dotyczących odbudowy krajów oraz ochrony pewnych działów gospodarstwa poszczególnych państw (...), wreszcie periodyczne rewizje tych zarządzeń.

Poszczególne państwa miały przy tym zachować *niezbędne ministerstwa gospodarcze*. Przewidywano również powołanie organu doradczego w postaci Rady Gospodarczej i Społecznej Związku.

W sprawie obrotu towarowego przewidziano na okres przejściowy wewnętrzne stawki celne, przy czym zewnętrzne stawki celne mogły być odmienne.

W sprawie obrotu płatniczego projektowano utrzymanie odrębnych banków emisyjnych i walut przy koordynowaniu polityki w tym zakresie oraz stałym kursie wymiennym walut.

W sposób bardziej ogólnikowy poruszono kwestie zatrudnienia, polityki podatkowej, komunikacji i żeglugi morskiej, w których to dziedzinach przewidziano daleko idącą koordynację i współpracę według jednolitych planów.

Koordynacji miało również ulec ustawodawstwo gospodarcze i społeczne poszczególnych państw.

Dochody Skarbu Związkowego opierać się miały na wspólnych dochodach Związku.

Sprawy obywatelstwa państwowego miały należeć do kompetencji poszczególnych państw Związku. Ruch osobowy pomiędzy nimi miał odbywać się bez ograniczeń. Podobnie miało być w przypadku osiedlania się i zarobkowania.

Zwrócono uwagę na zagwarantowanie zasad demokratycznych, jak: *wolność sumienia, wolność osobista, wolność nauki, wolność słowa i druku, swoboda zgromadzeń i stowarzyszeń, niezależność sądownictwa i kontrola rządów przez przedstawicielstwa narodowe.*

Zmiana Aktu Konstytucyjnego Związku mogła być dokonana na wniosek Rady Sekretarzy Stanu lub na wniosek ustawowej większości posłów do Zgromadzenia Związkowego, a to *uchwałą powziętą większością 3/4 głosów Zgromadzenia Związkowego*. Uchwała ta wymagała ponadto zgody parlamentów poszczególnych państw wyrażonej już zwykłą większością głosów.

Polski projekt „Związku Polski i Czechosłowacji" bliższy był koncepcji państwa związkowego, aniżeli związku państw. Myślano o daleko idącym ograniczeniu suwerenności poszczególnych państw na rzecz wspólnej federacji. W rokowaniach ze stroną czechosłowacką strona polska przyjęła od początku zasadę, że gotowa jest posuwać się po linii federacyjnej tak daleko, jak daleko zechce za nią podążać Czechosłowacja. Tej jednak bliższa była koncepcja związku państw, a więc konfederacji, czemu dał ponownie wyraz jeden z jej przedstawicieli, a mianowicie wiceminister spraw zagranicznych Hubert Ripka.

Widać więc wyraźnie tendencję strony czechosłowackiej zmierzającą do jak najmniejszego ograniczenia własnej suwerenności na rzecz przyszłego związku, do unikania jakiejkolwiek przewagi w rzeczywistości politycznie mocniejszego kontrahenta, jak również

do wypowiadania się w sposób ogólnikowy co do struktury związku, zachowując sobie tym samym możność decyzji w okresie późniejszym.

Odwrotnie strona polska gotowa była przystąpić od razu do budowania federacji.

Ripka stwierdził, że *Konfederacja wymaga, aby wewnętrzne reżimy poszczególnych jej partnerów oparte były na jednakowych zasadach politycznych i społecznych. Nie można sfederować państwa feudalnego z państwem o wielce postępowej polityce społecznej, państwa demokratycznego z państwem totalitarnym, państwa liberalnego z państwem policyjnym.* Nie sposób nie przyznać tutaj racji Ripce, niemniej jego oświadczenie nie było niczym, jak rozwinięciem myśli prezydenta Beneša, zawartej w jego memorandum z dnia 1 listopada 1940. Ponadto można się w słowach Ripki doszukiwać insynuacji pod adresem Polski, choć otwarcie tego zarzutu postawić nie można.

Strona czechosłowacka była więc zdecydowana utworzyć z Polską konfederację sui generis, czyli związek państw i to jeszcze luźniejszy niż prawna wykładnia terminu konfederacja. Natomiast daleko idące ograniczenia własnej suwerenności gotowa była podjąć w dziedzinie ekonomicznej, o czym przypomniał prezydent Beneš w swej rozmowie z polskimi ministrami gen. Sosnkowskim i Seydą w dniu 9 kwietnia 1941. Beneš wobec swych rozmówców stwierdził, że *Czesi są za związkiem ściślejszym w dziedzinie ekonomicznej, a luźniejszym w politycznej.*

Mimo tak poważnych rozbieżności pierwsza połowa 1941 roku, patrząc z perspektywy czasu, była okresem, w którym wzajemne uzgodnienia co do kształtu i charakteru przyszłej federacji czy konfederacji polsko-czechosłowackiej mogły poczynić znaczne postępy. W rzeczywistości nie były one tak duże, jak można by było oczekiwać.

Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy było to, że obrady Komitetu Politycznego *stały się powodem i wytłumaczeniem dla niepodtrzymywania stałego kontaktu ze stroną czeską* – jak napisał w swym dzienniku ambasador Raczyński.

W drugą połowę 1941 roku strona polska postanowiła wstąpić z nową taktyką we wzajemnych polsko-czechosłowackich negocjacjach. Po powrocie ze Stanów Zjednoczonych gen. Sikorski zdecydował przystąpić do omówienia głównych rozbieżności stojących na przeszkodzie do osiągnięcia całkowitego porozumienia.

Warto w tym miejscu przytoczyć relację ambasadora Raczyńskiego, który pisze: *Gen. Sikorski dał się (...) namówić do obrania wobec Beneša linii postępowania innej niż ta, którą wybrał gen. Sosnkowski. Kiedy po długich i ciężkich cierpieniach Komitet Polityczny Ministrów przygotował wreszcie „Projekt Zasad Aktu*

Konstytucyjnego Związku Polski i Czechosłowacji", gen. Sikorski zapowiedział, że nie przedłoży tego dokumentu Radzie Ministrów do zatwierdzenia co najmniej przez 6 miesięcy i że podejmie z Czechami dyskusję na innych podstawach. I dodawał Raczyński: *Przypuszczam, że obok innych doradców na decyzję gen. Sikorskiego wpłynął nasz nowy poseł przy rządzie czechosłowackim (...) Kajetan Morawski (...). Krytykował on projekt aktu z powodu, jego zdaniem, różnych usterek. Dopiero ostatnio zaczął skłaniać się do mego zdania, że lepiej, abyśmy wystąpili z projektem wobec Czechów.* Tak się jednak na razie nie stało.

Nastąpiła kilkumiesięczna przerwa w rokowaniach. Zapoczątkował ją list premiera gen. Sikorskiego do prezydenta Beneša z dnia 18 czerwca. Sikorski postawił w nim ostro sprawę nienaruszalności terytorialnej Polski sprzed września 1939 roku, przy czym dał do zrozumienia, że odnosi się to również do granicy z Czechosłowacją.

Nie to jednak było powodem przerwy w negocjacjach; przyczyną tą było przystąpienie Związku Radzieckiego do wojny.

ROMAN BARON

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (11)

NIEUDANA UCIECZKA – PO RAZ DRUGI

Zgodnie z naszym planem i rozkazem dowódcy pomaszerowałem po wczesnej kolacji z dwudziestką landszturmistów na placówkę nr 2. Wystawiłem posterunek i czujki i myślę o zmontowaniu składu patrolu. Do tego nadają się tylko ochotnicy, więc pytam się, kto ze mną pójdzie na patrol na ochotnika, lecz jakoś nikt się nie zgłasza. Po chwili odzywa się jednak głos ze środka groty: – Ja mogę pójść! –

Poznaję po głosie zawsze pogodnego i poczciwego landszturmistę Kucza, małorolnego chłopa z okolic Wadowic. Zostawił w domu żonę i czworo dzieci. Poniewiera się już po frontach od początku wojny, lecz zawsze jakoś ma szczęście. Z Kuczem zgłasza się też dobrowolnie na patrol jego ziomek. Obaj Polacy a więc jest mi jakoś raźniej.

Ubieramy się w białe płócienne płaszcze i wychodzimy z groty. Sypały bezszelestnie duże płaty gęstego śniegu. Może i dobrze, ale pobłądzić łatwo. Gdzieś z prawej i lewej strony dali odzywają się kulomioty. Artylerzyści obu stron odpoczywają. Odsuwamy w zasiekach mocno postrzępione przez artylerię kozły hiszpańskie. Idziemy wolno i ostrożnie i za chwilę trafiamy do leju. Kładziemy się i nasłuchujemy. Nic nie słychać, tylko gdzieś dalej te kulomioty.

Wstajemy, wydrapujemy się z leju, posuwamy się ostrożnie kilka kroków dalej i nagle padamy wśród głazów, bo miga niedaleko nas smuga świetlna reflektora. Odezwał się blisko kulomiot i zagwizdały kule nad głowami. To chyba przypadek, gdyż nikt nas nie może widzieć. A jednak ogarnął mnie jakiś strach i zostajemy, leżąc bez ruchu kilka minut. Myślę o tym, że muszę przecież wrócić do groty zdrów i cały, gdyż mam rozpocząć za kilka godzin z Zadorą niebezpieczną daleką podróż, a jednocześnie trzeba teraz w czasie tego patrolu zbadać i ustalić pierwszy i najbardziej niebezpieczny odcinek tej drogi. Więc wstaję z wysiłkiem i posuwam się znowu ostrożnie może trzydzieści kroków naprzód, potykając się o kamienie i głazy. Włazimy tak do trzeciego leju i znów nasłuchujemy bez skutku, a później posuwamy się znowu kilkadziesiąt kroków lecz nagle padamy plackiem na stoku, gdyż znów błysnął niedaleko reflektor. Świdrował nas swoimi przeraźliwymi ślepiami. Nie wiadomo, czy to przypadek, że tak długo oświetla teren, na którym się znajdujemy. Wątpię jednak, że nas mogą dostrzec, przecież mamy płaszcze śnieżne. Leżymy bez ruchu na śniegu, mrozie i kamieniach i dłuższy czas czekamy. Po kilku minutach odzywa się Kucz półgłosem: – Panie plutonowy zmarzniemy tu, szczury i wrony nas zjedzą, idźmy dalej albo wracajmy, już śnieg nie pada. – Naszym zadaniem jest jednak rekonesans, a więc rozpoznanie ewentualnej obsady Sfinksa oraz najlepszej i nakrótszej do niego drogi.

– Poszukamy tu w pobliżu bezpiecznej dziury lub leja – mówię do mych towarzyszy – i po sprawdzeniu terenu wracamy na placówkę.

Wstajemy i po kilku krokach Kucz znalazł głęboki i wygodny lej armatni. Kładziemy się w nim, wyciągam z kieszeni rakietnicę, ładuję rakietę i wypalam przed siebie.

Zobaczyłem może sto metrów przed sobą znaną mi sylwetkę skały. Widzę wyraźnie zasieki z drutów w małym zagłębieniu, leżały jakby przed grdyką Sfinksa. Zaraz kilka kroków na lewo od nas zaczyna się kilkumetrowa dolinka, czy też żleb. Jest to martwe pole, które zaprowadzi mnie i Zadorę aż do tych włoskich zasieków z drutu. Już dogasała moja rakieta, gdy zagwizdały koło nas kule i słyszymy jednocześnie kilka długich serii kulomiotu z kierunku skały. Pękają naraz rakiety a za kilka chwil odzywa się salwa artylerii włoskiej, za chwilę druga, a po niej trzecia. Pociski padają gdzieś między placówką nr 2 i pozycją główną. Za kilkanaście minut wszystko zamilkło.

– A więc Sfinks obsadzony jest przez Włochów. Mają tam prawdopodobnie silną placówkę z kulomiotem. Podejście do Sfinksa z dna kotliny najbezpieczniejsze z lewej strony, zasłoniętym od obserwacji wgłębieniem. – Oto treść mego przyszłego meldunku do Schramka i ustnego do Zadory.

Wróciliśmy szczęśliwie na placówkę. Pisemny meldunek do dowódcy kompanii o wynikach rozpoznania odniósł landszturmista Kucz. Prosiłem go, aby wstąpił do Zadory i poinformował go o przebiegu naszej przygody patrolowej i o tym, że jestem zdrów i zadowolony z życia.

Mój wypróbowany przyjaciel Zadora zjawił się na placówce punktualnie o północy w asyście jednego landszturmisty. Tak jak umówiliśmy się przed kilkoma godzinami w schronie. Opanowało mnie piekielne podniecenie.

– Czy uda się nam ta ucieczka na drugą stronę frontu? – medytuję gorączkowo – Tu nędza, brak żarcia i wieczna obawa o życie, a tam na pewno nareszcie znośniejsze warunki i może okazja jakiegoś działania, czy może nawet walki przeciw ciemiężycielom Polski i polskiego Śląska. No i całkiem realna perspektywa zobaczenia Rzymu, Watykanu itd. –

Zadora był skupiony jak mnich buddyjski a zarazem spokojny i pogodnie uśmiechnięty. Zapytuje mnie: – Czyś przygotowany do odbycia tej pielgrzymki rzymskiej? –

– Wszystko w najlepszym porządku. Ruszajmy nareszcie! – odpowiadam, choć czułem, że odmrożone na froncie rosyjskim w samą wigilię Bożego Narodzenia ubiegłego roku nogi sztywnieją i palą. Widocznie znowu je odmroziłem w czasie tego ostatniego patrolu...

– Nie zapomnij o żelaznej porcji! – przypomina mi Zadora oraz wciąga mi mocno i troskliwie nauszniki na uszy.

– Ty prowadzisz aż do włoskich czujek przed Sfinksem, gdyż znasz już dokładnie marszrutę! Wróciłeś właśnie z patrolu z „Niemandslandu"! Opisz mi tę trasę! – ciągnie dalej Zadora.

Główny kierunek Sfinks! – wyjaśniam. – Lecz, aby się tam dostać trzeba się posuwać od naszych zasieków drucianych, czołgając się z leju do leju około stu metrów w dół, to jest w kierunku dna kotła. Tylko ostrożnie za mną, bo wszędzie pełno postrzępionego przez artylerię drutu kolczastego, mnóstwo głazów i różnego szmelcu. Później skręcamy na lewo, czołgamy się przez pierwszy i stale oświetlony garb Sfinksa i już jesteśmy na martwym polu zabezpieczeni przed oświetleniem cesarsko-królewskimi reflektorami. Stamtąd już blisko do włoskich zasieków oraz ich czujek, z którymi trzeba nawiązać kontakt. Lecz to już twoja sprawa! A dasz sobie z nimi radę? – W tym celu dawno wykułem na pamięć kilkanaście słów włoskich, a latarkę elektryczną też mam. A więc ruszajmy! Avanti! – decyduje półgłosem i zwraca się w końcu już głośno do kaprala Horaka, mego zastępcy:

– Idziemy skontrolować nasze czujki! –

Wychodzimy z groty. Było dość ciemno i prószył drobny, dość rzadki śnieg. Armaty i karabiny maszynowe grały dość skąpo i tylko u sasiadów. Na odcinku naszej kompanii panował zastój działań ogniowych. Mogło się zdawać, że dowódca kompanii Schramek

i dowódca Teudelof podpisali z dowódcą włoskiego odcinka chwilowy rozejm. Gdzieś daleko od nas pękają białe rakiety. Reflektory penetrowały rytmicznie teren, lecz nie tak często jak zwykle.

Wyskakujemy z lochu na wierzch i skręcamy w prawo w dół. Dokonujemy kontroli ukrytych i marznących za gruzami czujek. Wymieniamy z nimi hasło i odzew. Zadora awizuje czujkom nasz krótki rekonesans w strefie niczyjej.

Podchodzimy kilka kroków, aby skręcić w kierunku własnych kozłów hiszpańskich i otworzyć sobie przejście. Nagle odczuwam gwałtowne uderzenie, czy też ukłucie jakby dłutkiem poniżej jabłka kolanowego prawej nogi i upadam na ziemię. Ułamek sekundy później słyszę serię z kulomiotu z prawego włoskiego skrzydła. Później druga i następne serie.

– Co się stało? – woła Zadora – jesteś ranny? Gdzie to dostałeś? –

– Zdaje się w prawą nogę – odzywam się mało przytomnie i próbuję wstać, lecz nie daję rady.

Zadora powlókł mnie w pierwszej chwili ostrożnie kilka kroków po śniegu, lecz za chwilę pobiegł do schronu. Wraca stamtąd z dwoma landszturmistami, którzy mnie odnoszą do lochu i kładą na jakichś kocach. W świetle świecy widzę prawą nogawkę spodni silnie pokrwawioną. Z prawej nogi tuż poniżej jabłka kolanowego cieknie przez dziurę w spodniach krew. Zadora wyciąga scyzoryk i rozcina nogawkę. Nakłada przy pomocy landszturmisty opatrunek. Kręci się i skacze koło mnie gorączkowo i troskliwie. Podaje też manierkę z kilkoma łykami rumu.

– A więc rozchodzą się nasze drogi i koleje! Cóż poczne teraz bez ciebie? Z kim będę tęsknił za naszym Śląskiem i Polską, z kim będę o naszej drogiej Ziemi Cieszyńskiej marzył i gwarzył? Któż tu będzie dla mnie tak wiernym towarzyszem i powiernikiem? Cóż poczne teraz bez ciebie? – wciąż powtarzał i narzekał Zadora.

Skłonił głowę i zdawało mi się, że płacze, lecz za chwilę się ocknął i mówi spokojnie:

– Już drugi raz oberwałeś w nogę. I można powiedzieć, że szczęśliwie. Bo jeżeli jabłko kolanowe i kości nienaruszone, to wyjątkowe i bajkowe masz szczęście żołnierskie. Lecz co będzie teraz ze mną i co mi wypada czynić? Muszę rozmyślać i jakieś rozwiązanie może znajdę. Muszę! –

Poszedł do Schramka zameldować mu o dokonaniu czujek i o moim wypadku i powrócił zaraz z noszami. Za pół godziny odniesiono mnie z placówki w asyście Zadory do schronu naszego plutonu, gdzie obmyto mi ranę i założono dokładny opatrunek, a po śniadaniu nastąpiło już tylko krótkie pożegnanie z Zadorą.

– Ładnego mi figla spłatałeś. Ciężko mi będzie bez ciebie! – żegnał mnie Zadora – Nie udała się nam ta wycieczka do Rzymu. Będę jed-

nak ciągle szukać i próbować szczęścia, lecz już bez ciebie. Przy pierwszej okazji zwieję! –

– Niech cię Bóg prowadzi! – mówię Zadorze – źle mi będzie bez ciebie, jednak nasze drogi muszą się rozejść! Oby Bóg dał, aby nie na długo! Przewiduję intuicyjnie, że obaj szczęśliwie wrócimy z tej przeklętej wojny. Ty do swej Karwiny, a ja do Ropicy i będziemy się spotykać w naszym wolnym, ukochanym polskim Cieszynie, w wolnej Polsce. –

Za kilka chwil po śniadaniu odniesiono mnie do szpitala dywizyjnego. Leżeliśmy tam na ogromnej pryczy wykonanej z świeżej tarciny, ustawionej wzdłuż ściany wąskiego baraku i zaopatrzonej w lichą ściółkę ze słomy. Barak przypominał swoim wyglądem wagon kolejowy i nie był od niego szerszy, lecz może nieco dłuższy. Leżeliśmy pokotem na słomie jeden obok drugiego. W baraku był jeden piecyk żelazny, lecz brak było opału. Znajdowaliśmy się przecież na wysokości niemalże 3000 metrów, a więc w strefie, gdzie nie rośnie już nawet kosodrzewina. Czasami dowożono wagonikami kolejki linowej węgiel, lecz to wszystko pożerały kuchnie polowe. Toteż w piecyku palono, czym się dało, a więc zdobytymi gdzieś drewniakami i kawałkami węgla, lecz najwięcej starymi bandażami, różnymi szmatami i podartymi mundurami po zabitych, a nawet kopytami zabitych koni. Dlatego barak przesycony był stale straszliwym smrodem. Wietrzyć nie można było często, gdyż było ponad dwadzieścia stopni mrozu, a nakrywaliśmy się tylko lichymi kocami. O spaniu nie było mowy, gdyż stale było słychać jęki ciężej rannych i rzężenie konających. Spali tylko ci, których przynoszono z baraku operacyjnego po narkozie. Kilku z nich już się nie obudziło.

Mój pobyt w szpitalu dywizyjnym ograniczył się na szczęście tylko do dwóch dni. W trzecim dniu przed południem przetransportowano mnie wraz z innymi do końcowej stacji górskiej kolejki linowej, która miała nas przewieźć do położonego w pięknej dolinie Adygi południowo-tyrolskiego miasta Roveretto, gdzie czekał na rannych pociąg sanitarny. Około południa położono mnie na dnie otwartego wagoniku. Dokuczała mi rana, odmrożone nogi oraz silny alpejski mróz. Wtuliłem się mocniej w lichy płaszcz, nakryłem nogi jeszcze lichszym kocem, oparłem głowę o powieszony na haku chlebak i usadowiłem się w kącie wagoniku. Obok mnie leżał na lewym boku jakiś młody Niemiec z Ujścia (Aussig) w Czechach północnych i spoglądał ze złowrogą zaciętością na swego sąsiada młodziutkiego jeńca włoskiego z pułku Alpini. W jednym z kątów wagoniku stał wysoki, szpakowaty sierżant podchorąży Jiras, nauczyciel z okolic Kladna w Czechach. A więc w wagoniku dla czterech osób było czterech żołnierzy czterech narodowości: Czech, Włoch, Niemiec i Polak. Wszyscy byliśmy ranni stosunkowo szczęśliwie. Czech w lewą rękę powyżej łokcia, Włoch w lewe górne

udo, Niemiec w prawy pośladek, a ja w prawą nogę poniżej kolana.

Czech Jiras obserwował panoramę terenu i wydarzenia wokół nas i pełnił rolę naszego przewodnika. Informował nas od czasu do czasu o osobliwościach tej panoramy. Byliśmy przecież upiornymi, z wojennego zdarzenia i przypadku turystami Alp, wśród których widniała nie tak daleko od nas wstęga jeziora Garda. Tylko wagoniki nasze i cała ta górska kolejka linowa nie została zbudowana dla prawdziwych turystów, lecz była arterią komunikacyjną zaopatrującą jednostki frontowe w żywność, amunicję oraz inny materiał wojenny potrzebny do zabijania i zbudowana do tego celu przez wynędzniałych z głodu i mrozu jeńców rosyjskich.

Przed wyjazdem podali nam sanitariusze jakąś ciecz o nieokreślonym smaku. Grunt, że była gorąca! Oprócz tego podano nam chleb z jakąś marmoladą. Wypiliśmy to duszkiem co do kropli, tylko ten ranny w pośladek Niemiec nie dopił wszystkiego, chlusnął resztę w twarz leżącemu obok niego Włochowi z słowami: Masz, ty przeklęty zdrajco włoski!

Wyrwałem mu manierkę z ręki, cisnąłem z furią w kąt wagonika i po niemiecku wrzasnąłem: Mało ci było frontu i jeszcze tu chcesz walczyć, ty bohaterze, z rannymi jeńcami! – Zryczał go i Jiras po czesku. Niemiec rozdziawił gębę, ale zaskoczył nas po chwilce swoją odpowiedzią po czesku: Polibte mi prdel!

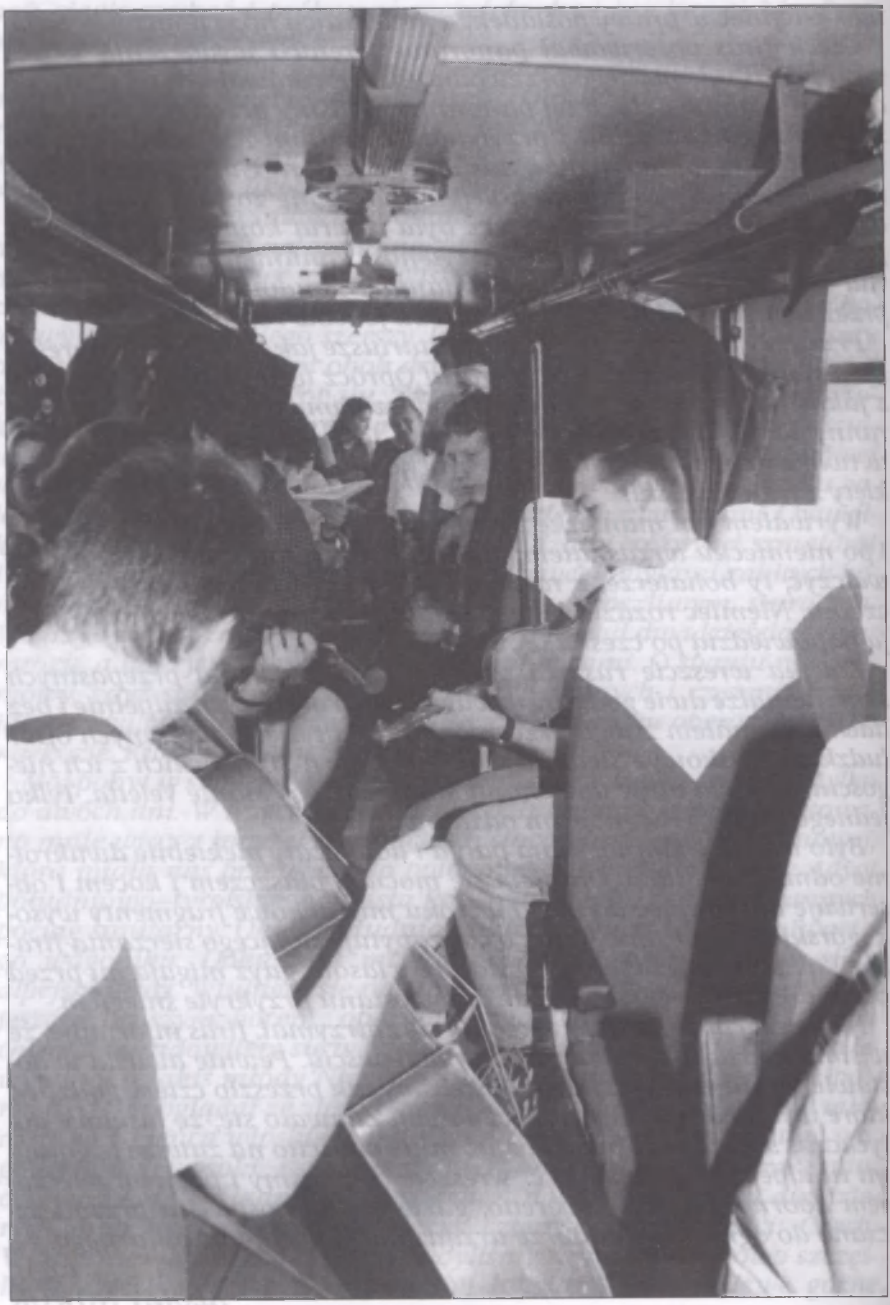
Kolejka wreszcie ruszyła. Mieliśmy jechać wśród przepastnych skał niemalże dwie godziny w wagonikach otwartych zupełnie i bez dachu. Żegnałem z ulgą przesycony krwią tysięcy daremnych ofiar ludzkich płaskowyż Siedmiu Gmin w Alpach Trydenckich z ich niegościnnymi dla mnie wierchami Monte Rover i Monte Veletta. Tylko jednego Zadory nie mogłem odżałować.

Było wściekle zimno. Rana paliła i dokuczały piekielnie dwukrotnie odmrożone nogi. Otuliłem się mocniej płaszczem i kocem i obserwuję docierające do mego wzroku migawkowe fragmenty wysokogórskiej panoramy. Wciąż o coś zapytuję stojącego sierżanta Jirasa. Widzę, że dojeżdżamy już do strefy lasów, gdyż migają mi przed oczami kępy i większe połacie drzewostanu przykryte śniegiem.

Nagle szarpnęło nami i wagonik się zatrzymał. Jiras informuje, że wisimy nieruchomo nad głęboką przepaścią. Pewnie awaria w dostawie prądu elektrycznego. Wisieliśmy tak przeszło cztery godziny, które wydawały nam się wiecznością. Zdawało się, że łaskawe dotychczas szczęście żołnierskie już mnie opuściło na zawsze i zgotuje mi tu alpejską białą śmierć. Wreszcie ruszyliśmy i późnym wieczorem dobrnęliśmy do Roveretto, gdzie nas w pośpiechu przemieszczano do ogrzanego i dobrze urządzonego pociągu sanitarnego.

c.d.n.

ALOJZY NOWOK



[36] *Kapela „Bystrzycy" w autobusie...* *fot. FRANCISZEK BAŁON*

BYSTRZYCA W VELKÉ BYSTŘICI

Zespół Folklorystyczny MK PZKO w Bystrzycy nad Olzą – „Bystrzyca" zaprosił redakcję ZWROT-u do towarzyszenia mu w kolejnym wyjeździe. Chętnie skorzystaliśmy, tym bardziej, że tym razem nadarzyła się okazja porównania jednego z naszych zespołów z zespołami folklorystycznymi Czech i Moraw, jak również możliwość obserwacji reakcji czeskiej publiczności na popisy polskiego zespołu.

VIII Krajowy Przegląd Wiejskich Zespołów i Grup Folklorystycznych pod nazwą „Rok Ludowy 1997" (Lidový rok 1997) odbył się w tym roku 20 i 21 września w Velké Bystřici, małym miasteczku niedaleko Ołomuńca, jak sama nazwa wskazuje, po raz ósmy. Jego organizatorami byli obok miejscowego urzędu gminnego Ośrodek Kultury Velká Bystřice oraz Stowarzyszenie Folklorystyczne RC. „Bystrzyca" znalazła się na liście biorących udział w przeglądzie zespołów za pośrednictwem pani Anny Konderlowej – starosty Bystrzycy nad Olzą. Dowodem żywego zainteresowania zespołem ze strony szefowej urzędu gminnego była jej obecność nie tylko na widowni, ale i jej towarzyszenie zespołowi poza występami.

W przeglądzie oprócz „Bystrzycy" brały udział następujące zespoły: „Břeclavan" (Břeclav), „Hadař" (Červený Kostelec), „Hana" (Velká Bystřice), „Podjavořičan" (Telč), „Soláň" (Hutiska-Solanec), „Tetko a Streci" (Velká Bystřice) i „Cimbalová Muzika Pavla Borovičky" (Hodonín).

Pierwszy dzień przeznaczony był dla zespołów dziecięcych. Wystąpiły w nim następujące zespoły: „Barunka" (Česká Skalice), „Groš" i „Grošle" (Dolní Rožínky), „Krušpánek" (Velká Bystřice), "Lučinka" (Praga), „Malí Jackové" (Jabłonków), „Slaměnky" (Velká Bystřice), „Vodička" (Hawierzów).

Kapela „Bystrzycy" pod kierownictwem Józefa Kalety, towarzysząca zespołowi, zaczęła swe „występy" już w autobusie. Na miejscu od razu przyciągała uwagę wszystkich. Przy spacerach po mieście, w drodze na obiad, wszędzie, kapela była z zespołem i zawsze grała. Tak więc miasteczko Velká Bystřice wsłuchiwało się przez dwa dni w melodie i słowa naszych śląskich piosenek nie tylko na widowni pod zamkiem. Po sobotniej wieczornej prezentacji zespołów na „zabawie ludowej" w miejsco-



Taniec „Żabi" przed zamkiem w Velké Bystřici...

wym Domu Kultury bystrzycka kapela grała długo do nocy w gospodzie w tymże budynku. Była przyjmowana entuzjastycznie przez członków innych zespołów jak i przez miejscowych gości. Tam też usłyszeliśmy proste a jakże znaczące słowa pierwszej oceny... *„Jest obojętne, w jakim śpiewacie języku, wszystkim nam chodzi o tę samą piękną sprawę..."*

W niedzielę „Bystrzyca" występowała kilkakrotnie. Blok programowy na podium umieszczonym pod ścianą zamku, znajdującego się w centrum miasta, trwał od godziny 8 rano do 16 po południu. Konferansjerzy nie szczędzili ciepłych słów pod adresem "Bystrzycy". Z relacji publiczności wyczuwało się, że nasz zespół stał się jej ulubieńcem. Najburzliwsze brawa zaliczył „taniec żabi".

Dopołudniowa część niedzielnego programu była przeznaczona przede wszystkim dla jury, składającego się z lektorów działalności folklorystycznej, którego zadaniem było opracowanie wskazówek dla kierownictwa zespołów do ich dalszej działalności.

Jednym z członków jury był etnolog prof. Alois Dohnal z Lipníka nad Bečvou, który od lat bada folklor regionów podgórza. Odkrył wiele melodii i tekstów piosenek, powtarzających się w różnych regionach. Do takich zalicza na przykład znaną u nas piosenkę „Ty świnioku świński".



Uroczyste zakończenie... przy mikrofonie pani Maria Podzemna

Taniec „mietlorz", który między innymi zaprezentowała „Bystrzyca", Alois Dohnal zna także w wykonaniu zespołu z Moraw, gdzie jest w skromniejszej postaci częścią miejscowego folkloru. O naszym zespole powiedział: *„Zespół się ogromnie podobał – bezbłędna muzyka, piękna obsada. Miałem możliwość porównywania na miejscu zespołów ludowych „Vodička" z Hawierzowa, „Malí Jackové" z Jabłonkowa i „Bystrzycy". Autentyczność wykonania, prezentacja gwary od dużych starań w wypadku zespołu „Vodička", poprzez całkowite zbliżenie do oryginału „Małych Jacków", w zespole „Bystrzyca" osiąga absolutną autentyczność i perfekcję. Byłem ciekaw, jak porozumiewają się członkowie zespołu "Bystrzyca" między sobą. Kiedy do nich podszedłem, stwierdziłem, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że używają takiej samej autentycznej gwary...*

Alois Dohnal wspominał jeszcze o dwóch swych uczniach w technikum budowlanym, gdzie uczył Polaków pochodzących z Zaolzia. Po dwudziestu latach zapomniał już ich nazwiska, jednak ciągle pamięta ich pracowitość, uczciwość i piękny, czysty język polski, którym się posługiwali poza lekcjami w rozmowach między sobą...

Podczas całej imprezy nasuwały się porównania. Porównania z podob-

nymi akcjami w Polsce i na terenie Zaolzia. Jednoznacznie trzeba stwierdzić, że zapaleńców do pracy na polu kultury nie brakuje nigdzie. Nie tylko na naszym terenie jest wiele zespołów, często na bardzo wysokim poziomie. Możliwości jednak wszędzie są inne. Nie są bez znaczenia finanse, lokale. W porównaniu z Polską w niejednym wypadku w Czechach możliwości zdobycia funduszy na kulturę są mniejsze. Największe jednak znaczenie ma zainteresowanie działalnością kulturalną, w tym i folklorystyczną przez ludzi - tych na scenie i tych na widowni. Z publicznością, wiadomo, różnie bywa...

W Velké Bystřici słoneczna niedziela przyciągnęła niemałą publiczność. Przed podium zabrakło miejsc siedzących. Tłum poruszał się także na jarmarku zorganizowanym obok. Jego "atrakcje" to osobny rozdział. Kilka stoisk z wyrobami rzemiosła ludowego, prezentowana na żywo produkcja garncarska, dosłownie ginęły w morzu tandety, kiczu i ... handlu wietnamskiego. Tu - porównując - możemy być dumni z zachowania tradycji i ludowości na naszym Gorolskim Święcie i podobnych imprezach! Do dań regionalnych dostępnych przy okazji przeglądu, nie licząc „burčáka", nic zaliczyć nie można było...

Na duży podziw zasługują jednak miejscowe zespoły folklorystyczne. Trzy zespoły tego typu działające bardzo aktywnie w tak małym mieście to ewenement. Tu nie możemy pominąć faktu, że są to w zasadzie zespoły nie działające pod egidą żadnej dużej organizacji. Przyjemnym, na pewno godnym naśladowania i u nas był fakt, że w zespołach biorących udział w przeglądzie nie tylko śpiewali, ale i tańczyli (i to jak!) również ludzie czterdziesto czy pięćdziesięcioletni.

W drodze powrotnej w autobusie znowu grała kapela. Wracamy z kolejnej udanej prezentacji zespołu „Bystrzyca", naszego regionu, naszych w nim działań.

Dziękujemy „Bystrzycy" - za wszystkich dziękujemy. Dołączamy również osobiste, zwrotowskie podziękowania za zaproszenie, za wspaniałą opiekę.

Zespół „Bystrzyca" - grupka pełnych poświęcenia zapaleńców pod kierownictwem organizacyjnym i artystycznym Marii Podzemnej i jej męża Leonarda - dzięki swej żmudnej pracy staje się coraz głośniejszy w Polsce i w Czechach. „Bystrzyca" ma przy tym wiele trudności i problemów. Własne siły wykorzystuje nie tylko do tańca, ale również do organizowania występów, zdobywania sponsorów, przygotowania folderów, opieki nad strojami, etc., etc. Może zastanowi to tych, których zastanowić powinno...

„Bystrzyca" - Zespół Folklorystyczny Miejscowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Bystrzycy nad Olzą.

F.B.

CO SŁYCHAĆ W „EDENIE"

Jeszcze do niedawna niewiele o nich mówiono, nie byli wdzięcznym tematem, wstydliwie odwracano się od nich, starając się nie dopuścić do siebie myśli o ich istnieniu. Tak jakby urodzili się wczoraj. A przecież zawsze byli wśród nas. Ludzie upośledzeni umysłowo, niedorozwinięci, wieczne dzieci żyjące w swoim własnym, niezrozumiałym dla innych świecie. Od kilku lat zainteresowanie nimi wzrasta. Nie tylko w goniących za tanią sensacją kręgach dziennikarskich. Powstają ośrodki pomagające im żyć godnie, wspierające ich rozwój fizyczny i umysłowy, znajdujące dla nich zajęcia, którym potrafią sprostać, rozwijające ich talenty.

Jednym z takich ośrodków jest czeskocieszyński Dom Opieki „Eden", placówka skupiająca upośledzoną umysłowo młodzież od lat piętnastu. Działalność „Edenu" rozpoczyna się od daty 3 stycznia 1994. Wtedy - jeszcze w pomieszczeniach zastępczych w domu prywatnym w Żukowie Dolnym - zainicjowano zajęcia dla 13 wychowanków. Dziś do „Edenu" uczęszcza dwudziestka młodych ludzi w wieku od 17 do 26 lat. Siedziba ośrodka mieści się w budynku dawnego żłobka w Czeskim Cieszynie przy ulicy Frydeckiej. Pięknie odremontowane pomieszczenia i korytarze zdobią liczne prace plastyczne wychowanków.

Pod kierownictwem dyrektor Lidii Czudek pracuje tu dziewięciu wychowawców. Do każdego z wychowanków trzeba podchodzić indywidualnie, „ciocie" znają już doskonale możliwości, umiejętności i potrzeby swoich podopiecznych. Zajęcia odbywają się od poniedziałku do piątku w godzinach od 8.00 do 15.00. Przebiegają w grupach. W dobrze wyposażonych pracowniach - stolarskiej, tkackiej i ceramicznej - powstają wyroby, mogące nieraz konkurować z pracami uznanych artystów. Dopołudnia odbywają się też lekcje czytania, matematyki, logopedii. Sprawność fizyczną pomagają utrzymać ćwiczenia gimnastyczne, masaże, pływanie oraz praca w ogródku. Poobiednie zajęcia to między innymi praca kółka dramatycznego. Trzy razy w tygodniu przygotowują się młodzi ludzie do przedstawienia, które zaprezentują publiczności w okresie Świąt Bożego Narodzenia. Raz w tygodniu wyjeżdżają na basen, jedno popołudnie poświęcają na spotkanie towarzyskie.

Miło wspominają wakacyjne tygodniowe pobyty w Tyrze pod Beskidami. Są wiernymi widzami Teatru Lalek „Bajka". Swe wyroby prezentują na wystawach. Tam też znajdują dla nich nabywców.

Redaktorzy „Zwrotu" gościli w „Edenie" w związku z przekazaniem dla ośrodka zabawek dydaktycznych. Uwagę naszą zwróciła różnorodność języków, jakie można tam usłyszeć. Każdy rozmawia w swoim języku, a wszyscy doskonale się rozumieją. Oprócz języka czeskiego można było usłyszeć polską mowę, język słowacki i naszą rodzimą gwarę. Tu możliwe stało się porozumienie, jakiego brakuje niekiedy wśród ludzi w pełni sprawnych umysłowo.

Wychowankowie lubią swój „Eden" i swych wychowawców. Mogli się o tym przekonać choćby w czasie wakacji, kiedy przez miesiąc ośrodek był zamknięty i kiedy nie mogli się doczekać jego ponownego otwarcia. Wychowawcom należą się słowa podziwu i szacunku dla ich trudu. I refleksja, że również tak wygląda powołanie.

C.R.





W warsztatach „EDENU", fot. FRANCISZEK BAŁON

LITERATURA POLSKA W REPUBLICE CZESKIEJ (NA ZAOLZIU)

Pod taką nazwą odbyło się w ramach tegorocznego Gorolskigo Święta w czasie jubileuszowego pięćdziesiątego spotkania w jabłonkowskiej Kawiarence „Pod Pegazem" sympozjum, poświęcone tworzonej na Zaolziu literaturze polskiej. Wzięli w nim udział naukowcy, krytycy, twórcy a także odbiorcy, czytelnicy tej literatury. Organizatorzy sami uznali, że chodzi o seminarium *w pewnym sensie naukowe*. Temat określony został bardzo ogólnie, toteż przyczynki dyskusyjne miały bardzo różny zakres. W moim mniemaniu przy takiej okazji należało wstrzymać się od wykładów akademickich, w dodatku dotyczących analizy twórczości poszczególnych autorów lub konkretnych motywów w tej twórczości występujących, na rzecz wypowiedzi bardziej ogólnych, skierowanych również do społeczności laików. Na szczęście większość dyskutantów tak właśnie zrozumiała swoje zadanie.

Jak przy każdej tego typu okazji pojawił się termin „literatura zaolziańska". I wątpliwości czy wręcz krytyka tego terminu. Czy istnieje literatura zaolziańska?

Doc. Alfred Wolny z uniwersytetu w Opolu miał wątpliwości co do tego terminu. Stwierdził, że trzeba raczej opisywać poszczególne postacie. Zwrócił uwagę na trójkontekstowość literatury mniejszościowej - obecność jej w kulturze polskiej i czeskiej oraz w regionie, w miejscu zamieszkania autora.

Dla prof. Edmunda Rosnera z cieszyńskiej Filii UŚ jest to literatura polska, posiada jednak swój specyficzny wyraz.

Doc. Jiří Urbanec, prorektor Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, mówił o polskim etnikum czeskiej części Śląska Cieszyńskiego i jego roli pośrednika między czeską i polską wspólnotą kulturową, używając wyrażeń autorzy polscy, literaci polscy.

Ciekawie zabrzmiały wypowiedzi samych pisarzy oraz ich krytyków.

Tadeusz Kijonka, redaktor naczelny miesięcznika „Śląsk" z Katowic, użył terminu literatura zaolziańska dla określenia twórczości powstającej na konkretnym terenie, w konkretnym środowisku, w określonej tradycji kulturowej. Nie można jednak stosować według niego dla tej literatury taryfy ulgowej.

Oldřich Šuleř, prezes Gminy Pisarzy Morawskośląskich w Ostrawie, zwrócił uwagę na przypisywanie słowu regionalizm odcienia pejoratywnego. Regionalny nie musi oznaczać prowincjonalny. Od samych autorów zależy czy potrafią poprzez uogólnienia podnieść wartość literatury regionalnej.

Harry Duda, prezes opolskiego oddziału Związku Literatów Polskich, podkreślił, że każda literatura jest narodową poprzez język.

Zabrakło w tym kontekście wypowiedzi samych zainteresowanych, bohaterów spotkania, polskich pisarzy z Zaolzia.

Współgospodarz wieczoru Wilhelm Przeczek w udzielonym kiedyś na łamach „Zwrotu" (10/93) wywiadzie odżegnywał się od terminu literatura zaolziańska: *Uważam, że literatura istnieje tylko w tym języku, w którym powstaje. Konsekwencją tego jest moje przekonanie, że na Zaolziu istnieje literatura polska, nawet utwory pisane w gwarze do niej należą, bo przecież dialekt śląski wliczamy do języka polskiego. Zawsze przeciwstawiałem się temu, kiedy dawniej nazywano nas „autorami piszącymi po polsku". Nie ma więc, moim zdaniem, tzw. „literatury zaolziańskiej", ale to, co tu powstało i uzyskało wymagany poziom, wchodzi do literatury polskiej w ogólnym tego słowa pojęciu.*

Drukujemy dziś wysłuchany na sympozjum referat doc. Jiřígo Urbanca. W numerze grudniowym ukaże się przyczynek dyskusyjny nieobecnego wtedy w Kawiarence „Pod Pegazem" mgr. Libora Martinka z uniwersytetu opawskiego, zatytułowany „Współczesna działalność przekładowa polskich pisarzy zaolziańskich".

Temat literatury zaolziańskiej czy literatury polskiej z Zaolzia pozostaje otwarty. Zapraszamy do dyskusji na naszych łamach twórców z Zaolzia i spoza Zaolzia, krytyków oraz wszystkich, którzy mają na ten temat coś do powiedzenia, którzy chcieliby podzielić sią z czytelnikami „Zwrotu" swoimi uwagami.

C.R.



Kawiarenka „Pod Pegazem" – uczestnicy sympozjum.

DRODZY POLSCY I CZESCY PRZYJACIELE,

pozwólcie, że najpierw pozdrowię was wszystkich serdecznie i podziękuję za zaproszenie na dzisiejsze spotkanie literackie. To zaszczyt dla mnie spotkać się tutaj nie tylko z przyjaciółmi, z którymi bywam regularnie w ostrawskim związku literackim Obec moravskoslezských spisovatelů – Gmina Pisarzy Morawskośląskich, ale zarazem z tymi, o których tylko pisałem, albo z naukowcami, znawcami literatury polskiej i stosunków czesko-polskich, tak ważnych na tle porozumienia europejskiego.

Z zadowoleniem stwierdzam, iż członkami OMS-GPM jest wielu polskich autorów Ziemi Cieszyńskiej przynależnej do Republiki Czeskiej. Ich artystycznego wkładu do wspólnej skarbnicy kultury istotnie nie można pominąć, nie tylko ze względu na literacką twórczość powstającą w języku polskim, ale również z uwagi na rolę pośrednika między czeską i polską wspólnotą kulturową.

Równocześnie jako przedstawiciel nowo powstałego Uniwersytetu Śląskiego w Opawie z Wydziałem Filozoficzno-Przyrodniczym oraz Wydziałem Handlowo-Przedsiębiorczym w Karwinie z zadowoleniem przypomnę, iż nasza uczelnia już trzy lata organizuje czesko-polskie konferencje literacko-naukowe, których plonem są zbiorowe publikacje, drukowane w Filii UŚ w Cieszynie. Nasz pracownik naukowy mgr Libor Martinek zyskuje dobrą pozycję jako propagator literatury polskiej, polskich plastyków, muzyków w środowisku czeskim, a równocześnie zdobywa uznanie jako tłumacz polskiej poezji.

Fenomen Ziemi Cieszyńskiej zasługuje na specjalną uwagę. W jej historii i współczesności zderzają się, wzajemnie oddziaływują, mnożą się i w swoistej walce konkurencyjnej żywo inspirują wielorakie etnika, przede wszystkim czeskie i polskie. Równocześnie w bliskim sąsiedztwie mają miejsce paradoksalne kontrasty: z jednej strony dążenie ku światowości i kosmopolityzmowi, o wiele wyraźniejsze niż w spokojniejszych regionach, np. Hany czy południowych Czech, z drugiej centralistyczne dążenia do spychania kresowych regionów państwa, ba właściwie dwóch państw – czeskiego i polskiego, do pozycji peryferii i peryferyjności niewiele znaczącej, co wyraża się w pasywnym przyjmowaniu intelektualnej aktywności środowiska przez stolicę. Z innych przykładów wymienię fakt, iż Cieszyn na początku I wojny światowej był w centrum powszechnej uwagi jako siedziba generalnego sztabu armii austro-węgierskiej, po roku 1920 na odwrót – swym podziałem spadł na pozycje miasta problematycznego i nierozumianego. Jeśli dziś historycznie

znaczący Cieszyn nie jest siedzibą województwa, a Czeski Cieszyn nawet siedzibą władz powiatowych, jest to skrajny przykład drugiej z dwóch historycznie paradoksalnych tendencji, które wymieniłem.

Lecz chciałbym raczej pozostać przy owym zmierzaniu do pokonywania granic, nie tylko państwowych z ich celnikami i strażą graniczną, ale również artystycznych, inspiracyjnych, językowych, granic ogólnej akceptacji, granic zawężania dążeń życiowych i granic zadowalającego poznania, granic pasywnie przejmowanych metod artystycznych, granic historyzująco etnograficznego zapatrzenia w siebie i zarazem granic jedynego narodowokulturowego kręgu, mającego aspiracje samowystarczalności, bez rozpoznania i bez starań przenikania do sąsiednich kultur, geograficznie, losowo i językowo bliskich. Śledząc czeskie i polskie działania intelektualne w naszej części Śląska Cieszyńskiego, widzę współcześnie coraz większe zbliżanie i poznawanie przynoszące korzyści dla obydwu stron. Jako przykład wymienię cieszyńskie Festiwale Teatralne „Na Granicy" lub niedawne wydanie zbioru polskiej poetki Renaty Putzlacher "Małgorzata poszukuje Mistrza – Markétka hledá mistra" z paralelnymi tekstami w oryginale polskim i w czeskim tłumaczeniu.

Zręby losu to czy wyraz intensywniej przeżywanych starć społeczeństw o różnej orientacji, że na względnie niewielkim skrawku Ziemi Cieszyńskiej wyrastało tyle czynów artystycznych, nawet wśród tak zwanych warstw ludowych. Ilu jest na Ziemi Cieszyńskiej rzeźbiarzy, muzyków, tancerzy, artystów, ale również gawędziarzy, literatów? A jeśli spojrzymy na polskie etnikum czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, czyż nie zadziwia ilość aktywnych pisarzy piszących po polsku, w porównaniu z ogólną liczbą naszych współobywateli?

Być może dzieje się tak pod wpływem zmian historycznych, łącznie ze zmianami granic, przynależności państwowej i większego zagrożenia w czasach wojen i kryzysów, że rodzimi polscy autorzy są bardziej wrażliwi na zmiany, łatwiej przystosowują się do nowych prądów artystycznych i intelektualnych, przychodzących nie tylko z polskiego i czeskiego świata, lecz również z europejskich tradycji przeszłości – jak tu nie wspomnieć dawniejszej jednoczącej roli w czasach znienawidzonej monarchii austrowęgierskiej. Autorzy polscy w tej części Cieszyńskiego są zwłaszcza po roku 1945 jakby zwróceni w kilka stron świata, w odróżnieniu od autorów czeskich lub im językowo pokrewnych autorów z Polski centralnej. Może jest to dane również bardziej ogólną tradycją kultury polskiej, która w okresie rozbiorów, tendencji mesjanistycznych XIX wieku, była stale poddawana nie tylko konfrontacji własnego środowiska, ale zmuszana do poszukiwania orientacji w kulturach sąsiednich narodów, czy to przyjaznych, czy też wrogich.

Znamiennym tego dowodem w przypadku części Ziemi Cieszyńskiej są osobiste losy niektórych autorów polskich. Przecież Henryk Jasiczek urodził się niedaleko Wiednia, przodkowie Renaty Putzlacher przybyli ze Styrii i dawnej Galicji, Jan Pyszko studiował w Bratysławie. Wiesław Adam Berger ów nurt zmian i wpływów pięknie ujął w swej alegorii „Czerwony głóg", którą w tłumaczeniu Pavly Jaworskiej drukował opawski miesięcznik "Alternativa nova" w tegorocznym majowym numerze.

Owa większa wrażliwość w obserwacji życia, dająca się zauważyć u polskich autorów naszej części Cieszyńskiego, miotającego się między twardą, banalną rzeczywistością a snem, dotykającym bezmiaru wszechświata, przejawia się wyraźnie u pisarzy jakimś potęgującym się wewnętrznie blaskiem, chociaż słowo powściągane jest tu do przekazu z wieloraką symboliką. Nawet w znacznym stopniu introwersyjny Stanisław Jedzok w zbiorze „Werble ciszy" z roku 1989 czuje się jak mityczny Ikar lub Prometeusz, choć w wierszu „Pieśń Ikarów" widzi sam siebie jak na ścianie „wapnem zatarty". U Wilhelma Przeczka w zasadzie krótkie wiersze stale wybuchają. Od często ostrej i realistycznie uchwyconej ekspozycji wyraz wspina się nagle do przeczucia nieziemskich rozmiarów, gdzie zanikają ostre granice zdarzeń i rzeczy. W zbiorze „Przeczucie kształtu" z roku 1989 nawet płótno malarskie widzi jako dramat, a dzieła sztuki są dla niego żywym magnetyzmem, kiedy *obraz pulsuje* i *żar się jeszcze potęguje* . W wierszu „Uroczystość", który w tłumaczeniu Vlasty Dvořáčkowej publikował majowy nr "Alternativa nova", ponownie znajdujemy zwielokrotnioną świadomość kosmicznych struktur, chociaż poeta doznaje ich w Bystrzycy nad Olzą: *Pohybem vytušená / nahá prostranství k pojmenování / v přeletu míjejí nas.* Również Jan Pyszko z niedalekiego Nawsia wznosi się ponad okoliczny, w zasadzie wiejski, świat. W tomiku „Pęknięta pieczęć" z 1988 roku nawet w tym środowisku napełniony jest płomiennym poczuciem istnienia: *zżera nas płomień / cwałuje rozwiana grzywa,* mówi też o *zbuntowanej rzeczywistości* i o *gwiazdach iskrzących się na dłoni życia.*

Także Renata Putzlacher przekracza z iście męską odwagą pozornie ograniczony horyzont peryferyjnego Śląska Cieszyńskiego, nie bała się żyć w mieście, które jest jej zdaniem, jak przyznaje w zbiorze „Małgorzata poszukuje Mistrza" *niejednoznaczne / dziwne, schizofreniczne w każdym calu.* Chcą może ci poeci uciec ze swego kawałka Ziemi Cieszyńskiej, uciec przynajmniej do snów? Pozornie mogłaby o tym świadczyć proza Władysława Sikory „Avion, albo kawiarnia, której nie ma". Najpierw przytacza cieszyńskie legendy, które *żywią się jak każde inne, tajemnymi stronicami historii niedopowiedzianymi do końca.* W no-

wych czasach przy rozglądaniu się po świecie *dostaniemy się i do nas, do domu, nasza tożsamość jest w naszej teraźniejszości zakotwiczonej w przeszłości łącznie z wiekową aurą.*

I dlatego chyba zaczęli się polscy i czescy artyści schodzić w nieistniejącej cieszyńskiej kawiarni Avion, która nie przeżyła dwukrotnego wysadzania granicznego mostu w powietrze. A więc ucieczka do świata, który nie istnieje? I właśnie z tej wieloznaczności Cieszyńskiego i samego Cieszyna, gdzie mogą bardziej intensywnie niż gdzie indziej powstawać legendy (czyż „Kazinkowe granie" Przeczka nie wyrasta właśnie z gleby brzemiennej w symbole poetyckie graniczące z legendotwórstwem bez granic?), dlatego właśnie tu mogli się spotykać w nieistniejącej kawiarni np. Renata Putzlacher z Jaromírem Nohavicą, który podobnie jak jego polscy przyjaciele wyraża pewną nostalgię, ukojenie i dążenie ku innym świa-tom, również światom niepokonanej przeszłości, czego w tej mierze nie znajdziemy u poetów z całkowicie czeskich regionów. A sam Sikora na końcu swej poetyckiej prozy: *Na razie kawiarnia czeka na gości, wejść, czy nie wejść?*

Nie było moim zamiarem podać przeglądu polskiej twórczości w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, temu zadaniu długo i zasłużenie poświęca się profesor Edmund Rosner. Ja natomiast chciałem wyrazić moje widzenie specyfiki tej części literatury polskiej, spojrzeniem Czecha, literaturoznawcy i krytyka, który usiłuje o bezpośrednie rozpoznanie i nieprzekupną ocenę. Autorzy polscy stowarzyszeni w Gminie Pisarzy Morawskośląskich są mi bliscy nie tylko poprzez częste osobiste spotkania, ale także dzięki w pewnej mierze przekraczaniu granic poprzez częste wiązanie dwu tradycji kulturowych, wytwarzanie ludzkich oraz intelektualnych pomostów pomiędzy gremiami czeskiego i polskiego narodu. Autorzy ci zwracają uwagę nie tylko krytyków i publicystów w Polsce, lecz zauważa ich także czeska gmina kulturalna, która zawdzięcza im wiele podniet, inicjatyw i rozeznań. Z tego punktu widzenia literaci polscy, którzy są obywatelami Republiki Czeskiej, nie żyją na peryferiach, ale w centrum współczesnych europejskich nurtów, na czołowej wyspie intelektualnego zbliżania narodów. Za ich dotychczasowe starania należy im się ze strony czeskiej podziękowanie z życzeniami dalszych sukcesów w pokonywaniu istniejących granic artystycznych oraz ludzkich.

JIŘÍ URBANEC
Przekład IJP

KOSZARZYSKA ANNO DOMINI 1997

CZYLI GARŚĆ REFLEKSJI O ŻYWIOŁACH (I NIE TYLKO) KURSANTKI - NOWICJUSZKI

ŻYWIOŁ I – ZIEMIA

Byłam chyba w wieku obecnych kursantek, uczestniczek wakacyjnego tradycyjnego kursu teatralnego, zorganizowanego przez Gminę Artystyczną im. majora Szmauza, kiedy o paru następnych latach mojego życia (a z założenia miało ono obfitować w wydarzenia ciekawe i niezwykłe) zadecydował kilkudniowy pobyt na łonie matki-natury w Beskidach, tyle że po stronie polskiej, w Istebnej. Jako raczkująca wówczas jeszcze członkini reprezentacyjnego ZPiT „Olza" chciałam przyjrzeć się mniej reprezentacyjnej, zato bliższej naturze, stronie codziennego życia moich przyjaciół-folklorystów z istebniańskiego zespołu, którym kierował filozofujący wówczas jeszcze w miarę strawnie „guru" Józef Broda. Koloryt lokalny, a więc drewniana chałupa, w której mieszkałam, pokój cały w białych istebniańskich serwetkach, orzeźwiająca woda prosto ze studni, domowy chleb i kołacze z czarnymi jagodami i kruszonką, a także ludowość na co dzień w postaci strojów ludowych i instrumentów, które znałam tylko ze sceny, pozwoliły mi zrozumieć, na czym polega sztuczny, "cepeliowski" urok reprezentacyjnych zespołów a niestylizowana, związana ze światem, który jeszcze mimo wszystko nie odszedł do lamusa, szorstka naturalność zespołów autentycznych. Członkowie zespołu Józefa Brody byli również jego uczniami, miałam więc także okazję zapoznać się z jego metodami pedagogicznymi. Chodziliśmy w ramach zajęć po górach i lasach, igliwie kłujące nas w bose stopy uświadamiało nam, że stąpamy po ziemi, choć czuliśmy się bardzo lekko, trawy i listki zamieniały się w instrumenty, a leśne ptaki zgodnie nam wtórowały. Tu po raz pierwszy odważyłam się zaśpiewać „białym głosem", nieszkolonym do zdarcia strun, brzmiącym obco dla mnie, autentycznie dla całej reszty. Poznałam fenomen „helokania", pomimo że krowy

dawno już opuściły pastwiska. Jako żywy produkt martwej kultury osiedlowej nie mogłam się nacieszyć naturą; ziemią, która pulsowała pod moimi stopami, drzewami, z których każde miało swoją tajemnicę i złaknione było bliskości wrażliwego słuchacza. Tu, w Beskidzie Śląskim, zrozumiałam, czym jest fenomen ziemi rodzinnej, Śląska, który jest zielony i czarny, obfitujący w cuda natury i przemysłowe wynaturzenia. Który, tak jak każde z nas, ma swoje dobre i złe strony, ale jest swój, jedyny.

Wróciłam inna, dojrzalsza i szczęśliwym zbiegiem okoliczności zespół „Olza" zaczął wówczas przygotowywać program góralski, w którym z pełną świadomością starałam się wykorzystać to, czego się nauczyłam. Nie wchodziłam na scenę jak tresowana kukła, żądna aplauzu, ale jako człowiek świadomy swoich korzeni, rozsmakowany we wszystkim, co autentyczne, archetypalne. Naturalną kontynuacją moich zamiłowań była przygoda z zepołem „Górole", a następnie już samodzielne występy z mostecką Kapelą Góralską. Oto moja odpowiedź na pytanie, dlaczego dotąd nie brałam udziału w wakacyjnych Kursach Teatralnych w Koszarzyskach. Bywałam tu, w ośrodku, ale z zupełnie inną grupą ludzi. A gdy już zakończył się mój czynny folklorystyczny epizod życiowy, związałam się z profesjonalną Sceną Polską. By po rozstaniu z nią stać się teatralną kursantką-nowicjuszką. W Beskidach, na łonie natury. By zrozumieć tym razem, na czym polega profesjonalny, tchnący rutyną urok stałych scen i naturalna szorstkość zespołów amatorskich. Widać taki mój los, nieustające odejścia i powroty. Zawsze obfitujące w zaskakujące odkrycia. W prawdy stare jak świat światem.

ŻYWIOŁ II - WODA

Stulecie wojen i wynalazków dobiega końca. Fałszywi prorocy wieszczą Apokalipsę. Zapobiegliwi gromadzą majątek i dumają, jak go zabrać na tamten świat. Grzesznicy biją się w piersi. Bezwiercy biją się z wierzącymi. Futurolodzy grzmią na temat gwiezdnych wojen. Meteorolodzy szepczą o kataklizmach. Sceptyków zalewa krew. Naszych sąsiadów, naszych bliskich zalała woda. Woda stulecia. Parę sekt wynalazło sposób: należy ubrać się w prześcieradła, pójść w góry i czekać. Na koniec świata. W Koszarzyskach czekano na Godotów. Nie dojechali. Powodem była powódź.

W trakcie oczekiwania na mądrych gości - instruktorów, którzy mieli nas teatralnie oświecać (piszę nas, bo sama zamierzałam zamieniać się w słuch), jedno ze „szmauzowskich" dzieci zadało mi pytanie:

„Jakich zwierząt Noe nie zabrał na arkę ?" Hasło „arka" sprawiło, że nie słuchałam już odpowiedzi o rybach, rakach i tym podobnych. Rzeczywiście, tu w górach, z braku radia i telewizji, który nie traktowaliśmy jako brak, ale wolny i bardzo rozsądny (przebacz mi, o, cywilizacjo !) wybór, zasłuchani w szum niegroźnych potoków, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że rozszalałe rzeki w dolinach nadal zbierają swoje żniwo. Załoga arki na łasce szalejących żywiołów ... Jedynym łącznikiem ze światem był dla nas nasz aprowizator (arka z aprowizatorem, wynalazek iście godny schyłku XX wieku !), który informował nas, jaki mamy dzień tygodnia i o czym mówiono w sklepie na dole. Archetypalny przykład: Józek powiedział nam, że mamy święto Anny, bo to jej imieniny obchodzono w gospodzie „U Samca". I z nieprzydatnej w naszym codziennym, zabieganym życiu skarbnicy przysłów ludowych wyciągnęliśmy jak jeden mąż klejnocik: „Od świętej Anki zimne wieczory i ranki". I przeszedł nas dreszcz. Niektórzy poszli po swetry. Inni skorzystali z koców, w których opatuleni odtąd ramię w ramię kontemplowali dobrodziejstwa świtów i zmierzchów. Z zacięciem filozoficznym, godnym wiekowych starców stwierdzaliśmy: „Jaskółki nisko latają" albo „Z tej chmury nie będzie deszczu". A jeśli deszcz już się zdarzył, delektowały się nim dzieci, samopas, w kolorowych pelerynach.

W naszej arce na co dzień obcowaliśmy z wodą pod wszystkimi jej postaciami. Zaśmiewałam się do łez w trakcie wieczornych spektakli. Uświadamiałam sobie te łzy na policzkach jako naturalny element – były moje i były jak najbardziej na miejscu. W czasie wspólnych tańców czułam pot na czole i na plecach. Tym bardziej byłam potem wdzięczna instalatorowi prysznica, który (o rozpusto !) obdarzał nas gorącą wodą. Chłód porannej rosy pod stopami – dobrodziejstwo często przesypiane w codziennym życiu. Czasem nawiedzali nas krewni, przyjaciele lub sympatycy. Posłowie z innych światów. Mówili nam, o czym pisze poranna prasa, próbowali nas podniecić wizją nowych afer. Zero kontaktu. Z tajemniczymi minami pytali na boku, jak się bawimy. Oczekiwali, że zostaną przez nas zabawieni. Przez niewyżytych komediantów. Po czym zaaferowani biegli z nieodłącznymi telefonami komórkowymi, które odzywały się w najmniej odpowiednich momentach, w miejsca ustronne. Tradycyjnie wracali rozeźleni. Coś zawsze było nie tak – sygnał, miejsce, rozmówca, wreszcie tajemnicza aura Koszarzysk. Ulegali jej, zasypiając pod ścianą, nie zważając na głośną muzykę i pląsy uczestników. Ofiary żywiołu cywilizacji.

(cdn.)

TADEUSZ SOROCZYŃSKI

TREN I

Twoje ostatnie słowo Mamo
było wymownym spojrzeniem w okno
osłonięte firanką
jak skrzydłem anioła

Nic nie powiedziałaś
nie zapłakałaś

To tak się odchodzi z tego świata
do sadu Pana sadu Twego Ojca
z którym ostatnio prowadziłaś
długie rozmowy

Wszystko sobie zaplanowałaś
mowę księdza ostatni obiad
sąsiadów kwiaty polne
i bezchmurne niebo

Dziś już nie mogę Ci obiecać
podróży na łąki zielone

(3 lipca 1997 r.)

TREN II

Mieliśmy się udać Mamo
w wędrówkę do słońca
przestrzeń niewielka
z pokoju na balkon

Mieliśmy się udać niebawem
tylko przepędzić chmury
znad podwórka
rozproszyć chłód

Tyle sobie obiecywaliśmy
po tej pielgrzymce
miało to być małe podniesienie
do życia

(8 lipca 1997 r.)

TRENY III

Wybieraliśmy się Mamo kilkakrotnie
do sadu Dziadka
przetrząsać krzaki agrestu
wysokie trawy
aż do korzeni

Tyle mi opowiadałaś o tym sadzie
że uznałem sad za własny
z gruszą rozśpiewaną ptactwem
i jabłoniami
jakby z legionowej pieśni

teraz rozmawiasz z Dziadkiem
do woli w sadzie Pana
ja tu na ziemi mam trudności
w dogadaniu się z samym sobą

(8 lipca 1997 r.)

TREN IV

W ten świąteczny dzień
nasz dom Mamo pełen był zapachów
kiedyś nie rozumiałem
tego misterium
polnego

przyjmowałem na słowo
całą tradycję rodzinnego domu
Matko Żniwna

W ten świąteczny dzień
nasz dom Mamo pełen był Ciebie
wznosiliśmy toasty
za każdy Twój jubileusz
przymierze z ziemią

dziś ta ziemia jest Ci lekka
polna i kwiatowa
moja Matko Zielna

(14 sierpnia 1997 r.)

LAMA Z TYBETU

Sprawa dotyczy tzw. AURY, aurę z kolei możemy zobaczyć na obrazach świętych w postaci aureoli. Ale istnieją ludzie, którzy mogą zobaczyć Aurę w rzeczywistości. Do nich właśnie należał tybetański lama, który był potem lekarzem w Londynie, czyli dr Lobsang Rampa. Stanisław Hadyna wspomina go również w swojej książce „Przez okna czasu", o której wcześniej już pisałem. Hadyna pisze: *W czasie pobytu w Londynie, w marcu 1961 roku spotkałem dawnego współpracownika z redakcji LOTOSU, badacza i publicystę – Kazimierza Chodkiewicza, wspaniałego autora „Ewolucji ludzkości"... Chodkiewicz przytoczył słowa dr. Rampy: "Wszystko, co istnieje, jest elektrycznością i wibracją. Jesteśmy jakby elektrycznym potencjałem wyposażonym w inteligencję. Eletryczność jest życiem materii".* Stanisław Hadyna stwierdza, że rozstali się z Chodkiewiczem raczej chłodno, choć pozostali jeszcze później w kontakcie korespondencyjnym. Zanim Hadyna wyjechał do Chin otrzymał z Londynu pamiętniki tybetańskiego lamy i lekarza z Lhasy „Lobsang Rampa Story".

Mam przed sobą „Lekarza z Lhasy", a przedtem już przeczytałem „Trzecie oko" Lobsanga Rampy. W słowie wstępnym pisze: *Jestem tybetańskim lamą, który przyszedł do świata zachodniego, żeby wypełnić swój los. Przyszedłem jak mi przepowiedziano i wycierpiałem swoje, co również było w proroctwie. Na szczęście ludzie Zachodu zaczęli na mnie patrzeć, jako na jakieś kuriozum, na swego rodzaju eksponat, który należy umieścić w klatce, żeby można go było pokazywać jako atrakcję przybyłą nie wiadomo skąd. W tym kontekście przyszło mi na myśl, jak obchodzono by się z moimi starszymi kumplami yeti, gdyby mieszkańcom Zachodu udało ich się złapać. Na pewno najpierw yeti zostałby zastrzelony, potem by go wypreparowano i umieszczono w jakimś muzeum. I bezprzecznie nawet potem niektórzy ludzie byliby skłonni stwierdzić, że yeti nie istnieje. Zdumiewa mnie, że ludzie Zachodu są zdolni uwierzyć w telewizję, statki kosmiczne zdolne krążyć w Kosmosie i potem powrócić na Ziemię, a przy tym wszystkim nie mogą uwierzyć w istnienie yetiego czy UFO. To znaczy, że wierzą tylko w to, czego mogą dotknąć, rozmontować i przekonać się jak dana rzecz funkcjonuje.* Rzeczywiście życiorys doktora Lobsanga Rampy jest niewiarygodny i czyta się tę książkę z zapartym tchem.

RENCISTA

TEN FERALNY PIAST

15 września br. ukazał się w „Dzienniku Zachodnim" artykuł pod tytułem „Piast utracony" o długim i wiele mówiącym podtytule: "Polacy z Zaolzia znowu oddali Czechom hotel w Czeskim Cieszynie, narodową pamiątkę". Autor Stanisław Bubin krótko przypomina historię hotelu, jego symboliczne znaczenie dla Polaków na Zaolziu oraz najnowsze tarapaty związane z zaciągnięciem pożyczki i zmianą właściciela hotelu. Kończy filozoficznie: *Niektórzy twierdzą, że przekazanie hotelu czeskiej spółce było błędem politycznym. Polacy starają się przecież o zwrot wszystkich przedwojennych majątków, tymczasem Czesi mają argument, że nawet jednego nie potrafili utrzymać, po co więc oddawać im resztę? Ale choć w sprawie Piasta ćwierkają już wszystkie wróble, czeska prasa nie zajęła się dotąd tym problemem.*

Całą stronę poświęcił krakowski „Dziennik Polski" 26 września br. sprawie hotelu w artykule Adama Molendy „Piast już niepolski". *Być może już niebawem na użyczenie sali głównej na obrady jubileuszowego Zjazdu Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechach z okazji pięćdziesięciolecia jego istnienia trzeba będzie nowemu właścicielowi suto zapłacić. „Czeska spółka właścicielem Piasta wykupionego po latach za pieniądze polskiego rządu?! Toż to skandal o historycznym wymiarze, za który muszą polecieć głowy!" – twierdzą polscy działacze. (...) „Objechaliśmy wiele polskich firm, uzyskując wstępne deklaracje pomocy" – mówi prezes Toboła – „ale nikt się nie zaangażował". (...) „Jestem pełen nadziei, że się dogadamy" – mówi Bohdan Suchanek, dyrektor Biura ZG PZKO w Czeskim Cieszynie – „W końcu Stanisław Gleta to potomek legendarnej, zaolziańskiej rodziny polskich patriotów". "Ja potrzebuję funduszy do prowadzenia interesów" – powtarza wyraźnie zażenowany całą sytuacją prezes Gleta. (...) Co poniektórzy zaolziańscy działacze zaczynają się obawiać, iż to, co stało się z Piastem, może negatywnie zaważyć na staraniach o zwrot znacjonalizowanej polskiej własności w Republice Czeskiej. (...) „Nie żądamy, jak na razie, zwrotu darowizny od PZKO" – twierdzi Jacek Sobala, rzecznik prasowy „Wspólnoty Polskiej". „Zabiegamy natomiast o to, żeby nie stało się najgorsze..."*

POLSKIE SZKOŁY W RC A FINANSE

„Festyn na Bagińcu" zareklamował „Dziennik Zachodni" 12 września br. *Macierz Szkolna w Republice Czeskiej zmuszona była zamknąć z powodów finansowych jedyne prywatne polskie przedszkole w Mistrzowicach na Zaolziu* - zabrzmiało w notatce. *Nasze aktywa to obecnie szkoła polska na Bagińcu i kwartalnik „Macierz". Szkole baginieckiej też jednak grozi zamknięcie* - wyjaśnił prezes Jan Branny. Siostrzana Macierz Ziemi Cieszyńskiej przyjmuje na swoje konto wpłaty gotówkowe dla ratowania „zielonej szkoły" na Bagińcu.

Podobny w swej treści artykuł, zatytułowany „Fundacja Pyszki", przyniosła ta sama gazeta w tydzień później. „Wielu polskim szkołom na Zaolziu grozi zamknięcie" grzmiał autor Stanisław Bubin w podtytule. Fundacja dr. Jana Pyszki z siedzibą w Czeskim Cieszynie zajmuje się rozwijaniem i promowaniem polskiego szkolnictwa w RC. Najwyższym organem Fundacji i jej zarządcą jest sześcioosobowe kuratorium: Edwin Macura - prezydent, Kazimierz Wilk (były poseł RP) - wiceprezydent, Jan Branny (prezes Macierzy Szkolnej), Józef Staniek (przedstawiciel Fundacji Zaolzie), Kazimierz Fober (Macierz Ziemi Cieszyńskiej) i Krzysztof Sznura - protokolant. *Zdaniem Fundacji dr. Jana Pyszki, bez moralnego i finansowego wsparcia Rzeczypospolitej, utrzymanie istniejących jeszcze placówek wkrótce przestanie być możliwe. Rodacy z Zaolzia sami nie podołają.* Datki przekazywane mogą być na rachunek Fundacji w Banku Śląskim S.A. w Cieszynie lub na konto Banku Komercyjnego w Czeskim Cieszynie.

Ten sam temat poruszył „Głos Ziemi Cieszyńskiej" już 1 sierpnia br. W artykule „Pomoc dla szkolnictwa" zawiadomił o apelu "Promocja polskiego szkolnictwa i oświaty w Republice Czeskiej", w którym członkowie kuratorium Fundacji Pyszki wyjaśniają trudną sytuację polskiego szkolnictwa na Zaolziu i proszą o wsparcie finansowe na konto Fundacji.

Lakoniczną informację o festynie na Bagińcu przekazał czytelnikom „Głos Ziemi Cieszyńskiej" 26 września br. Podał też numer konta Macierzy Szkolnej w Czeskiej Kasie Oszczędności, gdzie mogą być kierowane wpłaty.

CO Z NARODEM ŚLĄSKIM ?

Od kilku miesięcy trwa na łamach prasy polskiej - nie tylko regionalnej czy lokalnej, ale również ogólnopolskiej - dyskusja na temat czy istnieje naród śląski.

W czerwcu Sąd Wojewódzki w Katowicach wpisał do rejestru stowarzyszeń Związek Ludności Narodowości Śląskiej. Pod wnioskiem podpisało się 109 osób. Inicjatorami powstania stowarzyszenia byli działacze Ruchu Autonomii Śląska i Związku Akademików Górnośląskich. Wojewoda katowicki złożył wniosek o rewizję do Sądu Apelacyjnego. We wrześniu Sąd Apelacyjny uchylił decyzję o rejestracji ZLNŚ. Liderzy związku zamierzają złożyć do Sądu Najwyższego wniosek o kasację tego wyroku. Być może sprawa trafi przed Międzynarodowy Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu.

Myślę, że głównym motywem działania ludzi domagających się uznania narodowości śląskiej jest chęć skorzystania z preferencji przewidzianych w ordynacji wyborczej dla mniejszości narodowych – stwierdziła Dorota Simonides w wywiadzie dla „Nowej Trybuny Opolskiej" z dnia 26.6.1997.

Jeśli jakiejś grupie ludności np. mniejszościom narodowym rozdaje się przywileje, do których dostęp uzyskuje się jedynie na podstawie deklaracji o narodowości, to nietrudno się spodziewać, że znajdą się tacy, którzy zechcą z tych darmowych przywilejów korzystać. To „Głos w dyskusji o Śląsku" Wojciecha Główkowskiego na łamach „Dziennika Zachodniego" z dnia 14.8.1997.

Tutaj chodzi o uczucia narodowe. Nie byłoby problemu, gdyby sąd miał zarejestrować Związek Ludności Śląskiej. Ale nie naród śląski – podkreślili założyciele Ruchu Obywatelskiego „Polski Śląsk" w rozmowie zapisanej przez „Gazetę Wyborczą" z dnia 10.7.1997.

„Polityka" (24/97) w artykule „My, naród śląski" zanotowała argumenty za i przeciw, jak również wypowiedzi osób postronnych. *Nie ma obowiązującej definicji „mniejszości narodowej".(...) Chodzi o to, aby w Polsce nie rozsypał się worek z narodowościami.(...) Nie byłoby problemu z rejestracją związku, z nazwą, z zapisami o budzeniu i ugruntowaniu świadomości narodowej Ślązaków, gdyby nie paragraf 30 statutu: „Związek jest organizacją śląskiej mniejszości narodowej".(...) Ślązacy twierdzą, że zawsze dalecy byli zarówno od identyfikacji polskiej, jak i niemieckiej. Byli sobą. Z Polską bardziej niż z Niemcami łączył ich katolicyzm, ale dzieliły wykształcone przez wieki cechy: etos pracy, zamiłowanie do porządku, lojalność wobec społeczności miejscowej. Tylko co z tego, kiedy te nawyki i śląskie obyczaje po wojnie zostały w dużym stopniu zatarte.(...) Rejestracja stowarzyszenia mniej-*

szości śląskiej naraża inne wspólnoty regionalne na nierówne traktowanie. Dlaczego jedna grupa, której identyfikacja narodowa budzi zastrzeżenie, ma korzystać z preferencji wyborczych, a na przykład Wielkopolanie czy Kaszubi już nie?

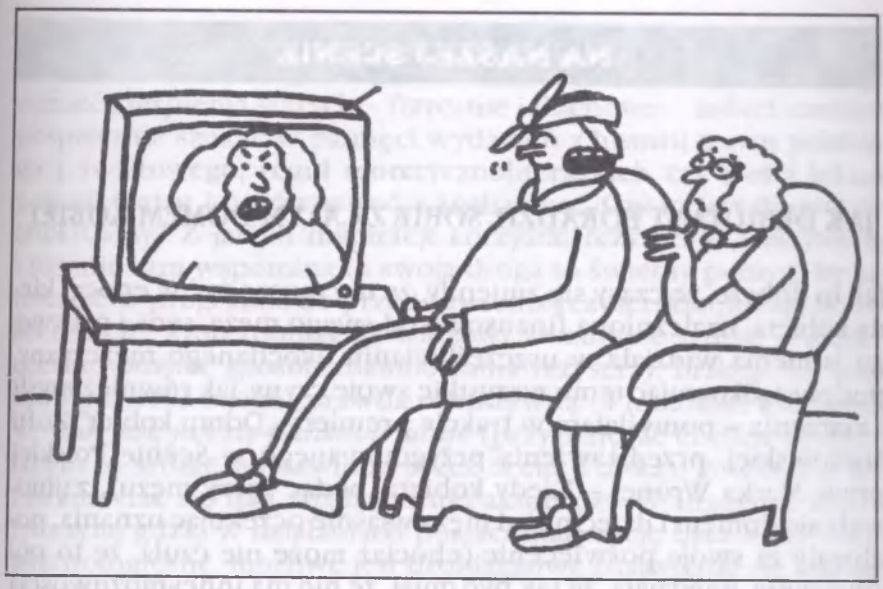
Artykuł poruszył też kwestię narodowości śląskiej na ziemiach czeskich: *Komitet założycielski powołuje się także na precedensowe uznanie Ślązaków za narodowość w 1991 r. w byłej Czechosłowacji. W przeprowadzonym wówczas spisie ludności pozwolono wpisywać narodowość śląską – skorzystało z tego około 40 tys. osób. Ważny to argument, ale nie należy zapominać, że wówczas głównym celem władz czechosłowackich nie było uznanie mniejszości śląskiej za naród, ale rozmydlenie i zmniejszenie mniejszości polskiej na Zaolziu.*

„Sąd zdecydował, że Ślązacy są Polakami" to tytuł notatki w prasie czeskiej – „Moravskoslezský den" z dnia 29.9.1997 – podsumowującej dyskusję. Autor Boleslav Navrátil zaznaczył, że *i u nas są gorliwi Ślązacy. Na razie żaden czeski sąd nie rozstrzygnął, kim właściwie są nasi Ślązacy.*

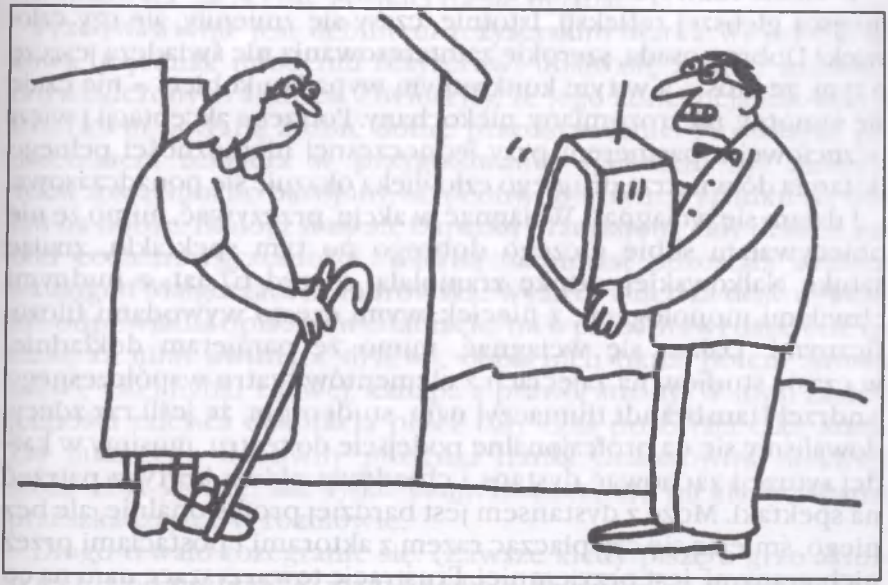
NIEZNANY DOKUMENT

Nieznany rozkaz Marszałka Polski Michała Roli-Żymierskiego nazwany przez autora artykułu „Na Zaolzie" wydrukowała „Polityka" (34/97). *Dnia 15 czerwca 1945 r. Tymczasowy Rząd Rzeczypospolitej Polskiej wysłał do Rządu Czechosłowackiego notę z ultimatum, że jeżeli w ciągu 48 godzin nie będzie utworzona polsko-czeska komisja do uregulowania spraw Zaolzia i spraw granicznych, to Rząd Polski zdecydowany jest siłą zająć Zaolzie, aby dać ochronę ludności polskiej, prześladowanej przez Czechów.*

Na komentarz autora zareagował „Głos Ziemi Cieszyńskiej" z dnia 12 września br. w artykule „Zaolziańskie bajania". *Już po wydaniu rozkazu z 16 czerwca przebywająca wtedy w Moskwie polska delegacja rządowa starała się przekonać Stalina do akcji wojskowej na Zaolziu. Nie wyraził sprzeciwu, ale po rozmowie z delegacją czechosłowacką odradził Polakom powtórkę z 1938 roku. Było to 18 czerwca, a zatem w dniu, w którym Wojsko Polskie miało przekroczyć granicę. Wbrew wcześniejszym buńczucznym zapowiedziom skończyło się na demonstracji siły.* Autor kończy słowami: *Cena, jaką zapłaciła Czechosłowacja za Zaolzie, była Ruś Zakarpacka.*



JUŻ SIĘ SKOŃCZYŁY WIADOMOŚCI?



SŁYSZAŁEM, ŻE OSTATNIO DOKUCZA CI SAMOTNOŚĆ, MAMO! *rys. Bronisław Liberda*

JAK DEBIUTANT PORADZIŁ SOBIE Z CAŁYM DOMEM KOBIET

Jak to dobrze, że czasy się zmieniły, że nie muszę żyć w epoce, kiedy kobieta, uzależniona finansowo od swego męża, sens i cel swego istnienia widziała w uszczęśliwianiu ukochanego mężczyzny, podporządkowując temu wszystkie swoje czyny, jak również myśli i marzenia - pomyślałam w trakcie premiery „Domu kobiet" Zofii Nałkowskiej, przedstawienia przygotowanego w Scenie Polskiej przez Marka Wronę. - Kiedy kobieta, będąc „przy mężu", zajmowała się domem i dziećmi, od męża właśnie oczekując uznania, pochwały za swoje poświęcenie (chociaż może nie czuła, że to poświęcenie, wiedziała, że tak być musi, że nie ma innej możliwości) a przede wszystkim miłości, a kiedy nie znajdywała zrozumienia ani uczucia, cierpiała, osamotniona, w milczeniu.

W czasie rozwoju akcji dramatu owa myśl płocha ustąpiła jednak miejsca głębszej refleksji. Istotnie, czasy się zmieniły, ale czy człowiek? Dobra posada, szerokie zainteresowania nie świadczą jeszcze o tym, że ktoś - a w tym konkretnym wypadku kobieta - nie czuje się samotny, niezrozumiany, niekochany. Potrzeba akceptacji i więzi uczuciowej z partnerem przy jednoczesnej niemożności pełnego dotarcia do wnętrza drugiego człowieka okazuje się ponadczasowa.

I dałam się wciągnąć. Wciągnąć w akcję, przeżywać, mimo że nie obiecywałam sobie niczego dobrego po tym spektaklu, znając sztukę Nałkowskiej, sztukę zramolałą, sprzed 67 lat, z nudnymi chwilami monologami, z nieciekawymi często wywodami filozoficznymi. Dałam się wciągnąć, mimo że pamiętam dokładnie, w czasie studiów na zajęciach z elementów teatru współczesnego Andrzej Hausbrandt tłumaczył nam, studentom, że jeśli raz zdecydowaliśmy się na profesjonalne podejście do teatru, musimy w każdej sytuacji zachować dystans i chłodnym okiem krytyka patrzeć na spektakl. Może z dystansem jest bardziej profesjonalnie, ale bez niego, śmiejąc się czy płacząc razem z aktorami i postaciami przez nich granymi, jest przyjemniej. Frustracje towarzyszące nam na co dzień, przeżywane razem z bohaterami sztuki, nabierają innych

wymiarów, myśl, że inni mają takie same kłopoty jak my, pomaga.

Nie wiem, do jakiego stopnia zawiniłam, kiedy starałam się zrozumieć cierpienia starych – fizycznie i duchowo – kobiet, zamiast pośpiesznie szukać w pamięci wydarzeń z historii teatru polskiego i światowego, reguł teoretycznoliterackich czy treści lektur z teorii teatru i porównywać, i analizować. Czy to jest dramat intelektualny? Z jakich inspiracji korzystał reżyser? O Czechowie i Ibsenie sam wspomina (a swoją drogą to świetny pomysł, by zamieścić w programie do przedstawienia reżyserskie „uwagi do inscenizacji", które pomagają widzowi zrozumieć sztukę, a jednocześnie poznać sposób rozumowania reżysera), brakuje mi jeszcze Pirandella z jego „prawdą obiektywną", Pirandella, który mówi: *Tak jest, jak się państwu zdaje* (przyznaję, że chętnie obejrzałabym tę sztukę wystawioną przez Scenę Polską). Powinnam też zastanawiać się nad analizą sztuki aktorskiej. W dramacie realistycznym, gdzie w działaniach postaci mają rację bytu motywacje psychologiczne, możliwe jest drobiazgowe pastwienie się nad aktorami, wcielającymi się, przeżywającymi. A strona formalna przedstawienia: rytm, kontrapunkty, ekspozycja, kulminacja?

Zamiast tego wszystkiego zastanawiałam się, jak to się stało, że „Dom kobiet" w Scenie Polskiej da się oglądać.

Przedstawienie jest debiutem reżyserskim Marka Wrony z Krakowa. A jednak młodemu reżyserowi udało się zdobyć zaufanie doświadczonych aktorek. Uwierzyły, że jego koncepcja jest dobra i że razem potrafią zrobić dobre przedstawienie. Pierwszym pomocnikiem reżysera w przygotowaniu spektaklu był ołówek. Tekst został mocno okrojony, skrócony, co w tym wypadku wyszło mu na dobre. Dialogi stały się bardziej przejrzyste, cały dramat nabrał cech nowoczesności. Wierną natomiast pozostała autorce scenograf Małgorzata Komorowska. Wystrój wnętrza dość dokładnie odpowiadał opisowi w dramacie: na wprost drzwi oszklone na taras, za nimi kwitnące drzewa, obok nich okna, potem znowu drzwi, fotel babki z lewej, kanapa z prawej strony. W myśl zasady jedności miejsca dekoracja przez cały czas pozostała taka sama. Tło muzyczne stanowiły piosenki Hanki Ordonówny, niekiedy może zbyt głośne, nie tylko uzupełniające, ale niekiedy wprost przeszkadzające w rozmowie.

Długo trwało rozegranie się. (Zawsze kiedy piszę o grze aktorskiej tuż po premierze, mam obiekcje. Premiera, ta pierwsza konfrontacja z widzem, nie jest punktem szczytowym możliwości ak-

torskich w budowaniu postaci. Musi mieć już jednak pewien przyzwoity poziom.) Ekspozycja w tym dramacie jest mocno rozbudowana. Bohaterki właściwie przeżyły już swoje życie, teraz tylko wspominają, rozpamiętują chwile szczęścia i doznane krzywdy. Przebrnięcie przez sceny początkowe wymagało od widza dozy cierpliwości i wyrozumiałości. Wreszcie zaczęło się coś dziać, choć było może chwilami na scenie zbyt dużo zamieszania. Gładko poszła natomiast druga, najdramatyczniejsza część spektaklu.

W dramacie jest osiem ról kobiecych. Najstarsza babka Celina (Halina Pasekowa) w sztuce pełni rolę rezonera, który pomaga, łagodzi, tłumaczy, w spektaklu natomiast bardziej obserwuje, nie angażuje się tak mocno. Tekla (Krystyna Pryszczyk) to zgorzkniała wdowa, która w poprzednim wcieleniu na pewno była wojskowym. Maria (Janina Buława) jest dobrą gospodynią dla współmieszkanek, natomiast nie wszystkie wyartykułowane przez nią zdania są w pełni zrozumiałe dla widza. Julia to świetna rola Lenki Pešák. W sztuce ma 60 lat, w spektaklu nikt nie każe jej udawać takiego wieku. Wesoła, naiwna, życzliwa ludziom, skłonna do entuzjazmu zgodnie z życzeniem autorki dramatu sugestywnym gestem i mimiką dopełnia rysunku postaci. Róża Lidii Chrzan ma w sobie coś sentymentalnego, jednocześnie sceptycznego, niechęć do wysiłku nie pozwala jej zmienić stylu życia. I wreszcie Joanna. Anna Paprzyca dawno nie miała swoich „pięciu minut". Warunki zewnętrzne - dramatyzm w oczach i głosie - predysponują ją niejako do ról tragicznych. W roli Joanny udaje jej się celnie oddać zmienne nastroje, od powściągliwości i niezaangażowania, zapatrzenia w siebie, poprzez zaciekawienie, współczucie, aż do sarkastycznego wybuchu śmiechu i ponownego opadnięcia emocji. Zadebiutowały w tym spektaklu w roli Zofii, służącej, ale zarazem jednej z nich, kobiet z tego domu, Beata Swat, jako Ewa natomiast Gabriela Fabian. Ewa w tym przedstawieniu w moim mniemaniu bierze zbyt wysokie i jednostajne tony, jej wzburzenie przez to staje się chwilami fałszywe, a dla widza męczące. Może przydałoby się większe zróżnicowanie, czasami przyhamowanie, postać stałaby się ciekawsza i bardziej wiarygodna.

Osiem aktorek przez półtora godziny zajmuje widza swoimi sprawami. Ale robi to w taki sposób, że ma się ochotę popatrzeć, posłuchać. I zastanowić się. Nad ich losem, a przy okazji i nad swoim życiem.

CZESŁAWA RUDNIK

70 LAT ZORGANIZOWANEGO ŚPIEWACTWA POLSKIEGO NA ZAOLZIU

ŻYCIE ŚPIEWACZO-MUZYCZNE W LATACH 1920-1939

Pierwsze lata po zakończeniu I światowej wojny - na skutek zamętu politycznego i niepewności jutra - nie sprzyjały rozwojowi życia kulturalnego, w tym również życia muzycznego. W takich warunkach trudno było nawet reaktywować działalność chórów istniejących już przed pierwszą wojną światową.

Uchwałą Rady Ambasadorów z 28.7.1920 został uregulowany spór o Śląsk Cieszyński. Po jego podziale nastały nowe warunki pracy kulturalno-oświatowej w ogóle.

NOWE CHÓRY

Pomimo trudnych warunków reaktywują swą działalność lub też powstają organizacje i towarzystwa polskie (Macierz Szkolna, Polskie Stowarzyszenie Robotnicze Oświatowo-Gimnastyczne „Siła", Związek Polskich Towarzystw Gimnastycznych „Sokół", Związek Harcerstwa Polskiego, Towarzystwo Nauczycieli Polskich, zapoczątkowały swą działalność stowarzyszenia wyznaniowe, jak Zrzeszenie Związku Młodzieży Ewangelickiej, Związek Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej i inne), w ramach których rozpoczynają swą działalność chóry. Olbrzymia większość zespołów znalazła swą bazę w naczelnej organizacji polskiej - Macierzy Szkolnej. Próby chórów odbywały się najczęściej w klasach szkolnych lub w wynajętych salach gospód. Dyrygenci byli zmuszeni zdobywać sami materiały repertuarowe, przepisywać i powielać nuty. Przygotowanie śpiewaków było zerowe. Był jednak zapał do zbiorowego śpiewania, który pokonał niejedną trudność. Obok chórów z okresu przedwojennego, które reaktywowały swoją działalność, powstawały chóry następne. Już w r. 1919 powstały chóry w Karwinie (chór mieszany „Praca"), we Frysztacie (chór mieszany I Koła Macierzy Szkolnej), w Orłowej (chór mieszany „Siła"), w Błędowicach Dolnych (chór mieszany Związku Ewangelickiej Młodzieży) i w Jabłonkowie (chór mieszany Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej).



Występ śpiewaków Związku Polskich Chórow w RC w Parku Sikory w Cz. Cieszynie w roku 1931

W r. 1920 powstał w Karwinie chór męski „Echo", który przez długie lata należał do przodujących w zaolziańskim ruchu śpiewaczym. W latach 1922-1924 powstaje wiele chórów mieszanych: w Gródku, Karwinie-Solcy, Datyniach Dolnych, Ligotce Kameralnej, w Polskiej (Górnej) Lutyni, Mariańskich Górach, Gutach, Suchej Średniej i Dolnej, Śmiłowicach, Zabłociu, Nowym Boguminie, Stonawie i Wędryni.

Liczba chórów po podziale Śląska Cieszyńskiego wzrastała z roku na rok. Głównie młodzież polska (!) znajduje w zespołach chóralnych możliwość wzajemnego spotykania się, wyżycia się towarzyskiego oraz zadokumentowania swej przynależności społecznej i narodowej. W roku 1925 na mocy uchwały walnego zebrania Towarzystwa Nauczycieli Polskich powołany zostaje do życia męski chór nauczycieli, dzisiejszy Chór Nauczycieli Polskich. Założycielem, duszą i pierwszym dyrygentem był nauczyciel Jan Kisza. Wysoki poziom artystyczny pozwolił chórowi przodować wśród chórów polskich na Śląsku. Na podkreślenie zasługuje fakt, iż ChNP zdołał też wykształcić w tym czasie wielu nowych dyrygentów-nauczycieli, którzy zakładali nowe chóry w miejscu swej pracy. To bardzo ważny wkład nauczycieli w rozśpiewanie Zaolzia. W roku powołania do życia ChNP powstały jeszcze dwa chóry mieszane: Macierzy Szkolnej w Szonychlu oraz Związku Ewangelickiej Młodzieży w Karwinie. W roku 1926 rozpoczynają swoją działalność chóry w Trzycieżu



Dyrygentem Związku był Jan Jelen (koło niego w grupce po lewej stronie stoją: Piotr Feliks – prezes Stowarzyszenia Chórow Polskich, Józef Michejda – członek zarządu i Józef Michalski – dyrygent orkiestry)

i Skrzeczoniu („Hasło"), chór męski w Łąkach oraz chór „Sokoła" w Suchej Górnej.

POWOŁANIE ZWIĄZKU POLSKICH CHÓRÓW W CZECHOSŁOWACJI. NAUCZYCIELSTWO WIODĄCĄ SIŁĄ ŚPIEWACTWA

Stale powiększająca się liczba polskich chórów, potrzeba niesienia pomocy przy zaopatrywaniu w materiały nutowe oraz pomoc instruktażowo-szkoleniowa zrodziły potrzebę odgórnej pomocy zespołom śpiewaczym i odgórnego ich kierowania. Zwołane w październiku 1926 r. gremium miłośników śpiewu postanowiło założyć samodzielne towarzystwo o nazwie Związek Polskich Chórów w Czechosłowacji. Po zatwierdzeniu przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Pradze statutu, zwołane przez Zarząd Główny Macierzy Szkolnej na 6 lutego 1927 roku inaugurujące walne zebranie, w którym udział wzięło 34 delegatów z 23 chórów terenowych, wybrało pierwszy zarząd Związku: prezes – Piotr Feliks, dyrektor Polskiego Gimnazjum Realnego im. Juliusza Słowackiego w Orłowej i prezes Macierzy, zastępca prezesa – Józef Michejda, były dyrektor szkoły w Nydku i Wędryni, dyrygent główny – Jan Kisza, kompozytor, założyciel Chóru Nauczycieli Polskich i jego pierwszy dyrygent, zastępcy – Fryderyk Kretschman, dyrektor szkoły wydziałowej i kierownik

sekretariatu Macierzy Szkolnej oraz Karol Maultz, katolicki proboszcz, dyrygent i kompozytor, sekretarz – Paweł Kubaczka, dyrektor szkoły w Karwinie, aktywny członek śpiewaczych i instrumentalnych zespołów, jego zastępca – Jan Jeleń, dyrektor szkoły wydziałowej w Lutyni, profesor muzyki w gimnazjum orłowskim i dyrygent, skarbnik – Rudolf Budnik, dyrektor szkoły wydziałowej w Bystrzycy, członek ChNP, gospodarz – Jerzy Samiec, dyrektor szkoły w Rzece, organizator i dyrygent kilku chórów, kompozytor, zbieracz pieśni ludowych, kronikarz – Rudolf Siwek, dyrektor szkoły w Rychwałdzie, redaktor kwartalnika „Echo", założyciel i dyrygent zespołu śpiewaczego w Rychwałdzie, członek ChNP. Wszyscy członkowie zarządu ZPCh to nauczyciele (z wyjątkiem ks. K. Maultza), dyrektorzy szkół polskich na Śląsku Cieszyńskim. Zmiany w składzie tego gremium wprowadzono dopiero w roku 1937. Dyrygentem związkowym został Emanuel Guziur, dyrygentami powiatowymi: Rudolf Wojnar i Jerzy Samiec, zastępcą sekretarz Teodor Dzik, członkami zarządu zostali Karol Piegza, Henryk Hrabiec i Eugeniusz Fierla. Związek podzielony był na 10 okręgów: jabłonkowski, bystrzycki, trzyniecki, ligocki, czeskocieszyński, frysztacki, karwiński, suski, orłowski i bogumiński. Wśród działaczy okręgowych przeważali znów nauczyciele. Po dziesięciu latach działalności ZPCh w Czechosłowacji w ponad stu zrzeszonych w nim chórach zaangażowanych było 81 dyrygentów, w tym 74 nauczycieli. I tu trzeba dobitnie podkreślić, iż potęga zaolziańskiego ruchu śpiewaczego wyrosła z ruchu oświatowego, z nauczycielstwa.

PRZYNALEŻNOŚĆ ORGANIZACYJNA ZESPOŁÓW ŚPIEWACZYCH

Do Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji należały chóry będące sekcjami lub działające przy różnych organizacjach na Zaolziu. Cechą charakterystyczną międzywojennego życia chóralnego jest preferencja chóralistyki zaolziańskiej przez wszystkie organizacje i towarzystwa polskie. Entuzjaści śpiewu zbiorowego na Zaolziu nigdy nie działali tu osamotnieni, zdani na własne tylko siły. Dlatego też pięknych rezultatów osiąganych na tym polu nie można przypisać li tylko jednej organizacji, nie wyłączając nawet Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji.

Dokładniejsze informacje o organizacyjnej przynależności chórów w latach 1927–1937 podają nam następujące dane liczbowe:

- chóry działające jako sekcje Macierzy Szkolnej 52
- chóry Związku Ewangelickiej Młodzieży 22
- chóry Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej 11
- chóry Związku Młodzieży Polskiej 3
- chóry Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" 4

- chóry Robotniczego Towarzystwa Oświatowo-Gimnastycznego „Sokół" 4
- chóry Związku Zawodowego Robotników Chrześcijańskich 1
- chóry Związku Harcerstwa Polskiego 1
- chóry Towarzystwa Nauczycieli Polskich 1
- chóry Związku Akademików w Czechosłowacji 1
- chóry działające samodzielnie (bez przynależności organizacyjnej) 12

O szybkim wzroście polskich chórów w okresie międzywojennym świadczą zaś następujące liczby (chóry należące do Związku Polskich Chórów):

rok	ilość chórów	ilość członków
1927	21 (18 chórów mieszanych, 3 chóry męskie)	880
1929	48	brak danych
1931	59 (53 chóry mieszane, 6 męskich)	brak danych
1934	92 (81 mieszanych, 11 męskich)	3195
1936	98 (84 mieszane, 11 męskich)	3659
1937	102 (88 mieszanych, 14 męskich)	3917

Chóry istniały prawie w każdej miejscowości na Zaolziu, a w niektórych nawet kilka. W miejscowościach, gdzie nie było chórów wyznaniowych, chóry Macierzy służyły kościołom obu wyznań, katolickiemu i ewangelickiemu, zwłaszcza przy obrzędach ślubnych i pogrzebowych. Chóry należące do ZPCh jako sekcje lub oddziały innych stowarzyszeń osiągały szczyty aktywności, bowiem obok pobudzania przez organizacje macierzyste aktywizowane były do działania przez federację towarzystw śpiewaczych, tj. ZPCh. Poszczególne organizacje współdziałające z ZPCh przyczyniały się w ten sposób do wzmocnienia życia kulturalnego na własnym podwórku oraz integracji narodowej.

Chóry kościelne nie ograniczały się tylko do popularyzowania śpiewu religijnego. Tak np. połączone chóry Zrzeszenia Związku Ewangelickiej Młodzieży, którego głównym inicjatorem założenia i jego dyrygentem naczelnym był Jan Kisza, poza śpiewem w kościołach wystąpiły z koncertami w Bystrzycy (1927), w Czeskim Cieszynie (1928), Trzyńcu (1929), Orłowej (1930), potem w Ligotce Kameralnej itd. W 1935 roku koncert chóralny poświęcony był twórczości muzycznej J.S. Bacha i J.F. Haendla w 250 rocznicę ich urodzin.

Na wysokim poziomie artystycznym stał chór Związku Akademików Polskich w Czechosłowacji „Jedność", założony w 1926 roku, który m.in. w latach trzydziestych zorganizował tournée koncertowe po Słowaczyźnie, na Górnym Śląsku, występował też w Pradze. Koncerty jego transmitowane były przez radiostacje polskie i czeskie. Dyrygentami byli kolejno: Ernest Berger, Jan Heczko, Emanuel Guziur i Karol Dziadura.

OSIĄGNIĘCIA ZWIĄZKU POLSKICH CHÓRÓW

Do najważniejszych osiągnięć ZPCh w Czechosłowacji zaliczyć należy coroczne zjazdy i zawody śpiewacze. Wiele występów odbywało się z inicjatywy Macierzy Szkolnej, zwłaszcza atrakcyjne były coroczne krajowe festyny Macierzy, np. 5.7.1928 w Czeskim Cieszynie wystąpiło 800 śpiewaków.

W roku 1932 powrócił ze studiów w Konserwatorium Muzycznym w Katowicach rodak górnosuski Emanuel Guziur, znany już z lat poprzednich jako rzutki działacz i dyrygent. Od razu rzuca się w nurt pracy śpiewaczej jako dyrygent okręgu suskiego, lustruje chóry, doradza dyrygentom, aktywizuje do śpiewu i muzyki młodzież Polskiego Gimnazjum Realnego w Orłowej. W 1935 roku obejmuje funkcję dyrygenta naczelnego ZPCh. Jego wkład do rozwoju całego ruchu śpiewaczego po obu stronach Olzy przynosi nieprzeciętne wyniki.

W 1936 r. E. Guziur poprowadził 400-osobową grupę zaolziańskich śpiewaków na Zlot Polskiego Śpiewactwa w Warszawie. Zaolziacy podziwiali śpiew słynnego tenora Jana Kiepury, wystąpili też we wspólnym śpiewie wszystkich chórów pod batutą kompozytora Wacława Lachmana. Finałowy popis chórów z Zaolzia w gmachu Filharmonii Warszawskiej Guziur tak opisał: *Gromadzące się przed gmachem związki zataras owały całkowicie przylegające ulice. Tu staliśmy się przedmiotem owacji o szczególnej adoracji. Znalazł się chór, zdaje się z Łodzi, który na naszą cześć odśpiewał na stopniach Filharmonii toast. W odpowiedzi na to z 400 piersi zagrzmiało „Nie rzucim ziemi". Był to niezapomniany moment. Dostaliśmy się wreszcie do wnętrza gmachu... Dano znak: „Czechosłowacja na estradę"... Rozległo się „Przez wodę koniczki, przez wodę"... Popłynął głos czysty, harmonicznie bez zarzutu. Ale nie tylko to, żadna pieśń nie miała tyle siły przekonywującej, co właśnie ta, i w tej chwili jeszcze, bo płynęła prosto z serca, w niej cała dusza śpiewała. Skończyliśmy potężnym akordem. Sala po prostu pękała od oklasków i nawoływań „bis"!... Powtórzyliśmy pieśń i wśród oklasków opuściliśmy scenę.* („Ogniwo" 1937, nr 13, s. 59).

Związek organizował również kursy dyrygenckie, rozpowszechniał polską literaturę chóralną, inicjował też opracowania śląskich pieśni ludowych. Autorami opracowań chóralnych byli rodzimi kompozytorzy: Andrzej Hławiczka, Jan Gawlas, Jan Kisza, Jerzy Hadyna (ojciec Stanisława Hadyny, założyciela PZLPiT „Śląsk"), Jerzy Samiec, Jan Jeleń i Eugeniusz Fierla. Było też wielu zbieraczy pieśni ludowych, wśród których wyróżnili się Jan Tacina, Karol Piegza i Eugeniusz Fierla. Pod redakcją J. Samca wydał ZPCh śpiewnik zawierający 150 pieśni jednogłosowych (śpiewnik nosi nazwę „150 pieśni"). Wydano też 112 utworów chóralnych (spełniono w ten sposób piękne przedsięwzięcie Związku: dla każdego zespołu jeden utwór chóralny; w dziesięciolecie bowiem istnienia ZPCh należało do niego 112 chórów!).

JUBILEUSZ 10-LECIA ZPCH

A przystąpił Związek Polskich Chórów w Czechosłowacji do obchodów 10-letniej swej działalności z nieprzeciętnymi wynikami i w pełni rozkwitu. W ponad 100 chórach zrzeszonych było prawie 4000 śpiewaków! Przy tym Zarząd Główny ZPCh nie posiadał żadnego sekretariatu ani siły administracyjnej. Wszystkie czynności prowadzenia Związku spoczywały na barkach członków zarządu ZPCh, dyrygentów okręgowych oraz dyrygentów terenowych. Dziesięć okręgów miało osobowość prawną, miały swe zarządy, organizowały samodzielne imprezy, zebrania itp. (niezbędne sprawy charakteru administracyjnego wykonywało biuro ZG Macierzy Szkolnej). Na wspomnianym już Zlocie Śpiewactwa Polskiego w Warszawie (28–29 czerwca 1936) wszystkie chóry w swoich kategoriach zdobyły pierwsze miejsca: chór mieszany pod kierownictwem Rudolfa Wojnara oraz chór męski kierowany przez E. Guziura. W drodze powrotnej chóry te wystąpiły na scenie Teatru Starego w Krakowie. Z okazji 10-letniego jubileuszu wyszła specjalna monografia, opublikowana w 13-tym numerze dwutygodnika polskiej młodzieży „Ogniwo" (72 strony), zawierająca historię polskiego śpiewactwa zaolziańskiego, uzupełniona aż 170 zdjęciami (z tego aż 104 chórów z krótką ich charakterystyką). Do dnia dzisiejszego monografia ta stanowi wyjątkowy przykład upamiętnienia pięknych i potężnych dziejów polskiego śpiewactwa zaolziańskiego okresu międzywojennego.

Uroczystości osiągnęły swój punkt kulminacyjny na Zlocie Śpiewactwa w Czeskim Cieszynie (4.7.1937), poprzedzonym nadzwyczajnym walnym zebraniem. Wszystkie imprezy śpiewacze odbywały się pod hasłem śląskiej pieśni ludowej. W czeskocieszyńskim parku im. Adama Sikory, bezpośrednio nad brzegami granicznej Olzy, wystąpiło blisko 4 000 śpiewaków ze 102 chórów. Wystąpiły one pod batutą naczelnego dyrygenta Związku E. Guziura oraz dwóch pomocniczych dyrygentów na skrzydłach tego gigantycznego chóru – R. Wojnara i J. Samca. Koncert transmitowała rozgłośnia katowicka Polskiego Radia w programie ogólnopolskim. Miłym akcentem uzupełniającym uroczystości jubileuszowe był udział w obchodach odsłonięcia pomnika źródeł Wisły, która to uroczystość odbyła się w Wiśle na zakończenie Tygodnia Gór (kontynuatorem tej imprezy są powojenne Tygodnie Kultury Beskidzkiej), w dniu 21 sierpnia 1937 r. Wystąpił tam wtedy chór liczący 1500 zaolziańskich śpiewaków oraz orkiestra dęta trzynieckiej „Siły".

Warto jeszcze przypomnieć, iż przed powstaniem ZPCh w Czechosłowacji chóry zaolziańskie należały bądź też utrzymywały kontakty ze Związkiem Śląskich Kół Śpiewaczych. Jan Fojcik w swoich „Materiałach do dziejów ruchu śpiewaczego na Śląsku", wydanych w Katowicach w 1961 roku, przekazuje charakterystykę aż 136 zespołów śpiewaczych z 73 miejscowości międzywojennych powiatów cieszyńskiego i frysztackiego na Zaolziu.

OKRES MIĘDZYWOJENNY – SZCZYT ROZKWITU ZAOLZIAŃSKIEGO ŻYCIA ŚPIEWACZO-MUZYCZNEGO

Nie wgłębiając się już dalej w całokształt działalności Związku Polskich Chórów w Czechosłowacji, okres międzywojenny to okres największego rozkwitu polskiego śpiewu chóralnego na Zaolziu. Śpiewactwo odgrywało bezsprzecznie przodującą rolę w życiu kulturalnym naszego społeczeństwa, szczególnie zaś wśród młodzieży. Związek zrzeszał największą ilość aktywnych członków. W Zlotach Śpiewaczych występowało często ponad 2 000 śpiewaków. Zadaniem chórów było nie tylko samo śpiewanie. Chóry rozwijały szeroki wachlarz działalności kulturalno-oświatowej. Najpopularniejszą i specyficzną dla Zaolzia cechą społecznego ruchu amatorskiego – obok śpiewactwa – był teatr amatorski. W przedstawieniach muzycznych zespołów teatralnych brały udział bardzo często zespoły chóralne. Poważny był wkład chórów w działalność tzw. Kółek Samokształcenia, w urządzaniu odczytów i uprawianiu innych form pracy oświatowej.

Trzeba dodać, iż nie wszystkie chóry były zrzeszone w ZPCh. Tak np. niektóre chóry Stowarzyszenia „Siła" – istniejące już od pierwszych lat powojennych – pracowały na zasadzie własnych regulaminów. „Twarde" były ustalenia niektórych regulaminów: za spóźnianie na próbę o 5 minut zapłacić było trzeba koronę, za nieusprawiedliwioną próbę jeszcze więcej. W niektórych Kołach "Siły" działały znakomite orkiestry dęte, np. w Trzyńcu z dyrygentem Janem Raszką i Karwinie z Józefem Michalskim. Istniały też sporadycznie pracujące orkiestry smyczkowe, które akompaniowały niektórym chórom przy wykonywaniu większych i ambitniejszych utworów wokalno-instrumentalnych lub też brały udział w przedstawieniach teatralnych.

Znane były z audycji Polskiego Radia w latach trzydziestych chóry rewelersów „Czejanda", „Dana" i „Eryana"; to one stały się wzorem do naśladownictwa i tworzenia małych zespołów wokalnych wśród amatorów. I tak np. powstały męskie chóry rewelersów w Stonawie (kier. E. Fierla), Czeskim Cieszynie (kier. K. Berger), Błędowicach Dolnych, Karwinie i Suchej Górnej. Specjalnie dwa pierwsze wykazywały na dobrym poziomie stojącą działalność koncertową (rewelersi stonawscy wystąpili w 1939 roku z półgodzinnym programem w Radiu Ostrawskim).

Śląsk zaolziański zachował w okresie międzywojennym swój język i świadomość narodową, a na pewno bardzo pomocną mu w tym względzie była pieśń polska i szczere do niej przywiązanie.

c.d.n.

JÓZEF WIERZGOŃ

PREZES REKORDZISTA JUBILATEM



Pięćdziesięciolecie PZKO jest okazją do utrwalania pamięci o ludziach, którzy budowali podwaliny wielkiego zrywu w społecznym działaniu dla polskości na Zaolziu. Każda nasza miejscowość ma swoich ofiarnych działaczy.

Należy do nich niewątpliwie i Karol Tomiczek z MK PZKO Łąki. Z okazji zacnego jubileuszu życiowego – 60 lat – warto przedstawić jego sylwetkę pełną skromności i bezgranicznej ofiarności w działaniu społecznym.

Urodził się 5 listopada 1937 roku w Łąkach. Tu uczęszczał do szkoły ludowej. Edukację szkolną zakończył w roku 1956, uzyskując świadectwo dojrzałości w karwińskim Technikum Maszynowym. Jako technik przepracował 40 lat w tym samym zakładzie – karwińskiej Kowonie, co wystawia mu dodatkowo chlubną opinię.

W roku 1955 wstępuje w szeregi PZKO. W roku 1963 zostaje członkiem zarządu MK PZKO i obejmuje funkcję, najmłodszego w PZKO, skarbnika. Cechuje go ofiarność i sumienność. W roku 1967 zostaje najmłodszym wiceprezesem. Zdobywa wielki kredyt zaufania i autorytet, nie tylko w Kole, ale również w hierarchii społecznej Łąk. Nic więc dziwnego, iż w roku 1969 obejmuje najwyższą funkcję – prezesa, najmłodszego prezesa w regionie. Funkcję tę, rekordowo, piastuje do dziś.

Jego to zasługa, że 15 listopada 1970 dokonano uroczystego otwarcia trzeciej z rzędu świetlicy PZKO, w przybudówce polskiej szkoły w Łąkach. Dzięki niej powstały najdogodniejsze warunki do pracy społecznej. Tu sukcesy osiąga „Olzianka", tu rodzi się "Olziok", tu odbywają się znaczące imprezy: stulecie polskiej szkoły, trzydziestolecie PZKO, dwudziestolecie „Olzianki". Zdrowego optymizmu życiowego prezesa nie zagłuszy minorowy nastrój ostatniego spotkania w szkolnej świetlicy 11 października 1986 roku. W listopadzie 1987 dochodzi do likwidacji polskiej szkoły. Zarząd Koła ze swym doświadczonym prezesem szuka nowych form pracy pezetkaowskiej. Choć w znacznie skromniejszych warunkach, działa z myślą o następnych jubileuszach. Wielkim wzięciem cieszą się dziś już tradycyjne spotkania byłych i obecnych łęczan.

W dniu zacnego Jubileuszu Życiowego niechaj głośno toast zabrzmi: 100 lat niechaj żyje prezes rekordzista z Łąk Karol Tomiczek.

J.K.

65.ROCZNICA ŚMIERCI ŻWIRKI I WIGURY



Pamięć o polskich bohaterach przestworzy, którzy zginęli na kościeleckim wzgórzu w roku 1932, pozostaje ciągle żywa wśród mieszkańców Zaolzia. To za sprawą garstki niezmordowanych działaczy z MK PZKO Cierlicko-Kościelec co roku przybywają tu pielgrzymki rodaków z Polski i innych krajów, gdzie rzuciły ich losy. Odwiedzają dwa pomniki, ten poświęcony miejscu tragicznej śmierci polskich lotników i ten drugi - Dom nazwany ich imieniem. Przy pierwszym składają kwiaty, w drugim oglądają stałą ekspozycję poświęconą ich pamięci i zostawiają po sobie ślad w postaci wpisu do pamiątkowej księgi i symbolicznej „cegiełki", tak istotnej dla powstania tego budynku.

Uroczystość wspomnieniowa poświęcona 65. rocznicy śmierci kpt. Franciszka Żwirki i inż. Stanisława Wigury miała miejsce 14 września. Rozpoczęła ją msza św. odprawiona w intencji obu łotników w kościele św. Wawrzyńca. Liturgię wzbogacił śpiewem chór Collegium Canticorum. Po mszy odbyła się ceremonia złożenia kwiatów pod Pomnikiem Lotników, w której wzięły udział delegacje z obu brzegów Olzy, a wśród nich attaché wojskowy Ambasady RP w Pradze płk. Adam Zając, konsul Piotr Szwarc z Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, przedstawiciele Wojska Polskiego i kadeci słynnej szkoły orląt w Dęblinie, członkowie Klubu Seniorów Lotnictwa, Związek Polskich Spadochroniarzy z Cieszyna i Katowic, Aeroklubu Śląskiego, Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, Związku Harcerstwa Polskiego z Bielska-Białej, Rady Polaków, Zarządu Głównego PZKO i okolicznych Kół.

Podczas ceremonii składania kwiatów przy dźwiękach wojskowych werbli wartę przy pomniku zaciągnęli harcerze z cierlickiej drużyny im. Żwirki i Wigury oraz hufca bielsko-bialskiego.

Po południu dalszy ciąg uroczystości miał miejsce w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury i jego okolicy, gdzie można było obserwować akrobacje samolotów sportowych i skoków spadochroniarzy, a także pokazy zdalnie sterowanych modeli samolotowych, przygotowane przez zaprzyjaźnione przygraniczne aerokluby. Wśród wielu przybyłych do Domu Polskiego gości znalazł się także Walery Jemilianow, sekretarz Komitetu Pamięci Franciszka Żwirki w Święcianach, rodzinnej miejscowości kapitana. Przybył na zaproszenie działaczy MK PZKO Cierlicko-Kościelec, z którymi współpracuje przy organizacji wycieczek z Zaolzia na Litwę.

E.S.

OBRADOWAŁA RADA REPUBLIKOWA

17 września odbyło się w Czeskim Cieszynie zebranie Rady Republikowej Ruchu Politycznego „Coexistentia-Wspólnota". Działalność Ruchu omówił jego przewodniczący Stanisław Gawlik. Głównym punktem programu była dyskusja nad strategią wyborczą Ruchu w przyszłorocznych wyborach komunalnych. Zdecydowano, że „Wspólnota" wystawi pełne listy kandydackie w 30 gminach na Zaolziu. Działacze Ruchu liczą na zdobycie 50 - 60 mandatów w przedstawicielstwach gminnych lub miejskich.

T.T.

DOM MK PZKO W MILIKOWIE-PASIEKACH MA 10 LAT



MK PZKO Milików-Pasieki liczy obecnie około 140 członków. Jego prezesem jest Władysław Drong, który odziedziczył tę funkcję po swoim ojcu, również Władysławie, wieloletnim działaczu Koła, inicjatorze i budowniczym Domu. 10-lecie jego istnienia zbiegło się z uroczystymi obchodami 50-lecia PZKO.

Dom MK PZKO w Milikowie-Pasiekach wygląda okazale i na szczęście, dzięki ofiarności związkowców, ciągle tętni życiem. Tu spotykają się najstarsi działacze z dziećmi z pobliskiej polskiej szkoły w Koszarzyskach. Z gościnnych progów Domu korzystają również harcerze z Polski i członkowie Zespołu Regionalnego „Bystrzyca". 27 września przybyli tu okoliczni mieszkańcy i zaproszeni goście z dalszych stron, by uczcić podwójny jubileusz. W programie artystycznym zaprezentowali się uczniowie z zaprzyjaźnionej szkoły. Nagrodą dla wszystkich członków Miejscowego Koła był brawurowy występ zespołu „Górole" z Mostów koło Jabłonkowa.

E.S.

10-LECIE OTWARCIA DOMU PZKO IM. JANA KUBISZA

Również 27 września podwójny jubileusz 50-lecia PZKO i istnienia budynku MK PZKO w Gnojniku obchodzili miejscowi związkowcy. MK PZKO w Gnojniku na czele z wieloletnim prezesem Janem Buławą współpracuje z miejscową polską szkołą, toteż jubileuszową uroczystość uświetniły programem artystycznym dzieci z gnojnickiej szkoły. Wystąpił również chór „Godulan" pod kierownictwem Władysława Cieślara i solistki zespołu „Suszanie" - laureatki najwyższych nagród w tegorocznej edycji Śląskiego Śpiewania w Katowicach. Władysław Młynek jako przedstawiciel Zarządu Głównego PZKO i wieloletni działacz gnojnickiego Koła wręczył zasłużonym społecznikom pezetkaowskie odznaczenia.

E.S.



„BARWY ŚLĄSKA" TADEUSZA WRATNEGO

Burza intensywnych kolorów, przykuwających wzrok do obrazów, przywitała wszystkich, którzy przybyli w piątek 3 października br. do frysztackiej biblioteki na wernisaż wystawy malarstwa Tadeusza Wratnego. Wystawa przygotowana została przez Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie w ramach cyklu prezentacji najwybitniejszych twórców, malarzy i plastyków, związanych z tym miastem. Obejmowała 50 obrazów i 30 rysunków artysty, przede wszystkim plon pracy ostatnich miesięcy.

Tadeusz Wratny, chociaż z pochodzenia orłowianin, od ponad dwudziestu lat mieszka w Karwinie. Tu powstało większość jego obrazów i rysunków. Z wykształcenia architekt swą drogę artystyczną rozpoczął od fotografii. Z jego licznymi zdjęciami spotykali się między innymi czytelnicy „Zwrotu". Kilka fotografii artystycznych z cyklu „Ostropce" uzupełniało również wystawę w bibliotece.

Malarstwem i rysunkiem zajął się na dobre dopiero w latach 80. Realistyczne, znane z autopsji krajobrazy nie na długo zajęły jego uwagę. *Za przełomowy okres w jego życiorysie twórczym uznać trzeba* - czytamy w wydanym do wystawy katalogu - *połowę lat osiemdziesiątych, kiedy do głosu dochodzi deformacja kształtu, wynikająca jednak z głębszych przemyśleń i poszukiwań twórczych. Określona zostaje przy tej okazji gama kolorystyczna jego obrazów.* Poszukiwania twórcze, zmuszające do głębszych refleksji nad życiem, doprowadziły go do wykreowania własnej wizji rzeczywistości. Pomimo, zdawałoby się, *„katastroficznych wizji" naszego karwińskiego krajobrazu obrazy te są optymistyczne w swej końcowej wymowie, zawierają wiele poezji a nawet romantyzmu. Nie są to jednak sztandarowe, dosłowne określenia, ale pełna symboli, kontekstów i skojarzeń filozofia życia autora.*

Otwarcia wystawy dokonała kierowniczka OLP BR Helena Legowicz. Alicja Herman i Helena Lugsch przy akompaniamencie Bronisława Bednarza wykonały krótki program artystyczny. Władysław Owczarzy, autor opracowania graficznego i tekstów do katalogu, opowiedział zgromadzonym o twórczości Tadeusza Wratnego. Symboliczny kwiatek i słowa podziękowania odebrała również żona artysty, która jest dla niego wielkim wsparciem i pomocą. W trakcie wernisażu odbyło się spośród zakupionych numerowanych katalogów losowanie. Nagrodą był obraz i rysunek autora.

C.R.

UROCZYSTY KONWENT PREZESÓW

Ukoronowaniem obchodów 50-lecia PZKO był uroczysty Konwent Prezesów, który miał miejsce 4 października w sali Teatru Cieszyńskiego. Wzięli w nim także udział kierownicy Klubów i Sekcji oraz chórów, a także goście zza Olzy - przedstawiciele zaprzyjaźnionych z PZKO organizacji, takich jak Macierz Ziemi Cieszyńskiej. Punktem kulminacyjnym uroczystości był wpis do Złotej Księgi 30 najbar-



dziej zasłużonych działaczy Związku z całego Zaolzia oraz odznaczenia przyznane przez prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego a wręczone przez konsula generalnego RP w Ostrawie Bernarda Błaszczyka. Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczpospolitej Polskiej zostali uhonorowani: Karol Daniel Kadłubiec, Władysław Młynek i Stanisław Zahradnik. Dziewięciu pedagogom zostały przyznane medale Komisji Edukacji Narodowej RP, a również dziewięciu działaczy wyróżniono odznaczeniami Zasłużony dla Kultury Polskiej, przyznanymi przez Ministerstwo Kultury i Sztuki RP.

W programie artystycznym uroczystego Konwentu wystąpili członkowie zespołu „Olza" oraz zaolziańscy uczestnicy przeglądu Śląskie Śpiewanie.

E.S.

WYSTAWA FRYSZTACKICH PEZETKAOWCÓW

W dniach 4 i 5 października można było zwiedzać we frysztackim Domu PZKO wystawę nazwaną „50 lat rzetelnej pracy frysztackiego Koła PZKO". Na uroczystym otwarciu zebrali się nie tylko członkowie MK PZKO w Karwinie-Frysztacie. Ważną rolę, jaką Miejscowe Koła PZKO pełnią w społeczeństwie, w życiu swojej gminy czy miasta, potwierdził swoją obecnością wicestarosta Karwiny Zdeněk Vajtr. Zarząd Główny PZKO reprezentował jego prezes Jerzy Czap. Gratulacje za pomysł wystawy oraz za wielki wkład w działalność Koła odebrały członkinie miejscowego Klubu Kobiet z rąk przedstawicielek Sekcji Kobiet przy ZG PZKO. Przewodnicząca frysztackiego Klubu Kobiet Danuta Wałoszek w podzięce za trud włożony w przygotowanie tej wystawy, a także innych akcji, które bez pracy pań nie udałyby się, podarowała każdej ze swych koleżanek klubowych skromną różyczkę. Prezes Helena Wierzgoń przypomniała krótko historię Koła, którego zebranie inaugurujące odbyło się 22 listopada 1947 roku. Od początku filarem

Koła był chór męski „Hejnał-Echo", który zaśpiewał również na uroczystym otwarciu wystawy. Jako dyrygent chóru wystąpiła po raz pierwszy, obok długoletniego zasłużonego dyrygenta Józefa Foltyna, Jadwiga Karolczyk. Program otwarcia uświetnił też swoim występem chór żeński „Kalina" z dyrygentem Otokarem Winklerem, działający przy Kole od roku 1981. Prezes ZG PZKO Jerzy Czap wspomniał o zbliżającym się - podsumowującym pięćdziesięcioletnią historię PZKO - Zjeździe. W uznaniu długoletnich zasług do Złotej Księgi wpisani zostali: Ewa Zolich, Elżbieta Mencner, Urszula Bogocz, Józef Foltyn i Stanisław Kondziołka.

Wystawa pomyślana została nie tylko jako prezentacja kronikarskich zapisów, zdjęć i dokumentów z okresu półwiecza działalności Koła, ale również jako pokaz prac członkiń Klubu Kobiet, prac nie tylko najnowszych, ale również dawniejszych, prac pań, których nie ma już wśród nas. Panie zatroszczyły się też o żołądki zwiedzających, do dyspozycji był smaczny bufet.

Frysztackie Koło należy do największych, w chwili obecnej liczy około 700 członków. Koło posiadało zawsze ofiarnych kronikarzy, którzy skrupulatnie spisywali wszystkie wydarzenia na kartach kronik. Pokazane na wystawie kroniki dokumentują działalność Koła od początku jego istnienia, od pierwszego zebrania założycielskiego. Swoje osobne kroniki ma Klub Kobiet, chóry, dokładnie odnotowane są wycieczki Sekcji Turystycznej, pamiątkę stanowią notatki i zdjęcia z pracy dawnego zespołu teatralnego i zespołu tanecznego. Zapiski mówią o pracy Klubu Młodych, Klubu Propozycji, Klubu Seniora i Sekcji Sportowej. Z okazji jubileuszu spisano też dane statystyczne o ilości i rodzajach imprez.

Koncert jubileuszowy MK PZKO Karwina-Frysztat odbędzie się 15 listopada br. C.R.

WYSTAWA PRAC GUSTAWA FIERLI



Niekiedy, pomimo wszelkich starań, wszystko jest inaczej... Gustaw Fierla – plastyk, pedagog, folklorysta, którego zasług dla Zaolzia nie trzeba podkreślać, miał w ubiegłym roku setną rocznicę urodzin. Katalog jego dorobku, niestety skromny, ukazał się w maju bieżącego roku, zaś wystawę prac artysty otwarto 8 października w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie. Stało się to dzięki staraniom Stowarzyszenia Artystów Plastyków. Wystawione obrazy pochodzą ze zbiorów prywatnych. Na wernisażu zeszło się liczne grono naszych plastyków, miłośników sztuki, jak też uczniów i członków rodziny zmarłego w roku 1981 Gustawa Fierli. W arkana sztuki mistrza wprowadzili obecnych Władysław Kubień, profesor gościnnego gimnazjum i Oskar Pawlas, prezes SAP.

F.B.

WICEMINISTER SZKOLNICTWA W CZESKIM CIESZYNIE

Dr František Kozel, wiceminister Szkolnictwa, Młodzieży i Kultury Fizycznej RC, spotkał się w siedzibie Rady Polaków w Czeskim Cieszynie z Komisją Szkolną, której członkami są przedstawiciele Rady Polaków, Towarzystwa Nauczycieli Polskich, Centrum Pedagogicznego, Macierzy Szkolnej, Ruchu Politycznego Wspólnota i dyrektorzy polskich szkół. Spotkaniu przewodniczył stojący na czele Komisji inspektor Kazimierz Worek.

Członkowie Komisji przekazali wiceministrowi Kozlowi materiał pisemny, który został przygotowany dla ministra szkolnictwa Jiřígo Grušy. W materiale tym w ośmiu punktach przedstawiono wszystkie bolączki naszego szkolnictwa, proponując sposoby rozwiązania niektórych trudnych problemów, np. w razie spadku ilości dzieci w polskim przedszkolu zaproponowano jego integrację z polską szkołą podstawową, a nie z czeskim przedszkolem, jak było dotychczas; niektórymi polskimi szkołami, gdzie dzieci dojeżdżają z kilku gmin (np. Gnojnik), powinno zarządzać ministerstwo, a nie gminy; w organach państwowych powinni być zatrudnieni pracownicy odpowiedzialni za polskie szkolnictwo narodowościowe.

Po spotkaniu z Komisją Szkolną wiceminister wziął udział w spotkaniu z dyrektorami polskich szkół i przedszkoli w auli Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie. Przybył tu również poseł Wawrzyniec Fójcik i senator Emil Škrabiš. Wiceminister F. Kozel kilkakrotnie podkreślił, że ministerstwo nie zawsze ma do dyspozycji potrzebne informacje na temat szkolnictwa mniejszościowego. Wynika to – jego zdaniem – z faktu niedostatecznej działalności organu doradczego do spraw szkolnictwa mniejszościowego przy Ministerstwie Szkolnictwa, Młodzieży i Kultury Fizycznej RC.

T.T.

KRZYŻÓWKA



Przeglądy teatrów dziecięcych „Talinki" oraz ... (patrz rozwiązanie dodatkowe krzyżówki) to imprezy już o wieloletniej tradycji organizowane z myślą o dzieciach i młodzieży.

POZIOMO: A. Obramowanie, obwódka; typ aparatu fotograficznego; widziadło. **B.** Chodzenie po kolędzie; pożywka dla drobnoustrojów. **C.** Rzeka w Turcji; punkt przeciwny zenitowi; brak konfliktu. **D.** Miękki, niski taboret; roztwór chlorku sodowego w wodzie; miasto portowe w Algierii. **E.** Na muchy; wskazówka. **F.** Nauczycielka; w mitologii uosobienie gniewu ludzkiego. **G.** Służy do hodowli ryb; rzymski bóg sztuki lekarskiej; współzałożyciel filomatów. **H.** Port na Krecie; brat Mojżesza; metal kowalny. **I.** Kwaśna przyprawa; osoba egzaminująca. **J.** Dowcip, żart; amerykański poeta, prozaik i krytyk (1889–1973); jednostka monetarna RPA.

PIONOWO: 1. Daszek nad kominem kuchni; szybkie przeniesienie ciała skokiem. **2.** Miejsce urodzenia M. Kopernika; płaskie naczynie stołowe. **3.** Imię męskie; duże metalowe naczynie. **4.** Nieduży kawałek czegoś jadalnego; podstawa armaty. **5.** Nocny spoczynek. **6.** Surowiec dla narkotyku zwanego haszyszem. **7.** Podobny jest do elipsy; opowiadanie w staroskandynawskiej literaturze. **8.** Awangardowy ruch literacko-artystyczny w latach 1916–23; siostra Libuszy. **9.** Dzielnica mieszkaniowa Warszawy; rzeka i miasto w Rosji. **10.** Imię Douglasa; stolica Togo. **11.** Antytrynitarz. **12.** Francuski malarz, rzeźbiarz i grafik (Hans). **13.** Owoc borówki; Iwan Groźny. **14.** Rynek w miastach starogreckich; obchodzi imieniny 27 kwietnia. **15.** Przywara; prawidło, zasada, reguła. **16.** Węgierski poeta (János); wonny olejek z kozłka lekarskiego, lawendy. (taj)

Wyrazy trudne: AIKEN, ARAS, IRA, KANEA, RAND, URAK.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: D–3, G–6, C–4, I–14, B–10, A–15, J–2, G–10, E–6, I–11, C–14, G–1, E–5, H–15, B–1, F–11, C–15, I–8, C–9, H–4, I–2, F–6, B–4, H–13, J–10, A–13.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru wrześniowego:
Hasło: **„Dom Polski Żwirki i Wigury w Cierlicku-Kościelcu".**
Nagrody książkowe wylosowali: **Beata Cimała** – Orłowa-Lutynia
Mariusz Putzlacher – Czeski Cieszyn
Vladimír Michalik – Bogumin

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
EWA SANTARIUS (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
WILHELM PRZECZEK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 144,- Kč, z wysyłką pocztową 186,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

Zespoły:

**OLZA,
GÓROLE,
BYSTRZYCA,
SUSZANIE,
SKOTNICA**

ZAPRASZAJĄ
na

KONCERT ŚWIĄTECZNY

**który odbędzie się
w sobotę 20 grudnia
o godz. 16.00 w sali DK TRISIA
w Trzyńcu.**

Bilety w cenie 35,- Kč
do nabycia u członków poszczególnych zespołów
w biurze ZG PZKO
lub na miejscu przed koncertem.

TACY JESTEŚMY



KAWIARNIA LITERACKA „AVION“

Rozpoczęła działalność 23 lutego 1996. Na inaugurację odbył się wieczór poetycko-kabaretowy „W kawiarni „Avion“, której nie ma...“. Autorami i wykonawcami byli Renata Putzlacher i Jaromír Nohavica, główni pomysłodawcy i patroni dwujęzycznej kawiarni.

Kawiarnia mieści się w podziemiach Teatru Cieszyńskiego, powstała po remoncie klubu teatralnego. Poprzez swoją nazwę nawiązuje do wybudowanego w latach dwudziestych na lewym brzegu Olzy tuż przy moście granicznym lokalu, na którym widniały napisy w trzech językach: KAWIARNIA – KAVÁRNA – KAFFEEHAUS „AVION“.

„A wszystko po to, by spróbować raz jeszcze wskrzesić kawiarnianą atmosferę, rozbudzić głód sztuki i zaspokoić pragnienie piękna w miejscu do tego stworzonym, w teatrze, który powinien być świątynią sztuki, przynajmniej od święta.“

NASZE ZESPOŁY



„BYSTRZYCA“

Zespół Folklorystyczny „Bystrzyca“ MK PZKO Bystrzyca nad Olzą powstał w roku 1984. Maria i Leonard Podzemni kierują nim od początku. Trzydziestu członków zespołu „Bystrzyca“ to uczniowie szkół średnich, studenci i młodzież pracująca.

Podstawowy repertuar zespołu oparty jest na bogatych tradycjach folkloru beskidzkiego z podkreśleniem tradycji rodzimej Bystrzycy. „Bystrzyca“ prezentuje na swych licznych występach widowisko „Na bystrzyckim jarmarku“, suity tańców polskich, czeskich i słowackich.

Zwrot

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

12/97



Szczęśliwych
Świąt Bożego Narodzenia
i dobrego Nowego 1998 Roku

TACY BYLIŚMY





Pracownicy Polskiego Konsulatu w Morawskiej Ostrawie i Chór Konsularny.

Zdjęcia wykonano około roku 1930. Niestety nie znamy nazwisk osób uwiecznionych na fotografiach. Prosimy naszych czytelników o wiadomości. Zdjęcia są własnością prof. dr. hab. Janusza Guziura z Olsztyna.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLVIII Nr 577 Cena numeru 12,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 15,50 Kč

12/97

Cieszyńska Książnica

W NUMERZE

[2]	Opłatek wigilijny	GUSTAW SAJDOK
[4]	XVIII Zjazd Delegatów PZKO	C.R.
[8]	Pierwsze posiedzenie nowego Zarządu Głównego PZKO	C.R.
[9]	Żydzi w Trzyńcu	STANISŁAW ZAHRADNIK
[16]	Olza – rzeka zapomniana?	JANUSZ GUZIUR
[22]	Federacja czy konfederacja (4)	ROMAN BARON
[26]	Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (12)	ALOJZY NOWOK
[33]	Festiwal teatralny „Na Granicy“	C.R.
[35]	Współczesna działalność przekładowa polskich pisarzy zaolziańskich	LIBOR MARTINEK
[42]	Poezja Renaty Putzlacher	
[44]	Gustaw Morcinek: Przygody narciarskie	
[48]	Renata Putzlacher – Moje fascynacje	
[52]	Na naszej scenie	
[54]	Na półkach księgarskich	
[55]	Echo wydarzeń muzycznych	
[62]	Kronika	
[70]	Mozaika	
[72]	Krzyżówki świąteczne	
[74]	Spis treści	

Numer zamknięto 14. 11. 1997

GUSTAW SAJDOK

OPŁATEK WIGILIJNY

W Boże Narodzenie
zakwitły
białe złocienie
jak na majówce
główka przy główce.
Wszystko tu białe,
tylko w środku
dzieciątko małe
z koroną –
w złocie rzeźbioną.

Puch biały,
opłatki niebios,
światu radość
zwiastują –
na ziemię z nieba
zstępują.

Misterium życia
i bożej woli
przebaczać wszystkim –
wszystko
co gnębi, co boli.

Zanim podzielisz
się opłatkiem
przeżegnaj się
w imię Ojca, Syna
i Ducha Świętego,
by żyć godniej,
nakarmić głodnych
łaskawością, wiarą –
gościnnością prastarą.

W sercach dar przebaczania
zamieszka,
a z oczu spłynie
łza niebieska.

„Aniołowie się radują
pod niebiosa wyśpiewują –
Gloria, gloria, gloria
in excelsis Deo!"



XVIII ZJAZD DELEGATÓW PZKO

Pieśń „Gaude mater" w wykonaniu połączonych chórów męskich Chóru Nauczycieli Polskich i Hasła, występujących pod batutą Alojzego Suchanka i Władysława Ruska, zabrzmiała przy wnoszeniu sztandaru na salę obrad w hotelu Piast w Czeskim Cieszynie, gdzie w sobotę 25 października zeszło się 294 delegatów z 92 Kół PZKO na XVIII Zjeździe PZKO.

Wśród gości znaleźli się m.in. przedstawiciele Stowarzyszenia "Wspólnota Polska" Andrzej Chodkiewicz i Andrzej Grzeszczuk, konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk i konsul Piotr Szwarc, dyrektor sekretariatu Rady ds. Narodowości przy Rządzie RC Andrej Sulitka, poseł do Parlamentu RC i prezes Rady Polaków Wawrzyniec Fójcik, przedstawiciel Wydziału Kultury Urzędu Powiatowego Adolf Kisza, delegacje Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, Towarzystwa Nauczycieli Polskich. Obradom przysłuchiwali się również zasłużeni członkowie PZKO Andrzej Kubisz i Władysław Niedoba.

Prezes ZG PZKO Jerzy Czap w swym referacie sprawozdawczym podsumował dorobek minionej kadencji, dokonania Kół, sekcji i zespołów, imprezy ogólnozwiązkowe. Wskazał na istniejące problemy natury ekonomicznej, narastające od roku 1994, kiedy państwo czeskie radykalnie obcięło dotacje. Przeczytał dokładną informację w sprawie hotelu Piast, o tym, jak doszło do jego utraty oraz jakie kroki są podejmowane w celu jego odzyskania. Zajął też stanowisko w sprawie stosunku PZKO do Kongresu Polaków.

Władysław Orszulik przedstawił sprawozdanie Komisji Rewizyjnej, w którym zwróciła ona uwagę na pewne nieścisłości i zaleciła sprawniejszą politykę finansową. Stanisław Zahradnik omówił działalność Sądu Rozjemczego. Jerzy Czap przedstawił wniosek programu działania związku na następną kadencję. Przyjęto poprawki do statutu.

Jako pierwszy z gości wystąpił Bernard Błaszczyk. Przeczytał list gratulacyjny ministra Andrzeja Wyznera z Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP.

Swoją radość z każdej możliwości odwiedzenia Zaolzia i jego mieszkańców wyraził Andrej Sulitka.

W innym duchu wybrzmiała wypowiedź Andrzeja Chodkiewicza. Naświetlił on sprawę hotelu Piast tak, jak widziana ona jest przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska". Władze PZKO poprzedniej i tej kadencji nie wywiązały się z umów, w myśl których na bu-

dynek miano ustanowić prawo hipoteki, która zapobiegłaby możliwości zmiany właściciela, a hotel miał być użytkowany wspólnie przez wszystkie polskie organizacje. *Ten hotel musi wrócić w ręce polskie* - powiedział Andrzej Chodkiewicz. *Myślę, że jest to zadanie ważne, dlatego że niewyjaśnienie sprawy, nieodzyskanie Piasta rzucałoby przede wszystkim pewien moralny cień na działalność związku, z którego dotychczasowej działalności jesteście państwo przecież tak bardzo dumni. Sądzę, że dla nas, ludzi z Polski, którzy działają na rzecz Polaków poza granicami, niewyjaśnienie tej sprawy do końca stawiałoby pod znakiem zapytania sens udzielania dalszej pomocy społeczności polskiej na Śląsku.*

Adolf Kisza mówił o trwających rozmowach związków gmin przygranicznych od Bogumina po Mosty koło Jabłonkowa oraz gmin Ziemi Cieszyńskiej w celu wspólnej prezentacji oraz utworzenia euroregionu Śląsk Cieszyński.

Wawrzyniec Fójcik polemizował ze słowami prezesa Czapa, że należałoby rozwiązać Kongres Polaków, a powołać związek polskich organizacji. Stwierdził, że musiałby on działać na takich samych zasadach jak Kongres Polaków. Nie zgodził się też z wyrokiem prezesa o bezsilności i anonimowości Rady Polaków. Rada Polaków jest zdaniem Fójcika gniazdkiem młodych, ambitnych i zdolnych działaczy społecznych. Zachęcił nowo wybrany Zarząd Główny PZKO do współpracy przy budowaniu wspólnej reprezentacji Polaków na Zaolziu.

O działalności Towarzystwa Nauczycieli Polskich i Centrum Pedagogicznego oraz dobrej współpracy szkół z PZKO poinformowała delegatów Małgorzata Rakowska. Henryka Żabińska mówiła o pracy Sekcji Kobiet, Iwona Guńka o współpracy Koła w Olbrachcicach z Urzędem Gminnym, Oswald Siwek z Hawierzowa o lokalach i Domach PZKO. Marian Jędrzejczyk poruszył sprawę gimnazjum orłowskiego. Helena Legowicz omówiła sytuację książki polskiej i bibliotek. Jan Ryłko zgłosił propozycję opodatkowania członków PZKO. Zdaniem rzecznika ruchu Coexistentia-Wspólnota Tadeusza Tomana PZKO powinno być reprezentantem Polaków we wszystkich dziedzinach oprócz polityki. Wiceprezes Rady Nadzorczej S.A. Dom Polski Tadeusz Siwek poinformował o zadaniu zarządu uregulowania sprawy Piasta do końca roku. Dyskusję zakończył Daniel Kadłubiec, dziękując władzom związku i Biuru i wyrażając prośbę: *Szanujmy się i szanujmy naszą organizację.*

Delegaci wybrali nowe władze związku: 31-osobowy Zarząd Główny, 7-osobową Komisję Rewizyjną i 5-osobowy Sąd Rozjemczy. Na członków Zarządu Głównego oddano 266 ważnych gło-

sów. W Zarządzie Głównym znaleźli się: Jan Branny (234 głosów), Barbara Bulawa (196), Jerzy Czap (229), Władysław Czudek (238), Władysław Drong (227), Halina Gawlas (218), Stanisław Gawlik (198), Helena Haltof (210), Józef Holesz (226), Edward Janiczek (227), Jan Kaleta (234), Jan Kawulok (234), Helena Lach (232), Józef Lugsch (208), Władysław Martynek (227), Eugeniusz Matuszyński (198), Krystyna Mrózek (228), Władysław Niedoba (241), Zofia Pawlas (212), Roman Recman (227), Czesława Rudnik (215), Stanisław Sikora (232), Bronisław Sołczyk (216), Jerzy Stala (211), Zygmunt Stopa (231), Roman Suchanek (221), Tadeusz Supik (206), Tadeusz Szkucik (231), Stanisław Szotkowski (229), Jerzy Taraba (211), Aleksander Wicherek (227). Nowy Zarząd Główny wybrał następnie nowego prezesa. Został nim ponownie Jerzy Czap (z 25 głosujących 23 osoby były za, 2 osoby wstrzymały się od głosu). Członkami Komisji Rewizyjnej zostali: Helena Bubik, Henryk Jonszta, Józef Krygiel, Lidia Pawlas, Paweł Pieter, Jan Sznapka i Wilhelm Zmełty, którego jednogłośnie wybrano przewodniczącym. Do Sądu Rozjemczego weszli: Danuta Chwajoł, Wiesław Maroszczyk, Józef Pilich, Tadeusz Siwek, Stanisław Zahradnik.

Zjazd zatwierdził program działania związku na następną kadencję. Zadaniem PZKO będzie nadal organizacja życia kulturalno-oświatowego oraz organizacja życia twórczego i naukowego. Ważna jest aktywizacja młodych członków. W tym celu rok 1998 ogłoszono Rokiem Młodzieży Związkowej. PZKO będzie ponadto utrzymywać kontakty z Polską, współpracować z organizacjami polskimi w RC oraz czeskimi placówkami kulturalnymi. W rozwiązywaniu problemów dotyczących sfery gospodarczej będzie pomagać sekcja prawno-ekonomiczna. PZKO będzie utrzymywać też kontakty z posłami, radnymi i członkami przedstawicielstw. Opracowany zostanie nowy regulamin wewnątrzzwiązkowy.

Zjazd uzupełnił program działania o wnioski uchwały delegatów. Zobowiązał nowy Zarząd Główny do konsekwentnych działań w celu przywrócenia do końca bieżącego roku hotelu Piast do własności PZKO oraz opracowania planu jego zagospodarowania. Działalność wszystkich polskich organizacji powinna zmierzać do odbudowania świadomości narodowej, zwłaszcza wśród najmłodszej generacji. Ważne jest przywrócenie rangi językowi polskiemu na całym terytorium narodowościowo mieszanym. Zjazd nie zatwierdził wniosku o zgłoszenie akcesu PZKO do Rady Polaków, sprawę tę pozostawił w gestii poszczególnych Miejscowych Kół PZKO.

C.R.



Władysław Niedoba i Władysław Młynek na sali obrad



Wybory nowego Zarządu Głównego *fot. FRANCISEK BAŁON*

PIERWSZE POSIEDZENIE NOWEGO ZARZĄDU GŁÓWNEGO PZKO

4 listopada odbyło się pierwsze w nowej kadencji posiedzenie Zarządu Głównego PZKO. Wzięło w nim udział 30 nowo wybranych na XVIII Zjeździe PZKO członków.

Wybrano siedmioosobowe Prezydium ZG PZKO, w którym znaleźli się: Jerzy Czap, Halina Gawlas, Władysław Niedoba, Bronisław Sołczyk, Roman Suchanek, Tadeusz Szkucik, Jerzy Taraba. Wiceprezesami zostali Halina Gawlas, Bronisław Sołczyk i Jerzy Taraba.

Powołano radę ekonomiczno-organizacyjną z Haliną Gawlas na czele, radę kultury i nauki pod przewodnictwem Jerzego Taraby oraz radę młodzieży i sportu, którą poprowadzi Tadeusz Szkucik.

Z sytuacją finansową Biura ZG PZKO zaznajomił zebranych dyrektor Bohdan Suchanek. Stwierdził, że w tej chwili saldo jest ujemne. Nie ma pieniędzy na działalność Biura do końca roku. Dyrektor przedstawił swoje propozycje zaoszczędzenia pewnej sumy pieniędzy. Trzeba by zwolnić kogoś z pracowników Biura (w tej chwili w Biurze jest pięć pełnych etatów i kilka niepełnych). Można podnieść opłaty dla wynajmujących lokale w budynkach należących do ZG PZKO, wynająć Dziuplę, wydzierżawić restaurację Formanka. Ważną sprawą jest też sprzedaż Leksykonów PZKO, do tej pory udało ich się sprzedać niewiele. Padła propozycja, by Miejscowe Koła PZKO zakupiły leksykony na prezenty dla swych członków-jubilatów. Podniesiono sprawę opodatkowania Kół na rzecz Biura. Projekt ten zostanie w formie listu przesłany do Miejscowych Kół, muszą go rozpatrzeć same zarządy poszczególnych Kół.

Zadaniem Biura na najbliższy czas jest opracowanie projektu na następny rok, który należy przesłać do Ministerstwa Kultury RC do połowy grudnia. Dyrektor Biura złożył dnia 31 października br. na ręce prezesa ZG PZKO swoją rezygnację.

Członkowie Zarządu Głównego zaznajomieni zostali z krokami podjętymi w celu spłacenia długu i odzyskania hotelu Piast. W tej chwili odbywa się kilka niezależnych od siebie działań. Dom Polski S.A. stara się o pożyczkę w jednym z banków polskich, w sprawie Piasta angażuje się też pewna miejscowa firma, prowadzone są negocjacje w celu realizacji weksla. Zebrani na posiedzeniu postanowili ustanowić komisję, która w węższym gronie ustali, jak należy dalej postępować w sprawie hotelu Piast. W skład tej komisji weszli członkowie Zarządu Głównego i Komisji Rewizyjnej: Jerzy Czap, Halina Gawlas, Stanisław Gawlik, Henryk Jonszta, Jan Kawulok, Bronisław Sołczyk, Roman Suchanek, Wilhelm Zmełty.

C.R.

ŻYDZI W TRZYŃCU

Ostatnio zauważamy, iż historycy coraz większą uwagę poświęcają kwestii żydowskiej na Śląsku Cieszyńskim. Po drugiej wojnie światowej problemu tego na tym obszarze już nie było wskutek fizycznej likwidacji Żydów przez okupanta hitlerowskiego. Żydzi w Cieszyńskiem znajdowali sprzyjające warunki bytowe przede wszystkim w miejskich i przemysłowych ośrodkach regionu. Chociaż na Zaolziu (przedwojenne powiaty Czeski Cieszyn i Frysztat) stanowili zaledwie niespełna 2% (3678 osób w 1930 r.) ogółu ludności, ich obecność, sposób bycia były odczuwalne. Żyli we własnym świecie kulturowo-obyczajowym, mocno trzymając się swej wiary, obyczajów przodków. W życiu codziennym posługiwali się językiem hebrajskim (jidysz), względnie niemieckim, w niemieckich szkołach kształcili też swoje dzieci. Pomimo pozorów nie tworzyli społeczności wewnętrznie jednolitej, podziały miały podłoże religijne. Ich sposób zdobywania środków do życia i stosowane formy wzbogacania się były obce miejscowej ludności i dlatego raczej nie byli lubiani, ale w pełni tolerowani i akceptowani.

Kwestie dotyczące Żydów na Śląsku Cieszyńskim-Zaolziu należą do białych plam w historii tego skrawka ziemi. Do drugiej wojny światowej Żydzi zagadnieniom dokumentacji swego istnienia nie poświęcali większej uwagi. Następnie hitlerowcy nie tylko wyniszczyli cieszyńskich Żydów, ale równocześnie niemalże całkowicie usunęli wszelkie pamiątki ich istnienia, czy to w formie materiałów archiwalnych, muzealnych, czy obiektów sakralnych i ich wyposażeń. Po wojnie głównie ze względu na zanik kwestii żydowskiej oraz z powodów ideologicznych brak było odpowiednich bodźców dla historyków, by zajmować się tym zagadnieniem.

Obecnie stan faktyczny jest taki, że w okresie po drugiej wojnie światowej nikt nie podejmował tematu żydowskiego na tym terenie, w dodatku pozostałe pamiątki ulegały stopniowo doszczętnemu zniszczeniu. Dziś już tylko najstarsi pamiętają cośkolwiek o istnieniu Żydów u nas, zaś dla młodszej generacji są te sprawy niemalże całkowicie nieznane.

Nie zamierzam opracować dogłębnie całego zagadnienia, lecz na przykładzie Trzyńca przypomnieć te sprawy naszemu społeczeństwu, a przy okazji wyprowokować badaczy do zwrócenia na te zagadnienia większej uwagi. Baza źródłowa w szczątkowej formie znajduje się w powiatowych i krajowych archiwach państwowych. Natomiast intensywne próby nawiązania kontaktu z żyjącą jeszcze osobą wyznania mojżeszowego, a pamiętającą czasy przedwojenne, nie prowadziły do celu. Również nie udało się zdobyć na miejscu żadnego materiału źródłowego (piśmienne-

go, fotograficznego itp.) Na szczęście dochował się w Państwowym Archiwum Powiatowym we Frydku-Mistku niepozorny, kilkustronicowy dokument, sporządzony przez okupanta hitlerowskiego, który posłużył do przedstawienia niektórych podstawowych danych o trzynieckich Żydach i sposobie ich likwidacji.

Do XIX wieku Żydom nie wolno było poruszać się i osiedlać na Śląsku Cieszyńskim. Dopiero w połowie XIX wieku Żydzi uzyskali w Austrii pełne równouprawnienie obywatelskie i wyznaniowe. W tych czasach Trzyniec z okolicą stał się atrakcyjnym miejscem do osiedlania się Żydów. Rozwój miejscowej huty żelaza zmieniał stopniowo dotychczasowy sposób bycia miejscowej ludności. Wzrastało zapotrzebowanie na usługi, na opiekę zdrowotną i socjalną, ludziom potrzebna była gotówka. Właśnie te dziedziny były podstawą zatrudnienia społeczności żydowskiej i ich liczba w Trzynieckiem wzrastała. Część z nich znajdywała również zatrudnienie w miejscowej hucie. W 1880 roku żyło w Trzyńcu 45 osób wyznania żydowskiego. W pierwszej połowie XX wieku stan Żydów w Trzynieckiem był następujący:

Gmina	1910		1921		1930	
	1	2	1	2	1	2
Końska	21	0,9	-	-	7	0,2
Leszna Dolna	18	1,1	15	0,8	7	0,3
Łyżbice	-	-	-	-	5	0,3
Niebory	2	0,2	6	0,6	-	-
Oldrzychowice	19	0,9	14	0,7	10	0,5
Trzyniec	76	2,0	101	1,7	138	2,3
Tyra	6	1,2	-	-	-	-
Wędrynia	16	0,6	10	0,4	4	0,1

1 - ilość osób, 2 -% z ogółu mieszkańców

Podczas kiedy w sąsiednich gminach liczba Żydów obniżała się, w Trzyńcu wzrastała i osiągnęła w 1930 roku 2,3% ogółu mieszkańców. Wahania wynikały częściowo z emigracji bezpośrednio po podziale Śląska Cieszyńskiego, w głównej mierze z powodu nieotrzymania od razu przez niektórych Żydów przynależności państwowej, a spisy ludności uwzględniały tylko mieszkańców z czechosłowackim obywatelstwem.

Po względem socjalnym społeczność żydowska w Trzyńcu należała do warstwy średniozamożnej. Struktura zawodowa była nadzwyczaj urozmaicona. Najwięcej osób (około 1/3) trudniło się handlem, 8 osób wy-

kazywało wolne zawody, 5 było stomatologami, 15 pracowało w rzemiośle, wśród nich 2 rzeźników, szewc, piekarz, stolarz, aranżer, 2 właścicieli gospód, 4 właścicieli kamienic, 2 lekarzy, aptekarz, inżynier, rabin. Rodziny liczyły zazwyczaj 3–4 członków, ale były też liczniejsze. Do nich należy rodziny Wassertheil (8), Windholz (7), Brauner (11), Blumenfeld (8), Roth (6), Bander (5).

Ze względu na brak źródeł nie można dokładnie określić narodowości trzynieckich Żydów. Jednakowoż biorąc pod uwagę niemalże wyłącznie niemieckie brzmienie ich nazwisk, używanie na co dzień obok języka hebrajskiego również języka niemieckiego i prowadzenie korespondencji z urzędami głównie w języku niemieckim, można sądzić, że większość zgłaszała narodowość niemiecką. W tym języku kształcili przeważnie swoje dzieci.

Ze wzrostem liczebności społeczności żydowskiej wyłoniła się potrzeba założenia w Trzyńcu Domu Modlitwy, by nie musiano udawać się na nabożeństwa do odległego Cieszyna. Tutaj znajdowała się Żydowska Gmina Wyznaniowa, obejmująca całą południową część Śląska Cieszyńskiego łącznie z Trzyńcem i Jabłonkowem. W pierwszych latach XX wieku powstała w mieszkaniu Rotha pierwsza świątynia, w której trzynieccy Żydzi mogli zbierać się i praktykować obrzędy religijne.

W związku z podziałem w 1920 roku Śląska Cieszyńskiego powstały poważne kłopoty z cieszyńską Żydowską Gminą Wyznaniową. Jej siedziba została po drugiej stronie Olzy w Cieszynie i należało szybko rozwiązać kilka palących spraw. Zagadnienie założenia samodzielnej Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Czeskim Cieszynie i rozwiązanie wszystkich spraw wypływających z powstania granicy państwowej na Olzie załatwiono na spotkaniu przedstawicieli czechosłowackich krajowych władz państwowych, Żydów z prawej strony i lewej strony Olzy w dniu 4 listopada 1920 w Czeskim Cieszynie.

Postanowiono założyć samodzielną Żydowską Gminę Wyznaniową w Czeskim Cieszynie dla południowej części Zaolzia oraz rozwiązano sprawy podziału majątku, sprawy cmentarne, kościoła, prowadzenia metryki, nauczania religii, rytualnych obrządków, usług wyznaniowych.

Wyłoniono specjalny Komitet do opracowania statusu ŻGW i przygotowania Zebrania Konstytuującego. Członkiem Komitetu był również Jakub Steiner, kupiec z Trzyńca. W dniu 7 lipca 1922 Krajowy Urząd do spraw Politycznych w Opawie zatwierdził na podstawie § 29 ustawy z dnia 21 marca 1890 zb. nr 57 i § 2 lit. C rozporządzenia Ministerstwa Szkolnictwa i Oświaty Narodowej z dnia 18 marca 1897 przedłożony statut powstałej ŻGW w Czeskim Cieszynie. Na Konstytuującym Walnym Zgromadzeniu 28 stycznia 1923 wybrano 16-osobowy Zarząd z prezesem Gotliebem Zuckermandelem z Czeskiego Cieszyna na czele. Od drugiej połowy lat 20. członkami Zarządu ŻGW byli też przedstawiciele

trzynieckich Żydów: Josef Heitlinger, Ignac Brauner, Josef Löschner, Ignac Roth, Adolf Steiner. Stopniowo unormowano w ramach Gminy sprawy prowadzenia metryki, nauczania religii, usług wyznaniowych, cmentarza i inne.

Trzynieccy Żydzi nie byli w pełni zadowoleni z działalności ŻGW w Czeskim Cieszynie. Dążyli do usamodzielnienia się. Sytuacja materialna umożliwiła im wybudowanie w Trzyńcu niedużej, lecz pięknej pod względem architektonicznym synagogi, którą uroczyście otwarto w 1930 roku. W roku następnym trzynieccy Żydzi zwrócili się do Ministerstwa Szkolnictwa i Oświaty Narodowej z prośbą o zezwolenie na założenie samodzielnej Żydowskiej Gminy Wyznaniowej z siedzibą w Trzyńcu.

Zamiar ten spotkał się z kategorycznym sprzeciwem czeskocieszyńskiej ŻGW. Swoje stanowisko wobec trzynieckiej prośby wyraziła w liście z 22 kwietnia 1931 do Ministerstwa Szkolnictwa i Oświaty Narodowej. Zaraz na wstępie ŻGW stwierdza: *że nowe założenie Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Trzyńcu równałoby się całkowitej zagładzie naszej gminy wyznaniowej w Czeskim Cieszynie (...) Że sobie członkowie trzynieccy w ubiegłym roku wybudowali nową synagogę, nie uprawnia ich jeszcze do założenia własnej gminy wyznaniowej. Założeniem własnej gminy wyznaniowej w Trzyńcu z obwodem, do którego mają należeć najważniejsze gminy naszego obwodu: Końska, Bystrzyca nad Olzą, Jabłonków i inne, byłaby nasza siła żywotna całkowicie sparaliżowana (...). Jest to atak pochodzący od kilku ambitnych członków trzynieckich – a z drugiej strony jest jasne, że i nowa gmina wyznaniowa nie byłaby zdolna do samodzielnego istnienia, bo z własnych środków nie mogłaby zaspokoić potrzeb kulturalnych swoich członków (...). Wnioskujemy i prosimy, aby Wysokie Ministerstwo prośbę o założenie ŻGW w Trzyńcu odrzuciło.* Ministerstwo Szkolnictwa i Oświaty Narodowej decyzją z dnia 21 kwietnia 1931 nie zezwoliło na założenie samodzielnej Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Trzyńcu z powodu braku warunków po temu.

Żydzi trzynieccy prowadzili własne życie kulturalno-oświatowe oraz brali udział w miejscowym życiu społeczno-politycznym. Sprawy kulturalno-oświatowe i narodowe załatwiało Publiczne Żydowskie Towarzystwo Wyznaniowe w Trzyńcu (Veřejný židovský náboženský spolek - Bethausverein). Zabiegali też o swych przedstawicieli w organach wybieralnych w Trzyńcu. Na przykład w 1938 roku w wyborach komunalnych w Trzyńcu wystawili własną listę kandydatów, uzyskując 85 głosów i jednego radnego w przedstawicielstwie miejskim (Moric Kögler, ślusarz, Trzyniec 526).

Działalność sportową uprawiali w ramach żydowskiego klubu sportowego w Cieszynie (Polska).

W okresie międzywojennym zaczęły do trzynieckiej społeczności ży-

dowskiej przenikać niektóre pierwiastki kulturowe miejscowego ludu śląskiego. Spotykamy też częstsze wypadki zawierania mieszanych małżeństw żydowsko-chrześcijańskich.

Sprawę pochówku zmarłych załatwiono w ten sposób, że na cmentarzu komunalnym w Trzyńcu uzyskali stałe miejsce do własnej dyspozycji. Wiadomo, że w latach 1932-1937 pochowano tu 11 zmarłych Żydów.

W drugiej połowie lat trzydziestych coraz głośniej było o okrutnych prześladowaniach Żydów w rzeszy niemieckiej. Przed zbliżającą się zawieruchą dziejową kilkuset Żydom udało się umknąć z Trzyńca. Niestety ich nazwisk i liczby nie można już dziś w żaden sposób stwierdzić.

Faszyści hitlerowscy zaraz w pierwszym dniu okupacji 1 września 1939 mocno zaakcentowali swój stosunek do Żydów. Rozpoczęli od spalenia i zburzenia synagogi żydowskiej. Jednym z pierwszych zarządzeń nowych władz było zamknięcie sklepów żydowskich, opatrzenie ich odpowiednimi tabliczkami - „Jüdisches Geschäft" i odebranie kluczy od nich przez wyznaczonych zarządców. Rozpoczął się zwykły rabunek, dokonywany przez tych, którzy mieli się skonfiskowanym mieniem żydowskim „opiekować". W pierwszych dniach wydano też zarządzenie o obowiązku zgłaszania się Żydów do pracy fizycznej. Pracowali przy naprawie mostów i dróg, przy porządkowaniu ulic, kobiety sprzątały opustoszałe szkoły, budynki publiczne. Nieco później Żydzi musieli nosić oznaki swej przynależności rasowej. Była to opaska z białego płótna, na środku miała dużą żółtą gwiazdę Syjonu obramowaną czarną linią. W wewnętrznym polu gwiazdy znajdowała się duża litera „J" („Jude" - Żyd). Opaski noszono na lewym ramieniu.

Mieszkań żydowskich hitlerowcy początkowo nie konfiskowali i nie rabowali, z wyjątkiem tych, których właściciele wyjechali z miasta. Akcja usuwania Żydów z mieszkań i skupiania ich w określonych punktach miasta w celu późniejszej wywózki nie przebiegała jednolicie i nie była dokonana w jednym czasie. Wywózki Żydów odbywały się w ten sposób, że wieczorem pod domy podjechały policyjne ciężarowe samochody z budami, do których napędzano żydowskie rodziny, pozwalając im zabrać ze sobą tylko podręczny bagaż... Rodziny żydowskie mieszkające pojedynczo w kamienicach chrześcijańskich otrzymywały imienne wezwanie do stawienia się w ściśle określonym czasie i miejscu z podręcznym bagażem do 20 kg.

Zastałą sytuację wykorzystywali również miejscowi obywatele dla załatwienia osobistych porachunków. „Porachunki" takie przybierały czasem drastyczne formy czy to ze względu na zaspokojenie aktu zemsty, czy też celów czysto materialnych. Były też przykłady odwrotnego postępowania - niesienia pomocy prześladowanym i poniewieranym Żydom trzynieckim.

Urzędy niemieckie różnymi rozporządzeniami utrudniały jeszcze bar-

dziej życie Żydom. Na przykład w marcu 1940 wydał starosta powiatowy rozporządzenie, na podstawie którego wszyscy Żydzi byli zobowiązani przebywać w swych mieszkaniach od godziny 19,00 do 7,00 rano. Zakupy w sklepach i na targowiskach mogli załatwiać tylko w godzinach od 10,30 do 12,00.

Zgodnie ze swym programem rasistowskim – likwidacji fizycznej wszystkich Żydów, przystąpili hitlerowcy do spełnienia tego zadania w Trzyńcu właściwie w pierwszych dniach okupacji. Według wspomnianego już dokumentu - wykazu Żydów trzynieckich, sporządzonego w połowie września 1939 roku przez hitlerowców, mieszkało w Trzyńcu ogółem 121 Żydów w 40 rodzinach. Wśród nich było 59 osób płci męskiej, 63 płci żeńskiej, 14 dzieci do 14 lat, dwóch wdowców, 12 wdów, jeden rozwiedziony, 3 rozwódki.

Z notatek na wymienionym dokumencie wypływa, że wywózki trzynieckich Żydów w celu ich likwidacji przebiegały w latach 1939-1941 w ten sposób: 27 października 1939 - odtransportowano 23 osób, 2 grudnia 1939 wywieziono na Słowację 6 osób i do Krakowa 2 osoby, 10 grudnia 1939 wywieziono do Morawskiej Ostrawy 2 osoby, 4 stycznia 1940 wywieziono do Zatora 2 osoby, do Gorlic jedną osobę, 28 marca 1940 odtransportowano 6 osób, do Andrychowa jedną osobę, 22 maja 1940 wywieziono do Zawiercia 17 osób, 10 czerwca 1940 wywieziono do Myszkowa 17, do Sosnowca 2 osoby, 11 lipca 1940 wywieziono do Rybnika jedną osobę. U 35 osób brak jakiejkolwiek uwagi o terminie i sposobie wywózki, w 3 wypadkach stwierdzono, że 1 września 1939 osoba zniknęła.

Dziś już trudno stwierdzić, ilu dokładnie trzynieckich Żydów zginęło z rąk oprawców hitlerowskich w różnych kaźniach, a ilu udało się przeżyć. „Almanach obětí nacismu v letech 1939-1945 v okrese Frýdek-Místek" przytacza 72 nazwisk ofiar z szeregów trzynieckich Żydów, wydaje się jednak, że lista ta nie jest pełna i ofiar było więcej.

W każdym razie po drugiej wojnie światowej Żydzi niemalże całkowicie zniknęli z Trzyńca, mieszka tu pewna liczba potomków pochodzących ze spokrewnionych małżeństw w czasach przedwojennych. W 1960 roku jeszcze 4 osoby wyznania żydowskiego z Trzyńca były członkami zboru synagogalnego w Czeskim Cieszynie. W latach następnych zbór ten zanikł ze względu na brak członków.

Zniknęli nie tylko Żydzi w Trzyńcu, ale niszczeją i giną wszelkie pamiątki po nich. Jeszcze w 1992 roku ostał się na cmentarzu trzynieckim jeden żydowski grób z charakterystycznym nagrobkiem oraz kilka bezładnie powalonych nagrobków żydowskich. Obecnie (1997 rok) nawet te ostatnie ślady zniknęły.

Nie świadczy to dobrze o nas, o władzach miejskich, jeśli chodzi o stosunek do przeszłości, o szacunek do historii.

STANISŁAW ZAHRADNIK



Ostatni pomnik żydowski na cmentarzu w Trzyńcu (1993)

OLZA – RZEKA ZAPOMNIANA?

Ta nasza Olza jest jednak piękną rzeką! Nagłym skrętem wpada koło Zoducha na terytorium konszczyńskie, rzuca się na wystającą w wodę nadbrzeżną wysoką skałę, porywa ją w pół jak młoda dziewczyna starego dziada do tańca, toczy się koło niego, wirem głębokim podrywa mu stopy i znów dalej leci, aż koło młyna ponownym rzutem skręca się i prosto już teraz po stopniach maleńkich kataraktów, jakie każda rzeka, płynąca z gór, tworzy, zeskakuje wśród szpalerów wysokich brzegów, chichocze srebrnymi falami, aż za Cieszynem ustatkuje się i jak dobrze wychowana córka łączy się przy Boguminie ze swoją matką Odrą.

Tak opisywał w połowie XIX wieku ukochaną Olzę, księżniczkę cieszyńskiego Podbeskidzia, w „Pamiętniku starego nauczyciela" (1929), Jan Kubisz, autor hymnu cieszyniaków „Płyniesz, Olzo...".

Jest to rzeka dość niezwykła, niezbyt długa (99 km) o niewielkim dorzeczu (1124 km^2). Swój początek bierze na wysokości 810 m n.p.m. blisko źródeł królowej polskich rzek Wisły, w okolicach Gańczarki i Ochodzitej. Prawdopodobnie 7 źródłowych potoczków daje początek Olzie. Po przepłynięciu 16 kilometrów za Istebną Olza opuszcza Polskę, 615 m niżej, prowadząc w tym miejscu przeciętnie 12,5 m^3/s wód[1].

Obecnie wskutek zanieczyszczeń i prawie w 90% poboru wody z niej przez hutę Trzyniec, w korycie płyną nędzne resztki tej pięknej cieszyńskiej rzeki. Jedynie wiosną podczas roztopów lub w czasie „świętojanki" bądź ulewnych deszczy, trwających nieraz do połowy lipca, Olza gwałtownie przybiera o 3–4 m i więcej, nierzadko wdzierając się na nadbrzeżne bulwary polskiego i Czeskiego Cieszyna. Zdolna jest też porwać mosty, co czyniła już kilkakrotnie, ostatnio na początku 70 lat (fot.). W czasie tegorocznej powodzi maksymalny poziom wody w Olzie (4,02 m) stwierdzono już 6 lipca po południu. Był on „tylko" o 172 cm wyższy od stanu alarmowego rzeki, dzięki czemu Cieszyn z tej powodzi wyszedł „obronną ręką". W dolnym odcinku biegu rzeki, wskutek wezbrań licznych jej dopływów Olza była już mniej łaskawa, przez co zalała znacznie obszary rejonu Karwiny, Dolnej Lutyni i Bogumina.

Trzeba tu bowiem wiedzieć, że Olza, podobnie jak inne rzeki o charakterze górskim, posiada niewielkie spływy jednostkowe dla tzw. wód małych (q1), natomiast bardzo duże dla wód wielkich (q4).

O wielkości wód powodziowych Olzy świadczy obliczona dla niej wielkość wody stuletniej (Q4), wynoszącej aż 960 m3 * s–1, co stanowi niemal połowę średniego przepływu Dunaju pod Bratysławą (!). Oznacza to 1200-krotną wielokrotność największych wód katastroficznych (Q4) w stosunku do corocznego stanu wód średnich niskich (Q1). Jak wynika z tabeli 1, inne górskie rzeki Karpat (górna Wisła i Odra, Dunajec czy Ostrawica) stosunek ten mają 2–3 krotnie mniejszy. Znamiennie to



Połów ryb w Olzie *rys. TADEUSZ KUBISZ*

świadczy o „dzikości" i nieobliczalności w skutkach naszej pozornie leniwej rzeki, budzącej się co jakiś czas z letargu.

Pomimo relatywnie niewielkiej długości Olza posiada kilkanaście większych i mniejszych dopływów, głównie potoków spływających z pobliskich Beskidów. Do największych po czeskiej stronie należą: Łomna, Lesznica, Ropiczanka i Stonawka, a z polskich Puńcówka, Bobrówka i Piotrówka. Przepływa ona środkiem ziemi cieszyńskiej czterokrotnie zmieniając swoją przynależność państwową (polsko-czeską) i dwukrotnie swoją nazwę (polska Olza i czeska kuriozalna Olše). W środkowym biegu pod Cieszynem jest ponadto rzeką graniczną (od 1920 r.). Od tej nazwy powstał subregion ziemi cieszyńskiej – osławione Zaolzie[2], nierozstrzygnięty przedmiot sporu Czechów i Polaków.

Nic dziwnego, że poza Janem Kubiszem wielu poetów (Węgrzyn, Bura) sławiło tę rzekę, opiewając jej uroki, a zwłaszcza niekwestionowany symbol polskości Śląska Cieszyńskiego z Zaolziem włącznie.

Kiedyś Olza była piękną malowniczą rzeką z licznymi jazami, pod którymi można było się kąpać i łowić ryby. Oddajmy tu głos Janowi Kubiszowi, który ją zapamiętał z dzieciństwa w Końskiej:

Brzegi Olzy są prawie wszędzie wysokie, podmurowane zwykle skałą, są albo pochyłe, a wtedy porosłe drzewami i krzewinami, albo prostopadłe, a wtedy poszarpane i u górnej krawędzi drzewami obramowane, których korzenie ogołocone plączą się, albo spadają jak war-

kocze do wody i muskają jej fale. Nie ciągną się jednym szeregiem, ale idą w przerwach zygzakiem i tworzą, jak się już rzekło, szpaler. Naprzeciw każdego brzegu odkrywa się szeroki kamieniec, zarosły wierzbiną lub białą olchą, gdzie woda podczas powodzi dowolnie się rozlewa. Najpiękniejszym atoli miejscem nad Olzą była „sigoć", której już teraz darmo szukać, bo ją woda zerwała i uniosła. Był to przy wysokim, spadzistym brzegu szeroki, długi szmat ziemi, niby ławica dosyć wysoka, że jej powódź nie dosięgała, porosła wysokiemi drzewami. Ciągnęła się pod naszą chałupą dosyć daleko; pod samą chatą była wielka „zagroda", a dalej dęby, lipy, jawory, podszyte różną krzewiną, a brzeg okolony zagajnikiem białej, młodej olchy. Nad wody zwierciadłem widziałeś smugę błękitną i słyszałeś pisk przeciągły: To zimorodek tym cudnym blaskiem tumanił rybki i przestraszał piskiem, aby je tem łatwiej pochwycić i pożreć. A nad tem wszystkiem spływały głosy ptasie.

Olza była niegdyś nie tylko czystą rzeką, ale i bogatą w ryby. Mówią o tym liczne przekazy historyczne oraz wspomnienia mieszkańców nadolziańskich wiosek. Oddajmy ponownie głos Janowi Kubiszowi, autorowi „Pamiętnika starego nauczyciela", który tak charakteryzuje ówczesny stan ichtiofauny Olzy:

Olza jest dość rybną rzeką. Do najpospolitszych ryb należą „lalce"[3], „podustwy"[4] i okonie. Pstrąg jest tu gościem tylko, który z powodzią schodzi w dół, ale że ma tu zbyt ciepło, prędko do zimnych górskich potoków powraca. A trzeba mu się śpieszyć, by się nie stać łatwym łupem tych, co na niego czatować umieją. "Lalec" jest bardzo miłą, piękną rybą: srebrzysty z czerwonymi płetwami. Pływa korowodem po powierzchni wody i nadzwyczaj ożywia rzekę. Podustwy idą znów po dnie rzeki, łyskają prawie ciągle, jakby chciały tę mroczną głębię oświecić i zdobycz mieć łatwiejszą. Okonie zaś są rzadsze i lubią w głębokiej wodzie swoje kręgi zataczać. Oznaką obfitości ryb było mnóstwo mew „rybiorek", które ciągle niby białe gołębie nad rzeką latały lub w wodzie za łupem brodziły. Widziałeś też często zimorodka, co siedząc nieruchomie na gałązce, wiszącej nad wodą, na niebaczne rybki czatował. Po kamieńcu zaś wartkiem rzutem biegały kuligi, a nocą i wydry rzucały się w wodę, co nieraz do dziwnych powieści za temat służyło. Wszystko tu się sprzęgło i ludzie, i zwierzęta, aby te rybki pożreć i wyniszczyć.

Ichtiolodzy dotąd wyróżniali w Olzie 3 strefy rybne:

a) górską - o spadku 43,2%., obejmującą odcinek od źródeł po Bystrzycę na Zaolziu. Za wyjątkiem partii źródliskowych znajdują się tu tarliska pstrąga potokowego oraz znaczne ilości kiełbi, świnki, strzebli, głowacza pręgopłetwego, a niżej sporadycznie nawet pstrąga tęczowego (uciekiniera z ośrodków zarybieniowych np. w Jabłonkowie).

b) podgórską - o średnim spadku 4%. od Bystrzycy poprzez Trzyniec, Cieszyn aż do Darkowa. Aktualnie strefa najsilniej zanieczyszczona ściekami przemysłowymi, głównie z huty w Trzyńcu. Dawniej poza bogactwem ryb rzecznych spotykano tu dużego pstrąga-samotnika a także szczupaki i świnki.



Po lipcowej powodzi w roku 1970

c) nizinna – o średnim spadku jednostkowym 1,6%. obejmująca dolny odcinek od Darkowa aż po ujście do rzeki Odry. Strefa nieco mniej zanieczyszczona, wskutek czego znaleźć tu można klenia, jazia, strzeblę, śliza oraz płoć, okonia a sporadycznie nawet wzdręgę, różankę i ukleję. Wędkarze łowią czasem uciekinierów z pobliskich stawów – karpia a nawet lina czy karasia.

Ciekawostką ichtiologiczną jest występowanie w Olzie tylko 2 krain rybnych: pstrąga i brzany, przy braku krainy lipienia. Odcinek krainy brzany, zajmowany w Olzie przez strefę podgórską (b) można byłoby środowiskowo zaliczyć do krainy lipienia. Taki stan rzeki z lat 1953–54[5] rejestrował zaolzianin prof. Eugeniusz Bałon, absolwent polskiego gimnazjum w Orłowej i PF Uniwersytetu Karola w Pradze, obecnie emerytowany profesor Uniwersytetu w Guelph (Kanada). Stwierdził on wtedy w Olzie występowanie jeszcze 18 gatunków ryb, w zdecydowanej większości (14) ryb karpiowatych, głównie reofilnych (rzecznych) zamieszkujących dolną strefę rzeki, tzw. krainę brzany. Z pozostałych gatunków prof. E. Bałon wymienia pstrąga potokowego, okonia, śliza oraz dwa dość rzadkie już gatunki głowaczy (biało- i pręgopłetwego). Nie znalazł on już wtedy w rzece ryb opisanych przez J. Kubisza – szczupaka i masowo występującego jelca (no i wydr).

Dziś niestety nie uświadczymy w Olzie bogactwa ryb sprzed lat, aczkolwiek stan ichtiofauny tej rzeki prawdopodobnie od lat kompleksowo nie był badany.

Wobec braku własnej oczyszczalni ścieków Huta w Trzyńcu jest głów-

nym sprawcą katastrofalnego zanieczyszczenia rzeki Olzy, niemalże od czasów wojny (w 1947 r. huta produkowała 0,6 mln t, a od lat 70. produkcja wynosi 3,5 mln t stali). Na długości 1 km koryto rzeki wykorzystane jest jako element hutniczego systemu recyrkulacyjnego (16-krotny chłodniczy obieg z rosnącym zanieczyszczeniem). Woda rzeki, przegrodzona jazem w Końskiej dodatkowo, nie może swobodnie odpływać, przez co na dnie koryta osadzają się trujące ścieki. A są one wyjątkowo zjadliwe, trudne do neutralizacji, przez co niezmiernie groźne dla środowiska (głównie fenole, cyjanki, związki metali ciężkich, siarczany, azotany i in.). W czasie powodzi czy wiosennych roztopów huta wzorem dotychczasowych niechlubnych praktyk otwiera jaz, wskutek czego zgromadzone ścieki wraz z tysiącami ton osadów spływają w dół rzeki. Po drodze Olza dodatkowo „zasilona" zostaje agresywnymi chemicznie solankami z uzdrowiska w Darkowie, przez co do Odry (także już zatrutej przemysłem ostrawskim) wpływają olbrzymie ilości zanieczyszczeń. Fatalną jakość wód Olzy potwierdzają wyniki analiz Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Bielsku-Białej, prowadzącego co miesiąc monitoring 11 rzek Podbeskidzia, w tym także 12 km granicznego odcinka Olzy. Pomimo wybudowania ostatnio w dorzeczu Olzy kilku oczyszczalni ścieków komunalnych, m.in. w polskim Cieszynie, wszystkie dotychczasowe analizy wykazują w rzece wodę pozaklasową, nie odpowiadającą nawet najgorszej III klasie czystości wód powierzchniowych (wg polskiej normy).

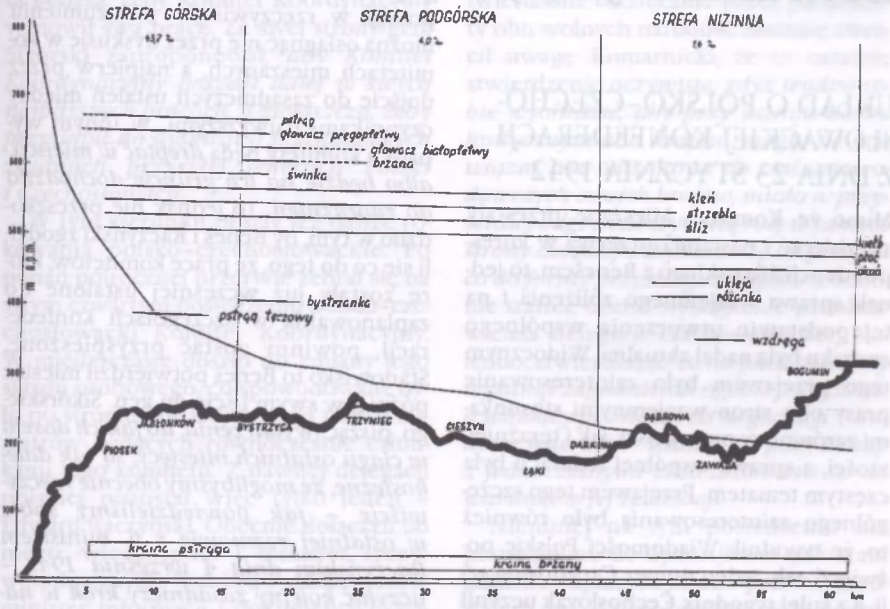
Miejmy jednak nadzieję, że z czasem po wybudowaniu nowych oczyszczalni i wdrożeniu w rejonie Stonawy - Karwiny - Bogumina, ekologicznych technologii przemysłowych wrócą Olzie czyste wody, życie biologiczne, dawna ichtiofauna i utracone piękno.

JANUSZ GUZIUR

1. Dane czeskie i polskie różnią się między sobą.
2. Gwoli ścisłości Olza pod Istebną także przepływa przez ... Zaolzie (miejscowa nazwa doliny rzeki).
3. Lalec - regionalna nazwa jelca (leuciscus leuciscis L.), czeskie = jelec - proudnik.
4. Podustwa - regionalna i słowacka nazwa świnki (chondrostoma nasus L.), czeskie = ostroretka.
5. RNDr Eugeniusz Bałon, Ichtiologiczna charakterystyka rzek Olzy i Łucyny, w: Księga pamiątkowa „50 lat 11-letniej Szkoły Średniej w Orłowej" Czeski Cieszyn 1959, s. 55-63.

Prof. nadzw. dr hab. Janusz Guziur - inż. ichtiolog, ur. 1939 w Cieszynie, syn prof. Emanuela Guziura (1908-1989), do roku 1949 na Zaolziu, absolwent gimnazjum im. A. Osuchowskiego w Cieszynie (1956), studia ichtiologiczne w WSR-ART Olsztyn (1956-62), nauczyciel akademicki a od 1996 r. Dziekan Wydziału Ochrony Wód i Rybactwa Śródlądowego ART Olsztyn, współzałożyciel oraz prezes (od 1983) Koła Cieszyniaków MZC w Olsztynie.

Rozmieszczenie ryb w Olzie, profil rzeki, krzywe spadków jednostkowych oraz podział na krainy rybne (E. Bałon, 1959)



Charakterystyka przepływu (m3 x s-1) Olzy, Odry, Dunajca i Ostrawicy

Rzeka (przekrój pom.)	Zlewnia km2	Przepływy charakterystyczne*		
		Q1	Q4	Q1:Q4
Olza (ujście do Odry)	1124	0,8	960	1:1200
Dunajec (ujście)	6958	8,0	4000	1:500
Odra (Bogumin)	4715	1,24	1615	1:338
Ostrawica (ujście)	804	1,24	1115	1:899

*** Q1 – stan średni niski (niemal coroczny)**
Q4 – stan absolutny najwyższy (naj. woda katastrofalna)

FEDERACJA CZY KONFEDERACJA (4)

UKŁAD O POLSKO-CZECHOSŁOWACKIEJ KONFEDERACJI Z DNIA 23 STYCZNIA 1942

Mimo że Komitety Mieszane przestały się zbierać i nastąpiła przerwa w korespondencji Sikorskiego z Benešem, to jednak sprawa wzajemnego zbliżenia i na tej podstawie utworzenia wspólnego związku była nadal aktualna. Widocznym tego przejawem było zainteresowanie prasy obu stron wzajemnymi stosunkami zarówno w przeszłości, jak i teraźniejszości, a sprawa wspólnej federacji była częstym tematem. Przejawem tego szczególnego zainteresowania było również to, że tygodnik Wiadomości Polskie poświęcił cały jeden numer Czechosłowacji, a z kolei tygodnik Čechoslovák uczynił tak samo, poświęcając cały numer Polsce. Trzeba do tego dodać, że żadna ze stron nie uczyniła tego wobec innego państwa.

Tymczasem rokowania w sprawie federacji wznowiono jesienią 1941 roku. Zasadnicze znaczenie miała tu wizyta Edwarda Raczyńskiego, ambasadora, a obecnie już także kierownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, jaką złożył on Benešowi w dniu 4 września. W czasie tej wizyty Beneš miał oświadczyć, że obecnie jest *historyczna chwila*, której ani Polska, ani Czechosłowacja nie powinny przepuścić bez uczynienia wszystkiego, co możliwe, w celu osiągnięcia *raz na zawsze* wspólnego porozumienia; miał też obiecać, że uczyni w tej sprawie wszystko, co w jego mocy.

W sprawie wspólnego polsko-czechosłowackiego związku Beneš powiedział, że *trudność leży w celowym i rozumnym dostosowaniu naszych koncepcji: polskiej politycznej i czechosłowackiej gospodarczej (...)*. Uważał przy tym, że postęp w rzeczywistym porozumieniu można osiągnąć nie przez dyskusje w komitetach mieszanych, a najpierw przez dojście do zasadniczych ustaleń między czynnikami najwyższymi. W innym wypadku komitety będą *dreptać w miejscu, albo będzie na ich gruncie dochodziło do zadrażnień*. To jednak nie przeszkodziło w tym, by Beneš i Raczyński zgodzili się co do tego, że prace komitetów, które zostały już wcześniej ustalone do zaplanowania w szczegółach konfederacji, powinny zostać przyśpieszone. Stanowisko to Beneš potwierdził miesiąc później w swym liście do gen. Sikorskiego, pisząc: *Wydarzenia, do jakich doszło w ciągu ostatnich miesięcy, są tak dalekosiężne, że moglibyśmy obecnie rzeczywiście – jak powiedzieliśmy sobie w ostatniej rozmowie z p. ministrem Raczyńskim dnia 4 września 1941 – uczynić kolejny zasadniczy krok w naszych wzajemnych rokowaniach.* Tego samego zdania był gen. Sikorski. Odpowiadając w dwa tygodnie później Benešowi, napisał: *życzę sobie przede wszystkim wyrazić nadzieję, że przerwa, jaka nastała w następstwie wydarzeń niezależnych od naszej obustronnej woli, w rozmowach polsko-czechosłowackich, pozwoliła, abyśmy poszerzyli swoje poglądy na temat przyszłości obu naszych krajów i że okaże się użyteczną w czasie obrad, które moim zdaniem, muszą teraz być kontynuowane w szybkim tempie.* Sikorski zwrócił też uwagę, że dalsze zwlekanie z konkretnymi decyzjami, które wyszłyby poza ogólnikowe zasady zawarte we wspólnej deklaracji rządów z dnia 11 listopada 1940 roku, może wywołać *zniechęcenie opinii publicznej obu naszych krajów, a w na-*

stępstwie tego – zresztą zupełnie niesłuszny – sceptycyzm co do możliwości organicznej współpracy polsko-czechosłowackiej. Wreszcie polski premier wyraził zadowolenie z propozycji prezydenta Beneša, żeby Komitet Koordynacyjny wznowił swą pracę. Ze swej strony gen. Sikorski zaproponował, *aby Komitet Koordynacyjny poszedł dalej w swych najbliższych pracach, a zwłaszcza, żeby przystąpił do dyskusji o podstawowych zasadach przyszłej federacji Polski i Czechosłowacji.*

W tym kierunku poszły też dalsze rokowania polsko-czechosłowackie. Po ponad półrocznej przerwie zebrał się na swym czwartym posiedzeniu polsko-czechosłowacki Komitet Koordynacyjny. W międzyczasie doszło do zmiany jego składu osobowego, co spowodowane było po stronie polskiej dymisją trzech ministrów będących równocześnie członkami tego komitetu. Z dawnej delegacji polskiej pozostał więc tylko jeden – Edward Raczyński. Obecnie dołączyli do niego: wicepremier i minister spraw wewnętrznych Stanisław Mikołajczyk, minister informacji i dokumentacji Stanisław Stroński, minister skarbu oraz przemysłu i handlu Henryk Strasburger i minister sprawiedliwości Karol Popiel. W delegacji czechosłowackiej do wcześniejszych członków Ripki, Slavika i Feierabenda dołączyli obecnie ministrowie Nemec i Stransky. W tym składzie wznowiono posiedzenia Komitetu Koordynacyjnego, z których pierwsze odbyło się dnia 4 listopada. Zebranie to wypełniły dwie sprawy: exposé przewodniczącego delegacji czechosłowackiej Huberta Ripki oraz przedstawienie tez konstytucyjnych przez przewodniczącego delegacji polskiej Edwarda Raczyńskiego. W sprawach bezpośrednio dotyczących przyszłego związku Ripka zwrócił uwagę na konieczność wyjaśnienia różnic polityczno-gospodarczo-kulturalno-społecznych między obu państwami, bez czego, jego zdaniem, ostateczna wersja unii nie może być opracowana. Stwierdził on, że projekty, które oba rządy zaczną obecnie przygotowywać, będą musiały być zatwierdzone ostatecznie przez parlamenty obu wolnych narodów. Słusznie zwrócił uwagę Komarnicki, że to ostatnie stwierdzenie *oczywiste, gdyż trudno sobie wyobrazić, aby przy ustroju demokratycznym obu krajów, mogły się one wiązać bez odwołania do ciał ustawodawczych swoich krajów, miało w przyszłości odgrywać wybitną rolę w taktyce strony czeskiej uchylania się od precyzji co do formy przyszłego związku.* Podobnie trafnie ocenił wystąpienie przedstawiciela delegacji czechosłowackiej Kolendo, stwierdzając, że *na plan pierwszy wysunął zagadnienia ogólnopolityczne, a wiodący problem i cel negocjacji – budowę federacji – usunął na plan dalszy z jednoczesnymi zastrzeżeniami co do warunków jej realizacji.*

Niemniej na tym posiedzeniu nie przystąpiono do dyskusji nad referatem ministra Ripki, ale strona polska przedstawiła swoje tezy konstytucyjne oparte na ukończonym już w maju projekcie Zasad Aktu Konstytucyjnego Związku Polski i Czechosłowacji. Raczyński w swym przemówieniu zaznaczył, że zagadnienia polityczne muszą górować nad gospodarczymi, co niejako dowodził stwierdzeniem, że na Polsce i Czechosłowacji spoczywa *organizacja nowej Europy, trwałej i żyjącej w pokoju, Europy zdolnej do życia.*

Również nad polskim projektem nie rozpoczęto dyskusji, co miało nastąpić dopiero na następnym posiedzeniu Komitetu Koordynacyjnego, na którym ponadto strona czechosłowacka miała przedstawić swój projekt związku polsko-czechosłowackiego. Projektodawcy czechosłowaccy oparli się przede wszystkim na tezach zawartych w memoran-

dum prezydenta Beneša, nieznacznie tylko je rozwijając. Przygotowany przez nich projekt pt. „Podstawowe Zasady Konfederacyjnego Związku Czechosłowacji i Polski" (Základní principy o konfederační associaci Československa a Polska) opowiadał się zatem za związkiem państw, czyli konfederacją i to w charakterze konsultatywnym. Miał to być przede wszystkim związek *między(...)państwami niezależnymi ze swą własną suwerennością; poszczególne państwa mają więc swe własne głowy państw, rządy, parlamenty i inne organy konstytucyjne, swą własną władzę ustawodawczą i sądową oraz własne armie. Natomiast wykonywanie swej własnej suwerenności ograniczają we wszystkich sprawach, w których porozumieją się co do koordynacji swych polityk.* Projekt nie przewidywał powołania wspólnych organów wykonawczych, a tylko wspólnych komisji konsultacyjnych, które koordynowałyby politykę w niektórych dziedzinach. Taki charakter miały mieć: Rada Dyplomatyczna Konfederacji, Konfederacyjny Sztab Główny, Rada Wojskowa Konfederacji i Rada Gospodarcza Konfederacji. Radę Dyplomatyczną mieli tworzyć ministrowie spraw zagranicznych, którzy zbieraliby się cztery razy w roku. Radę Wojskową Konfederacji mieli tworzyć ministrowie wojny i oddzielnie utworzony Konfederacyjny Sztab Główny, a Rada Gospodarcza Konfederacji składać się miała z ministrów resortów gospodarczych, a więc głównie finansów, handlu, rolnictwa, komunikacji i opieki społecznej.

Natomiast naczelnym organem konsultacyjno-koordynacyjnym miała zostać Rada Konfederacyjna, która składałaby się z premierów, ministrów spraw zagranicznych, wojny i gospodarstw narodowych. Rada Konfederacyjna miała się zbierać dwa razy w roku. Podjęte przez nią rezolucje miały być później uchwalone przez poszczególnych członków konfederacji. Organem quasi ustawodawczym miała być Delegacja Parlamentarna. Jak mówi nazwa, składałaby się ona z delegacji poszczególnych parlamentów, w równej ilości z każdego państwa (inaczej więc aniżeli w projekcie polskim). Jej zadaniem byłoby przygotowywanie wniosków ustawodawczych dotyczących wspólnych spraw. Inicjatywa ustawodawcza miała należeć również do Rady Konfederacyjnej.

W sprawach gospodarczych projekt postulował zaprowadzenie zasady jednolitych ceł w stosunku do państw, które nie są członkami konfederacji, jak również zawieranie umów gospodarczych po uprzednim wspólnym porozumieniu. Tak jak w polskim projekcie mówiono o wolności poruszania się po terytorium konfederacji, ale już bez swobody osiedlania się. Projektowano także stworzenie odpowiedniego aparatu administracyjnego dla wszystkich organów konfederacyjnych i przewidywano, że wydatki na jego utrzymanie będą w równej części pokrywane przez państwa członkowskie.

Wreszcie potwierdzono raz jeszcze zasadę suwerenności poszczególnych państw, stwierdzając, że wszystkie wnioski i rezolucje ciał związkowych wymagają przed wejściem w życie parafowania ich przez rządy lub parlamenty krajowe. Dodawano jeszcze, że ostateczna decyzja w sprawie projektów należeć będzie do organów ustawodawczych poszczególnych państw po wojnie.

Tej treści projekt dostarczyła strona czechosłowacka stronie polskiej, po czym doszło do uzgadniania wspólnego stanowiska. Nie przychodziło to jednak łatwo, gdyż jak wiadomo, oba projekty różniły się w sposób zasadniczy. Chcąc jednak pokazać własnym społeczeństwom oraz na forum międzynarodowym,

że rokowania w sprawie wspólnego związku nie stanęły w miejscu i że osiągnięto już jakieś konkretne wyniki, ustalono te punkty, które mogłyby być przyjęte przez obie strony.

Tak doszło do przyjęcia uchwały przez Komitet Koordynacyjny na jego piątym posiedzeniu w dniu 19 stycznia 1942 r. Wspólny dokument nosił nazwę „Projekt Rezolucji Komitetu Koordynacyjnego Polsko-Czechosłowackiego" i był oparty przede wszystkim na projekcie czechosłowackim jako programie minimalnym.

Strona polska godząc się na to, wierzyła jednak, że to wspólne minimum stanie się podstawą, na której będzie można dalej budować. Tak należy również rozumieć wypowiedź przewodniczącego delegacji polskiej na owym pamiętnym posiedzeniu Komitetu Koordynacyjnego. Edward Raczyński stwierdził bowiem, że strona polska pragnie jednak stwierdzić, że zawężenie platformy dla zamierzonej współpracy następuje nie z jej winy i wbrew jej tendencjom, które nadal pozostają w mocy. *Strona polska podczas dalszych negocjacji będzie dążyła do pogłębienia merytorycznych i organizacyjno-prawnych zasad przyszłego Związku.*

W cztery dni po posiedzeniu Komitetu Koordynacyjnego, 23 stycznia długo oczekiwany dokument został publicznie ogłoszony. Jego treść oparto na uchwale Komitetu Koordynacyjnego, a swe podpisy pod nim złożyli kierownicy Ministerstw Spraw Zagranicznych obu krajów Edward Raczyński i Hubert Ripka.

Zasady, na jakich miała się oprzeć przyszła konfederacja Polski i Czechosłowacji, zostały zawarte w 14 punktach.

Rządy Polski i Czechosłowacji zgodziły się, że celem konfederacji ma być wspólna polityka w sprawach zagranicznych, wojskowych, gospodarczych i finansowych oraz w sprawach komunikacji, poczt i telegrafów.

Konfederacja ma mieć wspólny Sztab Główny, którego zadaniem będzie przygotowanie obrony. Na czas wojny przewidywano jedno Dowództwo Naczelne.

W sprawach gospodarczych stwierdzono, że konfederacja będzie koordynować politykę handlu zagranicznego i taryf celnych poszczególnych państw, a celem ostatecznym na przyszłość będzie zawarcie „Unii Celnej".

W sprawach polityki finansowej przyjęto zachowanie odrębnych systemów monetarnych i odrębnych banków emisyjnych, których zadaniem będzie utrzymywanie stałego stosunku między walutami narodowymi. Polityka podatkowa miała być również koordynowana.

Rozwój i administrowanie komunikacji kolejowej, drogowej, morskiej i lotniczej oraz służby telekomunikacyjnej miało się odbywać według wspólnego planu. Ponadto ustalono, że będzie jednakowa taryfa opłat pocztowych i telekomunikacyjnych.

Zasadę koordynacji przyjęto również w dziedzinie szkolnictwa, kultury i polityki socjalnej.

Sprawy obywatelstwa państwowego miały należeć do kompetencji poszczególnych państw, natomiast ruch osobowy między nimi miał się odbywać bez ograniczeń.

Sprawę pobytu i działalności zarobkowej na terenie całej konfederacji postanowiono uregulować w przyszłości.

Taką samą decyzję powzięto w sprawie wzajemnego uznania dyplomów szkolnych i zawodowych, dokumentów i wyroków sądowych oraz odnośnie wzajemnej pomocy prawnej, zwłaszcza w sprawie wykonywania wyroków sądowych.

Konstytucje poszczególnych państw miały gwarantować ich obywatelom liczne swobody, do których zaliczono przede wszystkim wolność sumienia, osobistą, nauki, słowa i prasy; swobodę

organizacji i stowarzyszeń; równość wszystkich obywateli wobec prawa; wolny dostęp wszystkich obywateli do sprawowania wszelkich funkcji państwowych; niezależność sądów; kontrolę rządów przez przedstawicielstwa, wybrane w drodze wolnych wyborów.

Oba rządy zgodziły się, iż zapewnienie wspólnej polityki we wszystkich wymienionych dziedzinach wymagać będzie stworzenia wspólnych organów konfederacji.

Ostatni punkt układu mówił o wspólnym pokrywaniu wydatków konfederacji.

Układ z 23 stycznia 1942 roku należy widzieć w dwóch aspektach. Jeżeli chodzi o kształt przyszłego polsko-czechosłowackiego związku, to należy stwierdzić, że zasady w nim zawarte były ujęte bardzo ogólnikowo i nie odzwierciedlały należycie trwających już ponad rok pertraktacji. Był to krok wstecz nawet w stosunku do czechosłowackich „Podstawowych Zasad". Z drugiej strony układ ten miał duże znaczenie na arenie międzynarodowej. Wyrażał on zgodną wolę dwu państw – Polski i Czechosłowacji – utworzenia wspólnego organizmu politycznego, który zasługiwałby na miano konfederacji. Należy równocześnie stwierdzić, że był to szczytowy punkt polsko-czechosłowackich negocjacji w sprawie utworzenia po wojnie wspólnego związku. Sprawa jego formy została już przesądzona. Wiadomym bowiem było, że strona czechosłowacka nie zamierza utworzyć z Polską państwa związkowego, lecz związek państw, a więc konfederację. Natomiast dalsze rokowania miały dotyczyć już nie tyle formy, ile samej realizacji idei polsko-czechosłowackiej konfederacji.

ROMAN BARON

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (12)

W SZPITALACH I REKONWALESCENCJA

W pociągu sanitarnym krzątały się koło nas siostry i lekarze. Posilono nas jakimś gorącym płynem i odświeżono opatrunki. Zapanował znów błogi nastrój i wróciła nadzieja, że na święta Bożego Narodzenia będę w domu. Tak wskazywał wytyczony dla mnie przez los kierunek jazdy pociągu sanitarnego: Trydent – Bolzano – Innsbruck – Wiedeń – Bogumin – Cieszyn. Kierunku odwrotnego, który wytyczyliśmy z Zadorą, to znaczy: Verona – Bolonia – Florencja – Rzym pilnował teraz osamotniony Zadora wśród szczytów alpejskich. Oby mu się udało bez szwanku kroczyć w tym wymarzonym kierunku.

Pierwszy odcinek jazdy pociągu sanitarnego nie był długi, bowiem w następnym dniu rankiem wyładowano nas w cudnie położonej wśród szczytów Alp stolicy północnego Tyrolu, w Innsbrucku. Dopiero tutaj przypatrzyłem się w czasie zmiany opatrunku dokładnie mojej ranie. Przestrzelono mi nogę dosłownie jeden centymetr pod jabłkiem kolanowym – goleń jest nienaruszona.

Szczęście, szczęście trzeba mieć! – myślę sobie – Może jednak nie jestem skazany na śmierć wojenną!

Leży nas na dużej sali czternastu rannych. Wśród tych najlżej był ranny Czech Jiras i ja. Obok mnie na prawo leży również młody żołnierz, podobno student Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu. Cała twarz obandażowana, tylko sterczy czubek nosa. Ma wypalone oczy. W kącie koło drzwi leży blondyn o wyglądzie cherubina z postrzałem brzucha. Są ciężko ranni w nogi, bez nóg, z postrzałami twarzy, płuc, kręgosłupa, nerek, wątroby i miednicy. Wielu rannych jęczy, wykrzykuje w gorączce w różnych językach monarchii niezrozumiałe słowa. Niektórzy się modlą żarliwie, a niektórzy przeklinają. Spać nie można. Najbardziej jęczy i narzeka ten ranny w brzuch. Jest to podobno znany aktor, czy też klown z cyrku wiedeńskiego Strassburgera.

Siostry krzątają się i biegają wśród nas jak szalone. Są różne. Najwięcej jest tych ochotniczek z Czerwonego Krzyża. Najwspanialsze są jednak wśród nich pracujące bez wynagrodzenia siostry zakonne. Ślęczą całymi nocami przy rannych gotowe spełnić każde ich skinienie. A przy tym stale uśmiechnięte, pokorne, pogodne, a jednak nieraz dowcipne! Jedna z nich cudnej urody młodziutka Agata ślęczy podobno już trzecią bezsenną noc przy rannym w brzuch. Ciągle go pociesza, to wsącza jakieś lekarstwo rannemu do ust, to poprawia poduszkę, pościel czy też bandaże lub bieliznę, to coś łagodnie i z uśmiechem opowiada, czy też coś wesołego czyta, to obciera usta czy twarz.

– Siostro, ja nie chcę umierać! – skomli ranny – mam taką dobrą, młodą i piękną żonę oraz dwuletnią córeczkę. Niech mi siostra poda portfel z chlebaka. – Siostra Agata podaje. Ranny drżącymi rękami wyjmuje i pokazuje zdjęcia. Opowiada, że żona była bufetową w dużym hotelu wiedeńskim. Pobrali się tuż przed wybuchem wojny w maju. Powtarza to podobno każdy dzień.

– Bardzo piękną ma pan żonę i córeczkę! – chwali siostra Agata.

Oglądamy i my zdjęcia. Naprawdę urocza kobieta i jej maleństwo.

– Siostro – pyta ranny – dlaczego ja muszę tak cierpieć?! –

– Bo nie ma zbawienia bez cierpienia – odpowiada siostra.

– Jakiego zbawienia? – pyta z lękiem ranny.

– Wybawienia od piekła cierpień ziemskich – mówi siostra.

– Nie wierzę w te bajki, zbawienie, potępienie, piekło, niebo, tylko wydaje mi się, że piekłem jest ta przeklęta wojna, a niebem moja Elza – unosi się ranny – Dlaczego ja mam umierać?!

– Pan na pewno wyzdrowieje i wróci do domu! – pociesza siostra.

– Po co ta przeklęta wojna? – pyta ranny w podnieceniu.

Siostra nie odpowiada, tylko podaje mu jakiś lek na uspokojenie i łagodnie się uśmiecha.

– Po co ta wojna? – krzyczy ranny powtórnie do siostry.

– Wojna jest nieszczęściem i złem – tłumaczy siostra – a funkcją zła jest dobitne ukazanie dobra, które wskutek tego nam się podoba i wy-

daje się tym bardziej chwalebne, gdy je porównany ze złem – kończy siostra Agata.

Ranny potakuje głową, wykrzywia usta z bólu i osuwa się na poduszkę. Za kilka minut zaczyna się modlić głośno: – Boże, jeżeli jesteś, to błagam Cię o powrót do zdrowia i do żony i córeczki...

Z wielkim zainteresowaniem przysłuchiwałem się tej rozmowie siostry Agaty z tym ciężko rannym. Byłem tą rozmową zaskoczony.

W następnym dniu przeniesiono Jirasa i mnie na pierwsze piętro, gdzie leżeli lżej ranni. Tutaj poprosiłem siostrę z tego oddziału o skontaktowanie mnie z siostrą Agatą, która oczywiście zaraz na nasz oddział przyszła. Poprosiłem ją o nadyktowanie lub napisanie swych myśli i poglądów na zło i dobro, które tak dobitnie tłumaczyła temu ciężko rannemu wiedeńczykowi. Z uśmiechem napisała mi te słowa i zaraz skromnie dodała: są to myśli św. Augustyna. –

Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że ciężko ranny w brzuch wiedeńczyk przychodzi do sił. Próbuje czytać gazety, próbuje siadać i napisał już kilka słów do żony.

Moja rana goiła się szybko i po kilkunastu dniach pobytu w Innsbrucku zostałem przewieziony z wielu innymi pociągiem sanitarnym do szpitala w Hranicach na Morawie. Dopiero tam zawiadomiłem moją rodzinę w Ropicy krótko o tym, że jestem ranny w nogę. Za kilka dni zjawiła się niespodziewanie w szpitalu siostra Marynka. Leżałem na łóżku nakryty kocami. Rzuca mi się na szyję, płacząc.

– Czy jesteś bez nogi? – pyta się.

Zrzucam więc koce z siebie, wstaję z łóżka na obu nogach i robię kilka kroków, mocno oczywiście kuśtykając i podpierając się laską. Później pokazałem opatrunek poniżej prawego kolana.

– Byliśmy wszyscy w obawie, że ci nogę amputowano. Nie napisałeś w kartce, że rana nie jest ciężka i niebezpieczna – zarzuca mi moja droga siostra.

Udała się bezzwłocznie do kierownictwa szpitala, gdzie złożyła prośbę o przeniesienie mnie do szpitala w Cieszynie. Prośbę tę ponowiłem w następnym dniu u lekarza w czasie wizyty lekarskiej, a w dniu 22 grudnia znalazłem się już w szpitalu cieszyńskim. Wigilię świąteczną spędziłem w błogim i serdecznym nastroju w kółku rodzinnym w ukochanej Ropicy. Przypomniałem sobie oczywiście ostatnią wigilię na froncie rosyjskim w okopach nad Styrem i tragiczną śmierć Tondy Slavíka. W myślach przesłałem życzenia świąteczne Zadorze na front włoski. Było mi radośnie w kręgu mych najdroższych i równocześnie smutno przy wspomnieniach o mych kolegach rozsianych Bóg wie gdzie na różnych frontach.

W szpitalu cieszyńskim leżał obok mnie podchorąży rezerwy Pustówka Józef z Cieszyna–Brandysa. Był również ranny w nogę na froncie włoskim odłamkiem skały. Zaprzyjaźniłem się z nim, gdyż był bardzo koleżeński, uczynny, pogodny, grał dobrze w szachy i chociaż w tej

grze wykazywał więcej umiejętności ode mnie, pozwalał mi często wygrywać. Postanowiliśmy obaj przedłużać nasze zimowe i pozafrontowe leże szpitalne, które były kilkakrotnie zagrażane lustracjami komendanta garnizonu pułkownika Gerndta. Pan komendant przesiewał mocno w czasie tych lustracji stany liczbowe rannych i chorych, szukając gorliwie nowych ofiar na zatykanie dziur frontowych i uzupełnienie braków szybko topniejących rezerw ludzkich. W końcu stycznia 1918 groził nam z tej racji powrót do baonu zapasowego. Aby przedłużyć nasz pobyt w szpitalu, nawiązaliśmy ściślejszy kontakt z pisarzem oddziału chirurgicznego szeregowcem służby sanitarnej Mayem, właścicielem sklepu z kapeluszami przy ulicy Głębokiej w Cieszynie, który nam fabrykował w okresach odsiewów szpitalnych fałszywe wykresy na naszych kartach gorączkowych, podnosząc nasze temperatury o jeden do dwóch stopni. Za ten miłosierny uczynek otrzymywał każdorazowo kilka kilogramów pszenicy, którą dostarczał mu zawsze ktoś z Ropicy, albo kawałek masła czy też słoniny.

Pobyt w szpitalu był urozmaicany dość często odwiedzaniem nas przez rodziny, znajomych, kolegów. W dniu 1 marca 1918 roku odwiedził mnie mój rodak z Ropicy inwalida wojenny podporucznik Gajdaczek. Używał stale laski i poruszał się z wysiłkiem dość silnie kulejąc, gdyż ciężko ranna noga była po wyleczeniu krótsza o kilka centymetrów. Był jednak szczęśliwy, że obyło się bez amputacji. Wbrew temu kalectwu nie został zwolniony z wojska i musiał służyć w komendzie garnizonu cieszyńskiego. Od Gajdaczka dowiedziałem się, że Adamecki, Niemiec i Zych żyją i żeglują szczęśliwie wśród zdradzieckich raf wzburzonego oceanu wojny. Najlepiej powiodło się Niemcowi, gdyż zdezerterował podobno zdrów i cały na froncie włoskim i znajduje się we Włoszech. Glajc jest prawdopodobnie w niewoli rosyjskiej.

W czasie odwiedzin Gajdaczka spotkała mnie niespodzianka. Pisarz oddziałowy May wręczył podchorążemu Pustówce i mnie jakiś dokument, odbiór którego musieliśmy pokwitować. Okazało się, że jest to nominacja i awans do stopnia cesarsko-królewskiego chorążego rezerwy. Mieszanych doznałem przy tym wzruszeń. W pierwszej chwili odczułem lekkie zadowolenie, przecież będę lepiej sytuowany materialnie i finansowo, lecz w następnej chwili owładnął mną wstyd i gniew.

Położyłem się na łóżku i milczę w zadumaniu nad tym wątpliwym dla mnie zaszczytem. Zauważył to Gajdaczek i odzywa się:

– Nad czym się frasujesz? Na nowy mundur pobierzesz specjalny ekwiwalent pieniężny! –

– Myślę o tym, że w niedługim czasie znów wypchną mnie na front i tylko dlatego zrobili nas tymi chorążymi, a tu nie widzę końca wojny. A poza tym czy to nie wstyd dla nas przywdziewać i nosić mundury oficerów austriackich, dla nas, którzy przysięgaliśmy, że będziemy walczyć o niepodległość Polski?!

– Przecież widzisz, że i ja noszę ten mundur, bo muszę. Wybij sobie z głowy te skrupuły, gdyż ten awans i twój nowy stopień będzie już niedługo potrzebny Polsce! –

– Dałby Bóg! Lecz z czego możesz tak pomyślnie wnioskować i prorokować? – pytam.

– Leżysz tu odizolowany w szpitalnych murach i nie masz pojęcia, co się dzieje. Obracam się prawie codziennie w mniej lub bardziej zakonspirowanych kółkach naszych patriotów i wszędzie słyszę to samo: Wojna się kończy, Ententa wygrywa, a Niemcy i Austria przegrywają, już może za kilka miesięcy będziemy się radować niepodległą Polską i polskim Śląskiem! –

W dniu 3 marca skreślono mnie ze stanu chorych szpitala i skierowano do oddziału rekonwalescentów w Morawskiej Ostrawie, a stamtąd po kilku dniach do batalionu zapasowego w Cieszynie, gdzie powierzono mi funkcję dowódcy plutonu w kompanii zapasowej, którą dowodził porucznik rezerwy Schnöll.

W pierwszą sobotę kwietnia pojechałem do rodziców Zadory w Karwinie, aby złapać języka o losie mojego przyjaciela. Byli trochę zaskoczeni przybyciem nieznajomego oficera austriackiego, lecz po okazaniu dowodów mojej tożsamości rozwiązały im się języki.

– Aleksander żyje – odpowiada mi stary Zadora. W styczniu otrzymaliśmy zawiadomienie z pułku, że zaginął w czasie walk na froncie, a przed tygodniem nadeszła wiadomość, że znajduje się w niewoli włoskiej. –

A więc mój przyjaciel wykonał swój plan dezercji z mistrzowską precyzją.

Nie mam pojęcia, co się dzieje z Jarką Janalówną z Gnojnika. Często łażę na dworzec kolejowy i sprawdzam wagony pociągów w kierunku Frydku, a więc i Gnojnika. Penetruję ulice miasta i corso pod arkadami na rynku, podsłuchuję kilkakrotnie pod drzwiami profesora muzyki Pogrobińskiego pod małymi arkadami przy ulicy Głębokiej, gdzie Jarka pobierała lekcje muzyki fortepianowej, lecz wszystko bezskutecznie – nigdzie jej śladu.

Pojechałem więc w pierwszą sobotę maja zaraz po obiedzie do Gnojnika. Tamże wysiadam z pociągu i spoglądam nieśmiało w okna piętrowego budynku stacyjnego, lecz nikogo w nich nie dostrzegam. Pociąg odprawił co dopiero jakiś starszy pan ubrany w mundur urzędnika kolejowego i czerwoną czapkę dyżurnego ruchu. Zmierzył mnie przez kilka sekund swoim surowym i przenikliwym wzrokiem i zniknął w drzwiach budynku stacyjnego. Był to prawdopodobnie ojciec Jarki. Zauważyłem, jak śledził mnie później przez okna swojego biura. Może dlatego, że gapiłem się tak długo i głupio w okna pierwszego piętra, w których szukałem Jarki. Nie mogłem wytrzymać wzroku tego pana, więc zrezygnowałem z dalszego rekonesansu i udając spokojnego, skierowałem swoje kroki w kierunku Ligotki Kameralnej.

Spotykałem po drodze pojedynczych ludzi, młodsze i starsze dziewczyny. Miałem ochotę zapytać je, czy znają Jarkę i co się z nią dzieje, lecz wydawało mi się, że się ośmieszę.

Z Ligotki Kameralnej udałem się wydeptaną ścieżką górską na szczyt Goduli. Tam na wysokości kilkuset metrów odczułem lekki spadek ciśnienia wzruszeń miłosnych. Może dlatego, że nałykałem się do syta kojącej woni jodeł, świerków, trawy i kwiatów beskidzkich groni.

Wróciłem przez Śmiłowice na przystanek kolejowy w Trzycieżu. Tam sobie przypomniałem, jak przed kilkoma miesiącami pod „eskortą" Gajdaczka jechałem z tego przystanku do więzienia mej jednostki wojskowej w Morawskiej Ostrawie. Oj – upływa to życie szalenie szybko!

Z Trzycieża powróciłem wieczorem pociągiem do Cieszyna i do swojego pokoiku na Przykopie. Przy otwartym oknie słuchałem szemrania fal bliziutkiej Olzy. Szemrała na mnie dziś nadzwyczaj głośno. Położyłem się na łóżku, lecz nie mogłem zasnąć. Pięć godzin dzisiejszego ruchu na placu ćwiczeń oraz dalsze pięć godzin intensywnego spaceru turystycznego przez Gnojnik – Ligotkę Kameralną – szczyt Goduli – Śmiłowice – Trzycież to niezła próba wytrzymałości mojej zranionej nogi. Teraz na łóżku odzywały się jej ledwie zabliźnione rany. Leżałem tak do godzin porannych i rozważałem swój los. Pewnie wyślą mnie znowu w niedługim czasie na front i nawet nie zobaczę Jarki.

Działo się to w dwudziestolecie moich urodzin, a więc w dniu 30 maja 1918 roku. Wracam z placu ćwiczeń do mojego pokoiku u „babci" Pietrulowej na Przykopie. Byłem zmęczony, bo był to wyjątkowo upalny dzień i do tego odzywały się bóle obu ran prawej nogi. Chociaż głód mi mocno dokuczał, zrezygnowałem z obiadu w kasynie oficerskim i śpieszyłem do łóżka. Idę przez stary cieszyński rynek, który o tej porze kąpał się wraz z przepięknymi arkadami i starymi kamieniczkami w gorących promieniach słońca. Prażył się w słońcu stary i dostojny ratusz, hotel „Pod Jeleniem" i przylegający do niego duży sklep i dom Konczakowskiego. Nawet święty Florian na środku rynku nastawił swoje plecy do rozszalałego w maju Heliosa. Nie bał się, gdyż miał do dyspozycji duży zbiornik chłodnej wody, fontannę z tryskającą wodą.

Po drodze wstępuję na piwo do słynnego lokalu Prchali pod arkadami rynku. Już depczę po progu lokalu i w tej sekundzie defiluje przede mną powiewna figurynka Jarki Janalówny. Nie widziałem jej ponad dwa lata i zdawało mi się, że bardzo wypiękniała. Załomotało mi serce i chociaż to było dopiero drugie nasze i do tego przypadkowe spotkanie w życiu, poderwałem się za nią jak na skrzydłach i pozdrowiłem szarmancko w języku czeskim. Poznała mnie i przywitała się ze mną serdecznie. Zaproponowałem jej randkę. Zgodziła się. Spotkanie miało się odbyć za trzy dni o godzinie czternastej na rynku pod arkadami.

c.d.n.

ALOJZY NOWOK



Występ Teatrzyku „SZKAPA" Polskiego Gimnazjum w Cz. Cieszynie w ramach eliminacji centralnych do VI KONKURSU RECYTATORSKIEGO „KRESY 97" (spektakl „LINY") *fot. FRANCISZEK BAŁON*

FESTIWAL TEATRALNY „NA GRANICY"

Wpisał się na stałe w rejestr imprez kulturalnych obu Cieszynów. Zorganizowany po raz pierwszy w roku 1990 przez Solidarność Polsko-Czechosłowacką przy współpracy z czeskocieszyńskim Forum Obywatelskim oraz cieszyńskim Domem Narodowym był wtedy spontaniczną manifestacją dopiero co odzyskanej wolności. Ideę festiwalu kontynuowano i co roku w maju po obu stronach mającej łączyć granicy spotykali się teatromani, by obejrzeć najnowsze prezentacje teatru polskiego, czeskiego i słowackiego. Od dwóch lat festiwal odbywa się w październiku. Osiem dotychczasowych roczników oznaczało liczne metamorfozy, luźna formuła festiwalu pozwalała zapraszać oprócz teatrów tradycyjnych grupy alternatywne, studenckie, teatry lalkowe, nie uległa jednak zmianie główna idea festiwalu. Mieszkańcom obu Cieszynów i okolicy stworzono możliwość obejrzenia wybitnych zespołów i ważnych spektakli.

Trzy dni tylko - od 16 do 18 października - trwał tegoroczny VIII Festiwal Teatralny „Na Granicy". Organizatorzy Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka, Teatr Cieszyński i Ośrodek Kulturalny i Społeczny „Strzelnica" w Czeskim Cieszynie oraz Dom Narodowy i Filia UŚ w Cieszynie zaprosili kilkanaście teatrów, których przedstawienia pokazują przede wszystkim osiągnięcia twórców młodych. Wszystkie spektakle pochodzą z najnowszego repertuaru tych teatrów.

Budynek Teatru im. A. Mickiewicza w Cieszynie gościł zespół Teatru Rozmaitości z Warszawy ze spektaklem „Bzik tropikalny", który według sztuk Stanisława Ignacego Witkiewicza „Mister Price, czyli bzik tropikalny" oraz „Nowe wyzwolenie" przygotował Grzegorz Horst, tegoroczny absolwent Wydziału Reżyserii krakowskiej PWST, młody twórca występujący pod coraz to innymi nazwiskami, np. Jarzyna, d'Albertis, o którym zaczyna być coraz głośniej. „Bzik tropikalny" otrzymał nagrodę Grand Prix na tegorocznych XXII Opolskich Konfrontacjach Teatralnych - Klasyka Polska. Teatr Współczesny ze Szczecina zaprezentował „Młodą śmierć" Grzegorza Nawrockiego w reżyserii również dobrze zapowiadającej się twórczyni Anny Augustynowicz. Spektakl jest próbą uwrażliwienia na drażliwe tematy dnia dzisiejszego, próbą współczesnego dramatu a jednocześnie nowoczesnego teatru. Teatr im. Jaracza z Łodzi przywiózł przedstawienie „Zbrodnia z premedytacją" stworzone na podstawie młodzieńczych opowiadań z „Pamiętnika z okresu dojrzewania" Witolda Gombrowicza przez Zbigniewa Brzozę, nowego dyrektora artystycznego Teatru Studio w Warszawie. Przedstawienie otrzymało nagrodę Grand Prix XXXVI Kaliskich Spotkań Teatralnych w roku 1996, reżyser

zaś Złotą Maskę za najlepszą reżyserię w sezonie 1995/96. „Zbrodnia z premedytacją" jest przykładem adaptacji prozy, w której Brzoza widzi interesujący go teatr, jak również przyszłość teatru.

Te trzy głośne spektakle wzięły udział w zmaganiach konkursowych o „Złamany szlaban". Ostatecznie „Bzik tropikalny" oraz „Zbrodnia z premedytacją" otrzymały honorowe wyróżnienia.

Strona polska pokazała jeszcze poza konkursem polską wersję teatru cimrmannowskiego w przedstawieniu krakowskiego Teatru Tradycyjnego „Długi, Szeroki i Krótkowzroczny" w reżyserii Tadeusza Hankiewicza, w którym wzięli udział m.in. znani ze Sceny Polskiej TC Dagmar Foniok i Jan Monczka. Dwujęzyczny polsko-francuski charakter miał spektakl „Szeptając" na podstawie jednoaktówek Samuela Becketta w wykonaniu Thé tre de l'Avenir Paris/Tours w inscenizacji pracownika naukowego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie a jednocześnie autora sztuk teatralnych Włodzimierza Szturca.

W Czeskim Cieszynie prezentowano spektakle czeskie i słowackie. Zainaugurowało je przedstawienie klasycznej prozy Gabrieli Preissowej „Jej pasierbica" w wykonaniu Teatru Miejskiego ze Zlína w nietradycyjnej inscenizacji brneńskiego reżysera Jana Antoniego Pitinskiego. Owo nowatorstwo środków artystycznych dostrzegło jury festiwalu pod przewodnictwem Jerzego Koeniga, honorując spektakl nagrodą główną „Złamanym Szlabanem". Teatr Drak z Hradca Králové, łączący teatr aktora z teatrem lalki, pokazał „Młynek z Kalewali", zaczerpnięty z fińskiego eposu. Gospodarzy reprezentowała Scena Czeska z przedstawieniem pozakonkursowym „Bláha a Vrchlická" Mirosława Stiebera. Teatr Alfred ve dvoře z Pragi zwrócił uwagę klaunadą z rozbijaniem talerzy nazwaną „Talerze" w reżyserii Ctibora Turby. Na małej scenie zaprezentowała się Scena Kameralna Arena z Ostrawy z przedstawieniem „Scenicznej czkawki" - w oryginale „Průběžná O(s)trava krve" - będącym ironicznym spojrzeniem na własne miasto. Jedyny spektakl słowacki przywiózł Teatr SNP z Martina. Szalona komedia „Kolacja ptaków" F. Vebera w reżyserii Petera Gabora, oparta przede wszystkim na humorze słownym, nie zawsze zrozumiała była dla Polaków. Poza konkursem, na ulicach miasta, przedstawił się też Anton Anderle, znany już cieszyńskiej publiczności lalkarz z Bańskiej Bystrzycy, ze swoim „Najmniejszym cyrkiem świata".

Teoretyczną częścią festiwalu była międzynarodowa sesja teatrologiczna z udziałem prelegentów z obu stron granicy. Dotyczyła m.in. zagadnień młodego i wolnego teatru polskiego, omawiała działalność Teatru im. Witkiewicza w Zakopanem, teatru Krystiana Lupy, wystawień sztuk Mrożka w Czechach i innych sztuk polskich w północnej części Morawy, jak również roli Festiwalu Teatralnego „Na Granicy".

C.R.

WSPÓŁCZESNA DZIAŁALNOŚĆ PRZEKŁADOWA POLSKICH PISARZY ZAOLZIAŃSKICH

Powstająca na terenie Republiki Czeskiej literatura, pisana po polsku, należy w istocie do tzw. pisarstwa kresowego w literaturze polskiej, w czeskim kontekście literackim zaś stanowi literaturę mniejszości narodowej. W obydwu wypadkach idzie o twórczość spoza centrów, z tzw. peryferii życia kulturalnego. Uwaga krytyki i historii literatury odnosi się na ogół do tradycyjnych centrów kulturalnych jako głównych czynników w procesach kulturalnych i cywilizacyjnych. Czy wynikałoby stąd, że literatura mniejszości narodowych nie jest w stanie wpływać na dynamikę rozwoju dominującego nurtu w literaturze narodowej? Pozwalam sobie stwierdzić, że wcale nie. W Polsce poświęca się obecnie literaturom kresowym coraz więcej uwagi. Noblista literacki Czesław Miłosz przecież wywodzi się z kresów litewskich, w jego dziele zaś można dopatrzeć się tak powrotów do źródeł jak odniesień uniwersalnych.

W przypadku literatury powstającej na terenie czeskiego Śląska Cieszyńskiego przyjął się w literaturoznawstwie polskim termin literatura na Zaolziu, wszedł nawet w zakres leksykografii, przykładem jest chociażby słownik „W górę doliny – Zaolziańscy ludzie pióra"[1]. Polski historyk literatury Edmund Rosner widzi pojęcie Zaolzia jako termin używany od połowy lat dwudziestych naszego wieku dla tej części Cieszyńskiego, która po podziale historycznie ukształtowanego Śląska Cieszyńskiego znalazła się w Czechosłowacji. W treści owego pojęcia odzwierciedla się perspektywa polska, za rzeką Olzą, stanowiącą granicę pomiędzy Polską a Republiką Czeską. Polska przydawka zaolziański nie dotyczy tu przejawów kulturalnych Czechów, Słowaków lub innych narodowości, które żyły lub żyją w zachodniej części Śląska Cieszyńskiego, dotyczy natomiast tworów działalności kulturalnej Polaków zamieszkujących owo terytorium. W związku z tym terminu *literatura na Zaolziu* nie należy używać w sensie literatury narodowej lub piśmiennictwa danego regionu, lecz wyłącznie w sensie świadomości wewnętrznej obywateli deklarujących polską narodowość, różniących się jednak od Polaków tym, że żyją za granicą (nie chodzi wszak o literaturę emigracyjną, a o twórczość autochtonicznych Polaków zamieszkałych w Republice Czeskiej, odpowiadającą twórczości literackiej Polaków na Litwie lub Ukrainie)[2]. Termin *literatura na Zaolží* zaczął pojawiać się także w czeskiej krytyce literackiej oraz w studiach poważnych znawców literatury z północnych Moraw i Śląska i nie jest bodaj uważany za niepoprawny.

Mój przyczynek skupił się na współczesnej działalności przekładowej pisarzy na Zaolziu, zwłaszcza z języka czeskiego i słowackiego na

polski, macierzysty, ale także w kierunku odwrotnym, z języka polskiego na czeski. Pod koniec lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych przekłady pisarzy zaolziańskich, zwłaszcza z czeskiego, miały na ogół charakter doraźny i odpowiadały przede wszystkim na zapotrzebowania prasy (Głos Ludu, Zwrot, Jutrzenka, Ogniwo, Nasza Gazetka, Kalendarz Śląski). Ich waga wzrasta dopiero w ostatnich dziesięcioleciach. Według Władysława Sikory jest to zasługa (po przedwcześnie zmarłym Henryku Jasiczku) Kazimierza Jaworskiego, Wilhelma Przeczka, Jana Pyszki, Janiny Kowalskiej;[3] ja zaś dodam - również Władysława Sikory.

Henryk Jasiczek (1919-1976) wydał w roku 1961 wybór z współczesnej poezji czeskiej i słowackiej „Poetyckie pozdrowienia"[4] w przekładzie polskim szeregu autorów. Z Zaolzian zaprezentowali tutaj swe przekłady Henryk Jasiczek (siedem tekstów), Danuta Siwkówna i Władysław Sikora (oboje po jednym).

Swą działalność przekładową z literatury czeskiej rozpoczynało Zaolzie już wcześniej: **Paweł Kubisz** (1907-1968) według stwierdzenia W.Sikory[5] tłumaczył powieści „Puklý chrám" i „Hubená léta" Františka Křeliny - przekłady się nie dochowały. Również **Adolf Fierla** (1908-1967) wydał w roku 1934 zbiorek swych przekładów Jiřígo Wolkera na polski pod tytułem „Wiersze wybrane", w roku 1938 zaś, niezależnie od krytycznej sytuacji politycznej pomiędzy Czechosłowacją a Polską, katowickie pismo Polonia publikowało w przekładzie Adolfa Fierli w odcinkach felietonu powieść Vojtěcha Martínka „Czarna ziemia".

Do wybitnych tłumaczy należy członek rady ostrawskiego oddziału Morawsko-Śląskiej Gminy Pisarzy oraz członek i współzałożyciel Zrzeszenia Literatów Polskich w RC **Wilhelm Przeczek** (1936). Dla polskich pism literackich przekładał wiersze Jaroslava Seiferta, napisał słuchowisko radiowe „Moje spotkanie z Noblistą" dla polskiej rozgłośni radia w Ostrawie, poświęcone Jaroslavowi Seifertowi (reżyseria Karol Suszka, 1989). Przekładał wiersze Věnceslava Juřiny, Boženy Klímowej, Evy Kortbowej, Vlastimila Kovalčíka, Bohumila Pavloka, Jana Pilaře, Vladimíra Reisla, Lydii Romanskiej, Janka Silana, Štefana Stražaya, Jaromíra Šavrdy, Miroslava Válka, Karla Vůjtka, Viléma Závady, Jindřicha Zogaty i in., dla polskich pism literackich opowiadania Jaromíra Šlosara i Oldřicha Šuleřa oraz sztuki czeskich i słowackich autorów dla potrzeb ZG PZKO w Cz. Cieszynie: Ivana Bukovčana, Emila Goellnera, Jana Jílka, Jana Soloviča, Osvalda Zahradníka. Przeczek przekładał też teksty pieśni do sztuki Jana Havláska „Český muzikant" oraz dla Sceny Polskiej TC sztukę Jana Jílka „Můj dům, můj hrad". Przetłumaczył też sporo sztuk dla czeskocieszyńskiego Teatru Lalek Bajka z czeskiego i słowackiego, m.in. sztuki Lubomíra Feldeka, Josefa Malíka, Marii Veselé i in. Jako zwarte druki pojawiły się w przekładzie Przeczka (z polskiego na czeski) zbiorki poetyckie Františka Hennera i Adama Szypra oraz przekłady aforyzmów Wiesława Malickiego[6].

O tym, że literaci z Zaolzia potrafią docenić uwagę czeskich i słowackich tłumaczy, świadczy cykl Przeczka „Tłumacze literatury polskiej" w czasopiśmie Ogniwo[7], w którym publikował sylwetki następujących tłumaczy czeskich i słowackich: Juraja Andričíka, Otakara Bartoša, Petra Čački, Vlasty Dvořáčkowej, Vlastimila Kovalčíka, Jana Pilaře, Ericha Sojki. W krakowskim Życiu Literackim przedstawił następujących tłumaczy czeskich i słowackich: Otakara Bartoša, Olgę Castelli-Hostovską, Vlastę Dvořáčkową, Danielę Lehárową, Jana Pilaře, Ericha Sojkę, Helenę Stachową, Helenę Teigową. Dla czeskocieszyńskiego Zwrotu przygotował cykl sylwetek słowackich tłumaczy: Mateja Andráša, Juraja Andričíka, Márii Babjakowej-Bajowej, Petra Čački, Štefana Druga, Jozefa Hvišota, Vlastimila Kovalčíka, Mariány Mináriковej, Jana Sedláka, Pavla Winczera.

(Czechosłowacki Ośrodek Kultury i Informacji w Warszawie przyznał Wilhelmowi Przeczkowi w roku 1989 nagrodę za publicystykę literacką prezentującą kulturę czeską w pismach Życie Literackie, Panorama, Opole. W roku 1993 otrzymał Wilhelm Przeczek Nagrodę Przepiórek Czeskiego Funduszu Literackiego za redagowanie dodatku Pomosty w Głosie Ludu, Konsul RP w Ostrawie przyznał mu w roku 1994 doroczną Nagrodę Srebrnej Spinki za powieść „Kazinkowe granie"[8].)

Liczne są przekłady czasopiśmiennicze **Władysława Sikory** (1933), jeśli się zważy, że ów poeta polski zamieszkały w Cz. Cieszynie, nie jest profesjonalnym tłumaczem. Przekłada nie tylko z czeskiego i słowackiego (z słowackiego zwłaszcza z impulsu krakowskiego historyka i krytyka literackiego Bogusława Sławomira Kundy), bo również z laskiego (Ondra Łysohorský - z punktu widzenia laskiego, jako sztucznego języka literackiego, należałoby tu mówić raczej o spolszczaniu niż tłumaczeniu odmiennego strukturalnie języka), serbołużyckiego, rosyjskiego, formą zaś tzw. pośredniego przekładu z czeskiego na polski tekstów z arabskiego i tamilskiego.

Od lat sześćdziesiątych opublikował w pismach Głos Ludu, Zwrot i in. przekłady z Petra Bezruča, Ivana Blatnego, Jána Botta, Josefa Cinka, Dušana Cveka, Svatopluka Čecha, Michala Černíka, Jiřígo Daehnego, Karla Jaromíra Erbena, Miroslava Floriana, Vítězslava Hálka, Miroslava Holuba, Václava Honsa, Josefa Hrubego, Františka Hrubína, Metoděja Jahna, Janka Jesenskiego, Věnceslava Juřiny, Josefa Kainara, Jiřígo Karena, Jana Kašpara, Jana Kollára, Vojtěcha Kondráta, Evy Kotarbowej, Eliški Krásnohorskiej, Miroslava Kubíčka, Jana Kuneša, Ireny Liberdowej, Karla Hynka Máchy, Jaroslava Macháčka, Jaroslava Mazáča, Oldřicha Mikuláška, Jana Nerudy, Vítězslava Nezvala, Laca Novomeskiego, Jana Ondruša, Jiřígo Ortena, Bohumila Pavloka, Josefa Peterky, Jana Pilaře, Petra Prouzy, Oldřicha Rafaja, Václava Renča, Lydii Romanskiej, Jaroslava Seiferta, Jana Skácela, Ivana Skály, Josefa Václava Sládka, Ivana Slámy, Jitki Stehlíkowej, Bedřicha Stehny, Miroslava Stoniša, Jaromíra Šavrdy, Františka Antonína

Šípka, Vlastimila Školaudego, Jaromíra Šlosara, Jiřígo Šotoly, Milana Šútovca, Karla Vůjtka, Ivana Wernischa, Jiřígo Wolkera, Jana Zahradníčka, Soni Zachowej, Viléma Závady, Jindřicha Zogaty. Dla Teatru Lalek Bajka w Cz. Cieszynie przetłumaczył sztukę Marii Veselej (Przygody misia Puchatka).

Jeśli idzie o prozę, W. Sikora tłumaczył dla Zwrotu prozy Jindřicha Grabackiego, Lajosa Grendela, Ivana Kubíčka, Vojtěcha Martínka, Ludvíka Štěpána, dla Kalendarza Śląskiego Josefa Nesvadby, Miroslava Rafaja, Oldřicha Rafaja, do Głosu Ludu zaś, jako redaktor rubryki kulturalnej i literackiej, prozy Evy Benešowej, Josefa Bora, J. P. Byrtusa, Franka Chmiela, Františka Čečetki, Milonia Čepelki, Jozefa Danka, Jana Drozda, Věnceslava Juřiny, Ivana Kubíčka, Milana Lasicy, Ondry Łysohorskiego, Jaroslava Haška, Miroslava Holuba, Bohumila Hrabala, W. Marina, Oldřicha Mikuláška, Karla Nového, Edvarda Petiški, Jana Skácela, Richarda Sobotki, Miroslava Stoniša, Oldřicha Šuleřa, dla czasopisma Warmia i Mazury w Olsztynie prozy Bohumíra Četyny i Oldřicha Šuleřa.

Kazimierz Jaworski (1940) ukończył polonistykę i filozofię na Uniwersytecie Palackiego w Ołomuńcu, pracuje jako redaktor pisma zakładowego Hutnik Trzyniecki. Oprócz swej oryginalnej twórczości, zwłaszcza prozatorskiej, przekłada z czeskiego, słowackiego, rosyjskiego. W Głosie Ludu zamieścił przekłady opowiadań, podań, esejów oraz wierszy prozą Karla Bradáča, Jana Čepa, Václava Čtvrtka, Pavla Francouza, Zdeňka Hendrycha, Miroslava Huleho, Alexandra Klima, Josefa Kostohryza, Věry Linhartowej, Jiřígo Medka, Miloslava Nevrlego, Vladimíra Pazourka, Zdeňka Pluhaře, Aleny Prokopowej, Miroslava Rafaja, Bohuslava Reynka, Bohumila Říhy, Břetislava Smysla, Jiřígo Suchego, Alžběty Šerberowej, Josefa Škvoreckiego, Josefa Voláka, Ivana Vyskočila. W Ozvěnách-Echu opublikował prozy Karla Čapka, Zdeňka Hendrycha. W Zwrocie prozy Báry Basikowej, Františka Čečetki, Aleša Dostála, Josefa Galíka, Františka Hrubína, Čestmíra Jeřábka, Jana Kostrhuna, Jana Kozáka, Jaroslava Mullera, Marii Podešvowej, Miroslava Rafaja, Milana Rusinskiego, Jaroslava Seiferta, Věry Stolaříkowej, Alžběty Šeberowej, Jana Trefulki, Alty Vášowej, Jindřicha Zogaty. W Kalendarzu Śląskim prozy Františka Čečetki, Miroslava Rafaja, Zdeňka Rosenbauma. Z słowackiego przełożył dla Zwrotu prozy Jozefa Puškaša, Alty Vášowej, dla Głosu Ludu zaś Jaroslavy Blažkowej, Dušana Kováča, Moniki Mrazowej, Jozefa Puškaša, Jana Štiavnickiego. Dla teatru lalek przełożył K. Jaworski sztuki Jiřígo Koliby, Jaroslava Klimenta, Jana Malíka, były one grane w latach siedemdziesiątych w trzynieckim zespole lalkarskim Groteska oraz w Teatrze Lalek Bajka w Cz. Cieszynie.

Jan Pyszko (1925), można powiedzieć, częściej niż z czeskiej przykłada się do tłumaczenia z literatury słowackiej. Wynika to najprawdopodobniej stąd, że ukończył Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Bratysławie, mieszka zaś w Jabłonkowie – Nawsiu. Spośród czeskich prozai-

ków przekładał prozy Miroslava Šmída i Ludvíka Štěpána. Z słowackich Marii Bátorowej, Jąna Beni, Emila Kněža, Dušana Mitany, Jána Smrka, Petra Ševčoviča, z poetów słowackich zaś wiersze Jána Kostry, Vlastimila Kovalčíka, Štefana Stražaya. Głosowi Ludu oraz Zwrotowi zaproponował przekłady Jána Brocka, Rudolfa Čičmárika, Ludomíra Feldeka, Marcela Herza, Mikuláša Kováča, Andreja Plavki, Vladimíra Reisela, Jána Smreka, Jána Škamla, Miroslava Válka i in.

Pod redakcją W. Przeczka przygotował do zbiorku „Poezja Słowackiego Powstania Narodowego"[9] sylwetki oraz wiersze polskich i słowackich poetów poległych w trakcie Powstania Warszawskiego lub w okresie SPN, pod nazwą „Prosto w serce", dla czasopisma Ogniwo. Podobną serię wierszy autorów słowackich, którzy zginęli w SPN, opublikował Pyszko w Zwrocie[10].

Dla potrzeb PZKO-wskiego życia teatralnego przełożył Pyszko sztuki czeskich i słowackich autorów Ivana Bukovčana, Jána Soloviča, J.Štyrcha, dla Sceny Polskiej TC zaś sztukę Mikuláša Kočana „Gorący ziemniak"; jego działalność przekładowa objęła również teksty pieśniowe do podręcznika szkolnego, ale także dalsze gatunki.

Dramaturg Sceny Polskiej TC i autorka czterech tomów wierszy Renata Putzlacher-Buchtowa (1966) weszła w świadomość czytelnika czeskiego jako renomowana poetka i jako tłumaczka pieśni Jaromíra Nohavicy na polski, wydanych w dwutomowej edycji zwierciadlanej[11]. (Przekłady z Nohavicy zostały w roku 1996 wykorzystane w trzech audycjach drugiego programu Telewizji Polskiej.)

Nie mogę dokładniej zająć się tutaj niektórymi interesującymi zagadnieniami i zjawiskami translatorskimi na tle omawianego materiału. Wspomnę jeden przykład za wszystkie inne. Wiadomo, że do najtrudniejszych kwestii translatorskich należą realia oraz decyzje, w jakiej formie przekazać je czytelnikowi zagranicznemu. Tutaj Renata Putzlacher radzi sobie ze znaczną inwencją, chociaż pozycję ułatwia jej w jakimś stopniu fakt, iż realia cieszyńskie spotykane w tekstach Nohavicy (rzeka Olza, dworzec cieszyński, most Przyjaźni, Wieża Piastowska itd.) są Polakom równie bliskie jak nam. Wspomnę też podejścia tłumaczki z terenu frazeologii. (W przekładach frazeologizmów często idzie nie tyle o tłumaczenie, ile o zastępowanie tego, o czym w danym języku jest mowa.) W przekładzie pieśni Nohavicy *Dokud se zpívá, ještě se neumřelo* np. przetłumaczyła Putzlacher wiersz *Stokrát jsem prohloupil a stokrát platil draze* polskim przysłowiem jako odpowiednią jednostką frazeologiczną: Na wozie raz, raz pod wozem, ot, krakowski targ[12]. Tłumaczka, jak się przekonujemy, z powodzeniem uniknęła tutaj częstego błędu - przekładania fareologizmów w myśl ich składników. Przez użycie polskiego przysłowia Śląsk symbolicznie podał sobie rękę z Galicją.

Renata Putzlacher opracowała i przełożyła na polski wybór z aforyzmów stu dwudziestu pięciu autorów czeskich pod tytułem „Miłość po czesku"[13]. Pod względem edycyj-

nym przygotowała almanach Metafora[14], gdzie pojawiły się także przekłady Vladimíra Holana oraz Miroslava Holuba, Josefa Hrubego, Jana Kašpara i Jaromíra Šavrdy pióra Władysława Sikory. Jako dramaturg przetłumaczyła Putzlacher dla Sceny Polskiej TC sztuki czeskich i słowackich autorów: Tatiany Kusej i Antonína Procházki. Prócz przekładów pieśni Jaromíra Nohavicy publikowała w czasopismach także tłumaczenia Karla Kryla i Karla Plíhala (w rękopisach pozostały przekłady pieśni Hany Hegerowej oraz Vlasty Redla).

Poetka **Lucyna Przeczek-Waszkowa** (1964) ukończyła gimnazjum w Cz. Cieszynie, pracowała jako wychowawczyni w świetlicy szkolnej w Jabłonkowie i jako przedszkolanka w Cz. Cieszynie. Pisze poezję, jest tłumaczką poezji, prozy i sztuk teatralnych. Samodzielnie wydała dwa zbiorki poezji, drugi z kolei „Cztery pory miłości" przełożył na czeski Libor Martinek[15]. W Ostrawie pojawił się wybór z wierszy Lucyny Waszek w czeskich przekładach Věnceslava Juřiny, Lecha Przeczka, Wilhelma Przeczka, Evy Sobkowej, Ericha Sojki, Karla Vůjtka, pod tytułem „Koncert na přání"[16]. Przekłada na polski (Helenę Lisicką i Jindřicha Zogatę), ale także z polskiego na czeski: tłumaczyła m.in. wiersze Wilhelma Przeczka, aforyzmy Wiesława Malickiego[17] oraz opowiadania Janusza Osęki.

Do grupy pisarzy zaolziańskich jest także zaliczany mieszkający w Ostrawie **Wiesław Adam Berger** ze swą córką Ewą Berger, słuchaczką teatrologii JAMU w Brnie. W.A.Berger (1926) tłumaczył na polski fragment powieści Ladislava Bublíka „Páteř" (druk w Zwrocie), w rękopisie pozostał przekład wiersza Miloša Horanskego „Ruce Davidovy". **Ewa Berger** (1976) przełożyła na czeski zbiorek Stanisława Krawczyka „V samohláskách a barvách"[18].

Już od połowy lat pięćdziesiątych istnieje współpraca pisarzy zaolziańskich z Sceną Polską TC. Oprócz wspomnianych przekładów Kazimierza Jaworskiego, Wilhelma Przeczka, Jana Pyszki, Władysława Sikory oraz prócz wymienionych na wstępie Henryka Jasiczka i Pawła Kubisza angażowali się na tym polu Karol Piegza, Janina Kowalska (dziennikarka), Franciszek Michalik (aktor i reżyser) oraz Kazimierz Kaszper.

Pisarze zaolziańscy zwykli reagować także na artykuły lub studia czeskich i słowackich literaturoznawców dotyczące problematyki regionalnej bądź literatur mniejszości narodowych (np. Františka Všetički i Petra Andruški)[19]. Zdarzają się też przekłady recenzji twórczości literackiej Zaolzian w prasie czeskiej (np. recenzje Jiřígo Urbanca)[20]. Czeska krytyka literacka w swych świetnych chwilach poświęcała zresztą uwagę literaturze zaolziańskiej już między wojnami dzięki magazynowi Poesie redagowanemu przez Jana Strakoša. Linię tę kontynuuje obecnie opawski miesięcznik literacki Alternativa-Nova prowadzony przez Drahomíra Šajtara z grupą redakcyjną (działalność twórczą pisarzy zaolziańskich obserwują w niej zwłaszcza Jiří Urbanec i František Všetička).

Nie ulega wątpliwości, iż wzajem-

ne kontakty i powiązania pomiędzy literaturami czeską, słowacką a polską są potrzebne i użyteczne. Praski strukturalista Jan Mukařovski w związku z tym podkreślał, że dla określenia zaistniałych na terenie literatury narodowej wpływów jest istotne to, w jaki sposób literatura ta na nie się otwiera lub na ile ich oczekuje w swym aktualnym systemie literackim. Poszczególne kultury narodowe nie stykają się jego zdaniem na zasadzie wspólnych uzależnień podrzędnych lub wywierania wpływu, lecz na podstawie wzajemnej równości[21]. Polscy pisarze z Zaolzia ex private industria w dużym stopniu przysłużyli się do wzajemnej prezentacji dóbr kulturalnych w trójkącie trzech bliskich sobie pod względem językowym kultur narodowych.

LIBOR MARTINEK

(Referat wygłoszony na konferencji Česká a slovenská literatura dnes w ramach 39. Opawy Bezruča – 16 – 18 IX 1996; przekład: saw)

1. Jan Korzenny, Władysław Sikora: **„W górę doliny – Zaolziańscy ludzie pióra".** Cz. Cieszyn, Zrzeszenie Literatów Polskich w CSRF 1992.
2. Edmund Rosner: **„Literatura polska z czeskiego Śląska".** Cieszyn, Uniwersytet Śląski – Filia w Cieszynie 1995, s. 24–25.
3. Władysław Sikora, cyt. według listu do Libora Martinka, 17 maja 1996.
4. **„Poetyckie pozdrowienia".** Ostrawa, Krajské nakladatelství 1961.
5. Władysław Sikora: **„Poetyckie przyjaźnie. Zatarty ślad".** Zwrot 1991, nr 1.
6. Adam Szyper: **„Život navzdory".** Cz.Cieszyn, Sochor 1994; František Henner. Olbrachcice, SAK 1995, z Lechem Przeczkiem; Wiesław Malicki: **"Słowa pod wiatr – Slova proti větru".** Cz. Cieszyn, Olza 1996, z Liborem Martinkiem.
7. Cykl pojawiał się w latach 1995–1996.
8. Powieść pojawiła się po czesku pod tytułem **„Hudba z nebe".** Opawa 1996.
9. Wilhelm Przeczek (red.): **„Poezja Słowackiego Powstania Narodowego".** Cz.Cieszyn, ZG PZKO 1978.
10. **„Tchnienie wiosny",** Zwrot 1982, nr 8.
11. Jaromír Nohavica: **„Písně – Pieśni".** Cz. Cieszyn, nakładem własnym autora 1994, 1995.
12. detto, tom II, niepaginowane.
13. **„Miłość po czesku".** Kraków, Miniatura 1995.
14. **„Metafora".** Kraków, Miniatura 1995.
15. Lucyna Przeczek-Waszkowa: **„Cztery pory miłości".** Cz. Cieszyn, Olza 1994; „Čtyři období lásky". Olbrachcice, SAK 1996.
16. Lucyna Przeczková-Waszková: **„Koncert na přání".** Ostrawa, VMCG 1994.
17. Wiesław Malicki: **„Nahé názory".** Cz. Cieszyn, Sochor 1992, z Lechem Przeczkiem i Jindřichem Zogatą.
18. Własnym nakładem tłumacza. Ostrawa 1996.
19. František Všetička: **„Polski wyraz językowy czeskiej literatury",** Zwrot 1995, nr 5; Peter Andruška: **„Problematyka literatur mniejszości narodowych",** Zwrot 1995, nr 6.
20. Patrz Jiří Urbanec: **„Poszukiwacz istoty słów".** W: "Metafora". Kraków, Miniatura 1995, s.95.
21. Jan Mukařovský: **„Studie z estetiky".** Praga, Odeon 1966, s.11

RENATA PUTZLACHER

DWUDZIESTOLETNIA

pamięci Mirki

Dziewczyna układa kwiaty a Bóg przeciera
zamarzniętą szybę gdzieś w zaświatach
dokąd dobiega światło z jej pokoju
który w tej chwili jest dla niej całym kosmosem
Jeszcze wczoraj była nastolatką a tego wieczoru
przeżywa swoją dojrzałość Tylko Bóg wie o tym
ten mały kleks w księdze wieczności widnieje
obok jej nazwiska Dziewczyna układa kwiaty
które tej nocy będą się starzały wolniej od niej
Wkłada w ten bukiet całe swoje serce tak jak
zawsze gdy układała podobne Ten jednak będzie
jedyny w swoim rodzaju dzieło przeżyje swoją
mistrzynię Iluż z nas o tym marzy ale póki co
tylko Bóg wie o niej Patrzy na nią przez szparę
w grudniowym niebie Widzi jej pochyloną głowę
białą twarz i zawieję lat które kotłują się tej nocy
za jej oknem Śpią spokojnie kobiety z których
wyszła śpi cały łańcuch pokoleń które już jutro
wyciągną po nią ręce W wieczór swego życia
dziewczyna układa kwiaty wokół których
przez wszystkie następne dni nikt nie przejdzie
obojętnie Które będą poezją samą w sobie
w których formie każdy będzie się dopatrywał
przesłania Których ziemski zapach będzie ją
przywoływał kiedy przez zamarzniętą szybę
gdzieś w zaświatach wypatrywać będzie
światła w swoim oknie

ZWIJANIE DOMU

Rozpoczyna się zazwyczaj od rzeczy błahych,
nieistotnych. Szczoteczka, bielizna osobista,
nadpruty miś, kilka taśm, książki.
Potem pora na rzeczy istotne : książeczka
oszczędnościowa, w lepszym wypadku
karta kredytowa. Książeczka do nabożeństwa,
gdy ma się ideały i gdy jest jeszcze w co wierzyć.
Dyskietka z całym dorobkiem życiowym.
Dowód osobisty, najintymniejsza z rzeczy,
bo bez niego mógłbyś nie być sobą. To wszystko
plus partnera i dziecko pakujesz w samochód.
Reszta maneli mknie w tym czasie ciężarówką,
już poza tobą, jakby ciebie nie dotyczyły.
W drzwiach kaleczysz jeszcze na odchodnym
domowego skrzata, który chciał się wymknąć
razem z tobą. Ignorujesz więdnący fikus,
który już się nie zmieścił. I wreszcie zwijasz
dom, jego wyobrażenie, na rolkę pamięci.
Mkniesz autostradą, a on jest z tobą.
W oddechach tych, którzy siedzą za twoimi
plecami. W kołataniu serca, które więzisz
między żebrami. Na dnie duszy,
do której nigdy nie znalazłeś klucza.

GUSTAW MORCINEK

PRZYGODY NARCIARSKIE

WIGILIA W GÓRALSKIEJ CHACIE

Nie wiem, co nas skłoniło zabrać na włóczęgę pannę Maryśkę.

– Umiesz dobrze jeździć, Maryśko? – upewniałem się kilka razy.

– Ho, ho!... Jeszcze jak!

– Nie zrobisz nam wstydu?

– Tylko się nie lękaj!...

Dobrze więc. Plecaki nasze były lekkie, zawierające trochę jedzenia, wiatrówki, koce, latarki elektryczne i smary do nart. Ruszyliśmy w czwórkę. Obliczyliśmy, że zdołamy w ciągu jednego dnia przemierzyć na nartach całą drogę, od Stożka do szańców jabłonkowskich. Ja upierałem się, żeby z Kiczory pojechać od razu do Istebnej zakosami, panna Maryśka i dwóch towarzyszy uwzięło się. Nie a nie!

– To dokąd chcecie jechać?

– Na Kubalonkę, stamtąd do Istebnej, a z Istebnej już wprost na szańce do Mostów.

– Dobrze, jedźmy na Kubalonkę! – zgodziłem się niechętnie. Chodziło o to, by zdążyć do wieczornego pociągu w Jabłonkowie i by nim wrócić na wieczór wigilijny do domu w Cieszynie.

Pojechaliśmy. Śnieg był suchy, puszysty, lekki. Narty niosły świetnie. Lecieliśmy jak na skrzydłach. Migały koło nas drzewa zamienione w jakieś ogromne czapy śnieżne, śnieg dzwonił pod nartami, mroźny wicher palił nas po twarzy, wyciskał łzy z oczu, a serce dygotało z wzruszenia. Miejscami sypaliśmy się w śnieg, zwłaszcza w wąskich, głębokich ścieżkach leśnych, w których nie było można ani płużyć, ani kijkami hamować.

Tutaj to pierwszy raz okazało się, że panna Maryśka jest patałachem. Oto w miejscach stromych siadała po prostu na kijkach, czyniąc wielki dyshonor braci narciarskiej.

– Co mi tam! – broniła się. – Milej mi zjechać na kijkach w sposób niehonorowy, niż honorowo przejechać się na nosie w śniegu i guza wynieść z wyprawy.

Na Kubalonce mały odpoczynek,

– Jedziemy! – popędzałem, bo chodziło o wyzyskanie czasu.

Najopieszalej zabierała się do dalszej drogi panna Maryśka.

– Pierona, kości już mnie bolą! – postękiwała.

– Wróć się!

– Ani mi się śni!... – zawołała, przypięła narty i pognała pierwsza.

Po drodze wicher wzmagał się, niebo zaciągało się ciężkimi, niskimi chmurami, a gdyśmy dojechali do kościoła istebniańskiego, przeszła nas ogromna śnieżyca. Jak długo wędrowaliśmy drogą między zabudowaniami wsi, nie odczuwaliśmy jej tak bardzo. Zaledwie jednak wyjechaliśmy w pola za kościół w Girowej, wszystko się zmieniło. Wicher wzmógł się, dął przenikliwie, bił nas skrzydłami, wywracał do śniegu, parzył skórę na twarzy, zalepiał oczy śniegiem, i tworzył nieprzeniknioną zasłonę. Zdawało się nam, że znajdujemy się w ogromnej, wirującej kuli śnieżnej.

– To ja lubię!... To lubię!... – pokrzykiwała uradowana dziewczyna, lecz wicher zrywał jej słowa z ust. Posuwaliśmy się teraz prawie omackiem. Wszystko zniknęło koło nas. Kierowaliśmy się tylko kierunkiem wichru, wiedząc, że dojdziemy w ten sposób na Girową, a stamtąd już zakosami spadniemy w dolinę przełęczy jabłonkowskiej.

Okazało się jednak, że trochę przeliczyliśmy się z własnymi siłami. Zwłaszcza z siłami panny Maryśki. Śnieg stawał się teraz kopny i tak sypki, że narty tonęły w nim głęboko. Już teraz nie posuwaliśmy nimi, lecz kroczyliśmy z wysiłkiem, podnosząc je wysoko ze śniegu. Najgorzej było, gdy się ktoś z nas wywrócił. Narty zostawały na powierzchni, a tułów tonął głęboko w zawiejach. Trudno było powstać o własnych siłach.

– Nie rozchodzić się! – wołałem od czasu do czasu, bo wiedziałem, że gdy ktoś z nas zniknie w zawierusze śnieżnej, już go nie znajdziemy. Wołać bowiem nie można, gdyż szum wichru zupełnie głuszył słowa. A o przypadek nie trudno!...

Wędrowaliśmy przeto gęsiego, pannę Maryśkę mając w środku. Dziewczyna ustawała w pochodzie.

– Daleko jeszcze? – zapytała, przytykając usta do moich uszu, żebym mógł ją zrozumieć. Spojrzałem na nią i trochę się zaniepokoiłem. Dziewczyna była już zmęczona. Dyszała ciężko, a jej niebieskie oczy zgasły. Były jakieś szare i ogromnie znużone.

– Co tobie? – zapytałem.

– Śpiąca jestem!... – rzekła z wysiłkiem.

O, to źle... Nie wolno ustawać, bo nam dziewczyna gotowa zmarznąć! Skinąłem na wszystkich i ruszyłem ostro w wichurę, nisko nachyleni, z odwróconymi twarzami przed wichrem.

Dotarliśmy w końcu na jakąś polanę.

– Tu powinien być zjazd na Girową! – rzekłem.

Zaczęliśmy szukać ścieżki, wyrąbanej w gęstym lesie. Ani śladu. Czarny las wyje przeraźliwie, wicher przewraca nas, mróz daje się coraz bardziej we znaki, a ścieżki jak nie ma tak nie ma.

– Czybyśmy zabłądzili? – zaniepokoiłem się trochę.

Jęliśmy brodzić w śniegu i szukać zjazdu. Mrok już zapadał, co nam jeszcze bardziej utrudniało orientowanie się w terenie. W końcu widziałem, że nie znajdziemy naszej drogi. Ruszyłem przeto na przełaj w domniemanym kierunku Girowej, a za mną reszta towarzyszy.

Odsadziłem się daleko, kiedy nagle zdawało mi się, że słyszę wołanie. Zatrzymałem się, jąłem nadsłuchiwać. Istotnie poprzez wycie wichru dochodzi mnie wołanie.

Trzeba było wracać.

Kierowałem się za głosem wołających kolegów. Koleiny moich nart były już bowiem zawiane. Długo błądziłem, zanim w końcu poprzez gęstą, białą, wirującą ścianę śnieżycy zamajaczyły mi cienie moich towarzyszy.

– Co się stało?

– Maryśka nogę zwichnęła!...

Istotnie dziewczyna leży w śniegu i po prostu beczy. Łzy ciekną po twarzy i zamarzają na policzkach.

Co tu robić? Jeżeli zdejmiemy narty, zapadniemy się w śniegu po pas. Pierona jasnego! Rychło jednak powzięliśmy plan. Oto dwóch towarzyszy splecie dłonie, Maryśka usiądzie na nich jak na fotelu, ułapi kolegów za szyje, a trzeci pójdzie przodem i będzie drogę torował.

Dotarliśmy w ten sposób pod ścianę lasu. Tu było ciszej. Maryśka wciąż płakała, narzekając na dojmujący ból w nodze. Uradziliśmy przeto, że dwóch kolegów pozostanie przy niej i spróbuje zrobić ognisko, trzeci zaś pojedzie w dolinę szukać pomocy.

Szczęście nam sprzyjało. Zaledwie bowiem odbiłem się kijkami i jąłem sunąć w dolinę, zamajaczyło mi z boku światełko, tkwiące w czarnym masywie. Była to góralska chałupa. Zapukałem, wywabiłem ludzi, znieśliśmy dziewczynę do izby i już było wszystko dobre. Ale wieczór wigilijny w domu przepadł. A szkoda. Teraz nasi najbliżsi będą się może niepokoić o nas. No trudno!...

Góral, stary gazda o pomarszczonej twarzy, obejrzał nogę Maryśki. Potem kazał żonie przynieść w cebrzyku gorącej wody, zanurzył w niej nogę dziewczyny, a kiedy się dostatecznie rozgrzała, ujął między kolana, szarpnął gwałtownie, dziewczyna wrzasnęła, i noga była naprawiona.

Nie było innej rady, jak przenocować w chałupie u gościnnych gazdów beskidzkich.

Tymczasem na dworze zapadł już zmrok. Gazda zaprosił nas do stołu, do wieczerzy wigilijnej. Głodni byliśmy jak wilki, przeto też wcale się nie wzbranialiśmy. Wieczerza była skromna. Przy stole zasiedli oprócz gazdów i nas czworga, jeszcze wnuk gazdów i pasterka czy służąca. Razem więc osiem osób. W kącie stała mała choinka, na choince paliło się kilka świec, a na nalepie dymiły garnki smakowitą parą i zapachem. Gazda wstał, przeżegnał się poważnie i jął głośno odmawiać Ojcze nasz. Myśmy powtarzali za nim święte słowa. Potem zaczęła się wieczerza.

Jedliśmy z jednej dużej misy. Sięgaliśmy głęboko łyżkami, lecz powoli, z namaszczeniem, jak przystało w taki święty wieczór. Miska zmieniała się. Była najpierw kapusta z ziemniakami, potem groch, ryż, grysik posypany cukrem i tartym piernikiem, pieczone ziemniaki, a następnie każdy z nas otrzymał po kawałku ryby wysmażonej. Dobra była. Aż palce lizać. Następnie oczekiwał nas jeszcze ser i suszone śliwki ugotowane. A na końcu orzechy. Każdy z nas otrzymał po cztery sztuki. Każdy zaś orzech miał przepowiadać stan zdrowia na jedną porę roku. Moje były wszystkie zdrowe. Maryśka miała pierwszy orzech zepsuty. Zmartwiła się biedaczka, bo była przekonana, że będzie chorować przez trzy miesiące i nic nie będzie z nart. Lecz kiedyśmy jej wytłumaczyli, że ów niezdrowy orzech oznacza jej nogę zwichniętą, z czego wyleczy się do tygodnia, znów zaczęła się uśmiechać.

Potem gazda wziął opłatek i jął się dzielić z nami i z domownikami.

– Na szczęście, na zdrowie, na święte Boskie pożegnanie! – powtarzał, kreśląc krzyż nad złamanym opłatkiem.

Syci i ogrzani czuliśmy się dobrze w starej chałupie góralskiej. Zapomnieliśmy o przeżytych wrażeniach. Za ścianami wył wicher, dudnił po kalenicy, prał śniegiem o małe szybki okienne, a węgły chałupy trzeszczały. Lecz my czuliśmy się bezpieczni.

– Umiecie panowie śpiewać kolędy – zapytał gazda.

– Ho, ho!... Jeszcze jak!

Janek, mój najmilszy kolega, pogrzebał w plecaku, wydobył spory grzebień, owinął go w bibułkę, zerwaną spod jakiegoś świętego obrazu, i zaczął grać. Na grzebieniu. A myśmy zaczęli śpiewać.

W żłobie leży, któż pobieży,
Kolędować Małemu!...

Nawet mały owczarek wylazł spod pieca i zaczął słuchać naszego śpiewu. Janek dudnił na grzebieniu. Maryśka wydzierała się wysokim sopranem, ja buczałem grubo basem, a drugi mój kolega, Robert, imitował tenorowy głos Kiepury. Gazda i jego domownicy również śpiewali.

Wicher wył za oknami, szalał koło chałupy, trząsł węgłami, dudnił po dachu, a dach stękał, szyby okienne zaś brzęczały, zalepione śniegiem. My zaś śpiewaliśmy wszystkie kolędy, jakie tylko zdołaliśmy wygrzebać ze wspomnienia.

W śpiewie swym bezwiednie wyrażaliśmy wdzięczność swoją, jaką czuliśmy w tej chwili do gościnnego gazdy beskidzkiego, który nas przytulił, ogrzał, nakarmił, a teraz śpiewa z nami. Dziękowaliśmy Bogu, że nas wywiódł z ciężkiej obieży i radowaliśmy się szczerze, że się Chrystus narodził, który głosi pokój ludziom dobrej woli.

Kiedy nazajutrz zjechaliśmy w dolinę jabłonkowską, zgasła w nas wczorajsza radość.

– Tu są ludzie dobrej woli, lecz nie ma u nich pokoju!... – zauważyła Maryśka, wysuwając zziębniętą twarz z siana w sankach, a jej duże, niebieskie oczy znowu przygasły.

KOSZARZYSKA ANNO DOMINI 1997

czyli garść refleksji o żywiołach (i nie tylko) kursantki – nowicjuszki (II)

Żywioł III – OGIEŃ

Deszcz padał cztery lata, jedenaście miesięcy i dwa dni. Niebo rozdzierały niszczycielskie burze, a z północy przychodziły huragany, zrywały dachy domów, rozwalały ściany i wyrywały z korzeniami z ziemi ostatnie sadzonki. Tak jak w czasie epidemii bezsenności, którą Urszula przypominała sobie w te dni, sama plaga pobudzała do obmyślania środków obrony przeciwko nudzie...

(G.G.Márquez, Sto lat samotności)

Przyczyną mego opóźnionego przyjazdu na zorganizowany przez Gminę Teatralną im. majora Szmauza kurs teatralny w Koszarzyskach były właśnie żywioły, na temat których miałam przygotować referaty dla kursantów. Ulewa stulecia, która w lipcu dała się nam wszystkim we znaki. Kiedy w pelerynie i gumiakach wysiadałam z samochodu prosto w strugi deszczu, zobaczyłam rozmyty krajobraz, znajome chatki i mnóstwo błota. Tylko dym z komina teatralnej kuchni był dowodem na istnienie ludzi na tych terenach. Przez przypadek, a jednak nieprzypadkowo spakowałam do plecaka „Sto lat samotności" – magiczną powieść o losach mieszkańców wymyślonego miasteczka Macondo, społeczności, którą upodobał sobie zły los. Jest to jedna z książek, do której wracam co parę lat i zawsze, z przybywającym wiekiem i doświadczeniami, odczytuję ją inaczej. Najpierw fascynowała mnie jej niesamowitość, fatalne związki miłosne, które bezlitośnie ucinała śmierć i rodzinne piętno samotności, ciążące na rodzie Buendiów. Kiedy byłam niepewna swoich korzeni, czytałam ważne dla mnie słowa: *Człowiek nie należy do żadnej ziemi, póki nie ma*

w niej nikogo ze swych zmarłych. I pomimo tego, że nieraz miałam wrażenie, iż należę do społeczności, którą upodobał sobie zły los, już wiedziałam, że tak być powinno – wszyscy moi bliscy spoczywają w śląskiej ziemi.

A tu, w Koszarzyskach, w strugach deszczu, powrócił do mnie początek rozdziału, który jest jednocześnie zapowiedzią końca rodu Buendiów i miasteczka Macondo: *Deszcz padał cztery lata, jedenaście miesięcy i dwa dni...* Jak już wspomniałam w poprzednim rozdziale, tylko nasze dzieci, biegające samopas w kolorowych pelerynach, miały uciechę z szaleństwa żywiołów. U Márqueza *tylko dzieci, Amaranta Urszula i mały Aureliano, miały wspominać potop jako szczęśliwy okres swego życia.* Dziś widzę, że zamiast rozpraw na temat żywiołów miałam po prostu czytać młodzieży fragmenty powieści. Jest w niej wszystko.

Z ogniem zetknęłam się na samym początku. W zimnej chatce musiałam stoczyć walkę o ogień z piecykiem, który wprawdzie obficie dymił, ale nie grzał. Natomiast kuchnia teatralna, w której zgodnie z założeniami GAimSZ-a i w myśl archetypalnych praw koncentrowało się całe życie teatralno-towarzysko-rodzinne, buzowała ciepłem ogniska domowego. Tu po raz kolejny potwierdziło się moje spostrzeżenie, że nic tak nie zbliża ludzi różnych opcji i pokoleń, jak wspólne gotowanie i zmywanie garów. Na własnej skórze (rąk) poznałam uroki spontanicznego, dobrowolnego mycia garów o niekonwencjonalnych porach (na przykład po północy), które umilało dobrane grono, dyskutujące na przykład o zawiłej problematyce asymilacji i bilingwizmu przy dźwiękach muzyki arabskiej. Tej egzotycznej mieszance wybuchowej uległy pewnego wieczora również orły naszego biznesu, które w ramach staropolskich obyczajów przyszły w gości z prowiantem i w euforii zmywania po kolacji omal nie utopiły swoich nieodłącznych telefonów komórkowych w czeluściach zlewu.

Chrzest ogniowy przeżyła uteatralniona młodzież w trakcie dwu pierwszych wieczornych spektakli, które tematycznie były związane z ogniem. Ognisko rodzinne, przedstawione w pierwszym spektaklu jako przerażające panoptikum, wstrząsnęło mną w żywym odbiorze (natomiast powróciło znajomym echem w trakcie ponownej lektury sagi zdegenerowanego rodu Buendiów). W drugim spektaklu symbolem ognia była świeca, której młodzi aktorzy powierzali kolejno swe intymne sekrety. Było to dla mnie niezwykle oczyszczające przeżycie: nie dość, że zaśmiewałam się do łez z problemu, który powa-

żnie mnie niepokoił przez całą moją durną i chmurną młodość, to jeszcze uświadomiono mi komiczną moc naszej gwary na scenie. Nic bardziej zabawnego niż dywagacje psychoanalityczne „po naszymu" - Freud by się uśmiał!

Gdy wyszło słońce zza chmur, wyszliśmy wszyscy z mroków kuchni i usiedliśmy za stołami pod gołym niebem, a wraz z nami wyległy stada dużych, czerwonych mrówek. W obliczu komunikatów powodziowych, które docierały do nas z opóźnieniem, owady te stanowiły jakby kontynuację katastroficznych zjawisk przyrodniczych. Czytelnikom Marqueza nie muszę przypominać losów rodu z Macondo, o którym napisano: *Pierwszy z rodu przywiązany jest do drzewa, a ostatniego zjadają mrówki.*

Drzewa też mnie zauroczyły. Tyle razy spacerowałam po lesie, ale dopiero dwie siostry z uteatralnionego rodu pokazały mi „swój las" - niezwykłe drzewa-mutanty, splecione ze sobą w fatalnych uściskach lub wegetujące jedno na drugim. I każde, jak się okazało, miało swoją zmitologizowaną historię. W takim klimacie nie zaskoczył mnie wieczór, spędzony w kucki przy świetle świec, które miały nam zastąpić ognisko, w trakcie którego wyszły na jaw niesamowite historie o miejscowej Białej Damie. Kilka osób zetknęło się z nią w trakcie nocnych eskapad w stanie bynajmniej nie wskazującym na spożycie. Po raz kolejny powiało klimatem dzieciństwa, „Ballad i romansów" i Erbena. Czucie i wiara przemówiły do nas. Stary, dobry ogień jeszcze raz ogrzał serca skupione wokół niego w magicznym kręgu...

Żywioł IV - POWIETRZE

Diagnoza ? Syndrom Koszarzysk. Jak się okazało, nie tylko ja nie umiałam się zaaklimatyzować po powrocie. Zejście z gór w doliny, ze sfer idealnych do piekła przyziemności, czy zwykła zmiana klimatu z górskiego na miejski ? Przyznaję, że pierwszego dnia ze zdumieniem godnym ludzi pierwotnych przyglądałam się samochodom. Drażniły moje uszy i nozdrza.

Żywioł powietrze, powinno więc być jeszcze co nieco o wzlotach, o awiacji. Syndrom Ikara ? Wizja, że moje spreparowane naprędce skrzydła zimują teraz w beskidzkiej chatce nr 1, jest krzepiąca. Mam po co wracać w lecie. O ile będzie lato... W Koszarzyskach, w Macondo...



GIMPEL W KRAINIE SNÓW

Drugą październikową premierą Sceny Polskiej w tym sezonie był „Gimpel Głupek" według opowiadania Isaaca Bashevisa Singera. Przekładu dokonał Ludwik Górski, autorem adaptacji jest Waldemar Śmigasiewicz. Reżyserii tego przedsięwzięcia podjął się Janusz Klimsza.

Isaac Bashevis Singer był Żydem. Żydem z Polski. W Polsce przeżył pierwszych trzydzieści lat swojego życia. I chociaż później wyjechał do Ameryki, świat dzieciństwa i młodości nie tylko nie zatarł się w jego wspomnieniach, ale ożył od nowa na kartach jego książek.

Singer opisał świat, który dawno przeminął, świat środowisk żydowskich, świat obyczajów, tradycji, kultury, religii znamiennych dla tego właśnie środowiska. Odmienność tradycji powodowała pewne zamknięcie się społeczności żydowskiej. Jednocześnie jednak silna jej reprezentacja na ziemiach polskich wywarła duży wpływ na kulturę polską, wzbogaciła ją, stała się jej częścią. Zawsze też istniał w Polsce problem antysemityzmu, który w różnych epokach z różną siłą dawał znać o sobie, a najczęściej był i nadal jest tylko pretekstem do rozgrywek na inny zupełnie temat.

Ten dawno nieistniejący świat dzielnicy żydowskiej w małym miasteczku miał przedstawić w swoim spektaklu Janusz Klimsza. Pokazał go tak, jak nakazywała mu wyobraźnia. Tylko najstarsi ludzie pamiętają jeszcze przedwojenną rzeczywistość, której integralną częścią byli Żydzi – właściciele kramików, kupcy, sklepikarze. Większość z nas świat ten zna tylko z filmu, książek czy opowieści dziadków. Może dlatego lepiej się stało, że to, co zobaczyli widzowie na scenie, nie było próbą wskrzeszenia przeszłości w jej realistycznym kształcie, ale grą wyobraźni reżysera, scenografa i muzyka.

Autorką scenografii i kostiumów do przedstawienia jest Marta Roszkopfowa. Na scenie zbudowany został fragment miasta z mieszkaniem rabina za zasłonką na piętrze, gwiazdą żydowską, chlewikiem z kozą, która mówi. Na proscenium worki, słoma, jako stodoła czy kurnik, gdzie kura zniosła jajko. Bogata dekoracja uzupełniana była w trakcie przedstawienia mnóstwem rekwizytów, używanych, co jest znamienną cechą teatru Klimszy, nie zawsze zgodnie z ich pierwotnym przeznaczeniem.

Zbigniew Siwek, autor muzyki, kazał Elke śpiewać piosenkę. Śpiewała ją w dodatku w języku jidysz, języku, w którym „Gimpel głupek" został przez Singera napisany. Jej rzewne tony puszczane z playbacku gubiły jednak część nastroju.

A jakie wrażenie sprawiała całość przedstawienia? Krótko można je określić jako typowe dla Janusza Klimszy. Młody reżyser w swej twórczości scenicznej konsekwentny jest w swej niekonsekwencji, tj. pomieszaniu stylów, gatunków. Charakterystyczną jej cechą jest budowanie obrazów, nie zawsze powiązanych chronologicznie, natomiast zawsze z elementami symboliczny-

mi, metaforycznym ujęciem i przedstawieniem pewnych wątków. Widzowi pragnącemu w każdym takim ujęciu za wszelką cenę dociec znaczenia, sensu, motywacji może każdy spektakl Klimszy wydawać się trudny do zrozumienia, chaotyczny. W przedstawieniach jego bowiem nie zawsze ciąg zdarzeń jest najważniejszy. Ważniejsza jest atmosfera, malarskość poszczególnych obrazów scenicznych. Niekonsekwencja zaś, o której mowa wcześniej, sprawia, że obrazy nie tworzą od początku do końca całości poprzez jednolity nastrój. Zmienność stylów wprowadza elementy obrazoburcze, zamierzone zgrzyty.

Treść utworu jest banalna. Tytułowy Gimpel to człowiek naiwny, ufny, wierzący we wszystko, co ludzie do niego mówią. Już w dzieciństwie nazwano go głupkiem, przydomek ten został mu na całe życie. Wierzy w niewinność żony, wierzy, że jest ojcem sześciorga dzieci. Na końcu życia wierzy mocno w to, że odchodzi do lepszego świata.

Gimpla zagrał Paweł Niedoba. Niedoba nie jest aktorem Klimszy. Przynajmniej w moim mniemaniu aktorstwo Niedoby nie pasuje do teatru Klimszy. Nie umiem uzasadnić, dlaczego tak się dzieje. W przedstawieniach Klimszy widzę raczej nadmarionetę Craiga, Niedoba zaś dla mnie reprezentuje aktorstwo psychologiczne. Nie upieram się, że tak jest naprawdę, piszę o moich osobistych odczuciach. Wobec nich jednak powinnam całe przedstawienie osądzić jako jeden wielki dysonans. A tymczasem nie jest tak źle.

Paweł Niedoba przez całe przedstawienie właściwie nie schodzi ze sceny. Wszystko, co jest poza nim, zostaje w tle i istnieje tylko po to, by udowadniać głupotę Gimpla. On sam staje się również narratorem, kiedy zwraca się do widzów, opowiadając koleje losu swego bohatera. Gimpel jest postacią tragiczną. Chociaż pogodzony jest ze swoim życiem i zawsze znajduje w nim jakieś dobre strony. Żyje jakby sen na jawie, z którego zapamiętuje tylko to, co chce. Aktor w swej roli wzrusza i budzi współczucie. I każe wierzyć w optymistyczne zakończenie. Jedną pretensję mam do odtwórcy. Pretensję za niedbałą artykulację.

Żonę Gimpla Elke gra Małgorzata Pikus. Po raz pierwszy w czasie swej bytności w Scenie Polskiej otrzymała rolę większą i bardziej interesującą. I przekonała widzów, że coś potrafi. Ryszard Pochroń jako Rabin gra jak zwykle sugestywnie swoją kolejną rolę charakterystyczną. W pozostałych rolach przedstawili się młodzi ludzie, najmłodszy narybek Sceny Polskiej: Sebastian Pawlak, Michał Siegoczyński, Dariusz Cywka oraz znany już z ubiegłego sezonu Janusz Laskowski, który zmienił uczesanie i wyraźnie lepiej czuje się wśród rówieśników. Z trójki debiutantów w przedstawieniu „Gimpla głupka" najbardziej poprzez plastykę ruchu i wyraźną aż do przesady deklamację wpada w oko Dariusz Cywka. Zadaniem tych młodych ludzi nie jest zresztą tworzenie kreacji, ale robienie hałaśliwego tłumu, co nieźle im się udaje.

„Gimpel głupek" nie jest przedstawieniem najłatwiejszym. Klimsza każe widzowi włączać wyobraźnię, chłonąć atmosferę. A że widz spragniony jest atmosfery tamtych lat, najlepiej widać w scenie, kiedy kupcy obstępują Gimpla, zachwalając mu swój towar, a widzowie kwitują ją gromkimi brawami.

CZESŁAWA RUDNIK

PROMOCJA KSIĄŻKI WINCENTEGO SZELIGI

Moja korespondencja z Wincentym Szeligą rozpoczęła się bodajże w roku 1975. Przysłał mi wtedy wiersz „Złoty promyczek" z następującą dedykacją: Naszemu malutkiemu Zbyszkowi dziadek Wicek. Załączył też kilka opisów tego, w czym żył, co czuł, co uważał za szczególnie ważne. Pisane ołówkiem obrazki zdradzały od razu, że mamy do czynienia z literaturą faktu wyjątkowej wagi. Dlaczego? Otóż dlatego, że opisywane zjawiska już były i nigdy nie wrócą, ponadto były nie czymś przypadkowym, marginalnym, ale, jak już się rzekło, solą tej ziemi. Wincenty Szeliga, wrośnięty w to środowisko głębokimi korzeniami swoich przodków, opisał ten nieobecny już świat ze znawstwem i niespotykaną precyzją, a równocześnie dla czytelnika w sposób ciekawy. Tak przedstawia Daniel Kadłubiec we wstępie do książki Wincentego Szeligi „Tam około Bogumina" narodziny pomysłu powstania tej publikacji. Wincenty Szeliga ze Skrzeczonia z wielką pieczołowitością opisał życie dawnych mieszkańców okolic Bogumina. Zachowując miejscową gwarę, język używany przez ludność autochtoniczną, spisał wydarzenia, postacie, zwyczaje, tradycje, które zapamiętał z autopsji, oraz te, które znał z opowiadań. Przedsięwzięciu temu patronował od początku Daniel Kadłubiec, wspomagając i wspierając autora od strony metodycznej i językowej. Jego nazwisko – jako współautora – widnieje też na okładce. Po wielu trudnościach natury finansowej związanych z wydaniem książka w tym roku ujrzała wreszcie światło dzienne. Ukazała się w Wydawnictwie Olza w Czeskim Cieszynie.

Promocja „Tam około Bogumina" odbyła się 7 listopada w lokalu biblioteki frysztackiej. Zorganizował ją Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie przy współpracy Wydawnictwa Olza w Czeskim Cieszynie. W spotkaniu wziął udział dyrektor wydawnictwa Janusz Ciesielski, który opowiedział o czteroletnich perypetiach związanych z wydaniem książki Wincentego Szeligi. Wiesława Branna odczytała fragment jednego z opisów. Daniel Kadłubiec prześledził losy publikacji od pierwszych notatek autora aż do jej ostatecznego kształtu. Podkreślił jej znaczenie na mapie kulturowej Śląska. Jest ona bowiem najobszerniejszym dotychczas i najwszechstronniejszym obrazem życia mieszkańców północnych terenów Zaolzia. Jest wspaniałym materiałem dla dialektologów, dokumentuje bowiem gwarę spokrewnioną z gwarą ludności Górnego Śląska. Badacze języka zawsze bardziej interesowali się okolicami Cieszyna i Jabłonkowa, uważając tereny górnicze za konglomerat, gdzie trudno znaleźć jednolite korzenie kulturowe. Książka Szeligi udowadnia, że i na tej ziemi istnieją tradycje, zwyczaje, język o wspólnym rodowodzie. Wincenty Szeliga w rozmowie z kierowniczką biblioteki Heleną Legowicz złożył podziękowania Danielowi Kadłubcowi za po-

moc i doping, a także wszystkim tym, którzy przyczynili się do powstania i wydania książki. Paradoksalnym może wydać się fakt, że właśnie problemy zdrowotne zmobilizowały Wincentego Szeligę do pracy nad książką, by potomnym została w spuściźnie pamiątka po przodkach, po dawnych czasach. Wspominał też na spotkaniu w biliotece z sentymentem swoją młodość, kiedy nie było telewizji, kiedy rodzina spotykała się, by słuchać opowieści najstarszych jej członków. Te opowieści między innymi spowodowały, że mogła powstać książka „Tam około Bogumina".

Daniel Kadłubiec we wstępie zawarł odezwę do współczesnego czytelnika, do społeczności polskiej Zaolzia: *Czytając „Tam około Bogumina", powinny się zastanowić nad sensem życia i bycia rodziny, szkoły i organizacje społeczne, wszyscy, którzy czują jeszcze potrzebę pracy nad świadomością narodową jako wartością nie tylko historyczną, ale przede wszystkim współczesną. Zachęcić także należy animatorów tradycji kulturowej ziemi orłowsko-bogumińskiej, aby niezwykle uważnie zaznajomili się z tą książką. Zespoły regionalne, i nie tylko one, znajdą w niej tyle wspaniałego materiału, że starczy im na wiele, wiele lat sławienia piękna, zaklętego w świecie symboli jakże bardzo naszych. Każdy człowiek światły i nowoczesny powinien tworzyć kulturalny kształt swego życia, czerpiąc z tradycji własnej, która w sposób zupełnie naturalny i oczywisty staje się gruntem, na którym je wznosi. Bo co to za Europejczyk czy obywatel świata – jak modnie się dziś ludzie określają – bez zakodowania we własnej rodzinie, we własnym domu, we własnej ziemi, ojczyźnie małej i prywatnej?*

C.R.

ECHO WYDARZEŃ MUZYCZNYCH

70-LECIE ZORGANIZOWANEGO ŚPIEWACTWA POLSKIEGO NA ZAOLZIU

ŻYCIE ŚPIEWACZO-MUZYCZNE W LATACH 1945-1997

Śpiew ucieczką od zakłamania

Po okrutnej wojnie światowej dochodzi do radosnego i spontanicznego odradzania się chórów. Chóry działają przy Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej (SMP) i Polskim Związku Kulturalno-Oświatowym (PZKO). Inne przedwojenne organizacje nie otrzymały od socjalistycznych władz zezwolenia na reaktywowanie swej działalności. Nauczycielstwo mniej więcej do przełomu lat 60. i 70. nadal odgrywa dominującą rolę organizatorsko-artystyczną w powojennym ruchu śpiewaczym Zaolzia.

Największy rozwój ilościowy chórów (ponad 80) notuje zaolziańskie życie śpiewacze w latach 1947–54. Istotne znaczenie dla tak bujnego rozwoju śpiewactwa miała tu specyficzna powojenna atmosfera gotowości włączenia się do odbudowy regionu oraz potrzeba kontynuowania przedwojennych tradycji ruchu chóralnego, który obok teatru stanowił na Zaolziu największą potęgę w społecznej działalności artystycznej.

Powojenny rozmach działalności śpiewaczej doznaje jednak stopniowo poważnych zakłóceń. W roku 1952 Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej (SMP) wchłonięte zostało przez Czechosłowacki Związek Młodzieży. W ten sposób zlikwidowano ostatnią posiadającą resztki samodzielności formę aktywności młodzieży polskiej w Czechosłowacji. Entuzjazm, z jakim dotąd młodzież polska w ramach swej organizacji śpiewała, uczestnicząc nawet z wielkimi sukcesami w ogólnopaństwowych popisach śpiewaczych (przypomnijmy, iż np. w roku 1950 do centralnych eliminacji tzw. Konkursu Twórczości Młodzieży zakwalifikowało się 5 zespołów śpiewaczych i 15 solistów), zaczyna wyraźnie przygasać. Chóry SMP przechodzą pod egidę PZKO, który stał się odtąd jedyną instytucjonalną ostoją polskości na Zaolziu. Młodzież polska pozbawiona własnego środowiska przestaje stopniowo działać i do dnia dzisiejszego nie osiąga wyników, odpowiadających jej możliwościom.

Cały zaolziański polski ruch śpiewaczy sterowany przez Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne (ZŚM) od roku 1949, pomimo polityki kontrolnej partii, odnotować może mimo wszystko znamienne sukcesy. Śpiew chóralny towarzyszy wszelkim imprezom PZKO-wskim, chóry masowo – jako chóry połączone – uczestniczą w gigantycznych festiwalach związkowych, Zrzeszenie organizuje konkursy i przeglądy śpiewacze (szkolnych zespołów śpiewaczych nie pomijając), chóry zaolziańskie są wysoko notowane nawet w czechosłowackich ogólnopaństwowych zawodach śpiewaczych na wszystkich szczeblach.

Np. w roku 1955 zajął pierwsze miejsce w eliminacjach okręgowych chór męski „Gorol" z Jabłonkowa (dyrygent Karol Heczko). Wielki sukces odniósł kwartet smyczkowy Pawła Kalety z Trzyńca, który wywalczył w Pradze 1. miejsce oraz złoty medal w ogólnopaństwowym konkursie w Pradze. Identyczny sukces osiągnął w roku 1961 chór żeński „Hutnik" z Trzyńca pod kierownictwem Karola Wronki oraz tercet żeński Gimnazjum Pedagogicznego z Orłowej. Honorowe wyróżnienie uzyskał Zespół Śpiewaczo-Muzyczny „Przyjaźń" z Karwiny (dyrygent Józef Wierzgoń). W roku 1962 zwyciężyło w ogólnopaństwowych zmaganiach w Bratysławie trio żeńskie Chóru Nauczycieli Polskich (kierownik Edward Kaim). W pięć lat później zajął 1. miejsce w ogólnopaństwowych eliminacjach chórów dziecięcych w Chrudimiu – co do dnia dzisiejszego jest ewenementem w dziejach polskich szkół podstawowych na Zaolziu – świetny chór szkolny "Jabłoneczka" pod kierownictwem artystycznym wszechstronnie uzdolnionego nauczyciela Józefa Mazura (wielka szkoda, że w trzy lata później po macoszemu potraktowano tego ofiarnego i ambitnego pedagoga, zmuszając go nawet do opuszczenia jabłonkowskiej szkoły). Bardzo dobre wyniki w zmaganiach na najwyższych szcze-

blach osiągał chór męski „Hasło" w Orłowej (dyrygent Brunon Rygiel) oraz chór mieszany „Lira" (dyr. Władysław Winkler).

Warto przypomnieć, że w ostatnich latach polskie chóry z Zaolzia zaprezentowały się dobrze np. na Praskich Dniach Śpiewu Chóralnego w Pradze. W tzw. srebrnej strefie (chóry bardzo dobre) umieściły się chóry w poszczególnych latach następująco: Chór Nauczycieli Polskich wspólnie z orłowskim „Hasłem" (dyrygent Alojzy Suchanek) w roku 1992, chór mieszany „Dźwięk" z Karwiny-Raju (dyrygent Halina Goniewicz-Urbaś) w roku 1993, chór żeński „Melodia" z Nawsia (dyrygent Aleksandra Trefon-Paszek) oraz chór studencki czeskocieszyńskiego Gimnazjum Polskiego „Collegium Iuvenum" (dyrygent Leszek Kalina) w roku 1995. Inny zespół, który prowadzi również Leszek Kalina, "Collegium Canticorum", zajęło 1. miejsce oraz nagrodę za najlepsze wykonanie pieśni obowiązkowej na ogólnopaństwowym Festiwalu Twórczości Chóralnej w Jihlawie (1990); ten sam chór znalazł się na 1. miejscu w roku 1995 na Praskich Dniach Śpiewu Chóralnego w kategorii dużych chórów mieszanych w tzw. złotej strefie (chóry świetne) i zdobył również specjalną nagrodę za najlepszy program. Chór uczestniczył dalej w prestiżowych festiwalach chóralnych w węgierskim Debreczynie (1994) oraz angielskim (1995) Llangolen.

Zespoły chóralne uczestniczą w Światowych Festiwalach Chórów Polonijnych w Koszalinie (aż ośmiokrotnie trzyniecki „Hutnik"), Międzynarodowych Festiwalach Pieśni Chóralnej w Międzyzdrojach i wielu innych znamiennych imprezach śpiewaczych w Polsce.

Źródłem aktywności i siły zaolziańskiego śpiewactwa było obok powiązania z tradycjami międzywojennymi również mocne powiązanie z folklorem tej ziemi. Była to sfera nie objęta szczególnymi zakazami, pozwalała na sięganie do korzeni. I właśnie w owym nawiązaniu do korzeni, w pielęgnowaniu pieśni ludowych widziało śpiewactwo zaolziańskie szansę podkreślenia swej odrębności, podtrzymywania świadomości narodowej i ucieczki od propagowanej sztuczności i zakłamania. Należy patrzeć z podziwem i szacunkiem na dokonania Zrzeszenia i jego chórów, które lata całe tak wytrwale propagowały również rodzimą pieśń ludową. ZŚM współuczestniczyło też np. przy organizowaniu przez Sekcję Folklorystyczną PZKO Przeglądu Cieszyńskiej Pieśni Ludowej. Początki tych przeglądów sięgają roku 1981.

Błędy popełnione w polityce kulturalnej lat 60. i 70., jak np. narzucanie nieatrakcyjnego, propagandowego repertuaru, organizowanie schematycznych imprez politycznych, spowodowały pewien regres w powszechnym amatorskich śpiewie chóralnym na Zaolziu. Ponadto nowy okres w polityce kulturalnej wyeksponował inne cechy i formy w amatorskim ruchu śpiewaczym na niekorzyść śpiewu chóralnego. Nowoczesna muzyka rozrywkowa, ruch kabaretowy zaczynają wypierać chóry. Potraktowanie wychowania muzycznego w szkole podstawowej po macoszemu i kompletna jego ignorancja w szkołach średnich powoduje masowe odciąganie młodzieży od śpiewu chóralnego, zbiorowego i przylgnięcie do zabaw dyskotekowych.

Festiwale Piosenki Polskiej, zorganizowane przez ZŚM systematycznie

CHÓRY ZRZESZENIA ŚPIEWACZO-MUZYCZNEGO
(stan na dzień 30. 9. 1997 roku)

nr	nazwa chóru	miejscowość	rok założenia	ilość człon.	przec. wieku	dyrygent
Chóry mieszane						
1	HASŁO	Skrzeczoń	1926	31	47	Irena Szeliga
2	ZAOLZIE	Orłowa-Lutynia	1923	34	47	Urszula Odstrčil
3	LUTNIA	Lutynia-Dolna	1908	34	59	Alojzy Babiński
4	PIOTROWICE-MARKLOWICE	Piotrowice Marklowice	1971	23	70	Jadwiga Karolczyk
5	DZWIĘK	Karwina-Raj	1928	33	50	H. Urbaś-Goniewicz
6	LIRA	Karwina-Darków	1910	45	55	Beata Pilśniak
7	PRZYJAŹŃ	Karwina	1958	58	54	Józef Wierzgoń
8	STONAWA	Stonawa	1994	29	59	Marta Orszulik
9	OLBRACHCICE	Olbrachcice	1947	22	60	Władysław Molenda
10	SUCHA	Sucha Górna	1913	36	55	Otokoar Matuszek
11	HARFA	Czeski Cieszyn	1952	43	51	Alojzy Kopoczek Alojzy Suchanek
12	COLLEGIUM CANTICORUM	Czeski Cieszyn	1986	50	25	Leszek Kalina
13	COLLEGIUM IUVENUM	Czeski Cieszyn	1990	50	16	Leszek Kalina
14	GODULAN ROPICA	Trzycież, Ropica	1949	37		Władysław Cieślar
15	HUTNIK	Trzyniec	1954	68	49	Cezary Drzewecki
16	ZGODA	Trzyniec, Niebory	1986	20	62	Irena Małysz
17	PRZEŁĘCZ	Mosty k. Jabłon.	1955	42	48	Halina Niedoba Alojzy Kaleta
18	ALLEGRO	Stonawa	1992	9	31	Marta Orszulik
19	AMICI CANTIONIS ANTIQUAE	Czeski Cieszyn	1992	8	28	Leszek Kalina
Chóry męskie						
1	CHÓR NAUCZYCIELI POLSKICH	Czeski Cieszyn	1925	31	68	Alojzy Suchanek
2	HEJNAŁ-ECHO	Karwina-Frysztat	1935	33	57	Jadwiga Karolczyk Józef Foltyn
3	GOROL	Jabłonków	1947	50	47	Andrzej Mozgała Bogusław Stonawski
Chóry żeńskie						
1	KALINA	Karwina-Frysztat	1981	29	53	Otokar Winkler
2	MELODIA	Nawsie	1955	37	39	Aleksandra Trefon

W sumie 24 zespoły śpiewacze (845 śpiewaków)
- 19 chórów mieszanych (z tego 2 kameralne)
- 3 chóry męskie
- 2 chóry żeńskie

Małe zespoły wokalne:				
nr	nazwa chóru	miejscowość	ilość członków	kierow. artystyczny
1	GAMA	Sucha Górna	9	Erich Pazdziora
2	BŁĘDOWICE	Hawierzów-Błędowice	8	Danuta Bilan
3	PRZEŁĘCZANKI	Mosty k. Jabłonkowa	8	Halina Niedoba
4	RYCHWAŁDZIANIE	Rychwałd	9	Władysław Rusek
5	NYDECZANKI	Nydek	12	Jan Kupiec
6	ŻUKOWIANKI	Żuków	8	Halina Gaurowa
7	WĘDRYNKA	Wędrynia	12	Franciszek Hes

i uczciwie od lat sześćdziesiątych, nie wychowały nam trwałej, reprezentacyjnej kadry piosenkarskiej. Poprzez Festiwale Piosenki Polskiej stwarzaliśmy glebę, z której miały wyrosnąć młode talenty. Jednak wysiłki w tym kierunku nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. Nowe nadzieje pokładamy w organizowaniu od roku 1989 Festiwalu Piosenki Dziecięcej. Pomimo wszystko postawić trzeba sobie pytanie – czy w tym zrywie nowoczesności nie zapominamy o wypróbowanych i istotnych walorach wychowawczych i artystycznych, takich jak poczucie tradycji, kształtowanie pozytywnej postawy społecznej przy określaniu własnej tożsamości, co w warunkach zaolziańskich powinno na pewno być celem nadrzędnym?!

Potrzebny głęboki oddech

Po „aksamitnej rewolucji" w Czechosłowacji w roku 1989 ZŚM staje się pierwszym Oddziałem Zagranicznym, Oddziałem Zaolziańskim Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, a równocześnie staje się samodzielnym Oddziałem Polskim przy Unii Czeskich Zespołów Chóralnych w Pradze. Chóry zaolziańskie uczestniczą nie tylko w „Trojoku Śląskim", Górnośląskich Konfrontacjach Chóralnych, Międzynarodowym Festiwalu im. ks. Anzelma Skrobola „Ekumenia i tolerancja" w Jastrzębiu-Zdroju, Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy w Krakowie, ale również w Ogólnokrajowych Konkursach Śpiewu Chóralnego Czech i Moraw w Jihlawie czy też Praskich Dniach Śpiewu Chóralnego w samej stolicy Republiki Czeskiej, osiągając czołowe lokaty (ostatnio czeskocieszyńskie „Collegium Iuvenum" zdobywa w Bydgoszczy na Ogólnopolskim Konkursie Chórów Szkolnych Grand Prix).

ZŚM skupia w chwili obecnej 24 chóry – 19 mieszanych (z tego dwa kameralne), 3 chóry męskie i 2 chóry żeńskie. Łącznie w chórach śpiewa około 800 śpiewaków. Ponadto w ramach ZŚM działa systematycznie lub sporadycznie – kilka małych zespołów wokalnych.

Pomimo osiągniętych sukcesów śpiewactwo zaolziańskie nurtuje wiele problemów: starzenie się i wykruszanie się zespołów chóralnych, coraz bardziej dotkliwy brak rodzimej kadry dyrygenckiej; o ile trzon tej kadry stanowili kiedyś prawie wyłącznie nauczyciele, to dziś jest inaczej. Chóry na Zaolziu prowadzi dziś 8 nauczycieli (z tego 7 emerytowanych), 6 dyrygentów rekrutuje się z różnych zawodów (z tego 2 inżynierów), brak rodzimych dyrygentów uzupełnia 7 dyrygentów z Polski (5 wykładowców i 1 słuchacz Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie oraz jeden absolwent tejże uczelni).

Szczególnie ważną i istotną była dla śpiewactwa zaolziańskiego działalność chórów szkolnych, gdyż tam wychowywano przyszłych potencjalnych śpiewaków chórów związkowych. Dziś w polskim szkolnictwie podstawowym pielęgnowanie śpiewu wielogłosowego należy do rzadkich i zacnych wyjątków, uczestnictwo zaś młodzieży szkół średnich w chórach dorosłych jest bardzo znikome, prawie żadne.

Intensywnie szukamy środków uratowania dotychczasowego dorobku

polskiego śpiewactwa zaolziańskiego! Na pewno jednym z podstawowych warunków rozśpiewanego społeczeństwa jest rozśpiewana rodzina. Obraz matki nucącej swoim dzieciom kołysanki do snu czy też muzykująca wieczorami rodzina i śpiewająca pieśni z bogatej skarbnicy naszego rodzimego folkloru to już tylko nostalgiczne wspomnienia dawnej i bezpowrotnej przeszłości (choć osobiście wierzę w przyszłości w jej odrodzenie). Duża szansa odrodzenia się naszego śpiewactwa tkwi w reaktywowaniu i zaktywizowaniu szkolnych zespołów chóralnych. Powiedzmy sobie przykrą prawdę - bez rozśpiewanych szkół, bez dziecięcych i młodzieżowych zespołów śpiewaczych śpiewactwo zaolziańskie nie ma racji dalszego bytu. Naglącym problemem pozyskania nowego narybku dyrygenckiego powinny zająć się z pełną odpowiedzialnością Miejscowe Koła PZKO i same zarządy chórów. Współpracą ze Zrzeszeniem powinno być zainteresowane również samo Centrum Pedagogiczne w celu uaktywnienia szkolnego życia śpiewaczego. Skutecznego lekarstwa na uzdrowienie schorzałego organizmu chóralnego należy zatem szukać w rozśpiewaniu rodziny, szkoły i organizacji społecznych. A że jest to możliwe, potwierdzają osiągnięcia w tym kierunku w niektórych rozwiniętych krajach Europy, np. Holandii, Niemczech, Szwajcarii, które przeżywają renesans w amatorskim ruchu muzycznym. W tych właśnie krajach czynne uczestnictwo w zespole chóralnym czy instrumentalnym należy ponownie do dobrego tonu towarzyskiego.

Pomimo zaistniałych problemów w amatorskiej działalności artystycznej chóry stanowią na Zaolziu jeszcze najliczniejsze i najaktywniejsze zbiorowisko. A zawdzięczać to możemy przede wszystkim dotychczasowej ofiarności i poświęceniu dyrygentów, chórzystów, nauczycieli śpiewu. A także przyjaciołom, umiejącym zawsze podać w razie potrzeby pomocną dłoń: Polskiemu Związkowi Chórów i Orkiestr w Warszawie, Oddziałowi Śląskiemu PZChiO w Katowicach, Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska" w Warszawie i Koszalinie, Ministerstwu Kultury i Sztuki w Warszawie i Pradze, Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, Konsulatowi Generalnemu RP w Ostrawie, Zarządowi Głównemu PZKO, jak również tym wszystkim organizacjom i instytucjom w Polsce, które zapraszają zaolziańskie zespoły na różne swoje imprezy śpiewacze. Cieszy nas na pewno każde zaproszenie i słowo uznania ze strony ZG czy też Oddziału Unii Czeskich Zespołów Chóralnych w Pradze i Ostrawie.

Wszystkie dotychczasowe osiągnięcia na niwie śpiewaczej - zwłaszcza zaś w piękną rocznicę 70-lecia zorganizowanego śpiewactwa polskiego na Zaolziu - powinny zmusić każdego chórzystę, dyrygenta i działacza społecznego do zastanowienia się nad dokonaniami naszych poprzedników.

Śpiew to artystyczna melodyjna mowa, sąsiadka poezji i prozy artystycznej, wypowiadająca nasze uczucia, nasze radości i smutki, żale i nasze marzenia, przede wszystkim zaś... naszą wspólnotę.

JÓZEF WIERZGOŃ



KIEDY MIKOŁAJ, ANIOŁ I DIABEŁ PRACOWALI W PARTII, ODWIEDZAŁ NAS DZIADEK MRÓZ



JEZUSEK MI ODPISAŁ, ŻE NA KOMPUTER GO NIE STAĆ

rys. Bronislaw Liberda

BENEFIS BRONKA LIBERDY



On przyszedł na świat z pędzlem i brodą,
by żyć dla sztuki i gardzić modą,
Żwawy, pogodny niczym skowronek,
boski Jubilat – Liberda Bronek.

To tylko pierwsza zwrotka „Hymnu na cześć Bronka" ze słowami Renaty Putzlacher i muzyką skomponowaną przez Zbigniewa Siwka, którą śpiewali benefisowi goście na XIII spotkaniu w Kawiarni „Avion" 3 października w Klubie Teatralnym TC w Czeskim Cieszynie. Program dla Jubilata, z Jubilatem w roli głównej, przygotowała i prowadziła Renata Putzlacher, przy współpracy literackiej Joanny Wania i opracowaniu muzycznym Zbigniewa Siwka. Rekwizyty przygotował Józef Kurek. Wystąpili: Halina Pasekowa, Krystyna Pryszczyk, Lenka Pešák, Małgorzata Pikus, Lidia Chrzanówna, Anna Paprzyca, Rudolf Moliński, Kazimierz Siedlaczek, Ryszard Pochroń, Paweł Niedoba i KGB czyli Kapela Góralska Beskidzka.

Były wspomnienia, wspólne śpiewanie i wspaniała atmosfera dobrego humoru. Spotkanie stało się także wernisażem wystawy obrazów Bronka Liberdy i debiutu książkowego w postaci zebranych i z konieczności wybranych rysunków, które przez wiele lat rozśmieszały i prowokowały do refleksji czytelników Głosu Ludu. Wydawcą publikacji z okazji 60. uro-

dzin Bronisława Liberdy zatytułowanej „Szóstka wygrywa" jest Kongres Polaków w RC. Jest to druga publikacja wydana w serii edice „Avion".

E.S.

JESIENNA WYSTAWA W CIERLICKU-KOŚCIELCU

Z okazji 50. rocznicy powstania Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Domu Polskim w Cierlicku-Kościelcu odbyła się w dniach 11 i 12 października wystawa robót ręcznych i owoców. Jej organizatorami były Miejscowe Koła PZKO i Kluby Kobiet Cierlicko-Kościelec, Centrum, Grodziszcz i Stanisławice. Wystawę i Dom Polski im. Żwirki i Wigury zwiedzili uczestnicy II Spotkania Słowiańskich Mniejszości Narodowych, konferencji, która w tym czasie miała miejsce na Zaolziu.

E.S.



WYKOPKI W SUCHEJ GÓRNEJ

Tradycyjne „wykopki" zorganizowali członkowie MK PZKO w Suchej Górnej w miejscowym Domu 11 października. Już kilkanaście minut po rozpoczęciu spotkania trudno było znaleźć wolne miejsce w dużej sali, a wszystko za sprawą bogatego programu artystycznego, na który złoży-



ły się występy dzieci z górnosuskiej polskiej szkoły, kapeli zespołu „Suszanie", a przede wszystkim niezwykle widowiskowy, związany z jesienią program „Góroli" z Mostów koło Jabłonkowa. To wspaniałe widowisko folklorystyczne szczególnie zafascynowało uczestników II Spotkania Słowiańskich Mniejszości Narodowych, którzy przybyli tu po wizycie w Cierlicku. „Górole" wzbudzali podziw gości z różnych krajów za profesjonalizm w sztuce tańca i śpiewu. Toteż niezwykle trudno było wytłumaczyć przedstawicielom mniejszości słowiańskich z różnych krajów Europy, że podziwiają zespół amatorski. Słowaków, reprezentujących Austrię i Ukrainę, szczególnie zachwyciły tańce słowackie. W dobrej atmosferze bawiono się wspólnie do późnych godzin wieczornych.

E.S.

ZADUSZKOWA KAWIARENKA „POD PEGAZEM"

31 października po raz 51. miała miejsce najstarsza na Zaolziu kawiarenka literacka, której stałą siedzibą jest Dom MK PZKO w Jabłonkowie. W zaduszkowej atmosferze, przy zapalonych świecach zebrali się miłośnicy poezji, by wysłuchać wierszy i wspomnień o ich twórcach. Niezwykła była sceneria kawiarenki, stoliki dla gości poustawiane pod ścianami, a na środku łóżko z niedbale położoną pościelą. Kawiarenka będzie odtąd miała nową formułę – sceniczną. Wieczór kawiarenkowy rozpoczęty został monodramem pt. „Ostatni list" według prozy zmarłej w tym roku poetki Agnieszki Osieckiej w wykonaniu Agnieszki Kołodyńskiej, stąd obce dotychczasowym kawiarenkom rekwi-



zyty. Nietypowi też byli kawiarenkowi goście: prof. František Všetička z uniwersytetu w Ołomuńcu (polonofil dobrze znany czytelnikom Zwrotu), dyrektor Centrum Kultury w Brzegu poeta Janusz Wójcik, aktorka i reżyser w jednej osobie Dorota Herman (grała w Scenie Polskiej TC, gdy jej kierownikiem był Karol Suszka, obecnie związana z Brzegiem, reżyser monodramu), starosta Gródka Jan Kawulok i Władysław Młynek.

Po spektaklu na łóżku zasiadł gospodarz kawiarenki Kazimierz Kaszper, poeta, dziennikarz i wykładowca Uniwersytetu Ostrawskiego. *Nie ma łóżka dla artysty, jest on ciągle w biegu, poszukuje prawdy i za tę prawdę gotów jest oddać życie* – powiedział. I przypomniał nagłe śmierci takich twórców jak: Tadeusz Nowak, Tadeusz Śliwiak, Edward Stachura, Janusz Gaudyn. Wspomniał także Pawła Kubisza, Henryka Jasiczka, Juliana Przybosia, a wspomnienia przeplatane były recytacją wierszy w wykonaniu Karola Suszki, artysty towarzyszącego kawiarence przez prawie wszystkie jej edycje, i Doroty Herman.

E.S.

KONSUL RP W OSTRAWIE NA POLSKICH GROBACH

Dzień Wszystkich Świętych zmusza do zadumy. Wspominamy tych, którzy odeszli, ale są w naszej pamięci. Polskie groby rozsiane po całym świecie przypominają, jak wielką ofiarę złożyliśmy jako naród. Cmentarze w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego to lekcja historii tej ziemi. Jest wiele polskich mogił, o których nie wolno nam zapomnieć.



Stało się tradycją, że co roku delegacja Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie składa symboliczne wiązanki kwiatów na grobach tych, którzy tworzyli historię naszej narodowej tożsamości i kultury. Konsul Piotr Szwarc rozpoczął wspominkową wędrówkę od gnojnickiego cmentarza, gdzie spoczywają prochy Jana Kubisza, autora „Pamiętnika starego nauczyciela". Tu towarzyszył mu starosta gminy Jaromír Kafonek i dzieci miejscowej polskiej szkoły.

Na cmentarzu komunalnym w Czeskim Cieszynie wraz z konsulem Piotrem Szwarcem groby dr. Władysława Jośka, malarza Gustawa Fierli i poety Henryka Jasiczka odwiedzili także prezes Stowarzyszenia Artystów Plastyków przy ZG PZKO Oskar Pawlas, dyrektor Muzeum Okręgowego w Bielsku-Białej Jerzy Polak i kustosz tegoż muzeum Iwona Purzycka.

W Karwinie-Kopalniach miejsce wiecznego spoczynku artysty malarza i rzeźbiarza Franciszka Świdra wraz z konsulem odwiedził burmistrz Karwiny Lubomír Kuznik. Tu wspomnienia z ostatnich dni życia artysty snuli Oskar Pawlas wraz z małżonką Lidią i syn Franciszka Świdra Jan z żoną Emilią.

Zaduszkowa wędrówka po wybranych zaolziańskich cmentarzach znalazła swój kres w Stonawie przy grobach dwudziestu żołnierzy 12 pułku piechoty z Wadowic, którzy walczyli w wojnie czesko-polskiej o Polskę i 26 stycznia 1919 roku tu polegli.

E.S.

OBCHODY ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI W KONSULACIE RP

W poniedziałek 3 listopada w gmachu Konsulatu Generalnego w Ostrawie odbyło się spotkanie z okazji 79. rocznicy odzyskania niepodległości Rzeczpospolitej Polskiej i Republiki Czechosłowackiej, powstałe z inicjatywy konsulów generalnych RP w Ostrawie i RC w Katowicach, przy współudziale Fundacji Czesko-Polskie Centrum Kultury i Nauki. Konsul generalny Bernard Błaszczyk, w imieniu swoim i nieobecnego (z powodu pilnego wyjazdu do Pragi) konsula generalnego RC w Katowicach Josefa Byrtusa, przywitał przybyłych na uroczystość gości. Wśród zawsze obecnych przy takich okazjach reprezentantów polskich organizacji społecznych w RC znaleźli się również senatorowie Vítězslav Matuška i Mirek Topolanek, burmistrzowie miast i starostowie gmin, na terenie których mieszkają Polacy, a także ks. biskup František Lobkowicz. Z prawdziwą przyjemnością wysłuchali wszyscy koncertu pieśni Moniuszki i Dvořáka w wykonaniu solistki Opery Morawsko-Śląskiego Teatru Narodowego w Ostrawie Aliny Farny-Podskalskiej i solisty Opery Państwowej w Pradze Ivo Hrachovca przy fortepianowym akompaniamencie prof. Pavla Motlocha.

E.S.



foto w kronice FRANCISZEK BAŁON



DROGI CZYTELNIKU!

Zwrot ma 48 lat. Jest w tej chwili jedynym polskim miesięcznikiem dla dorosłych ukazującym się na terenie Zaolzia. Mimo iż jego wydawcą jest ZG PZKO, swe treści kieruje do wszystkich Polaków z naszego terenu, nie zapominając o sympatykach w kraju i za granicą. Niewielka redakcja próbuje tworzyć pismo ciekawe, wdzięczna jest wszystkim współpracownikom i korespondentom za pomoc, czytelnikom za konstruktywne opinie i głosy krytyczne.

Najmniej lubianą przez redaktorów wiadomością, którą muszą przekazać swoim Czytelnikom, jest wiadomość o podniesieniu ceny pisma.

Koszty produkcji jednego numeru naszego miesięcznika na dzień dzisiejszy wynoszą 47 Kč. Czytelnik płacił za niego 12 Kč plus 3,5 Kč za przesyłkę pocztową, która niestety w pierwszej połowie bieżącego roku wzrosła do 4,5 Kč. Różnicę między kosztami a ceną pokrywało państwo czeskie z funduszu Ministerstwa Kultury. Pierwotnie planowane na ten rok dotacje państwowe zostały obniżone ze względu na katastrofalną powódź o przeszło 100 000 Kč. Na rok 1998 dotacje państwowe będą relatywnie niższe od dotychczasowych. Wzrost cen oraz inflacja również rzutuje na wzrost kosztów produkcji pisma. Redakcja dołożyła i nadal dokłada wszelkich starań, by uzyskać brakujące środki i nie dopuścić do radykalnej podwyżki ceny Zwrotu. Pomagają nam sponsorzy z wielu miejscowych polskich przedsiębiorstw, sponsorzy z Polski. Pomimo olbrzymiego wysiłku nie uda nam się pokryć wszelkich braków.

Cena jednego numeru od roku 1998 wynosić będzie 14 Kč plus 4,5 Kč za przesyłkę pocztową. Prenumerata roczna przy odbiorze w redakcji wynosić będzie 168 Kč, przy odbiorze pocztowym 222 Kč.

Wasza pomoc, drodzy Czytelnicy, pomoc najskuteczniejsza całego naszego społeczeństwa, która może zapobiec dalszemu wzrostowi ceny, to podwyższenie nakładu. Pomoże każdy nowy prenumerator. Każdy zdobywający prenumeratora Zwrotu! Jeśli czytelników będzie więcej, cena pojedynczego numeru Zwrotu będzie niższa.

Pierwszy numer Zwrotu ukazał się w grudniu 1949. Zbliża się jubileuszowy 50. rok pisma. I tylko od Ciebie, Drogi Czytelniku, zależy, czy nie będzie on ostatnim.

REDAKCJA

ROZMAŃTE STARE BOJKI

W jedne chałupie miyszkoł stary hawiyrz pyndzyjónista. Był nimocny, fórt kuckoł, isto mioł zaprószóne pluca z te roboty w hawiyrni. Był wdowcym i miyszkoł z dwóma synami, młodymi, zdrowymi gibczokami. Spali w jedne izbie. Roz też tyn Ojciec nimóg spać, cosi go dusiło, chciało sie mu pić. I zawołoł na tego swojigo synka: „Francek, stóń a podej mi wody!" Ale Francek społ twardo, ani sie nie ruszył. Za chwile zaś go tyn Ojciec pyto: „Francik, dyć stóń a prziniyś mi szklónke wody!" Ale Francik zaczón eszcze bardzi chrapać niż przed tym. I tak pore razy pytoł Ojciec tego swojigo synka o tóm wode.

Drugi synalek uż tego nimóg przeposłóchać i prawi: „Na Tato, nie chciyjcie nic od tego lynia, dyć stóńcie se sami, a po ceście mi też kapeczke wody podejcie".

O DWÓCH PIJOKACH

W jedne orłowski putyce, akurat po wypłacie, siedziało przi szynkwasie dwóch ożralców. Uż sie im kurzyło z czupryn, ledwa uż widzieli na oczy. Tyn jedyn prawi do tego kamrata: „Ty, posłóchej, jak sie też nazywosz?" „Na, jo je Bąbel!", usłyszoł. "Je to możne? Jo też je Bąbel. Musimy to zapić!" A zaś se go pyto: „A jak ci też je na miano?" „Jo je Kareł", prawi tyn drugi. „Nale, dyć nie fulej! Jo też je Kareł! Tak ty prawisz, że se nazywosz Kareł Bąbel, a jo też je Kareł Bąbel, to przeca nima możne. Musimy to zapić!"

Po jakimsi czasie zaś sie go dopytuje tyn piyrszy Kareł: „ A kaj też ty miyszkosz?" „Na, jo je z Rychwołda!" „To uż je niemożebne, bo jo je też z Rychwołda!" A zaś sie go pyto za chwile: „A kaj też tam w Rychwołdzie miyszkosz?" „Na, na Nowsiu, przi pidle!" prawi tyn drugi Kareł. „Ni, to se mi uż wszycko nimoże w głowie pómieścić. Tak ty prawisz, żeś je Kareł Bąbel, jako jo, i że miyszkosz w te same chałupie, kaj jo? Nima insze rady, yny se musimy iść spytać moji Maryczy, óna bydzie wiedzieć, jak to je!"

Chyciyli sie pod paże a kludzili sie pómału przez całą Porębe. Było uż nad ranym, jak doszli ku chałupie i zaklepali na dwiyrze. Rozespano Maryczka dwiyrze odewrzyła, ale uż miała w ręce narychtowany kulok. „Tak podziwej se Maryczko moja nejmilejszo, ón prawi, że sie nazywo Kareł Bąbel i że też tu miyszko w te chałupie. Jak to je możne?" A Maryczka na to: „Na Ty pieroński chacharze, toś sie zaś tak naproł, że uż ani swojigo synka nie poznosz?" A kulok był w robocie. Dostoł stary i młody!

O MĄDRE ZIELINIORCE

W Karwinej miyszkała jedna Zieliniorka, kiero lyczyła ludzi podle moczu. Podziwała se yny na mocz we flaszce, pod światło, a hnet wiedziała, na co je nimocny tyn isty, kierego to je mocz.

I roz też jedyn hawiyrz mioł nimocną babe. Słyszoł o te Zieloniorce, że je tako mądro i kozoł swojimu synkowi, aby wzión flaszke z moczym matki i szoł do te Zieliniorki. Prawiół mu: „To je tam kansi w te Koloniji na

Szustym, spytej se ludzi, kaj tam miyszko, powiedzą ci, w kierym budelu, dyć ją tam isto wszycy znają."

Synek wsadził flaszke z moczym do kapsy i szoł. Ale jako taki młodzik, wszędzie musioł zazdrzić, wszyckimu sie przigląd oł, wszędzi sie po czeście zastawioł. W Dąbrowe baji uwidzioł, jak tam kansi na placu, syncy, tacy jego rowniocy w balón grają, tak sie też zastawiół i pogroł śnimi. I tak ani nie wiedzioł, kiedy sie mu tyn mocz wyloł. Flaszke mioł pustą. Mierziało go to strasznie, wiedzioł, że bydzie dóma krawal. Ogrómnie sie boł ojcowego opaska. Aż tu akurat uwidzioł na łące krowe, jak mo podniesiony ocas do wyrchu a jszczy. Pomyśloł se „mocz, jako mocz", polecioł hónym i flaszke krowie podstawiół pod chwost. Teraz uż z tą pełną flaszką polecioł prosto do te Zieliniorki na Szuste. Hnet to tam naszoł, powiedzioł wszycko, co a jak, że mamulka są nimocni, a że to jejich mocz. Zieliniorka wziyna tą flaszke pod światło a prawi: „Rzeknij Tatulkowi, że Mamulka sie wóm za dwa miesiące ocieli!" Jak to synek dóma rzyk, ojciec go strasznie sproł opaskym: „A ty lagramyntniku jedyn, coś ty zaniós te Zieliniorce?"

Babe zakludziół do dochtora. Jak mu opowiedzioł o te Zieliniorce i o tym moczu, tak sie tymu dochtór strasznie uśmioł. Babie doł sprawne lyki, jakisi dobre kapki, a baba hnet stanęła na nogi.

O DIOBŁACH

Był na dziedzinie jedyn krawiec. Szył wszycko ręcznie, nie było eszcze maszyn do szycio. Roboty mioł mało, bo ludzie ni mieli piniędzy, chodzili w starych lóntach. Biyda była w chałupie. Jego Baba nimiała co do garca styrczyć, dzieci głodne płakały. Aż se zufoł. Nie wiedzioł se rady i zawołoł na pomoc Diobła. Dioboł na te chęci, hnet przilecioł i prawi: „Jo Ci pómożym, ale nejprzód musisz mi dowiyźć, żeś je dobry krawiec. Bydymy cosi szyć, baji galaty. Uwidzimy, gdo piyrszy uszyje, jo, czy ty?" Dioboł przyniós ze sebą jakisi cajg, nastrzigali to a zaczyni szyć. Krawiec sie chyciół wartko szycio, nawlyk se taką prawie akurat nić do jegły, szło mu to szykownie i galaty mioł hnet fertig. A Dioboł, dycki chytry, poszkroboł sie po rogach i myśloł se tak: "Ustrzignę se długą nić, to nie bydym musioł tela nadwiązować, pójdzie mi to rychli i bydym piyrszy!" I tak lotoł z tą nicią daleko, tam a spatkym, ale roboty mu nie ubywało.

Krawiec sie przeświadczył, że Dioboł je głupi i nic uż po nim nie chcioł.

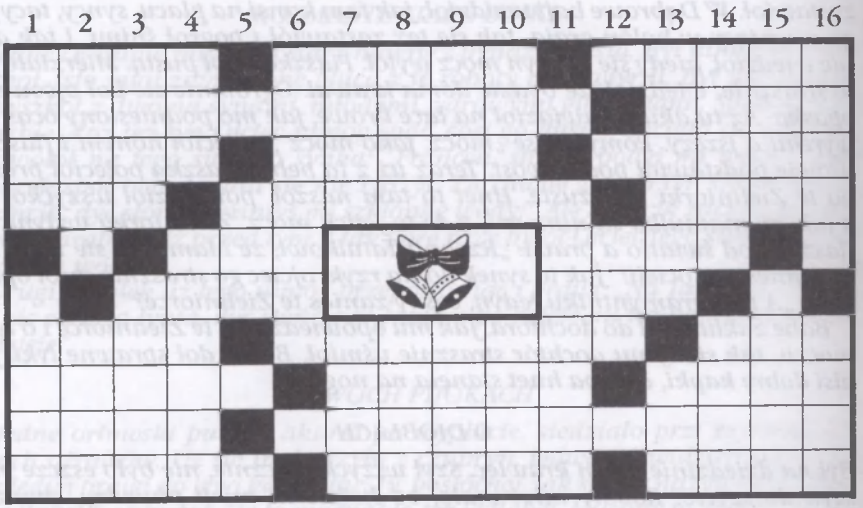
Roz też przyszoł ku jednymu siedlokowi Dioboł a zaczón go namowiać, aby społym obsadzili pole: „Jo bydym robić za sztyrech, mi sie robota w rękach poli. A potym sie podzielimy urodą na połowice, jo se weznę z wyrchu, a ty se weźniesz to, co bydzie w ziymi." Ale chłop głupi nie był, nasadziół ziymioków. Pieknie obrodziły, moc nakopoł, usypoł śnich wielki kopiec na zime. A Diobłu zustały zieliny.

Na drugą wiosne prawi Dioboł: „No ni, teraz jo bierym z dołu a ty se weźniesz z wyrchu." A chłop sie yny uśmiychnął, a zasioł teraz żyto. Szumnie obrodziło, mioł pełne miechy żyta, jak złoto. A Diobłu zustało ściernisko! Tak chłop Diobła wyfikoł!

Ale tak to yny bywo w bojkach. Diobły są ogrómnie chytre i tak sie lekko wyfikać nie dają. A je ich jakby coroz to więcy na świecie. Chodzą fórt za nami i cosi nóm do ucha podszeptują i wodzą nas na pokuszyni...

JANINA

KRZYŻÓWKI ŚWIĄTECZNE

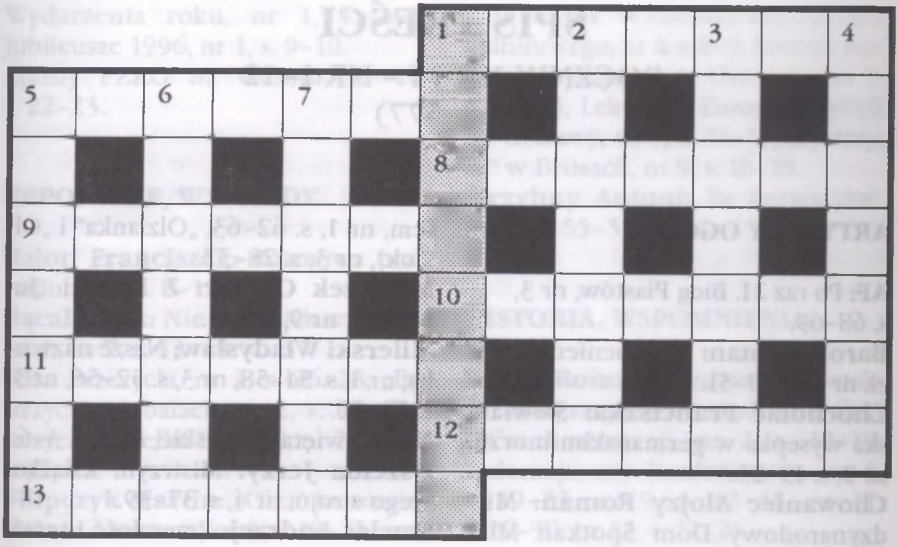


POZIOMO: A. Gra w karty; paciorek; zacięcie krasomówcze. **B.** 1/10 dekalogu; imię Chaczaturiana. **C.** Imię psa; pokaz, rewia; "Halka" Moniuszki. **D.** Jest w godle państwowym RC; utwór muzyczno-wokalny; mityczny lotnik. **E.** Jeden z lantatowców; sieć zastawna. **F.** Włoski port nad Adriatykiem; trójchloretylen. **G.** Starożytne miasto w Mezopotamii; neuroza; szachista, mistrz świata z 1960 roku. **H.** Dawniej zeszyt; niejadowity, ciepłolubny wąż; opera Verdiego. **I.** Insekt; przemysł browarniczy. **J.** Nie zadrukowana stronica książki; kłusak; rzeka w Turcji.

PIONOWO: 1. Czeski aktor filmowy; marszałek radziecki, który kierował operacją berlińską. **2.** Silicium; szlachecki herb polski (Rawicz). **3.** Port nad Donem; fotel na biegunach. **4.** Starożytne miasto fenickie; dramaturg japoński (Izumo, 1691-1756). **5.** Różyczka. **6.** Rodzaj lekkiego hełmu w kształcie kapelusza. **7.** O3; kraina historyczna w Grecji nad Morzem Jońskim. **8.** Dawniej porwanie, uwięzienie panny; miejscowość wypoczynkowa przy ujściu Łupawy do Bałtyku. **9.** ... z Zielonego Wzgórza; rośnie na głowie. **10.** Jest zazwyczaj w kopercie; stan w USA. **11.** Polski reżyser teatralny (Jerzy). **12.** Dzieli się na okresy. **13.** Jeleń zamieszkujący lasy Ameryki Północnej; skala światłoczułości. **14.** Gatunek palmy. Numer ciężarowy włókna lub przędzy. **15.** Miasto w Syrii; prowincja i miasto we Włoszech. **16.** Gorzka substancja występująca w roślinach leczniczych; państwo na Półwyspie Indochińskim.

Wyrazy trudne: ARAS, DARA, EPIR, TYR, URUK.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: J-16, B-7, I-1, H-7, A-2, H-14, A-6, C-15, G-12, J-3, C-7, G-7, A-1, D-5, I-7, C-14, D-10, I-16, B-1, D-16, J-10, I-2, A-15, B-3, F-6, J-1, E-12, A-9, G-2, G-11, J-8, I-4, H-11, C-9, H-4, H-9, B-13, I-13, C-2, D-8, G-3, D-14, G-10, D-1, G-1, H-15, A-7, I-8, G-7, H-3.



POZIOMO: 1. Fortel, intryga, matactwo. **5.** Kołyska. **8.** Członek wyższej izby ustawodawczej. **9.** Krótka, kłująca broń biała. **10.** Konwój. **11.** Uproszczony odbiornik telewizyjny lub czasopismo urzędowe. **12.** Ośrodek turystyczno-wypoczynkowy u podnóży Śnieżki (anagram wyrazu CZAPRAK). **13.** W szachach jednoczesny ruch króla i wieży.

PIONOWO: 1. ROZWIĄZANIE DODATKOWE. 2. Francuski przyrodnik i antropolog (Joseph, 1852–1918). **3.** Roślina pastewna spokrewniona z gryką. **4.** Fuszer. **5.** Zmora, przerażający sen, makabra. **6.** Człowiek pochodzący z Ameryki Łacińskiej. **7.** Pantofel przystosowany do tańca na palcach.

WYRAZY TRUDNE: 2. DENIKER.

TEKSTÓWKI

Poniżej podane wyrazy należy uzupełnić o brakujące litery. Dopisane zaś litery, czytane kolejno, utworzą rozwiązanie.

O..IATA * Z ..BA * SZ..B * RO..T * WY..L * ZA..N * KO..R * P..SZEK * GO..INA * S..IOR * W..RA

S...NIK * WIE..MA * PRO...K * PO..TANIE * S...ZKA * S..SJA * GNI...Z * S..TEK * URO...IE * ARLE..N

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca grudnia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru październikowego:
Hasło: **"Nasza kultura, bogactwem regionu".**
Nagrody książkowe wylosowali: **Anna Cerník – Bystrzyca**
Emanuel Mitoński – Orłowa-Lutynia
Maria Danel – Hawierzów-Miasto

SPIS TREŚCI

ROCZNIK XLVIII - NR 1-12
(566-577)

ARTYKUŁY OGÓLNE

AF: Po raz 21. Bieg Piastów, nr 3, s. 68-69.
Baron Roman: Wzmocnienie więzi, nr 3, s. 49-51.
Chocholáč Franciszka: Słowiańska wysepka w germańskim morzu, nr 2, s. 19-25.
Chowaniec Alojzy Roman: Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży, nr 1, s. 34-37.
C.R.: Jubileusz „Gorola", nr 6, s. 14, Pięćdziesięciolecie Klubu Gusenowców, nr 7, s. 24-25, Zjazd Delegatów PZKO, nr 12, s. 4-6, Posiedzenie nowego Zarządu Głównego PZKO, nr 12, s. 8.
Czap Jerzy: Szanowni Czytelnicy, nr 1, s. 11-12, Przed Zjazdem, nr 10, s. 3-5.
F.G.: Nad otwartą kroniką, nr 10, s. 24-25.
Fójcik Wawrzyniec: Głos w debacie o Polonii, nr 5, s. 5-10.
Guziur Janusz: Olza - rzeka zapomniana, nr 12, s. 16-21.
J.K.: Prezes rekordzista jubilatem, nr 11, s. 71.
Jedzok Dariusz: Zaolzie - nasz wspólny dom, nr 9, s. 12.
Klosová Ewa: Polski wieczór w Varieté Praha, nr 4, s. 6-7.
Kubiczek Jan: Martin Lecián - prawda i legenda, nr 2, s. 74-78.
Kula Józef: Władysław Bura jubilatem, nr 1, s. 62-63, „Olzianka" i „Olziok", nr 3, s. 28-32.
Matuszek Otokar: Z kroniki „Jubilatki", nr 9, s. 2-4.
Milerski Władysław: Nasze nazwiska, nr 1, s. 54-58, nr 3, s. 52-56, nr 3, s. 52-56.
Nasze Święta Gorolskie, nr 8, s. 3-6.
Oszelda Jerzy: Mistrzyni książkowego stroju, nr 4, s. 37-39.
Pawlas Andrzej: Przeszłość i teraźniejszość Łucyny, nr 9, s. 13-15.
PZKO na łamach „Zwrotu", nr 10, s. 7-17.
Rosner Edmund: Na marginesie rozważań o pograniczu, nr 6, s. 16-18.
Rudnik Czesława: VI Zgromadzenie Ogólne Kongresu Polaków w Republice Czeskiej, nr 3, s. 3-4, Milenium świętego Wojciecha, nr 4, s. 43-45, Senat RP o Polonii i Polakach w świecie, nr 5, s. 2-4, Jubileuszowy Festiwal PZKO, nr 7, s. 3-4, Czy znasz tę bibliotekę, nr 7, s. 14-17.
Santarius Ewa: Państwo, władza - odwieczne pola walki, nr 2, s. 7-10.
Siwek Tadeusz: „Skok przez skórę" Fundacji Czesko-Polskie Centrum Kultury i Nauki, nr 2, s. 37-38.
Uchwała VI Zgromadzenia Ogólnego Kongresu Polaków w Republice Czeskiej, nr 4, s. 2-4.
Wincenty Sz.: Chlyb, chlebiczek nasz powszedni..., nr 9, s. 10.

Wydarzenia roku, nr 1, s. 2–6, Jubileusze 1996, nr 1, s. 9–10.
Zjazdy PZKO na wesoło, nr 10, s. 22–23.

REPORTAŻE, WYWIADY

Bałon Franciszek: Rozmowa przy radiu, nr 3, s. 8–12.
Bącal Jacek: Nie ma to jak w Wąglanach, nr 7, s. 43–44.
F.B.: Przeżycia, nr 2, s. 26–28, „Bystrzyca" na balach, nr 2, s. 40, „Bystrzyca" w Velké Bystřici, nr 11, s. 37–40.
Filipczyk Martin: „Olza" koncertowała za oceanem, nr 3, s. 13–15.
Gawlas Halina: Zlot Polonii w Gdańsku, nr 7, s. 11–13.
J.L.: „Skotniczka" w Zielonej Górze, nr 10, s. 60–61.
Oszelda Jerzy: Jak zbawia się świat, nr 5, s. 24–28.
Pyszko Jan: Kwitnące ogrody, nr 6, s. 6–11.
Redakcja: Podsumowanie dwuletniej kadencji – rozmowa z Wawrzyńcem Fójcikiem, nr 2, s. 3–6.
Rudnik Czesława: V Festiwal Piosenki Dziecięcej, nr 6, s. 4, V Światowe Forum Mediów Polonijnych, nr 7, s. 6–7, U teściowej w Wietnamie, nr 7, s. 24–29, Pięćdziesiąt Gorolskich Świąt za nami, nr 9, s. 5–9, Szkolenie na końcu lata, nr 11, s. 12–21, Co słychać w „Edenie", nr 11, s. 41–42, Festiwal na Granicy, nr 12, s. 33–34.
Santarius Kazimierz: Dwukrotnie skazany na śmierć, nr 9, s. 28–34.
Stróżczyk Elżbieta: Polska mowa na Kresach, nr 2, s. 34–37, „Wspólnota Polska" w obronie dziedzictwa kulturowego, nr 4, s. 8–9, Lekarze polscy spotykają się w Ostrawie, nr 5, s. 22–23, Lekarze z Europy przybyli do Ostrawy, nr 7, s. 14–15, „Bystrzyca" w Brusach, nr 9, s. 16–19.
Strzybny Antoni: Tu Antarktyka!, nr 10, s. 55–59.

HISTORIA, WSPOMNIENIA

Baron Roman: Londyńskie kontakty emigracyjnych rządów Polski i Czechosłowacji, nr 2, s. 12–18, Federacja czy konfederacja, nr 6, s. 19–23, nr 9, s. 42–45, nr 11, s. 26–30, nr 12, s. 22–26.
Buława Edward: Legion Śląski w sieci przeciwieństw politycznych, nr 1, s. 14–19, Ofiarny stos, nr 10, s. 25–30, Rozważanie nad losem „Orląt Śląskich", nr 11, s. 22–25.
Cienciała Teodor: Pierwszy aptekarz w Wiśle, nr 6, s. 34–36.
Fukała Gustaw: Moje wojenne wspomnienia, nr 1, s. 27–33.
Josiek Władysław: Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, nr 11, s. 4–10.
Kazik Józef: Posłowie narodowości polskiej w najwyższych organach państwowych, nr 1, s. 58–59.
Kubiczek Jan: Ferdynand Goetze, nr 3, s. 16–19, Historia Stowarzyszenia Spożywczego „Postęp", nr 4, s. 33–36, Janosik – mit a rzeczywistość, nr 6, s. 75–77.
Nowak Krzysztof: Zaolzie po raz czwarty, nr 3, s. 5–7.
Nowok Alojzy: Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim, nr 1, s. 20–25, nr 2, s. 29–33, nr 3, s. 22–27, nr 4, s. 19–24, nr 5, s. 29–35, nr 6, s. 27–31,

nr 7, s. 16-22, nr 9, s. 35-41, nr 10, s. 31-38, nr 11, s. 30-35, nr 12, s. 26-31.
Macura Jan: Dochowali wierności przysiędze, nr 10, s. 39-41.
Matuszek Otokar: Wspomnienia pod serduszkiem, nr 5, s. 37-39.
Milerski Władysław: Zapomniani bohaterzy, nr 4, s. 10-17.
Pawlas Andrzej: Błędowicki Beskid Śląski i Sokół Piast, nr 4, s. 40-41.
Sembol Wiktor: Wiktor Sembol we własnych oczach, nr 3, s. 34-38, nr 4, s. 27-32.
Zahradnik Stanisław: Żydzi w Trzyńcu, nr 12, s. 9-14.

PLASTYCY I ICH DZIEŁA

F.B.: Bronisław Liberda więcej niż „nasz", nr 7, s. 19-20.
Rudnik Czesława: Monika Milerska - Wystawa, nr 3, s. 21, Żegnamy Franciszka Świdra, nr 5, s. 19-21, Warsztaty plastyczne najmłodszych, nr 7, s. 21-22, Pejzaże Oskara Pawlasa w Bielsku-Białej, nr 9, s. 20-21.
Strzybni Renata i Antoni: Zapomniane obrazy, nr 7, s. 26-29.
T.W.: Nowa generacja plastyków, nr 7, s. 30.

SZKICE O LITERATURZE

Baron Elżbieta: Ikar wzniósł się w górę..., nr 1, s. 49-50.
Baron Roman: „Tygiel Kultury", nr 7, s. 45-46.
Broda Lech: O Wisławie Szymborskiej inaczej, nr 7, s. 46.
J.P.: 50 lat debiutu literackiego Władysława Młynka, nr 7, s. 9.
Kardyni-Pelikánowa Krystyna: Wisława Szymborska - czwarty Nobel dla polskiej literatury, nr 1, s. 37-38.
Kula Józef: „Szczecińskie PAR" otwarte dla Zaolzia, nr 3, s. 70.
Machej Zbigniew: Po lekturze materiałów z konferencji „Literatura na Śląsku czeskim i polskim", nr 9, s. 60-61.
Martinek Libor: Współczesna działalność przekładowa polskich pisarzy zaolziańskich, nr 12, s. 35-41.
MK: Działalność wydawnicza członków ZLPC w roku 1996, nr 2, s. 51.
Przeczek Wilhelm: Odszedł Leszek Bakuła, nr 9, s. 53.
Rudnik Czesława: Paweł Kubisz, nr 5, s. 12-18, Chylą się dni moje..., nr 7, s. 32-33, Literatura polska w Republice Czeskiej (na Zaolziu), nr 11, s. 43-44.
Sajdok Gustaw: Konkurs Literacki im. Pawła Kubisza, nr 5, s. 43.
Svoboda Jiří: Polscy autorzy w czeskim kontekście, nr 6, s. 36-39.
Urbanec Jiří: Drodzy polscy i czescy przyjaciele, nr 11, s. 45-48.
Všetička František: Polonofil, nr 9, s. 58-59.

POLACY POZA KRAJEM

Górecki Jan: U rodaków na Łotwie, nr 9, s. 25-27.
Santarius Kazimierz: Polskiego uczą się w szkołach sobotnich, nr 7, s. 9-13.
Stróżczyk Elżbieta: 50-lecie Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, nr 4, s. 25-26.
Wątróbski Leszek: Odrodzenie polskości na Litwie, nr 6, s. 24-26.

POEZJA

Chraścina Maria: Przymiarka do życia, Spotkanie, Na przystanku wspomnień, nr 6, s. 40–41.
Gaudyn Janusz: Wnukom, nr 5, s. 45.
Jasiczek Henryk: Im głębsza noc..., Imię i nazwisko, nr 1, s. 40–41.
Kubisz Paweł: Credo, nr 5, s. 44.
Michalska Emilia: Kto zacz jestem?, Radość, Poeta, nr 7, s. 34–35.
Piegza Łupińska Agnieszka: Głośno biją zwony, Sierpień, Na Gorolskim Święcie, nr 7, s. 30–31.
Przeczek Wilhelm: Wielkanocne dzwony, nr 3, s. 40–41.
Putzlacher Renata: Dwudziestolecia, Zwijanie domu, nr 12, s. 42–43.
Pyszko Jan: Dom, Oczy gór, nr 4, s. 46–47.
Sajdok Gustaw: Życie, Próg, Wiara, nr 10, s. 42–43, Opłatek Wigilijny, nr 12, s. 2.
Sikora Władysław: Zanim minę, Daktyl z amfibrachem i trochej, nr 9, s. 47.
Soroczyński Tadeusz: Tren I, Tren II, Tren III, Tren IV, nr 11, s. 52–53.
Sznurowacki Jan: Miłość, Dawniej i dziś, nr 5, s. 41.
Szymborska Wisława: Upamiętnienie, Nic dwa razy, nr 2, s. 42–43.

PROZA

Berger Adam Wiesław: Marienbad, nr 6, s. 42–44.
Binar Ivan: Gadanie do śpiącej kotki, nr 10, s. 44–46.
Daehne Jiří: Wspomnienia dzieci niepożądanych, nr 1., s. 42–47.
Fox Marta: Zdarzyć się mogło, zdarzyć się musiało, nr 7, s. 36–37.
Kubaj Karol: Głęboki wdech, nr 3, s. 42–43.
Kubisz Paweł: Doktor Hnatyszek, nr 5, s. 46–47.
Kupiec Aniela: Zły człowiek, nr 9, s. 48–50.
Młynek Władysław: Kamienity, nr 7, s. 32–36.
Morcinek Gustaw: Przygody narciarskie, nr 12, s. 44–47.
Przeczek Lech: Mikroopowiadania sci-fi, nr 2, s. 44–46.
Sojka Erich: Do gazu, nr 4, s. 48–52.

POLEMIKI

Berger W.A.: Przepraszam, że się wtrącam, nr 7, s. 39–41.
Branny Jan: Szanowna Pani Redaktor, nr 9, s. 69–70.
Všetička František: Małgorzata podchodzi do mistrza, nr 7, s. 42.

FRASZKI GUSTAWA SAJDOKA

O redaktorach, nr 1, s. 48, Złote myśli i sentencje, nr 3, s. 47, Aforyzmy o miłości, nr 5, s. 42, O mężach i żonach, nr 7, s. 43, nr 9, s. 51.

RENATA PUTZLACHER – MOJE FASCYNACJE

Na tropie Noblistów, nr 1, s. 51–53, nr 2, s. 48–49, nr 3, s. 44–46, Oko w oko z Barańczakiem, nr 4, s. 53–55, Maciej Słomczyński i nagroda Trakla, nr 5, s. 48–50, Zmiana

miasta, nr 6, s. 45-46, Ucieczka od imperatywów, nr 7, s. 38-40, Brneńska Eliška, królowa polska, nr 7, s. 37-39, nr 9, s. 54-56, nr 10, s. 47-49, Koszarzyska Anno Domini 1997, nr 11, s. 49-51, nr 12, s. 48-50.

LISTY RENCISTY

Natura Bumerangów, nr 1, s. 64, Byłem na księżycu, nr 2, s. 52, Wróżka z Wisły, nr 3, s. 48, Poeta czy geodeta?, nr 4, s. 56, Tajemnicza figurka, nr 5, s. 51, Nostradamus Artura Crocketta, nr 6, s. 48, Boża partytura, nr 7, s. 41, Przeczucie kształtu, nr 8, s. 44, Jan Palach w „Labiryncie", nr 9, s. 57, Święty Franciszek, nr 10, s. 50, Lama z Tybetu, nr 11, s. 54.

OKRUCHY LITERACKIE

nr 2, s. 50, nr 6, s. 47, nr 9, s. 52.

TO I OWO

nr 3, s. 66-67, nr 4, s. 62-63, nr 6, s. 49, nr 7, s. 48-49, nr 10, s. 51-54, nr 11, s. 55-58.

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Farnik Bogumił, nr 3, s. 65.
Jonszta Erwin, nr 1, s. 67-68.
Mrózek Wanda, nr 3, s. 64.
Raszyk Józef: Z „Olzianki" i „Olzioka" mogli być „Olzianie", nr 9, s. 73.
Sikora Adam: Z Jabłonkowskiej PSP do Europy, nr 9, s. 71-72.

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

Baron Elżbieta: „Skrzydlate słowa", nr 2, s. 57-58, „Miej serce i patrzaj w serce", nr 4, s. 66-67.
C.R.: Promocja nowej książki Anieli Kupiec, nr 9, s. 23, Błędowice - krótki zarys historii, nr 10, s. 69-70, Promocja książki Wincentego Szeligi, nr 12, s. 54-55.
(ER): „Pamiętnik ustroński", nr 6, s. 62-63.
Jaworski Kazimierz: Pamiętnik Sybiraka, nr 5, s. 62-63.
Machej Zbigniew: Ważny gest, wiersze nie bardzo, nr 4, s. 67-69.
Przeczek Wilhelm: Poszukiwanie źródła, nr 7, s. 50-51, „Ćmy" Franciszka Nastulczyka, poeta osobny, nr 9, s. 63-64, „Roz widzieli", nr 9, s. 64-65.
Rosner Edmund: Modlitwy Wilhelma Przeczka, nr 5, s. 63-65, Felietony Františka Všetički, nr 5, s. 65-66.
Rudnik Czesława: Konopnicka pod Beskidami, nr 4, s. 69-70, Zdrowie pod ręką, nr 7, s. 51-52.
Sikora Władysław: Kunim pędzlem, nr 2, s. 54.
W.P.: Pamiętnik Literacki, nr 2, s. 58.
Zahradnik Stanisław: Leksykon PZKO od strony warsztatowej, nr 10, s. 18-20.

NA NASZEJ SCENIE

Rudnik Czesława: Poprawki z mitologii, nr 2, s. 60-62, Cena uczucia, nr 2, s. 62-64, Hrabal na eksport, nr 4, s. 64-66, Czechow uniwersalny, nr 6, s. 58-60, „Robot Atomek" w Bajce, nr 6, s. 60-61, Przygody Tomka

w szkolnym teatrze zawodowym, nr 7, s. 49–50, Szczęśliwe wydarzenie: Mrożek w Scenie Polskiej, nr 9, s. 65–68, Szewczyk w rytmie krakowiaka, nr 10, s.66–68, Jak debiutant poradził sobie z całym domem kobiet, nr 11, s.60–62, Gimpel w krainie snów, nr 12, s. 52–53.

ECHO WYDARZEŃ MUZYCZNYCH

Hławiczka Jan: Sejmik Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego, nr 4, s. 57–61.
Kornutowa Anna: Tam wejdź, gdzie słyszysz śpiew, nr 3, s. 62–64.
Kula Józef: Koncert odpustowy w Stonawie, nr 9, s. 24–25.
Lachowa Helena: „Przełęcz" w Warszawie, nr 6, s. 56.
Lubina-Cipińska Danuta: Tournée „Hutnika" z Trzyńca, nr 7, s. 58–62.
-on-: Koncert Świąteczny, nr 2, s. 70–71.
Pyszko Jan: Koncert „Melodii" na zamku Piastów Śląskich w Brzegu, nr 2, s. 71–73.
(ra): Podwójny jubileusz śpiewactwa w Stonawie, nr 1, s. 62.
Sajdok Nina: Wiosenne wojaże „Collegium Iuvenum", nr 6, s. 54–56.
Stróżczyk Elżbieta: „Hutnik" ciągle w drodze, nr 6, s. 57.
Suszka Krystyna: „Collegium Canticorum" na kompakcie, nr 5, s. 56–60, V Festiwal Piosenki Dziecięcej, nr 7, s. 51–57.
T.T.: 75-lecie śpiewactwa w Marklowicach, nr 2, s. 68–69.
Wierzgoń Józef: Młodzi na pewno lubią śpiewać, nr 1, s. 59–61, 70 lat Zorganizowanego śpiewactwa polskiego na Zaolziu, nr 2, s. 65–68, nr 3, s. 58–61, nr 5, s. 52–56, nr 11, s. 63–70, nr 12, s. 55–60, Noworoczny koncert w Stonawie, nr 2, s. 69–70, Sejmik i Walne Zgromadzenie Delegatów, nr 6, s. 52–54, „Śląskie Śpiewanie" po raz czwarty, nr 7, s. 54–57, Jubileuszowy „Trojok Śląski", nr 10, s. 62–63, Odszedł pracowity i skromny dyrygent, nr 10, s. 64–65.

KRONIKA

nr 1, s. 69–78, nr 2, s. 69–78, nr 3, s. 71–75, nr 4, s. 72–77, nr 5, s. 67–72, nr 6, s. 63–69, nr 7, s. 59–77, nr 7, s. 64–69, nr 10, s. 70–77, nr 11, s. 73–78, nr 12, s. 62–67.

MOZAIKA

Cupek Władysław: Niagara, nr 4, s. 77–78.
Janina: Downo, downo tymu żyli jedni poczciwi ludzie..., nr 3, s. 76–78, Rozmańte stare bojki, nr 12, s. 70–71.
Lipowski Jarosław: Młoduchi miały biołe winuszki na głowie..., nr 9, s. 75–77.
Michalska Emilia: Jak Ondraszek biydne młoduchy wianowoł, nr 7, s. 73.
Morcinek Gustaw: Powiarki śląskie, nr 6, s. 71–74.
Mrózek Karol: O tym jak się nasz brat Paweł wymigoł od pasiyno krów, nr 1, s. 65–66.
Mrózek Wanda: Wiesioło Maryczka, nr 5, s. 74–78.
Ondrusz Teresa: Opowiadała mi babcia, nr 7, s. 74.

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO–OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE
przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej
REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
EWA SANTARIUS (sekretariat)
ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83
WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
WILHELM PRZECZEK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 144,– Kč, z wysyłką pocztową 186,– Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

Zespoły:

OLZA
GÓROLE
BYSTRZYCA
SUSZANIE
SKOTNICA

ZAPRASZAJĄ
na

KONCERT ŚWIĄTECZNY

który odbędzie się w sobotę 20 grudnia o godz. 16.00 w sali DK TRISIA w Trzyńcu.

Bilety w cenie 35,– Kč
do nabycia u członków poszczególnych zespołów
w biurze ZG PZKO
lub na miejscu przed koncertem.

TACY JESTEŚMY



„ZABIJACZKA“ W NAWSIU

Po raz pierwszy miała miejsce w Domu Miejscowego Koła PZKO w roku 1995 na zakończenie Roku Kultury Ludowej. Już wówczas było wiadomo, że stanie się tradycją Koła. Doskonała ludowa zabawa ze śpiewem, tańcami i śląskimi przysmakami. Na pierwszej muzycznym przewodnikiem był zespół „Górole“ z Mostów koło Jabłonkowa i kapela „Kamraci“, na drugiej zespół regionalny „Koniaków“ z Koniakowa i kapela Zbyszka Wałacha z Istebnej. MK PZKO w Nawsiu z Tadeuszem Filipczykiem jako prezesem na czele potrafi dbać o autentyczny folklor tej ziemi.

NASZE ZESPOŁY



„HARFA"

Chór Mieszany „Harfa" MK PZKO Czeski Cieszyn-Centrum obchodził w tym roku 45-lecie swego istnienia. (Ongiś „Harfa" istniała „potrójnie" - jako chór męski, żeński i mieszany...) Do tradycyjnych należały wiosenne koncerty tego chóru, które od pięciu lat zamieniono na jesienne. W latach dziewięćdziesiątych „Harfa" wzbogaciła swój repertuar o pieśni sakralne. W pierwszym półroczu bieżącego roku chór miał sześć koncertów w kościołach, z tego trzy w Kaliszu w Polsce.
W roku 1994 czeskocieszyńska „Harfa" wyjechała do Pułtuska i Warszawy na zaproszenie warszawskiego chóru „Harfa". Pamiętnym dla zespołu był koncert w Kościele Św. Krzyża w Warszawie transmitowany przez radio. W roku 1996 chór wystąpił w Pradze.
Od roku 1995 z „Harfą" okazyjnie koncertuje harfistka Ewa Jaślar-Walicka. Aktualnie dyrygentem Chóru Mieszanego „Harfa", liczącego 46 członków, jest prof. dr hab. Alojzy Kopoczek.

Książnica Cieszyńska

CZ III 000006/1997

